J. J. KRASZEWSKI.

WYBÓR PISM.

ODDZIAŁ VIII.

KARTKI Z PODRÓŻY 1858—1864

poprzedzone wstępem krytycznym

PRZEZ

Piotra Chmielowskiego.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Świat 41.
1892.

Дозволено цензурою.
Варшава, Мая 4 дня 1892 года.

WSTĘP.

(Kraszewski jako podróżopisarz).

W stosunku do odbywanych od wieków przez naszych przodków podróży, niewiele posiadamy opisów tych peregrynacyj przed wiekiem XIX. Czy to mała wrażliwość i brak zmysłu obserwacyjnego, czy lenistwo w przedstawianiu swych spostrzeżeń, myśli i przygód, czy też pewna lękliwość umysłowa, nie dozwalająca się zmierzyć z umysłami i talentami obcemi, które podobny przedmiot obrabiały, czy wreszcie oprócz wymienionych jakie inne przyczyny wywołały ów objaw, dość, że podróżopisarzy mamy szczupłą liczbę.

Dawniéj, kiedy się jeszcze łudzono przypuszczeniem, iż Jan de Plano Carpino mógł pochodzić z jakiego polskiego Karpina, literaturę podróżniczą można było u nas posunąć w wiek XIII, ale dziś zmuszeni miłością prawdy, musimy się wyrzec na rzecz Włochów opisu misyi do Tatarów, i o trzy prawie wieki późniéj rozpocząć króciutką historyą naszego podróżopisarstwa.

Pierwszym bowiem dotychczas znanym opisem podróży przez Polaka odbytéj, jest książka bernardyna Anzelma, który w r. 1507 i 1508 pełnił obowiązki penitencyaryusza przy kościele grobu Chrystusa w Jerozolimie. Za powrotem do kraju nakreślił dość szczegółowy opis Ziemi Świętéj i ogłosił go po raz pierwszy w Krakowie r. 1512. Stał się on bardzo popularnym; przedrukowywano go kilka razy w XVI i XVII stuleciu, przetłomaczono na polski i jeszcze w r. 1723 ogłoszono p, n. „Peregrynacya prawdziwego opisania Ziemi Świętéj, Betlehem i Jeruzalem.“ Autor dokładnie oznaczał położenie miejsc i uzmysławiał je spółrodakom przez porównania do miejscowości ojczystych; powtarzał przytém oczywiście, podobnie jak inni ówcześni i o wiele późniejsi podróżnicy, wszystkie

średniowieczne legendy: opisywał np. miejsce, w którém N. Panna, wstępując do nieba, pasek z powietrza św. Tomaszowi spuściła; ściany muru, gdzie się rozdzielili apostołowie, mając się udać w różne strony świata, i gdzie *credo* ułożyli; kamień, na którym Chrystusa koronowano i t. p. Po prostu, naiwnie spowiada się ze swych spostrzeżeń i wrażeń, o sztukę słowa mało dbając.

Potém Mikołaj Krzystof Radziwiłł, zwany Sierotką, pielgrzymkę swoję do Jerozolimy, odprawioną w 1582—1584, opisał po polsku, w formie dyaryusza, a ks. Tomasz Treter przetłomaczył ten dziennik na łacinę, z któréj znowu, ponieważ oryginał nie był drukowany, na polszczyznę wyłożył ks. Jędrzéj Wargocki i ogłosił w Krakowie 1607 roku.

Wogóle Palestyna ze względów religijnych najpierwéj i najwięcéj bywała przedmiotem opisów aż do dni najnowszych. Nie myśląc tu podawać ani charakterystyki, ani bibliografii rozmaitych późniejszych „pielgrzymek“ (ks. Drohojewskiego z końca XVIII w., ks. Hołowińskiego i wielu innych z XIX), przechodzę do drugiéj kategoryi podróży, wywołanych stosunkami z Turcyą. Chociaż Polacy tak często do Stambułu jeździli, to przecież dopiéro z połowy XVI stulecia mamy króciutkie o tém sprawozdania, które ogłosił w bibliotece Tarowskiego Kraszewski. Potém przez bardzo długie lata zadawalniano się tém, co Stryjkowski o swych przygodach tureckich w dziełach swych wzmiankował, lub co Samuel Twardowski w „Przeważnéj Legacyi Krzysztofa Zbaraskiego“ wierszem nakreślił, lub wreszcie tém, co Starowolski z dzieła pisarza włoskiego przełożył („Dwór cesarza tureckiego“). Dopiéro w XVIII wieku Józef Mikosza, mieszkając lat kilka w Konstantynopolu jako poseł Rzeczypospolitéj, zdobył się na oryginalną dwutomową książkę, wydaną w Warszawie 1787 r. p. n. „Obserwacye polityczne państwa tureckiego.“ W XIX wieku sprawozdań oryginalnych i tłómaczonych już jest kilka.

Trzecią grupę w naszém dawném podróżopisarstwie stanowią Włochy. Od wieku XVI mieliśmy już opisy Rzymu i jego osobliwości, ale były to utwory erudycyjne i bynajmniéj wrażeń osobistych, spostrzeżeń własnych autora nie zawierały. To téż dopiéro w naszym wieku mamy podróże do Włoch we właściwém słowa tego znaczeniu, poczynając od francuskiéj pracy Bernarda hr. Potockiego: „Voyage dans une partie de l'Italie“ (Poznań, 1825) oraz tłómaczenia częściowego książki Archenholza p. n. „Włochy“ (Płock, 1828), a kończąc na gruntownych i samoistnych dziełach Michała Wiszniewskiego (1848) i Józefa Kremera (1859—65), oraz na przekładzie świetnéj pracy Taine'a (przez Antoniego Sygietyńskiego, 1885—1887).

Inne kraje nie stanowiły, zwłaszcza w dawniejszéj literaturze naszéj, przedmiotu zajęcia żywszego i tylko przypadkowo bywały opisywane. Z bardzo mało znanych wspomnę tu mianowicie „Dyaryusz podróży hiszpańskiéj z Wilna do miasta Walencyi“, prowadzony przez ks. Juwenalisa Charkiewicza, prowincyała zakonu bernardynów, kiedy się w r. 1768 udawał na kapitułę jeneralną. Praca ta, bardzo charakterystyczna i dużo rzucająca światła na umysłowosć polską wieku XVIII w dobie przetwarzania się pojęć pod wpływem oświaty francuskiéj, ogłoszona została drukiem dopiéro w r. 1824 w „Dziejach dobroczynności krajowéj.“

Wogóle mówiąc, wiek XIX przedstawia nam jak w innych dziedzinach literatury, tak i w podróżopisarstwie rozrost ogromny i wielostronność. Już nie tylko wszystkie państwa europejskie, ale wszystkie części świata są zwiedzane i opisywane nieraz z wielkim talentem przez rodaków naszych. Przytém i kraj własny nie jest zaniedbywany; owszem, w naszém właśnie stuleciu zwrócono nań baczniejszą niż dawniéj uwagę i starano się go przedstawić zarówno pod względem historycznym, jak statystycznym, jak malowniczym. Julian Niemcewicz i Klementyna Tańska rozpoczynają szereg autorów, którzy z zamiłowaniem i znawstwem zadanie to podjęli i spełniać go zaczęli.

W chwili, gdy Kraszewski do pierwszych swych prac podróżopisarskich się zabierał, była już nasza literatura pod tym względem dość bogata. Wymieniając tylko nazwiska najgłośniejsze, dość przypomnieć Aleksandra Sapiehę, który „Podróże po krajach słowiańskich“ ogłosił, Krystyna Łacha Szyrmę, który Anglię i Szkocyą opisał, Hofmanową, która rzecz swą o Dreznie i swój przejazd przez Niemcy wydała, Rautenstrauchową, co szczegółowo malowała Francyę, Przezdzieckiego, co Szwecyę zwiedził i czytelnikom przedstawił.

Rzecz ciekawa, że Kraszewski, zanim opisał jakąkolwiek obszerniejszą podróż rzeczywistą, skreślił najprzód całkiem fantazyjną, w myśli jedynie odbytą „Pielgrzymkę po stolicach,“ obejmującą prawie połowę drugiego tomu „Wędrówek literackich“ (Wilno, 1839), a opartą oczywiście na tém, co młody natenczas autor wyczytał w książkach o Paryżu, Konstantynopolu, Madrycie, Berlinie, Rzymie, i co mu wyobraźnia z tego wątku wysnuła. Bardzo ładnie (lubo niezbyt poprawnie pod względem gramatycznym i stylowym) usprawiedliwiał autor „Poety i Świata“ tę wycieczkę do „krainy dumań i myśli“, by ujść od trosk powszednich a tém bardziéj dojmujących. „O! przyjaciele moi—pisał—paryom towarzystwa, wygnanym zewsząd, niéma jak ten świat cichy, którego wrota dla wszystkich stoją otworem. Idźmy tam i zapomnijmy o tro-

skach naszych, żyjmy przeszłością, dumaniem, marzeniem, pokarmami dusz smutnych, których nie nasycą obiady i bale, tańce i uściski, rozmowy wlokące się jak czarny dym po ziemi, kochania motylowe, gniewy półwieczne i wszystko to, czém się karmią ludzie, którzy na celu drogi swojéj widzą tę samę kałużę, z któréj wyszli.” W programie swojéj pielgrzymki po stolicach, nie zakłada sobie wcale przyglądania się fizyognomii zewnętrznéj wielkich miast, lecz chce poznać znamienne cechy ich obyczajów, przyjrzéć się duchowi, co je ożywia. „Kto jedzie za granicę — powiada—widziéć gmachy, fabryki, zakłady, nie ludzi, obyczaje i ducha; ten mógłby mniejszym kosztem kupić plany i widoki, i za stolikiem od kawy tyle zobaczyć, ile w najdłuższéj podróży.“ Więc w Paryżu maluje przedewszystkiém życie wrzawliwe, charakteryzuje klasy społeczne, uwydatnia niektóre typy oryginalne, jakie wśród społeczeństwa bogatego i pragnącego się zbogacić, powstają. W Konstantynopolu opowiada o braku bezpieczeństwa mienia i osoby, daje sylwetkę renegata. W Madrycie widzi przedewszystkiém przeciwieństwo nędzy i dumy, schadzki miłosne, widowiska zgiełkliwe, a bez wielkiego sensu. W Berlinie zapoznaje się z Hoffmanem i opowiada historyjkę, niby w jego stylu p. n. „Kwiat paproci”... W Rzymie, na tle stosunków przemysłu artystycznego, przypomina sobie dzieje młodości głośnego późniéj w świecie Cagliostra...

Naturalnie, to lekceważenie czysto materyalnéj strony życia, a ubieganie się o poznanie wnętrza ludzkiego, będące wogóle cechą umysłów młodzieńczych, pragnących odrazu i wprost pochwycić jądro rzeczy, a u Kraszewskiego wzmocnione wczesném zaznajomieniem się z dziełami Stendhała (Beyle'a), nie trwało u niego długo, i gdy się zwrócił do opisywania podróży po kraju, zaczął malować zarówno zewnętrzną jak i wewnętrzną fizyognomią zwiedzanych przez siebie okolic. Najpierwszym szkicem Kraszewskiego podróżniczym, który zwrócił na siebie uwagę, był pomieszczony r. 1837 w „Tygodniku Petersburskim“, a zaraz przedrukowany w „Muzeum Domowém“ artykuł p. n. „Pińsk i Pińszczyzna.“ Żywość barw, dobitność charakterystyki, dowcip w zestawieniach, potoczystość stylu, a obok tego trafność spostrzeżeń, prawda krajobrazu: oto zalety tego opisu, po raz pierwszy niewątpliwie w naszéj literaturze przedstawiającego znaczenie artystyczne, prócz geograficznego. Wszedł on następnie trochę zmieniony i rozszerzony, w skład dwutomowego dziełka p. t. „Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy“, wydanego w Wilnie r. 1840 (drugie wydanie, niekompletne, z ilustracyami samego autora, w Paryżu 1860). Nie jestto rzecz wykonana jednolicie według jakiegoś zgóry nakreślo-

nego planu; powstawała bowiem częściowo i była odbiciem nie jednéj lecz kilku różnoczasowych podróży, a przytém mieściła szkice i powiastki, w żadnym ściślejszym związku z głównym przedmiotem nie zostające. Pomimo to miała ona i ma do dziś dnia niepospolite znaczenie jako obraz miejsc i ludzi, skreślony piórem bystrego obserwatora kraju. Niektóre ustępy w dziele tém zawarte, jak naprzykład: „Jarmark w Janowcu“, albo „Osada sernicka“, są pod względem artystycznym wybornemi szkicami, pełnemi życia i prawdy. Prócz tego, praca ta pobudziła zaraz innych pisarzów do naśladownictwa. Nie sprostali oni Kraszewskiemu talentem, ale dali bądźcobądź poznać różne strony kraju. Aleksander Przezdziecki opisał „Podole, Wołyń i Ukrainę“ (2 tomy, 1841), ks. L. A. Jucewicz dał „Wspomnienia Żmudzi“ (1842), Edward hr. Raczyński ogłosił „Wspomnienia Wielkopolski“ (2 tomy, 1842, 1843). Rozbudzenie to interesu dla stron najbliższych policzyć należy na karb zasług naszego znakomitego powieściopisarza.

Jakby dopełnieniem poprzedniego, jest drugie dwutomowe dzieło Kraszewskiego: „Obrazy z życia i podróży“ (Wilno, 1842), będące również jak tamto połączeniem luźnie powstałych szkiców bardzo różnorodnéj wartości artystycznéj. Cecha wspomnień osobistych przeważa tutaj. Mamy tu więc skreślone miejscowości, w których autor przebywał czas dłuższy lub krótszy, a więc: Biała na Podlasiu, Kodeń nad Bugiem, Romanów, Lublin, Świsłocz, Prużana, zamek i starostwo kobryńskie, Drohiczyn, Dubno, Wilno. Niektóre szkice są bardzo słabe i wywołały w swoim czasie wielce surową krytykę całości dziełka, napisaną przez Ludwika Sztyrmera (pod pseudonimem Gerwazego Bomby w „Tygodniku Petersburskim“ r. 1843); ale jest tu parę takich, którę mogą stanąć na równi z najlepszemi rozdziałami „Wspomnień“, jak np. „Domy i ludzie”, Dubno w czasie kontraktów.“ Pierwszy tom jest lepszy, żywszy, barwniejszy aniżeli drugi, poświęcony w połowie przedstawieniu różnych stron życia wileńskiego z czasów pobytu autora w tém mieście od r. 1829 do 1835. Drugą połowę wypełniają charakterystyki: „panów“, „chorego na pana“ i dorobkiewiczów“, przedstawiające dużo rysów znakomicie podpatrzonych.

W r. 1843 odbył Kraszewski, dla poratowania zdrowia, wycieczkę do Odessy. W drodze wszędzie odrysowywał widoki krajobrazów, gmachów, ruin, kreślił zauważone typy, ubiory i gdzie tylko znalazł po temu sposobność, oglądał numizmaty, obrazy i z zamiłowaniem o nich rozprawiał; wspomnienia dziejowe silnie do jego umysłu przemawiały; lecz i życiem spółczesném zajmował się także, nie tylko w jego towarzyskich, ale też w przemysłowych

i handlowych stosunkach. Za powrotem napisał i ogłosił trzytomowe „Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku“ (Wilno, 1845 — 46). Określając na początku książki charakter swéj pracy, widocznie pod wpływem podróżników francuskich, przeciwstawił dawniejszy sposób opisywania zwiedzanych okolic nowszemu. Bardzo słusznie zauważył, że „dawne opisy wędrówek były to tylko sprawozdania z kraju, miejsc, dziejów, ale wyjątkowo malowały człowieka, co je pisał“, gdy w nowszych czasach, w opisach takich musi się wyraźnie uwydatnić osobistość pisarza. Nie myśli rozstrzygać, czy to lepiéj czy gorzéj, nie chce jednak „ze swego wieku, czasu i obyczajów jego wystąpić”. Zastrzega się tylko, iż nie myśli wcale zbywać zadania swego powierzchownie, lecz pragnie je wykonać sumiennie. „Aż zanadto podróżnych — powiada — powierzchownie oglądając wszystko, wyręcza się *humorem* z obowiązku pracy; my choć trochę pracą chcemi zastąpić *łatwą humorystykę* dzisiejszych turystów i przetykamy jedno drugiém“. Co prawda, tego przetykania opisów, nieraz bardzo szczegółowych, zwłaszcza pod względem historycznym, a co do Odessy pod względem handlowym, humorystyką jest niewiele. Wydaje się nawet, jakoby autor opisywał tę podróż nie z wielkiém zamiłowaniem, chciał tylko jako-tako zużytkować notatki, które w ciągu wycieczki swéj porobił. Dane historyczne i statystyczne podaje w ogóle sucho i jedynie w opowiadaniu o pobycie Karola XII w Benderze, według Woltera, ożywia się i rzecz dramatyzuje. Nad morzem unosi się entuzyastycznie, ale opisuje widoki jego krótko, tak jak wogólności prawie wszystkie krajobrazy. Całość nie pozostawia po sobie tego ożywczego, pełnego rozmaitości wrażenia, jakie budzą „Wspomnienia Polesia“; wyróżniająco się pięknych lub charakterystycznych ustępów prawie tu niéma; natomiast powtarzań sporo i to rażących, a styl wielce jest zaniedbany. Z artystyczno-towarzyskich uwag warto wspomnieć przejęte niewątpliwie od krytyków francuskich a do dziś dnia jeszcze powtarzane zdanie, o brzydocie ubioru spółczesnego (surdut, frak, kamizelka). Ciągle o tém wzmiankując, Kraszewski ubolewa, że stroje narodowe idą w poniewierkę.

Gdy mu przyszło w r. 1847 odbyć znowuż dla zdrowia wycieczkę do Druskienik, dał bardzo żywy opis i miejscowości saméj i ludzi, szukających w niéj po części polepszenia zdrowia, a więcéj jeszcze zabawy. „Istotną zaletę dziełka — powiada p. Bądzkiewicz w ocenie tego utworu [1])—stanowi obraz tego ogniska

[1]) Zob. „Książkę Jubileuszową” na cześć Kraszewskiego wydaną w Warszawie r. 1880, str. 425.

leczniczego, to jest samego miasteczka, zakładu wód mineralnych, obok znakomitéj charakterystyki gości, ich zabaw, balów, strojów i t. d. Mamy tu cały kalejdoskop różnobarwny i różnokształtny tych postaci, z rozmaitych stron kraju zgromadzonych i odwzorowanych z mistrzostwem... Z całego tego tłumu chorych i zdrowych, prostaków i niesmacznych strojnisiów, kapryśnych pacyentów i utrapionych przez nich lekarzy, najwydatniéj może góruje typ karyerowiczów i epuzerów, typ naówczas jeszcze tak świeży, zwłaszcza w Druskienikach, że takiemu badawczemu spostrzegaczowi, jak J. I. Kraszewski, dał wyborną sposobność do ujęcia go w sposób niby pobieżny. A cały ten płonący życiem pejzaż ożywiony jest stosownie do okoliczności epizodami bądź humorystycznemi, bądź satyrycznemi, bądź uwagami poważnemi". Autor ma zawsze na pamięci obowiązki obywatelskie; nie może więc być obojętnym tylko obserwatorem objawów życia, lecz je sądzi i wartość ich wykazuje, a ponieważ zbyt często nasuwały mu się powody do nagany, karci surowo nasze wady, np. karciarstwo, brak chęci do czytania, leniwe popieranie pożytecznych wydawnictw, a w karcenie to wlewa dużo serca, którém ujmuje sobie czytelników.

Trzy listy z powtórnéj podróży do Odessy, pomieszczone w „Gazecie Warszawskiéj r. 1852 (NN. 234—306), pisane są bardzo żywo i barwnie, bo nie potrzebując już wdawać się w opisy szczegółowe, mógł autor poprzestać na zaznaczeniu wielkich różnic, jakie w przeciągu lat dziesięciu w mieście portowém zaszły, i zobrazować ten ruch towarzyski, jaki tam wtedy panował. Znajdował się teraz ciągle wśród nader miłego otoczenia, doznał miłych wrażeń, zwłaszcza ze strony studentów liceum Richelieu'go, a choć kuracya nie szła pomyślnie, duchowo był zadowolony—odbiło się to w sposobie pisania.

W r. 1858 po raz pierwszy w życiu wychylił się Kraszewski po-za granice kraju na Zachód, który w fantazyi przebiegał przed laty dwudziestu. Wyjeżdżał w usposobieniu bardzo dla tego Zachodu nieprzyjazném. Wskutek rożnorodnych wpływów, o których nie tu miejsce się rozpisywać, a które wskazałem w biografii naszego autora, był on wtedy przekonany, że cywilizacya materyalna całkowicie zepsuła narody zachodnie, że czczą one tylko cielca złotego, a nie posiadają ani uczucia serdecznego, ani szlachetności, ani ideałów wznioślejszych nad wygodę i wykwint. Ponieważ jednak spotykał się z odmiennemi od swoich poglądami, ponieważ nawet dotkliwie dano mu uczuć, iż jego twierdzenia wypowiedziane w „Ładowéj pieczarze", w „Chorobach wieku", w „Metamorfozach", są oparte na uprzedzeniu, zapragnął własnemi oczyma

sprawdzić to, co „ludzie napisali o cudach obcych krajów“ i przekonać się, o ile te opowieści z rzeczywistością się zgadzały. „U nas szczególniéj—pisał—nasłuchać się było można do przesytu uwielbień tego, co obce, z pogardą dla tego, co swoje. Zarówno uniesienia jak krytykę pragnąłem z własnemi porównać wrażeniami, aby się nauczyć, o ile one się zgodzą z tém, co uświęcone i przyjęte, co się stało pewnikiem, o czém nie godzi się wątpić nikomu, co każdy opis podróży powtarza, nie śmiejąc naruszyć, nie ważąc się już rozbierać“.

Z myślą tedy, jak widzimy, przedewszystkiém krytyczną wybierał się w drogę autor „Chorób wieku“, i myśl tę stosował zrazu do każdego nowego szczegółu, zaczynając od jazdy koleją. „Chcieć opisywać podróż, odbytą koleją żelazną — mówił sarkastycznie — byłoby prawie śmieszném, co najwięcéj być-by to mogła historya wagonów, sąsiadów, przypadki i śmiesznostki *najniewygodniejszego* według mnie sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, który człowieka czyni *pakunkiem.* Niewiele co podróżny schwycić może w zwyczajnéj wędrówce nawet dosyć powolnie odbywanéj, cóż dopiéro w tak szparkim przelocie, gdy wspomnienie tylko co widzianego przedmiotu wnet się dziesięcią innemi zaciera? Ściśnięty w wagonie, zanumerowany jak rzecz, którą z miejsca na miejsce, *mniéj więcéj całą,* przewieść się obowiązano, jedzie król stworzenia zdegradowany do roli tłómoka, ledwie śmiejąc spojrzéć przez okno. Jest to już nie podróż, ale proste przenoszenie się z miejsca na miejsce, które w przyszłości powinno być ulepszone z pomocą chloroformu. Ludzi będą usypiać, administracya kolei naładuje niemi wozy, a wedle kartek poprzylepianych na czole, konduktorowie wydawać ich będą po stacyach, gdzie dopiéro szwajcar w *wartesaal* otrzeźwi... Tym sposobem mniéj zajmą miejsca, spokojniéj odbędzic się podróż i wiele niedogodności się usunie“...

Zapewne późniéj przyzwyczaił się Kraszewski do kolei i uznał téż dobrą ich stronę, uwalniającą szybko od jednostajnych wrażeń, lub dozwalającą podążyć śpiesznie tam, gdzie woła serce lub obowiązek, że już o czysto utylitarnych względach zamilczę. Ale na razie dość długo jeszcze rozwodził skargi i gdzie mógł, posługiwał się końmi po staremu, jak był przywykł w swych stronach.

Strony te stają mu ciągle w pamięci i z początku przesłaniają wzrok, gdy patrzył na ład i porządek, na zużytkowanie każdego kawałeczka ziemi przez ludność, w innych żyjącą warunkach aniżeli w tych, jakie wyidealizował w „Ładowéj pieczarze“. Lituje się on nad temi ludźmi, którym tak skąpo dostało się przestrzeni na ziemi, iż muszą ją wszelakiemi sposoby wyzyskiwać. „Każde

kawałątko ziemi—pisał—zużytkowane, ogrodzone, uprawne, pokrajane na cząsteczki skąpo, pociupane; rzekłbyś, że się ludzie o wstążkę ziemi pobiją. Spotykasz cmentarz, umarłym w nim ledwie tyle miejsca dano, by nowy grób kopiąc nie wywrócono starego, leżą uszykowani jak żołnierze... Chatka, choć śliczna i czysta, ale malutenieczka; kościół — maciupki; dwór boi się rozsiąść, aby ziemi nie zajął do zbytku; droga jak tasiemka, ledwie się na niéj dwóch konnych ominie... Prawda, że za to porządnie, miło, z ładem, ale *trzeba być małym człeczkiem*, aby w téj klatce wytrzymać. Na oku, przywykłém do naszéj rozrzutności, czyni to wielkie wrażenie, ściska się serce myśląc, że tu ludziom biednie być musi, wązko, skąpo...“

Takie były pierwsze wrażenia pisarza, mocno przekonanego, że chłop pańszczyźniany miał życie dostatniejsze i szczęśliwsze, aniżeli brat jego zagraniczny, oddawna już z poddaństwa wyzwolony. Fantazya artystyczna, lubująca się w „malowniczym nieładzie“, grała przytém oczywiście niemałą rolę, ale miłość do tego, co tradycya pozostawiła, była główną kierowniczką jego sądów i opinij. Stąd z wielkiém zajęciem przypatrywał się w Wiedniu pieńkowi obitemu szczelnie gwoździami (Stock im Eisen); pokłonił się „temu szanownemu zabytkowi, myśląc, ile to pracowitych rąk na tę się zbroję składały“. Stąd wszystko, co porządnie uregulowane, „aby powszedniemu żywotowi i jego ciszy nie zawadzało, ani raziło zbytecznie“, nie przypadało mu do smaku, bo wszędzie szukał przedewszystkiém „życia i fantazyi“.

Piękności przyrody górskiéj, którą po raz pierwszy w życiu widział przejeżdżając z Wiednia do Tryestu, odczuwał silnie i umiał ładnie malować, lubo w słowach zwięzłych, trochę za pośpiesznie. Za przykład może posłużyć opis drogi na Semmering, z którego krótki tylko ustęp tu przywiodę: „Góry wyniosłe, pokryte jodłowemi i modrzewiowemi lasami, poprzecinane ogromnemi złomami skał szarych, szczyty zielone, czarne, białawe otaczają gościniec, opasują, ściskają, piętrzą się nad nim, kładną u stóp i, co chwila zmieniając, tworzą nieskończonéj rozmaitości obrazy. W tych warunkach szybkości, nikt dotąd z ludzi górskich widoków nie oglądał; ptaki tylko latające nad niemi; dlatego dziwią i przerażają te zmiany nieustanne kolorytu, świateł, cieni i punktów widzenia. Oku tchu braknie. Droga wije się po wspaniałych, piętrzących się wiaduktach, to zagłębia w czarne tunele, skręca kapryśnie, wygina nagle... tak, że patrzący co chwila pragnąłby szatański ten lot powstrzymać... nasycić się zmieniającą panoramą—ale nim pomyślał, już znikła. Wprawo staje Schneeberg, obwita snującemi się po niéj chmurami, bliżéj na wyżynach sterczą stare zamków

zwaliska, u stóp w dolinach, rozłożone bieleją wioski i wieże kościołów śpiczaste... ale wszystko to wiruje w jakimś tańcu przerażającym“...

We Włoszech uczuł się Kraszewski w swoim żywiole. Z jednéj strony piękna przyroda, z drugiéj świat sztuki stworzony fantazyą artystów ciągnęły go ku sobie nieprzepartym urokiem. Tu można zaznaczyć pierwszy punkt jego pogodzenia się z cywilizacyą zachodnią. Przekonał się, że owe „cuda“, które miał sprawdzać, nie są bynajmniéj urojeniem, że istnieją one w takiéj obfitości i sile, że o nich ani pomyśléć można, jako o rzeczywistości w kraju własnym. Przekonał się nadto, że na Zachodzie nie cenią jedynie i wyłącznie skarbów materyalnych, jeżeli z taką czcią i pieczołowitością obchodzą się z nagromadzonemi w galeryach i muzeach bogactwami twórców duchowych. Chociaż więc ciągle jeszcze sarkał na inne strony życia spółczesnego, w czém zresztą niejednokrotnie najzupełniejszą miał słuszność, w sprawie czci dla piękna musiał uznać niepospolitą doniosłość zabiegów i trudów cywilizacyi zachodniéj; nie należał bowiem do tych upartych umysłów, co to na żadne argumenty nie są czułe i gotowe są przeczyć wszystkiemu, byleby przy swojém zdaniu pozostać.

Kraszewski przybywał do Włoch jako znawca sztuki, oddawna bowiem bardzo gorliwie się zajmował studyami malarskiemi, gromadził wiadomości, zbierał zabytki namiętnie i uczył się na nich zarówno oceniać pomysły jak technikę. Z ukształcenia swego i skłonności był on umiarkowanym idealistą; więcéj zawsze przemawiała do niego myśl obrazu, aniżeli najświetniejsze zalety saméj sztuki malowania; nie lekceważył jednak téj sztuki, umiał oddać sprawiedliwość bardzo od siebie odmiennym sposobom tworzenia i różnorodnym indywidualnościom. Był on, jak zresztą w owych czasach wielu, wielbicielem przedrafaelowskiéj doby w malarstwie: Fra Angelico był dla niego mistrzem niezrównanym; ale nie posuwał on swego uwielbienia aż do zaprzeczania wartości innych mistrzów; robiąc pewne zastrzeżenia, podziwiał ich dzieła.

Toż samo wypada powiedziéć o jego stanowisku wobec sztuki pogańskiéj w przeciwstawieniu do zabytków chrześcijańskich. Wyznawał on otwarcie, że przybywszy do Rzymu, chciał głównie dobrze poznać i zbadać to wszystko, co się do pierwszych wieków chrystyanizmu odnosiło, że go ciągnęły ku sobie najsilniéj katakumby; mimo to przecie nietylko nie zaniedbał obejrzéć zabytków sztuki grecko-rzymskiéj, lecz z prawdziwą przyjemnością przechadzał się po odkopanych ulicach pompejańskich. Może nawet wyrzucał sobie, że za dużo czasu poświęca tym śladom pogaństwa, lecz się rozgrzeszał dość łatwo ze względu na ich piękności.

Co więcéj, zapał dla sztuki tłumił w nim konwencyonalne pojęcia o moralności i kazał mu się oburzać na rząd Burbonów, co skutkiem obawy zgorszenia odarte i nagie resztki murów w Pompei tak „wykastygował", iż cały swój charakter straciły. „Pozalepiano godła — woła on — pozamykano sklepy, obrazy, pościerano napisy, słowem uczyniono z miasta, którego patronką była *Venus pompejana*, miejscem skruchy i rozmyślania. Przerobiono ten świat starożytny *ad usum delphini*, zgwałcono prawdę historyczną ze zbytniego ferworu pobożnego; a ostatecznie odjęto chrześcijaństwu jego cechę, nadając ją nieprawnie pogańskiemu światu. Wspomniałem już o tém, powtarzam raz jeszcze, bo mi oburzenie zapomnieć nie daje o tém barbarzyństwie. Zepsucie nie przychodzi od wszetecznych obrazów z wizerunków, ale z obyczajów i wychowania; dla ludzi czystych wszystko czyste, dla złych niéma nic świętego".

Jak Włochy wpłynęły na udoskonalenie, rozszerzenie i pogłębienie poglądów estetycznych Kraszewskiego, równocześnie prostując jego wyobrażenia o materyalistycznym jakoby wyłącznie kierunku cywilizacyi, tak Paryż, oszołomiwszy zrazu swym gwarem i życiem gorączkowém, przedstawiwszy się zzewnątrz, na widowiskach, ze strony najwstrętniejszéj pod względem moralnym, w końcu, dzięki rozmowom prowadzonym z młodym przyjacielem Stefanem, który w dłuższym pobycie miał sposobność poznać gruntowniéj życie olbrzymiego miasta, dał się mu widzieć korzystniéj, niż sobie przed podróżą wyobrażał. Ostrożnie wprawdzie bardzo, głównie przez usta Stefana, objaśnia on przyczyny zepsucia obyczajowego, a potępiając stan średni, podnosi zalety ludu, zwłaszcza robotników i warstw najwyższych. „Szlachta — powiada Stefan—przeszedłszy przez ognistą próbę rewolucyi, mając tradycye i poczucie godności, zwłaszcza wiejska szlachta, wiele szlacheckiego i szlachetnego zachowała. Średnie klasy, bez gruntownego oświecenia, bez wiary, bez uczuć wznioślejszych, może najwięcéj są zepsute, a dziś najczynniejsze. Ta targowica, którą widzicie, jest placem popisu i sprawą klasy średniéj. W niéj niéma co szukać myśli i czucia sięgającego po-za chleb powszedni... Natomiast, przy nieuctwie, przy częstém zwichnięciu pojęć u ludu, w robotnikach znajdziecie jakąś aspiracyę szlachetną, jakąś wiarę choćby w mrzonki, coś, co poza interesa materyalne sięga. Mnie się téż zdaje, że w takim ścisku milionowéj ludności ani się dziwić trzeba zepsuciu, chciwości, żądzy używania. Tu największa nędza ociera się o najzuchwalszy zbytek, który jéj rzuca w oczy pokusę. Cóż dziwnego, że człowiek, widzący tego, co wczora chodził odarty, a dziś jeździ wytwornym ekwipażem, — który wié, że wszystko dał pieniądz,

a pieniądz został nabyty zręcznością lub szalbierstwem—mrąc z głodu, powié sobie, iż cnotę często jest nosić za ciężko“...

Wyborny obrazek zbogaconego i pewnego siebie mieszczucha dał Kraszewski, przedstawiając bankiera Mirès’a, z którym się zetknął na statku wiozącym do Marsylii, a o którym następnie czytał w dziennikach paryskich doskonałą anegdotę.

W ciągu podróży swojéj Kraszewski szczupło się dzielił wrażeniami swemi z ogółem czytającym. Napisał wówczas cztery listy tylko do „Gazety Warszawskiéj“ z Wiednia, z Rzymu, z Neapolu i z Krakowa. Za powrotem zaczął porządkować ogromny stos notat, porobionych w drodze, i zabierał się do ich redakcyi, gdy wezwany został do nowéj pracy, która go miała jeszcze bardziéj wtajemniczyć w znaczenie dobrobytu materyalnego. Leopold Kronenberg, nabywszy „Gazetę Codzienną“, zaprosił Kraszewskiego na redaktora. Gazeta miała popierać rozwój przemysłu i handlu w kraju, który dopiéro pierwsze natenczas kroki w tym kierunku stawiać zaczął. Autor „Chorób wieku“ musiał usprawiedliwić swoje dawniejsze poglądy na sprawy przemysłowe, musiał je zharmonizować z tendencyami, ktorych miał być rzecznikiem. Jakoż nie trudno mu było uznać w bogactwie materyalném potężny środek mogący poprowadzić do osiągnięcia celów umysłowych, a w miarę dokładniejszego zastanawiania się nad tym przedmiotem, coraz silniéj zaczął akcentować konieczność zdobycia podstawy wszelkiego skutecznego działania w wyzyskaniu tych dóbr, jakie kraj przedstawia, za pomocą narzędzi, które cywilizacya wytworzyła i udoskonaliła.

Załatwiwszy się z najpilniejszemi sprawami redakcyjnemi, wziął się napowrót do swych notatek i przy końcu stycznia roku 1860 zaczął ogłaszać w „Gazecie Codziennéj“ swoje „Kartki z przejażdżki po Europie r. 1858“. Przerwał je wszakże niebawem, gdyż zamierzył uzupełnić je nowemi spostrzeżeniami, mając odbyć ponowną podróż. Wyjechał z Warszawy 1 września i bawił za granicą do 12 listopada. Pisywał wówczas listy do „Gazety“ przeważnie treści politycznéj, z Wrocławia, Berlina, Brukseli, Paryża, Marsylii, Tulonu, Cannes, Nizzy, Mentony, San Remo, Oneglii, Savony, Genuy, Turynu, Chambéry,—i znowu z Brukseli, Wrocławia (ogółem 66). Po powrocie zajęły go ponownie sprawy bieżące; a pod koniec października r. 1861 po raz trzeci udał się za granicę, przebywając tym razem przeważnie w Brukseli i Paryżu, z powrotem zatrzymując się dłużéj w Berlinie. I wówczas także nadsyłał do „Gazety“, już wówczas „Polskiéj“, listy polityczne w liczbie 60.

Dopiéro po ostatecznym wyjeździe za granicę i osiedleniu się w Dreźnie mógł Kraszewski dokonać częściowo téj pracy w ciągu r. 1865. Nadał jéj wówczas odmienny cokolwiek niż poprzednio tytuł, a mianowicie: „Kartki z podróży 1858—64“. Pierwszy tom ich, zawierający opis Krakowa, Wiednia, Tryestu, Wenecyi, Padwy, Medyolanu, Genuy, Pizy, Florencyi, Rzymu, wyszedł w pięknem ilustrowaném wydaniu, nakładem Gustawa Senewalda, z drukarni lipskiéj w r. 1866; drugi zaś nakładem i drukiem Józefa Ungra w r. 1874, a obejmował opis Neapolu, Francyi, Belgii i Niemiec.

W pierwszym tomie najwięcéj się przechowało śladów usposobienia i poglądów Kraszewskiego z chwili, kiedy podróż swą 1858 roku odbywał; w drugim starał się wprawdzie autor, jak sam powiada, zachować cechy pierwotne notatek, ale nie wszędzie mógł uniknąć wpływu późniejszych doświadczeń, zwłaszcza gdy przyszło mu przedstawiać ogromne zmiany, jakie zaszły we Francyi i w Niemczech od czasu, kiedy notaty swe kreślił. Umysł téż jego uległ niemałéj modyfikacyi; rozwaga i długoletni pobyt na obczyznie przyzwyczaiły go do wiélu rzeczy, które dawniéj fantazyę jego i uczucie raziły, nabył więcéj praktycznego zmysłu, zrezygnował z wielu upodobań, odrzucił wiele uprzedzeń. W Herkulanum patrząc zadumany i smutny na róże kwitnące i jaszczurki wygrzewające się na słońcu, zazdrościł różom, że kwitły, jaszczurkom, że nie znały historyi. Surowy realizm w malowaniu razi go jeszcze ciągle, ale już z zadumą przelatując myślą na inne pole, napomykał, że „może temu pojednaniu się z rzeczywistością winni są Niemcy całą dzisiejszą potęgę“. Pierwszy pies, zaprzężony do wózka na współkę z właścicielką, wydawał mu się dawniéj „czémś poczwarném“. Po latach rozwagi całkiem inne budził wrażenia. „Gdy się z tém oswoiły oczy i myśl — powiada — nie dziwi nas ani razi, że ten przyjaciel człowieka z nim razem na chleb pracować musi. Koń przecie nie próżnuje także, a pies roboczy utrzymywany jest troskliwie i gospodarz go nie nadużywa. Patrząc, jak idzie wprzężony w chomont razem ze starą kobietą lub młodym chłopakiem, już go nie żałujemy... Dla nawykłych widywać psy na kolanach, na kanapach lub polowaniach tylko, swobodne i niepodległe, pierwszy parobek tego rodzaju był wielkiém obwinieniem tych na wszystko spekulujących Niemców; — dziś to tylko wielka dla nas nauka... kraj-to zapowiada, w którym nikt nie próżnuje“...

Podróż i pobyt za granicą w związku z doświadczeniami życia przetworzyły tedy marzyciela na człowieka liczącego się z rzeczywistością, umiejącego wejść w usposobienia odmienne od tych, do których przywykł od dzieciństwa, zdolnego do rozpatrywania na chłodno wszystkich objawów cywilizacyi.

W „Kartkach z podróży“, które obecnie w jednym dużym tomią całkowicie wychodzą, najszczegółowiéj i najpiękniéj odtworzone se Włochy i to zarówno co do zabytków sztuki jak krajobrazów i obyczajów ludności. Pojawiła się ta praca już po zupełném ukończeniu znakomitéj „Podróży do Włoch“ Józefa Kremera i w skutek tego straciła nieco na swéj doniosłości. Kto bowiem zechce zasięgnąć informacyj o rozwoju artystycznym Włoch, prędzéj zajrzy do książki Kremera, jako specyalnie o tym przedmiocie traktującéj, aniżeli do „Kartek z podróży“. Nie należy jednak z tego powodu lekceważyć pracy Kraszewskiego; miał on zdanie własne o rzeczach sztuki i nieraz bardzo trafne, a w opisie swoim znacznie więcéj podobno uwzględnił utworów aniżeli Kremer, który lubił się długo rozpisywać o arcydziełach a zbywać krótko mniéj znakomite malowidła. Prócz tego strona krajobrazowa i obyczajowa „Kartek z podróży“, jako kreślona przez tak bystrego obserwatora, jakim był Kraszewski, zainteresować może każdego, kto się wielostronnie lubi informować.

W porównaniu z Włochami inne kraje bardzo szczupłe znalazły miejsce w przedstawieniu Kraszewskiego. Jak w powieściach, tak i w opisach podróży nużył się on pod koniec i załatwiał się z osobami i rzeczami sumarycznie. Saksonia a mianowicie Drezno, które tak długo mógł obserwować, zanim się do ich odmalowania ostatecznie zabrał, są téż stosunkowo najlepiéj obrobione; Berlin natomiast, do którego miał antypatyę, nie może zadowolnić najskromniejszych nawet wymagań.

Nawet pod względem stylu znać pewne zniechęcenie autora w ostatniéj części „Kartek“. Gdy w poprzednich można było spotkać prawdziwie piękne, z zamiłowaniem i rozkoszą nakreślone stronice, w téj znajdujemy prawie dziennikarski sposób traktowania rzeczy. Ponieważ jednak ta część mało bardzo zajmuje miejsca w całości dzieła, nie powinno to ujemnie wpływać na sąd o niém. „Kartki z podróży“ nie są zapewne utworem pierwszorzędnéj wartości, lecz zawierają w sobie skarbnicę spostrzeżeń znawcy i wiele rysów mistrzowskich.

Piotr Chmielowski.

KARTKI Z PODRÓŻY

1858—1864 R.

I.

Wyjazd.—Cel podróży.—Chełm. Lublin. Warszawa.—Pobyt.—Uczucia.—Maczki. Szczakowa. — Trzebinia. Rekolekcye. Ludzie i kraj. Okolica. — Tęczyn. Krzeszowice. Kopiec Kościuszki. Łobzów. Miasto.—Floryańska brama i ulica. Kasztelan Wężyk.—Prace jego.—Miasto w dzień Bielan. Panna Marya. Rynek. A. Grabowski i J. Łepkowski. — Panna Marya, zewnątrz i wewnątrz. Hejnały. Ś. Barbara. Obrazek. Ratusz. Sukiennice. Sala.—Domy stare. — Lud. Zamek. Katedra. — Pomniki. Kaplice. — Freski. Muczkowski. — Torwaldsena Chrystus i pomnik Padniewskiego. — Kaplica Zygmuntowska. — Pomniki, obrazy. Groby i śmierć. — Kościół akademicki. Pogrzeb. Zwyczaje. Grobowce. — Kolegium. Ś. Jan Kanty. Leopolita. — D. Majer. Grabowski. Prace Łepkowskiego. Flor. brama. Kościół XX Miechowitów. XX Dominikanów. XX Franciszkanów. — Wieczór u P... Archeologiczne prace. Ś. Idzi. Obrazy i stalla. Ś. Katarzyna. Kościół Bożego Ciała. Towarzystwo Naukowe. Wyjazd. Krajobraz.

Spędziwszy kilkadziesiąt lat życia na swojéj ziemi, myślą zaledwie wybiegając po za jéj granice, przyszło i mnie nareszcie, z wędrownemi ptakami, które co roku odlatują od nas w cieplejsze kraje,—pójść własnemi oglądać oczyma te cuda, których opowiadaniem karmiłem się od dzieciństwa. Wiodła nie tyle rzeczy i spraw ludzkich, wszędzie mniéj więcéj jednych, ciekawość, ile chęć sprawdzenia tego, co ludzie napisali o cudach obcych krajów. U nas szczególniéj nasłuchać się było można do przesytu uwielbień tego, co obce z pogardą dla tego, co swoje. Zarówno uniesienia jak krytykę pragnąłem z własnemi porównać wrażeniami, aby się nauczyć, o ile one się zgodzą z tém, co uświęcone i przyjęte, co się stało pewnikiem, o czém nie godzi się wątpić nikomu, co każdy opis podróży powtarza nie śmiejąc naruszyć, nie ważąc się już rozbierać.

Nie pochlebiałem sobie, bym lepiéj i jaśniej miał widzieć nad drugich, chciałem się tylko przekonać, czy tak widzieć będę jak oni. W notatkach tych pobieżnych, na kartkach ulotnych, kreślonych często pod gorącém jeszcze wrażeniem miejsc, o których mówią, nie trzeba szukać zajmujących przygód, oryginalnych pomysłów i opisów wyszukanych lub drobnostkowych, któremi się inne odznaczają

podróże; — proste to jest zdanie sprawy przed sobą i ludźmi z tego, co się widziało i zapamiętać pragnęło. Przydać się jednak na coś może, dlatego tylko, żem wcale popisywać się nie pragnąc, tworzyć nowości nie myśląc, szukał przedewszystkiém prawdy.

Przejażdżki z Żytomierza do Warszawy opisywać nie mam, zdaje się, potrzeby, kraj to nam wszystkim znany, nieraz już przez nas malowany, a powolna z konieczności po złych jego drogach podróż, dość monotonna, musiałaby chyba przywoływać wspomnienia przeszłości, aby jakieś obudzić zajęcie. Przez Zwiahel (dawniéj, dziś urzędownie Nowogród Wołyński), Dubno, Łuck, Włodzimierz, starych, niegdyś możnych grodów ruiny, wiodła droga do Królestwa, od którego granicy prawie poczyna się bity gościniec, mało dotąd ożywiony i dosyć pusty.

Chełm ze swym malowniczym kościołem na górze panującéj okolicy, z rozrzuconém u stóp jéj miasteczkiem lichém i prastarą wśród błot wieżycą jakiegoś zamczyska, o którém podania nawet milczą; potém Lublin z tylą wspomnieniami, Łokietkowskich jeszcze sięgającemi czasów, daléj maleńki Kurów i Garwolin, miasteczka od naszych już wielce charakterem odmienne, spotyka się w przejeździe przez ten kraj smętny, płaski i, po żyznych łanach Wołynia, nie zdający się bardzo urodzajnym.—Droga nareszcie pod Miłosną zbiega się z gościńcem idącym od Brześcia litewskiego i rozbite szosse, którém ciągną się nieustannie wozy kupieckie, fury drzewa i zboża, stada wołów i ekwipaże podróżnych — doprowadza do stolicy. — Zbliżając się do niéj, ruch się zwiększa, trakt ożywia i Warszawa zapowiada się, nim ją ujrzymy — tą atmosferą właściwą wielkim miastom, która poprzedza je wszystkie, prócz Rzymu.

Tą razą Warszawa była dla mnie popasem tylko i krótkim spoczynkiem, nie miałem czasu ani szukać zmian na jéj twarzy, jakim od chwili pożegnania uległa, ani badać ludzi, ani powitać znajomych od dzieciństwa kątów.

Kilka dni na przyborach do dłuższéj podróży spłynęło błyskawicą; wprost prawie z wieczora u Apolinarego K.... który mi żywo przypomniał spędzone z nim w Żytomierzu chwile w spokojnym naszym domku przy Berdyczowskiéj ulicy, siadłem do wagonu kolei, pędząc ku nieznanemu, przyznaję się — z biciem serca!

Nieznane! nowe! słowa wielkiego uroku dla każdego, choć z Emersonem przychodzi na myśl ta prawda, że wszędzie znajdujemy siebie i to, cośmy z rodzinnego kątka wywieźli.

Pierwszy raz w życiu wybierając się w dalsze kraje, bo dotąd przez czterdzieści kilka lat kręciłem się w szczupłém kółku domowém i nie przyszło mi na myśl nawet wyjrzéć po za nasz świat... wy-

znam; że nie bez jakiéjś trwogi i niepokoju ducha puszczałem się w drogę. Nie był to wcale strach o siebie lub śmieszna niebezpieczeństw, których już prawie nigdzie niéma, obawa, ale moralny postrach wrażeń, jakie na mnie miała podróż uczynić.— Stracić ostatki złudzeń, jasne obrazy, w których się już rzeczywistość wierzyć przywykło, nie jest li największą dla człowieka szkodą? Zyskana prawda nigdy ich nie opłaci. Tęsknota przytém nazwyczajonego nałogowo do swojego kątka człowieka, ściskała serce rozpieszczone. — Śmiesznem się to wyda tym, co przywykli każdego roku, bez pilnéj, nawet bez żadnéj potrzeby, dla rozrywki tylko wybiegać na próżniacze wędrówki po cudzoziemskich gospodach. Mnie, w chwili odjazdu zdało się, jakbym jakiś grzech cudzoziemstwa popełniał, opuszczając ziemię swoją. Podróż może zapewne nasycić ciekawość, rozerwać jednostajność życia, wiele nauczyć, często uzdrowić, gdy kto pracuje, ukształcić; ale życie nasze tak krótkie, obowiązki tak ogromne, godziny obliczone tak oszczędnie, że gdy z nich przyjdzie coś uronić, wyrwać się z koła zajęć codziennych i pracy, mimowolnie opanowują trwoga, niepokój, prawie zgryzota sumienia.

Gdy mi przyszło w dworcu kolei żelaznéj pożegnać dobrych przyjaciół i życzliwych ludzi, którzy tu jeszcze chcieli powtórzyć... szczęśliwéj, drogi! do widzenia!—serce tak się jakoś ścisnęło dziecinnie, że mi staremu wstyd było samego siebie...

A! są wiekuiste nałogi sercowe, z których nawet starość nie leczy! Uczułem się przybity, znużony, nim jeszcze rozpocząłem podróż, samą myślą téj podróży; a gdy para przeraźliwym świstem dała znak do odjazdu, wsunąłem się do wagonu z bólem w duszy.

Miałem więc naocznie ujrzéć, poznać to, co dotąd tylko ze sławy, z rozgłosu, z cudzych wrażeń i sądów, z daleka znałem.... zapóźno czy zawcześnie? potrzebnie czy darmo? z zyskiem moralnym czy stratą?

Dziś po kilku latach, przepisując moje notaty, jeszcze-bym na to odpowiedzieć nie umiał.

Pół drzemiąc, na pół dumając, w stanie błogim ni snu ni jawy, który często podróż czyni tak przyjemną, jak marzenia po opium; niekiedy otwierając oczy, to znów przymykając je, ażeby myśléć bez przeszkody, przebiegłem drogę do komory w Maczkach. Tu przesiadanie do nowych wagonów i potrzeba jakiegoś posiłku z konieczności, sny błogie przerwać musiały... Było to o dnia brzasku,

w chwili gdy człowiek najcięższym się czuje po bezsennéj nocy; potrzaba było w jakimś budynku w Maczkach przesiedzieć chwilę, która się długą i nudną wydała. Drugą podobną szkołę cierpliwości odbyliśmy w Szczakowéj, aż nareszcie ostatecznie przebywszy granicę i jéj formalności (bo człowiek jak towar ulega rozpoznaniu i pewnéj taryfie moralnéj)—pod opieką nowych władz ościennego państwa, znaleźliśmy się w Trzebini.

Stacya ta, w któréj podróżny skazany jest na pięciogodzinne rekolekcye dosyć niewygodne, mimo swego smutnego pozoru, już zajmuje fizyognomią jakąś odrębną, zwiastującą zbliżanie się ku Karpatom.—Ludność miejscowa, mowa, dom, w którym siedzieć byliśmy zmuszeni, Niemcy, którzy nas kawą częstowali, białe mundury, co się nam tu po raz pierwszy ukazały — wszystko dla nas zadomowionych było nowe. Żołnierz austryacki był nawet przedmiotem ciekawości.

Krajobraz dosyć szeroki w dali podnosił się już pagórkami lekkiemi... bliżéj las sosen i jodeł drzémiący w dolinie smętny i ciemny, coś już alpejskiego miał w sobie.

Piękny jasny poranek sprzyjał rozpatrywaniu szczegółowemu, na które aż nadto, niestety, było czasu... a że krzeseł w izbie podróżnéj nie mieliśmy wiele i parę ich zajmowali obrońcy austryackiej ojczyzny, trzeba się było zabawiać kołowaniem w pobliżu.

Nareszcie po szyderskiém przebieżeniu dwóch podobno pociągów, które nam przed nosem przeleciały naigrawając się z naszéj niedoli i króciuchno się tu tylko wstrzymawszy minęły nas świszcząc i szumiąc, zabrawszy z oczekujących, nieco żydów, szlachty i wojskowych, a wyrzuciwszy w zamian kilku pacyentów — przyszła kolej i na nas; zawołano, byśmy siadali... Niewierząc szczęściu naszemu, ruszyliśmy z Trzebini.

W mgnieniu oka przebywszy lasek, który nam zakrywał zachwycające okolice Krakowa, kraj, jakby rószczką czarodziejską dotknięty, zaczął się zmieniać w prześliczną szerokich rozmiarów panoramę. W dali ukazały się mgliste gór zarysy, dokoła wioseczki po dolinach, budowle porządne i pola uprawne starannie, pałacyki rozsiane po wzgórzach, szare skał złomy sterczące gdzie niegdzie u boków wyniosłości, gaje rozzielenione majowemi liśćmi... rzekłbym coś przypominającego Wołyń, ale na większy rozmiar i bez wody i stawów, więc coś smutniejszego i poważniejszego.

Lecieliśmy mijając i zgadując miejsc nazwiska... z opisów ich i rysunków.

Ciemno zarysował się na tle nieba, z lasem obrosłą górą swą Tęczyn, potém jasno na zieloności Zabierzowska skała, daléj Krzeszowice; chwila jeszcze, a oto już we mgle, w oddali, stara, święta stolica.

Oko, co jéj nieoglądało nigdy, co jéj nieznało na jawie, zgaduje w niéj jakby cudem każdy szczyt, co się ukaże, profil każdéj budowy, każdego wzgórka, każdy przedmiot nowy, mglisto jak sen, jak wspomnienie zjawiający się w głębi obrazu.

Na prawo, to naprzód kopiec Kościuszki, co z wysoka grodu strzeże, dzisiaj fort tegoż nazwiska murem opasany dokoła; w dole, to Łobzów w zielonym drzew koszu, dziś jakaś szkoła wojskowa; tam daléj, daléj, otozamek na Wawelu, dziś austryackie koszary i twierdza, a ten szczyt wieżycy, strzelający w niebo, to Maryacka wieża, modląca się od kilku set lat za miasto, które ją wzniosło.

Nie postrzegliśmy, a pociąg stanął już; ledwieśmy wysiedli, nie potrzeba było przewodników i pytań; duch jakiś nas prowadził, zdało się nam, żeśmy tu już niegdyś bywali, wszystko witaliśmy jak znajome. Oto Floryańska brama, cudem zachowana i odnowiona prześlicznie, obrazek jakich u nas mało, ze swemi basztami średniowiecznemi, choć ją do muzeum schować. Na pasie tych murów, które niegdyś obramowywały Kraków, była to klamra kosztowna; dziś stoi osamotniona, rycerski pas się popękał. Od niéj ciągnie się stara ulica Floryańska, po obu swych końcach cudnie zamknięta, z jednéj ową bramą sklepioną, nastrzępioną wieżyczkami, z drugiéj ścianą ciemną i wysoką Maryacką dzwonnicą.

Pierwsze usta, co mnie tu przyjaźnie, już dziś znużonego i wyżytego powitały człowieka, były, dziwném losu zrządzeniem, też same, które u kolebki, czterdzieści kilka lat temu, przemówiły już raz do mnie.

Nie potrzebowałem prawie po siwych włosach zgadywać życzliwéj dłoni, tak skwapliwie i serdecznie wyciągnionéj ku mnie. Ale tak stare znajomości, po upływie lat tylu, nowemi się stają; i dla mnie kasztelan Wężyk, znakomity pisarz i poeta, dziś prezes czynny Towarzystwa Naukowego Krakowskiego—człowiek, co w wieku podeszłym znalazł w sobie siłę kierowania instytucyą młodą i życia pełną—no-

wém był całkiem zjawiskiem; mimo wspomnień z Podlasia i Białéj, zawsze mi jeszcze drogich i pamięci przytomnych.

Dziś, gdy to na nowo piszę, kasztelan Wężyk nie żyje już, ale rzadko żywot człowieka był pełniejszy, czynniejszy nad jego życie. Nawet od zimnego pokolenia naszego, które się uśmiecha z niedawnéj przeszłości, należy cześć i poszanowanie jego pamięci. Mało kto tak młodym umiał się przechować do późnego wieku, z taką rzeźwością w piersi, z taką żywością umysłu; świadkiem ostatnie prace jego pełne energii, łamanie się z przeszkodami, wiara, z jaką począł wznosić domostwo dla Towarzystwa z grosza, który po jednym zbierać było potrzeba, lub własnym zastępować.

Nie zraziła go nawet często spotykana niewdzięczność, owszem pobudzała do nieznużonego wytrwania.

Dziś gmach ten, już wzniesiony. świadczy, że ufność i wytrwanie kamienie poruszyć mogą; starzec dał przykład, co wiara i energia charakteru dokonać potrafią; ale mu wreszcie spocząć czas było.— Wężyk zmarł nie zmarnowawszy chwili jednéj w długiém i nadzwyczaj czynném życiu; świadczą o tém jego obywatelskie i pisarskie zasługi, a im mniéj pod ostatek oddawano mu sprawiedliwości, tém przyszłość dlań będzie troskliwszą. — Spodziewamy się, że rodzina wyda pełny zbiór prac jego, nie wyjmując zeń pamiętników, które szacowny materyał do obrazu epoki stanowić będą.

Trafiliśmy na dzień Bielan, ale zapóźno było, ażeby iść z innemi na tę pielgrzymkę. Co żyło, korzystając z pięknego dnia wiosny, wyniosło się za miasto, po domach zostały tylko niedobitki, trochę wojska, trochę niedołęgów, dużo żydów i Niemców; miasto więc z razu przedstawiło się dziwnie pusto i bez właściwego swego charakteru. Spocząwszy nieco, a nie mogąc dłużéj wytrzymać zamknięty między cztérma ścianami, puściłem się jeszcze na wędrówkę ku Pannie Maryi i powitałem ten pomnik sztuki naszéj budowniczéj z zachwytem, który się nawet w obojętnym na widok jego obudzić musi. Ile powagi i wdzięku razem jest w tych ciemnych murach i ukoronowanéj wieżycy! ile co krok pamiątek zewnątrz i wewnątrz kościoła, ile niespodziewanych widoków z różnych stron przedstawia P. Marya i rynek krakowski, śród którego ona króluje!

Wspomnienia historyczne Krakowa stokroć lepiéj są oddawna opisane i zbadane, niżby tu przez nas być mogły w pobieżnym na nie rzucie oka; my też spowiadamy się tylko z wrażenia, jakiegośmy do-

znali wobec tych majestatycznych murów, z których każda cegła zdaje się zaklętém jakiémś słowem przemawiać.

Pierwszym, co począł z miłością wielką opisywać Kraków był stary Ambroży Grabowski, sam już dziś należący do drogich zabytków przeszłości; ostatnim, co go z nauką i ukochaniem zbadał, jest Józef Łepkowski—do tych dwóch odsyłamy czytelnika, choć pewni jesteśmy, że mu już nie są obcy. Tu tylko słów parę.

P. Marya, jak sam Kraków, nie razem zbudowana, choć dziś powleczona wiekową barwą, zlała się w piękną tę całość, od któréj nieprzyjemnie, dyzharmonijnie, tylko uczepiony u głównego wnijścia ganek, odbija.—Poczęta w XIII wieku, w następnym po Odrowążu, kończona przez Wierzynka, dopełniona przez Bonera, jest jednym z najwspanialszych dzieł naszéj architektury gotyckiéj. Szczególniéj zdobi ją wysoka wieża zwana Maryacką, zakończona drobnemi wieżyczkami, panująca nad kościołem, nad rynkiem, zastanawiająca pięknemi kształty swojemi. Druga odpowiednia jéj wieża, jak to się często trafia w gotyckich gmachach, jakby umyślnie, wzrostem nie dorosła głównéj, ale nie razi wcale niedokończeniem.

Kościół P. Maryi zewnątrz, to już cudny pomnik budownictwa—szczęściem zachowany wybornie i mało co późniejszemi dodatkami zmieniony; ale wewnątrz nie znam, i zdaje mi się, niéma u nas gmachu, któryby tak wielkie i głębokie sprawiał wrażenie. Jako obraz, ta nawa ciemna z ołtarzem Stwosza w głębi, z wyniosłemi słupy i łukami swemi, szara, tajemnicza, wśród któréj cieniów połyska gdzieniegdzie złocistą pręgą zakradający się światła promień; okryta rzeźbami, grobowcami, stallami, ołtarzami, pomnikami, nieskończonéj rozmaitosci — uderza, chciałem powiedziéć kompozycyą... ale tu artystą-twórcą była pobożność i wieki, co się składały powoli na to wnętrze, dziś zdające się jakby obraz mistrza jednym stworzone oddechem. Czujesz się do głębi wzruszony widokiem tego, jak go Łepkowski nazywa, wymodlonego kościoła, który od założenia swojego do dziś dnia był nieustannym przybytkiem chwały bożéj, w którém od kilku set lat nieprzerwanie goreją światła, wzdychają piersi, ulatują kadzidła i modlitwy, drżą serca przejęte, a słonko nasze codziennie pozłaca schylone kornie głowy przechodzących coraz nowych pokoleń. Na każdym tu stopniu marmurowym, wyżłobionym kolanami pobożnych, znać ślady pradziadów; przy każdym obrazie są wota przedkilkusetletnie, wszędzie modlitwa skrystalizowała się, uwidomiła.

Z tèj wieżycy wspaniałéj, dziś jeszcze, jak niegdyś, gra o świcie budząc miasto hejnałem pobożnym muzyka, do pracy i cierpienia— modlitwą.

Wieczorem ostatni usypia kościół Maryacki; a po księżycu jeszcze u ołtarzyka Matki Boskiéj, przyczepionego do krużganków od strony Floryańskiéj, modli się śpiewając pobożny ludek krakowski, klęcząc na twardych kamieniach.

Obchodząc do koła P. Maryę i przypatrując się wmurowanym w nią rzeźbom, pomnikom i napisom, zewnętrznéj szacie, na którèj uszycie składały się wieki i ręce różne, zaszedłem po za drugą stronę kościoła i stanąłem zachwycony.

Stoi tuż zaraz o kilka kroków ledwie, nie wielki kościołek świętéj Barbary, o którym mówi podanie, że go wystawili na cześć bożą mularze pracujący około P. Maryi, w chwilach wytchnienia i spoczynku. Była to ich ofiara... Gdyby nawet historya miała się przeciwić tradycyi, wolałbym odrzucić historyczne świadectwo, byle zachować to piękne podanie, które zresztą obyczaj religijny tamtych wieków potwierdza.

Kościołek ten i kątek, w którym stoi, tak są malownicze, że nie mogę pojąć, jak dotąd do obrazu nie dostarczyły wątku. Szczególniéj nietknięty, z pierwotnéj budowy rzeźbiony krużganek, który do czasów Stwosza i jego szkoły śmiało odnieść można, grobowce powmurowywane w ściany, dachy, daszki, szkarpy, pouczepiane ozdoby i przybudówki późniejsze, mnóstwo szczegółów architektonicznych, czynią z tego kościołka, widzianego od wnijścia do zakrystyi P. Maryi, całość dziwnie fantazyjną i malowniczą, tak bogatą i rozmaitą, tak ślicznym będącą tematem dla artysty, iż odżałować niepodobna, że nikt dotąd nie wziął jéj za motyw do charakterystycznego widoku. Część tylna kościoła P. Maryi dałaby się ująć w jedne ramy i mogłaby stanowić pierwszy plan obrazu, który ze swemi liniami pełnemi rozmaitości, oświecony szczęśliwie, nie ustąpiłby najpiękniejszym rysunkom Stroobanta. Długo nie mogąc nasycić się cudnym tym zakątkiem, przypominającym czasy Stwoszów, powracałem ku niemu kilkakrotnie i nie rozstałem się aż o mroku, gdy gęste cienie pokryły to urocze dla mnie zjawisko.

Wychodząc z przed kościołka Ś. Barbary zastałem jeszcze w ulicy od strony Floryańskiéj przed ołtarzykiem Bogarodzicy, przystrojonym w robione kwiaty i pozapalane lampy, majowe nabożeństwo

wieczorne—kupkę ludzi klęczących pobożnie, których głosy rozlegały się same w cichym opustoszałym rynku krakowskim,—stałem tu długo, duchem łącząc się z niemi.

W rynku, oprócz P. Maryi, jest co podziwiać na każdym kroku; stoi tu jeszcze wysoka wieżyca starego ratusza zburzonego świętokradzko w r. 1820 — jak pomnik na mogile, wspaniała i wyniosła. Zachowane na niéj gotyckie ozdoby świadczą o wieku, z którego pochodzi, każą żałować gmachu, który ona dopełniała. Tuż przy niéj ciągną się, ze wszech stron malownicze niezmiernie, stare Sukiennice, dziś prawie ruina, ze swemi zębatemi szczyty, na których rzeźbione głowy zdają się stać jak strażnicy opustoszonego gmachu. Dzisiejsza ruina nie zatarła śladów dawnéj świetności téj budowy, przy któréj ogniskowało się życie miasta. I tu malarz ma gotowy obraz nie jeden, ma studya prześliczne, a mury odarte, ubarwione, ozłocone starością, skądkolwiek na nie spojrzysz, proszą się na papier i płótno... Prawda, że téż nie jeden artysta próbował już tego widoku wrażenie odtworzyć i nie jednemu szczęśliwie się to udało.

Środkiem gmachu Sukiennic, wzdłuż niego, ciągnie się owa ogromna sala, w któréj miasto nieraz przyjmowało królów, wodzów i wojska rzeczypospolitéj. W niéj jeszcze widać wyblakłe ślady malowań porobionych na przyjęcie Stanisława Augusta, a od sklepień wiszą drewniane kotwice, które służyły za balowe świeczniki w czasie uroczystego przyjęcia wojsk polskich. Przez ten długi plac sklepiony półciemny, ostawiony dziś lichemi sklepikami i szynczkami, przechodzi codziennie mnóstwo ludu, siedzą przekupki przy kramikach, mieszczą się jakieś składy — nikt nie myśli o strzeżeniu pamiątki... Lud jednak poczciwy i poszanować ją umiejący nie tknął jeszcze ani jednéj z tych gęsto wiszących kotwic, które pyłem okryte trzymają się sklepień poczerniałych. Ciemno tu dziś, wilgotno i smętnie...

Do koła rynku i starych Sukiennic Kazimierzowskich pełno kamienic, na których jeszcze, jak na Starém Mieście w Warszawie, utrzymały się dawne godła, znaki przypominające średniowieczną fizyognomią domów, herby, rzeźbione zwierzęta, szczyty zębate i kowane misternie z żelaza wrota. Gdzieniegdzie nad bramą, przy któréj sterczy jeszcze kamień podziurawiony do gaszenia pochodni, szarzeje herb szlachecki, insygnia biskupie, lub kanonicze, albo we wgłębieniu gotycka N. Pana z ukoronowaném dziecięciem błogosławi domostwu. W kamienicy, zwanéj Krzyżtopory, zajętéj przez redakcyę, drukarnię i litografię „Czasu“, wszedłszy przypadkiem w dol-

ne krużganki, pożałowałem znowu, że nie byłem Marcinem Zaleskim. Co za śliczny obrazek wnętrza? Ale czyż on tu jeden?—wybrać tylko trudno co piękniejsze.

Lud: mieszczanie i wieśniacy z okolic, wielce różni od tych, których spotykamy gdzieindziéj. Ruchy ich, mowa, obejście się grzeczne, ale z przyzwoitą człowiekowi godnością; strój malowniczy, mowa wdzięczna i jak krakowiak śpiewna w ich ustach.

W następny poniedziałek, z szacownych archeologów naszych Nestorem, pierwszym, co tu zbierać począł starożytne pamiątki i na pomniki zwracać uwagę, budząc ku nim cześć i zamiłowanie — (odgadliście, że mówię o Ambrożym Grabowskim) poszliśmy oglądać niektóre kościoły i ważniejsze grodu zabytki.

Staruszek chodził tak żwawo, wyglądał tak zdrowo, jakby od wszystkiéj wyblakłéj młodzieży siły poodbierał. Lepszego i serdeczniejszego przewodnika trudno było znaleść.

Nie mogłem nawet myśleć o całkowitém poznaniu Krakowa, zbyt mało mając czasu potemu; śpieszyłem się więc, wiele chcąc widzieć w dosyć stosunkowo krótkim przeciągu czasu swobodnym, bo minąć starą stolicę nie widząc w niéj nic, nie miałem znowu siły.

Zaszedłszy jeszcze raz do P. Maryi po drodze, skierowaliśmy się stąd wprost na Zamek. Zamczysko królewskie dziś poprzerabiane, odświeżone, zepsute do niepoznania; odarto z niego majestat cały; opasują go mury twierdzy.—Gmachy Wawelu, z odwiecznych, stały się jakby nową budową; tylko około Kurzéj Stopy resztka ozdób gotyckich nietknięta i forma ogólna téj pięknéj części Zamku cudem jakimś ocalała.

Dziedzińce wszystkie, jako w dzień świąteczny, pełne były wojsk, które się wesoło zabawiały i szumiały w podwórzach, gdzie oko próżno szukało dawnych wspaniałości śladów, natrafiając tylko na smutnie, zimno-białe, odtynkowane na nowo ściany, nad które weselszą jest nawet mchem i bluszczami pokryta ruina.

I rzadko tylko, tu i owdzie, ukazywały się dziwném jakiémś szczęściem ocalałe stare rzeźb ostatki—daty wieków ubiegłych, za twarde, by je młot odnowicieli zniszczył. Widok, od platformy, wchodząc do katedralnego kościoła, na okolicę, prześliczny. Mglisty poranek poprzerzynany promieniami przedzierającego się przez opa-

ry słońca, nieskończonego dodawał mu uroku, barwy wiosenne niezrównanéj świeżości go stroiły.

Katedra jest wielką i wspaniałą świątynią; znać i na niéj, ile wieków przeżyła: każdy z nich dołożył cegłę, wyrzeźbił kamień nacechowany właściwym sobie smakiem, i od wypalonego z gliny skromnego sarkofagu wielkiego duchem Łokietka, przy którym Starowolski dał pamiętną naukę Karolowi Gustawowi, aż do wspaniałych monumentów Jagiellońskiéj kaplicy, aż do dziwacznego, ale charakterystycznego pomnika Sołtykowego, do bronzów i marmurów kaplicy Potockich—wszystko tu mówi o dziejach naszych.

W pośrodku kościoła wznosi się wspaniale ozdobny sarkofag i ołtarz Ś. Stanisława; dokoła idą opasujące go ołtarze i kaplice w różnych poprzystawiane czasach; wszędzie groby, płyty i monumenta niezliczone. Zaraz u głównego wnijścia na prawo, stoi dwóch Kmitów na straży; jeden z bronzu ulany przepyszny grobowiec, wyborne dzieło sztuki, drugi obok wykuty z marmuru — oba uderzają wyrazem surowéj męskiéj powagi. Bronzowy pomnik wszakże niemal większe czyni wrażenie.

Z dziejów ich i posągów widzisz od razu, że w tych piersiach wiele potężnego ducha mieszkało.

Za niemi zaraz otwiera się kaplica z monumentami ręki Stwosza, znanemi dobrze z mnogich rysunków dawnych i nowych, z odlewów i powtórzeń mniéj więcéj wiernych. Nigdzie jednak lepiéj i dokładniéj nie przedstawiono tych zabytków szacownych, jak we „Wzorach sztuki średniowiecznéj“ A. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego. Rastawiecki oprócz tego przyczynił się do wyjaśnienia tajemniczéj i dramatycznéj przygody W. Stwosza w Norymberdze.

Sklepienie kaplicy, w któréj stoją pomniki (zwanéj Jagiellońską) okrywa malowanie w smaku bizantyjskim—na tle lazurowém ze złoceniami, pochodzące z końca XV wieku; pamiątka szacowna i prawie jedyna u nas, którąby starannie zachować należało, dopóki nie poopada, bo już jest dziś znacznie nadwerężoną. Smak tych fresków grecki, jak nazywa Bielski; napisy na nich słowiańskie, domyślać się dozwalają, że mogła być kaplicą urządzoną dla królowéj Heleny, chociaż miejscowe podania przypisuje ją Kaźmierzowi Jagiellończykowi i Elżbiecie.

Kaplica ta, już po mojéj bytności w Krakowie, upamiętnioną została smutnym wypadkiem: śmiercią zacnego, uczonego Muczkowskiego. Tu on pracując nad odczytywaniem napisów na sklepieniach, schwycony nagłym choroby napadem, skończył życie u starych

Stwosza pomników. Zaprawdę piękuaż to śmierć, jak żołnierza na placu boju, u pracy, a jeszcze w takiém miejscu! w Jagielleońskiéj kaplicy na Wawelu... Jest czego pozazdrościć — Muczkowski całém życiem wytrwałego trudu zasłużył na nią.

Obok staréj kaplicy, jakby dla kontrastu, znajduje się zaraz przepyszna od marmurów i bronzu, świeżo wzniesiona kaplica Potockich, w któréj piękny Chrystus (nieco za nizko może umieszczony) wyciąga ku ludziom dłonie, zdając się wzywać ich ku sobie.—Posąg ten Thorwaldsen'a, stanowi może najcelniejszą téj kaplicy ozdobę. Tu wszystko jednolite, wspaniałe, świeże, ale nawet przy tym przepychu, naprzeciw tego Chrystusa, stary pomnik Padniewskiego wykonany w smaku Odrodzenia, zwraca oczy swą powagą i gasi świetną, bronzową i marmurową, a małego ducha, sztukę dzisiejszą. — Figura biskupa, leżąca na pomniku, jest jedną z najlepszych rzeźb téj epoki w katedrze... monument cały pełen spokojnéj harmonii.

Niepodobna przedsiębrać nawet pobieżnego opisu katedry, tylekroć już szczegółowo studyowanéj i opisywanéj, ani wyliczyć mnóstwa grobowych monumentów, których te, rzędem stojące, kaplice są pełne. Kaplica Zygmuntowska sama już zasługiwała by na rozdział osobny: to arcydzieło sztuki Odrodzenia wyprzedziło inne pomniki tego rodzaju na północy. Niesmaczne monumenta, pomniki późniejsze Korybuta i Sobieskiego, szczęściem kryją się za wielkim ołtarzem. Z lewéj strony stoi przyparty do muru wewnętrznego skromny grobowiec Łokietka, którego kości jeszcze pod nim spoczywają, bronzowe berło w spopielałéj dzierżąc dłoni. Niéma na nim żadnego napisu, żadnego godła dozwalającego upewnić się, że monument ten pokrywa istotnie drobne ciało króla wielkiéj duszy; ale stałe podanie wiekowe wątpić o tém nie pozwala. Prześliczne są te średniowieczne tumby z wielkiemi leżącemi na nich postaciami: rycerzy, królów, wojowników, senatorów... Poszanowanie cię ogarnia, gdy się zbliżysz do tych skamieniałych olbrzymów długim snem ujętych; zdaje ci się, że powstaną, przetrą oczy i spytają cię, czemu wnuki tak mało są do pradziadów podobne...

Z obrazów (pilniéj się im przypatrywać nie było czasu) jeden Ś. Wacław Konicza zdał mi się istotnie pięknym; z rzeźb, nie mówiąc o lepiéj znanych, N. Panna u pomnika Lipskich, nieszczęściem uszkodzona. Ale możnaż po lekkiém, pośpieszném obejrzeniu powierzchowném, z nagromadzonych tu skarbów zdać sprawę?

Wrażenie, jakie czyni katedra, wielkie jest i przejmujące, inne wszakże jak u P. Maryi w rynku; tam życie stare jeszcze trwa i przedłuża się, tu wionie coś grobowego.

Ś. Stanisław króluje w pośrodku tym wszystkim zwłokom.

Obok tumb królewskich, masz tu hetmanów z buławami w dłoni,

rycerzy z mieczami u boku, senatorów na szablach opartych, biskupów w pontyfikalnych strojach, wszystkich, co za żywota z królami pospołu stali u steru rzeczypospolitéj: dwór, urzędników, wojsko, kapłanów... wszystkich *prócz ludu*... Z różnych epok i lat pomniki, każdą chwilę dziejową okazują w jéj charakterze właściwym: od Łokietka do posągu Włodzimierza Potockiego, wykradzionego jakby z greckiego panteonu — co za ogromna przestrzeń wyobrażeń, smaków, idei...

Z wierzchu świątyni, jak w średzinie jéj, szukać nie należy téj harmonijnéj jednolitości, jaką inne przedstawiają kościoły niby z jednéj sztuki odlane—tu-by ona być musiała anachronizmem. Budowa widocznie rosła, rozszerzała się, olbrzymiała powolnie; niewiadomo, kto ją począł i nikt nie wie, czyja dłoń ją dokończy... i jaka obali! Stoi na kościach męczenników, które są jéj podwaliną; na nich wzniosły się powoli mury, kleiły i rozszerzały grobami, tryumfy, pamiątkami klęsk i zwycięstw. W napisach sarkofagów mieszczą się całe dzieje lat kilkuset: Piasty, Jagiellony, Wazowie, na końcu Litwin Kościuszko...

Rozlega się kościół dźwiękami, a zdaje ci się, że cicho... tak wśród tych grobów głos wszelki tonie i milknie, tak pieśń wszelka o wielką rozbija się ciszę mogilną...

Do podziemiów zajrzeliśmy tylko... trumny jedne na drugich, a w nich zwłoki zczerniałe: ciemno im i nie po królewsku w tych czarnych lochach. W jednéj krypcie, najstarszéj może budową, najmłodszéj trumnami, trochę widniéj i czyściéj... Prawdziwie grobowa kaplica, ale w niéj ostatnie pamiątki: Sobieski, Poniatowski...

Przebiegłszy świątynię, którą raz jeszcze za powrotem pilniéj obiecywałem sobie obejrzéć, wyszliśmy nazad przez zamek, dziedzińcami jeszcze pełnemi ciżby gwarnéj, ku kościołowi XX. Bernardynów, który stoi w dole pod zamkiem. — Chciałem szczególniéj widzieć malowania X. Lexyckiego, bernardyna-artysty, o których słyszałem wiele.

Nie znam obrazów jego znajdujących się w Kalwaryi, ale (prawdą a Bogiem) tutejsze wcale uczynionéj mu sławie nie odpowiadają. *Wieczerza Pańska* w chórze za wielkim ołtarzem, jest kopią z kompozycyi Rubensa; dwa boczne wielkie płótna, odnawiane, nie czynią wrażenia; orginalności w nich i twórczości nie ma wcale, uczucia także brak.

Natomiast przeszedł wszelkie oczekiwanie moje obraz, o którym również zasłyszałem był, umieszczony na lewo u wnijścia, wystawujący *Taniec Śmierci*, pełen fantazyi i (wyjąwszy niektóre części) malowany ręką wprawną, wcale dobrze i umiejętnie. Nie przypominam sobie dokładnie bazylejskiéj *Danse Macabre* i Holbejnowskiego

Todtentanz tylekroć powtarzanego i przerabianego, nie mogę więc zaręczyć, czy to nie jest naśladowanie, *plagiat mutatis mutandis*, ale ubiory ofiar śmierci są polskie, ruch i rysunek postaci szczęśliwy. Wydać-by warto ten pomnik, ciekawy nawet pod względem sztuki. P. A. Przeździecki ma staranną jego kopię.

Od Bernardynów, obejrzawszy zamek zewnątrz i Smoczą jamę, w któréj dziś spokojnie funkcyonuje studnia forteczna, a atmosfera tylko otaczająca ją w pewien sposób smocze czasy (gdy smok padł ofiarą trucizny) przypomina — udaliśmy się przez otaczające Kraków plantacye, zaludnione spokojnie przechadzającemi się mieszkańcami, do kościoła akademickiego, dla zwiedzenia grobu Ś. Jana Kantego.

Zastaliśmy tu pogrzeb i trumienkę, wedle obyczaju z przewieszonemi przez nią szkaplerzami, świadczącemi, że zmarły do bractwa należał. Zwyczaju tego, jak wielu innych, które się zachowały w Krakowie, gdzieindziéj już oddawna śladów nie spotykamy. Pełno tu tych tradycyjnych drogich zabytków w prastarych bractwach pobożnych i cechach rzemieślniczych, dochowanych z poszanowaniem, razem ze skrzyniami kutemi, zawierającemi przywileje, przy których otwarciu padają wszyscy na kolana, śpiewając pobożnie litanię do N. Panny.

Na pochodach uroczystych, bractwa jeszcze się ukazują w swych dawnych kapach i kapturach, a cechy niosą pamiątki drogie dobyte ze skarbców: rzeźnicy — miecze, przez króla Jana Kazimierza, za obronę Krakowa od Szwedów, nadane; rybacy—drogą szatę z czasów królowéj Jadwigi i t. p.

Piękne jest w tém poczciwém zacném mieszczaństwie krakowskiém religijne poszanowanie przeszłości, zamiłowanie jéj nie ostygłe, cześć pamiątek, które do staréj budzą cnoty.

W kościele akademickim ozdobnym, ale nowym, są pomniki profesorów i rektorów, a między niemi świeży, przez matkę położony, pod skrzydłem *almae matris*, skromny kamień z medalionem Juliusza Słowackiego. Tu także spoczywają kości pracowitego Jacka Przybylskiego; tu znajduje się ciekawy, wystawiony z rysunku Stachowicza, który sam wyuczył się malarstwa, przez Arkusińskiego, nigdy z kruszczu lać nie umiejącego, nie gorszy od wielu innych, daleko umiejętniéj robionych, pomnik Kopernika.

Pragnął go postawić X. Sierakowski, jako uczniowi Akademii, co matkę swą wsławił, i o siłach własnych dopiął, czego żądał, bo zapisał imię Kopernika w świątyni Akademii, któréj był dzieckiem i chlubą, ped monumentem wyrosłym z niczego.

Z kościoła przeszliśmy do kolegium, które się odnawiało wedle pomysłu i pod przewodnictwém znakomitego budowniczego Kre-

mera. Oddać należy sprawiedliwość uczonemu restauratorowi, że to dzieło obmyślał *com amore*, z poszanowaniem i głęboką znajomością sztuki.

U wnijścia w lewo jest zaraz izdebka, w której mieszkał i umarł Ś. Jan Kanty, dziś uświęcona jego posągiem i modlitwami pobożnych. W celi téj, niesie podanie, po śmierci błogosławionego Kantego, nie śmiano już postawić nikogo z nauczycieli kolegium, nikt tego zaszczytu godnym się nie czuł, nie miano zaś prawa obrócić na kaplicę mieszkania, dopóki-by nasz Kanty przez Stolicę Apostolską nie był uznany świętym. Akademicy więc postanowili oddać ją na mieszkanie ubogiemu, którego codzień uroczyście do wspólnego stołu wzywano, a za wnijściem jego jeden ze współbiesiadników się odzywał.

— *Pauper venit, Deus venit!* — (Ubogi przychodzi, Bóg idzie).

Trwało to, jak powiadają, aż do kanonizacyi i naówczas dopiéro celę tę przybrano jak dziś jest na pamiątkę, tak jak w Wiedniu *cubiculum* Ś. Stanisława Kostki, a w Rzymie celę, w której umarł.

W podwórcu, który już w znacznéj części jest odnowiony, według podania, miał umrzéć Leopolita. Był on, jak wiadomo lub raczéj jak wielu niewiadomo, tłomaczem biblii i akademii rektorem. — Gdy poczuł zbliżającą się śmierć i chwilę uroczystą zgonu, kazał się wynieść w to podwórze i odezwał do zgromadzonych wkoło:

— Uczyłem was wiary tłómacząc wam słowo boże, uczyłem świeckiéj mądrości przewodnicząc akademii, dziś najtrudniejszéj chcę was nauczyć rzeczy — umierać!

Takich to poetycznych podań pełen jest ów stary Kraków.

Odwiedzinami u dostojnego rektora uniwersytetu doktora Majera, znakomitego fizyologa naszego, hołdem złożonym charakterowi i zasłudze powszechnie szanowanego męża, skończyłem pierwszą dnia tego wycieczkę. — Później udaliśmy się z Ambrożym Grabowskim do jego domu na Piasku.

Imię Ambrożego Grabowskiego dobrze jest, sądzę, czytelnikom moim znane. Dawno już bardzo temu począł swój zawód pobożnego zbieracza rzeczy starych, kronikarza Krakowa i stróża narodowych pamiątek. Wiele wydał w tych przedmiotach, ale więcéj jeszcze notat spoczywa w ogromnych księgach oryginalnych pomysłem, nie jednę zapomnianą ciekowość zawierających. Są to folianty sztychów, rysunków, ogłoszeń, kartek, afiszów, notat z ksiąg i podań — *silva rerum* olbrzymia, codzień się pomnażająca, w którą niezmordowany staruszek wpisuje po słówku jeszcze codzień co nowego. Mieszkanko archeologa jest to maluczkie muzeum, znaj-

dziesz w niém i rzeźby, i stroje, i malowania, i sprzęty i co tylko długie, pracowite życie nagromadzić dozwoliło.

Przeglądając te ciekawe księgi, spędziłem tu więcéi czasu niż mogłem im poświęcić, a trzeba było, po mozolnéj rannéj wędrówce, dać uprzejmemu przewodnikowi odpocząć.

Na jego miejsce, dawno mi znany z prac swych około archeologii naszéj, ale tu dopiéro bliżéj i lepiéj przezemnie oceniony z gorącéj swéj miłości dla starego grodu, przybył z gościnnie wyciągniętą dłonią P. J. Łepkowski. Jest to, można rzec, żywe dopełnienie pana Ambrożego, co tamten gromadził, ten tłomaczy, ożywia, porównywa, wyjaśnia, starając się, dotąd odrębną archeologią naszę, połączyć z europejską. Poczynił on nad nią znakomite studya w podróży swéj po Galicyi, późniéj jeździł za granicę poznać pomniki sztuki średniowiecznéj, dziś jest w stanie dać dzieło, jakiego dawno pożądamy, o starożytnościach krajowych.

Oczekiwany jego przewodnik po Krakowie z wielą rysunkami będzie istotnie znakomitą pracą, na dzisiejszém stanowisku nauki opartą. Nie tylko zna swój przedmiot Łepkowski naukowo i przygotowany jest do przedstawienia go w sposób żywy i zajmujący, ale ma w duszy talent od Boga dany, nie nabywający się, wskrzeszania tego, co dotknie, odbudowywania z popiołów.

Trzeba go słyszéć, gdy o swym Krakowie i o Rusi galicyjskiéj rozprawia, jak opisuje, jak słowem jedném całe wywołuje obrazy, jak się rozognia i upoetyzowuje wszystko, aby poznać człowieka. Jemu winniśmy, że to, czegobyśmy nigdy w Krakowie nie widzieli i nie znaleźli, gotowe nam ukazał, przyniósł z uprzejmością i gorliwością niezmożoną, podając i objaśniając.

Z nim po obiedzie zwiedziliśmy naprzód Floryańską Bramę, jeden z najpiękniejszych Krakowa pomników średniowiecznych, potém dawny kościołek XX. Miechowitów, dziś parafialny, budowę ciekawą, w któréj sklepienie nawy utrzymuje słup jeden śliczny w pośrodku stojący, jak w kościele wiślickim. Tego rodzaju architekturą jest też refektarz u Ś. Katarzyny i bóżnica żydowska o trzech w pośrodku niéj stojących filarach. Maleńki ten starożytny po Miechowitach kościołek z powodu swéj budowy, zasługuje na uwagę.

Od niego poszliśmy ku smutnym gruzom kościoła Dominikańskiego Św. Trójcy, z którego niewiele ocalało po pożarze. Była to jedna z najstarszych świątyń Krakowa, w początku XIII w. już wzniesiona a przez lat trzysta powiększana. Nagromadzone w niéj pamiątki i dzieła sztuki choć nie wszystkie ogień pożarł, nieodżałowanych jednak strat stał się przyczyną. Ocalał pomnik Kalimacha, odkryto dawniéj zapomniane i przysłonięte grobowce

Wątróbki z XV w. Girsława Ilkuszanina z XIV w. ale stalla, rzeźby, malowania, grób Ś. Jacka z jego posągiem na wieki nam wyrwały płomienie. Nie mamy nawet rysunków tych pamiątek, którośmy utracili, bośmy się dotąd na nie byli nie zebrali.

Dzięki jednak czynności wydziału archeologicznego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, który się podjął dyrekcyi restaurowania wygorzałych szczątków, powoli okopcone grobowce, obrazy podarte, mury popękane wstają z ruin i grosz ukwestowany, odjęty od ust często, dźwiga drogie pamiątki wiary i sztuki. To co pozostało z kościoła i klasztoru XX. Dominikanów po pożarze 1850 roku, jeszcze jest przepyszném i obudza żywy żal po tém, czego już nie ujrzymy nigdy chyba w nowéj sukni, gdy kościół wyrestaurowany zmartwychwstanie. Są tu jeszcze ocalone szczątki szyb malowanych, liczne grobowce i obrazy a w kaplicy odnowionéj, obraz cudowny, który z palącego się już kościoła lud z płaczem wyniósł na rękach. Smutno dziś błądzić po zwaliskach, patrzéć na rozbite płyty kamienne, na rozproszone relikwie, na poczerniałe i strzaskane mury, na stosy cegieł i kamieni, — ale raduje się serce patrząc, z jak żywą wiarą wzięto się do odbudowania o groszu jałmużnym, podpartym ufnością w Bogu.

Z dominikańskiego kościoła oczekującego na dokończenie, przeszliśmy na drugie świeże zgliszcze do kościoła XX. Franciszkanów, które już gorliwość duchowieństwa i składki podniosły. Powiadają, że gdy po pożarze 1850 r., na pierwsze i naglące potrzeby ktoś trzy tysiące złotych ofiarował gwardyanowi, ten uniesiony żarliwą chęcią natychmiastowego podniesienia kościoła, zawołał:

— Jest w ogrodzie kapusta; będziemy mieli co jeść, a grosz niech idzie na przybytek chwały bożéj!

I dymiły jeszcze gruzy, ludzie w nich nogi opalali po gorących węglach stąpając, a już odważny zakonnik poczynał restauracyą w imię boże nie mając prawie nic na nią, dziś doprowadził ją do końca. Nic oprzéć się nie może silnéj wierze i woli.

W krużgankach franciszkańskich równe mnóstwo pamiątek, grobowców, napisów i szereg ciekawy obrazów biskupów krakowskich, świeżo wyrestaurowanych pod przewodnictwem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, z jak największą starannością. Takich pięknych i malowniczych widoków wnętrzy jak w krużgankach Franciszkanów i Dominikanów, nie mamy nigdzie, i to by był śliczny przedmiot dla malarza. Przypominam sobie jeden stąd wzięty obrazek M. Zaleskiego.

Znużony, więcéj moralnie niż cieleśnie, widokiem tych ruin, musiałem spocząć, a wieczór spędziłem mile w domu państwa Lucyanostwa S... na cichéj, swobodnéj pogadance, która się przecią-

gnęła do późna. Pierwszy raz byłem pod tym dachem a zdał mi się dawno znajomym; są miejsca, w których od razu czuje się swoim. Wiele więcéj dni nad te, które mi wolno było przebyć w Krakowie, spędzić-by tu było potrzeba, żeby choć część zabytków wiekowéj stolicy obejrzéć. Zrazu niechciałem więc oglądać, aby się zmusić do powracania na Kraków, ale ciekawość przemogła a raz napiwszy się trochę, pragnienie zwiększało. Jakże téż pominąć Kraków nie rzuciwszy nań choć okiem, zwłaszcza mając takiego przewodnika jak Łepkowski, który na pamięć wie wszystko i tak gorąco tłomaczy?

Oprócz spalonych kościołów, które się cudem prawie, przy ograniczonych środkach mieszkańców tutejszych, z gruzów ofiarami ogólnemi i poświęceniem wszystkich podnoszą; reszta starych dochowanych zabytków, jeśli się nie dźwiga, przynajmniéj pilnie jest strzeżoną. Rząd ustanowił od niedawna opiekę nad pomnikami, sztukę, lub historyą obchodzącemi *),

W roku juz 1776, potém w 1782 i 1812 polecono początkowo zwracać uwagę na wykopaliska wszelkiego rodzaju, zbroje, posągi, płyty grobowe, naczynia i t. p. a bardziéj zajmujące przedmioty posyłać do zbiorów cesarskich.

W roku 1818 wzbroniono wywozu zabytków tego rodzaju za granicę monarchii, nie wyłączając inkunabułów i rękopismów. W roku 1846 nareszcie, dnia 15 czerwca dekretem kancelaryi nadwornéj i dodatkowym d. 14 sierpnia, określono prawo właścicieli tych przedmiotów, powtarzając polecenie nabywania ich do zbiorów publicznych, lub przynajmniéj zachowanie od zagłady. — W ostatku r. 1850 r. d. 31 grudnia rząd cesarski wziął pomniki historyczne pod swoję opiekę, a w 1853 ministeryum ustanowiło centralną komisyą konserwacyjną w Wiedniu i konserwatorów po kraju. Ci wybierani są z obywateli, a obowiązkiem ich zwracać uwagę na dzieła starożytne sztuki i pamiątki, zachowywać je od zagłady i uszkodzenia, podając rządowi wiadomość o potrzebujących pilno podtrzymania. Podawane przez nich raporta wedle formularzów są dokładnemi zarazem opisami zabytków.

W Krakowie oprócz tego powstał w łonie Towarzystwa Naukowego komitet archeologii i sztuki z początkiem 1850 r., a w r. 1851 zmienił się w jeden z wydziałówTowarzystwa. Od r. 1852 do 1856 d. 20 listopada nie miał on czynnego w pracach udziału, dziś pilnie się zajmuje pomnikami Krakowa, których restauracyą oględną, baczną, umiejętną i pełną smaku jemu zawdzięczamy. Kon-

*) Dodatek do „Gazety Lwowskiéj“ 1854 Nr. 46. „Czas“ 1854 Nr. 281. „Teka Wileńska“ Nr. 3 artykuł J. Łepkowskiego.

serwatorem mianowanym od rządu krakowskiéj dzielnicy Galicyi, był p. Paweł Popiel, zajmował on zarazem prezesowskie krzesło w wydziale archeologicznym towarzystwa. Czynnemu krzątaniu się tego wydziału winniśmy już restauracyą kilku grobowców, obrazów biskupów krakowskich i kieruuek główny budowy spalonych kościołów, w smaku i z dobrém pojęciem architektury średniowiecznéj podjęty.

U Ś. Idziego w małym kościołku założonym przez Władysława Hermana, którego budowa sama jest ciekawą, pozostały nieoszacowane pamiątki malarskie z pierwszéj epoki szkoły staroniemieckiéj, wysoką wartość mające. Mogłyby one zdobić najpierwsze w Europie muzeum. Są to na dwie strony malowane deski, które musiały być okiennicami starego szafiastego ołtarza; na tle złocistym, uderzające wyrazem i charakterystyką fizyognomii.

Niektóre z tych postaci wdziękiem naiwnym, inne niezmiernym realizmem zastanawiają. Szkoda, że szczupłość środków nie dozwoliła dotąd zająć się restauracyą tych desek, które wisząc jedną stroną zwrócone do ścian wilgotnych, powolnemu ulegają zniszczeniu.

Oprócz tego są tu piękne stalla z epoki Odrodzenia z bardzo wdzięcznemi figurynkami, także godne zachowania. Na nieszczęście kilku z tych posążków już braknie, a wstawione na ich miejsce cale są innéj epoki i wyrobu. Na figurynki te nie potrzebujemy zwracać uwagi archeologów krakowskich, którzy już wartość ich ocenili.

Jako pomnik architektoniczny niezmiernie ciekawym jest kościół Ś. Katarzyny, który koniecznie należałoby podźwignąć i odnowić. Jest to w pełnym rozkwicie architektura nasza średniowieczna i próba stylu rzadkiéj piękności. Wnijście rzeźbione z lewéj strony małoby nawet może restauracyi potrzebowało, a jest jednym z najdroższych w Krakowie zabytków. W pośrodku i sklepienia kościelne i krużganki prześliczne i refektarzyk na jednym słupie sparty z napisem na szlusstejnach — Ka — zi — mi — ri, niezmiernie zastanawiający. I tu są obrazy szkoły staroniemieckiéj, późniejszéj jednak od znajdujących się u Ś. Idziego, między niemi na swój czas bardzo piękne. Grobowców, pomników, napisów, kamieni rzeźbionych domagających się zachowania, mnóstwo.

Kościół Bożego Ciała, wzniesiony, jak utrzymują, przez Kazimierza Wielkiego, jeżeli nie dawniejszy jeszcze, zewnątrz zachował cechy gotyckie i sklepienia całe jak były pierwiastkowo, ale wewnątrz urządzono go na nowo i niesmacznie ostatniemi czasy. Dziedziniec, w głąb patrząc od bramy, jest wcale pięknym obrazkiem. Tu spoczywają zwłoki błogosławionego Kazimirczyka i obraz

wystawujący ów wiek szczęśliwy, *Felix saeculum*, Krakowa, gdy w nim kwitło całe grono świętych, do których orszaku Kazimirczyk należał. X. Hołowiński z tego podania o świętych krakowskich współczesnych sobie prześliczną ułożył legendę. W kościele tym jest jeszcze do widzenia starożytna monstrancya, w któréj przechował się przenajświętszy sakrament cudownie znaleziony w tém miejscu, gdzie późniéj stanął kościół, i reszty pięknych szyb malowanych.

Na obejrzeniu téj świątyni skończyłem pielgrzymkę moję pobieżną, chciwą a zbyt krótką, alem nie nasycił ciekawości, nie zaspokoiłem pragnienia, nie wypłaciłem długu należnego relikwiom przeszłości. Pocieszać się musiałem tém, że miałem tu jeszcze powrócić, dla pilniejszego obejrzenia starego grodu. Gdyby nie to, nie godziłoby mi się odjechać dla obcych ciekawostek nasze tak drogie i piękne skarby. Ale pora spóźniona już, lato blizkie, Włochy grożące upałami, których podobno nie unikniemy, pośpieszać kazały.

Mamże tu wspomnieć, żem dostąpił zaszczytu zasiadania choć chwilę w dostojném gronie Towarzystwa Naukowego Krakowskiego? Boję się, choć to ze szczeréj czynię wdzięczności i z głębokiém przejęciem, aby zapisanie tego pamiętnego dnia w życiu mojém nie miało pozoru przechwałki. Nigdy nie zapomnę téj uroczystéj chwili, w któréj powitany głosem sędziwego prezesa, niegdy przyjaciela mojéj rodziny, życzliwemi słowy przezacnych członków — zasiadłem pomiędzy niemi zawstydzony... pod cieniem wizerunków starych rektorów najstarszéj matki oświecenia polskiego... Z chlubą sobie zawsze ten dzień przypomnę, niewiele w życiu miałem podobnych.

Nazajutrz pogodnym porankiem żegnałem Kraków z żalem i tęsknotą... Przez otwarte okno mego mieszkania przy Floryańskiéj ulicy pod Białą Różą (w domu nie białym i wcale nie pachnącym różano) zagrał mi jeszcze błogosławieństwem na drogę prastary hejnał z Maryackiéj wieżycy... a serce zawtórowało mu biciem. Dla mnie muzyka ta przed drogą daleką, długą, miała znaczenie nowe, mówiła mi, bym się budził do pracy i szedł daléj, choćby sił brakło — krzepiła mnie modlitwą, wskazując w niéj źródło żywota...

Niestety... od tego dnia uleciało wiele... a usta zapomniały się modlić i serce wyschło i zorało się czoło od troski... i praca nawet obrzydła... nałogowo tylko pcha robotnik taczkę swoję!

Nieubłagana para, największy z despotów, niecierpliwiąc się świstała przeraźliwie, pociąg wybiegł w osnute mgłami wpół przezroczystemi okolice Krakowa, czarownie przedstawujące się oku

pod tą zasłoną gazową, która przelatywała z wierzchołków gór rozściełając się w doliny, z dolin wzlatując na lasy, czepiała się wyżyn i snuła po nich ospale. To znów tonęła przylegając na łąkach i kąpiąc się w strumieniach.

Krajobraz w téj cudnéj szacie poranku stracił jaskrawe barwy rzeczywistości i był jak cudne marzenie na jawie, jak wcielenie krainy snów poetycznych. Z za białych osłon ukazywały się wioski w zielonych wieńcach, szare zamki na górach, błonia szmaragdowe, pola szachowane, lasy pół ozłocone pół ciemne, a wszystko tak zgodną spojone harmonią, jak wielki obraz dziejów i żywota..

Tylko bliższe przedmioty migające jak szyderskie uciechy, któreby człowiek chciał przytrzymać daremnie, zgrzytały sarkastycznie rozcinając ostremi zarysy swemi cudnie miękkie tło oddali.

Nie tak-li w życiu jest całém? śmieje się nam dal mglista, świecą nadziei i wspomnień obrazy, a to, co blizko, szydzi i miga rozsypując się w proch i nicość.

II.

Podróże koleją.—Fizyognomia kraju. — Stacye.—Bajki Lafontain'a. — Droga.— Oderberg. Fabryka sody. — Widoki. Kraj zabawek. Zmiana pogody. — Kroaci. — Wagram. Wiedeń. Historya funta tytuniu. Hotele. Munsch. Nocleg. Ś. Szczepan. — Woltzner. Katedry charakter. — Wnętrze jéj. Szczegóły. Rzeźby. — A. E. I. O. U. i D. E. I. Wieża. Stadt. Galerya Belwederu. Rafaela Madonna del Verde. — Giordano Ś. Michał i inne obrazy. Stare szkoły niemieckiéj zabytki. Zbiór Ambrazyjski. Sarkofag grecki. Rzeźby stare. Zbroja Radziwiłła i inne zabytki. Teatr. Komedya Dumasa. Zbiór rycin Arcyks. Alberta. Galerya Lichtenstein'a. — Carl-Theater. Laur i kij żebraka. Życie wiedeńczyków. — Minoryci. — Kościół XX. Augustyanów. — Ś. Szczepan. Gotyckie budownictwo. — Kościół Liguoristów. Graben. Volksgarten, Tezeusz Canovy. — Posągi. — Restauracye. Zum Sperl. *Stock im Eisen.* Szyldy. Burgtheater. Msza włoska u Minorytów. Prater. Pani de Staël o Wiedniu. Hoftheater. Il Barbiere. — Marienstiege. Schönbrunn. Ogródki. Rigoletto.

Chcićć opisywać podróż odbytą koleją żelazną byłoby prawie śmiesznem, co najwięcéj być-by to mogła historya wagonów, sąsiadów, przypadki i śmiesznostki najniewygodniejszego według mnie sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, który człowieka czyni pakunkiem. Niewiele co podróżny schwycić może w zwyczajnéj wędrówce nawet dosyć powolnie odbywanéj, cóż dopiéro w tak szparkim przelocie, gdy wspomnienie tylko co widzianego przedmiotu wnet się dziesięcią innemi zaciera? Ściśnięty w wagonie, zanumerowany jak rzecz, którą z miejsca na miejsce, mniéj więcéj całą, przewieść się obowiązano, jedzie król stworzenia zdegradowany do roli tłómoka, ledwie śmiejąc spojrzéć przez okno. Jest to już nie podróż, ale proste przenoszenie się z miejsca na miejsce, które w przyszłości powinno być ulepszone z pomocą chloroformu. Ludzi będą usypiać, administracya kolei naładuje niemi wozy, a wedle kartek poprzylepianych na czole, konduktorowie wydawać ich będą po stacyach, gdzie dopiero szwajcar w *wartesaal* otrzeźwi... Tym sposobem mniéj zajmą miejsca, spokojniéj odbędzie się podróż, i wiele niedogodności się usunie...

Tak jak dziś koleje są urządzone, nie powiem, żeby podróż niemi była nadzwyczaj przyjemną. Nieład, ścisk, pośpiech, niewola miejsca i czasu, narażenie często na nieprzyjemne sąsiedztwo, każą żałować własnego powozu, własnéj woli, a choćby powolniejszego nieco ruchu...

Droga od Trzebini już mi znów całkiem była nieznaną, przypatrywałem się więc krajowi z ciekawością turysty, coraz więcéj w nim od naszego różnic upatrując.

W naszych prowincyach wielkie przestrzenie, gdzieniegdzie pola szerokie, jak oko sięgnie, jedném całe ziarnem zasiane, droga hula wyjeżdżona aż miło kręcąc się fantazyjnie gzygzakiem, łąka się rozlega, las sobie swobodnie rozrzuca młode odrośle dokoła, i wije, buja po błoniu. — Tu, im daléj jedziesz w owe zniemczałe kraje, coraz a coraz inaczéj, maluczko ziemi, a skąpo jéj dla ludzi, ciasno, oszczędnie, po niemiecku. Każde kawałątko ziemi zużytkowane, ogrodzone, uprawne, pokrajane na cząsteczki skąpo, pociupane, rzekłbyś, że się ludzie o wstążkę ziemi pobiją. Spotykasz cmentarz, umarłym w nim ledwie tyle miejsca dano, by nowy grób kopiąc nie wywrócono starego, leżą uszykowani jak żołnierze... chatka... choć śliczna i czysta, ale malutenieczka, kościół — maciupki, dwór boi się rozsiąść, aby ziemi nie zajął do zbytku, droga jak tasiemka, ledwie się na niéj dwóch konnych ominie... Prawda, że za to porządnie, miło, z ładem, ale trzeba być małym człeczkiem, aby w téj klatce wytrzymać. Na oku przywykłém do naszéj rozrzutności czyni to wielkie wrażenie, ściska się serce myśląc, że tu ludziom biednie być musi, wązko, skąpo... tak nie jest wistocie, pozory mylą, ludzie przywykli do tych rozmiarów i z jednego zagona ciągną więcéj niż nasi z szerokich przestrzeni.

Za Trzebinią migały już tylko stacye, Oświęcim, Janiszowice, Dziedzic... Chybi... coraz lepiéj poprzekręcane z polskiego na niemieckie; talentu do przezywania niemożna Niemcom odmówić; przykłady liczne w Poznańskiém... nie potrzebujemy przypominać. Są w ten sposób porobione dziwolągi, które przyszłym etymologom dobrze głowy nałamią. W Chybi (jeśli nie chybiam nazwisku) gdyśmy się chwilkę przyzastanowili, długa blond Niemka, sama przez się potężnie brzydka, dodatkowo niemłoda, obrzydzona jeszcze włożonym na głowę pełnym pretensyj kapelusikiem pasterskim — który jéj chyba ktoś za pokutę nosić kazał — karmiła sielankowym obyczajem na ganku kruka i barana, — przypomniało to niby bajkę Lafontaina w złém tłomaczeniu niemieckiém. Takie to przynajmniéj na mnie uczyniło wrażenie, a towarzysz mój (którego niemogąc inaczéj, pozwolę sobie nazywać Klemrodem), nieprzyjaciel wielki wszelkiego cudzoziemskiego rodzaju, osobliwie zaś Niemców

którzy barszczu nie jadają, sztukamięsy używają skromnie (wprzód dla ostrożności wygotowanéj), a kartoflami i fasolką żywią się dla bezpieczeństwa — o mało nie pękł ze śmiechu, ujrzawszy tę żywą i o sobie niewiedzącą karykaturę.

Miły Boże! gdyby była piękną, jakby ten kapelusz, zajęcie, kruk i baran były jéj do twarzy. Klemrod wysiadłby jéj uderzyć czołem i przypatrzyć się zblizka... Któż wie? byłby ją może uwiecznił w swoim albumie. Szczęściem nie długo zmuszeni byliśmy wpatrywać się w tę sielankę, pociąg ruszył z szybkością błyskawicy i znowu przesuwać się zaczęły pólka, łąki, chatki, płoty, lasy jodeł i sosen, wiosenne zboża, gliniaste pustki, kamieniste odłogi. Przebywamy widoki wspaniałe, wśród których ludek w dole wydaje się nam malutkim i biednym.

Złudzenie optyczne...

Dojeżdżając do Sejbesdorf zakręcamy wprawo, w Oderbergu, niewolnicy godziny i porządku ustanowionego (bo nigdzie człowiek nie jest takim niewolnikiem jak na kolei) musimy jeść, choć się nam nie chce, gdzieindziéj bowiem nie dadzą na to czasu... a więc podają gotowy (może od dwóch dni) jakiś rosbraten, siadamy wszyscy, w długich *ad hoc* śklenicach podają narodowy napój — piwo! Zapachem jego przesiąkły budowle, mieszkania, ludzie, a atmosfera piwna otacza nas, trzeba się pogodzić z przeznaczeniem i kuflem.

W Hruszowie (Hruszau) wspaniale nam się przedstawia *Erste österreichische Soda-Fabrik!* Z uszanowaniem bijemy pokłon téj instytucyi, która majestatycznie dymi z ogromnego komina. Piwo! soda! i dziwią się potém, że Austryacy przegrywają, gdy się im z Francuzami spotkać przyjdzie! Tak ich flegmatyzują i chłodzą, że w końcu wszelką odebrać muszą energią.

Za tą pierwszą fabryką występuje zaraz ćma kominów i mnóstwo różnych zakładów, kraj cały sfabrykowany, nawet napisy na słupach fabrykowaną mają minę, przedestylowano je ze słowiańskich na niemieckie.

W lewo ukazują się w siwéj mgle góry, wdali których profil zębaty, to się zjawia, to znika. Lud, który szybko przemyka się nam przed oczyma, charakter ma słowiański, poznajemy w nim brata.

Ja oka od gór oderwać nie mogę, których pasmo coraz się wyraźniéj zarysowuje, sinieje ciemniéj i zalega głąb obrazu. Przykrywa je czasem chmura, to znów powiew wiatru odsłania. My lecim równinami do Stauding, pod któréj imieniem może się jaka Studzina ukrywa.

W Weisskirchen (rodzaj Biało-Cerkwi) otoczyły już nas wzgórza z obu stron coraz wyższe. Między tém miejscem a Leipnik (Lipniki), kraj zmienił się nagle, przebywamy pierwszy tunel, czarny jak dno piekieł... i nieprzyjemne wcale robiący wrażenie.

Na górze ukazuje się zamek pusty w lewo, malowniczo uczepiony i rozbity, kraj otaczający poszachowany w zagouy, drogi coraz cieńsze, jak sznureczki, zdaje się, żeśmy wjechali w świat zabawek dziecinnych, takie tu jakoś wszystko maleńkie. E! Podolaku z pod Bałty i Tulczyna, gdybyś ty to zobaczył, w duszyby ci się ścisnęło, i mnie nie lepiéj myśląc o naszych stepach...

Około Przerowa (Prerau), kraj gęsto zasiany wsiami, a wsie wyglądają gdyby miasteczka, góry się podnoszą, obrosłe i ozielenione polami, gdzieniegdzie z lasów wydartemi... pejzaż wielki i przepyszny. Zamki drzemią na wyżynach, po dolinach wioski siedzą, a mgły po nich wędrują... Chmurzy się, chmurzy powoli, i krakowskiego wesołego słońca ni śladu, jakaś austryacka gotuje się plucha.

Dojeżdżamy do Napagedl zamku Jellaczyców w piękném położeniu; stacya téż pod górą dobre sobie miejsce obrała, wcale jéj tu ładnie. Daléj w Hradisz, jakiémś słowiańskiém Grodzisku, znów zamek na wyniosłości.

W dziwnych ubiorach ukazują się nam Kroaci, płaszcze białe, kapelusze z piórami, kurtki, szarawary szerokie, lud piękny, rysy czysto słowiańskie. Jeszcze trochę wzgórzów, i od Neudorf zaczyna się znowu płaszczyzna naddunajska, jak okiem zajrzéć, równina... Około Wagram, gdzie się przebywa rzeczkę Russbach, płasko jak na dłoni, czujesz dobrze wybrane miejsce walki, które sam Bóg wyznaczył i wyrównał... Ale gdyś to pamiętne nazwanie usłyszał i szukasz, coby ci bój przypomniało — śladu go niéma już dzisiaj. Niedojrzałem przynajmniéj ani pomnika, ani mogiły, zielone bujne kłosy kołyszą się w polu i szumią wiosny piosenką, wsie i domki białe świecą... o umarłych ani słowa; o przeszłości ani słychu. Właśnie na samém polu bitwy, nasz pociąg minął z szumem i świstem pociąg drugi, przeciwko niemu lecący... Oto walka dzisiejsza, która zamknęła dawne, dwie machiny parowe starły się ognistemi grzywy...

Deszcz i szary mrok nas otoczył, po mostach przebywamy Dunaj i jego odnogi, zielonemi drzewy opasane, pociąg wpada do dworca — jesteśmy w stolicy ocalonéj przez Jana III w Wiedniu. Lejący deszcz, chłód i pracowite poszukiwanie pakunków naszych, a potém sposobu dostania się do hotelu, humor nam obu skwasiły. Na pierwszym wstępie do austryackiéj stolicy Klemrod, który

się za mnie poświęcił na traktowanie z celnikami w sprawie o bagaże nasze podróżne, padł ofiarą mojego—nałogu. Miałem tytuń turecki, mogłem go wyśmienicie, nic nie mówiąc, przewieść dla własnego użytku, wielkiéj krzywdy nie czyniąc cesarsko-królewskiéj kieszeni, ale sumienie mnie ruszyło niepotrzebnie, żądałem, abyśmy zeznali, że mamy tytuń...

Ten zbytek szczerości z méj strony powodem był niezmiernego kłopotu i kilkugodzinnego stania na deszczu... Jak tylko dowiedziano się, że wiozę tytuń, zarządzono formalne śledztwo, w jaki sposób ów nieszczęsny fant, którego było może kilkadziesiąt łutów, został *przeszwarcowany* przez granicę. Użyto tego upokarzającego nas wyrazu, niestety, Klemrod wziął zbrodnię na swoje imię, musieliśmy sowicie się opłacić, zapisano w księgach ku wiekuistéj pamięci fakt przeszwarcowania, wydano Klemrodowi ohydne świadectwo jego występku za numerem i pieczęcią, a dopiéro po tém wszystkiém, nas i pakunki nasze wpuszczono do stolicy, którą już głęboka noc niegwiaździstą okrywała szatą... Szata wyglądała na mokrą ścierkę.

Ścigało nas jakieś przekleństwo w stolicy, ocalonéj przez Sobieskiego... Niestety!—wyjechawszy z dworca kolei żelaznéj, włóczyliśmy się długo po całém mieście, od bramy do bramy, nim się nam przytułek znaléźć udało. Woźnica zawiózł nas naprzód do Roemischer Kaiser, przy Renn-Gasse, zaświeciła nam brama wspaniała, przyszedł odźwierny i oświadczył, że miejsca niéma, że wszystko zajęte... Jedziemy do Ungarische Krone na Himmelspfort Gasse, toż samo do Stadt London, i tu pełno, w Kaiserinn von Oesterreich grzecznie zbywają ruszeniem ramion; zniecierpliwiony, dałem w końcu woźnicy pełną moc zawiezienia nas, gdzie mu się podoba i los chciał, byśmy trafili do najdroższéj gospody w całém mieście, do hotelu Munsch, przy Kaertner Strasse.—Tu przecież, na trzeciém piętrze! znalazł się kątek, dwie szczuplutkie izdebki, wśród których między koniecznemi sprzęty, ledwie pozostawała ścieżka do przejścia, ale wygodnie, świeżo i czysto urządzone.— Robiły mi one wrażenie pudełek na ludzi, bo o rozkurczeniu się i przechadzce myśléć nie było nawet można. Zresztą, znaleźliśmy wszystko, czego było potrzeba.

Niedobry humor Klemroda, z powodu wydanego na jego imię przez komorę świadectwa, unieśmiertelniającego przeszwarcowanie tytuniu, powiększył się jeszcze, gdy przyszło herbatę robić nie na samowarze, ale na spirytusem ogrzewanym kociołku z fajerką. Potém wzrósł na widok pierzyny w łóżku i doszedł do najwyższego stopnia, gdyśmy się w téj ciasnocie, po swojemu chcąc szeroko rozpakowywać, na manatki nasze miejsca nie znaleźli. Nie

pojmował Klemrod, aby prawnuki towarzyszów Jana III, tak źle być mogli, zimno i obojętnie przyjmowani, w ocalonéj przez pradziadów ich stolicy.

Koniec końców, zjadłszy coś jeszcze niesmacznego na dole, poszliśmy spać, rozmyślając tylko nad deszczem, który, jak na wiosenną pluchę, zawiele sobie pozwalał. Klemrod utrzymywał, że to niemiecki deszcz i, że nazajutrz na złość nam ustać nie zechce.

Jakoś się przecie wyjaśniło i gdy rano pobiegliśmy do okna, którego jedną szybę, nieszczęśliwy mój towarzysz podróży głową wybił z pośpiechu, dla przypatrzenia się ciasnéj uliczce, którąśmy mieli pod nogami—ujrzałem wspaniałą wieżę św. Szczepana, po nad dachy domostw wybiegłą. Ruszyliśmy natychmiast na oględziny, poczynając od tego kościoła.

Zdaje mi się, że opis gotyckiéj téj świątyni, wszystkim znanéj, byłby tu zbytecznym, jest ona jedną z najpiękniejszych w Europie i szczególniéj sławną swą wieżycą piramidalnie zakończoną, którą dobudowano w XV wieku. Jak kopuła św. Piotra nad Rzymem, króluje ona Wiedniowi.

Pierwotnie kościół św. Szczepana, założonym był w XII wieku, ale téj budowy, zda mi się, śladów dziś nie zostało lub przynajmniéj nie wielkie. Dla nas zajmującém jest, że przy pierwszéj budowie kościoła za Henryka Jasomirgott'a, użyty był Krakowianin, Oktawian Woltzner, który co do murów i kamieniarstwa, całą robotę wykonał. Chcą niektórzy, by chór główny, wchód i dwie wieżyce narożne w prostszym gotyckim stylu, do epoki Woltznerowskiéj się odnosiły. Nasz ów budowniczy żył około 1150 roku. Spalona Fara odbudowaną została w połowie XV wieku tak, jak ją dziś widzimy, pierwotny pomysł znikł pokryty późniejszemi ozdobami.

Zewnątrz, kościół niezmiernie bogata osnuwa rzeźba, cały w koronkach, kwiecistych strzałach i wieżyczkach z piaskowca kowanych.—Właśnie uszkodzone przez czas, niektóre części odnawiano i kamień w całéj swéj świeżości, niepoczerniały miejscami świadczył o dopiéro wykończonéj restauracyi zewnętrznéj. — Pięć rzeźbami ubranych drzwi, poumieszczane nad niemi obrazy kamienne, grobowce, przybudówki maleńkie, ozdoby zewsząd pokrywające budowę, któréj tylko wysoki dach, polewaną kryty dachówką, nieco oku spocząć daje, sama wieżyca jak koronka dzierzgana delikatnie,—choć piękne bardzo, trudzą niemal oko tym zbytkiem szczegółów, nie łatwo zlewających się w całość. Jest to wadą większéj części budowli gotyckich, że w nich rzadko ogół linij i ich proporcye, odpowiadają piękności pojedyńczo wziętych części. Właśnie ten brak pojęcia harmonii, równoważenia się, znaczenia

wielkich głównych rysów budowy usiłuje architektura gotycka opłacić mnóstwem drobnych piękności, rozkwitnieniem i rozrostem szczegółów. W bardzo wielu gmachach, ogołocone z tych ozdób linie główne, zasadnicze rażą stosunkiem swym i prawie nieforemnością.

Ale za to, przypatrzywszy się częściom gmachu pojedyńczym, co za bogactwo, jaka harmonijna rozmaitość, jaki świat drobnostek, niby tych organów życia w człowieku, które tylko anatomista wyśledzić potrafi ocenić.

Wewnątrz kościół św. Szczepana jest ciemny, prawie czarny, ale wspaniały i majestatyczny; wysmukłe słupy dzielą go na trzy nawy, nieszczęściem pozastawiane ołtarzami nowemi, stylem nieodpowiadającemi budowie i odbijającemi od niéj nieharmonijnie. Stara tylko ambona, z któréj kątka przez rozwartą okienniczkę, wygląda głowa budowniczego i kamieniarza, co się tam *ad aeternam memoriam* umieścił, jak malarz na pierwszym planie obrazu—prześliczna jest w swoim rodzaju. Wogóle rozbujała fantazya piętnuje tę architekturę z naiwnością średniowieczną. Przypomina to literaturę satyryczną i pobożną zarazem téj epoki, owe *ars moriendi*, *stultorum navis* i inne poezye gotyckie, jeśli się tak powiedzieć godzi. W obu utworach ducha jeden charakter,—całość ułomna, drobnostki wytworne, naiwność i prostota niezmierna...

Rzeźb małych a godnych rozpatrzenia mnóstwo jest wszędzie, przy słupach, u sklepień; pomysły często zastanawiające, wykonanie czasem realizmem rażące, to znów prostota sięgająca prawie ideału.

Wśród tych postaci świętych sztywnych, surowych, ale mimo niewprawności dłuta, już pojęcie piękna mgliste zdradzających, figurki budowniczych prozaiczne, a życia pełne uderzają sprzecznością.

Przy jednym ze słupów jest posąg Matki Boskiéj, pod płaszczem opieki tulącéj ściśnięte sługi swoje, myśl piękna, często późniéj powtarzana, tu wyrażona z naiwnością prawie barbarzyńską. Rzeźby wogóle nie wytrzymają nawet pobłażającéj bardzo krytyki, jak skoro po za rzeczywistość wyjść usiłują. Oprócz kazalnicy z XV wieku, z któréj, jak się zdaje, wygląda głowa Antoniego Pilgram, stalla w chórze i presbiteryum, monument Alberta III z końca XIV wieku, wreszcie sarkofag Fryderyka IV przez Lerch'a, godne są wspomnienia. Ostatni bogato jest ozdobiony posążkami i zbrojami. Ale najciekawsze w nim, są owe pięć samogłosek w zwykłym ich porządku hierarchicznym ułożone dokoła berła, które Fryderyk trzyma w dłoni.

A. E. I. O. U.

Jestto figiel jakiegoś ówczesnego literata, jak zagadka do rozwiązania potomności rzucona na grobie. Wysiliły się też umysły na wyrozumienie, co-by te pięć samogłosek oznaczać mogły, starając się je tłómaczyć po łacinie i po niemiecku. Dziś mniéj, niż kiedy można przypuszczać, ażeby autor chciał, jak utrzymują, dać do zrozumienia:

Austriae est imperare orbi universo.

Jakoś się na to nie zanosi, choć nieustannie dobijało się do tego cesarstwo. Niemożna wszakże zaprzeczyć, że najzręczniejszą w świecie polityką, Austrya potrafiła się utrzymać na stanowisku tysiąckroć zagrożoném, zawsze zwycięsko. Winna to zasadzie, która się wyraża trzema tylko tajemniczemi głoskami:

D. E. I.

Znaczenie ich, odgadnie każdy z dziejów:

Divide et impera.

Obrazy, jak ołtarze u św. Szczepana, wcale się nie odznaczają, nie rozpatrując się wszakże w szczegółach, wnętrze kościoła ciemne, ponure, linij wspaniałych, strzelistych, czyni wielkie wrażenie. Doskonale te budowy gotyckie wypowiadają ideę średniowieczną Boga i pojęcie religijne. Każda katedra taka, jest traktatem teologicznym. Więcéj tu piekła, czysca, ziemskich męczarni, niż niebios i spokoju, więcéj trwogi niż pociechy, smutek ogarnia duszę wśród tego mroku, pełnego widm i tajemnic.

To znamię starożytne poczęści nadaje i barwa ciemna murów; pomyślano o tém, aby je odświeżyć i ubielić, ale ta odnowa wiele-by odjęła uroku.

Słówko jeszcze o sławnéj wieżycy, przebudowującéj się na nowo, piramidalnego, ostro zakończonego kształtu.—Piękność jéj stanowią głównie wyniosłość wielka (135 metrów) i rzeźby opasujące ją do samego wierzchołka; lekka jest bardzo i słusznie igłą nazwać się może, ale niemożna powiedziéć, aby wogóle kształt ten strzałowaty był bardzo wdzięcznym. Sprzecza się on nieco z budową przysadzistą kościoła, chociaż ciasny plac, na którym stoi, nie dozwala dobrze pochwycić całości, a wieża zewsząd wi-

doczna, osamotniona, przedstawia się wspaniale. Przy świeżéj restauracyi, wzniesiono jeszcze o kilka metrów budowę, aby się najwyższą w swoim rodzaju nazywać mogła.

Zwykli podróżni mają sobie za obowiązek wchodzić na szczyt wieży, dla obejrzenia Wiednia. Ja zostawiłem tę przyjemność Klemrodowi, który minąwszy straż ogniową (Toposkop) w połowie wysokości umieszczoną, obejrzawszy kamienną ławę, na któréj Stahremberg siadał, wyglądając Sobieskiego odsieczy, dostał się, mężnie dotarłszy aż do wierzchołka i stamtąd rzucił okiem pogardy na Giermanów, których raz w życiu miał przyjemność widzieć pod nogami. Przewodnik wskazał mu stąd dalekie pole bitw pod Lobau, Wagram, Aspern i Essling, nie licząc przedmieść, kościołów i ulic, które mu zamianował; ale zszedłszy na dół, nie wiele z tego spamiętał.—Przeczuwając ten skutek właśnie, na wyżynę drapać się nie chciałem, widok zaś karty topograficznéj, pracy tak zmudnéj nie wart.

Wyszedłszy od św. Szczepana, przebiegłem część głównego miasta „*Stadt*“, z ciasnych i starych składającego się ulic, w których trudniéj, niż gdzieindziéj się zoryentować. Wieża tylko św. Szczepana posłużyć może ku temu. Środek ten miasta nie stracił wcale charakteru starożytności swéj i przypomina dobrze stare dzieje, tylko zewnętrzne twarze domostw poprzybierały się wystawniéj, zbytkowniéj i w świeższe formy odziały. Ulice dość były ożywione, a może dla ciasnoty swéj jeszcze się ludniejszemi wydawały, wszystko w nich jednak krążyło w wielkim porządku, spokojnie choć tłumnie, nie zajmując się tylko sobą. Nie postrzegłem ani jednego próżniaka, któryby chodził dla przypatrywania się i szukał obrazów, wszyscy byli zajęci, śpieszyli powoli, widocznie cel jakiś mając przed sobą.

Dopytawszy się bankiera Stammetz'a, u którego potrzebowałem zasilić się w papierki austryackie, tak pięknie sztychowane, a tak mało mimo to cenione, udaliśmy się do cesarskiéj galeryi obrazów, umieszczonéj w pałacu Belwederskim. Jadąc do Włoch, dobrze było po drodze zacząć się oswajać z ich arcydziełami, których tu sądząc z katalogu, wiele się znaléźć spodziewałem.

Wistocie, galerya cesarska licząca do dwóch tysięcy obrazów bardzo jest bogatą, choć urządzeniu jéj, niedobrze rozgospodarowanemu, światłu i mieszaninie szkół, wiele zarzucić-by można. Stosunkowo do drezdeńskiéj mniéj wsławiona, z wielu względów dorównywa jéj, w niektórych ją przewyższa. Ale w téj ciżbie mieszanina doskonałych, miernych i lichych nawet obrazów niezmierna; las tak ogromny, po którym z razu błądzi się, nie mogąc wy-

naleść, coby się widziéć pragnęło, bałamucąc rzeczami podrzędnéj wartości.

Tego co we Florencyi stanowi trybunę, w Paryżu salon carré, wyboru arcydzieł odosobnionych, niéma tu wcale; wszystko razem, dzieła najnierówniejszéj ceny, podejrzanéj autentyczności i najdroższe stoją obok siebie. Wprawdzie galerya jest niby ułożona szkołami, ale w tém niéma wielkiéj ścisłości. Obok mnóstwa oryginałów, niezmiernie wiele kopij, a *nach* i *Schule* zbyt się często spotykają. Tylko to *nach* maleńkiemi pisze się głoskami, a nazwisko mistrza wielkiemi, i na pierwszy rzut oka wygląda to bardzo wspaniale. Opisu galeryi dawać nie myślę, wspomnę tylko obrazy, które mnie więcéj zastanowiły, nie wdając się w szczegóły, których pierwszy lepszy przewodnik jest pełen. Może na czele arcydzieł, jakie posiada Belweder, położyć-by można Madonnę Rafaela zwaną *Madonna del Verde* (im Grünen). Jest to jeden z najcudowniejszych utworów tego mistrza wdzięku, z najpiękniejszéj epoki jego życia, z młodości, w któréj prostotę starego, niezrównanego Perugina łączył z własnego gieniuszu natchnieniem. Obraz ten, jak data świadczy, malowany był w dwudziestym trzecim roku życia Rafaela (1505) i mocno jeszcze przypomina szkołę nauczyciela, typ jego dziewic, kompozycyę pejzażów, nawet wykonanie pracowite, powolne, dokładne.

Najświętsza Panna siedzi w zielonym krajobrazie włoskim, zajęta bożém dziecięciem, które się bawi ze świętym Janem. Oblicze matki-dziewicy niezrównanéj czystości i świętości, spokojne, wspaniałe, idealnie piękne.

Dzieci może mniéj zadowolniają rysunkiem i wyrazem, chociaż są wdzięczne; koloryt świeży, jasny, wesoły. W późniejszych utworach Rafaela jest niezaprzeczenie więcéj dojrzałości i siły, ale téj epoki młodzieńczéj dzieła łączą w sobie wdzięk staréj szkoły i jéj naiwność, z gienialném poczuciem piękna, które w duszy nosił. Dla wielu wydadzą się one może wyższemi od późniejszych. Jest to święta sielanka ten obrazek, coś z nienaszego, ale z cudów świata.

Inne obrazy Rafaela w Wiedniu, święta Małgorzata ze smokiem, jakkolwiek piękna, spoczynek w podróży do Egiptu, są podobno tylko dobremi kopiami. Godne jeszcze wspomnienia wśród szkół włoskich św. Michał Luca Giordano, z wielkim ogniem pojęty, szerokich rozmiarów obraz wspaniały, kilka Tycyana portretów, Parmegianina: Amor z dwojgiem chłopiąt, Corregia: Ganimedes i Jowisz w obłoku, Józef uśpiony—Daniela Crespi, św. Piotr—Ribeiry, św. Teresa—Tiepolo, św. Franciszek—Caracci. Te przynajmniéj z mnóstwa się wyróżniają i biją w oczy...

Nie miałem wcale czasu rozpatrywać z drugiéj strony nagromadzonych dzieł szkoły flamandzkiéj i holenderskiéj, na które ledwie rzuciłem spojrzenie, woląc kilka obrazów widziéć dobrze, niż przebiedz ich masę wielką, roztargnioném okiem. W górnych salkach zgromadzono znaczną bardzo ilość dzieł pierwotnych szkoły staroniemieckiéj, poczynając od Van Eycków. Tu się można zapoznać lepiéj z początkami malarstwa współczesnego włoskiemu, a tak odeń różnemu charakterem. Razi, przy wielkich niekiedy pięknościach pojedyńczych postaci, nieforemna, jakby przypadkiem sklejona, całość i realizm figur niektórych odstręczający. Jest to natura pochwycona z talentem, ale wybrana, jakby naumyślnie dla obudzenia wstrętu, w typach pospolitych i nizkich.

Trafia się niekiedy i szkołom włoskim zbliżenie zbyteczne do rzeczywistości, ale instynkt szczęśliwy wnet je prowadzi ku ideałowi. Zalecam tym, którzy stare szkoły pilniéj tu rozpatrywać zechcą, maleńką N. Pannę Van Eyck'a (18) i prześliczny ołtarz M. Wolgemuth'a.

Mała liczba nowszych obrazów, między któremi większość jest bardzo miernych, dopełnia zbioru belwederskiego.

Pomimo niedobrego i niedogodnego układu, wielkiéj złego i przedziwnego mieszaniny, braku tych pereł, coby sławę galeryi, jak Madonna sykstyńska drezdeńską, jak Transfiguracya watykańską, jak Madonna del Gran Duca florencką, podnosiły—wiedeńska ma skarby wielkie, w niektórych oddziałach nieustępujące najcelniejszym.

Madonna *del Verde* może być uważaną za najpiękniejszy i najdroższy klejnot cesarskiego zbioru, kilka Peruginów i Fra Bartolomeo są wielkiéj ceny.

Na dole w tymże pałacu belwederskim znajduje się dziś zbiór zbroi i starożytności, znany pod nazwiskiem Ambrazyjskiego (*Ambraser Sammlung*), od imienia zamku, w którym był dawniéj umieszczony. Założenie jego sięga końca XVI wieku, przeniesienie do Wiednia nastąpiło w r. 1806. Siedem sal napełniają półtorasta starych rycerskich zbroic od XIV do XVI wieku, portrety sławnych ludzi, biblioteka, rękopismy, rzeźby, kamienie rytowane i różnego rodzaju zabytki.

W salach antyków, między któremi są bardzo znakomite, choć w liczbie niewielkiéj, uderza naprzód nadzwyczajnéj piękności sarkofag grecki, z epoki Fidyaszowéj, szczęściem nietknięty i niepoprawiany. Płaskorzeźby jego, stylu pełnego niezrównanéj prostoty i siły, wystawiają na głównéj stronie trzy grupy walczących z amazonkami Greków. Aby mieć pojęcie różnicy późniejszéj rzeźby od téj i przetworzenia się stylu starożytnego, potrzeba po-

równać tę walkę z otaczającemi ją wyrobami innych czasów. Czém Perugin jest przy Carraccich i Caravagiach, tém owe Fidyaszowéj epoki dzieło przy greckich i rzymskich wieków następujących. Znika ta natchniona prostota i towarzysząca jéj wielkość, wykonanie staje się pracowitszém, przełamanie trudności jednym z głównych celów mistrza, ale duch, co po lat tysiącach promienieje z dzieł pierwotnych sztuki, uleciał całkiem z późniejszych; dziwią a nie przemawiają do duszy.

W pośrodku płaskorzeźby stoi Grek z tarczą w lewéj ręce, osłaniając rannego od napadającéj go amazonki; po bokach są dwie inne walczące z pieszemi Grekami. W pomyśle niéma nadzwyczajnego bogactwa, prosty jest i prawie ubogi, ale co za szlachetność linij, jaki rysunek, jaki wdzięk nieporównany! Sarkofag ten, wedle jednych znaleziony w Attyce (Montfaucon), wedle drugich odkopany w okolicach Efezu, służył za grobowiec komturowi krzyżackiemu, hrabiemu Maksymilianowi Fuggerowi, który długo w nim spoczywał. Jest to może najznakomitszy zabytek w ambrazyjskim zbiorze.

Prócz niego zwracają uwagę dwa piękne popiersia Vitelliusa (38—131) marmurowe i porfirowe, wielkim odznaczające się charakterem, prześliczny Faun, dzieciak uśmiechnięty wybornie (54) Sfinks o czterech kobiecych twarzach (symbol zmienności kobiecéj), z typem plemienia z czasów ptolemeuszowskich (65) Gieniusz snu, nieszczęściem ułamkowo dochowany (69), Jupiter Ammon (117), przepyszna głowa Matydyi, matki Sabiny, żony Hadryana (142), śliczny, widocznie portretowany biust Marcellusa zdobywcy Syrakuzy (154), Germanikus (155), posąg bronzowy bardzo wdzięczny; i oryginalny posąg kapłanki Izydy z dwóch marmurów: czarnego i białego, nareszcie popiersie Wespazyana (161).

Wśród znacznéj ilości napisów z różnych epok, są także niektóre zajmujące, lecz badać je nie było czasu... Włochy wołały!—najciekawsze rzeczy oglądaliśmy... po drodze!

Wszystkich pomników starożytnych liczy się tu do półtrzecia sta...

W salach zbroi i wszelkiego rodzaju zabytków, jest jedna Mikołaja Radziwiłła, książęcia na Ołyce, emaliowana i buńczuk zdobyty przez naszych wojowników pod murami Wiednia. Ciekawym poleca się drzewo gienealogiczne habsburskiego domu. Lecz świeżo nabyty wielki szafiasty ołtarz gotycki, w rodzaju naszego Stwosza, najwięcéj nas zajął. Kupiono go u rzeźbiarza Has'a, niedawno przedtém i w opisach zbioru jeszcze się nie znajdował, ma pochodzić z jakiegoś kościoła w Bawaryi. Czyjéjkolwiek on jest ręki, bo dziś trudno będzie dojść autora, jedno to z najpię-

kniejszych dzieł średniowiecznego kunsztu, z prawdziwym wykonane talentem.

Niemcy w takich rzeźbach wyżsi są może, niż w obrazach téj saméj epoki, chociaż roboty te malowane i złocone nie są niczém inném, jeno wypukłemi obrazami. Nie szukać w nich wprawdzie podniosłego ideału, ale sprzeczność ziemskiego i niebiańskiego pierwiastku często uwidomiona szczęśliwie, choć rzeźbiarz dla podniesienia nieba ziemię poniżyć musiał.

Następnego dnia spędziliśmy wieczór w Hof-Burg-Theater, do którego było nam najbliżéj, ale nadzieja zobaczenia na nim coś oryginalnego niemieckiego zawiodła. I tu, jak prawie wszędzie w Europie, francuskie sztuczki, konwencyonalne, dowcipne, wedle pewnéj, niezmiennéj budowane recepty, zajmują najwięcéj miejsca, są chlebem powszednim. Teatrzyk, ostatnim razem, podobno w r. 1845 odświeżany, miał od téj pory czas się zabrukać. Biały z karmazynowém i złotém, wcale nie wygląda świeżo. Grano Dumasa, *Les demoiselles de S. Cyr*, sztukę zręczną, całą zbudowaną na komiczności roli Dubouloy, którego wybornie grał pan Fichtner. Ludwikę Mauclair równie dobrze przedstawiała panna Bossler. Śmieszność tego Dubouloy, podobnego do mnóstwa innych figur tego rodzaju u Dumasa, na jedno szytych kopyto, utrzymywała sztukę, w któréj żywego i prawdziwego człowieka próżnoby szukać. Stare konwencyonalne postacie romansów i dramatów francuskich zastępują tu nowe komunały, figurki zabawne, jakby z papieru wystrzygane. Nie można zaprzeczyć, że to idzie żywo-świetnie, zręcznie, ale ani w tém sztuki prawdziwéj, ani prawdziwéj prawdy niéma. Dawano oklaski oszczędnie i ciągle tylko panu Fichtnerowi, który na nie grą swoją istotnie zasługiwał.

Nazajutrz rano (piątek, d. 21 maja), pośpieszyłem do tego, co mnie, jako zbieracza rycin i ikonografa, najmocniéj nęciło, do zbioru rycin arcyksięcia Alberta, bogatego wistocie i pięknie ułożonego. Sztychy, poprzyklejane na grubym papierze, oprawne są w wielkie księgi, niektóre — nieszczęściem! dla wygodniejszego oprawienia, porozcinano na dwoje... Dzieło naszego Falck'a w dość znacznym znajduje się tu komplecie, chociaż nie tak pełne, jak się spodziewałem; prywatne zbiory nasze mają więcéj. Wogóle Falck nie przechodzi sto sztuk, ale ma odbicia piękne i kilka rycin nieznanych, które ponotować było mi dozwolono. Wilhelm Hondius stosunkowo jeszcze pełniejszy i piękniejszy od Falck'a, Roman de Hooghe, równie piękny i liczny. Szukałem tylko tego, co historyę naszego sztycharstwa lub kraju obchodzić mogło, a niewiele więcéj czas téż oglądać dozwolił. Szczęściem, choć to był dzień, w którym zbiór nie bywa otwarty, jako cudzoziemcowi, nie odmó-

wiono mi przystępu. Przez salę, w któréj złożone są sztychy, prowadzi przejście do pałacowéj kaplicy, i w czasie, gdym notował Falck'a, przestrzeżono nas, abyśmy wstali pośpiesznie, gdyż arcyksiężna przechodziła właśnie na mszę.

Spędziwszy część dnia tutaj, udaliśmy się późniéj do sławnéj galeryi książąt Lichtensteinów, umieszczonéj w przepysznym ich pałacu na Rossau, niedaleko Schottenthor. Wspaniałe wschody, malowane stropy, wnijście monarchiczne do tego gmachu, zajętego od góry do dołu zbiorem obrazów (liczą ich tu do półtora tysiąca) więcéj z razu obiecuje, niż rozpatrzenie dotrzymać może. Gdybyśmy nie wiedzieli, że galeryę fantazya pańska austryackiego Krezusa, ks. Adama Lichtensteina utworzyła razem z pałacem, domyślić się było łatwo z przeglądu zbioru, którego większa połowa zdaje się dla zajęcia próżnych miejsc być wezwaną. Prawdziwa uczta ewangieliczna, na którą ściągniono z ulicy przechodniów.

Mianowicie manierowane utwory niejakiego Franceschini, który tu i freski malował i masę obrazów, nadużywają gościnności ks. Lichtensteina. Rozminąć się nie można z tym, niesłychanéj płodności robotnikiem.

Perłą galeryi jest Rafaelowska Madonna z jabłkiem, malowana na drzewie, z epoki przejścia między pierwszą a drugą mistrza manierą, istotnie bardzo piękna, i portret Perugina. Do tych dodać należy Perugina M. Boską, klęczącą przed dziecięciem, przedmiot, który on wielekroć powtarzał, parę Ghirlandajów, Pinturichiów i Francia. Wogóle szkoła włoska niedostatecznie się przedstawia, hiszpańskiéj niéma wcale, francuskiéj kilka tylko obrazów, niemiecka ogranicza się parą Wolgemuthami, Dürerami i Van Eyckiem wątpliwym. Najwspanialéj staje tu szkoła flamandzka, z portretami Van Dyck'a i obrazami Rubens'a, wielkiego rozmiaru i wielkiéj świeżości.

Pojmując w drugich zamiłowanie szkoły flamandzkiéj, nigdym wszakże podzielać go nie mógł. Rubens téż wielkiéj przyjemności mi nie sprawia swemi falami mięsa i soczystością tonów. Wolałem już przypatrywać się pięknym krajobrazom Ruysdaela, Berghem'a i Louterbourgh'a. Za osobliwość pokazują tu dwie twarze Seybold'a tak malowane, że przez lupę widać pory na skórze i zdaje się patrzéć na anatomiczny preparat.

Sztuczka nie sztuka.

Wstąpiwszy po drodze do składów Artaryi, gdzie znalazłem cokolwiek dosyć drogich Falcków, Hondiusów, John'a i D. Schultz'a, powróciłem do domu na obiad, aby być zawczasu gotowym do Karl-Theater, gdzie miał występować sławny Emil Devrient, jeden

z najznakomitszych niemieckich artystów, znany współzawodnik Dawisona warszawianina, którego ubóstwo naszéj sceny pchnęło na niemiecką.

W Karl-Theater na Leopoldsztacie przedstawiano tego wieczora dramat Karola von Holtei pod tytułem: *Laur i Kij żebraczy* (*Lorbeerbaum und Bettelstab*) z epilogiem jednoaktowym—*Kij żebraczy i Laur*. Historya to stara i znana... poeta kocha i marzy, styka się z obcym mu światem i cierpi od niego. Agnieszka, córka barona von Anselm bankiera, posyła mu drzewo laurowe po przeczytaniu jego poezyj, biedny poeta wierzy w sławę i w lauru owoce, chce na niéj życie zbudować, ale świat go odpycha szydersko i odmawia tego, co zrazu przyrzekać się zdawał. Walka ideałów z rzeczywistością. Agnieszka idzie za jego przyjaciela, żona poety Matylda umiera, laur zeschły i ścięty staje się kijem żebraczym... Epilog w lat dwadzieścia potém, przewybornie odegrał Devrient, gdy oszalałemu z boleści żebrakowi wszystka jego przeszłość się uwidomia i wspomnienia gorzkie na chwilę wracają przytomność. Scena w altanie, poznanie przyjaciół i syna z wielką prawdą idealną była oddana. Ale w trzecim akcie Devrient chcąc do zbytku być wyrazistym, stał się konwulsyjnym, przesadnym... Wielki to jednak artysta, pojęcie roli, ruchy, głos przewyborne, może tylko nadto patetyczne, czemu i autor winien nieco i... któż wié! publiczność także. Artysta czuł, jaką dozą jéj mierzyć potrzeba było. W epilogu płakali wszyscy i trudno było nie płakać, gdy książkę swych poezyj chwytał jeszcze nieprzytomny, gdy na głos przeszłości się budził, gdy wreszcie zaczętą przez syna pieśń młodości i nadziei wielkim zanucił głosem...

O! stareż to dzieje... ale pytanie jeszcze, czy poecie puchowych szczęścia poduszek, czy łoża męczeńskiego potrzeba?... Sława zdobyta łatwo i powodzenie pętają, cierpienie jeśli nie zabija, dźwiga, zolbrzymia.

Gdybym nie opisywał podróży i nie był niewolnikiem notatek, spytałbym jeszcze, czy nie czas po tylu umęczonych poetach, wyprowadzić na scenę, potężnego istotnie duchem wieszcza w zapasach ze światem, zwycięskim, silnym, prawdziwie wielkim. Wszyscy ci poeci są po trosze... przepraszam za wyraz, ślamazarni, rozpieszczeni i niedołęgi. Ani sercu, ani światu panować nie umieją, gną się pod lada ciężarem, dowodzą niemal, że poezya jest chorobą odejmującą siły, czyniącą niezdatnym do pracy, do cierpienia, do żywota.

Są to poeci szpitalni, jak ich nazywa Goethe.

Przestarzały ten i zużyty ideał poety powinienby może miejsca ustąpić nowemu, nie zrodzonemu jeszcze, niemożliwemu, powiecie,

ale istotnie oryginalnemu. Zamiast rozpłakanego poety, który cierpi i wzdycha, czyżby nie piękniejszym był mocarz z poezyą w duszy, z gieniuszem na czole, a z żelazną wytrwałością zarazem i pokojem wewnętrznym, nieugięty przeciwnościami, niewzdragający się ubóstwa, nie narzekający a walczący i dobijający się uznania?... Któż wié, może taki ideał postawiony na piedestale wybawiłby nas od bardzo licznych poetów schorzałych, rozleniwiałych, czczących w sobie zbytnio Apollinowego potomka i pogardzających pracą powszednią, jako wyczerpującą ducha, a niegodną wieszcza!

Ale powróćmy do teatru... Karl-Theater okrągły, dość obszerny, pięknie zbudowany i wielce ozdobny, wygląda świeżo i mile. Na kortynie wielki rozpięty... wachlarz z godłem: *Lob und Tadel*.

W notatkach dnia tego znajduję pobieżne uwagi, jakie mi widok ulic i ludności, a nareszcie bytność w kilku miejscach nastręczyła; o kawiarniach i piwiarniach (Bierhaus), o życiu ogródkowém Wiednia, które jest życiem prawie całych Niemiec i t. p. Nie sądzę, bym z krótkiego mojego pobytu miał prawo jakie wnioski wyciągać, dlatego się od ogólników wstrzymuję. Potrzeba być pewnym, że się wyjątków nie bierze za regułę, a tego para dni nauczyć nie może.

Uderzyła mnie tylko widoczniéj równość klas i swoboda indywidualna wszystkich, nareszcie zlanie się widoczne społeczeństwa w jedno ciało, wyjąwszy arystokracyę. Ta jeszcze się tu zupełnie wyróżnia i oddziela, ma przywileje odrębne, wiedzie życie odosobnione, zamyka w kółku, które sobie tworzy. Czy się ona odżywia nowemi żywioły, czy przypuszcza, jak angielska dorabiające się wielkości do swojego łona—niech lepiéj ją znający powiedzą.

Nazajutrz z panem Mikołajem Bołoz Antoniewiczem (autorem Oświęcimów), który stale mieszka w Wiedniu, i z X. Manieckim, wikarym kościołka polskiego św. Ruprechta, poszliśmy obejrzéć kilka kościołów, poczynając od tak zwanego włoskiego, Minorytów, to jest niegdyś bernardyńskiego...

Kościół to gotycki, stary z XIII lub XIV wieku, odświeżony i wyrestaurowany ze smakiem, jako budowa, bardzo piękny, szczególniéj portyk, ale już nie mający uroku starości, któréj barwę zeń starto. Łuki sklepień bardzo wdzięczne; ale wogóle gotycki kościół, przypominający salon, nie robi wrażenia. Godne w nim widzenia: nowy pomnik poety Metastasio i sławna mozajka Rafaellego z wieczerzy Leonardo da Vinci. Przepyszne to dzieło daje może najlepsze pojęcie zniszczonego dziś na pół... w trzech częściach raczéj, oryginału. Koloryt mozajki nieco mdły i szarawy.

Stąd udaliśmy się do kościoła XX. Augustyanów (Hofpfarrkirche) przy pałacu cesarskim i ulicy zwanéj Augustyańską, budowy XIV w. Tu oglądałem znany bardzo z rycin wielu pomnik grobowy arcyksiężniczki Maryi Krystyny, żony Alberta księcia sasko-cieszyńskiego, pomysłu Canovy. Jest to piramida, w pośrodku któréj ciemna głąb' grobu się otwiera, do niéj ciągną powoli postacie alegoryczne: cnota, dobroć i t. p. Gieniusz oparty na lwie i starzec są prześliczne, ogół wyszukany nieco dla efektu, ale piękny. Dodaje wrażenia czarna próżnia wpośrodku tajemnicza, pełna smutku... przerażająca... ale ten posiłkujący środek trąci epoką, która go użyła. Jest to znów sztuczka tylko...

Jeszcze raz zaszliśmy do św. Szczepana, którego bogatych ozdób i fantazyi wieku, co to dzieło stworzył, dość się wydziwić nie można. Życie nie zużyte, młodzieńcze tryska z téj architektury rozkwitającéj bujnie, obficie, przerastającéj w niezliczone postacie, w kwiaty, strzały, słupy, koronkowe dzierżgania; obracającéj kamień w pajęczynę, ale nie umiejącéj rozrosnąć się poważniejszemi rozmiary, na których surowy majestat brak jeszcze idei wewnętrznéj. Pytanie, czy to rzeźba tylko, czy budownictwo?

Wielkość składa się tu z niezliczonéj ilości drobnostek, w których oko i myśl ginie, nie dochodząc do objęcia całości. Ileż to pomysłów zginęło tu, utopione po kątkach, zakryte, niedostrzeżone, na maluczką wykonane skalę, nie dorosłszy arcydzieł, którémi być mogły!

Dwie kazalnice rzeźbione św. Szczepana nie kosztowałyż tyle pracy i myśli, co nie jeden gmach katedralny? Architektura ta buja, jak las dziewiczy, naśladując naturę *maxime miranda in minimis*, lub raczéj podobną jest pod pewnym względem do bujających pod morzem koralów, drobne ich gałązki misternie poplątane, tworzą wprawdzie wyspy, ale w małéj rybce więcéj jest życia i swobody, niż w tych miryadach cienkich wypustków. Maleńka świątyńka grecka jest czémś całém i pełném, gotycki olbrzym rosnąć może na wyspę i będzie tylko skupieniem drobnostek.

W ogrodzonym dziedzińcu z powodu restauracyi podniosłem z uczuciem poszanowania upadły z góry, zczerniały kawałek rzeźbionego kamienia, który teraz nowym zastąpiono. Nieznanego robotnika ręka wykuła go przed wieki na chwałę bożą; szkoda, by w proch starty walał się pod nogami, powieziemy go z sobą.

Rzeźby zewnątrz kościoła w ścianach umieszczone, godne są także widzenia, przypominają one krakowskie z czasów Stwosza charakterem epoce właściwym. Zastanawia oczepiona przy boku zewnątrz stara kazalnica gotycka, z któréj do ludu nie mieszczącego się znać w świątyni, napełniającego rynek, przemawiał św. Jan Ka-

pistran. Zeszpecono ją dodanym późniéj, ciężkim, złego smaku posągiem świętego, gniotącym ducha grzechu.

Zewnątrz także oglądaliśmy kościół gotycki Liguorystów, zbudowany przez cech rybaków, którego wnijście przyozdobione baldachimem rzeźbionym bardzo ładnie, i *cubiculum* św. Stanisława Kostki, dziś znajdujące się w domu prywatnym.

W ciasnym wogóle Wiedniu starym, placów jest mało, taka niewielka przestrzeń, jaką tu arystokracya bankierska i kupiecka zajmuje na Graben, już się za obszerny plac uważa. Jako ulica jest ona ozdobna, wytworna, piękna, pełna najpyszniejszych sklepów i domów bogato przystrojonych. W pośrodku wznosi się bardzo niesmaczny, ale oryginalny pomnik, św. Trójca (Dreifaltigkeitssäule) z marmuru tyrolskiego z mnóstwem figur, obłoków i ozdób cechujących wiek XVII.

Ranek wiosenny bardzo sprzyjał przechadzce, poszliśmy więc daléj do *Volksgarten* dla zobaczenia Tezeusza Canovy, pokonywającego Minotaura. Myślałby kto, że jest umieszczony w wielkiém świetle dnia, na tle zielonych drzew, i tak, ażeby go ze wszech stron swobodnie oglądać można? Nie wiem, czyja to wina, ale chcąc zapewne zachować szacowny marmur od słoty i zimna, zamknięto go, jak w trumnie w rodzaju ciasnéj kapliczki, gdzie się najśmieszniéj w świecie wydaje.

Świątyńka ta ma być wierną kopią budowy ateńskiéj, którą zowią świątynią Tezeusza, ale możnaby skwitować z tego architektonicznego archaizmu, gdyby posąg stał inaczéj.

Grupa Tezeusza z Minotaurem (którego Canova fantazyjnie przekształcił na Centaura) jest piękna, chociaż grzeszy, powiedziałbym, stylem deklamatorskim, brakiem prostoty. Sam Tezeusz jest to studyum wyborne męża w sile wieku; energia i ruch zlały się w dobrze pojętą postać Centaura, którego ostatni wysiłek wyrazisto jest oddany... Ale czémże to ta rzeźba tak wycacana, tak wysmażona, taka ślieczniuchna, przy starych greckich, a nawet dobrych rzymskich? pojedyńczo wzięte części mogą być piękne, całość nie żyje, jest tylko umiejętnie rzeźbionym kamieniem.

Inaczéj być nie mogło; grecki artysta dłutował pełen wiary i miłości, średniowieczni rzeźbili madonny, modląc się do nich, w tych dziełach wlany w nie duch mieszka dotąd zaklęty. Czémże był Tezeusz dla Canowy? Motywem do popisu, wykuło się téż coś teatralnie popisowego, a zimnego. Taka jest nasza rzeźba wogóle, cała naśladownicza, nieprawdziwa, podrobiona... Kiedy Pradier lub Klesinger wypieszczone ciało lubieżnéj niewiasty wylepią, czuć, że je pojęli, że mieli w niém upodobanie, że to wykonali z gorączką... niestety! na nic innego wiek nasz i sztu-

ka się nie zbiorą, bo w nic innego nie wierzą! Z wiarą i chęcią rzeźbim tylko—lorety.

Inne posągi wiedeńskie, jak Franciszka przez Marchesi z Medyolanu—*Populis meis, amorem meum*, nie piękne, pomnik bogaty a bez charakteru, prócz tego, stoi za ciasno, na oszczędnie wydzielonym placu, tak, że go w przyzwoitéj odległości obejrzéć nie można. Cesarza Józefa téż nie lepszy, koń z podpartą nogą zabawny. Zauner, który nad nim jedenaście lat pracował, wcale się nie popisał; gdyby był choć kulawego konia wyleczył.

Chociaż codziennie zwykłem był jadać na dole w hotelu, gdyż to oszczędzało czasu, towarzysz mój, Klemrod (znany już z historyi tytuniu, ale nie z wielkiéj zacności swéj, do któréj łączył, niestety, rozmaite przesądy), nie mogąc się pogodzić z arystokratyczną kuchnią Munsch'a i austryackiemi oficerami, którzy z niéj jedli, wyciągnął mnie na poszukiwanie demokratyczniejszego stołu. Przywykły trybem polskim do poprzedzania obiadu kieliszkiem wytrawnéj starki, Klemrod wynalazł był kirsch, o którym mówił, że był za dobry dla Niemców, chciał jeszcze koniecznie odkryć, gdzie barszcz i zrazy... poszliśmy razem w tę podróż gastronomiczną i trafiliśmy na jakiś braten i austryackie wino.—Niemiecka kuchnia dziwną się wydawała naszym polskim żołądkom, a sławne wina, mające naśladować reńskie i bordo, bez patryotyzmu, za codzienny napój niepraktycznemi się okazały. Wszakże przekonaliśmy się, że tu żyć można, Klemrod znajdował, że wcale nie źle, byleby wprzód zbadać i przestudyować knajpy i w ściślejsze wejść stosunki z kielnerami. Ale Wiedeń był dla nas tylko popasem i badanie nad jego jadłem musieliśmy swobodniejszym rodakom zostawić. Poznaliśmy tylko z łaski bawiących tu rodaków jednę z najwziętszych knajp *Zum Sperl*, nie bez zgorszenia Niemców, bośmy obiad pożywali przy żywéj gawędzie i głośnych śmiechach, gdy oni w milczeniu i skupieniu ducha jedli rosbraten, lungbraten i różne brateny. Retzen Ausschnitt z r. 1834 pogodził nas nieco z austryackiemi winami, ale inne rodzaje więcéj mają pokrewieństwa z lekkim octem, niż z tém, cośmy my zwykli winem nazywać.

Tak utrzymywał i Klemrod, który za jeden tylko kirsch domagał się złotego medalu dla przemysłu austryackiego. Po obiedzie poszliśmy znowu rozglądać się po ulicach, księgarniach i t. p.

Przypadkiem spotkałem się tu z pomnikiem, który mnie więcéj zajął (proh pudor!) niż posągi Franciszka i Józefa... był to tak zwany *Stock im Eisen*, pień w żelazie... Uchował się

on ze swą legendą pod ścianą kamieniey, idąc na Karyncką ulicę.

Najęty przewodnik miał sobie za obowiązek wskazać tę jedyną, oryginalną zupełnie w Wiedniu—pamiątkę przeszłości.

Ma to być ostatni pień starego lasu, który tu rósł przed laty, dziś cały tak nabity gwoździmi i gwoździkami, że wygląda, jakby był łuską pokryty, skutkiem obyczaju zabijania po jednym ćwieku przez wszystkich czeladników ślusarskich, idących na wędrówkę. Pokłoniłem się temu szanownemu zabytkowi, myśląc, ile to pracowitych rąk na tę się zbroję składały.

Szukaliśmy jeszcze, błądząc po ciasnych uliczkach, coś zastanawiającego choćby już na szyldach kupieckich, ale wogóle w tém jak innych rzeczach, Wiedeń nie odznacza się pomysłami śmiałemi. Życia i fantazyi w nim mało, a to, co jest, tak porządnie uregulowane, aby powszedniemu żywotowi i jego ciszy nie zawadzało, ani raziło zbytecznie. Sklepy niemal wszystkie po staremu, są *pod* czémś, *am*, obyczajem średniowiecznym, który się i w Paryżu zachował. Tam, gdzie znak dawny malowany, stanowiący godło, już zniknął, utrzymało się pisane o nim wspomnienie, wielkiemi głoskami.—Znaleźliśmy sklep kobiecych fatałaszek pod węgierskim prymasem, kilku krawców pod cesarzami austryackiemi i wiele innych kramów pod patronatem różnych świętych, których nie wahano się użyć za opiekunów i za szyldy. W téj profanacyi jest głęboka wiara dawnych wieków, ale dziś dziwnie się to wydaje.

Wieczór spędziliśmy w Burg-Theater, gdzie grano niby oryginalną komedyą: *Leichtsinn aus Liebe* Bauerfeld'a, wykonaną wybornie. Odznaczały się sceny zbiorowe, oddane z wielką naturalnością, gra wogóle była staranna, ale dzieło nie zbyt dzielne, trzymało się samym sposobem przedstawienia. Ulubiony komik P. Meixner za każdém ukazaniem się, samą postacią swą, homeryczne w sali obudzał śmiechy. Z kobiet, p. Bossler najlepiéj i najżywiéj rolę oddawała.

Wiedeńczycy, ludzie spokojnego charakteru i bez namiętności, coby ich żywot regularny zakłócić mogły, jak wszędzie, tak i w teatrze takie niewinne rzeczy, wesołe, umiarkowanie osolone, niezbyt pieprzne, miejscami trochę tłuste, przekładają nad inne. Po nich śpią nie gorączkowym snem, ale spoczywają z sumieniem spokojném, myśl jak ptak przestraszony po klatce, w mózgu się nie tłucze, świat wydaje się przyzwoity i znośny. *E sempre bene.* Gienialne pomysły mają to do siebie, że człowieka burzą, niepokoją, wyprowadzają z błogiego stanu skrzepnienia. Nawet w Lau-

rze i kiju Holtei musiał im gwoli ukazać w końcu zgodę, przejednanie, pokój, a po nim obfitą i smaczną wieczerzę.

Nazajutrz była niedziela, w kościele włoskim minorytów, o którym już wspomniałem, o jedenastéj zapowiedzianą była msza śpiewana przez artystów opery. Celebrować ją miał nuncyusz papieski. Śpiew i muzyka nic do życzenia nie pozostawiały, bo wogóle począwszy od kościoła do teatru, do ogródka, do najlichszéj knajpy, gdziekolwiek w Wiedniu posłyszysz muzykę, z pewnością prawie jest dobrą. Tu wykonanie było świetne, żywe, aż nadto może dla kościoła dramatyczne, nieco za teatralne. Odznaczał się basista Angellini. Wykonywano starą bardzo piękną mszę Haydn'a, ale namieszano do niéj trochę świeżéj włoszczyzny, aby lepiéj smakowała. Kościół był przepełniony. Kazanie po włosku miał kapelan miejscowy, z giestykulacyą namiętną, żywą, teatralną także, ale je ślicznie i ogniście powiedział. Wogóle przytomni więcéj się przysłuchiwali muzyce, patrzali na chór ku śpiewaczkom, przyglądali pięknéj mozaice wieczerzy i pomnikowi Abbate Metastasio, niżeli modlili.

Bawiąc dni choćby kilka w Wiedniu nie widziéć Prateru, nie przebiedz przynajmniéj téj sławnéj przechadzki, niedarowanym byłoby dla turysty grzechem. Chociaż więc zapowiedziałem sobie przed drogą zawczasu, że na wszystkowidzenie chorować nie myślę, i to tylko oglądać będę, co dla mnie zajmującém być może, przeczytawszy wyborną charakterystykę Prateru pani Staël, pojechałem rzucić nań okiem. Na nieszczęście piękna ta, ślicznemi staremi drzewami otoczona przestrzeń ciągnąca się aż do zielonych brzegów Dunaju, ubrana w ogródki, domki, kawiarnie, teraz była zupełnie pusta. Wczesną tylko wiosną i późną jesienią najliczniéj się tu zbierają.

„Na Praterze, pisze p. Staël, najsilniéj uderza dobry byt i dostatek mieszkańców Wiednia. To miasto uchodzi za najwięcéj spotrzebowujące jadła ze wszystkich stolic równych mu ludnością, a choć to niewielka zaleta, nikt mu jéj nie przeczy. Przybywają tu o piątéj wieczorem całe rodziny mieszczan i rzemieślników na podwieczorki wiejskie tak obfite, jak gdzieindziéj obiady; a grosz, który na nie wydają, dowodzi, jak są pracowici i łagodnie rządzeni. Wieczorem tysiące ludzi powraca, za rękę wiodąc dzieci i żony, a najmniejszy nieporządek, żadna kłótnia nie mąci spokoju tego tłumu, którego ledwie głos słychać, tak się cicho bawić umié. Milczenie to nie jest skutkiem smętnego usposobienia, ale raczéj błogiego stanu po cielesném nasyceniu, przypominającego nieco w południowych Niemczech melancholią mieszkańców

północy. Do obu miesza się trochę spokoju, lenistwa i rozmyślania.”

Spytałbym, czy to jest życie?... Jeżeli je tak nazwać można, jest ono chyba może ostatnim szczeblem, który z uśpieniem graniczy.

Ogromna, szeroka, wspaniała, nieskończonéj długości ulica Prateru, wysadzana kasztanami, ostawiona szynczkami i teatrzykami, może jest w swoim rodzaju równie piękną jak pola Elizejskie, ale jakże odmienną! Ile tam ruchu i życia, ile tu wstrzemięźliwości i chłodu, nawet przy zabawie! Trafiło mi się widywać pola Elizejskie o téj saméj porze i w podobnych do Prateru warunkach, ale francuski ów spacer żył zawsze, choć odpoczywał.

Wieczorem z hrabią Konstantym P. poszliśmy do Hoftheater opery, dla zobaczenia granego tego dnia *Il Barbiere di Siviglia;* w Burgu przedstawiano P. Pfeiffer *Die Grille*, aleśmy woleli muzykę, niż dramat płodnéj autorki. Teatr opery mały, nie piękny, ani wytworny, ale śpiewacy bardzo dobrze dobrani. Hrabiego Almaviva tu śpiewał P. Carion Emanuel *Cantante di Camera di S. M. J. R. A.*, Barthola Giov. Zucchini, Rozynę p. Charton-Demeur, Bazylego ów Francesco Angellini, któregośmy już słyszeli w kościele. Arcydzieło to Rossiniego, które utworzył w szczęśliwéj chwili młodzieńczego natchnienia, odegrane zostało z szaloną werwą i wielkim talentem. Cyrulik Sewilski jest to poryw młodości, walczącéj z zimnemi rachubami wystygłego wieku, upoetyzowanie wesołe miłosnego szału, usprawiedliwiającego wszystko, co czyni, siłą, co go unosi i porywa, jest to pogląd na świat ze strony pociesznéj przez szkiełko szyderstwa. Miłość w nim leciuchna, motyla, niewystępna jeszcze, chociaż w horyzontach przyszłości po za nią, już się zarysowuje wszystko, co może z tego ziarenka płochości wyrosnąć. Bartolo grał i śpiewał wybornie, równie dobrze jak Figaro, mniéj może szczęśliwie Almaviva.—Basilio był doskonały. Rozyna, choć w wyższych nutach nieco ostro, rolę swą odegrała i odśpiewała bardzo pięknie. Wedle obyczaju, który się nie pochwala, dla popisu, dosztukowano do pierwszego aktu, śpiew: *Se il mio nome saper bramate*, a w drugim aryę po francuzku z *Czarnego domina...* ponieważ o całość mniéj chodzi niż o przyjemność słuchania miłego śpiewu, to łatanie tradycyonalne nikogo nie razi—jest we zwyczaju.

Zastanawia w Wiedniu, jako prawie w całych Niemczech, że się nigdy nie spotyka ubogich, policya surowo tego pilnuje, gminy opatrują potrzeby podupadłych, żebractwo nie istnieje, lub

przynajmniéj otwarcie nie chodzi po świecie. Niewiele téż go być musi. Wogóle ma zupełną słusznosć pani Staël, dobry byt mieszkańców wszędzie widoczny, ale obok niego razi taka jakaś ospałość, zobojętnienie, brak życia, że nawet dobrym okupione bytem, smutne robią wrażenie. Nie jestto naród, któryby świetną przyszłość miał przed sobą, spojony silnemi węzły wyższych potrzeb i przeznaczeń, jestto stowarzyszenie ludzi, którym tak jakoś dobrze z wołowiną i piwem, kawą i bułkami świeżemi, że się zrzekają innych celów egzystencyi, byle obiad, kawa, spacer i sen nie chybiły o swéj godzinie.—Niemiecki pierwiastek przeważa naturalnie w Wiedniu, ale obok niego z prawami obywatelstwa, wygodnie się rozgaszczają i inne narodowości, których poszanowanie przynajmniéj co do języka, stroju, obyczaju i niewinnych oznak zewnętrznych, jest wybitne. Nigdy zapewne ta zbierana drużyna spójnéj nie stworzy całości, ale spokojnie wegietować tak można, nie drażniąc ludzi w tych drobnych rzeczach, które stają często za większe i ważniejsze.

Zrana oglądaliśmy kościół czeski, zwany *Marya Stiege* (dawniéj *Maria am Gestade*) z początku XV wieku, pięknego gotyckiego stylu, z oknami malowanemi Mohn'a, wodług rysunków Schnorr'a świeżo go odnowiono. Dziwném jest skrzywienie głównéj nawy, które wytłómaczyć sobie trudno. Przypuścić, żeby budowniczy uczynił to umyślnie, niepodobna, przypadek téż tego rodzaju jest prawie niemożebny. Uchybienie to nie jest zbyt widoczném, ale wpatrzywszy się dostrzedz daje. Zajrzałem i do kościoła kapucynów, gdzie są groby cesarskie, ale tu nic zajmującego nie znalazłem.

Wypadało korzystając z pięknego dnia i do Schoenbrunn pojechać, choćby dla późniejszego porównania go z Wersalem, którego jest naśladowaniem. Droga wiodąca przez przedmieście Mariahilf i spotykane tu obrazy zawsze jednym odznaczały się kolorytem porządku, spokoju i życia, trzymanego w klubach przyzwoitych. Wyjechawszy za właściwe miasto otaczające przedmieścia, wprawdzie budowy i ulice natrafią się szersze, ale ludność taż sama i flegma jednaka. W mieście, że ciaśniéj jest nieco, gęstszy przepływ ludzi i naśladuje to ruch trochę żywszy, tu na szerszych przestrzeniach, wszystko jeszcze wolniéj się przesuwa,—*langsam, ruhig!*

Schoenbrunn miasteczko w dosyć ładném położeniu, zielone, świeże, pałac wielki czysty, ale wcale jakoś niesmaczny. Główną w nim ludnością zdaje się wojsko, którego wszędzie pełno dokoła i w środku gmachu. Po za owym pałacem, w którym rodzina

panująca zwykle latem przebywa, gdzie Napoleon podpisywał traktaty, a syn jego umierał, ciągnie się ogród w francuskim smaku starannie utrzymywany, symetryczny, posągami wcale ładnemi ozdobny, a zakończony w głębi tak zwaną gloryettą i fontanną. Przechadzać się tu można swobodnie każdego czasu, a prawo to służy wszystkim bez wyjątku, nawet w czasie przebywania rodziny cesarskiéj. Wiedeńczycy téż używają go, nie robiąc ceremonii, gospodarzą jak u siebie, palą cygara i fajki, są tylko tak grzeczni, że w tym czyściuchnym ogrodzie śmiecia nie robią, szkody w kwiatach nie czynią i przyzwoicie, jak na dobrze wychowanych kulturtregerów przystało, się znajdują.

Cisza i porządek największy, nawet stóżów, którzy-by gdzieindziéj nieodzownie byli potrzebni, nie widać — ludzie się pilnują sami, ale te wystrzyżone ulice, wysypane piaskiem drożyny, posągi Bayerowskie, ruiny umyślnie budowane,—chłodne są i najmniejszego nie robią wrażenia. Kosztowne to a nie wspaniałe, przypomina pałace i ogrody norymberskiéj fabryki, które dzieci na stolikach ustawiają.

Przeszedłszy się po cienistych alejach, obejrzawszy, co każdy znający swe obowiązki podróżny widziéć powinien, pod karą uznania za nieuka, nawet ku menażeryi i ogrodowi botanicznemu uczyniliśmy wycieczkę, zwracając do miasteczka na śniadanie, z pewnością wewnętrzną, iż jeść znajdzie się tu wszędzie dosyć.— Chociaż dzień był powszedni a godzina wczesna, kilka już rodzin wyprzedziło nas do maleńkich stoliczków w cieniu drzew przy restauracyi wystawionych, braten znalazł się gotowy. Co do mnie, ograniczyłem się studyowaniem sposobu pożywania niemieckiego, gdyż każdy naród ma inny sobie właściwy. Polacy jedzą hałaśliwie i wesoło, Włosi żywo i chciwie, choć niewiele, Niemcy z powagą i zastanowieniem, Francuzi szybko, krótko z roztargnieniem, Anglicy spełniając obowiązek ważny, i wielkie w ekonomii człowieka i społeczności ciągnący za sobą następstwa.

Powracając, znowu miałem zręczność przypatrywać się szyldom wiedeńskim, najdziwniejszemi napisami okrytym. Byłyby one wcale niestosowne dla szynków i kramików, gdyby ich nie broniła dobroduszna naiwność. Widziałem dwa sklepy pod Chrystusem, pod Duchem świętym, pod N. Panną i mnóstwem świętych różnych, które u nas by już nie uszły, pobożniejsi jesteśmy zarazem i mniéj średniowieczni.

Na przedmieściu Mariahilf minęliśmy jeden z licznych w Wiedniu *Unterhaltungsorte*, zakład Schrendl'a z teatrzykiem letnim, salą balową dla klasy średniéj, kawiarnią i ogrodem. Wogóle tego

rodzaju miejsc, wiele potrzebują wiedeńczycy, część życia spędzając w nich, jak wogóle większość Niemców. Gościa zaprasza się nie do domu, ale do restauracyi, w domu mało kto siedzi i przyjmuje z klas średnich, ogródkowe i kawiarniane życie latem opustosza mieszkania, przychodzą tu z dziećmi, z robotami, czasem z ciastem w papierze, aby go nie kupić. Kufel piwa dozwala siedzieć, póki się podoba. Tu się wiążą znajomości, zbliżają serca i różne zadzierzgają stosunki. Co wieczora pełne są Elizeum Daum'a, sala Sperl'a, Sofijska i niezliczone inne pomniejsze zakłady. Gdzieindziéj pojedyńczo zwykle, osamotnieni, szukają w takich miejscach rozrywki i towarzystwa, tu idzie mieszczaństwo rodzinami całemi, od starca począwszy, do niesionego na ręku niańki dziecięcia. — Ogródki też mają uczciwą i spokojną fizyonomią. Kawalerowie prowadzą się do nich z panienkami, matki z córkami, mężowie z żonami, każdy regularnie płaci tylko za siebie, wszyscy bawią się razem, awantur niéma prawie nigdy, a kosztuje to daleko mniéj, niż przyjęcie we własnym domu.

Wieczór spędziliśmy na operze Verdiego, *Rigoletto.* Z tego świetnego jak wszystkie dzieła mistrza i hałaśliwego przedstawienia, jedna tylko śpiewka: *le donne son mobile* utkwiła w pamięci,— a co było szumu, wrzawy i efektów! I libretta oper i muzyka do nich dzisiejsza stały się zaprawdę dziwną karykaturą ideału, którego być miały wcieleniem. Wszystko w nich umówione, oklepane, przewidziane z góry, jeden przesadzając się nad drugiego, tworzy tylko coraz potworniejsze rzeczy, a nikt nie ma odwagi do natury i prostoty środków powrócić. Patrząc na artystów, słuchając téj muzyki umiejętnéj, wysilonéj a chłodnéj, dziwi się człowiek i pyta, co to ma przedstawiać? jakiemu stanowi ducha, jakiéj potrzebie, jakiemu uczuciu, jakiemu zadaniu sztuki odpowiada dziś opera? Zdaje się, że przyjdzie jakiś gieniusz, który odrodzi operę i wleje w nią nowe życie, choć już trudno się teraz spodziewać tego po Wagnerze. Muzyka i słowo, malarstwo, rzeźba, żywi ludzie, tyle materyałów do tworzenia idealnego obrazu, a wszystko to rodzi tylko poczwarną życia karykaturę, lub oklepaną pospolitość.—Wiemy odrazu, czém się śpiew zakończy, jaki ruch zrobi primadonna w rozpaczy, jak wyrazi swą miłość, niepewność, smutek, na wszystko pełno formuł gotowych. Gdybyż choć muzyki świeżość okupywała zużytéj budowy wady, ale i w niéj prawdziwy nawet talent z oków tradycyi wyrwać się nie umie... Do niezniesienia jedno... wyrazem całości.,. komunał.

Zdaje się na pozór, że tam, gdzie sztuki wszystkie podają so-

bie dłonie, aby jedno wielkie stworzyć dzieło, zespolenie tylu środków powinnoby wydać rzecz ołbrzymią. Inaczéj się dzieje, każdy z mistrzów pojedyńczo silniejszy jest, w téj spółce słabną wszyscy, poeta nie całym jest sobą, muzyk zastosowuje się do osnowy, malarstwo czuje się upośledzoném, artyści więcéj dbają o wystąpienie własne, niż o harmonijną jedność, i ten wielki twór zbiorowy staje się nieforemną łataniną.

III.

Koleje i jeszcze koleje.—Wyjazd z Wiednia.—Droga przez Semmering.—Alpejskie krajobrazy; podróż przez góry.—Gratz.—Fantazmagorye widoków.—Lublana.—Zmierzch.—Przypomnienia drogi.—Tunel monumentalny.—Kwiaty alpejskie.—Tryest. - Lloyd'a Vorwärts.—Charakter ludności.—Widok miasta.—Nad portem.—Katedra.—Łuk tryumfu bezimienny.—*San Giusto*.—Wspomnienie Winckelmann'a.—Widoki okolic.—Klimat. — Miasto. — Osiołki. —Histerya.—Aquila Nera.—Statek Roma.—Na statku.—Burza grożąca.—Widok morski.—Noc na Adryatyku.—Dworak kapitana.—Zaranie.—Wschód słońca.—Lido.—Widok Wenecyi.—Zawód doznany.—Gondole, wylądowanie—Luna.

Darujcie, szanowni czytelnicy, że raz jeszcze muszę powtórzyć wyznanie, które mi na sercu leży.—Konie chyba i bydło wiezione na targ koleją żelazną i sznelcugiem, mogą być rade z tego sposobu podróżowania, choć i o tém wątpić sobie pozwalam; ludzie większéj niewoli dla siebie wymyślić nie mogli, dobrowolnie zrzekając się wszelkiéj swobody, i na równi stając z numerowanym pakunkiem. Jeżeli gdzie, to na drodze z Wiednia do Tryestu najmocniéj ubolewać przychodzi nad sposobem, w jaki się czarodziejski ten krajobraz przebiega. Jednego dnia od szóstéj rano do jedenastéj wieczorem, mil naszych około sta... i jakimże krajem, jak cudownemi okolicami, które migają tylko przed oczyma, gdyby sny przelotne! Cóż potém napisać o tym błysku widoków, po których wzrok się zaledwie prześliznął? O czwartéj rano zbudził nas zacny hrabia Konstanty P., który przyrzekł przeprowadzić do Brück o mil dziewiętnaście za Wiedniem; ubraliśmy się z pośpiechem i pobiegliśmy do dworca kolei żelaznéj południowéj, jeszcze dość przybywszy w porę, aby się zapisać, przypatrzyć przez los danym nam towarzyszom i kupić kilka numerów świeżych dzienników, które wraz z kawą na podróżnych tu oczekiwały.

Minąwszy Wienerwald, arsenał, Belweder, potém cmentarz w Matzleindorf i piękny pomnik gotycki zwany *Spinnerin am Kreuz*, z równiną otaczającą miasto, wjeżdza się w góry i poczyna przesuwać najcudniejszą panoramą alpejską.

Kolej ta zuchwała, pomysłem i wykonaniem do najpiękniejszych zwycięstw człowieka nad naturą należąca, przebywa odnogę Alp noryckich, do których należy Semmering. Wije się ona wyniosłemi szczytami gór i przedstawia zdumionemu oku pasmo nieprzerwane najwspanialszych widoków. Baron de Sina, który się ośmielił przedsięwziąć to olbrzymie dzieło, dał wielki dowód wiary w ludzką umiejętność i siły. Carlo di Chega inżynier stworzył pomysł kolei, studyowano ją od r. 1841 do 1848, pracowano nad nią do r. 1854. Część nieco wprzód już była gotową. Wspomnimy tu nawiasem, że do robót inżynierskich przy drodze, wielu naszych ziomków użytemi byli, jak K. Pilarski, który niemi kierował, A. Lewicki, Anas. Męciszewski, Rychlewicz, Ripelli (w Polsce urodzony), Szynglarski i Osiecki.—Droga ta śmiało rzuca się w góry, wije po nich ku wierzchołkowi Semmeringu, przerzyna go długim tunelem, doliny zarzuca ogromnemi wiaduktami i zdaje się najgrawać z nagromadzonych tu trudności, które obchodzi lub zwycięża. Machiny, które prowadzą pociąg, zastosowane są umyślnie do wymagań miejscowości, były stworzone i robione dla kolei, wedle planów Engerth'a.

Szczegóły te wykonania drogi mało są komu znane, ale każdego uderza śmiałość pomysłu, dobijanie się wierzchołka po krętych, wężykowatych ścieżkach, za niedostępne dla pary i lokomotywy uważać się mogących. Zaledwieśmy minęli Wiedeń, w prawo zaraz ukazały się nam pagórki, które rosły i podnosiły się w oczach, w miarę jak-eśmy się ku nim zbliżali. Powoli przybrały one rozmiary olbrzymie i kraj fizyonomii alpejskiéj rozwinął się przed zdumionemi oczyma naszemi.—Jestto coś tak uroczego, że zrazu wydaje się prześliczną, nieprawdopodobną, przesadzoną dekoracyą teatralną. Góry wyniosłe, pokryte jodłowemi i modrzewiowemi lasami, poprzecinane ogromnemi złomami skał szarych, szczyty zielone, czarne, białawe otaczają gościniec, opasują, ściskają, piętrzą się nad nim, kładną u stóp i co chwila zmieniając, tworzą nieskończonéj rozmaitości obrazy.—W tych warunkach szybkości, nikt dotąd z ludzi górskich widoków nie oglądał, ptaki tylko latające nad niemi; dlatego dziwią i przerażają te zmiany nieustanne kolorytu, świateł, cieni i punktów widzenia. Oku tchu braknie. Droga wije się po wspaniałych, piętrzących się wiaduktach, to zagłębia w czarne tunele, skręca kapryśnie, wygina nagle... tak, że patrzący co chwila pragnąłby szatański ten lot powstrzymać... nasycić się zmieniającą panoramą—ale nim pomyślał, już znikła. Wprawo staje Schneeberg, obwita snującemi się po niéj chmurami, bliżéj na wyżynach sterczą stare zamków zwaliska, u stóp w dolinach, rozłożone bieleją wioski i wieże kościo-

łów śpiczaste... ale wszystko to wiruje w jakimś tańcu przerażającym.

Krajobraz wybitnie alpejski, taki, jakie nam przedstawiają widoki Szwajcaryi, a szczególniéj Tyrolu, nawet bardzo tuzinkowe, ale mimo to, naiwnéj prawdy pełne, jaskrawych barw, kolorytu krzyczącego. Wmiarę zbliżania się ku wierzchołkowi Semmeringu góry coraz rosną, pod stopami otwierają się przepaście, droga przesuwa się brzeżkiem otchłani zielonych, na których dnie daleko, daleko rozsiane wsie, domy, kościoły wyglądają jak drobne plamki białe. Niekiedy przesuwa się pociąg ponad wieżą kościołka, który stoi na szczycie wysokiéj góry; to nad ogromną ławą lasów, które zdają się zsuwać i lecieć jak lawina ku dolinom... Powiew świeżego powietrza górskiego poi, widoki oczarowują.

Ranek był dosyć pogodny, niekiedy przebiegające chmury białe nadawały pejzażowi oświecenie fantastyczne, zmienne, wielce malownicze. Słońce oblewało nagle złotem część gór zostawując doliny w sinawym mroku, to znowu Semmering czerniał, a promyk wciskał się w głębiny złotemi strzępki obwieszając lasy, szmaragdowemi kobiercami wyściełając łąki, ostrym profilem odcinając góry jedne od drugich.

Sny i czary!

Droga snując się tak wężem pomiędzy skałami, górami, to po olbrzymich i majestatycznych wiaduktach, to przez ciemne otchłanie, których od Wiednia do Tryestu przebywa się dwadzieścia kilka, a niektóre z nich przy dosyć szybkiéj jeździe, po kilka minut potrzebują na przebycie—dozwala krajobraz oglądać ze stron rozmaitych i żałować tylko, że mu się dłużéj przypatrzyć niepodobna.

Ta pierwsza zwłaszcza część podróży do wierzchołka Semmeringu, ciągle jest niezrównanéj piękności obrazem, kalejdoskopowo przemieniającym się, choć zawsze z jednych pierwiastków złożonym. Dalekie szczyty gór z tonami powietrznemi, zielenie żywe łąk, ciemne lasy, szare i czerwone skały składają się na ten cudowny pejzaż ruchomy.

Od Gloggnitz począwszy kolej wspina się ciągle, czepia brzegów dolin, przeskakuje strumienie, przerzuca po nad przepaście, drapie na wierzchy niedostępne i wykręca najdziwaczniéj. Jakby dla odpoczynku dojechawszy do Gratzu, kończy się ta panorama urocza, a miasto z zamkiem swym na stożkowatéj górze pobudowane wśród doliny, pomimo piękności położenia, po tych fantastycznych widowiskach, znowu jakoś w rzeczywistszy świat wprowadza.—Doliną za Gratzem jedzie się dosyć długo, aż znowu powoli zaczynają okrążać góry dziksze jeszcze,—okolica majestaty-

czna, skalista. Ściany głazów poszarpane, podarte, strzaskane, sterczą z boków, nad głowami zwieszają się i piętrzą ogromne głazy czerwonawe, gdzieniegdzie lasami jodłowemi i modrzewiowemi poodziewane, wpośród nich znowu zamki, kościoły, domy, ruiny.

Zwaliska te i budowy pomimo piękności swéj, dla oczów naszych dziwnie się drobne i małe wydają, są téż wistocie znacznie mniejszych rozmiarów od naszych zamczysk i grodów starych. O nowych niéma już co i mówić. Przytém architekturą się nie odznaczają, stare kościoły i zamki dziwacznéj są, ale wcale nie pięknéj budowy. Oprócz kościoła w Neuberg, starego opactwa cystersów z XIV wieku nieco wykwintniéj wyglądającego zdala, reszta drobna i krajobrazom otaczającym wdzięk swój winna. Za Gratzem przebywszy skaliste góry i dzikie okolice, po nad brzegami rzeki Murr'u, którą kolej ściga, znowu równiejszym krajem przebywa się do Lublany (Lajbach), staréj rzymskiéj *Aemona*, którą bicz boży Atyla zniszczył, a Justynian wzniósł na nowo.

Tu cudowny widok przedstawiają ukazujące się w prawo ogromne, majestatyczne, pokryte śniegami Alpy, których łańcuch pięknym profilem zajmuje horyzont i w wieczornych barwach powietrznych liliowych, złocistych, lekkich, migoce na chwilę, póki go mroki nie okryją.

Ale otóż i dnia koniec, ostatki blasków pełzną, znikają, wjeżdzamy znowu w łasy i drogą w skałach kutą, wśród otaczających coraz bardziéj ciemności, które zwiększają gęste tunele, szalonym pędem, nic już dostrzedz nie mogąc, lecimy ku morzu.

Cały ten dzień podróży gorączkowy, podobniejszy jest do snu i marzenia, niż do rzeczywistości, wpośród któréj powoli, ostrożnie, stąpać przywykliśmy.—Trudno sobie z niego i drugim zdać sprawę. Przesnuły się przed oczyma obrazy wielkie, cudne, ale co, gdzie i jak się widziało, przypomnieć niepodobna. Malują się w wyobraźni góry, skały, lasy, ruiny, przepaści, wyżyny, i znikają za otaczającemi je mgłami.

Główne ledwie rysy téj wielkiéj dekoracyi pochwycić się dają, napróżno-by się kto silił opisać szczegółowo to czarowne następstwo niespodzianych zmian, z których wrażenie tylko czegoś nieziemskiego zostaje. Potrzeba przebywać Semmering jak my, nieoswojonym z widokami górskiemi, aby się pięknością jego oczarować.

W Cilly, dawnéj *Claudia Celeia*, założonéj przez Klaudyusza, uderza jeden z najpiękniejszych pejzażów, z górującemi zwaliskami zamku wiszącego nad głowami, wpośrodku drzew i zarośli.— Mury te, wedle podań, sięgają czasów Karlomana.

Pierwsza część drogi do wierzchołków Semmeringu jest tak majestatycznéj piękności, że nic z nią późniéj w porównanie iść nie może. Wyniosłe szczyty gór w różnych odległościach ukazujące się wpośród chmur, poprzysłaniane mgłami, wieńczą obraz wspaniale. Jak dymy wulkanów snują się u ich ramion i po wierzchołkach wyziewy szare, z po za których przegląda to złocista iglica, to śnieżne jéj barki, to ciemny profil okrytéj chmurą góry. Stopniowanie planów, kontrastu powietrznych tych zjawisk z silnemi tonami planów pierwszych, nadzwyczaj malownicze. Niekiedy wzrok spada w przebyte przepaści i mierzy je lękliwie, nie pojmując, jak po nad nie się dostał. Widok tych dolin równie piękny i rozmaity, lasy, łąki, strumienie, sioła, schodami spadają aż w głębie, które oko rozpoznaje z trudnością. Obłoczek oderwany od boku prześlizga się zwolna na tle tych zieleni i jak ptak płynie nad dolinami. Ramy obrazu wszędzie olbrzymie, rozległość ogromna, wrażenie tego świata nowego przejmujące.

Podróż przez Semmering można dla saméj cudowności przebywać koleją, ale potém należałoby ją przedsiębrać pieszo, z książką i ołówkiem w ręku, zatrzymując się w wielu miejscach, aby pamięć jéj utkwiła w umyśle na zawsze. Przezwyciężenie trudności, jakie przedstawiał pomysł pierwszy poprowadzenia drogi, obrachowanie umiejętne wszystkich warunków, w jakich ona wykonaną być mogła, budowy wiaduktów, tunele ogromne... nawet niewtajemniczonego napełniają zdumieniem nad pracą, jaką kosztowała, i talentem tych, co badaniami pierwszemi kierowali. Pod względem sztuki nawet, wspaniałym mostom i podziemiom nic zarzucić nie można, tak dobrze wyglądają wśród dzikiéj alpejskiéj panoramy. Pas ten obmurowany żelaznicy ze swemi arkadami, monumentalnemi mostami i pysznemi wroty podziemiów, ozdabia pejzaż i jest jakby wędzidłem, które gieniusz człowieka narzucił dzikiéj naturze.

Na dwóch stronach głównego tunelu Semmeringu, który ma 1428 metrów długości, wmurowane są dwie tablice marmurowe z napisami:

Franciscus Josephus I. Austr. imp.

Hominum rerumque commercio.

Z drugiéj strony:

Adriaticum Germanico junxit mare.

MDCCCLIV.

Żelaznica, jak ją w Galicyi zowią, najdziwaczniéj to się czepia boku skał, to sunie się z biegiem rzek wyżłobioném ich kory-

tem, to przestrzenie znaczne przelatuje w powietrzu po lekkich galeryach kilkopiętrowych, opartych na bokach gór i w łonach dolin, to się tak nieraz nagle skręca, że przebiegłszy stacyę, znajdujemy się zdziwieni nieco wyżéj, ale wprost o kilkaset zaledwie kroków od niéj, gdy sznur przebytéj drogi gdzieś nam zniknął w górach. Dwie budowle patrzą sobie w oczy przez dolinę, co je rozdziela...

Na jednym z przystanków, dzieci podbiegły do wagonów, przynosząc wiązki maluczkie kwiatków alpejskich, między któremi przywitaliśmy i nasze znajome leśne przylaszczki... Rzuciliśmy im w zamian po krajcarze, za ten uśmiech świeżéj wiosny.

Ale zwiędły prędko w dusznym wagonie swobodne łąk górzystych dzieci.

Dobiliśmy się późną nocą do Tryestu, który ze swemi szerokiemi ulicami, ostawionemi białemi gmachy, wydał się pusty, a po Wiedniu zrobił nam wrażenie miasta zbudowanego dla mieszkańców, którzy się z przybyciem opóźnili.

Drugiego czerwca, po niewygodnie dosyć przebytym noclegu, obudziliśmy się w stolicy Illiryi, w dawném rzymskiém *Tergesteum*, głównym porcie monarchii austryackiéj i Lloyd'u, który na nowym swym arsenale, pięknie zbudowanym nad brzegiem morza, ze czterema lwami na płaskim dachu, napisał pożyczone podobno od innéj giermańskiéj falangi: *Vorwärts!*

Tak jest, naprzód! naprzód! ale dokąd? ale poco? czy to naprzód wyznacza drogę całéj ludzkości, czy tylko monarchii, coby jak najwięcéj pochłonąć chciała, czy stowarzyszeniu handlowemu? trudno i niebezpiecznie na to odpowiadać. To pewna, że jak Lloyd i Tryest stoją ruiną Wenecyi, tak i owo naprzód... musi obalać, nim zbuduje, i przez zwaliska, po grzbiecie ruin przechodzić. Historya dowodzi, że to jest w tradycyach państwa, które zapisało na swéj chorągwi: *divide et impera*, które przyswoić sobie nie mogąc nic, zagarnia i wiąże w całość różnorodne i odpychające się pierwiastki. W dziejach świata usprawiedliwia się i pojmuje podbój cywilizacyjny, zdobycz siły, ale zarazem i ducha; inaczéj wygląda owo chwytanie ziem i krajów, które nic na zjednoczeniu nie zyskują, marnieją niém i wstrzymane są na drodze naturalnego rozwoju swojego. Nie dodają one całości sztucznéj—siły, ale ją odejmują, cichą a nieustanną rodząc walkę w jéj łonie. Jestto chorobliwe łakomstwo, jakby człowieka pożerającego więcéj, niż strawić i przyswoić może. *Vorwärts*, ale dokąd i poco?

Miasto Tryest ma już charakter włoski, może włosko-słowiański, chociaż handel sprowadza tu wszelkie narodowości, gromadząc i zbliżając ludzi różnego pochodzenia i krain. Język i obyczaj włoski przemaga, na ulicach jednak przekonać się łatwo, że lud

okolic jest przeważnie pochodzenia słowiańskiego, a cechy narodowości swéj dotąd potrafił przechować.

Dzień, któryśmy mieli przebyć w Tryeście prawie cały, gdyż statek parowy do Wenecyi dopiero wieczorem odchodził, był właśnie wigilią Bożego Ciała; uroczystości, którą tu, jak w innych miastach Włoch, z wielką wspaniałością obchodzą. Mnóttwo włościan z okolicy napełniało ulice i rynki przywożąc w koszach kwiaty, któremi przybrać miano ołtarze i potrząsać drogi, które procesya przechodzi. Zapach tych kwiatów, stosy róż i lilij przedziwnie stroiły miasto i poetyzowały. Kobiety, które na targ miejski różny towar wiozły na małych osiołkach, przypomniały nam ukrainki i podolanki strojami, związaniem głów choć nieco czyściejszém i ozdobniejszém, ubiorem, zapaską, nakryciem, w których było coś wyraziście słowiańskiego. Wpośród Illirów, których łatwo poznać było w tłumie, Włosi ogorzałą cerą, czarnemi włosami, postawą, silnie się wyróżniali.

Chociaż nie mieliśmy zamiaru bliżéj się poznawać z Tryestem, nie sądząc, żeby miasto czysto handlowe, zajmujące w sobie zawierać mogło pamiątki, cały jednak dzień wiosenny mając przed sobą, nie podobna było wytrwać zamkniętym; postanowiliśmy zobaczyć przynajmniéj jeśli nie stolicę Lloydu, to brzegi morza...

Puściliśmy się więc odważnie na szerokie ulice miasta nowego, ostawione wielkiemi gmachami, z niemałą pretensyą architektoniczną powznoszonemi. Nad morzem u portu ruch panował wielki, stało w nim okrętów mnóstwo, zjawiali się marynarze, ładowano i wyładowywano paki, a zapach lilij i róż, sprzedawanych ogromnemi koszami na jutrzejsze święto, mieszał się w osobliwszy sposób z wyziewami smoły i wonią portom właściwą. W samém mieście pomimo widocznych wysiłków uczynienia go monumentalném, mało było do widzenia. Aby coś znaleść więcéj zajmującego, ruszyliśmy ku katedrze, najstarszéj podobno (z zamkiem) budowie Tryestu, bo tę ominąć było dla starożytnika niedarowanym grzechem.

Tu ciekawość nasza nie została zawiedzioną. Kościół w stylu starym bizantyjskim wznosi się na wyżynie nad brzegiem morza w prześlicznem położeniu, a widok z tarasu otaczającego na port i krajobraz jest wspaniały i piękny.

Kilka drzew zielonych dodają mu wdzięku i malowniczości. Łuk tryumfalny zwany *Arco di Ricardo*, który się jadąc do katedry przebywa, tém się odznacza, że ani daty jego wystawienia, ani przeznaczenia mieszkańcy nie wiedzą. Otóż zwycięskie łuki bohaterów! W kilkaset lat niéma na nich imienia, ani przy nich wspomnień o człowieku...

Katedra, *Il duomo San Giusto,* składa się z połączonych dwóch kościołów niegdyś oddzielnych N. Panny i św. Justa patrona Tryestu, którego tu zachowują się relikwie. Starszy z nich sięga, jak utrzymują, czwartego wieku, drugi szóstego. To pewno, że nizka, gęsto ciężkiemi słupy na trzy nawy podzielona, ciemna, z wybitnemi cechami stylu bizanckiego katedra wiele ma charakteru. Strojono ją właśnie na jutrzejsze święto, a choć nie było nabożeństwa, krzątali się ludzie około ołtarzów, wieszając opony, przygotowując świeczniki, mogliśmy więc ją bardzo swobodnie oglądać.

Urządzenie wewnętrzne bardzo przypomina pierwotne kościoły. Po bokach w głębi są dwie małe kapliczki ze starożytnemi mozajkami na sklepieniach, wybornie dochowanemi. W środku lewéj kaplicy szczególniéj uderza N. Panna, typem twarzy pełnym wdzięku i spokoju, do którego rzadko sztuka pierwotna dochodzi. Trzyma ona na łonie stojącego Chrystusa. W drugiéj kaplicy Chrystus surowy, mniéj już udatny, ale typ charakterystyczny. Obie mozaiki zasługiwałyby na wydanie, nie wiem, czy je Seroux d'Aginourt albo kto inny sztychować kazał.

Granitowe słupy nizkie, połączone łukami podkowiastemi, stosunkowa nizkość budowy, starożytne jéj znamiona, mozaiki migające w głębi ciemnych kaplic... stanowią obraz oryginalny i jakby dający już czuć przedsmak św. Marka. W samym środku jest kilka starożytnych pomników grobowych, z nowszych Karola V, króla hiszpańskiego. Zewnątrz front kościoła ma też same cechy. Wielkie tylko krągłe okno (*rosace*) nad wchodem i dwa mniejsze po bokach przypominają budowy romańskie. Powmurowywano tu liczne złomki starożytne i szczątki kamieni rzeźbionych z różnych epok, w Tryeście wynalezione, które zdobią także dzwonnicę, wedle podania, wzniesioną na zwaliskach jakiéjś świątyni pogańskiéj.

Grobowe te starożytności musiały nam przypomnieć Winkelmanna. Wzniesiono mu tu pomnik, zabitemu w Tryeście przez jakiegoś Włocha, znęconego widokiem złotych medalów, które nieostrożnie pokazał. Ciekawi zwiedzają dotąd pokój w hotelu, w którym to morderstwo dokonane zostało; przyznaję się, żem wcale sobie nie życzył oglądać go, wolałem dłużéj przypatrywać się z tarasu katedry wypogodzonéj morskiéj zatoce.

Miejsce to ciche, ocienione i prześliczne,—a morzu, nigdy się dosyć napatrzyć, nadziwić, nigdy niém dość nasycić nie można, tak ta jednostajna pozornie tafla jest malowniczą, uroczą, przemieniającą.

Od katedry po ciasnych uliczkach, przykro spadzistych i pustych, zjechaliśmy znowu na nowe miasto, po drodze gdzieniegdzie łapiąc

oczyma już włoskie pergole i altanki, całe winną latoroślą poobwieszane, i malownicze na pół obalone kamieniczki.

Port, jak w Genui, otaczają wyniosłości postrojone w wille, z których znaczniejsze Sartorio, Zanchi, Fontanna, urządzone są na sposób zupełnie włoski. Tutejszy klimat wszakże, zdaniem wszystkich, łagodnością jeszcze słodkiéj Italii nie przypomina. Wieje tu zbyt często suchy gorący *sirocco*, naprzemiany z tak zwaną *bora* (burza), zimnym, gwałtownym wichrem północnym, który ogromne tumany pyłu napędza.

Przy willach mało jest drzew i zieloności, i to im niemiły pustynny jakiś daje pozór.

W mieście pełno było spokojnego gwaru przygotowań do jutrzejszego święta; w nowym, ciężkim a niesmacznym kościele św. Antoniego, posąg N. Panny przystrajano na sposób włoski w nowe suknie i błyskotki; wszędzie kwiaty cudną wonią napełniały powietrze, a kosze ich zalegały ulice, róż osobliwie było krocie. Sprzedaż ich na placu przed Bursą, nadzwyczaj była czynną, krzątające się około niéj wieśniaczki dziwnie znowu przypominały nam kraj, nietylko strojami i rodzajem namitek, ale typem twarzy Słowian.

Około portu ruch był innego rodzaju, tu charakter miasta więcéj się stawał włoski, napisy sklepów, szynkowni, rozmowy majtków, fizyognomie ich prawie wyłącznie już były włoskie.

Przy sklepach, w których sprzedawano bandery różnokolorowe, liny, żagle, kotwice i *rosoglio*, kręcili się osmoleni marynarze z cygarami i fajeczkami w ustach, z tą powagą i obojętnością, jaką im nadaje osamotnienie okrętowe i przywiązanie do tego życia, ciągłą pracą i walką z żywiołami zajętego. Trudno zaprawdę było zgadnąć tu, żeśmy jeszcze byli w Niemczech, pomimo *Vorwärts*, wszystko mówiło — *avanti!*

Tuśmy się po raz pierwszy spotkali z istotą u nas prawie nieznaną chyba z bajek, poczciwą, użyteczną i spotwarzoną przez ludzi—z *osiołkiem*. W całych Włoszech i na Wschodzie jest to nieocenionego użytku stworzenie, pełno ich wszędzie, nadużywają nielitościwie pokornego biedaka, biją go okrutnie, on cicho spełnia swe obowiązki z rezygnacyą męczennika. Trzeba się bliżéj zapoznać z tym nieszczęśliwym osłem, aby go, jak należy, ocenić, ma to on wspólném z wielą ludźmi. Mały, niepozorny, często z obitemi bokami, najeżoną szerścią, wychudły, smutny *asinello* dźwiga ciężary niepojęte, w dodatku czasem dwoje ludzi większych od siebie, ciągnie niekiedy wóz ogromnie napchany, a jeżeli się waży stanąć zmożony, tłuką go, nie biczem, ale drągami. Bezsilność jego nazywa się uporem. Nie dziw, że skazany na najokrutniejszą dolę, niepoznany, wyśmiewany, obrany za godło głupstwa i uporu, nieszczęśliwy osioł

nabył z rozpaczy najszkaradniejszego głosu, którego słuchanie istotnie jest męczarnią. Rycząc zachodzi się, zdaje łkać i jęczéć boleśnie, a gdy całe ich stado zarży tą skargą na ludzką niesprawiedliwość, najwytrzymalsze nerwy nie mogą tego przenieść obojętnie.

Może chyba dlatego tak złą ma reputacyę głupoty poczciwe ośli-sko, że ryczy boleśnie, gdy skarga nie przydała się na nic, najczęściéj tylko sprowadzając nań razy i szyderstwo. Z innych względów jest to najpoczciwsza, najzacniejsza, najłagodniejsza, nujużyteczniejsza istota, która się obchodzi bez pieszczot, prawie bez jadła, żywiąc niewiedzieć czém, bez snu i spoczynku, a pracuje za ludzi i za siebie do zdechu. W górach i miejscach niedostępnych, gdzie człowiekowi samemu z jego rozumem przejść trudno, osioł stąpa powoli ale z taką pewnością nóg i, można powiedzieć, rozsądkiem, że zawstydza człowieka, którego niesie na grzbiecie. Za to wszystko dostało mu się to, co zwykle spotyka pokornych i pracowitych ludzi i stworzenia — pogarda i pośmiewisko... jedynie za te nie piękne jakoś długie uszy... *Povero ciuccio!*

Już w Tryeście tyleśmy spotykali wszędzie tych nieszczęśliwych osiołków stojących po ulicach, na targu, przed sklepikami, w porcie, na rynku, u drzwi kościelnych, żeśmy się ważnéj roli, jaką odegrywają w tym kraju, domyślać mogli; ale tu jeszcze obchodzą się z niemi dosyć litościwie. Najwięcéj widzieliśmy ich z małym pakunkiem, kilką woreczkami, płaszczem i parasolem przytroczonym do siodła, przybyłych ze wsi i z cierpliwością stoicką na skwarném słońcu odbywających medytacye. Oprócz nich piękne także woły, zaprzęgane po parze i pojedyńczo, widać było w rynku, ale tych mniéj, i majestatycznie wyglądały przy biednych osiołkach.

Ponieważ czasu do nocy mieliśmy dosyć, choć upał srodze dokuczał, objeżdżaliśmy stare i nowe miasto, nadmorskie bulwary, z widokiem na port przecudnym i ogródki całe bzami rozkwitłemi i wieńcami róż właśnie okryte. Po katedrze jednak nic tu już tak bardzo zająć nas nie mogło. Ślady starożytności téj osady niezmiernie dawnych sięgającéj czasów, bo na sześć wieków przed Chrystusem już istniejącéj, mało są dzisiaj widoczne, nowe życie zatarło je zupełnie. Przed dwoma już tysiącami lat Rzymianie mieli tu kolonię, która się napadom barbarzyńców oprzéć nie mogła. Późniéj Tryest ze zwaliska dźwignięty przez Augusta i cezarów byzanckich, wcielony do egzarchatu Rawenny, zdobyty przez Karlomana, dostał się w końcu rzeczypospolitéj weneckiéj. Ta o niego również walczyć musiała, kilkakrotnie tracąc i odzyskując. Z upadkiem Wenecyi, podniosło się miasto, ożywił port i dziś daleko dawną swą panią prześciga handlem i ruchem. Otóż

w kilku słowach całe prawie dzieje illiryjskiéj stolicy, wielką mającéj przyszłość przed sobą.

Pod Czarnym Orłem (*Aquila nera*), gdzieśmy stali, o godzinie obiadowéj nakarmiono nas wedle obyczaju miejscowego dosyć niesmaczną strawą, którą ja zniosłem z rezygnacyą człowieka niemającego apetytu, choć począwszy od białego chleba, wszystko nam było wstrętliwe, ale poczciwy Klemrod niewiele wymagający wprawdzie, koniecznie jednak tego, do czego nawykł, z giermańsko-włoską kuchnią pogodzić się nie mógł i rozpaczał. Żądał zawsze barszczu i sztuki mięsa, z którą się nigdzie prócz u nas zobaczyć nie można, dziwował się ludziom żyjącym słodyczami i zieleninami, a na myśl dalszych zmian, jakim żywienie się nasze uledz miało, trwożył się niepomału. Szczęściem tu jeszcze mieliśmy wołowinę, która go przy życiu utrzymywała.

Na przypatrywaniu się ruchowi ulicznemu i budującym się na jutrzejszą uroczystość ołtarzom, zeszło prawie całe popołudnie; opatrzyliśmy się zawczasu w bilety na statek parowy, mający nas przewieźć do Wenecyi i czekali wyznaczonéj godziny. Nareszcie stopniami zmierzchać, ciemniéć, czarniéć zaczęło, ukazały się gwiazdy z jednéj strony, a ława ciężkich chmur czarnych od morza... Nie było najmniejszéj wątpliwości, że przy pierwszéj naszéj żegludze burzę miéć będziemy. O godzinie dziesiątéj opuściwszy Czarnego Orła, przenieśliśmy się, a raczéj przewieźli na statek Lloyd'u, pięknie nazywający się—*Roma*, który miał nas wyrzucić na brzeg w Wenecyi.

Statki z podróżnemi odchodzą stąd codziennie i te kilkadziesiąt mil robią w nocy, kołując ponad brzegami, tak, że o siódméj rano przybywają na miejsce. Pośpieszywszy trochę na Romę, mieliśmy czas przyglądać się zapisywaniu podróżnych, którzy przybywali po jednemu niemal do północy, w większéj, niż zwykle liczbie, z powodu uroczystości Bożego Ciała, wspaniale obchodzonéj w Wenecyi. We wszystkich klasach było nas około sta osób na statku; w saloniku mieliśmy wojskowych, dwie panie z mężami, dwoje dzieci zaspanych i płaczących; jednego profesora z naszych krajów bojącego się kompromitacyi i milczącego, gdy się kto do niego przybliżał, i jakiegoś jegomości, który o guldena półtoréj godziny wiódł z kasą miejscową spór niefortunny, najzupełniejszą uwieńczony przegraną—czas, gulden i wytrwałość zostały niepowrotnie stracone. Wszystkich prawie podróżnych przybliżająca się burza i bijące w dali pioruny dość nieprzyjemnie niespokoiły; huk ich szeroko rozlegał się po morzu, a choć widok z pokładu na oświecone miasto tysiącem światełek błyszczące na czarném tle nocy i morze niekiedy rozjaśniające się błyskawicami

daleko, był bardzo piękny, uważałem, że wszyscy mniéj dramatyczną i malowniczą a spokojniejszą podróż-by byli woleli.

Burza wszakże coraz groźniéj hucząc, zbliżała się, deszcz zaczynał padać, wielkiemi spadając kroplami, wszyscy zamknąć się musieli w saloniku, oczekując co Bóg da. Na ostatek urzędnik Lloyd'u zasłany dla sprawdzenia podróżnych, zamknął księgi, kapitan począł wydawać rozkazy, zdjęto mostek, który nas do lądu wiązał, i uczuliśmy, że nareszcie ruszyć mamy. Burza huczała ciągle, deszcz ciągle pokrapiał, ale wprzód jeszcze nim Roma odbiła od brzegu, postrzegłem, wyszedłszy na pokład, że chmura całą swą wagą przewaliła się od strony Wenecyi, morzem na Capo d'Istria, ku Pola, wyspie Lussin i daléj gdzieś sunęła... Zostało z niéj tyle tylko, ile było potrzeba dla urozmaicenia widoku... Stała groźna i czarna, zalegając część horyzontu, przerzynana błyskawicami i strumieniami ognistemi piorunów, a ponad nami i prawym brzegiem, którędy jechać mieliśmy, powoli odsłoniło się niebo ciemne, szafirowe, usiane błyszczącemi gwiazdy, jakby obmytemi świeżo.

Porzuciwszy więc w saloniku chroniącego się kompromitacyi profesora, który udawał, że miał do snu ochotę, kobiety na torbach i tłómoczkach drzemiące, ukołysane jakoś dzieci i resztę towarzystwa, przeniosłem się na pokład z mocném postanowieniem przebycia na nim do dnia i powitania razem Wenecyi i słońca...

Nie pojmuję, jak tam drudzy usnąć mogli, wiem, że tych godzin cichego wpatrywania się nie żałuję. Noc była, jaką malują na Adryatyku, cicha, przezroczysta choć ciemna, uroczyście i wspaniale piękna, morze uspokojone, niebo, jakby je stworzył artysta. Chmura przerzynana błyskawicami, ciągle powoli zapadała w lewo, i przypominała się blademi, coraz bladszemi połyski; z obłoków wreszcie wybił się księżyc srebrny i wstęgę światła migocącego rozwinął na morzu... Obraz był nieporównanego, uroczego wdzięku z tą chmurą, gwiazdami, księżycem, niebem lazurowém i obłoczkami, jak tchnienie lekkiemi. Nie można było żądać więcéj, ani wyroić coś piękniejszego. Rozmyślaniom też moim nic nie stało na przeszkodzie, bom pozostał sam jeden prawie z kapitanem statku i jakimś podżyłym jegomością, dla niezbadanych przyczyn, skarbiącym sobie jego łaski, a ubawiającym go rozmową.

Kapitan może był i rad, że się znalazł ktoś, co mu spać nie dawał, może niezupełnie był zadowolniony z tego towarzysza, który, jak cień, wlókł się za każdym jego krokiem, ale przechadzał się z obowiązku, ścigany słodziuchném szczebiotaniem dworaka, który ciągle, jak zegarek stary, tykotał.

Fizyognomia tego biedaka, któréj wprzódy przy świetle lampy

miałem się zręczność przypatrzyć, była wielce charakterystyczna. Widocznie była to jedna z tych istot słabych potrzebujących opieki, garnących się pod czyjeś skrzydła, zawsze, jak cień, wlokących się za kimś, której biedota nacechowywała się słodyczą. Przypomniało to mimowolnie proste nasze przysłowie: wdzięczy się, jak suczka na przewozie. Stary jegomość uśmiechnięty był ciągle, kłaniający, ustępujący z drogi, starający jak najmniéj miejsca zajmować. Nim za cel swych zalotów wybrał kapitana, próbował wprzódy przypodobywać się niemal wszystkim towarzyszom podróży... ale to mu się nie powiodło. Nikt jego grzeczności nie wziął do serca, zwrócił się więc do nieszczęśliwego kapitana i całą tę noc bawieniu go poświęcił. Ale zawiązawszy ściślejsze stosunki z mężem tak ważne zajmującym stanowisko, podżyły jegomość pewniejszy siebie, spoglądał już inaczéj na nas pospolitych śmiertelników, cośmy do wodza zbliżyć się nie mieli zaszczytu. Twarz jego nabrała więcéj powagi, pewności, humor stał się weselszym, zdawało mi się nawet, że się posunął do cichych żartów z zaspanych dzieci i kiwającego się zdrzemanego dla nieskompromitowania profesora. Palili tak cygara i rozprawiali żywo z kapitanem przez noc całą, to jest dworak paplał, a marynarz słuchał cierpliwie, kiedyniekiedy dając znak życia pomrukiwaniem widocznie znużoném.

Posądziłem starego jegomości w ostatku, że musiał mieć pewne powody skarbienia łaski kapitana... zdawało mi się już, że mu brakło pasportu...

Przeniósłszy się na drugą stronę pokładu, gdzie nikogo szczęściem nie było, siadłem na ławie, przypatrując się otaczającemu widokowi.

Tryest wprędce zupełnie zniknął nam z oczów, posuwaliśmy się na prawo... W lewo, na czarnym obłoku błysło światełko dalekiéj latarni morskiéj na wybrzeżach około Bassania, migotało ono długo, zasuwając się coraz głębiéj. My sunęliśmy się wzdłuż lądu, który znikł tylko na chwilę w cieniach nocy, ale wnet z brzaskiem wczesnego dnia wiosennego, na rozjaśniającém się niebie ukazały mglisto, potém coraz wyraźniéj górzyste wybrzeża. Po-za niemi rumiana zorza dnia coraz jaśniéj wstawała, a szczyty zębate gór fantastycznemi szczerby zarysowywały się ciemno, długim zalegając pasem. I płynęliśmy tak, z jednéj strony mając roztapiającą się chmurę, wyżéj nad nią blednący coraz księżyc, na prawo i poza sobą, rozwidniający się widnokrąg. Pasma gór zniżyły się, znikły i zatonęły w rannych wyziewach lądów; płaskie zaczęły ukazywać się brzegi, płowe ławy, jakby żółtego piasku... i jakby ciemniejące na nich lasy.

Dzień rósł, światło się zwiększało, księżyc coraz stawał przezroczystszy, niebo nabierało farb lazurowych z jednéj, różowych i ciepłych z drugiéj strony, okrążyły nas zewsząd przemykające się łodzie rybackie z kolorowemi, czerwonemi, w pasy i różne rysunki ozdobionemi żaglami, któreśmy mijali szybko.

Mrok dziwny, poprzedzający wschód, trwał jeszcze, nagle słońce wyskoczyło z morza, złoty jego brzeżek natychmiast zmienił cały ton obrazu, dotychczas mglisty i miękki... Wszystko się zaraz ostrzéj i dobitniéj zarysowało, fale poubierały w frendzle złote, twarze ludzkie i bliższe nas przedmioty ocieploném zajaśniały światłem. Pomimo niezrównanéj piękności tego obrazu nocy na Adryatyku, oprócz kapitana, kilku majtków i mnie (bo stary dworak zdrzemał się nareszcie na ławie), nikogo on na pokład nie wywabił.

Dopiéro, gdy już słońce dobrze było podeszło, ujrzałem dobywającego się z pod stóp naszych Klemroda, opóźnionego na widowisko. Chciał on pragnienie spoczynku pogodzić z ciekawością i na główny akt dramatu przyszedł po zapuszczeniu kortyny. Śmiałem się z niego, utrzymywał jednak, że na tém nic nie stracił, że mu głównie szło o narodziny Wenecyi. Jakoż wkrótce po zjawieniu się jego i latarnia morska pokazała się od strony Wenecyi.

Przyznaję się, że wspanialszego daleko spodziewałem się obrazu. Jakoś leniwo i powoli z wyziewów i mgły poczęły wychodzić wieżyce, jak igły proste i śpiczaste, mury trupio białe, kościoły i piaszczyste Lido, które długo zakrywało samę Wenecyę.

Miasto wyrastało z morza, ale w jakichż małych drobnych rozmiarach, wyglądając na ruinę, zimne, blade... zbiednione; nie była to majestatyczna królowa morza, ale *povera Venezia!*

Gmachy wydały mi się stare, ponachylane, małe, ołowiane dachy miały koloryt trupi, nie odbijały promieni światła, zmatowane zwiększały jeszcze wrażenie zwalisk i śmierci, które mimo ślicznego poranku, wiało od nieboszczki królowéj Adryatyku.

Ścisnęło mi się serce tym zawodem, którego doznałem, wyobraźnia wspaniaiéj, olbrzymiéj, świetniéj malowala mi dożów stolicę. Jéj słupiaste dzwonnice, nizkie mury, na pół w morzu utopione domostwa, zdumiewały nowością, ale nie zachwyciły mnie zrazu. Sama może niezwyczajność widoku nie dała mi go ocenić. Kościoła św. Marka nizkiego, zakrytego pałacem dożów i innemi budowami, wcaleśmy nie widzieli, Campanillę tylko okrytą rusztowaniami, gdyż właśnie ją restaurowano. Nieco majestatyczniéj występowała Marya della Salute, z marmurową kopułą, Dogana, aż wreszcie i Canal grande i miasto, pływające wpośród lagun swych,

powoli i zazdrośnie odsłaniające piękności, z któremi oswoić się potrzeba, ażeby niemi zachwycać.

Nie wiem, czy na wszystkich, ale na mnie w początku przykre wrażenie ruiny bez majestatu uczyniła Wenecya, wieżyce ponachylane, popękane murów ściany, ołowiane kopuły, biała barwa zimna, rozlana wszędzie, jakby śmiertelnym okrywająca ją całunem, coś wiejącego pustkowiem i opuszczeniem, uderzyły mnie tęsknicą. Inną tę *Venezia la bella* znaléść się spodziewałem, zapomniałem, niestety, że z królowéj stała się niewolnicą, służebną...

Zawód ten był téż skutkiem porównania widziadeł fantazyi z rzeczywistością, zawsze od niéj drobniejszą i mniéj świetną... Późniéj obrazy marzeń się zacierają, a to co się widzi w miarę, jak tamto znika, wyrasta i żywiéj uczuć się daje. Kto długo marzył o czémś, zawsze doświadcza w pierwszéj chwili tego bolesnego odczarowania; siła myśli bowiem więcéj tworzy, niżeli rzeczywistość dać może.

Zaledwie statek w porcie się zatrzymał, otoczyły nas zewsząd usłużne gondole, wszyscy poruszyli się z wnętrzności parowca co najprędzéj, zabierając na łódki do miasta... Gondole! Byłyż to gondole, te marzone i znane barki weneckie, ze swemi czarno okrytemi siedzeniami.. Kształt ich ogólny i zębaty nos przypominał wprawdzie dawne gondole z obrazów Canalettich, zresztą wyglądały niepoetycznie, pospolicie, kilka ław z przodu, ocieniający od skwaru słonecznego pstry baldachim, otóż wszystko, gondola także zreformowaną była, w ruinie i przeodziała się praktyczniéj. Gondolierowie dość obszarpani byli i zdawali myśléć tylko o zarobku...

Na chwilę pozabierane znajomości i stosunki na statku wnet, pod naciskiem potrzeby wynalezienia sobie łódki i przeniesienia się do hotelu, zerwane zostały; każdy starał się drugiego wyprzedzić, spychano tłomoczki, zeskakiwano wzajemnie się potrącając, nawet ów grzeczny przyjaciel kapitana nie widział teraz potrzeby pożegnać człowieka, ku któremu niedawno tak niezmierną czuł sympatyę.

Zewsząd dawały się tylko słyszéć głosy, wywołujące imiona hotelów z pośpiechem i niemal trwogą, aby uprzedzone nie były.

— *Albergo reale!*

— *Europa!*

— *Stella d'oro!*

— *Aquila d'oro!*

I my także jakiemuś staremu przewoźnikowi, który nosił charakterystyczne imię *Beppo,* kazaliśmy się wieść do hotelu *di Luna, Calle della Ascension,* przy placu św. Marka, gdzie szczęściem zna-

lazł się jeszcze jeden pokój wolny na dole, który nas gościnnie przyjął i chwilę spoczynku zapewnił. Trzeba się było śpieszyć, aby przebrawszy nieco, wyjść zaraz oglądać wspaniałą procesyę Bożego Ciała, na którą tak szczęśliwie trafić się nam udało w samę porę. Jest to jedna z najpiękniejszych i najcharakterystyczniejszych w Wenecyi uroczystości, z całym podaniowym starym obchodzona przepychem i dająca podróżnemu odrazu poznać niemal całą ludność miasta, która się z tego powodu zbiega na plac św. Marka.

IV.

Położenie — Początki osady na wyspach. — Laguny. Lido. Wyspy. *Canal grande.* — Fizyognomia miasta. — Opustoszenie. Gondola i gondolierowie.— Pierwsi mieszkańcy. Pierwsze budowy. Pierwszy doża. Szlachta Wenecka. — Władza dożów. Handel i żegluga. Zdobycze i siły rzeczypospolitéj. — Dandolo. — Posiadłości na wschodzie.—Łupy wojenne. Dożowie ze szlachty. Rząd rzeczypospolitéj. Walki z genueńczykami. — Rozkwitnienie, i potęga w XV w. Powolny upadek i jego oznaki. — Walki wewnętrzne, usiłowania daremne. — Osłabienie stopniowe. Dramatyczność dziejów Wenecyi. — Losy dożów, ograniczenie ich władzy. Obrzędy przy obiorze. Uroczysty strój i godła władzy. *Libro d'oro* szlachty. Rada dziesięciu. Jéj przewaga. — Paszcze bronzowe. Przemoc rady i jéj siła. Władza i udział ludu w rządzie. *Nicolotti i Castellani.* Obyczaje pierwotne, zbytek późniejszy i zepsucie. — Uroczystości, zabawy.— *Regaty.* Zmiany żywota, które sprowadził upadek niepodległości. — Ostatnie godziny rzeczypospolitéj. — Stan dzisiejszy.

Wstrzymamy się tu nieco z opisem dalszych wrażeń podróży, aby dać naprzód choć niedokładne wyobrażenie o tém mieście jedyném w świecie, którego ruinę ocienia tak wielka, tak dramatyczna przeszłość.

Wenecya wyrasta z morza cudownie, z ziarna kilku chat rybaczych, długo potém panuje morzom, a jeśli dzisiejsze rachunki nie mylą, morze grozi jéj pochłonięciem, bo co lat sto po cztery cale przybiera. Dziwna ta osada, którą postrach napadów barbarzyńskich wzniósł przed laty, na siedemdziesięciu kilku małych i niewiele nad morze wzniesionych stoi wysepkach.

Pomiędzy niemi zamiast ulic masz laguny, kanały, w rozmaitych wijące się kierunkach, a przez nie trzysta z górą mostków kamiennych, rzuconych dla pieszych przechodniów.

Wody w lagunach po większéj części nie są głębokie, a gdy morze odpływa, w wielu miejscach obnaża ławy piasku. W dzisiejszym stanie miasta, którego upadek bije w oczy, poetyczne te wód kryształy są prawie wszędzie śmieciem, liśćmi, kuchennemi zarzucone resztkami, brudne i kału pełne.

Od strony morza osłania miasto wyspa *Lido*, a raczéj wązki

pasek ziemi piaszczystéj. Wysepki skupione składają przedłużoną nieregularnego kształtu przestrzeń, stanowiącą miasto właściwe, ku kanałowi św. Piotra zwężające się, w przeciwnéj stronie rozszerzone. Niektóre wyspy odosobnione nieco, jak Lido, wyspa św. Łazarza, św. Michała, Murano sławne wyrobami szklanemi, Torcello, nawet dawna część żydowska zwana *la Giudecca* i wyspa *S. Giorgio Maggiore*—są jakby przedmieściami tego dziwnego grodu. W pośrodku głównéj wysep gromady, szerszy kanał, *Canalazzo*, *Canal grande*, skręcony wężem, jest arteryą żywotną, do któréj wszystkie inne zbiegają się laguny.

Jest to wielka ulica Wenecyi, dzieląca ją na dwie nierówne połowy. W większéj jest stare ognisko, serce miasta, kościół św. Marka z pałacem dożów, o których obszerniéj mówić będziemy.

Ziemi niezabudowanéj, nieokrytéj gmachami zostawiono mało i oszczędnie, na wysepkach niektóre przedzielające szeregi domostw uliczki są tak wąziuchne, że się na nich dwóm pieszym rozminąć trudno. Domy wszędzie prawie ściśnięte, piętrzące się dosyć wysoko, oryginalnych kształtów, z balkonami, pergolami, gankami, główne wejście zwrócone mają ku lagunie i wschodkami zanurzają się w wodzie. Tu przybijają gondole.

Pomiędzy szeregiem domostw tu i owdzie wyrasta kościół ciekawie przyozdobiony rzeźbami staremi, podnosi się mostek sklepiony, na który wiodą wschodki, rozlega się szeroko pałac stary okładany marmurami, wycinany przezroczysto, ale martwy, zamknięty a w górnych jego oknach wiszą schnące nędzy łachmany. Najszczęśliwsze pokupowali cudzoziemcy, inne przerobiono na gospody, reszta rozpada się w gruzy.

Gdy gondolą się puścisz którym z mniejszych kanałów, opustoszenie miasta jeszcze bardziéj czuć się daje; najwspanialsze dawniéj budowy grożą ruiną, niéma prawie jednéj, któréjby ściany się nie skosiły, nie zarysowały marszczkami starości; któréjby część okien nie była powybijana, a drzwi nie stały zaparte... Gdzieniegdzie zda się, że ludność wymarła, blada tylko twarz przemknie ci się z za okna, lub chłopię znędzniałe pluszcze się w kanale, rzuciwszy łachmany u brzegu.

Wesoła owa, rozkoszna, bogata, miłośna Wenecya dziś jest staruszką przypominającą sobie dawne czasy, ale smutną, zamyśloną, podupadłą.

Groźba ruiny wypisana jest wszędzie, na kopułach kościołów, w opustoszałym dożów pałacu, w zarysowanych sklepieniach św. Marka, w ożywionych nawet Prokuracyach, w gmachach nad wielkim kanałem, świątyniach poprzerabianych na śpichlerze i składy, w odświeżonych kilku niegdyś wspaniałych budowach, które już

do obcych nie do Wenecyan należą, na licu ludu i w twarzach potomków wielkich rodzin.

Resztka życia jednak tli pod temi popioły, posłyszysz jeszcze czasem piosenkę dawnych czasów, a w święto pamiątkowe, w wielkie dnie rzeczypospolitéj z okien zapartych stare wywieszają kobierce, plac św. Marka ludem się wypełnia, tłumy wysuwają z kryjówek... modlą, uśmiechają, płaczą...

Z dawnéj wielkości i potęgi królowéj Adryatyku szczątki tylko martwe zostały—stosy ksiąg, ściany marmurów, mozajki, obrazy, grobowce, wspomnienia... życie ulotniło się. Gdzieniegdzie zachowały się formy jego dawne, duch i siła znikły.

U wschodów kamiennych przy pałacach stoją jeszcze słupy charakterystyczne, do których przywiązywano gondole, ale przy nich kołyszą się strupieszałe czółna tylko, odarte i wody pełne.

Gondola, która już wygląda na starożytny zabytek, rzadko ci się pokaże w całéj swéj dawnéj okazałości, większa ich część nie jest już ową tradycyonalną, zamkniętą, tajemniczą barką, w któréj głębi kryła się miłość i zemsta—odkryta przewozi Anglików lornetujących zimno stare mury i dziwujących się kształtowi orłów austryackich pozawieszanych nad wrotami pustek i składów.

Dawna gondola, taka, jaką widzimy na obrazach Canalettich, najlepsze dających wyobrażenie staréj Wenecyi, jest dziś prawdziwie rzadkością, Długa, zręczna, cała pomalowana czarno, z żelaznym błyszczącym dziobem o sześciu zębach, wpośrodku miała okryte, jak katafalk, kirem czarnym siedzenie, które zewsząd się zamykało firankami i szybami, a zdejmowało rzadko. Kształt jéj zręczny, lekkość czyniły ją największą ozdobą lagun Wenecyi.

Od trzech wieków rzeczpospolita przepisała jéj formę, któréj dla zachowania incognito i nierozróżniania stanów trzymano się ściśle; dziś to tylko pamiątka i ciekawość. Gondolierowie, klasa ludu oddzielna, wesoła, pełna życia, śmiała i w swoim czasie znacząca, teraz już także jest tylko tradycyą. Niéma *Nicolottich i Castellanów,* a czerwona czapka, bez różnicy pochodzenia, pokrywa głowy potomków obu zagasłych, a tak niegdyś czynnych fakcyj.

Lecz choć życie uciekło, choć siła się wyczerpała, dawna wielkość Wenecyi jeszcze w zwaliskach jest uderzającą,—przeszłość świetna maluje się wymownie wypisana arcydziełami sztuki, wysiłkami pracy, która zwyciężyła na pozór nieprzełamane trudności.

Szanują tu wprawdzie wspomnienia i zabytki, lecz wszystko przepowiada, że życie nowe nada miastu fizyognomię świeżą i zatrze powoli, co dziś jeszcze dawne przypomina czasy. Codzień mnożą się *rio terra*, pozasypywano kanały dawne, każdy dom obalony, gdy się na nowo odbudowuje, musi wybrzeże między sobą a laguną zostawić.

Historya pierwiastkowa téj osady mówi, że w czasie napadu Hunów Atyli na Włochy, zbiegowie uciekający od zalewu barbarzyńców z okolic Padwy przenieśli się na niedostępne wysepki u wybrzeża i schronili tu w skleconych naprędce domostwach. Potrzeba było trwogi, jaką wzbudzał bicz boży, aby powstał gród z morza, zdobyty na falach, na piaszczystych ławach, na mokrych niestałego gruntu trzęsawiskach. Jednakże świeże odkrycia szczątków całych niegdyś ludnych osad z epoki zwanéj kamienną i bronzową, rzucają zdaniem naszém wielkie światło nowe na powstanie Wenecyi.

W jeziorach szwajcarskich, jak wiadomo, na Bodensee, naostatek teraz w jeziorze Garda około Peschiera, znaleziono resztę wielkich miast i wsi zbudowanych na palach, jak Wenecya. Tamte upadły, ona jedna pozostała przy życiu, a był wiek, gdy większa część wsi i osad z obawy wędrownych ord i narodów koczujących i plądrujących chroniła się w te wodne twierdze.

W jeziorach Szwajcaryi zabytki tych osad wskazują wiek kamienny, w Peschiera mnóstwo znaleziono bronzów. Tysiące palów w jeziorach o rozległości podobnych schronień dziś jeszcze mówią dobitnie. Wenecya jest dotąd żywym takim grodem na palach wzniesionym, zapewne z epoki bardzo odległéj, któremu ludności nowéj przypływ dały napady Atyli.

Gdzieniegdzie wysepki, na których się budowano, spodem miały pokłady kamienia, lecz po większéj części składały się z ruchomych piasków, na których z niezmierną tylko pracą, powolnie, pobudować się było można. Pale drewniane, skała, ziemia musiały zewsząd stanąć przeciwko zalewowi wód, każdą stopę w pocie czoła przychodziło zdobywać. Najwyższy brzeg, *Rivo alto*, stał się naprzód przyszłego miasta ogniskiem, tu wzniósł się najpierwszy, najstarszy kościół św. Jakóba. Ludność przybyszami z okolic Padwy i zbiegami z czasem się powiększyła, po wyższych i mniéj podniosłe zaczęły się zaludniać wysepki, połączyły z sobą mostkami, a plan przyszłéj wielkości zakreślił się na falach zwyciężonego morza.

W końcu VII wieku z naczelników oddzielnych wysp, którzy ludności przewodniczyli, wybrano pierwszego dożę. Wenecya ze zbiorowiska, z kupek domostw i gromad ludu stała się całością,

zarodkiem grodu i państwa. Zarazem prawie społeczność ta, zrazu jednolita, rozdzieliła się, nie już granicami lądów, ale możnością i znaczeniem ludzi, którzy wydzieliwszy się z tłumu, skupili i stworzyli kastę oddzielną.

Z téj klasy przodkującéj mógł tylko być wybranym naczelnik, ona miała być stróżem bytu i całości grodu. Szlachta wenecka i senatorowie przeważne zajęli stanowisko, lud wszakże uznawał je, widział potrzebę instytucyi i nie oddzielił się od nich. Zrazu doża wybierany był dożywotnio, potém rocznie, potém znowu na całe życie... Często ginął, padając ofiarą namiętności gminu albo zbyt jawnie a nieopatrznie cisnącego despotyzmu.

Obawa nadużyć władzy, potrzeba istotna, wywoływały elekcye i bunty, w końcu obieralny doża stanął silnie na czele rządu rzeczypospolitéj. Ta dyktatura, skupienie siły w jednych rękach, nadanie jednego kierunku usiłowaniom wszystkich, przyczyniły się w pierwotnych czasach walki i niepewności potężnie do wzrostu państwa.

Ażeby żyć, Wenecya musiała zdobywać, po chleb żeglować do lądu, szukać go w opanowaniu wysp sąsiednich i handlu. Z małéj barki wyspiarza ubogiego powstała barka niosąca go za połowem ryb na pełne morze, potém statek i okręt kupiecki. Z początku Wenecyanie dobijali się tylko do brzegów dalmackich, krążyli po Adryatyku, nareszcie ośmieleni, wypłynęli na archipelag grecki.

Wenecya stała się wkrótce składem handlowym między północnemi Włochami a portami Śródziemnego morza, wydoskonaliła swą marynarkę, budować zaczęła okręty lżejsze i trwalsze niż genueńskie i walczyć już mogła zwycięsko ze starszemi od siebie żeglarzami, Grekami.

W tych pierwszych wiekach wzrostu prawie cudownego, któremu instytucye demokratyczne niemało dopomagały, walka z żywiołami, z morzem, z ziemią, z niedostatkiem, potwierdza historycznie tę, skądinąd wiekuistą, prawdę, że ludzie i narody potrzebują przeciwności do zwalczenia, cierpień dla nabrania hartu i rozrostu w siłę. Dopóki człowiek i państwo posuwa się naprzód, bojuje, potrzebuje pracować i bronić się albo ścierać, dopóty mężnieje i krzepi się na duchu i ciele—spokój, wielkość uzyskana, odrętwienie, upadek, chyżo idą po sobie. Potrzeba, obawa, przymus wywołują siły, któreby inaczéj nie wzrosły, dlatego w żywotach pojedyńczych ludzi i zbiorowego człowieka, ludzkości, żywiołem niezbędnym wielkości jest bój i cierpienie. Wenecya jest téj prawdy najwyrazistszym historycznym przykładem, dobija się ona siły niezmierną pracą, zdobywa po okruszynie wszystko, co ma

posiąść materyalnie i moralnie, tworzyć musi ludzi, rzemiosła, wymyślać środki, bojować o chleb naprzód i schronienie, potém o bogactwo i niezależność swoję.

Ten to bój wyrabia siłę, którą się ona opiera Karolowi Wielkiemu i Pepinowi zwycięscy Lombardów, a co dziwniejsza, stawi czoło władzy papieżów, zostawując przy sobie inwestyturę swych biskupów i zastosowanie kar i cenzur kościelnych. Wojny krzyżowe przyczyniają się także do wzrostu Wenecyi, która czynny w nich udział bierze. Okręty jéj przewożą krzyżowców, lud uczestniczy w walce, państwo zyskuje wpływ, łupy i bogactwa. Wojny z niewiernemi okrywają blaskiem i chwałą rzeczpospolitę i wskazują jéj cel nowych zdobyczy.

Dandolo z pięciuset statkami staje przed Konstantynopolem, ze zwycięstw dla innych bezpłodnych, Wenecya zagarnia skarby do swego kościoła, relikwie, złoto, potém Kandyą, Cypr, Modonę i Negrepont. Każda wyprawa Wenetów przynosi im zdobycz jakąś, którą ukwiecone okręty składają na wybrzeżu, a dożowie wmurowują w ściany swojego pałacu, w portyki swéj świątyni. Dziś jeszcze cudny ten kościół św. Marka, cały z okruszyn i łupów wzniesiony, chlubi się potęgą, która mu z za morza kolumny jego, mozaik marmury i rzeźby starożytne z tajemniczemi rzeźbami przyniosła. Daty zwycięstw wypisane są zdobyczami temi, na czołach prastarych gmachów.

Wojny i żegluga w samych instytucyach ślad zostawiły po sobie, w nich to, już dawniéj znacząca klasa czynniejsza i możniejsza narodu nabyła jeszcze większego wzięcia i władzy, okupiła niebezpieczeństwy i krwią przelaną prawa, których się późniéj domagała, które zdobyła, z któremi stanęła oddzielnie, samoistnie, obwołując, że na przyszłość tylko z między niéj ma być wybieranym naczelnik rzeczypospolitéj.

Dożowie naprzód mogli być dziećmi ludu, na przyszłość mieli pochodzić tylko ze szlachty weneckiéj. Szlachta stanęła jako władza obok dyktatury książąt, stróżem u tronu, sędzią nawet, mając czuwać nad księgą praw, którą sama już układać tylko mogła. Jednakże ta nowa forma rządu a raczéj ostateczne pierwiastkowego uorganizowanie, którego przyczyny leżały w potrzebach czasu i położeniu kraju, w obawie także nadużycia i zmiany gwałtownéj demokratycznych instytucyj, których szlachta strzedz miała, nie wywarła zrazu zgubnego wpływu.

Obawa przywłaszczenia i zmiany natury rządu maluje się jaśniéj w stałym obyczaju szukania wodzów wojsk u obcych, w najmowaniu naczelników sił zbrojnych, nad któremi czuwali dodani im do boku proweditorowie. Obcy, przybysz nigdy nie mógł opa-

nować władzy i narzucić się krajowi, dla którego był tylko płatnym sługą.

Rząd wenecki stosunkowo do innych współczesnych był zrazu tak łagodnym, że miasta i ziemie Włoch wyższych, same się mu dobrowolnie poddawały. Ten przyrost państwa narażał go na nowe walki, lecz nowemi téż odżywiał sokami. Potrzeba się było opierać nie jednemu narodowi i królowi, lub książątku, ale często połączonym siłom wszystkich, którzy sobie do pięknych krajów włoskich prawa jakieś rościli.

Współzawodnikiem Wenecyi, uparcie przeciwko niéj stojącym, była Genua, duchem tak niemal potężna, jak ona, na morzu prawie równie silna, ale z natury swéj raczéj kupiecka i kolonizacyjna, niż wojenna rzeczpospolita.

Po długich bojach na morzu, przetrwawszy oblężenie, od którego bohatersko się broniła, Wenecya zwyciężyła w końcu Genuę i stała się panią tych mórz, które na tryumfy jéj patrzały.

W drugiéj połowie XV wieku najświetniéj, najpotężniéj rozmogła się rzeczpospolita, panowała ona od stóp Alp do Rawenny i Rimini, od Istryi do Brescia i Bergamo, na wybrzeżach Dalmacyi, w Zante, Lepancie, Patras, Modonie, Argos, Napoli w Romanii, Cyprze i Kandyi. Handel jéj obejmował cały świat znany, okręty płynęły szukać ziem nowych, tysiącami liczyła swe statki, milionami wartość przywożonych towarów.

Ta wielkość państwa trwała jeszcze długo, chociaż już w XVI wieku dawało się czuć, że spełniwszy swe posłannictwo, Wenecya ustąpić musi z czynnego teatru dziejów. Handlu warunki się zmieniły, stosunki ludów i państw przetwarzały, nowe odkrycia lądów działalność żeglarzy przeniosły w strefy nieznane, wskazując im drogi nowe...

Portugalczycy po odkryciu przylądka Dobréj Nadziei, zastąpili w części Wenetów, podejmując się dostarczania płodów Azyi Europie.

Skazana na bezczynność, lecz jeszcze można dawniéj zdobytemi skarbami, rzeczpospolita, żyła przywiązując ideę życia do instytucyj, które zachować pragnąc, jako palladyum potęgi, utracić się bojąc, w łonie własném rozpoczęła walkę instynktową, zgubną—o ich zachowanie.

Siły swe nie na konieczną reformę, jakiéj czas wymagał, przeczuwaną, niezbędną, ale na uparte strzeżenie i obronę przeżytych praw się obróciły.

Zbytek zmiękczył ludzi, obyczaje zniewieściałe odebrały siłę charakterom, bogactwa i dawna przewaga wbiły w zarozumiałość i dumę, rząd zamiast opiekuna stał się podejrzliwym prześladow-

cą, szukał nieprzyjaciół, posądzał o zdradę, stał się okrutnym i myślał utrwalić siejąc postrach i grozę. Były to pierwsze upadku przyszłego symptomata, może skutki bezczynności, która zbytek sił zwracając wewnątrz państwa, pożerała je powoli i trawiła. Rada dziesięciu, inkwizytorowie, tajemne denuncyacye, były owocami téj epoki, pełnéj scen dramatycznych, lecz zapowiadającéj zgon blizki. Wzrost potęgi tureckiéj, z drugiéj strony giermańskiéj, już nad siłę obarczyły państwo nie mające w sobie środków oparcia się obu, a stojące tylko dawną sławą swéj przewagi.

Ta pamięć zwycięstw i potęgi przyczyniła się może w części do późniejszego Wenecyi upadku i zagrodziła jéj drogę dalszego rozwinięcia, napełniając zbytnią wiarą w siebie, łudząc niepokonanemi zasobami.

Tymczasem wkoło niepohamowany postęp dźwigał daléj kraje i ludy, a rzeczpospolita już tylko usiłowała się ostać na stanowisku zdobytém i przypisując je tradycyom, zasklepiała się w bałwochwalczém ich poszanowaniu. Marynarka jéj dała się wyprzedzić innym, kanały zasypywały piaski, stary Bucentaur złocony, na pół strupieszały, już się nie miał gdzie poruszać i nie mógł wypłynąć na morze—ale stał jeszcze, jako symbol dawnéj przewagi, jakby wieszczba upadku.

Wznosiły się jeszcze nowe pałace, przywoziły marmury, ale już złotem zapłacone, nie krwią zdobyte, przepych wysysał żywotne soki nagromadzone wieków pracą, zniewieściałość pętała, myślano, że kosztem pradziadów żyć można i starą wystarczyć sławą, prześladowano tych, co do nowego ruchu i życia budzili.

Tak powoli ukołysana pieśniami, rozmarzona, zniewieściała, zabywszy oręża i walk, rzeczpospolita stanąwszy raz w biegu, doścignąć nie mogąc współzawodników, nim upadła i postradała swą niezależność, już na upadek wewnętrzną zgnilizną była skazana.

W tych dziejach Wenecyi, których tylko myśl główną staraliśmy się pochwycić, jest nauka wielka, uderzająca prawda, któréj już dziś dowodzić nie potrzeba, że osamotnienie klas w narodzie, a narodu w żywocie ludzkości, jest niechybną przepowiednią ich upadku. Mało jest historyj równie zajmujących i dostarczających dziejopisarzowi, poecie tak żywych i pełnych kolorytu materyałów, jak dzieje Wenecyi. Dziś oblokły się już one tą szatą poezyi, która jest zarazem całunem śmierci. Pieśń lagun, które brudny kał powoli zalega, rozdźwięk znalazła po całym szerokim świecie, sława pięknéj Wenecyi przeżyła ją samą, historya jéj w obcych nawet znalazła namiętnych tłómaczów i pracowitych badaczy. Dramat, powieść, epos, piosenka, wykwitły z tych zwalisk zaczarowanych, unosząc z sobą reszty

ducha, którego już niewiele tli pod gruzami i w popękanych murach.

Rzeczywiście historya rzeczypospolitéj weneckiéj nie może nie nęcić i nie pociągać, tyle w niéj wielkich, dziwnych, uderzających postaci i wypadków co krok się spotyka.

Zrazu to dzieje krwawe i okrucieństw pełne znamionujące epoki pasowania się i ciężki poród organizacyi państwowéj. Mało który doża kończy na książęcym tronie, większa ich część składa władzę lub z wyłupionemi oczyma idzie na wygnanie. Późniéj dramatami gorącemi znamionują się te panowania wybranych, często walczących o władzę, podejrzewanych, jak nasi królowie, o chętki absolutyzmu, usiłujących ostać się przy rządzie, lub świetnością czynów nagrodzić dyktaturę.

Obawa przywłaszczeń otoczyła w końcu dożę taką strażą i niewolą, że godność ta stała się niemal formą i złudzeniem. Nie dawano mu oręża ani wyboru wodzów, a jeśli szedł z flotą, przy boku jego nieodstępnie czuwali dodani stróże.

Doża wybierany był większością głosów w pałacu książęcym przy kościele św. Marka, obnoszono go potém około placu i ukazywano ludowi, pomiędzy który, skarbiąc sobie jego łaski, rozrzucał pieniądze.

Późniéj następowała koronacya, wdziewano na niego czapkę książęcą szczególnego kształtu. Odbywało się to na wschodach zwanych wschodami olbrzymów i prowadzono do kościoła św. Marka, na dziękczynne nabożeństwo, które odprawiał patryarcha.

Zawsze z téj obawy, ażeby sobie nie ujął ludu i nie pochwycił władzy absolutnéj, o którą kilkakrotnie dożowie się kusili, doża miał prawem określone wydatki nawet na uczty, które wydawał, i na rozrzucanie między pospólstwo przy elekcyi. Odjęto mu późniéj honorowe straże, zostawując tylko koniuszego, marszałka dworu, kilku księży i pięćdziesięciu sług starszych.

Doża przy uroczystych obchodach nosił płaszcz purpurowy, z lamą złotą i gronostajami, na głowie koronę bogatą, w dnie powszednie rogatą czapkę *corno*, kształtu frygijskiéj, z lamy złotéj. Od XII wieku nadał dożom papież Aleksander III przywilej, dozwalający nosić przed niemi trąby srebrne, zapaloną świecę, siedzenie pokryte złocisto, ostrogi złote, poduszki, parasol i pierścień, znak panowania nad morzem. Końce płaszcza nieśli dwaj urzędnicy, daléj postępował patrycyusz z mieczem, rada, prezesowie trybunału karnego, rada dziesięciu, awogadorowie, prokuratorowie i senat rzeczypospolitéj.

Oddawano doży cześć wielką, ale władzę ścieśniano ile możności, Franciszkowi Foscari na kolanach wedle obyczaju podali sekretarze, wyrok na śmierć skazujący jego syna.

Arystokracya wenecka wychodzi widoczniéj na scenę w r. 1506 z ustanowieniem księgi złotéj, *Libro d'oro*. W czasie wojny o Kandyę przypuszczono do szlachectwa i do księgi téj wszystkich, którzy byli w stanie opłacić sto tysięcy dukatów, a późniéj otworzono ją, nagradzając zasługi w obronie rzeczypospolitéj, do któréj, niestety—już takiemi środkami pobudzać było potrzeba. Szlachta wenecka nie wszystka była zamożną, dzieliła się na dwie klasy, używające jednych przywilejów, ale wcale różnego znaczenia w rzeczypospolitéj, na ubogą i majętną. Dla pierwszych musiała rzeczpospolita tworzyć mnóstwo niepotrzebnych nominalnych urzędów, utrzymując ich tym rodzajem upozorowanéj jałmużny. Bogaci za to podejmowali się wszelkich obowiązków ciągnących za sobą koszta i wystawę. Urzędy te stały się ciężarem, haraczem opłacanym rządzącéj kaście, z któréj wzrastającém znaczeniem i przewagą rosła obawa zmiany, rosły coraz nowe ostrożności i zawarowania przeciwko panującemu doży, tak, że mu w końcu tylko czczy i bezsilny tytuł pozostał.

Rada dziesięciu ustanowioną została pierwiastkowo w r. 1310 z powodu zajścia dwóch stronnictw spierających się w rządzie o przewagę; mianowano ją czasowo tylko na parę miesięcy dla osądzenia winowajców, potém władzę jéj przedłużono, nareszcie uorganizowano jako stałą.

Rada dziesięciu miała, w pierwszéj chwili potrzebną, moc dyktatorską wyrokowania bez odwołania i tajemnego spełniania swych doraźnych wyroków: pozostała ona potém przy niéj nietylko nieokreślona niczém, ale rozszerzona jeszcze, jakgdyby państwu nieustanne zagrażało niebezpieczeństwo.

Ci dziesięciu przywłaszczyli sobie powoli policyę osobną, trybunałowi karnemu (*quarantia*) odebrali część jego atrybucyj, potém zarząd skarbu, daléj kierunek polityki, administracyę, słowem owładli panowaniem, cień tylko pozornéj jakiéjś władzy zostawując przy doży, którego dowolnie dopuszczali lub nie na swe posiedzenia. Despotyzm téj rady dziesięciu nie miał granic.

Rada była wybieraną corocznie, a trzej przewodniczący jéj co miesiąc. Jeden z nich co tydzień stał na czele i zajmował się czynnie wszelkiemi sprawami bieżącemi. Głosowano różnie, w niektórych wypadkach potrzeba było większości ośmiu głosów, siedmiu lub dwóch przeciw jednemu. W ważniejszych sprawach sąd nawet nie przywoływał obwinionego, nie dawał mu obrońcy, a wyrok ogłaszał i spełniał natychmiastowo; dosyć było oskarżenia, aby być potępionym.

W mniéj ważnych procesach, które głośnemi być mogły, rada

przybierała signoryę złożoną z doży, sześciu jego radców i junty wybranéj z senatu. W innych sądziła z signoryą tylko lub z samym dożą, w najpilniejszych i tajemnych wyrokowała sama bez niczyjego udziału. Policya rady dziesięciu mieszała się do wszystkiego i była wszędzie, mogła nawet śledzić czynności i przeglądać papiery samego doży, miała prawo sądzić jednego z między siebie, nieoznajmując mu o tém.

Śmierć, więzienie, wygnanie groziły wszystkim bez wyjątku co chwila, wyrok nie dopuszczał ani odwoływania żadnego, ani kontroli. Najpotężniejsi w rzeczypospolitéj, najzasłużeńsi mężowie, więcéj nad innych byli na oku. Trybunał ten i jego wykonawcy okryci tajemnicą, z twarzami zamaskowanemi, działający w ciszy, napadający niespodzianie, napełniali niewysłowioną trwogą.

Szlachta w ten sposób starała się utrzymać przy swéj władzy, nie podzielając jéj z nikim, ale samą przesadną o nią obawą okazywała swą słabość.

Żadne względy nie powstrzymywały tego straszliwego trybunału, który jednych trwogą trzymał na wodzy, drugich pieniędzmi ujmował, a często dla najbłahszych pozorów, podejrzeń lab chwilowego dziwactwa, rozporządzał samowolnie życiem ludzi. Środków wymienionych postrachu i przekupstwa, nietylko wewnątrz kraju, ale poza granicami jego używano względem panujących, z któremi Wenecya była w stosunkach. Świadczą o tém mnogie w archiwach instrukcye i listy.

Opłacano zabójców i zbirów, kupowano szpiegów, rozrządzano ludźmi podwładnemi, strachem pobudzając ich do potrzebnych zbrodni, a przemoc ta nie znała granic moralnego prawa, nie szanując nic, nie powściągając się od żadnego kroku. Dowodząc, że nie czuła się związaną żadnemi wyższemi względy, musiała zaszczepić zepsucie i demoralizować wszystkie klasy społeczeństwa.

Przed ustanowieniem inkwizytorów stanu, przy radzie był urząd osobny podskarbiego, który denuncyacye, dostarczane wiadomości, szpiegostwa i ceny za głowę naznaczane, opłacał. Oprócz tego, w wielu miejscach publicznych urządzane były otwory (paszcze bronzowe), w które każdy mógł wrzucić tajemne ostrzeżenie lub denucyacyę, oskarżenie, potwarz, a dosyć było cienia winy, aby zostać ukaranym. Łatwo pojąć, jakich nadużyć, jakiego zepsucia stawało się to powodem.

Chwilowo w niebezpieczeństwach kraju, rada dziesięciu mogła zapewne działać skutecznie i dzielnie, ale ratunek ten opłacać musiała rzeczpospolita powolném rozprzężeniem, demoralizacyą, zepsuciem, które trawiło ją i przygotowywało upadek.

Postrach, który szerzył ten trybunał tajemny, był tak wielki, że nic mu się oprzéć nie śmiało; cudzoziemcy nawet truchleli na widok barki z czerwoną flagą, lub na te głoski

G. D. X.

ktore nosiły na sobie rozkazy rady i jéj słudzy. Spełniano wyroki bez wahania i zastanowienia, chociażby one zrywały najświętsze obowiązki, oburzały najszlachetniejsze uczucia. Zjawienie się zamaskowanéj postaci ze znakiem trybunału, wyszytym na piersi, równało się śmierci... przestroga jéj była rozkazem. Ni źle, ani dobrze mówić o nim nie było wolno, chwalić go znaczyło oceniać i sądzić, a do tego nikt nie miał prawa.

W ostatnich czasach koniecznością, położeniem rzeczypospolitéj usiłowano usprawiedliwić czynności rady dziesięciu; starano się dowieść, że Daru przesadzał, opisując jéj samowolę i okrucieństwa, okazać, że postępowała prawnie i ściśle pewnych form się trzymając. Niéma wątpliwości, że rada była legalnie uorganizowaną, że miała przepisy i obyczaj, wedle których postępowała i nie przechodziła granic ustawą dla siebie nakreślonych—lecz samo prawo nadane jéj było tak poczwarne, nadzwyczajne, tak przeciwne wszelkiemu poczuciu sprawiedliwości, tak szerokie pole zostawując nadużyciom, iż obrona taka wcale nic nie dowodzi.

Chociaż szlachta przewodniczyła we wszystkiém i władała przeważnie, lud jednak miał pewną siłę, pozostałą tradycyjnie z dawnych czasów, objawiała się ona w wypadkach ważniejszych, energicznie i stanowczo.

Tak przy obiorze następcy po doży Sagredo, krzyk sam pospólstwa wstrzymał już prawie postanowione wyniesienie Jana Sagredo. Z rzymskich jeszcze czasów pozostał tu, wiele wpływu wywierający na pospólstwo, obyczaj patronatu i klientów.

Gmin cały podlegał rozmaitym patronom ze szlachty, którzy nim rozrządzali, w każdéj ważniejszéj sprawie radzono się tych wodzów. Patroni, ujmując sobie gmin, miotali nim wszechwładnie.

Podział ludu (właściwie gondolierów) na Niccolottich i Castellanów, bardzo dawnych sięgający czasów, nie rozgraniczał ich miejscowością, w któréj żyli, ale pochodzeniem rodzin starém, niegdyś przy Castello i San Nicolo osiadłych, na dwóch krańcach miasta. Nicolotti odznaczali się czapkami czarnemi, Castellani nosili czerwone.

„Podział ten—piszą autorowie najświeższych badań o dawnym Wenecyi stanie *) — nie zagrażał wcale bezpieczeństwu państwa, bo gdy ojczyzna wymagała obrony, nikli Castellani i Nicolotti, wszyscy stawali się Wenecyanami i synami św. Marka.“ W szesnastym wieku jednak współzawodnictwo czapek czarnych i czerwonych, natchnęło nawet poetę, który tę wojnę domową opiewał.

Dawnych praw ludowych cień także jakiś pozostał w ukazywaniu doży, po wyborze jego na placu św. Marka, z zapytaniem:

— *Vi piace?*

Lud miał swojego prokuratora, który doży w imieniu jego poprzysięgał posłuszeństwo.

W pierwotnych czasach, Weneci, zajęci handlem i wojną, prowadzili życie pracowite i skromne a proste, dowodzą tego surowe prawa przeciwko zbytkom. Kobiety mało się ukazywały po za domem, siedziały u kolebek dzieci, zakwefione jeździły do kościołów, z balkonów zakrytych przyglądały się zabawom gminu, rzadko mieszając do tłumnych *feste*. Wogóle niewiele imion niewieścich ukazuje się w historyi Wenecyi, co dowodzi, jak ustronne i domowe wiodły życie.

Późniéj, jak wiadomo, obyczaje całkiem się odmieniły, wszakże w wyższych klasach pozostał surowy tryb życia do końca.

Żywot domowy cichy był i zamknięty, natomiost publiczny cały jaśniał blaskiem i przepychem. Wybór doży, prokuratora św. Marka, wielkiego kanclerza, patryarchy, odznaczal się zabawami, iluminacyami, tańcami, rozrzucaniem pieniędzy, ucztami dla gminu. Zaślubiny doży z morzem, złocisty Bucentaur, z którego wyżyny rzucał pierścień w Adryatyku fale na znak panowania, są zbyt znane, abyśmy o nich obszerniéj się rozwodzić potrzebowali. Z równą wspaniałością przyjmowano posłów cudzoziemskich, papieżów i królów, których rzeczpospolita ugaszczała z przesadnym przepychem. Ściany pałacu dożów noszą do dziś dnia pamiątki tych dni chwały, a przyjęcie Henryka III uciekającego z Polski, jeszcze się tu tablicą monumentalną i obrazem przypomina. **)

Upodobanie w świetnych obchodach w późniejszych czasach coraz widoczniejszém się staje, mnożą się one z bogactwem rzeczypospolitéj i oderwaniem od pracy. Ludność bawi się temi festynami, jak *plebs* starego zepsutego Rzymu, rząd dogadza téj fan-

*) *Venezia e le sue Lagune.* Cztery tomy w ósemce większéj, wydane przez komisyę złożoną z pięciu członków, pod przewodnictwem Hr. Jana Correr.

**) Obrazu tego są dwa sztychy znane, jeden stary bez imienia artysty, drugi w obrysie świeży, do opisu pałacu przydany.

tazyi dla przypodobania się tłumom.—Kilka z tych dorocznych uroczystości były wspomnieniami historycznemi, jak naprzykład: obrzęd oprowadzania dwunastu żywych, a potém drewnianych kobiet, na pamiątkę porwanych przez korsarzy i odebranych im Wenecyanek;...—zapasy Nicolottich z Castellanami, obchód zwycięstwa nad patryarchą Akwilei i t. p.

Regaty, wyścigi gondoli i łodzi trwające do dziś dnia, powstały z potrzeby wydoskonalenia majtków i wioślarzy w dawnych czasach, gdy marynarka Wenecyi główną jéj stanowiła siłę. Dziś to zabytek tylko i tradycya smutna.

Oprócz tego, wszelkie uroczystości i święta kościelne obchodzono w Wenecyi z największym przepychem; bractwa, których tu teraz jeszcze pozostała liczba ogromna, przesadzają się i współzawodniczą w ubraniu swych ołtarzów, relikwiarzy, chorągwi i ogromnych świec ozdobnych. Z upadkiem powolnym rzeczypospolitéj rozprzężenie obyczajów, zamiłowanie w zbytkach, zabawach i czczych rozrywkach, wzrosło i uczyniło Wenecyę sławną ze swych świetnych i ochoczych karnawałów, których pamięć tylko żyje jeszcze.

Z nakreślonych tu głównych zarysów obrazu staréj Wenecyi maluczko już znajdzie się w obecnym jéj stanie; upadek niezależności pociągnął za sobą zupełne przerodzenie się i ruinę, nie tylko instytucyj głównych rzeczypospolitéj, ale wewnętrznego życia stolicy. Szlachta owa przemożna nie istnieje tylko z imienia, pałace jej stoją pustkami lub wyprzedają się cudzoziemcom, ostatni wielkich imion spadkobiercy zubożeli, kryją się w zakątkach gmachów wynajmowanych podróżnym, żyjąc z jałmużny rządowéj, lub pokazywania tych okruszyn wspaniałości dawnéj, któréj codzień jakiś odłamek na dnie lagun przepada.

Cicho i głucho w owéj pięknéj i świetnéj dawnéj Wenecyi, gondolierowie obwożąc po milczących kanałach, tylko nędzę dzisiejszą i ruiny wskazują, sami będąc jéj żywym obrazem.

Dramat dziejowy Wenecyi, która starych swoich form i tradycyj trzymając się uparcie, skostniała w bezwładności i strupieszała wewnętrznie—smutnie się kończy z XVIII wiekiem.

W r. 1797, senat ostatnim wysiłkiem władzę swą złożył ludowi, nie mogąc już obronić rzeczypospolitéj; Francuzi zajęli miasto, skarby sztuki, nagromadzone wiekami, powędrowały do Paryża. Te łupieże bibliotek i muzeów jako trofeów wojennych niegodne są zaprawdę czystéj sprawy, za którą walczono. Traktat w Campo-Formio Wenecyą z jéj posiadłościami oddał Austryi, traktat presburski wcielił ją do królestwa włoskiego, rok 1815 powrócił znowu temu państwu.—W ostatnich wypadkach, los biednéj Wenecyi

nie uległ żadnéj zmianie, mylimy się, stał się nieznośniejszym może. Drżała ona za każdym wystrzałem, który ją od Magenta, od Solferino dochodził, ale traktat w Villafranca położył koniec jéj nadziejom. Odtąd siedzi zatęskniona patrząc w przyszłość, osmutniała, bolejąca, a w mrokach nic nie widać, coby jaśniejszą rokowało zorzę. Dni boleści płyną powoli... cegły spadają z ruin i toną w lagunach... Niestety! zmarli tylko cudem zmartwychwstają.

V.

Dzień Bożego Ciała w Wenecyi.—Plac św. Marka.—Piazetta.—Dwie kolumny. Budowy otaczające plac.—Logietta.—Pałac Dożów.—Kościół św. Marka.—Kandelabry.—Campanilla.—Prokuracye.—Procesya.—Tłum ludu.—Szewc cicerone.—Bractwa.—Charakter uroczystości.—Srtoje uroczyste, wystawa.—Dzieci za św. Janów poubierane.—Zakony i urzędnicy.—Lud.—Przypomnienie dawnych czasów.—Widok.—Powrót do Luny.—Przejażdżka po Canal Grande.—Beppo gondolier.—Krajobraz wnętrza Wenecyi.—Opustoszenie i nędza.—Pałac Foscarich.—Ostatni z Foscarich.—Wiszniewski w Wenecyi.—Mocenigo.—Lord Byron.—Dom Desdemony.—Pałace.—Rialto.—*Ca' d'oro.*—Vendrami-Calegri.—Gospoda turecka.—Inne gmachy.—Regaty.—Fresco.—Beppo stary.—Lud na placu i wybrzeżu.—*Povera Venezia.*—Fizyognomia miasta.

Dla widzenia Wenecyi w najkorzystniejszém świetle teraźniejszości, nie można było trafić szczęśliwiéj, jak na ten dzień uroczysty Bożego Ciała.

Jestto jeden z najwspanialszych obrzędów kościelnych, obchodzonych tu z równym przepychem jak przed wieki. Łatwo się o tém przekonać, porównywając obrazy wystawujące procesyą z żywym jéj dzisiejszym widokiem. Mamy opisy jéj z końca XVI wieku dowodzącec, że i w Polsce tak samo się początkowo odbywała; lecz nie wiem, czy już dziś gdzie na świecie, prócz Hiszpanii, pozostała tak malowniczą, tak naiwnie katolicką, jak dotąd jest jeszcze w Wenecyi.

Lecz nim wprowadzim czytelnika na plac św. Marka, należy mu dać choć zarys miejscowości, wśród któréj rozwija się wspaniały ten obraz godzien świetniejszych dni rzeczypospolitéj, zdającéj się dnia tego na chwilę zmartwychpowstawać. Najczęściéj podróżni przybywający ze statku wprost przybijają do wybrzeża słowiańskiego (*Riva degli Schiavoni*) i wysiadają przed tak zwaną *Piazettą* placykiem, który jest jakby przedsienią placu św. Marka, będącego sercem Wenecyi, najgłówniejszą jéj ozdobą. Stąd już można objąć okiem najwspanialsze miasta gmachy, pałac Dożów majestatyczny, część kościoła św. Marka, wieżę zegarową naprzeciw Piazetty sto-

jącą i wiodące pod nią przejście do starych *Mercerie*, budowy w lewo opasującéj plac dokoła.

Na Piazeccie stoją naprzód dwie granitowe kolumny, znane ze wszystkich rycin i fotografij, noszące na nagłówkach godła rzeczypospolitéj. Dwa te monolity bez podstaw i kapitelów, znaleziono wyciosane, podobno w Naksos i przywieziono je w XII wieku do Wenecyi. Zrazu nie mogąc ich pomieścić w nizkiéj bazylice św. Marka, rzucono i zapomniano u brzegu. Podjął się dźwignienia ich niejaki Barrattieri, który z pomocą lin zwilżonych podniósł słupy i ustawił, okrywając w górze szerokiemi nagłówkami.

Miejscowe podanie twierdzi, że budowniczy filuterny w nagrodę swych trudów, uprosił u rzeczypospolitéj przywilej założenia gry publicznéj na placyku pomiędzy temi kolumnami. Rząd gorszącego tego monopolu inaczéj późniéj znieść nie mógł, aż toż samo miejsce wyznaczając na plac kary i tracenie winowajców. Gracze ustąpili wisielcom i katowi—inaczéj trudno się ich było pozbyć. Do dziś dnia miejsce pomiędzy temi dwoma słupami okryte jest hańbą i zdaje się krwi przelanéj nosić ślady.

W XIV wieku na jednéj z kolumn różowego granitu, ustawiono posąg ówczesnego patrona rzeczypospolitéj, św. Teodora z krokodylem. Druga szara kolumna dźwiga lwa św. Marka odlanego z bronzu, trzymającego księgę ewangielii i wskazującego w niéj wyrazy tyczące się nowego patrona Wenecyi.

Powiadają, że lew św. Marka w czasie podróży swéj do Paryża,—bo i jego zabrano z wiekowéj posady na słupie—zgubił był gdzieś księgę tak, że mu nową dorobić musiano.

Od granitowych dwu słupów pięknie panujących téj części placyku, posuwając się w głąb' daléj, na lewo spotykamy gmach mennicy *Zecca*, piękną budowę Sansovina, do któréj wnijście średnie zdobią olbrzymie dwa posągi, i *Libreria Vecchia*, starą bibliotekę, równie wspaniałą, z któréj teraz księgi do pałacu Dożów przeniesiono, przemienionego na księgozbiór i rodzaj muzeum sztuki. *Libreria* jest także dziełem Sansovina i Scamozzi, który po śmierci pierwszego ją dokończył. Dołem gmachu biegną dwadzieścia jedna arkada, doryckie i jońskie, uwieńczone architrabem i fryzą wytwornie ozdobną. Posągi, balustrady są ręki Sansovina, lub przynajmniéj jego pomysłu. Gmach ten, który był podziwem współczesnych i wywołał dowcipną pochwałę *Aretina*, o mało drogo nie został przypłacony przez budowniczego. Gdy Sansovino zasklepiał arkady, jedna z nich się obaliła. Rzeczpospolita kazała uwięzić architekta i pozbawiła go zajmowanego miejsca. Tycyan i Aretino wyjednali mu wszakże przebaczenie, ale sklepienie własnym kosztem dźwignąć musiał na nowo.

Daléj spotykamy prześliczne cacko—*Loggiettę*, dawny budyneczek dla straży pod samą Campanillą naprzeciw św. Marka, utwór Sansovina cały z marmuru i bronzu, przedziwnego smaku i wykończenia. Same bronzowe drzwi, które wnijście zamykają, są arcydziełem niezrównanéj w swym rodzaju piękności.

Z drugiéj strony placyku, którego tylko zewnętrzną staramy się odmalować fizyognomią, poważny gmach pałacu Dożów się wznosi, jedną ścianą ponad wybrzeżem słowiańskiém, drugą ku kościołowi św. Marka.

Gmach ten bardzo oryginalny i piękny w szczegółach wykonania, jest wszakże na pierwszy rzut oka ciężki, sprawia to przezroczystość jego u dołu, gdyż cały jest w łukach i kolumnach, gdy nad niemi spoczywa górne piętro dla oka nazbyt jednolite i wyniosłe. Cała ta ściana ozdobna, wysoka, ale nierównie cięższa od dolnéj galeryi, zdaje się ją przygniatać masą stosunkowo ogromną.

Część ta budowy dziwna, uderzająca niezwyczajnością, do dołu zasunęła się w ziemię na piętnaście cali, co także proporcye zmieniło. Zdobią ją bogate rzeźby i liczne ornamenta, o których jeszcze obszerniéj wspomnimy. Pałac Dożów przepysznemi, niesłychanego bogactwa wrotami, dzieli się tylko od kościoła św Marka.—Przypiera on do niéj i zajmuje część znaczną, prawie całą stronę placu. Nawet na pierwsze wejrzenie stara bazylika bizancka, a raczéj stylu sobie tylko właściwego, dziwi i uderza. Pomimo nizkości budowy, wykonanie, bogactwo szczegółów, ich rozmaitość, charakter na pół wschodni, pół gotycki, świetność barw, wdzięk linij, zdumiewają... czuć jeszcze w gmachu tym, budowanym przez wieki, całą wielkość rzeczypospolitéj, całą jéj potęgę.

Czołem zwrócony do placu, bokiem mało co widny z Piazetty, kościół stanowi jednę ze ścian tego przepysznego prostokąta, zamkniętego zewsząd wspaniałemi gmachami, który się zowie *placem św. Marka.* Lecz jakże dać wam wyobrażenie tego zlepka wieków, dziś jeszcze lśniącego od marmurów, mozaik i złota! Potrzeba ją widzieć, aby tę piękność odrębną, osobliwszą, na którą składały się długie lat koleje, ocenić. Na pospolitych sztychach i rycinach, wygląda ona chłodno, sztywnie, biało i nieprawdziwie, w naturze jak świątynia zaczarowana z jakiegoś poematu wschodniego.

Nie potrzeba w architekturze św. Marka szukać jednolitości surowéj, zbytniéj ścisłości stylu, nie śmiano harmonizować dobudowując na nowo, a lata powoli zlały w całość najsprzeczniejsze linie, barwy, myśli i materyały.

Facyata główna składa się z pięciu arkad ozdobnych, tworzą-

6*

cych jakby wnijścia, ponad któremi wznosi się pięć odpowiednich im zasklepień i nisz, zakończonych gotyckiemi rzeźbami i krzyżami. Średnia arkada szerszą jest od bocznych. Wgłębi pięcioro drzwi bronzowych prowadzi do świątyni. Ciekawém jest nawet rozpatrzenie materyałów, z których się tworzy to czoło kościoła, całe błyszczące od marmurów i mozaik.

Słupy z kosztownych kamieni są to zdobycze Wenecyi, przybysze z różnych stron świata, wydarte Grecyi i Wschodowi; płaskorzeźby w daninie przyniosły zwycię̇żone kraje; na wyrycie tych kamieni składały się ręce narodów i dłuta lat tysiaca, znajdziesz tu napisy starego Rzymu i Grecyi, symbole wiary pogańskiéj, zagadkowe znamiona religij zgasłych i niepojętych, i pierwiastkowe roboty mistrzów chrześcijańskich i dopełniające je najnowsze z epoki odrodzenia.

Każdy tu kamyk i słupek jest pamiątką. Ogół, widziany w pewném oddaleniu, jest wielkiéj wspaniałości i bogactwa. Po nad czołem bizantyjskie kopuły piętrzą się z gwiaździstemi krzyżami.

Przed kościołem, na trzech bronzowych pysznie rzeźbionych olbrzymich kandelabrach, wznoszą się trzy maszty drewniane, na których dawniéj powiewały flagi herbowne, Cypru, Kandyi i Morei, dziś—sztandary austryackiego domu. Dlaczego i téj się obawiano zostawić pamiątki?

Nieco daléj przed kościołem stoi odosobniona, wedle obyczaju włoskiego, wysoka smukła dzwonnica, Campanilla, jedyny sprzęt na odkrytym zresztą placu, wyłożonym taflami marmurowemi.

W lewo, w prawo i w głębi, odbudowany jest cały tak zwanemi—Prokuracyami dawnemi i nowemi.

Plac ten, jak go dobrze nazwał Napoleon, jest najpiękniejszym *salonem* w Europie, któremu niebo tylko godne jest służyć za pokrycie. Wspaniałe otaczające go arkady, wieża zegarowa, czoło kościoła, a w górze lazurowy namiot boży, stanowią całość okazałą, dziwną, fantastyczną. Wrócimy jeszcze na ten plac kilka razy.

Chwilkę tylko spocząwszy w hotelu, wybiegłem pieszo na plac, oznajmiono bowiem, że procesya wychodzić już zaczęła, jakoż zastałem ją posuwającą się zwolna i olśniony stanąłem tym malowniczym widokiem. Plac był ożywiony, pełen ludu, na masztach powiewały chorągwie, wesoły gwar przebiegał tłumy. Martwa Wenecya na chwiię powracała do życia.

Na tę godzinę, cała ludność miasta wysypała się na plac św. Marka i zapomniała o smutnéj doli, wobec przypomnień dawnéj wielkości ojczyzny.

Staliśmy długo oślepieni na widok tego obrazu — przeszłość wstała z grobu...

Wokoło kolumnad, nad arkadami Prokuracyj, w oknach powiewały zasłony purpurowe, kobierce, makaty; plac roił się tysiącami ludu, gmin, księża, wojsko, wszystko to wesołe, gwarzące, uśmiechnięte, nie mogąc się pomieścić w kościele obozowało na placu, pijąc limonadę, paląc cygara, jakby niegdyś w dni szczęśliwe. Uroczysta procesya, która więcej dwóch godzin trwać miała, już się była rozpoczęła, w chwili gdyśmy ją oglądać przybiegli. Przecisnąłem się do drzwi kościelnych, ale tu już nie puszczono nikogo, ścisk był niezmierny, musiałem niedaleko od portyku zająć miejsce dość niewygodne, ale z którego wszystkiemu się przypatrzyć było można, bom się dobił po nad sam skraj tłumu i koło mnie sunęła się uroczysta procesya. Szczęściem jeszcze znalazł się zaraz chłopczyk, który mi usłużnie najął drewnianą ławeczkę, chwiejącą się, niebezpieczną, ale wdrapawszy się na nią i z pomocą jego utrzymując w równowadze, mogłem z góry lepiéj przypatrzyć się ubiorom i przyborom. Przypadek także dał mi doskonałego sąsiada, cicerone gratis; niepoczesna figurka, brudny i niepozorny jegomość ów, w którym łatwo było poznać ubogiego szewca, gadatliwy był bardzo i zaofiarował mi się tłómaczyć wszystko. Okrutna ciekawość dała mi na ten raz jakąś intuicyą, do zrozumienia nawet jego weneckiego dyalektu.—Szewc ów, poznał we mnie łatwo cudzoziemca, a widząc, żem chciwie chwytał objaśnienia udzielane, gorąco się wziął z żywością wielką, z dumą, z poczuciem głębokiém swojego posłannictwa, do tłómaczenia mi tajemnic obchodu, z którego jako Wenecyanin, był wyraźnie dumny i szczęśliwy. Poczciwy łatacz podnosił głos, ruszał rękami, spełniał ten dobrowolnie przyjęty obowiązek nauczycielski z takim zapałem, z taką energią, iż mnie zajął prawie tyle co sama procesya. Typ wszakże nie był wcale nowy, kosmopolityczny i starty, ale przezeń mówiła przeszłość. Znał on wszystkich i wszystko, bractwo każdéj parafii, od najstarszego di Sant-Angelo począwszy, aż do najpóźniéjszego di San Salvatore, wiedział, jakie i skąd miały relikwie, ile kosztowały relikwiarze, mianował nazwiska starszych i dostojniejszych braci, a współzawodnictwo tych konfraternij, które widocznie wzmagały się na to, aby jak najwspanialéj wystąpić i zatrzéć inne, obudzało w nim najrozmaitsze uczucia, wedle parafij, z któremi żył w dobrych lub mniéj przyjaznych stosunkach. Z niektórych nawet pozwalał sobie żarcików i witał je ruszeniem ramion, prawie pogardliwém.

Wogóle nas z północy przybyłych uderzyło naprzód to, że ów obchód pobożny nie miał wcale charakteru uroczystości religijnéj,

tak, jak-eśmy my ją sobie wystawiać przywykli. Włosi z Panem Bogiem są w cale innych niż my stosunkach, poufalsi, zażylsi, pobożność pojmują inaczéj, wiara ich i jéj praktyki niekiedy nas gorszą, a zawsze zdumiewają.—Procesya wydawała się jakby jakaś wystawa pamiątek, popis bogactw i ubiorów, nikt, ale nikt dokoła nie modlił się, szeptali, rozmawiali, śmieli się, pokazywali sobie idących, głowami witali niosących świece i ołtarze, palili cygara, popijali limonadę, którą pod samym prawie portykiem św. Marka przedawano, zajadali ciasteczka... wyglądało to na zabawę ludową.

Pochód szedł tymczasem powoli, poczęły się naprzód ukazywać bractwa dwudziestu kilku parafij weneckich, każde w stroju swym obrzędowm, w rozmaitego kroju i koloru kapach z kapturami, pąsowych, zielonych, białych, niebieskich z przszytemi na piersiach blachami i obrazkami, z godłami konfraternij na kształt orderów, jedne boso, inne w białych trzewikach. Bracwa te bardzo starożytne, bo niektóre z nich sięgają XII i XIII wieku, szły każde oddzielnie, zwykle poprzedzał je starszy niosący berło (massaro), za nim w sześciołokciowych świecznikach ozdobnych i ogromnych złoconych latarniach, niesiono świece olbrzymie. Niektóre z nich dla większéj wspaniałości przybrane były w rzeźbione wyzłacane anioły, lub bogate ornamenta snycerskie, ludzie niosący ledwie udźwignąć je mogli. Każda z tych olbrzymich świec, któremi widocznie bractwa się wzajem zaćmić chciały, otoczone były banderolami, wstęgami, kwiatami, oprócz tego zdobiły je bronzowe patery i t. p. Niesiono daléj ołtarze wspaniałe z obrazami świętych, równie kosztownie złocone i poprzystrajane, relikwiarze starożytne z mnóstwem figur, posągi, krucyfiksy i t. p.

Wszystek ten sprzęt tak był ciężki i wielki, że bracia, oblani potem, uginali się pod brzemieniem. Dla ulżenia dłoniom znużonym, wszyscy kapnicy z przodu mieli pasy skórzane mocne, z otworem do zatknięcia końca świecy lub kija.

Ubiory bractw były rozmaitości niezmiernéj, najwięcéj jednak kap pąsowych, inne były dwukolorowe, białe fałdowane bogato, z pelerynami niebieskiemi, zielonemi, z medaljonami na piersi niekiedy wielkich rozmiarów. Większa część braci miała trzewiki, pończochy i rękawiczki. Niosący świece i ołtarze podobierani byli siłą i wzrostem, ludzie olbrzymi, postacie pełne charakteru; coś jakby ze starego obrazu Giorgiona. Przed kilku bractwami szły dziatki, poprzebierane wedle starego obyczaju za różnych świętych, szczególniéj za małych Janów Chrzcicieli w baranich skórkach, z barankami żywemi na paskach lub na rękach... Te śliczne dzieci wzbudzały wielki w tłumie entuzyazm, jedno chłopiątko pół

nagie, z barankiem do jego wzrostu dobranym, musiano nieść na rękach, boby nie podążyło za procesyą. Sąsiad mój szewczyna, doskonale był uwiadomiony, kto mianowicie przedstawiał św. Jana, szeptał mi nazwiska i tytuły wszystkich dostojników każdego bractwa... alem na nieszczęście ani jednego nie zapamiętał. Wspaniałości, oryginalności téj procesyi, która szła i szła kilka godzin bez końca, opisać nie podobna. Był to pochód złożony z mnóstwa zjednoczonych, bo każde bractwo wiedzione przez swojego *arciprete*, ze swojemi księżmi, krzyżem, ołtarzami, lichtarzami, relikwiami, stanowiło osobny orszak.

Dopiéro, gdy się te konfraternie wszystkie przesunęły, zaczęły iść śpiewając szkółki, sierotki, zgromadzenia różne, urzędnicy.

Szewc ciągle wywoływał przede mną, targając mnie za rękę dla zwrócenia mojéj uwagi.

— Ecco San Maria del Carmen. — Ecco San Cristoforo or Scuola del Morte.—Ecco San Rocco.

Posąg i relikwiarze św. Rocha były srebrne i przepyszne.

Szły daléj bogate, w pełne charakteru fizyognomie zakony św. Franciszka, kapucyni, reformaci, franciszkanie, dominikanie, karmelici, księża świeccy, kler katedralny w kapach złotych... Niesiono chorągiew nową, chorągiew patryarchalną, potém sunęli się urzędnicy w mundurach, wojsko, muzyka, a w porcie dawano z dział ognia co chwila.

Po tych olśniewających wspaniałościach, które końca nie miały, ukazał się nareszcie patryarcha z przenajświętszym Sakramentem pod złotym baldachimem, którego sznury trzymali czteréj szambelanowie, gubernator i t. d.

Tu już nikło wspomnienie dawnéj rzeczypospolitéj, rzeczywistość występowała wygalonowana i prozaiczna. Lud tymczasem, w prostocie ducha więcéj się bawił, niż modlił, będąc pewien, że jego wesołość stanie przed Bogiem za nabożeństwo, nie spostrzegłem ani jednych ust złożonych do modlitwy, limonada krążyła w najlepsze, przynoszono lody, zapalając cygara, czekając na patryarchę, najmowano krzesła do stania, ławki, a nawet stoły powynoszone z bliższych mieszkań, zajadano ciasteczka i cukierki, śmiano się, żartowano, i jeśli nie było wielkiéj żarliwości religijnéj, wesołość zato nie zmyślona.

Nie wiem czemu to przypisać, może nieszczęśliwemu sąsiedztwu, ale począwszy od mego przyjaciela szewca, wogóle typy ludności, charaktery twarzy w téj ciżbie, wcale się nie wydawały nam pięknemi. Między niemi większość była pospolitych, trywialnych, karykaturalnych prawie, nie wyjmując poczciwego szewczyny. Kobiety, szczególniéj starsze, odznaczały się dziką brzydko-

ścią, napróżno dnia tego szukałem oczyma z Klemrodem razem, oryginałów Giorgiona i Tycyana, nastręczały się tylko oblicza zwiędłe, włosy siwe w niełedzie, poprzepinane srebrnemi iglicami, twarze nędzą, cierpieniem i pracą wyżółkłe i zmęczone.

Był to lud widocznie dożywający kresu dni swoich i przeznaczony na śmierć...

Gwar i hałas był niezmierny, ruchawy tłum religijnéj nie zachowywał ciszy, rzemieślnicy i lud, który mnie otaczał, wykrzykiwali namiętnie przy wynoszeniu z kościoła ołtarzy i świec wielkich, nie mieszczących się często w drzwi ciasne. Na prawo! na lewo! wyżéj! niżéj!

Nie zaręczam, żeby się tam gdzieniegdzie nie wyrwało i przekleństwo.

Dzieci biegły hałasując, w ogromne misy drewniane zbierając wosk, spływający ze świec olbrzymich, od wiatru i skwaru topniejący.—Krzyk, wrzawa, huk dział od Malamocco, wywoływania tuż siedzących przekupniów, nieprzyjemne wogóle czyniły wrażenie, a brudne ubiory gminu, odbijające mocniéj jeszcze od przepychu strojów uroczystych, uwidomiały nędzę i upadek...

Życia jednak, zajęcia, gorączki, było tu jeszcze wiele, a sprawa cała obchodziła tak mocno wszystkich, jakby każdy czynny w niéj miał udział. Smutku nie spostrzegliśmy dnia tego na żadnéj twarzy, wszystkie pałały, dumne były, rozpromienione, jaśniejące...

Resztki się to dopalały innego starego żywota, on jeszcze ogniem swym rozpłomieniał te tłumy.

Otóż jak się nam na pierwsze wejrzenie przedstawiła *Venezia la bella*. Pomimo dziwaczności tego obrazu, godnego pędzla Canalettich, mimo trywialności scen pojedyńczych, które go składały, i powiewających flag austryackich i mundurów białych... jeszcze to był jakby sen i marzenie o staréj rzeczypospolitéj. Różnobarwny pochód majestatycznie i świetnie rozwijał się wśród placu św. Marka, okrążając go dokoła, katedra, Prokuracye, Piazetta, tło téj sceny ze swą oryginalną architekturą, przyczyniały się do nadania całości uroku, który powoli oczom zrazu nie oswojonym, olśnionym się objawiał.

Portyk św. Marka ze swemi marmurowemi kolumny, które niegdyś greckie może zdobiły świątynie, z bronzowemi końmi, ze lśniącemi mozajkami na tłach złocistych, z tysiącem rzeźb; wysmukła Campanilla, wytworna Loggietta Sansovina, zegarowa wieżyca, granitowe słupy św. Marka i Teodora, arkady Prokuracyi — wszystko oblane strumieniami gorącego słońca południa, przecudo-

wnie dopełniało téj panoramy niezrównanie malowniczéj i wspaniałéj.

Patrzałem coraz bardziéj zachwycając się, przejmując uczuciami tego ludu, który widział w tém wielkości swojéj dzieje, i pojąłem, że im trudno się było modlić. Tyle uczuć ziemskich napływało do piersi z tego widoku, tyle wspomnień, tyle żalów i dumy... a może i gorączkowych pragnień.

Nareszcie gdy już sił brakło, aby dłużéj ustać na chwiejącéj się ławeczce, gdy i śpiewy i działowe wystrzały przebrzmiewały, a gondole na wybrzeżach poczęły zabierać tłum i rozwozić, myśmy także znużeni, na pół upieczeni od słońca, przed którém osłonić się nie było podobna, poszli powoli spocząć do naszéj Luny.

Plac św Marka pozostał jednakże przepełniony, ożywiony, gwarny, gdyż w takie dnie, wyjąwszy chwilkę popołudniowego spoczynku, ciągle tu ludno, a w pobliżu kawiarni pod arkadami przecisnąć się nie łatwo. Tu zawsze kogoś znaléźć można przy stoliczku, nawet o czwartéj zrana.

Cała noc spędzona bezsennie na pokładzie statku i przypatrywaniu się Adryatykowi, ranek na skwarze i w niewygodném położeniu, nie złamały nas jednak do tyla, byśmy zaraz po obiedzie w Luna, gdzie towarzystwo *tavola rotonda* (table d'hôte) nie było wcale zajmujące, nie pomyśleli o dalszém rozpatrywaniu się w Wenecyi. Potrzeba było z każdéj chwiii czasu korzystać.

Mówiliśmy już, że główną ulicą (jeśli się tak nazwać godzi), na dwie nierówne wielkości i znaczenia połowy dzielącą miasto jest *Canalazzo*, czyli *Canal Grande*, wężem przerzynający Wenecyą. Po nad jego brzegami stoją najwspanialsze jéj gmachy, ruiny, reszty najpiękniejszych pałaców, których imiona przypominają zagasłe rodziny i historyczne patrycyatu sławy. Myślałem, że po ranném widowisku, należało dalsze wędrówki rozpocząć od najcharakterystyczniejszéj miasta części, od najwspanialszych jego budowli, najęliśmy więc gondolę, któréj przewoźnik stary Beppo równie mi się szczęśliwie nadarzył jak szewc zrana. Ruszyliśmy z nim wąziuchnym kanałem wprost z pod okna mojego mieszkanka, wychodzącego na wodę, — w celu powierzchownego obejrzenia miasta.

Skwar poranny już się był nieco zmniejszył, a choć przejażdżki nazwać jeszcze nie było można wieczorném *fresco*, powietrze już było znośne.

Na wolniejszych i mniéj zabudowanych miejscach powiewał miły, chłodnawy od morza wiaterek.

Przewoźnik nasz, człek dobrze podstarzały, wenecyanin duszą i sercem, przypadł mi wielce do smaku, był gaduła, a choć w pierw-

széj chwili trudno się było z dyalektem miejscowym oswoić, rozumieliśmy jego gawędę, domyślając się połowy... Nieustanne nastręczały mu się do objaśnień przedmioty. Miał sobie za obowiązek pokazywać nam i uczyć o wszystkiém, a żeśmy byli sami, że w nas poznał cudzoziemców, nie powstrzymywał się od bolesnego utyskiwania nad teraźniejszością.

Wypłynęliśmy powoli z wąziuchnego kanału, i w téj chwili spotkaliśmy się z bardzo pięknym widokiem... W lewo ciągnęło się wybrzeże Słowian (*Riva degli Schiavoni*), poza wodami występował kościół *S. Giorgio maggiore* z wysoką swą Kampanillą, na wyspie tegoż imienia, wprost prawie budowa komory (*Dogana*), a przy niéj marmurowy jeden z najpiękniejszych Wenecyi gmachów, kościół *La Salute.*

Zaraz w prawo rozpoczynał szereg pałaców dawny *Giustiniani*, dziś przerobiony na wielki hotel *Albergo l'Europa.* Los ten spotkał niejedną znakomitéj rodziny posiadłość, z pałacu XIV wieku, Bernardo, dziś zrobiono *Albergo Reale*, z pałacu Grassi, *Imperatore d'Austria.* Familia Bernardo, zapewne zubożała, trwa jednak jeszcze, Grassich wygasła.

Puściliśmy się daléj Kanałem Wielkim, a Beppo wciąż wskazując wiosłem, doskonale nas oswajał z topografią miejsc, któreśmy powoli mijali. Nieszczęściem, trudno było zapamiętać wszystkie odrazu i potém je odróżnić. Kilkakrotnie powtórzona wycieczka na Canalazzo ledwie nas wyuczyła miejscowości. Na ten raz uderzyło wogóle przykre wrażenie czyniące opustoszenie i zaniedbanie budowli, których ściany rzeźbione i wykładane marmurami, spękane były miejscami i okryte jakąś pleśnią przedśmiertną. Wyjąwszy kilka gmachów, które przeszły w ręce cudzoziemców lub rządu, dźwignięte były i staranniéj utrzymywane, reszta widocznie trzymała się tylko ostatkiem sił, zaczerpniętych z przeszłości—dogorywała.

Na najpiękniéj rzeźbionych balkonach wisiały łachmany, okna pozabijane były deskami, zapchane schnącą bielizną, tu i owdze blada twarz nędzy wyglądała z tych trumien rozsypujących się powoli.—Pale u wnijść, do których przybijały gondole, stoją zjedzone napół przez wodę, powychylane, połamane, a wschody kąpiące się w lagunie, porasta pleśń i pokrywa śmiecie, które woda przybierając naniosła, ustępując porzuciła.

Rażąca wszędzie ruina, serce się ściska patrząc na nią, przez jéj szatę brudną przebijać się musi myśl, aby dawną wspaniałość odgrzebać.

W lewo minęliśmy tak dawny pałac Dorio, pałac Manzoni, oba z XV wieku i akademią sztuk pięknych, pomieszczoną w murach

starego klasztoru zbudowanego przez Palladia, na prawo pałac Emo i Contarinich i Corner della Ca'Grande. Mnożyły się co chwila i wspanialsze i piękniejsze budowy, których wyliczyć trudno, z temi fizyognomiami właściwemi Wenecyi, jakich nigdzie nie znaléść.

Minąwszy uderzający rozmiarami, w stylu XVIII wieku pałac Rezzonico, zaraz prawie za nim spotyka się piękny i ciekawy pałac, noszący imię Foscarich, dla nas tém pamiętny, że w nim rzeczpospolita wenecka przyjmowała i mieściła króla Henryka Walezyusza w r. 1574. Dziś to ruina, ale wspaniała jeszcze i majestatyczna. Budowa jéj sięga XV wieku, z pięknych jéj rozmiarów znać szczęśliwą sztuki dobę.

Któż nie zna historyi rodziny Foscarich? jednéj z najdawniejszych w Wenecyi,—niestety! w upadku ostatecznym istniejącéj do dziś dnia, aby dać świadectwo, czém jest wielkość ludzka i czém wielkich rodzin losy.

„W r. 1835—pisze jeden podróżny—zwiedzając pałac Foscari, znaleźliśmy sień dolną zajętą przez kamieniarzy. Jeden z tych ludzi zdający się zastępować odźwiernego, poprowadził nas na górne piętra.

„We drzwiach na progu sali spostrzegliśmy starca ośmdziesiątkilkoletniego, w koszuli, z nogami bosemi, w starych tylko pantoflach... był to jeden z Foscarich, żyjąca ruina wśród zwalisk pałacu swoich naddziadów.

„Obok w drugiéj izbie, przedstawiającéj obraz nędzy i zniszczenia, mieszkały dwie jego siostry, które pokazywać się dozwalały cudzoziemcom, jako *ostatnie z Foscarich.*

„Widok był przejmujący. Opowiadano, że stryj panien tych i starca, majątek cały przeniósł do Tryestu i tam go strwonił.

Pomimo to, w ostatnich spisach szlachty weneckiéj znajdujemy jeszcze Foscarich jako rodzinę istniejącą do dziś dnia.“

Przywiedzione przez nas opowiadanie przypomina nam przygodę Michała Wiszniewskiego w Wenecyi, z któréj piszący te notaty skorzystał. Nie wiem, czy u Foscarich, których nasz podróżny nędzę oglądał i opisał, czy w innym pałacu, znalazł on znaczny zbiór starych ksiąg, tyczący się historyi Wenecyi, między niemi było parę kronik w rękopiśmie i dzieła dawne, cenne i rzadkie. Zamiłowany w księgach, Wiszniewski za niezbyt stosunkową wysokę opłatę kupił tę szacowną biblioteczkę i przywiózł ją do kraju.—Późniéj razem z innemi należącemi doń książkami, zbiorek ten uległ rozproszeniu w części i zaniedbaniu pod niebytność jego w kraju.

Nadgniłe już paki przywieziono z rozkazu właściciela do Hu-

bina, i wiele się z nich jeszcze ocalić dało... ale kilkoletnia niewola i wilgoć nieodżałowane porobiły szkody. Ostatki téj biblioteczki Foscarich, czy innéj możnéj weneckiéj rodziny, są dotąd w rękach moich.

Wprawo nad kanałem, minąwszy pałac Grassi przerobiony na gospodę, Cavalli dziś księcia Bordeaux i Moro-Lin, Beppo wskazał nam pałac Mocenigo, jako mieszkanie lorda Byrona, bo pobyt jego w Wenecyi pamiętał, znał piękną Margaretę Cogni i nieraz podobno woził poetę na Lido.

Przypomniały mi się smutne dzieje tego człowieka, poety i téj kobiety, która po włosku z dziką namiętnością na seryo wzięła fantazyą pańską do serca, nie pojmując, ażeby igraszką być mogła i służyć miała za żywe studyum do poematu... W tych pałacach Mocenigo, Byron kochając się i kłócąc z Margaretą, napisał Don Juana, Marino Faliero i niejednę strofę swych pieśni, pełnych ognia, szyderstwa, niepokoju i tęsknicy.

Na lewo znowu szereg pałaców coraz innych, coraz oryginalniejszych, coraz rzekłbym piękniejszych, w miarę jak się oczy z tą architekturą oswajają i uczą rozpoznawać jéj piękność... Pałac Balbi przewoźnicy zowią domem Desdemony, niéma wątpliwości, że fantazya któregoś z nich ochrzciła go w ten sposób, lecz dość jest wspomnienia poezyi, by budowę ozłociła blaskiem uroczym.

Oto jeszcze pałace Grimani, Pisani, Barbarigo, Dona. Nareszcie jedyny na Wielkim Kanale ukazuje się sławny most, łączący dwa jego brzegi—*Rialto*.

Połączenie dwóch części miasta było koniecznością dla pieszych, lecz długo bardzo w tém miejscu, gdzie Rialto zbudowany został, stawiano mosty drewniane, a w końcu dopiéro XVI wieku według planu Scamozzi, wzniesiono kamienny, któremu dwanaście tysięcy palów służy za fundamenta. Obejmuje most ten jednym łukiem kanał cały, a zwierzchu, starym obyczajem, jest pokryty sklepami pomieszczonemi w arkadach, między któremi środkiem wolne zostawiono przejście. Most nie jest lekki, ale pięknych kształtów i dobrego stylu. Na swe czasy było to dzieło znakomite, dziś jeszcze malowniczo zdobi widok Wielkiego Kanału.

Za mostem, u którego pełno zawsze stoi drzémiących barek, gondoli i łódek, jednym z najpiękniejszych i najbogatszych gmachów, jest Ca' d'oro (*Casa d'oro*), pałac złoty... na który Beppo szczególną zwrócił uwagę. Ale gdyby był nam o nim nie mówił, samby na siebie musiał ściągnąć oczy, takie to śliczne pieścidełko. W rodzaju gotycko-wschodnim, któryby trzeba nazwać weneckim, architektury XIV, lub XV wieku, trudno coś piękniejszego wymarzyć.

Jest to jedna marmurowa koronka, przezroczysta, leciuchna, urozmaicona mnóstwem niespodzianych szczegółów, cała w balkonach i galeryach, cała w rzeźbach różnobarwnych, tak pięknych proporcyj, choć niewielka, że gasi i zawstydza znaczniejsze budowy wieków późniejszych. Nie wiem, czy ktoby dziś meblik drobny tak wypieścił, wydłutował, wykochał jak nieznany budowniczy wykończył ten pałacyk. Pomieszanie łuków ozdobnych, zasklepień kolistych i strzałkowatych, szczęśliwa linij harmonia, urozmaicenie trzech, jedna nad drugą, coraz różnie przybranych galeryj, kontrast ścian przezroczystych i zabudowanych, stanowią całość prześliczną, ale nie do opisania, fantazya była twórcą tego architektonicznego cacka. Nawet ta frędzelka kamienna w górze wybornie zakończa budowę haftowaną z kamienia.

Nieopodal od Ca'd'oro, jest pałac Vendrami Calergi, dziś księżnéj Berri, uchodzący tu za jeden z najwspanialszych i najpiękniejszych, ale w stylu zupełnie odmiennym. Jest on z rysunku Lombardo wystawiony, sięga także XV wieku; stanowi całość szlachetną i wspaniałą, ale z większą powagą stylu; niéma tu téj rozkosznéj fantazyi i oryginalności, która tamten odznacza. Bogactwo użytych marmurów, porfiru, *verde anticho,* serpentynu, piękny balkon przez całą długość pałacu, arkady okien kształtne i pięknych linij, ozdoby wszystkie i proporcye, cechują go poważnym stylem, ale wiele tu téż nieusprawiedliwionéj pretensyi do surowego klasycyzmu.

Naprzeciwko prawie, z lewéj strony, stoi gmach zwany *Fondaco dei Turchi,* i smutną stanowi z nim sprzeczność.

Jest to budowa na poły rozwalona, w stylu arabskim, grożąca ruiną, spękana, porosła trawą na gzymsach, z obnażonemi cegłami, na których gdzieniegdzie tylko jeszcze się resztki tynków trzymają.

Dołem idzie galerya sparta na słupach połączonych wysoko zasklepionemi w kształcie podków arkadami i drugi wyższy rząd odpowiadających im z resztkami balkonu ciągnie się przez niemal całe pierwsze piętro, ale już po końcach podtrzymać musiano sklepienie, zamurowując je na prędce. Opuszczona ta budowa zatrzymuje oko, pociąga i z podziwieniem wzrok spotyka nad obwaloną furtą tablicę z orłem, który objął panowanie nad smutném rumowiskiem.

Był to niegdyś piękny pałac książąt Ferrary, w XVII wieku kupiony przez rzeczpospolitą i przeznaczony na *gospodę* dla kupców tureckich. Reszty dawnych rzeźb, kapitele górnych kolumn, charakter gmachu pełen powagi, każą żałować, że go tak nielitościwie rzucono na pastwę porostom i powolnemu zniszczeniu.

Posuwając się dalej, mijamy jeszcze pałace i muzeum Correr, zapisane na własność miastu przed kilkudziesięciu latami, pałac Flangini i na prawo kościół N. Panny w Nazaret (Scalzi), którego facyata cała pokryta rusztowaniami, nie daje się przypatrzyć budowie.

Tu kończą się bardziéj zajmujące na Wielkim Kanale widoki, wypływa się ku stacyi kolei żelaznéj i wyspie *S. Chiara*, na morze.

Wielki Kanał jest polem popisu w czasie *regat*, wyścigów łodzi. Przedstawia naówczas obraz pełen życia, jakby lepszych dni téj *povera Venezia* (tak ją dziś wszyscy gondolierowie nazywają) — widzenie. Nie miałem sposobności przypatrzyć się regatom, które nawet zastygłych i osmutniałych wenecyan rozbudzają na chwilę, ale wyjechawszy już nad wieczorem na Kanał Wielki, trafiłem tylko na *Fresco*. Jest to przejażdżka powolna ozdobniejszych gondoli wiozących muzykę, która wywołuje za sobą wszystkie gondole i łódki z zakątków miasta, a na balkony całą ludność ciekawą. Spotkaliśmy tu, co było w Wenecyi cudzoziemców, których część z nami na statku przybyła, i mnóstwo mieszkańców. Gondolierowie byli odświętnie postrojeni, a niektórzy z nich ochotnie i żywo jęli się wyścigać z okrzykami po kanale. Musieliśmy ze starym Beppo, który i tym razem nas woził, wymijać ich, słysząc nieustannie to za sobą, to z przodu:

Sia premi! Sia di lungo! Sia stati!

Nie wiedzieć gdzie się było podziać wśród tego zamieszania i zgiełków.

Stary nasz nie dał się wszakże zarazić tém chwilowém weselem; wzdychał, opowiadał, spoglądał z politowaniem na młodszych, wciąż jeszcze obznajamiając nas po swojemu z dziejami Wenecyi. Wiedział on, gdzie mieszkała nietylko Desdemona, ale i *Diavolo Lucrezia Borgia*, wiedział, które pałace kupiła wytańcowanym groszem *ballerina* Taglioni, i na ruinach jakiego kościoła założył swój ogródek Papadopulo...

Razem prawie z innemi łodziami powoli przepłynęliśmy na powrót Canal Grande, przypatrując się jego pałacom i kościołom, i minąwszy umyślnie wązki kanalik, który do Luny prowadził, kazaliśmy się zawieźć na *Riva dei Schiavoni* i *Piazettę*.

Wszędzie pełno było ludu, gondoli, wrzawy, wieczór śliczny na nowo wszystkich rozbudził. Przed kawiarniami na wybrzeżu, u stoliczków przekupniów, u budek kuglarzy, wił się gmin krzykliwy, rozgorączkowany całym dniem zabawy, rozpoczynając wieczór, który trwać miał do jutra. Wysiedliśmy i my, mieszając się w tłum, nowi temu życiu, mowie, fizyognomiom, co chwila za-

trzymywani obrazkiem nieznanym, a jednak przypominającym się z jakiegoś rysunku, opisu lub śpiewu.

Piazetta, wybrzeże, plac św. Marka tak były pełne, że co chwila stawać musieliśmy, aby sobie przez nie utorować drogę. Powoli wieczór ciepły, przezroczysty, cichy, spływał miękkiemi gazowemi obsłony obwijając budowy... Teraz one dopiéro wystąpiły dla nas z całym urokiem swoim, bo noc nie dozwalała na nich dostrzedz śladów zniszczenia i przepowiedni ruiny. Oświetlony gazem portyk św. Marka, był czarowny, niby z tysiąca nocy jakaś ze złota i klejnotów zbudowana świątynia. Na ciemnym nieba szafirze jasno, srebrzysto występowały linie budowy, niezliczone jéj kolumny, delikatne rzeźby, a zabłąkane światełka migając na tle mozaik, wywoływały z nich, jakby żywe postacie Chrystusa i świętych...

Nigdy piękniejszym być nie może plac i kościół, jak wśród tak pogodnego wieczora. Jest w nich coś tak uroczego, poetycznego, świętego, wspaniałego, taką wieków powagą bije jego czoło, że mimowolnie, gdyby nad własną niedolą, rozczulasz się nad losem kraju, którego dziś jedyném całego życia dziełem pozostała ta z łupów i zdobyczy—Bogu zbudowana świątynia...

W pierwszéj chwili Wenecya dla tego, który od dzieciństwa o jéj cudach się nasłuchał, napatrzył jéj na obrazkach, naczytał Daru, zapamiętał wrażenie Byronowskich poematów i Hoffmanowskich powieści—przywykłszy wierzyć w *Venezia la bella;* przedstawia się tylko jako *povera Venezia.* Zawód jest dotkliwy. Jest to, jakbyś nasłuchawszy się wiele o bardzo pięknéj kobiecie, wierząc w cudowne jéj wdzięki, nagle ujrzał ją zestarzałą, schorowaną, a w dodatku zbrukaną, znękaną, upadłą.

Serce się ściska na uderzający kontrast przeszłości, w któréj było życia tyle potężnego, namiętnego i teraźniejszości resztkami chorobliwego bytu poruszającéj się tęskno w olbrzymiéj ruinie.

Począwszy od kościołów do domów, wszystko wygląda pomarszczone i stare—tam braknie zbitego herbu, ówdzie rzeźby wyrwanéj ręką chciwego spekulanta; drzwi wiszą na jednym wrzeciądzu, okna deskami pozabijane, obok marmuru świeci żebrami nagiemi odarta cegła, na porfirze kołysze się łachman żebraka.

Przejeżdżając przez cały Canal Grande ostawiony pałacami, po większéj części przepysznemi, z wytwornym wzniesionemi smakiem, nic nie czujesz nad tęsknicę pustkowia.. Widocznie jest to błyszcząca skorupa muszli, z któréj wyschłe żyjątko wypadło. Z pierwszego piętra tych gmachów pobudowanych, aby się z nich uśmiechało wesele, wyglądają fizyognomie mumij, kobiet wyżółkłych, starców w koszulach brudnych i połatanych, z głowami chustą oszarpaną poobwiązywanemi. Progi marmurowe zalegają śmiecie, mchy lub kupka

osmutniałych dzieci żebraczych. W najlepiéj utrzymywanych gmachach albo rządowe jakieś mieszczą się zakłady, albo cudzoziemców mieszkania, albo je kupcy poobracali na magazyny. Cztery pałace kupiła Taglioni, stary Beppe pokazując je, uśmiechał się dziwnie i mruczał, spuściwszy głowę zawstydzony..

— Ballerina! ballerina!

Ta teraźniejszość straszliwa zabija w pierwszéj chwili wszelkie inne wrażenia, pochłania je i niszczy; człowiek się nastraja do tego smutku narodu w upadku, na pół już sparaliżowanego niedołężną starością. U ludu tylko jeszcze jest odrobina życia, i trochę nadziei jakiegoś odrodzenia. Giuseppe, który mnie woził (76 numer) odzywał się z uczuciem tak głębokiém, wzdychał tak szczerze, tak znał swe miasto i kochał je, że we mnie wzbudził prawdziwe uszanowanie. A gdy cicho i ostrożnie wskazał mi drżącą ręką dom ostatniego doży Manina... miałem ochotę uścisnąć tę dłoń poczciwą.

Fizyognomia strupieszałego miasta odbijała w tym dniu silniéj jeszcze przy blasku uroczystości. Oprócz poczciwego starego Beppo, wszystko zresztą wskazywało tę chwilę przerodzenia, przeistoczenia, które dwa różne życia rozgranicza—wszystko już nowe przybierało cechy... gondole były przybrane świeżo, popstrzone niesmacznie, poprzerabiane na kanałowe omnibusy, gondolierowie z małemi wyjątkami okryci byli łachmanami kosmopolitycznemi, czapki ich zastępowały kapelusze stare ocalone na śmietniskach i jakieś lakierowane pokrycia głowy. Zamiast kurtek i pasów, mieli kamizelki, spencery ze starych fraków poszyte i tę niesmaczną spuściznę salonów, w którą się stroi wszędzie uboższy lud miejski, nie mający już narodowego ubioru.

Ludziom i gmachom Wenecyi potrzeba się nie jeden raz przypatrzyć, aby je lepiéj ocenić, architektura uderza zrazu, ale nie wyda się piękną, dopóki z jéj oryginalnością, fantazyą, charakterem wzrok się i myśl nie oswoi.

Tam nawet, gdzie nie jest, ściśle biorąc, piękną, jest nadzwyczaj malowniczą. W mniejszych kanałach, na wązkich uliczkach, najlichsze domy uderzają obrazkowością swoją, balkony, drzwi, kamienne rzeźby, nawet piętrzące się wysoko i do boków domostw poprzypinane dziwacznie kominy, w górze zakończone, jakby koszami na kwiaty, jakby wazonami, nadają im wdzięk zupełnie odrębny. Rysownik tysiącami znajdzie tu motywów.

W starych pałacach mimo ruiny jest jeszcze powaga patrycyuszów, co je zamieszkiwali; znać z ozdób otłuczonych, jak się przesadzano na pokaz bogactwa, z rozmiarów, jak liczne były tłumy klientów i ludne zabawy szlachty weneckiéj... Ale o te zabytki nikt się dziś dbać nie zdaje, prócz tych, co na nich spekulują; wszystko się

wali, upada, rozsypuje, gnije. Najbrudniejsze pogorzelisko naszego małego miasteczka ledwie dać może pojęcie opuszczenia Wenecyi, a ubóstwo i zabrukanie naszego ludu wydaje się dostatkiem przy nędzy i zaniedbaniu tutejszych mieszkańców. Nasza wiejska nędza ma przynajmniéj swój łachman malowniczy; tutejsza odziewa się, rozpoetyzowując, w odzież spadłą z piętra, zastarzałą, śmieszną, nie swoją. Typ twarzy wogóle jest starty, nie daje się pochwycić, widocznie zmieszanie różnych plemion i krwi odjęło mu cechy dawne; mężczyzn wszakże daleko więcéj widzieliśmy pięknych i dobrze zbudowanych, niżeli kobiet. Gmin w czasie procesyi wyglądał odraźliwie, chorobliwie, dziki a zesłabły, jakby się na nim wypiętnowała cała boleść i żałoba przeznaczeń.

Odzież kobiet wcale nie nęciła téż oczów; na obnażonych głowach, często łysych, rzadko można było spotkać szpilki srebrne i grzebienie. Liche szlafroczki perkalikowe i chustki bawełniane okrywały większą część niewiast...

Stare baby, jak wszędzie we Włoszech, przerażały poczwarnością, surowym, dzikim wyrazem, który powiększały może włosy siwe rozczochrane i głowa odkryta; młodsze dziewczęta raczéj oryginalnością niż wdziękiem się odznaczały... Były między niemi typy majestatyczne i istotnie piękne, ale nadzwyczaj rzadkie.

Późno w nocy powróciliśmy z placu św. Marka, niezważając na to, że Wenecya na dobre zabierała się bawić do rana. Musieliśmy znużeni paść spocząć nieco, a sen niespokojny przerywali nam do brzasku gondolierowie siedzący pod samemi oknami, którzy śpiewając, kłócąc się, śmiejąc, wabiąc, wywoływali co chwila:

— Gondola, signori! Gondola!

I tak na chłodnym bruku, ale wesoło przesiedzieli, przeleżeli raczéj do dnia.

Nie można się nie dziwić ich szczebiotliwości, dobremu humorowi, pracowitości wreszcie, boć i oczekiwanie na zarobek przez noc całą pod ścianą lub na ławce łódki pracą także nazwać się godzi.

VI.

Rys dziejów sztuki w Wenecyi.—Zabytki budownictwa starożytnego. — Charakter budownictwa bizantyjski. — Zmiana jego na gotyk maurytański. — Architektura wenecka Calendario.—Odrodzenie.— Lombardi. — Rozkwitnienie sztuki.—*La Salute*.—Sposób budowania. — Rzeźba.—Połączenie jéj z architekturą. — Sansovino. — Malarstwo. — Mistrze bizantyjscy.—Św. Marek.—Mozaiści. — Giotto w Padwie.—Bractwo malarzy.—Pomniki sztuki pierwotnéj.—Szkoła Murano.—Pierwsze dzieła nowéj epoki.—Bellini i jego szkoła.—Cima da Conegliano. — Giorgione. — Charakter szkoły religijnéj.—Nowa szkoła.—Jéj cechy.—Palma.—Bordone.—Vecelli Tycyan.—Jego dzieła. — Tintoretto.—Il Bassano.—Veronese.—Początki upadku.—Canaletto.—Nowa szkoła.

Jednym z celów mojéj podróży było dopełnienie, po kilkakroć w ciągu życia przedsiębranych i rzucanych studyów, tyczących się dziejów sztuki wogóle, a szczególniéj stosunku ich do historyi sztuki krajowéj. Zwróciłem się więc tam naprzód, gdzie widzeniem dawnych zabytków mogłem się nasycić i nauczyć. Mając tu nieraz wspominać o artystach i szkole weneckiéj, która niepoślednie pomiędzy włoskiemi zajmuje miejsce, muszę naprzód choć pobieżnie skreślić rys dziejowy szkół weneckich budownictwa, rzeźby i malarstwa. Nie będę utrudzał czytelników suchém wyliczaniem imion, które się prędko w pamięci zacierają, jeśli im nie towarzyszy charakterystyka wybitna; powiem tylko, co w historyi téj stanowi żywotną myśl, co w niéj znamionuje epokę każdą lub do nowego przygotowuje zwrotu.

Kładniemy tu na czele budownictwo, jako najdobitniéj uwydatniające historyę narodu i jego losy, jako sztukę, która przodkować innym ma prawo, choćby dlatego, że wszystkich jest syntezą. Sztukę wszakże uważamy za jednę i niepodzielną, a dzieje jéj za całość, z któréj wyłączenie jednéj części więcéj utrudnia właściwe dzieje ducha, niżeli je wyjaśnia.

Zabytki budownictwa jeszcze z czasów rzymskich poświadczają o bardzo wczesnym wzroście Wenecyi. Znaleziono ich kilka po różnych miejscach, na wyspie zwanéj dziś *Borgognoni*, w *Cava*

Zuccarina i t. p. Napisy rzymskie i greckie, urny, część mozajkowéj posadzki, nie dozwalają wątpić, że za czasów rzymskich już tu się wytworniejsze znajdowały budowy.

Kościół w Torcello, przebudowany w początku XI wieku, stoi na posadach dawnéj bazyliki, stare jéj kształty nawet i podziały dotąd w części zachował. Z téj jednak pierwotnéj epoki w całości nic do dziś dnia nie doszło, mnogie tylko przypomnienia, ślady, świadectwa. Do tradycyjnych należą wspomnień owe młyny wodne na lagunach, które późniéj znikły z rozpotężnieniem się rzeczypospolitéj i miasta.

W IX i X wieku architektura wenecka, skutkiem stosunków z Grecyą, przybrała charakter całkowicie bizantyjski, a wznoszący się kościół św. Marka sprowadził tu artystów i dał niezmierny popęd rozwinięciu się sztuk wszystkich. Architekci, mozaiści, malarze, rzeźbiarze zbiegli się składać na tę budowę, tworząc tu szkołę i uczniów. Wpływ ich bardzo długo jest widoczny.

Styl bizantyjski ustępuje późniéj gotycko-maurytańskiemu, który z razu się z nim miesza, potém go całkiem ruguje. We wspomnianéj wyżéj gospodzie tureckiéj nad Wielkim Kanałem, w innych z téj epoki pozostałych pomnikach, wpływ architektury wschodu jest uderzający. Współcześnie z nim strzałka gotycka zjawia się w innych budowach, jak w Santa Maria Gloriosa, del Orto i innych. Calendario budowniczy łączy dwa te style z sobą i tworzy z nich, rzec można, oddzielną architekturę wenecką, któréj najpiękniejszym przykładem jest wspaniały pałac Dożów. Wmieszany w spisek Marina Faliero, Calendario na nieszczęście przypłacił to życiem. Przypisują mu, oprócz pałacu Dożów, część gmachu Foscarich i ów prześliczny *Ca' d'oro.*

Po zdobyciu Konstantynopola przez Turków, wielu artystów szukało schronienia w Wenecyi, przyczynili się oni do rozwinięcia szybszego sztuki w rozmagającéj się rzeczypospolitéj. Artyści pierwotnéj epoki odrodzenia, w Wenecyi mają właściwy charakter, i nie są ślepemi starożytnych naśladowcami. Nie korzystają z nich niewolniczo i bezmyślnie, ale swobodnie i po swojemu przetwarzając żywioły, które zapożyczają. Można powiedzieć, że biorą ostatni wyraz sztuki starożytnéj, by na téj drodze iść daléj; dla tradycyi nie wyrzekając się samoistności, dla samoistności nie opuszczając tradycyi. Jest to podobno najbezpieczniejszą do prawdziwego postępu drogą. Radykalizm i w polityce i w sztuce wiedzie zawsze trochę przez manowce, wiele sił marnuje i często doprowadza do tego miejsca, z którego się wyszło z większą zarozumiałością niż rozsądkiem.

Rodzina budowniczych *Lombardi* daje stylowi i szkole imię

swoje. „Architektura Lombardów—powiada autor, z którego czerpiemy *) — jest wdzięczną jak grecką, równie jak rzymska wspaniałą, bogatą i ozdobną jak wschodnie".

Do téj epoki należy wspomniany także pałac Vendrami nad Wielkim Kanałem, dzieło Sante Lombardo.

Doba ta stanowi tylko przejście do nowéj epoki, która najbogatsze po sobie zostawiła pamiątki i odznaczyła takiemi imionami, jak San Micheli, Sansovino, Palladio i da Ponte. Jest to zarazem najświetniejszy rozkwit i szczyt wzrostu graniczący już z zepsuciem smaku i upadkiem. Wzięcie Rzymu przez Burbona znowu tu napędziło artystów, jak niegdy zdobycie Konstantynopola; jemu to winna Wenecya przybycie Sansovina. On i Palladio wnoszą zamiłowanie bezwarunkowe budownictwa starożytnych, wielkość stylu, szerokość rozmiarów, bogactwo ozdób, które wkrótce potém w zbytnią okazałość złego smaku wyrodzić się mają.

Za niemi idą Antonio da Ponte, budowniczy mostu Rialto i więzień, San Micheli i Vincenzio Scamozzi. To są niemal ostatni mistrzowie dobrego smaku, których dzieła, jeśli nie wszystkie wytrzymują krytykę wieków, mają przynajmniéj niezaprzeczone zalety. Starając się ich zwyciężyć bogactwem wykonania i nowemi pomysły, następcy wpadają w dziwactwa, w poczwarność dla oryginalności, w przesyt ozdób i przesadę linij. Najpiękniejszém z dzieł téj epoki upadku w Wenecyi jest kościół *Maria della Salute*, pomimo wielu wad, wspaniały i zdala majestatyczną stanowiący całość. W XVIII wieku powoli budownictwo idzie znowu ku odrodzeniu i czyściejszemu smakowi, ale staje się coraz zimniejszém, bez charakteru i myśli naśladowaniem, brak mu jest życia.

Wszystkie budowy Wenecyi niezmiernym kosztem pracy zdobywać się musiały; każda z nich stoi na fundamentach z bitych głęboko palów drewnianych, na których dopiéro murowano posady, błoto potrzeba było wywozić, wodę pompować, aby założyć pierwsze pale, których osunięcie się najmniejsze sprawia to, co na większéj części budowli widzimy w Wenecyi, pochylenie ścian i skoszenie się całych gmachów. Niektóre dzwonnice kościołów bardzo już znacznie od linii prostopadłéj zbaczają.

Kamień na budowy wszystek był przywożony z Istryi, z Karso, z okolic Trewizy, z gór Euganejskich, marmury zdobiące kościoły z całego świata zbierano. Kościół św. Marka powleczony jest prawie cały wschodniemi, podobnież *Nostra donna dei Miracoli, Scalzi i Frari*. O niektórych pałacach jużeśmy wspomnieli, potrzeba

*) Venezia e le sue lagune.

się im szczegółowo przypatrzyć, aby ocenić, ile kosztownych użyto do ich budowy materyałów.

Razem z budownictwem rozwijała się pomocnicza rzeźba, która z niém razem wzrastała i podzielała jego losy. Nie widzimy jéj w Wenecyi nigdzie prawie samoistną i niezależną, wszędzie przylega do murów i dobrowolnie staje się architektury służebną. Jest to wprawdzie mniéj więcéj losem sztuki téj wszędzie i zawsze, lecz w starożytności nie była ona prostą ornamentacyą budowniczą, wyrażała myśl własną sama przez się, a architektura budowała jéj tylko piedestały. Rzeźba zaś w Wenecyi, głównie do rozmiarów budowli, do ich potrzeb zastosowana, w wykończeniu i drobnostkach celowała; charakterem swym idąc w ślad za liniami i myślą ogólną artysty, który gmach wznosił. Większa część znakomitych budowniczych byli razem rzeźbiarzami. Ściśle jednoczyły się tak sztuki obie, jedną myślą i ręką będąc uprawiane. Rysunek posągów i ozdób rodził się razem z planem budowy, kamieniarz był architektem, rysownikiem i wykonawcą. Z epoki bizantyjskiéj pozostały tu rzeźby słupów u św. Marka i kilka płaskorzeźb po kościołach; z późniejszych jest wielkie mnóstwo poczynając od Mikołaja z Pizy. Wskażemy niektóre z nich, przypatrując się bliżéj pałacowi Dożów i bazylice św. Marka. Lombardowie, jak Bregnowie, byli razem budowniczemi i rzeźbiarzami. Oprócz tego liczy szkoła wenecka szereg mnogich imion odlewaczy z bronzu, snycerzy na drzewie i artystów złotników.

Imię Sansovina i jego uczniów góruje nad innemi. Wspomnimy tu o pięknym posągu tego artysty znajdującym się w kościele, *Frari* zwanym.

W obu wspomnianych gałęziach sztuki: budownictwie i rzeźbie, odznaczyli się Wenecyanie, lecz malarstwo szczególniéj zakwitło tu bujnie i dzieła jego sławę mistrzów daleko po świecie rozniosły. Na nie też uwagę głównie zwrócić musimy.

Wojna, którą Leon Izaurycki wypowiedział obrazom, była naprzód powodem, że wielka liczba artystów z Konstantynopola przeniosła się do Wenecyi. Kościoły tutejsze od dziesiątego już i jedenastego wieku mnóstwem się obrazów zdobić zaczęły; najdzielniejszy jednak popęd rozwinięciu się sztuki dało rozpoczęcie budowy kościoła św. Marka, około roku 1071. Wedle uchwały rzeczypospolitéj, miała to być „świątynia, jakiéj świat jeszcze nie widział równéj". (*Decreto publico, che ordinava fosse un tempio senza uguale al mondo.*)

Grek Teofanes pierwszym był ojcem szkoły weneckiéj; mozaiści, pracujący około ozdoby świątyni, pierwszemi artystami tak świetnie późniéj rozwiniętéj plejady. Do XVI wieku prawie

znać w następcach ślady wpływu i tradycyj pierwotnych mistrzów.

Cicognara zauważył bardzo trafnie, studyując mozaiki św. Marka, że sztuka w miarę posuwania się robót około kościoła, widoczne czyniła już postępy. Teofanes otworzył publiczną szkołę około 1200 roku, mało przecież pozostało wiadomości o sztuce z téj epoki i niewiele dzieł, któreby z pewnością zaliczyć do niéj można. Dopiéro w końcu XIII wieku pomniki stają się liczniejsze i dokładniejsze o nich podania. Wenecya zaopatruje w malarzy, jeśli niewyłącznie sama wszystkie inne prowincye Włoch, to przynajmniéj większéj ich części dostarcza artystów. W roku 1123 w Weronie malarze tutejsi użyci są do malowania kościoła św. Zenona.

O pierwotnym punkcie wyjścia najlepiéj nas uczą mozaiki św. Marka i w Torcello, których szereg rozpoczynają postacie surowe, suche, twarde dzikiego prawie wyrazu,—powoli nabierające wdzięku, życia i łagodniejące z postępem wyobrażeń, z wprawą nawet techniczną.

Ten postęp w nich świadczy zarazem o równoczesném doskonaleniu się malarstwa właściwego, które mozajkę wyprzedzać nawet musiało, nie mając tyle co ona trudności do pokonania przy egzekucyi pomysłu. Okres ten pierwszy sztuki weneckiéj, nacechowany podobieństwem do bizantyjskiéj, kończy się przybyciem Giotta do Padwy.

Z pierwotnych dzieł sztuki XIII wieku, dziś jeszcze pozostałe dozwałają sądzić o jéj stanie. W kościele San Fermo ukrzyżowanie, u św. Zenona wizerunek biskupa, imiona niektórych artystów wyszukane przez badaccy, nie dozwalają wątpić o troskliwéj uprawie sztuki, któréj dla ozdoby budujących się kościołów potrzebowano.

W roku 1290 było już w Wenecyi bractwo malarzów, a statuta jego wspominają o dawniejszém nad tę datę stowarzyszeniu. W roku 1322 przywilej nadany, wyłączne im zostawił prawo sprzedawania obrazów.

Charakter malowań téj epoki, jak wszystkich szkół pierwotnych, mających do zwalczenia nie brak myśli, ale sposób żywego jéj uwidomienia, jest surowy, suchy i ostry, mało w nich wdzięku, lecz wiele powagi, majestatu, świętości. Na pierwszy rzut oka są to nieforemne próby, lecz wpatrzywszy się w nie, dostrzegasz wyraz, którego odczytania uczyć się potrzeba. A jeśli nie zrażając się pozorem niemiłym, wnikniesz myślą w pomnik stary, często i głębokie pojęcie przedmiotu i wielkie w nim znajdziesz uczucie. W postaciach stworzonych przez pierwotnych malarzy,

którzy nie mieli nikogo do naśladowania, a z natury ideału czerpać się jeszcze nie nauczyli, widzisz naiwnie wyrażoną ideę, z całą szczerotą i niewprawnością próbującego artysty, który wypowiada główne pojęcie, nie obciążając go odcieniami i dodatkami, na jakie mu zdobyć się nie pozwalała sama technika. Tu wszędzie i we wszystkiém jest cel i myśl, nic próżnego, nic podrzędnego, nic niewolniczo podchwyconego od drugich.

Epoka Giotta, któréj najpiękniejszym pomnikiem jest kaplica padewska, już swobodniejszym odznacza się charakterem, dochodzi do wyrażenia wdzięku w spokoju, a w pojedyńczych postaciach nabiera stylu i powagi. Jéj wizerunki Bogarodzicy z dziecięciem są tak pełne słodyczy, niewinności, świętości cichéj i prostoty, że późniejsi nawet mistrzowie, bieglejsi daleko, nigdy natchnienia tego poścignąć nie mogli.

Na mało znanéj dziś wysepce Murano, powstała szkoła oddzielna, nowego stylu w początkach XV wieku. Więcéj w niéj jest realizmu i naśladowania natury, z razu uderzającego do zbytku samą tylko wyrazistością swoją, lecz otwierającego drogę do czystego źródła, do wypowiadania idei z pomocą tych materyałów, które jedynie wyrazić ją mogą.

Odznacza się tu Francesco Squarcione, który przebiegłszy Włochy i Grecyę, w starożytnych pomnikach znalazł objawienie ideału, czystości rysunku i stylu. On i Mantegna szczepią smak nowy, z tradycyi bizantyjskiéj przechodząc do wyższéj daleko, za wzór biorąc dzieła, w których gieniusz Grecyi i naśladownictwo Rzymu najlepiéj ideę piękna wydało. Jest to już wielki krok do postępu, ale w nim może zaród znajdziemy późniejszego zbyt cieleśnego kierunku, który szkoły włoskie, idące tą drogą, do zupełnego zaparcia się ducha i myśli chrześcijańskiéj, do spoganienia się doprowadził.

W pierwszéj jednak chwili na tradycyach Giottowskich, na bizantyjskich formach surowych wszczepione studya starożytne wydały dzieła tak piękne i pełne wyrazu, że odrodzenie to sztuki czyni ją najdoskonalszym wyrazem chrześcijańskiéj myśli. Nigdy poezya wiary nie miała tak natchnionych tłómaczów, jak w téj dobie przedrafaelowskiéj, którą dziś tak niedołężnie naśladują ci, co w sobie ducha chrześcijańskiego nie czując, wyrazićby go chcieli formą zapożyczoną.

W Bellinich szkoła wenecka najczyściéj, najwspanialéj rozkwita, ożywiona jeszcze wiarą głęboką, będąca z nią w zupełnéj zgodzie. Późniejsi mistrzowie, potężniejsi, silniejsi, umiejętniejsi daleko, zwracają się tak wyłącznie do idei starożytnego świata,

że przestają być wyrazem czasu i epoki, źródła ich natchnień szukać potrzeba po-za tém, co ich otaczało.

Szkoła Bellinich jest téż, podług nas, chwilą najważniejszą w historyi malarstwa weneckiego, a jéj dzieła najpiękniejszym pomnikiem religijnéj sztuki. Ojcem jéj jest stary Jacopo Bellini, uczeń Squarciona, naśladownik jego stylu, po którym ledwie parę robót się dochowało. On był nauczycielem Gentile i Giovanni Bellinich dwóch synów swoich, których arcydzieła podziwiamy dziś jeszcze. Wychodzą one już przez wewnętrzną swą wartość z rzędu ciekawych zabytków, i stają nie wstydząc się obok Perugin'a, nawet obok pierwszéj maniery Rafaela. Do téj szkoły należy także, mniejszego talentu, krewny poprzedzających Bellin Bellini którego roboty często za Jana dzieła uchodzą; i wielu mniéj wsławionych uczniów. Godnym mistrza jest pełen wdzięku i prostoty ale już uganiający się za nowością i szukający dróg nowych Cima da Conegliano.

Wzrost malarstwa, od Bellinich począwszy, jest tak nagły i wielki, że bez stopniowania prawie przechodzimy od tych mistrzów stojących na straży religijnego ducha sztuki, na granicy szkoły pełnéj prostoty i natchnienia, do rozpoczynających szereg nowy, świetniejszy, uroczy, ale w ducha uboższy.

Obok Bellinich wzmiankować należy Wiktora Carpaccio, w którym czuć jeszcze przy stylu surowszym, szkołę mistrzów i Marka Bisaiti.

Giorgio Barbarelli nazwany Giorgionem, uczeń Belliniego, już po nad tę szkołę nie tylko śmiałością pomysłów i wykonania, ale roznamiętnieniem i ogniem wychodzi. W szkole pierwotnéj, którą Bellinowie zamykają, to szczególniéj uderza, że jak w sztuce starogreckiéj, która zbyt żywych uczuć i nazbyt rozpasanego cierpienia nawet nie ośmielała się dotknąć, tak u nich ziemska gwałtowna namiętność nie występowała nigdy. Malarstwo nie tykało przedmiotów, w którychby ją przedstawiać było zmuszone, Spokój jest tém tłem złotém, na którém wykwita wszystko, owiewa on postać każdą, uświęca, czyni majestatyczną i wielką, nigdy dla blasku i wrażenia artysta nie poświęca głównéj idei. Piękno téj staréj szkoły wyraża się pokojem, świętość jest szczytem, który ona pragnie osiągnąć, prostota środkiem do jéj doścignienia, Nie idzie im o ziemię, o prawdę powszednią i trywialną, o rzeczywistość zimną, ale o wyrażenie odblasku niebios na kościelnym obrazie. Niebo téż przedewszystkiém i świętych malują. Każdy ich utwór, to okuo otwarte na lepsze, na piękniejsze nad nasz światy.

Z rozwinieniem się malarstwa i ożywieniem studyami staroży-

tności, zyskuje ono siły nowe, ale zmienia się jego zadanie, już nieba dlań zamało, chce posiąść ziemię, chce wyrazić wszystko, zarówno ideał piękna, jak ideał poczwarności, wznosi się wysoko, obejmuje świat, rozmiłowuje się samo w sobie i w téjże chwili prawie, z malowanéj modlitwy staje się różnobarwną dekoracyą, zabawką, ubieganiem za efektem więcéj, za świetnością, niż za myślą.

Giorgione staje na czele nowszéj szkoły, znać w nim może jeszcze ucznia Bellinich, ale czuć zarazem ojca Palmów i Tycyanów.

Malarstwo w zasadniczych swych pojęciach, w zadaniu, w idei się przemienia i na nową wchodzi drogę. Kierunek jego z religijno chrześcijańskiego staje się czysto ziemski, artystyczny, chłodny, materyalny. Barwa téż jest cechą nowéj piękności, gra kolorów, bogactwo tonów, świeżość i siła... Jeszcze przed Belliniego madonną modlić się może pobożny, Tycyan już nie potrafi pojąć oblicza matki-dziewicy, ale cudownie pojmuje Wenus Anadyomenę. Ideał w tęczowym blasku, w wytwornych liniach kompozycyi, w miękości wykonania, w powietrzności planów, we wdzięku lubieżnym i cielesnym, w cieple i przezroczystości tonów, w świetności i przepychu. W szkole weneckiéj, która charakterem musiała odpowiadać ojczyznie, co ją zrodziła, przedewszystkiém wytworność i bogactwo biorą górę. Koloryt mistrzów tych cudowny, osięgają oni niekiedy inne przymioty, ale celują w obrazach wyrażających przepych i potęgę ojczyzny swéj, w wielkich utworach uwieczniających uroczystsze obchody lub sceny dramatyczne. Żaden z tych wielkich malarzy nie potrafiłby już powrócić do pobożnéj prostoty Bellinich, do czystych linij ich twarzy spokojnych, do niewinności tych utworów, na których rozlana jest błoga cisza.

W Bellinich widać często braci po duchu Fra Angelico, Luiniego i Perugina, ich następcy cale są innego rodu i wychowania.

Tu znakomitsze występują imiona Jakóba Palmy starszego, ucznia Giorgiona, Parysa Bordone i Tycyana Vecellio, który jako artysta prześciga wszystkich, ale duchem i natchnieniem bez porównania niżéj stoi od Bellinich. Wyda się to dziwném może dla wielu wielbicieli mistrza, który po ziemsku sądząc, prześcignął swych nauczycieli, ale niepodobna w ucieleśnieniu malarstwa nie widziéć przyczyn późniejszego upadku. Tycyan ma już inne zadanie, malarstwo dlań jest tylko sztuką służącą temu, kto ją ocenia i płaci, jako sztuka dosięga ono najwyższych szczeblów, jako idea upada. Tycyan rozpoczyna z tą samą paletą w ręku leżącą

Wenus i Assuntę, dla niego bachanalia i krucyfiks są równo dostępne, idzie o to, czy kto prosi o Bachusa czy o Zbawiciela. Jako człowiek i artysta Wenerze nada nawet silniejszy wyraz ziemskiéj namiętności, niż Madonie duchową świętość, portret jego przejdzie ukrzyżowanego Chrystusa. Ręka to śmiała, malarstwo już dlań niéma tajemnic, ale ten świat, w którym dano było zajrzéć starym mistrzom, już dlań zamknięty.

Rozmijamy się tu z sądem powszechnie przyjętym o sztuce, lecz oddając sprawiedliwość artystom, w malarzach nowéj, Tycyanowskiéj szkoły trudno nam widziéć mistrzów najwyższych, bo w arcydziełach szukamy ducha, zarówno jak materyi. Dla tych kolorystów uczucie, myśl są rzeczą dodatkową, prawie podrzędną, pierwszą—strona materyalna, techniczna, blask, świetność, złudzenie, umiejętność. Raz tylko w pięknéj ale zbytnio zniewieściałéj głowie Chrystusa trzymającego pieniądz (*Cristo a la moneta*) Tycyan usiłował podnieść się do ideału, wrócił do tradycyi, ale i w tym obrazie dowiódł, że nie stał na wysokości, z któréjby mógł jasnowidzeniem odgadnąć Zbawiciela. W odtworzeniu rzeczywistości, w portretach niezrównany, przyjaciel Aretina, lubuje się w świetle, złocie, przepychu, w gorączce barw, w harmonii tonów, a spokój i cisza niebieska leżą dlań po-za krańcami sztuki.

Liczni są uczniowie Tycyana i naśladowcy, ale w tym tłumie, któremu już brak oryginalności, kierunek jeden, jedno zadanie, talenta tylko różnéj miary. Szkoła Pordenona, późniéj Tintoretto (Jacopo Robusti) idą coraz daléj drogą, z któréj nikt nie ma odwagi ni siły wyboczyć, nikt nawet nie poczuwa potrzeby nowego zwrotu. Tintoretto, malarz, jak imię jego, siły wielkiéj i bogactwa pomysłów, prowadzi daléj poczęte dzieło zamknięcia całego zadania sztuki na idealizowaniu rzeczywistości. Powiedzieliśmy to gdzieindziéj, szkoły dawne natchnione urzeczywistniały ideał.

Jako malarz, nie ma on barwy nieporównanéj Tycyana, ani jego świetności, ale w pomysłach nie zbywa mu na olbrzymiéj odwadze, tysiącami postaci wypełnia swe kompozycye. Niewiele więcéj powiedziéć można o Jacopo da Ponte zwanym *Il Bassano*, umiejętnym sztukmistrzu, biegłym kompozytorze, śmiałym koloryście, ale powtarzającym się, i wyprowadzającym prawie we wszystkich obrazach jedne lub wielce do siebie podobnie postacie. Dowodzi to, jak lekkomyślnie z ideą się obchodził. Figury zajmują miejsce potrzebne dla wypełnienia próżni, dla zrównoważenia linij.

Najpotężniejszym wyrazem przerodzonego w dekoracyę i wspaniałą kolorów mozajkę malarstwa, jest Paolo Caliari nazwany Ve-

ronese. I to bezsprzecznie wielki, szczęśliwie obdarzony artysta, imaginacya bogata, umiejętność znakomita, ale dlań także wszystko jest jedno, czy maluje gody w Kanie galilejskiéj, czy doży koronacyę, zawsze dziecię Wenecyi, powtarzać będzie jednę ze wspaniałych uroczystości ojczystego miasta, i nie wyjdzie z tego zaczarowanego koła. Veronese jest znakomitym historykiem swojego czasu, nawet gdy przedstawia sceny z dziejów Starego Testamentu. Zarzucają mu (w sposób już dziś śmieszny) anachronizm postaci i strojów, upór, z jakim swą szlachtą wenecką zapełniał religijne obrazy, ale o'to mniejsza, dziwniejszy w nim jest anachronizm idei, brak pojęcia zadań malarstwa religijnego, w którém przedewszystkiém widział tylko dekoracyę. Obrazy jego są doskonałym wizerunkiem życia rzeczypospolitéj za jego czasów, nic w nich nad to więcéj szukać nie potrzeba. Przepych ich, wspaniałość strojów, wytworność sprzętów, wdzięk postaci, które czują, że malowanemi być mają, uderza patrzącego, ale to artysta czysto ziemskiego natchnienia, szukający poezyi w przepychu. Nie będziemy tu wypisywać mniéj znaczących imion, które się wybitniéj w historyi sztuki nie odznaczyły, składają one szkołę tylko, a szkoła zawsze prawie zmniejsza przymioty, przesadzając mistrzów wady. Tak tu jest, jak wszędzie. Wśród tłumu imię młodszego Palmy zasługuje na wyróżnienie.

Od Tycyana sami historycy szkoły weneckiéj datują jéj upadek i najuprzedzeńsze oko, oceniając przymioty późniejszych malarzy, nie może w przesadzie, w ubieganiu się za efektami, za bogactwem, nie widziéć materyalizowania się sztuki. Niektórych talent i indywidualne usposobienia wstrzymały na niebezpiecznéj pochyłości, innych popchnęły na krańce. Wśród natłoku imion mniéj głośnych znajdujemy prawdziwe talenta obłąkane naśladownictwem i szkołą, z któréj tradycyj oswobodzić się nie miały siły; ale więcéj jest niewolników, którzy ślepo idą i dochodzą do śmiesznéj i trywialnéj przesady. Szereg wielki imion dałby się wypisać po tych, któreśmy wymienili, one jednak niczby nowego nas nie nauczyły.

W ostatnich czasach, epoce, która poprzedziła nowe i niezupełne odrodzenie się sztuki, jakgdyby na dowód, że malarstwo nie było w stanie sięgnąć wyżéj nad martwą naturę, spotkamy starego *Canaletto,* malarza kanałów i lagun, który wybornie starą, runąć mającą Wenecyę odtworzył w swoich obrazach. Dla niego ludzie już są tylko akcesoryami na tle budowli, niebios i wody. Wenecya nie ma już mistrzów, którzyby mogli malować dzieje człowieka a nawet historyę coraz smutniejszą rzeczypospolitéj, ostatni jéj wielki artysta kocha się w murach, w lagunach, w czarnych gondolach i rzeźbionych ścianach gmachów... Canaletto grzebie szkołę wenecką.

Dzisiejsza nowa odrodzona, to ma tylko na swą zaletę, że nicość swą i dawną wielkość poprzedników rozumie, a podźwignąć się pragnie. Ale naśladownictwo niewolnicze najdoskonalszych mistrzów nie zaprowadzi jéj daleko, ducha ich przejąćby potrzeba, aby im dorównać. Tajemnicą wielką sztuki nie jest jéj technika, ale dusza, co ją rodzi, idee tworzą formę, tych teraz właśnie brakuje. Z przeszłości wzorów i mozołu teraźniejszego, powstało najdoskonalsze rzemiosło malarskie, istotnéj sztuki świat oczekuje od nowéj epoki. Nie wierząc w nic idealnego, możeli ona stworzyć co własnego i wyjść po-za doskonałe naśladowanie rzeczywistości?—wątpimy bardzo.

VII.

Pałac Dożów.—Porta della Carta.—Ściana pałacu od Piazetty.—Wrażenie budowy.— Kolumny.—Podwórzec.—Cysterny.—Bigolante z Fryulu.— Woda gołębi.—Gołębie św. Marka.—Wschody olbrzymów.—Marino Faliero. — Pamiątka pobytu Henryka III króla polskiego.—Paszcze bronzowe.—Wschody złote.—Wystawy przemysłu w pałacu Dożów.—Biblioteka św. Marka. — Widok wnętrza. — Sala rady wielkiéj. — Obrazy z dziejów rzeczypospolitéj. — Tintoretta niebo.—Rzeźby stare.—Fryderyk Rudobrody i Aleksander III.—Powrót Contariniego.— Karta świata z XV wieku i zbiór map. — Dandolo. — Zdobycie Zary: inne obrazy historyczne.—Portrety dożów.—Faliero.— Apoteoza Wenecyi.—Inne zabytki. – Inne sale i obrazy.—Sąd ostateczny.—Palmy. — Głosowania. —Henryk Walezyusz. — Dalsze sale i ich nazwania.—Ozdoby, obrazy, posągi.—Faliero.—Obraz przedstawiający wjazd Henryka III.—Sala *Anti-Collegio.* — Porwanie Europy.—Sala *del Collegio.*—Przepowiednie Allemaniego. — Sala *Pregadi.*—Kapliczka. — *Piombi* i więzienia.—Napisy w nich.—Wspomnienie.—Pellico.—Wnętrze św. Marka.—Pamiątki i szczątki dawne. — Konie greckie; ich historya.—Perystyl.—Mozajki.—Bogactwo kościoła.—Drzwi bronzowe. — Kaplice i ich pamiatki. — Ciceronowie.—Mozajki dawne i nowsze.—Ciało św. Marka. — *Pala d'oro.*—Wielki ołtarz.—Skarbiec.—Gauthier o kościele św. Marka.

Przeszedłszy plac św. Marka i minąwszy kościół, którego obejrzenie szczegółowe na dzień inny odłożyliśmy, z przewodnikiem, który mi się nastręczył, niejakim panem Giuseppe Nada (który kilku Polakom służył w czasie ich podróży po Włoszech i wspominał między innemi hr. Henryka Ilińskiego) udaliśmy się do Pałacu Dożów.

Pomiędzy gmachem tym, zajmującym jednę stronę Piazetty, a kościołem zastanawia naprzód samo wnijście do pałacu, przecudnie wyrzeźbione wrota gotyckie z 1439 r. zwane *Porta della Carta,* z powodu, że tu dawniéj przylepiano wszelkie *karty,* to jest ogłoszenia rządowe i t. p. Budowniczym tego prześlicznego cacka koronkową robotą z nadzwyczajnym wykonanego smakiem, był Bartolomeo Buono. Opisać wnijścia tego niepodobna, potrzeba je widzieć, aby podziwiać szczęśliwą linij harmonię, wdzięk ich i bogactwo niesłychane szczegółów. Podróżny mimo pośpiechu wstrzy-

muje się tu, nie mogąc nasycić wspaniałością tego pomnika, który wśród gmachów uderzających pięknością, stanowi odrębną i nieustępującą im całość.

W prawo ściana pałacu ponad Piazettą jest także obejrzenia godną, budowa to z XIV wieku, kończona i przerabiana we dwieście lat późniéj. Pozostały na niéj i starsze nad XIV wiek rzeźby, bo kapitele fantazyjnie dłutowane dolnych arkad są uczniów Calendario z dwunastego wieku. Na drugiéj galeryi ozdobnéj i lekkiéj, przezroczystéj, jak koronka, opiera się ciężka ściana piętr górnych z czerwonego marmuru. Architekci unoszą się nad wrażeniem, jakie czyni ta masa spoczywająca na podstawie, która na oko, nie widzimy, jak ją utrzymać może, zdumiewa to, ale jest sztuczką, przezwyciężoną tylko trudnością, jak pochyła wieża pizańska. Oko wymaga logiki ścisléj w architekturze, i nie chce być zwodzoném. Narożny słup od wybrzeża, bardzo ozdobny i nad inne silniejszy, dźwigający cały róg gmachu, jest podziwem także dla budowniczych, architekt dał w nim dowód niepospolitéj odwagi i umiejętności. Ściana górna zdaje się czarodziejsko zawieszona w powietrzu, to prawda, ale ta potęga sztuki nie jest jéj zadaniem, jest środkiem i dlatego wysiłek na okazanie, co sztuka *może*, nie dosięga celu, bo nie odpowiada temu, co sztuka *powinna.*

Pomiędzy kolumnami górnéj galeryi wskazują dziewiątą i dziesiątą, licząc od wrót, przy których stoimy, odróżniające się tém, że wpośród białych słupów, one jedne są z czerwonego marmuru. Mają one oznaczać miejsce, z którego czytano ludowi ogłoszenia i dekreta senatu, wyroki śmierci. Obyczaj ten podobno zachował się do dziś dnia. Rzeźby górne téj ściany, jéj okien, i piramidalnych ozdób, są z różnych epok, po większéj jednak części z szesnastego wieku.

Przez te cudne wrota *della Carta,* wchodzimy wewnątrz pałacu w dziedziniec dokoła zamknięty jego ścianami. Gmach jest poważny, wspaniały i pełen charakteru jakiegoś groźnego, którym go może wspomnienia dziejowe obłóczą. Pełno marmurów, rzeźb, bronzów, posągów. W pośrodku dziedzińca dwie cysterny wody słodkiéj, tak tutaj drogiéj, obie w stylu odrodzenia XVI wieku, są otoczone wspaniałemi czarami z bronzu. Arcydzieła to w swym rodzaju, pełne wdzięku, bogato ozdobne figurami, owocami, wieńcami kwiatów. Z cystern tych publicznych czerpią wszyscy bez opłaty, a wodę z nich roznoszą po mieście od wieków mające przywilej przedaży, wieśniaczki i wieśniacy z Fryulu. Przez cały dzień czerpią z tych cystern i we dwóch miedzianych wiaderkach na plecach roznoszą wodę. Ubiór tych tak zwanych *Bi-*

golante, dziewcząt i chłopaków, odróżnia ich od ludności miejscowéj.[1]

Kobiety noszą latem słomkowe maleńkie kapelusiki, trochę na bok głowy włożone, zimą kapelusze wązkie okrągłe i strój swój narodowy; mężczyzni kurtki kolorowe bez rękawów i takież kapelusze.

Przy obu cysternach są małe wydrążenia, które czerpiący wodę starannie napełniają codzień, dla gołębi św. Marka. Stado ich zawsze ulatuje ponad placem, pałacem i bliższemi uliczkami, są to od niepamiętnych czasów hodowane tu tradycyonalnie i szanowane ptaki. Obyczaj hodowania ich na wschodzie mógł łatwo przejść stamtąd do Wenecyi, widzimy, że i do naszych krajów stamtąd się dostał, jednakże jest miejscowe podanie, które tłómaczy, dlaczego rzeczpospolita dawniéj kosztem swym utrzymywała gołębie św. Marka.

Było to w czasie oblężenia Kandyi, blokowano miasto, wodzowie dostrzegli, że stada gołębi od grodu przelatywały często ku genueńskiéj flocie, stojącéj pod górą Ida, u wnijścia Archipelagu. Znając obyczaj wschodni przesyłania listów za pomocą ptaków i obawiając się zdrady genueńczyków, Dandolo, który dowodził wyprawą, kazał koniecznie kilka gołębi ustrzelić. Niosły one wistocie wiadomości dowodzące, że zmowa tajemna istniała między kandyotami a genueńczykami. Nie czekając jéj skutków Dandolo przypuścił szturm wieczorem i zdobył miasto, nim genueńczycy przyjść mu w pomoc potrafili. A że w Kandyi mnóstwo gołębi znaleziono, przywieziono je do Wenecyi na pamiątkę wypadku i postanowiono je hodować kosztem rzeczypospolitéj. Dawniéj wyznaczony ku temu urzędnik codzień sypał ziarno na Piazetta, a dziś zapewnione mają pożywienie testamentom staruszki, która się nad ich sieroctwem ulitowała. Pełno ich zawsze na placu św. Marka.

Wprost naprzeciw wnijścia mamy przed sobą wspaniałe Wschody Olbrzymów. Na lewo jest boczne wnijście do kościoła, pięknie w stylu XVI wieku przyozdobione.

Wschody, o których nazwisko ich dać może fałszywe wyobrażenie, są bardzo piękne, ale wcale nie olbrzymie, nadały im to imię dwa posągi stojące w górze: Mars i Neptun Sansovina, zresztą wcale nie odznaczające się. Stopnie wschodów, wykładane marmurem, rzeźbione, wysadzane wzorzysto kruszcem, są z wielkiém staraniem wykończone.

Jest to wnijście tém pamiętne, że z wierzchołka tych wschodów ukazywano ludowi nowo obranego dożę i tu go koronowano,

w chwili gdy po nabożeństwie w kościele i obniesieniu do koła placu, do pałacu powracał.

Podanie mówi, że tu ścięty został Marino Faliero, a choć wschody same są późniejsze o wiek blizko, być bardzo może, iż zastąpiły dawniejsze, z których głowa, wedle opisu kronikarzów, potoczyła się aż na dół po stopniach.

Wprost nad wschodami wszedłszy na górę, znajduje się tablica otoczona rzeźbami, z napisem na pamiątkę przejazdu Henryka III, króla polskiego, w r. 1574 uciekającego z Polski do Francyi. Mimowolnie przychodzi tu na myśl ten krótko panujący monarcha, innéj cywilizacyi dziecię, który wśród rycerskiego, surowszych obyczajów, nieugiętych umysłów i serc kraju, tyle wycierpiał, nie mogąc się oswoić z nową ojczyzną i pojąć jéj nie umiejąc. Swobodnie i lekko mu być musiało, gdy do rozkosznéj, wspaniałéj, bogatéj przybył Wenecyi, przyjmowany uroczyście, bawiony, czczony już jako przyszły władca Francyi i sprzymierzeniec rzeczypospolitéj. Wenecya chlubiąc się tą królewską gościną, nietylko tę tablicę poświęciła jéj wspomnieniu, ale komemoracyjny obraz odmalować kazała w sali *delle quatro Porte* i portret zawiesić malowany przez Tintoretta, w jednéj z pomniejszych komnat (*Stanza adorna di stucchi*). Ozdoby dokoła kamienia z napisem są Aleksandra Vittoria. W korytarzu zaraz obok tablicy jest kilka otworów (paszcz), którym odjęto bronzowe lwie głowy, o których tyle pisano i mówiono. Są co twierdzą, że nietylko rzucano przez nie doniesienia na piśmie, ale ustne nawet denuncyacye przechodniów przyjmował zawsze na pogotowiu stojący urzędnik. Haki powbijane w ściany służyły do rozwieszania makat i kobierców w czasie instalacyi uroczystéj dożów. Stoją tu świeżo porobione popiersia sławniejszych mężów rzeczypospolitéj.

Wschody, któremi się wstępuje do górnych sal, zowią się *złotemi*, choć na nich już nie widać złota, ale w Wenecyi umiano nawet tak ponazywać wszystko, aby rozgłośnie i szumnie wielkość rzeczypospolitéj brzmiała. Wschody są wspaniałe, w części z dawnych swych ozdób ogołocone, sklepienia tylko okrywają sztuki i smakowne malowania. Wnijście, jak cały pałac, pełne jest jeszcze téj wielkości i majestatu, jakiemi się wszędzie okrywała rzeczpospolita w czasach ostatnich, gdy wielkość ta już była prawie w spomnieniu tylko, ale czuć wśród tych resztek przepychu, że tu już życie nie wróci. Całość wygląda jak trumna otwarta, z któréjby nawet trupa wyjęto.

Przechodząc te sale pełne obrazów, ze złoconemi i rzeźbionemi stropami charakterystycznemi, ze wspaniałemi swemi odrzwiami, marmury, rzeźbami, chłód wieje z pustki wiekowéj, smutek ogarnia jak na grobie. Dziś jest to tylko posępne muzeum, biblioteka

miejsce otwarte dla wszystkich publicznych wystaw, które się dziwacznie na tle krwawych wspomnień wydają, ze swą prozaiczną fizyognomią. Znaleźliśmy właśnie w kilku salach resztki takiéj wystawy sztuk i rzemiosł, które wyglądały jak kramik w kruchcie kościoła.

Przemysłowy ten popis składał się w większéj części z drobnych wyrobów, dosyć złego smaku, nawet wykonaniem się nie odznaczających. Pozawieszane na nich gdzieniegdzie wieńce dębowe oznaczające te, które otrzymały medale i nagrody, wyglądały na szyderstwo. Między innemi był bardzo ozdobnie wysadzany, inkrustowany i rzeźbiony bilard także uwieńczony dębową koroną, kupił go z wystawy baron Sina... Wyobraźcie sobie wrażenie, jakie czyni bilard w pałacu Marino Falieri!

Nie mając co pomieścić w pustym gmachu, rząd przeniósł doń bibliotekę św. Marka (Marciana) i mały zbiorek starożytności. Jedynym więc gościem w Palazzo Ducale jest... historya. Księgom szeroko, przestronnie, znać, że są świeżemi gośćmi, bo nigdzie może tak ich wspaniale nie pomieszczono, jak tutaj. Zresztą gdyby nie rzeźby i obrazy, straszliwie głucho i pusto. Spotykaliśmy tylko co chwila, to pojedyńczych wędrowców, to kupki przechadzające się z ciceronami u boku, którzy we wszystkich językach recytowali wyuczoną na pamięć litanię. Inni bez przewodników żywych, z książkami w ręku usiłowali się oryentować wśród tego labiryntu wspomnień.

Dźwięk przytłumionego głosu ciceronów, jednostajnie powtarzających, jak lekcye wyuczone, daty i imiona, smętne twarze zdziwionych wędrowców, rozlegające się ich kroki po opustoszałych salach olbrzymich, napełniały dziwną tęsknotą pogrzebową.

Gdy przeszedłszy wspaniałe korytarze, wnijdzie się nagle do ogromnéj sali *del Maggior Consiglio*, dziś zowiącéj się biblioteką, olbrzymie jéj proporcye, przepyszne ozdoby, obrazy historyczne na ścianach i wielka karta Tintoretta całą główną zajmująca połać, zdumiewają przepychem. Szereg wizerunków dożów u góry zdaje się stać na straży dziejów, którémi sterowali.

Sala ta najpyszniejsza w pałacu, gdyby nic więcéj nie oglądać, dałaby już pojęcie wielkości rzeczypospolitéj i świetnych jéj czasów. Zdaje się, że tu się skupiło, co najwymowniéj świadczyć może o przeszłości. Od góry do dołu okrywają mury całe i rzeźbione stropy obrazy, po których przebiedz można całe niemal Wenecyi dzieje.

Uderza naprzód ogromne płótno zajmujące ścianę całą, szerokie na jakie łokci czterdzieści, wysokie z piętnaście, na któréj Tintoretto odmalował *chwałę niebieską*. Jest to jeden z największych na

świecie obrazów olejnych, ale mocno zczerniały, zepsuty, robiący tylko wrażenie rozmiarami, niezliczonemi postaciami, bogactwem kompozycyi. Mur pod spodem ma jeszcze nosić nn sobie ślady fresku monochromowego, zielonego z XIV wieku przez Guariente z Padwy malowanego. Tintoretto obraz ten robił w późnym już wieku, wypisał téż na nim całą swą umiejętność i sztukę, zastępując piękność i wielkość pomysłu, zbytkiem, bogactwem, przepychem najdziwniéj pogrupowanych tysiąców postaci... zdumiewają one, ale nie zachwycają wcale. Jest to obraz dekoracyjny, którego szczegółów nie można rozbierać, bo nie wytrzymują rozbioru...

Z rzeźb umieszczonych tu gladyatorowie, żołnierz zabity, popiersie Cezara i greckie przypisywane Fidyaszowi zwracają uwagę, chociaż trudno wobec rozwijających się majestatycznie dziejów Wenecyi patrzéć na tych marmurowych natrętów.

Pierwszy obraz, od którego się szereg scen historycznych rozpoczyna, wystawia Aleksandra III papieża, którego doża odprowadza do klasztoru *della Carita.* Rzecz dzieje się w XII wieku. Po śmierci Adryana IV, jak wiadomo, wybór nie był zgodny, dwóch razem ogłoszono papieżów. Fryderyk Rudobrody nie uznał Aleksandra III, który go wyklął. Wygnany przez Wiktora IV, wspieranego przez cesarza, Aleksander III przybył jako pielgrzym i wędrowiec do Wenecyi. Fryderyk Rudobrody żądał od rzeczypospolitéj, aby mu go wydała, ale Wenecya stanęła w obronie papieża i flota jéj zwyciężyła cesarską. Fryderyk musiał w końcu uznać papieżem Aleksandra i po kilkunastu latach prześladowania przyjść z pokorą prosić o przebaczenie. Scena to była dramatyczna i wielka, Aleksander schylonego Fryderyka głowę nadeptał i wyrzekł:

— Stąpać będę po żmijach i bazyliszkach, zgniotę lwa i smoka...

A Rudobrody odparł:

— Schylam się przed Bogiem, przed zastępcą jego Piotrem, a nie przed tobą...

— Przede mną, jak i przed Piotrem—zawołał Aleksander naciskając kark dumny.

Po tém uznaniu Aleksandra III, który podporę i pomoc znalazł u Wenetów, łatwo pojąć, jak gorącą czuł dla nich wdzięczność. Doża Ziani, który odprowadzał ojca świętego, wspaniale przyjmowanym był w Rzymie, nadano jemu i następcom jego ów przywilej noszenia przed niemi świecy zapalonéj, miecza, ombrelli (parasola), trąb i chorągwi.

Pięknie się więc rozpoczynają te dzieje od szlachetnego czynu rzeczypospolitéj, która obstała za słabszym, za prawem, i nie wahała się przyjść w pomoc prześladowanemu. Kilka obrazów po-

święcono temu pamiętnemu dla rzeczypospolitéj wypadkowi. Malowania są uczniów Weroneńczyka, Bassana i Tintoretta. Widzimy w nich przybycie papieża, wyprawę posłów do Rudobrodego, przyjęcie ich w Pawii, wyjazd floty weneckiéj, Aleksandra błogosławiącego dożę, bitwę morską, wzięcie w niewolę Ottona, odesłanie go ojcu, zjazd Papieża z Fryderykiem, przyjęcie doży w Ankonie i dary, które otrzymał w Rzymie.

Część téj historyi podlega może krytyce, ale zawsze jest to przynajmniéj bardzo piękna legenda.

Obrazy prócz tego są tém ciekawe, że dają widoki placu św. Marka i innych gmachów tak, jak one były za czasów, gdy je Tintoretto malował, Bassano i Zuccari. Nie silili się bowiem na archeologiczne restauracye, ale robili Wenecyę taką, jak ją mieli przed oczyma.

Następny obraz Pawła Veronese, jedno z najwspanialszych dzieł jego, wystawia powrót zwycięski doży Contariniego, po walce z genueńczykami w 1378 r. Tu pokazują w szafie sławną mapę świata z r. 1460 przez Fra Mauro. Jest to pomnik ciekawy dla krajoznawstwa; ale zdaje się, że na nim ręka późniejsza dodała przylądek Dobréj Nadziei, który naówczas nie był jeszcze znany. Inaczéj sobie tego wytłómaczyć niepodobna. Oprócz niéj w sali *dello Scudo* jest ciekawy zbiór kart gieograficznych, krajów znajomych w różnych epokach żeglarzom weneckim i sławnym podróżnym, którzy świat obiegali. Kraje północne są na nich w większéj części pooznaczane bardzo ogólnie i dość dowolnie.

Szereg historycznych obrazów przedstawia daléj, poczynając znowu ode drzwi, wnętrze św. Marka i starca na pół ślepego, dziewięćdziesiątletniego, Dandolo domagającego się dowództwa nad flotą, która zdobyć miała Zarę i Konstantynopol.

Za tém idzie zdobycie Zary, potém Aleksy, syn Komnena, proszący Wenetów o pomoc dla ojca; pierwsze zdobycie Konstantynopola, drugie w 1204, elekcya Baldwina, hrabiego Flandryi, na cesarza państwa wschodniego.

Czém tylko pochlubić się mogły dzieje rzeczypospolitéj, uwieczniono na tych ciemnych i dziwnéj na pierwszy rzut oka fizyognomii obrazach, malowanych późno, ale odtwarzających stare podania naówczas jeszcze żyjące, dziś podobniejsze do bajecznych poematów.

Ponad kartami zwycięstw i chwały, wysoko umieszczony pas wizerunków dożów, poczyna się od dziewiątego doży i dziewiątego wieku, wstęgą tych poważnych postaci opasując salę. Tu czarna plama zwraca oko, jak próżnia grobowa. Na miejscu wizerrnku Marino Faliero mściwa rzeczpospolita, ku wiekuistéj pa-

mięci, postawiła jakby całunem okryte ramy, a na tle ich czarném wypisano białemi głoskami:

Hic est locus Marini Falethri, decapitati pro criminibus.

Dożowie ostatni, którzy się tu nie mogli pomieścić, ciągną się daléj w sąsiedniéj sali *dello Scrutinio.*

Teraz podnieśmy głowę ku stropowi, który jest jedną z najbogatszych i najpiękniejszych ozdób téj przepysznéj sali. Okrywają go obrazy oprawne w ramy rzeźbione siecią złotą i barwną zajmując całą przestrzeń, jakby na odmalowanie wielkości rzeczypospolitéj miejsca zabrakło, że ją w powietrzu zawiesić musiano. Najcudniéj ze wszystkich tych obrazów wygląda apoteoza Wenecyi przez Pawła Weroneza, jedno z jego arcydzieł. Typ niewiasty w sile i chwale, w potędze i majestacie, rysunkiem, kolorytem, świetnością i przepychem gaszący wszystko, co go otacza. Inne sceny historyczne ciężą na stropie, i nie tak się tu mieszczą stosownie. Weroneńczyk nie stworzył nic piękniejszego nad tę Wenecyę, którą wieńczy Chwała, głosi Sława, otaczają Cześć, Swoboda, Pokój. Dzieło malarza przeżyło sławę i wielkość ojczyzny...

Po tym już innych obrazów opisywać niepodobna. Jest tu wzięcie Smirny, obrona Scutari, zwycięstwa i boje, ale te sceny ziemskie w obłokach niedobre robią wrażenie. Strop zawsze wymaga czegoś lekkiego, powietrznego, skrzydlatego. Zawieszony na nim obraz, któremuby lepiéj było na ścianie, zdaje się obalać i przygniatać.

Biblioteka umieszczona tu w r. 1812, rzeźby, posągi, między któremi jest piękny grecki Ganimedes, nie zwraca oczów podróżnego szukającego śladu tronu dożów, ław, które salę okalały, przeznaczonych dla rady rzeczypospolitéj i zabytków odnoszących się do scen, jakie się tu odbywały przed wieki. Nic po nich nie zostało, oprócz obrazów ciemniejących na ścianach i apoteozy, która śmierć raczéj niż zmartwychwstanie obiecuje...

W téj sali w roku 1797 dnia pierwszego maja, ostatni doża, Luigi Manin, z tronu książęcego zszedł bez następcy... Tron zastąpiły szafy z księgami i rzeźbione Grecyi posągi.

Następna sala *dello Scrutinio,* ozdobiona jest rodzajem łuku tryumfalnego, otaczającego drzwi główne, wystawionego na cześć doży Morosini, nazwanego *Peloponesiaco.* I tu jeszcze pełno historycznych, wielkie wspomnienia przywodzących obrazów, zdobycie Zary Tintoretta, wzięcie Cattaro, bitwa pod Lepantem. Górą idą dożów portrety, strop zdobią zwycięstwa.

Sąd ostateczny J. Palmy, na którym malarz wystawił kobietę, co go zdradziła, odepchniętą przez anioła od stóp matki miłosierdzia, pod którój opiekę się uciekła; sam tylko daje spocząć myśli znużonéj już temi dziejami sławy, które niepowrotnie przebrzmiały. Oblicza proroków tak są zmieszane z wizerunkami dożów, że zrazu ich rozróżnić trudno. I tu miejsce tronu i ław zajęły książki i szafy.

Dawniéj, jak nazwisko jéj przypomina, sala *dello Scrutinio* była miejscem, w którém się odbywało głosowanie. Nikt nie miał prawa wchodzić do niéj z orężem, ale w czasie wotów wszyscy byli przypuszczani do ich sprawdzania. Dostojnych nawet gości niekiedy zapraszano do objawienia zdania swego. Tak Henryk Walezyusz, powracający z Polski, głosował tu na wyborze prokuratora, którego urząd naówczas wakował. Ten, za którym dał głos swój Henryk, mianowany był zgodnemi głosami wszystkich i przyszedł potém na klęczkach podziękować siedzącemu na tronie pod obrazem Palmy królowi.

Wotowano nie dwojakiemi ale troistemi gałkami, *białemi*, które stanowiły głos potwierdzający, *zielonemi* oznaczającemi przeczenie, *czerwonemi*, które wymagały nowego rozbioru prawa, o jakie chodziło.

Niepodobna jest nawet w krótkości liczyć i opisywać wszystkich sal gmachu i nagromadzonych tu dzieł sztuki i pamiątek. Jak kościół św. Marka, pałac ten stał się muzeum i archeologicznych studyów przedmiotem, życia w niém niéma. Ale przeszłość świetnie jeszcze króluje.

Wszystkie prawie sale mając rozmaite, oznaczające je nazwania, następna *della Bussola* pełna obrazów dziejowych, służy za przedsień inkwizytorom stanu i radzie dziesięciu, jest w niéj jeszcze ślad lwiéj paszczy dla denuncyatorów. Obok sala rady dziesięsiu (*del Consiglio di Dieci*), która tyle krwawych słyszała wyroków, ogołocona, wyświeżona nieco, obudza żywe zajęcie. Nic jednak nie przypomina tu straszliwego trybunału. *Jowisz piorunujący* z sufitu oddarty, pozostał w Paryżu. Szkoda, bo ten obraz zdobił bardzo stosownie salę, z którój tyle śmiertelnych wypadło piorunów.

W niéj to w r. 1355 z dnia 15 na 16 kwietnia, w nocy, przyprowadzony został przed ławę rady i tron, który niedawno zajmował, Marino Faliero, starzec, zmuszony przed straszliwą juntą występek swój wyznawać. Podanie mówi, że noc była czarna a burza zewnątrz wrzała, nim doża stąd wyszedł, wspólników jego już na placyku powieszono.

Jednogłośnie skazano go na śmierć, odarty z oznak godności swéj, starzec uwięziony został we własném mieszkaniu i oddzielony od żony, dla któréj miłość, o którą zazdrość, były powodem występku jego i zguby. We dwa dni potém, głowa Marina stoczyła się ze wschodów pałacowych, a czarne ramy zajęły miejsce wizeruku starego doży.

Wymienim tu jeszcze salę zwaną *delle quatro Porte,* od czworga drzwi bogatą architekturą ozdobionych, kolumnami i marmurami wschodniemi przybranych. Odnowioną jest dziś po pożarze 1574 roku, przez Andrzeja Palladio. Posągi nad frontonami drzwi są kilku najsławniejszych rzeźbiarzy weneckich, między innemi Hieronima Campagna i Aleksandra Vittoria.

Z obrazów okrywających ściany i strop bogaty nadzwyczaj a pełen przewybornego smaku, dla nas najwięcéj zajmującym był wjazd Henryka III na Lido, uroczyście przyjmowanego przez patryarchę i dożę Ludwika Mocenigo. Malował go Andrzéj Micheli, nazwany *Il Vincentino.*—Płótno to ma wartość tylko pamiątkową, historyczną; przedstawiając dokładnie ówczesne stroje, twarze i ów łuk zwycięski, którym zbiega naszego witała Wenecya. Wznosił go Palladio na wzór rzymskiego Septyma Sewera.

Jest tu jeszcze piękne płótno Contariniego, wystawujące dożę Grimani przed N. Panną, i ciekawe poselstwo norymberskie, odbierające prawa weneckie w r. 1506.

Sala zwana dawniéj *Anti-Collegio,* była zamknięta dla jakichś odnowień, aleśmy ją austryackim cwancygierem potrafili otworzyć. W niéj dziś arcy-książę namiestnik przyjmuje uroczyście i cała téż wysłana jest dywanami, napół od dołu wyświeżona, u góry jak dawniéj była, tylko ją gdzieniegdzie nowemi sztukami popsuto.

W téj sali znajduje się kilka pięknych, ale jeden szczególnie ślicznie malowany obraz Weronezyusza... *Porwanie Europy.* Znają go wszyscy, ci nawet, co nie widzieli, bo tysiąckroć był powtarzany i kopiowany, choć świeżość jego barw, złocistość tonów, świetność i życie potężne tego wesołego utworu, skopiować trudno. Harmonia, wdzięk tonów i linij, malowanie cudowne, czynią zeń arcydzieło, choć myśl, niestety—próżnoby się tu do czegoś przywiązać chciała, coś zdobyć... oprócz mitologicznego marzenia.

Obok powrót Jakóba do ziemi Chanaan znika, czarno się wydaje i bardzo biednie wygląda, przy tym rozkosznym, błyszczącym, migocącym Weronezyuszu i jego Europie, trochę manierowanéj, ale niezmiernie żywéj.

Europa nie jest idealną pięknością, ale też byk się w niéj tylko zakochał. Przepyszna Wenecya na tronie, znowu apoteoza rzeczypospolitéj zajmuje sufit; jest ona także dziełem Weroneńczyka.

Sala *del Collegio*, okryta cała cedrowemi rzeźbami, a cedr ten zdobyty być miał w Konstantynopolu. Szczęściem nie tknięto go jeszcze. Tu przyjmowała rzeczpospolita posłów zagranicznych. Stare kobierce, marmurami drogiemi ozdobny komin i odrzwia, strop najwspanialszy może ze wszystkich, całość téj przepysznéj komnaty, czynią ją jedną z najpiękniejszych i najmajestatyczniejszych w pałacu. Tron doży, ławy, siedzenia, pozostały tu dotąd jeszcze.

Malowania wystawiają, jak przystało tam, gdzie obcych przyjmować miano, Wenecyą siedzącą na globie (ze Sprawiedliwością i Pokojem), Neptuna, Marsa i Cnoty. Gdyby cnoty niemalowane zachowała rzeczpospolita do końca, nie sprawdziłby się ów proroczy wiersz Alamaniego:

> Se non cangi pensier, un secol solo,
> Non conterà sopra'l millesimo anno
> Tua libertà, che va fuggendo a volo!

Ale i tu Wenecya świeci barwami słonecznemi, gdy cnoty są *chiaroscuro*, i stoją widocznie jak nieżywe.

Sala Senatu czyli *Pregadi*, pełna obrazów i znów Wenecya w obłokach Tintoretta na bogatym suficie; sąsiaduje ona z kapliczką (*Chiesetta*), malowaną al-fresco przez Guarana, z posągiem Matki Boskiéj Sansovina.

Oprócz wzmiankowanych tu sal i innych izb, w których dziś nikt nie mieszka tylko stare pamiątki, w pałacu dożów pokazują usłużni ciceronowie mnóstwo przejść tajemniczych, korytarzy, drzwiczek, wiodących do kryjówek, w których zamykano więźniów stanu. Sławne a tak straszliwie odmalowane *piombi* weneckie były to izdebki na poddaszach, tak zwane od ołowianą blachą krytego dachu, gdzie równie być musiało gorąco, jak w innych po świecie więzieniach bywa wilgotno, ale przynajmniéj jaśniéj i weseléj niż w lochu. Dziś podział na izdebki zniknął, pamięć tylko została, odświeżona pamiętnikami Silvia Pellico.

Straszliwie głęboko natomiast sięgały lochy zwane studniami, *pozzi*, trudno wszakże przypuścić, aby niżéj schodziły nad poziom wody, któraby je przez otwory zalewała. Mówią jednak, że spuszczały się na dwa piętra w głębie trzęsawisk.—Lochy te dziś są puste, dla zbytniéj w nich wilgoci poobijane były deskami drewnia-

nemi. W jednym z nich pokazywanym dotąd, spełniano wyroki śmierci na więźniach, których publicznie karać nie śmiano. Winowajca siadał na kamienném krześle i duszono go obyczajem wschodnim, cienkim sznurkiem. Tuż są drzwi na kanał, którędy trupa wrzucano do gondoli.

Z napisów po tych więzieniach, które do dziś dnia dotrwały, przywodzą kilka ciekawych, jeden zwłaszcza czterowiersz bardzo charakterystyczny.

Non ti fidar ad alcuno, pensa e taci,
Se fugir vuoi di spioni insidi e lacci.
Il pentirti, pentirti nulla giova,
Ma ben del fallo tuo fa vera prova...

(Nie ufaj nikomu, myśl i milcz,
Jeżeli chcesz uniknąć szpiegów zasadzek.
Żal ci się na nic nie przyda,
A dowiedzie tylko winy).

Napis ten jest z r. 1607—stare dzieje.

Wyszliśmy z pałacu pod smutném wrażeniem krwawych scen, które przypomina, obrazów poetycznych ale posępnych, jak ściemniałe malowidła Tintoretta.—Byron, Manzoni, Cooper, V. Hugo i wielu innych czerpali stąd natchnienie, a przypomnienia ich utworów tak się z rzeczywistością zmieszały, że nawet w zimnych opowiadaniach przewodników czujesz ten wpływ poetów. Ja w myśli miałem ostatniego z więźniów pod ołowiami, Silvia poczciwego, Silvia, którego izdebki opis, odwiedzającego dziewczęcia, dokuczliwych komarów i smutnych dni osamotnienia, żywo mi na pamięć przychodził.

Biedny Silvio! jedna to z najczystszych dusz dni ostatnich, jeden z najpiękniejszych kwiatów Italii, a jakże go zdeptano...

Gdyśmy wyszli z pałacu, chociaż nie szczędziliśmy czasu na jego obejrzenie, pokazało się, że i godzin i siły mamy dosyć jeszcze na oglądanie św. Marka; udaliśmy się więc doń za przewodnikiem.

Historya budowy téj świątyni, cel założony przez Wenetów wzniesienia czegoś tak wspaniałego, coby równego na świecie nie miało, wskazują, jak bogatym i ciekawym kościół być musi. Wistocie jestto muzeum, skarbiec. Zewnątrz i wewnątrz, gdzie spojrzysz, okrywają go pamiątki najrozmaitszego pochodzenia, epok, charakteru, ale wielki ten zlepek tak dziwnie zharmonizowały, iż się w nim nie czuje wcale sztukowania, zbieraniny.

Wewnątrz surowy i posępny z wielkim odrazu przedstawia się przepychem rzeźb, mozaik, złoceń, marmurów. Jak u św. Piotra w Rzymie, niéma tu ani jednego malowania, obrazy są wszystkie

mozajkowe. Na sklepieniach, łukach, słupach, stami roją się postacie świętych na tłach złotych, począwszy od najstarszych, dziko srogich i ostrych, do późniejszych coraz żywszych, łagodniejszych, a jeszcze majestatycznych... Cały to świat nowy, nieznany, straszny. Ołtarze pookrywane rzeźbami i posągami, wszystko aż do mistrzowskich posadzek wysadzanych marmurami i drogiemi kamieniami, z niesłychanym zbytkiem i staraniem wykończone. Najmniejszy kątek kryje w sobie jakąś osobliwość, pamiątkę, jakiś drogocenny szczątek.

U wnijścia zaraz stoją sarkofagi, w ścianach wmurowane płaskorzeźby, a gdzie spojrzysz, oko wstrzymuje jakaś ciekawa zagadka archeologiczna. Nie dziwim się, że o téj jednéj bazylice napisano całą bibliotekę, tyle w niéj dzieł sztuki i zabytków.

Opisać kościoła tego niepodobna, rysunek tylko pojęcie dać może i zewnętrznéj fizyognomii i stylu wewnętrznego bizancko gotyckiego budowy, dość nizkiéj, ciemnéj, ale wspaniałéj i przejmującéj powagą.

Począwszy od drzwi i po wszystkich dostępnych kątach kościoła, znaleźliśmy artystów zajętych studyami, rysujących to pojedyńcze pomniki, to malownicze epizody kościoła. Jeden od perystylu zdejmował wnętrze, pojąwszy je z prawdziwym talentem, drugi robił rysunek sarkofagu z pierwszych wieków chrześcijaństwa, stojącego na lewo od wnijścia.

Nie mogąc się szeroko rozwodzić o świątyni, któréj niedokładny nawet opis zbyt wiele-by miejsca zajął w podróży, wspomnim tylko, co nam się bardziéj zajmującém wydało.

Zewnątrz, pomimo rozmaitości stylów w ozdobach i gotycyzmu, który w nich przeważa, ogólny rysunek ma raczéj charakter bizantyjski. Arkady portyku, kopuły, mozajki wyścielające zewnątrz sklepienia, użyte jako ornamentacya, przyczyniają się do nadania cechy wschodniéj całości.—Pełno tu zabytków z różnych krajów i lat powklejanych w ściany, podziwiać należy sztukę, z jaką je potrafiono skleić i zużytkować. Są tu płaskorzeźby egipskie, greckie, wschodnie, a kolumny i barwą i rozmiarami i materyałem najdziwniéj niedobrane, przecież zlały się w jedność zupełną, jakby cudem. Są tu ich seciny, jedna od drugiéj kosztowniejsza, rzadsza, osobliwsza, trudno nawet wytłómaczyć, skąd się niektóre dostać mogły.

Nad frontem w górze, stoją starożytne owe sławne cztery konie bronzowe, któreby może lepiéj w dziedzińcu pałacowym niż na facyacie bazyliki wyglądały—ale rzeczpospolita co miała najdroższego, to składała u stóp patrona ewangielisty.

Historya tych czterech koni, wyprzężonych z wozu zwycięscy,

bardzo jest ciekawą, sprzeczają się o nią oddawna starożytnicy. Utrzymują niektórzy, że Neron zabrał je w Koryncie dla przyozdobienia niemi swojego łuku tryumfalnego; że z niego przeszły one późniéj na łuki Trajana i Konstantyna, że w V wieku za Teodozyusza, dostały się do hipodromu w Konstantynopolu. Niéma jednak, zdaje się, wątpliwości, że są greckie, i że od 1205 r. aż do zaboru Napoleona zdobiły Wenecyą, do któréj powróciły z łuku umyślnie dla nich zbudowanego, ale niestety—przyjechali na nich Austryacy.—Konie te nie tak są piękne może, jak szacone dawnością swoją. Pozostały ślady, że były niegdyś złocone, jak ów posąg konny na Kapitolu. Może Neron, co się tak kochał w przepychu, kazał je zabrawszy wyzłocić.

Obejrzawszy mozajki, kolumny i rzeźby głównéj facyaty, postawszy chwilę u zagadkowych dwóch słupów oddzielnie z prawéj strony wkopanych, które pochodzić mają ze świątyni św. Saby w Saint Jean d'Acre, okrytych hieroglifami i rzeźbami niezrozumiałemi, zawróciliśmy ku wchodowi znowu.—Perystyl cały w złocie, mozajkach i marmurach, już jest przedmową oznajmującą dzieło. Mozajki z rysunków Tycyana wykonane przez braci Zuccato, pokazują najprzód, ale obok tych już na obrazy zakrawających, są daleko ciekawsze, bo z XI wieku, jakby dla porównania postępu sztuki wciągu lat pięciuset. Wistocie postęp ogromny, technika nad myśl i ducha wyrosła; mozajka z hieratycznéj, surowéj, dziwnéj, stała się maleńką, zapragnęła malować i rywalizować z pędzlem, co nie jest jéj zadaniem.

Wiadomo, iż zazdrośni sławy braci Zuccatich oskarżyli ich o jakieś fałszerstwa w mozajkach, o odżywianie ich malowaniem, choć świeżość kolorytu, którą winni byli użytemu materyałowi i umiejętności swojéj, do dziś dnia zachowana, świadczy o potwarzy.

W portyku stoją starożytne sarkofagi godne obejrzenia, z XI wieku i późniejsze, kolumny drogie wskazują, jako pochodzące z kościoła jakiegoś w Jeruzalem.

Wogóle wszyscy ciceronowie a za niemi wielka liczba opisujących cuda, silnie nastają na kosztowność, na cenę, na bogactwo bazyliki.

Ale oku artysty wcale nie chodzi o to, czy z agatu czy z granitu wyrobioną została kolumna, wyrzeźbiona ozdoba, idzie o myśl, o kształt, co ją wyraża, o miejsce, jakie zajmuje w całości. W Wenecyi, jak prawie wszędzie we Włoszech to nieustanne ocenianie na tysiące, na krocie, każdego kamienia i bronzu, liczenie lat pracy, które robota około nich trwała, w końcu uśmiech obudza. Cóż mi do tego, ile warta gałka nad tym ołtarzem z jednéj sztuki

agatu największéj na świecie, jeżeli ona wygląda niekształtnie i psuje budowę artysty? To rzecz archeologa i inwentarza. A w końcu tak ci uszy nabiją, wskazując te wszystkie skarby, że wprzódy nim je pochwali podróżny, ma ochotę zapytać, czy ceną swą zasługują na pochwałę?

Drzwi prowadzące wewnątrz kościoła są bronzowe jak gnieźnieńskie i sięgają XII i XIII wieku. Jedne z nich z napisami greckiemi, umieszczone z prawéj strony, pochodzą z kościoła św. Zofii w Konstantynopolu. Przybyły tu razem z końmi.

Wszedłszy wewnątrz, nie wiész naprzód od czego począć, na czém zatrzymać oko... całe to sklepienie okryte mozajkami, posadzka choć powyginana i pogarbiona błyszcząca barwami najrozmaitszemi w tysiączne poukładanemi wzory; kolumny dzielące nawy z złotemi nagłówkami, pilastry ciężkie po nad któremi biegną arkady i galerye... ołtarze, nisze, składają się na dziwnéj piękności całość.—Ale jest w niéj coś tak nowego, niezwyczajnego, że potrzebujesz chwili opamiętania, nim sobie z wrażenia zdasz sprawę. Nieszczęściem i tu ruina przemawia zniszczeniem, wzorzysty ów kobierzec kamienny pod stopami faluje zapadając w ziemię, sklepienia porysowane podtrzymują rusztowania.

Wybrać trudno z tysiąca pomników, taka tu ich liczba, taka rozmaitość, nęci wszystko. Zaraz w kaplicy na prawo (*del Battistero*), w pośrodku któréj jest śliczna chrzcielnica uczniów Sansovina, dzieło pełne smaku, widzenia godny kamień, o którym mówi podanie, że na nim ścięty być miał św. Jan Chrzciciel, i starożytne marmurowe siedzenie. Legenda przywiązana doń chce je mieć za to, które służyło św. Markowi ewangieliście w Aleksandryi. Quadri (*) wstydzi się wszakże téj naiwnéj powieści i nie śmie o niéj nawet wzmiankować. Krzesło to wielce starożytne przypomina inne trony biskupie w głębi bazylik za ołtarzami umieszczane, jakich parę jest w Rzymie.

W kaplicy Zeno piękny grobowiec kardynala tego nazwiska, z posągiem jego i allegorycznemi figurami, wart także obejrzenia, równie jak posążek Madonny *alla scarpa* (o złotym trzewiczku).

Przewodnik pokazuje z zachwyceniem w ołtarzu św. Krzyża na lewo, porfirową czarną z białém kolumnę osobliwszéj rzadkości i gałkę nad nią z wschodniego agatu, nieforemną—ale największą na świecie!

— *Pezzo rarissimo!*—powtarza, wpatrując się w ciebie i badając wrażenie, jakie to uczyni. *Porfiro... nero e bianco*!—Kolumnę tę

*) Ogetti principali da vedersi in Venezia. 1821. Di Ant. Quadri Secr. della R. M.

wśród mnóstwa dzieł sztuki, ukazują w kościele jak największą osobliwość.

— *La più bella colonna fra quante adornano questa Chiesa!* —Nie można się pozbyć cicerona, nie oddawszy należnéj czci kolumnie porfirowéj i gałce z agatu: jeśli cię one nie zachwycają, musisz choć udać zachwyconego.

Wolałbyś iść gdzieindziéj, ale cię trzyma ze swoją osobliwością za połę...

W kaplicy *dei mascoli* (mężczyzn) ciekawą jest rzeźba w ołtarzu z XIII wieku i mozaiki okrywające sklepienia. Ale tu znowu nim potrafisz obejrzéć te dzieła sztuki, nielitościwy cicerone każe ci patrzéć na głąb ściany za ołtarzem dlatego, że ją pokrywa jaspis wschodni, marmur grecki i rudy weroneński... Wszystko to rzadkie, osobliwe, a nadewszystko tak drogie,tak niezmiernie kosztowne!

Droższe się nam wszakże wydają posągi Mikołaja z Pizy, ale tym ledwie się możesz przypatrzyć, bo cię wloką daléj do rzadkich i szacownych marmurów kaplicy św. Izydora.

Tu są do widzenia mozajki z życia św. Marka i Izydora z XIV wieku i stare rzeźby.

W zakrystyi mozaiki z XVII wieku, ostatni wyraz, do którego doszła ta sztuka i na którym skończyła,—nastręczają wiele uwag w tym przedmiocie. Układ osób jeszcze tradycyjny, Chrystus, Prorocy, Ewangieliści, ale szkoła rysunku Tycyanowska, kompozycya umiejętna,—są to już obrazy. Czemu mniéj robią wrażenia od bizantyjskiego surowego Chrystusa z XI wieku—trudno powiedziéć.—Sztuka w nich przeszła od twardych, sztywnych, nadludzkich prawie postaci XI wieku, do ziemskiego ideału wdzięcznego, żywego, ale nie obudzającego w duszy żadnego uczucia, wszelka oryginalność znikła. Nieforemne figury pierwotnych mozaik gdy się w nie wpatrzysz, coś ci więcéj mówią nad Tycyanowskie, za to Rizzo narysuje ci tak wdzięcznie, rzuci tak lekko, w obłoki postać z ziemi porwaną, że się nią nasycić nie można.

Przed prezbiteryum jest jeszcze podziemna kaplica (krypta), do któréj wnijść już niemożna z powodu wody i zalegającego ją błota, gdzie stoi biały marmurowy sarkofag, w którym wprzódy tajemnie przechowywało się ciało św. Marka, dopiéro w r. 1811 odkryte i wydobyte. Rzeczpospolita ceniła to palladyum tak wysoko, że nikt, oprócz kilku osób najzaufańszych, o miejscu, gdzie złożone było, nie wiedział *).

---

*) *Sullo scoprimento del corpo di San Marco Evangelista fatto, nella Basilica Patriarcale di Venezia, il giorno 7 Maggio 1881.* Dissertazione di Emm. Ant. Cicognia.

Raggualio storico sopro la translazione, ed apparizione del Corpo di San Marco in Venezia: di A. F. B. 1808.

Ciało świętego spoczywało tu od 1094 r.

Stała tradycya kościoła świadczyła, że pochowane zostało pierwotnie w Aleksandryi, gdzie kamień przed ołtarzem miejsce grobowca oznaczał. Leżało ono tam nietknięte do 819 lub 828 roku. Przybyli do Aleksandryi kupcy weneccy, Bono z Malamocco i Rustico z Torcello, znaleźli się przypadkiem w tém mieście w chwili gdy z rozkazu Saracenów brano z kościoła stare marmury na budowanie jakiegoś pałacu. Widząc tę ruinę świątyni mnisi greccy, Stauracius i Teodor, choć nie bardzo chętnie zgodzili się na ustąpienie kupcom weneckim relikwii, które w rozburzonym grobie znaleziono. Legenda opowiada, że lękając się muzułmanów, Weneci ciało świętego pokryli wywożąc wieprzowiną i z pomocą tego fortelu je uwieźli. Stare mozajki św. Marka wyobrażają w ten sposób zabranie ciała z Aleksandryi. Przywiezione do Wenecyi, umieszczone było najprzód w kapliczce przy pałacu przez dożę Giustiniani, potém przeniesione do kościoła św. Teodora, zamienionego na bazylikę św. Marka Ewangielisty. W największéj tajemnicy zachowano je w marmurowéj trumnie. Tajemnica była tak dobrze strzeżoną, że wkrótce może z powodu pożaru kościoła lub innych przyczyn, zatracono zupełnie o relikwiach wiadomość.— Odkryto je dopiéro w r. 1094 po uroczystych modłach o objawienie, gdzieby się znajdowały. Zdaje się, że doża Vitalio Faliero, wiedział wprzódy o kryjówce, ale zrazu jéj odkryć nie chciał. Ciało złożono publicznie w umyślnie na to sporządzonym bogatym ołtarzu wpośrodku kościoła. Późniéj jednak znowu się o nie obawiając, przeniesiono je potajemnie w inne miejsce, i pamięć o téj kryjówce zatraciła się przez wieki. Dopiéro w r. 1811, uczynione poszukiwania odkryły sarkofag i niewątpliwe dowody tożsamości relikwii.

Idziemy daléj i stajemy u drzwi zakrystyi roboty Sansovina, w stylu wybornym odrodzenia; zdaniem ciceronów główną ich jest zaletą, że artysta nad niemi przez lat trzydzieści miał pracować. Drugi to nieznośny nałóg przewodników, że nie mogąc ukazać piękności dzieła, nastają na czas, jakiego wymagało wykonanie. Każde piękniejsze drzwi, stalla, rzeźba i t. p. zawsze z tym dodatkiem lat kilkudziesięciu są pokazywane.

Jedną z najcelniejszych pamiątek kościoła jest tak zwana *Pala d'oro*, obraz rzeźbiony i wysadzany drogiemi kamieniami w wielkim ołtarzu, wykonany przez artystów bizantyjskich w r. 976. Ozdobiono go najkosztowniejszemi, najcenniejszemi klejnotami, zdobytemi przez rzeczpospolitą, ale bogactwo materyałów mniéj tu zastanawia. *Pala* jest autentyczném dziełem sztuki X wieku i to stanowi jéj rzeczywistą cenę. Perły, ametysty, oniksy, topa-

zy, dyamenty i rubiny, których liczba niezmierna okrywa ten ikon, postacie emaliowane świętych, rysunek figur, symbole, godła i podaniowe przedstawienie postaci, stanowią jeden z ważniejszych pomników ikonografii chrześcijańskiéj.

Pala d'oro odkrywa się tylko i pokazuje w dnie uroczyste, jak Bożego Ciała, w inne zaś osłania równie w swoim rodzaju ciekawym drugim obrazem, który stanowi okiennicę.—Głównemi postaciami na *Pala d'oro*, jest Chrystus, którego św. Jan chrzci w Jordanie, dwa anioły w płaskorzeźbach, św. Teodor i św. Jerzy na koniach. W górze ukrzyżowanie i święte pod krzyżem niewiasty.

W wielkim ołtarzu jest prócz tego mnóstwo do widzenia przedmiotów, a piękny bardzo czyni efekt balustrada oddzielająca chór, na któréj stoją posągi XIV wieku, i wielki patryarchalny krzyż srebrny.

Koniec końcem jednak ta mnogość drobnostek nuży i zawraca głowę, trudno je spamiętać, trudniéj jeszcze wyliczyć.

Przewodnik zmusza oglądać przepyszne kandelabry bronzowe, dziwnie, jak na kościelne, myślą swawolną i mitologicznemi symbolami ozdobne, ale przecudnie wykonane, potém znów antepedyum św. Leonarda z agatu, nareszcie wchodzi się jeszcze do skarbca, jak gdyby cała bazylika już nim nie była.

Tu nowe i niezliczone złotnicze i rzeźbiarskie cuda, niezmierna ilość kielichów, patyn, naczyń z drogich kamieni, z kryształu, krzyżów, lichtarzy, pacyfikałów... cała historya sztuki jubilerskiéj od prastarych czasów. Oprócz tych kosztowności pełno pamiątek, miecz doży Morosiniemu ofiarowany przez Aleksandra VIII papieża, rysunek posadzek kościoła stary; relikwiarze i relikwie, które rzeczpospolita jak skrzętna gospodyni zbiera.—Ale któż to przejrzy i spisze, miesięcyby na to i tomów całych potrzeba.

Cała oryginalność, cała prawie piękność kościoła św. Marka jest w nieskończonéj rozmaitości szczegółów, które, jakkolwiek różnych epok, charakterów, barwy i kształtów, składają całość uroczą, dziwną, robią wrażenie większe może, niżeliby jednolita budowa uczynić mogła.

Wrażenie to nie sama artystyczna piękność budowy wywiera, ale zarazem idea, co ją wzniosła, chociaż ten zlepek łupów poświęconych Bogu, jest cudnie poważnym i pięknym sam przez się.

Ale kilkoletnie badanie i umiejętność Cicognary (*Fabbriche di Venezia*) ledwieby dozwoliły przeczytać na ścianach bazyliki całe jéj dzieje od X wieku począwszy, odgadnąć historyę każdego kamyka w ciągu wieków przybyłego na ozdobę świątyni, z Bizan-

cyum, z Efezu, z Koryntu, z Aleksandryi, z Grecyi, z Azyi Mniejszéj, Turcyi,—zewsząd, gdziekolwiek oręż rzeczypospolitéj i floty jéj dosięgły.

Obok zdobyczy, dzieła własnych Wenecyi artystów piękne tu zajmują miejsce, jest ich jednak mniéj, niż starożytnych i obcych; najcelniejszemi są mozajki stropów jedyne w świecie, całą historyą téj sztuki przedstawiające w żywych pomnikach. Na szesnastym wieku kończy się ona, razem z zamierającym duchem religijnym, który artystom dawał natchnienie. Wieki następne nic tu prawie nie dodały, nie umiały, nie mogły, czy nie chciały zrobić... I szczęście to może, że na dostatki nowe nawet miejsca nie zostało, zepsułyby z pewnością starożytną bazylikę...

Nic lepiéj nie maluje wrażenia, jakie czyni świat mozajkowy, nad te wyrazy T. Gauthier: „W pewnych godzinach, gdy cienie padają a słońce ukośne tylko rzuca promienie na sklepienia i kopuły, oko poety i marzyciela dziwne uderzają widoki. Nagle z teł złocistych tryskają błyski płowe. Drobne kryształu sześcianki miejscami drżą światłami jak morze na słońcu. Obrysy postaci drżą w téj siatce ruchoméj; profile tak czysto odcięte, mieszają się i zmazują. Fałdy twardych dalmatyk zdają się zwiększać i powiewać, życie jakieś wciska się w te nieruchome bizantyjskie postacie; oczy ich osłupiałe poruszają się, ręce egispkiéj nieruchomości dźwigają, nogi kute w ściany podnoszą i idą; cherubiny obracają się wkoło na ośmiu swych skrzydłach; anioły rozpuszczają pióra z lazuru i purpury przybite do muru przez nielitościwego mozaistę; drzewo gienealogiczne potrząsa liśćmi z zielonego marmuru; lew św. Marka wyciąga się, ziewa, liże łapy i ostrzy pazury; orzeł dziób ostrzy i pióra swe układa, wół przewraca się na słomie i przeżuwa podrzucając ogonem. Męczennicy wstają z rusztów i okrywają się od krzyżów. Prorocy rozmawiają z ewangielistami, doktorowie dają nauki młodym świętym, uśmiechającym się wargi porfirowemi; osoby mozaik stają się pochodem widm wspierających się i schodzących po murach, obchodzących trybuny, przesuwających się tuż blizko, potrząsając złotemi promieniami aureoli... Olśnienie, szaleństwo, halucynacya! Naówczas dopiéro myśl wielka, głęboka, tajemnicza świątyni zdaje ci się wyjaśniać... Rzekłbyś, że to jest kościół chrześcijański starszy nad Chrystusa, świątynię zbudowano wprzód, nim religia powstała... Wieki w mgłach oddalenia się gubią...“

VIII.

Tavola rotonda.—*Scalzi*, charakter budowy.—Jéj ozdoby.—Kanał *Giudecca*.—Krajobraz wenecki.—Statki i barki.—Kanały.—Arsenał.—Lwy greckie i ich napisy.—Pamiątki zachowane w arsenale.—Bucentaur Arsenalotti.—Riva dei Schiavoni.—Wieczór.—Most westchnień.—Na placu św. Marka.—Kawiarnie.—Muzyka.—Café Florian.—Tłum i przekupnie.—Ziomkowie.—Typy malarzy, włosy złociste.—*S. Giorgio maggiore*.—Widok z dzwonnicy.—Wnętrze kościoła.—Obrazy i ołtarze.—Stalla rzeźbione.—Wyspa i jéj historya.—Kościół Zbawiciela.—Obrazy Belliniego w zakrystyi, obrazy inne.—Św. Sebastyan i Paweł Woronezyusz. — Jego obrazy w tym kościele. — *La Salute*.—Zewnętrzne i wewnętrzne jego ozdoby i pamiątki.—Magazyny starożytności.—Akademia sztuk. Jéj historya, gmach, w którym się mieści.—Szkoła stara wenecka.—*Assunta* Tycyana.—Carapaccio, widok Wenecyi w XV w.—Plac św. Marka w XV w. Belliniego.—Zabytki szkoły weneckiéj.—Uczta u Levi Weroneza, inne obrazy.—Wyspa św. Lazara, Mechitaryści.—Lido.—Powrót z burzą.—Wybrzeże.—Lud, zabawy.—Obyczaj włoski.—Gondolierowie na *calle de l'Ascension*.—Łódki żebraków.—Przekupnie pod prokuracyami.—Kwiaciarki.—Św. Marek zrana.—U S. Bordato.—Sprzedaż obrazów.—S. Zaccaria.—Wspomnienia.—Czapka d ożów.—Bellini N. Panna.—Kościół Greków.—Pałac Grimagni.—Maria For mosa.—Zbiór Gł. Wimpfen nowych obrazów.—*La Fenice*.—Wieczór na placu.

Po ciężkiéj pracy poranka, po oglądaniach, które tak męczą, że niekiedy zabijają w człowieku wszelką ciekawość i pragnienie nauki, należało nam nieco spoczynku i wytchnienia.—Poszliśmy w téj nadziei na *Tavola rotonda* (table d'hôte), że tam się cokolwiek rozerwiemy widokiem nowych twarzy lub oryginalnych typów zamorskich wędrowców. Klemrod, który był głodny, żywił drugą nadzieję gruntownego posiłku. Niestety, obie one zawiedzionemi zostały! Jego staroszlachecka natura pogodzić się niemogła z kuchnią włoską, z rybkami, zieleninkami, cienkiemi plasterkami mięsa i wszelkiemi wymysły kuchennemi wytwornemi, które obałamucały żołądek, ale go nie karmiły. Nazywał to bezwstydném szachrajstwem.—Ja szukałem typów a znalazłem start e twarze kosmopolitów, na których jak na zamazanéj karcie jednéj

głoski bożéj, odczytać już nie było podobna... Wstaliśmy oba wzdychając.

Cóż robić w Wenecyi? ha! chodźmy daléj na pracowity ogląd ruiny. Klemrod westchnął także, ziewnął nieco, ale poszedł ze mną.

Biednyż to ten podróżny, który obliczonych trochę dni życia urwał i ma ich skąpo, a wieleby widziéć pragnął! niepodobna mu spocząć na chwilę, musi korzystać z każdéj godziny, przemyślać, jak w najkrótszym czasie widziéć najwięcéj i najlepiéj. Podróż nie jest dlań wcale rozrywką i wytchnieniem. Zapewne są ludzie, co sobie tak jadą odetchnąć inném powietrzem, skosztować potraw nowych, zobaczyć twarzyczki nieznane, wypocząć, orzeźwić się, rozerwać... ale ci... nie mówmy o nich... *guarda e passa...*

Wyjeżdżając, już uczyniłem był sobie mocne postanowienie nie oglądania wszystkiego, broniłem się ciekawości własnéj, ale koniec końcem często uległem gorączce, która powoli owładywała mną, nie dając spoczynku. Jak tu nic nie robić, kiedy jest tyle do robienia?

Jakże być o trzy kroki od tylu pięknych i zajmujących dzieł sztuki, a nie pójść ich oglądać, nie starać się z nich wyciągnąć jakiéjś korzyści? Spoczywać czas zawsze, wybrać się w podróż, nie łatwo raz drugi.

Klemrod mruczał nieco i opierał się, alem go wyciągnął i pojechaliśmy znowu Kanałem Wielkim, dziwić się zaczarowanym pałacom.

Nie wiem, czy temu winna była roku pora, czy to tak zawsze w téj *povera Venezia,* ale istotnie wspaniałe gmachy zdawały się nam owemi zaklętemi bajek gmachami, w których czarnoksiężnik uśpił wszystkich.

Nigdzie ruchu, twarzy, głosu, a co wyjrzy, to łachman i nędza. Przepłynąwszy wielką część *Canal Grande,* wysiedliśmy przed kościołem *dei Scalzi.*

Jestto jeden z najbogatszych, szczególniéj w marmury kościołów, z epoki już zepsutego smaku, bogaty wistocie, ale przeciążony ozdobami, okryty niemi i upstrzony. Przecież głos powszechny w Wenecyi, dla tych kosztownych kamieni, najwyżéj po św. Marku stawi tę świątynię, a przewodnik wysadzając na brzeg, nieustannie nam powtarzał:

— *Ricchissimo tempio! Signori, ricchissimo tempio, carico di sculture... pitture e dorature.*

Budowniczym tego gmachu był Longhena, który użytym był także przy *la Salute,* facyata jest J. Sardi, cała z marmuru białego kararyjskiego, ale téj okrytéj rusztowaniami i tarcicami, wcaleśmy

widzieć nie mogli, przez szpary tylko gdzieniegzie błyskały kolumny i posągi.

Wśrodku kościół w swoim rodzaju, można powiedzieć, jest prawie piękny, świetny, błyszczący, ozłocony, wyświeżony, wesoły jak salon elegancki. Swieże i jasne w złoconych oprawach freski stropów Tiepoletta, manierowane, ale uśmiechające się, miluchne, pełne złudzeń optycznych, dodają mu jeszcze blasku. Sufity zdają się ulatywać, tak nic nie ciężą, tak są przezroczyste i powietrzne. Posadzki, ołtarze, pomniki z najdroższych marmurów i mozaik, w niszach posągi efektu pełne... Posąg św. Teresy przez Baldi wcale mi się nie podobał, piękniejszy Chrystus i św. Sebastyan. Godzien widzenia prawdziwie jest obraz Belliniego Matka Boska z dziecięciem, trzeba go szukać za wielkim ołtarzem... Dobrze uczyniono, że go tam schowano, bo duch kościoła wcale mu na oprawę nie przystał.

Fresk główny wyobraża przeniesienie cudowne świętego domku do Loretu.

Cacko to ten kościołek, ale jak tu się modlić? Przypadek tylko po odwiedzinach u św. Marka sprowadził nas do *Scalzi*, ale nigdy traf nie przyczynił się więcéj nagłym kontrastem, do uwydatnienia różnicy między dwoma epokami i stylami, wiekami od siebie odległemi.

Nic na świecie sprzeczniejszém z sobą być nie może nad te dwa kościoły, z których pierwszy tchnie surową wiarą X wieku, drugi wypieszczoną pobożnością XVII... Dość jest je porównać, aby ogromną przestrzeń, którą ludzkość w pojęciach religijnych przebiegła, objąć i zrozumiéć... Św. Marek jest świątynią przypominającą prastare wieki, Scalzi wonieje zniewieściałością i sceptycyzmem. Bazylika jest cudownie piękną, ten kościołek nieporównanie wdzięczny; w pierwszym możnaby umieścić wysoki trybunał sądzący przeszłość i teraźniejszość, w drugim bez wielkich zmian nawet mógłby teatr zamieszkać. Po mozajkach Teodora, freski Tiepoletta!... cały potok wieków przetoczył się pomiędzy temi dwoma krańcowemi wyrazy...

Wsiedliśmy zadumani do gondoli... i płynęliśmy znowu wzdłuż miasta, aż do końca *Canal Grande*, mijając wysepkę św. Klary, zajętą dziś przez szpitale, opływając wkoło część wysep, aby się dostać do kanału *della Giudecca*, który je opasuje z drugiéj strony. Przesunęliśmy się po nad smętne *Campo di Marte*, plac pusty, obwiedziony wązką drzew uliczką, na którym dziś odbywają się manewra wojsk i tracenie winowajców. Fizyognomia miasta z téj strony jeszcze jest może smutniejsza, domki coraz lichsze, gdzieniegdzie zupełne ruiny; ale płynąc w tę stronę za szeroką wód

przestrzenią, ozłoconą słońcem zachodzącém, ujrzeliśmy we mgle pół przezroczystéj, w dali zębate gór szczyty, w prawo cały ich łańcuch, wprost przed nami tylko kilka wierzchołków... Widok był przecudny. Jak sen w oddaleniu ciepłém ukazywały się te góry, różowe powietrzne, wymalowane, jak Bóg tylko malować je umié. Niebo było prawie bez chmurki, powietrze ogrzane, cisza głęboka... chciało się płakać...

Ale musieliśmy się od tego morskiego widoku odwrócić do miasta, płynęliśmy powoli koło *Ponte* i *Spiaggia di San Marta* bardzo nędznemi zajętéj domkami, do kanału *Giudecca*, po nad długą a wązką ławą tegoż nazwiska. Tu poczęliśmy wymijać mnóstwo statków kupieckich stojących u brzegów, bark i łodzi. Jedna goëletta *Jeanne d'Arc*, świeżo widać była zbudowaną czy wyrestaurowaną, wieniec na wielkim maszcie zwiastował, że pierwszą swą odbywa podróż, młodych sił probując. Wszędzie na barkach i statkach ruchu było dosyć, zabawiano się muzyką, wesołe śmiechy dochodziły z pokładów. W lagunach kąpali się chłopcy okrętowi, inni siedzieli na ławach, patrząc w morze i podśpiewując z prawdziwym wrodzonym talentem muzykalnym. Na wybrzeżu, gdzie drzewo składają, snuł się lud mnogi, łodzie wielkie, pełne porąbanych drzew przywożonych tu z Istryi, przybijały do brzegu. Prócz tego, snuły się ubogie łódki rybaków ze swemi czerwonemi, pasiastemi żaglami, z rzeźbami, napisami i godłami przy rudlach u każdéj łodzi.

Na wielu z nich czytaliśmy: *La providenza, San Antonio, Madre di Dio,* krótkie wezwania patronów lub—*przeklęty, kto zazdrości* Tam gdzie nie stało na rzeźbione godło, zastępowało je naiwne malowanie i nieforemnemi głoski napis stosowny.

Kanałem Giudecca po nad wyspą dawniéj przez żydów zamieszkałą i od nich tak zwaną, a wyglądającą bardzo nędznie, gdyż tu dziś się chronią najubożsi mieszkańcy, posuwaliśmy się daléj. Nic tu niéma do widzenia oprócz śladów ubóstwa i opustoszenia, prócz smutnych murów nagich i obnażonéj gdzieniegdzie żółtéj piasku ławy. Rzuciwszy w prawo wyspę św. Jerzego, udaliśmy się około *Dogana del mare* (komory morskiéj), wspaniałéj budowy, nad którą świeci złocisty globus, i koło magazynów solnych z XIV wieku ku wybrzeżu słowiańskiemu, już pełnemu ludu i gwaru... Przy *San Biaggio* wjechaliśmy w lagunę wiodącą do Arsenału.

Arsenał jest dziś jeszcze obszernym i wielkim placem starannie utrzymywanym, umocnionym i otoczonym dokoła wieżami i murami.

W środku zapełniają go budowy częścią stare, i początku XIV

wieku sięgające, w części nowe i bardzo przypominające austryacki styl tych, które wzniesiono dokoła zamku w Krakowie.

Wnijście do arsenału jest wspaniałe i ozdobne... Sięga ono XV wieku, zdobią je rzeźby uczniów Sansovina... majestatycznością swą przypomina czasy chwały i wielkości rzeczypospolitéj.

Budowa to prześliczna, i gdyby nie nowsze przy niéj pstre dodatki, gdyby nie godła panowania nowego nad bramą, złudziłaby żywo przywodząc przeszłość przed oczy.

U wchodu stoją cztery lwy marmurowe, strzegąc wnijścia. Na pierwszy rzut cka znać w nich rzeźbę starożytną i odwiekuistą ich dawność. Przeniosły się one tu z Aten zdobyte przez Morosiniego, na straż arsenału rzeczypospolitéj, przed dwóchset niemal latami. Największy z nich pochodzący z portu pirejskiego w Atenach nosi na sobie zagadkowe u grzywy napisy, nad których wyczytaniem spierają się dotąd uczeni. Każdy je inaczéj rozumie i tłómaczy, niéma nawet zgody na charaktery, jakiemi są wyrzeźbione, jedni w nich widzą skandynawskie runy, drudzy litery starogreckie, pismo epoki pelazgickiéj, byli i tacy, co je chcieli wykładać po słowiańsku... to tylko pewno, że lcw i napis sięgają bardzo odległéj starożytności.

Duńscy starożytnicy dosyć szczęśliwie odcyfrowali napis, który jeszcze mnogich zapewne archeologów narazi na wiele mozołów i wysiłków *). Jakkolwiek wszystkie te lwy nie są może zupełnie wiernym wizerunkiem króla zwierząt, robią jednak wrażenie straszydeł dość poważnyoh i mają jakąś tajemniczą fizyognomią eginetyczną.

Najpiękniejszą niechybnie z całego Arsenału jest ta jego brama zewnętrzna, poza nią są tylko ciekawe szczątki i resztki weneckich uzbrojeń, które na klucz zamknięte zazdrośnie strzeże orzeł rozpięty nad bramą. Są tu bronie i uzbrojenia z rozmaitych epok, miecze ofiarowane dożom, narzędzia męczarni i tortur przemyślnych, szczegolniéj Franciszka Carrary, tyrana padewskiego, który miał bardzo oryginalne w tym rodzaju pomysły. Dosyć mu było kluczem zatrutym ukłóć kogoś w rękę, niby przypadkiem, żeby się go pozbyć.

O sali wzorów okrętowych wspominać nie będę, chyba dla *Bucentaura*, na małą skalę stojącego tu statku, na jakim doża zwykł był odbywać zaślubiny z morzem. O tych zaślubinach tyle już pisano, że uroczystości opisu możemy nie powtarzać, każdy prze-

---

*) Antiquités de l'Orient. Monumens runographiques. Soc. Royale des Antiqu. du.Nord. Copenh. 1856. Inscription runique de Pirée.

wodnik wenecki go dostarczy. Ostatni złocony ułamek tego okrętu pokazują także w jednym z magazynów starożytności i ofiarują na sprzedaż, czeka on tam na jakiegoś Anglika. Ktoż wié, ile już podobnych *ostatnich* im sprzedano. Wspaniała budowa tego statku nie czyniła go jednak zdolnym do dalszych podróży jak ku Lido, gdzie się odbywał ów obrzęd symboliczny, i skąd poważny staruszek wracał spoczywać w arsenale. W dziejach Wenecyi wspominają o trzech Bucentaurach, w XVI, XVII i XVIII wieku budowanych. Ostatni zniszczony został w 1797 roku. Pozłota jego kosztowała osiemnaście tysięcy cekinów, około czterykroć stotysięcy złotych polskich. Dwie kolumny rostralne na cześć Morosiniego i Emo wzniesione, złocone siedzenie doży z Bucentaura, część jego masztu pokazują tu jeszcze.

Nie wdając się w długie opisy wszystkiego, co tu widzieć można, a nie będąc marynarzem ocenić trudno, wspomnimy tylko o *Arsenalottach*, robotnikach, którzy niemal osobną klasę ludności Wenecyi, w szczęśliwszych czasach rzeczypospolitéj, stanowili. Byli to najwierniejsi synowie św. Marka i najgorętsi obrońcy ukochanego miasta. Im powierzano straż dożów, wielkiéj rady, skarbcu i mennicy, oni mieli przywiléj obnoszenia nowo obranego księcia po placu św. Marka, robienia wiosłami na Bucentaurze i nowy doża przyjmował ich ucztą umyślnie dla nich wydawaną.

W czasie pobytu Henryka Walezyusza w Wenecyi w 1574 roku, gdy dlań wspaniały bankiet dawano w Arsenale, w oczach jego arsenaloci poczęli budować galerę, złożyli ją, uzbroili, urządzili do wypłynienia i Henryk siadłszy na nią, wkoło okrążył Arsenał.

Pokazano mu w ten sposób i zręczność tych ludzi i zapasy, jakie rzeczpospolita zawsze miała w gotowości. Flota wenecka w epoce najświetniejszego rozkwitu marynarki, liczyła trzystakilkadziesiąt statków wielkich wojennych i czterdzieści tysięcy majtków, oprócz handlowych okrętów i galer, które ogromne stosunki rzeczypospolitéj z całym znanym światem ułatwiały. W XVI wieku dosięgłszy najwyższego szczytu, powoli potém wielkość ta upadać zaczęła, dawszy się raz prześcignąć, nie miała sił, aby się dźwignąć na nowo. — Odrętwienie, jak zwykle, poprzedziło upadek.

Pożegnawszy raz jeszcze wejrzeniem lwa św. Marka, stojącego nad wrotami Arsenału, udaliśmy się na *Riva dei Schiavoni*.

Nadchodzący wieczór zwabił tu już mnóstwo przechodniów, gwar i śmiechy otaczały kawiarnie, stoły przekupek i miejsca popisów kuglarzy. Wśród tłumu przesuwali się księża czarno ubrani, w swych kapeluszach z szerokiemi popodginanemi skrzydłami i leciuchnych płaszczykach, kobiety prawie zawsze idące parami

z mnóstwem świecących szpilek we włosach, majtkowie w lakierowanych kapeluszach, przekupnie ciastek wykrzykujących swój towar, sprzedający wodę, limonadę, słodycze i t. p.

Na wybrzeżu zabawiał się szczególniéj lud, skupiał około straganów, zasiadał na krzesłach przed kawiarniami wystawionych w namiotach. Mieszanina była wielka gondolierów, marynarzy, kobiet, księży, cudzoziemców i krajowców, przybyłych tu dla rozrywki lub ciekawości. Im bliżéj Piazetty, tém gęstszy coraz tłum zalegał wybrzeże. Zatrzymaliśmy się chwilę, by spojrzéć z mostu (*della Paglia*, most słomy, gdyż statki ze słomą tu zwykle stawały) na rzucony górą nad laguną między pałacem dożów a więzieniami, sławny *Ponte degli Sospiri*, most westchnień. Łączył on mieszkanie książęce z więzieniem, w którém siedzieli zamknięci winowajcy.

Ta pokryta zewsząd, tajemnicza klamra spinająca dwa gmachy, ten *zawieszony w powietrzu sarkofag* (jak go nazwał pewien podróżny), maluje ostatnie czasy Wenecyi, w którą siłą tylko i grozą utrzymywała się rzeczpospolita, opłacając życie swe nieustannemi ofiarami.

Nazwanie mostu głośnym go uczyniło po świecie, pojmujemy, jakie wrażenie sprawiał na patrzących, którzy w każdéj chwili domyślać się mogli, że ktoś, znikły nagle, przechodził ten most straszliwy i zapadał w ciemne lochy karcerów, z których łatwiéj było wynijść trupem niż żywym.

W głębi wązkiéj laguny, po za nim widać wysokie mury budowli, smutnie piętrzące się i ciągnące daleko. Ściany pałacu i więzienia ciężkie, silne, grube, zdają się wzniesione, aby nawet jęków i westchnień nie przepuszczały.

Na nas nie zrobił most teraz tak przykrego wrażenia, jak wśród ciszy nocnéj i bezludzia, gwar i życie wybrzeża nie dozwalały się zadumać długo, a śmiechy gondolierów, którzy porzuciwszy wiosła otaczali przekupki i potrosze żartowali sobie z przechodniów, nie dał długo pozostać. Poszliśmy daléj na placyk, rojący się różnobarwną ludnością, napełniającą także i cały plac św. Marka.

Trzeba go było widziéć takim, cichym wieczorem lub nocą pogodną, gdy na granitowéj jego posadzce przesuwa się cała ludność Wenecyi, kupiąc się przed kawiarniami, improwazatorami, muzyką, gdy stara bazylika na ciemném tle nieba gazem osrebrzona, zarysowuje się ze swemi szczyty, rzeźbami, mozajkami, arkadami złocistemi i majestatycznemi postaciami, gdy cudną Loggiettę i ścianę dożów i arkady Prokuracyj oblegają tłumy — aby uczuć wdzięk Wenecyi i jéj rozkosznego niegdyś żywota.

Wszedłszy na plac od dzwonnicy, w lewo zaraz spostrzegasz naprzeciw arkad kawiarni Florian i Sutil, mnóstwo powystawianych

krzeseł, śpiewaków, śpiewaczki, grupy najrozmaitszych narodowości, skupiające się i rozsypujące. Większa część osób wzdłuż placu żywą odbywa przechadzkę.

Zastaliśmy tłumno, osób tysiące, ciasno prawie było na placu, wieczór nieco parny wywabił wszystkich na świeższe powietrze. Widoku czarownego, jaki przedstawiał plac, placyk, wybrzeże, opisać niepodobna. Przy ruchu ogromnym, porządek i spokój zachowano jak największy.—Wpośród miejscowéj ludności, przybyszów nadzwyczaj łatwo poznać było. Ledwieśmy weszli na plac, gdy jakiś podejrzany mężczyzna, z razu ścigający nas ostrożnie z tyłu, szepnął Klemrodowi na ucho, ofiarując mu przekradane cygara. Nauczony już, aby tego rodzaju propozycye zbywać milczeniem, odprawił go ruchem ręki odmownym, który jest lepszym sposobem pozbycia się Włocha natręta, niż najwymowniejsza z nim rozprawa. Niechby tylko pochwycił za słowo... nie byłoby gawędzie końca.

Naprzeciw najsławniejszéj *Café Florian*, wpośród mnóstwa zajętych i próżnych krzesełek, jakaś panienka i mężczyzna, z towarzyszeniem kilku instrumentów, śpiewali duet z taką maestryą i śmiałością, z takiém ochoczém zacięciem, że i nas przywabili. Głos nie był zbyt świeży ani bardzo piękny, ale ile życia i brawury! Jeszcze zamyślony stałem oparłszy się o poręcz krzesełka, gdy duo nagle się skończyło, a śpiewaczka jednym rzutem oka upatrzywszy cudzoziemców, którzy przez nieświadomość miejscowych obyczajów, mogli sobie powędrować, nie zapłaciwszy *per la musica*, szybko przybiegła ku nam z miseczką. Musieliśmy na nią rzucić po pół cwancygiera, miejscowi zbywali się mniejszym daleko datkiem.

W innéj stronie, u drugiego krzeseł koła, w téjże chwili prawie odezwał się głos męski i nowy koncert rozpoczął...

Z kawiarni, które się tu mieszczą w wielkiéj liczbie pod arkadami Prokuracyj, najznakomitszą, najsławniejszą jest *Café Florian*, w całéj głośna Europie. Podanie twierdzi, że od czasu założenia swojego, ani na jednę godzinę nie była zamkniętą. Tłum największy ciągle ją otacza, posługacze czarnéj kawy, lodów, limonady, nastarczyć nie mogą.

I Wenecyanie starzy i cudzoziemcy najliczniéj się tu zgromadzają około północy. Drugą po niéj jest kawiarnia wojskowa: *Quadri*, potém arystokratyczniejsza *Sutil*, gdzie jednak mniéj dobre są lody i sorbety jak u Floryana. Oprócz tych, wiele innych kawiarni i sklepów oświeconych, ożywiają przejścia pod arkadami, ciągle prawie snującego się ludu pełnemi. Ile się tu zjada i wypija lodów, sorbetów, limonady, kawy, żadna statystyka nie obli-

czy. Mężczyźni z cygarami w ustach chodzą, rozmawiają, lub przysiadają na chwilę dla przejrzenia gazet. Kobiet z wyższego towarzystwa nie widać.

Gdyby nie natrętni rozmaitego rodzaju przekupnie, z któremi się rozminąć nie można, opędzić od nich trudno, przechadzka byłaby bardzo zajmującą. Oprócz świeżéj wody i limonady fabrykowanéj w wielkiéj ilości, prócz malowniczo ubranych dziewcząt fryulskich, które ze swemi wiaderkami snują się po placu, nieskończona ilość sprzedających ciastka, cukierki, pomarańcze, nastręczała się co krok prawie. Wyroby z konch i korali, maleńkie rzeźby i tym podobne fraszki krążą ciągle roznoszone po placu; ledwieś przysiadł, już się któryś z chłopców przysunął i stoi przed tobą, tkając ci gwałtem swój towar. Jeden zapewnia, że bawełniana chustka z planem Wenecyi, którą ma zaszczyt ci ofiarować, jest ostatnią tego rodzaju na całe miasto, i że skwapliwie pochwycić ją powinieneś dla obeznania nosa z topografią królowéj Adryatyku; drugi wciska naszyjnik z muszli, inny jeszcze ofiaruje ci maleńkiego żółwia dziwnie utalentowanego, mimo młodego wieku, który przychodzi na głos i głowę wystawia —zewsząd wołania i wykrzyki najnieznośniéj cię ścigają. Żółwie szczególniéj nam dokuczyły, mieliśmy je pod oknami, na placu, w arkadach na każdym kroku i te—*Tartarugi vivi!* brzmiały nam w uszach bezustanku. Wspomnienie ich dokuczliwe wywieźliśmy z Wenecyi z sobą.—Zmordowani przez tych nielitościwych napastników wyszliśmy na Piazettę, gdzie jeszcze przechadzających się było mnóstwo, tłum wielki. W dali już noc czarna zalegała laguny, czyniąc wrażenie dziwne jakiéjś przepaści, wśród któréj gdzieniegdzie jak gwiazdki dalekie migały światełka na Giudecca. U brzegu przy ściśniętych gondolach, stali gondolierowie z niewyczerpanemi żartami i wesołością na ustach, z cygarami w zębach, zaczepiając przechodniów i rozkoszując się swoim wieczorem, który wistocie był uroczo piękny.

Wśród grup różnych, przechodzących i mijających nas, wstrząsłem się, usłyszawszy nagle kilka słów wymówionych po polsku; sądziłem z razu, że to było złudzenie, że mi tęsknota głos ten na skrzydłach wiatru do ucha przyniosła, ale rozmowa szła daléj, przekonałem się, żem się nie mylił. Nie śmiałem wszakże rodaków moich zaczepić, gdyż doświadczenie nauczyło mnie, że zagranicą nie zawsze są radzi znajomości; powiodłem tylko oczyma za brodatym mężczyzną, kobietą, chłopczykiem i księdzem w czarnych pończochach, którzy po polsku trochę, ale więcéj po francusku sztukując się, rozmawiali. Nie mając zwyczaju, nawet w interesie zbogacenia wspomnień podróży, podsłuchiwać nikogo, oddaliłem

się z przykrością, że im choć — *dobranoc* po polsku rzucić nie mogłem.

Od obrazu téj cichéj włoskiéj nocy na placu św. Marka trudno się było oderwać, błądziliśmy długo, zatrzymując się, przypatrując czarownéj facyacie kościoła i grupom wenecyan, wśród których niekiedy jak upiory migały nam typy wspaniałe Giorgiona, Veronezyusza i Tycyana. Nawet złotowłosa Wenus tak ulubiona Vecellemu, żyła tu jeszcze i przechadzała się w skromnéj postaci prostego dziecięcia ludu. Ta barwa gorąca włosów, którą na obrazach Tycyana i wielu mistrzów szkoły weneckiéj spostzegamy, nie jest wszakże całkiem natury dziełem, wiadomo, że piękne wenecyanki umiały ją szczególnym sposobem, z dosyć wielkim trudem, nadawać warkoczom. Było to ich tajemnicą, która choć już nie używana, aż do naszych dochowała się czasów. Napuszczano włosy jakiemiś przyprawami i wypiekano je na słońcu...

Wśród mnóstwa twarzy pospolitych, niektóre w zadziwiający sposób przypominały Weroneza i Tintoretta i innych mistrzów wzory, zdawały się téj nocy wyszłe z płócien lub grobów...

Od pierwszego dnia, widok wyspy św. Jerzego (*S. Giorgio Maggiore*) ze swym wspaniałym kościołem, klasztorem i wysoką dzwonnicą, zdobiącéj dalszy krajobraz, nęcił mnie ku sobie, nazajutrz więc rano wypiwszy kawę u Floryana, puściliśmy się w gondoli dla obejrzenia gmachu.

Budowa ta z przyległemi do niéj, a niegdźś do klasztoru należącemi murami i ogrodami zajmuje całą wysypkę, przedzieloną nie wielką wód przestrzenią od końca *Giudecci*. Zdala nieco wysunięta po za komorę i kościół *La Salute*, stanowi piękną ozdobę obrazu, przypominającego żywo obrazy Canalettego.

S. Giorgio, niegdyś klasztor i kościół benedyktynów, z obszernemi ogrodami i winnicą, od r. 1848 zajęty i oddany miastu, mieści w sobie wojskową załogę. W niedzielę odprawia się tu dla niéj nabożeństwo. Dwóch tylko księży pozostało w pustce obróconéj na koszary... smutne i to robi wrażenie.

Kościół, który tak wspaniale od miasta wygląda, jest pomysłu Palladia, nieco późniéj zmienionego przez V. Scamozzi, który go kończył. Architektura piękna, linij wielkich, majestatyczna. Facyatę zdobią posągi marmurowe, a między niemi parę przez Juliusza dal Moro, wskazują przewodnicy. Nasz nie omieszkał wedle obyczaju, zwrócić uwagi na dwie kolumny drzwi głównych.

— *Di finissimo greco marmo venato... adattate al sito con elegante artificio.*

Wprzódy jeszcze nimeśmy poszli oglądać wnętrze kościoła, musieliśmy wnijść na kampanillę, aby z jéj wierzchołka Wenecyi się

przypatrzyć, Wejście jest bardzo wygodne, po wolnéj pochyłości, która prowadzi aż do dzwonów... widok stąd na miasto, wyspy, morze, przecudny. Długie piaszczyste Lido, które konie Byrona przebiegały, gdzie na cmentarzu leżą zwłoki Leopolda Robert'a, daléj za miastem wyspa Murano i ląd stały... Góry jak mgły wstają na horyzoncie... ufortyfikowane wyspy, zielone ogrody gdzieniegdzie, wieże kościołów, piętrzące się gmachy — składają obraz pełen rozmaitości... Stąd lepiéj, jak utrzymują, poznać można miasto, niż z kampanilli św. Marka. Budowy te wyrastające z wód i zdające się po nich pływać, ozłocone rannem słońcem, daleko inaczéj, piękniéj się nam wydały, niżeli dnia pierwszego.

Wnętrze kościoła wielkie i wspaniałe, w pośrodku jego wznosi się lekko, pięknych proporcyj kopuła. Nad drzwiami głównemi stoi pomnik doży Leonarda Dona, w prawo prokuratoıa Venier, po kaplicach pełno obrazów Tintoretta i Bassano. Obu jednak dzieła nadzwyczaj są uszkodzone od wilgoci, z tą różnicą, że Tintoretto poczerniał miejscami i plamami, a Bassano cały równo nabrał tonu ciemnego, smolistego. Niektóre obrazy pierwszego są bardzo piękne w szczegółach, jako Wieczerza Pańska, Manna na puszczy, męczeństwa kilku mniéj znanych świętych.

Główny obraz, po za którym znajduje się chór obszerny, pięknego jest rysunku, choć w stylu nieco manierowanym. Bronzowe jego posągi są Campagn'i dziełem. U góry zakończa go piękny pomysł, Chrystus stojący na globie podtrzymywanym przez czterech ewangielistów. Śliczny krucyfiks Michellozzego, przewodnik nazywa robotą Donatella, jestto tylko dzieło jego ucznia.

Największą wszakże osobliwością kościoła są po za wielkim ołtarzem, stalla drewniane rzeźbione, arcydzieło w swoim rodzaju, wystudyowane i wykończone jak kość słoniowa; równych im nie znamy. Szereg obrazów na nich przedstawia w płaskorzeźbach historyę św. Benedykta. Rysunek, kompozycya, wykonanie cudowne. Ozdoby dokoła w smaku odrodzenia, bogate, ale przedziwne. W pośrodku stoi pulpit dla kantora ze św. Jerzym, téjże ręki co i stalla, *Alberta* z *Bruges*.

Jakkolwiek dzieło to jest flamandzkie i z cierpliwością właściwą północnym artystom wykonane, zdaje się wszakże, iż rysunek i ornamenta być muszą weneckiéj szkoły, styl ich tego dowodzi.

Wspomnieć należy jeszcze dwa bardzo piękne kandelabry bronzowe, a w pustych murach klasztoru przepyszne wschody Longheny.

Benedyktyni od bardzo dawna byli posiadaczami wyspy; w początku XIII wieku syn Piotra Ziani doży rozszarpany tu został przez psy, z tego powodu, doża zburzyć kazał klasztor i kościół.

Później go jednak odbudować musiał i sam nawet tu zamieszkał. Upadające mury wzniósł potém Palladio i Scamozzi, a dziś po benedyktynach objęli je austryaccy żołnierze. Poświęciwszy dzień ten oglądaniu ciekawszych kościołów, popłynęliśmy od S. Giorgio na Giudecca do kościoła odkupiciela (*del Redentore*), jednego z najpiękniejszych utworów Palladia. Pomysł wogóle stylem i prostotą linij głównych przypomina św. Jerzego, ale kościół ten wydaje się większy, uderza proporcyami majestatycznemi. Dla budowniczych gmach ten ciekawe przedstawia studyum, a nawet mniéj oswojonych ze sztuką, uderza wrażeniem, jakie czyni. Czoło świątyni jest w stylu *composito* zwanym, boki korynckie... wnętrze przedziwnie oświetlone. Obrazy ołtarzowe Bassano, Weronezyusza, Tintoretta, nie są ich arcydziełami, ale w zakrystyi kapucynów zachowują trzy Belliniego roboty największéj godne uwagi, z trzech różnych epok życia tego artysty, któremu drugiego równego natchnieniem nie ma Wenecya.

Wszedłszy do zakrystyi, gdzie się te trzy dzieła przechowują starannie, uderza zrazu dziwna kolekcya poustawianych wkoło woskowych głów, jakby świeżo poucinanych, z włosami *au naturel*, pod szklanemi dzwonami, wystawująca świętych i święte różne zakonu św. Franciszka. Ojcowie kapucyni zdają się cenić wysoko te okropne wyroby, ale potrzeba obrazów Belliniego, aby o wstręcie, jaki obudzają, zapomnieć

Trzy przecudne dzieła tego mistrza pełne namaszczenia i niezrównanego wdzięku, wystawują trzy Madonny z dziecięciem. świętemi i aniołami. Ale cóż to za matki dziewice! jaki wyraz spokoju i boskości na ich obliczach! jaki wdzięk w tych muzykujących aniołach! jaka świeżość, złocistość, przezroczystość kolorytu!

Madonna środkowa z dwoma aniołami jest najprześliczniejszą, ojcowie okrywają okienniczkami to arcydzieło, inne dwa przysłonięte są tylko zielonemi firankami... Znają się prawdopodobnie na wysokiéj ich wartości. Tintoretto i Bassano smutnie wyglądają przy swoim pradziadzie. Wysoko na ścianie umieszczony tu jest także przypsuty obraz Carapaccio, godzien widzenia i zachowania. Przejęci Bellinim, nie mogąc już na nic po nim patrzéć, wyjechaliśmy stąd do San Sebastiano.

Jestto niewielki kościołek z r. 1506, cały poświęcony nie tak czci Sebastyana, jak raczéj Pawła Weronezyusza. Tu on dał pierwsze dowody talentu, tu złożono prochy jego po zgonie: kolebka, grób, muzeum. Gdyśmy do drzwi zastukali, po chwilce oczekiwania pokazała się postać niemłodéj kobiety, która odryglowawszy wejście, wpuściła nas do środka, rzuciwszy okiem ciekawém, aby

się *buona mano*, jakie ją spotka, domyślić. Pilnowała ona tych drzwi, siedząc z robotą w progu, a dwóch artystów koło wielkiego ołtarza, zajęci byli w milczeniu kopiowaniem obrazu Weronezyusza. Pozasuwane firanki w bocznych oknach, obrazy ciekawsze poosłaniane, aby ich nikt nie zobaczył darmo, świadczyły o troskliwéj pieczy, z jaką owa kobiecina strzegła powierzonych sobie lub wypuszczonych dzierżawą skarbów.

Kościołek ciemnawy, ale piękny i patyną wieków okryty, nie tyle budową (choć facyata ma być Sansovina) ani wspaniałym o złocistych kasetonach stropem, ani swym św. Michałem Tycyana na prawo w ołtarzu przy wnijściu umieszczonym, ani przypsutą starą mozajką na lewo zajmuje i pociąga — co dziełami Pawła Weronezyusza, dla których tu każdy przychodzi.

Obrazy tutejsze młodego jeszcze artysty błyszczą dotąd całą potęgą młodości: koloryt, kompozycya, fantazya, a nadewszystko wdzięk barwy i tonu, którego dotąd czas prawie nie nadwerężył— żywe obudzają zajęcie.

W lewo przy organach stoi popiersie malarza, zmarłego d. 19 maja 1588 r. Rysunek tych organów jest także Weronezyusza, który malował ozdobne ich okiennice i trybunę.

Strop wystawujący historyą Estery i Mardocheusza również jest jego ręki, ale odnowiony świeżo, przypsuty, nie zaleca się dziś tak bardzo, zwłaszcza przy obrazie św. Sebastyana w wielkim ołtarzu i dwóch towarzyszących mu bocznych kompozycyach. W męczeństwie św. Sebastyana, górna część obrazu trzymana jest silniéj w tonach niż dolna, jak gdyby rzeczywistością było to, co się dzieje w obłokach, a snem tylko to, co na ziemi. Myśl głęboka i nowa.

Za arcydzieło uważają obraz wielki w lewo przy ołtarzu, męczeństwo śś. Marka i Marcelina przedstawujący, którym św. Sebastyan dodaje odwagi. Kompozycya bogata, ożywiona, przecudnéj barwy. Nie potrzeba w niéj tylko szukać, czego artysta ten nigdy nadać nie może swoim postaciom, wyrazu świętości, ubłogosławienia, zachwytów niebieskich. — Rzekłbyś, że rzecz się dzieje w Wenecyi, że nie na śmierć, ale na ucztę do doży ich wiodą.

Naprzeciw téj wspaniałéj karty, którą młodzi artyści, ucząc się z niéj blasku i świeżości barwy, nieustannie kopiują, któréj pełno po wszystkich sklepach w Wenecyi (bo z porwaniem Europy, są to dwa najpopularniejsze utwory) — odsłoniła nam przewodniczka drugi obraz, powtórne męczeństwo św. Sebastyana, ani kompozycyą, ani kolorytem nie dorównywające pierwszemu. W zakrystyi jest jeszcze *koronacya* Matki Boskiéj, bardzo piękna tegoż malarza, pełna świeżości i wdzięku. Ale w niéj mniéj téj *maestryi*, pędzel

jeszcze nie tak śmiały, nie tak pewien siebie. Jestto jedno z najpierwszych dzieł Woroneza, próba wielkiego talentu.

Obok obrazy Bonifaccio popsute i czarne, nie dają pojęcia o tym malarzu, którego potrzeba widzieć w zbiorch akademii.

Tam są jego najpiękniejsze prace.

Po obejrzeniu Tycyana i Woronezów, kobieta z pończoszką w ręku pozasuwała znowu firanki, malarze usiedli do przerwanéj na chwilę roboty, my opłaciwszy tę ekshibicyą, wyszliśmy z cichego kościołka, z którego sztuka wygnała nabożeństwo.

Ciągnąc daléj pielgrzymkę po kościołach, płynęliśmy do *La Salute*. Wspomnieliśmy już kilka razy o téj wspaniałéj świątyni, która z Piazetty widziana i zewsząd zdala panująca, bardzo majestatycznie wygląda. Budował ją Longhena, po morowém powietrzu 1630 r., za którego ustanie ofiarowali wenecyanie Bogu gmach ten cały marmurami okryty. Smak budowy już zwiastuje epokę upadku, chociaż ogół linij jest piękny; ozdoby tylko zbyteczne rażą dziwacznością i wymysłami, które nie wytrzymują krytyki. Czoło kościoła całe jest okryte białym marmurem, sto kilkadziesiąt posągów i mnóstwo przesadnych ornamentów je psuje; kopuły wszakże, kampanille i główne zarysy zdala czynią całość uderzającą. Weneci, może z powodu marmurów i wielkości, wysoko ten kościół cenią, wistocie zdobi on miasto bardzo. Dnia pierwszego sierpnia odbywa się tu wielki odpust, przez całą szerokość kanału, ustawują naówczas z łodzi i bark most wiodący do marmurowych stopni kościoła, cała ludność Wenecyi przybywa się tu modlić i bawić. W Wenecyi, jak wogóle we Włoszech, modlitwa należy do rozrywek, odpust jest zarazem uroczystością ludową.

Wnętrze *la Salute* zawiera mnóstwo obrazów, rzeźb i przedmiotów widzenia godnych, ale jest-li w świecie pamięć, coby taką mnogość rzeczy widzianych szybko jedno po drugich, objąć i zatrzymać mogła? Oglądając kościół już tak byliśmy znużeni, że nie wiem, czy gondolierowie, co nas obwożąc pięć godzin robili wiosłami, tak się czuli strudzonemi jak my. Wymienię tylko co mnie uderzyło najwięcéj; w zakrystyi najprzód grobowiec Sansovina przeniesiony tu z kościoła św. Geminiana, w kościele przepyszny kandelabr bronzowy w smaku odrodzenia, o którym custode oprowadzający powiada, że jest niezawodnie najpiękniejszy w całéj Lombardyi.

— *Si reputa questo il più bello fra quanti esistono in queste provincie...*

Naostatek kilka obrazów Tycyana. Z tych natarczywie pokazywane jako arcydzieło, *Zesłanie Ducha Świętego*, nie tak się może

odznacza, ale mniejszéj sławy w korytarzu św. Marek ze czterema świętemi, wyborny, pełen powagi i mistrzowstwa obraz, barwy gorącéj i żywéj, jak Assunta, należy do najcelniejszych dzieł mistrza. Piękne są także obrazy jego na stropie: Śmierć Abla, Ofiara Abrahama, Dawid zwycięsca... Inne mnogie tegoż artysty, Salviatego, Padovanina, Liberi, już tak się mieszają i zapominają łatwo, że trudno coś o nich powiedzieć.

Przy *Salute* mieści się seminaryum patryarchalne, z piękną i bogatą biblioteką.

Potrzeba było wypocząć nieco, więc na wytchnienie zawieziono nas Wielkim Kanałem, do zbioru, a raczéj magazynu starożytności, signora Nani. Mieścił się on w jakimś opustoszałym pałacu i przedstawiał obraz, godzien istotnie rysunku, pędzla, opisu. Ale nie wiem, ktoby się podjął odmalować te podwórce, korytarze, wschody, sale ogromne, izby niegdyś wspaniałe, dziś poodzierane i jak wielki cmentarz zastawione, zarzucone, obwieszone, napchane wszelkiego rodzaju spuścizną wiekową.

Począwszy od dziedzińców, na których leżały sarkofagi, kolumny, posągi, złomy marmurów, aż do izb pełnych obrazów, sprzętów starych, zbroi, rękopismów, rzeźb, majolik, szkła, fajansów, naczyń, sreber, malowań; tyle tu nagromadzono rzeczy ciekawych, że wypoczynek nasz i wytchnienie zmieniły się na nową oglądania pańszczyznę.

Chodziliśmy po tych salach, nie wiedząc, przed czém się zatrzymać, na co patrzéć i czego pożądać... wszystko to było na sprzedaż! Uderzył mnie obraz piękny w starym stylu Belliniego szkoły, podawany za oryginał Jana, za który żądano dwieście luidorów (około siedmiu tysięcy złotych) istotnie zastanawiający. Oddanoby go pewnie za mało więcéj nad połowę sumy żądanéj, ale trudno się przekonać, czy to nie jest piękna kopia, umiejętnie zestarzona. W mnóstwie brzydot i rzeczy nadpsutych, zniszczonych trafiały się ciekawe i piękne. Portretów starych, obrazów religijnych, grobowców, torsów, posągów, popiersi była niezliczona ilość. Ceny zrazu stawią wysokie, ale z niemi do upadłego targować się można.

Wyjechaliśmy odurzeni z zamiarem powrócenia jeszcze do signora Nani.

Academia delle belle arti, którąśmy po raz pierwszy także tegoż dnia zwiedzili, nieco wypocząwszy wprzódy, urządzoną została w gmachach dawnego bractwa miłosierdzia (*Scuola della Carità*) na ten cel przez rząd oddanych w r. 1807. Znany hr. Leopold Cicognara przyłożył się wielce do zebrania dla niéj galeryi i fundacyi zakładu.

Towarzystwo malarzów, jakeśmy już mówili, istniało w Wenecyi od czasów bardzo dawnych; w XIV wieku nawet mieściło się w gmachach tego bractwa. Około 1670 r. założoną została Akademia Filaletów, mająca na celu ułatwianie studyów kształcącym się artystom. W sto lat później rząd rzeczypospolitéj instytucyę tę prywatną wziął pod swoję opiekę. Opatowi Farsetti winna była ciekawe rzeźby starożytne, któremi ją zbogacił. Po upadku państwa zbiory się te rozpierzchły i w wielkiéj części zakupione zostały przez cesarza Pawła. Resztki ich, prywatną już własność Farsettich, zakupił rząd austryacki w r. 1805. Staraniom hr. Cicognara winna Wenecya zebranie nowe obrazów, posągów i rzeźb stanowiących dzisiejsze piękne muzeum akademii. Mieści się ono w salach budowli, i kościoła *della Carità*, umyślnie na ten cel urządzonych, umiejętnie i pięknie. Ale cała Wenecya to jedno olbrzymie muzeum.

Wnijście od Kanału przyozdabia facyatka Massarego nowa, koryncka, nad którą Sława siedzi na lwie św. Marka. Zebrane tu obrazy starszéj i nowéj szkoły, szczególniéj miejscowéj, pochodzą z kościołów, po większéj części od bractw, magistratu i z ofiar osób prywatnych.

Sal, korytarzy, pokojów, przyozdobionych stropami rzeźbionemi na sposób wenecki, jest siedemnaście, liczba dzieł w nich zawartych nie dochodzi pięciuset. Wspomnim tylko celniejsze.

W pierwszéj sali poświęconéj najstarszym zabytkom, które podróżni zwykli omijać pogardliwie, chociaż samo jéj urządzenie zasługuje na uwagę, jest wiele obrazów godnych zastanowienia.

Nie uderzają one wprawdzie na pierwszy rzut oka, chyba sztywnością i suchością, ale oswoiwszy się z tém nieco, wiele uczucia, prostoty i powagi znaléść w nich można. Są to po większéj części wizerunki świętych, Vivarinich, Jana i Antoniego z Murano, Jana d'Alemagna, Jacobello del Fiore, pochodzące z kościołów św. Geminiana, św. Klary i *della Carità.* Kilka jest bardzo pięknych. Strop rzeźbiony prześlicznie i złocony, w ramach tych są Chrystus i Ewangieliści nieznanego malarza.

Wprost stąd wchodzi się do głównéj sali, któréj przyświeca perła muzeum, *Assunta* Tycyana.

Historya tego sławnego dziś obrazu, który przed niewielą laty został odkrytym, uczy dobrze znikomości rzeczy ludzkich. Tycyan malował go do kościoła Panny Maryi *dei Frari*, ale umieszczony w ołtarzu przyciemnionym, okopcony świecami nie zwracał tam uwagi. Cicognara domyślając się wysokiéj wartości tego płótna, rozpatrzywszy bacznie, zamienił je na świeży obraz i przeniósł do muzeum. Niemożna zaprzeczyć wielkich piękności téj świetnéj

kompozycyi, silnego kolorytu, wielkiego życia i wspaniałości, ale nie jest to obraz religijny, któryby wielkie mógł uczynić wrażenie na duszy. Najświętsza Panna, postać wielkiego wdzięku i pięknego rysunku, jest jeszcze ziemską dziewicą, a nie wniebowziętym i ubłogosławionym duchem królowéj aniołów, nie straciła nic z barw ziemskich i życia ludzkiego. Twarz jéj rozpromieniona raczéj ziemskie wesele niż zachwyt niebiański wyraża. Postacie apostołów ugrupowane niżéj, są przepyszne, ale układowi ich na jednéj linii możnaby zarzucić brak fantazyi, szczęśliwszego wymagając układu. Wogólności obraz to świetny, jako malowanie, niezaprzeczenie jedno z najznakomitszych dzieł Tycyana, chłodny jest, gdy go porównamy do obrazów religijnych dawniejszéj szkoły. Niéma tu spokoju i majestatu, z jakimby Bellini podobną kompozycyę pojął i wykonał, jest zbyt teatralności przepysznéj. Że jednak technika obrazu zaleca go młodym artystom, tysiące z niego robi się kopij. Nie jesteśmy wcale za sztucznym archaizmem, za naśladownictwem jakiéjkolwiek epoki, aleśmy się nieraz pytali w duchu, dlaczego takie naprzykład arcydzieło, jak Belliniego Madonna ze świętemi u San Zaccharia, nie znajduje prawie kopistów?

Oprócz Assunty zbiór akademicki ma wiele rzeczy godnych widzenia, ale niewiele z nich da się opisywać. Znużylibyśmy czytelników naszych regiestrem, który znajdą łatwo gdzieindziéj. Jest i tu znakomitych kilka płócien Jana, dwóch Bellinich pokrewnych mu i jego szkoły. Dla archeologów zajmującym wielce jest obraz *Carapaccio*, przedstawujący starą Wenecyę w końcu XV wieku, jéj budowy podobne do teraźniejszych, gondole, stroje przewoźników, drewniany most Rialto, ubiory możnych, słowem ówczesne życie grodu, w chwili największéj jego siły i blasku. Obok niego staje w tymże rodzaju, lecz szacowniejszy jeszcze wielki obraz Gentile Bellini, przedstawiający procesyę na placu św. Marka w r. 1496.

We trzysta kilkadziesiąt lat, w półczwarta wieku patrzaliśmy w dzień przybycia do Wenecyi na pochód podobny, i ze szczególną ciekawością rozpatrywaliśmy dla porównania z teraźniejszością ten odwieczny zabytek. Jest to procesya św. Krzyża, w czasie któréj stał się cud, którego obraz jest uwiecznieniem; uzdrowionym został Jacopo Salis z Brescia, w czasie przenoszenia relikwij pobożnie wezwawszy Boga na pomoc.

Plac św. Marka na obrazie wygląda nieco różnie, niéma jeszcze nad wnijściem do *Mercerie* wieży zegarowéj, która wkrótce potém dokończoną została, ale jéj malarz nie umieścił. Bellini część ozdób bazyliki świętego Marka, dziś nie mających śladu złoceń,

przedstawił złocistemi. W mozajkach także dziś wielkie zaszły zmiany, jedna tylko z przedstawionych na obrazie istnieje jeszcze, inne zastąpiono nowemi. Przed kościołem niéma téż późniejszych kandelabrów bronzowych utrzymujących sztandary, ani prześlicznéj loggietty; są zmiany we wnijściu do pałacu dożów, w ścianie jego; ale w strojach bractw, w ołtarzach, krucyfiksach, w fizyognomii ogólnéj pochodu tego żywo się przypomina ta, na którąśmy patrzeli. Trzysta pięćdziesiąt lat utrzymywały się tradycye z niewielkiemi odmianami.

Nie będziemy nic mówili o mistrzach obcych szkół w niewielkiéj liczbie tu zebranych, głównie Weneci zajmują i szkoła ich wybornie się tu od Vivarinich i Bellinich aż do Weroneńczyka przedstawia z całą historyą swoją.

Weroneńczyk ma tu ucztę w rodzaju tych, których przedstawieniem celował, jest to tak zwana *biesiada u Levi*, ale szczerzéj mówiąc, prędzéj bankiet jakiś w Arsenale rzeczypospolitéj... Kompozycya ogromna, teatralna, dekoracyjna, szumna, gwarna, tak, jak je mistrz ten lubił malować. Niektóre w niéj postacie są widocznie portretami współczesnemi. Wspaniałe to dzieło z innemi wielą odbyło podróż do Paryża i powróciło z niéj szczęśliwie.

W sali Assunty, cud św. Marka Tintoretta, św. Krystyna Cagliari zasługują na wzmiankę. Wszystkie sale wspaniale urządzone po kilka przynajmniéj studyowania godnych mają obrazów, lecz rok-by potrzeba siedzieć w Wenecyi! Z żalem przechodzi się koło nich i żegna jak piękne twarze, których się w życiu drugi raz już nie zobaczy...

Ze zbiorem akademii połączona jest Pinakoteka Contarini, i ciekawe rzeźby na drzewie Brustolona... Rysunki Tycyana w kolekcyi akademickiéj są także do widzenia... ale od tych blasków w końcu znużenie uciec kazało...

W sobotę, piątego czerwca, po obiedzie dla odetchnienia, popłynęliśmy wieczorem na wysepkę św. Łazarza do Mechitarystów (Ormian). Ślicznie już od morza wygląda zielony ten kątek, cały zajęty przez mnichów i ich drukarnie, kościołek, ogrody, winnice. Cicho tu i spokojnie. Wyspa św. Łazarza w najdawniejszych czasach rzeczypospolitéj, kiedy stosunki jéj ze wschodem sprowadzały tu wielu wędrowców, przeznaczoną być miała na schronienie dla trędowatych... i zapowietrzonych, była pierwszym szpitalem.

Późniéj gdy Wschód przestał słać zarazę na Wenecyę, opuszczono budowy wzniesione, z których gruzy tylko zielskiem porosłe zostały. Mnisi ormiańscy z Morei, osiedli w Modonie, w r. 1715 dostali od rzeczypospolitéj wysepkę tą na wieczne posiadanie. Mechi-

tara staraniem powoli zbudowany był ten kościołek, klasztorek, założoną drukarnia, ogród i śliczny ten kątek zamieszkała myśl apostolstwa chrześcijańskiego. Z uprzejmością oprowadzał nas, okazując wszystko, młody mnich, który w książce podpisów kilka imion ziomków naszych wynalazł. Niewiele tu jest do widzenia, prócz pocieszającego widoku spokoju i ładu, jaki rodzi praca. Śliczny mały ogródek klasztorny z cyprysami i różami prawie cmentarzem się wydał. W bibliotece stoi popiersie szanownego Mechitara, założyciela zakonu; odznacza ją zbiór ksiąg ormiańskich i kilka zabytków wielce starożytnych, ewangielia królowéj Melke, między innemi. W drukarni ojcowie mają dwadzieścia i cztery pism rozmaitych, któremi w tyluż językach książki wydawać mogą. Główném ich jednak zajęciem jest literatura ormiańska (armeńska) i księgi w tym języku, po większéj części tłómaczenia dzieł pobożnych i nauczających. Kilku ormian kształci się tu zawsze pod przewodnictwem starszych. Przyjęcie było serdeczne, miłe, uprzejme; kupiliśmy na pamiątkę pięknie oprawną książkę zawierającą modlitwę Pańską w dwudziestu kilku językach na wyspie św. Łazarza drukowaną; między niemi mieści się i polski.

Niezamożni zakonnicy tutejsi mają drugi zakład w saméj Wenecyi u św. Krzyża i trzeci w Padwie; oprócz zielonéj swéj wysepki posiadają kawał gruntu na Lido, zajęty ogrodem uprawianym przez nich i dającym niewielki dochód ze sprzedaży winogron i włoszczyzny, która się tu udaje wybornie.

Od wyspy św. Łazarza popłynęliśmy téż na piaszczyste Lido, które w stosunku do środka miasta wygląda jakby rodzaj przedmieścia. Domki skromniejsze, szynczki i garkuchnie stoją na wybrzeżu, dużą przestrzeń zajmują ogrody, które część zieleniny Wenecyi potrzebnéj dostarczają. Lido zasłania miasto od pełnego morza i o nie rozbijają się fale Adryatyku; w jednym z końców jego stoi twierdza św. Andrzeja, zbudowana wielkim wysiłkiem pracy w r. 1545 przez dożę Mocenigo. Tu pod murami jéj odbywały się zaślubiny dożów z morzem...

Lido jest rodzajem naturalnéj grobli wysypanéj na obronę Wenecyi, któréj Malamocco jest częścią. W niektóre dnie roku lud tłumnie się zbiera na zabawę tradycyjną, na fryturę, wino, budy kuglarzy i chwilę wrzawliwego zapomnienia... Byrona wspomnienie, który tu chciał być pochowanym, jeśliby umarł w Wenecyi, przychodzi mimowolnie wśród wydmy, która zdaje się na całun śmiertelny przeznaczoną... Od strony morza widok jest wspaniały, ale psują go urządzone tu kąpiele prozaiczne... Zamyślaliśmy dłużéj tu daleko zabawić, gdy Klemrod śmielszy w dzikich puszczach niż na wodzie, do któréj czuł wstręt jakiś, dostrzegł na niebiosach dwie

przeciw sobie ze wschodu i zachodu pędzące chmury, grożące burzą. Nie miał on najmniejszéj ochoty nocować na Lido i wieczerzać rybką w sławnéj garkuchni tutejszéj, a że gondolierowie spoglądając wkoło, jakoś zagadkowo wyrażali się o skutku prawdopodobnym zetknięcia się dwóch czarnych obłoków, siedliśmy natychmiast do gondoli, aby przyśpieszając biegu, uprzedzić rozhukanie żywiołów... Rachuba ta wszakże nie najlepszą się okazała, morze w porcie mało się jeszcze poruszało, ale za nami i przed nami niebo przerzynały błyskawice i grzmoty rozlegały się szeroko po równinach wody. Gondolierowie robili wiosłami, trochę się uśmiechając z Klemrodowych aprehensyj i naszego niepokoju, deszcz zaczynał kropić, dobiwszy więc do lądu przy wybrzeżu słowiańskiém, uratowani szczęśliwie, poszliśmy pieszo do domu. Od mostu św. Błażeja przy Arsenale rozpoczęła się wędrówka, a że sroga owa burza nahuczawszy zdala, przewaliła się ostatecznie na pełne morze, niepotrzebnie nas nastraszywszy, mogliśmy się już nie śpieszyć.

Mieliśmy zręczność przypatrzenia się ludowi, który z wieczora korzystając, brał się do zabawy i wytchnienia. Pełno było gondolierów, rybaków, odartusów różnego rodzaju wesołych, majtków, kobiet uboższéj klasy i chłopiąt. Wszystko się to skupiało przy straganach, w których sprzedawano smażoną rybę, owoce portugalskie, wodę z cytryną, wodę z wódką i t. p. A że dla Włocha muzyka jest kondymentem rynkowego i ulicznego żywota jego nieodbitym, i tu ją słychać było... Niewytworni artyści, ale z odwagą przepaścistą śpiewali i grali, kuglarze wywracali koziołki... Ciżba wielka otaczała kobietę słusznego wzrostu, dobrze zbudowaną i grającą koncert... na bębnie. Majtkowie szczególniéj cisnęli się przypatrywać temu fenomenowi. Na Riva dei Schiavoni tłum także otaczał kawiarnię i obsiadał krzesła jéj, słuchając muzyki składającéj się z dwóch wirtuozek, grających jedna na skrzypcach, druga na gitarze. Wszyscy byli weseli i ożywieni.

Nie wiem, o ile uwaga moja jest słuszną, ale wszędzie widywałem Włochów pojedyńczo, w domu, przy robocie dosyć smutnych, w ciżbie i w ulicy zawsze prawie ożywionych i wesołych. Ulica, rynek dopiéro, gwar, tłok i wrzawa, uśmiech sprowadzają na usta i wlewają w nich ducha. To téż Włosi wszyscy z największém upodobaniem z domów wynoszą się na ulicę. Mniéj to jest widoczne w Wenecyi, gdzie placów mało, a ulic niéma wcale, bo ciasne przejścia ledwie się dwom rozminąć dają, w innych miastach śpią oni przed domami, gotują, ubierają się, jedzą, bawią, myją, czeszą i rzemiosła swe sprawiają.

Klimat zapewne przyczynia się wiele do tego obyczaju, ale on téż stworzył naturę ludu, któremu ciche domowe życie nie starczy,

który potrzebuje koniecznie rynkowego tłumu i szerokiego koła, aby w niém swobodniéj się obracał. Włoch musi się wygadać, posprzeczać, wymachać rękoma towarzyszącemi zawsze słowom i dodającemi im wyrazistości, zmuszony do milczenia, zamknięty w ciszy ścian czterech, staje się posępnym.

Każdy z tych Wenecyan wzięty pojedyńczo na ustronną rozmowę, był ponury, wzdychający, rozpaczliwy, ale w czasie tłumnéj procesyi Bożego Ciała, na placu św. Marka wracało mu stare wesele, zapominały się ciężkie troski teraźniejszości.

Trzeba było posłuchać téj kupki gondolierów, którą my mieliśmy pod oknem mieszkania w Lunie, przez cały boży dzień i całą noc, aby świerzbiączkę językową włoską należycie podziwiać. W téj ciasnéj przystani (*calle*), na którą moje okno wychodzi, w pogotowiu dla gości hotelu, zawsze kilku właścicieli gondol siedzi. Przez całą noc pali się latarnia gazowa, rozmowa, śmiechy, żarty, kłótnie, łajanie, małe bójki nie ustają. Przypatruję się całemu życiu tych dzieci lagun weneckich, na kamieniach podesławszy sobie kołdry i odzież, przebywają noc przerywaną częstemi gawędami, śpią bowiem czujnie i najmniejszy szmer, mogący zwiastować zarobek, już ich budzi. W czapkach na głowie, koszulach i kurtkach zarzuconych tylko na ramiona, leżą i zawsze porwawszy się ze snu są odziani.

Ledwie oczy przetarłszy rozpoczynają śmiechem dzień i nieustannie słowy szermują. Nie oddalając się stąd, spożywają skromne śniadanie, które im przynoszą chłopcy, trochę smażonych rybek... owoców, sorbetu... Jeżeli przypadkiem dłużéj zaśpią, nadedniem, jakby nagradzając sobie milczenie, budzą się wrzawą, która i mnie zasnąć nie daje... Łączą się do nich chłopaki czyszczący buty i wszelkiego rodzaju posługacze... Po śniadaniu zwijają się kołdry, otrzepuje kurtka i rozpoczyna wykrzykiwanie:

— *Gondola, signori! gondola! Andiamo...*

Najczęściéj właściciel gondoli już nadto jest wielkim panem, ażeby sam nią powoził, jeżeli nie rachuje na nadzwyczajny podarek i fantazyę wędrowca. Stoją z boku najemnicy, którym on oddaje swą barkę i podróżnego, wymawiając sobie od godziny zapłatę, a resztę ustępuje powożącemu. Biedni ci napraszają się gwałtownie, często jest to ich cały zarobek... Prawdziwy gondolier tymczasem siedzi wygodnie w kącie, żartuje, pali cygaro, zajada i odpoczywa. Większa część gondoli w ten sposób jest wynajmowaną, a że zapłata za nie wcale nie wielka, można wyobrazić sobie, jak téż niewiele z niéj zarobku zostaje temu, który istotnie pracuje. Na wybrzeżach, kędy gondole częściéj przybijają, stoją prócz tego inni biedacy, których całym zarobkowania środ-

kiem jest kij mający w końcu kruczek żelazny. Są to zwykle ludzie najbiedniejsi z najbiedniejszych. W chwili gdy barka przybija, przyciągają ją kruczkiem i przytrzymują ułatwiając wysiadanie. Zwykle daje im się za to jak najdrobniejsza moneta miedziana... z tego żyją. Na ustronnych nawet uliczkach, u wschodków i mostków, gdzie gondola przystać może, wszędzie znajdzie się takie chłopię z kruczkiem, lub staruszek odarty. Nic smutniejszego, jak spotkanie na kanale barki żebraka. . bo tu pływają za jałmużną, jak gdzieindziéj za nią chodzą... Czółno zwykle stare, biedne, na pół rozbite, w głębi trochę łachmanów, całe gospodarswo nędzy, chłopiec żółty i wychudły robi wiosłem, kobieta z dzieckiem na ręku wyciąga dłoń ku przejeżdżającym... Często trafiało mi się napotkać taką łódkę biedną, któréj widok przejmował litością.

Wyszedłszy z domu i przebywszy pierwszy szturm u drzwi narzucających się gondolierów, którzy przypominają czasem starych dorożkarzów warszawskich, udałem się naprzód na kawę do Floryana, gdzie oczekiwała już ćma przekupniów z kolei próbująca, czy skorcić czém nie potrafi. Niecierpliwiące ich natręctwo, gdy się raz z niém oswoi i nie odpowiada na nie, w końcu bawi. Zalecają swój towar w sposób tak zabawny, tak żywo, tak zręcznie, z takiém obrachowaniem na to, że podróżny, żeby się od nich uwolnić, często rzecz niepotrzebną weźmie, iż to kuglarstwo, jako żywy obrazek wywołuje uśmiech na usta. Konchy, rożańce, chustki, żółwie żywe, wyroby z marmuru, z alabastru, cygara kradzione i nie wiem tam co jeszcze... przesuwa się z kolei. Jeden przekupień po straconym szturmie, nie zrażony, powraca po kilka razy. Za niemi przychodzą kwiaciarki z bukiecikami... Wyobraźnia czytelnika wystawia je sobie zapewne jako istoty wdzięczne, piękne i godne roznosić dary Flory... niestety! są to po większéj części śmiesznie przystrojone, zwiędłe już dobrze, żółte, opalone i mocno nie ładne stare panny, których całym urokiem jest śmiałość i uśmiech dwuznaczny na ustach... Niepododna się temu podarunkowi oprzeć, ofiarowanemu natarczywie, który się zaraz małym datkiem pieniężnym opłaca. Ani jedna z tych panien roznoszących oszczędne bukieciki w koszyczkach, nie mogłaby służyć za wzór malarzowi... a historye o Anglikach zakochanych śmiertelnie w tych zachwycających wenecyankach muszą się chyba do lepszych czasów ich młodości odnosić.

Obejrzenie pierwsze kościoła św. Marka, do którego powracałem wielekroć późniéj, nie mogło wystarczyć, mając więc chwilę wolną poszedłem tam znowu, aby w rannéj godzinie zobaczyć też, jak się modlą w Wenecyi. Dzień był wprawdzie niedzielny, ale

kościół pełen, mnóstwo szczególniéj z niższych klas mężczyzn i kobiet klęczało pobożnie i gorąco się modliło, opalonych gondolierów i ubogiego ludu. W ciągu mszy cichéj nieustannie krążyło trzech zakrystyanów i ksiądz w komży ze skarbonkami, oznajmując się grzechotkami i zbierając groszaki. Grzechotki te dość nieprzyjemnie raziły i nie dawały chwili spokoju.

Kościół oprócz wmurowanych ław przy ścianach, innych siedzeń nie ma, jak zwykle we Francyi i Włoszech, płaci się za krzesło, co nas nieprzywykłych razi, bo nieustannie brzęczą miedziaki i ciche odbywają się targi.

Msze ciche, wychodziły jedna po drugiéj, lud przypływał i odpływał, wspaniała bazylika ze swemi pamiątkami ośmiowiekowemi, poważnie wydawała się w téj godzinie modłów, których artystyczne oglądy nie przerywały. Bo nawet Anglików jeszcze nie było. W innych porach dnia i w ciągu tygodnia, nabożeństwo prawie ustępuje sztuce, tak wszędzie pełno malarzy, rysowników i wędrowców.

Przewodnik nasz, widząc wielkie moje zajęcie obrazami staremi, chociaż wątpię, by o chęć kupna mnie posądzał; może myśląc, że jestem handlarzem lub wysłańcem jakiego możnego miłośnika sztuki, mocno mnie przynaglił, abym tego ranka odwiedził jednego z jego przyjaciół signora Klemensa Bordato, mieszkającego nieopodal od Zaccharia. Pan Bordato, któremu karta litografowana dawała tytuł: *Courrier ou interprète* (parle allemand, anglais, français, italien et russe), utalentowany, jak widzimy, człowiek, łączył do poliglotycznego wykształcenia znajomość malarstwa i zalecał się także małym zbiorkiem starożytnych obrazów. Choćby tylko dla prostéj ciekawości poszedłem go odwiedzić... Przewodnik będący z nim w stosunkach ścisłych, uczciwie mu oznajmić musiał, żem się kochał w Bellinim i że maleńki obrazek jego szkoły targowałem u kupca... osnuto więc nadaremną, niestety, komedyę.

Bordato średniego wieku, nader poważny mężczyzna, przyjął nas w bardzo przyzwoitém mieszkaniu przystrojoném w pysznie poprawiane obrazy. Na wstępie zaraz oznajmił nam, że wnosząc z jego karty, myliłby się, ktoby sądził, iż jego powołaniem jest handel... że on wcale nie sprzedaje, ale przez grzeczność, dla zabawy, jako znawca, przy podanéj zręczności nabywa sobie dzieła sztuki, a niekiedy ustępuje znakomitym podróżnym... oszczędzając im mozolnych poszukiwań, a nadewszystko stosunków z mnogiemi oszukańcami, których Wenecya jest pełną...

— Panie—dodał Bordato z powagą—inni sprzedają obrazy podrabiane, przemalowywane, nawet niegodne mistrzów kopie, ja! istotne tylko i cenne oryginały... i to dla przyjaciół i zacnych cudzoziemców.

Przedmowa do obejrzenia małego zbiorku była nadto zręcz-

ną, tak, że nawet w najmniéj podejrzliwym człowieku musiała nieufność obudzić. Ukazała się i wystrojona niedzielnie pani Bordato, proszono siedziéć, a gospodarz rozpoczął rozmowę od nadzwyczajnych cen, do jakich doszły obrazy Bellinich...

Miał on tylko jednego autentycznego, przecudnego Bellina... może ostatniego, jakiego dostać było można w Wenecyi, rozumie się, nie przemalowywanego, zachowanego cudnie, ale ten... ten, już był sprzedany bogatemu Amerykaninowi; pokazał nawet gotową skrzynkę, w któréj go, dziś jeszcze, miał wyprawić... Cena obrazu nie była wcale wygórowaną, kosztował tylko 10,000 franków, gdyż on wcale się nie uganiał za zarobkiem i t. d.

Nie mogłem wcale zrozumiéć, dlaczego zaklinał na wszystko, aby o tym Bellinie nikomu nie wspominać i zachować to w jak największéj tajemnicy! Obraz był podpisany: autentyczny!

Odsłoniono go wreszcie... piękny był wistocie, ale nieochybnie nowy, podrobiony nader umiejętnie, zestarzony w miarę, i wart był na amatora kilkanaście luidorów. Gdyśmy się przypatrywali arcydziełu, pan, pani Bordato i przewodnik nasz, niespokojnie śledzili wrażenia, jakie na mnie uczyni... dodając ciągle, że dziś jeszcze wyprawiają go do Ameryki. Cała ta komedya była tak niezręcznie odegraną, iż nam tylko dała pojęcie, jak nizko nas cenić musiano, sądząc, że się na nią wziąć damy. Upewniłem najuroczyściéj gospodarza, iż o Bellinie, jego cenie i sprzedaży, najgłębszą zachowam tajemnicę, i oddawszy pokłon cieniowi wielkiego artysty, począłem się przypatrywać innym rozwieszonym na ścianach obrazom, szkoły Giotto, Tycyana, Palmy i starego Canale... Były to zręczne naśladowania, między któremi może się zamieszało niezłego starego, ale ta szacowna kolekcya amatorska dawała się dorozumiewać, jakie w tym handlu dzieją się oszukaństwa, gdy fantazya bogaczów nieznających się na rzeczy, gdy próżność lub łatwowierność rzucą na pastwę takiemu panu Bordato, nieopatrznego pseudo-znawcę... Chłodem, z jakim przyjąłem utwór Bellina, tak autentyczny, dotknięty nieco gospodarz stał się milczącym, nie krył się ze złym humorem i chciał mi dać do zrozumienia, że nie byłem godzien zaszczytu, jaki mi uczynił. Późniéj począł zalecać inne swe malarskie zabytki, ale już to jakoś nie szło, pożegnałem go, przestrzegając, aby z wielką ostrożnością pakował Belliniego, wyprawiając go do Ameryki.

Gdyśmy zeszli, przewodnik próbował nas sondować, posądziwszy o udaną oziębłość, ale się wkrótce przekonał, iż arcydzieło sprzedane wcale nie skusiło, i zachmurzony nieco zamilkł. Byliśmy o parę kroków od św. Zaccharia i pieszo przeszliśmy wiodących doń parę uliczek ciasnych, brudnych, przerażających we dnie tém, czém muszą być w nocy. Kościół ten bardzo stary, bo pierwsza jego

budowa sięgała IX wieku, przypisywany jest Marcinowi Lombardo, który żył w połowie XV wieku. Śladu jednak dziś tego starego pochodzenia na nim nie widać. Dosyć ozdobne wnijście przystraja posąg patrona dłuta Vittorii. Zwykle dożowie w dzień święta jego przychodzili do kościoła, i podanie przypisuje kształt czapki książęcéj ofiarowanemu przez przełożoną zakonnic tutejszych nakryciu głowy doży Gradenigo. W r. 868 Gradenigo u drzwi tegoż kościoła zamordowanym został; i odtąd dla odróżnienia ich od tłumu, urzędnicy rzeczypospolitéj przepływali tu w łodziach złoconych. Wszystko, co tu ciekawego widzieć można, nawet *Obrzezanie* Belliniego Jana, które nie należy do najprzedniejszych jego utworów, znika i ustępuje przed najwspanialszym z obrazów tego artysty, wielkim ołtarzowym, przedstawiającym N. Pannę i kilku świętych, całe postacie, niesłychanego uroku, spokoju i powagi. Jest to jednėm słowem arcydzieło, kompozycya, koloryt, oświetlenie, a nadewszystko wyraz figur nieporównane, świętość promienieje z obrazu. Jan nie stworzył nic większego i cudowniejszego. Matka Boska z dziecięciem, święci (z których jeden czytający na księdze wielkiego stylu), anioł u stóp tronu grający na violi, podnoszą do świata, który chyba w kraju Danta, i w widzeniach niebieskich Fra Angelic'a przyśnić się może. Nikt lepiéj nigdy nie wyraził tego pokoju, którego świat dać nie może, nad Belliniego, widzisz istoty jeszcze obleczone ciałem, ale doskonalszém od ziemskiego, ubłogosławione szczęściem bez chmurki. Jest to widzenie rajskie. Obraz ten, którybym na równi stawił z najlepszemi Rafaela, jest z 1505 r. współczesny téż najpiękniejszym jego dziełom. Zabrano go w roku 1797 do Paryża, a w r. 1815, jak wiadomo, na upomnienie się Canovy, zwrócono. Znać na nim cokolwiek świeże poprawy, ale nader umiejętne. Po zapatrzeniu się nań, chciało się zamknąć oczy, aby na inne nie patrzéć...

Skierowaliśmy się stąd na chwilę do greckiego kościoła, z ładnym frontonem Sansovina. Stoi przy nim kampanilla tak znacznie pochylona, że robi wrażenie, jakby upaść co chwilę miała. Gondolier rozśmiał się, gdyśmy o tém mówili, zaręczając, że niéma prawie budowy w Wenecyi, którąby się nie schyliła i nie skantowała, a jednak, wszystkie tak od wieków stoją. Kościołek wewnątrz mały, przeciwko obyczajowi gdzieindziéj praktykowanemu, obwiedziony jest dokoła dwoma rzędami ław, na których wiele osób znaleźliśmy siedzących. W głębi wspaniały ikonostas złocisty i całe prezbiteryum lśni od mozaik i złota. Nawet zewnątrz jest kilka obrazów mozajkowych Zuccatich.

Stąd zaszliśmy do jednego z pałaców *Grimagni'ch* (jest ich bo-

wiem kilka, a najwspanialszy odziedziczyła poczta). Budowa ta zrujnowana jest już i spękana, ale jeszcze wielce wspaniała, podwórzec otaczają wkoło krużganki. Wpośrodku stoją dwa kolosalne posągi cezarów rzymskich. Na pierwszém piętrze mieści się faktorya fabryki wyrobów szklanych w Murano. Malowanych sufitów z dawnych lat widzieć wszakże nie mogliśmy.

Mając jeszcze mnóstwo do zobaczenia, a nie chcąc czasu tracić, dałem się wieźć gondolierom, gdzieby się im podobało; skutkiem tego znaleźliśmy się przed kościołem *Maria Formosa*, mającym pochodzić z XV wieku, ale w XVII przebudowanym całkowicie przez Sansovina. Jest to fundacya rodziny Capello, i wchodząc, zaraz uderza nad drzwiami posąg rycerza stojącego na sarkofagu pełen powagi. Wystawia on sławnego wodza Wincentego Capello, popiersia innych członków rodziny zdobią także kościół niewielki i nie przedstawiający nic nader ciekawego. Z obrazów wymienianych po przewodnikach, żaden się tak nie odznacza, jak śliczny Padovanina, pełen realizmu naiwnego, wystawiający świętego, ukazującego dziecięciu krucyfiks. W prawo jest cały ołtarz Palmy, ze czterech części złożony, bardzo piękny, rysunki mozaik także jemu przyzną.

Po drodze mieliśmy jeszcze w pałacu Fini zbiór obrazów gienerała Wimpfen, do którego na chwilę nas zaprowadzono, chociaż w Wenecyi bez obejrzenia tego rodzaju gabinetu, wybornie obejść się było można. Posądzam przewodnika o pokrewieństwo z rządcą domu pana gienerała. Oprócz sufitów restaurowanych i fryz Tintoretta, płaskorzeźby Canovy, wystawiającéj N. Pannę z dziecięciem Jezus, tak mięciuchno ładnéj, jak inne jego dzieła, i nowych szkoły francuskiéj, wdzięcznych, ale na dziecinne zabawki wyglądających malowidełek... szkoda było czasu i atłasu na oględziny.

A żeśmy blizko byli teatru *la Fenice*, zaciągnięto i tutaj... Teatr widziany we dnie, od strony kulis, stojący pustką nieraz, choć nie daje wyobrażenia żywéj sceny, jest przecie zajmującym, choćby dlatego, że się go zwykle takim nie widuje... Weszliśmy więc, oswajając oczy powoli z ciemnością w nim panującą, i zobaczyliśmy salkę ozdobną, prawie okrągłą, całą w złoceniach i zwierciadłach, w smaku bogatym i wytwornym, ale zresztą przypominającą wiele innych. Rozporządzenie lóż tylko i siedzeń w niéj cokolwiek od zwykłych odmienne. Przyszły nam na pamięć weselsze Wenecyi lata... i przebrzmiałe wrzawy. Dla dopełnienia wrażenia smutnego, jakie wogóle czyni miasto całe, potrzeba było, żebyśmy w téj cmentarnéj ciszy i opustoszeniu oglądali nawet teatr!

Po tak mozolnie spędzonym ranku niedzielnym, w dniu odpoczynku należało i nam trochę oczom i umysłowi wypocząć; przesiedzieliśmy więc do wieczora nad albumami, przysłuchując się gawędzie ożywionéj naszych sąsiadów gondolierów, a wieczorem z innemi wyszliśmy używać powietrza na placu św. Marka.

Obraz był równie ożywiony, jak w kilku dniach poprzedzających, tłumy ludu klas wszystkich, typy Giorgiona i Veronesa chodziły wskrzeszone, ale daleko mniéj przepysznie postrojone jak na obrazach. Wpatrując się w twarze, różne narodowości i plemiona zmieszane łatwo było rozpoznać. Towarzystwo zamożniejsze, pomimo ścisku i pozornego zlania w jednę całość, przed kawiarniami zwłaszcza, widocznie się dzieliło na różne odcienie. Cudzoziemcy i część Wenetów skupiali się przed café Florian, naprzeciwko u *Quadri* siedzieli sami wojskowi i Niemcy, kobiet tam nie było wcale... Mówią, że Sutil'a obok Floryana, szczególniéj sobie obrała szlachta i arystokracya wenecka, aleśmy jéj tam nie mogli dopatrzyć. Inne odcienie grupowały się w sposób dla cudzoziemskiego oka nieodgadnięty, a przecież widoczny. Nie brakło naturalnie muzyki, ani roznoszących łakocie wszelkiego rodzaju. Cicha noc wiosenna długo nas tu na marzeniach i rozmowie trzymała...

IX.

Wędrówki po Wenecyi.—Dwie szkoły.—*S. Giovanni e Paulo.*—Bractwo św. Marka.—Posąg Colleoni.—Panteon wenecki.—Grobowce.—Kaplica pamiątkowa bitwy pod Lepantem.—Kaplica bractwa sprawiedliwości.— Tycyana męczeństwo św. Piotra.—Kościół jezuitów. — Ozdoby wewnętrzne. — Tycyana męczeństwo św. Wawrzyńca. — Pałac *Giovanetti.* — Magazyny starożytności na sprzedaż. — Ogród botaniczny.—Gondolier stary.—Bractwo św. Rocha. — Tintoretta ukrzyżowanie. — Bractwo i jego żałoby. — *Frari.*— Grób Tycyana.—Grób Canovy.— Obrazy.—Archiwa Frari—Księga złota szlachty.—Magazyn Jenna.—Ks. Stasiewicz.—Gondole kapucynów. — Opis gondoli.— Przystanie. — Śpiewy gondolierów.—Murano.—Wyroby szklane. -- Drogi po lagunie.— Pale z obrazami śś. — Krajobraz wenecki.—Powrót na plac św. Marka.—Ranek.— *Mercerie.* — Widoki wnętrza Wenecyi. — S. Zaccaria, jeszcze obraz Belliniego.—Ogród publiczny.— Wyspa św. Heleny.—Jeszcze plac św. Marka i przekupnie.—Kwiaciarki. — Wędrowcy.—Św. Franciszek della Vigna.—Obrazy i wnętrze. — Św. Jan *in Bragora.*—*S. Pietro di Castello.*—Siedzenie św. Piotra z Antyochii.—Obrazy i pamiątki w nim.—Pożegnanie Wenecyi.—Wyjazd.—Lombardya.

Mieliśmy już zaledwie dni kilka do spędzenia w Wenecyi, a tyle jeszcze do widzenia, że potrzeba było sobie wreszcie powiedzieć z rezygnacyą, iż nie zobaczymy wszystkiego... To co najgodniejszém było zbadania, oglądaliśmy kilkakrotnie, reszta musiała być zaniedbaną z umysłu: aby mnogość przedmiotów nie zatarła najdroższych wrażeń. Najgorszym sposobem poznawania się z krajem nowym a bogatym w zabytki jest chęć pochwycenia w krótkim czasie wszystkiego, co zajmującém być może; umysł się nuży, pamięć nie starczy, zaspokaja tylko próżność tém, że się obejrzało wszystko, ale pozornie, w rzeczy nie pozostaje z téj pracy nic, nad mętne wspomnienie. Wenecya może pod tym względem była jedném z najtrudniejszych zadań dla podróżnego, gdyż wybór w mnóstwie niesłychanie musiał być ostrożnym, a spuszczanie się na skazówki—niemożliwe. Najgłówniejsze i najsławniejsze pomniki należy jeszcze samemu oceniać, a często jak jednych sława znajdzie się nieusprawiedliwioną, tak innych zapomnienie niepojętém. Musieliśmy więc trochę na los, nieco instyn-

ktem uderzać w różne miejsca, zawczasu rozgrzeszając się, jeśli się coś ciekawego opuści.

Ile w tak krótkim przeciągu widzieć było można, oglądało się bacznie, i z pociechą nieraz sąd nasz znaleźliśmy zupełnie zgodnym ze zdaniem tych, których znajomość sztuki i poczucie cenimy... Sztuka zaś musiała tu być głównem zajęciem i celem, jedyną będąc żywotną stroną zmarłéj stolicy. Resztki jéj społecznego życia były drganiami, których symptomy raniły serce, nie ucząc nic nowego... Obrazy przesuwające się przed oczyma dotkliwe zostawiały a nie obce nam już wrażenie. To co po-za niemi się kryło, łatwo było odgadnąć.

Na pozostałe dni pobytu w Wenecyi nie robiliśmy programu, należało powtórzyć nieraz odwiedziny do arcydzieł, a z nowych jeszcze przedmiotów zobaczyć, ile się uda, nie nużąc wymaganiem nad siły. Jedyną zawadą do swobodnego spełnienia tego planu były różnice upodobań i skłonności artystycznych między mną a towarzyszem podróży, zacnym ale rozkochanym w kolorycie, sile, potędze cielesnéj malarstwa, Klemrodem. Dla niego koloryści i szkoła pogańska malarstwa, jak ja ją zwałem, była najponętniejszą, dla mnie stara natchniona, przejęta i prostoty pełna, która ją uprzedziła. Cenił on Bellinich, Vivarinich i Carapacciów, ale wolał Tycyana i Palmę, a nawet Tintoretta, widział w nich pełniejszą sztukę, jeno jéj był spragniony, ja wolałem badać mniéj dotąd znanych i niedosyć pojętych dawnych mistrzów, w których świetniała najpiękniejsza epoka prawdziwie chrześcijańskiego malarstwa.

Godziliśmy się na wiele, ale o niemało rzeczy spieraliśmy się zajadle, różnie nas téż ciągnęły artystyczne instynkta. Koniec końcem lepszy ode mnie Klemrod ulegał despotyzmowi i szedł ze mną do Bellinich, za com się ja wypłacał, towarzysząc mu do Veronezyusza...

W poniedziałek postanowiliśmy oglądać jeszcze kilka piękniejszych kościołów, poczynając od panteonu Wenecyi, od świątyni grobów śś. Jana i Pawła (*Giovanni e Paolo*). Był to niegdyś kościół dominikanów, poczęty podobno w r. 1246, skończony w końcu XIV wieku. Nosi na sobie cechy starożytności, ale facyata pozostała nieskończoną, wnijście tylko przepysznemi rzeźbami jest ozdobne. Obok zaraz wygląda inna, bractwa św. Marka, obróconego na szpital, za czasów francuskich, prześliczna, wykończona, i z dzieł XV wieku może jedno z najcelniejszych. Gdyśmy wysiadali, przypatrując się jéj, gondola właśnie przyniosła do szpitala dwóch rannych, którzy na przedmieściu, wskutek zatargu jakiegoś, niebezpiecznie się poranili nożami. Na placu przed kościo-

łem, stoi bronzowy posąg konny, Bartłomieja Colleoni z 1475 r., odlany przez Leopardo, dzieło znakomite i pięknie pomyślane. Czuć w koniu, na którym, nieco naprzód wysunięty zbytecznie, siedzi rycerz, naśladownictwo mimowolne starych rumaków greckich, na szczycie św. Marka stojących. Wewnątrz grobowy kościół, w którym odbywały się pogrzeby dożów, przepełniony jest mauzoleami, pomnikami, posągami, sarkofagami bardzo różnéj i nierównéj wartości.

Nie są one tak wspaniałe wszakże, by z naszemi krakowskiemi w katedrze nie wytrzymały zwycięsko porównania; wiele razi wcale nie wytwornym, ale bogatym stylem. Wogóle starsze są piękniejsze, bliższe naszéj epoki przesadnie ozdobne. Rażą także na marmurowych pomnikach figury drewniane, jakby już na nie kamienia i kosztu zabrakło. Większość pomników ma kształt sarkofagów, z leżącemi na nich figurami, lub tylko płaskorzeźbami ozdobnych. Przypomnieć tu sobie można wiele świetnych imion i faktów z dziejów rzeczypospolitéj. Zaraz u wnijścia spotykamy grób jednego z Mocenigów z XV wieku, daléj imiona Zeno, Valier, Vendramin, Cornaro, Loredan. Między innemi mauzoleum męczennika Bragadino, którego Mustafa, sułtan turecki, ze skóry odrzéć kazał. W urnie pod popiersiem znajduje się jego skóra. Daléj grób Avise Micheli, który umarł wśród mowy mianéj do senatu, ale któż zliczy i opowie? ociera się o groby, depcze po nich, spamiętać ich niepodobna, pełen kościół i boczne kaplice. Z tych najbogatsza jest wystawiona na pamiątkę zwycięstwa pod Lepantem, okryta rzeźbami z białego marmuru i drzewa. Wśród nich odznacza się jedna szczególniéj: Trzej królowie, pełna wdzięku i stylu. Ale kapliczka, o któréj przewodniki nie wzmiankują, która dziełami sztuki nie jaśnieje, a najsilniéj uderza, wśród tych pogrobowych tryumfów, to bardzo niewytworna z czarnym ołtarzem i czarnym krucyfiksem, posępna, ciasna, ciemna kaplica bractwa Sprawiedliwości, którego celem było oddawanie ostatniéj posługi ciałom przestępców, na śmierć skazanych.

Na szarym kamieniu czytam wyrazy pełne miłości chrześcijańskiéj:

> Coemeterium Deiparae Virgini Mariae et Divo Hieronymo dicatum, in quo damnatorum capite cadavera religioso atque catholico ritu confraternitas Justitiae nuncupata condi curat. Anno D. 1613.

Z dzieł sztuki, oprócz resztek okien malowanych, prawie jedynych w Wenecyi, i obrazów Tintoretta, najgłówniéj idzie się tu przypatrzyć jednemu z główniejszych dzieł Tycyana, *Męczeństwu św. Piotra dominikana* (z Werony).

Obraz ten dostąpił wszelkich honorów, jakie tylko dzieło sztuki spotkać mogą. Uważano go za jedyny, w którym żadnéj wady nie można było dopatrzyć (Algarotti). Wyraźny dekret senatu rzeczypospolitéj, *pod karą śmierci*, zabronił go sprzedawać dominikanom, dawnym posiadaczom kościoła. Dominiquino naśladował go w obrazie, który się znajduje w pinakotece bolońskiéj, był kopiowany, sztychowany, wydany nieskończoną liczbę razy, zabrany do Paryża z innemi, tam na płótno naciągnięty z drewnianéj deski, na któréj był malowany pierwotnie, i umiejętnie zrestaurowany.

Pomimo tę rozgłośną sławę, nieuprzedzona krytyka wiele w nim dziś pozwala sobie widziéć stron słabych, które nie uderzają w innych obrazach Tycyana. Przepyszny tylko dzikością jest pejzaż, wśród którego ta scena zbójecka się mieści—koloryt sciemniał mocno. Zarzucają saméj kompozycyi i zbytni przestrach męczennika i sam układ jego figury. Zbójca jest istotnie zajadłym i okrutnym, a napaść jego przeraża...

Obejrzawszy główne pomniki, udaliśmy się do jezuitów; budowa kościoła tego, mogąca służyć za wzór zepsutego smaku, opłaca się wybitną oryginalnością. Architektura wyszukana, powykręcana, gwałtowna, niespokojna, bogatą jest i szczerze przynajmniéj sama sobą, nie udaje nawet starożytnéj, ani się o styl kusi.

Dziwną myśl mieli wewnątrz ojcowie jezuici przyozdobienia świątyni w marmury przeistoczone na łudzące naśladowania opon, materyj i kobierców.

Najtwardszy w świecie materyał, udający najpowiewniejsze tkaniny, musi jakoś dziko wyglądać. Naśladowanie jest wyborne i łudzące, ale uczucie patrzącego sprzeciwia się téj sztuczce, temu wynaturzeniu, przeciwko prawom smaku. Budownictwo nigdy kłamać nie powinno, umie ono właśnie jak greckie, wszelkiego materyału budowy, każdego koniecznego jéj kształtu użyć i obrócić je na korzyść piękna ogólnego, zniża się do dziecinności, gdy się wdaje w tego rodzaju żartobliwe naśladownictwa. Cały téż gmach wytworny, ozdobny, jakoś osobliwie wygląda... w świątyni bożéj i świątyni prawdy, przykro jest nawet, gdy kamienie kłamią... kolumny, pilastry, ściany, udają jakby oponami były poobwieszane na dnie białém, nawet kobierzec przed wielkim ołtarzem, wysadzany wzorzysto, jest z marmurów. Jeden z uczniów Tiepoletta, malował bogato złocone stropy. — Lapislazuli, malachity, porfiry składają się na wielki ołtarz, mimo to ciężki i niesmaczny.

W zakrystyi znajduje się mniéj sławny, ale szacowny także obraz Tycyana, *Męczeństwo świętego Wawrzyńca*, już zciemniały i nadpsuty.—Malarz troistém go światłem oświecił, ogniem stosu, po-

chodni i blaskiem z niebios płynącém. Malarze szczególniéj tę przezwyciężoną trudność w nim podziwiają, ale jest-li to zadanie sztuki?

Dla osobliwości pojechaliśmy zobaczyć, może jedyny w Wenecyi, pałac Giovanellich, należący jeszcze do rodziny, któréj imię nosi, zbudowany przez Calendario, a świeżo w r. 1847 odnowiony w stylu dawnym, z wielkiém staraniem i wspaniałością.—Tak mało familij starych zachowało szątki zamożności i wyżyło na tych ruinach, że jedyny ten pałac wyjątkowy obudza tém żywsze zajęcie. Daje on niejakie wyobrażenie, czém dawniéj były te pańskie gmachy, pełne rzeźb, świecące od obrazów i źwierciadeł, od drogich obić i snycerszczyzn Brustolona. W zbiorze obrazów dawnych, dwa Salvatory (Znalezienie Mojżesza i święty Jerzy), malowane z ogniem niesłychaném, parę Bellinich miluchnych i familijne portrety Tycyana i Palmy godne są widzenia. Tycyan jest nieporównany w tych wizerunkach rzeczywistości i celuje między mistrzami, maestryą potężną, szczególniéj w portretach mężczyzn.

Czém są magazyny starożytników w Wenecyi, można się nauczyć, oglądając całe domy, przepełnione zabytkami najdroższemi u *Consiglio Ricchetti*, w palazzo *Marcello* i Antoniego Zen. To, cośmy widzieli w mniejszych sklepach, nie mogło dać pojęcia handlu Ricchetti i Zen. Zbiory te, są bardzo dobrze ułożonemi muzeami, które z korzyścią oglądać można. Począwszy od rzeźb z kamieni, marmuru, grobowców, posągów, naczyń, od snycerszczyzny na drzewie, alabastrze, kości słoniowéj, bronzów starych i nowych, naczyń glinianych, porcelany, szkła z Murano starego, aż do uzbrojeń i oręża wszelakiego, obrazów i ksiąg, kosztownych klejnotów, materyj, koronek, gemm, ubiorów, sukni, pełno próbek, a często całych kolekcyj obfitych do wyboru. Tu nam pokazywano kawał rzeźby złoconéj, jakby z Bucentaura, czapki stare gondolierów, w czasie regat używane, szyte bogato, a nawet świeże jeszcze rękawiczki z XVI wieku, jakie mogła nosić Lukrecya Borgia.

Przedmioty te umiejętnie gromadzone i wyszukiwane po zakątkach ubogich domostw, ocalone od zagłady, w tak ogromnéj znajdują się tu ilości, że najwybredniejszego starożytnika mogą zaspokoić. Stąd tysiącami idą one do Anglii, do Ameryki i w kraje północy. Potrzeba wielkiéj znajomości rzeczy, żeby się nie dać uwieść podrobionym pamiątkom, które na wzór prawdziwych łatwo się dają wykonywać. Ceny w ogólności są bardzo wysokie, ale targ nieodbity i w końcu nagle się one zniżają.—Rachować trzeba na to, że i przewodnicy, pewien procent biorący od sprzedających, na kupcu zarabiać muszą; najlepiéj bez nich się obchodzić.

U Zen'a szczególniéj się odznaczają rzeźby na drzewie, ramy

ozdobne stare, będące niekiedy przedziwnego rysunku i smaku, zwierciadła weneckie dawne, sprzęty. W jednéj z sal na dole wisiały trzy olbrzymie, potężne obrazy bitw niejakiego *Simonini*, po jakie łokci dziesięć długie, nadniszczone i potrzebujące restauracyi, ale malowane przedziwnie, za które razem wszystkie, żądał przekupień 45 luidorów. Prawda, że trzebaby dla nich dom chyba osobny wznosić, tak wielkich były rozmiarów. Znaleźliśmy i tu szkołę Belliniego, kilku Bassanów i Tintorettów, bo ci są wszędzie. W niedostatku prawdziwych, dostarcza wybornie naśladowanych spekulacya...

Obiad zjadłszy w domu, w najprzykrzejszém towarzystwie ziomków (niestety), których obawa, abyśmy z niemi poznać się nie pragnęli, dochodziła do śmieszności, chociaż niczém nie była usprawiedliwioną,—wybiegliśmy co najprędzéj na świeższe powietrze... A żeśmy stęsknieni byli drzew, zieleni i kwiatów, popłynęliśmy do ogrodu botanicznego, który założono tu w r. 1815. Pomieszkawszy w Wenecyi, tęskni się nawet za wrzawą i hałasem miast lądowych, za końmi, za pyłem gościńca, jest coś więziennego we wrażeniu grodu tego, opasanego morzem dokoła, w którym się stopy ziemi swobodnéj nie widzi. To téż miło było odetchnąć wśród ogródka, pełnego zresztą ciekawych i nowych dla nas roślin, utrzymywanych pieczołowicie... Malowniczo wyglądały złomki jakichś budowli, z których zręcznie poukładano groty, i użyto je dla ozdoby ogrodu. W starym jakimś sarkofagu była cysterna... połamane kolumny, rzeźby, kapitele, obrosłe zielenią, wyglądały z niéj, jak na angielskiéj winiecie.—Powitaliśmy kwiaty, bujno poroztwierane od ciepłego oddechu wiosennego powietrza i wyglądające zdrowo i rzeźwo na tych ruinach, jakby powiedzieć chciały:—Myśmy wiekuistém dziełem bożém, a to znikome prochy ludzkiéj pracy...

Gondolier powożący nas, gdyśmy o tych szczątkach rozmawiali wmieszał się, wzdychając, do rzeczy i począł wskazywać i przypominać, ile to świątyń dawnych zburzono, obrócono na magazyny, poprzerabiano na składy... Na ruinie takiéj założony był ogród Papadopuli. Wogóle ci ludzie, skutkiem potrzeby i zamiłowania, wybornie znają dzieje swojego miasta, imiona sławniejszych bohaterów i artystów, rzadko się ich schwyta na omyłce, osobliwie starszych. Nasz był smutny, jak na gondoliera dzisiejszego przystało, opowiadania téż jego wszystkie jakąś tęsknotą były nacechowane; niemłody już, zdawał się dożywać upragnionego dni końca.—Powtarzał, wzdychając ludowe przysłowie, w dyalekcie weneckim:

Oggi figura—domani in sepoltura...

Szczęściem, dla nas się ono nazajutrz nie sprawdziło, wstaliśmy po wieczorze spędzonym przed kawiarnią, aby jeszcze oglądać i nasycać się widokiem tego nieskończonego mnóstwa dzieł sztuki, z których cała się dziś składa Wenecya. Koléj jakoś przyszła na kościół i gmach bractwa św. Rocha, patrona zapowietrzonych.— Zbiór tych budowli przedstawia się wspaniale i jest wogóle piękny, choć wszystkie nie są jednéj epoki, ani jednego mistrza. W kościele nic tak nadzwyczaj celującego się nie spotyka, budowa brackiéj gospody przeciwnie maluje, czém takie konfraternie być mogły za dawnych czasów. Równa się ona przepychem pomysłu i rozmiarów pałacom najpierwszych rodzin.—Obie facyaty téj *Scuola San Rocco* bardzo są piękne, ozdobniejsza obróconą jest ku placowi. — Wschody, prowadzące na górę, majestatycznością przechodzą najwspanialsze znane w królewskich gmachach; Francuzi odważyli się im przyznać pierwszeństwo nad wersalskiemi. Równie pyszne są sale zgromadzeń bractwa, całe w obrazach (na nieszczęście poczerniałych Tintorettach), rzeźbach i marmurach. Dziś czuć, że samo utrzymanie gmachu ciężyć musi zubożałemu kupiectwu weneckiemu, ale i to ślad i pamiątka dawnéj potęgi.—W jednéj z sal, zwanéj właściwiéj gospodą (*l'Abergo*), jest znowu Tintoretta Ukrzyżowanie ogromne, skończone w r. 1565, które z ową w pałacu dożów chwałą niebieską, jest największém, przynajmniéj co do rozmiarów, dziełem malarza.—Nie można téż mu odmówić wysokich zalet kompozycyi. Bractwo św. Rocha jest dosyć starożytne. W r. 1475 maleńkie grono osób, składające konfraternią, poświęcającą się pomocy zapowietrzonych i chorych, tak się nagle rozrosło, że w r. 1480 pomyślało o lepszém urządzeniu. Statuty nowe potwierdziła rada dziesięciu w r. 1481.—Zakupiono plac, i poczęły wznosić się budowy, a zarazem stowarzyszenie potężniało i rozrastało się.—Sama *szkoła,* gmach, kosztowała czterdzieści siedem tysięcy czerwonych złotych ówczesnych, gdy ją w roku 1509 ukończono.

Nie sami kupcy i mieszczanie, ale także wenecka szlachta wpisywała się do bractwa, a doża bywał pierwszym z braci.—W potrzebach rzeczypospolitéj, bractwo ręczyło za dochód od sześciu milionów dukatów, których na wojsko dostarczało... Oprócz tego czyniło wielkie ofiary, w szczególnych wypadkach.

Blizkość kościoła *Santa Maria de'Frari*, jego starożytność (gdyż budowa rozpoczęta była w r. 1250 przez Mikołaja z Pizy, jak utrzymują, a późniéj tylko kończona i przerabiana), zresztą, sława téj świątyni, w któréj się mieści grób Tycyana i Canovy, a przy niéj najliczniejsze w świecie archiwa, spuścizna całego życia Wenecyan, sprowadziły nas tutaj. — Kościół pełen jest grobów, jak S. Gio-

vanni i Paolo. Świeżo postawiono tu pomnik wspaniały dla wielkiego mistrza barwy... Tycyana Vecelli, który spoczywał pod prostą płytą marmuru—prawie stuletni, zmarł on z powietrza, a mimo, że ciała zapowietrzonych wszystkie wapnem niegaszoném niszczono, zrobiono wyjątek dla zwłok mistrza i rzeczpospolita złożyła je nietknięte do grobu. Od r. 1575 czekały na mauzoleum, aż do naszych czasów.—Prędzéj go wystawiono dla Canovy, z własnego jego pomysłu, ale mimo pochwał, jakie mu oddają grobowiec ten przypominający wiedeński ks. Sasko-Cieszyńskiéj, piękny nie jest. Procesya allegorycznych figur, idąca do czarnych wrót śmierci, nie czyni wrażenia nawet takiego, jakie czasem jedna postać rzucona na sarkofagu.

Posągów i pięknych bardzo, mnóstwo... Z obrazów jest przecudny Belliniego z roku 1488, N. Panna z dziecięciem Jezus i świętemi, pełna uczucia i prostoty... i Carapaccio, w którym czytający starzec, przypomina podobną postać w obrazie św. Zaccaria.

W klasztorze, przytykającym do kościoła, złożono archiwum rzeczypospolitéj, największy może zbiór zapisanego papieru, jaki istnieje... Mieści się on w trzechset osiemdziesięciu salach i gabinetach, a obejmuje osiem milionów sześćkroć sześćdziesiąt i cztery tysiące siedemset dziewięć ksiąg i zeszytów! Rzeczpospolita, jak wiadomo, częste miała z Polską stosunki, dochowalo się kilka ciekawych sprawozdań jéj posłów o stanie kraju naszego, część ich tylko wydaną została przez Niemcewicza. Najnowsze poszukiwania i wypisy z archiwów w Wenecyi czynione były staraniem hr. Stanisława de Bröl Platera, który zamierza je wydać. Sięgają te wypisy (o ile sobie przypomnieć możemy) piętnastego wieku; jest w nich opis przyjęcia przejeżdzającéj do Polski Bony Sforzyi, narzeczonéj Zygmunta I. Nowy to będzie i cenny materyał dziejowy, jeśli wyjdzie na świat.

W zbiorach tutejszych są nieprzebrane skarby, z których długo jeszcze korzystać będą historycy, ale do poszukiwań potrzeba pozwolenia aż z Wiednia, a w tym ogromie niełatwo téż się pokierować. Księga złota szlachty weneckiéj, poczynająca się w r. 1314, stanowi szereg woluminów, w pąsowy aksamit oprawnych, w które wpisywano urodziny, małżeństwa, zgon członków znakomitych rodzin, indygienaty, nadawane swoim i obcym. Kilku panujących i książąt, między innemi Henryk IV, jest tu wpisanych.—Archiwa pełne są autografów najznakomitszych osób, Karola V, Franciszka I, Henryka IV—i wielu królów Jagiellońskiéj i Wazów dynastyi.

W małym zbiorze Achillesa Jenna, *Piscina S. Mose*, oglądaliśmy, przejeżdżając jeszcze niektóre osobliwości, obraz gotycki przez mia-

sto Orvietto ofiarowany Grzegorzowi XVI, przepyszny serwis porcelany sewrskiéj, po tymże papieżu i szytą na kanwie skromną, ale dla nas zajmującą pamiątkę, wizerunek ks. Grzegorza Stasiewicza, Polaka, bernardyna, misyonarza apostolskiego w Anglii, z niedawnych bardzo czasów, bo z 1845 r. (P. Gregorius Stasiewicz Polonus, Ord. Min. Missionarius Aplcus in Anglia 1846). Za ten kawałek kanwy zblakłéj chciał przecie handlarz piętnaście luidorów, choć trudno nań było o kupca. Wracając do domu, spotkaliśmy gondolę kapucyńską, odznaczającą się barwą, bo pomalowaną kolorem ich habitu.—Pogrzebowe są pąsowe, inne wszystkie powinny być i są dotąd czarne.—Przychodzi nam na myśl, że mimo rysunków i maleńkich drewnianych gondolek, które sprzedają pod Prokuracyami na pamiątkę podróżnym, opis téj łódki, która się tylko w Wenecyi spotyka, należy do obowiązków troskliwego wędrowca. Gondola jest nadzwyczaj zręczną i stosunkowo do swéj szerokości bardzo długą. Oba jéj końce mocno są do góry podniesione; u przodu świeci żelazny wygięty, jakby szyja łabędzia... nos, klucz, nie wiem już jak go nazwać, z sześcioma zębami. Gautier porównywa go do zakończenia skrzypców. Prawie w pośrodku mieści się siedzenie dla jadącego, powożący stojąc robi długiemi wiosłami. Siedzenie to, kształtna budka czarna, *felce*, dziś się zdejmuje często, ale dawniéj tylko się otwierała... W budce są poduszki, mogące pomieścić cztery osoby, i po bokach okna zapuszczające się, jak w powozach zwierciadłami, żaluzyami i firanką, na którą dla większéj tajemnicy, można jeszcze zapuścić sukno od *felce*. Ale okna te zwykle bywają otwarte. Wejście jest dosyć niewygodne. Z lewéj strony drzwiczek, u szlachty bywał przybity bronzowy herb, lub jakaś ozdoba w kształcie smoka, a pod nią za szkłem obrazek patrona. Z lewéj strony wieczorem zawieszano latarnię, z lewéj siadały kobiety, uważano ją za pierwszą. Okienkiem z tyłu można było dawać rozkazy gondolierowi drugiemu, stojącemu po za siedzeniem i kierującemu barką. Sukno czarne, rzeźby drewniane, ozdoby bronzowe, mniéj lub więcéj bywały wytworne, z kutasami, frendzlami, wyrzynaniami i t. p.

Wiadomo, że rzeczpospolita nakazała ten kolor czarny gondolom, już to dla nierozróżniania mieszkańców, już może dla łatwiejszego zachowania incognito dostojnych osób.

Pięknych i dobrze utrzymywanych gondoli teraz jest już niewiele. Wszędzie, gdzie one przystawały u progu pałaców, przy *traguettach*, przy domach, stoją słupki malowane i złocone niekiedy, nadające kanałom odrębną fizyognomię, do nich powiązywano gondole. Wiele z nich pogniło, powychylało się, połamało.—W pała-

cach na pomieszczenie tych bark, których możne domy miewały po kilka, były kanały pod sklepieniem tak, że ze wschodów zszedłszy, wprost było można siąść do gondoli...

Pisaliśmy już o powożących, podanie mówi o ich śpiewach z Tassa, o pieśniach wesołych i wrażeniu, jakie barkarole te, nocą na lagunach nucone, czyniły. — Podróżni uparci, gwałtem prawie, stęsknionych, osmutniałych, zmuszają winem i datkiem do przypomnienia i zaśpiewania staréj piosenki.—Gondolierowie niełatwo dają się namówić, ale przecież dobędą głosu, przymuszeni... to wszakże pewna, że śpiew nie jest już w obyczaju, w potrzebie, że nie płynie z ich piersi dobrowolnie, wesoło... że zmienił się w troskliwą, gderliwą gadaninę starców znękanych i biednych... Przerwała się wielkiemi klęskami i żałobą tradycya; trzeba umiéć poszanować ten smutek i powstrzymanie się dobrowolne od wszelkiego wesela głośniejszego. Jakkolwiek byliśmy ciekawi posłyszéć Tassa na gondoli, uczucie pewnéj przyzwoitości nie dopuszczało nam zmuszać i kusić tych biedaków, aby przerwali milczenie, godności pełne. Stary, co nas woził, wcale nie miał ochoty do śpiewu, więcéj mu się na płacz wobec ruin i wspomnień zbierało.— Przyznam się szczerze, iż nie dla oglądania fabryki owych przesławnych szkiełek, któremi Wenecya długo całą zaopatrywała Europę, popłynąłem nazajutrz do wyspy Murano. Jedną z najmniéj dla mnie zajmujących rzeczy były wogóle fabryki; wielce szacuję przemysł, pracę, szkołę, rękodzieła, ale nie umiałem w nich znaleść strony poetycznéj i pociągającéj.—Któż nie słyszał o zwierciadłach i o perłach, a paciorkach weneckich, które z łańcuszkami cieniutkiemi złotemi, stanowią zwykłą z miasta przywożoną pamiątkę.

Wyroby szklane sięgają w Wenecyi niezmiernie odległéj epoki, handel tutejszy podsycał się niemi i rozwoził je do Azyi i Afryki. Już w XIII wieku, szkła Murano, kolorowane, naśladujące kamienie, w wielkiéj stąd wychodziły ilości. Wogóle rzeczpospolita na szkłach tych zarobiła nieobliczone miliony, były one jedną z jéj niewyczerpanych skarbnic, piasek mieniali pracą na złoto. Zwierciadła weneckie długo były prawie jedynemi na świecie; dawano je królom w podarkach... Dziś przemysł ten współzawodnictwem innych krajów został znacznie zmniejszony, wszakże żywi on jeszcze kilka tysięcy ludzi, a obrót ogólny szklanego towaru wynosi kilka milionów franków.

Pomimo ciekawości powszechnéj, która z obowiązku nakazuje widziéć w Murano fabrykę, nie dla niéj wcale puściłem się na tę wyspę. Chciałem przypatrzyć się weneckiemu krajobrazowi, okolicy, zobaczyć życie na oddzielnéj a ludniejszéj *isola*, tak oddawna

osiedlonéj i zamieszkanéj niegdyś przez artystów, którzy osobną gałąź szkoły weneckiéj stanowili. Strona obyczajowa i malarska téj wycieczki obchodziła mnie przedewszystkiém.

Morze dzielące wyspy, *laguna*, nie jest wszędzie bardzo głębokie, łódka nie może puścić się bez pewnych wskazówek, w których miejscach prądy głębiéj dno wyryły. Te oznaczają się powbijanemi po kilka grubemi palami, które zdala kształcą pewne drogi i przerywają dobrze jednostajność wody. Na niektórych słupach pobożni Włosi ponstawiali rodzaj malutkich dyptyków, kapliczek niby, z wizerunkami Matki Boskiéj i Świętych... Są to jakby nasze krzyże na gościńcach... ładnie to wygląda... Gondolier przed obrazkiem żegna się i w duszy pomodli trochę.

Murano, na małą skalę, jest drugą Wenecyą, ma swój Kanał Wielki, kościoły starożytne, pałace, ruiny, ale żyje temi czterema fabrykami, które mu z prastarych czasów zostały.—Główny kościół *il Duomo* z XII wieku, zachował piętno architektury grecko-arabskiéj, wpływ budownictwa wschodniego przemaga w nim; posadzki wysadzane są z 1140 roku! mozajki także stare bardzo. — W kościele drugim ŚŚ. Piotra i Pawła jest kilka obrazów staréj szkoły i nowych zastanawiających, najsławniejszym śliczny Bellini z 1488 roku, N. Panna, przed którą klęczy doża Barbarigo i jego rodzina.

Otóż prawie wszystko, co mogliśmy obejrzéć, opłynęliśmy wyspę, a nad wszystko napatrzyliśmy się Wenecyi, morzu i widokom, w których iglaste kampanille, piętrzące się kominy i mury stare wyrastające z wody, wyglądają malowniczo i pięknie. Wieczór sprzyjał przejażdżce cichéj i miłéj, a charakter tego oryginalnego krajobrazu wbił się nam dobrze w pamięć,

Wenecya była wielekroć malowaną, ale zdaje mi się, że zbyt niewolniczo trzymano się wzoru Canalettich, siedząc w lagunach i ograniczając Wielkim Kanałem i kilku sławniejszemi budowami, od morza i wysp, krajobraz miałby jeszcze urok nowości i wiele wdzięku. Niektóre wysepki są gotowemi obrazkami.

Pokrążywszy na morzu, wróciliśmy pa plac św. Marka w chwili właśnie, gdy tłumy się nań schodzić zaczynały, przed *Florianem, Sutil, al Imperatore Austriaco, al Ancora d'oro, a la Constanza,* grały muzyki i krążyli przekupnie, przypatrywaliśmy się więc ruchomym falom, jak było można najdłużéj.

Czując zbliżający się wyjazd, z jakąś tęsknotą myśleliśmy o nim. Wenecya, może swym smutkiem i ruiną, przywiązuje łatwo do siebie.

Postanowiwszy ostatki pobytu poświęcić swobodnym po mieście przechadzkom, zrana po śniadaniu u Floriana, nieco tylko na-

tręctwem nieznośnych kwiaciarek zatrutém, puściliśmy się pieszo.— Jakkolwiek uliczki są ciasne bardzo, wszędzie jednak w głównéj części przejść niemi można, a nieskończona liczba maleńkich malowniczych mostków, przeprowadza przez kanały. Po za wieżą zegarową są tak zwane *Mercerie*, sklepy, powiedziano mi, że w mnóstwie rupieci, jakie się tam sprzedają, znaléść można książkę lub sztych ciekawy, puściłem się więc, ale raczéj dla przypatrzenia, niż w nadziei, żeby się tam co wistocie znaléść mogło. Żałuję bardzo, że się z czytelnikami obrazkiem tego dedalu, ciasnoty i nadzwyczaj oryginalnych widoków podzielić nie mogę.—Brudne to jest, odarte, ale pełne życia i barwy.

Ciasnota ulic zwiększa się jeszcze tém, że każdy sklepik i mieszkanie, po włosku występuje na bruk i rozpościera na nim. Tu szewc, przechylony połową warsztatu i siedzenia, *sub Jove* łata trzewiki, obok matka z kupką dzieci szyje, obrzuciwszy dokoła gałgankami, przekupnie wystawują ławeczki swe z owocami, z mięsem, z rozmaitego rodzaju starzyzną, tak, że przez tę gęstwinę chcąc przejść, potrzeba często na płask stawać przy murze, żeby się rozminąć. Hałas, wrzawa, ścisk wszędzie... Wśród tego dedalu nagle tamuje drogę kanał, ale przed tobą wyskakuje mostek ubrany wschodkami do góry, potém arkada i zasklepienie zaciemnia przejście;—wychodzi on na placyk małych rozmiarów i spotyka się z facyatą kościelną, bo kościołów jest mnóstwo, niespodzianie zatrzymuje cię rzeźba stara; przez arkadę spostrzegasz gościniec wspaniałego pałacu opuszczonego, podwórze i krużganki jakiegoś gmachu, który wśród Palladyuszowskich wspaniałości kryje dziś śpichrz, lub szpital.—Samo położenie miejscowości, brak ziemi, laguny namnożyły tu fantazyj architekturalnych, bo mury musiały się ściskać, wyłamywać, zakręcać, aby pomieścić; pomysłom budowniczych bodźca dodawała konieczność.

Oko artysty nie może się nacieszyć tą grą linij, barw, cieniów i świateł, w sposób jak najmniéj spodziewany ugrupowanych, nigdy może mur, cegła, marmury, nie zbiły się w tak dziwaczne masy.—Pobłądziwszy w uliczkach i po mostkach, wróciliśmy raz jeszcze do S. Zaccaria, dla przypatrzenia się temu arcydziełu Belliniego, o którém już raz wspomniałem.—Chciałem przekonać się, czy pierwsze wrażenie odebrane nie było złudzeniem jakiém, ale nie, nie, stary mistrz jaśniał w całym blasku...

Układ obrazu nie ma w sobie nic nowego, znajdzie się mnóstwo podobnych mu, aż do Fra Bartolomeo i Rafaela. N. Panna siedzi na tronie, trzymając stojące dziecię na kolanach, na wschodkach u dołu śliczny anioł przygrywa na violi, z boków ugrupowane są dwie święte i dwaj starcy. — Typ tego zaczytanego starca

w księdze spotyka się także często, nowym on nie jest, ale właśnie najcudowniejszém jest to, że Bellini nie potrzebował machiny wymuszonéj do stworzenia arcydzieła, w granicach ciasnéj tradycyi swojego czasu potrafił zamknąć natchnienie, które skupione świeci jaśniéj jeszcze... Długo a długo nasycaliśmy się widokiem téj karty tak wspaniałéj, iż mimowolnie najlepszą epokę Rafaela przypominała...

Po odetchnieniu w Luna, udaliśmy się na przechadzkę do publicznego ogrodu, do którego dojść można pieszo przez wybrzeże słowiańskie, aleśmy popłynęli dla przypatrywania się lepszego widokom, aż ku Malamocco... Słońce wśród przebiegających niebo chmur dziwacznie partyami oświecało morze i wyspy. Zdala widać było wysepkę św. Heleny, całą obmurowaną i zazieleniałą, jak kosz kwiatów pływający na wodzie: jest ona podobno własnością księcia Bordeaux.—Ogród, którego drzewa i zieloność miłe robią wrażenie, znaleźliśmy prawie pustym, zbiera się tu niekiedy ludność na tłumną zabawę, ale na to są wyznaczone dnie i godziny; tą razą kilka nianiek z dziećmi, jak się zdaje, niemieckiemi, kilku wojskowych, ledwie ożywiali ulice, nad któremi szeleściały drzew liście poruszane wiatrem od morza.

Po długiém napasieniu oczów murami i cegłami, miło było znowu posłyszéć ten szmer starych przyjaciół, których w Wenecyi nie widuje się prawie. Konie i drzewa równie tu są rzadkością niemal; z zamurku gdzieniegdzie gałąź winnéj latorośli zwiesza się malowniczo, kupka trawy uczepionéj zieleni na ruinie, zresztą ogródków niéma, bo i miejsca brak na nie.

Przeszedłszy parę razy puste ulice, i dziwiąc się potrosze, iż nikt nie chciał tu lepszém powietrzem odetchnąć, powróciliśmy na plac św. Marka w samę porę aby być pastwą natrętów.—Niecierpliwość, która mnie w początkach opanowywała, gdy się do nas zbliżali, teraz ustąpiła miejsca zupełnéj obojętności, za to Klemrod ją przejął odemnie, a trzeci nasz towarzysz podróży, Julmo, świeżo z Rzymu przybyły, jako więcéj z Włochami obyty, wcale na nich nie zważał. Tego dnia wszakże los jakiś nieszczęsny dał nas w ręce chłopaków, którzy kroku nam zrobić nie dali, mieniając się na utrapienie Klemroda. Zaczęło się to od czyszczącego buty, który spostrzegł nieco zapylone przechadzką obuwie i domagał się, abyśmy mu je dali wychędożyć. Miał on oprócz tego maleńkiego żółwia do sprzedania, *piccola viva tartaruga*, cudo zmyślności... Ledwieśmy się go pozbyli, przyszedł drugi z zapałkami, niosąc także w pudełeczku małe żółwiątko, niesłychanie roztropne. Dla okazania przymiotów swego wychowańca, puścił go sobie po twarzy, ale to Klemroda wcale do kupna nie zachęciło. Nadeszła potém wy-

strojona kwiaciarka, w kapeluszu, bransoletach, rękawiczkach i stroju wytwornym, czyniącym ją brzydszą jeszcze, niż była. Téj elegantce ledwieśmy śmieli dać dziesięć centów, aby sobie odeszła. Zdało się wszakże, iż byliśmy ofiarami jakiéjś zmowy, bo za nią przyszedł chłopiec z wyrobami z marmuru, potém drugi z alabastrem, trzeci z paciorkami z Murano, potém przedający *conchille* bardzo piękne...

Klemrod doprowadzony był do najwyższego stopnia niecierpliwości, graniczącéj z rozpaczą... byłem pewny, że wysokiego draba, który mu na ucho ofiarował cygara i nie wiem jeszcze jaki towar zakazany, potrąci, powstrzymał się wszakże i splunął tylko... Nie koniec na tém, nadszedł ubogi z jednéj, z drugiéj strony gondolier szukający zarobku, wołając aż tu — *Andiamo Signori, gondola!* Było to jakby sennéj zmory prześladowanie; przekupnie pomarańcz... *aranze portugal,* cukierków, ciastek, limonady, sorbetów, gelaty, wszyscy zaczepiali nas z kolei... nie było sposobu wytrzymać... poszliśmy się schronić do Luny, ale pod oknem gondolierowie za najmniejszém pokazaniem się chwilowém u szyb, wstawali wszyscy, zapraszając na przejażdżkę. Klemrod legł znużony w rozpaczy.

Przez dni tych kilka przejeżdżając i przechodząc w różnych kierunkach Wenecyą, spotkaliśmy tłumy nieszczęśliwych wędrowców, które mi przypominały Dantejskie dusze skazane na męczarnie jakieś nieznośne, tak wyglądały znużone, znękane, zdyszane. Obarczeni księgami Förstera, Reichardt'a, Baedekera, Le Comt'a, Murraya, Du Pays i najstraszniejszemi *Otto giorni in Venezia,* odbywali z rejestrów straszliwą pańczczyznę, chodząc od kościoła do kościoła, od ołtarza do ołtarza i rzucając zaledwie okiem na to, co zobaczyć byli powinni. Widzieliśmy ich podnoszących oczy znużone od kart przewodnika na obrazy i bronzy, wzdychających, spoconych, ale dotrzymujących sumiennie włożonego na się obowiązku widzenia wszystkiego. Biedacy ci wzbudzili prawdziwą litość, rezygnacyą z jaką męczeństwo ponosili, w upał, w słotę, głodni, ogłupieni pędząc do mety, w któréj znaléść mieli uspakajające tylko przekonanie, że zjedli jak najogromniejszą dozę Tintorettów i Weronezyuszów, któréj strawić nie mogą. Najstraszliwiéj znękani byli ci, których los obdarzył *ośmią dniami Wenecyi,* mogliśmy poznać, którego dnia swojego męczeństwa już doszli i ile im ich jeszcze pozostawało!

Chociaż wiele kościołów i pamiątek i my jeszcze do oglądania mieliśmy, jużeśmy wcale się nie kusili o wszystkowiedztwo; nazajutrz rano i po obiedzie, zwiedziwszy tylko dwa ostatnie; bo wyjazd śpieszny był nieuchronnym.—Trafem wypadł nam najprzód

kościół św. Franciszka *della Vigna*, piękny gmach Sansovina z 1535 r. z facyatą Palladyusza, wspaniałą, dwoma kolosalnemi posągami Mojżesza i św. Pawła przyozdobioną. Posągi te Aspettego manierowane, wymęczone nie podobają się.—Wśrodku nadto było przedmiotów, abyśmy je wszystkie dobrze obejrzéć mogli, poszliśmy więc do tych, które się nam zdały godniejszemi widzenia... Niejakiego Pennachi, w rodzaju Belliniego, jest tu piękne Zwiastowanie, które przyznają nawet mistrzowi; postać modlącéj się dziewicy jest wistocie prześliczna.—Z piętnastego wieku Ant. de Negroponte jest nadzwyczaj starannie wykończony ołtarzowy obraz: Matka Boska przed dziecięciem Jezus—dzieło godne zastanowienia. Weroneza Zmartwychwstanie, mniéj świetnéj barwy niż inne jego prace.

W kaplicy Giustiniani całe ściany okryte są rzeźbami na marmurze w stylu Lombarda z XV wieku, niewiadomych artystów. Zdaje się wszakże, iż sam ołtarz i antepedyum są starsze, niż płaskorzeźby na ścianach. Św. Marek i Jan odznaczają się wśród innych pięknością. Całość przedstawia się bardzo pięknie... Dziwna rzecz, iż dotąd poszukiwania nie dały odkryć imion artystów, którzy nad kaplicą pracowali.

Kościół św. Jana *in Bragora* stoi na placyku bardzo malowniczym, staremi domostwy ostawionym. Jeden z nich, okryty winną latoroślą, dodaje wdzięku obrazkowi. W pośrodku, jak na prawie wszystkich placach Wenecyi, znajduje się marmurowa, z XV wieku cysterna. Malarz ułożyłby z tego cudowny widok... Samo czoło kościoła z cegły nie jest piękne wcale, ale i tu jest kilka ładnych płócien starych. Św. Helena i Konstantyn z krzyżem, przepyszne dzieło Cima da Conegliano, kilku świętych Vivariniego i Bellini odnowiony świeżo...

Jak Tintoretto, Bellini jest wszędzie, jeśli nie sam, to przez uczniów swoich reprezentowany—z tą jednak różnicą, że nawet jego szkoły obrazy zawsze prawie czémś zastanawiają, gdy Tintoretta nigdy być pewnym nie można, czy się trafi arcydzieło, czy zczerniałą mazaninę.

Na samym ostatku wypadł nam kościół najstarszy *San Pietro di Castello*, który bardzo długo był katedralnym i patryarchalnym, nim przeniesiono stolicę do św. Marka.—Śladów jednak téj starożytności nie znać, bo został przebudowany w XVII wieku, który jéj nie poszanawał.

Wśrodku wielka świątynia, w któréj stoi dotąd tron patryarchalny, wydaje się pustą... czuć jéj osierocenie... W blizkości uczącéj się muzyki austryackiéj, dźwięki rozlegają się w murach.... dziwném jakby szyderstwem... Tu pokazują bardzo starożytne siedzenie... które ma być krzesłem św. Piotra z Antyochii. Rzecz

têm bardziéj wątpliwa, że nosi na sobie napis arabski rzeźbiony i wygląda trochę na grobowiec. Nie wiem, jakim cudem ten zabytek utrzymał się tu i nie przeszedł z katedrą do św. Marka.

Za ołtarzem wielkim jest popiersie patryarchy Wenecyi, Wawrzyńca Giustiniani z XV wieku. Z obrazów wielki, dramatyczny, Plaga wężów na puszczy, pełen ognia i siły, ale w kościele jest prawie nadto niepokojącym. Wychodząc, rzucamy okiem na piękną pochyloną kampanillę... aby z nią razem pożegnać wszystkie jéj siostrzyce... Jutro opuścim Wenecyą...

Klemrod i Julmo naglą, ja sam śpieszę myśląc, ile jeszcze do przebieżenia mamy, i choć Wenecya pociąga, pierwszy z mych towarzyszów zwłaszcza radby już od wołania *Gondola* i *Tartarugi vivi* być oswobodzonym... Ostatni raz idziemy na plac św. Marka, jeszcze przy świetle wieczora przypatrzyć się kościołowi, i jakoś tęskno nam wszystkim, rozstać się z placem, z katedrą, z têm muzeum w ruinach...

Dnia 11 czerwca w piątek, ostatnie sprawunki porobiwszy, żegnamy Wenecyą, życząc jéj zmartwychwstania; nie mogliśmy się oprzéć, żeby fotografii obrazów i widoków nie nakupić, tak są prześliczne i tanie.

Ostatnią herbatę piliśmy u Floryana, jeszcze raz przyniesiono żółwie uczone, przyszły bukietnice z kwiatkami, przesunęły się fryulskie dziewczęta z wiaderkami, i wszyscy w jednéj myśli poszliśmy spojrzéć na mozajkowe ściany wnętrza bazyliki, z których średniowieczne surowe figury świętych osłupiałemi oczyma z kamienia zdają się płakać nad ojczyzną... Bywaj więc zdrowa, piękna, biedna, sympatyczna Wenecyo uboga... Któż wié, co przyszłość w sobie zamyka, czy jest puszką Pandory, czy skrzynią przymierza i arką pokoju?!

I ty, jak wiele innych narodów, za grzechy własne ciężką odbywasz pokutę... nie traf ślepy, ale skutek konieczny wybujałéj przeszłości uczynił cię têm, czém jesteś... Na świecie wszystko jest sprawą rozumną porządku niezmiennego, boléć można, ale go odwrócić niepodobna... Lata boleści leczą rany, zacierają ślady chorób i chory powstaje z łoża do nowego życia, jeśli do niego ma siły...

Zapłaciwszy w hotelu, nająwszy gondolę, płynęliśmy z pakunkami na kolej żelazną, a po drodze przypomniały się stare czasy plakatami drukowanemi, w których mieszkańcy wyrażają wdzięczność proboszczom, urzędnikom swym i t. p. Napisy tego rodzaju znajdują się w Pompei.—Na banhofie trafiliśmy na zamęt wielki i dosyć nieporządku, z któregośmy ledwie wybrnęli w porę, by siąść do wagonów. Ta część kolei żelaznéj, która przez laguny prowadzi do stałego lądu, jest piękną i oryginalną. Jedzie się po-

nad morzem dość długą przestrzeń, coraz płytszemi wody, przez które przeglądają piaski... w dali ukazuje się już ziemia i zieloność.

Nikną we mgłach wieże i gmachy Wenecyi, na wybrzeżu widnieją domki i ogrody... jesteśmy na stałym lądzie Lombardyi.

Droga przebiega płaszczyznę równą, bujną i żyzną, w prawo tylko widać pasmo gór pokrytych chmurami. Na dolinie, którą jedziemy, uśmiechają się pola wybornie uprawne, pozasadzane drzewami morwowemi, połączonemi wieńcami winnych latorośli, z wielkim wdziękiem. Festony te zielone przeskakują z jednego drzewa na drugie, wiążąc je jakby ułożonemi umyślnie zielonemi sznury. Z poza drzew, gdzieniegdzie wygląda kształtny murowany domek, kominami przypominający Wenecyą, strzelają wysokie kampanille kościołków wiejskich, naśladowane także ze stolicy dawnéj. Ale świat to już inny, rolniczy, cichy, pracowity. Tak wygląda wkoło kraj począwszy od Mestre, Marano, Dolo do Ponte di Brenta, i prawie aż do saméj Padwy. W Dolo przechodzi piękny kanał, w Ponte di Brenta z lewéj strony wygląda wysoka kościelna wieżyca, ale wszystko to otula zieloność, drzewa, zarośla... tém milsze oku, że się ich długo nie widziało.—Architektura domów ciągle jedna, wiele z nich wydają się opuszczone i zaniedbane.

W marzeniach i ciszy, spoglądając na otaczające nas krajobrazy, przybyliśmy do Padwy...

X.

Padwa w przeddzień św. Antoniego. — Giotto. — Widok miasta. — S. Maria dell'Arena.—Zewnątrz i wnętrze jéj. — Freski Giotta, ich charakter i piękność. Matki karmicielki. — *S. Maria degli Eremitani.* — Grobowce, obrazy w nim. — *Il Santo.*—Wnętrze kościoła. — Skarbiec. — Relikwie św. Antoniego.—Kaplica grobowa świętego.—Pielgrzymka. — Żywot świętego w płaskorzeźbach.—Ołtarz św. Stanisława i grobowiec ks. Jabłonowskiéj. — Ołtarz polski. — Msza u niego.—Miasto.—Jarmark na konie.—Posągi na placu.—Batory i Sobieski.—Kościół św. Justyny.—Obraz Romana de Brixia.—Kawiarnia Pedrocchi.—Nabożeństwo u ołtarza św. Stanisława. — *Il Duomo.* — Chrzcielnica i jéj malowania.—Sala w Ratuszu (della Raggione), jéj ozdoby. — *Il Bo.* — Akademia Padewska.—Dawny jéj stan i teraźniejszy.—Ucieczka z Padwy.—Droga do Medyolanu. — Widok kraju.—Verona.—Peschiera.—Żaby pod Medyolanem.—Przybycie do stolicy Lombardyi.—Miasto i mieszkańcy.—*Il Duomo.*—Jego historya.—Powierzchowność, ozdobność.—Wnętrze.—Rzut oka na kościół i jego budowę.—Ozdoby i pamiątki.—Św. Bartłomiéj Agrates'a.—Wnijście na górę.—Na dachu kościoła.—Wrażenia budowy.—Widok z góry na okolice.—Wieczerza Leonarda da Vinci, jéj dzieje, stan obrazu i piękność jego.—Kopiści.—Obrazy w kościele. Luini.—*Tavola rotonda.* — Przechadzka po mieście. — Zbiór *Ambrosiana.*—Zbiór *Brera.*—*Il Sposalizio.*—Zabytki dawne.—Kopie wieczerzy.—*Manzoni.*—*Cezar Cantù.*—Obiad u Cona *sub Jove.*—Kościół św. Ambrożego.—Wspomnienia, pamiątki, fizyognomia kościoła. — Kościół *S. Maurizio* i freski Luiniego. — Teatr *del Re* i przedstawienie.—Małpy p. Tomaseo della Testa,—Jeszcze *Brera.*—Sąd o dziełach sztuki.—*Sposalizio.*—Św. Katarzyna *B. Luini* i inne obrazy zbioru.—Wieczór i pożegnanie, Medyolanu.—*Vetturini.*—Podróże dawne i nowe.—Wyjazd z Medyolanu obrazki. — *Magenta.* — Wjazd do Piemontu.—*Novara,* przygoda z weturynem.—Miasto i jego kościoły.—*La bicocca.*—Droga do Aleksandryi.—Spoczynek.—Droga do Genui..

Przybyliśmy do Padwy szczęściem, czy na biedę w wilią wilii św. Antoniego „*il Santo*“, bo tu on zowie się *per excellentiam* świętym tylko; trudno uwierzyć, ale ogromny odpust ściągający zdala mnóstwo gości, rzadkich zresztą w Padwie, jarmark na konie na kształt berdyczowskiego i teatr... ponętny, bo w *Nabucco* miała występować pani B... tak wysokie ceny nałożył na mieszkania, tak nawet ciężkim uczynił wyszukanie kąta, iż z kłopotem

i wielkiemi targami wyprosiliśmy sobie izdebkę drogą, niewygodną, lichą, z warunkiem, że na św. Antoni z niéj ustąpimy. Gospodarz zdawał się jeszcze czynić nam łaskę, a gospoda była nad wyraz niewygodna. Ale w podróży potrzeba się umiéć zastosować do jéj przygód i utrapień... Nie mieliśmy téż tu długo spoczywać.

Padwa pociągała mnie szczególniéj, jako pełna wspomnień młodzieży polskiéj w XV i XVI wieku, jako matka karmicielka Jana Zamojskiego; potém swym kościołem mało światu znanym, malowanym przez Giotta z pomysłów Danta, na ostatek innemi swemi pamiątkami i sławą.

Kto po madonnach Sassoferrata, Carracciów, a choćby i Guida, widział suchy wizerunek w niewiernym sztychu, przedstawiający Giotta Matkę Boską, zdziwi się zapewne i wielkiéj sławie malarza i wielkiéj ciekawości oglądania dzieł jego. Ale jak z każdą epoką i stylem, z mistrzem prastarym potrzeba się obeznać, trzeba się nauczyć go cenić.

Zaledwie wysiadłszy, dopytałem przewodnika, który nas trochę po mieście miał obwieść, a potém wprost do oddalonego i pustego kościołka *Santa Maria dell'Arena,* dla dłuższego przypatrzenia się freskom Giotta.

Padwa jest jedném z najstarszych miast we Włoszech, podanie przypisuje założenie a raczéj podźwignienie jéj Antenorowi, bratu Pryama... Pisarze rzymscy poczytywali ją za starszą od Rzymu; chlubi się ona, że jest ojczyzną Liwiusza. — Przez długie wieki ciężkie téż przebyła koleje, zniszczenia, pożary, wojny... Na pierwszy rzut oka znać w niéj tę starożytność, którą się chlubi. Pełno starych malowniczych murów i bram monumentalnych, z dawnych fortyfikacyj pozostałych. Środkiem dwoma kanałami przepływa rzeczka Bacchilione, dzieląc się na Pivego i Roncafette. Nad ich brzegami zwieszają się stare domostwa wielkiego charakteru. Wszystkie niemal domy w mieście dołem mają arkady, portyki, starożytnym obyczajem, któremi wszędzie w upał przejść można. Domyślić się łatwo, że je zajmują nie tylko kramiki, ławki, ale rzemieślnicy i całe rodziny, że tu stoją przechodnie, zatrzymują się próżniacy, zbierają plotkarze i właściwie miasto żyje pod portykami... Oprócz tego, pełno się spotyka i pobożności staréj oznak pod niemi, madonny, przed któremi palą się lampy wielkie, stoją kwiaty, ołtarzyki, obrazy świętych i t. p. Niektóre z nich wcale są wspaniałe, rzeźbione dokoła, ozdobne, osłonione firankami, ostawione wazonami.

Miastu te przejścia, ganki, sklepienia, arkady, balkony kamienne, słupy, rzeźby, napisy, nadają powierzchowność średniowieczną

i monumentalną i piękną na podziw... Zdaje się, że rycerze tylko co wyjechali stąd na wyprawę, a tymczasem miejsce ich zajęli ubodzy przekupnie.—Zachwyceni byliśmy tém choć pobieżném wejrzeniem na starą Padwę... ale trzeba było pośpieszać za dnia do Giotta.

S. Maria dell'Arena znajduje się dosyć opodal odosobniona, schowana w ogródku zielonym, pełnym winnych latorośli, z cysterną starożytną... Obmurowany plac, na którym mała ta świątyńka, dom księdza tylko i kustosza stoi, oddziela ją od świata i tą ciszą, jaka tu panuje, przygotowywa dobrze do oglądania dzieła sztuki z czasów, gdy ona była jeszcze spokojem i jasnowidzeniem niebios, a nie odbiciem rzeczywistości. Posłaliśmy po klucze, otwarły się drzwi, weszliśmy do pustéj, jasnéj bardzo kapliczki, okrytéj malowaniami lekkiemi, ogólnego powietrznego tonu.—Freski mają to do siebie, że chyba niezręcznie poprawiane ciemnieją, tam, gdzie się dochowały całe, cudnie wyglądają świeżo, choć pięć wieków upływa, jak malowane były... Kaplicę tę założył w roku 1303 Enrico di Scrovegno, jestto właściwie grobowiec jego i posąg założyciela, znajduje się w zakrystyi. Budowa jéj prosta, nie ozdobna, okna gotyckie, w środku sklepienie gładkie, zaokrąglone nad nawą, nad apsydem kilku łukami przecięte. Freski Giotta są na tle jasno niebieskiém, jakby pływały w powietrzu, zachowały się dotąd wcale dobrze.

Nad drzwami głównemi u wnijścia, Chrystus w chwale siedzący bardzo piękny, rozdziela błogosławionych od potępieńców... Obraz ten istotnie tchnie duchem Dantejskim i poczytują go za pomysł wielkiego poety, wykonany przez jego przyjaciela. Nadzwyczaj ciekawą jest kompozycya, jako komentarz do boskiéj komedyi, ale pod względem sztuki przyznać potrzeba, że zadanie było nad siły malarza, który wszystko snuć z siebie i odgadywać musiał. Nie zapominajmy o epoce, w któréj żył Giotto i stanie sztuki za jego czasów. W olbrzymim tym fresku, szczegóły są wielce zajmujące, mnóstwo twarzy pełnych wyrazu i wdzięku, cała zagmatwana, sztywna, sucha. Jestto pierwotnych szkół i mistrzów wysokich cechą, że pojedyńcze figury często cudownie pojmują i wykonywają, zestawienie wielu przechodzi ich siły... Co do tradycyi, przypisującéj Dantemu pomysły tego fresku, zdaje mi się, że źle tę rzecz pojęto. W Boskiéj Komedyi gieniusz poety złożył w potężną całość to, co naówczas żyło w tradycyach ludów i kościoła, Giotto i Dante czerpali z jednego źródła, nie zapożyczając się od siebie, biorąc ze skarbnicy ogólnéj. Stąd naturalnie i podobieństwo ich obu.—Całe sklepienie podzielone na części, jak mozajka i w ornamentacyi przypominającéj mozajki, zawiera życie

Chrystusa, N. Panny i dzieje święte... Dzielą je popiersia bardzo piękne. U dołu stoją niby posągi Cnoty i Występki, jednobarwne. W tych szczególnie odznacza się Giotto pomysłami, stylem i pięknością daleko wyższą, niż w obrazach bardziéj złożonych.

Samo pojęcie, że abstrakcye należało odrzéć z barw rzeczywistości, jakkolwiek formą posągową ich mogło być spowodowane, już na swój czas jest gienialne. W czterdziestu i trzech kompozycyach na sklepieniu trudno wskazać celniejsze.—Pocałunek Judasza, pozdrowienie Elżbiety i wiele innych, są bardzo ładne na owe czasy i po wszystkie czasy. Obok suchości rysunku czuć gieniusz malarza, który olbrzymio odgadywać umiał, czego wtenczas jeszcze od nikogo nauczyć się nie było można. — Wyraz namiętności, gniewu, złości często przechodzi w karykaturę, ale ilekroć spokój, świętość, ubłogosławienie malować przyjdzie, Giotto jest wyższym nad dzisiejszych nawet artystów, którzy wpadają w afektacyą, teatralność, on umié być prostym.—Trzeba dodać, że to dzieło jego malowane być musiało w epoce, gdy nie miał jeszcze lat trzydziestu.

Jako ideał Giotta, widziéć należy dwie naprzeciw siebie za wielkim ołtarzem odmalowane matki karmicielki, znacznie uszkodzone.—Jedna z nich szczególniéj jest nadzwyczajnéj słodyczy i spokoju... (z prawéj strony). Powtórzenie jednego przedmiotu dwa razy i tak blizko siebie, nie wiem, czy się tłómaczy archeologicznie jakim obyczajem, lub tradycyą kościelną, ale zdaje się nasuwać myśl jakiegoś współzawodnictwa. Obie wszakże są typem jednym, a w sposobie malowania nie różnią się wcale. Długo oglądaliśmy opustoszały kościołek, godzien głębszych studyów i opisu, który zresztą po włosku został wydany.

Zaszliśmy jeszcze do starego równie kościoła *S. Maria agli Eremitani* z 1276, lub nawet 1264 r. Jestto długi gotycki gmach, z odnowionem sklepieniem, pełen grobowców i starych ołtarzów. Służy on do dziś dnia za akademicki i zawiera mauzolea profesorów i uczonych. Prawdziwie piękny, jest grobowiec prawnika Mantuańczyka Benavides z XVI wieku, roboty Florentczyka Ammanati. Posąg zmarłego otaczają allegoryczne postacie wdzięcznie wykonane, Cześć, Sława, Nauka, Znużenie, a w górze Nieśmiertelność! Ogół jest prosty i wspaniały. Freski Mantegny poprawione, poprzemalowywane, nie mają już dla nas tego zajęcia co Giotta.

Ucznia Donatella jest tu ołtarz z gliny bronzowanéj, wcale ładny, ale wielce uszkodzony. W zakrystyi Guida św. Jan na puszczy zasługuje na widzenie, wyrazem twarzy i wypracowaniem nóg i torsu.

Było jeszcze dosyć wcześnie, byśmy mogli odwiedzić *Il Santo*, najgłówniejszy kościół padewski, zawierający ciało i relikwie św. Antoniego. Św. Antoni rodem był z Portugalii z Lizbony, ale większą część życia spędził tu i zmarł w r. 1231. Świątynia, czci jego poświęcona, jest gmachem wielkim z cegły różnobarwnéj starannie zbudowanym z ośmią kopułami i dwoma wieżami. Odnawiano je właśnie. Budowa zdala uderza oryginalnością i właściwą sobie pięknością, skończoną została w r. 1307. W środku wielka, obszerna, przyciemna, więcéj ma pobożnych, niż artystycznych pamiątek.

Zdaje się nawet nieco pustą, bo głównie nabożeństwo i życie skupiają się w kaplicach a mianowicie u grobu świętego. Malowania z XIII i XIV w., raczéj są ciekawe niż piękne, z pomników grobowych licznych, żaden się nie odznacza szczególniéj.

Główny ołtarz cały jest w bronzowych posągach i kandelabrach, po większéj części z XVI w. Jeden z nich uderza najosobliwszą mieszaniną godeł pogańskich i chrześcijańskich i niewłaściwością ich w tém miejscu. Odnawianie, które starło wewnątrz cechę starożytną z kościoła, uszkodziło téż i freski, któremi był okryty, pozostałych jakąś część (żołnierze grający o szaty Chrystusowe) przypisują Giottowi, inne są Aldoghiero da Zevio Jacopo d'Avanza z 1376 r.

Bogaty bardzo skarbiec jest obowiązkiem koniecznym widzieć, jak utrzymują przewodnicy, pokazują go za małą opłatą; z pewną ceremonią, nabożeństwem i świecami z powodu relikwij. Zawarty on jest w trzech szafach o srebrnych pozłocistych podwojach... Stoją tu niezliczone pobożnych ofiary, kielichy, monstrancye, relikwiarze, puszki i t. p. Główną relikwią jest język św. Antoniego i część dolnéj szczęki w przepysznéj oprawie. Między innemi zastanowiła nas buława jakiegoś admirała weneckiego, podobna kształtem do naszych hetmańskich, złożona u stóp świętego. Na murze wisi obraz Giotta przedstawiający św. Antoniego; sztychowane z niego obrazki są wiernem jego powtórzeniem.

Ale główną jest kaplica grobowa.

Jakkolwiek kościół cały jest bardzo wspaniały, kaplica ta uderza przepychem rzeźb na białym marmurze i bogactwem swych ozdób. W pierwszéj chwili, gdyśmy tu weszli, nie rzeźby mnie jednak uderzyły, ale żywa postać boleści pełna.

Wiadomo, jakiemi cudami słynie grób świętego, jak on ukochany jest od ludu, to téż zdala idą tu pielgrzymi, a odbywają tę podróż pieszo i wprost doszedłszy do Padwy, bez spoczynku dążą do grobowca z modlitwą.

Właśnie blada, schorzała i strapiona kobieta z dzieckiem sła-

bém, weszła była do kościoła, przywlokła się do tego grobu i padła na jego stopniach z takim wyrazem znękania, osłabienia, zwątpienia i smutku, że patrząc na nią, długo oderwać oczów nie mogłem od nieszczęśliwéj. Znikły mi i rzeźby i myśli o sztuce się rozbiegły, w duszy westchnąłem, aby ją wiara uzdrowiła i tę biedną dziecinę, którą zdala przyniosła, na którą leżącą z takiém patrzała przejęciem bolesném.

Kaplica jest dziełem Sansovina, przyozdobienia jéj z marmuru i bronzu robotą wielu różnych artystów, ale szczęśliwie nader wykonaną. Na ścianach w płaskorzeźbach cały żywot świętego, Antoni oblekający suknię zakonną, wskrzeszający niewiastę zabitą przez zazdrośnego męża, wskrzeszający młodzieńca, aby dał świadectwo za oskarżonym o zabójstwo jego ojcem; wskrzeszenie utopionéj dziewczynki, młodego Parasio; św. Antoni otwierający ciało skąpca, u którego w miejscu serca znajduje kamień; uzdrowienie chłopca, który złamał nogę; święty o mocy czynienia cudów przekonywający niejakiego Alcardino zrzuceniem z wysoka szklanki, która się nie rozbiła, święty dający moc przemówienia kilkotygodniowemu dziecięciu, aby poświadczyło matki niewinność. Wiele z tych płaskorzeźb, między innemi Sansovina, przywrócenie do życia utopionéj, są bardzo piękne.

Wspomnieć jeszcze należy kaplicę *della Madonna Mora*, z posągiem z 1392 r.

Jużeśmy wychodzić mieli, gdy przy ołtarzu u samych drzwi prawie, idąc z głową spuszczoną, przypadkiem oczyma rzuciłem na ścianę i z nadzwyczajném wzruszeniem, jakbym głos z grobu usłyszał, odczytałem *po polsku* tych kilka wyrazów:

Karolina z Hr. Wojnów Jabłonowska
Przeszła do wieczności w obcych krajach,
Znalazła spoczynek i ojczyznę pod tym ołtarzem
Wśród zwłok swoich rodaków.
U. w Wenecyi XVII Stycznia MDCCCXL.

Trudno sobie wystawić, jak głębokie na mnie wrażenie uczyniły te niespodzianie napotkane słowa. Przypatrywałem się, jak wkuty, stojąc, nagrobkowi z płaskorzeźbą Luigi Ferrari, znakomitego rzeźbiarza naszych czasów, wystawującemu postać niewieścią, przyciskającą krzyż do piersi i anioła przynoszącego jéj wieniec zwycięstwa. Poniżéj był jeszcze napis włoski:

Carolina Com. Woina. Princip. Jabłonowska. Dama di palazzo. Il XVII Gennaio MDCCCXL a lei LIII provata

da infermità quadri lustre, cui cercò alleviamento di cielo più mite morì in Venezia e desiderando alla patria la ritrovò per somma grazia sovrana in questo sepolcro nazionale. Le pose questa memoria il marito veneratore delle sue tante virtù. E riconoscente a XXXV anni d'illabato, immancabile affetto.

Z tego napisu dowiedziałem się, że tu było *sepolcro nazionale*, podniosłem oczy i ujrzałem dopiéro w ołtarzowym obrazie: Męczeństwo św. Stanisława. Baczniéj się rozpatrując po murach, po posadzce, dostrzegłem kilka płyt, herbów i napisów polskich, lub z imionami polskiemi. Ołtarz był widocznie fundacyą polską i pod skrzydła swe tulił zmarłych na obczyźnie. Wyżéj nad grobowcem ks. Jabłonowskiéj czerniał kamień Aleksandra Kazimierza Sapiehy, zmarłego tu w r. 1599, 30 listopada. Na posadzce leżała płyta Stanisława Mińskiego, wojewody łęczyckiego, zmarłego 1607 r. d. 21 lipca, w którego grobie i księżna Jabłonowska pochowaną została, i kilka innych świadczących o zmarłych tu ziomkach.

Począłem więc teraz pilniéj już, nie dzieł sztuki, ale popiołów polskich poszukiwać w kościele i oto jest owoc badania.

Najstarszy polski grobowiec znajduje się z lewéj strony kościoła w kaplicy św. Bartłomieja, założonéj przez Lanzarotich i pod ich zostającéj opieką; pokrywa on zwłoki znakomitego Erazma Kretkowskiego, zmarłego w Padwie w r. 1588. Skromny ten pomnik, wsparty na lwich łapach, we wgłębieniu ma bronzowe piękne popiersie Kretkowskiego i herb rodziny u góry (Dołęga). Napis na nim następujący:

D. O. M.

Erasmo a Krethkow Polon. Palatinid. Brzesten. Castellano Gnesnen. Capitan. Pisdren. et Coet. qui anno aetat. suae quinquag. obiit Patavii. die Maii XVI. MDLVIII. Amici posuerunt.

Daléj następują wiersze łacińskie śliczne, ale nie dziwna, bo są Kochanowskiego (pomieścił je w Epigramatach), dziś to może jedyne świadectwo życia niezmordowanego wędrowca:

Hic te, Cretcovi, mors et tua fata manebant,
Cum terras omnes, et cum maria omnia circum
Lustrares, nullo defessus membra labore,
Te rapidus Ganges gelidaeque Boristhenis undae,

Te Tagus et Rhoenus, te ripa binominis Istri
Et septem gemini noverunt ostia Nili.
Nunc concessisti magnum visurus Olympum
Aethereasque domos, ubi diis immistus, inanes
Et curas et spes hominum lamentaque vides...

A późniéj na podstawie dołożono:

Et hoc de consensu nobilium de
Lazarotis, et ex eorum liberalitate.

Trudno zrazu odgadnąć co to za szczodrobliwość panów de Lazaroti wyświadczoną była pośmiertnie panu Kretkowskiemu, tłómaczy się ona wszakże historyą kościoła. O grób pana Erazma żywe były spory. Zakonnicy umówili się byli z rodziną i przyjaciołmi pogrześć ciało jego w kaplicy św. Bartłomieja, ale familia Lazarotich, których ona była fundacyą, sprzeciwiła się temu i dozwolić wniesienia zwłok nie chciała. Cały rok trwała o to walka między zakonnikami i Lazarotami, nareszcie wymogli oni, iż na grobowcu położyć musiano napis świadczący, że za ich pozwoleniem i z ich łaski Kretkowski tu został pochowany.

O życiu tego niezmordowanego wędrowca, którego opis byłby wielce zajmujący, bardzo mało wiemy. Był on synem wojewody brzesko-kujawskiego, sam kasztelanem gnieźnieńskim i posłem od Zygmunta Augusta do Turcyi. Z nagrobku Kochanowskiego okazuje się, że był w Egipcie, w Indyach, w Portugalii, w Niemczech, na Rusi, w Węgrzech i w pięćdziesiątym roku życia, bezżenny tułacz, w Padwie zmarł, kończąc swą pielgrzymkę przy grobie wielkiego świętego. Na owe czasy, podróże takie były niezwyczajnością i wolno się nam domyślać, że Kretkowski miał w nich szczególne zamiłowanie, bez któregoby kosztów, trudów i niebezpieczeństw takich nie podjął. Cóż to za szkoda, że nam z tych ciekawych pielgrzymek nic nie pozostało prócz grobowca w Padwie i wiersza Kochanowskiego.

Drugi po nim, który się tu położył, jest nie wiem doprawdy czy go mam Kańskim, czy Kątskim nazwać, ale zdaje mi się, że Kański. (Capellari tak z Okolskiego wnioskuje).

Nagrobek brzmi, jak następuje:

Andreae Kanzki nobili Polono omni virtute
Et doctrina ornato, in ipso aetatis et virtutis
Flore, Deo sic et fatis volentibus, abrepto
Illustriss: Firleiorum familia clienti,
Bene de se merito. P. C.

Italiam peragro dum sospes quinq. per annos,
Hei patriam repetens mors mihi vertit iter.
Obiit anno MDCXXX. VI.
Mense Martio.

Kamień ten znajduje się w południowéj ścianie klasztoru od strony kapitularza. Kańscy herbu Janina mieszkali w Lubelskiém, gdzie i Firlejów było gniazdo, być więc może najprędzéj, że ten klient Firlejów, do rodziny Kańskich Janinów należał. I o nim téż nad to, co nagrobek wzmiankuje, że lat pięć po Włoszech podróżując, w powrocie do kraju śmiercią zaskoczony został w Padwie, i że mu Firleje położyli pamiątkę, daléj nic nie wiemy.

Na pilastrze po lewéj stronie kaplicy św. Józefa znajduje się trzeci grobowiec polski z XVI wieku Mikołaja Ponętowskiego. Jest to wielka płyta marmuru, paragonem zwanego, otoczona korniszą, ponad którą wznosi się nisza wysłana *pietra rossa*, przeznaczona widocznie na popiersie, którego albo nie postawiono, albo je późniéj zniszczono.

Napis brzmi:

Nicolao Ponetowski Polono
Nobilitate antiqua claro, egregiis
Animi bonis ita ornato, ut aetatem
Doctrina, doctrinam anteverterit iudicio.
Publicisque muneribus in patria
Praeclare gestis saepius id testatum
Fecerit, quem mors iniqua iuvenem imo
Decepta ante annos senem, dum vitam
Patavii querit, vitae eripuit anno
Christi MDXCVIII. XIX Julii.
Aetatis suae XXVIII.
Monumentum hoc Adrea frater et amici moesti P. C.

Grobowiec ten znał już Starowolski i z niego ów Mikołaj Ponętowski wszedł do herbarzów naszych, choć o nim więcéj nad to, co podał napis, nie wiedzieli gienealogowie, a wspomnianych tu publicznych urzędów, przezeń sprawowanych, nie wzmiankują.

Na grobowcu jest kilka herbów, z których jeden zdaje się być Firlejów. Oprócz tego w archiwach konwentu znajduje się wiadomość, że jednym z przyjaciół, którzy Ponętowskiemu stawili grobowiec, był Jan Firlej podskarbi koronny, a że Walenty Ponętowski był żonaty, jak wiemy, z Firlejówną, był może nasz Mikołaj blizkim krewnym jego.

Ponętowski, jak widać, przybył do sławnych lekarzy padewskich, których nauka od śmierci w 28 roku życia, wyratować go nie mogła.

U pilastru pierwszego kaplicy św. Józefa, znajduje się także grobowiec w stylu XVII wieku, dosyć złego smaku, przeciążony ozdobami, z popiersiem pochowanego tu Adama Zalińskiego i datą fałszywą 1503 r., gdyż wistocie czytać należy rok 1603. Napis ten znany był naszym heraldykom, którzy go wspominają. W całości jest następujący:

T. V. Q. M.

Adamus Zaliński eques polonus, generis nobilitate, corporis elegantia, morum suavitate, disciplinarum et linguarum peritia, maximarumque virtutum splendore clarissimus. Cum horum potiss. partem haud ad deformatam primi sed ad quam optime informatam recreatamque secundi Adami imaginem in se exprimendam non minus feliciter quam diligenter comparavisset. Cumque peragrata studiose, caste, ac fortiter Europa, visa Africa, Hierosolymam Servatoris sui cruore sacram militaturus adire cogitaret, repente in coelestem incredibili suorum ac patriae cum dolore an. aetat. XXV sancte et religiose evolavit. Huic amor, observantia, necessitudo perillustr. ac generosiss. V. D. Joanne Witosławskii defuncti affine atque vero bonorum omnium ex asse haerede, impensas liberaliter subministrante nob. vero. Marco Lentowski cons. totos VIII an. individuo aetate procurante hocce triumphans monum.

P. O. M. E.

Anno Dom. Incarn. CIƆIƆIII.

Zaliński ten, syn sędziego ziemskiego tucholskiego z Elżbiety Mortęskiéj, podkomorzanki chełmińskiéj, jedynak u rodziców, którzy oprócz niego mieli tylko córkę wydaną za Witosławskiego Janusza, udał się był snać dla ukształcenia w podróż pod przewodnictwem Marka Łętowskiego (herbu Niezgoda), późniéj opata paradyjskiego i z nim przebiegłszy całą Europę, był w Afryce, wybierał się w ostatku do Ziemi Świętéj i Jeruzalem, gdy go w 25 roku życia śmierć w Padwie pochwyciła. Łożył na grobowiec tego pełnego nadziei, pięknéj postaci, obyczajów miłych młodzieńca, szwagier Witosławski, a pilnował wykonania towarzysz

pielgrzymki Łętowski. Jest ślad w aktach municypalnych (Vol. 2847 Processo s. pag. 55), że Łętowski prosił o miejsce na grób w czerwcu 1602 r. (przy ołtarzu św. Maryi Magdaleny). Śmierć też Zalińskiego do 1602 r. odnieść należy.

Aż do tego czasu, początku XVII w. Polacy w Padwie przebywający tak licznie dla nauki, chociaż mieli w Akademii swą osobną nacyę, to jest stowarzyszenie, najliczniejsze po niemieckiém, swego radcę, syndyka, prokuratora i innych urzędników, nie postarali się o ołtarz i miejsce spoczynku. Dopiéro za starszeństwa Mikołaja Ossolińskiego w roku 1607, jego staraniem wzniesiony został ołtarz św. Stanisława i obok niego dla grobów polskich wyznaczone miejsce.

Ołtarz ten, o którym wspomnieliśmy, dziś jeszcze ma świadczący o tém napis:

> Dei Opt. Max. Gloriae. D. Stanislai Pat. Pat. cultui suae suorumque piae memoriae natio polona aram hanc cum sepulchro Generoso D. Nicolao Ossolinski ab Ossolin Nationis consiliario
>
> curante
>
> **F. P. Q. S. P. M.**
>
> Illustr. DD. Civit. Praesidib. Hermolao Zane praet. Joanne Maripetro Praef. Anno Christi.
> CIƆIƆCVII Cal. Junii.

W prawo jest jeszcze napis z téjże epoki:

> Momentanea prorsus ista vita est, sed vixisse bene et mori beate hoc virtutis opus pium et perenne. Sic gens vota Deo ferens Polona et solvens cineri decora iusta, ad tumbam haec meditatur illa ad aram felices lachrimae praecesque diae immortale quibus paratur aevum.

Gdy ołtarz ten poprawiono w r. 1809, odkryto herby, które były przez długi czas zasłonione, Mazowsza, Inflant i Pomeranii; położone one wraz z innemi w r. 1607. Tarcze te są teraz widoczne, a nad niemi napisy:

> Insigne Ducatus Masoviae — Insigne Ducatus Livoniae et Pomeraniae.

Przed samym ołtarzem w posadzce leży kamień pokrywający zwłoki Stanisława Mińskiego, Wojewody Łęczyckiego, sławnego swych czasów statysty i senatora powagi wielkiéj, którego dowcipne listy z czasów rokoszu po wielu współczesnych rękopismach się spotykają.

Grobowiec jego ma napis krótki i skromy:

> Stanislaus Minski de Minsko palatinus Lancicien. Cancellarius Regni Poloniae, mens regis et regni, ultimum decus et spes familiae obiit Patavii Anno MDCVII Julii XXI. Aetatis XLIV. Erasmus Dębiński Decanus Crac. Affinis et Excer. Testi F. F. O. vita fallas quae desinis, dum vivere expedit.

Bernard Gonzati w opisie bazyliki św. Antoniego, mówiąc o tym grobowcu (Vol. II. 240) domyślił się urodzenia Mińskiego w Mińsku Litewskim, który stolicą księstwa nazywa, ale nie popełniająż się i u nas podobne omyłki! Miński liczy się do znakomitych mężów swojego czasu. Rodzina ta herbu Prus 3 oddawna osiedlona była w Mazowszu, pisali się oni z Gościeszyc a późniéj z Mińska pod Warszawą; Stanisław był niemal jedyną jéj gwiazdą. Rodził się z Doroty Goryńskiéj, ojciec był wojskim warszawskim; młody Stanisław dostał naprzód kasztelanię zakroczymską, około 1589 r., jeszcze ją trzymając województwo Łęczyckie około 1596 r. Wysłany do Rzymu dla starania się o kanonizacyę św. Jacka, doprowadził to do skutku i chorągiew świętego przywiózł do Krakowa. Późniéj dostał mniejszą pieczęć koronną. Czynny w czasie rokoszu, krzątał się, pisał, jeździł i nie żałując siebie, jak mówi Niesiecki, słuch utracił. To pewna, że w swych żartobliwych listach do rokoszan, kładł na czele: *Stanislaus Miński surdus* N. N. *coeco.*

Za radą królewską, chcąc się z téj przykréj wyleczyć choroby, udał się Miński do Neapolu i tam znacznéj ulgi w cierpieniu doznawszy, już powracał, wezwany na powrót przez Zygmunta III, gdy na drodze z gorąca nadzwyczajnego dostawszy, jak to wówczas zwano, maligny, w Padwie życie skończył. Chwalą go bardzo współcześni, między innemi Reszka, jako wzór senatora, męża stanu. W językach obcych, greckim i łacinie miał wielką biegłość, o dowcipie świadczą zachowane listy jego do przewódców rokoszan. Żonaty był z Anną Kryską wojewodzianką płocką, a dwie jego córki wyszły za Jana Łęczyńskiego, wojewodę krakowskiego jedna, druga za Marcina Zarębę. Na nim téż rodzina Mińskich, o ile wiemy, wygasła.

Na prawym pilastrze przy tymże ołtarzu św. Stanisława, spoczywają wnętrzności młodo zmarłego Aleksandra Kazimierza Sapieby, z następującym napisem:

D. O. M.

Alexandri Casimiri Sapiehae, Sigismundi III Poloniae et Sueciae Regis, in Magno Ducatu Lithuaniae Dapiferi, memoriae qui in ipso aetatis suae flore, magno patriae et familiae damno Patavii obiit. Anno MDCXIX Novembr. XXX die. Cujus corpore in patriam conducto viscera hic condita. Viator ora pro anima.

Mało wiemy, albo raczéj nic o tym Sapieże, którego gienealogowie tak gdzieś ukryli, żeśmy go wyszukać u nich nie potrafili.

Do Polaków liczy się tu także Stefan Ubaldini dalla Riva, którego grobowiec znajduje się na pilastrze z prawéj strony ołtarza św. Stanisława. O nim téż tyle wiemy, co z napisu. Rodzina Ubaldinich stara florencka miała się przenieść do Polski dopiéro około 1542 r. wedle Gamarriniego, ale u naszych gienealogów próżnośmy jéj szukali.

D. O. M.

Viator benevole.

Sistis gradum, haec quae vides non nisi miranda perlustras.

Stephanus de Ripa ex illustri Ubaldinorum familia hoc sub humo requiescit, Aetruscus genere, patria et natalibus Sarmata. Hic praeterquam quod virtutum splendore eluxerit, multa phiae et facultatis oratoriae eruditione linguarumque peritia, quam exteras peragrando regiones conquisiit, mirifice floruit. Hujus ingenium doctissimae Parisien. urbis gymnasia non obstupuere solum sed et laurea apollinari ut dignum iudicarunt, sic ornarunt et condecorarunt. Hunc in armis bellantem, strenuum et festum agnovit Moschus et exhorruit, vidit et audivit Turca, dum casu captum detineret. Turcicae inprimum post aliarum linguarum in eo peritiam, quam non nisi cum lacte materno eum suxisse credidit. His florentem tandem mors immatura post gravissimas morborum procellas, hic Patavii idibus Augusti Anno a Chro. nato M.D.C.XXI sustulit, posteritati haec, quae bene, pie et praeclare gessit. contemplanda et imitanda relinquendo, huic pio, pie viator, pie praeceris. Obiit anno aetatis suae XXXVI.

Z téj gmatwaniny uczonéj i napuszonéj siedemnastego wieku, właściwéj panegirykom i stylowi lapidarnemu, dojść tylko można,

iż Stefan della Riva (de Riva) urodził się w Polsce, przykładał do filozofii i nauk, podróżował wiele, uczył się, laur poetycki otrzymał w Paryżu, wojował w Moskwie i Turcyi, wzięty był w niewolę przez Turków i język ich sobie doskonale przyswoił, nareszcie po ciężkiéj chorobie zmarł w Padwie 36 letni. Pomimo starannego poszukiwania o nim u naszych pisarzy, żadnéj się nam wzmianki znaleść nie udało.

W lewéj nawie na pilastrze pierwszym, z prawéj strony, jest jeszcze grobowiec drugiego Sapiehy, Krzysztofa, z następnym napisem:

> Suspira viator, nam ingentis viri Christophori Sapiehae Supremi Pincernae Magni Ducatus Litvaniae paruum lapidem cernis, quem post incredibiles triumphos ab Ossmanno Turcarum rege, tum inhumano Moschorum Principe proprio sumptu et milite comparatos, foedusque cum maximo Poloniae plausu peractum Patavium lubenter excepit, mortuum non lubenter deploravit, adeo patriae nihil de cive suo praeter famam reliquit. Et ipsos cineres negavit mors ingrata. A. D. MDCXXXVII Novemb. XXVII aetat XXXVII.

Krzysztof ten był synem Mikołaja, wojewody witebskiego, z Wiśniowieckiéj, żonaty z Elżbietą Firlejówną, wojewodzianką sandomierską. *Eques Hierosolymitanus*, założył probostwo w Wisznicach na Podlasiu, zmarł bezpotomnie. Niesiecki krótko o nim wspomniał tylko; grobowiec czyni go mężnym rycerzem, o co naówczas nie było trudno.

Także na pilastrze, przy tym ołtarzu, znajdujemy kamień z napisem, poświęcony pamięci Stanisława Antoniego Fryznekera, filozofii i medycyny doktora, rodem z Krakowa. Ojciec jego, sekretarz królewski, był szlachcicem węgierskim, brat się także pisze z tym tytułem:

D. O. M.

> Et animorum flori lectissimo Stanislao Antonio Fryzneker philosophiae et medicinae doctori clariss, in Polonia Cracoviae orto. Ob ingenii doctrinae, virtutis praestantiam omnibus gratioso, sed brevi delicio in flore aetatis immatura morte ad immortalia translato, monumentum hoc amoris et doloris parens moestissima cum Joanne Fryzenekier C. C. Secret. Regio defuncti fratre carissimo P. Obiit. a. D. MDCLXXXVII id. Jul. an. aetat. XXVI.

Z tąż samą prawie datą, jest jeszcze grobowiec Horacyusza Secco, który zginął pod Wiedniem, w wojskach cesarza Leopolda. Wspominamy go tylko, jako jedynego może Włocha, co naówczas poległ.

Przez cały wiek XVIII, ani jednego już napisu polskiego nie przybyło w Padwie, ostatnie są współczesne i tych jest tylko parę; na ścianie wschodniéj klasztoru, przy kapitularzu, czytamy:

> Julio Jos. F. Dunin Wąsowicz Polono Comiti iuveni ingenii caeteris indolis suaviss: qui diutina phtisi conflictatus coelestia unice recogitans, animo pacatissimo emigravit XII Kal. Jnn. ann. MDCCCXXXIII natus anno XXIV. M. IV d. XV Julia O'Donella comitissa pos. cum lacrimis, filio desideratissimo.

Tylu tylko ślad na ścianach i w dziele Bernarda Gonzati wynaleść się nam udało.

Spisaliśmy je skrzętnie wszystkie, nawet już dziś nie istniejące, u św. Antoniego.

Ponieważ znalazł się tu ołtarz narodu polskiego, chcieliśmy wszyscy mieć przed nim nazajutrz nabożeństwo za naród polski. W tym celu, jako najwymowniejszy wyprawiony był Klemrod, aleśmy mu z Julmo towarzyszyli. Zastaliśmy księdza w zakrystyi właśnie zajętego przyjmowaniem ofiar na msze u grobu świętego. Znużony posłuchał prośby, ale zdawał się jéj zrazu nie rozumiéć, jak dziwnéj jakiéjś abstrakcyi. Śmieszném mu się wydało, żeśmy żądali mszy na intencyę narodu i u ołtarza, który zapewne za mniéj skuteczny uchodził, ale prośbę naszę popierała ofiara sztuczki dziesięcio-frankowéj. Ksiądz zadumał się długo i głęboko, ale koniec końcem potrząsł głową i machnął ręką po włosku, co oznaczało odmowę. Staliśmy zdziwieni.

— Nie, nie! — rzekł księżyna, ciągle palcami robiąc wyraziste giesta. — Za naród! nie można! ho! ho! — I trząsł znowu głową.

Przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy w granicach państwa austryackiego; dać modlić się w państwie J. C. Apostolskiéj Mości, powinuoby być wolno? Na naleganie nasze, ksiądz aż poszedł do przełożonego i po naradzie powrócił, cicho upewniając nas, że jutro rano msza święta będzie—ale sza!

Tak uspokojeni, wybraliśmy się jeszcze, korzystając z reszty dnia białego, na miasto.

Po krótkim odpoczynku w nieznośnéj naszéj gospodzie, ruszyliśmy daléj opatrując miasto. Obwożono nas po jego ciasnych,

ciemnych, domami wysokiemi ostawionych uliczkach, do *Piazza dei Signori*, który nam przypominał Wenecyę. Stoi tu na placyku (niby św. Marka) czysto płytami wyłożonym przed kościołem, maszt jeden (taki, jakich trzy jest w Wenecyi) i jedna ogołocona z patrona kolumna. Naprzeciw jest pałac Carrarich. Środkiem tego placu przejechawszy przez ciemną bramę, wjeżdża się na plac *delle Erbe*, z malowniczą facyatą pałacu Sprawiedliwości na kilka piętr wyniosłego z framugami, rzeźbami i ozdoby XV wieku. Stąd udaliśmy się na *Prate della Valle*, kędy właśnie rozpoczynał się ów sławny doroczny jarmark na konie.

Plac to największy w mieście, owalny, otoczony kanałem, w pośrodku ma przechadzkę cienistą, w dwa rzędy wysadzaną drzewami, na któréj stoją dokoła siedemdziesiąt cztery popiersia sławnych mężów, którzy albo w Padwie się urodzili, lub tu byli wychowani. Chociaż rzeźby te w większéj części nie są piękne, jako ozdoba placu, wyglądają dobrze. Pomiędzy niemi, podobno staraniem i kosztem Stanisława Augusta, umieszczeni zostali Jan III Sobieski i Stefan Batory. Wiedząc o tém, naprzód ich szukaliśmy, ale wykonanie popiersiów, nie odpowiedziało oczekiwaniu. Sobieski wygląda jeszcze znośnie, chociaż bardzo jakoś swobodnie wyidealizowany, do Batorego można było znaléść wzór lepszy, jest zupełnie fantazyjny, i nikt w nim energicznéj fizyognomii tego bohatera nie pozna.

Do koła przechadzki na placu, konie z okolic Padwy i miłośnicy ich dosyć byli zebrani licznie, mieliśmy zręczność poznać lombardzkich sportsmanów. Ale cóż to za różnica od naszego wrzawliwego jarmarku i od naszych ognistych koni! Koń u nas niekoniecznie był posługaczem, bydlęciem do pociągu i narzędziem do pracy; rycerska fantazya lubowała się w nim, w jego kształtach, w jego dzikości, w ogniu, we wdzięku. Jarmark téż dawniejszy bywał amatorskim nie handlarskim, zabawą szlachecką raczéj niż spekulacyą. Szachrowali na nim tylko wydrwigrosze, co wyzyskiwali młodzież zapalczywą i szaloną. Tu rzeczy stały inaczéj. Naprzód z końmi, jakieśmy tu spostrzegli, nie było sposobu wdawać się w romanse, były to szkapy tęgie, tłuste, wypasione, prozaiczne, ujeżdżone, spokojne, gospodarskie. Mało wogóle jeźdźców popisywało się na wierzchowcach, a te także przy znakomitych przymiotach, których się domyślać było wolno, nie miały powierzchowności nęcącéj. Większa część koni pozaprzęgana była do amerykanek, wózków i karyolek i tak sobie spokojnie plac dokoła obiegała, wyścigając się dobrym kłusem. Sprzedający i nabywający, jak z fizyognomii łatwo było poznać, nie chorowali na żadne wymysły, prosto bardzo szukali dobrych koni, patrzali

na nogi i obrachowywali, co szkapy podobne pociągnąć mogły i jak się wypłacić. Słowem jarmarkowi temu brakło, jeśli się tak wyrazić godzi, poezyi jarmarcznéj. Rozczarowani poszliśmy ku kościołowi św. Justyny, od którego byliśmy już niedaleko.

Ogromny ten gmach bardzo rozmaicie bywa sądzony przez znawców, jedni wspaniałą jego prostotę cenią wysoko i liczą go do najcelniejszych sztuki budowniczéj utworów, drudzy zarzucają mu styl nudny, oschły i zimny. Jest on dziełem XVI wieku, stawili go A. Riccio i A. Morone, który go dokończył w r. 1549.

Bądź-co-bądź, świątynia jest majestatyczna i piękna, dobrego stylu i niezwykłéj prostoty. Niewinną jest temu, że ją nieco opuszczono dla kościołów innych, stoi jakby nie żywą, czuć w niéj osierocenie. Zajmuje ona miejsce, w którém być miała dawniéj pogańska świątynia Zgody (*Concordiae*) i rozmiarami naprzód uderza. Na stopniach u wnijścia dwa ogromne gryfony stoją, jak dawniéj stawiono lwy dzikie, straszne, dusząc w łapach, uzbrojonych konnych rycerzy. Nie mogliśmy ani sobie wytłómaczyć, ani znaléść tłómaczenia tych postaci straszliwych. Wśrodku ogromna budowa nieco naga i zimna. W jednym z ołtarzów jest przypsuty obraz Veroneza, wystawujący męczeństwo św. Justyny, którego restauracya nie poprawiła. Przeszliśmy gmach, nie mogąc nic tak dalece znaleść zajmującego, a że nie mieliśmy cicerona, chodziliśmy po kątach szukając sami, czy się tam co na karm ciekawości nie znajdzie, gdy w opuszczonéj zakrystyi uderzył nas wszystkich niezwyczajnéj piękności obraz staréj szkoły. Po owym Bellinim u S. Zaccaria, nic podobnego nawet w bogatéj Wenecyi, spotkać się nam nie zdarzyło. Mało znany i niezbyt sławny przecie mistrz go malował, ale w wieku gdy o natchnienie łatwiéj było. Podpis opiewał: *Rumani de Brixia Opus*.

Pod łukiem ozdobnym na tronie siedzi N. Panna z dziecięciem Jezus na kolanach, nad głową jéj, dwa anioły trzymają koronę. Postać główna Matki Boga i dziewicy nieporównanéj niewinności, słodyczy, powagi, majestatu i uczucia swéj dostojności matki Zbawiciela. Dziecię to już ma w sobie bóstwo, już jest Bogiem i Panem, w oczach jego i postawie jest zwycięstwo śmierci. Po bokach stoją w prawo św. Scholastyka w czarnéj sukni zakonnéj, z gołębiem na ramieniu, cudna dziewicza postać, ale z porównania jéj z siedzącą na tronie, czujesz, że ta jest świętą poddanką, tamta błogosławioną królową. Za nią poważny św. Prodosianus, drugi biskup padewski, i z przeciwka św. Justyna, głowa wielkiego wdzięku, ze św. Benedyktem w szatach biskupich. Na stopniach tronu aniołek. Rysunek, kompozycya, koloryt świetny, wszystko w tém przepyszném dziele stoi na równéj wysokości.

Nie ma ono oryginalności popędliwéj, wyszukanéj, trzyma się w obrębach tradycyi wieku, ale wykonaniem dosięga tego, co w tym rodzaju wiek ów stworzył najdoskonalszego. Imię artysty mało znane wygnało do zakrystyi obraz, którymby się najgłówniejszy ołtarz mógł chlubić. Tém widzeniem skończyliśmy dzień nasz i powróciliśmy znowu temi staremi Padwy ulicami, wśród arkad, wśród murów, zieleni, ogrodów, na spoczynek do naszéj izdebki.

Z rana już przewodnik nas nękał, abyśmy szli oglądać... zgadnijcie co? nie kościół, nie obrazy, nie posągi, nie krajobrazy... próżno sililibyście się odgadnąć... kawiarnię tylko, niestety! kawiarnię, jednę z najsławniejszych wspaniałością kawiarni na świecie, *Pedrocchi*.

Wistocie gmach to jest wspaniały, ogromny, urządzony na skalę przechodzącą potrzeby Padwy, z pewną fantazyą, ze zbytkiem, ale nie sposób w Padwie rozwodzić się nad opisem kawiarni, choćby nią była nawet Pedrocchi. Zbliżający się fest świętego napełniał ją nieco, a z rozmów widać było, że odpust nie samém nęcił nabożeństwem; mówiono wiele o koniach, o teatrze, o pięknéj śpiewaczce pani B... więcéj nawet, niż o św. Antonim. Wypiwszy herbatę (z imienia tylko do zwykłéj naszéj podobną), śpieszyliśmy na godzinę oznaczoną przez księdza dla mszy przed polskim ołtarzem św. Stanisława, *pro natione polona.* Zakrystyan, jak zwykle przez czas trwania nabożeństwa dzwonił nam woreczkiem kwestarskim.

Kościół się coraz wypełniał, tłum rósł, uważaliśmy, że jak w kościele świętego Piotra w Rzymie nogę starego bronzowego posągu, tu także stopy świętego całują na płaskorzeźbie, która jest już mocno wycałowana.

Zostawało nam jeszcze wiele rzeczy do widzenia, trzeba było pośpieszać, chcąc oberżyście słowa dotrzymać i na odpust mu mieszkanie uwolnić. Szliśmy więc do Duomo, kościoła z XVI w., którego budowy rysunek podają za dzieło Michała Anioła, wykonany przez dwóch architektów, della Valle i Righetto. Gmach jest poważny, piękny, ale się niczém nie odznacza, dzieł téż sztuki nie ma w sobie. Jest tu pomnik Petrarki ze śmiesznym napisem: *Canonicus Canonico.* Z tego może powodu znajduję w notacie mojéj, że tutejsi kanonicy noszą fioletowe pończochy i kapelusze z czerwonemi wstążkami. Obok Duomo stoi Battisterio z 1380 r. malowany al fresco przez uczniów Giotta, dwóch Padovano: dosyć te obrazy porównać z freskami mistrza, aby gieniusz jego ocenić.

Klemrod, nielitościwy krytyk szkół starych, zanosił się od śmiechu nad naiwną niezgrabnością scen niektórych; istotnie pozostała nam w pamięci jedna—ucięcia ucha Malchusowi. Malchus poczci-

wy okazuje wiele dobréj chęci, by sobie ucho dać odjąć, święty wojak nie ucina, ale urzyna mu je z widocznym wysiłkiem. Sama budowa chrzcielnicy jest piękna i szlachetna.

Padwa chlubi się jeszcze największą salą na świecie, nie licząc dzisiejszych debarkaderów, a przynajmniéj jedną z najstarszych sal olbrzymich. Znajduje się ona na górze w pałacu della Ragione, na placu delle Erbe i musimy dla usprawiedliwienia się z oglądania jéj powiedziéć, że ma do 300 stóp długości, do stu szerokości, 75 wysokości, a została wzniesioną w r. 1209 przez Piotra Cozzo, i po pożarze odnowioną w roku 1420. W pośrodku tego gmachu ciemnego trochę, oznaczono kierunek południka. Ściany okrywały freski Giov. Miretto i jego uczniów przedstawujące sceny z życia ludzkiego pod gwiazd i konstellacyi wpływami; w których rozpoznać można alegoryczne cnót postacie, planety, miesiące i t. p. W głębi na tronie zabytek panowania rzeczypospolitéj—św. Marek.

Z sali téj, zapewne przeznaczonéj na zgromadzenia ludowe, dziś zrobiono rodzaj muzeum. W korytarzach wiodących do niéj stoją rzymskie starożytności, o których wydano księgę z godłem *tempus colligendi lapides* (był to czas dla Padwy zbierania już tylko starych kamieni). Pod tronem św. Marka pomnik Liwiusza z fałszywemi jego kośćmi i popiołami, daléj pomnik z popiersiem Lukrecyi Dondi dell' Orologio zabitéj mściwie przez kochanka, któremu się uwieść nie dała (1654 r.), dwa bazaltowe czarne egipskie posągi przywiezione przez Belzoniego z nad Nilu, i drewniany koń, wzór rumaka zapewne do odlewu, przypisywany rzeźbiarzowi Donatello. Koń, to jak owe wszystkie ideały starożytnych koni, począwszy od tych, które widzimy na kartonach Leonarda, na bitwach Rafaela, i na placach publicznych, aż do XVIII w. ciężki, gruby, przysadzisty, mocen nosić choćby bohatera na potężnym grzbiecie.

Na sam ostatek został nam do obejrzenia stary gmach uniwersytetu, którego podwórce i sale tylu naszych rodaków nogi deptały. *Il Bo* pochodzi z początku XIII w., ale dziś już dawném nie żyje życiem, które się gdzieindziéj przeniosło. Budowy, jak są, powstały między rokiem 1493 a 1552, wewnętrzny podwórzec z piękną kolumnadą wzniósł Sansovino. Na ścianach pełnó jest herbów dostojnych uczniów akademii, doktoryzowanych tutaj, między któremi gęsto się polskie w XVI i XVII wieku spotyka. Tu stoi posąg pięknéj, uczonéj, sławnéj Heleny Lukrecyi Cornaro Piscopia, któréj Padwa przyznała doktorstwo filozofii. Weszliśmy i do sal górnych z poszanowaniem dla tego ogniska, z którego tak długo na cały świat rozlewała się światłość. Wiadomo, jakiéj sławy zażywał w dawnych wiekach uniwersytet padewski. Dziś

liczba jego uczniów dochodząca niegdyś do 10,000, ledwie tysiąc kilkaset wynosi.

Zwiększyła się wprawdzie znacznie ilość zakładów naukowych na świecie, ale Padwa nie jest już tą przodownicą naukową, jaką była. Przyczyny odgadnąć łatwo. Dla nas ma ona urok wspomnień wielki, i dotykając tych ścian, przerzucając albumy wpisów, liczyliśmy ślady strumieni, któremi stąd i do nas tryskała nauka. Wielu z najsławniejszych mężów naszych w XV i XVI wieku tu dopełniali ukształcenia swego, tu gieniusz Jana Zamojskiego rozkwitł, tu on pisał swą rozprawę *De Senatu Romano*, dziś do największych liczącą się rzadkości. Do dawniejszych europejskich gwiazd Padwy należy Petrarka. Zapomniano poemat jego, na który najwięcéj liczył („Afryka“), żyją sonety i to, co uczucie głębokie wydało. To co stworzył rozum i sztuka nauką podsycone, mniéj było trwałém nad serca bicie. Z XIV wieku pozostał w bibliotece wizerunek poety. Biblioteka uniwersytetu w *Salone dei Giganti*, liczy zaledwie 50,000 tomów, mało co od niéj mniejsza jest seminaryjna. Kilka pięknych rękopismów z miniaturami tu i przy kościele znaleść można.

Po obejrzeniu bardzo niedokładném akademii, musieliśmy biedz do gospody, zjeść jakie takie śniadanie i coprędzéj uciekać, aby nas pociąg szybki idący z Wenecyi do Medyolanu nie minął. Skorzystał z tego szanowny gospodarz, który nas nakarmił czém chciał i opróżnił co rychléj izbę na ów odpust, wielkich nadziei. Szczęściem stanęliśmy na kolei przed pierwszą godziną. Drogę z Padwy do Medyolanu potrzeba było przebiedz, nie zatrzymując się, bo skwary nam groziły, czas mieliśmy skrzętnie obliczony i rzucenie okiem na Weronę, nie wieleby do wspomnień naszych dodało.

Rzuciliśmy nie bez żalu starożytne i piękne mury Padwy, a pociąg poleciał szybko przez równiny i płaszczyzny dosyć jednostajne. Lombardya wydała się nam monotonną, ze swemi polami porozdzielanemi drzewy spiętemi latoroślami winnemi. Wpośród poobcinanych drzew zasiane kwadratami zboże po wołyńskiém i ukraińskiém nie dziwiło bujnością. Ziemia czerwona, gliniasta, może sama z siebie niezbyt żyzna, pracowicie była uprawną i polepszoną. Rzadko spotkaliśmy łąki, na których także rosły drzewa, ale nie połączone winną macicą. Budynki gospodarskie, folwarczne wszędzie murowane, miały pozór ładny ze swemi arkadami, wieżyczkami, dachami, przybudówkami i fantazyą, z jaką je wzniosła nie kunsztowna ręka. Obok wszystkich prawie kościołków ukazywały się kampanille pojedyńcze.

Mało gdzie spotkaliśmy wodę, drzewa nie rozrosłe i nie stare, znać je dla spekulacyi ścinają. W gorszych miejscach na nizinach były plantacye wierzb prędko rosnących na opał i inne gospodarskie

użytki. W prawo i w lewo łańcuchy gór Euganeeńskich i Alp, to się podnosiły, to nikły. Z prawéj te szczyty pięknéj powietrznéj barwy towarzyszyły nam prawie do Medyolanu, właściwiéj do Bergamo. Widać je z wierzchołka Duomo.

Pędząc koleją, niebardzo się krajowi przypatrzyć można. Droga do Vicenzy płaska, miasteczka ledwie się ukazują zdała i nikną, podjeżdżamy ku Weronie, wpatrując się w góry coraz inaczéj a ślicznie oświetlone. Werona wspaniale się ukazuje z gmachami swemi, z willami dokoła, z okolicą pełną ruin zamków na górach, wspomnienie Romea i Julii białą nad nią leci chmurką. Dlaczego gieniusz poety trwalszą okrywa sławą niż dziejowe całuny? Z jednego grobowca obrosłego chwastem wyrosnął ten kwiat cudowny.

Aleśmy ledwie przystanęli, lecim znowu, kraj coraz piękniejszy. W Peschiera ukazuje się prześliczny widok na jezioro Garda.

Z przodu zamek, daléj szklana szyba wody ostawiona górami, jakby je malarz sam układał. W spokojném zwierciedle jeziora odbijają się góry, a cała przestrzeń lśni się bogatemi tonami świateł i spokojnemi, łagodnemi cieniami mroków gór. Ale to widzenie krajobrazu wspaniałego trwa chwilę, góry się zsuwają, jak dekoracya teatralna, woda zwęża i znika, podróżni z westchnieniem chowają głowy do wagonów. W Brescia góry zbliżają się z prawéj strony i ciągną, to przysuwając, to uciekając do Ospitaletto, tu łańcuch ich mgłą się oddalenia zasnuwa i sinieje profilami ciemnemi na horyzoncie. Ale i zmierzch nadchodzi i wieczór wiosenny, chłodny spuszcza się na ziemię. Na stacyi pod Medyolanem, w krótkim przestanku ciszy, usłyszeliśmy w błotku nad drogą skrzeczenie żab, przypomniały się na wsi wieczory, bo żadne żaby nie skrzeczą, jak polskie!

A! na wygnaniu, stęsknionym, osieroconym, i ten głos jest drogi... ileż on wiosennych, młodych wieczorów u brzegów stawów naszych, w sercu pamiątkę odżywi. Ale tu tysiące lucciolów jasnych latających w powietrzu, a żywszych od naszych robaczków świętojańskich, dawały znać, żeśmy bliżéj południa. Otóż drzewa w mroku poważniejsze jakoś, i mury wyższe, jesteśmy w Medyolanie. Nic jednak widziéć niepodobna, jedziemy szerokiemi ulicami, a traf, los, czy dola mieszczą nas w Hôtel de la Ville, na trzeciém piętrze, na głównéj wprawdzie ulicy, ale w pobliżu dwóch karyljonów kościelnych i w dusznych izdebkach. Szczęściem nie zabawimy i tu długo!

Nim rozpoczniemy wędrówkę po stolicy Lombardyi, potrzebujemy przypomniéć, żeśmy ją odbywali w r. 1858, to jest przed wielkiemi wypadkami, które losy półwyspu zmieniły; wprzódy niżeli działa zahuczały w Magenta i Solferino. Medyolan był jeszcze stolicą prowincyi i stolicą Włoch zostających pod przeważnym wpływem

Austryi, żył on żywotem wcale innym niż dzisiejszy! Dlatego obraz miasta nawet, obyczaju mieszkańców wcale był odmienny, chociaż tu władze austryackie obchodziły się z wielką łagodnością z krajem podbitym. Ludność wydawała się zrezygnowaną, cichą, ale smutną, a życia tętna biły w innych sferach, w których mogły uderzać prawie swobodnie.—Znać było zresztą w stosunkach do władz, jak dalece one ustępstwy pragnęły przejednać mieszkańców, zostawując im wszystko, co bez szkody dla siebie, na zabawkę i rozerwanie dać mogły. Gdyśmy nazajutrz, w niedzielę pogodnym rankiem wyszli na Corso, dążąc do najsławniejszezo *Il Duomo*, jako do króla medyolańskich ciekawości, pierwszym rzutem oka objęliśmy miasto wielce porządne, czyste dosyć, spokojne, ciche, ale nie noszące na sobie cech miasta włoskiego. Było to coś z materyału tego zrobione, więcéj europejskie, niż miejscowe, starły się zeń znamiona, charakter, żywność, swoboda, nawet niedbalstwo Włochów. Medyolan naówczas dziwnie nam przypomniał Warszawę, ale z mniejszym jeszcze ruchem i życiem. Po Wenecyi i Padwie uderzał mieszaniną jakąś żywiołów, które zeń czyniły zimną kosmopolityczną stoliczkę, widocznie pracującą nad tém, aby się pozbyć swéj staréj włoszczyzny. *Corso* było już tak czyste i porządne, jak żadnéj ulicy we Włoszech (nie widzieliśmy naówczas jeszcze Turynu) być się nie godzi. Jedną cechą starą były na głowach kobiet podaniowe zasłony czarne zamiast kapeluszów, bardzo je pięknie przystrajające. Aleśmy zostawując świat żywy późniejszému obejrzeniu i studyom, pośpieszali pędem zdyszani do świątyni, do *Duomo.*

Nim je opiszemy tak, jak się ono nam przedstawiło, i powiemy, jakie na nas uczyniło wrażenie, słówko naprzód o budowie i dziejach świątyni, przygotuje ono najlepiéj do widzenia jéj.—Ten kościół, jeden z najwspanialszych, najsławniejszych i najpowszechniéj z wizerunków znanych, począł się budować w r. 1386 w skutek ślubu uczynionego przez Jana Galeasa Visconti, książęcia Medyolanu.—Cały wzniesiony jest z białego marmuru (który kopią w okolicach *Lago maggiore in Candoglia*), na miejscu, gdzie dawniéj stał założony w r. 836 kościół metropolitalny N. Panny.—Nie można powiedzieć, żeby był do dziś dnia skończony, gdyż przyozdobiające go posągi jeszcze przybywają i zewnątrz ciągle się wypełnia i ukwieca, już i tak do zbytku kwiecisto gotycko rozrosła budowa, któréj główna facyata wszakże, rysunku Pellegrini, jest niby klasyczna. Spojrzenie na jaki bądź rysunek (o które zresztą nie trudno), lepiéj nauczy, niż najskrzętniejsze opisanie gmachu, najeżonego wieżyczkami gotyckiemi i zadziwiającego mnóstwem wyszukanych koronkowych, delikatnie rzeźbionych ozdób. Główną

piękność stanowi górna część świątyni bujnie okryta strzałami z białego marmuru, niezliczonemi jakby łodygami wyrastającemi z tego kosza, na których jak owoce rosną tysiącami posągi...

Ten las słupków, strzał, wieżyczek, rzeźb, jeży się ku niebiosom z wielkim wdziękiem, z wielką siłą żywotną, ale gmach, z którego wyrastają, mimo to jest ciężki i widać, że brak wielkich linij chciał okupić tém mnóstwem szczegółów niepoliczonych.—Aby dać wyobrażenie téj bachanalii posągów, powiemy, że w niszach na podstawach, w kątkach dachu marmurowego i jego strzał mieści się już z górą sześć tysięcy statui, które dojdą do dziesięciu, gdy wszystkie się niemi zapełnią... Spojrzawszy pierwszy raz na Duomo, staje się zdziwionym, przestraszonym prawie, ale wcale nie zachwyconym, rzeźba tu zabiła architekturę.

Wewnątrz wszedłszy, kościół przedstawia się poważnym, wielkim, nieco nagim po téj rozpuście z jaką z wierzchu jest ozdobiony; grube słupy podtrzymujące sklepienia, i porównanie wrażenia, jakie czyni zewnętrzna fizyognomia z wnętrzem, czynią je prawie nizkiém.—Uderza i to mimowolnie, że podniósłszy oczy widzi się zaraz, iż sklepienia kościoła są tylko malowane dekoracyjnie. Zewnątrz marmur wystrzygany, wycięty delikatnie, tu... łudzące tylko malowanie.

Zdaje mi się, że zestawienie tych dwóch sprzeczności stanowi o charakterze całym katedry, potwierdza go bliższe jéj obejrzenie. Jest ona wewnętrznie bogata, jest piękna, ale wygląda na muzeum, na salę wystawy raczéj, niż na kościół Panu Bogu wzniesiony, człowiek myślał o sobie, gdy go stawiał, chciał się pochwalić swoją potęgą i umiejętnością przed ludźmi, Pan Bóg służył za pretekst.

Pomimo osobliwości, jakie kościół zawiera, i ci co je pokazują, i sam oglądający czuje i wié, że wnętrze kościoła jest rzeczą stosunkowo mniejszego zajęcia, że cała jego cudowność skupia się na dachu, rozlewa na zewnętrznéj skorupie.

Zaczęty przez Galeasa Visconti, kończony przez Ludwika Moro, dopełniony przez Napoleona, il Duomo jest największą świątynią po św. Piotrze rzymskim. Szeregi słupów związanych dzielą go na pięć naw. Po nad każdym z nich w trybunach ozdobnych wznoszą się posążki świętych, daléj łuki sklepień gotyckie kończą się malowanemi tylko ozdobami. W pośrodku kaplicy podziemnéj, w którą przez otwór okrągły zajrzéć można, spoczywało ciało św. Karola Boromeusza, w trumnie kryształowéj, okrytéj srebrnemi blachami. Być bardzo może, iż gmach cały robiłby inne i większe wrażenie, gdyby zewnątrz widziany wprzódy, nie uderzał sprzecznością zbytku z prostotą stosunkowo nagą środka kościoła.

Z dzieł sztuki wnętrze téż niéma nic tak nadzwyczajnego, szczególniéj na Włochy.

W zakrystyi pokazują obraz Daniela Crespi namiętnie i ogniście malowany, wystawujący cud św. Karola Boromeusza, Ch. Gobi piękny posąg Chrystusa u słupa, popiersia bogate biskupów i wiele bogactw i kosztowności kruszcowych i kamiennych. Z XI wieku jest wspaniała i oprawna wytwornie Ewangielia, są roboty Celliniego i obrazy Pellegriniego z jedwabiów.

W kościoła kątku przewodnik pokazuje osobliwszą figurę anatomiczną, św. Bartłomieja, odartego ze skóry, marmurowe *écorché* akademickie, z szumnym podpisem, że nie Praksyteles je rzeźbił, ale *Marcus Agrates*; każą oprócz tego przypatrywać się mnóstwu rzeczom, które nie zostają w pamięci. Nareszcie u drzwi bocznych dostajesz się w ręce tego, który ma cię wpuścić na dach, w ten las rzeźb i posągów, którego obejrzenie jest najgłówniejszym celem. — Tu rachując na podróżnych, przysposobione jest zupełne biuro i handel, pobiera się opłata, sprzedają książeczki, ryciny, medale, kawałki marmuru i t. p. Otwierają się potém drzwi i poczyna wstępować po wschodach na dach świątyni, który jest najbogatszą jéj ozdobą. Po drodze spotykamy napisy ostrzegające, (dziwne trochę dla ludzi północy), ażeby nie plugawić... Ostrożne Włochy wszelkiego rodzaju wygody dla podróżnych obmyślili na dachu kościelnym... Wszystko to dzikie jakoś i dla nas niepojęte.

Na górze spinasz się do pierwszego, drugiego, trzeciego piętra, ciągle wpośród lasu rzeźb białych marmurowych, jakby stalaktytów jakiéjś skały olbrzymiéj, wśród nieskończonéj rozmaitości posągów, które się mieszczą wszędzie, gdziekolwiek uczepić się mogły. Dach ten pokryty marmurem sam stanowi odrębną jakąś osobliwszą budowę pełną tajemniczych przejść, uliczek, wschodków, kolumn, wieżyczek i zadziwiającą ogromem drobnostek, z których ta całość się składa. Jestto cały świat kamienny stworzony wiekową pracą... Widok z tego wierzchołka kościelnego ogromny i przecudny, ale każą ci podziwiać wszystkie cząstki, a nieznośny przewodnik wskazuje, co stworzył Napoleon, co się w téj chwili kończy i co zostaje do skończenia jeszcze. Ten posążek św. Jana jest Canowy, ten Adam i Ewa, energiczne dwie postacie, wykonano z rysunków Michała Anioła, ten kampanił jest z XV wieku, inny o sto lat późniejszy i t. d. Nareszcie, gdy cię tak znuży swym rejestrem na pamięć wyuczonym cicerone, daje ci kawałeczek białego marmuru i gotów już pozbyć cię się jaknajprędzéj, aby drugą pochwycić ofiarę...

Naówczas dopiéro oddany sam sobie, spoglądasz swobodniéj pytając się, jest-li to kościół? jest-li to dzieło sztuki jednolite, jest-li

to tylko popis potęgi człowieka i próżności ludzkiéj. Myśl co dźwignęła piramidy, zbudowała i ten kolos lśniący marmurem, jest to Babel rzeźb, obudzająca podziw, zimny i nie poruszający duszy.

Jest w obyczaju wędrowców bezwarunkowo wielbić piękność budowy, któréj my widzimy tylko wielkość i bogactwo. Większe często wrażenie czyni mały kościołek pięknego, czystego rysunku, niż ten potwór rozrosły, jak polip a lepiony kawałeczkami.

Wspomniałem o widoku, ten jest rozległy i wspaniały na szeroką Lombardyę dokoła, na wschód ku Treviglio, na wschodo-północ lekko zarysowują się, aż ku północy ciągnące szczyty gór, które w południe nikną, ku zachodowi oko sięga do Novary, od południa równiny zielone ku Genui, całe miasto i kościoły jego pod stopami. Przeszedłszy już bez przewodnika wśród posągów zaczarowanego świata, czas w ostatku zstąpić na ziemię, odbywszy jeszcze u wnijścia w biurze krótką stacyę, dla zakupienia pamiątek. Może być, że ten handel w kościele jest nieuchronny, ale rażący.

Po katedrze najciekawszym pomnikiem sztuki w Medyolanie jest ta sławna *Wieczerza Pańska Leonarda da Vinci*, która ze wszystkich arcydzieł na ziemi najdziwniéj nieszczęśliwych doznała losów. Historya tego obrazu, jakby żywéj istoty, ma dramatyczne koleje, ma błyski szczęścia i niesłychane niedole. Mimo to *Wieczerza* wycierpiawszy wiekowe męczeństwo, jest jeszcze dziś jedném z najgłośniejszych w świecie dzieł malarstwa. Wspomnieliśmy o niéj pisząc o Wiedniu, gdzie prześliczna jéj kopia mozajkowa zawieszona jest u minorytów.

Nim wnijdziemy do tego przybytku, który w sobie mieści cień nieśmiertelnego obrazu i pozostałe jego zwłoki, powiedzmy naprzód coś o jego losach.

Było zwyczajem bardzo dawnym, jak się o tém przekonać można we Florencyi, gdzie Wieczerza Giotta, Rafaela i Andrzeja del Sarto znajdują się w refektarzach, mieszczenia w stołowych izbach zakonników obrazu ostatniéj uczty, w któréj obok boskiego mistrza skupili się jego uczniowie. Były téż i tradycye pewne w sposobie przedstawienia téj godziny pożegnania i proroctwa. Zakonnicy klasztoru *S. Maria delle Grazie* zażądali od Leonarda wieczerzy. Wprzódy już jednę ścianę całą freskiem wystawującym Ukrzyżowanie okrył Donatus Montorfanus, przeciwległy jéj mur dano Leonardowi. Dodać potrzeba, iż gmach (a refektarz szczególniéj) są zbudowane w miejscu wilgotném; malarz prócz tego chciał spróbować na murze nie *al fresco*, ale sposobem nowym, obraz malo-

wać *olejno.* Stworzywszy jednę z najdoskonalszych kompozycyj, poddał ją losom nieszczęsnéj próby.

Prawdopodobnie we dwa lata po ukończeniu wieczerzy, powódź zatopiła budowy i poddała świeżą robotę wpływowi wilgoci; poblizka kuchnia za ścianą osuszała jednę jéj stronę, zostawując drugą na łup powolnego rozkładu. Mówią, że wkrótce potém, myślano już oceniając obraz o wypiłowaniu go i przewiezieniu do Francyi, ale myśl ta Franciszka I do skutku nie przyszła. Szczęściem nim się skorupa muru osypywać zaczęła, Vespino w 1612 zrobił kopię wierną, wspomagając się kartonami Leonarda. Pod obrazem były drzwi do kuchni; zakonnikom wydały się one za nizkie, wybito je wyżéj, naruszono malowanie, wstrząśnięto ścianę całą. Nie dosyć na tém, gdy już obraz wielce był nadwerężony, poczęto go restaurować; a restaurował nie jeden świętokradca, ale kilku jeden po drugim co lat kilkadziesiąt. Tak dożyła wieczerza do czasów Bonapartego, który ujrzawszy ją, uwolnił dla niéj klasztor od kwaterunku. Pomimo to zrobiono z refektarza stajnię—czasy były wojenne, a naówczas, jak wiadomo, i ludzie i ich arcydzieła koniom miejsca ustępować muszą. Potém jeszcze przyszły powodzie, wilgocie, klęski i nierychło jakoś poszanowano nieszczęśliwe reszty, zabezpieczając refektarz od dalszych profanacyj.

Któż nie zna przepysznego sztychu Rafaela Morghen'a, który wskrzesił Wieczerzę i, rzec można, odtworzył ją na nowo.

Niémà może popularniejszego zasłużeniéj obrazu na świecie, nad Wieczerzę tę, którą wszelkie spotykały koleje, nawet nieudolnych i karykaturalnych powtórzeń z materyałów wszelkiego rodzaju. Szyto ją na kanwie, lano z bronzu, a głowa Chrystusa, sama, cudowny typ idealny, jak go pojął Leonard, w milionach kopij rozproszyła się po całéj kuli ziemskiéj.

Jużeśmy mówili, że Wieczerza znajduje się w refektarzu klasztoru, który należał dawniéj do wspaniałego kościoła *delle Grazie,* budowy XV wieku oryginalnéj, pięknych linij, a materyałem przypominającéj nasze, bo cała jest z cegły, a raczéj z cegieł różnobarwnych i *terra cotta.* Klasztor, jego krużganki i podwórce zajmowało jeszcze wojsko, ale refektarz, jako czyniący dochód i szczególniéj z tego względu, bo wątpię, by przez poszanowanie dla sztuki, starannie oddzielony jest i utrzymywany. Posądzam, że ten, co pilnuje zwłok Wieczerzy, trzyma ją w dzierżawie, i tu též, zaraz u drzwi, mały handelek założono. Sprzedają się fotografie wielkie, małe, ryciny, objaśnienia, książki, kopie, co chcecie; nie mówię, że od wnijścia się płaci, bo to już chleb powszedni. Refektarz prostokątna izba, naga, smętna, ma teraz podłogę, jest na

czém siąść, a artyści nieustannie dla Anglików kopiują Wieczerzę, ale... o kopiach tych lepiéj chyba nie mówić, dalszy to ciąg martyrologu Leonarda.

Na pierwszy rzut oka na obraz, serce się ściska... jest to niby we mgle widziany sen mistrzowskiego arcydzieła. Restauracye niegodziwe jeszcze jak rany i blizny czuć się dają. Części niektóre świętokradzko zamazane. Koloryt ciemny, nieprzezroczysty, kawałów całych braknie. Ale, mimo to wszystko, wpatrzywszy się, zdaje ci się, że ze ściany występuje odgadnięta wielka godzina boleści, że to jest widzenie rzeczywistości, a zniszczenie obrazu, któż wié? może go jeszcze poetyczniejszym czyni.

Krytyka byłaby występkiem, nigdy bowiem sztuka, tak olbrzymie mając przed sobą zadanie, nie podołała mu tak gienialnie, a z takim spokojem i bez wysiłku. Cechuje to Leonarda obraz, że widać, iż nie rozumną tworzył go kombinacyą, ale wyśpiewał uczuciem wielkiém. Chrystus wśród uczniów, pomiędzy niemi jest jeden, który go ma zdradzić, jeden, który go odstąpi, inni, co go odbiegną w blizkiéj godzinie męczeństwa. Uroczysta wieczerza brzemienna jest Golgotą, wśród spokoju, jaki panował przed chwilą, pada postrach, Zbawiciel wypowiada słowo bolesne: Jeden z pomiędzy was mnie zdradzi! (*Amen dico vobis, quia unus vestrum me traditurus est.*)

Przyjmujemy wykład uczuć, jakie urzędownie na kartce drukowanéj podaje ci przewodnik, abyś się nie mozolił nad ich odgadywaniem. Jest to wistocie dość trafna charakterystyka fizyognomij i figur Wieczerzy.

Bartłomiej (pierwszy w lewo od patrzącego) wątpi, i obraca się do mistrza, żądając potwierdzenia tego co rzekł, co mu się niepodobném wydaje; Jakób sprawiedliwy pyta siedzących przy sobie nieco spokojniéj. Andrzej przejęty jest podziwem i osłupiony, Piotr dopytuje groźno i gniewnie, Judasz zdziwiony, że został odkrytym, udaje spokojnego. Jan obraca się do Piotra i ruchem swym odsłania głowę Zbawiciela. Oblicze jego łagodne, poważne, a smutne. Jakób starszy przerażony, Tomasz przysięga pomstę, Filip upewnia o swéj wierze i miłości, Mateusz z boleścią potwierdza słowa Zbawiciela, Tadeusz podejrzewa, Szymon wątpi.

Tak tłómaczą znawcy grę fizyognomij, ruchy postaci i ich układ, ale zgadują czy nie, ktokolwiek się wpatrzy, czuje całą wielkość tego dramatu. Chrystus jest nadzwyczajnéj piękności.

Od pierwszych wieków chrześcijaństwa silono się na wydanie oblicza Boga-Człowieka, i w miarę, jak się zmieniały pojęcia, sztuka także wyrażała je rozmaicie. Chrystus w Katakumbach, w Muzeum Watykańskiém, w bizantyjskich freskach i mozaikach,

zachowując pewne tradycyonalne rysy, które ów list apokryf zebrał i utrwalił późno, mieni wyraz, jest surowym sędzią i miłościwym ojcem, jest cichym barankiem i niezbłaganym mścicielem. Między dwoma skrajnemi typami, z których jednym jest Michała Anioła w Sądzie ostatecznym, a drugim Carlo Dolce naprzykład, miliony mamy odcieni pośrednich.

Ci, co się kusili o wydanie dobroci niewyczerpanéj, zapominali o potędze, ci co pragnęli wyrazić siłę, nie umieli z nią połączyć miłości. Charakter Boga-człowieka powinien był w jednym typie połączyć wszystko, co Bóg w sobie jednoczy... Sztuka ucieleśnić tego ideału nie mogła. Przebiegając cały szereg twarzy Chrystusa, widzi się zawsze bezsilność jakąś, niedołęstwo człowieka. Leonard czuł bardzo dobrze, na co się porywał, głowę tę Zbawiciela studyował wielekroć i prawie w niéj doszedł, dosięgnął wyżyny, po nad którą wznieść się nie można. Charakter siły wszechmocnéj i dobroci nieziemskiéj łączą się w tém obliczu pięknéem, spokojném, pełném powagi i majestatu. Wpośród tych twarzy ludzkich, namiętnych, oburzonych, on jeden *patiens quia aeternus*; a najmilszy uczeń jego najbliżéj téż wyrazem swym jest mistrza.

Pomimo niezmiernéj dramatyczności sceny, nic w niéj przesadnego i do zbytku gwałtownego nie znajdziesz. Aby rozmierzyć tę przestrzeń, jaka dzieli gieniusz od naprężonéj słabości, dość z pamięcią téj wieczerzy, przypatrzyć się we Florencyi, utworzonéj przez G. Vasari. Jest to poemat, jest to widzenie, a jako utwór artystyczny Wieczerza stoi na najwyższym szczycie, który dzieli malarstwo natchnione i religijne od przerodzonego w pogańską mitologię.

Z poszanowaniem spogląda się na nieśmiertelną kartę, od któréj oderwać się trudno.

Jeżeli co może wobec Wieczerzy przykro zaboléć, to profanacya, jakiéj ona doznaje od nienamaszczonych kopistów; napróżno się unika spotkania z temi robotami tuzinkowemi, niepodobna się z niemi rozminąć. Olejno, akwarelą, ołówkiem, biedni wyrobnicy tłómaczą po swojemu Leonarda. A że się tu więcéj niż połowy domyślać potrzeba, wyobrazić sobie łatwo, co tworzą!

Dla zimnego człowieka byłoby może ciekawém studyum rozpatrywać, jak ze szczątków każda mierność po swojemu odbudowuje gieniusz. W samym kościele jest kaplica okryta freskami Gaud. Ferrari, typ Chrystusa nawet po Leonardzie zastanawiający i piękny.

W chórze jest Madonna Luiniego.

Pierwszy to raz wspominamy imię, które obchodząc Medyolan, niejednokrotnie powtórzyć będziemy zmuszeni. Cała tutejsza szkoła malarska zaczyna się prawie od Leonarda, a kończy na tym jego uczniu Luinim. Luini i Ferrari rozdwoili mistrza i podzielili się

nim; pierwszy wziął całą słodycz jego, drugi siłę. Luini w obrazach też Matki Boskiéj celuje i jest nieporównanym, czém Bellini w Wenecyi, tém on jest tu, wyrazicielem spokoju i miłości chrześcijańskiéj. Gdziekolwiek spotka się Luiniego, poznać go można po wyrazie jego postaci owianych miłością, ukołysanych pokojem, jakiego świat dać nie może. Bardzo niewiele dzieł Leonarda uchowało się w Medyolanie. Luiniego są liczne i piękne.

Wróciliśmy do domu znużeni i zadumani wszyscy, pod świeżém wrażeniem Wieczerzy, skazani właśnie na zabranie miejsca za prozaicznym stołem gospodarskim naszéj gospody. Najdziwaczniejsza mieszanina gości z różnych końców świata okrążyła kwadratową *tavola rotonda.* Mieliśmy Anglika, Turka, Amerykanina, kilku Włochów z rozmaitych części półwyspu, Niemców, Francuza i Serba. Typy twarzy stanowiły sprzeczności ponętne dla artysty; ale gdyby je nawet malować zapragnął, cóżby począł z nieszczęsnemi strojami XIX wieku. Nawet Turek, wchodząc między cywilizowany naród, przywdział surdut i fez tylko zatrzymał.

Nie wiem, czy tak zawsze na świecie bywało, ale w Europie dzisiejszéj pierwsze uczucie, które się obudza w ludziach, gdy ich traf do siebie zbliży, jest obawą i niewiarą. Smutne to daje świadectwo o wieku. Każdy swojego sąsiada podejrzewa, usuwa się, odosabnia, stara o to, aby żadnych nie zawiązać stosunków. Dobrego wychowania dowodem jest milczenie. My mogliśmy, zachowując je dla drugich, mówić między sobą, bo język nasz mało komu znany, rozgraniczał nas od towarzystwa. Po chwili jednak najmniéj cywilizowany Serb się do nas począł uśmiechać, i wtrącił do rozmowy, mówiąc po serbsku. Zrozumiéć się było można, a przyjąć go było potrzeba, bo biedak cierpiał na osamotnieniu. Nie przywykł był jeszcze do dzikości ludów cywilizowanych, utyskiwał na to, że w świecie tyle różnym od tego, w jakim żył, stosunki były wielce utrudnione.

Jakże mu to było wytłómaczyć! przestrzeń wiekowa dzieliła Serbię od Europy; w któréj my już zaawansowani jesteśmy, a czuliśmy się nie swoi. Oprócz nas czterech, stół milczał, dwie Angielki szeptały między sobą, domyśleliśmy się, że oburzało ich nasze barbarzyństwo. Goście podsuwali sobie półmiski, dziękując skinieniem głów, a oczyma dokazywali istotnie cudów, kierując je tak, aby się z wejrzeniem nieznajomych nie spotykały. Nawet wino, co rozwiązuje języki i daje wymowę milczącym, nie przełamało mocnego postanowienia zachowania przyzwoitości. Niecierpliwszy od innych Francuz, wyraźnie podróżujący komisant, to pomrukiwał pod nosem, to zaglądał z nudów do swych książek

z notatkami. Ogniste jego wejrzenia, na piękną Angielkę złotowłosą rzucane, powracały odbite od skalistéj jéj obojętności, jak od zimnego muru.

Obiad, w którym, może dla Anglików, po dwakroć w różnych nieco postaciach wracał bifsztek z kartoflami, trzykroć kartofle (przez lojalność zapewne) i różne mdłe rzeczy, skończył się nareszcie z wielką dla wszystkich pociechą; bośmy wspólnie wszyscy sobie zawadzali... Francuz deser urwawszy, nim go roznosić zaczęto, wstał pierwszy i spojrzawszy na zegarek, uciekł.

Myśmy po obejrzeniu katedry, po Wieczerzy i po utrudzającym obiedzie, nie mieli ochoty iść na pańszczyznę podróżną, puściliśmy się w miasto dla poznania z niém. Pierwsze wejrzenie dało nam przeczucie Medyolanu, bliższe widzenie coraz je bardziéj stwierdzało. Była to stolica w stanie przeobrażenia się z włoskiego niegdyś grodu, na porządny Stadt niemiecki. Postęp uczyniony na drodze téj metamorfozy był już wielki, ulice były czyste, ludność uspokojona, zmiękła, blada jakaś i bez życia. Typy twarzy zdradzały ogromną mieszaninę plemion rozmaitych.

W *Giardino publico* jak na *Corso di Carozze* zastaliśmy dużo ludu, pomieszanego z żołnierzami, pełno bon i dzieci szczególniéj. Muzyka grała bardzo skocznie, dzieciaki tańcowały, w budkach przedawano wyborne czereśnie, a zgarbiony Włoch roznosił na plecach świątynię z chorągiewką u góry, wołając: — *Aqua fresca!* — które brzmiało, jak *frisches Wasser!* Wogólności Medyolan wydał się nam daleko bardziéj pojednany z teraźniejszością niż Wenecya. Dobry byt, przyznać to potrzeba, znać było na większości mieszkańców, towarzyszyła mu jakaś apatya zaspokojona i cicha. W tłumie nie było hałasu i wrzawy, a bony Włoszki uśmiechały się do huzarów niemieckich bez najmniejszego dla nich wstrętu. Obeszliśmy ogród publiczny, objechaliśmy miasto i pilniejsze przeglądanie się po różnych jego kątach nic nam nie odkryło nowego; żadna boleść i tęsknica nie zdawała się poruszać czarnych zasłon, w których tak pięknie było Medyolankom. Z tego usposobienia ludu godziło się domyślać, że mało różny był stan umysłów w innych sferach społeczeństwa.

Nazajutrz rano nie wiem, jakim szczęśliwym trafem, jeden z naszych ziomków bawiący w Medyolanie, pan Emil P.... dowiedziawszy się o nas, przyszedł z tą uprzejmością i gościnnością nam wrodzoną, poznać się i ofiarować pomoc swą do lepszego obejrzenia miasta. Przyjęliśmy mile przyjacielskie pośrednictwo jego i użyliśmy zaraz idąc razem do *Ambrosiany*.

Jest to jedna z najstarszych bibliotek na użytek publiczny przeznaczonych, założona w początku XVII wieku, a dziś licząca

do dziesięciu tysięcy rękopismów, między niemi nieoszacowane zabytki dla dziejów i sztuki.

Oprócz ksiąg i rękopismów jest tu także zbiorek rzeźb i rysunków wielkich mistrzów włoskich. Perłą jego karton Rafaela Szkoły Ateńskiéj niewykończony, rysunki Leonarda i obrazy Luiniego, który tu w całéj swéj chwale jaśnieje. Trzebaby regiestru na wyliczenie samych osobliwości Ambrosiany, ułamek biblii Ulfilas'a, papirusowy z VII wieku Józef, Wirgiliusz z miniaturami, palimpsesty mów Cycerona, Dante z illustracyami staremi, żywoty biskupów medyolańskich z przepysznemi malowaniami z 1500 roku.

Przerywam spis, będąc pewien, że dość go, aby zachęcić do zwiedzenia Ambrosiany, a gdybyśmy go liczniejszym uczynili, trzebaby mu poświęcić nie jeden tom, bo każda z tych pamiątek nastręcza uwag tysiące. Leonardo da Vinci przedstawia się tu z mnóstwem rysunków i rękopismem dziwacznie na odwrót pisanym. Za szkłem pokazują pukiel prześlicznych blond włosów Lukrecyi Borgia (powinno to do rozpaczy przyprowadzić wszystkie jasnowłose panie); jest tu i własnoręczny jéj list do kardynała Bembo.

Trzeba było wyjść z Ambrosiany naostatek, aby tu zbyt długo nie pozostać; groziła nam uwięzieniem, tyle miała uroków. Oprócz tego w Brera czekać na nas miał literat p. Massimo Fabi, dla posiłkowania w obejrzeniu zbiorów.

Biblioteka Brera mieści się w pałacu *delle scienza ed arti*, dawném kolegium jezuickiém *Santa Maria in Brera* (na łąkach), budowie wspaniałéj i obszernéj. Oprócz tego zawiera ona Akademię nauk, sztuk, galeryę, zbiór odlewów, monet i obserwatoryum. Zaraz na wstępie spotykają posągi znakomitości włoskich i stare grobowce rodziny Visconti.

Galerya jest jedną z najcelniejszych we Włoszech; a perłą jéj *Sposalizio*, Zaślubiny N. Panny Rafaela. Obraz ten przyznawany mu, nosi jeszcze na sobie tak wybitne cechy szkoły Perugina i jego naiwnéj prostoty, iż prawie wątpliwém jest, czy nie jemu raczéj przynależy. Niesłychanie wdzięcznie przedstawia się tu ta scena cała oblana jasném światłem ideału. Józef i Marya stoją przed arcykapłanem poważnym, laska oblubieńca przeznaczonego dziewicy, zakwita cudowną lilią, młodzieńcy współzawodnicy łamią swoje upokorzeni i smutni. Tło zajmuje gmach przepysznéj architektury w smaku odrodzenia. Wykończenie obrazu jest niezrównane, piękność obliczów Rafaelowska, ale nie potrzeba zapominać, że mistrzem wdzięku był stary Perugino także, że najcudniejsze madony Sanzia widocznie są natchnione studyami młodo-

ści, że wówczas, gdy piękną Fornarinę malował, Rafael już nie był sobą. Słowem jedném, równieby się o *Sposalizio* upomnieć mógł mistrz, jak uczeń, a dzieło do obu należy. Utrzymują, że podobny obraz znajduje zsię z podpisem Perugina w Muzeum w Caen (Francya). Łacnoby temu uwierzyć można, tylko w kilku postaciach chłopaków, łamiących swe laski, młodzieńczą znać żywość i rysunku większą swobodę.

Galerya oprócz tego ma znakomite freski, z kościołów i klasztorów dawnych poprzenoszone na płótno, Luiniego, Ferraręgo i Marco d'Oggione. Męczeństwo św. Katarzyny Ferrarego odznacza się głową świętéj niezmiernéj piękności. W osobnéj sali mieści się współczesna kopia Wieczerzy Leonarda, i inna swobodniejsza, mniéj wierna, Marco d'Oggione dzieło, prawie tak jest zniszczona jak oryginał. Przeniesiono je tu z jakiegoś klasztoru, a koszt samego transportu wynosił 14,000 franków. Dopełnia ono Wieczerzę kilką twarzami, które się tu lepiéj dochowały, mianowicie Chrystusa. Św. Jan widocznie i nieszczęśliwie poprawiony. Prócz tych są jeszcze dwie kopie olejne, bardzo liche i nieoszacowane studyum głowy Zbawiciela, przechowujące się za szkłem. Z tego wszystkiego przekonać się można, że kopia mozajkowa w Wiedniu i sztych Morghen'a najlepsze dają wyobrażenie arcydzieła Leonardowego.

Luinich i Ferrarich tu się uczyć potrzeba, ale spisywać ich niepodona.

W chwili, gdyśmy przybyli do Medyolanu, sławny Manzoni, którego ziomkowie cenią wysoko, ciężko był chory. Ciche i spokojne miasto wiadomość o tém poruszała, żywa miłość dla Manzoniego dozwalała objawić przywiązanie do tych Włoch, których on był ozdobą. Manifestacya tego uczucia nowością była nie kompromitującą, nie groźną, a przyjemną, wszyscy więc szli zapisywać imiona swe u drzwi zacnego starca, aby mu cześć wyrządzić i okazać współczucie. Choć obcy, poszliśmy za przykładem i mijając dom Manzoniego wstąpiliśmy zapisać nasze imiona w regestr, ogromny już, nawiedzających.

Minąwszy plac i pałac Belgiosojo, pełno było ludu, który z niepokojem poglądał na drzwi domu chorego poety. Słabość ta obchodziła tak wszystkich, że dzienniki codziennie ogłaszały buletyny o stanie zdrowia jego. Szczęściem polepszało się znacznie. Manzoni miał zapalenie płuc, jednę z tych chorób, któréj włoska medycyna swém nałogowém krwi puszczaniem zaszkodzić nie mogła. Przypisywano ją zmartwieniom, jakich doznawał Manzoni w starości. Z licznéj rodziny najukochańsze córki potracił, synowie nie

odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Sława nie karmi serca, boleść odbiera siły. Manzoni był drugi raz żonaty.

Oprócz autora *Narzeczonych* (których tłómaczenie w naszym języku było rozpoczęte i podobno nie zostało dokończone), w Medyolanie pragnąłem poznać Cezara Cantù, którego imię głośne jest w całéj Europie, ten na nieszczęście był na wsi. Niesłusznie, Cantù umysł spokojny, człowiek bezstronny, który gdziekolwiek było dobro, rozeznawać je umiał; posądzony był o sprzyjanie rządowi austryackiemu, odjęło mu to wziętość i wiarę. Rząd, który go cenił jako uczonego, starał mu się poszanowanie dla nauki i charakteru okazać, Cantù prawie był z tego powodu poczytany za zdrajcę. Zniósł on to męczeństwo mężnie, ale z obcemi późniéj mówiąc o przeszłości, nieraz od łez wstrzymać się nie mógł. To położenie zatruło mu życie. Cześć powszechna ledwie truciznę podaną przez braci opłacić mogła.

Na świeżych jeszcze wizerunkach i charakterystykach pisarzy włoskich, znajdujemy historyka z dziwnie wykrzywionèm obliczem. Z doświadczeń mnogich wiedząc, jak namiętne sądy ogółu bywają często niesłuszne (choć często cudownie téż jasnowidzenia pełnemi bywają), uczuliśmy serdeczną litość nad biednym Cezarem Cantù.

Znużeni oglądaniem, obiadowaliśmy pod niebem włoskiém, u Cona, wyrzekłszy się *tavola rotonda* i wczorajszego jéj towarzystwa. Do jednego stołu zasiadł uprzejmy nasz przewodnik P. M. Fabi, pan Emil P... i młodziuchna jego żona, która mieszkała w Medyolanie, ucząc się śpiewu. Był to jakby bukiet przy stole, tak świeżuchna, dziewicza i północnych naszych krain wdziękiem oblana postać. Przy Włoszkach pani P... wyglądała na Rafaelowski utwór z pierwszéj jego epoki. Przytomność kobiety, przyjemność słyszenia mowy naszéj, pogadanki o sztuce, przyjemnie nam czas zajęły... Wypiliśmy po polsku na zdrowie, lub jak starzy mówili—*prze zdrowie*, Manzoniego, wszystkich gwiazd Italii i... szczęśliwszéj przyszłości. Ostatni toast spełniony był pocichu, gdyż P. M. Fabi niespokojnie się po otaczających nas drzewach obejrzał, było to dla nas skazówką, aby się w pewnych granicach utrzymać...

Gdy państwo P... szli spocząć na *Piazza fontana*, my jak ów żyd wieczny tułacz, skazani na ciągłe chodzenie, śpieszyliśmy do starożytnego kościoła św. Ambrożego.

Jest to jeden z najstarszych nietylko w Medyolanie, ale na świecie, bo budowa jego sięga czwartego wieku, roku 387; ale portyk i późniejsze dodatki są z X i XII wieku. Dziwnie to pięknie dochowany zabytek przestaréj bazyliki, któréj ściany zewnętrzne okrywają freski dawne, rzeźby i kamienie, na których znać ślady dłuta, bojaźliwą jeszcze prowadzonego dłonią. Wewnątrz kościół dzieli się

dwoma rzędami słupów na trzy nawy, w bocznych są trybuny dające na główną. W głębi stoi odosobniony ołtarz z IX wieku rzeźbiony, jedyny w swym rodzaju; po-za nim w półkulistym absydzie chór z siedzeniami i tronem biskupim naprzeciw wielkiego ołtarza. Rozmiary są niewielkie, ale przypomnienie tylowiekowéj starożytności budzi niezmierne poszanowanie. Jest to świątynia, któréj podwoje zamknęły się przed Teodozyuszem krwią okrytym po tesalonickiéj rzezi, a dłoń co je zawarła przed nim, spopielała tu spoczywa. Cześć wielkiéj duszy posłannika bożego! Tu święty Augustyn wyrzekł się swych błędów, tu kazał święty Ambroży, tu koronował się Sforza.

Wiele szczegółów daleko późniejszych zdobi kościół; ołtarz wszakże główny i cyprysowe drzwi rzeźbione są z IX wieku. Kazalnica na ośmiu łukach oparta jest z XII wieku, zbudowana wszakże z daleko starszych szczątków. Pod nią sarkofag starożytny Stylikona z VI wieku. Co krok to wspomnienie, i co krok przedmiot najwyższego zajęcia dla archeologa i artysty.

Dla jakiéjś restauracyi kopano przy nas i wyrzucano kości może z IX lub X wieku.

Pokazanie wielkiego ołtarza okrytego rzeźbami i paliottem z IX wieku kosztowało nas pięć franków, aleśmy ich wcale nie żałowali. Pomimo restauracyi pozostał na nim ślad pierwotnéj sztuki pełnéj prostoty i naiwności. Dzieło to nosi podpis Volvina; darowane zostało kościołowi przez Angilberta Pusterlo arcybiskupa w roku 855.

Uderza wchodzącego do kościoła stojąca z boku porfirowa kolumna z wężem brązowym, pochodzić mająca ze skarbca cesarza Konstantyna. Mijamy naiwne to podanie, że wąż ma być wystawionym na puszczy przez Izraelitów, inne twierdzi, iż w ostatecznym dniu świata wąż ten ma świsnąć. Kolumna z wężem oddawna tu stoi, i w pięknym rękopiśmie z XV wieku, na którym odmalowano koronacyę Galeasa Visconti, pierwszego księcia Medyolanu, na głównéj miniaturze, już swe dzisiejsze miejsce zajmuje.

Za wielkim ołtarzem leżą rękopisma stare z przepysznemi malowaniami, mszały i antyfonarze, codziennie do nabożeństwa używane; których piękności-by poszanować należało. W jednym z nich niewykończone roboty wskazują sposób, jakim pracowano; we wszystkich są szacowne rysunki i bogaty materyał do dziejów sztuki.

Wspaniały klasztor zbudowany przez Bramante, przytykający do kościołka, zajmują teraz koszary wojskowe. Niepodobna zresztą wyliczyć ile tu szczątków i ile pamiątek drogich. Maleńka bazylika św. Ambruoggio piękniejszą się nam wydała od Duomo.

Spostrzeżony tu znowu obrazek Luiniego, zachęcił nas jeszcze do wycieczki jednéj, poszliśmy do *San Maurizio* czyli *Monastero maggiore*,

małego kościołeczka z XV wieku, w którym są do widzenia przepyszne freski tego malarza.

Wszędzie on jest tym samym, pełnym słodyczy i wdzięku, którego żaden rys ostrzejszy, żaden gwałtowniejszy poryw nie mąci, ale tu można go widzieć w całym blasku i sile. Malował Wniebowzięcie, dwie sceny z żywota św. Maurycego, i cudnego Chrystusa u słupa. Nie wiem, dlaczego pociągnięto freski jakimś pokostem świecącym, który im nie przystoi.

Leonard, Luini, a na końcu Appiani i jego szkoła, krótkie życie, smutno się ono zamyka! W téj historyi medyolańskiéj sztuki odbijają się i losy miasta i charakter mieszkańców, zmiękczony, nie czujący w sobie energii do tworzenia, niemający zbytku soków żywotnych, które strumieniem tak gwałtownym tryskają gdzieindziéj.

Wieczorem byłem zaproszony na teatr i poszedłem nań chętnie, ady w innéj chwili powszedniego życia zobaczyć medyolańczyków, inny rys fizyognomij ich pochwycić. Grano w małym teatrze *del Re*, komedyę miejscowego literata, pana Gerarda Tomasco del Festa adwokata, dosyć chłodną, ale nie bez talentu napisaną, pod tytułem *Le Scimmie* (*Małpy*). Odpowiedziała wyobrażeniom moim z góry o życiu umysłowém Medyolanu powziętym, chlubili się oni przede mną jego rozwinięciem, ślady téj czynności wistocie pozorne były wszędzie, ale mnogość robót źle pokrywała ich lekkość i rzeczywistą nicość.

Komedya pana Tomaseo, którą przyjmowano dosyć obojętnie, z chwilowemi tylko wybuchami wesołości wrzawliwéj, była przyzwoicie napisaną, ale tchu autorowi w niéj brakło i czuć się dawała jakaś obawa potrącenia o struny, któreby dźwięk niespodziany wydały lub zbudziły uśpione uczucia. Przykre wrażenie uczyniło na mnie wprowadzenie do komedyi awanturnika, typu rzeczywiście u nas rzadkiego, gracza i oszukańca, którego autor uczynił Polakiem i nazwał *Conte Grabinski un Polacco di Polonia.* Wyprowadził na scenę jego i nielepszą odeń żonę. Otóż na co się przydały nieustanne nasze wędrówki za granicą! W literaturze francuskiéj, ktoś inny dowcipnie stworzył już podobną postać i okrył nas śmiesznością niezasłużoną, mamyż w ostatku zostać pośmiewiskiem świata? Wiele tu dorzuciła wyobraźnia i niechęć jakaś osobista, ale, uderzmy się w piersi, nie daliżeśmy do tego powodu? nie odsłaniamyż stron słabych przed światem w tych włóczęgach po obczyźnie? Strzeżemyż się pilnie, abyśmy godność naszę zachowali? Komik Domeniconi i kobiety szczególniéj grały bardzo dobrze. *Scimmie* pana Tomaseo, uprzedziły nieco pół-świat francuski, ale były już jego wizerunkiem. Wistocie świat więcéj małp

liczy niż ludzi i tytułowi a pomysłowi nie można odmówić pewnéj zręczności; wykonanie im nie dorównywało.

Po zbyt pracowitym dniu wczorajszym i skwarze, jaki mnie prześladował, bo w mieszkaniu naszém nie było czém odetchnąć, nie dziw, że w nocy przyszła znajoma stara, febra, która nie wiele spać dała. Ledwie się więc zwlekło z posłania z obawą wielką, aby niezdrowie to nie popsuło wszystkich osnutych planów podróży. W takich razach wszakże najlepszém lekarstwem jest wola silna niedopuszczenia do siebie choroby i wypowiedzenia jéj z góry, iż się nie damy.

Pomimo głowy bólu, poszliśmy drugi raz oglądać galeryę Brera, niedostatecznie obejrzaną za pierwszą bytnością. Każdy to sobie podróżny powiedzieć powinien, że gdy z nowego rodzaju pięknością się spotyka, od razu o niéj sądu wydawać nie powinien. Najczęściéj uderza go ona naprzód stroną niezwyczajną, ułomną, rażącą, a to wrażenie pierwsze nie daje dostrzedz jéj piękności. Rozjaśnia się nierychło, głębszém wniknieniem, zbadaniem, zapoznaniem z przedmiotem. Arcydzieła są jak wielcy ludzie, których rzadko obcy przy pierwszém zetknięciu uzna tém, czém się znaléść spodziewał; potrzeba wtajemniczenia i w charaktery i w piękność. Byliśmy nieraz świadkami zmian zupełnych w ludziach bardzo wprawnego oka, gdy szło o osądzenie dzieł dla nich nowych; najczęściéj pierwsze wrażenie dawało im widziéć strony słabe, piękności objawiały się dopiéro późniéj i rosły w miarę czasu poświęconego rozmiłowaniu i zbadaniu.

Jeszcze więc raz wpatrywaliśmy się w *Sposalizio*, które obytych z nowszemi szkołami, razi naturalnie zbytnią, że tak powiem, szczerością kompozycyi jasnéj, pełnéj prawdy, nie posługującéj się żadną sztuczką rzemiosła, ale każdy nieuprzedzony a sumienny człowiek skłoni głowę ze czcią przed tą kartą, jakby ze starego poematu wydartą.

Wszyscy to uważali, że dzieła sztuki jednego wieku, między sobą są pokrewne, malarstwo, rzeźba, budownictwo i poezya. Giotto i Dante mówią nietylko jednakowo o niebiosach i piekle, ale jednym stylem i sposobem opowiadają o nich; gdyby z początku XVI wieku istniał poemat religijny, zaślubiny świętéj pary takby tam były wyśpiewane pewnie, jak je tu Rafael czy Perugino odmalował. Razi téż z tego powodu często ilustracya plastyczna do staréj pieśni, choćby była najpiękniejszą; będzie w niéj zawsze coś, czegoby ów poeta nie powiedział, a zabraknie czegoś, co mówił.

Po Zaślubinach oglądaliśmy freski Bernarda Luini (syna), ucznia téj saméj szkoły co ojciec, dziedziczącego jego łagodność i wdzięk

nie bez pewnéj wszakże siły. Jako najpiękniejszy z utworów ojca uważają tu, znany powszechnie obraz pełen poezyi i wdzięku, Anioły unoszące ciało św. Katarzyny, jest to rzeczywiście kompozycya szczęśliwa. Madony Luiniego odznaczają się wszystkie wyrazem spokoju i słodyczą nadziemską; dał im włosy złociste i oblicza pogodne a tęskne. Obraz wystawujący męczeństwo św. Sebastyana, Luiniego syna, mimo bardzo pięknéj postaci męczennika, nie dościga natchnieniem ojcowskich prac, różnica jest ogromna.

Przybywającym wskazują tu z kolei tysiąc razy kopiowane Albana dzieciaki, nie można im odmówić pewnego zniewieściałego wdzięku, ale w artyście znać sztuki wdzięczenie się i upadek. Z tych aniołków Albana już nie idealnych ale konwencyonalnych, wyrosła cała szkoła bezmyślna, kwiecista, rozkoszna, dla któréj malarstwo stało się narzędziem dekoracyjném tylko. Następnie idzie Guercina da Cento Abraham wypędzający Agar z Izmaelem, obraz, który miał niezmierne uczynić na Byronie wrażenie, nie dowodzi to wszakże, by był arcydziełem. A. Mantegny jest dziwaczna sztuczka niesmaczna, Chrystusa ciało złożone w grobie, widziane w skróceniu, narysowane z wielką umiejętnością, ale wskazujące smak zepsuty. Velasquez'a podobny mnich śpiący, dziwi owych pół znawców, którym się zdaje, że zadaniem sztuki są sztuki łamane. Gentile Belliniego obraz turecki, św. Marek opowiadający ewangielię w Aleksandryi, przypomina długi tego malarza pobyt na wschodzie, widok miasta i stroje mieszkańców są studyami lub przypomnieniami z natury.

Długo jeszcze błądziłem po galeryi Brera, ale w mnóstwie dzieł zastanawiających, nic już nie znalazłem, coby mocniéj porywało, a resztki febry nocnéj nie dozwoliły swobodnie oddać się rozpatrywaniu. Może to usposobienie chorobliwe odjęło smak i ochotę nawet dłuższego pobytu w Medyolanie.

Będąc we Włoszech, chciałem już coś nadeń więcéj widzieć włoskiego, tu czuć było Europę i ów świat bezkształtny kosmopolityczny, który zostawiliśmy za sobą.

Ostatni wieczór spędziłem w towarzystwie państwa Emilowstwa P... i młodego utalentowanego muzyka Włocha, nie mającego nad lat szesnaście, a już wiele bardzo obiecującego pana Boïto. Przybyła także panna Helena Zawiszanka z matką, ucząca się tu śpiewu, którym tak chlubnie dala się poznać późniéj na teatrach kilku stolic, i w pobratymczéj Pradze czeskiéj, gdzie ją tak pokochano. Maleńkie kółko ziomków znajdujących się podówczas w Medyolanie, skupiło się, aby o miłym kraju, o jego stolicy, o wspólnych pomówić znajomych. Wśród rozmowy zerwała się silna burza, która dłużéj wstrzymała tu mnie, niżeli zamierzałem, bo trzeba było myśléć o jutrzejszéj podróży i do niéj się sposobić.

Szczęściem, zmierzając do Genui, mieliśmy choć kawałek drogi do przebycia nie koleją nienawistną, ale poczciwym staroświeckim veturinem, a tego należało wyszukać jeszcze...

Gdy potoki gwałtownego deszczu ustały, pożegnałem gościnnych ziomków, rozstając się, jak ze staremi przyjaciółmi, i obarczony próbkami wszystkich pism peryodycznych, wychodzących w Medyolanie, które dla mnie przysłał pan Fabi (a było ich do trzydziestu), pośpieszałem do hotelu. — Tu miałem czas jeszcze zajrzéć do dzienników i ze smutkiem się przekonać, że owa mnogość ich dowodziła... tylko bezpłodności.

Literatura lombardzkiéj stolicy czcza była i bez życia, pragnęła okazać się czynną, wysiłki jéj dowodziły chęci najgorętszych, ale jak najoczywistszéj niemocy. Wszędzie przebijała się ta apatya, którą widać było w ulicach, to jakieś zdrętwienie ludu osłabłego na duchu... Przerwano mi przegląd, oznajmując veturina.

Nadto mam dobre wyobrażenie o moich czytelnikach, abym mógł przypuścić, iż nie wiedzą, co jest *veturino?* ale pozwolę sobie przypomniéć im, że dawny sposób podróżowania we Włoszech, nim doczekaliśmy się kolei, odbywał się z pomocą tych najmujących konie z powozem woźniców. *Vetura*, powóz, pospolicie zwana drzewem, *legno*, bywała i jest jakimś starym koczem, mniéj więcéj zbrukanym i odartym, niekiedy wcale porządnym.—Podróżny godzi się od dnia lub do miejsca, czasem nawet z tém, że go woźnica karmić się obowiązuje. . kontrakt się spisuje, bierze się, a nie daje zadatek i rusza z nieznajomym w świat, parą co najwięcéj koni. Veturino doprzęga sobie zwykle pod górę muła lub konia, jedzie powoli, jeśli grzeczny, jest bardzo z nim wygodnie, jeśli chce dokuczyć, może łatwo, bo wędrowiec zdaje się na jego łaskę, ale z małemi wyjątkami, gdy hotel uczciwy poleci woźnicę, bezpiecznie z nim jechać można. Ten sposób podróżowania powolny, dość wygodny, najlepiéj daje poznać kraj, mieszkańców, obyczaje. . Niezbyt dawno wszakże ziomkowie nasi przestali jeździć własnemi końmi i powozami. Wuj mój, Wiktor Malski z panem Janem Szlubowskim w pierwszych latach tego wieku wybrali się w podróż artystyczną, obaj bowiem kochali sztukę i mieli ją głównie na celu, wybrali się po staroświecku, jak myślicie? Krytą bryką, czterema końmi i z domorosłym woźnicą. Dojechali tak szczęśliwie aż do Neapolu, a gdy na horyzoncie, w wieczornym mroku ukazał się płonący Wezuwinsz, P. Szlubowski spytał powożącego podlasiaka, jakby mu się zdawało, coby ten ogień miał znaczyć? Woźnica odwrócił się doń z flegmą człowieka, który się niczemu dziwić nie przywykł i odparł, ruszając ramionami. — Cóż to ma być? węgle palą!!

Po przywiązanym z tyłu sznurami tłumoku, poznawano we Wło-

szech polskie ekwipaże; dla zabezpieczenia ich, zwykle sadzano na tém niewygodném wzgórku dziewczynę służącą... Tak jeszcze przed laty niewielą państwo P... i państwo N... zjechali się razem we Florencyi, i przybywszy, stanęli w hotelu nad Arno. Miła znajomość zawiązała się w drodze, dwie rodziny wielce się poprzyjaźniły, przez dziesięć dni pobytu we Florencyi, panie siedziały obok siebie na kanapie, panowie grali od rana do nocy wiseczka. Nie wyszli nawet na ulice, było straszliwie gorąco, ale potém utrzymywali uparcie, że we Florencyi nic niéma do widzenia... Darują mi czytelnicy, żem tu wtrącił tych parę epizodów z naszych podróży po krajach włoskich... już się te czasy tłumoków i bryczek nie wrócą — nie mamy co pakować, czém jechać, a co gorzéj — i o czém.

Ranek po burzy był trochę chmurny, ale obiecywało się wypogodzić we dnie, musieliśmy wstać do dnia, a wyjechać o szóstéj... Ulice były puste jeszcze, ciągnęły niemi ze wsi zapasy do życia, wozami zaprzężonemi końmi, wołami i osiołkami.

Gdzieniegdzie otwierały się téż dla wieśniaków szynczki i alberga przedmieściowe, których napisy niemal wszystkie nosiły dodatkową uwagę *antico*. Garkuchnia, sklepy, zajazdy chlubiły się tą starożytnością, jest to obyczaj włoski, nietylko medyolański, ale zachowywany wszędzie. Trwanie takiego zakładu wistocie jest pewną rękojmią, że coś wart, że potrzebny. Gdy we Francyi wszystko się chlubi tém, że jest nowe, w starych Włoszech chwalą się karczemki nawet, że są odwieczne. Minąwszy plac marsowy, powolnie przejechaliśmy w przedmieścia i szosą ruszyliśmy ku Magenta, które wówczas jeszcze się wcale późniejszéj swéj sławy nie spodziewało.

Kraj dosyć się nam zdał jednostajnym, ale zielonym i żyznym; uderzało to, że wiosek nie widzieliśmy wcale, ale pojedyńczo rozsypane domy, fermy i zabudowania gospodarskie. Wszędzie po polach pełno było drzew morwowych i winnych festonów. Veturino nasz jechał powoli i wcale niecierpliwością się moich towarzyszów podróży nie zaprzątał. Mieliśmy czas przypatrywać się nie tylko pejzażowi, ale spotykanym zaprzęgom, kapliczkom, malowaniom starym przy domach i mijającéj nas wiejskiéj ludności. — W całych prawie Włoszech, obyczajem starym na każdém domostwie, nad drzwiami głównemi, na rogu, w bramie, musi być jakaś madonna, patron, oznaka pobożności, rzeźba srara, obraz za szkłem, a wieczorem lampa, a na wiosnę i w lecie trochę kwiatów. — Mijając myśl nawet, która te drobne monumenta powznosiła, malowniczą wielce stanowią one ozdobę.

Często z wielkiém podziwieniem, nad drzwiami domu niepozornego znajdzie się wcale udatna rzeźba stara, z lepszych czasów kraju i sztuki. Obrazy al fresco w niszach wystawują pospolicie dusze

czyscowe, lub scenę z życia miejscowego patrona. Oprócz tego, daléj, zwłaszcza w okolicach Genui, wszystkie wille i dworki całe bywają ozdobnie malowane, niekiedy z dekoracyjną umiejętnością i talentem. Na płaskich ich ścianach, okna, galerye, balustrady, nawet całe obrazy się mieszczą. Najuboższy domek przyobleka tę szatę wesołą, któréj koloryt z początku razi, potém, gdy oko nawyknie, zajmuje rozmaitością pomysłów w ornamentacyi.

W Magenta trafiliśmy na granicę, meldunek, komorę i zwykłe formalności dokuczliwe, ale wziąwszy w pomoc grzeczność i rozwiązawszy sakiewki, wydobyliśmy się stąd szczęśliwie. Gdybyśmy byli naówczas przeczuć mogli, jak ważnych wypadków teatrem będzie most pod Magenta i murowana komora i okolica wcale nie uderzająca!! bylibyśmy zapewne uważniéj je oglądali. Przyznaję, że mi dziś ledwie w pamięci pozostał budynek murowany, niezgrabny, gdzie czegoś po tłumokach naszych szukano. Przebywszy Tessyn, znaleźliśmy się w Piemoncie i, bez uprzedzenia, wszyscy poczuliśmy się w innym kraju... Charakter jego zdał się nam odmienny, posiadłości większe, gospodarstwa inne, zabudowania lepsze, krzątanie się żywsze koło roli. Czuć tu było życie, ruch, wiarę w przyszłość, których brakło po tamtéj stronie Tessynu. Coraz weselszą okolicą przybyliśmy do osmuconéj wielką klęską Novary.

Tu porzucał nas veturino, który jakoś wcale nie ochotnie nam służył w drodze, milczący był, kwaśny, zimny. Julmo, któremu zwierzyliśmy rozrachunki podróżne, jako najlepiéj z językiem obeznanemu i najoszczędniejszemu z nas, miał z nim wcale nieprzyjemną rozprawę. Veturino oszukał go trochę, a przekonany cierpiał czynione wymówki z bezprzykładną obojętnością. Julmo go łajał, bo był oburzony, a gniew jego powiększała zimna krew Włocha, ruszającego ramionami wśród gradem sypiących się nieprzyjemnych nazwisk... Naostatek, wyczerpawszy z Rzymu przywieziony zapas łajaniny, Julmo skończył:

— Warci jesteście, żeby was *Tedeschi* jeszcze więcéj dusili i znęcali się nad wami...

Na te słowa woźnica nagle jak piorunem rażony obudził się, podniósł, chwycił za bicz z płomieniącemi oczyma biegnąc za nieszczęśliwym młodzieńcem, który jednak śpieszną rejteradą od zemsty Włocha ocalony został.

Trzy godziny mieliśmy stać w Novarze na stacyi, więc choć miasteczko nieco jest od niéj oddalone, a mnie straszliwy dręczył ból głowy, postanowiłem obejrzéć, czybym i tu nie znalazł co widzenia godnego. Uderzyło mnie to naprzód, że w miasteczku, liczącém 16,000 ludności, znalazłem na stacyi gazetkę miejscową

i pismo illustrowane humorystyczne!! Były to dowody wielce rozbudzonego życia; przypominało się, żeśmy po za sobą granicę rzucili, żeśmy byli w innym świecie. Znać to zresztą było choćby po swobodnych fizyognomiach mieszkańców, jakich za Tessynem nie spotkaliśmy.

Miasteczko z katedrą i kilką kościołami nieopodal widać było, poszliśmy więc z Julmo, bo Klemrod osądził z góry Novarę, jako niegodną oglądania i miał żal jakiś do tego smętnego pobojowiska.

Gorliwość nasza dość została wynagrodzoną widzeniem kościoła Ś. Gaudencyusza i katedry.

Trafiliśmy naprzód do pierwszego, dość piękna to budowa, a w niéj godzien widzenia obraz G. Ferrari, z wielkiego ołtarza przeniesiony do bocznego, składający się z sześciu kompartymentów. — Prześliczna jest N. Panna i staruszek Józef, modlący się i oddający cześć boskiemu dziecięciu. Obraz ten z r. 1515, do najlepszego artysty należy.

Kaplica Ś. Gaudencyusza czarna marmurowa mieści w sobie ciało jego, ozdobna jest we freski i drzwi piękne bronzowe. Nie mieliśmy czasu obejrzéć znajdującego się przy kościele zbiorku rzymskich starożytności, bo po klucze doń gdzieś daléj posłać było potrzeba.

Katedra na placu *dei Mercanti*, pochodzi z V. lub VI. w. i pobudowana jest w stylu starych bazylik, choć znacznie bardzo odnawiana późniéj. W chórze posadzka jest mozajką szarą w godła, pojedyńcze postacie i ornamentacye wysadzaną, sięgającą VI. w. — W wielkim ołtarzu nowe rzeźby i ozdoby. — Portyk na kolumnach sparty, łączy kościół z baptisteryum, w którym starożytne słupy koryncki i sarkofag, służący za chrzcielnicę pokazują. W krużgankach powmurowywano kamienie z rzeźbami i napisami, wykopane w miasteczku i okolicy.

Wszystko to wartém było widzenia, a sama fizyognomia mieściny już nas usposabiała do lepszego Włoch poznania! W zielonych drzew cieniu domy, ulice pełne dzieci wrzawliwych, kobiety z malowniczemi wiadrami miedzianemi na głowach, przypomniały włoskie pospolite, ale pełne prawdy widoczki.

Po długiém wyczekiwaniu na pociąg, który nas miał zabrać tylko do Alessandryi, gdzie znowu trzeba było czekać na inny, idący z Turynu do Genui, ruszyliśmy z Novary. W wagonach po rozmowie co chwila bardziéj poznawaliśmy nowego świata mieszkańców. Jadąc z Wenecyi do Medyolanu z pewną obawą i niezmierną ostrożnością obcowali z sobą podróżni, a o kraju wcale mówić sobie nie pozwalali. Tu, ledwieśmy siedli, ujrzeliśmy w rękach sąsiadów dzienniki, jeden czytał świéżo wydane pamiętniki

Orsiniego, inny, wyjrzawszy oknem na plac boju niedawnego, któryśmy mijali, zowiący się *la bicocca,* począł zaraz z bólem mówić o nieszczęsnéj przegranéj. — Miejsce, gdzie się odbywała walka wskazywano nam, mówiono o dowódcach, którzy oddziałami komenderowali, z goryczą... we wszystkich oczach błyskała nadzieja pomszczenia upokorzenia i klęski. Wpośród pólka mignęło nam kilka skromnych krzyżyków, był to jedyny ślad mogił, porosłych już bujném zbożem i trawą... Tak do saméj prawie Alessandryi Piemontczycy spocząć nam nie dali, rozmowa ich była wiele nauczającą po milczeniu z tamtéj strony Tessynu. — Przebyliśmy Po, ukazało się więcéj gdzieniegdzie drzew i zarośli, pociąg zatrzymał się we wspaniałym, ogromnym, ale niedokończonym gmachu... tak dalece niedokończonym, że godziny wyczekiwania z przykrym bólem głowy, nie podobna było w brudnéj izbie, zastępującéj bufet, wysiedziéć.—Spędziłem je na ławie pod ścianą.

Ale jak wszystko na świecie i te nudy minęły, naostatek doczekaliśmy pociągu... radość była podwójna, ciężkiemi godzinami wyczekiwania.

Droga z Alessandryi do Genui, którąśmy późniéj wielekroć przebywali w różnych dnia godzinach, jest bardzo piękną. Zaraz za Alessandryą kraj staje się górzystszym coraz, łańcuchy gór ukazują się na widnokręgu; po obu stronach drogi wznoszą się pagórki, na nich miasteczka, stare zamki jak gniazda sokole, bliżéj mostki malownicze, potoki zasypane kamieniami, domki poprzyczepiane do boków obrywów... skały, krajobraz mieni się, urozmaica, wypięknia.

Nie mogliśmy się go napatrzyć, bo był oświetlony wytwornie słońcem po burzy, przeglądającém przez chmury, dziwnie poozłacany miejscami, pocieniowany, pół mglisty, na pół iskrzący blaskami zachodu. Za *Isola del Cantone* zaczęło szarzéć, ale wyjeżdżając z tunelów, które na chwilę oślepiały nas, nowe coraz w mroku postrzegaliśmy pejzaże, naostatek księżyc wszedł w pełni i jeszcze fantastyczniéj ustroił nam coraz wynioślejsze góry, któreśmy przerzynali... Przy jego blasku Genua ze swemi mury piętrzącemi się po wyżynach, z pałacami, gmachami, z morzem, z okrętami wydała się cudownie i poetycznie piękną. Przybyliśmy do niéj po nocy, znużeni bardzo, ale oczarowani ostatnią częścią dzisiejszéj podróży naszéj... W hotelu Federa szczęściem znalazło się, choć wysoko parę izdebek, które nas gościnnie przyjęły. *)

---

*) Nie będąc pewni, czy wypisy następujące na prędce zrobione z dzieła: *Gymnasium Patavinum* Jacobi Philippi Tomasini Episco. aemoniensis. (Lib. V. Utini 4. 1654, są u nas znane, powtórzymy tu je, na użytek powszechny:

Lib. I. Cap. XVII. p. 53. De natione Polona. Nec adeo fera gens ulla, quin litteris possit mollescere. Sarmatis nihil olim immitius. At nihil hodie iis humanius, qui bonis litteris cum divino cultu animum inbuere... Thracibus ipsis horrendi elegantis romani sermonis, sapientiamque divinam et humanam omni ingenua contentione sectantur. Nec ulli fere populo Italiae mores majori fuere in pretio. Quotquot enim se dicarunt rebus divinis, romanam curiam visunt, sed et aliis disciplinis dediti, potissimum arti medicae Pataviam sibi studiorum sedem eligunt. Jurisconsultorum Universitas hujus Consiliarium inter suos numerat, ejusque civibus matriculum impertitur, ejus nationis omnes nomen obsequiumque profitentur. In hoc Liceo antiquitus floruit haec natio. — Anno enim MCC.LXXI (1271) Nicolaum Polonum Archidiaconum Cracoviensem Jurisconsultorum Rectorem electum toti Gymnasio praefuisse, constat ex Statutorum volumine. Bibliotheca satis intra mediocritatem est tenuis: nec aerarii notabilis opulentia, quia minor plerumque est civium numerus, qui se disciplinarum studiis traduut. Egregios fuisse quandoque viros quibus supremi etiam crediti fuere Gymnasii fasces, ut de Nicolao Polono Archidiacono Cracoviensi Rectore legitur Lib. Statutorum anno 1271 nostraque aetate alios, inter quos Joannes Zamochius Magnus postea Regni Cancellarius Sigonii disciplina clarus, aeterna nominis gloria facile primus memoratur.

— Lib. I. Cap. XXIV. p. 62. pisze, że Statuta Jurisconsultorum w IV księgach w r. 1562 sub Petro Maccioleno Bergomensi et Joanne Zamoscio Polono edita et a Senatu veneto confirmata hoc titulo: De constitutionibus et immunitatibus Almae Universitatis Juristorum Libri IV. ex 711. Senatus Veneti auctoritate denuo correcta et emendata.

— Lib. IV. w Chronologii (p. 412) wspomina: 1563 Bernardus Venerius Potestas et Nicolaus Gritti praefectus. Rector legislatorum Claudius Morandinus et Artistarum Joannes Zarius Zamochius, postea R. Polon. M. Cancellarius.

— Die 23. Januarii offensus quidam Germanus a Polonis, unde rixae non leves, quae omnes sedatae sunt auctoritate Bonifacii Rogerii J. C.

— Anno 1566. Rector Legistarum Joannes a Boboren Alemanus, Rector Artistarum Andreas Gostiat Polonus.

— Lib. V. pp. 477. J. Sarius Zamoscius Stan. praefect. f. Polonus. Jurist. Rector. 1564.

— Lib. V. 487 p. Sario Zamoscio, Stan. Belzensis. Praefecti et Regii Equitum Doctoris. F. I. U. Polono Rectori benemerito Universitas Jurist. decrevit dedicavitque. Kal. Septembris 1564. (Kamień z napisem). —

XI.

Genua, położenie jéj, historya.—Sztuka genueńska. Alessi, budownictwo i pałace genueńskie. — Malarstwo i rzeźba. — Charakterystyka gmachów.—Ruch w porcie. Widok *Superby*. Przechadzka po mieście i jego fizyognomia. Lud genueński. Katedra S. Lorenzo. *Annunziata* Lomellinich. Ogród na *Aquasola*. Przedstawienie w teatrze *Carlo Felice*. Teatra genueńskie. — *Prima donna* P. Leśniewska. Colombo i rodzinne jego *Cogoletto*. Wnętrze San Lorenzo. Kaplica i ciało Św. Jana Chrzciciela. — *Sacro Catino*. Posąg klęczący. Kościół S. Syra. Kościół *Il Gesù*. *Palazzo Rosso* Brignole-Sale i jego obrazy. Pałac *Balbi*. Portrety Van Dyck'a. — Pałac Pallavicinich. *Madonna della Colonna* Rafaela.— Przejażdżka po *Riviera di levante*. Plan dalszéj podróży.—Wycieczki do *Pegli*. Villa Danino. Bytność u Michała Wiszniewskiego. Powrót — Wybór w drogę.—Jeszcze Genua. Zmiany od 1858 roku. Podróż wybrzeżem (*Chemin de la Corniche*). Do Rutta. — Chiavari. *Sestri di levante*. Droga do Spezii. — Burza i gospody w Apeninach. Spezia. Przejażdżka w porcie.—*Porto Venere*.—Droga do Pizy.—Na Massa.—Marmury.—Dyalekt genueński i język włoski.—Widoki. Riggio.—Okolice Pizy i mieszkańcy. Piza, wieża pochyła.—Hotel Victoria i jego Album.

Genua jest także ruiną wielkiéj potęgi współzawodniczki Wenecyi, ale przestając być niezależną, nie straciła ona życia razem ze swobodą; port i handel, którego jest ważném ogniskiem, ocalił ją od zagłady. — Osada ta nadmorska, położona nad wspaniałą zatoką, zabudowana w pół-księżyc na wzgórzach wyniosłych, sięga odległéj starożytności. W VIII. wieku Rzymianie wcielili ją do Galii cisalpińskiéj. Zniszczona zupełnie w czasie drugiéj wojny punickiéj przez brata Hannibalowego, odbudowaną została przez Rzymian. Po upadku państwa kilkakroć stała się łupem ludów, które je zalały. Poddała się Karlomanowi, gdy Lombardzi upadli z kolei. W początkach dziesiątego wieku ogłosiła się niepodległą i rządzona była przez radę i senat wraz z ludem. W 1100 z dwudziestą kilką galarami udział wzięła w wojnie krzyżowéj... Ale tuż rozpoczynają się jéj walki z Pizą i niesnaski możnych rodzin, które wewnątrz ją szarpiąc nie dały się w większą siłę rozrosnąć. W r. 1190 w miejscu rady występuje na czele rzeczypo-

spolitéj *Podesta* obcy z boczną radą ośmiu obywateli miasta znaczniejszych. Jest to zawiązek szlachty i patrycyatu, lud mianuje *Capitana* od siebie; możni wchodzą z nim w stosunki. D'Oria i Spinolowie zagarniają przezeń władzę.

Pomimo tych niepokojów, Genua jest jeszcze dość potężną, by walczyć zwycięsko z Wenecyanami, których pobija pod Curzola, i zdobywać nowe posiadłości na wschodzie. Lud znękany obiera dożę, ale jedni go ogłaszają, obalają drudzy. W XIV wieku wojna zajadła z Wenecyą, zakończona dwuletnim pokojem, znowu wewnętrzne wznawiającym spory i współzawodnictwa możnych. Do D'oriów, Spinolów, Grimaldich i Fieschi'ch walczących z sobą, przybywają Adorni, Fregosi, Guarchi i Montaldi. — Ulice i place oblewają się krwią bratnią. Genua znękana ucieka się pod opiekę Francyi, i wkrótce wypędza Francuzów, potém łączy z Medyolanem pod władzą Viscontich. Lud wywraca rząd medyolański.

Tymczasem podboje tureckie odbierają im ich kolonie na Archipelagu i morzu Czarném; Genua zagrożona jeszcze raz, poddaje się Francyi, Karolowi VII i znowu z pod tego panowania wybija. Ludwik XI, król francuski, miał z powodu tych ciągłych wywrotów powiedzieć, gdy mu Genueńczycy oświadczali, że chcą się oddać pod jego opiekę: — Genua mnie się oddaje, a ja ją wszystkim dyabłom! Jakoż prawa swe zlał na księcia Medyolanu.

Wzięcie Kaffy zadało handlowi Genui cios niepowetowany, straciła targowiska swe w Armenii, Kolchidzie, Tartaryi, Persyi i Chinach.

Wewnętrzne boje rodzin o władzę kosztem ojczyzny pasujących się z sobą, nękały ją nieustannie; z kolei dla uniknienia nużącéj i trawiącéj walki, Genua przechodzi to w ręce Francuzów, to Medyolańczyków. Naostatek Andrzéj D'Oria nadaje nową formę rządowi, który ustala się i trwa blizko trzy wieki... D'Oria był admirałem w służbie Franciszka I, ale niepłacony w porę, zwrócił się do Anglii i pierwszy podobno otworzył drogę jéj wpływowi na Włochy.—Francuzów wypędzono z Genui, D'oria do końca życia przeważny miał udział w sprawach kraju.

Wedle nowéj ustawy, którą dwunastu powołanych mężów ułożyło, zniesiono różnicę stanów i stronnictw. Przywileje szlacheckie pozostały przyznane tylko dwudziestu ośmiu rodzinom, które tworzyły tyleż *alberghów,* ognisk łączących w sobie inne familie.— Co roku siedmiu z ludu przyłączano do szlachty. Senat rozdzielono na dwie izby, ustanowiono Dożę wybieranego co dwa lata... W roku 1547 spisek Fiesco był jakby ostatnią próbą odżywienia starych walk.. Ustalił się porządek, ale rzeczpospolita pozbawio-

na sił, straciwszy kolonie swe, ograniczona w handlu, poczęła się chylić ku upadkowi. Francuzi zabrali jéj Korsykę, Soliman wyspę Scio. — Ludwik XIV zbombardował miasto i zmusił Dożę do publicznego upokorzenia... Powtórzyło się to późniéj w Wiedniu... Korsyka stanowczo odstąpiona została Francyi. W r. 1800 blokowana przez Anglików, od lądu oblężona przez Austryaków, wytrzymała dwa miesiące blokady, energicznie broniona przez Massenę. W pięć lat późniéj wcieloną była do Francyi i podzielona na trzy departamenta.

Jeszcze raz oddana na chwilę sama sobie, w 1815 dostała się w podziale królestwu Sardynii, — jest to, co ją najszczęśliwszego spotkać mogło.

Nie brak, jak widzimy, dramatyczności w dziejach rzeczypospolitéj, których najświetniejszą epoką jest ta chwila, gdy wierna swemu przeznaczeniu roznosiła handel i cywilizacyą w odległe kolonie. Na wybrzeżach morza Czarnego w Akermanie, w ruinach grodów półwyspu Krymskiego, dziś jeszcze stare na pół starte herby i napisy poświadczają, jak daleko sięgała potęga genueńska... Gdy tureckie zabory położyły tamę kolonizacyi, siły rzeczypospolitéj, zamiast się wylać na zewnątrz, skupione w jéj wnętrzu, wyrodziły te walki zabójcze, którym się tak długo oprzéć potrafiła.

Bogactwa Genueńczyków, handlem zdobyte, dziś jeszcze w gmachach wspaniałych, z których się ona składa, są widoczne. Z nich musiała wyrosnąć sztuka wraz ze zbytkiem, ale posługaczem będąc tylko fantazyi możnych, do samoistnego życia nie przyszła. Historya jéj uboga jest, prawdę rzekłszy. Z prastarych czasów mało pozostało pomników, przepych budowli wzrósł w czasie upadku rzeczypospolitéj. — Najsławniejszym z budowniczych tutejszych był Galeazzo Alessi, który z Genui uczynił w przeciągu lat piętnastu pobytu swojego tę *Superbę*, jaką ją dziś jeszcze widzimy. *Strada nuova*, cała z pałaców przepysznych złożona, jest prawie wyłącznie jego dziełem.—Styl po nim przejęli następcy.

Gdy gdzieindziéj najciekawszemi są kościoły, w Genui najcharakterystyczniejszemi są pałace. Skamieniała w nich pycha możnych rodzin, przez których zapasy rzeczpospolita upadła. Genua nie ma prawie szkoły malarskiéj, chociaż ma kilku cennych artystów. Najstarszy Niccolo da Voltri dziś znany jest tylko z nazwiska, uważany za ojca szkoły *Brea*, nie ma żadnéj oryginalności. Największy wpływ na malarstwo wywarł *Carlo Mantegna*, ale dzieł jego już tu nie znajdujemy, potém *Perino del Vaga*, uczeń Rafaela, naostatek *Luca Cambiaso*. Za jego czasów malarstwo zakwitło tu bujniéj, ale Castellowie, Bergamasco, Tavarone,

Paggi (szlachcic, który z powołania i miłości sztuki został artystą) nie tworzą oddzielnéj, odcechowanéj szkoły. Po Procaccinich malarstwo genueńskie zmieniło jeszcze raz styl i na nowo zakwitło, nie mogąc się nigdy podnieść do téj wysokości, na jakiéj w innych prowincyach włoskich stanęło. Odznaczającym się kolorytem i energią, znakomitym artystą był Bernardo Strozzi (1581 do 1664) zwany *il capuccino* lub *prete genovese,* którego obrazy, zachowane w saméj Genui, dowodzą niepospolitego talentu. Genua miała, jak widzimy, malarzy, miała ich więcéj daleko, niż wyliczamy, brakło jéj szczerego zamiłowania sztuki i własnéj szkoły. Wielu obcych artystów pracowało dla możnych rodzin i kościołów tutejszych. — Tak samo, jeśli nie gorzéj, jest z rzeźbą, w spisie rzeźbiarzy jeden wydatniéj występuje *Taddeo Carlone,* reszta nie przechodzi przyzwoitéj mierności. — Żadna ze sztuk nie może zapuścić głębiéj korzeni i podrosnąć na tym gruncie, najbujniéj jeszcze kwitnie pałacowe budownictwo, dla którego przyozdobienia tylko użyci są rzeźbiarze i malarze najczęściéj podrzędni. Nie bez znaczenia wszakże jest ten wzrost gmachów możnych, tak wspaniale ubierających Genuę, to karta dziejowa, to świadectwo przewagi jednego stanu nad inne, publiczne budowy i kościoły, sprawa dobra wspólnego i sprawa idei bożéj ustępują tu pierwszeństwa interesowi kasty, która przywodzi rzeczpospolitą do upadku. Współzawodnictwa osobiste nie dają myśléć o losach kraju.

Pałace, potrzeba to przyznać, są wielce wspaniałe i całkiem innego charakteru, niż weneckie, wogóle są one dziełem epoki późniejszéj i noszą na sobie cechy téj pańskości, któréj były żywym wyrazem. Nie tyle starano się tu o wytworność co o przepych i potęgę.—Mury piętrzą się, stroją w kolumny, otaczają majestatycznemi portykami, przybierają we wnijścia i wschody monumentalne. Niejeden z tych gmachów najpiękniejszym jest tą częścią swą, która na oczy tłumu najwięcéj podziałać mogła, portyki pałacowe ozdobniejsze są, rzec można, od pałaców samych... Mimowolnie zdradza się w ten sposób ona buta szlachecka i magnacka, z któréj dziś pozostało tylko smutne wspomnienie.

Zbudziliśmy się bardzo wcześnie, nie tak przez ciekawość jak z musu, pod oknami bowiem hotelu do dnia okrutna powstała wrzawa. Genua oznajmywała się nam jako jeden z najczynniejszych portów morza Śródziemnego. Naprzeciw hotelu właśnie na placyku blizkim portu i banhofu kolei żelaznéj, czynność ta była najhałaśliwszą, tu się ładują i wyładowują towary, stąd wychodzą pociągi z niemi; wrzask, krzyki, nawoływania, rzucanie ogromnych mas żelastwa, ryk nieznośny osłów, dzwonki mułów, łajanie ludzi, turkot wozów, świsty parowych machin, musiały sen

przerwać i nie dały już zmrużyć oka. Trudno jest po spokojnéj i zamarłéj Wenecyi, w któréj słychać tylko plusk wioseł i wesołe pogadanki gondoljerów, po porządnym i uśmierzonym Medyolanie, dać wyobrażenie tego, co się tu dzieje na wybrzeżu, taki ruch, taka gorączkowa czynność. Pobiegłszy do okna, ujrzeliśmy las masztów, kawałek morza, a w oddali wysoko się wzbijającą kształtną latarnię morską i część wzgórzów po nad brzegami zatoki w amfiteatr ułożoną; *La Superba* z pałacami i willami rozpościera się po nich wspaniale. Poza temi góry drugie pasmo dalsze Alp Julijskich nadmorskich sinieje na widnokręgu. Po bliższych pagórkach wiszą ogrody, dwory, kościoły malowniczo porozsypywane.—

Wśród téj wrzawy portowéj cały ranek spędziłem w domu na pisaniu i spoczynku, dopiero z południa, gdy skwar nieznośny nieco powiewem od morza ochłódł, wyszliśmy dla rozpoznania miasta, dla oswojenia się z niém nieco.

Genua ma charakter wcale odrębny, tém wybitniejszy, gdy się ją ogląda po Medyolanie, któremu całkiem go braknie. Miasto nie piękne, prócz kilku ulic, jeśli piękna miejskiego szukać będziemy w berlińskich szachownicach, szerokich perspektywach i długich jednostajnych liniach pod sznur wyciągniętych budowli, stojących jak żołnierze w szeregach; ale przepyszne dla malarza, szukającego rozmaitości, niespodzianek, efektów, świateł, cieni i linij. Niektóre ulice ostawione samemi pałacami, choć ciasne, czego klimat wymagał, bo tym sposobem cień i chłód się w nich utrzymuje, są przepyszne, wyglądają jak wielkie korytarze, piętrzącemi się otoczone gmachami. Pobudowane w większéj części na wzgórzach miasto, w nich znalazło motywa i usprawiedliwienie budowli wyniosłych, wyskakujących jedne nad drugie z porozkładanemi wschodami na bokach gór. Wśród takiego gruntu nie budować płasko, potrzeba piąć się było ku niebu i słońcu. — Wspaniałe czoła pałaców, podwórca portykami obwiedzione, objęte krużgankami i kolumnami nakształt starych rzymskich atriów, przepyszne wschody i balustrady, tarasy z ogrodami wyrastające nad głowami, odurzają widokiem przepysznym. Rzekłbyś, dekoracya teatralna do staréj jakiejś opery.

Wśród tych murów spinają się gdzieniegdzie kręcone, ciemne, wschodkowane uliczki, przejścia tajemnicze, inne spadają ci z pod nóg w głąb' jakichś przepaści, czasem dwie budowy wspaniała i śmiało rzucona łączy arkada, i między niebem a ziemią wisi na niéj kilką oknami patrzące gniazdo człowiecze. Wszystko to łamie ci się, kręci, wygina, słońce oświeca jednę połać, drugą okrywa cień, tam się zakradł promień pasem długim i poszczerbił na

murach. Każda budowa inaczéj staje do oka, gdzieś najmniéj spodziewana kupą na szczycie wyrasta zieloność ożywcza, krzak bujny, cyprys czarny, kosz kwiatów i liści. Czasem tak trzy i cztery masz przed oczyma piętra murów i ogrodów, które niewiedzieć na czém stoją i z czego soki ciągną.

Oko znużone długiemi ściany, spoczywa miło na tych oazach powietrznych, na marmurowych balustradach i wazonach kształttnych, z których kaskadą zieloną sypią się kwiaty. Po rogach domostw to ołtarzyki Madonny rzeźbione, to obrazy świętych w ramach przepysznych z kamienia, Matka Boska, Chrystus, familia święta. Wieczorem lampa zapalona drżącém światełkiem, maluje cudowny obrazek. — Wśród tych odurzających fantazyą wspaniałości, życie powszednie rozkłada się sobie poufale po taflach marmuru i cegłanych brukach... Na balustradach schnie bielizna świeżo wyprana, sznury jéj ubierają pałace, we drzwiach, przed domostwy warczy i szumi język i warsztat rzemieślniczy. Tu kuźnia, z któréj iskry płonące wylatują na przechodniów, tam strzygą, tu rąbią i piłują, figury pół wyrzeźbione u kamieniarza przedstawiają ci się jeszcze nie odziane myślą, na wychodném z nieforemnéj bryły, stolarz rzuca ci deski pod nogi, szewc w okularach łata buty. Nie przeszkadza im wcale wrzawa uliczna, któréj potrzebują do życia; byle gwar, wszystko to z szydłami, młotami wylata zaraz na rynek. Kuchnie ludu stoją także po rogach placów, po chodnikach. Zapach tłustości rozchodzi się wszędzie, smażą otwarcie, aby konsumujący widział, jak nieobłudnie obficie leje się *strutto* po palcach gospodyni, na ryby, zieleninę i ciasta preparowane *sub Jove crudo*.

Genua słynną była i jest z pięknego ludu, ale przedewszystkiém piękności téj szukać potrzeba w jego budowie, w kształtach, mniéj w samych rysach twarzy. Mężczyzni i kobiety są równo silnie zbudowane, wiele z nich na starość zbytniéj nabywa tuszy. Cera wogóle jest blada, żółtawa i, jak to u nas zwano dawniéj, barwy chleba. Twarzy jednak pięknych jest dosyć wśród ludu. Kobietom bardzo ładnie w białych zasłonach tiulowych przezroczystych, które noszą przypięte na głowach i obejmujące kibić całą. Nietylko młode, ale i podżyłe niewiasty tak samo się przystrajają. Głowa zresztą i włosy są odkryte. Ten rodzaj mantyli, czarnéj w Medyolanie, w Genui i w okolicach białéj, zowie się *il mezzaro* (czy *il pezzotto?*)—

Przysłowie mówi o Genueńczykach, że mają morze bez ryb, kraj bez drzew i ludzi bez wiary; z fałszu dwojga pierwszych zdań możnaby wnioskować, że i trzecie nie zupełnie jest prawdą. Wyborne ryby poławiają się na morzu, pięknych drzew pełno

w okolicy i nie wszystkim ludziom zaufania odmówić można; ale to lud handlarzy, przywykły do zysku, a chciwość zarobku często za daleko prowadzi i do zbytku rozgrzesza.

Z pierwszego wejrzenia, zwłaszcza na środkowe miasta ulice, wogóle znać dobry byt mieszkańców, pracowitość ich i zgodę wszystkich klas społeczeństwa, z której nie wyłącza się wojsko. Na strażach wszędzie stały gwardye narodowe, wesoło i dobrze wyglądające. Paniczykowie z białemi rączkami i wymuskanym wąsem odbywali warty przed ratuszem i głównemi gmachami. Na *Strada nuova*, na *Balbi* ludność spokojniéj krąży i wygląda bardziéj europejsko, ale i tu nieznośną monotonią fraków i surdutów przerywa dzwonek muła i ukazujący się za nim wieśniak, wiozący beczułki wina lub towary; kobieta z naczyniem na głowie, trochę odarty ale malowniczo wyglądający łobuz genueński, zajadający brzoskwinię lub smażoną tykwę.

Nie biorąc wcale przewodnika i błądząc na los szczęścia po mieście, odbyłem po niém pierwszą wielce nauczającą przechadzkę. — Tak trafiłem i przed wspaniałą facyatę katedry Ś. Wawrzyńca. Znać po niéj starożytność wielką, szczególniéj zastanawiający jest rzeźbiony i ozdobny portyk. Powłoka marmurowa dziwnie z początku razi, gdyż cały gmach naprzemiany obleczony jest pasami poprzecznemi białemi i czarnemi. Pierwszy raz widząc ten rodzaj ozdoby dziwacznie to wygląda. Wzniesiony w XI wieku, kościół ten ostatecznie był restaurowany w XVI wieku. Styl romański, wogóle rzeźby nad głównóm wnijściem bardzo starożytne, inne z epok różnych i późniejsze. Jedna tylko wieża dokończona, wznosi się nad budową... Z boku mniejsze wnijście od ulicy także jest rzeźbione i ozdobne. Główny portal składa się ze trzech bogato wyrabianych arkad romańskich, z ciekawemi płaskorzeźbami. Tą razą nie wchodziłem do środka. Na placu *Annunziata* na chwilę wstąpiliśmy do kościoła tegoż nazwiska, przyozdobionego świeżo i jaskrawo przez Lomellinich. Wspaniale wygląda, od marmurów z kolumnami wyniosłemi żłobkowanemi, których żłoby wykładane są czerwono... ale wszystko tu do zbytku złociste i strojne. Ołtarze błyszczą także popstrzone i wywdzięczone.—Zdało mi się, że charakter budowy wymownie świadczył o dawnym charakterze Genueńczyków."

Dnia jeszcze było dosyć, poszliśmy więc daléj, do jedynego prawie ogrodu publicznego i przechadzki w Genui, okrytéj dosyć pięknemi drzewami. Jest to niewielki plac z fontanną w pośrodku, nieco opodal otoczony pałacami (bo tu one rosną wszędzie), zowiący się *Aqua sola*... Wchodzi się na wzgórze, na którym jest

położony, po monumentalnych wschodach... Z za zieleni gdzieniegdzie przegląda trochę morza. —

W ogródku tym na wieczór zbierają się dla przechadzki i świeżego powietrza mieszkańcy Genui, wojskowi, klasa średnia, niekiedy cudzoziemcy, ale nie ma on ani charakteru, ani takiego wdzięku, jakiby łatwo mieć mógł, gdyby nań inne miejsce obrano. Widoku mało, cień tylko i drzewa zalecają *Aqua sola*.

Spędziwszy ranek na spoczynku, należało korzystać z wieczora, udaliśmy się więc na teatr, tém bardziéj, że afisze w *Carlo Felice* zapowiadały mającą śpiewać ulubioną tu pannę Leśniowską Polkę, primadonnę.

Oprócz głównego teatru *Carlo Felice*, który czasem odpoczywa, ma Genua kilka jeszcze: teatr *Paganini* (ulica Caffaro) świeżo zbudowany, *S. Agostino*, dosyć duży na placu tegoż nazwiska, *Apollo*, mały ale wytworny, *Colombo*, na którym grywają komedye, *Andrea D'Oria*, duży, we dnie i wieczory dający przedstawienia, na Aquasola, teatr dzienny ludowy (*Diurno*), przy ulicy Balbi teatr *Falcone* i mały teatrzyk maryonetek *alle Vigne*. Wyliczyliśmy je wszystkie, gdyż liczba ich mówi o zamiłowaniu genueńczyków w widowiskach; szczególniéj lud i średnia klasa uczęszcza tłumnie i roznamiętnia się bardzo. W *San Agostino* samym do dwóch tysięcy osób pomieścić się może. Arystokratyczniejszym jest *Carlo Felice*, ale tak na nim jak w innych nie ciągle grywają. Zawsze przecie kilka przynajmniéj jest czynnych. *Agostino*, *Diurno*, *Paganini* dają ciągłe przedstawienia.

Grano *miscio*, mieszaninę, pierwszy akt Wilhelma *Tella*, kawałek *Nabucco*, trochę *Lindy* i olbrzymi fantastyczny balet. W pierwszych trzech sztukach występowała z wielkiém powodzeniem panna Leśniowska, któréj Genua dała tuszę Genuenek obfitą, zbyteczną, zwłaszcza dla artystki. Głos jéj nieco znużony, piękny był jeszcze, i Genueńczycy z zapałem jéj poklaskiwali. Baletu wyobrażenia dać niepodobna, ta *prima representazione del Ballo Nervino d' il S. Coreografo Convulso*, oczarowała włochów, i przyznać potrzeba, że to szaleństwo, które się baletem zowie, szaleniéj pojęte i obmyślane dziwaczniéj być nie mogło. Występowały w nim sowy, nieboszczyki, tańcowały fajki, drzewa, kwiaty, ideały i rzeczywistości, pobrawszy się za ręce. Już kiedy szaléć, to szalenie... Uśmiali się i ubawili wszyscy, a było czém,—niby sen pijanego...

Zapomniałem, żeśmy, przebiegając ulice, spotkali dom z napisem, w którym się Krzysztof Kolumb miał urodzić. Szczyci się nim Genua i postawiła mu późniéj przepyszny pomnik, jest rzeczą wszakże pewną, że choć na posiadłościach rzeczypospolitéj zrodzo-

ny i jéj dziecię, Colombo przyszedł na świat w Cogoletto. Mnóstwo kawiarni, szynczków, sklepów wzięły za patrona *il gran Colombo.*

Jadąc z Genui tém pięknem wybrzeżem, nad którém stoją *San Pier d' Arena, Cornigliano, Sestri di Ponente, Pegli, Voltri* drogą wiodącą do Nizzy, spotyka się maleńką mieścinę nad samym morza brzegiem, którego fale biją prawie o domy. W jedynéj jego uliczce, podobnéj do wszystkich ulic włoskich miasteczek, ostawionéj domami o arkadach, sklepikami i gospodami, spotyka się dom z marmurową tablicą i dumnym napisem:

Unus erat mundus, duo sint, ait iste, fuere.—

Wiersz ten zaimprowizował p. Gagliuffi.

Na dole domku ozdobionego popiersiem Colomba, mieści się kawiarnia.

Wyszedłszy na brzeg morza i popatrzywszy na dzieci bawiące się z falami jego, budujące już czółenka i igrające poufale z rozszalałemi bałwany, na warsztaty z porozpoczynanemi barkami, młodość Colomba i jego żeglarskie powołanie lepiéj się pojmuje. Żywo tu na wyrostkach w Cogoletto czyta się historya jego dzieciństwa i pierwszych lat spędzonych w niebieskich wodach Śródziemnego morza. — Choć ojciec Colomba był handlarzem wełny, syn musiał zostać marynarzem, bo tu zrodzonemu i schowanemu czémś innem być nie można. Morze wabi i woła, a noc i dzień gra jedną pieśnią, szumi pokusą dalekich podróży i pełnego przygód żywota. Trzeba widzieć dzieci tych wybrzeżów po całych dniach siedzące nad morzem, lub pluskające się w niém, aby pojąć, co za skarb posiada w nich przyszła marynarka królestwa włoskiego...

Jeżeli z tylu portami, z taką ludnością, przy wszystkich środkach do pozyskania znaczenia państwa panującego morzu, Włochy nie potrafią zdobyć należnéj nad niém przewagi, dowiedzie to chyba, że długie rozdrobienie na wieki siły odbiera.—Ale tak być nie może. Olbrzymio już wzrasta marynarka włoska, a w przyszłości groźną się staje światu, lub, co lepiéj, pożyteczną przyszłym jego stosunkom.

Nazajutrz z rana (niestety był to już ośmnasty czerwca) poszedłem oglądać wnętrze katedralnego kościoła, nieodpowiadające wcale wspaniałemu starożytnemu portykowi... Zostały tu posadzki z XI wieku, ale charakter budowy więcéj restauracyą z XVI w. przypomina. Wnijście i część sklepień wykładane są jak ze-

wnątrz, pasami na przemiany czarnemi i białemi z marmuru paryjskiego.

Wenecya miała ciało Ś. Marka, współzawodniczce jéj potrzeba było miéć także relikwie nie mniéj wielkiego i głośnego patrona, przewieziono więc tu z Mirry w r. 1097 domniemane popioły ś-go Jana Chrzciciela. Spoczywają one w osobnéj kaplicy, do któréj skutkiem bulli Innocentego VIII nie wchodzą kobiety tylko raz w roku, z powodu nieszczęsnéj Herodyady. — Kaplica z rysunku Jac. della Porta jest wielce bogatą i ozdobną w posągi i płaskorzeźby, odznacza się jedna Sansovina. Trumna stoi w świątyńce spartéj na czterech porfirowych kolumnach, jest srebrna cała i delikatnie wyrabiana, pochodzi z 1438 roku. Drugą pamiątką w katedrze jest naczynie zwane *Sacro Catino*, znalezione przy wzięciu Cezarei w r. 1101. Podanie chce miéć, że to był dar królowéj Saby przywiezion Salomonowi, i że w niém pożywał Zbawiciel baranka wielkanocnego z uczniami. Uważano je za tak szacowne, że w roku 1476 ogłoszono prawo, skazujące na śmierć, ktoby się ważył dotknąć je czémś twardém. Naczynie to niezawsze widziéć można i pokazać nam go nie chciano.

Msza się odprawiała w czasie, gdyśmy byli w kościele, staliśmy wśród tłumu przy ołtarzu na lewo... Nie pamiętam, bym kiedy tak był dziwnie przerażony jak wówczas w biały dzień i wśród mnóstwa otaczającego ludu... Poglądając po klęczących po większéj części białemi zasłonami okrytych kobietach, ujrzałem postać na ziemi także klęczącą pobożnie, ale zupełnie trupią... Nie spodziewając się na posadzce tak rzuconego posągu, z razu pojąć nie mogłem, coby to było, żywy człowiek, czy jakieś zjawisko. Po chwili dopiéro rozeznałem najdziwniéj umieszczony w ten sposób posąg ze zżółkłego marmuru.

Z katedry poszliśmy do *San Siro*, kościoła, który istniał już w III wieku po Chrystusie, a do 985 r. był katedrą. Tu odbywały się zgromadzenia ludowe i wybierano dożów. Ale wszelki ślad starożytności kościoła dziś zniknął, skutkiem późniejszych odnowień; bogato tylko ubrano go w marmury. Sklepienie malował Carlone, inne obrazy są nieznanych artystów.

Kościół Ś. Ambrożego, dawniéj jezuicki (zwany *il Gesù*), odnowiła wspaniale familia, można dotąd, Pallavicinich i wysadziła także różnobarwnemi marmurami. Ściągają tu podróżnych dwa szczególniéj godne widzenia przedmioty; naprzód w lewo *Wniebowzięcie N. Panny* Guida, nieco szare, ale w górnéj części piękne i idealne, choć mu brak staréj onéj prostoty, jaką dawało natchnienie i wiara mistrzom pierwotnym.

Drugim jest naprzeciw w ołtarzu Rubensa ś. Ignacy Lojola

leczący chorych i opętanych. Koloryt tego obrazu jest przepyszny, ale ta czarująca umiejętność władania barwami i zestawiania ich nie opłaca czczości myśli, hałaśliwości dekoracyjnéj kompozycyi, braku ducha i rzekłbym (gdyby o malarzu wyrazić się tak można)—braku pokory. Dla surowych rysowników Rubens także nie starczy nawet rysunkiem konwencyonalnym i dowolnym. Chwalone freski Carlona nie zachwycają także.

Widząc, że kościoły genueńskie daleko nie dorównywają weneckim, skierowaliśmy się ku pałacom, szukając w nich śladów ubiegłego życia, które w sobie skupiały. Zeszliśmy na wspaniałą *Strada nuova* i naprzód dopuszczeni zostaliśmy do *Palazzo Rosso*, czyli Brignole-Sale. Uważają go tu za jeden z najwytworniejszych, a przewodnik najwięcéj w nim nam obiecywał obrazów. — Wnijście, jak do innych gmachów, wiele zapowiadało, pałac był starannie i w porządku utrzymywany, zamieszkany, odświeżony, choć zgóry nam oznajmiono, że wiele obrazów wywieziono do Paryża. Pozostało jednak wśród sal przepysznych dosyć drogich płócien i szczególniéj pięknych portretów Van Dyck'a. Kilka obrazów *Capuccino* dało nam lepiéj poznać ten talent energiczny i znamienity prawie jedyny w Genui.

Portrety Tycyana i Van Dyck'a szczególniejszéj warte są uwagi odwiedzających, a porównanie i typów, stoma laty przedzielonych, i malarzy, wiele uczy.

Sale pałacu, całe zawieszone obrazami, noszą wszystkie nazwania, po przedsieniu idzie sala wiosny, letnia, jesienna, zimowa, sala *vita umana*, sala patryotycznych cnót, pokój przed kaplicą, sala *della gioventù, il patriotismo* i t. d. Z genueńskich artystów tylko Kapucyn i Piola, zwany Rafaelem genueńskim, odznaczają się.— Piola ma wiele wdzięku.

Równie wspaniałym jest pałac Balbi, zbudowany w XVII wieku z rysunków Bianco i Corradi, i zapełniony pięknemi obrazami, wśród których téż portrety Van Dyck'a celują. Wielki ten, głośny, wzięty i ulubiony za swych czasów artysta, parę lat bawił w Genui i zasypał ją portretami, bo wszyscy możni dali mu się malować. W pałacu Balbi jest i N. Panna, jak utrzymują, z pięknéj jakiéjś Genuenki odwzorowana... przez niego. Veronese, Ribera, nawet Michał Anioł zdobią ściany téj istotnie pańskiéj rezydencyi. Z miejscowych dosyć piękna fryza wystawująca Bacchanalie Sarzany... O jednym z portretów znajdujących się tu Velasqueza, (Filipa II), mówią, że pokrywa głowę malowaną pod spodem jednego z członków rodziny, którego wizerunku, jako wygnańca, obawiano się mieć w domu. To dosyć maluje czasy i oby-

czaje, gdy familia lękała się, by jéj braterskie przywiązanie za winę nie poczytano. Despotyzm ludu tak bywał straszny!

Oglądaliśmy także pałac Pallavicinich, przy ulicy Carlo Felice, ze znacznym zbiorem obrazów. Perłą jest przyznawana Rafaelowi madonna *della Colonna*, znana ze sztychów. Nie wchodzimy w to, czy to jest piękna kopia stara, czy oryginał; obraz bądź-co-bądź pochodzi z ostatniéj, jak się zdaje, epoki mistrza, trochę jest wyszukany, wywdzięczony, ale piękny. Dziecię ułożone nieco manierowanym sposobem, głowa matki dziewicy nie ma naiwności pierwszych madon Rafaela, koloryt miejscami przyciemny. Oprócz tego jest kilka pięknych obrazów Carracich, Guercina i św. Franciszek tutejszego Kapucyna.

Tyle płócien przesunęło się nam przed oczyma, i takeśmy oglądaniem ich i przepychów pałacowych byli znużeni, żeśmy na tych trzech poprzestali. Szlachta genueńska lepiéj wogóle starą swą zachować potrafiła zamożność, pałace jéj nie poprzechodziły w ręce obce, są utrzymane dobrze i mieszkalne prawie wszystkie. Nie chciałbym się wdawać w zbyt subtelne wykłady, ale szlachetniejszy jest niemal upadek Wenetów wraz z ojczyzny upadkiem, niż to ocalone życie po stracie kraju. Miałożby to dowodzić, że Genueńczycy lepiéj umieli rachować? Miałożby to potwierdzić owe przysłowie: *senza fede?*

Poobiednie godziny użyliśmy na przejażdżkę za miasto w tę stronę, którą droga do Pizy prowadzi. Zjechaliśmy naprzód w dolną część miasta, która znacznie jest brudniejszą, bardziéj opuszczoną i mieści w sobie przekupniów i uboższych rzemieślników. Wszędzie po drodze przez szeroko otwarte drzwi kuźni widać było pracujących nad żelaznemi łóżkami, których wyrób wiele rąk zajmuje w Genui. Innych tu nie używają. Łóżka te mocne i lekkie, przyozdabiane są dosyć ładnie wyrabianemi blachami posrebrzanemi, z ryciem czarném i złocistém wyobrażającém arabeski, aniołki, całujące się gołąbki i t. p. Sprzedaż jarzyn, owoców, świeżéj wody i limonady, zajmuje wszystkie kątki i place, pełne téż mułów, koni, ogromnych wozów o dwóch kołach, kolasek, wózków i t. p. Tu już się czujemy we Włoszech, tak malowniczo jest i zaszarzano, tak krzykliwo i gwarnie. Przejechawszy długą ulicę przystrojoną tylko w to, co powszedniemu posługuje życiu, przebywa się ozdobną bramę z posągiem N. Panny opiekunki miasta i wjeżdża w przecudowną okolicę. Na prawo znika morze zakryte budowlami, dokoła wznoszą się wzgórza całe przystrojone w wille i pałace, ogrody, winnice, domy malowane wesoło. Na drodze ruch niezmierny. Dodajmy ponad tém jasne niebo włoskie i wrażenie pierwsze południowego kraju, a pojąć będzie łatwo zachwycenie nasze.

Wcale dotąd nie byłem pewien, jak i dokąd pojadę, ta przejażdżka, ten krajobraz zachwycający, jaki przebywszy most na Bisagno odkrył się oczom moim, zrodził pierwszy chęć udania się lądem do Pizy a stamtąd do Florencyi. Przed chwilą szukałem jeszcze statku, aby nim płynąć do *Civitá Vecchia*, teraz postanowiłem ważyć się na długą i, w mojém pojęciu, niebezpieczniejszą drogę, byle trochę więcéj tego świata włoskiego zobaczyć. Taki był piękny, tak nowy, tak uśmiechnięty do życia! Julmo, który był ze mną, przyczynił się do utwierdzenia mnie w téj myśli, wiozący nas woźnica ofiarował się pewnego, dobrego i niedrogiego dostarczyć vetturina; pozostawało tylko nieufnego i, jeszcze gorsze nad moje, wyobrażenie mającego o Włochach Klemroda, przekonać i skłonić.

Droga była coraz śliczniejsza, wiła się naprzód wpośród willi i pałaców otoczonych ogrodami; w jednym z nich pierwszy raz zobaczyłem cały szereg czarnych opylonych niekształtnych cyprysów. Grobowe drzewo cmentarzy mocno moje oczekiwanie zawiodło, kolor jego był niewdzięcznie ciemny, kształty wcale nie malownicze, liście zbijały się w ostrosłup nieforemny, gęsty, tak, że przypomniały drzewka z cukru robione dla dzieci. Stary cyprys czasem nieco bywa piękniejszy i może dobrze stanąć na pierwszym planie obrazu, młode drzewka są zupełnie brzydkie.

Za to aloesy powczepiane nad drogą, płoty pełne róż, ogromne laury i pomarańcze prześliczne zdobiły murki i wyglądały z za obmurowań ogrodowych; a krzywe gałęzie fig zwieszały się kapryśnie, konwulsyjnie powykręcane. Wkrótce w prawo pokazało się morze, a ku Nervi góry fioletowane, które je osłaniają. Był to wstęp do téj sławnéj drogi wybrzeża (*cornice*) ciągnącéj się aż ku Pizie, którą całą późniéj zwiedzić miałem, bo począwszy od Marsylii i Tulonu,—i powiedziéć mogę śmiało, że cudowniejszego dla malarza gościńca niéma na świecie. Zachwycony samą nadzieją wędrówki tak uroczéj, niedojechawszy do Nervi, kazałem do miasta nawrócić, aby co prędzéj namówić Klemroda i gotować się do téj wycieczki. Wdzięczen byłem sam sobie, żem tak wyborny osnuł plan podróży. Julmo mi poklaskiwał, dowodząc, że osławione brygantami Włochy tak są bezpieczne jak droga z Żytomierza do Kijowa.

Byłem już całkowicie przekonany.

Klemrod mniéj się szczęściem opierał, niżeli zrazu się spodziewałem, zbył nas milczeniem, ale dobył kieszonkowe pistolety z walizy i począł je na wszelki przypadek nastrajać. Chociaż pewni, że użyć ich nie będziemy potrzebowali, my także nie chcieliśmy mu odbierać złudzenia tego, że Włochy mają jeszcze rozbójników, i że w razie spotkania wystrzał z tych zabawnych pukawek odstraszyć ich może.

Od przyjazdu do Genui dowiadywałem się o Michała Wiszniewskiego, który tu mieszkał od dawna, wiedziałem, że go szukać było potrzeba w pałacu Pallavicini, ale stąd odesłano mnie do Pegli, na drugą stronę Genui, oznajmując, że zajmuje w lecie willę Danino o godzinę drogi od miasta, przy Ponte Granaro. Rad byłem temu, bo mi to dawało zręczność poznawania okolicy, wcalem się bowiem nie spodziewał, że w kilkakrotnym pobycie moim w Genui, lepiéj się z nią obeznać potrafię. Około południa nazajutrz nająwszy citadinę, w sam najokrutniejszy skwar, pociągnąłem na *riviera di Ponente*...

Droga wiodła naprzód ponad portem ku morskiéj latarni, dozwalając dobrze się przypatrzyć *superbie* po nad nim rozłożonéj na górach. Przebywszy bramę warowną z obrazem Najśw. Panny, jak pierwsza, i skałę, na któréj, jak olbrzymi kandelabr, stoi wysoko wyrosła latarnia, ujrzałem w lewo pełne morze świecące barwy niezrównanemi, sine, zielone, złociste, opalowe; a przed sobą przedmieście *San Pier d'Arena*, a raczéj spore i wcale pokaźne miasteczko, bo ludność jego dochodzi do 10.000. Na wzgórzach woźnica mi wskazał pałace: Spinola, willę zwaną *Imperiale* i pałac Sauli, wszystkie podobno wzniesione z rysunków Alessi, który przynajmniéj połowę Genui zbudował. O obejrzeniu tych gmachów nie mogło być mowy... ciągnęliśmy daléj do Cornigliano, położonego także u brzegu morza, w ślicznéj owéj dolinie Polcevery... Tu znowu woźnica pokazał pałace i ogrody Durazzo, aleśmy je minęli, większe miasteczko *Sestri di Ponente* ukazywało się w dali, i w Sestri cuda willi Spinola nie skusiły mnie również; spojrzałem na brzeg morski cały zajęty budującemi się statkami i wyznam, że ciekawszy go byłem niżeli pałaców i ogrodów. Przesunęliśmy się główną ulicą, mimo sławnego albergo z grotą, mimo kościoła w dole i kościołów na górach, dążąc do Pegli.

Nie zliczę obrazków, jakie się nastręczały oku, ale tyle ich mamy jeszcze do odmalowania, że te pominąć potrzeba, choć wdzięczne dawały wyobrażenie tego, co nas w drodze nad wybrzeżem czekało. Woźnica mój najpewniejszym był, że musiałem jechać dla obejrzenia *Villi Pallavicini*, willi cudu, willi najsławniejszéj z przesławnych, willi, którą każdy porządny turysta widziéć i chwalić powinien pod utratą szacunku przewodników, któréj wydano widoki i opis, która kosztowała miliony, a którą naostatek ogląda się tylko za biletami wydawanemi w Genui w pałacu Pallavicini. Niestety! spadłem wielce w jego wyobrażeniu, gdy postrzegł, że nie należałem do wybranych, że kazawszy mu stanąć naprzeciw *ponte Granaro*, i dozwoliwszy koniowi spoczywać, sam pieszo udałem się szukać willi Danino...

Łożysko wyschłego potoku pełne kamieni i żwiru, tuż pod murami onéj willi cudów wskazano mi jako drogę do willi Danino...

W lewo lasem kasztanów, pomarańcz, laurów, cyprysów, fig pokryte wznosiło się wzgórze, z za którego murów zwieszały się gałęzie drzew rozbujałe, w prawo druga góra nieco mniéj zarosła, wprost przede mną wysoko rzucony most arkadą śmiałą łączył dwa brzegi tego wąwozu, a w jego łuku głęboko sine widać było wierzchy wysokie Apeninów. Na prawo u szczytu zobaczyłem dom nieco opuszczony, willę zbudowaną malowniczo, alem nie wiedział jeszcze, czy to była ta, któréj szukałem. Spotkawszy chłopaka mówiącego po genueńsku, to jest zjadającego połowę głosek dla eufonii, ledwie się z nim potrafiłem rozmówić. *Villa Danino* zwała się u niego *Via Dai-o*... Ścieżkami kamienistemi, potém w górę się drapiąc dobiłem się do drzwi, ale wszystko było pozamykane, a budynek smutną jakąś wydawał się ruiną. Po stuknięciu silniejszém wyszła służąca, dla uniknienia rozmowy, posłałem przez nią mój bilet. Tymczasem przypatrywałem się dosyć niezłemu freskowi na facyacie wyobrażającemu N. Pannę, śś. Jana Chrzciciela i Dominika. Słoty go bardzo spłókały, a cała willa wydawała się smętną i ledwie zamieszkaną, pustką. Po długiéj chwili wyczekiwania wpuszczono mnie, ujrzałem człowieka, którego oddawna poznać pragnąłem; przyjął mnie milczący smutnym ręki uściskiem, przypatrując mi się zblizka, spostrzegłem, że silnie był na oczy cierpiący.

Jeden rzut oka na niego dał mi poznać wszystkie tęsknice i boleści wygnańca, jak one łamią i niszczą najsilniejszego człowieka. Wiszniewski wydał mi się starym, przygnębionym, znękanym. Twarz jego wyrażała boleść głęboką, po któréj jak błyskawica przelatywał niekiedy uśmiech szyderski.

Prawda, że przecierpiał wiele i mężnie, że świeżo znaczna majętność, któréj się odważną pracą dorobił, w większéj części pochłoniętą została przesileniem bankowém, z którego wyszedł niepokalanym, ale na pół zrujnowanym. Ale prócz tego rzucił on za sobą ten kraj, dla którego mozolnie i poczciwie pracował długo, w którego literaturze zaszczytne zajmuje miejsce, zerwał z nim i gorycz mu została, czując się zapomnianym, opuszczonym, nieuznanym i nieocenionym.

W każdém słowie jego znać było przebyte cierpienie i dojmujący ból chwili obecnéj. Można sobie wyobrazić, jak mnie dotknął widok téj pary ludzi (wkrótce bowiem nadeszła pani sama), tak osamotnionych i znękanych. Ich dwoje, jedna służąca przy obszernym dosyć domu, który zajmowali cały, nie było więcéj nikogo, rodzina rozproszona, syn, znakomity ekonomista, w podróży. Dwoje starych, siedzieli tu tak sami, sami i jeszcze w takiéj pustce, któréj widok już

osmucał. Właściciel widać niebardzo się o dom troszczył, niegdyś okazały, na dole stał on ruiną prawie.

Poczęliśmy mówić o kraju, o literaturze, Wiszniewski ostatki książek i rękopismów nawet, do historyi przygotowanych, pozbywszy się, stracił był zupełnie z oczów życie nasze, ledwie cośkolwiek głucho wiedział o niém, nowe dlań były imiona pisarzów, wydawców, ludzi czynu i ludzi pióra. Z wielu rzeczy szydził boleśnie i nie bez przyczyny, na inne poruszał ramionami; dla niego świat się był skończył...

A przecież pracował! otoczony książkami zbierał się na historyę Włoch, do któréj same mu się pościągały materyały, i choć mocno cierpiący na oczy, myśli nie dawał spoczywać. Z ruiny majątkowéj, pozostały mu najcenniejsze rzeczy, kilka obrazów, które nie bez przyczyny cenił wysoko, jako dobry znawca. Pokazał mi naprzód swą perłę prześliczną madonę Francesco Francia, w lepszych czasach nabytą, od któréj oddzielić się nie mógł. Portret Mas' Aniello i obraz Primatice. Lubował się jeszcze niemi. Wśród rozmowy o sztuce, jak kochanek rozgniewany na swą miłą, z którą się rozstał oddawna, Wiszniewski rzucał z ukosa pytania gorzkie o kraju, czuć było, jak ta niewdzięczna ziemia go obchodziła.

— Oni tam zapomnieli o mnie! — przebąkiwał — jest tylu nowych, cóż oni tam piszą?...

A za każdém słowem mojém wykrzykiwał podziwieniem i kolącym a bolejącym sarkazmem, który się w duszy méj odbijał głęboko.

Biedny starzec, nie miał słuszności! sądził się zapomnianym fałszywie, autor *Charakterów* i *Historyi literatury* nie może być pominiętym na kartach tych dziejów, które pierwszy na szerszą skalę pisać zaczął. Napróżno usiłowałem cokolwiek go rozweselić, próżno żona także łagodziła jego rozdrażnienie, zdawało się, że widok ziomka, przybysza z kraju, całą gorycz długo tajoną i żal do swoich, dobył z niego, był przerażająco smutny, nielitościwie szyderski.

I mnie na duszy zrobiło się jakoś dziwnie przykro, widok tego dobrowolnego wygnańca w téj pustce na górze, stojącéj samotnie wśród zeschłego ogródka na pół ociemniałego, stęsknionego i zbolałego, przejmował boleśnie. To zwątpienie o całym bożym świecie, jakie przez usta jego się lało, i mnie odejmowało siłę i wiarę.

Przyniesiono wody i wina czerwonego z miejscowéj winnicy, dobrego wcale, ale Wiszniewski pić nie mógł, a pani wolała kawę, ja więc sam skosztowałem go, aby się orzeźwić i zadurzyć. Przyznaję, żem tego potrzebował, tak czułem się znękanym. Wyszliśmy potém przejść się trochę po ślicznéj okolicy, ku stojącemu blizko młynowi malowniczemu, przez ów wiszący most, z któregc widok był rozległy

i piękny. Gospodarz trochę się tą pięknością swych Włoch ożywił, pokazywał mi je z uczuciem miłości dla swéj nowéj ojczyzny. Usiadłem wyrysować sobie willę Danino z jéj łożyskiem potoku, arkadą i dalekiemi górami.

— Na téj skale — mówił p. Michał — mieszka poczciwy chłop (manente), którego ja zowię Signorem della Rocca, posługujący mi, gdy potrzeba, za półtora franka dziennie. Z nim pracujemy około winnicy i tego wina, które piłeś, wyciskamy je sami. Signor della Rocca jest wielce dobry człowiek i niewiele się różni od naszego wieśniaka. Lepiéj tylko czuje godność swoję.

Od młynka wielce ładnego powróciliśmy do willi, a pani wprowadziła nas do ogródka tak pustego, jak sam dom, ale bujnie rozrosłego, choć na wysokiéj górze. Kwitł tam jakiś powój czerwony, którego zabrałem nasienie, aby je zawieść do domu, ale mi nie zeszło pod naszém niebem. Kwitło i drzewo granatu i jaśminy przy płotach i pomarańcze i laury, a zielone oliwki podobne do naszych wierzb, dopiéro się na drzewach zawiązywały. To życie natury przy téj obumarłości człowieka, którego los po ciężkiéj pracy zagnał na to wzgórze pustelnicze, dziwnie odbijało. W willi oglądałem domową niegdyś kapliczkę tak opustoszoną, jak reszta budowy. Stał w niéj jeszcze ołtarz, ale tak był nagi, tak dawno nie odprawiały się tu modlitwy, tak czuć było wilgoć i stęchliznę zamknięcia! Gdzież się podziało to życie, które zewsząd uciekło? i ci ludzie, co tu mieszkali weselsi, co się tu modlili i śpiewali?

Obawiałem się zmęczyć gospodarstwo dłuższemi odwiedzinami, które im nawet roztargnienia nie przyniosły, pożegnałem więc oboje, a Wiszniewski jeszcze mnie był łaskaw przeprowadzić, aby wygodniejszą pokazać drogę. Poszliśmy razem, oba smutni i milczący ponad murem willi Pallavicini.

— Nie chciałbyś téj osobliwości zobaczyć?—rzekł do mnie — jest to kosztowna pańska fantazya, i pełna niespodzianek. Wszystko to, jak niegdyś Potoccy Zofiówkę, zrobiono na pustéj łyséj górze, na któréj była nędzna winnica i trochę sosenek, naturalnie milionami. Familia Pallaviciniego niebardzo była rada temu siódmemu cudowi świata. Masz tam wszystko, czego w parku żądać może fantazya najbujniejsza, groty, kaskady, pałace z kararyjskiego marmuru, jezioro, obeliski egipskie, kioski tureckie i prześliczny widok na morze. W altanie oblewają cię wodą z góry i otaczają wodotryskami, stąpasz i z pod nóg ci chlusta w oczy, jużciż to warte widzenia.

— Nie — rzekłem — jechałem do Włoch, aby poznać Włochy, a nie tego rodzaju zabawki, szkoda mi czasu, gdy i tak tyle rzeczy omijać potrzeba, aby nie widziéć nadto i nie obałamucić się tém mnóstwem. Wolę dziki zakąt kraju i śpieszę czarowną drogą

nad morzem do Pizy, wioząc z sobą podróż waszę jako przewodnika.

Wiszniewski rzucił ręką niedbale i skłonił głowę na piersi.

Po drodze jeszcze pokazał mi przędzalnię jedwabiu, i mnóstwo w niéj kobiet pracujących nad żółtawemi pasmami, z których kosztowne materye dla pań naszych wyrabiać się miały. Do przemysłu jedwabniczego dla Włoch południowych przybędzie wkrótce uprawa bawełny, która da im nowe bogactwo. Szczęśliwy kraj ten posiada wszystko, co tylko przyszłość zapewnić może obfitą, w materyał do pracy: a praca nie jest li sama najwyższém szczęściem?

Nazajutrz mieliśmy opuścić Genuę, wróciwszy więc wzięto się do przygotowań, nadszedł weturino z dość poczciwą twarzą i najął się nam niezbyt targując do Pizy za dziesięć napoleonów. Zapewniliśmy sobie, że stawać będziemy, gdzie i jak nam się podoba.

Od téj pierwszéj bytności w Genui, bawiłem późniéj kilka razy i czas stosunkowo dość długi w samém mieście i okolicy, już po wyzwoleniu się państwa włoskiego, a ostatnio w 1863 r. Przeglądając dawniejsze notaty moje i porównywając je ze wspomnieniami świeższemi, niewiele-bym mógł dodać do pierwszych. Oglądałem miasto pilniéj, nie znalazłszy w niém nic na szczególną zasługującego uwagę. Przybyły gmachy wspaniałe, dworzec kolei, pomnik Kolumba, posąg Cavoura w bursie kupieckiéj, życie się wcale nie zmieniło. Port jest może bardziéj jeszcze ożywiony, i na inny sposób, bo w niém stoi więcéj statków wojennych i bateryj pływających; więcéj wojska po ulicach, fizyognomia nowego królestwa stała się wybitniéj militarną, bo radaby nietylko się bronić, ale odzyskiwać to, co do całości należéć się zdaje. Nie sądźmy, żeby życie umysłowe wiele zyskało przez te lata, chociaż dzienników jest mnóstwo, dziennikarstwo i polityka pochłaniają literaturę. W saméj Genui najpopularniejszym jest mały, dwa razy na dzień wychodzący *il Movimento*, kartka redagowana żwawo, niezbyt starannie i poświęcona samym nowinom. Blizkość Turynu zalewa Genuę mnóstwem innych peryodyków, poważnych i humorystycznych.

Ostatnich nigdzie dziś może niéma tyle co we Włoszech, wychodzi ich pełno nawet po małych miasteczkach. *Gianduia, Spirito folletto, Lampione*... i mnóstwo innych. Raz w tydzień ukazuje się takich dowcipów pełen półarkusz z jedną litografowaną karykaturą, nie oszczędzający nikogo i korzystający ze swobody zamaszyście. Nie zawsze dowcip przyjdzie na zawołanie, a że solić czémś potrzeba, osala się złośliwością. Ma to swą dobrą stronę, bo wyrównywa nadzorowi policyjnemu innych krajów. Trzeba się strzedz, aby na zęby nie popaść; ale i nadużycia się trafiają, gdy z publicznego życia schodzi się na prywatne.

Genua ma klimat dosyć łagodny i, mimo niewielkiéj odległości, znacznie cieplejszy od Turynu, przykre tylko wichry dokuczają jéj w jesieni. Życie nie jest bardzo drogie, wiele téż rodzin angielskich zubożałych lub oszczędnych przepędza tu znaczną część roku. Kąpieli tylko morskich braknie miastu choć położonemu nad morzem, potrzeba ich używać w łódce na wschodkach przywiązanemu do sznura, co nie jest zbyt wygodném ani nadto bezpieczném. W okolicy w Sestri i około Nervi, urządzone są kąpiele nieco dogodniejsze, ale zawsze wiele do życzenia zostawujące.

Nazajutrz poszliśmy jeszcze do katedralnego kościoła i trafiliśmy na odpust jakiś; wnętrze obyczajem włoskim przystroiło się było w adamaszkowe opony ze złotemi galonami, ludu było mnóstwo, kobiet wiele przystępowało do spowiedzi, pobożność zdawała się szczera i gorąca.

Od r. 1858 wielkie w tym względzie zaszły zmiany, które może nie sięgnęły do głębi, nie obaliły uczuć religijnych i ich podstawy, ale wstrząsły niemi silnie. W r. 1863 znaleźliśmy w Genui to, czego dawniéj nie bywało, literaturę prawie protestancką, dzienniki otwarcie akatolickie, propagandę ogromną w tym kierunku, mnóstwo książeczek tanich przeznaczonych dla ludu, kalendarze w wolterowskim duchu, życie Chrystusa przez Renan'a w edycyi pięćdziesiątcentymowéj. Wprawdzie odpusty są równie licznie uczęszczane, dzięki illuminacyom, fajerwerkom, muzyce i zabawom z niemi połączonym, ale co się w duszach i sercach dzieje, odgadnąć trudno. Nasienie niewiary rzucone wszędzie rośnie powoli. Obok niego powinniby ci, co tak gorliwie pracują w duchu reformy kościoła, wcześnie obmyśléć lekarstwo na chorobę, jaka się wyrodzić musi chwilowo z obalenia tego, co w klubach społeczeństwo trzymało. Lud, czytający chciwie i wierzący drukowanemu, lżejszém znajdując życie bez tak ścisłego prawa religijnego, chwyci się zupełnéj swobody, ale czy rozpozna, gdzie się krytyka wstrzymać powinna? gdzie kończy się dogmat a poczyna moralność odwieczna, któréj chrześcijaństwo jest i pozostanie najjaśniejszą pochodnią? Są to wszystko zagadnienia przyszłości.

Niewątpliwém jest wszakże, iż Włochy przetwarzają się, że pod wpływem wypadków, kraj najreligijniejszy w świecie przechodzi do zupełnéj obojętności w rzeczach wiary. Tam gdzie ona tak ważne w życiu, obyczajach, tradycyach zajmowała miejsce, nie jest obojętném, co ją zastąpi, i jak się próżnia wypełni.

Wszystko dziś w tych nowych Włoszech przetwarza się i wyrabia inaczéj, ale któż odgadnie ostatnią wynikłość tylu sił, rozmaitego natężenia i w różnych działających kierunkach? nie mamy dosyć danych, abyśmy nawet przypuszczalny rachunek zrobić mogli.

Z kościoła wróciwszy zastaliśmy pana Giuseppe Quirolo z jego koczem starym i roztrzęsionym w pogotowiu, nasze bagaże silnym łańcuchem przymocowane były z tyłu, Klemrod opłacił Feder'a, wszyscy hotelowi wydrwigrosze dostali *buona mano*, mogliśmy jechać daléj i pożegnać Genuę.

Z wielką radością siedliśmy do powozu. Oglądać miasta, mury i to, co ludzie zrobili, bardzo jest zajmującém, ale bądź-co-bądź, dzieło boże, natura, ma urok jeszcze większy. Miło było odetchnąć świeżém powietrzem, nie jechać koleją, wlec się powoli i obiecywać sobie wspaniałe obrazy, jakie ta wędrówka zapowiadała.

Droga do Pizy, zwana drogą wybrzeża (gzymsu, *Cornice*), idzie ciągle wykuta w skałach nad samym morza skrajem, niezmiernie malowniczo wijąc się nad nim. Na prawo świeci prawie nieustannie lazurowe owo morze Śródziemne, którego koloryt żywy nie ma równego; pełno zatok, wgłębień, wykąsów, w które wody jego zachodzą, stąd wielka widoków rozmaitość. Często daleko bardzo sięga oko, a plany dalsze osnute mgłami z góry piętrzącemi się, giną na horyzoncie. Aż do Rutta, gdzieśmy popasali nieco, jedzie się ciągle drożyną podnoszącą do góry, okoloną ślicznemi krajobrazami, przez *S. Martino d'Albaro*, pełne willi, *Nervi*, sławne swemi pomarańczowemi ogrodami i wodą z kwiatów pomarańczowych, którą tu wyrabiają, i pstro malowanemi domy i willami, przez *Recco* nareszcie, ciągle wśród pałacyków, winnic, ogródków z ładnemi bramkami, wnijściami ozdobionemi w wazony, w obrazy, w posążki świętych wśród przymurków, wschodków, obmurowań pokrytych aloesami dziwnie przyczepionemi na nich. Gdzieniegdzie nad morzem sterczą mokre skały czarne, o które białą pianą rozbija się fala, indziéj pluszcze się i rozlewa na piasku frędzlą srebrzystą. Ciągle w dali sinieją góry, które mamy przebywać, zabudowania porzucane fantazyjnie, ogrody. Pióro nie może nastarczyć rozmaitości widoków, nad głowami ciągle prawie zwiesza się zieloność, sploty winnych latorośli, laury, oliwki wyschłe, kasztany, cyprysy, para palm nawet wystrzela z jednego ogródka, aby wschód przypomniéć. To ruina kościołka, to opuszczony ale ładniuchny domek wiejski, to chatka z kamieni opięta bluszczami, to albergo z patronem nad bramą i napisem kołyszącym się na pręcie żelaznym, a przy każdéj niemal budowie wschodki, galeryjka, bramka, arkada, która ją czyni wdzięczną, statuetka w niszy, wazon kamienny na słupie, studnie z kamienną cembrzyną ze starego może grobowca. Drożynę opasują prawie ciągle murki różnéj wysokości, ponad które wyglądają sosny, figi pokrzywione i to wino, które tu rośnie wszędzie. Sosny włoskie krewne naszych, ale wszystkie prawie mają kształt rozpiętych parasolów.

Parasol wcale nie jest malarskim motywem, przecież te sosny są prześliczne, strzelają słupem prostym wysoko, potém rozpinają szeroko gałęzie, i korona zielona roztacza się nad niemi w powietrzu.

Tak drogą ponad morzem, posłuszną jego kaprysom, wijącą się brzegami, wśród szumu fal, wśród drzew szelestu, w piękny, ale już skwarny dzień wiosenny, przybyliśmy spocząć do Rutta. *Albergo de la grande Bretagne,* nad samém morzem, bardzo czyste i porządne, strzymało nas godzin parę. Przygotowani byliśmy do bardzo złego jadła, ale uczyniono nam zawód, dając wyborne kotlety *à la milanese,* wino Barbera i Asti wcale dobre, kurczę pieczone w oliwie i frukta. Był to obiad książęcy!

Od Rutta droga nie tracąc na wdzięku, zmienia nieco charakter, krajobraz nie tak jest uśmiechnięty, ale poważniejszy za to, góry rosną. Miasteczko S. Margareta widzimy pod stopami, choć na wzgórzu. Wzgórza okrywają lasy kasztanów, plantacye drzew oliwnych, winnice, figi, miejscami wśród nagich skał sosny wyrastają wysokie. Coraz się podnosząc droga przechodzi kilka tunelów malowniczych; morze już o kilkaset stóp nizko szumi, z drugiéj strony sterczą gładkie ściany połamanych marmurów, Przejeżdżamy przez Rapallo małą ładną mieścinę, gdzie jest pięknie położony kościołek, część ludności, jak nam mówią, zajmuje się połowem korali. Około Suaggi skaliste opoki olbrzymieją jeszcze, góry się piętrzą okryte sosnami, droga zawraca, skręca, tak, że miejscami ścianka muru dzieli ją tylko od morza, które gdzieś w dole podmywa ścianę kamienną.

Jakże tu żal nie być malarzem, nie umiéć pochwycić, zapamiętać, odtworzyć tych widoków, które mglisto tylko śnią się potém całe życie!

Kościołków, domków, śladów człowieka mimo tego pustynnego pozoru kraju, pełno wszędzie. Ta część drogi dziksza piękniejsza jeszcze jest może; widziane z wysoka morze roztacza się ogromną przestrzenią. Nareszcie powoli zaczynamy się spuszczać znowu i zjeżdżamy ku *Chiavari. Sedie leggiere,* wyplatane trzciną, wsławiają to piękne miasteczko położone w dolinie u samego brzegu morza; pracowite i przemyślne. W Rutta jeszcze mówiono nam, że tu jest sławny obraz cudowny. Główna ulica stara, ciasna ostawiona jest domami z portykami i arkadami. Stąd już piaszczystym brzegiem morza jedzie się, aż do Sestri. Cała droga prawie wysadzana aloesami, z których dwa czy trzy wystrzeliły kwiatami zielonemi podobnemi do bronzowych kandelabrów. Stajemy w Albergo Europa tuż, tuż nad morzem, przez okna słychać dobrze szum fali taki miły, tak rozmarzający. Miasteczko leży wśród dwóch

wzgórzów porosłych drzewami, na wybrzeżu. Na jednéj wyniosłości, pokrytéj zielenią, siedzi stary jakiś zameczek i głęboko z nią wychodzi w morze. Otwarłszy okna mimo komarów siedzieliśmy póki było można słuchając pieśni fal, które wśród ciszy śpiewały cudownie.

Mówią o przywiązaniu do gór mieszkańców krajów górzystych, zdaje mi się, że kto się urodził, wychował, żył długo nad morzem, ten do niego straszliwie tęsknić musi. Morze ma urok dla oka, dla ucha, dla piersi, co jego powietrzem oddycha, a dla duszy i dla myśli, nieprzezwyciężony. Można siedzieć nad niém godziny, dnie, lata i zapomnieć nawet o najcięższych boleściach życia, ale potrzeba, żeby morzem tém było Śródziemne. Ocean, Bałtyk, morze Czarne pełne wdzięków ze Śródziemném porównać się nie dają. Takiemi barwami jak ono nie maluje się żadne, roztopiony lapislazuli, topazy, ametysty, szmaragdy, nie dorównają mu blaskiem i barwą, kiedy ci się zechce przystroić w jaki wybrany dzień uroczysty, którego wspaniałość odbija się w duszy.

Dano nam bardzo paradne pokoje w Sestri di Levante, i przyzwoity pokarm, ale nazajutrz odarto téż dobrze. Musieliśmy wyruszyć wcześnie, bo o szóstéj rano. Rzuciliśmy raz jeszcze okiem na miasteczko położone na półwyspie, które w czasie wielkich burz i wiatrów czasem woda zupełnie od lądu oddziela. Droga stąd rzuca się od morza daléj w góry strome, tak, że kiedy niekiedy tylko, w prawo ukazuje się czarna tafla wody. Ranek był pochmurny, aleśmy sobie pochlebiali, że się wypogodzi, wcale się jednak stało inaczéj. Ponad morzem włóczyły się mgły szare jakieś i brudne, rozbite, porozciągane, to czepiając boków gór, to opadając z wolna w doliny, ale nie myśląc rozchodzić. Skupiały się szczególniéj u wierzchołków i szczyty zdawały się dymić jak wulkany, a z dolin buchało, jakby w nich wrzały wody kotlin głębokich.

Coraz jakoś robiło się ciemniéj, droga powoli pięła się znowu pod górę, ciągle kuta w skałach, stając się pustszą i dzikszą. Obraz tych skał, obrywów, złomów obwinięty chmurami był majestatyczny i pełen charakteru. U nóg przez rozdarte tumany niekiedy widać było głębie przepaści i niknące gdzieś doliny, w górze tylko skały i głazy potrzaskane, czarne, płowe, drzew nawet coraz mniéj spotkaliśmy, tylko gdzie było trochę ziemi, tam nieznana mi jakaś roślina, bez listków, nakształt sitowia, ubrana w kwiatki żółte, pachniała roztaczając woń miłą, rosły dzikie lilie czerwone, wrzosy i kapryfolia.

Pasma gór widziane z wysoka rozwijały się przed nami różnie, mienionemi barwami ciemnemi, zielone, żółte, sine, w kształtach

coraz nowych, ale mgła coraz nam je więcéj zakrywała. Właśnie gdyśmy się wyżéj drapać zaczynali jeszcze, mgły te skupiły się i na zawrocie ujrzeliśmy ze szczytu morze poczerniałe z nawisłemi nad niém chmurami, a górę jednę występującą naprzód całą czarną. Dokoła skały dzikie były, bez drzew; osłoniony ciemnością wśród dnia, obraz ten wspaniały, ale straszny, kolorytem przypominający potop Poussin'a, liniami wielkiemi Salvatora Rosę, a zapowiadał nam groźną burzę.

Nie było się gdzie ukryć, bo dzika dokoła nas otaczała pustynia; na skrawku góry nad urwiskiem stanęliśmy, bo w téjże chwili błysnęło, łoskot piorunu rozległ się szeroko i konie genueńskie nie przywykłe do tak dramatycznych podróży, mocno się żachać zaczęły. Potrzeba było zostawując je wetturinowi, iść powoli pieszo, wśród deszczu, grzmotów i wichru. Nierychło dociągnęliśmy zmokli do lichéj gospody na górze w Bracco i schroniliśmy się do niéj właśnie, gdy najstraszniéj piorunować zaczęło. Błyski jeden po drugim, huk grzmotów, ulewa, i tę nędzną karczemkę uczyniły wielce pożądaną. Burza srożyła się na tym szczycie ze wściekłością niesłychaną. Albergo miało tylko jednę izbę na dole, sklepioną, stanowiącą razem kuchnię, jadalnię, sypialnię i śpichlerz. W kącie stały ogromne beczki wina, w pośrodku stół prosty, na belkach schły szmaty, w piecu gotowało się jakieś jadło, kilku włościan schroniło się tu razem znami, ale wesoło przypatrywali się burzy srożącéj i powtarzali śmiejąc:

— *Ecco fa l'esercizio!*

Klemrod mimo tego kataklizmu zażądał posiłku, bo lekka kawa ranna już dawno była zapomnianą, podano gęste wino czerwone, chleb szary, suchy i kawałek sera. Wieśniacy tak samo śniadali; spróbowaliśmy więc i my, ale nie było to wyśmienite.

Po kilkudziesięciu piorunach, których odgłos rozchodził się z hukiem niezmiernym, odbijany od skał i gór; deszcz nieco począł ustawać, vetturino nie tracąc czasu, kazał nam siadać do powozu.

Jechaliśmy daléj coraz dzikszą okolicą, pustą, wśród któréj ani ludzi, ani uprawy nie widać, między nagiemi skałami, nad przepaściami, ciągle gnani ulewą. Pioruny, które ustały na chwilę, poczęły znowu *l'esercizio,* z niemi dostaliśmy się do Mattarana i schronili w *Locanda del Cervo* równie nędznéj jak pierwsza karczemce. Tu znowu trzeba było przeczekiwać burzę cierpliwie, przyglądając się włoskiemu gospodarstwu, słuchając gwarzenia wieśniaków, mało dla nas zrozumiałego. Z drobnym deszczykiem wspięliśmy się po oślizłych wzgórzach, ciągle wśród najwspanialszych widoków, na najwyższy wierzchołek, którym droga przecho-

dzi i powoli spuszczać się zaczęli ku Borghetto. Całe boki gór okryte kasztanowemi lasami, piękne doliny i znowu powracająca uprawa, życie, ludzie mimo niepogody rozweseliły nas trochę. Borghetto leży nad oschłym potokiem, wśród gór lesistych, dość pięknie. W tak zwanym Hotelu Europejskim, który jest szumnie tylko ochrzczoną locandą, nakarmiono nas truttami, to jest pstrążkami, które się tu poławiają, i napojono bardzo brzydkiém winem *delle cinque terre.* Klemrod utrzymywał, że wolałby wino jednéj jak tych pięciu ziem zagadkowych. Wśród nieustających jeszcze grzmotów i przechodzącego niekiedy deszczu ruszyliśmy do Spezii. Droga górami i wąwozami dość była smutną i pospolitą. Tu już góry nie mają uroczystych rozmiarów tych, jakie przebywaliśmy z rana, ani krajobrazy téj wspaniałości i majestatu, morze znikło zupełnie; szosa zakręcała się, szukając wygodniejszych dolin wśród kasztanowych lasów, brzegiem kamienistych potoków górskich, potém idzie smutną i pustą okolicą, o parę mil od Spezii. Chwilami ani drzew, ani się ludzi nie spotyka, to znowu trochę kasztanów, sad oliwny, i zawsze jeszcze to wonne apenińskie sitowie żółto kwitnące, jałowce i wrzosy. Gdzieniegdzie smutna lepianka murowana, odarta, naga, obita, a z niéj wygląda twarz wynędzniała; gromady dzieci biegną za powozem gwałtownie domagając się jałmużny, krzycząc, goniąc po pół mili, łając nareszcie i rzucając kamieniami. Jeden nam wszedł do powozu, znajdowaliśmy zabawnym ten sposób dopominania się o datek, poparty argumentem w łeb. Smutno tu i biednie.

Nagle na zawrocie w górze, ujrzeliśmy w dali szczyty sinych gór rozłożone na kilka planów, niebieskie morze, a w dole pod ogromnemi plantacyami drzew oliwnych, prześliczną Spezię nad zatoką. Morze wlewa się w ten krater osłoniony górami, u którego brzegu leży porządne i czyste miasteczko. Kąpiele morskie uczyniły zeń wygodny, cichy dla cudzoziemców przytułek. Zarysy gór nad golfem są bardzo piękne, brzeg pełen ogrodów z rozkwitłemi laurami, jakaś ruina malowniczo sterczy na górze, w prawo i w lewo ogromne hotele, odeski, *Croce di Malta, Milano* wspaniałe, ale spekulacyjnie urządzone, wyrachowane na angielskie kieszenie. Widok na morze czarujący, zatoka cicha, fala ledwie się w niéj kołysze, na brzegu lud się roi, wesoły.

Ponieważ w Spezii tylkośmy przenocować mieli, pośpieszając do Pizy, w godzinę po przybyciu, nim wieczór zapadł, korzystając z wypogodzenia puściliśmy się łódką na morze. Klemrod, który do tego żywiołu nie czuł najmniejszéj sympatyi i zwał go zdradliwym, nieco się okazał niespokojnym, ale nam towarzystwa dotrzymał.

Była to miła przejażdżka, bo nic śliczniejszego nad ten port, jeden z najdoskonalszych na świecie. Dokoła wzgórza, w lewo wysokie wierzchy Apeninów parmeńskich zębate, przy zachodzącém wśród chmur słońcu, dziwnie kolorowane i pocieniowane ukazywały się w oddaleniu. Za nami wyższe przebyte łańcuchy podnosiły się ciemne na jaskrawém tle nieba rozczerwienionego i płomienistego, po dniu burzliwym.

Nie mieliśmy już czasu dojechać do *Polla* źródła wody słodkiéj bijącego w morzu, na godzinę oddalenia od brzegów, ani do starożytnego *Porto Venere,* z zamkiem i kościołem, któreśmy tylko zdaleka widzieli. Kościół stoi na ruinach świątyni Wenery. Od strony portu Spezia wiankiem się zdaje nad zatoką rozłożona, góruje nad nią stary zamek i oddzielna od niego baszta. Na prawo wchodzi w port klasztor kapucynów, w którym w r. 1848 ustawiona była baterya. Okolica uprawna, zamieszkana, zielona i nadzwyczaj miła, mówią, że i klimat wyborny. Chciało się bardzo spocząć tutaj, ale któż tak szczęśliwy, by mógł odpoczywać? Wracając, spostrzegliśmy na wybrzeżu wśród ogródka mnóstwo gości przechadzających się ze swobodą do zazdrości!

Na pierwszy rzut oka poznać było można tę klasę wybranych, których życie płynie kołysane ręką losu w miękko wysłanych kołyskach. Panie miały twarze znudzone, panowie ziewali, dzieci bawiły się ostrożnie i przyzwoicie, widocznie ten dzień dżdżysty wyrzucali Opatrzności, dla któréj tak byli grzeczni, a która ich karała niepogodą i spleenem. W Spezii rzadko kto przebywa prócz tych uprzywilejowanych istot, dla których zbudowano te pałacowate hotele i przygotowano wszelakie wygódki, dla których świat ma wysoki szacunek, a oberżyści cierpliwość niewyczerpaną, którzy zjadają, co ma ziemia najlepszego, i wypłacają się światu, ludziom, oberżystom i ziemi uśmiechem kwaskowatym.

Bądź-co-bądź, przypatrując się, jak to wszystko ładnie chodziło między drzewami, pięknie było postrojone, wyglądało pańsko i estetycznie, uznać było potrzeba, że w ogródku, którego my jesteśmy chwastem i pokrzywą, tulipany te i róże były potrzebne dla ogólnego efektu.

Westchnęliśmy nad dolą, która nas uczyniła prostą trawą i łopuchem, przeznaczonym na niewygody i ścięcie. W tłumie przemagali Anglicy, Amerykanie i trochę żwawszych Francuzów. Szczebiotanie ich ożywiało nieco ponurą przechadzkę tych cieniów.

Wszedłszy, z okna jeszcze poglądaliśmy na zatokę, aż ją okryły ciemności, a konieczność rannego wyjazdu przypomniała potrzebę wczesnego wstania. Klemrod i Julmo ostrożniejsi, już zasypiali,

gdym książkę złożywszy zdrzemnął się także, zazdroszcząc jeszcze wybranym, co w Spezii odpoczywali.

Obudziliśmy się z dniem jasnym, pierzchły niegodziwe myśli zazdrosne, ażeby się nie wznowiły, ruszyliśmy coprędzéj z tego zaczarowanego kąta.

Droga potoczyła się stąd nizinami, mało gdzie podnosząc; przejeżdżaliśmy naówczas ostatki posiadłości piemonckich, krążąc pod łańcuchem Apeninów. W oddaleniu wczoraj jeszcze postrzegliśmy białawe wierzchołki niektóre i w prostocie ducha wzięliśmy tę bieliznę za śnieg, okazało się wszakże, iż to był opłókany potokami marmur biały, z którego się góry składają, niedaleko Carrara. Nauczyliśmy się charakterystyki tutejszych starych wsi i miasteczek, wszystkie one jakby w jednę całość zlepione, stoją na wierzchach wzgórzów, podobne do gniazd, wszystkie pozostały widać z tych czasów, gdy obronnemi być musiały i zachowały pozór twierdz. Nad każdym takim domostw murowanych zlepkiem, sterczy wieża kościołka, brama, resztka zamku i murów. Jest to dosyć ładne, ale niebardzo wygodne; dziś już nie pojmuje się przyczyny, dla któréj ludzie potrzebowaliby się mieścić tak ciasno i duszno, gdy tak rozległe obok mają przestrzenie.

Od Borghetto uderza ubiór głów kobiecych stary, tradycyonalny i dziwaczny, noszą one kapelusiki słomkowe malutenieczkie, tak, że ledwie wierzch przykrywają, jak grzybki. Daléj mają osłony białe, gdyby naszych wieśniaczek namitki.

Coraz szerzéj rozlegają się w dolinach ogrody oliwne, szare, nikłe, przypominające wierzby, podsiane zbożem, roślinami pastewnemi, gdzie-niegdzie na łąkach siedzące. Niekiedy we wschody podmurowywana cała góra, rozsadzona jest oliwnemi drzewy. Pnie starych oliw są dziwnie poszarpane, podarte, podziurawione, tak, że trudno pojąć, jak przez nie do bujnych gałęzi soki żywotne dochodzić mogą. Często rozdzielają się na kilka niby oddzielnych ramion. Oliwa nie jest piękną, liść ma szary, wierzbowy, owoców trudno dostrzedz. W krajobrazie tylko masami, jako kontrast żywszéj zieleni dobrze odbija.

Ziemia, którąśmy jechali, jak się zdaje, dosyć żyzna, jest bardzo pięknéj, silnéj barwy złocistéj, czerwonawéj, fioletowéj czasem, która na obrazie wydać się może niemal nieprawdopodobną. Przebywszy długi i piękny most na rzece teraz wyschłéj, ale wzbierającéj czasem i rozlewającéj szeroko, wjechaliśmy do małego miasteczka Sarzana. Na górze widać zamek stary, w miasteczku dwa kościoły św. Andrzeja i Wniebowzięcia, któreśmy po freskach tak zadeterminowali. Mieścina ta jest ojczyzną pierwotną rodziny Bonaparte. Tu mieszkał w r. 1612 ów protoplasta ich, który stąd

przeniósł się do Korsyki. Kolebka jest ładna, ale opuszczona. Za miastem piękna stoi willa wśród drzew rozkwitłych: jedzie się i dalej oliwnemi ogrody, patrząc na góry, aż do Avenza.

W Frigide (nie jestem pewien imienia) nad samą drogą stoi w małej osadzie niewielki, ale bardzo stary kościołek św. Leonarda zajmujący budową z rzeźbionemi odrzwiami, mogący sięgać XIII wieku.

Do ozdób pejzażu policzyć potrzeba studnie włoskie, które też obficie dostarczyły motywów malarzom; każda z nich prawie ładna, aloesy, bluszcze, kamień, są materyałami, których użycie najrozmaitsze zawsze stworzy całość piękną. Przy studniach nad kamiennemi koryty stoją kobiety z naczyniami miedzianemi, w strojach malowniczych, wdzięczne, wybujałe i jeśli nie piękne to szlachetnej postawy. Uważano to, że noszenie ciężarów na głowach zmuszając do trzymania się prosto, wykształca kibić i czyni ją foremną. W znacznej części Niemiec kobiety noszą ciężary w koszach na plecach, przytwierdzonych pod pachami. Zginają się pod wagą, a że zawczasu wdziewają te koszyki, wpływa to bardzo na rozwinięcie piersi i ramion. Tam gdzie obyczaj chodzenia pochyło i obarczania grzbietu się utrzymuje, widać mnóstwo kalek i istot zawiędłych; we Włoszech przeciwnie kobiety są silne i zdrowe.

Musieliśmy przebyć granicę Modeny, nim dojechaliśmy do Massa, ale z komorami niéma wielkiego kłopotu, kto się do tego wziąć umie, francuskie tylko są nielitościwe i nieujęte. Massa (*Carrara*) niedarmo jest stolicą marmuru najpiękniejszego w Europie, wszystko tu marmurowe, widzieliśmy progi lichych domków płytami marmuru wyłożone; główną ulicę, którąśmy przejeżdżali, zajmują sami kamieniarze wszelkiego stopnia, robotnicy około marmurów, czeladź, rzeźbiarze, snycerze, *sbozzatori*, *frulloni*. Dwa tysiące ludzi z górą żyje z marmurów Carrary.

Ponieważ vetturino na chwilkę się zatrzymał przed *Aquila bianca*, poszedłem do kilku warsztatów, aby zakupić próbek różnych marmurów. Najcelniejszy to ten śnieżnej białości, który starzejąc nabiera barwy ciepłej i złocistej, złożony z drobnych niedostrzeżonych kryształków, rzadko przerznięty żyłą szarą. Trafiają się przecież wypadki, że najdroższe sztuki dzieło na pół obrobione zaszpeci się tą plamą, której istnienia naprzód odgadnąć trudno. Marmur na posągi dobywa się tu w górach w blizko stu miejscach, około Torano (ojczyzny Teneraniego) i Mixeglia, na północ i południo-zachód są marmury żylaste i kolorowe. Pałac w Massa książęcy ozdobny rzeźbami (inaczej być nie mogło) nie jest piękny, choć wygląda bogato; na wysokiej górze stojący zamek z wieżyczkami starożytny, daleko więcej wzbudza ciekawości.

Wyjechaliśmy prędko z ojczyzny marmurów, która nam na pamięć przywiodła różne żywe i smutne dzieje, naówczas nikt nie przewidywał, że dla Włoch tak wesoło się ono zakończy dniem zwycięstwa. Na granicy Modeny, Luki i Toskanii znowu nam roztrząsano tłumoki; książki moje obudzały nieco podziwienia, ale zajrzawszy w nie, odrzucono je z pogardą, większa część była dla celników niezrozumiałą, a więc i dla Parmy, Luki, Modeny i Toskanii nie groźną.

O krótkotrwałém zniecierpliwieniu na granicy Toskanii zapomnieliśmy, ujrzawszy na górze wysokiéj Castello d'Aghinolfo, zamek z czasów longobardzkich, sokole gniazdo, a w prawo sine morze, krajobraz znowu śliczny.

Żyznym i weselszym krajem ciągnęliśmy do Pietrasanta, bujniejsza tu zieloność, zboże lepsze, plantacye oliwne ogromne, całe zajmują góry a szczyty tylko marmurowe sterczą w dali nagie.

Pietrasanta wygląda czysto, ładnie a mimo to zachowało charakter swój starożytny, bośmy odpoczęli nieco na poczcie, bardzo wygodnie i z podziwieniem posłyszeliśmy ten język prześliczny toskański, który jest najczystszym we Włoszech, śpiewnym i melodyjnym. Aż dotąd prawie ciągnie się dyalekt genueński, który dla cudzoziemca mnóstwo ma w sobie zagadek. Genueńczycy *c* przed *e* i *i* wymawiają jak Francuzi, a w dodatku opuszczają bardzo często nietylko twardsze spółgłoski R i T, ale L nawet i V; a wogóle zjadają, co im się zbyteczném wydaje. Czasem L zamieniają na R za to, a jeśli poprzedza D lub T, opuszczają je całkiem. Genueńczyk oprócz *c* francuskiego zachował z dawnych stosunków z Francyą *u*, którego Włosi inni nie wymawiają. Nie koniec na tém, ma on jeszcze dźwięk podobny do angielskiego *bound*, *cloud*, nie wymawia często *e* na końcu wyrazów, i zachował z dawnego handlu dużo wyrazów wschodnich i hiszpańskich. Dyalekt ten nie był tak szczęśliwy, jak wenecki, którym pisano i drukowano wiele, jedyne nowsze dzieło drukowane w Genui, są to poezye Martino Piaggio; z dawnych pomników został zbiór pieśni—*Chitarra* (wydanie J. J. Cavalli) i *Ro Chitarrin* (Stef. Defranchi).

Chcąc za dnia jeszcze stanąć w Pizie, nie mieliśmy czasu oglądać na rynku pięknego bardzo kościołka starożytnego w stylu romańskim, obłożonego białym marmurem, który się nam wydał starszym może, niż jest wistocie. Wiemy, że był odświeżony w XVI wieku.

Wyjechawszy z Pietrasanta po nadto wygodnym popasie, ruszyliśmy daléj żyzną doliną, wzdłuż gór, i dojechawszy do mostku, od którego dzielą się dwa gościńce, jeden wiodący do Lukki,

drugi do Pizy, spytaliśmy vetturina, czy pewny jest, która ma być nasza.

Signor Giuseppe widać po raz pierwszy był w tych dalekich stronach, milczał, nie chciał się przyznać do nieświadomości, popędził konie żywiéj i puścił się piękną wysadzoną przez błota i łąki drogą, prościuteńko do Lukki. Myśmy się zapatrzyli na łańcuch gór przepysznie oświecony, gorejący, malowany, jak chyba Calame malować umiał, i tak sobie spokojnie gnaliśmy daléj. Góry jakby na pożegnanie z niezrównaném bogactwem kolorytu przedstawiały się tak majestatycznie, żeśmy o wszystkiém dla nich zapomniéć musieli. Dalsze ich plany to z dziwną rysowały się dokładnością, z wszystkiemi zmarszczkami i cieniami, to przytłumionemi sinawemi mgły się osłaniały. Gdzieniegdzie szczyt okrywał mrok, a boki pozłacało słońce, jakby pyłem złotym je potrząsając, chmura z pasami deszczu przechodziła ciemna, lub naostatek słońce zniżając się czerwono, jaskrawo oblało barwą różową cały łańcuch na pożegnanie. Zdawał się palić i płonąć.

W dali ponad morzem ciągnące się wzgórza coraz malowały się bledziéj, coraz mniéj wyraźnie, zlewając się ze złotemi tonami nieba nikły, a zniknąwszy marzyły się jeszcze na widnokręgu. Potém słońce zapadło i siny cień zimny objął wszystko jednym całunem smutnym, ale pod nim majestat gór jeszcze się wydawał straszniejszym.

Obraz ten nigdy nam nie wyjdzie z pamięci. Gdyśmy się w nim cali zatopieni rozpatrywali stojąc w powozie, poczuliśmy, że vetturino coś zagadawszy, począł gwałtownie skręcać. Po niewczasie zapytał się on przechodnia i przekonał, że jechał do Lukki, to go wprawiło w zły humor i wywołało na pusty kraj przekleństwa. Klął szczęściem po genueńsku, nikt go nie rozumiał. Trzeba było zawrócić ogromny kawał już odjechawszy od pizańskiego gościńca. Myśmy się śmieli, bo choć trochę opóźnieni, dzięki weturynowi, widzieliśmy krajobraz w całym majestacie i mieliśmy wyobrażenie błot Lukki. Zawsze to stokroć lepiéj, niż pędzić koleją żelazną na złamanie karku. Zwróciliśmy w stronę Reggio, małego miasteczka nad morzem. Ulica piękna wiodła ku niemu, wśród wiekuiście jednych ogródków włoskich, dumaliśmy o czarownych Włochach; aliści, o cudo, wszakże to nasz, litewski, jakbyś go widział, borek sosnowy na piasku! Powiał wiatr, szumią jak nasze i kraj się serdecznie przypomniał! Witajże wspomnienie! Tak tu płasko, jak u nas, tak cicho i pusto, ale téż piętrzą się Apeniny, a za borem szumi nie naszym językiem morze włoskie.

Reggio, mała mieścina z kamieniczek złożona, mieszkańcy jéj

zabawiają się, kręcąc liny i przyjmując gościnnie marynarzy, sami pewnie rybacy, pełno porozwieszanych sieci i łodzie stoją u brzegu ze śpiącemi żaglami. Droga z Reggio do Pizy idzie żyznym w części krajem, ale oliwnych drzew nie widać, dęby i sosny, cyprysy, wierzby poobwieszane winną macicą, która się tu wszędzie czepia, pola otacza, płoty okrywa, nad rowami i płotami spina, po domach przylepia.

Pola uprawne większych nieco rozmiarów, mimo to lud zdaje się uboższy, widać własność nie jest rozdrobiona. Po polach rozrzucane chaty murowane *manentów*, dzierżawców lub połowiczników; na górze w nich skład siana, paszy i śpichlerz, w dole mieszkanie i obórka lub stajnia. Obok stoją stożki zboża i smętne budy słomą kryte, wielkie, nakształt tych, co je dzieci z kart stawią. Pod szopą widać wóz wielki o dwóch kołach, ciężki, który służy do przewożenia robotników, familii, snopów zboża, kadzi z winem, słowem do wszystkiego. Często siedzenie w nim na małych resorkach osadzone, to też okrutnie trząść musi. Ciągną taki wóz dwa woły ogromne, piękne, których pyski pokrywają długie plecionki, zapewne do opędzenia much służące, lub koń z ozdobném siodełkiem na grzbiecie w zaprzęgu przybranym strojno. Lud wygląda ubogo i niepocześnie.

Pierwszy raz we Włoszech widziałem pod Pizą piętnastu żniwiarzy na jedném polu, wracało ich téż drogą po kilkunastu razem wozami, żyto i pszenicę żżynano jeszcze po staroświecku, jak u nas sierpami, miejscami wyrywano, co gorzéj. Zboża były dość mierne. Na polach plantacye lupinusu.

Chociaż rozczuliliśmy się lasem sosnowym na piasku, wjechawszy weń, prawda przyznać każe, iż po bliższém wpatrywaniu się, sosny te wielce się od naszych różniły. Rosły tylko na szczerym i białym piasku, jakby nasze. Za lasem długa droga tujami i cyprysami sadzona prowadziła dobrze do cmentarnego grodu. Zawsze jeszcze siniejące Apeniny mając przed sobą, przebyliśmy rzekę po pięknym murowanym moście i Pizę starą ujrzeliśmy przed sobą.

Kościołek mały przed miastem, cmentarz, rogatka i oto rozpoznajemy budowę krągłą baptisteria, pochyłą, walącą się wieżę, katedrę i pełny murów gród, o którym śpiewał tylekroć Dante. Na pierwszy nawet rzut oka te budowy wielkie czynią wrażenie, ale szkoda prawdziwie, że wieża jest pochylona, byłaby niezawodnie piękniejszą, gdyby mogła być odprostowaną. Oko tém dziwowiskiem zaspokojone jest, nie zachwycone, rodzaj to architektonicznego potworu, osobliwość, czy wysiłek sztuki, ale nie prawdziwa piękność. Jest

to coś nakształt kobiety pięknéj budowy i twarzy, a zwichniętéj i skrzywionéj.

Zdobi te gmachy kolor złotawy, który białe przybrały marmury, zdaje się, że słońca włoskiego nasiąknęły w siebie. Na północy, w Londynie marmur starzejąc czernieje, pleśnieje, na wschodzie i we Włoszech się wypieka, ogrzewa. Co pomoże najpiękniejsza architektura gmachowi, w którym, jak u św. Pawła przody kolumn przeciw wszystkim prawom zwykłego oświetlenia, będą ciemniejsze od stron odwrotnych, dla tego, że je wilgoć wprzódy wypsuje i zczerni. Już ciemniało, gdyśmy przesunąwszy się przez plac koło Duomo, powitawszy jego pamiątki, przez ulice, ostawione gmachami wielkiemi i wspaniałemi, ponad Arno dostali się do angielskiego, niestety, hotelu Victoria.

Szczęściem nie mieliśmy tu zabawić długo, boby to było niepokojącém dla kasy, któréj Julmo był stróżem pilnym.

Obumarła Piza cała dziś jest wielką gospodą, żyje ona łagodnym klimatem, który chorym na piersi życie przedłuża, jest jéj rzemiosłem hodowanie i grzebanie suchotników. Łatwo pojąć, że to się tyczy tylko bogatych, dlatego ma tyle pięknych hotelów i cała jest do najęcia. Wielkie to jeszcze szczęście, że sobie ten sposób zarobkowania obrała, bo cóżby dziś robiła z pałacami, z pustkami, z których dawne życie i siła uleciały?

Nie dojechawszy do hotelu Victoria, byliśmy już zahukani od facchinów stręczących jak w Berdyczowie:—*Gran Bretagna! Pefferada! Al Ussero... Tre Donzelle... Colomba!* Nie wiem, dlaczego vetturino zawiózł nas do najdroższego prawie hotelu, posądzam, że z pańskiego przerobionego pałacu.

Podano nam herbatę w sposób przerażający paradną, w sali, z fajerką, ze wszystkiemi przyborami przez Anglików używanemi; a jako dowód, że hotel był wielkiego tonu i na wysoką stopę, wraz z herbatą ogromny album, w którym wszyscy się zapisywali podróżni! Jacyż podróżni! członkowie izby panów! książęta! hrabiowie! ministrowie, sami ludzie wielcy. Julmo uczuł, że mu apetyt uciekał, tak został przerażony wspaniałością hotelu, która zawsze z drożyzną idzie w parze.

Księga była zaiste ciekawą i godną przejrzenia, żałuję dziś bardzo, żem z niéj nie wypisał niektórych poezyj włoskich i angielskich, cale oryginalnych wyskoków humoru i erudycyi. Szukaliśmy w dwóch tomach tego dzieła, czego my zawsze szukać zwykliśmy, swoich, aleśmy ich tu prawie nie znaleźli. Kilka imion było wątpliwych, podejrzanych.

Hotel i Piza dostarczyły obfitego materyału autorom tych epigrafów, najskromniejsi ograniczyli się poświadczeniem, że im tu było

dobrze, inni puszczali się, spotkawszy z papierem i atramentem, w ody i filozoficzne apoftegmata. Najpotężniejsi gardząc literaturą, raczyli tylko majestatycznie rzucić na karcie imię mówiące wszystko. Cóżby doń dodać można?

Jak się to człowiek maluje na każdym życia kroku, nawet w księdze gospody podróżnéj, gdy mu przyjdzie zapisać nazwisko! Pycha i przesadzona skromność, popisy dowcipu, westchnienia czułości, nauki dla potomności, występy erudycyi, krytyka i szyderstwo żółciowe, wszystko tu było, nawet nicość niedołężna i głupota zarozumiała. Nieoszacowany album! smakował nam na równi z wyborną szynką, jajami i herbatą, podawaliśmy go sobie z rąk do rąk, nie mogąc nacieszyć. Klemrod, który nie jest wszystkich zarówno wielkości wielbicielem, ostrzył na nim dowcip, jak brzytwę na osełce. Julmo się zaciekawiał ogromnie, ja-m się cieszył z niespodzianki. Polecam go odwiedzającym Pizę i hotel Victoria.

XII.

Pisa morta, jéj dzieje. — Historya sztuki w Pizie.—*Il Duomo.* — Chrzcielnica i wieża pochyła.—*Campo Santo.*—Freski w nim, posągi i pamiątki.—*Itali Guerazzi.*—Kościół św. Katarzyny, św. Franciszka i św. Piotra.—Kościołek *La Spina.*—*Academia delle belle Arti,* starożytne obrazy.—Przechadzka po mieście.—Campo Santo.—Wyjazd z Pizy do Florencyi.—Droga i widok miasta.—Hotel York.—Ulica dei Corretani.—Uroczystość św. Jana, orszak W. Książęcy.—Przejażdżka po mieście, jego charakter.—Wyścigi i *Corso* na *Borgo Ognia Santi.*—*Il Sorbetto!* -Kilka słów o dziejach Florencyi.—Jéj mężowie sławni.—Dzieła sztuki.—Budownictwo, rzeźba, malarstwo.—*Fra Beato Angelico da Fiesole.*—Chrzcielnice, kościół św. Jana.—Drzwi jego bronzowe, posadzka.—Galeria *Uffizi.*—Szkoła pierwotna. – Obraz Fra Angelico. — Trybuna, jéj posągi i obrazy.—Rafael.—Tycyan. — Michał Anioł. — Inne sale i celniejsze obrazy i dzieła sztuki.—Charakter szkół niemieckich.—Krajobraz Rembrand'ta.—Posągi.—Popiersie Macchiavella.—Niobe.—Bronzy. — Wieczerza Pańska Rafaela w refektarzu *San Onofrio.*—Klasztor św. Marka i jego obrazy. — W restauracyi.—Nieprzyjaciel i oszczerca Florencyi.—Pałac Pitti, jego powierzchowność i zbiory.—Rafael i jego dzieła w Pitti.—Andrea del Sarto.—Perugino.—Salvator Rosa.—Rubens, Carlo Dolce.—Tycyan, Tintoretto i t. d.—Wenus Canovy.—Uwagi.

Pisa sama się dziś nazywa: *Pisa morta,* miastem zmarłém, ale grodem pamiątek; to téż najpiękniejszym w niéj może jest jéj cmentarz..!

Żyła długo, a dziecinne jéj lata giną w mgle wieków. Za Rzymian Strabo i Wirgiliusz mieli ją za starą kolonią grecką, przez wygnańców po wojnie trojańskiéj założoną.—Pisa peloponeska swemi wychodźcami zasiedliła ją, według poety. Liczyła się do dwunastu znaczniejszych grodów Etruryi, na dwieście lat przed erą naszą połączyła się z Rzymem, stała się kolonią, potém *municipium,* i od Augusta otrzymała imię: *Julia Obsequens.* Za Hadryana i Antonina przyozdobiła się w teatra, świątynie i budowy, których dziś niéma ani śladu. Pisa miała dawniéj port wyborny, późniéj zamulony i zepsuty; wiodla handel znaczny i wyrosła do wielkiéj potęgi, tak, że współzawodniczyła z Wenecyą; w X wie-

ku zdobyła na Saracenach Sardynią, Korsykę i Palermo, w 1029 owładła Kartageną i wiodła wojny w Sycylii i niższych Włoszech z Normanami... Wojny krzyżowe dały jéj zręczność rozpostarcia się na wschodzie, ale zarazem wystąpiła do walki z Genueńczykami i po bojach długich, upadła złamana w morskiéj bitwie pod Meloria 1284 r. Cały wiek jeszcze usiłowała mimo zaciętych z nieprzyjaciołmi zapasów, utrzymać się i odzyskać stracone, ale Lukka, Florencya i sąsiednie rzeczypospolite, zmogły ją na ostatek. Do wojen zewnętrznych przyłączyły się rozterki domowe i spory możnych. Florencya dobiła Pizę, zniszczyła flotę jéj, łańcuch zamykający port zabrała jako godło tryumfu... w końcu XIV wieku.

Rzeczpospolita konała już odtąd w przedśmiertnych drganiach i w 1406 r. połączyła się z Florencyą, któréj podzielała losy.

Chwila potęgi i długie lata walk i cierpień — to całe dzieje tego grodu, który nosi jeszcze na sobie ślady dawnéj wielkości.

Historya sztuki pizańskiéj jest przedewszystkiém historyą rzeźby, która się tu znakomicie rozwinęła i połączonego z nią budownictwa. Stosunki ze wschodem dały jéj zawcześnie poznać starożytne pomniki architektury i szczątki rzeźby, z których artyści tutejsi potrafili skorzystać. Jak wenecki kościół św. Marka, katedra powstała ze zdobyczy, z marmurów, kolumn i rzeźb w wojnach pochwyconych, one najpierwszemi stały się nauczycielami. Na nich wykształcił się w końcu XIII w. Mikołaj z Pizy, którego dzieła, dochowane dotąd, epokę w sztuce stanowią.—Nicolo do ozdób używanych przedtém cały nowy świat od starożytnych zapożyczony przyłączył, zwrócił się, oświecony wzorami, do natury, postacie przezeń stworzone acz nieśmiałe, ale samoistne mają życie. Stał się ojcem i założycielem szkoły, któréj drogę wskazał, a syn jego Giovanni wpływ jéj w całych Włoszech rozszerzył.—Szereg pizańskich rzeźbiarzy, coraz wyżéj sięgających myślą i dłonią, toczy się za swym praojcem Nicolo;—Andrzéj i Nino szczególniéj się w nim odznaczają.

Ten sam wdzięk i prostotę, którą zachwycamy się w malarzach starych, mają po części rzeźbiarze pizańscy, nie bałwochwalcy formy i piękna bezmyślnego, ale usiłujący religijną owych wieków wypowiedzieć ideę. Niektóre z ich dzieł, mimo walki z wykonaniem widocznéj, już w sobie mają życie całe odrębne, charakterem czasu nacechowane. Szkoła pizańska żyje tyle co rzeczpospolita i jak ona przelewa się w mistrzów florenckich, którzy ją daléj rozwijają, coraz wyłączniéj zwracając się do studyów natury i antyku.

Malarzów oryginalnych nie znajdujemy tu prawie. Kilka imion

i kilku artystów nieco odznaczających się, ale bez szkoły i osobnych tradycyi. Stary Giunta Pisano w początku trzynastego wieku, w końcu czternastego Vanni...

Miasto wygląda poważnie i staro, ulice ciasne, gmachy wysokie i wspaniałe. Przybywając od strony Reggio, nim się doń dojedzie, pierwszy spotyka się plac, na którym stoją marmurowe pomniki przeszłości, wyzłocone wiekami. Katedra poczęta była w r. 1061 przez Buschetto, w r. 1103 skończona i poświęcona przez papieża Gelazyusza II w r. 1118. Nad trójcą wielkich drzwi w półkulistych arkadach ozdobnych, wznosi się fronton, cały ubrany kolumnami różnego rodzaju, nawet różnéj miary i wielkości, aż pod szczyt sam ustawionemi i połączonemi półkulistemi łukami... kolumny te w cztery coraz zmnieszające się rzędy ułożone naprzód zwracają oczy, są tak dobrane, że w nich różnicy się zrazu nie spostrzega. Wnijścia zamykają przepyszne drzwi bronzowe. Budowa cała jak genueński św. Wawrzyniec w pasy na przemiany białe i czarne... Na szczycie stoi posąg N. Panny z dziecięciem Giov. Pisano.

Wielka jest harmonia mimo różnicy lat, z których budowy pochodzą, między katedrą, chrzcielnicą i wieżą pochyłą. *Campo Santo* przedstawia zrazu nagie tylko ściany z gotyckiemi ozdobami u wnijścia. Duomo ze swą kopułą, najstarszą w tym rodzaju, z mnóstwem ozdób, kolumn, rzeźb, zastanawia wykończeniem i bogactwem. Pojmujemy, że w swoim czasie było to cudo budownicze. Front majestatyczny z lasem słupów, których zewnątrz i wewnątrz jest około pół tysiąca, one stanowią tu główny motyw ornamentacyjny. Ustawione z pewną symetryą nie rażą rozmaitością rozmiarów. Wewnątrz wiele starożytnych cech stracił kościół przez zaniedbanie i pożar w końcu XVI w. Rzędy słupów dzielą świątynię wzdłuż na pięć naw, plan jéj ma formę krzyża łacińskiego. W poprzecznicy znajdują się kaplice św. Sakramentu, z pięknie rzeźbioną przez anioły unoszoną świątynią w smaku nowszym, i św. Raniera z jego sarkofagiem. Po nad nawami bocznemi są galerye, loże jak w bizantyjskich starych budowach... Wnętrze równie jak powłoka wykładane marmurem w pasy czarne i białe. Jak główne drzwi bronzowe, tak i krucyfiks w wielkim ołtarzu i dwa anioły z bronzu służące za kandelabry, są szacownemi dzieły Jana z Bolonii. Gdzieniegdzie połyskują mozajki i reszty fresków ocalone, na słupach i u drzwi wielkich. W stylu szkoły rafaelowskiéj są bardzo piękne aniołki Perino del Vaga. Oprócz tego godne widzenia rzeźby marmurowe w obu kaplicach, św. Raniera i Sakramentu, z XVI wieku. Stalla wysadzane (marqueterie) po weneckich u S. Giorgio mniéj się pięknemi wydają, jestto

rodzaj mozajki drewnianéj.—Kazalnica w części ze starych rzeźb złożona ciekawe tylko przedstawia szczątki.

Na nagłowniku jednéj kolumny skaczą jeszcze satyrowie i bachantki, znać ją w całości jak była przeniesiono, tak samo architrab nad drzwiami od wschodu starożytny i kilka plaskorzeźb wmurowanych w ściany.—Z wielkiéj ilości słupów część znaczniejsza może z dawnych wykopalisk, świątyń i pałaców pochodzi.

Z obrazów, oprócz wspomnianego Perino del Vaga, N. Panny z aniołami na słupie w pośrodku pełnego wdzięku, jest sześć kompozycyj Andrea del Sarto, z których zwykle podróżnym każą najwięcéj chwalić św. Agnieszkę,—piękniejsi od niéj wszakże są czteréj święci w prezbiteryum. Rysunek, koloryt, wdzięk słodyczy pełen odznaczają to dzieło, jest w niém tchnienie szkoły Rafaela, ale niéma twórczego ducha, coby jéj tradycyą uniósł daléj.—Obraz Sodomy za wielkim ołtarzem. Złożenie w grobie Chrystusa, choć mu brak rysunku i czystości linij odznacza się wielkim wyrazem, koloryt przyciemniał. Otóż prawie wszystko, co w katedrze oprócz niéj saméj widziéć można; zapomnieliśmy tylko rzeźb z rysunków Michała Anioła, mistrza siły i powagi, jak Rafael był mistrzem wdzięku. Kościół ten szczególniéj oceniany być powinien pod względem wieku, który go wzniósł i instynktu raczéj, niż umiejętności, z jaką ogólny plan został pojęty.

Baptisterio jest budową już więcéj gotycką, już mniéj bizantyjską, krągły, przysadzisty i ciężki, przecież form pięknych, kopuła na nizkiéj stosunkowo rotundzie ugniata ją. Zbudowany ze składek przez Diotisalvi w r. 1153, w stylu romano-toskańskim, a raczéj bizantyjsko-gotyckim. Otaczają go łukami także półkulistemi połączone kolumny mało od ścian odstające, ale górne piętro przezroczystsze jest, lżejsze, bo mury wewnętrzne odstępują i słupy tworzą galeryą. Wewnątrz na dwunastu wielkich słupach koryncków i czterech grubych kolumnach marmurowych spoczywa perystyl okalający i galerya górna, po nad którą unosi się kopuła. Kapitele po większéj części starożytne, jak same kolumny. Wewnątrz budowa ta daleko jest piękniejszą, niżby się z powierzchowności spodziewać można, jest w niéj potężne natchnienie i śmiałość pomysłu. Chrzcielnica sama ośmioboczna spoczywa na trzech stopniach, wyrzeźbiona z białego marmuru. Posąg św. Jana bronzowy szkoły Bandinellego kończy ją.—Kazalnica należy do najciekawszych pomników średniowiecznéj rzeźby, jest robotą Nicolo Pisano z r. 1260. Na niéj nauczyć się można, jak ojciec rzeźbiarzy korzystał z zabytków, jak naśladował i przejął ich formy, jak mozolnie tworzył pierwsze typy i allegorye, których użyć potrzebował. Porównywając wszelkie rzeźby znane, z przestra-

chem postrzega się ubóstwo wyobraźni, ograniczoną ilość motywów, nieskończone naśladowanie, brak siły wynalazczéj.—W ciągu wieków ledwie parę linij złoży się z małą zmianą w sposób nowy, dziś jeszcze cała ornamentacya jest starożytną, a ostatnie epoki popsuły ją, nic do niéj dodać nie umiejąc. A ileż typów, ile allegoryj w różném znaczeniu przechodzi świat nie mieniąc formy!

Pochyła wieża pizańska, na którą patrzéć jest przykro, dziś jeszcze niewiadomo, czy z umysłu została nachyloną, czy z konieczności. Mówią, że obsunięcie części fundamentów, gdy ją wznosić poczynano, spowodowało, że ją ukończono w ten sposób... W środku pusta i przejrzysta na wylot, dokoła ostawiona jest rzędami kolumn, które, gdyby była prostopadła, czyniłyby ją bardzo piękną. Zbudowana w r. 1174 przez Wilhelma z Insbruku i Bonano z Pizy, ma siedm piętr galeryi. Wznosi się na 142 stopy a pochyła około 12 stóp od linii prostéj.

Pilniéj przypatrując się wieży, dostrzedz można po kierunku kolumn, że od czwartego piętra wieża już pochyło budowana była umyślnie. Widok z wyżyny na okolicę i morze jest bardzo piękny, daleki, ale trochę, jak wszystkie tego rodzaju panoramy, zarywa na kartę topograficzną. Do wieży pizańskiéj i lampy zwanéj Galileuszową, zawieszonéj w katedrze, łączyły się wspomnienia uczonego, który tu doświadczeniem potwierdził prawo ciążenia...

Nareszcie obejrzawszy plac zastawiony temi gmachami, które otacza trawa porastająca przestrzeń, świadcząca, jak mało tu ludzie uczęszczają, idziemy już do najciekawszego pomnika przeszłości do *Campo Santo!* na cmentarz... Wszystko umarło, cmentarz jest żywy.

Wyobraźcie sobie plac znaczny objęty dokoła murami, otoczony piękną galeryą gotycką. Zewnątrz arkady płaskie na pilastrach oparte, ściany nagie. Nad wnijściem (od którego klucze ma Custode)—rzeźba stara.

Wszedłszy w kurytarze całe oknami gotyckiemi od pola śmierci oświecone, a mimo to dosyć mroczne, pełne mauzoleów, posągów, rzeźb, złamków, napisów, obrazów na ścianach, uderza naprzód nadzwyczajna powaga, piękność i oryginalność budowy, potém jéj cmentarny a razem muzealny charakter.

Pizanie chcieli miéć cmentarz jedyny w świecie, chcieli spoczywać w ziemi świętéj, i Campo Santo nawieźli na cztery łokcie ziemią przywiezioną z Palestyny. Rada miejska postanowiła wznieść ten przybytek śmierci w r. 1278, a Giovanni Pisano skończył go w r. 1283, to jest właśnie naówczas, gdy potęga rzeczypospolitéj została złamaną,—w roku bitwy morskiéj pod Meloria!

Dziwnie czasem proroczo składają się dzieje. Wielkość Pizy miała się gdzie położyć! cmentarz był skończony.

Na zielonéj murawie samego cmentarza szumi cicho kilka czarnych, obumarłych cyprysów.—Ale jest li to dziś miejsce spoczynku czy muzeum? nie wiem; we Włoszech kościół, stajnia, cmentarz i gospoda bywają muzeami łatwo, były przynajmniéj długo niemi. Chowano przeszłość sławną, gdy teraźniejszości nie było.—Korytarze Campo Santo przepełnione są pamiątkami starożytnemi rzeźby, posągami, obłamkami wszelkiego rodzaju, płytami i urnami.— Można sobie wystawić, jaki to sprawia widok — oświecone z jednéj strony, ustawione zręcznie, gdy z końca długiéj galeryi spogląda się wzdłuż przez nią... To téż akwareliści, rysownicy, fotografowie prześliczne pochwytali tu motywa.

Najważniejszemi są dla historyi malarstwa uszkodzone bardzo, odnawiane nieszczęśliwie, ale zachowane choć w części, freski, które przyozdabiały mury. Celniejszy przyznawany Andrzejowi Orgagna (Cione) wystawia *Il Trionfo della Morte*... Dantejski pomysł na swą epokę wykonany znakomicie. To, co w Niemczech natchnęło *taniec śmierci*, tu poważnym rozściela się poematem.

Na prawo pod kwitnącemi drzewami ogrodu, zabawia się wesołe towarzystwo pań i panów, zapominając o śmierci, która leci ponad ich głowami, w lewo jest grupa nędznych błagających jéj jako ocalenia od cierpień, napróżno... Śmierć, niewiasta stara i ohydna z nietoperzowemi skrzydły, unosi się w górze z kosą... pod nią stoją już łoża ściętych i obalonych ludzi wszelkiego stanu i wieku... Ponad zmarłemi, z których dusze widać wychodzące w postaci małych nagich dzieciaków, kręcą się szatani i anioł ulata.

Szatany, jak widać ze wszystkich onych wieków ikonograficznych pomników, nie miały jeszcze form stałych, były to poczwary, którym malarze nadawali jaknajbardziéj przerażające postacie. Tu jeden ma dwie łapy a ptaka drapieżnego głowę, drugi przedzierzgnął się w smoka. W powietrzu ponad tą tragiedyą śmierci fantazya artysty rozsypała całą ćmę aniołów i złych duchów... Anieli niosą tuląc znękane duszyczki, szatani wloką swe ofiary... ruch wielki... rozmaitość figur i pomysłów.

Z drugiéj strony, chciałem powiedzieć w drugiéj pieśni, widać średniowieczną przepyszną kawalkatę, złożoną z pań i panów strojnych, butnych, jakby powracających z łowów.—Ta wesoła gromada szczęśliwców jadąc, trafiła na rozwarte trzy groby... Fantazya poety każde z tych ciał przedstawiła inaczéj; trup jeden jest straszliwie zdęty, świeży, wąż zagląda mu do trumny, drugi już się rozlał w robactwo, trzeci zesechł i rozpadł na próchno i kości.

To zestawienie wesela ziemskiego z obrazem znikomości jest pełne dzikiéj energii. Wyrazy twarzy patrzących są pochwycone i obmyślane szczęśliwie, kobieta osmutniała, inni wpatrują się ciekawie, a jeden sobie nos zatyka. Średniowieczne malarstwo używało zawsze tego ruchu wyrazistego, gdy chciało wypowiedzieć zgniliznę; znajdujemy go na mnóstwie rzeźb i obrazów... W Pizie tradycya miejscowa tłómaczy tę scenę po swojemu, według nich ma to być Castruccio Castracani przypatrujący się cudownemu skutkowi, jaki ziemia pizańska sprawuje na trupach, nie daléj jak we trzy dni je wysuszając. W górze jest obraz szczęśliwości tych, co się dobrowolnie oderwali od świata ziemskiego, są to pustelnicy wśród dzikiéj okolicy na modlitwach, w zachwyceniu.

Nie małe to było zadanie dla malarza, a żył w nim duch pobożny, gdy mu tak zwycięsko podołał... Niéma tu nic naśladowanego, zapożyczonego, potrzeba było stworzyć wszystko.. Orgagna przedstawia się gienialnie tym jednym freskiem nieśmiertelnym, dla niego już warto by było podróż odbyć do Pizy.

Sąd ostateczny tego mistrza większe jeszcze, jeśli być może, czyni wrażenie, tu już ziemia nie mogła dostarczyć materyału, idealném jest wszystko. W górzę widać Chrystusa i Matkę Boską w chwale, otoczonych aureolami. Chrystus poważny, surowy, ruchem wybornym odpycha potępionych. Matka Boska siedzi po stronie błogosławionych osmutniała widokiem sądu. Niżéj apostołowie po-sześciu z każdéj strony, dwa anioły z trąbami, jeden siedzący smętny, niżéj archanioł Michał z mieczem... u spodu dwa zastępy podzielone wybranych i odepchniętych.

Piekło Bernarda Orgagna, z rysunków brata, jak twierdzą, prędzéj jest jego własnego pomysłu, ale w nim wszystkie średniowiecznych piekieł przypominają się obrazy, aż do trywialności straszliwe. Kto widział stare drzeworyty jeszcze w XVIII wieku odbijane, znajdzie w nich powtórzenie tych pomysłów Orgagui. Jeden Dante mógł zgodnie z tradycyami piekło swe uczynić straszliwém nie odzierając go z fantazyjnych barw, nie schodząc prawie nigdy do cynicznego szyderstwa, a i w Dancie są ustępy, któreby przystały piekłu starego malarza. Szatana nie poetyzowano, jest téż ohydny.

Niepodobna zresztą wyliczać bogactw, któremi są okryte ściany. Piękne obrazy Benozzo Gozzoli, ucznia Fra Angelico, obeszłyby się bez sławy, jaką im, a szczególniéj jednemu, zrobila dowcipnie a złośliwie pomyślana postać. Obraz, o którym mowa, przedstawia *upojenie Noego.* Starzec leży odsłoniony i nagi, syn pobożny go okrywa. Cham śmieje się z rodzica.—Z boku artysta postawił kobietę, która niby sobie ze wstydu oczy zasłania, ale

przez szpary palców patrzy na obnażonego starca. Lud tę kobietę szydersko nazwał *Vergognosa di Pisa* „wstydliwą Pizanką“ i obraz wsławił się tą epizodyczną postacią.

Bernarda Gozzoli jest dwadzieścia kilka takich obrazów *alla tempera* z dziejów świętych. Przy budowie wieży Babel pokazują wyportretowanych Medyceuszów Kosmasa, Lorenzo i Piotra.

Wielką ilość starożytnych sarkofagów ustawiono w korytarzach i rzeźb staréj szkoły pizańskiéj, między któremi typy Madonny są ciekawe. Z nowszych grobowców znajduje się tu Algarottego (1764), Vacci doktora przez Thorwaldsena, Mastianiego przez Bartolini... Lecz cóż tu robi ten biały marmur?

Nie przystraja on grobu człowieka, stoi na mogile Italii, piękny, bo mówi wiele, a w r. 1858 wypowiadał całą tęsknicę wygnańców, którzy za ukochany kraj cierpieli.

Młody człowiek żegna żonę i dziecię, nogą jedną stoi jeszcze na ziemi włoskiéj, którą obwija latorośl winna, drugą już sparł na suchéj i pustéj ziemi wygnania. Rzeźbiarz napisał na tamtéj—*Italia.* Poszukałem podpisu artysty, zwał się Temistoklesem Guerazzi. Nad marmurową tą łzą staliśmy długo a długo, zadumani, dziś to tylko pamiątka, a ks. Starowolski miał słuszność:

Deus mirabilis, fortuna mutabilis.

Włosi mieli czas o swoich wygnańcach zapomnieć, a cudzych odepchnąć, jakby nie kosztowali nigdy: „lo pane altrui.“

Nie mogąc podołać mnóstwu przedmiotów na Campo Santo, wyszliśmy zrozpaczeni jego bogactwy do kościoła św. Katarzyny, aby zarazem trochę obejrzéć miasto.

Styl budowy przypomina Duomo, pochodzi téż ona z r. 1252. Wewnątrz jest godny widzenia grobowiec arcybiskupa Saltarelli, Nino Pisano z r. 1342; okryty rzeźbami i posągami.—Niektóre z nich prześliczne są naiwnością i wdziękiem prostoty (*Wiara* i *Miłość*).

W ołtarzu św. Tomasza z Akwinu wielki obraz wystawiający świętego w chwale niebieskiéj, u góry Chrystus. Promienie od Zbawcy padają na apostołów i na św. Tomasza, od niego na dziwacznie odziane postacie Platona i Arystotelesa. W dole przybity leży Averroes, św. Tomasz poważny i jakby portretowany. Obraz malował Franc. Traini w r. 1340.

U San Francesco znaleźliśmy restauracyą, która kościoła obejrzéć nie dozwalała, w kapitularzu tylko oglądaliśmy stare freski Nicolo Petri!

Przechodząc około *San Pietro in vincoli,* bardzo starożytnego kościołka restaurowanego w r. 1100, pokazano nam nad drzwiami architrab starożytny.—Piękniejszym się nam wydał nad Arno stojący kościół św. Pawła z XII wieku zupełnie naśladujący

Duomo, z jego pasami, kolumnami i bardzo ładnym frontonikiem, ale i tego wewnątrz nie obejrzeliśmy.

Wogólności prototyp główny w każdém miejscu powtarza się potém zmniejszony w innych budowach przez długie wieki. Proszę policzyć, ile kopuł wznosi się nad Rzymem, naśladując św. Piotra.

Wabiło nas to cacko prześliczne, które od rana chciałem zobaczyć lepiéj, maleńki kościołek gotycki, podobny do rzeźby z kości słoniowéj, zowiący się *S. Maria della Spina* albo raczéj *La Spina* (Cierń).

Jestto wistocie raczéj relikwiarz nie kościół, i zbudowany był na pomieszczenie relikwii. Stoi na drugim brzegu Arno. Wzniósł go Giovanni Pisano; zachowywał się tu niegdyś kolec ciernia, który zranił skroń Chrystusową, dziś się tu już nie znajduje i kapliczka stoi prawie pustką. Po klucze biegać gdzieś potrzeba, bo ją tylko jako ciekawość pokazują. Wnętrze nie odpowiada powierzchownemu bogactwu ozdób, ale są rzeźby Nicolo z Pizy ładne i parę obrazów, między niemi Madona Sodomy.

Ponieważ malarstwo i sztuka głównie nas zajmowały, poszliśmy jeszcze do zbioru *Academia delle belle arti*, do którego dość daleko powracać było potrzeba. Nie spodziewaliśmy się go w Pizie, i opieraliśmy się zrazu przewodnikowi, ale galeryjka ta starannie ułożona z samych starych zabytków szkoły nietylko pizańskiéj, ale i innych,-zasługiwała na obejrzenie. Wszystko to po klasztorach i kościołach powoli nagromadzono. Cimabuego jest ciekawy obraz N. Panny, cała postać okrążona małemi scenami z jéj życia. Kilka robót Gozzoli, Ghirlandaio i innych. Do historyi malarstwa jestto materyał cenny. Jeden nawet szkoły staroniemieckiéj zamieszał się tu obrazek, św. Katarzyna.

Spędziliśmy kilka godzin czasu na opatrywaniu tego muzeum, ale w końcu i sił zabrakło, wyszliśmy na miasto odetchnąć. Pałace Pizy przepysznie się nam przedstawiały o słońcu, ale i ono im życia utraconego przywrócić nie mogło; cisza była w ulicach opustoszałych. Milcząc patrzały na Arno toczące swe wody żółte środkiem miasta.

Oglądaliśmy zewnątrz przynajmniéj pałac Medyceuszów, plac *dei Cavalieri* i ratusz stojący wedle podania w miejscu, które zajmowała Torre d'Ugolino. Ustęp Danta, ten obraz mistrzowski, nakreślony niewielą słowy, a tak przerażający, przyszedł nam na pamięć.—Nigdzie Dante gienialniejszym nie jest jak w téj powieści, która zdaje się wyrwana życiu, podsłuchana przez żelazne podwoje więzienne. Nad Arno stanęliśmy, jak wszyscy podróżni przed pysznym złocistym pałacem Lanfreducci, nad wnijściem jego

ujrzawszy wiszący łańcuch i napis—*Alla giornata*. Nikt nam nie umiał powiedzieć znaczenia téj zagadki, nie próbowano nawet kłamać. Pokazano nam także pałac Lanfranchi, w którym mieszkał Byron, i z którego po jakiéjś ulicznéj walce uciec musiał...

Pod wieczór wzięła nas chęć zajść raz jeszcze na *Campo Santo* dla lepszego przypatrzenia się freskom Orgagni. Oba zasługują na tę sławę, jaką sobie zyskały, królują one w Pizie, lecz zdaniem mojém z dwojga *Sąd ostateczny* jest jeszcze wznioślejszym pomysłem. Orgagna w tłumie potępionych jest nadzwyczaj dramatyczny i przejmujący, co za rozmaitość wyrazów, ruchów, twarzy, uczuć, strachu, rozpaczy, przerażenia! Jeden krzyczy, ten ręce łamie, ten oczy zakrywa, ów się tuli i radby schować pod ziemię, dwóch niéma jednakich. Tu panuje *namiętność*, przeciwnie w grupie błogosławionych *spokój*, wszyscy klęczą i modlą się, składając ręce.

U dołu aniołowie mistrze sprawiedliwości bożéj; jeden, który przez świat potępionego oswabadza, drugi co księdzu wyszłemu z grobu po stronie błogosławionych wskazuje przeciwną i ciągnie go do niéj za włosy. Anioł ten narysowany przepysznie. Postać Matki Boskiéj i Chrystusa, który wskazuje bok przebity odpychając potępionych—są wielkie i wspaniałe.

W obu obrazach, w tryumfie śmierci jak i tu, znać mnogie i niegodziwe restauracye.

Koronacya Matki Boskiéj, która zrana oczów naszych uszła, wydała się nam bardzo piękną. W mnóstwie złamków rzeźby, jeden fajans *della Robbia* z Matką Boską wielce szacowany... niedaleko znajdziecie posąg Barbarossy, sarkofag stary, głowę Jowisza, Matkę Boską Pisana, otłuczonego Boga i wytarty napis... i łańcuch portu Pizy, zawieszony na cmentarzu. Mieszanina dziwna, ale inaczéjże leżą umarli?

W jednym z kościołów ma się znajdować grobowiec Polaka Jezierskiego, który tu umarł w pierwszéj ćwierci tego wieku. Nie widzieliśmy go, deszcz nam psuł po południu oglądanie dalsze, a nazajutrz, potrzeba było wyjeżdżać.

Pośpiech ten stał się koniecznym, dowiedzieliśmy się bowiem, że właśnie w dzień św. Jana następujący—Florencya obchodziła jednę z najwspanialszych uroczystości swych ludowych i religijnych. Św. Jan we Florencyi jest tém, czém św. Piotr w Rzymie, a św. January w Neapolu. Być o kilka godzin od Florencyi a nie widzieć św. Jana, dla ciekawego wędrowca poczytać się mogło za grzech nieprzebaczony. I to czarowne imię Florencyi, *la bella*, ciągnęło od *Pisa morta*. Niewiele też pozostawało nam do widzenia, choć lepiéj należałoby wszystko opatrzyć. Po naradzie

postanowiliśmy więc zrana przesiąść się na koléj żelazną, na ten raz wygodną, bo prędko nas przenieść mogła na miejsce, i pożegnać Pizę.

Przewodnik nasz dowiedziawszy się o tém, napróżno usiłował odwieść od myśli téj wskazując, jak wiele uczciwy podróżny miał jeszcze do czynienia, by spełnić swój obowiązek, ale byliśmy niewzruszeni, ani *Certosa della valle graziosa*, ani *Cascini di San Rossore*, ani bazylika *San Pietro in Grado*, ani *Pugnano* ze swą Madonną, ani *San Giuliano* ze swemi kąpielami, nie zwalczyły naszego oporu. Zacny Włoch znajdował, że powietrze Pizy mogłoby było bardzo posłużyć zdającemu się na piersi cierpiéć Klemrodowi, mnie i Julmo, to nawet nie wzruszyło nas. Zapisaliśmy nasze imiona ku wiekuistéj pamięci w księdze hotelu i wyruszyliśmy zrana do Florencyi.

Wyjechaliśmy chmurnym porankiem, ale z nadzieją pogody. Wczas przybyliśmy na *strada ferrata Leopoldina*, i cała podróż nie zajęła nam więcéj nad trzy godziny, od siódméj do dziesiątéj.— Za to téż niewieleśmy w niéj widzieli. Znikły naprzód góry Lukkeńskie, jechaliśmy krajem żyznym, zasianym domkami murowanemi manentów, równiną ponad Arno, późniéj okazały się wzgórza ciągnące do Apeninów, przerznęliśmy kilka tunelów i znaleźliśmy się w ślicznéj dolinie, wśród któréj leży słusznie z wdzięku słynąca Florencya, gród kwiecisty, nad bardzo przechwaloném Arno, rzeką żółtą, brudną, błotnistą prawie. Dokoła na zielonych wzgórzach pełen prześlicznych willi, jak kwiaty wyglądających z liścia i cienia.

Wjeżdżając przez bramę wiodącą od kolei żelaznéj, nie znaleźliśmy zrazu nic bardzo charakterystycznego w mieście, zdało nam się miéć fizyognomią europejską, wyglądało jak na Włochy niezmiernie czysto, wymuskano, ładnie, ale bez odrębnego piętna. Minęliśmy kilka pałaców wielkich, ciemnych, poważnych, jak więzienia. Wszystko dokoła było świecące, świeże, pomalowane na nowo, utrzymane starannie, może i św. Jan się do tego przykładał. Zajechaliśmy do poleconego nam hotelu, który już podobno dziś nie istnieje, do York, pani Augier, o kilkadziesiąt kroków od N. Panny kwiecistéj, to jest katedry, nad ulicą, którą orszak świąteczny książęcy miał przechodzić. W tém traf nam usłużył lepiéj, niżbyśmy potrafili sami sobie, mieliśmy bowiem okna dla przypatrzenia się uroczystości.

We Włoszech każda taka rocznica religijna jest zarazem zabawą, religia weszła tu w życie, zmieszała się z niém, stanowiła długo oś, na któréj się ono obracało; najlepiéj więc poznaje się lud, widzi kraj w czasie tych dni świątecznych, w których on żyje

całą piersią, całym szałem i namiętnością jemu właściwą. Nabożeństwo jest może częścią najmniejszą uroczystości, rozrywka i wystawa—główną.

Pośpieszyliśmy więc do okna wychodzącego na ulicę *dei Corretani,* tuż koło placu *della Paglia* graniczącego z placem katedry, nad dachami domów widać było nawet piękną kopułę *Santa Maria del fiore.* Ulicą tą wielki książę z całym dworem i paradą wielką miał przejeżdżać na nabożeństwo do katedry, roiła się téż cała ludem, którego stroje mało były uderzające. Nie było tu ani jednéj czerwonéj czapeczki genueńskiéj, ani jednéj białéj zasłony kobiecéj; kobiety ludu noszą ogromne kapelusze słomkowe z wielkiemi dokoła równemi skrzydłami przepięte na tyle głowy. Wielki wiatr najczęściéj je wpół zgina z przodu, pasterskie te kapelusze bardzo są do twarzy ładnym i młodym, dziwacznie w nich i śmiesznie staruszkom.

Nim jeszcze orszak Gran Duca nadjechał, rozpoczęły się przygotowania w ulicy, ze wszystkich okien wywieszano zasłony adamaszkowe, pąsowe, różowe, zielone, żółte, które powiewając, zdobiły wielce i ożywiały domy. Każde okno, każdy balkon się przystrajał, nawet w klasztorku naprzeciw okien naszych, księża wywiesili opony. Tymczasem na wózkach rozwożono ciastka, maleńkie andruciki cieniuchne jak opłatki sprzedające się na wagę, czereśnie, morele, wiśnie, wywołując głośno każdy z tych towarów. Na placu Duomo szykowało się wojsko toskańskie w paradnych mundurach, przejechały oddziały gwardyi w pąsach ze złotem i czerwonemi wyłogami.

O pół do jedenastéj ruch w ulicy się ożywił, szły naprzód paradne powozy dworu i magnatów. Ekwipaże panów (między niemi ukazywano nam księcia Poniatowskiego) z wielkim były przepychem i ceremonią przybrane, wedle jakiéjś formy dworskiéj; karety złocone i srebrzone, na kozłach okrytych kapami z herbami szytemi świetnie, siedzieli woźnice w liberyi wielkiéj całéj błyszczącéj od złota i haftów, w perukach pudrowanych, w stosowanych kapeluszach z piórami; z tyłu za każdym powozem dwóch lokajów w liberyi i suto wyzłacany strzelec. Takich ekwipażów nieskończona moc, w różnych barwach i odmianach, przesunęła się naprzód przed oknami naszemi. Po nich dopiéro szedł sam orszak wielko-książęcy. Przodem dwóch konnych we frakach ciemnych całych zaszytych biało i amarantowo, kapelusze stosowane lamowane galonami srebrnemi, po nich tak samo ubrani lokaje piesi, daléj powozy po sześć koni pozaprzęgane w chomątach od srebra i złota *con fiocchi,* z pomponami, z tyłu za każdym po trzech lokajów, oprócz tego lokaje przy każdéj parze koni. Dwór wydał się

na liczny i wspaniały bardzo jak na Toskanją. Wielki książę jechał w karecie paradnie złoconéj, otwartéj, nad którą w górze czteréj aniołkowie trzymali wielką koronę. Wybita była cała pąsowo ze złotem, szli przy niéj strzelcy w mundurach zaszytych przepysznie, potém jeszcze następowały paradne karety dworskie, wyliczyliśmy ich z dziesięć. Za niemi postępowały gwardye, dwór, szambelani, urzędnicy i t. d. Większość mundurów była białych z pąsowém i granatowych szytych karmazynowo ze srebrem. Przepych tego długo wlokącego się orszaku uderzył nas, coś w nim było średniowiecznego, niby przypomnienie tych uroczystości, których pozostały sztychy i ryciny tylko, lud włoski potrzebował téj wystawy może, pochlebiała ona dumie Florentczyków.

Wszystko to poważnie płynęło, wśród spokojnych przypatrujących się dość zimno tłumów ludu na plac katedralny, i znikło, ku końcowi nabożeństwa ozwały się działa i bito z nich długo, potém wielki książę w tymże porządku, powoli powrócił nazad, a za nim cały długi uroczysty pochód dworski i wojsko.

Nie potrzebujemy dodawać, że o dociśnieniu się do kościoła mowy być nie mogło, taki tłum wypełniał, nietylko świątynią, ale otaczające place i ulice. Ograniczyliśmy więc ciekawość naszę wyglądaniem przez okna.

Dopiéro, gdy się ciżba powoli rozpływać zaczęła, mogliśmy się wybrać dla powierzchownego obejrzenia miasta. Najpiękniejsze ono nad brzegami Arno, z pałacami i gmachami otaczającemi je, z starożytnemi mosty łączącemi dwa brzegi, z widokiem na sąsiednie góry, wille i ogrody. W samym środku tego ogrodu odwiecznego, pełno pańskich pałaców architekturą piękną, prostotą i siłą odznaczających się.—Nie są one tak wywdzięczone na zewnątrz, tak przystrojone jak weneckie, nie tak bogate, ale mają charakter siły i potęgi, którą wyrażają na pierwszy rzut oka. Ogromne ciosowe bryły składają się na ściany ciężkie i grube, każdy z tych gmachów wysokich, ciemnych, poważnych wygląda na warownią, i był téż nią w tych wiekach, gdy wewnętrzne niesnaski wstrząsały Florencyą.—Jestto miasto zamczysk i twierdz żywo jeszcze przypominających dawne dzieje.

Wszystko to znaleźliśmy utrzymane troskliwie, na podziw czyste, nigdzie ruiny i upadku; najstarsze nawet gmachy wyglądają świeżo i silnie, obok nich pełno nowych, nie nazbyt wytwornych, ale linij szlachetnych i prostoty wielkiéj. To nadaje Florencyi fizyognomią arystokratyczną, wytworną, poważną. Budowy genueńskie więcéj mają fantazyi, ubiegania się za efektem weneckie, tu panuje siła poczuwająca się, niedbająca jak się wyda, zam-

knięta w sobie. Architektura uderzająca pańskością, wspaniała,—przepyszna, choć bez przepychu.

Duomo jest ogromne i równie wspaniałe, panuje ono dobrze miastu pałaców, uderza tylko dziwnie facyata jego niedokończona, przy staranném reszty kościoła wypięknieniu. Chrzcielnica z owemi sławnemi drzwiami bronzowemi, jako budowa nied orównywa pizańskiéj, ale nad wszystko piękny jest Campanil, dzwonnica odosobniona, wytwornych proporcyj cacko, smukłe, lekkie i wysadzane kamieniami jak klejnot drogi. Dzieło to, pomysł Giotta z r. 1334, skończyć miał Gaddi; Florencya liczy je do najdroższych swych i najukochańszych pamiątek i słusznie się niém pochlubić może. Prześlicznie téż wygląda pałac stary (*palazzo vecchio*) ze swą wieżycą, z forteczną architekturą wieków średnich, z placem ostawionym posągami i *Logge de Lanzi*, stanowiący nieporównaną całość. Jakichże to budowniczych miało to miasto, jakiéj tu wysokości dosięgła sztuka, która każdy krok swój nowém oznaczyła arcydziełem.—I ramy, w których oprawne są posągi i dzieła rzeźby w nich stojące i linie tych budowli jak uroczystą harmonią łączą się z sobą.

Trafiliśmy może na dzień szczęśliwy, ale Florencya stara a nie zestarzała, wydała się pełną życia, ruchu i, przyznać to potrzeba, dobrego bytu i zadowolenia. Lud wesoły, ruchawy przelewał się cicho, spokojnie, choć gwarliwie, przez strojne i ciche ulice.

Obejrzawszy miasto pobieżnie, aby ogólne mieć o niém wyobrażenie, zawróciliśmy do hotelu, oczekując na piątą godzinę, o któréj rozpocząć się miały zabawy ludowe, corso, i wyścigi, w ulicy *Borgo Ogni Santi*, tak zwanéj od kościoła Wszystkich Świętych z r. 1637. Na plac przed kościołkiem wychodzący ku Arno, dostać się i nam było potrzeba, aby coś widziéć, przecisnęliśmy się z niemałą trudnością, bo ulice były ostawione wojskiem. O najęciu okna do patrzenia za późno myśléć było, musieliśmy wraz z pospolitym tłumem widzów (co daleko na lepsze nam wyszło) zająć miejsce skromne na wystawioném w tym celu rusztowaniu z ławami przy placyku. Kosztowało nas to po pawle od osoby, ale zbliżyło do ludności otaczając rzemieślnikami, wyrobnikami i dozwalając się im lepiéj przypatrzyć i przysłuchać.

Ulica była przepełniona, ścisk niezmierny, tłum z najrozmaitszych złożony żywiołów, typów w nim nie łatwo było wynaléźć, ogół wyglądał po europejsku. Najcharakterystyczniejszym był pod nami tuż, przyparty do rusztowania, na którém siedzieliśmy, szynczek, w którym przedawano, nie gorące trunki, ale *aqua fresca*, limonadę i sorbet. Dobrze zbudowany o szerokich piersiach Włoch, nie dosyć, że nam nad uszami w różnych tonach wykrzykiwał:

— *Il Sorbetto! Il Sorbetto!* ale całą dla polecenia go konsumentom odegrywał komedyą.—Szanowni, mili panowie, mówił wyrazisto towarzysząc sobie rękami.—Sorbetto! ale jaki Sorbetto! skosztujcie, patrzajcie, z jaką rozkoszą go połykam, jak masełko delikatny, rozpływający się, soczysty, chłodzący, orzeźwiający, a tani! Jak się to pije! jak się to smakuje, jak gasi pragnienie! Sorbetto! panowie, nieporównany Sorbetto! *Il Sorbetto*!

Klemrod tak się doskonale wyuczył wywoływania tego sorbetu, jak w Wenecyi—*Gondola!* mieliśmy téż dobrą lekcyę, bo Włoch ani na jednę nie ustał sekundę.

Sklepik jego ponętnie i czysto wysłany był liśćmi winogradowemi, nad nim wznosił się rodzaj ozdobnéj wieżyczki ze dzwonkami. Obok pod chorągiewką ze świętym Janem sprzedawano owe opłatki, cukierki białe i owoce.

W ścisku i tłumie, policyi na placyku i żandarmów prawie widać nie było, mimo ciżby najmniejszéj niepopełniono nieprzyzwoitości i pomoc władzy nie stała się potrzebną.

Nie wiem, czyśmy już o tém mówili, co każdego uderzyć musi, że we Włoszech pijaków prawie niéma, w ciągu całéj naszéj podróży napotkaliśmy raz jednego podpiłego człowieka przed Duomo w Pizie, ale i ten uchodził za cierpiącego nieco pomieszania. W tłumie florenckim rozochoconym i wesołym, wszyscy byli trzeźwi, lud bardzo porządnie ciągnął masami w lewo i prawo, rozdzieliwszy się na dwa przeciwne kierunki, mijając się bez potrącania, mężczyźni z cygarami w ustach, kobiety prawie wszystkie z bukietami, wielu z kwiatkami przy sukni wpiętemi jak w Wenecyi. Byliśmy w ojczyźnie kwiatów i widać to było na oko.

Środkiem dosyć wązkiéj ulicy, zostawiony był przejazd wolny; zaczęły się ciągnąć powozy pańskie, mnóstwo przerozmaite. Trudno to opisać; ekwipaże były wspaniale tak samo jak rano postrojone, z liberyą paradną, strzelcami, woźnicami, lokajami w perukach pudrowanych, w barwie najrozmaitszéj, w galonach i haftach; konie w szorach błyszczących od złota. Za każdym woźnicą leżał starannie ułożony płaszcz zwieszony na tył kozłów, tak, aby wszystkie jego peleryny, blachy i herbowne szycia widziéć można. Niektóre świeższe powozy, skromniejsze, zaprzężone były *à la Daumont* i powożone z konia przez dżokejów po angielsku postrojonych w butach ze sztylpami, w czapeczkach aksamitnych, w kurtkach atłasowych. Ekwipaż księcia Poniatowskiego miał liberyą bronzową ze złotem, odznaczał się strzelcem przepysznym. Z tyłu za karetami jechali strzelcy i paradni lokaje.

Obok tych wspaniałych były i skromniejsze karety, kocze, amerykanki, wózki; siedziały w nich kobiety postrojone bukietami,

mężczyźni w mundurach i wielkich wstęgach, inni po cywilnemu, inni w aksamitnych spencerach. Ciągnęły nawet fiakry i wózki proste. Niepodobna opisać téj rozmaitości powozów, które sunęły się tam i nazad wzdłuż Borgo Ogni Santi, dwoma szeregami, stępo lub kłusem; nareszcie za niemi ukazały się i powozy wielkoksiążęce, pstre liberye, malinowo ze srebrem szyte mundury, wojsko, gwardye.

Gran Duca jadący w odkrytym powozie z żoną, siwy już, staro nam się wydał, za nim następca tronu, dygnitarze, dwornia jechała i przewinęła się nam kilka razy przed oczyma. Lud kłaniał się grzecznie i cicho, ale bez entuzyazmu, ciżba tylko coraz się zwiększała, bawiono się tém *corso delle carozze* dosyć, widać jednak było, że oczekiwano niecierpliwie na coś piękniejszego jeszcze. Niekiedy drgał tłum, jakby mu było do tego widowiska pilno, szeptano namiętnie, oczy biegały w koniec długiéj ulicy; wysypanéj nie darmo piaskiem wilgotnym.

Corso to skończyło się wedle programu o godzinie siódméj; gwar, szum, śmiechy, radości, przeleciały ciżbę, ukazały się konie.

— *Ecco gli cavalli!*—hałaśliwie poczęto wykrzykiwać miotając się. *Ecco gli cavalli!*

Prowadzono wistocie nieszczęśliwe ofiary, sześć szkapek młodych, niebrzydkich, cienkich, poznaczonych biało ogromnemi numerami na bokach. Pachołkowie prości wiodąc je, nozdrza im wódką obmywali; ubrane były w jakieś skórki i dzwonki.

Lud chciwie powiódł za niemi oczyma, pojechało wojsko w koniec ulicy, znikły konie, cisza niecierpliwa wyczekiwania, tylko wzrok w głąb' ulicy leci wytężony.

Naostatek buchnęło znowu, gorąco, namiętnie—*Ecco gli cavalli!* ale tą razą jak burza poleciało nad ciżbą, która się wstrzęsła, zakipiała, jedni drugim leźli na ramiona, cisnęli się, kobiety machały rękami, rzucały bukietami, szał opanował wszystkich.

— *Cavalli! cavalli!*—wrzeszczał tłum tak, że nawet sorbetnika zagłuszył, który zamilkł, ocierając pot z czoła. Uznał się zwyciężonym i z czystém sumieniem mógł sobie wypocząć.

Jeszcze wrzawliwiéj rozległo się raz — *Cavalli!* Rusztowanie pod nami chwiało się od bijących o nie z niecierpliwości nóg kobiecych i ukazały się owe konięta—ale same bez jeźdźców, przestraszone, uciekające, numer trzeci na przodzie, za nim inne w niewielkim odstępie, oprócz drugiego, który opieszaléj biegł na ostatku. Lud krzyczał, popędzał, wołał, hukał, straszył, miotał się jak opętany, konie znikły w ulicy ku *Lungo l'Arno*. Widowisko było skończone, uciecha trwała kilka sekund. Numer trzeci zwyciężył, konie biegły jak szalone, lud popędzał rozwścieklony, ale gdy *Corso* się

skończyło, natychmiast wszyscy zaczęli opróżniać rusztowanie. Nawet przedający sorbety już się więcéj nie odzywał, z cichym szmerem pociągnął każdy do domu.

Chwila roznamiętnienia swobodnego, otóż cała zabawa, tak li o nią trudno? także to ona rozkoszna? jest-li potrzebą tego ludu, który niegdyś innemi wstrząsał walkami i wyścigami?—nie wiem. Wszędzie we Włoszech, gdzie się nam trafiło widziéć wyścigi i biednych koni, gorączka była taż sama, zajęcie równie żywe i równie dla nas niepojęte.

Nie sądzę, aby historya ojczyzny Danta była czytelnikom mym obcą, zaledwie ją przypomniéć może się godzi.

Założenie grodu odwieczne nie jest pewném, przypisują je Etruskom, inni Fiesolanom, inni Sylli. Za tryumviratu Florencya stała się *municipium*, wzrost jéj jednak był powolny, tak, że dopiéro w połowie dwunastego wieku zaczyna nabierać ważności.— Starożytne Fiesole pada jéj pierwszą ofiarą, burzy swą kolebkę, dorastając męskiego wieku i staje do walki z Pizą razem przeciwko Lucce i Genui. Rozrasta się, pochłania możnych sąsiadów niezależnych, zbogaca i dobija niepodległości.

W walkach cesarstwa z papieżem, Florencya pochyla się na stronę ostatnich, dopóki gibellinom pod Fryderykiem II nie udało się na chwilę gwelfów wypędzić. W sporach tych stronnictw szlacheckich lud brał mało udziału, ale w połowie XIII w. nagle wystąpił z wielką zaoszczędzoną w sobie siłą.—Ustanowiono rząd czysto demokratyczny, *Capitano*, naczelnika przez lud wybranego, i dziesięciu radę ze szlachty i mieszczan, a gdy i tu bruździli możni, Signorię z dwunastu *Priori*, z mieszczaństwa tylko, wyłączając szlachtę. To przywróciło spokój, nienadługo jednak, *Cerchi* i *Donati*, biali i czarni, wznowili tu stare niesnaski gwelfów i gibellinów. Gwelfowie poparci przez Roberta Neąpolitańskiego, otrzymali przewagę. Sprzymierzeniec obcy, wezwany do rozwaśnienia braci, stał się ciemięscą, zwykłym porządkiem rzeczy ludzkich, uzyskawszy władzę, musiał ją spożytkować dla siebie.

Z ramienia Neapolitańczyka ustanowiona Signoria nie zostawiła rzeczypospolitéj cienia niepodległości, tak, że wzburzone uciskiem umysły musiały w 1343 dożywotniego władcę wypędzić.— Kupiecka rodzina Medyceuszów, zbogaconych handlem, powoli nabrała znaczenia i powagi, stanęła ona w sprawie i obronie ludu, gdy szło o opodatkowanie i pozyskała go sobie. Imieniem rzeczpospolita, Florencya stała się rzeczą samą monarchią Medyceuszów; następcy tych, co jeszcze rządzili, jako wybrani przez lud, Lorenzo i Giuliano już się mianowali *Principi dello Stato*; wszystko co zachwiać miało ich potęgą, przyczyniło się do ugruntowania

jéj.—Sprzysiężenie się Pazzów, którego Giuliano padł ofiarą, umocniło Medyceuszów władzę. W r. 1494 stronnictwo ludowe raz jeszcze wygnało ich; wróciły niepokoje, Soderini nie mógł podołać brzemieniu, jakie nań spadło, zdobył Pizę, ale ją musiał oddać, wprowadził rzeczpospolitą w wojnę z papieżem, wyczerpał skarb i Medyceusze powrócili zwycięsko.

Rodzina ich potężniała coraz, Leon X, Klemens VII, dodali jéj nowego blasku, naostatek panowanie ich utwierdzone zostało z władzą nieograniczoną w r. 1531. Medyceusze, których rządy dla rzeczypospolitéj z wielu względów były ciężkiém jarzmem, uświetnili epokę swą zamiłowaniem w sztuce i silną dla niéj opieką.—Pomniki z czasu Medyceuszów są dziś najświetniejszemi pamiątkami Florencyi, która pod rządami ich aż do r. 1737 zostawała.

Po nich w. księstwo dostało się księciu Franciszkowi Stefanowi lotaryńskiemu, późniejszemu cesarzowi Franciszkowi I. Następcą jego był Leopold, a od r. 1790, gdy został cesarzem, drugi syn jego Ferdynand. Florencya była sekundogeniturą austryackiego domu. Napoleon, który łatwo wywracał i tworzył państwa nowe, zrobił królestwo Etruryi dla Ludwika parmeńskiego, ale po traktacie wiedeńskim sekundogenitura powróciła i od r. 1824 panował książę Leopold II, aż do 1848. Rewolucya po ucieczce w. księcia ósmego lutego 1849 r., Guerazzego obwołała dyktatorem i rzeczpospolitę, trwało to tylko do kwietnia, w lipcu w. książę powrócił. Powiadają, że gdy drugi raz opuszczał Florencyą Gran Duca, lud krzyczał mu:

— *Addio*, a on odpowiadał chłodno:—*Al rivedersi.*

Wszystko jest możliwém.

Nie myślimy dawać tu rysu sztuki we Florencyi, gdyż ta osobnego i obszernego wymagałaby dzieła, tak jest obfitą w ludzi, pomniki, idee.

Któż nie wié, jakiemi ludźmi, jakiemi potęgami chlubi się Florencya we wszystkich sferach życia i działalności? Kto byli Uberti, della Bella, Ottobuoni, Valori, Neri, Capponi lub de Gondi?—między uczonemi Marsilio Ficino, Nicoli, Ruccellai, Macchiavelli;—ona wykołysała nieśmiertelny gieniusz Danta i nauczyciela jego Brunetto Latini, Petrarkę, Bokacyusza, Filicaję;—któż zliczy ten długi szereg, za którym idą tacy artyści jak Orgagna, Brunelleschi, Michelozzo, Michał Anioł wielki, Fra Beato Angelico, della Robbia, Donatello, Bandinelli, Ghiberti, Cellini, Giotto, Cimabue, Gaddi, Ucello, Ghirlandajo, Andrzéj del Sarto, Bronzino, Allori, Carlo Dolce...

Nie podobna utrzymywać, żeby taka w wielkich mężów płodność, taki rozkwit duchowy miał tu być prostém dziełem wy-

padku. Trafi się, że niejedno ziarno kwiatu wiatr na odłóg zaniesie i strzeli z zielsk podziw a cudo, ale całe pole róż nie wschodzi przypadkowo; musi je tam posiać ręka silna. W dziejach Florencyi, w jéj szczęśliwém położeniu, w jéj nieszczęściach raczéj należy szukać nasienia tych wielkości. Naród ubłogosławiony dary bożemi, jeśli walczy i cierpi, tém bujniéj wyradza wielkich mężów. Szkoła nieszczęść była tu wielką mistrzynią. Danta zrodziło wygnanie, Boccacio opowiadał swe historyjki czasu moru, poszukawszy, znaleźlibyśmy pod każdą postacią wielką, męczeńską podstawę.—Nie tu jest miejsce dowodzić, że narody usypiają szczęściem, że się rozbudzają niedolą, to pewna, iż wielki spokój i wielki dostatek przywodzą je do obumarłości, równie jak ostateczny zamęt i nędza.

Jak poezya cała Florencyi wyraża się jedném imieniem *Dante*; tak sztuka mogłaby postawić jedno równie poważne Michała Anioła, budowniczego, rzeźbiarza, malarza. Gieniusz jego jak Danta góruje ponad tłumem, nawet mniejszego polotu gieniuszów.

Żadne miasto Włoch, nie wyjmując nawet Rzymu, bogatego w starożytne pamiątki, nie zachowało tyle i tak znakomitych dzieł sztuki co Florencya. Tu krok każdy prowadzi do jakiegoś arcydzieła, do zdumiewającego obrazu, rzeźby, budowy. Miasto kwiatów jest zarazem stolicą.—Pomniki te nie sięgają zbyt odległéj starożytności, ale pochodzą przeważnie z najpiękniejszych czasów rozkwitu. Najstarszy jest kościół San Apostolo z VII lub VIII wieku, wzniesiony w stylu bazylik ze szczątków starożytnych. Gdy Florencya w chwili największéj siły rozpoczęła się budować, styl gotycki panował w architekturze, przejęła go późno i zmieniła znacznie, nie odpowiadał jéj duchowi i smakowi, więcéj potrzebowali tutejsi artyści powagi linij, wyrazu siły, instynktem czuli, że mnóstwo ozdób pokrywających ubóstwo pomysłu architektury gotyckiéj nie godziło się z ich ideałem surowszym, nie ukrywającym się i nie osłaniajacym nawet bogactwy szczegółów. Dlatego prawie wszystkie kościoły, w tym stylu wzniesione, pozostawiały ornamentacyą jako rzecz podrzędną i dodatkową na ostatek i większa część świątyń florenckich do dziś dnia stoi z nieukończonemi nagiemi frontonami.—Tak wzniosło się Duomo Arnolfa di Colle i dzwonnica Giotta w r. 1334.—Z tego przechodniego stylu gotyckiego wyrobiła się architektura poważniejsza, silniejsza, toskańska, wracając od śpiczastych strzał giermańskich do pułkulistego łuku i spokojniejszych linij, Loggia dei Lanzi Andrzeja di Cione z r. 1375, jest najpiękniejszym, najpełniejszym wzorem toskańskiego szlachetnego stylu, który w pierwszych latach XVI wieku z florentyńskiemi mistrzami przyszedł i do Polski pod nazwą stylu

Odrodzenia.—Właściwym renesansu twórcą, a raczéj tym, który go związał z tradycyą starożytną, (gdy wprzód instynkt już do niéj prowadził), był Filippo Brunelleschi. Styl toskański był przeczuciem Odrodzenia, które on pierwszy jasno sobie za cel oznaczył. Brunelleschi wzniósł wspaniałą kopułę katedralną. Architektura ta, zapożyczając się od starożytnéj, nie wyrzekła się wszakże samoistności, nie poddała się jéj niewolniczo, a dozwalając sobie zmian różnych, nie zawsze w nich była szczęśliwą. Budowy XVI i XVII wieku często przechodzą żądzą bogactwa i oryginalności w smak wątpliwy, w przeładowanie, w dziwaczność.

Rzeźba, jako-śmy wspomnieli, najpierwéj, najdawniéj przez Pizanów uprawianą być poczęła, nowy kierunek nadali jéj Nicolo i Giovanni Pisano, i oni przynieśli z sobą nasienie szkoły do Florencyi, któréj świetnemi uczniami byli Arnolfo, Masaccio, Lucca della Robbia sławny swemi rzeźbami z gliny polewanéj, Lorenzo Ghiberti i Donatello. Ostatnich dosyć jest wspomnieć imiona. Michał Anioł miał poprzedników, nie mistrza, ale o nim osobno obszerniéj mówić będziemy.

Początki malarstwa we Florencyi noszą też same cechy co weneckie, znać w nich wpływ bizanckich mistrzów, którzy po wzięciu Konstantynopola przez Franków w 1204 r., mogli się rozejść po Europie, a szczególniéj po Włoszech. Miniatury i mozajki w baptisteryum mają wybitny styl bizantyjski, który uderza jeszcze w Cimabuem.

Cimabue jak bizantyni w postaciach świętych nie ludzkie ale hieratyczne, umówione typy przedstawiał, malował bóstwo, nie umiejąc go wyrazić jeszcze wyidealizowaniem człowieka, ale konwencyonalną tylko formą przyjętą.

Giotto di Bondone, który malarstwo na nową wprowadził drogę, urodził się w Vespignano, niedaleko Florencyi, a bliżéj jeszcze Fiesole, które było ojczyzną drugiego mistrza Fra Angelico. Przyszedł na świat w 1276 r. Widzieliśmy już dzieło jedno z najznaczniejszych Giotta w Padwie i po Matce Boskiéj Cimabuego, patrząc na jego karmicielkę, widzimy, jak gieniusz Giotta wielką ubiegł drogę. Giotto pojmuje piękno, przeczuwa wszystkie sztuki warunki, odgaduje perspektywę, anatomią, a co najwięcéj—czuje ideał, pragnie go pochwycić i odtworzyć niezależnie, od tradycyi.—Szkoła Giotta, którą widzieliśmy w Pizie (Andrea di Cione) swobodnie już kroczy daléj w kierunku mistrza i rozwija się coraz doskonaląc talentem pojedyńczych ludzi, naśladowaniem natury, wzorami starożytnemi. Ale w niéj jeszcze jest ta siła chrześcijaństwa średniowiecznego, które Arystotelesa i Platona potrafiło przerobić na filozofów Chrystusowych, tak i ci malarze z wzorów kla-

sycznych korzystają dla nadania udatnych form idei religijnéj, która w nich żyje.—Epoka ta, od Giotta począwszy do Leonarda da Vinci, jest może najgłębszych badań godną, ona wydała prawdziwie chrześcijańskie arcydzieła sztuki, która wyrosła olbrzymio późniéj, ale stała się świecką, popisową, pogańską.—W niéj znajdujemy imiona Gaddich, Uccellów, Masolinów i Lippich. Każdy z tych malarzy zasługiwałby na osobną charakterystykę, a szczególniéj Fra Filippo Lippi i długo niepoznany, anielski arcymistrz, malarz zachwytów niebieskich Fra Beato Angelico z Fiesole.

Fra Angelico jest pierwowzorem malarza religijnego, obrazy jego tchną taką świętością, że im nic nie dorównywa, jestto téż postać wyjątkowa dziwnéj piękności, wybaczą nam czytelnicy, że się nad nim, życiem jego i dziełami nieco obszerniéj zastanowić musimy.

Angelico urodził się w 1387 w Vicchio jednéj z tych wiosek kamiennych, które jak forteczki stoją na szczytach Apeninów, w prowincyi Mugello. Sto lat wprzódy Cimabue natrafił w téjże okolicy, w Vespignano, na Giotta, mającego być założycielem téj szkoły, któréj Angelico jest najwyższym i najczystszym wyrazem. Nie znamy jego młodości, wiemy tylko, że w świecie zwał się Guido lub Guidolino, że ojciec jego miał imię Piotra, że było ich dwóch braci, bo drugi także poświęcił się jak on malarstwu i życiu zakonnemu. Podanie, które przywodzi Vasari, powiada, że mógł w świecie żyć swobodnie i przyjemnie, a talent starczył mu na młodzieńcze fantazye, przecież dobrowolnie wstąpł do zakonu św. Dominika. Brat jego starszy poszedł w jego ś:ady.

W zakonie, który sobie obrali, sztuka była cenioną równie jak u benedyktynów i kamedułów, ozdobne rękopisma naówczas drogie i koniecznie wymagały zręcznych miniaturzystów, zakon dominikanów liczył ich bardzo wielu. Założyciel klasztoru w miasteczku Fiesole niedaleko Florencyi, błogosławiony Jan de Dominici, sam malarz i miłośnik malarstwa, był, jak się zdaje, pierwszym przewodnikiem Fra Angelico. Klasztor dominikanów leży na górze najpiękniejszéj w okolicy; wśród ogrodów, winnic, strumieni, dolin cichych, które opisał Bokacyusz (*Decamerone. VI. 10*). Dwaj bracia przybyli tu około 1401 roku,—oba zmienili imiona przechodząc próg klasztorny, zrywając ze światem i przyjęli nowe Fra Giovanni i Benedetto.—Dziś zna go tylko potomność pod nadaném mu imieniem, malującém dzieł jego świętość, *Fra Beato* lub *Fra Angelico.* Ścisła przyjaźń połączyła wkrótce dwóch braci z przełożonym Janem de Dominici i św. Antoninem.

Nie wiemy wiele o sposobie, w jaki się kształcił Fra Angelico, to co o tém piszą jest prawdopodobnym domysłem, zdaje się, że

malował miniatury i że miał zręczność obeznania się z malarzami szkoły umbryjskiéj.—Utrzymują niektórzy, iż nauczycielem wspólnym jego i Masolino da Panicale był Gherard Starnina (1354—1403); w obrazach i niektórych szczegółach widać, że czerpał z natury, że się nią przejmował.

Pracował znać wiele, gdyż rysunków po nim i myśli pierwszych została stosunkowo liczba dosyć znaczna.—Z Fiesole Fra Angelico wraz z innemi zakonnikami przeniósł się do Cortony w czasie moru. Pierwsze prawdopodobnie większe jego obrazy nacechowane już są tym wyrazem anielskiéj czystości, który w ostatnich doszedł do niezrównanego mistrzowstwa. Każda praca jego zdaje się malowaną modlitwą. Malował téż same przedmioty święte, a w nich jeszcze wybierał te, które tchnęły uczuciami najwznioślejszemi, do których wchodziły tylko typy ubłogosławione i przeczyste.

W sposobie malowania znać pracowitego miniaturzystę. W Cortonie i Perugii znajdują się najdawniejsze Fra Angelica obrazy, jak wszystkie inne nie podpisywane, bez dat, ale łatwo wyróżniające się nieporównaném natchnieniem i wdziękiem.

Z Cortony zakonnicy powrócili do Fiesole, gdzie Beato spędził najpiękniejsze lata życia. Rajska ta okolica mogła go wistocie natchnąć obrazami tego raju, który tak cudownie malował.

Fra Angelico zaparłszy się raz swéj woli, nie miał jéj już nawet jako artysta; proszących go o obrazy odsyłał do przeora, robił pomodliwszy się, co przeor mu rozkazał.

W Fiesole malował dwa al fresco, w refektarzu i kapitularzu, który późniéj na foresteryą obrócono.—Pierwszy przedstawia ukrzyżowanie z N. Panną, św. Janem i Dominikiem. Część tylko jego ocalała. Drugi wyobraża N. Pannę na tronie, z dziecięciem na kolanach, po bokach śśw. Dominik i Tomasz z Akwinu. I ten obraz zdaje się być restaurowany. Inne z téj epoki rozeszły się po świecie; do niéj należy ukoronowanie Matki Boskiéj, który Vasari wynosi jako arcydzieło najdoskonalsze. Najtroskliwszy opis takiéj kompozycyi, lub któregobądź z dzieł Fra Angelico nicby nie nauczył; tworzył on z niezmierną prostotą, układał instynktem piękna, a całą siłę natchnienia wlewał w typy swych twarzy anielsko ubłogosławionych, zachwyconych, rozpromienionych i wdzięcznych. Twarze jego Madon, aniołów, świętych są najcudowniejszéj piękności, spokojnéj, jasnéj, przejrzystéj, z któréj już wszystko cielesne uleciało. Są to widzenia niebios, Fra Beato maluje téż tylko te sceny nie ziemskie, a im mistyczniejszy przedmiot, tém on w nim swobodniejszym się czuje.

Dla wydania téj świętości nie potrzebuje kontrastu, świat zna

tylko jeden i dwóch zestawiać nie umie, za sprzeczność służy mu ziemia i życie powszednie.

W akademii sztuk florenckiéj znajduje się z téjże zapewne epoki życie Chrystusa Pana w trzydziestu pięciu obrazach, malowane przez Fra Angelico do kaplicy Nunziata. Służyło ono niegdyś za okiennice szafy, w któréj był złożony skarbiec. To życie Chrystusa dowodzi, że malarz był zarazem głęboko uczonym teologiem i że mając opowiedzieć pędzlem wielki dramat boży, sam wprzódy obmyślił sposób, w jaki go miał przedstawić. Napisy towarzyszą pojedyńczym scenom, tworząc komentarz do nich i rodzaj aktów usprawiedliwiających.—Życie to rozpoczyna się widzeniem Ezechiela, kończy sądem ostatecznym, który Fra Angelico po kilkakroć powtarzał. Florencya sama posiada ich dwa w zbiorze akademii, z których jeden ma europejską sławę arcydzieła, zupełnie zasłużoną. Należy on do najwspanialszych obrazów mistrza. Autor żywota malarza (Cartier) wylicza pięć przyznawanych mu Sądów ostatecznych, mniéj więcéj odmiennych, zawsze wzniosłéj myśli i natchnienia. Sąd w galeryi Corsini w Rzymie, malowany dla zakonników, odznacza się energią, jaką zwykle łagodny Angelico wystawił piekło, grożąc nim przekraczającym reguły zakonne. Wyraz twarzy i ruchy potępionych wyjątkowo są tu wielce dramatyczne.

Brat Anioł wszakże celuje w aniołach, w postaciach eterycznych, w świecie świętych, niewiast i dzieci, w tych on jest nieporównany. Ilekroć gwałtowne cierpienia, rozbudzoną przychodzi mu wydać namiętność, zdaje się nie pojmować ich i cofa się przed niemi. Pokój jest charakterem jego obrazów i typów.

Obrazy Fra Angelico, których najwięcéj jest dziś jeszcze we Florencyi, w wieku pobożności i religijnéj gorącości, musiały obudzać niezmierne uwielbienie dla tego, kto je malował. Dziś, gdy malarstwo wypowiedziało i dobre i złe, jakie tylko pędzel wydać może, gdy się wyczerpało w formach i środkach, w naśladownictwie i próbach, jeszcze dzieła Fra Angelico obudzają podziw i zachwycenie,—cóż dopiéro w czasach, dla których były istnym sztuki cudem? Wyrywano sobie obrazy jego, książęta, klasztory, kościoły starały się o nie jak o najdroższe skarby; Fra Angelico, z rozkazu Kozmasa Medyceusza, przenieść się musiał do klasztoru Ś. Marka do Florencyi, zawsze w towarzystwie ukochanego brata Benedetto, z którym się nie rozdzielał.—Fra Benedetto talentem i wzniosłością niższy od Angelica, przejął wszakże jego charakter, nabrał świętości, wpatrując się w jego dzieła i pozostawił po sobie szacowne miniatury. — Zdaje się, że brat mu w nich dopomagał i sam téż je malował... W klasztorze Ś. Marka, którego Fra Angelico był przeorem, w którym miesz-

kał długo, pozostały na ścianach najpiękniejsze zdaniem naszém dzieła natchnienia tego świętego człowieka, który modlitwą przygotowywał się do pracy, malował w zachwyceniu i wstając, padał na kolana, dziękując za nie Bogu.

Cele, korytarze, sale klasztorne całe są pokryte obrazami, niektóre z nich zachwycające, wszystkie znakomite. Ukrzyżowanie Chrystusa w kapitularzu powszechnie uważają za arcydzieło mistrza, jest to istotnie jedno z najcelniejszych, ale wybór trudny. Na kilkocalowych deszczułkach równie jak na wielkiéj ścianie Fra Angelico umie cały świat zmieścić i obwiać rajską swą atmosferą. Ta scena męczeństwa może dlatego się odznacza, że artysta miał w niéj do przezwyciężenia sam charakter swojego talentu. Chrystus na krzyżu wysokim panuje nad ziemią; dwaj łotrowie przy nim wiszą, u stóp leży głowa trupia, stoi N. Panna podtrzymywana przez niewiastę, Marya Magdalena klęczy i wyciąga ku niéj ramiona. Wszystkie te głowy kobiet i układ grupy są nadzwyczaj piękne.

Daléj idą Ś. Jan, (*Ś. Marek*), Wawrzyniec, Kozmas i Damian, patronowie Medyceuszów. Z drugiéj strony patrzą na ukrzyżowanie święci różnych epok, którzy duchem odboleli je i żywot na rozmyślaniu o niém spędzili. Dokoła w medalionach otaczają kalwaryą prorocy. Rysunek, koloryt, układ, twarze są wielkiéj piękności, charakter obrazu monumentalny; jeden Ś. Marek zdaje się domalowany przez brata, i mniéj kształtny. Nieszczęściem tło restaurowano i okryto ohydnym czerwonym kolorem. —

Około 1445 r. Fra Angelico przeniósł się do Rzymu, na żądanie papieża Eugieniusza IV, który go znał we Florencyi, wezwany dla okrycia obrazami kaplicy, która je do dziś dnia przechowała. Są one bardzo piękne, ale te, któreśmy oglądali u Ś. Marka, zdają się swobodniéj, żywiéj, goręcéj malowanemi. Tu skromny, cichy mnich-artysta może się czuł tą urzędową sztuką spętanym i onieśmielonym. Podanie mówi, że ofiarowane mu naówczas arcybiskupstwo florenckie odrzucił, błagając papieża za kim innym, sam do dźwignięcia ciężaru nie czując się zdolnym. Nowsza krytyka zaprzecza faktowi, my w nim czujemy prawdę moralną,—i pragnęlibyśmy, by w życiu malarza pozostał.

Z Rzymu Fra Angelico powołany był do Orvietto, w którego kościele katedralnym malował Sąd ostateczny, niedokończony, powrócił do Rzymu i tu w klasztorze Ś. Maryi sopra Minerwa zmarł, mając lat sześćdziesiąt i osiem; głosem powszechnym ubłogosławiony — *Il Beato*.

Vasari tak pisze o życiu jego:

„Dałby Bóg, aby wszyscy zakonnicy tak życia używać umieli jak ten anielski prawdziwie ojciec; wszystkie jego chwile poświęcił on

służbie bożéj i posłudze ludzi swych bliźnich. — Zresztą, talent tak wielki, tak nadzwyczajny, jak Fra Giovanni, mógł być tylko udziałem tak świętego jak on człowieka.

„Unikał on świata, a żywot jego był tak czysty, kochał tak ubogich, iż dziś pewnie dusza jego jest w niebiesiech.—Pracował ciągle około malarstwa, a nie chciał nic malować oprócz świętych. Mógł być bogatym, a nie myślał o tém, mawiał zawsze, że prawdziwie bogaty ten tylko, co na małém poprzestać umié. Mógł rozkazywać ludziom i nie chciał, mówiąc, że łatwiéj jest i bezpieczniéj słuchać. Mógł pozyskać wysokie stanowiska w zakonie i po za nim; odtrącił je, mówiąc, że innych honorów nie pragnie, byle uniknął piekła, a raj pozyskał. Był słodyczy i wstrzemięźliwości niezmiernéj; życie wiódł zawsze czyste, unikając zawsze świata... Miał zwyczaj powtarzać, że artysta potrzebuje pokoju i życia cichego, że ten, co ma Chrystusowe sprawy przedstawiać, winien zawsze żyć z Chrystusem.

„Nigdy go wśród braci nikt nie widział zagniewanym, co jest rzeczą dziwną i prawie nie do wiary. Przyjaciół swych ostrzegał ze słodyczą i uśmiechem. — Ktokolwiek od niego chciał miéć malowanie, odsyłał do przeora, mówiąc, że gdy ten pozwoli, chętnie żądanie zaspokoi. Nie można dość wychwalić spraw i dzieł jego. — Słowa jego pełne były pokory i skromności, a obrazy wdzięku i pobożnego ducha. Święci, których on malował, podobniejsi są do świętych, niż wszyscy inni; miał zwyczaj nigdy nie poprawiać i nie przerabiać swych obrazów. Zostawiał je tak, jak zrobił, mówiąc, że takiemi Pan Bóg je chciał miéć. Zapewniają, że Fra Giovanni nie tknął nigdy pędzla, nie pomodliwszy się wprzódy; nie malował nigdy ukrzyżowania, żeby go łzami nie oblał. To też w głowach i postawach jego obrazów znać całą dobroć, wiarę i wielkość jego chrześcijańskiéj duszy.“

Tyle Vasari, i nikt pewnie lepiéj nie skreślił żywota błogosławionego artysty, jedynego w dziejach sztuki; tak jak dzieła są jedynemi wśród całego malarskiego świata. Z mnóstwa naśladowców, nikt mu nie sprostał, nikt nawet z uczniów nie zbliża się do niego, ukochany brat nie dotknął jego obrazów, by każda postać utworzona przezeń nie wyróżniała się ogromnie.

Takim był Fra Angelico...

Na drugim krańcu malarskich dziejów, stoi w innym rodzaju wielka, znakomita, czysta, ale cale innego charakteru potężna postać Michała Anioła.. Mamyż wskazać różnice i zestawić je z sobą?

Życie Bounarottego, jego dzieła daleko powszechniéj są znane światu, nie sądzim, aby je potrzeba było przypominać; dość napomknąć o nim. Będziemy też mieli niejednę zręczność zbliżyć się do

niego jeszcze, równie jak do Fra Angelico. Obu ich Florencya jest pełną...

Nazajutrz pierwsze kroki zawiodły nas do staréj chrzcielnicy, (katedrę broniąc się od oglądania jéj, zostawiliśmy na późniéj). Że to było rano, trafiliśmy na mszę świętą; wiodło tu i wspomnienie Danta, który w téj saméj budowie z nieistniejącéj już chrzcielnicy wyratował topiące się chłopię. (*Inferno XIX*).

Ten Dantejski:

mio bel San Giovanni...

chciałem oglądać naprzód i z poszanowaniem dotknąć posadzki, na któréj jego stopy nieśmiertelne zostawiły ślady.

Ale był-że to ten sam ś. Jana kościół? Gdzie się podziały otaczające go groby, o których jeszcze Boccacio wspomina? gdzie owa pamiętna chrzcielnica?

Ośmiokątna ta bardzo starożytna budowa, wzniesiona ze szczątków jakiéjś świątyni Marsa, aż do roku 1128 służyła za katedrę Florencyi... W roku 1293 jeszcze ją otaczał cmentarz, którego dziś niéma śladu, Arnolfo restaurował ją i pokrył marmurami.

Na pierwszy rzut oka znajdowaliśmy kościół ten mniéj uderzająco pięknym od chrzcielnicy pizańskiéj, wpatrzenie się w pełne smaku i powagi linie jego, klasycznéj surowości, zmienia to przekonanie... Wistocie tam swobodniejsza fantazya, tu wstrzemięźliwa umiejętność panuje. Ośmioboczny kościół ze swemi monumentalnemi drzwiami i liniami czystemi jest mimo niewielkich rozmiarów wspaniały, jest wielki, choć małym się zdaje zrazu... Trzy jego piętra, wspaniałą, harmonijną tworzą całość. Wnętrze przyciemne, ze swą galeryą, z marmurami i złoceniami równie jest wspaniałe i surowe. Przedewszystkiém drzwi bronzowe są arcydziełem, którego pominąć bez uwielbienia nie można. Michał Anioł uznał je godnemi by były wrotami raju.

Dwoje drzwi, o których wyrzekł to zdanie, są dziełem Lorenzo Ghiberti, trzecie Andrzeja Pisano... (południowe) z 1320 roku... Trzeba je widziéć, by miéć wyobrażenie szlachetnéj piękności ich, stylu i bogactwa, szczególniéj podwojów zwróconych ku katedrze... Północne, Ghibertego, skończone w r. 1427, ważą do 34,000 funtów, a kosztować miały do 16,000 dukatów; przedstawiają one w kompartymentach dwudziestu ośmiu historyą Chrystusa i kilku świętych. Żaden opis im i tym drugim wrotom późniejszym nie podoła. Dwie kolumny porfirowe, po obu stronach ustawione, zdobyte zostały w r. 1117 przez Pizan w Majorce, a odstąpione Florencyi w 1200; ja-

ko dar za pomoc w wojnie z Lukką. — Wiszą tu resztki łańcucha portu pizańskiego.

Posadzka we wnętrzu, wysadzana w desenie, według podania służyć miała za wzór do tkanin adamaszkowych. Znaki zodyaku są może najstarszym pomnikiem astronomicznym w Europie, sięgają początku XIII wieku.

Nie myślimy nawet o opisie kościoła, tyleby tu rzeczy rejestrować przyszło, nie mogąc słowy dać o nich wyobrażenia, a rejestr wcale nie uczy.. Śpieszym do *Palazzo degli Uffizi,* zamykając oczy na wszystko, co nas otacza, postanowiwszy posłuszni być fantazyi, nie trzymając się żadnego planu, idąc i wracając do przedmiotów ze swobodą, którąśmy sobie zgodnemi głosy nadali. — Nie chcemy być niewolnikami żadnego przewodnika, ani zań służyć dla drugich.

Po drodze opieramy się tysiącznym pokusom, ale otóż jesteśmy pod gmachem wzniesionym z rysunku Vasarego przez Kozmasa I.; majestatycznie się on przedstawia, choć widocznie architektura nie sięga najświetniejszych czasów sztuki florenckiéj. Wchodzimy do wnętrza i toniemy w ogromie tym arcydzieł i pamiątek. Pierwsze nań wejrzenie odurza... Galerya florencka nic ma może równéj na świecie, liczbą, doborem, rozmaitością. — Malarstwo prawie wszystkich szkół cudownie się tu przedstawia, ale obok rzeźba starożytnych tylko muzeum watykańskiemu ustąpi, pamiątki średniowieczne, odrodzenia są w liczbie zadziwiającéj nagromadzone. — Bronzy, gemmy, posągi, płaskorzeźby, drobna snycerszczyzna, złotnictwo, wszystkiego mnóstwo, wszystko dobrane i wytworne... Układ tego zbioru staranny, ale brak numerów na salach i na obrazach utrudnia z początku oglądanie, potrzeba się obyć i oswoić z tym światem.

Galerye otaczające sale, zaludnione posągami, płaskorzeźbami, sarkofagami, popiersiami, z których każde przywabia, nad każdém możnaby i trzeba długo się zastanowić.

Po nad niemi ustawione naprzód w pewnym porządku obrazy najstarszych mistrzów szkoły etruryjskiéj, których wybór był bardzo szczęśliwy. Tu można oglądać z kolei dzieła Cimabue (N. Panna, w otaczających ją małych scenach, ojciec mistrz najlepiéj poznać się daje), Giotta, Orgagni, Lippiego i t. p. Cimabue w robotach mniejszych rozmiarów, które nie wymagały studyów z natury, jest, jak inni starzy mistrzowie, najszczęśliwszym, jest już w nich całym sobą. — Wiele trudności, jakie przedstawiają postacie naturalnéj wielkości, nikło w drobnych obrazkach, myśl w nich wcielała się swobodniéj. — Giotta znowu nie tu, ale w Padwie uczyć się należy — on w małych obrazach traci, gieniusz jego potrzebował szerszego pola... To są ojcowie całego szeregu pospolitemu światu nieznanych artystów, którzy ideał duchowy człowieka wyrazić usiłowali, co marzyli

i malowali istoty czyste i święte, jakich świat nie miał i ziemia nie widziała tylko na ich obrazach. Na Rafaelu kończy się mistyczne malarstwo, a rozpoczyna idealizowanie już tylko rzeczywistości—on w *Sposalizio* medyolańskim jest jeszcze uczniem Perugina pobożnym, w Madonie pałacu Pitti—kochankiem Fornariny.

W korytarzach galeryi spotykamy pierwszy wielki obraz Fra Angelico, ołtarzowy. W pośrodku Matka Boska, dziewiczego wyrazu twarzy, jaki on tylko malować umiał, z prześlicznėm dziecięciem Chrystusem na ręku, otoczona aniołami grającemi, nadzwyczajnego wdzięku i słodyczy. Na okiennicach stoją święci, naturalnéj wielkości prawie, poważni a spokojni, szczególniéj ś. Piotr. Około dwunastu aniołów nieustannie krążą kopiści, lecz któż potrafi Fra Angelico skopiować?*) Inne mniejsze obrazki jego zdradzają malarza, który począł od miniatury, nim przeszedł do fresków i ołtarzowych obrazów; wszystko wykończone, jasne, ciepłe, jakby widzenie niebiańskie wdzięczne i ciche; żaden gwałtowniejszy ton nie razi, harmonia linij i barw niezrównana.

Obok niego gasną wszyscy, ten Botticelli naprzykład, jakże niepewien siebie, jak słaby, co za postacie odęte, choć wyraz figur zastanawiający.

Mijamy bez pokłonu starożytne bogi, nawet Wenus z nogą cierniem zranioną, śpieszym do Trybuny.

Jest to ośmiokątny salon wytworny, świątynia arcydzieł, z kopułą perłowemi konchami wysadzaną, tu zgromadzono, co galerya ma najświetniejszego, najdoskonalszego, mistrzowskie dzieła największych mistrzów. Cześć gieniuszom! Anglicy wprawdzie wchodzą tu w zakurzonych butach i z kapeluszami obwiniętemi w chustki na głowie, my zdejmijmy nasze i pokłońmy się. — Z religijném poszanowaniem zbliżmy się do natchnień bożych, bo co człowiek najdoskonalszego utworzył, nie jestli tryśnięciem przezeń ducha bożego?

Tę trybunę przesławną, która głośniéj mówi do ludzi, niż najsłynniejsi mówcy, zbudował Buontalenti, ozdobił Poccetti. — W pośrodku stoją wyborowe starożytne posągi, wprost nas naprzeciw wnijścia ona znana bardzo Wenus Medycejska, śliczna, wdzięczna, ale skutkiem restauracyi Bernin'a nadto wymanierowana. Jak inne posągi dawne otłuczoną była i pokaleczoną, Bernini ją wypełnił, ale nie w duchu antyków, w smaku swym własnym i swojego wieku. Nie jest to *Venus pudica*, ale Wenus zalotnica, która osłania to, czém

---

*) Znam tylko jednego sumiennego prawdziwie kopistę, którego prace w tym rodzaju z Fra Angelica zadziwiają sumiennością i przejęciem się jego charakterem, tym jest zamieszkały we Florencyi od lat kilku, ziomek nasz, Klemens Rodziewicz.

chce spokusić.—Bernin uczynił ją bezwstydną, śliczne proporcye torsu każą żałować, że ręce im wcale nie odpowiadają. . Ręce te są wypieszczone, wyszukane, a palce i dłonie niezręczne, niegodne.

Po niéj idzie Apollo Medycejski, mniéj znany, młodziuchny, piękny, chłopak pieszczoch, artysta, bożek, pełen zniewieściałego wdzięku, grać mu na lutni, ale nie słońcem kierować. Świeciłby tylko wybranym. Dziwny z nim kontrast demokratyczny, jeśli się tak powiedzieć godzi, stanowi *l'Arrotino* (le Remouleur).

Ten dziki barbarzyniec, to Scyta, to nasz brat od północy, gdzie Herodotowe śniegi świat zaciemniają; po co ostrzy nóż? nie wiem. Przykląkł, pochylił się niewolnik, a głowę podnosi charakterystyczną, energią nacechowaną, to rodzony brat rzymskiego gladyatora, i nasz. Rysy to nie Greka, nie Rzymianina, ale barbarzyńcy, który ma po nich panować, jak zawsze zniewieściałym cywilizacyom zapanowywała siła zwierzęca.

Oto daléj dwaj gladyatorowie, przepyszna grupa, w któréj sztuka starożytna, pełna spokoju i majestatu, usiłowała być i stała się szlachetnie dramatyczną. Patrzcie na nich, a zobaczycie oprócz téj zaciętéj walki dwóch wyrzutków społeczeństwa rzymskiego, popisujących się siłą pięści i sztuką morderczą, cały cyrk, arenę, Cezara w trybunie, velum rozpięte i piasek zbroczony krwią, i tysiące głów na stopniach teatru, poklaskującycb zwycięscy.

Dość tego, oto nam Faun tańcuje, jesteśmy w gajach rozkosznych, gdzieś nad partenopejskim kraterem, strumień srebrny szemrze, drzewa szumią, Faun tańcuje! z jaką lekkością, wdziękiem, ruchem swobodnym. Któżby odgadł, że temu bóstwu leśnemu Michał Anioł dorobił twarz i ręce?... Nie wiem już co droższe, marmur czy restauracya.

Dokoła po ścianach rozpościera się szereg arcydzieł, do których cośby może dodać można, a! i cośby z nich ująć należało! tam nawet gdzie wieki potwierdziły sąd wydany lekkomyślnie trochę lub namiętnie, pozwólmy sobie apellować od sądu wieków i konfirmacyi współczesnych—miejmy przekonanie własne, choćby dla siebie. Tuśmy w tym świecie sztuki swobodni.

Zacznijmy od starych mistrzów, oto Perugina znana Matka Boska ze ś. Sebastyanem i Janem Chrzcicielem. Malarz doszedł w tym obrazie do najwyższego stopnia ideału, jaki poścignąć był w stanie, wszystko w nim prześliczne. Ś. Jan pełen wyrazu, kształty przecudne, spokój Chrystusów nad niemi leci. Ś. Sebastyan zapominać się zdaje swéj boleści w zachwycie ubłogosławienia. Wykonanie jest nieco suche, ale jakże za to płaci duch, co owiewa to płótno! Nie potrzeba w tych starych mistrzach szukać wytężonych zabiegów o oryginalność, typ Matki Boskiéj je-

18*

den starczy im na życie, bo jest szczerym, bo jest pojęciem, widzeniem mistyczném, bo dwóch taki artysta na jednę ideę typów stworzyć nie mógł, jeden tylko doskonalił przez życie całe. Układ obrazu nie jest téż wyszukany, dokoła tronu, święci, tak zawsze, tradycya tak chce; światło i koloryt nie przesadne wcale, to dar godziny natchnienia. Przy takiém dobrowolném zaparciu się i ubóstwie co za bogactwo idei, jaka głębokość wyrazu!

Pod mistrzem zaczyna się szereg dzieł ucznia, których *Uffizi* i pałac Pitti dostarczają wielką rozmaitość. Nasi czytelnicy znają młodziana-malarza, jego życie i dzieła, mówić więc z niemi będziemy o nim jak o dobrym wspólnym naszym znajomym, ale naprzód dwa słowa, które nasz sąd zrozumialszym wam uczynią.

Rafael, jak wiecie, był uczniem Perugina starego; pierwsze jego dzieła są wierném odwzorowaniem prac natchnionych malarza pełnego wiary; życie, wdzięk, swoboda następnych rodzą się z téj piersi, w którą natura wlała gieniuszu płomię. Wzory starożytne, wpływy współczesnych z pobożnego, uczuciowego Rafaela wyrabiają wielkiego pogańskiego artystę, który tworzy typy dowolne, zachwycające, coraz nowe, wypełnia się, olbrzymieje, walczy z Michałem Aniołem i kończy ubóstwieniem cielesnéj piękności w Fornarinie. W dziele Rafaela jest cała historya malarstwa, czuć w nim Cimabuego i Giotta przez Perugina, czuć w końcu przekwitłą szkołę efektów i maniery, w którą jego następcy wpaść mieli. Na dowód proszę zestawić Sposalizio z Madoną di Foligno i historyą Psychy. Młody a niespracowany Rafael ma w sobie tyle potęgi, że trzykroć i czterykroć coraz się nowym staje, dopełnia, przeradza, odmienia. Naszém jednak zdaniem, gdy został największym artystą, był już najmniéj poetą i wieszczem. Myśl to zresztą, którą i inni jego wielbiciele posiadają. Nigdy nie był on malarzem większym jak w Transfiguracyi, lecz te cudne postacie tak umiejętnie zestawione, mająż tego ducha promieniejącego, jaki lśniał z pierwszych prac ucznia Perugina? Szereg dzieł Rafaela traf rozpoczyna się od portretu uchodzącego za Fornarinę, za tę piękną piekarkę, któréj miłość życiem miał przypłacić.

Tak, to ona, ale jest wielce wątpliwém, czy wizerunek ten jego ręki. Jest to silna i zdrowa dziewczyna, od któréj bije falą życie zwierzęce, chuć dzika i namiętna, ale na czole myśli żadnéj, ale serce śpi. Rafael mógł użyć ją za wzór do obrazu, nie byłby malował tego portretu, zwłaszcza po cudnym Magdaleny Doni, który spotkamy zaraz. Technicznie nie jest to jego maniera. Nosi rok 1512. Przypuszczano już, że to malował Sebastyan del Piombo z rysunku Michała Anioła, jabym sobie pozwolił wnieść, że prawdopodobniéj Giulio Romano. Spojrzawszy w górę na fa-

milię świętą jego roboty, łatwiéj przypuścić, że ta Fornarina jemu przynależy niż Rafaelowi. Portret to śliczny, silny, pełen krwi i życia, ale próżen czucia i ducha, zmęczona i trochę znudzona bachantka.

Dla lepszego przekonania dosyć zestawić portret w tymże szeregu znajdujący się Magdaleny Doni z r. 1505, dzieło niezaprzeczone mistrza, nieco suchy, bezbarwny bojaźliwie, ale z niezmierną wykonany troskliwością. Oto twarz godna jego pędzla, i duch z niéj promienieje własny przez niego w rysy smętnie, idealnie nadobne.

Jest to kobieta *jeszcze* piękna, czysta, święta, taką, jaką ideał Rafaela wyobrazić sobie można. Mówią, że z niéj brał wzór do cudownych Madon swoich, jabym powiedział, że na nią rzucił promień, którym swe Madony ozłacał.

Tuż po Fornarinie następuje przyznawana Rafaelowi Familia Święta, zwana Madoną *del Pozzo* (od studni w głębi obrazu). Z ducha, kolorytu i ciała, raczéj-by ją jednemu z uczniów jego przypisać należało. Passavant przyznaje ją *Franciabigio*, ale to wielkiéj ulega wątpliwości.

Daléj idzie święty Jan na puszczy znany z kilku powtórzeń (jedno z nich ze zbioru marszałka Soult'a było własnością d-ra Wolffa w Warszawie). Śliczny to obraz pustelnika dziecięcia wśród dzikiéj okolicy. Niéma wątpliwości, że jest oryginałem Rafaela, szkoda, że to arcydzieło harmonii ściemniało w tle, i jasna postać młodziana zbyt z niego ostro wychodzi.

I jeszcze, jedna z najpiękniejszych madon jego zwana *del Cardellino* (od szczygła, który święty Jan podaje dziecięciu Jezus). Przecudne to dzieło, w którém czuć jeszcze dawne religijne natchnienie. Madona ma wyraz czystości i dziewictwa peruginowski, dziecię jest bożém dziecięciem, św. Jan podający mu szczygiełka śliczny. Chrystus nie zdaje się nim bawić, ale podniósł rączki, a ptasze, choć prawie swobodne, nie ulatuje, poczuwszy w nim Pana. Twarz N. Panny przypominająca *la belle Jardinière* uderza zbyt może długim owalem, koloryt jasny i ciepły. Obraz ten zniszczony był trzęsieniem ziemi w pałacu Nazi w 1548 r., ale dobyto go z gruzów i sklejono.

Na ostatek przychodzi portret Juliusza II poważny, silnego kolorytu (do czego i sukni barwa zmuszała). Twarz wystudyowana wybornie i pełna prawdy, czuć w niéj niezmierne jéj podobieństwo. Arcydzieło ze wszech względów.

Obrazy Cranach'a i Dürer'a (Adam i Ewa, figury pojedyncze i Trzej Królowie) obok staréj szkoły włoskiéj biją ostrym realizmem; zstępujem na ziemię. Jako malowania są znakomite, ale

cały późniejszy realistyczny kierunek szkół giermańskich przez nie patrzy. Włosi ideał sprowadzają na ziemię, Niemcy ziemię chcieliby podnieść do ideału.

Jest w Trybunie i kilka Tycyana obrazów, ale nie podzielamy o nich zdania ogółu, nie są to arcydzieła mistrza. Wielbią tu na słowo przybywający dwie Wenery, jednę z pieskiem, drugą z Amorkiem. Pierwsza jest blada, brak jéj modelowania i wypukłości, prócz nagości swéj nie uderza niczém, wolałbym na jéj miejscu widzieć jeden z Tycyanowskich portretów. Ładne dziewczę, bezwstydne, zasłaniające się jakby na żart, nic więcéj. Druga figura podobna, cieplejsza, ta którą Amor ściska za szyję, jest godniejszą Tycyana, ale kolorytem tylko, wdzięku i rysunku jéj braknie.

U dołu naprzeciw Rafaela jest dość wielki obraz Michała Anioła, Familia święta, przynajmniéj dziwny zamaszystością, surowością, rzekłbym poufałością, z jaką artysta ten przedmiot traktował. Na przodzie Matka Boska, postać wymęczona, przez ramię podaje Dziecię Jezus św. Józefowi. Na drugim planie figury, których związek z pierwszemi niełatwo się odgaduje. Rysunek szukany, zawikłany, koloryt mdły i zblakły, całość osobliwsza na gieniusz tak potężny.

Wiemy, jak Michał Anioł lekko się odzywał o obrazach mniejszych rozmiarów i malarstwie olejném, które miał za rzecz kobiecą i podrzędną, jemu potrzeba było ciosać Mojżesza, lub w Sykstynie stawić proroki i sybille. Obraz dowodzi, że rzecz ta nie była jego powołaniem.

Św. Piotr pod krzyżem Lanfranca, długie figury familii świętéj Parmigianina mijamy, Mantegni starego jest tu deska z kilką obrazkami pięknemi, jakby karta z rękopismu wydarta, on jeden dawniejszą szkołę godnie przedstawia. Otóż i Rafael florencki miękki, miły, słodki, ale pozbawiony energii choć pełen wdzięku, Andrea del Sarto z prześlicznym obrazkiem w swoim rodzaju wystawującym rodzinę świętą, ewangielistę Jana i św. Franciszka. Miękkość, harmonia linij, wyraz twarzy pociągają, ale w starych obrazach więcéj jest prawdy duchowéj, tu coś umówionego, chłodnego, wdzięk Rafaela przechodzi we wdzięczenie się. Obraz wszakże znakomity.

Otóż i *Corregio*, głowa św. Jana na półmisku, blada, straszna śmiercią; a za nim *Luiniego* Herodyada, obraz wykończony, słodki, w którym kat jeden wyraża okropność sceny. Inne postacie są mdłe, oprawca do zbytku straszny; talent Luiniego nie mógł podołać scenie okrucieństwa.

Przecież i portret Tycyana przepyszny kardynała Beccadelli,

nieco tylko ciemny. Nie liczmy, w głowie się nam pomiesza, wybierajmy.

Fra Bartolomeo dwie postacie olbrzymie, Hiob i Izajasz, wstrzymują, pierwszy to prawie obraz spotykamy tego wielkiego artysty, a godzien zająć miejsce w Trybunie. Znaleźlibyśmy i Rubensa, który ginie wszakże wśród mistrzów, ze swą tęczową paletą. Bądź-co-bądź królem w Trybunie, Rafael, choć dzieła jego należałoby wypełnić tém, co się znajduje w pałacu Pitti, nikt tu z nim walczyć nie może. Dodałbym z innych sal zbioru, Fra Angelico M. Boskę, Tycyana Florę (zamiast Wenus z pieskiem), pejzaż Rembrandt'a i głowę Leonarda da Vinci. Ująć-by można przynajmniéj parę.

W pozostałych salach nagromadzono mnóstwo obrazów szkoły toskańskiéj i wszystkich innych, ale obce są mniéj dobrze reprezentowane. Szkoła wenecka wieleby potrzebowała, aby się w pełni przedstawić, są tu jéj próby, niéma arcydzieł. Wspomnieć można Florę Tycyana i św. Katarzynę, Palmy młodszego św. Małgorzatę idącą naprzeciw smoka z nieustraszoną odwagą męczeńską. Belliniego w zbiorze portretów jest wizerunek ciekawy, twarz poważna, pełna, włos jasny jeszcze, w dwa pukle z obu stron twarzy zebrany, pod czarną czapeczką. Oblicze wyraża spokój i siłę, jaką daje wiara.

Wymienim jeszcze z nieco dawniejszych dzieł Mariotta Albertinelli Florentczyka (1512) powitanie św. Elżbiety. Dwie tylko figury, niezmiernie prosto ułożone, obie twarze widziane z profilu, ale szlachetność i prostota rysunku, naturalność postaci, typy fizyognomij, skromność wykonania zalecają ten obraz.

Jakóba Chimenti z Empoli (1640) mało znanego artysty spotykamy arcydzieło, jest to św. Iwo siedzący, który czyta z karty instytucyę swoję przed wielą zgromadzonemi. Układ obrazu, wykonanie, koloryt, wyraz oblicza św. Iwona, który nad tłumem przekonaniem i siłą wewnętrzną panuje, wielkiego dowodzą malarza. Jest tu jego piękny portret.

Bronzina Chrystus wyprowadzający dusze z otchłani, przepyszny techniką, harmonią i rysunkiem.

Sodomy św. Sebastyan mógłby prawie przejść do Trybuny, jeśli św. Katarzyny z Sienny przewieść tu niepodobna. Św. Sebastyan prześliczny. W twarzy jego młodzieńczéj dziwny wyraz smutku i cichéj boleści. Anioł lecący ponad nim bardzo piękny, całość do najlepszych jego dzieł należy.

Ale przestańmy, notat nam nie braknie, powstrzymuje uwaga, że z pochwał tych i krytyk bez porównania ich z przedmiotem, niewiele skorzystać można.

Ze szkół niemieckich i flamandzkiéj ledwie coś uderzającego się znajdzie, niższość ich ogólna obok włoskich wydatnieje, poezya z epopei schodzi w nich na przedmieściową sielankę.

Nic tu nie pomogą koloryt, czary światło-cienia, jaskrawe barwy i wykonanie mikroskopowe, zawsze powtórzym jeszcze, wszystko to czuć ziemią. W niebardzo foremnéj bizanckiéj M. Boskiéj Cimabuego więcéj jest ducha i świętości, niż we wszystkich Rubensa i Van Dyck'a. Niekiedy portret kobiecy którego z nich, coś poetycznego, nadziemskiego ma w sobie, ale za to obraz religijny trąci wzorem, z którego powstał. Silniejszy był prototyp nad malarza, zwyciężył go w obu razach. Gdy Rafael z Fornariny jeszcze umié zrobić świętą, Rubens z Flamandki jasnowłoséj, czystéj i pobożnéj niewiasty, robi ci lubieżnicę rozrosłą w mięsa soczyste. Tu jeszcze panuje duch, tam zawsze przewodzi rzeczywistość. W Cranach'u przeczuwa się Lutra i reformę.

Gdy się malarstwo włoskie namiętnością obłąka, to tak jak duch religijny narodu, przejdzie ono w jakiegoś Savonarolę namiętnego, ale nie w prozaicznego Lutra, który lubi kobiety, wino i śpiewki, a dyabłu kałamarzem w łeb, gdy przyjdzie. Gdy mięknie, włoska sztuka ulatuje w obłoki, rozpustuje z poetycznym szałem. Niemcy, zacząwszy od karykatury, kończą na archaicznem naśladownictwie. Najpiękniejsza madona niemiecka (darujcie) mogłaby być kucharką u N. Panny *del Verde*, u matki *del Cardellino*.

Ale dość gadaniny, stajemy zdumieni przed krajobrazem Rembrandt'a. Większego gieniuszu dowodzi ten obraz niż niejeden portret jego.

Za czasów Rembrandt'a inaczéj pojmowano zadanie pejzażu, idealizowano do zbytku naturę, czyniono z niéj dekoracyę misternie ułożoną, zapełniano go figurami, szukano kontrastów, budowano z żywiołów rozlicznych, nie dowierzając, aby natura mogła bez tych przygotowań być piękną. Mistrz pojął to inaczéj, odgadł, czém krajobraz ma być za lat dwieście, gdy rzeczywistość zapanuje wszędzie i wszystkiemu. Płótno to zczerniałe jest przepyszne. Kawałek nieba w części przyćmionego chmurą, na oddalonym planie miasto w górach, na pierwszym nic prócz odartych nagich skał i gliniastego brzegu, wśród nich trochę chwastu się kołysze. Ale jakże to pochwycone, jak malowane, co za głębia oddalenia, jaka energia w bliższych przedmiotach!

Figury żadnéj, pustka głucha, dzika, straszna, przerażająca samotnością, porą, kolorytem. Rembrandt w tym obrazie jest ojcem nowéj szkoły pejzażystów, trzeźwością kompozycyi, oszczędnością środków, wstrzemięźliwością pomysłu, a ogromnym efektem bez wysilenia. Obok wiszące krajobrazy Claude Lorrain'a, teatralne,

wymuszone, z mnóstwem wód, skał, budowli, okrętów, ludzi, zimno wyglądają. Ten krajobraz Rembrandt'a jest niezrównany.

Potwierdza on do pewnego stopnia to, cośmy o charakterze sztuki giermańskiéj wogóle powiedzieli, góruje w niéj pojęcie rzeczywistości.

Spojrzcie jeszcze na tę rzadkiéj piękności głowę starca, który wskazuje trupią czaszkę, to Quintyn Metsis, co za koloryt, jaka prawda!

W Paryżu trafiło mi się spotkać rodaka artystę, który w galeryi Luwru pracował nad kopią z Rembrandt'a *ćwiartki cielęciny!* Niestety! po to przybył z Polski! Tu, mając obok Rafaela, uczniowie kopiują Gerard Dow'a i Van der Werf'a porcelanowe miniaturki. Fra Angelica tylko dla Anglików handlarze przerabiać każą.

Już nic nie powiem o rzeźbie starożytnéj; zestawienie jéj wszakże z nowszą średniowieczną i współczesną daje uczuć całe lat tysiące dzielące dwie epoki. Naśladowanie próżno się sili sprostać idealności pomysłów, szlachetności rysunku, smakowi instynktowemu nauczycieli. W restaurowanym marmurze nieco wprawniejsze oko poznaje zaraz łaty nowe. Patrząc na posągi stare, rzekłbyś cienie z grobu wywołane jakiegoś ludu, który ziemię opuścił, poważne, spokojne, dziecinnie czyste. Obok nasze dzieła sztuki wydają się wymuszone, nagość w nich razi, czuć namiętność, niewinności lat tamtych nie mamy, potrzebaby liści figowych.

Z jednych wzorów natury czerpiąc, oni zebrali z niéj ideał, my z niéj bierzemy prawdę, i to nie oczyszczoną z plewy; dzieje się w końcu, że ich kłamstwa są rzeczywistsze niż nasza prawdziwość.

Prześliczne te wzory stare wystawione na widok publiczny, nie dziw, że wykształcają smak, że tu sztuka kwitnie, gdzie prosty lud nawet nazwyczaja się patrzéć, rozróżniać, szukać piękna. Galerye Uffizi zawsze są pełne nie samych tylko Anglików wędrownych i uczonych Niemców i próżnujących Polaków, lud prosty idzie tu, chodzi, patrzy, uczy się; wieśniacy z żonami i dziećmi godziny spędzają po salach. Nie odrazu tam każdy coś zobaczy i rozezna, ale wrażenia zostają, wyrabia się smak, zdumiewasz się potém, gdy prosty custode w kościołku pokazując ci freski i rzeźby, znajduje punkt do ich oglądania najlepszy, lub trafnie bardzo oceni ich zalety.

W kilku gabinetach mieszczą się ułamki rzeźby toskańskiéj; jest jedna Benedetto de Rovezzano wystawująca sceny z żywota św. Jana Gwalberta, szczególniéj święty odpędzający szatana krzyżem pełen prawdy i życia. Zakonnik stary zakrywający sobie

oczy przed straszliwém widziadłem, święty, co je zaklina mężnie, sam szatan wybornie pojęty.

Luca *della Robbia* nie darmo tak wielkiéj używa sławy, oto śpiewające jego aniołki, zdaje ci się, że słyszysz je, że pieśń ich się odezwie.

A niełatwo też z gliny modelować, aby potém polewa, choćby najposłuszniejsza, odjęła rzeźbie całą jéj delikatność, pokrywając szklistą skorupę. Przecież della Robbia wykonał tym sposobem rzeczy niezmiernéj delikatności i wdzięku.

Tu spotykamy jeszcze oblicze Matki Bożéj Antonio Rosselino (1459) prześliczne, przypominające lepszych malarzów epoki; i Matteo Civitali (1501) kobiety czczące P. N. Sakrament. Jest to wdzięczne jak obraz Fra Angelico.

Otóż popiersie wielkiego Macchiavelli, przeciw któremu we Florencyi słówka pisnąć nie można, jest to jedna z illustracyj toskańskich. Twarz to człowieka rozumnego, chłodnego, surowego, niezbłaganego jak teorya; czujesz, że w nim nie mieszkało natchnienie, że się wyzwolił z uczucia, że się kierował rozumem tylko. Rysy to myśli pełne, ale nie sympatyczne. Pierwszy, co światu wypowiedział cynicznie, że w polityce prawa ogólnéj moralności nic nie znaczą, że je pominąć można i gwałcić należy, *pro publico bono*, wielu obłędów był ojcem. Niech mu to będzie przebaczoném, ale zapomnianém być nie może.

Jeszcze i jeszcze przechodzimy te sale po raz drugi i trzeci, zawsze coś znajdując nowego i godnego zastanowienia. Zachodzim do sali Nioby i jéj dzieci, tragiedya starożytna w marmur wcielona, co za piękne kształty, a jak zimne, gdy zapragnęły wyrażać namiętność, któréj rzeźba dawna długo się strzegła i wstręt ku niéj czuła. Napróżno szukam tu odblasku greckiéj sztuki w chwili gdy wyrażała to, co marmur najlepiéj wydać potrafi, majestat, spokój, skamieniały ideał piękna. Boleść i uświęcenie boleści należały innéj epoce. Naówczas jeszcze panowało owo pogańskie *vae victis*, i Chrystus nie wyrzekł był: — Błogosławieni, co cierpią. — Sztuka też gdy się porywała na to zadanie wyidealizowania boleści, nie mogła pochwycić strony jéj świętéj i wielkiéj, rezygnacyi. Wszystkie te postacie walczą jeszcze, choć fatalnie na pomstę skazane. Nie czujemy wobec nieszczęsnéj rodziny tego współczucia, jakie rodzi spokojne męczeństwo. Ta matka boleści jest to lwica broniąca swych dzieci.

Ale wyczerpać wszystko, co się do myśli ciśnie na widok tych skarbów, niepodobna, żyje się pobudzoném życiem, które piersi zalewa. Otóż sławna Urna Medycejska, dzik grecki, dwa psy u drzwi, wyjdźmy.

Klemrod wstrzymuje, wskazując Bachusa Michała Anioła, ani wesół, ani miły, czekajmy na Mojżesza i Sykstynę, aby poznać Buonarottego, a choćby na Medycejskie grobowce. Posągi Sansovina i Donatella nawet sucho i ubogo wyglądają przy antykach, wyjąwszy tego Davida (Donatello) pełnego młodości, siły i wiary w siebie. A! tak wygląda młodość uśmiechająca się walce.

Mijamy kopię Laokoona przez Bandinellego, bo oryginał spodziewamy się podziwiać w Rzymie, mijamy bardzo pięknego Hermafrodyta, prześlicznych kształtów, w pozycyi naturalnéj a nowéj, przepyszny tors Fauna i w gabinecie bronzów wstrzymujemy się ledwie przed oratorem przepysznym, figurą z jeziora Trazymene dobytą, wątpliwego znaczenia, ale znakomitéj piękności, mijamy głowę konia wystudyowaną z natury, któréj muskuły i żyły przeglądają przez marmur, i Chimerę etruską pomysł fantazyi wielkiéj. Bronzy potrzeba widziéć w Neapolu, tam ich stolica.

W małéj szafeczce jest zbiór rzeźb średniowiecznych, patyny Finiguerry, które wynalazły sztych (niestety, zrobił to przypadek, jak chusta mokra z litografią), rzeźby drobne. Merkury Gianbolognii, biust Medyceusza Celliniego, wzór mały Perseusza, urna prześliczna na relikwie naszego św. Jacka, tarcza i hełm Franciszka I Celliniego, przecudownego wykończenia i smakownéj ornamentacyi, piękna nadgrobna figura Vecchietego wystawująca zmarłego Maryana Socyna z Sienny, pełna wyrazu.

Dość wreszcie, trzeba wyjść, aby ocalić wrażenie otrzymane od arcydzieł, wrócimy tu i nieraz jeszcze. Dziś woła nas nieznane, lub jedno z najmniéj znanych dzieł Rafaela, Wieczerza. Po Cacnaculum Leonarda porównanie dwóch kompozycyj jest najwyższego interesu. Rzucamy więc *Uffizi* i śpieszym na ulicę Foligno (lub Faenza N. 1771).

Fresk mistrza z Urbino niezbyt dawno został odkryty w refektarzu zakonnic przy kościele San Onofrio. Rafael stworzył go mając lat dwadzieścia i dwa w r. 1505. Klasztor zakonnic został skasowany, klauzura jego zniesiona i w pierwszéj chwili gdy Wieczerzę oglądać mogli znawcy, powszechnym głosem przyznano ją Peruginowi.

Wprawdzie więcéj w niéj życia i swobody było niż w dziełach tego mistrza, coś miększego i mniéj surowego, i głosy niektóre przebąkiwały o Rafaelu, ale że Vasari nic o tym fresku nie wspomniał, a Vasari jest powagą wielką, odrzucono to przypuszczenie, jako zbyt śmiałe.

W roku 1845 przypadkowo na szlaku sukni świętego To-

masza z prawéj strony obrazu wyczytano wyrazy: Rapl. V. R. S. *).

Z gorączką ciekawości jedziemy na ulicę Foligno, zaledwieśmy ją wspomnieli, woźnica odgadł natychmiast, że szło o Wieczerzę Rafaela u S. Onofrio. Stajemy przed drzwiami domu, który od suprymowania klasztoru należy do rządu i bardzo jest porządnie utrzymywany. Pukamy, otwierają, wchodzimy, sień i korytarze już nieco muzealnie wyglądają, niestety, i tu pod bokiem Urbinata schroniły się już jakieś szczątki pragnąc być widziane. Ale to tylko egipskie zdobycze jakiegoś podróżnego, za szkłem pełno papirusów,.. do refektarza.

Dawny refektarz u ścisłéj reguły zakonnic nie dziw, że mógł być całe przez długie lata światu nieznanym, mógł go i Vasari nie widzieć i o nim nie wiedzieć, dosyć jest spojrzéć na ścianę, aby młodzieńca mistrza poznać i uznać.

Fresk jest wybornie zachowany, choć kolorytu niezbyt świeżego, zajmuje on całą jednę ścianę na lewo od wnijścia, oświeconą oknami od prawéj, zasklepienie półkuliste w górze nadaje jéj kształt wdzięcznie zaokrąglony.

Malarz pojął zadanie w sposób jak najprostszy. Zdaje się, że studyował tradycyę i widział Wieczerze Giotta w klasztorze S. Croce; rozsadził swe postacie szczęśliwie, łatwo, a całą siłę wlał w oblicza uczestników św. Wieczerzy. Za stołem, który się w obu końcach zagina w podkowę, przez co malarz uniknął jednostajności linii prostéj, w pośrodku siedzi Chrystus, z obu jego stron uczniowie, w głębi przez ozdobne pilastry widać góry i Chrystusa na niéj (Ogrojec oliwny), któremu anioł podaje kielich goryczy. Epizod ten w wielkiém oddaleniu, mglisty, na to jest tylko tam umieszczony, aby przypomniał, że ta spokojna uczta pożegnalna poprzedza gotujące się już męczeństwo.

Prawie jak u Giotta, u Rafaela rozsadzone są i niepowiązane z sobą postacie, każda osobno, nieco rozproszone, na pierwszy rzut oka wydaje się zbyt sucho ten stół tak systematycznie objęty w porządku siedzącemi figurami. Obok królującego Chrystusa św. Jan złożył głowę przy łonie mistrza, ale na stole samym. Postać ta zakreślona z wielkim wdziękiem, a przerwa, jaką pochylenie jéj czyni w rzędzie figur, użytą została przez malarza (na wzór Giotta) do umieszczenia Judasza.

Judasz odosobniony już siedzi sam z téj strony stołu, od widzów,

*) Sull' alfresco di Rafaello d'Urbino, lettera di P. T. all' Avv. Onorato Mochi, z Giorn. del Commercio. 1845—46 pp.

wyłączony lub wyłączający się od uczty, niespokojny, napiętnowany. Głowa jego wychodzi ponad leżącą Jana głowę obok prawie Chrystusa, dla wywołania tém silniejszego kontrastu. Ale Judasz nie patrzy na Pana, nie zdaje się słuchać słowa proroczego, które zgrozą przejmuje wszystkich, udaje, że nie słyszy może, patrzy gdzieindziéj, kłamie sobą. Twarz jego pospolita, nietylko, że niéma w niéj przesady, ale Rafael nie mógł się zebrać na wybitne nacechowanie jéj zbrodnią. Jest gminna, pełna buty i namiętności, może za mało charakterystyczna. Człowiek raczéj zwyczajny, ułomny, niżeli typ przeniewierstwa i zdrady. Za to począwszy od pięknéj głowy Chrystusa, apostołowie pojedyńczy i jako typy i jako rozmaitość ruchów, są pomyślani bardzo szczęśliwie. Niektóre z głów tych promienieją anielstwem.

W Wieczerzy Leonarda już słowo Chrystusa zrodziło burzę, tu wielki jeszcze spokój panuje, z zadziwieniem jakiémś przyjmują je uczniowie, jakby uszom swoim wierzyć nie mogli.

Z przeciwnéj strony za Chrystusem (z jednéj leży Jan) siedzi święty Piotr, nieco poruszony wyrzeczoném słowem, spoglądając na Judasza i podnosząc nóż, który trzyma w ręku; św. Bartłomiej krający na talerzu, głowę podjął, św. Andrzej obraca się i szukać zdaje zdrajcy zapowiedzianego; św. Tomasz niedowierzający zawsze, jak słusznie zauważono, nalewa wino z pełném naturalności poruszeniem, twarz św. Jakóba i kilku uczniów młodych pełne są Rafaelowskiego wdzięku. W obliczu Jakóba (minor), w lewo na rogu chciano upatrzyć portret samego Rafaela. Mimo uroczystości téj sceny dramatycznéj, uczeń Perugina nie śmiał, nie chciał doprowadzić jéj do wybuchu namiętnego, słowo Chrystusa ledwie z ust jego zeszło, spokój wielki jak przed burzą. Urok kompozycyi niezmierny. Jest to Rafael już w drugiém przeobrażeniu swém, pan siebie a jeszcze przepełniony tchnieniem mistrza, Rafael Magdaleny Strozzi (Doni) a nie Fornariny. Ci młodzi apostołowie rozpromienieni, cisi, łagodni, jakże są idealni, Chrystusa oblicze, jak razem wspaniałe i smętne całą boleścią wieków, którą siła boża łagodzi! Wpatrzywszy się w Wieczerzę, niepodobna wątpić o jéj pochodzeniu; nowy skarb przybył Florencyi i małpiarstwo tylko a bezmyślność ludzka może go lekceważyć, dlatego, że od dwóchset lat o nim milczano. Nic lepiéj nie przekonywa o braku sądu wogóle nad losy Wieczerzy; potrzeba jéj było potwierdzenia Vasarego, rozgłosu, gotowéj aureoli, aby się tym znawcom, co sami sądzić o rzeczach sztuki nie mogą, wydała tak, jak jest wistocie piękną. Arystarchowie obawiając się skompromitować, wolą milczéć i nie chwalić, zostawując zapały i uwielbienia dla uznanych i patentowanych cudów, z któremi czują się bezpieczniejsi! Nigdzie przecież lepiéj nie można i rozważniéj ocenić takiego utworu

jak tutaj. Florencya stawi do porównania dwie Wieczerze, jakby naumyślnie dobrane, jednę poprzedzającą rozkwit malarstwa Giottowską, drugą późniejszą nad Rafaela, Andrzeja del Sarto. Studyum może być pełne, ale zamiast głębszego zbadania woleli się pół-znawcy, kompilujący swe uwielbienia w gotowych manuałach, zasłonić milczeniem Vasarego. W saméj Florencyi znaleźliśmy dosyć obojętnych dla téj cudnéj karty młodzieńca a mistrza, obcy wszakże a uczciwi i szczerzy ludzie nie pojmowali tego chłodu.

Starano się na wytłómaczenie go podać w wątpliwość autentyczność—ale ta i bez podpisu jest bijącą w oczy.

Po galeryi Uffizi, po wieczerniku Rafaela godziło się oczy zamknąć i posiedzieć w milczeniu, rozważając, co się widziało, starczyło przedmiotu do rozmyślań; ale któż z podróżnych nie doświadczył gorączki, którą jeszcze podbudzają przewodnicy i tłómacze miejscowi?

Usilnie zaczęto nas namawiać, aby jechać do św. Marka, w którym żył i najcelniejsze pozostawił dzieło Fra Angelico; nie umieliśmy się oprzéć, pokusa była zbyt wielka. Oprócz anioła-malarza, tu żył Fra Bartolomeo, stąd wyszedł Savonarola, klasztor był pełen wspomnień; pojechaliśmy.

W staréj budowie klasztoru i kościoła powierzchownie nic już wieku ich nie przypomina. W r. 1230 stała tu kapliczka zakonników z Vallombrosa, pod imieniem św. Marka; w 1290 r. objęli ją mnisi reguły św. Sylwestra. Gdy tych wypędzono z miasta dla nadużyć, w 1430 r. mury po nich oddano dominikanom, a Kozmas Medyceusz powiększył je i odbudował na nowo, wedle rysunku Michelozzi. Facyata sama z 1780 r. odnowiona nic nie obiecuje. Otwarto nam kościół naprzód, w którym właśnie czyniono przygotowania do jakiegoś wspaniałego pogrzebu; w pośrodku wznosił się olbrzymi katafalk, braciszkowie i słudzy uwijali się z zasłonami, lichtarzami, przybory rozmaitemi; niepodobna było oglądać ołtarzów, w których różnych epok i wartości na pierwszy rzut oka spostrzegliśmy obrazy i freski, bo jeden nawet przypisywany Giottowi. Szczęściem grzeczny Frate ofiarował się pokazać nam klasztor, nierównie ciekawszy od kościoła.

Poszliśmy naprzód do wielkiego fresku w kapitularzu, Ukrzyżowania, o którém już wspomniałem. Znany on jest nietylko z księgi wydanéj, która zawiera wszystkie obrazy Angelico u św. Marka, ale z chromolitografii w dziele *Le Moyen Age et la Renaissance*. Powtórzenia te nie dają wyobrażenia o cudnych szczegółach natchnionéj téj karty. Twarz Chrystusa jest nieco uszkodzona, w prawo klęczącéj postaci św. Hieronima, głowy jego mógłby Rafael pozazdrościć. Matka Boska omdlewająca z rozpaczy, niewiasty,

święci są wyrazu, jakiego nikt może nie doścignął. Freski świętego malarza rozproszone są po celach, korytarzach, salkach, wszędzie zdaje się, gdzie natchnienie schwytało go, gdzie się wymodlić malując zapragnął. Niektóre z nich najdziwniéj rzucone są gdzieś z boku na ścianie, bez obrachowania, bez pretensyi, na to tylko, aby pobudzały zakonników do pobożności. W korytarzu jest jeden krucyfiks śliczny, którego stopy obejmuje św. Dominik. Zaraz w drugim Zwiastowanie, złożone z dwóch figur anielskich. Anioł przyklękający przed Matką Bożą, dziewica przestraszona, wylękła, upokorzona łaską nieba, niezrównane. Daléj M. Boska na tronie otoczona świętemi, z dziecięciem, w którém widać pana świata, pełnego majestatu i potęgi. Świętych figury często powtarzane przez Fra Angelico, są: Piotr pustelnik, Tomasz z Akwinu, Jan, Kozmas i Damian. W ciemnéj celi, zapewne późniéj zamurowanéj tak, że światło nie dochodzi, w któréj Medyceusz zwykł był odpoczywać, jest bogata kompozycya, przypominająca władcy ziemskiemu, że siła jego przed Bogiem korzyć się powinna, trzéj królowie przynoszący dary narodzonemu panu świata.

Głąb obrazu (który dziś w biały dzień potrzeba przy świecach oglądać) przedstawia górzystą Judeę, którą królowie przebyli. Betleemską grotę oznacza złom muru. N. Panna siedzi na siodle osiołka, leżącém na ziemi, przed nią klęczy jeden z królów, nie śmiejąc uścisnąć nóg Zbawiciela, dar jego trzyma św. Józef. Inny ma w ręku sferę oznaczającą naukę, która ich wiodła, dwóch konnych wpatruje się w gwiazdę przewodnią. Figury zdają się portretowane ze współczesnych, całość jest znakomitym obrazem, natchnionym może uroczystościami koncylium florenckiego, na które posłów od Wschodu przybyłych Fra Angelico oczyma własnemi oglądał. Cela ta dziś tak opuszczona, niegdyś ulubiona Kozmasowi Medyceuszowi, była także mieszkaniem papieża Eugieniusza IV, który kościół św. Marka poświęcał w r. 1442.

Wybór wśród tych obrazów, rzuconych po celkach, trudny; wszystkie są piękne i natchnione, wszystkie noszą na sobie charakter indywidualny świętości artysty. Koronacya N. Panny głowami Chrystusa i matki jego zachwyca, obie te postacie są w bieli. Angelico czuł, że szaty ziemskie apoteozie nie przystały.

Marye u grobu, prześliczny anioł siedzi na zrębie tumby i wskazuje niebo, w które uniósł się Chrystus. Magdalena ręką zasłaniając się od światła, sama zagląda w grób, u drzwi niewiasty z anielskiemi twarzami.

W krużgankach cztery naddrzwia, na jedném Chrystus jako pielgrzym przyjęty w klasztorze.

Przechodziliśmy w milczeniu część tę murów, którą okrywają

freski Angelico; mój towarzysz, sam artysta ale wielbiciel szkół nowszych, szedł podziwiać z pewną niewiarą starego świętego mistrza, ujrzałem go z pociechą nawróconym. Zapomniał o umiejętnych kompozycyach, o grze barw, o anatomiach i skurczach swych ukochanych Wenecyan i Flamandów.

Pobożny mnich odniósł zupełne zwycięstwo, niedowiarek się zachwycał nad nim jako nad artystą; coś tajemniczego dlań było w téj prostocie tak ogromne czyniące wrażenie, w tych obliczach nie z ziemskich wzorów pobranych, w złocistym, przejrzystym, jakby z wewnątrz oświeconym kolorycie, w niesłychanéj wyrazistości figur czystych, spokojnych, obudzających poszanowanie.

Miłośnik Weronezyusza i Tycyana czuł połamane swe teorye, wywrócone zasady, przemówiła doń wyższość ducha w skromnym starym mnichu, który płakał malując. Szczerze przyznawał wielką piękność obrazów, przed któremi teoryami trzeba się było schować, żadna z nich do miary tych wyjątkowych utworów nie przypadała. Jako malarza nie można sobie wytłómaczyć Fra Angelico, potrzeba z Vasarim, widzieć w nim świętego i natchnionego. Wiele z tych kart malowane być musiały w zachwyceniu nieprzytomném, które dawało siłę nieobrachowaną dla nas i niepojętą. Tylko w tak zupełném oderwaniu się od świata mógł malarz pojąć twarze niepokalane żadną namiętnością i już rajską szczęśliwością ubłogosławione. Można rzec, że malował ludzi nie takiemi, jakiemi są, ale jakiemi w nowe ciała przyobleczeni zmartwychpowstaną.

W milczeniu wyszliśmy z klasztoru, odprawili woźnicę i pieszo dumając, udaliśmy się do garkuchni na Borgo Ogni-Santi; Klemrod domagał się, aby nakarmiwszy ducha, i ciału dać należny posiłek.

Nimeśmy wszakże weszli do restauracyi, głód odszedł od skwaru, piekło nieznośnie, a słońce florenckie, drogie w zimie, stawało się dokuczliwém pod koniec czerwca. Pusto téż było wszędzie, a Lung Arno odpoczywało ze swemi hotelami, które podwójną ceną się płacą w innych roku miesiącach, a w lecie niezajęte stoją z pozapuszczanemi żaluzyami. Wszyscy, kto mógł, pouciekali na wieś, ulice były puste, miasto po wysiłku świętojańskim zdawało się odpoczywać. Nawet w Café Doney nie było nikogo.

Szczególnym trafem w restauracyi, do któréj dobiegliśmy znużeni i spotnieli, znalazł się choć jeden za stołem konsument, dający nam nadzieję, że i dla nas coś do zjedzenia się znajdzie. Był to mężczyzna lat średnich, twarzy nie pięknéj, ale oczów pełnych żywości i ognia. Strój, ruchy, zdradzały codzoziemca, jadł biedny i ziewał. Gdyśmy weszli, powiódł za nami oczyma ciekawie, a żeśmy w osobnéj izdebce obrali sobie miejsce, przeszedł

się parę razy pod jéj drzwiami, jakby nas chciał śledzić. Klemrod, dosyć nieufny z natury, znalazł w tém coś podejrzanego i postanowił miéć się na ostrożności.

Nieufność jego jeszcze wzrosła, gdy ze *Speranzą* w ręku, nasz nieznajomy za zupą wszedł do pokoju.

— Z języka wnoszę—rzekł po francusku, kłaniając się dość grzecznie—że panowie jak ja, jesteście cudzoziemcy i podróżni.

— Tak jest wistocie—odpowiedziałem.

— To mnie pociesza—zawołał, siadając nieopodal—przynajmniéj nie ja jeden zrobiłem to głupstwo, żem przyjechał do Florencyi, zwabiony jéj sławą i to jeszcze w miesiącu czerwcu, pod kanikulę.

— Gorąco bardzo!—odezwał się Julmo.

— To jeszcze nic—rzekł nieznajomy, w którym mogliśmy poznać Francuza—ale nudno.

— Sztuka i arcydzieła—rzekłem powoli.

— A! ja nie lubię sztuki—odparł Francuz—wszystko to głupstwo; nie bawi mnie, chciałem gdzieś wygodnie i cicho spędzić jakiś czas, zamarzyły mi się Włochy, ale reputacya ich jest wielce przesadzona. Żyć tu nie można.

Zamilkliśmy; cudzoziemiec mówił daléj:

— W ambasadzie śmieją się filuci. Denoix powiada, że się przyzwyczaję, P. de Virieux zakochany jest w swéj Florencyi, każą mi żyć Michałem Aniołem i Brunelleschim, sapristi! ale to są dodatki, a pierwsze warunki życia nieznośne, niemożliwe.

— Przyznam się panu — odpowiedziałem — że co do nas, jeszcześmy tak byli i jesteśmy zajęci sztuką i arcydziełami jéj, że na resztę nie zwróciliśmy uwagi.

— Ale to miejsce, w którém chyba starają się o to, aby cudzoziemców nie było—dodał Francuz—wystawcie sobie, przybywam do Livorno statkiem parowym, nudzą nas pod pozorem jakichś chorób, które z nami przybyć mogły, potém z paszportami, dwie godziny nie wypuszczają na ląd. Paszport mój nie był wizowany przez konsula toskańskiego, za pozwolenie wysiądzenia żądają ode mnie osiem pawłów! I jeszcze muszę wysiadłszy iść po wizę, dla podróży do Florencyi, na Piazza San Rocco. Zdawało mi się, że już przecie jestem bezpieczny. Przybywam, staję w hotelu *Royal* nad Arno, dają mi pokój, w którymby można upiec wołu, ale zarazem oznajmują, że jeśli chcę jakiś czas pozostać, muszę się starać o kartę pobytu kosztującą dwanaście pawłów i służącą tylko na dwa miesiące. Ponieważ mam z sobą służącego, na nieszczęście osobno za niego każą mi płacić 5 pawłów. Z tą kartą mam prawo podróżować, jak mówią, po całéj Toskanii

ale jeślibym gdzie, choćby zachorował i zabawił dłużéj nad dni dziesięć, dopłacam za wizę osiem pawłów. Obrachowaliśmy z p. Denoix, że familia, chcąca bawić we Florencyi, a mająca tylko parę sług obcych, musi za same paszporta i wizy zapłacić 10 francesconów rocznie.

— A! macie już panowie—przerwał—wyobrażenie ich monet? Wiecie co jest lira? sold? denar, quattrino, crazia i paweł? co zecchino, ruspone, francescone, scudo, fiorino i zwanzig? Niech ich porwą dyabli z monetami i paszportami! Umyślnie mnożą trudności, aby w mętnéj wodzie ryby łapać!

Smieliśmy się, a Francuz mówił daléj ze wzrastającym zapałem:

— Mając ochotę pozostać dłużéj we Florencyi, postanowiłem poszukać sobie mieszkania. Szczęściem w porę zaszedłem do panów du Fresne, do których miałem kredytywę, ostrzeżono mnie, abym we wszelkich układach z miejscowemi miał się na jak największéj baczności i o najmniejszą rzecz robił na piśmie kontrakty przy świadkach. A! ba! jesteśmy więc w lesie! A no tak! Nająłem mieszkanie wcale znośne *via Calzaioli*, ledwiem się osiedział, urzędnik policyjny przychodzi mnie spytać, jakie jest moje zatrudnienie? Z początku wyznaję nie zrozumiałem, wziąłem to za impertynencyą, ale szło o podatek! Wszyscy cudzoziemcy opłacają procent od zarobku. Ja, jako *rentier*, miałem płacić za to, że nic nie robię. *Va bene*! Służący, z którym przyjechałem, zakosztowawszy słodyczy florenckich, odprawia mi się, nie wielem się tém zmartwił, miałem już przyjąć nowego, gdy du Fresne mnie ostrzegł, że to wcale nie jest taka łatwa, ani tak mała sprawa, jak mi się zdawało... Ale ja panów nudzę.

— O! bynajmniéj—zawołałem—to są ciekawe szczegóły; choć z nich nie skorzystamy, bo we Florencyi bawić tak długo nie myślimy.

— Ani ja! ani ja!—przerwał Francuz —mam tego wszystkiego dosyć. Ale pozwólcie, bym dokończył; du Fresne mi powiada: jeżeli pan masz nająć mieszkanie, pamiętaj, że potrzeba je wypowiedzieć pół rokiem wprzód, inaczéj, za cały rok następny zmuszą cię zapłacić! *Sapristi!* trzeba miesięcznie się godzić, co piętnaście dni wypowiadać i kontrakta robić na piśmie, z tém, żeby jeszcze były przy świadkach, ojczyzna Machiavela! ojczyzna Machiavela! Z moim służącym umówiłem się, odprawiłem go, opłaciłem, pokwitowałem, licho nadało, że go Włosi złapali. Cóż myślicie? zrobił mi proces, musiałem mu za cały rok zapłacić. Ale to jeszcze nic. Du Fresne mnie tylko nastraszył, Sir George Lindal przera-

ził mnie. Oto jest jego przygoda. Sir Lindal mając przeszłą zimę przepędzić we Florencyi, najął miesięcznie kucharza. Nie mógł się nim nacieszyć, naprzód gotował wybornie, człowiek był cichy, miły, grzeczny, spokojny, najmniejszéj nigdy sprzeczki, żadnego sporu, ile mu dano na wydatki, starczyło zawsze. Pani Lindal, pan Lindal, dzieci, słudzy, nie mogli się poczciwego florentczyka odchwalić, karmił ich jak najlepiéj, bawił, służył, uśmiechał się, kłaniał. Zrobiono z nim umowę, że miał dom we wszystko zaopatrywać, kuchnia była wyborna, nic do zarzucenia. Na wiosnę Sir George wyjechać myślał do Neapolu, kilku dniami przedtém kucharz znika, jakiś nieznajomy przynosi paczkę papierów stęplowych państwu Lindal; nie mogą zrozumiéć, o co chodzi. Były to rachunki wszystkich kupców, którzy przez całą zimę na kredyt zaopatrywali kuchnię Sir Georga. Rachunki wynosiły kilka tysięcy pawłów. Ale kucharz dostawał co tydzień gotówką na wszystkie kupna w mieście, nieszczęściem kwitów od niego brać zaniechano, świadków nie było, a że prawo toskańskie nie przyjmuje świadectwa familii pana ani sług jego, po długich korowodach, musiał sir Lindal zapłacić wszystko i uciekł, przeklinając Florencyą.

Francuz to rzekłszy, począł się przechadzać żywo.

— Nie! nie!—zawołał—mieszkać tu może tylko adwokat! Ze sługami potrzeba umowy na piśmie i to w obecności obcego świadka; kupić nic niepodobna, żeby na tobie nie skorzystał ten, co ci kupno nastręczył, co cię do sklepu zaprowadził, co patrzał, gdyś kupował lub odniósł towar do domu, musisz się pilnować dniem i nocą. Wolałbym miéć do czynienia z rozbójnikami. *Firenze la bella!*—dodał poruszony—śliczna wistocie! ale to jaskinia łotrów!

— Arcydzieła sztuki!—przerwałem mu.

— A! panowie jesteście miłośnikami cacek — rzekł, śmiejąc się—ja, na honor, nawet w tym rodzaju nic tu tak pięknego nie widzę. Paryż, rozumiem, ale tu! starzyzna, domy i pałace wyglądają na więzienia. Słowo państwu daje wziąłem Pitti za koszary monumentalne.

— Ależ katedra.

— Szkatułka wysadzana marmurem, sztukaterya, mozajka, a w środku goło.

— Ależ cudowna dzwonnica.

— Sztuczczyk na igły, misternie wykładany, kościoły z odartemi facyatami, posągi przed Palazzo Vecchio karykaturalne, gorąco wściekłe, a zamiast innych przyjemności, po rogach ogromne afisze. *Purga gratis.*

Francuz coraz sią bardziéj zapalał, nie śmieliśmy mu się sprzeciwiać, aby go nie rozjątrzać więcéj.

— Znacie państwo przesławną czytelnię P. J. P. Viesseux?

— Jeszcze nie.

— Dwadzieścia tysięcy tomów, między któremi nigdy nie znajdziecie tego, który wam potrzebny. Sam Viesseux bardzo zacny człowiek, ale ponieważ jest podejrzany o liberalizm, możecie być pewni, że poszedłszy do niego, będziecie zanotowani w policyi. Jestem myśliwy — dodał Francuz — miałem nadzieję poznać choć jeden z oryginalnych sposobów polowania tutejszego, *al paretaio, alla civetia, al deluvio* i być zaproszonym do *Poggio di Cajano* z w. księciem. Ale i księcia la Tour d'Auvergne niéma i na myśliwstwo nie pora. Myślałem, że na *Cascine,* szepnął ciszéj, znajdę ładną florentynkę z tych, które podróżnym uprzyjemniają chwilę tęsknoty za krajem rodzinnym, niestety! wszystkie brzydkie, a te, które ściągają oczy, odwracają się od nieznajomych. Słowem, pakuję się i wyjeżdżam, panowie także, jeśli zechcecie usłuchać dobréj rady, nic lepszego nie macie nadto do zrobienia.

— Zrobimy téż to bardzo rychło — odpowiedziałem — ale nie prędzéj, aż obejrzymy dzieła sztuki.

Francuz pokiwał głową i uśmiechnął się, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że mamy we łbie ćwieka.

— Dzieła sztuki — mruknął po chwili, rzucając dzienniki na stół — nie przeczę, że są dzieła znakomite po świecie różnego rodzaju; ale, moi panowie, *la main sur la conscience,* czy nie prawda, że większą ich część tworzy głupota ludzka? Znam takie dzieła sztuki, za którebym nie dał susa, choć kosztują miliony, dziesięciu z kolei powiedziało, że są piękne, jedenasty wstydził się słabiéj je chwalić, dwudziesty chcąc być większym nad nich znawcą przesadził uwielbieniem, daléj już ludzie rozpatrywali je tylko szukając coraz nowych piękności. Natomiast tysiące jest arcydzieł, którym zabrakło szczęścia, minął je pierwszy, zganił drugi i poszły w zapomnienie. Weźcie panowie rzecz przyzwoicie mierną, niezupełnie złą, nie koniecznie doskonałą, postawcie przed nią dziesięciu mądrych estetyków, niech się tylko uwezmą zrobić z niéj arcydzieło, a zrobią, ręczę, że zrobią. W ogromnym lesie dzieł sztuki połowa sławę winna szczęściu i ludzkiéj głupocie, nie przeczę, że są arcydzieła, ale...

Klemrod się śmiał serdecznie, Francuz widocznie szczęśliw był swym paradoksem, ja przypomniałem sobie po cichu historyą wieczerzy Rafaela.

— Jecie panowie z apetytem, jak widzę—począł, przechodząc do innego przedmiotu—dawno tak?

— Od dni kilku!

— I nic? — spytał Francuz — nie doznaliście panowie jeszcze skutków kuchni włoskiéj! Wyborna kuchnia! Czujecie przecie, spodziewam się, gdy wnoszą befsztyk, jakby piętnaście łojowych świec zgaszono? *strutto!* wszystko ze *struttem*, wszystko na łoju! Jem i ja, bo nigdzie podobno nie jest lepiéj, ani w *Luna*, ani w restauracyi *delle Antiche Carozze*, ani w *Patria*, ani w *Stella*, ale co dzień mocniéj się przekonywam, że nie jestem lichtarzem i łoju dłużéj bezkarnie znieść nie potrafię.

Jużeśmy bliższą z gadułą tym mieli zabrać znajomość, gdy spojrzawszy na zegarek namarszczył się, porwał za kapelusz i pożegnawszy nas prędko, wyszedł, kilka słów szepnąwszy służącemu w pierwszéj sali.

Śmieliśmy się z niego do końca obiadu, to jest, dopóki nie przyniesiono nam rachunku. Suma zdawała mi się nieco za wysoka, postrzegłem, że czyjś obiad zamieszczony został w naszéj karcie, nie mogliśmy tego pojąć. Przywołany służący wytłómaczył nam, że *przyjaciel nasz*, z którym przez cały obiad rozmawialiśmy, znudzony ów Francuz, rozkazał swoje *pranzo* połączyć z naszém w jednę czułą całość.

Nie można tego było mieć za złe, po wybornéj nauce, jakiéj nam udzielił; śmiejąc się zapłaciliśmy za roztargnionego.

Klemrod był szczęśliwy ze swéj przenikliwości, poczuł w nim od razu awanturnika.

Wieczór zeszedł nam na przechadzkach po mieście, nazajutrz z rana jechaliśmy do Pitti.

Pierwszy rzut oka na gmach ten oryginalny, wielkiego charakteru, robi też wrażenie nie wielkie, nie jestto piękne, ale majestatyczne bardzo. Architektura prosta, dół i dwa piętra zbudowane z olbrzymich głazów kwadratowych, bez ozdób, przecięte półkulisto zasklepionemi drzwiami i oknami, po obu bokach galerye podobne. Głazy te stanowią całą ornamentacyę.

Pałac poczęty został w r. 1440 przez Łukasza Pitti, który wspaniałością jego chciał zaćmić swych współobywateli, nie dokończył go jednak a Medyceusze odziedziczyli po nim budowę na wzgórzu Montecucco. Rysunek nań dawał Brunelleschi, a choć go późniéj rozszerzono i powiększono znacznie, pierwotny charakter zatrzymał. Mnóstwo architektów z kolei pracowało nad nim, dziś dokończony jest mieszkaniem w. książąt. Aby dać wyobrażenie obszerności jego, dość jest powiedzieć, że zajmuje 32,000 metrów. Opisywać wspaniałości tych nie myślimy wcale, przybyliśmy dla obrazów, śpieszmy do nich. Budowa wydaje się ogromną, jaką jest wistocie, z galeryami bocznemi zajmuje przestrzeń

wielką. Kamienie jakby nieociosane, pokładzione umyślnie, aby cyklopową pracę oznaczały, nadają jéj fizyognomią surową i pańską. Wszystko to szare, jednostajne, milczące; mówi swém milczeniem wiele.

Galerya obrazów mieści się na drugiém piętrze pałacu, wchodzi się do niéj lewém skrzydłem (jadąc od miasta). Chociaż rodzina w. księcia była we Florencyi, wpuszczano wszystkich do oglądania; stały warty wszędzie; ale mimo nich przechodzili ciekawi nie zatrzymywani. Osób było tą razą dosyć, wszyscy zostawiali w przedpokoju laski i parasole, i bez żadnych formalności byli wpuszczani; jak w Uffizi nie brakło na miłośnikach sztuki wszelkiego stanu i narodu. Po pokojach wszędzie stały *gwardye* i służący w liberyi naglądający na odwiedzających, ale bardzo grzeczni. Przed celniejszemi obrazami spotykaliśmy kopistów wszelakiego usposobienia, po większéj części na handel śpiesznie wyrabiających jakie takie kopie; gdzieniegdzie było ich po kilku. Pełno téż po sklepach, u antykwarzy, w oknach tych tandet, które podróżni z wyrobami z marmuru, alabastru, mozajki i bronzu, zakupują.

Galerya urządzona jest z przepychem w apartamentach godnych panującego. Ściany sal, które noszą nazwiska różne, powybijane są kosztownemi materyami, obrazy w ramach przepysznych, prócz tego pełno stołów mozajkowych cudnie pięknych, malachitów, marmurów, waz bronzowych, posągów. Katalogu galeryi, gdyśmy tam byli, nie sprzedawano, ale na ramach znajdowały się numera, a w każdym salonie leżały oprawne w drzewo z rączką drukowane wskazówki, których ciekawi używali. Zbiór w ogólności przepyszny, liczący w sobie arcydzieła, ale nie do przepatrzenia w kilku godzinach, ani w dniach kilku; liczba ich bowiem kilkaset wynosi.

Sale ozdobione są freskami i noszą stosowne nazwiska sali Wenery (strop P. da Cortona), Apollina (P. da Cortona i C. Ferri), Marsa (Cortona), Jowisza (Cortona), Saturna (także), Iliady (Sabatelli), wychowania Jowisza (Cateni), sala pieca (Cortona i Rosselli), Ulisesa (Martellini), Prometeusza (Colignon), Sprawiedliwości (Fedi) i t. d.

Przegląd nasz zaczniemy od najcelniejszych i na nich go skończymy; niepodobieństwem jest połowę tych pięknych utworów zapamiętać nawet.

Widzieliśmy już Rafaela w Uffizi i Wieczerniku św. Onofrio, pałac Pitti nie mniéj jest w dzieła jego obfity. Na czele ich stoi tak zwana Madona *del Gran Duca*, ze sztychów znajoma, ale na ten raz była ona niewidzialną, gdyż znajduje się zawsze w poko-

jach w. książęcych. Mieliśmy o niéj dobre wyobrażenie z dawnéj kopii gdzieindziéj widzianéj.

W sali Marsa spotkaliśmy naprzód Madonnę zwaną *della Seggiola*, wszyscy a wszyscy uznali ją tak jednogłośnie za arcydzieło mistrza, za jednę z najwznioślejszych kreacyj jego, że stanąwszy przed obrazem, pozostaje wielbić tylko i milczéć.

Wdzięk w tym obrazie wielki, ale wpatrzmy się dobrze, czy to istotnie Matka Boska z dzieciątkiem, czy prześliczna ziemska istota z bardzo pięknym chłopakiem na kolanach? Jako obraz, kompozycya, rysunek, koloryt, jest to niezawodnie arcydzieło; ale Sanzio malował nieraz Dziewicę Matkę czystszą, promienistszą, świętszą. Z umysłu czy przypadkiem cała kompozycya mieści się w kolistéj ramie, zadanie było trudne, należało je wypełnić nie zapychając; artysta cudem nie ścisnął tych trzech figur, nie dał uczuć, że był do tego zmuszony. Matka Boska trzyma dziecię na łonie, czule przytulona do niego, dziecię się ku niéj ciśnie, jakby trwożyło światem, święty Jan czczący je, wypełnia resztę próżnego miejsca, stojąc w półcieniu. Wszystko to ułożone ze smakiem najwyższym, z mistrzostwem Rafaelowskiém, linie, barwy, harmonijnie się zlewają.

Ale w obliczu matki niéma śladu dawnych natchnień pierwszéj epoki, nie jest to ideał ściągnięty z niebios, ale podniesiona do ideału ziemska istota, tuląc dziecię patrzy ona nie na nie, ale na ludzi, czuje, że jest piękną i chce sobą oczarować.

Dziecię jak w Sykstyńskiéj jest wystraszone, ulękłe, św. Jan bardzo piękny, aniołkowaty, przypiąć mu skrzydełka, będzie wybornym amorkiem.

Urokiem téj kompozycyi jest pochylenie wdzięczne, wyraz melancholiczny, tęskny, słodycz w niéj rozlana, ale nie ma ona surowości religijnego obrazu, nie można go zawiesić w ołtarzu, obudza myśli ziemskie, a nie podnosi do nieba. Jestto przecudne, jest gienialne, ale nie natchnione wiarą. Jak w obrazie mitologicznym wymagamy fantazyi, tak tu pragnąć mamy prawo ducha religijnego. W galeryi jestto perła, w kościele byłaby roztargnieniem.

Trzecią z kolei jest Madonna *dell' Impannata* (nazwana z powodu okna papierem zaklejonego, znajdującego się w obrazie). Jestto dzieło znakomite, mniéj *con amore* wszakże malowane niż inne. Dziecię Jezus ma nawet nóżkę jednę dziwnie niepoprawnie narysowaną, św. Jan, na pierwszym planie stojący, nie ma tego wdzięku, jakiego po Rafaelu wymagać można. Twarze piękne, wyrazu mało, wrażenie słabe i nieoznaczone.

Czwarta jest *Madonna del Baldacchino*, w sali Saturna, w któréj

z przykrością szukać przychodzi stylu, piękności, uroku Rafaelowskiego obrazu. Nie bez przyczyny przypisywano to dzieło *al Frate* (Fra Bartolomeo), gdyż nietylko kompozycyą, układem, ale rysami twarzy przypomina Madonny tego malarza, a oddala się od typów Sanzia. Znikł tu zupełnie uczeń Perugina, ale jest wielki malarz szukający efektu i charakteru... Obraz ten jest zagadką, miałżeby być dowodem tylko, że Rafael mógł przejąć, jaką pragnął, manierę i styl?—Piątym jest powtórzenie portretu Juliusza II papieża, które może łagodnością, wykończeniem, tonem twarzy przewyższa obraz w Uffizi. Szóstym i siódmym są portrety Angiolo Doni i żony jego Magdaleny Doni z 1507. Oba malowane są sucho nieco, ale z wielkiém staraniem, na tle pejzażu wykończonngo, jak w pierwszych robotach Rafaela. Portret mężczyzny charakterystyczny, poważny, ręce wymodelowane przedziwnie. Portret niewiasty, w której chciano widzieć tę samę kobietę co w Uffizi, nieco tylko zmienioną wiekiem, zdaje się prawie inną wyobrażać, tak te dwa wizerunki się różnią. Tu rysy zdają się pospolitsze, wiele ideału znikło, kobieta, stała się więcéj ciałem, mało mówiąca twarz, wzrok ochłodły, duch się zamknął we wnętrzu, czy uleciał? Na pozór to kobieta, jakich się spotyka tysiące, które nie zwracają oczów. Jak w Madonnie *del Cardellino*, głowa przedłużona, a że owal twarzy dość pełny, uderza to prawie jak jakieś zaniedbanie rysunku. Włosy po jednym na tle jasném wychodzą twardo, choć rozwiane nieco. Rączki pulchne i białe, wyraz spokojny, dojrzalszéj epoki życia, w któréj się tyle przecierpiało, odbolało, że nic już prawie nie obchodzi, nie dziwi, że się czeka obojętnie na przewidziany koniec złudzenia i zachwytu.

Ósmym obrazem jest portret Leona X trochę ściemniały, ale przepyszny. Postać główna wspaniała, arystokratyczna, wielkiego charakteru; doskonale odpowiada i tłómaczy znanego z dziejów naczelnika kościoła. Dwaj przy nim stojący kardynałowie, Medici i Rossi może nieco nadto wychodzą, i ogół a główna postać trochę na tém traci. Obraz wypracowany z największém staraniem, figury zarówno jak przybory, stół okryty pąsowym kobiercem; dzwonek, księga z miniaturami przed nim leżąca, z zakładką. Portret ten słusznie liczy się do najszczęśliwszych Rafaela.

W tymże rodzaju i prawie jednéj wartości jest portret kardynała Bibieny, prosty, pełen wyrazu, w tonie silnym trzymany.

Dziesiąty jest portret także Tom. Fedra Inghirami. Postawa zastanawiająca. Siedzi pisząc coś z oczyma podniesionemi w górę, twarz pospolita, ale uszlachetniona przez malarza nadanym jéj wyrazem, chociaż mało modelowana i nieco płaska. Koloryt żywy i ciepły.

Nareszcie w téj saméj sali Saturna stajemy przed obrazkiem maluczkim, wielkości ćwiartki papieru, który wszystkie poprzednie przewyższa ogromem pomysłu i olbrzymim duchem. Jestto jedno z najpotężniejszych dzieł w całym zbiorze Rafaela.

W powietrzu unosi się jedna wielka postać starca zadumanego proroczo, osmutniałego poważnie, ręce jego unoszą dwaj aniołowie, wkoło podpierają go symboliczne czterech ewangielistów godła. Lew, wół, orzeł, są tak wielkiego stylu i idealne jak wszystko w tym obrazie. Ugrupowanie mistrzowskie, całość niepojęcie z tych różnorodnych istot klei się jedna, silna, nierozerwana. Starzec z twarzą zwróconą ku ziemi majestatyczną, przeraża siłą. Wszystko to na tle jasném, nieco maluje się ostro, ale liniami niezmiernego wdzięku. Przed tym maleńkim obrazkiem im dłużéj się stoi, tém gorętszy zachwyt porywa, prostota pomysłu nadaje mu potęgę wielką. Nigdy Rafael nie podniósł się może do tak cudownéj wysokości tworząc postać, któréj-by Michał Aniol mu pozazdrościł.

Dwunastym obrazem Rafaela jest w sali Apollina, *Madonna della Lacertola*, kopia przez Giulio Romano, znać w niéj mistrza i czuć ucznia. Koloryt śliczny, kompozycya wdzięczna, ale z epoki, w któréj Rafael szukał więcéj wdzięku niż wyrazu. Na pierwszym planie obłamki kolumn i marmurów otłuczonych, w głębi krajobraz.

Otóż, jeśliśmy dobrze przepatrzyli całe dzieło Rafaela, wprawiające w zdumienie rozmaitością stylów, potęgą gieniuszu tego artysty, który mógł stworzyć dzieła tak różne, jak Madonna del Foligno, Sposalizio, Cenę, Madonnę z baldachimem, della Seggiola i Sykstynę. Od Perugina do Andrea del Sarto, który styl mistrza jeszcze zwiększył i wywdzięczył—co za pole niezmierne, ile zmian, ile przeobrażeń, ile pojęć różnych, ile kolorytów, ile kierunków, ile ludzi w tym jednym człowieku!

Po Rafaelu słusznie tu wspomnieć ucznia jego zwanego Rafaelem florenckim, Andrea del Sarte, w którego dzieła Florencya i galerya w Pitti jest bogatą. Jest tu jego kilkanaście obrazów, licząc w to portret powtórzony kilkakrotnie jego i żony, ładnéj, ale pospolitéj blondynki. Żaden jednak z utworów w Pitti nie równa się familii świętéj, umieszczonéj w Trybunie. Wdzięku wiele, ale wdzięk miękki, ale koloryt szukany, często rażący wyszukaniem, miły, ale wogóle brak mu energii i siły.

Bawi oko, zadawalnia wymagania sztuki, nie podnosi człowieka. Rzekłbyś, doskonały malarz, ale znużony, tchu mu zabrakło, a wprawa tylko została. Wielkie tu są jego utwory, dwie Assunty, dwa Zwiastowania, Familia święta i Dysputa o św. Trójcy. Wszędzie ten sam charakter manierysty prawie.

Perugina jest także parę obrazów, ale *capo d'opera* to jego Złożenie w grobie. Sama figura Chrystusa nie odpowiada pojęciu Boga zmarłego, który powstać ma z grobu, na którym powinno być piętno śmierci ludzkiéj i nieśmiertelności bożéj, to więcéj niż pędzel wydać potrafi. Ale Marye, niewiasty otaczające, ten ich smutek tak różny, a tak święty i spokojny, ten żal głęboki i wielki, tak cichy a tak potężny, wyraził Perugin, w niektórych szczególniéj postaciach z niedorównaną mocą i prawdą. Niéma tu namiętnéj, gwałtownéj, krzykliwéj boleści, ale milcząca a przerażająca i przejmująca do głębi.

Nie pilnowano porządku szkół w Pitti, i my téż idziemy na los. Oto jeszcze jeden, którego się tu nauczyć można, Salvator Rosa. Zbiór jego obrazów obejmuje tak różne utwory, iż nigdzie może wielostronniéj się z nim nie obeznamy, jak tutaj.

Arcydziełem jest Sprzysiężenie Katyliny. Jako malowanie nic nie znamy równego mu w Salvatorze.

Obraz ten, który był nieraz sztychowanym, znajomym jest dosyć, ale czar tego malowania, skupienie światła na głównéj figurze, surowość téj postaci, tajemniczość groźna sceny, nie dają się wypowiedziéć. Koloryt zdaje się prawie monochromem tak jest wstrzemięźliwy, a mimo to ciepły i pełen prawdy.

Piękniejszego wzoru dla uczniów trudno wynaléść, tak w obrazie tym Salvator jest umiejętnym i panem siebie.

Mniéj już udatna figura jego *Kłamstwo*, z maską w ręku, ale i ten obraz się odznacza; poeta, chmurna postać z przysłonioną twarzą, siedzącą nad księgami, tentacya św. Antoniego z dziwnie oryginalną poczwarą straszącą świętego pustelnika, malowana ognisto i kilka przepysznych krajobrazów. W nich Salvator użył co tylko mógł do otrzymania efektu i dziw prawie, że z tém bogactwem żywiołów, umiał dziełom nadać jedność i harmonią. Krajobrazy te jakoś się zdają pobladłe, ale świadczą jeszcze o potężnéj organizacyi wielkiego artysty. Trzeci obraz zwany Lasem filozofów, piękny jest a mniéj czyni wrażenia, wielka bitwa z namiętnością rozrzucona na płótno, wrzawa i zaciętość bojujących niezmierne. Salvator ma siłę potężną, imaginacyę rozbujałą, umiejętność, mimo to nie pociąga, nie jest sympatyczny, czuć w duszy jego gorycz, znużenie, pragnienie nieuspokojone, tego co świat i co sztuka nawet dać nie może. Głowa mu się pali więcéj niż serce.

Rubensa są dwa pejzaże ciekawe, jeden z Ulisesem, tak bogato skomponowany jak wszystkie jego widoki, drugi z robotnikami wracającemi z pola. Ostatni zielony bardzo, oba gwałtowne, namiętne, szarpane. Najlepszy z krajobrazów jego stanowi tło

w obrazie Tryumf Satyra. Nimfa za to nie pierwszéj świeżości, za którą chyba Satyr mógł się upędzać. Ciała jak zawsze obfite do zbytku i rozrosłe. Jest tu jeszcze jego św. Franciszek, szaro, cicho malowany, skromny i wielce od innych robót jego różny. Ledwie w nim poznać go można. Piękne także portrety, własny, Lipsyusza i Grocyusza, choć ostatni grzeszy niewstrzemięźliwością w kompozycyi.

Carlo Dolce, oprócz innych porcelanowych robótek, jest św. Kazimierz z kartą w ręku, na któréj napisana jest pieśń:

Omni Die
Dic Mariae.

Twarz świętego ładna, smętna, płaszcz na nim bogaty, ton obrazu ciemny, wykończenie zbyteczne. Tycyan ma tu św. Magdalenę, przepyszny portret królowéj Cypru Cornaro, przerobionéj na św. Katarzynę, swoję kochankę, Aretina i kilka cudownych portretów. W nich on jest potężny i wielki, w innych obrazach kolorysta niezrównany, ale czczy myśli. Wenus, Magdalena, św. Katarzyna, wszystko to jedna i ta sama kobieta piękna, ziemska, jeden typ powolny, nad który podnieść się nie mógł, typ ziemski, świeży, smętny lub uśmiechnięty, ale nie wzlatujący ku niebu.

Tintoretta bardzo chwaloną jest Rodzina Wulkana, w któréj dziwnie pomieścił całe figury, w przedłużonéj i ściśniętéj ramie; zręczny wysiłek i przezwyciężone zadanie ciężkie.

Do ciekawości należą także trzy stare baby szkaradne, zwane Parkami Michała Anioła, chociaż obraz ten przyznawano także dawniéj Rosso Fiorentino; niemiło malowane, sucho, przykro. Jako malarz i tu i w Trybunie wielki Buonarotti występuje wcale nie tak, jakby w ojczyźnie swéj powinien.

Fra Bartolomeo ma kilka utworów, N. Pannę ze świętemi, kompozycyą majestatyczną, olbrzymiego św. Marka, którego malował, aby odeprzéć zarzut, że małe tylko figurki tworzyć umié i bardzo piękne złożenie w grobie. Scena ta skromnie pojęta, smutna, szczęśliwie ułożona, ze wszech miar się odznacza.

W małéj salce Prometeusza, któréj środek zajmuje przepyszny stół z lapis-lazuli i mozajki, zgromadzono osobno starsze zabytki malarstwa, nie dające wszakże o niém dobrego pojęcia; dobór nie był bardzo szczęśliwy.

W dalszych salkach, minąwszy szafy z różnemi sprzęcikami kosztownemi i mozajkowe obrazy, stoi Wenus Canovy, mniemana

rywalka Medycejskiéj, ale niestety! jakże przy całéj swéj piękności, niesmaczna i pospolita!

Nic zarzucić nie można ogólnym liniom ciała, ale jakże wdzięk szukany, jak to zakrycie draperyą z przodu wymuszone na zwrócenie oczów, jak daleko téj Wenerze do greckich a nawet rzymskich, do Wenery z Milo i Medycejskiéj! Nawet ręce pojedyńczo wzięte nie zaspokajają. Więcéj zalotna niż piękna, a mimo to chłodna jak marmur, z którego ją wykuto.

Błądząc po zbiorze co chwila się coś pięknego spostrzega, ale nowy przedmiot zaciera wrażenie pierwszego, potrzeba uciec, aby tu jeszcze do kilku wybranych płócien powrócić.

Wyszliśmy złamani i znużeni. Dla wszystkich ciekawych i nienasyconych radbym dać przestrogę ważną, aby się nadto obejrzéć nie starali, bo z pewnością nic widziéć nie będą. Lepiéj jest przed jednym obrazem spędzić godzinę, niż mnóstwo rzutem oka przeleciéć.

Jak pobieżne czytanie tak i oglądanie płocho nic nie uczy, zaspakaja próżność, nie bogaci umysłu. Z mistrzem i dziełem należy się zapoznawać powoli, wnikać weń, usiłować go zrozumiéć, pracować nad rozdarciem zasłon, nad wyszukaniem piękności. Oko chwyta łatwo poczwarność, często najwznioślejszego piękna długo dobadywać musi. Obraz wielkiego efektu zrazu, prawie zawsze potém czczym się okaże i znuży; karta niepozorna kryje często skromne skarby idei i techniki. Każdy artysta wyższy miał pracując myśl jakąś, cel, plan w utworze, jeśli on niezrozumiałym jest na razie, dobyć go potrzeba z téj łupiny, w któréj się ukrywa. Zbiory wielkie dzieł sztuki mają to do siebie, że zbliżając różne szkoły, maniery, epoki, niezmiernie uwydatniają ich przymioty i wady przez zestawienie z innemi; dochodzi to częstokroć aż do rażącego kontrastu, który jest wielce nauczającym. W malarstwie niéma nic absolutnego, wszystko jest stosunkiem, mierzy się tém, co mu towarzyszy, każdy utwór ma swój świat, z którego wyszedł, do którego należy, wędrówka po tych światach jest jak podróż po ziemi, często własny swój kraj poznaje się wówczas dopiéro, gdy się z obcemi zapozna.

Przyznaliśmy wszyscy, wychodząc z pałacu Pitti, że dłużéj we Florencyi zabawić musimy, niżeli się zrazu układało; niepodobna było myśléć o dojechaniu do Rzymu na wielką uroczystość św. Piotra.

XIII.

Florencya. — Kościół św. Wawrzyńca.—Posągi Michała Anioła.— Wawrzyniec Medyceusz.—Dzień, noc, mrok i poranek.—Kaplica Książęca.—Kościół del Carmine, freski Masaccio.— Plac Santa Croce. — Kościół. — Przewodnik z książéj kuchni. — Grobowce. — Cena Giotta w fabryce dywanów.—Katedra.— Jeszcze Baptisterio.—Tryumf koński.— Dzwon nocny bractwa Misericordia. — Kamień Danta.—Plac della Signoria, jego ozdoby.—Loża Orgagni.— Madonna del Sacco i freski Sarta.—Inne obrazy kościoła Annunziata. — Pracownia Emila Boratyńskiego.—Dwa portrety.—*Cascine*.— Gabinet Viesseux i dziennikarstwo w Toskanii 1858 r.—*San Spirito*. — Kościół św. Michała ze spichlerza przerobiony, jego posągi. — *Maria novella*.— Plac wyścigów w wigilię św. Jana.—Kaplica hiszpańska. — Obrazy.—Kaplica Strozzich.—Wycieczka do *Castel di Poggio*.— Fiesole, widoki, powrót nocą.—Wieczerza Sarta w *San Salvi*.— Jeszcze Maria Novella.— Zielony klasztor.—Życie Florencyi.—Mozajki.—Bernard Zaydler. — Wyjazd z Florencyi.

W stolicy téj, gdzie wszystko mówi o Medyceuszach, potrzeba było nareszcie pójść do ich grobu, który najlepiéj może przeszłą ich wielkość opowiada. Groby Medycejskie zawiera kościół św. Wawrzyńca na placu tegoż nazwiska (*Piazza di San Lorenzo*). Stała tu niegdyś bazylika Ambrozyańska, w 393 roku poświęcona przez św. Ambrożego, biskupa Medyolanu. Powiększono ją w r. 1059, ale pożar zniszczył starą budowę, w początku XV wieku. Averard Medyceusz i syn jego Kozmas nadali jéj dzisiejszą wspaniałą powierzchowność. Rysunek dawał na nią Brunelleschi, inni po nim kończyli. Architektura jest wspaniałości wielkiéj, ale w kościele samym mało dawnych ozdób pozostało.

Dwie kazalnice z płaskorzeźbami bronzowemi, Donatella i Bertoldo, jego ucznia, są może najpiękniejsze; szlachetny rysunek, wytworna kompozycya dają miarę talentu artysty, który je wykonał. Sam kościół zresztą znika przed tak zwaną zakrystyą nową, ku któréj ciągnie ciekawość poznania Michała Anioła, co ją zbudował i przyozdobił. Gdyby w niéj nic więcéj nie było nad ów siedzący, zamyślony marmur przedstawiający Wawrzyńca (*Il Penseroso*), cudny powagą i swobodą a naturalnością, cudny siłą i potęgą, z jaką go

ręka Michała wyciosała, jużby najgorętsza ciekawość była usprawiedliwioną.

Posąg ten jest arcydziełem, ginie wobec niego artysta, zapominają się Medyceusze, podziwiać potrzeba człowieka, chwilę życia tak głęboko pojętą przez wielkiego rzeźbiarza. Posąg ten myśli, a myśl jego, obejmującą świat i losy ludzkości, czytasz w postawie i na czole. Nie złamało go nieszczęście, widzisz, że panuje wszystkiemu, co go otacza, przecież zadumał się i zwątpił. Wszystkie żywota tęsknice, wszystkie duszy powolne męczarnie, wszelkie niepewności losów ta myśl bada i nurtuje, i zwyciężyć ich nie może. Niezłamany, groźny, silny, zwątpił przecież o sobie i o człowieku, daléj nie widzi drogi, szuka jéj myślą, nie mogąc na nią trafić instynktem. Całą wieku tego, którego Michał Anioł jest wyrazicielem, nędzę moralną i niewiarę wykluwającą się już, wyraża ten zadumany kamień. W epoce głębokiéj wiary byłby się modlił, teraz myśli i szuka, bo zgubił światło, które go prowadziło. Nic z nowych dzieł sztuki tak wielkiego, tak przejmującego nie ma znaczenia, jak ten posąg, jest to nie Medyceusz, ale sama dusza Michała Anioła zadumana nad światem, sam wiek ów, którego zaduma przeciągnęła się aż po nasze czasy. Wszystko w nim masz: przeraża, zasmuca, skamienia patrzącego sobą, bo zeń przechodzi do widza to uczucie tęsknoty spokojnéj, zrezygnowanéj, ale nieuleczonéj, która ów marmur stworzyła. Jest to człowiek przed walką i po walce, ale wątpiący, co mu ona przyniesie, z męską powagą, nieustraszony a zbolały, z piersi okutéj nie wyjdzie westchnienie, ale na czole i pod czaszką zastygł wszystek ból ludzkości.

Oprzéć się niepodobna potędze myśli, która stworzyła ten wyraz znękania, wątpliwości i nieupadającéj pod niemi odwagi.

Drugi, odpowiadający mu, już znacznie mniéj jest szczęśliwym i blednie przy pierwszym. Juliusz jest tylko Medyceuszem, władcą, panem, a choć ziemską jego potęgę doskonale wyraził artysta, zrobił zeń historyczne, pomnikowe dzieło, nie taki typ wiekowy, jak z Wawrzyńca. Obok Medyceuszów równéj są sławy towarzyszące ich grobowcom figury *Dzień* i *Noc*, *Mrok* i *Poranek*, rzucone jak tylko Michał Anioł rzucać umiał.

Noc nade wszystko piękna, chociaż wszystkie prześliczne są i pełne charakteru. Ten sam wielki, nadludzki smutek śmierci i grobu, który wyrył się na czole Wawrzyńca, obleka te pełne, energiczne, żywe a życiem znękane figury. Do Nocy łączy się wspomnienie prześlicznéj poezyi Michała Anioła, który tak wielkim był poetą z dłutem, pędzlem, młotem, jak z piórem w ręku.

Strozzi patrząc na tę Noc uśpioną, napisał czworowiersz: „Noc,

którą widzisz usypiającą tak słodko, z kamienia została utworzoną przez Anioła, chociaż zasypia, żyje ona, jeśli nie wierzysz, przemówi".

Michał Anioł odpowiedział na nie czterema także wierszami, które są najlepszym komentarzem jego posągów w San Lorenzo; ten smutek poważny, który z nich tchnie, wyraża się boleśnie głęboko w odpowiedzi:

„Sen mi jest miłym, bo lepiéj być kamieniem, dopóki trwa boleść i wstyd przygniata, nie widziéć, nie czuć, szczęściem jest dla mnie wielkiém. Więc nie budź mnie, o! mów cicho!"

Mentre che il danno e la vergogna dura,
Non veder, non sentir—m'è gran ventura...

Z takim ducha uciskiem tworzył wielki mistrz grobowe pomniki wieku. Pomiędzy dwoma posągami ucznia jego, stoi tu jeszcze poszanowany, nieskończony posąg Matki Boskiéj, może jedyny Michała Anioła, w którym chciał wyrazić, i potrafił wydać, słodycz, z jaką się Marya, królowa miłosierdzia przedstawiać powinna. W zarysach figury znać tę myśl, ale dłuto rzeźbiarza, jakby dokonać jéj całkowicie nie było w mocy, pękło. Figura została nieskończoną nazawsze. Wyraz cichéj dobroci, miłości i cierpienia był niepoścignionym dla mistrza, który życie wszelkie walką, panowaniem i potęgą pojmował. Traf ten wiele powiada.

Z téj *capella dei depositi* wynijść trudno i wychodzi się ze smutkiem, który Michał Anioł wlał w te żywe kamienie. Nie uśmierza go widok przepysznéj *capella dei Principi*, któréj wspaniałość ma w sobie coś grobowego.

Jest ona ośmiokątna, wielce ozdobna, w górze zakończona kopułą i cała wysadzana drogiemi marmurami (*pietre dure*) i kamieniami, które składają mozajkę posępną, kolorowaną, migocącą, dziwaczną. Zaczęta w r. 1604 z rysunku Jana Medici, kończy się po dziś dzień, około ścian znaleźliśmy jeszcze świadczące o tém rusztowania. Początkowo miał to być grób Chrystusów, a stał się mauzolem Medyceuszów, których pomniki stoją dokoła na sarkofagach, nie wszystkie jeszcze powstawiane i pokończone. Pomimo wszystkiego, co szczegółom wykonania kaplicy téj zarzucićby można, robi ona wrażenie i jest majestatyczną w téj szacie porfirów, jaspisów i marmurów.

Nie zaglądaliśmy do biblioteki *Laurenziana*, w przekonaniu, że pobieżny ogląd taki niczby nas nauczyć nie mógł, poszliśmy stąd na *piazza del Carmine*, do kościoła karmelitów, *del Carmine*, dla oglądania fresków Masaccio. Leży on za Arno, front, jak wię-

kszéj części kościołów florenckich, niedokończony, oczekuje na swą marmurową powłokę. Gmach sam jest stary, bo z r. 1260, ale spalił się był w XVIII wieku i odbudowany został na nowo. W ocalonéj od tego pożaru kaplicy Brancacci'ch znajdują się obrazy Masaccio, będące relikwią w historyi malarstwa cenną. Rozpoczęte przez Masolino da Panicale około roku 1400, późniéj do 1443 ciągnione daléj przez Masaccio, skończone zostały przez Filippo Lippi, który zmarł w r. 1469. Znawcy widzą na nich ślady tych trzech malarzy i właściwego im stylu; dwóch przynajmniéj każdy dojrzy łatwo.

Przedstawiają one historyę śś. Piotra i Pawła. Nie można zaprzeczyć, że są wielce nauczające. Masaccio stanowi przejście od staréj sztuki natchnionéj, głębokiéj, naiwnéj, która wydała największych mistrzów chrześcijańskiego malarstwa, do nowszéj, umiejętniejszéj a chłodniejszéj i mniéj duchem potężnéj. Nie tak już prosty choć jasny jeszcze jak Giotto, nie jest tak swobodnym jak późniejsi mistrzowie. Myśli, bada, szuka, ale jest wszakże na drodze, która do pełnéj sztuki, pani siebie, prowadzi. Może dla tego pośredniego, przejściowego charakteru Masaccio nie czyni wielkiego wrażenia, sam kunszt nie doścignął w nim najwyższéj swéj potęgi, a duch téż czuć osłabły w walce z formą i wcieleniem. Na obrazach już troskliwe znać z natury studya, już się tu nagości nie osłaniają, nie kradną, ale prawie na popis wychodzą. Ostatecznie więcéj to nauczające niż bezwarunkowo piękne, choć dla historyi sztuki nieocenione. Freski te służyły za skazówki, za wzory późniejszym, były stopniem, po którym mieli się wyżéj podźwignąć, z czcią téż i szacunkiem patrzy się na nie.

Stąd przeszliśmy na *Piazza di Santa Croce*, niegdyś wrzawliwego rynku, wśród którego ludowe odbywały się zgromadzenia. Tu w r. 1250 lud przeciwko arystokracyi zburzony, ogłosił wybór swego *Capitano* i dwunastu starszych (*Anziani*) dodanych mu do rządu. Uroczystości i zabawy ludowe odbywały się dawniéj na obszernym dość placu przed kościołem Ś. Krzyża.

Kościół sam założony w roku 1294 z rysunku Arnolfa, w XV dopiéro wieku został skończony. Przeznaczeniem jego było zamknąć groby celniejszych rodzin florenckich, które wraz z rzeczpospolitą do budowy się przykładały. Pełen téż jest mauzoleów i pomników.

Przybyliśmy tu nad wieczór i stanąwszy u drzwi szukaliśmy oczyma *custoda*, który w pobliżu ciekawości i zabytków zawsze się znajdzie we Włoszech, gdy wyprzedzający nas Julmo trafił na ruchawego o czarnych oczach człowieka, który z niezmiernym pośpiechem, żywością i gorączkowym niepokojem jakimś zaofiarował się nas

przeprowadzać i wskazać co najpiękniejszego zawiera kościół i kaplice.

Nie wątpiąc o kwalifikacyi przewodnika i jego znajomości rzeczy, poszliśmy za nim posłuszni, rachując na to, że sami dopełnim jakim drukowanym przewódcą, czegoby temu brakło. Nie zdawał się wprawdzie wiedzieć dobrze, o co chodziło i od czego miał począć, ale naostatek wwiódł nas na jakiś boczny korytarz, i wskazując szkaradny stary krucyfiks, z rodzaju tych, które pobożny nasz ks. Skarga zwykł był palić, aby majestatu bożego nieforemnością swą nie obrażały, wykrzyknął śmiało:

— Dzieło Michała Anioła!

W zuchwalstwie, z jakiém to powiedział, było coś nad wyraz pociesznego; zdawał się nie wątpić, że przypadkiem mogłoby to być i Michała Anioła dzieło. Mówiąc te słowa, przybrał minę napuszoną, pewną siebie, dziwnie śmiałą i buńczuczną, lecz nagle zmieszał się, gdy wszyscy parsknęliśmy chórem śmiechu, a Julmo, co go przyjął, począł z największym gniewem robić mu wymówki.

Oczywiście nie był to ani *Custode*, ani nikt z przewodników zwyczajnych, ale samozwaniec jakiś. Na pierwszym kroku doznawszy tak nieszczęśliwego zawodu, natychmiast stracił całą energię i męstwo, spuścił głowę, ruszył ramionami, cofnął się przybity. Julmo naciskał nań ostro.

— Jakżeś się śmiał podejmować?...

Nieszczęśliwy milczał.

— Ale któż ty jesteś?...

Długie milczenie znowu.

— Ja jestem z księżéj kuchni, mój panie — rzekł na ostatek podejrzany cicerone.

— Jakże mogłeś?...

— *Per guadagnare qualche cosa...* — odpowiedział z pokorą.

Nie trafiająż się tacy kucharze, dla *małego zarobku* ofiarujący się co chcąc wykładać, tłómaczyć i objaśniać gdzieindziéj jak w Santa Croce? Trzeba mu było przebaczyć, zwłaszcza że pobiegł zmieszany wyszukać nam prawdziwszego przewodnika, który zaraz nadszedł. Kucharza tego z figlarnemi oczyma i śmiałą mową nie zapomnieliśmy przez cały ciąg naszéj podróży, stał nam na myśli i śmieliśmy się z niego długo, *a guadagnare qualche cosa*, powtarzało się we Włoszech na każdym kroku. Nieszczęśliwy *forestiere* jest istotą skazaną na to, aby go wszyscy darli i szarpali, na wyprzódki też rwą się powołani i niepowołani do jego kieszeni. Kucharz księży u Ś. Krzyża był może jeszcze jednym z najuczciwszych spekulantów, jakich spotkaliśmy.

Kościół ma kształt krzyża łacińskiego z trzema nawami, każda

po arkad siedem, na ośmiobocznych słupach spartemi, jest w stylu gotyckim dość piękny i poważny. Dokoła otaczają go kaplice, a ściany i boki okrywają pomniki, bardzo różnéj wartości.

Jednym z pierwszych, który zwrócił naszę uwagę, był w kaplicy *dei Castellani*, czyli N. Sakramentu, pomnik Michała Skotnickiego przez Ricci i hrabinéj ordynatowéj Zamojskiéj z domu księżnéj Czartoryskiéj przez Bartoliniego. Wystawia on zmarłą w postawie leżącéj na łożu śmierci, osłonioną piękną draperyą z krzyżem na piersiach. Rysunek jest ładny, ale psuje to dzieło realizm wykonania. Twarz spokojna, jakby uśpiona. Piękną także płaskorzeźbą odznacza się pomnik hrabinéj Moszczeńskiéj w kaplicy Medyceuszów. Oprócz nich jest tu kilka jeszcze grobowców polskich; w kaplicy *dei Castellani*, Kozielskiego (Ogińskiego?). O nich naturalnie naprzód wspomnieliśmy, boć o swoich, choć pierwéj nad wszystko wypadało napisać o pomniku Danta i Michała Anioła. Ostatni jest dziełem uczniów jego, którzy przedstawili uosobienia malarstwa, rzeźby i budownictwa, osobliwszym pomysłem wychodzi to wszystko na tle malowania z amorkami.

Na grobie należało postawić Mojżesza lub zadumanego Medyceusza, wszystko inne wydaje się lichém i mdłém. Cóż dopiéro powiedzieć o biednym pomniku Danta! Stawił go Ricci, ale coś równie pospolitego, nadętego a próżnego myśli, trudno sobie wyobrazić.

Wydaje on całą niemoc naszego wieku, a że olbrzymia postać Danta światy poezyi wyzywa, idzie się doń wymagając więcéj, niżeli największy artysta dał być w sile, otrzymane wrażenie jest bolešne, upokarzające.

Z dumnym napisem idzie daléj Macchiavelli, którego można cenić jako pisarza, ale niepodobna nie potępić, jako człowieka, co pierwszy politycznéj zbrodni dał sankcyę głośno, wyjmując ją z pod sądu moralności powszechnéj. Pomnik Alfierego przez Canovę i kilka innych imion ściągają oczy; mnogość z resztą przedmiotów i tu oglądanie ich utrudnia. Z nowych rzeźb oryginalnością i lekkością odznacza się pomnik pani Fauvreau przez pannę Fauvreau, z którego postać zmarłéj unosi się w powietrze.

Jednym z przedmiotów najciekawszych są niedawno odkryte z pod pobiały i wyrestaurowane przez Gustawa Bianchi (1853) freski Giotta. Nie ustępują one padewskim, a może je przewyższają. Giotto jest tu w całéj swéj potędze. Klasztor prócz tego, zakrystya, kurytarze obficie są przyozdobione jego malowaniami. W mnogich kaplicach pełno grobowców i obrazów różnych epok, różnéj ceny, panteon grobów i muzeum malarskie, jak prawie wszystkie florenckie kościoły. Szkoła Giotta jest tu panującą i najciekawszą.

Zapowiedziano nam Cenę Giotta w starym refektarzu klasztor-

nym, zapragnęliśmy więc po Wieczerzy Leonarda i Rafaela, zobaczyć koniecznie pomysł Giotta, który jako najstarsze pojęcie i przedstawienie téj chwili uroczystéj był dla nas najwyższego interesu.

Nie bez trudności wszakże przyszło się nam dostać do refektarza, wynajętego na fabrykę dywanów, mimo drogich zabytków sztuki, jakie zawiera. Izba ogromna była zabrukana, zarzucona krośnami, zastawiona rupieciami różnemi i ledwieśmy się tam przecisnąć mogli. Szczęściem ściana, na któréj ojciec sztuki włoskiéj przedstawił Wieczernik, dosyć się dobrze zachowała, malowauie zniszczone jeszcze nie jest zbytecznie. Giotto bardzo prosto usadowił swe postacie po-za długim stołem, nadał im wyraz nie tak silny, jak następcy, ale sceny téj uroczystość wypowiedział jasno. Z fresku jego widzi się, że aż do Rafaela i Leonarda w układzie była tradycya stała, od któréj nie odstępowano. Judasz tu, jak u Rafaela, posadzony osobno; głowa Jana spoczywa na łonie mistrza, apostołowie wielkiéj powagi, niektóre twarze bardzo piękne, spokój panuje wielki. Niech nikt nie wyrokuje z luźnych obrazków o Giotto, póki Santa Croce nie zobaczy, tu on jest cały dopiéro i w pełni sił, pojmuje się, jak wielkie i przeważne stanowisko zajął w dziejach malarstwa. Trzeba go porównać z temi, co go poprzedzili, i ocenić, jaki po nim postęp uczyniła sztuka, aby mu należną cześć przyznać. W Wieczerzy Giotta już jest nasionko cudownéj kompozycyi Leonarda; a Rafael ślepo się trzymał tego wzoru w układzie swojéj u San Onofrio.

Smutne wrażenie zrobił na nas ten osierocony klasztor, te fabryki w refektarzach i salach naigrawające się freskom, wyszliśmy smętni i powoli pociągnęliśmy na nasz plac Słomy do Yorku.

Nazajutrz następowała niedziela (27 czerwca), postanowiliśmy ją rozpocząć od obejrzenia katedry, któréj kopuła zdala panuje miastu kwiatów. Przechodząc po kilka razy codzień około kościoła, jużeśmy z dawna podziwiali wspaniałą jego powierzchowność, nie wpatrując się wszakże w szczegóły. Zasługuje on na baczniejsze obejrzenie.

Santa Maria del Fiore, wznosi się na niewielkim nieco rozszerzonym placu w miejscu gdzie stał kościołek św. Reparaty; poczętą była w r. 1294 wedle rysunku Arnolfa, kończona przez Giotta i 1332 r. Orgagnę. Olbrzymią kopułę, która nadaje charakter całéj budowie i służyła za wzór sławnéj św. Piotra w Rzymie, wzniósł Brunelleschi w 1421 r. Gdyśmy byli we Florencyi, główna facyata katedry stała nieukończona, chociaż wiemy, że niegdyś Giotto ją przyozdobił, i w r. 1586 dopiéro zmieniono ją na świeższą. Ślady tylko zatartych malowań z 1688 r. pozostały gdzieniegdzie. Całe ściany zewnętrzne wysadzone są marmurami kolorowemi, co nie czyni w budowie pięknego efektu, wygląda bogato, ale drobnostkowo, ale płasko

jakoś. Cieniowanie marmurów nie zastępuje wypukłości rzeźb i gzymsów. Historya wspaniałéj kopuły, która była podziwem współczesnych, jest zwykłą starą historyą potężnego talentu z przesądami i ciemnotą gminu. Brunelleschi, który badaniem pomników starożytnego budownictwa wzniósł się nad pojęcia i wiadomości wieku, wraz z innemi stawił się współubiegając o dokończenie katedry. Plany jego zdumiewały zuchwalstwem pomysłu i niezmierną trudnością wykonania. Olbrzymia kopuła zdawała się wszystkim niemożliwą. Myślano o najdziwaczniejszych środkach podtrzymania sklepień w czasie ich wznoszenia, a gdy pewien siebie architekt podejmował się bez nadzwyczajnych rusztowań, bez żelaznych więźni, bez onéj góry z ziemi, którą pod spodem usypać chciano, zbudować kopułę owalną, wyśmiano go i wypędzono jako szaleńca. Nadzwyczaj trudno było przezwyciężyć upór przeciwników, naostatek, jak na próbę, pozwolono mu wznosić budowę do pewnéj wysokości, ale dodano, jakby dla nadzoru i pomocy Ghibertego, któremu w innym razie Brunelleschi wspaniale ustąpił był miejsca. Ghiberti przyjął ofiarowane sobie współpracownictwo, lecz pozostawiony własnym siłom musiał się go zrzec i Brunelleschi sam już kończyć musiał budowę kopuły, która jako pomysł i wykonanie jest wistocie arcydziełem. Wtajemniczeni tylko w budownictwo mogą ocenić wielkie trudności zadania, tak umiejętnie, gienialnie przezwyciężone.

Kopuła ta potężna i wspaniała poprzedziła o lat sto św. Piotra rzymską, od któréj jest *większą*, wprawdzie o jednę tylko stopę. Jest to więcéj dzieło budownictwa niż sztuki, ale zdala dopiéro całą jéj piękność ocenić można. Wewnątrz katedra jest piękną, wydaje się wszakże pustą i chłodną, mimo swych marmurów i ozdób. Nic zresztą tu nie pociąga oka, nie uderza nadzwyczajnością, a wielkość kościoła nie wypełniona, czuć się daje, jak próżnia. Rzeźby Donatell'a, kilka posągów i pomników giną w tym ogromie.

Zwróciliśmy się nazad do kościoła św. Jana, aby drzwi jego oglądać pilniéj i inne szczegóły budowy, wśród których piękny Chrzest Chrystusów nad drzwiami wschodniemi, Andrzeja Sansovino, szczególniéj się odznacza.

Drzwi obojga Ghibertego napatrzyć się nie można, tak są piękne, tak nieporównane z niczém, ale i starsze od tych dwojga z rysunków Giotta, przy tych arcydziełach mają wysoką wartość. Są one jak fresk Masaccio przy Rafaelu skazówką ubieżonéj drogi.

Któżby uwierzył, że we wnętrzu kościoła, którego posadzki dotknęły stopy Danta, którego drzwi zachwycały Michała Anioła, znaleźliśmy na ołtarzach *dzisiejsze* posągi z *papier maché*, najobrzydliwszéj trywialności! Wiek nasz położył tu swe piętno, cofnęliśmy się oburzeni ze zgrozą od widoku téj profanacyi! *Firenze la bella*, na cóż

ci to zeszło nieszczęśliwa, tobie, którą stroiły niegdyś nieśmiertelne mistrzów dłonie, tobie, dla któréj nie było nic nadto wspaniałego, coś wydała całe plemię artystów i całe światy dzieł sztuki!

Ze wstydem na czole wyszliśmy z chrzcielnicy, w któréj kątku, na wschodkach ołtarza dwoje zakochanych, chłopak i dziewczynka, najspokojniéj w chłodzie grali w *far l'amor.* Świętość miejsca nic im do tego nie przeszkadzała, miłość ich była czysta, siedzieli, uśmiechali się, szeptali, a chłopak bardzo do ust się przybliżał.

Skończyliśmy na tém przegląd dzisiejszy, który trwał do późna i szliśmy spocząć, gdy szalony jakiś tłum i rozgorączkowana ciżba przeciągnęła koło nas ze świstem, krzykiem, głosami wesołemi, śmiechy i klaskaniami. Nie wiedzieliśmy, co to znaczyć mogło, i posądziliśmy spokojnych Toskańczyków o jakąś manifestacyę polityczną, gdy rzecz się wyjaśniła tém, że to był pochód zwycięski owéj biednéj szkapy, która w dzień świętego Jana zwyciężyła na Corso.

Dziś we Włoszech spotyka się tak często po ulicach chorągwie, chóry śpiewaków, gromady ludu roznamiętnionego, że nikogoby nie zdziwił pochód podobny, ale w 1858 r. koń tylko podobną emancypacyę uczuć i ust usprawiedliwiał. Nie przeciągnęła się téż nad miarę i z odprowadzeniem rumaka do stajni wszystko powróciło do ciszy i porządku.

Przeszedłszy się ponad Arno, pobłądziwszy w ulicach, wróciliśmy dosyć późno, a że wieczorem napełniały się wspomnieniami albumy, przesiedziałem dość długo jeszcze, szukając potém snu napróżno, bo mi uciekł od powiek. To mnóstwo widzianych arcydzieł, ta liczba przypomnień tak olbrzymia, przepełniała głowę zniepokojoną... Jużem przecie zdrzemnął się nieco, gdy nagle dziwnie jakoś tętnić począł dzwon u *S. Maria del Fiore* Dźwięk jego miał w sobie coś tak smętnego i poruszającego, że do reszty wybił mnie ze snu, wołał on jakby do ognia, do pożaru, do grożącego jakiegoś niebezpieczeństwa. Dosyć długo, zwolna, przeciągle odzywał się wśród nocnéj ciszy, niezrozumiałym dla mnie głosem, w którym smutek tylko był wyraźny.

Nazajutrz dopiéro z rana dowiedziałem się, że dzwonią w ten sposób na bractwo *Misericordia,* którego obowiązkiem jest przybywać wraz z księdzem do łoża zmarłego, szczególniéj ubogich. Przynosi ono z sobą modlitwy, a tych, których niéma za co pogrzebać, swym kosztem po chrześcijańsku na wieczny odprowadza spoczynek. Bractwo to nosi kapy osłaniające suknie i twarze. Członkowie jego nieznają się podobno między sobą, lecz większą część składają ludzie możni. O któréjbądź godzinie odezwie się ów dzwon u S. Maria del Fiore, bracia wstają z łóżek, wdziewają kapy i idą do kościoła, a księdzem do umierającego.

Zapomniałem tu zapisać przygodę moję *z kamieniem Danta*, dla nauki podróżnych, jak ja naiwnych, muszę o niéj wspomniéć słowo.

Sasso di Dante! wyobrażałem sobie kamień, na którym poeta spoczywał; postanowiwszy zwiedzić miejsce uświęcone przez wielkiego, przez największego poetę średnich wieków; odbywszy pielgrzymkę na ulicę Ricciarda, do domu przodków Alighierego (którego małe wnijście zachowano do dziś dnia nietkniętém), chciałem znaleść sam ów kamień Danta i poszanować go w skupieniu ducha, nieprzerywaném szczebiotaniem jakiegoś tam Custod'a lub Cicerone.

Wiedziałem, że kamiań znajdował się na placu katedry, powolnie i z uwagą obszedłem go dokoła, raz, drugi, trzeci, ale wydatniejszéj ławy, kamienia, siedzenia nigdzie.

Byłem zawstydzony moim brakiem przenikliwości. Spytałem jednego z przechodzących, wskazał mi prawą stronę katedry i odszedł; skierowałem się znowu z poszukiwaniem drobnostkowém i wróciłem upokorzony. *Sasso di Dante* znaleść mi się nie dawał. Z rozpaczy i niecierpliwości musiałem wziąć chłopaka, który mnie do niego doprowadził.

Niestety, ten kamień Danta, była to marmurowa płyta wyszlifowana i wprawiona w ścianę! jakże się go tam było domyśléć? W mojéj wyobraźni wyglądał tak poetycznie nieobrobioną bryłą starą, a w téj ścianie miał zupełnie fizyognomię pięknego wierzchu od olbrzymiego pudełka. Smutno mi było. Wytłómaczyli Florentczycy, że Dante siadywał wprawdzie w tém miejscu wieczorami, ale nie na tym kamieniu.

Co za przecudny obraz dla malarza, ten Dante w staréj Florencyi przypatrujący się z cichym smutkiem otaczającym go gmachom, miastu, po którém tak krwawemi i ognistemi łzy miał płakać na wygnaniu!

Przypomniałem sobie początek téj pieśni piekła: (XXVI.)

Ciesz się, Florencyo! ty jesteś tak wielką,
Że skrzydły sięgasz za lądy i morza
I w piekle nawet twe imię się szerzy.

Spóźniliśmy prawie naumyślnie szczegółowe obejrzenie najpiękniejszego placu Florencyi, o którym zaledwie wspomniałem słowem.

Wnijdźmy nareszcie na *Piazza della Signoria*, który stanowi serce grodu, i stańmy tak, aby oko objęło i mury i posągi, któremi jest zastawiony. Widok palacu starego (*palazzo vecchio*) najpierwéj ściąga oczy. Jest to budowa ciężka, wielka, widocznie stawiona tak, aby się w niéj bronić można i trzymać jak w twierdzy, ponad nią wieżyca zamków feudalnych. Całe wieki rzeczypospolitéj dziejów wypi-

sane są temi murami pełnemi ogromnego charakteru, temi zębatemi szczyty, otworami ciasnemi, strzelnicami. Ale u spodu już spokojniejszy czas postawił cały szereg posągów. Groźna ta massa ciosów została tylko pamiątką przeżytych burz, przelanéj krwi i wrzawy ludu, który niegdyś, spokojny dziś plac ten, krzykiem wypełniał.

Zaraz u wnijścia spotykamy się z dwoma kolosalnemi posągami. Na Dawidzie ciąży imię Michała Anioła i Dawid nie wydaje się nam godnym tak wielkiego artysty.

Ale rzeźbiarz miał naówczas lat dwadzieścia kilka, a posąg powstał z nadpsutéj bryły, którą Duccio z Fiesole obrobił nieco i porzucił. Uprosił ją Buonarotti, zamknął się z nią i z tego złomu wywiódł Dawida, który zadziwia tylko łatwością, z jaką został zrobiony. Na lewéj ręce Dawid nosi ślad naprawy... był ktoś silniejszy nad niego, to ten Goliat tłum burzliwy, który w r. 1527 złamał mu marmurowe ramię. Pałac olbrzymi i na straży téż olbrzymy, z drugiéj strony Herkules i Kakus Bandinellego. Wygląda ta grupa sztywnie, chłodno i niesmaczno, może być dziełem wielkich zalet, ale małego życia, Herkules inaczéj pewnie zabijał, a Kakus śmiertelnemu ciosowi się obraniał. Oba mają minę niedobrych aktorów, którzy na seryo téj historyi nie biorą. Ale przystrajają wspaniale wnijście do tego pałacu, na którym jeszcze stoją te słowa, znamionujące republikańską epokę bytu Florencyi:

Jesus Christus Rex Florentini populi S. P. Decreto electus.

Przypomina to mimowolnie królowę korony polskiéj, Maryę, za Jana Kazimierza wybraną i ogłoszoną.

Podwórzec zawiera oprócz tego fontannę porfirową i kilka przy niéj rzeźb malowniczo przystrajających wnijście do gmachu.

Nie tu jednak głównych ozdób szukać potrzeba; obok stoi *Loggia de Lanzi,* portyk wzniesiony przez Orgagna w 1370 r., architekturą przeczutą, która zwiastowała nadejście *odrodzenia.* Pod tym portykiem zbierali się na posiedzenia urzędnicy rzeczypospolitéj, on zastępował trybunę, z niego przemawiano do zgromadzonego na placu ludu. Wspaniałe dzieła rzeźby przyozdabiają Lożę tę i czynią z niéj małe muzeum, godne jaknajpilniejszego obejrzenia. Nie mówimy już o tém, ile się ona przyczynia do wypełnienia pięknego i pamiątkowego placu przed pałacem starym. Tu stoją: dwa lwy kolosalne, z których jeden jest starożytny, sześć dawnych posągów kobiecych, porwanie Sabinki przez Jana z Bolonii, grupa Herkulesa z Nessusem tegoż, grupa Ajaksa umierającego i żołnierza starożytna, Judyt Donatella i ów sławny Perseusz Benvenuta Cellini.

Z tych wszystkich porwanie Sabinki i Perseusz zwracają oczy pięknemi liniami i gienialném wykonaniem. Grupa Jana z Bolo-

nii składa się ze trzech postaci, obalonego Sabina, Rzymianina i unoszonéj przezeń kobiety; układ ich jest niezmiernie szczęśliwy, ruch i życie ogromne, mistrzowstwo kształtów wielkie.

Zadanie dla rzeźby było trudne, a przezwyciężenie go bardzo szczęśliwe, ale jest to już skulptura czasów, na którą grecki smak i greckie nie poważyłoby się dłuto; jest to wyraz namiętności wybuchu, coś przerażającego skamieniałym ruchem, czyniącym na widzu wrażenie przykre... drażniące. Rzeźba pierwiastkowa wybiérała zawsze przedmioty i uczucia tchnące powagą i spokojem, na greckich marmurach nawet walka przyobleka się jakąś powagą wielką, przedstawia się w chwili końca, w ostatecznêm zwycięstwie, nie w jednym z momentów krótkich, ujętych z pośrodka jéj. Dopiéro w Rzymie spotykamy posągi coraz miotające się żywiéj, a w nowszych czasach realizm nie oglądający się na chwilę, jaką wybiéra, i sięgający po to, czego osiągnąć nie może. Grupa Jana z Bolonii liczy się do znakomitszych dzieł rzeźby nowéj i nie bez przyczyny; jest przepyszną jako dzieło sztuki, ale mimowolnie przychodzi na myśl, dlaczego artysta chciał tryumf siły uwiecznić? Można w historyi Rzymu znaleść usprawiedliwienie tego gwałtu, ale posąg powinien mówić jasno bez komentaryusza .. Perseusz Celliniego! mimo wielkich zalet i piękności... powiedziałbym, że zdradza w rzeźbiarzu przywykłego do drobnéj snycerszczyzny złotniczéj; tych wielkich linij rzeźby starożytnéj, téj prostoty, jaką ona oddycha, próżnoby szukać, ale jest wytworny, zręczny, wdzięczny i wykonany prześlicznie, a nadewszystko jest to dziécię boleści i trudu. Jakże cudnie opisuje on w swoich pamiętnikach odlanie Perseusza, trwogę o niego, namiętność artysty, z którą do kruszcu rzucił wszystkie swe półmiski i naczynia, aby przyspieszyć odlew...

Pod arkadą, od strony podwórza galeryi Uffizi stoi niewielka grupa bronzowa Donatella Judyt i Holofernes, dziwaczna, może nie piękna... ale wielkiego znaczenia, bo Holofernes ten stanął po ucieczce Piotra Medyceusza... i nadano mu napisem położonym wagę groźby: *Exemplum salut. publ... cives posuere MCCCCXCV*. Niektórzy podróżni porównywają ten plac *della Signoria* z placem S. Marka w Wenecyi; nie zaprzeczamy mu piękności wielkiéj, ale nie dorównywa przecie pierwszemu... Niéma tu S. Marka; sam pałac stary nie stoi na równi z dożów pałacem, jedna Loża Orgagni ze swemi posągami godnąby była Wenecyi...

Nie będziemy czytelnikom zdawali sprawy z powtórnego obejrzenia galeryi, wogóle nic zmieniło się zdanie nasze o arcydziełach, któreśmy oglądali pierwszą razą, pomnożyły się notaty o wielu mniejszych obrazach, ale te zaledwieby w obszerniejszych dzie-

jach sztuki, miejsce znaleść mogły. W Uffizi cały dzień przesiedziéć, opuścić je znużonemu śmiertelnie i poczuć dopiéro to znękanie na progu—to zwykły los zapalonych miłośników sztuki. Wyjść stąd trudno, zwłaszcza gdy człowiek niewielką ma nadzieję kiedykolwiek powrócić.

Poszliśmy na odpoczynek do *Annunziata* umyślnie tylko dla zobaczenia Madonny Andrzeja del Sarto zwanéj *Madonna del Sacco*. Oprócz niéj klasztor i kościół zawierają wiele ciekawych fresków, które oglądać należało. Kościół sam jest świeżo i przepysznie odnowiony, poprzedza go rodzaj portyku oszklonego okrytego freskami... Za późno chwycono się tego środka ocalenia ich od zniszczenia!!

Fresk Madonny znajduje się nad drzwiami z kościoła w krużganki wiodącemi... (klasztor należy do Serwitów *Servi di Maria*). Kompozycya jego bardzo prosta, Matka Boska z dziecięciem Jezus siedząca, a z boku Ś. Józef z księgą oparty na worku (*sacco*)... Twarz Dziewicy Matki dziwnéj świeżości i dziewiczego wdzięku, którego kopie i sztychy, jakie znamy, wcale nie odtwarzają; dziécię bardzo ładne, ale już nie tak wdzięczne jak ona... Niéma tu powagi Madonn Rafaelowskich, ani anielskiéj niewinności i czystości Fra Angelica... świeżość, naiwność téj postaci czysto ziemska, przecudnie wydana, łagodność i słodycz stanowią jéj cechę główną... Jest to archetyp Madonn Andrzeja del Sarto, najcudowniejszy, lecz cóż to za różnica od starszych mistrzów, nawet od mistrza z Urbino! Tamte postacie są boskie, są święte, są nieziemskie, ta jest cudną, ale tylko znikomą istotą, w któréj promienieje młodość... Tamte są pięknemi, ta jest wdzięczną...

Pojąć się daje uwielbienie dla niéj tych miłośników malarstwa, którzy głębiéj się nad niém nie zastanawiają; dla innych ona stanowi przejście do typu czysto ziemskich Madonn końca XVI i XVII wieku.

Malarze pierwotni mieli jakby widzenia niebios, malowali z wiarą; późniejsi brali wzory ludzkie i nad najwyższą piękność dziewiczą podnieść się nie mogli.

Oprócz Madonny w portyku przed kościołem są piękne freski Andrea del Sarto w części popsute i odnawiane. Malowali tu i inni: Baldovinetti i Roselli, ale ci nikną przy Andrzeju. Ś. Filip oddający płaszcz trędowatemu bardzo piękny, choć uszkodzony. Św. Filip i gracze, również nieszczęśliwie restaurowany oprócz postaci pierwszego planu. Ś. Filip wypędzający szatana z opętanego (mocno zbladły), naostatek śmierć świętego, w którym on i dzieci umarłe są przepyszne, a uleczenie chorych przyłożeniem sukni świętego, najpiękniejszy ze wszystkich. W głębi stojący mnich,

siedzący nagi żebrak, drugi który się zbliża, wielkiéj są piękności; zachowana wybornie całość dozwala sądzić, czém były inne, nim je restauratorów ręka dotknęła...

Z drugiéj strony, w Narodzeniu N. Panny, bardzo wdzięcznym obrazku, wskazują portret żony malarza, pięknéj blondynki i oprócz tego kilka ślicznych twarzy kobiécych.

W samym kościele dwa najsprzeczniejsze w świecie dzieła sztuki, Wniebowzięcie Perugina i część Sądu ostatecznego Michała Anioła przez Allorego. W pierwszym niebiańska prostota sztuki pobożnéj, w drugim siła i potęga pogańskiego malarstwa żyjącego o własnym duchu. Chrystus Michała Anioła jakże groźny i jowiszowski, jego Matka Boska jak onieśmielona i wylękła!! Przyznać trzeba, że mimo niechrześcijańskiego pojęcia tego „*Dies irae*" odmalował go Buonarotti z niesłychaną potęgą przerażenia... Nie jest to dzień Sądu, jest to dzień *pomsty* bożéj.

Długo rozpatrywaliśmy obrazy *Annunziaty* i piękne rzeźby Jana z Bolonii w jednéj z kaplic... przeszliśmy potém na plac katedry, aby się jéj przyglądać jeszcze... i posągom olbrzymim Pompeloniego, wystawującym architektów kościoła Arnolfo di Lapo i Brunelleschiego...

Trafiliśmy przypadkiem, o co we Florencyi nie trudno, na dom sierot, założony jeszcze w XIII wieku, z pięknemi rzeźbami i resztkami fresków, które nas zastanowiły. W mieście tém sztuka była życia potrzebą i wykwitała wszędzie, gdziekolwiek dla niéj kątek się znalazł wolny. Od 1248 r. po dziś dzień zakład ten dla sierot trwa i utrzymuje się...

Jużeśmy mieli powrócić do domu, gdy pierwszych dni posługujący nam przewodnik odezwał się przechodząc i witając:

— O! toście téż już pewnie być musieli i u waszzgo współziomka *Il Signor Conte* (wszyscy jesteśmy hrabiami we Włoszech i w Niemczech), który ma pracownię na *Borgo Santa Croce*, w *Antica Casa Orsini*...

— Dotąd nie...

— Chcecie? to was zaprowadzę... *Il Signor Conte* jeszcze być musi w mieście, bo codzień odjeżdża do domu na wieś, a mieszka... za Fiesole.. w *Castel Poggio*...

Łatwo się dałem namówić, bom sobie przypomniał w téj chwili znane mi dobrze imię pana Emila Boratyńskiego, którego niejednę piękną widziałem pracę, a ostatnio kopie portretów Zygmunta III i jego żony, robione dla A. Przezdzieckiego.

Pan Emil Boratyński ma tu oddawna swą pracownię i jest *Professore della Pittura* a członkiem nie wiem wielu akademij, nie wyjmując rzymskiéj Ś. Łukasza. Ożeniony z Angielką, spędza

szczęśliwie chwile poświęcone sztuce, którą ukochał i rodzinie drogiéj dla niego, w stolicy malarstwa... otoczony arcydziełami, wśród nieustającéj i najrozmaitszéj pracy.

Bardzo szczęśliwie zastałem naszego ziomka w jego pracowni jeszcze, otoczonego mnóstwem porozpoczynanych, skończonych, naszkicowanych portretów, krajobrazów, kompozycyj przerozmaitych. Wszystko to jaśniało talentem, kolorytem żywym, świeżością barw prawdziwie włoską, wykonaniem łatwém i świetném. Studyum kobiéty z Albano, kilka głów kobiécych, śliczny pejzaż zimowy, odznaczały się szczególniéj. Wpośrodku wspaniale się rozlegały dwa wielkie, piękne, w całych figurach wizerunki dwóch kobiét... niezapłacone... oczekujące... na które spojrzawszy pożałowałem pana Boratyńskiego, że jeden z nich malować był zmuszony...

Figura była mi dobrze znaną, osobliwsze zrządzenie opatrzności z kuchni przeprowadziło ją pod książęcej mitry paludamenty... ale tytuł, ani suknie nie odjęły oblicza, które młodość spędzona przy rondelkach nadała...

Dwa te portrety, księżnéj pani i córki jéj... przedstawiały dwa ciekawe typy... Na twarzy matki cała trywialność najpospolitsza w świecie pracowitéj niewiasty, obałamuconéj włożonym atłasem, tytułem i milionem... na twarzy córki wypieszczenie bogactwa, samowola jedynaczki, zawrót głowy, jaki sprawia nagle zdobyte położenie towarzyskie niespodziane.

Przyszły mi na myśl wszystkie pocieszne historye, których się nasłuchałem dosyć w moich stronach... i nie tyle ubolewałem nad unieśmiertelnioną przez Boratyńskiego głupotą matki, co nad losem biednego rozpieszczonego dziecka... Wiele lat ubiegło od 1858 r., nie wiem, co się tam stało z tą rodziną, ale portrety muszą jeszcze stać w *antica casa Corsini*, bo wątpię, by je księżna wykupiła.

Wieczór był tak prześliczny, żeśmy postanowili odwiedzić *Cascine*. *Cascine* są we Florencyi tém, czém Champs-Elysés w Paryżu, tu się popisują panowie z powozami i końmi, młodzież z wierzchowcami, panie ze strojami i wdziękami, tu się robią i odnawiają znajomości, zawiązują stosunki miłosne, po cichu szepczą małe ploteczki powszednie; tu w niedziele i czwartki przy muzyce ukwieceni panicze stoją przy powozach wśród rozmowy nieznaczącéj rzucając słówko często całą zawiązujące przyszłość... Przechadzce téj otoczonéj prześlicznemi drzewy, których pnie okrywają malowniczo bluszcze, ciągnącéj się nad Arno i zielonemi łąkami, wielkiego wdzięku odmówić nie można. Piękności florenckie i kwiaty, których tu wszędzie pełno, na jednę wonną składają się wiązankę... Dla obcego zupełnie człowieka, który tu przybywa z ciekawością tylko wędrowca, Cascine nie są zapewne tak miłe i zaj-

mujące jak dla mieszkańców Florencyi, ale z nich można wyczytać charakter tutejszego życia, przepychu, zbytku, miękkości. — Widzi się łatwość stosunków przyjemnych, nie sięgających głęboko, ale umilających godzinę... Twarze są uśmiechnięte, spokojne, zalotne, postawy dobrego towarzystwa i dobrego tonu, stroje wytworne a niekrzyczące; rzekłbyś, że tradycye Dekameronu Bocaccia nie wygasły, przerobiły się tylko w formie wiekowi właściwéj i pokryły krynolinami... W pośrodku Cascine stoi pałacyk, około którego zatrzymują się powozy a znajomi poczynają rozmowy... Chociaż to była tylko zwyczajna niedziela, przepych w powozach, strojach, liberyach, znamionował liczną arystokracyę i obyczaje arystokratyczne. Pytając o imiona właścicieli, książąt i hrabiów, obcych i miejscowych, naliczyliśmy nie mało.

Na wielkim gościńcu ku Pistoi, o milkę od wrót miasta, znajduje się *Villa San Donato in Polverosa,* przy któréj jest przepyszny pałac i park ks. Demidowa. Mieszkańcy osady trudnią się szczególniéj wyrobem słynnych florenckich kapeluszy słomianych. Przystęp do tego zaczarowauego zamku jest tak trudny, że się o niego nawet starać nie mieliśmy ochoty. Przeszedłszy kilkakroć po alejach i napatrzywszy się na łąki zielone, na stare drzewa, na młodych ludzi i na płowe Arno, powróciliśmy zwolna przez *Porta al Prato* do miasta. Po ulicach, jak w Wenecyi na placyku, rozminąć się nie było można z wszelkiego rodzaju przekupniami począwszy od kwiatów do starych książek...

Cukierki, owoce, wodę, limonadę, rozwożono na wózkach, noszono, wykrzykiwano, a po rogach ulic, w sklepikach i straganach ten handelek żywszy był jeszcze... Śmiechy wesołe, śpiewki ciche, szepty miłośne, mijaliśmy nieustannie i niemożna powiedziéć, by stan Florencyi wydawał się nam smutnym, szczególniéj w porównaniu z tą smętną królową Adryatyku... Jeśli nie było szczęścia, to wiele rezygnacyi przynajmniéj lub płochości, która o niedoli dozwala zapomniéć.

Mając list polecający z Medyolanu do szanownego starca J. P. Viesseux, odwiedziliśmy jego czytelnię tego wieczora. Viesseux tu od lat trzydziestu ze swemi salonami, biblioteką i wydawnictwem kilku pism peryodycznych, stanowi duchowego życia ognisko. Imię jego znane jest każdemu, nawet literaturze obcemu, skromny początek czytelni urósł późniéj w rodzaj europejskiego klubu, a w tym pałacu starym przy *piazza Santa-Trinità,* duchowe życie najpiękniejszéj części Włoch długo w cichości się skupiało, świętą piastując iskierkę. Viesseux był wydawcą kilku z kolei zbiorów literackich peryodycznych, które nieszczęśliwe losy spotykały, gdyśmy byli we Florencyi, nie mogąc już innego, wydawał jeszcze

Agrario Toscano, dziennik rolniczy... do którego resztka się życia zewsząd wygnanego, chroniła.

Oprócz niego następne pisma wychodziły w stolicy Toskanii w r. 1858 (dziś ich trzy razy jest więcéj): *Monitore Toscano*, urzędowy organ władzy, *la Gazetta dei Tribunali*, *l'Arte*, dwa razy w tygodniu, *La Speranza*, dwa razy także ukazujący się literacko-artystyczny, *Lo Spettatore* raz w tydzień, dziennik sztuk, nauk i literatury, *la Gazetta Medica Italiano-Toscana*, tygodniowa, druga podobnéj treści, nareszcie *Akta* Akademii ekonomicznéj, i rolniczéj Georgofilów (u Viesseux) i *Letture di Famiglia*... Właściwego dziennikarstwa, jak widzimy, nie było wcale, Monitor starczył za wszystko.

Po przyłączeniu Toskanii do królestwa włoskiego, nie mówiąc już o dziennikach politycznych i humorystycznych wszelkiéj barwy, swoboda słowa wyrodziła szczególniéj wielką liczbę pism satyrycznych i humorystycznych. Długo pozbawieni ich ludzie rzucili się ku nim z żarłoczną chciwością... nie można się dziwić temu, ani gwałtowności początkowéj tych pisemek, które powoli wszakże poważnieją pojmując, jaki wpływ wywierać mogą... Historya karykatury politycznéj i rysunku tendencyjnego będzie kiedyś ciekawą kartką dziejów literatury i kraju.

Ale w r. 1858 salon p. Viesseux był bardzo cichy i spokojny, mówiono w nim wzdychając o rolnictwie, o literaturze... bardzo oględnie o czém inném, choć około sto różnych dzienników we wszystkich europejskich językach stoliki zalegało. Starcowi, który dobrze był zasłużony krajowi, Opatrzność dozwoliła dożyć zjednoczenia Włoch i umrzéć niedawno, spokojnemu o przyszłe ich losy...

Nazajutrz rano pojechaliśmy naprzód za Arno do *San Spirito* (augustyanów) niedaleko mostu *Santa Trinità* położonego... Kościół z powodu święta, zastaliśmy przepełniony ludem, trudno go było oglądać. Po mszy probowaliśmy doprosić się do fresków Perugina w dawnym refektarzu, ale nam otwarcie odmówiono. Jak u Santa-Croce refektarz jest najęty na fabrykę dywanów, tak tutejszy służy za skład mebli stolarzowi i w dzień świąteczny nie było go komu pokazać. W samym kościele formą bazyliki zbudowanym przez Brunelleschiego, wielce wspaniałym i obszernym, ale od frontu jak inne nie skończonym, wiele byłoby do widzenia zapewne, gdyby on był jedynym do oglądania... W piérwszym ołtarzu od wnijścia znaleźliśmy zaraz Pietro di Cosimo *Asuntę* z kilku świętemi, surowego i pięknego stylu. Święty starzec z prawéj strony, ślicznie wymodelowany, trup leżący na ziemi, wystudyowany znakomicie... Wspomniéć jeszcze należy kopią *Piety* Michała Anioła zmniejszoną i, silnie odnowiony na nieszczęście, obraz Perugina, z którego tylko para pięknych twarzy pozostała.

Siedziałem na ławce naprzeciw ołtarza, przy którym się msza odprawiała, gdy jakaś jejmość weszła żywo, usiadła przy mnie i nim zaczęła się modlić, spytała:

— *La messa è buona?*

Zrazu nie wiedziałem co odpowiedzieć, na dziwne dla mnie pytanie, alem się domyślił, iż szło jéj o to, od jak dawna się zaczęła; objaśniłem więc przybyłą i szukałem później sam objaśnienia, które mi dano... Nie liczy się za wysłuchaną msza, gdy na nią trafi się po *Sanctus*... *buona* jest tylko przed ofiarowaniem... Wyrażenie to o mszy ma charakter zupełnie włoski, msza nie jest już *dobrą*, jeśli jéj sobie *policzyć* nie można...

Na tém skończywszy pobieżny bardzo przegląd kościoła, udaliśmy się do *Or San Michiele*. Jest to z pewnością jeden z najoryginalniejszych kościołów we Florencyi. Naprzód z powierzchowności tego wysokiego kwadratowego budynku gotyckiego, niktby się nie domyślił w nim kościoła, prędzéj daleko wygląda na kamienicę lub na śpichrz, którym był niegdyś.

Historya budowy ciekawa, z bogatych ozdób u wnijścia trudno ją odgadnąć. Stał tu niegdyś kościołek stary *San Michele in Orto*, po zniesieniu go Arnolfo di Lapo w 1284 r., zbudował na jego miejscu śpichrz na zboże, słupy murowane i dach. Zniszczył go pożar. W 1337 r. Taddeo Gaddi podniósł ruinę, dodał piętra, a Andrzéj Orgagna portyk wypełnił i przerobił na kościół, nad którym jednak mieszczą się archiwa. Przyozdobiony jest dziś wspaniałemi posągami bronzowemi we wgłębieniach stojącemi, na które składały się wszystkie cechy i bractwa Florencyi: niezrównanie téż piękny i bogaty mimo niewielkich swych rozmiarów.

Do najznakomitszych utworów Donatella należy od strony południowéj stojący Ś. Jerzy, pełen siły, życia i młodości.

Posągi te wszystkie wielkiego stylu są wspaniałym zabytkiem florenckiego rzeźbiarstwa, a kamieniczka niemi obsadzona prawdziwym klejnotem.

Wewnątrz budowę podzielają słupy idące środkiem kościoła; w prawo zaraz z rysunku Orgagna jest wystawione delikatnie gotycko rzeźbione tabernaculum, mieszczące w sobie cudowny obraz N. Panny... kamień szary stanowi tło, na którém z kunsztem niezmiernym wysadzono igły, dzwonniczki, kwieciste ozdoby z kosztownych kamieni i marmurów różnokolorowych. Wykonanie téj koronki mozajkowéj kosztować miało 96,000 dukatów, które w połowie XIV wieku więcéj daleko niż dzisiaj znaczyły. Obraz cudowny malował Ugolino z Sienny w XIII w. Całość wistocie bardzo piękna w swoim rodzaju; ale o małobyśmy nie przenieśli nad nią płaskorzeźby *Lucca della Robbia*, tego mistrza, co w glinę

potrafił wlać życie i który był pierwszym i ostatnim swego kunsztu.

Na jednym ze słupów ukazują wiszący krucyfiks, do którego ś. Antoni modlił się będąc dziecięciem...

Pozostał jeden jeszcze z najciekawszych kościołów Florencyi, *Maria Novella*, postanowiliśmy więc pospieszyć obejrzéć go tegoż dnia z zamiarem powrócenia raz drugi, jeśliby czas pozwolił. Kościół sam na dość obszernym placu stojący, nie jest wcale piękny, architektura pospolita, nieznacząca, pstre wysadzania różnobarwnych marmurów dziwacznie się wydają i nie zastępują na szerokich a pustych ścianach, cieni i świateł, które wgłębienia i wypukłości nadają.

Szereg tylko gotyckich arkad stojących z prawéj strony, starsze pochodzenie budowy przypomina...

Sam plac pełen już jest pamiątek, w 1340 roku rozszerzono go dla Piotra Męczennika, który tu kazał do ludu przeciwko szerzącéj się sekcie *Paterinów*. Wiele uroczystości ludowych odbywało się na nim, a jedna z nich ustanowiona przez Kozmasa I w 1563 roku, utrzymała się do naszych czasów. Spóźniliśmy się na nią do Florencyi o dzień jeden, jest to *corso* czterech wozów czterokonnych wyścigających się (*quadrighe*). Jeden z nich jest zielony i zowie się *Prasina*, drugi czerwony *la Bussata*, trzeci niebieski lazurowy *la Veneta*, czwarty biały *l'Alba*. Wóz, który najszybciéj obieży dokoła plac trzy razy, wygrywa sztukę materyi karmazynowéj bogatéj (*palio di damasco cremisi*). Widzowie mieszczą się na rusztowaniach dokoła placu ustawionych. Dwie małe piramidy marmurowe są to mety wyścigów, wystawione w r. 1608; stoją one na bronzowych żółwiach Jana z Bolonii.

Wewnątrz niéma już śladu gotycyzmu, nawa podzielona wzniosłemi słupami na trzy części, tém jest szczególna, że dla uczynienia jéj na oko większą, arkady w głębi nieco zwężono umyślnie. Robi to złudzenie optyczne. Wprowadzono nas nie do kościoła, który się odnawiał, ale do kaplicy hiszpańską zwanéj (*degli Spagnuoli*), przyozdobionéj ciekawemi freskami T. Gaddi i S. Memmi, dosyć szczupłéj i ciemnéj. Wprost wnijścia jest wielkie Ukrzyżowanie, z tłumem osób otaczających Golgotę, dosyć szczęśliwie ugrupowanym. W pośrodku Chrystus konający na krzyżu, nad złym łotrem szatani, aniołowie nad dobrym... W tłumie niewiasty święte, wojsko, mnóstwo postaci charakterystycznych; jest to karta do dziejów malarstwa, nad którą długoby zastanawiać się można... zajmujący także jest fresk po lewéj stronie od wnijścia, który przedstawia *kościół wojujący*.

Dół obrazu zajmują siedzący czternastu świętych i ojców ko-

ścioła, poważne postacie pełne wyrazu; podziwiać potrzeba na owe czasy gienialną kompozycyę, kilka figur potężnie pojętych.

Nad niemi wznoszą się niewiasty święte w téjże saméj liczbie. Twarze niektórych pełne wdzięku, postawy dziwnie proste a mistrzowsko pomyślane. Ciekawym wskazują tu portrety Laury, Bokacyusza, Petrarki, Cimabuego, Memmi. Wyżéj jeszcze stoi olbrzymi Dominik Święty z księgą, wskazujący prawą drogę, otoczony przez panujących i papieżów... W niebiosach Chrystus...

Na pierwsze wejrzenie zdaje się to suche i sztywne, ale pojedyncze figury są wielkich zalet, a powiązanie ich z sobą często bardzo udatne.

Stąd szliśmy do odnowionéj zakrystyi, gdzie jest pięknie przyozdobiony lawaterz Lucca della Robbia (z figurami i ornamentacyą jak on je tylko wykonywać umiał) i trzy relikwiami otoczone obrazy Fra Beato Angelico. Z tych jeden *Zwiastowanie* jest prawie powtórzeniem fresku u Ś. Marka, jak i koronacya Matki Boskiéj, u dołu tylko figury inne. Typy Maryi zawsze też same niezmienne, nieziemskiego są wdzięku, wykonanie miniaturowo wykończone...

W kaplicy Strozzich ukazują wielkie freski Andrzeja Orgagna, ciekawe choćby dla porównania z pizańskiemi. Na lewéj ścianie chwała błogosławionych, z prawéj piekło. Obie kompozycye choć symetryczne, są wielce zagmatwane. W raju ustawione figury szeregami jedne nad drugiemi, każdemu z błogosławionych towarzyszy anioł. Przypatrywać się tylko należy pojedyńczym głowom pełnym niewynaśladowanego wyrazu, *wyanielonym*. Pomiędzy niemi jest piękna głowa Danta, dowodząca, że Orgagna miał poetę na myśli, gdy niebo swe i piekło malował. Chrystus i Matka Boska przypominają typy Sądu ostatecznego w Pizie. Wogóle u starych mistrzów, jakeśmy to już uważali, raz znaleziony ideał nie zmienia się od fantazyi, u Giotta, Orgagna, Fra Beato, Perugina, Chrystus i Matka jego są to zawsze prawie też same typy. Późniejsi, malując jako artyści obojętni, tworzyli wielce urozmaicone ideały, zmieniali je, bawili się niemi, odwzorowywali z żywych twarzy wedle fantazyi, tak, że zaledwie między madonnami jednego mistrza ślad pokrewieństwa pozostał.

Po drugiéj stronie, malarz wystawił piekło wedle pumysłu Danta i tradycyj średniowiecznych, podzielone na kręgi z napisami objaśniającemi. Jest to komentarz malowany do Boskiéj Komedyi, bardzo cenny. Napisy dodane być miały późniéj znacznie i fresk prawie cały przemalowany jest nanowo. Obraz ołtarzowy Orgagna mniéj ma wdzięku niż wiele jego postaci umieszczonych w niebie. W jednéj z bocznych kaplic sławna madonna Cimabuego,

pierwszy pomnik odrodzenia sztuki i wyzwolenia jéj z nieruchomych bizantyjskich tradycyj. W twarzy Madonny mimo szukanego rysunku jest wiele łagodności, Chrystus błogosławiący, poważny i piękny. Tron, na którym siedzi Matka Boża, podtrzymuje z każdéj strony po trzy anioły, symetrycznie klęczące, twarze już ich zwiastują swobodniejsze pojęcia, już w nich jest życie. Obraz ten po ukończeniu jego, Florentczycy zachwyceni nieśli w tryumfie z pracowni Cimabuego do Maria Novella.

Giotta jest tu także krucyfiks nad wnijściem, dodawszy freski Ghirlandaio, w których ukazują twarze B. Cenci, malarza, jego ojca i wielu współczesnych, kościół ten cały prawie przebieg historyi sztuki florenckiéj zawiéra. Giotto, Cimabue, Orgagna, Gaddi, Memmi, Ghirlandaio, T. Lippi, aż do Vasarego, który tu pozostawił ślady swéj nieudolności. Wielki przeszłości sędzia nie mógł sam nic stworzyć godnego życia.

Z trudnością obejrzawszy odnawiający się kościół, wśród którego stały rusztowania, opuściliśmy go, pragnąc nieco spoczynku.

Nazajutrz wybrałem się na codzienną wycieczkę za Fiesole do *Castel di Poggio*, w którym na lato zamieszkiwał pan Emil Boratyński. Fiesole o trzy małe milki od Florencyi, położone na wysokiéj górze, w prześlicznem położeniu, jest prastarą osadą etruską pełną starożytnych i średniowiecznych pamiątek. Z trzech stron jeszcze szczątki murów cyklopskich opasują tę drzemiącą po wiekowém życiu mieścinę, która jest prawie matką Florencyi. Wspomina o tém i Dante. Na szczycie góry, kędy było Akropolis, pozostało ze świątyni osiemnaście kolumn marmurowych z *cipollino orientale* z których piętnaście, z podstawami z białego marmuru i kapitelami, umieszczono w kościele. Są tu także szczątki dawnego amfiteatru w roku 1809 odkrytego, dziś zasypanego, starego łuku, i groty wyżłobionéj ze wschodami wiodącemi do dłuższego przejścia podziemnego, który za wodociąg służył Etruskom. W blizkości są dawne kopalnie kamienia, *pietra serena*, które dostarczyły materyału na budowy Florencyi... Fiesole wznosi się o tysiąc stóp po nad Florencyą, widok z niego przecudny na całą dolinę Arno... Według podania Katylina, gdy spisek jego spełznął, tu się miał schronić i zakopać swe skarby. W okolicy téj lubiał przebywać w Villa Mozzi zbudowanéj przez Kozmasa starego, Wawrzyniec Medyceusz... Na szczycie góry fiezolańskiéj stoi klasztor i seminaryum XX. reformatów... Katedra ciosowa w formie bazyliki jest z 1028.

Jadąc do Fiesole, droga ciągle się podnosi powoli, wężykiem kręcąc po skraju góry wśród willi, ogrodów, cyprysowych lasów, domków, stanowiących jakby przedmieście Florencyi. Wzrok coraz daléj sięga na otaczające Apeniny, na wijące się w dolinie

Arno, nareszcie z wierzchołka wyżyny, spostrzega się całe miasto z kopułą majestatyczną N. Panny kwiecistéj, z kampanilem Giotta, kopułą Medyceuszowskiéj kaplicy, wieżami kościołów i gmachami rozsianemi w dolinie wpośród zielonych ogrodów, niezliczone wille wyglądają z nich jak z koszów zieleni. Widok bardzo jest piękny, każdy zawrot drogi go urozmaica, w głębokim rozdole dolina rozkosznie umajona, dokoła sine gór szczyty na straży, w dali Valombrosa, Prato Lino, wyżyny kolorowane przecudownie najbogatszemi tony palety powietrznéj.

W budowach nadzwyczajna rozmaitość, wille, kapliczki, mury, bramki, wschodki, ganki obwieszane bluszczami i winną latoroślą, tajemnicze podwoje domków wiejskich pustych, smętnych, a ślicznych przy téj swéj obumarłości. Cała ta przejażdżka wśród panoramy ruchoméj jest jakby sen uroczy, malarz nie może się nacieszyć nieskończoném bogactwem materyałów, jakie tu spotyka...

Najdziwaczniejsze kletki murowane, lepione kilkaset lat, jak jaskółcze gniazda u boków góry, zachwycają łamaniną linij, świateł i cieni najfantastyczniejszą. Zastanowił mnie jeden także domek nad drogą, który znalazłem naszkicowany w albumie Boratyńskiego, była to Casa... podobno rzymskich jeszcze sięgająca czasów.

Fiesole ze swym klasztorem i wieżycą uczepioną na wierzchołku góry, z katedrą, z wązkiemi uliczkami wygląda miluchno... a nadewszystko malowniczo. Budowle na mniejszą skalę przypominają florenckie, mnóstwo portyków widocznie naśladowanych z Logii Orgagna, mnóstwo willi nakształt pałaców miejskich z poważną fizyognomią zamczysk...

Już od Fiesole na oddzielonym pagórku postrzega się ów *Castel di Poggio*, do którego wiedzie drożyna malownicza cyprysowym laskiem, doliną skalistą, naostatek długą wysadzaną we dwa rzędy ulicą cyprysów. Zamczysko to stare z czasów Sylli, w dziesiątym wieku własność rodziny możnéj, poważnie bardzo wygląda ze swą wieżycą, i grubemi murami. Widok stąd na Florencyą i Valombrosa przecudny, krajobraz rozległy bardzo. Wewnątrz urządzone mieszkanie miłe wielce, które pędzel Boratyńskiego ubrał w niezliczone studya, szkice i obrazy. Z wielkiéj liczby ich przychodzą nam na myśl: młodość Giotta, wskrzeszenie Piotrowina, Aurora, projekt do fresku Trzéj Królowie u Heroda, Tarantella neapolitańska, Rebeka u studni, Wygnani z raju i piękne bardzo pejzaże. Talent Boratyńskiego jest wielkiéj rozmaitości i bogactwa; świadczy on, do czego pracą nieustanną dojść można pod tém szczęśliwém niebem Włoch, tak sztuce przyjazném.

Na przepatrywaniu albumów i na ich rabowaniu, przeszedł mi

czas do wieczora, w miłém towarzystwie gospodarzy, tak żywo, żem się nie spostrzegł, gdy nadeszła chwila powrotu. Może i dobrze się stało, żem się nieco przypóźnił, że mi przyszło nazad przebywać tę drogę w innéj porze, wśród najśliczniejszego wieczora włoskiego, i ożywionéj nim ludności, która począwszy od Fiesole, przejażdżkę czyniła jednym obrazkiem pełnym ruchu i wesołości.

Cichy ten gościniec roił się teraz wywabionemi zewsząd mieszkańcami okolicy, powietrze wonne było od kwiatów, pływały w niém jasne *lucciole* jak gwiazdki latające, brzmiały gitary, rozlegały się śmiechy, krążyły pary szepcząc po cichu słówka słodkie, a trochę starsi i trochę młodsi rzucali z hałasem kule, bawiąc się w grę włoskiemu ludowi ulubioną. — Cała ta przestrzeń cicha z rana, żyła życiem nowém, pobudzoném i pełném swobody.. Przed obrazami Madonn zapalono lampy, całe rodziny usadawiały się na wschodkach domków, był to obraz spoczynku wesołego po dniu pracy, a wzrok sięgając przez otwarte drzwi we wnętrza domków, tam znajdował mnóstwo postaci jakby śliczną tą nocą rozbudzonych...

Prosiłem mojego woźnicę, aby jechał powoli, żebym się mógł dłużéj nacieszyć tym widokiem, który mnie oczarował. Wiała odeń jakaś pierwotnych wieków prostota obyczaju, coś rajskiego, coś niewinnego, czego już w więcéj cywilizowanych krajach nie znaleść. Téj poezyi życia nie spotka się w okolicach Paryża i Londynu, które nie będąc miastem, wsią już nie są. Tu miasto samo ma jeszcze w sobie trochę wiejskiéj prostoty, nie ono ubarwia to co je otacza, ale kraj na nie oddziaływa i wykształca je. Niestety z tym koniecznym postępem, który jest potrzebnym, bo stanowi przejście do innego stanu, którego przewidziéć i przeczuć trudno, Florencya zapewne utraci swą woń wioskową... a zostawszy stolicą wielkiego państwa, wystroi się jak królowa i jak wielka pani wzgardzi wesołą a prostą przeszłością.

Nazajutrz rano pojechaliśmy do *San Salvi*, gdzie w budowach pozostałych ze starego klasztoru znajduje się Wieczerza Pańska Andrea del Sarto. W niewielkiéj odległości od *Porta alla Croce* (która sięga XII w. i wzniesiona była przez Arnolfa) leży budowa dosyć jeszcze zachowana i utrzymywana starannie monasteru *San Salvi*. Zamieszknje je dzisiaj dozorca tych murów, które zachowanie swe winny dziełu artysty. Wszakże już w r. 1529 w czasie sławnego oblężenia Florencyi, żołnierstwo i lud poszanował obraz ten jeden i dotknąć go nie śmiał. *Custode* przybiera nawet w drzewa cytrynowe i wazony z kwiatami opustoszone wnijście. Piękny sklepiony korytarz wiedzie do dobrze utrzymanego refektarza, na

którego ścianie zaokrąglonéj w górze jest Wieczerza Sarta, bardzo jeszcze świeżo zachowana. W poprzedzającéj izbie są ślady innego malowania, Samarytanka u studni...

Między Cenacolo Rafaela a tłumną i wymęczoną Wieczerzą Vasarego w Santa Croce, Sarto staje ze swoją, jako z bardzo ciekawym pomnikiem. Nic by lepiéj nie nauczyło historyi tworzenia w malarstwie, nad zestawienie i porównanie w różnych epokach, przez mistrzów różnych, z jednego przedmiotu czerpanych obrazów. — Mamy Wieczerze Giotta, Rafaela, Leonarda, Sarto i wielu mniéj znanych; zbliżenie ich stanowi studyum bardzo zajmujące.

Jako artysta Andrea del Sarto w swéj Wieczerzy dosięga szczytu, do jakiego wznieść się był zdolny; jest to dzieło talentu, ale nie natchnienia; wielkiéj umiejętności bardziéj niż wielkiego ducha, zawsze jednak znakomite... i godne rozwagi. Kompozycya bardzo staranna i piękna, wykonanie mistrzowskie, koloryt silny i harmonijny, rysunek poprawny, ruchy postaci urozmaicone, ale z przyjemnością wpatrując się w to dzieło sztuki, człowiek wobec niego pozostaje zimnym. Czuć, że malarz chłodno opracował téż swą Cenę, obmyślił obraz wielki, ale nie przejął się uroczystością chwili, jaką miał przedstawić, niéma tu ruchu i życia, jaki panuje u Leonarda, ani tego spokoju przed burzą tak przejmującego w fresku di Foligno Rafaela, ani powagi surowéj Giotta. Jest to śliczny, zręczny, kunsztownie zbudowany obraz ze znajomością głęboką efektów malarskich, który w pamięci nie pozostaje, jak tamte *widzenia na jawie.*

Co do układu, widać jak największą troskliwość i pracę; Chrystus tylko co przemówił słowy proroczemi, apostołowie wzruszeni są, a raczéj zdziwieni tylko, uczucie oburzenia i zgrozy nie wybuchło jeszcze. Obok Chrystusa siedzący Ś. Jan, śliczny młodzian, przechylił się ku niemu, jakby z zapytaniem i wyrzutem. Z drugiéj strony postawiony (mam go za Judasza, gdyż Sarto niczém nie odznaczył odrzuconego i wmieszał go wśród innych), rękę kładzie na piersiach i przysięga, ale twarz jego zadaje kłam słowu. Daléj w lewo jeden z apostołów powstał z miejsca, oparł się na stole, zagląda (Juda Symon), inny ręce składa zarzekając się, (ruch ten powtórzony z drugiéj strony), reszta miota się, mówi, niepokoi. Z przeciwnego końca stołu jeden trąca dwóch około siebie siedzących, jakby uwagę ich chciał obudzić na to, co mówi Chrystus... Mimo tego dramatycznego układu, życia wogóle mało, twarze piękne, a nie przejęte, jeden Chrystus szczęśliwie pojęty, mówi i patrzy z łagodnością tego, który ma swym oprawcom przebaczyć. Typ Chrystusa jak Madonny del Sacco, pełen świeżości, wdzięku, słodyczy, prześliczny, wszakże chłodny, Boskiéj wielkości

w nim niéma. Z lewéj strony patrzącego od rogu stołu trzy ręce apostołów w różnych odstępach leżące, jednakowe, są zapomnieniem się, które czyni wrażenie nie miłe. Koloryt żywy, harmonijny, a łagodny, tony neutralne, kilka płaszczów fioletowych, odejmują mu zbytnią krzykliwość. U góry po nad murem otaczającym Wieczernik w oknie umieszczone są dwie figury niepotrzebne, jedna wyobrażająca malarza, druga jakąś nieznajomą postać, obie bardzo zręczne. Czary wdzięku, kolorytu, łatwości, naturalności, rozlane są na to dzieło kunsztu, ale technika i rzemiosło zabiły w niém ducha. Wychodzi się z uczuciem zawodu i prawie smutku. Przyszło mi na myśl jedno bardzo trafne wyrażenie młodego artysty, który patrząc na obraz znakomicie małowany a nie piękny, zawołał:

— Gdybym ja *tak* malować umiał, zdaje mi się, że zrobiłbym to *daleko lepiéj!*

Tak jest, można malować doskonale i nic dobrego, nic wielkiego nie stworzyć, czyż nie mamy takich mistrzów pióra, którzy umieją pisać, a napisać nic nie potrafili?

Nazajutrz, we czwartek, powróciłem po raz drugi do kościoła *Maria Novella* dla przerysowania głowy Danta z fresku Orgagni. Przy téj zręczności oglądałem na nowo kościół, kaplicę i krużganki; a szczególniéj *Chiostro verde,* którego pierwszy raz przechodzące tłumy nie dały mi obejrzéć swobodnie.

Zielony klasztor zowie się tak od malowań na murach zielonym monochromem wykonanych przez *Paolo Ucello* i *Dello* (1396—1479). Są to ciekawe zabytki téj epoki pośredniéj, która dzieli pierwszych mistrzów ducha od mistrzów ciała, jeśli wyrazić się tak wolno. Możnaby sądzić, że to właśnie była chwila najszczęśliwsza, bo nie zgasło natchnienie wiary, a umiejętność wyrosła i wyrazić je dozwala swobodniéj. Tak przecież nie jest, stary Giotto robi większe wrażenie, późniejsi poganie-artyści także; w sztuce pośrednie stanowisko odejmuje siłę, ściera charakter, a dwa światy w zetknięciu się z sobą unieważniają się prawie... ducha czuć mało, sztuka jeszcze nie jest w całéj sile... człowiek niczém nie jest pociągnięty, bada, uczy się, ale umysł pozostaje chłodny.

Freski kaplicy hiszpańskiéj oglądaliśmy po raz drugi z zajęciem, szczególniéj Gaddego tryumf Tomasza z Akwinu, otoczonego świętemi, aniołami i proroki... Zwyciężeni heretycy Arius, Sabellius i Averrhoes, z których jeden ruchem nader szczęśliwym wyrywa kartę ze swéj księgi, bardzo piękni. W Ukrzyżowaniu, o któróm wspomnieliśmy, kobiéta mówiąca do jeźdźca siedzącego na koniu, naturalności pełna.

Nie dziwimy się wcale zajęciu, z jakiém artyści studyują te

pradziadowskie dzieła... dziś, gdy już człowiek stworzył i przetworzył tyle, gdy czerpie więcéj ze sztuki niż z życia, gdy nieskończoną liczbę razy powtarzano jeden przedmiot; fresk taki jest rzeczą pospolitą; w owych czasach pomysł i wykonanie potrzeba było czerpać w sobie, w tradycyi, w duchu własnym i te prototypy stare są relikwiami dla dziejów sztuki. Gdybyśmy gienealogię każdego obrazu współczesnego mogli wyśledzić, pokazałoby się, że w większéj części ich niéma jednéj postaci, ruchu, efektu, któryby zapożyczony nie był, mimowolnie przypominany lub naśladowany. W starych mistrzach te pierwociny twórstwa, to praca istotna ducha, to pot myśli głębokiéj, dlatego dzisiejsze rzemiosło ogromne nie dosięgnie nawet najniezgrabniejszych bełkotań tych, co istotnie coś utworzyli z niczego. Dziś ze wszystkiego tworzy się najczęściéj nicość.

Chociaż bardzo niedostatecznie obejrzeliśmy i odmalowali Florencyą, czas naglił, aby się puścić w dalszą do Rzymu drogę. Nazajutrz postanowiliśmy wyruszyć; pomimo miłych wrażeń pobytu naszego w tém mieście, nie przywiązaliśmy się do niego, jak do téj smętnéj Wenecyi. Florencya nie obudza téj sympatyi, bo umarła politycznie, żyje żywotem nieśmiertelnym sztuki, a pragnienia jéj nie zdają się sięgać nad teraźniejszość. — Jest prawie szczęśliwą w swym marmurowym grobowcu ostawionym posągami i obrazami; świetna przeszłość otacza ją aureolą niewygasłą.

Bo też życie rzeczypospolitéj jako oddzielnego państwa nigdy nie stanowiło głównéj osi jéj istnienia. Medyceusze są sławniejsi jako mecenasi sztuki i literatury, niżeli jako wodzowie i panujący, ponad wspomnieniami świetnych losów unoszą się duchy Danta, Michała Anioła, Macchiavellego, Bokacyusza, Giotta... W nich wyraziło się życie Florencyi, a spadkobierczyni gjeniuszów, osierocona po nich, dziedzictwa ich popiołów wydrzéć sobie nie daje. Zawsze to ta ojczyzna, co wypiastowała tyle gwiazd jasnych włoskiego nieba; zawsze to kwiecista Florencya poezyi, sztuki i wytwornego smaku. Życie polityczne było dla niéj podrzędną rzeczą, główną stanowiło duchowe, a to przy jasném promieniu z niebios znowu obudzić się może.

Spokojnie oczekują go mieszkańcy Florencyi. W chwili gdy to piszemy właśnie zwiastują nam przeniesienie stolicy Włoch do niéj; nada jéj to życie nowe, ale dawne odbierze.

Za panowania udzielnego księcia toskańskiego z domu austryackiego, Florencya wegietowała wprawdzie, ale niezbyt cierpiała na ścisłych szrankach, które objawy życia jéj opasywały. Nie czuła się upokorzoną, że została gospodą angielską i muzeum. Na każdym kroku jak w Pizie tak tu spotkać się było potrzeba z zakładami wyłą-

cznie dla Anglików przeznaczonemi, z angielszczyzną obrachowaną na przyciąganie wyspiarzy.

Apteki angielskie, sklepy z towarami angielskiemi, afisze w tym języku, pensye angielskie, hotele angielskie co krok, z Anglików korzystało miasto wiele i służyło im jak mogło. Podróżni przynosili mu trochę życia, ruchu i wiele pieniędzy. Pomimo to Florencya nie była dotąd miastem drogiém i życie stosunkowo można w niéj było urządzić sobie dość wygodnie a za bardzo przystępną cenę. Jednym ze znaczniejszych handlów miasta były dzieła sztuki, obrazy, bronzy i mozajki florenckie z kamieni twardych.

Musimy tu, dla mniéj świadomych, powiedziéć jeszcze słów kilka o mozajce wogóle. Wiadomo, że mozajką zowie się malowanie kamieniami lub szkiełkami układanemi tak, aby rodzaj obrazu stanowiły.—Sztuka ta znaną była i używaną w starożytności, celowali w niéj Grecy, od nich przeszła do Rzymian. — Z początku ozdabiano mozajkami posadzki mieszkań i świątyń, ograniczając się ornamentacyami coraz wykwintniejszemi, naostatek od pojedyńczych przedmiotów przeszła mozajka do całych kompozycyj i obrazów. Gdy bazyliki przekształciły się na kościoły, mozajka stała się główną ich ozdobą, rozwinął się kunszt ten potężnie, okrywając całe ściany i stropy świątyń. Oprócz szkiełek kolorowych zaczęto złoto i srébro podkładać pod nie i całe tła wyzłacać... Mozajka florencka wszakże cale jest czém inném, nie składa się ona ze szkieł, ale z kamieni twardych, dobieranych i wycinanych w różnych kształtach, nie równéj wielkości tak, by tworzyły rodzaj obrazów, które zwykle przedstawiają kwiaty, zwierzęta, naczynia, ozdoby fantazyjne, płasko lub nawet wypukło odszlifowane. Mozajki tego rodzaju z marmurów widzimy zdobiące budowle celniejsze we Florencyi, dzwonnicę Giotta, P. Maryą i inne kościoły. Na mniejszą skalę do ozdoby mebli, stołów i t. p. zaczęto wysadzania z drogich kamieni robić we Florencyi za Kozmasa I, fabryka odtąd istniała ciągle i była prawie jedyną w swoim rodzaju.

Przekupniów handlujących temi wyrobami w r. 1858 było głównie trzech, Bianchini, Bosi i Corsi, a pomniejszych bardzo wielu. Zaledwie kto przybył do Florencyi, natychmiast dostawał adres; często i odwiedziny grzecznego człowieka z pudełkiem pod pachą. Mało téż kto bez mozajki odjeżdżał, choćby przycisku na papiér, lub broszy dla jéjmości, a takiego coby się ważył nic nie kupić, Florentczycy mieli pewnie za bajbardzo. Oprócz tego jak wszędzie, gdzie są galerye, handel obrazami, kopiami, mazaninami najrozmaitszéj wartości, równie był wielki, starożytności i bronzy składały naostatek jeszcze jednę artystycznego przemysłu gałązkę.

Wogólności mało kto w ten sposób nabył co mającego jakąśkolwiek wartość, a chorujący na oryginały przypłacili nieraz swą słabość bardzo drogo. Kopie robione na handel wogóle są niezmiernie liche, odtwarzają one fizyognomię dzieła sztuki, ale nie jego ducha. Że jednak nie wszyscy się znają, a każdy wędrowiec jakąś wywozi pamiątkę, wszystko się konsumuje, co pan Bóg dał.

Po oknach sklepów i magazynach, niezliczona jest moc różnego śmiecia artystycznego.

Ksiąg starych także tanio dostać można, bo mnóstwb *sub Jove crudo* leży ich na stolikach... Zrazu podróżny widząc pergaminowe białe okładki, wszystkie ma za bardzo starożytne, póki się nie przekona, że włosi do dziś dnia w pergamin nawet najlichsze oprawiają książczyny. Ale między niemi, można trafić na bardzo szacowne i nie drogie zabytki... Nabyliśmy tu w ten sposób w ulicy nietylko pięknego Jornandesa za kilka pawłów, Lanzi'ego, ale i włoską historyę polską przez Bernarda Zaydler'a, który żył i umarł we Florencyi i tu to dzieło swe, u nas prawie nieznane, mnogiemi ozdobione rycinami, wydrukował... Ryciny, choć w stolicy sztuki robione, małéj są bardzo wartości artystycznéj, ale ich jest mnóstwo... Między innemi ilustracyami mieści się i *Jarmark polski* z rysunku Orłowskiego.

Los Bernarda Zaydler'a, który rodzinę pozostawił w Polsce opuszczając kraj, gdzie długo mieszkał, bardzo był smutnym. Pod koniec życia starzec opanowany przez tych, co go otaczali, uciśnięty, samotny, wpadł w melancholię dziką. Zostawił on majątek, ale adwokaci florenccy potrafili podobno podstawić jakiegoś niby przyznanego przezeń syna i niby zaślubioną żonę, tak, że spuścizna ta, należna bratu, poszła rozgrabiona. Oszukaństwo było jawne, lecz któż się miał o nie upomnieć i jak proces prowadzić, o mil tysiąc, wśród prawodawstwa nieznanego i ludzi spikniętych w interesie miejscowych spadkobierców?

Historyi polskiéj egzemplarze, po ulicach sprzedające się, są to resztki tego Zaydlerowskiego spadku. Z osób węzłem jakimś z krajem naszym połączonych, wymienić należy jeszcze zamieszkałego we Florencyi syna profesora uniwersytetu wileńskiego Capelli, żonatego z Polką hr. Dzieduszycką.

Dziś liczba Polaków jak wszędzie tak i we Florencyi urosnąć musiała, w r. 1858 nie słyszeliśmy o żadnym więcéj.

Z wieczora odbolawszy we trzech, że nam tak krótko nielitościwy czas dozwalał przebyć we Florencyi, upakowani zupełnie przespaliśmy niespokojnie noc gorącą i duszną, w obawie, aby nie stracić odejścia pociągu kolei żelaznéj, który zabrać nas miał do Sienny...

XIV.

Droga do Sienny.— Drzewa włoskie.— Po drodze... Boccaccio.— Coś z historyi Sienny.— Sztuka w Siennie.—*Graffity*.— Widok miasta.— Katedra Sienny.—*Libraria*, freski Pinturicchia i Rafaela.—Trzy gracye w zakrystyi.– *San Agostino*.— Ś. Dominika kościół.— Fresk Sodomy.— Ś. Katarzyna z Sienny. Jej domek. — Instytut sztuk pięknych. — Próba kursów, rynek. — Materace. — Widzowie i konie.— Wyjazd z Sienny do Perugii.— Krajobrazy pustynne. — *Rapolano*. — Droga do *Comusciq*.— Gospoda, obraz N. Panny wędrownego artysty.— Nad jeziorem Trazymeńskiem.—Perugia. Jej historya krwawa. Perugino w Perugii.— Freski w *Il Cambio*.— Ogląd miasta.— Zbiór *Conestabile Staffa*. — Kościół kamedułów.—Katedra.— Św. Dominika kościół.— Św. Piotr za murami.—Odpust.— Św. Augustyn.—Brama dawna.—Księga hotelowa.—Poranek.—Św. Franciszek na górze.— Jeszcze Perugino.— Braciszek malarz.— Ks. bernardyni.— Wyjazd z Perugii do Assyżu.— Klasztor w Assyżu. — Kościoły w Assyżu. — Freski.— Grób Św. Franciszka.— Charakter klasztoru.— Goethe i świątynia Minerwy.— Św. Klara.— Droga na Spello i Foligno. — Świątynia Klitumna.— Spoletto. — Widok. Katedra. Miasto. Droga do Terni. — Wycieczka do Kaskady. — *Via Flaminia*. Narni.—Ponte Felice.—Borghetto.— Nocleg.—Dalsza droga.—Civittá Castellana.— Rignano.—Kopuła św. Piotra.— Okolice Rzymu.

Przybyliśmy jeszcze dość zawczasu do dworca kolei żelaznéj aby się przypatrzyć jego świeżym ozdobom, malowaniom na stropie i dekoracyjnym figurom... Niestety! wstyd nam było nowéj Florencyi, wspomniawszy na starą, takie to wszystko pospolite i tandetne. Wszędzie indziéj uszłyby te figury, ale przy freskach tylu mistrzów!! Na dawnych szpitalach i bramach miasta lepsze bywały malowania; wiek XIX, który kupuje sążniami żelaziwo do kolei, zamawia téż metrami i dzieła sztuki... a zaspakaja się żywą farbą i jaskrawą pstrocizną. Pod względem rzemieślniczym jest to świetne, pokaźne, przyzwoite, ale proszę myśl i ducha wyczerpnąć z tych oklepanek malowanych, które przecież liczą się za dzieła sztuki.

Koléj przerzyna naprzód *Cascine* i tu raz ostatni żegna podróżny piękną Florencyę, która mu się ukazuje cała po za drzewami swego ogrodu... Pożegnaliśmy ją westchnieniem a razem i stare

dęby bluszczami okryte, które nam przypominały nasze dąbrowy i nasze drzewa, może od włoskich piękniejsze. Wyjąwszy sosnę apenińską parasolową i kasztan, inne ozdoby pejzażu nie są zbyt uroczych kształtów. Oliwne drzewa ze swemi poszarpanemi pniami, fantastycznie połamanemi, z liściem szarym, małym i rzadkim w krajobrazie wcale nie są wdzięczne, są dla malarza bardziéj trudnością do przezwyciężenia, niż motywem szczęśliwym, pnie wyjąwszy.

Toż samo cyprys zbity, czarny, gęsto obrosły, a nieforemnie i dziwacznie piramidalny, gorzéj jeszcze wygląda i morwa zawsze poobcinana, pokaleczona, ułomna. Prawdziwie piękne są kasztany, niektóre dęby i winna latorośl, która pokrywa wszystko, i wdzięcznie czepia się, wygina, aby liśćmi osłonić nagość ścian, brak gałęzi. Jest ona pobożném dziecięciem Noego... Bluszcze także obficie na ruinach, na pniach wyrastające i zbite w masy zielone, choć niszczą może drzewa i gmachy, ale są ich wielką ozdobą.

Około Montelupo przelecieliśmy mimo starych budowli wiejskich malowniczych, ukazały się góry, skały, wiele pięknych krajobrazów. Tu i ówdzie ze starego klasztoru pozostała stercząca wieżyca. Dobiegliśmy do Empoli, dalekie Apeniny ukazały się we mgle. W Castel Fiorentino widok się zmienił; na górze wysokiéj włoskie miasteczko, kupka zlepionych domów z kościołkiem na szczycie. Stacya przypomina tablicą pamiątkową, że tu Pius IX przejeżdżając, zebranemu ludowi udzielił błogosławieństwo. Daléj spotykamy Certaldo z zamkiem na wysokiéj górze i wioską podobną do wszystkich innych, jak gniazdo jaskółcze sklejoną z domków związanych z sobą. — Certaldo stare chlubi się, że mieściło niegdyś w sobie Bokacyusza, którego tu dom i grób dotąd ukazują.

Domek z cegły, z wieżyczką, niedawno był odnowiony, zachował jednak niektóre części stare i lampę autentyczną, która miała szczęście przyświecać autorowi *Dekameronu*. Kamień, który przez cztery wieki okrywał grobowiec Bokacyusza, przeniesiony został także do jego domu z kościoła *la Canonica*. Pomnik od roku 1503 stał naprzeciw kazalnicy aż do 1783 r.; zrzucono go pod pozorem zakazu grzebania ciał po kościołach; kości wyjęte z sarkofagu zginęły.

Przed Poggibonsi okolica pusta i smętna zaczyna się zazieleniać, wjeżdżamy w lasy, po wzgórzach widać zamczyska opuszczone, malowniczo w oponach bluszczowych wyglądające z zarośli. Długi łańcuch przerzyna górę San Dalmazzo, przybywamy do Sienny. Jest to także miasto umarłe, szczątek tego rozczłonkowanego życia Italii dawnéj, podzielonéj na drobne, walczące z sobą rzecz-

pospolite; z którego wiek XIX dopiéro miał stworzyć całość idealną.

Sienna, choć w pośrodku Toskanii położona, nie ma pamiątek etruskich, ma być kolonią rzymską z czasów Juliusza Cezara lub Tryumwiratu... Były w jéj dziejach późniejszych jasne chwile potęgi, w których współubiegała się o lepszą z Pizą i Florencyą. W dwunastym wieku uorganizowała się jako rzeczpospolita; w XIII odniosła poparte przez wychodźców florenckich zwycięstwo nad gwelfami Florencyi pod Monte-Aperto... dzieje jéj wewnętrzne są powtórzeniem historyi innych rzeczypospolitych walk wewnętrznych, zajść między ludem a szlachtą, zmian formy rządowéj, prześladowań i rozżartych stronnictw. Jak Ludwik XI poddającą mu się Genuę oddał dyabłu; tak Karol IV cesarz odstąpił ją patryarsze akwilejskiemu.

Sąsiedztwo nieprzyjaciół Florentczyków nie dało pokoju Siennie, nadsyła jéj ona w pomoc swych wygnańców, ale słała téż i podstępnych wichrzycieli pracujących nad mnożeniem nieładu, z którego Florencya miała korzystać. Sienna, co się była poddała cesarzowi wprzódy, ofiarowała się późniéj sama Viscontim medyolańskim, to Francyi, a tymczasem dojadały ją i trawiły wewnętrzne niesnaski własnych dzieci, tysiącami ofiar opłacane... Francuzi i Hiszpanie owładają nią z kolei, Medyceusze sięgają po osłabłą i wycieńczoną. Oblężenie Sienny w XVI wieku, broniącéj się pod wodzą Błażeja de Montluc, należy do ciekawszych epizodów jéj historyi. Opisał je Montluc w swych komentaryuszach, głosząc sławę pięknych niewiast sienneńskich, które w obronie ojczyzny nosiły ziemię na okopy i pracowały razem z męską ludnością. — Mimo bohaterskiéj obrony, Sienna głodem była zmuszoną do poddania się Kozmasowi I w 1555 r., zajmującemu ją w imię cesarza Karola V. Znaczna liczba mieszkańców wolała opuścić miasto rodzinne, niżeli w niém pod nowemi rządami pozostać.., „Były między niemi kobiéty, pisze Montluc, które na głowach niosły kolebki z dziećmi, a wielu mężczyzn wiodło jedną ręką córki, drugą żony, a liczba ich dochodziła do ośmiuset, mężów, kobiét i dzieci. Nigdy jak żyw nie widziałem pochodu tak smutnego... nie mogłem bez łez patrzéć na tę straszliwą nędzę, nieskończenie żałując ludu, który takie położył zasługi w obronie swojéj niepodległości“.

Medyceusze owładnęli Sienną, która im ustąpioną została, ludność miasta ze czterdziestotysiącznéj zeszła na sześć tysięcy... Ludzi, którzy zginęli od głodu, w potyczkach, lub śmiercią ukarani zostali, liczono pięćdziesiąt tysięcy...

Pomimo tak krwawych zapasów, Sienna miała dość czasu, by ważne zająć stanowisko w dziejach włoskiéj sztuki Mistrzowie

pizańscy przynieśli tu pierwsze nasiona jéj zamiłowania, budowa Duomo przyczyniła się do jéj rozkwitu. — Malarstwo szczególniéj rozwinęło się szczęśliwie i samoistniéj niż rzeźba, która pozostała gałęzią pizańskiéj szkoły. W XIII wieku dwaj bracia Guido a zwłaszcza Duccio di Buoninsegna wyszedł powoli z pieluch bizantyjskich na pochód o własnéj sile... Dwóch braci Memmi robią krok w ślady Giotta, szkoła sienneńska zawiązuje się, uwydatnia, przybiera charakter właściwy, na przekór dziejom krwawym, ale zgodnie z usposobieniem ludu,—wesoły, jasny, prawie spokojny.— Bractwo malarzy Sienny odgrywa rolę polityczną ważną w zamieszkach rzeczypospolitéj, z jego łona wychodzą niektórzy urzędnicy miejscy; ale wprzód jeszcze nim rzeczpospolita upadła, sztuka w niéj chylić się ku upadkowi poczęła, nie mogąc wyżyć krwią przesiąkłém powietrzem. W połowie XIV wieku, przypada najpiękniejsza epoka dla sienneńskiéj sztuki.

W XVI w. szkoła ta właściwie już nie istnieje, znajdujemy tu malarzy, ale niéma ogniska, które w wojnach zagasło. Pinturicchio jest przybyszem, Sodoma (Bazzi) także, ale zamieszkałym w Siennie, w któréj szpitalu zmarł biedny, wielkiego istotnie talentu artysta.—Szczyci się nim wszakże przybrana ojczyzna, która większych zdolności malarza nie miała... Zostawił on tu kilku uczniów, którzy mu nie sprostali, a zdobycie Sienny odebrało jéj razem z samoistnością polityczną i życie artystyczne, zostawując tylko pamiątki przeszłości. Dzieci Sienny rozproszyły się po pracowniach innych mistrzów szkół włoskich.

Wyłączną Sienny gałęzią sztuki są jéj mozajki marmurowe, i rycia w marmurze czarnym naprowadzone mastyksem (*graffito*). Pozostałe roboty tego rodzaju są przepyszne. Dodamy tylko, że *graffity* czerwone znajdowano w Pompei i że ten sposób przyozdabiania nie był całkiem nowym. *Beccafumi* używając oprócz białego kilku odcieni marmurów i łącząc je z obrysem czarnym wykonywał monochromy prześliczne...

Na pierwszy rzut oka znać w Siennie ruinę odwieczną, śliczne stare odrapane mury piętrzą się zewsząd, gdzieniegdzie wyskakuje wieża dawnego kasztelu pańskiego, już dziś niczego nie broniąca; wszystko to zżółkłe, obronzowane, cudownie omszone, nieregularne, a piękne. Ulice ciasne, schodkowane, kręte, domy z bramami szerokiemi.... a obok tego ubóstwo wielkie, opuszczenie, nędza przenikająca...

Miasto, które żywiło artystów, dziś się żywi od ciekawych przybywających oglądać ich dzieła.—Trafiliśmy jakoś bardzo szczęśliwie dla lepszego poznania ojczyzny św. Katarzyny (córki tutejszego farbiarza), bo na *prova* konnych wyścigów, *corso de cavalli*,

z którėj nie omieszkaliśmy korzystać. Ale z dwóch tutejszych hotelów wybrawszy lepszy *Arme d' Inghilterra*, który wistocie jest straszliwie brudną i śmierdzącą lokandą, nie mogliśmy się pochlubić mieszkaniem. *Aquila Nera* była zajęta, a powierzchowność jėj nie zwiastowała większėj wygody. Nie siedzieliśmy téż w domu, ale natychmiast ruszyliśmy na miasto, które zachowało całą dawną feodalnych czasów powierzchowność. Domy wyglądają z zębatemi wieżami na obronne zameczyska, kamienice podobne są do twierdz, mury wielkiego stylu z rzeźbionemi herbami, z bronzowemi kolcami i portykami w pośrodku dziedzińców. Każde *palazzo* zawiera taki podwórzec dokoła kolumnami ostawiony, nad każdemi wrotami marmury rzeźbione, godła, napisy, ozdoby; co nie przeszkadza bynajmniėj wieszaniu bielizny na marmurach i przeciąganiu sznurów, na których schną farbierskie płachty, przez one kolce bronzowe i odrzwi dłutowane artystycznie. Położenie górzyste miasta, zbudowanego na trzech wyniosłościach, sprawia, że ulice się pną do góry, że domy się piętrzą w zawody, że trudno jest wprawdzie chodzić, ale patrzéć na Siennę bardzo miło, bo niéma sztucznėj regularności obrzydliwych miast dzisiejszych, podobnych do koszar lub magazynów.

Nad ciasnemi uliczkami w górze jak mosty rzucone łukiem, stoją jeszcze mieszkania, a w tych ramach oddalona ulica z załomy swemi pobryzganemi światłem, z balkonami wyskakującemi od ścian, wydaje się jakby umyślnie stworzony obrazek.

Il Duomo sławna katedra, najpiękniejszy zabytek potęgi Sienny dawnėj, stoi na placu niewielkim. Cała jest zbudowana z dwukolorowych białych i czarnych marmurów, ale pstrocizna ta jėj szaty nie razi, jest w jakiėjś harmonii z rysunkiem budowy. Cały przód okrywają delikatne, śliczne rzeźby gotyckie, z białego marmuru, statuetki, dzwonniczki, strzały rozkwitłe i rozbujane obficie...— Wzniesiony na najwznioślejszėj górze, kościół ten wspaniały panującey miastu całemu, przodem obrócony jest ku wschodowi. — Zaczęto odbudowywać na nowo Duomo w 1322, zdaje się, że plan jego pierwiastkowy był znacznie większy. Facyata wszakże pochodzić ma z XIII w., przyznawaną jest Janowi z Pizy, który ją wzniósł po obaleniu pierwotnėj, utworu jego ojca.

Do wnętrza prowadzi drzwi troje, w trzech wnękach półkulistych; a z boku wznoszą się dwie piramidalne wieżyczki... Rzeźby okrywają samo czoło, pełno w nich zwierząt symbolicznych, które są godłami miast sprzymierzonych, lwica jest Sienną, bocian Perugią, gęś Orvietto, słoń Rzymem, smok Pistoją, zając Pizą i t. p... Czoło odpowiada wnętrzu wykończonemu ze starannością największą, wypieszczonemu od stropu do posadzki...

Pomimo że kościół stopniowo w różnych epokach powoli był kończony, jest w nim wielka harmonia całości. Baczniejsze wejrzenie dośledzi epok i różnic, ale na pierwszy rzut oka, wszystko to zlewa się doskonale i jednoczy, więcéj może niż u św. Marka w Wenecyi, gdzie tego samego cudu dokonały wieki. Tu znać wszędzie, z jak wielką miłością budowa była stawianą i kończoną.

Minąwszy przepyszny portyk gotycki, wyrzeźbiony jak koronka przez Mikołaja z Pizy, stanąć potrzeba i objąć oczyma obraz, jaki wnętrze przedstawia. Po nad głowami unosi się sklepienie lazurowe w gwiazdy złote, ozdobne i wykończone; pod nogami rozściela posadzka wykładana różnokolorowemi marmurami, arcydzieło w swoim rodzaju. Pokrywa ją przedziwny rysunek czarny i cieniowane lekko kamienie, obrazami, które jak sen zasnuwają posadzkę całą. Stopy ludzi starły już część tych drogich rytowań, a resztę pookrywano dla zachowania drewnianemi tarcicami, odsłaniając tylko dla ciekawych. Najpiękniejsze graffity są Beccafumi, Ewa należy do najwdzięczniejszych jego pomysłów.

Niepodobna wyliczyć rzeźb i obrazów szacownych, mieszczących się w pośrodku kościoła; przepyszne są stalla F. Tonghi i kilku innych snycerzy z rysunku Riccio; tabernaculum bronzowe Vecchiettego, rzeźbione siedzenia (sedie) ozdobione glinianemi popiersiami papieżów. Z obu stron chóru obrazy stare Duccio di Buoninsegna z początku XIV wieku, ciekawe bardzo i z wielu względów na wiek swój znakomite, zastanawiają dziś jeszcze powagą stylu. Duccio jak Cimabue miał tę cześć, że lud jego dzieło w procesyi przeniósł do kościoła.

W kaplicy bogatéj *del Voto* (Chigi) stoją między innemi ozdobami cztéry posągi Berniniego, z których jeden św. Magdaleny miał być Andromedą i szkoda, że nią nie został. Nie powiemy nic o kopii mozajkowéj obrazu Carlo Maratti, robi on złudzenie malowania, tak cudna to robota. Donatella stoi tu chrzcielnica w kształcie starożytnego ołtarza, świadcząca o jego studyach z antyków.

W kościele kazalnica ośmiokątna, dzieło Mikołaja z Pizy, cała płaskorzeźbami marmurowemi okryta, na słupach i symbolicznych zwierzętach sparta, jest jednym z jego najcelniejszych utworów. — Płaskorzeźby te przedstawiają: Narodzenie pańskie, Ucieczkę do Egiptu, Rzeź niewiniątek, Ukrzyżowanie i w dwóch działach, Sąd ostateczny, godzien, aby był porównany z obrazem Orgagni... Są tu epizody wielkiego pomysłu; sceny pożegnania rodzin i blizkich, których wyrok boży na wieki rozdziela, potępieni, co idą ku błogosławionym sądząc, że do nich należą, i odepchnięci są przez nich i t. p. Ponad tym świętym dramatem u góry Chrystus rozdzielający wybranych od potępionych i N. Panna...

Obejrzawszy kościół spieszno do tak zwanéj *Libraria*; jest to budowa wzniesiona przez kardynała Piccolomini (późniéj Piusa III) w r. 1495 na pomieszczenie ksiąg pozostałych po jego dziadzie Eneaszu Sylviusie Piccolominim (Piusie II) i przez niego samego zebranych*). Wezwany z Rzymu do Sienny Pinturicchio okrył jéj ściany freskami. Dziś się tu mieści zakrystya a raczéj skarbiec, sala wesoła, jasna, świeża i ożywiona malowaniami wybornie zachowanemi, wyglądająca jak cacko. Stały tu niegdyś i dość długo, na przekór sąsiedztwu kościoła, *trzy gracye,* starożytny posąg wielkiéj piękności, znaleziony w XIII w. przy kopaniu fundamentów, którego rysunek znajduje się w szkicach Rafaela...

Zabrano je do Akademii sztuk pięknych, ale ponieważ była to własność Piccolominich, zakrystya się o nie dopominała. Maluje to dobrze cześć, jaką Włosi mają dla sztuki, gdy tak długo dzieło pogańskiego artysty przechowywali w gmachu kościelnym, nie ochrzciwszy go nawet trzema cnotami kardynalnemi...

Ale największą ozdobą Librarii są freski Pinturicchio, których część jakąś, lub pomysł i rysunek, dla piękności ich przypisywano i przypisują dotąd Rafaelowi...

Pomimo ustalonego niemal przekonania, że Rafael był współpracownikiem w latach dwudziestu, pięćdziesiątletniego Pinturicchio, mimo ukazywanego na fresku jednym portretu Rafaela, zdaje się, że one są dziełem tego, którego imię noszą; i że dwie tylko kompozycye rysował Sanzio (rysunki te do dziś dnia się przechowały), a i te znacznie zmienione zostały przez Pinturicchia. — Malowania ścienne przedstawujące sceny historyczne z żywota Piusa II zachowane są wybornie, świeże, barwne, nieco ostre, pięknego bardzo stylu i rysunku. Dziwnie się trochę wydają ozdoby złote wypukłe z gipsu dorabiane Dokoła sali leży dwadzieścia dziewięć antyfonałów i graduałów przepysznie miniaturowanych przez kilku sienneńskich malarzy, były one robione umyślnie dla kościoła.

W grobowcu Bandino Bandini, ukazują posążek Chrystusa, dzieło młodości Michała Anioła.

U wnijścia starożytny trójnóg marmurowy służy za podstawę do chrzcielnicy; odpowiedni mu dorobił Jacopo della Quercia w tymże smaku. Dzwonnica stara bez ozdób nie odpowiada piękności i wykończeniu kościoła.

Nie mając wiele czasu do szafunku, poszliśmy stąd zaraz do San

---

*) Eneasza Silviusa opis krajów północnych i Polski, malowniczy i ciekawy, bardzo długo w Europie był powtarzany, z niego uczono się do końca XVI wieku.

Agostino, dla oglądania obrazów. Staruszka odźwierna służyła nam za przewodnika. Kościół niezbyt starożytny pięknie jest utrzymany. Uderzył nas przedewszystkiém (drugi na prawo) Chrystus na krzyżu Perugina, wspaniały, prześliczny. Obraz zachowany świeżo, kolorytu miłego, nieco sucho, ale z wielkiém malowany uczuciem. Obok krzyża unoszą się dwa anioły, na nim pelikan rozkrwawiający piersi, u dołu kilku świętych, z których szczególniéj Hieronim wielkiego stylu i piękności. Wszystkie twarze oblecone spokojem i świętością.

W innym ołtarzu jest Narodzenie Pańskie Sodomy, mimo suchego traktowania znakomite dzieło, szczególniéj N. Panna i aniołowie wielkiego wdzięku.

Spagnoletto, św. Antoni kuszony na puszczy przez szatana, wcale nie kościelny obraz, ściąga uwagę fantastycznością swoją. Dyabeł z rogami, w okularach dzwoni, ażeby świętego oderwać od modlitwy, ale święty robi tylko ruch ręką bardzo naturalny odpychając pokusę szatańską. Głowa św. Antoniego przepyszna, energicznie pojęta, dyabeł niewiele ma charakteru...

Obok San Agostino stoi Collegium Tolomei, budowa w stylu florentyńskim, który w małych loggiettach i portykach, często się w mieście przypomina.

Do San Domenico przy *Fonte Branda*, starego gotyckiego kościoła, trafiliśmy nieszczęśliwie w czasie, gdy się cały restaurował, mało go więc widzieć było można, ale arcydzieło jedyne, fresk Sodomy, którym słynie, mógł być wszakże pokazanym.

Fresk ten po obu stronach ołtarza wystawia zachwycenie i omdlenie św. Katarzyny Sienneńskiéj... Omdlenie jest arcydziełem. Dwie zakonnice podtrzymują świętą, która z wyrazem zachwytu w twarzy, przecudownie wydanym, w rozkoszném omdleniu upada... Oblicze świętéj nadzwyczajnego wdzięku i słodyczy... Z drugiéj strony św. Katarzyna z oczyma wzniesionemi w niebo, któréj anioł ukazuje krzyż, w górze Matka Boska z dziecięciem. Obie te kompozycye tchną wielkiém uczuciem... Jest tu jeszcze wizerunek świętej i krucyfiks Giotta.

Dzieciaki, chłopcy i dziewczęta gwałtem nas prawie wychodzących pociągnęli do domku św. Katarzyny, który jest cały obrócony na kapliczki, bo go wielka uświęciła pobożność... Pokazują tu naprzód sklepik jéj ojca farbiarza, mieszkanie rodziny, miejsce w izdebce, gdzie na ziemi spoczywać była zwykła, wzór cierniowego wieńca, który nosiła, dyscyplinę, którą się biczowała, włosienicę, kij, który w pielgrzymkach jéj służył. Wyżéj jest mieszkanie reszty rodziny, za ołtarzem kuchenka, gdzie jeść gotowano,

różny sprzęt, którego święte dziewczę używało. Jest tu także dobry obraz Sodomy, św. Katarzyna otrzymująca stygmata.

Słuchając szczebiotania chłopaków i dziewcząt o téj *ich* własnéj świętéj siostrzyczce, któréj życie opowiadają wyprzedzając się, śmiejąc, z prostotą i wiarą ludową, nie można się nie uczuć wzruszonym dziejami cichego żywota ubogiéj dziewczyny, która tyle wytrwaniem i mocą charakteru u Boga i, co dziwniéj, u ludzi sobie wyrobiła... Obejrzenie domu więcéj wzrusza, niż największego arcydzieła; choćby go nawet chłodny sceptyk obchodził.

W *Instituto delle belle arti*, zachowują się bardzo szacowne zabytki malarstwa staréj szkoły sienneńskiéj, Guidona z Sienny, Margaritone, Diotisalvi i t. d. Z tych najcelniejszemi się zdają malowania Spinello Aretino, Sano di Pietro i Gnateo di Giovanni. — Tu w Siennie po kościołach i w zbiorze Akademii najlepiéj się ocenia znakomity talent Sodomy, malarza nadzwyczaj zdolnego, którego gdzieindziéj z cząstkowych robót poznać i sądzić nie można. Sodoma umiał swym postaciom nadać wyraz, który, jakkolwiek może nie jest czysto duchowym, jest przejmującym i sympatycznym. Ukazują w Instytucie kartony Beccafumi do posadzki katedralnéj, bardzo już nadpsute i zniszczone.

Z Instytutu musieliśmy pośpieszać na próbę kursów, na najgłówniejszy plac miasta, w którym się niegdyś zogniskowywało życie małéj, ale silnéj duchem rzeczypospolitéj. Jest to jéj plac świętego Marka i zaiste jeśli nie tak piękny, to niezawodnie równie oryginalny.

Nie jestto przestrzeń płaska jak inne, ale w środku wyżłobiona kształtu ogromnéj misy... przepysznemi staremi otoczona budowami. *Piazza del Campo* obiega dokoła droga, czoło jego zdobi *palazzo publico*, niegdyś rezydencya Signoryi, po nad którym wznosi się śliczna, lekka, zębata wieżyca, nie darmo ulubiona Leonardowi da Vinci. Zowie się ona *la Mangia*. Gmach ten panuje całéj Siennie i przyświeca jéj wspomnieniem dawnéj wielkości i sławy. W pośrodku téj misy wznosi się fontanna, *fonte Gaja*, dokoła ozdobne szczyty domów, okryte rzeźbami, pałace Piccolominich, Mensini i t. d. wyglądające na twierdze obronne. Jest tu i loggieta o jednéj arkadzie pięknego stylu... *Loggia di San Paolo* służąca za wnijście do *Casino de Nobili*, w którym był dawniéj trybunał handlowy. Całość jest rzeczywiście tak malownicza, tak piękna, że się po wszystkich pięknych widokach, w które Włochy obfitują, jeszcze jedną z najwdzięczniejszych wydaje. Ozłociło nam ją słońce włoskie nad zachodem, a ożywił lud, który gromadnie zebrał się na *prova*, próbę wyścigów, mających wkrótce się odbywać:

Odżyła też niemi obumarła Sienna...

Gdyśmy weszli na *piazza del Campo*, trudno już było znaléźć miejsce, tak on się cały roił rozgorączkowanym tłumem, który ubierał go najcudowniejszą falą wesołego, śmiejącego się, rozpromienionego ludu. Nasz przewodnik znalazł nam przecież siedzenie na wzniesioném rusztowaniu, które się uginało od widzów. Fizyognomia mieszkańców przedstawiała się nam tu daleko wyrazistéj, niż onego pierwszego dnia w Wenecyi, kobiety były bardzo piękne, typy twarzy rozjaśnione i spokojne, ale pełne charakteru i powagi, cudownie śliczne dzieci i wyrostki, jakby stworzone na wzory dla malarza. Ciżba zalegała rynek, ławki, dachy, środek placu wgłębiony, wszystkie okna domostw, a choć to była tylko próba, oczekiwano jéj z niesłychaną niecierpliwością, z roznamiętnieniem południowém, śmiano się, ściskano, popychano, rzucano słowy i krzykami, rozprawiano...

Oczy wszystkich zwrócone były na drogę wysypaną piaskiem, a z podziwieniem ujrzeliśmy pod *Palazzo publico* przygotowane materace... Nie mogliśmy zrazu użytku ich zrozumiéć, był to środek ostrożności, gdyż często się trafia, że zajadli jeźdźcy spadają i niebezpiecznie się tłuką, trzeba więc miéć ich na czém złożyć i odnieść do domów. Te poopierane o ścianę i pokładzione na ziemi pościele dziwnym były obrazu szczegółem.

Tymczasem niecierpliwiono się wielce, że konie nie przybywały. Około nas siedziała młoda kobieta brunetka, z ognistemi oczyma, z bardzo charakterystyczną, nie tak piękną, jak ożywioną wielce twarzą, wystrojona w broszę, kolce, w mnóstwo tombakowych świecideł i pierścieni na dość brudnych rączkach. Ta szczególniéj zdawała się zajmować losem wyścigów, mówiła, śmiała się, pokazywała, widocznie mąż czy kochanek jéj był między współzawodnikami.

Nagle szmer tłumu zmienił się w okrzyk namiętny, wyjechali wyścigać się mający na sześciu czy siedmiu małych konikach, z czubami różnokolorowemi na łbach, oklep. Każdy z patrzących szczególnie się którymś z nich zajmował, wskazywano palcami, powstały wołania, zachęty, łajanie, szyderstwa, wszyscy powstawali na ławach, podskakiwali, klaskali, ale nikt tak gorąco, tak zajadle, jak nasza sąsiadka brunetka. Pasyi, z jaką się rzuciła, gdy konie wybiegły, odmalować niepodobna. Jeźdźcy puścili się po ciasném kółku, wśród historycznéj ściany owych przysposobionych materaców, jedni zaraz wyprzedzając drugich, usiłując się przegonić. Cóż się to działo z widzami!

Na nieszczęście przyjaciel naszéj sąsiadki musiał jakoś w tyle pozostać, bo się brwi jéj namarszczyły okrutnie, wyciągnęła pięść, zapieniły się jéj usta, zaczęła nie krzyczéć, ale wrzeszczéć, gro-

żąc, pędząc, łając od ostatnich słów nieszczęśliwego. Tupała nogami, szarpała na sobie suknie, głos jéj głuszył wołanie innych, a z *Cafe del Campo*, pod którém siedzieliśmy, wszystkie głowy patrzących obróciły się już nie na konie, ale na nią. Takiego rozwścieklenia dla tak błahego powodu w życiu nie widzieliśmy; była to namiętność prawdziwie włoska, dochodząca do szału. Reszta ludu wesoło cieszyła się próbą, ale nią była równie rozogniona, jak piękna sienneńska bachantka. Nareszcie, mimo krzyku jéj, ktoś inny siedzący na koniku z czubem pąsowym pierwszy przybył do mety, a lud z okrzykami i wrzawą niezmierną poprowadził w tryumfie zwycięscę. Włoszka się rozpłakała, ale gniewna, kochanek już nie miał po co śpieszyć, byłaby mu niezawodnie oczy wydrapała, tak jéj wstyd było, że ulubiony jéj nie był pierwszym i został zwyciężony...

Chociaż miasto oprócz *terra di Sienna,* którą słynie, wyrabia także wielką ilość sławnych pierników i *pan fermo* (twardych innego rodzaju korzennych ciastek), nie spotkaliśmy się tu nigdzie z niemi, nie przedawano nawet wody ani owoców, i mimo wielkiego tłumu nie widać było przekupniów; prawda, że téż i cudzoziemców prócz nas nie było na wyścigach, wszystko się zamknęło w kółku swoich, była to tylko próba, ale z zaognieniem niezmierném odbyta...

Mieliśmy jeszcze czas nazajutrz pójść rano na mszę do katedry, kupić książkę o historyi Sienny i nająwszy vetturina do Perugii, wyruszyliśmy, nie tracąc więcéj czasu. Droga nasza wiodła ciasnemi uliczkami, ku jednéj ze starożytnych bram, jakich niegdyś trzydzieści zgórą liczyła Sienna, pożegnaliśmy piękne gmachy starego miasta i dobrą szosą wyruszyliśmy do Camuscia pod Cortoną. Na prawo ukazał się nam zameczek na górze, willa, cmentarz; minęliśmy roboty około przygotowującéj się kolei żelaznéj do Chiusi, które szosa nasza miała ciągle przerzynać lub okrążać. Okolica zrazu zdała się nam dość żyzną, była górzysta, otwarta, ale ujechawszy nieco w coraz pustszy kraj zagłębiliśmy się, odmienił się obraz całkowicie.

Krajobraz stał się pustynny, dziki, przykry, smutny i nagi. Przebywaliśmy jakieś wulkaniczne pagórki poustawiane dziwacznie jakby ogromne kretowiska, różnych rozmiarów, nie porosłe niczém, gliniaste, piaszczyste, bez kamieni nawet, niby kupy popiołów. Tego rodzaju wzgórki rzadko cieplejszego tonu, szare, brudne, kształtu jakiegoś mogilnego, ciągną się na wsze strony, jak okiem sięgnąć i przedstawiają widok niesłychanie przykry, kraj ten ruiny, jednostajny, spalony, biały ale dziwny, bo do żadnego innego niepodobny, pokrajany łożyskami potoków, bez trawy, bez drze-

22*

wa, bez skał nawet i kamieni, jakby świeżo trzęsieniem ziemi wywrócony, trwa nazbyt długo i w końcu nęka podróżnego jak jakiś sen straszliwy. Ciągle prawie taką pustynią bez poezyi dojeżdża się do Carmajolo, odkąd znowu powoli wracać poczyna zieloność, trawa, życie, małe laski dębowe, wzgórza murawą porosłe, gdzieniegdzie drzewa oliwne, w dolinach szerokie łany pszenicą okryte bujną, której ledwie wprzód gdzie zagon mozolnie wydarty pustyni spotkać było można. Tak-eśmy nareszcie dobili się do Rapolano, starego miasteczka na wysokiéj górze malowniczo usadowionego i ściśniętego. Musiało ono niegdyś być obronném, zostały bowiem mury okolne, bramy i szczątki dawnych wieżyc. Musieliśmy tu popasać w szkaradnéj lokandzie Pasqui, do któréj dojeżdżając o pół mili już widać ogromny oznajmujący napis nad wrotami, żeby ją vetturin nie pominął. Całą pociechą naszą był widok z tego wzgórza na łańcuch gór i doliny szerokie, bardzo stąd piękny, zwłaszcza dla oczów pustynią dziką znużonych. Burza i deszcz, przelatujące w dali po gór szczytach, upiękniły nam jeszcze panoramę nieco pustą, ale wspaniałą i wielką.

W okolicy są kąpiele gorące *Bagni di Rapolano* i *d'Armajolo*, na choroby skórne, reumatyczne i inne tego rodzaju słabości służące.

Wyruszywszy stąd znowu prześliczne znaleźliśmy Włochy, żyzny i ożywiony kraj, tém piękniejszy, że przerzynany gajami dębowemi, w których jakby nasze szumią wiekowe starce. Z pośrodka gdzieniegdzie sterczą wspomnienia lat dawnych, wieże zębate rozwalonych zamczysk, kościołki i domy z wieżyczkami wiejskich gospodarzy. Część téj drogi przez *Val di Chiana* wśród pagórków i zielonych lasów, pełna widoków coraz nowych, zachwycająca. Charakter krajobrazu niéma wielkiéj oryginalności, ale koloryt gór, gruntów, ciepły, złocisty, fioletowy, przyodziewa to szatą wspaniałą. Co chwila spotyka się to domek lepiony, przystawiany, dziwaczny, to fontannę wdzięczną nad drogą, to muru kawał ozłocony słońcem i oblany czarnym bluszczem.

Pola żyzne, góry pięknych linij, znowu oliwy, morwy i winna latorośl, która spaja pnie, wyglądające wśród pól, jak gdyby się do tańca pobrały.

Wśród tego wesołego pejzażu, urozmaiconego wzgórzami, dojeżdżamy do Duciniano z zamkiem i wieżycą na górze, a w dali już postrzegamy siwiejące w prawo łańcuchy wyniosłości Montepulciano i Radocofani sławne wybornemi winami. Widok niezmiernie rozległy, tak, że oko ledwo krańców jego doścignąć może; w dolinach łany złote, przepinane morwami i wieńcami winnych latorośli, na szczytach kastele, gdzieniegdzie kupka zieleni. Niżéj

nieco położone z bramami staremi, miasteczko porządne Fojano przechodzi droga i spuszcza się powoli w szeroką dolinę ku Camuscia, żyznym bardzo krajem wśród zbóż i winnic.

W Camuscia, pod Cortoną, u stóp góry, na któréj leży to miasto, schodzą się cztery gościńce z Arezzo, z Fojano, z Montepulciano i Cortony, tuśmy się na noc zatrzymać musieli, gdyż wieczór był późny, a świecące tylko muszki błyskały wśród czerniejącéj coraz bardziéj nocy. Nie mieliśmy téż zamiaru zwiedzić Cortony, śpiesząc do Rzymu. Lokanda *posta di Camuscia*, tą razą pusta, przyjęła nas na nocleg; utrzymana na sposób dawny, bez wykwintu, bo nawet świec nie było i lampą starożytną o dwóch knotach do pisania potrzeba się było zaspokoić,—ale nie była tak bardzo niewygodną.

Gospodyni niegdyś piękna, jéj córeczka obiecująca być kiedyś ładną, i bury kot ogromny, a do zbytku poufały, gospodarzyli w lokandzie. Jakież było zdziwienie nasze, gdyśmy po wniesieniu lamp do izdebki, którą nam dano, spostrzegli na ścianie w owalu białym bardzo wdzięczny rysunek wystawiający Madonnę, dzieło sztuki w takim zakątku odludnym!

Przejeżdżający tędy artysta Niemiec pozostawił je na murze jako dowód, że są jeszcze na świecie ludzie z natchnieniem, co nie za wszystko płacić sobie każą, a tworzą czasem coś, gdy im serce powie, choćby znużeni byli drogą, a mieli przed sobą szarą tylko ścianę lichéj gospody. Obrazek bardzo starannie wyrysowany i wykończony, wyobrażał siedzącą Madonnę z dziecięciem błogosławiącém, w stylu florencko giermańskim. Kwitnący krzak róży pod nią. Rysunek był czysty, poprawny, wiele w nim uczucia i wdzięku, a najlepsze to, że się tu urodził. Gospodyni szanowała pamiątkę i gdy pokój przemalowywano na niebiesko, zostawiono owal biały, przypominający chwilę natchnienia niemieckiego wędrowca. Zwał się on *Müller*; widzieliśmy jego święte obrazki poźniéj wydane, wcale piękne; ale gospodyni nic jakoś o nim nauczyć nas nie umiała.

Mglistym, ale ładnym porankiem wyruszyliśmy nazajutrz w dalszą drogę, doliną pomiędzy górami, wązkiemi drożynami, które opasywały krzaczysto rozrosłe i kwitnące granaty i laurowe drzewa. Nie dojeżdżając do Ossaja wciąż ogrodami oliwnemi, ukazuje się i roztwiera szeroko pomiędzy górami rozlane jezioro trazymeńskie, dzisiejsze perugińskie. Ślicznać to szyba zwierciadlana, gładka, barwy łagodnéj, jakby wielka płyta mieniącego się opalu. Poza nią piętrzyły się mgłami okryte góry, ponad nią zwieszały się ogrody oliwne z roztrzaskanemi pniami. Gdzienie-

gdzie żółte jak piasek, złociste łany zboża wchodzą aż w wody jeziora.

Tuśmy w Monte Gualandra przebyli granicę państwa papieskiego od Toskanii, bez wielkich trudności; i jechaliśmy daléj wybrzeżem wspaniałego a tylu wspomnieniami uświęconego jeziora, przebywaliśmy właśnie tę drogę, którą wojska Annibala szły przeciwko Flaminiuszowi. Bitwa trazymeńska nad temi brzegami się odbyła. Dwa potoki płyną od Gualandra do jeziora, do którego wpadają; pierwszy milę przebiegłszy doliną, drugi o ćwierć jeszcze daléj przybiera nazwisko krwawego potoku *Sanguinetto*. Pomiędzy łożyskiem jego a pagórkami wieśniacy po dziś dzień ukazują odkryty plac na lewo, który miał być głównym rzezi teatrem. Rzymianie bohatersko potykali się przez trzy godziny, ale śmierć Flaminiusza była hasłem powszechnéj rozsypki. Jazda kartagińska rzuciła się w pogoń za rozpierzchłemi i usłała trupami brzegi jeziora, moczary pod Borghetto, całą okolicę, po któréj jeszcze odkopują kości ludzkie, które ziemia przechowała. Imię Annibala przeżyło tu Rzymian i Flaminiusza, siła zdobyła nawet pamięć wiekową!

Jakże przy tych krwawych wspomnieniach, pogodném a cichém wydawało się nam trazymeńskie jezioro coraz szerzéj rozlegające się przed nami, z czerniejącemi na niém wysepkami, z cyplami lądu wchodzącemi weń głęboko, z nadbrzeżami, na których rosły stare rozłożyste dęby i malowniczo wznosiły się wieśniacze budynki lub ruiny starych zamków. Przypatrując się temu krajobrazowi, dojechaliśmy do Passignano położonego nad samém jeziorem, w które prawie wchodzi cyplem lądu, zabudowaném staremi domostwy rybaków. Na górze i tu są szczątki kastelu, osada mała, przecięta uliczkami wązkiemi, cała zawieszona schnącemi sieciami. Stąd jadąc daléj widok zawsze równie malowniczy, kołuje droga ponad jeziorem, ukazują się skały nad brzegami, dodając wdzięku krajobrazowi dość często jednostajnemu, zasadzonemu tylko lasami drzew oliwnych dziwacznie połupanyah, podziurawionych, powykręcanych kształtów. Wody jeziora, może z powodu pory dnia i gór okrążających, ciągle miłe tony opalu zachowywały.

Za Passignano droga powoli wsunęła się w góry, które nam wkrótce miały zasłonić jezioro. Ostatnie spojrzenie z wierzchołka tych szczytów na rozległe wody było przecudnie pięknym obrazem, którego pierwszy plan składały stare dęby i urwiska okryte krzakami dzikich granatów. Z między ich liści gdzieniegdzie płomienisto rozkwitał granat na tle czarném. Na wysokim szczycie nagiéj góry stoi tuż nad drogą osamotniona wysoka wieżyca, a przy niéj nawet gruzów niéma zamku, którego była strażnicą,

pusta, spękana, smutna, sama jedna, olbrzymi trup, co się nie mógł w proch rozsypać. Bluszcze gęste, zbite okrywają jéj mury, te bluszcze, co u nas tak nieśmiało jakoś i wątło rosną, tutaj wszędzie bujne, gęste, jakby kobiercem zieleni opasują każdą ruinę, każde drzewo, tak, że pod niemi często pnia dostrzedz nie można.

Od téj smutnéj wieżycy, na nagim pagórku (który się podobno *Monte Colonna* zowie), spuszcza się nieco droga ku *La Magione*, małéj znowu osadzie o wązkich uliczkach, i wjeżdża w doliny zarosłe oliwą i winem. Dosyć jednostajną drogą jedzie się potém aż do Perugii. Miasto, jak prawie wszystkie tutejsze, siedzi na wysokiéj górze, na którą z pomocą doprzężonych wołów drapać się potrzeba. Ogromne stare mury otaczają je, sterczą zdala wieżyce kościołów, ruiny gmachów, ściany domostw dziwnie popiętrzonych i fantastycznie polepionych z sobą.

I tu trafiliśmy na uroczystość, na święto Maryi Panny *di buon Consiglio*, w oknach wisiały opony adamaszkowe, w ulicach były przygotowania do iluminacyi. Kościoły wyglądają wspaniale, miasto zachowało surową średniowieczną fizyognomią, bramy przypominają wojny, mury opasują gród smętny, ale poważny; — ani obyczaj, ani życie naszego wieku nie zajrzały tu jeszcze.

Wiadomo jak starożytną osadą jest estruska *Aperuse*, część murów, kilka bram sięgają jeszcze tych pierwotnych czasów; w okolicy na drodze do Rzymu odkryto nekropolis Wolumnijów i innych rodzin. W czasie wojen punickich, Perugia wierną pozostała Rzymowi. Oktawiusz obległ tu brata Antoniuszowego i okrutnie mścił się nad mieszkańcami po wzięciu miasta. — Pogańskie *vae victis*, nieubłagane, dzikie, wyludniło gród nieszczęśliwy. Proszącym o ocalenie życia, odpowiadano jedném słowem: — *Umrzéć potrzeba*! Czterystu wybranych z tych, co się poddali, u ołtarza Juliusza Cezara zamordowano, majętności ich zabrane opłaciły żołnierzy zasłużonych. August odbudował potém Perugią, ale krwawéj plamy nie zmył ze swéj pamięci, została ona na wieki na jego imieniu. Późniéj w 548 roku Totyla zdobył ją po siedmioletniém oblężeniu i zniszczył, biskupa Ercolana ścięto z jego rozkazu. Weszła następnie w skład państwa papieskiego. Walka gwelfów i gibelinów zakrwawiła ją jeszcze. I tu lud a patrycyusze szlachta darli się z sobą, nie dając spokoju grodowi, który bój wewnętrzny wyniszczał. Chwilkę przeżywszy pod mądremi rządy Braccio da Montone, Perugia wróciła pod władzę papieżów, a dla utrzymania jéj w posłuszeństwie Paweł III zbudował cytadelę, która groziła miastu za najmniejszém poruszeniem. Ale stary gród gwelfów nie miał już na nie siły.

Dzisiaj w Perugii panuje Perugino, historya sztuki mimo kilku imion, które się wiążą ze stolicą tak zwanéj szkoły umbryjskiéj (Rumohr'a) nikną przy tém słońcu blaskiem swym oblewającym nawet *anioła* szkoły, Rafaela.

Z życia Perugina wiemy bardzo niewiele, ale dzieła świadczą o niezmiernéj działalności, powiedziałbym o natchnieniu religijném, które go ożywiało, gdyby Vasari, nie wiem skąd, nie zaczerpnął dziką wiadomość, że Perugin w nic nie wierzył, oprócz grosza. Niepodobna prawie pojąć tych postaci tak czystych i świętych, pędzlem i duchem ateusza na płótno rzuconych, myśl się błąka i nie umie rozwiązać takiéj zagadki.—Może życie Perugina, może słowa jego dały powód do takiego twierdzenia, ale w duszy mistrza nie mogła panować ta niewiara, to zwątpienie, o którém pisze Vasari. Serce—przepaść... nie widzieliżeśmy ludzi w istocie religijnych, których mowa tchnęła sceptycyzmem, i sceptyków udających gorliwych?

Vasari często powtarza plotki.

Do szkoły umbryjskiéj liczy się jeszcze Pinturicchio, Alfaniowie, Genga, Doni i wielu innych mało znanych, a nawet Francesco Francia, którego charakter bardzo właściwie tu mieści.

Zamierzając oglądać Perugią, zgóry sobie powiedzieć potrzeba, że się tylko Perugina i jego szkołę będzie widziało, najrozumniejszy z przewodników tutejszych, którego polecają jako dobrze znającego miejscowość człowieka, szanowny Scaleti nie widzi po kościołach nic nad Perugina. Jest wistocie nie mało jego i szkoły do badania.

Przybyliśmy na biedę zmęczeni bardzo i trafiliśmy na rozgorączkowanie ludności świętem, zabawami, na które wszyscy śpieszyli, tak, że nikt nas prowadzić nie chciał i przewodniczyć po wszystkich kątach, do których zaglądać wypadało.

Jeden nawet wyproszony cicerone w kościele półgłosem rzekł, wywiązując się z przykrego wziętego na się posłannictwa:

— *Ahi! tutte queste tavole sono una seccatura.*

Wyznaję, że całe życie jedno pokazywać nie jest rzeczą zabawną, ale ci ichmość z tego przecież żyją; w święto tylko więcéj zapłacić potrzeba.

Poczęliśmy pielgrzymkę naszę po Perugii od *Il Cambio*, był to gmach sądu handlowego czy giełda w XV w. W sali téj budowy znajdują się freski mistrza, najcelniejsze jego dzieło z roku 1500, do których bardzo być może, iż mu młody uczeń jego Rafael dopomagał.

Na pierwszéj ścianie wyobrażone są sześć Sybilli i sześciu proroków, a w górze chwała Ojca. Jest to styl, wyraz i maniera

starego mistrza, ale w tych wspaniałych postaciach więcéj jest swobody, ruchu i życia, niż zwykle bywa u niego, jakiś młody duch od nich bije. Być bardzo może, iż Pinturicchio i Rafael wspólnie z niemi nad temi freskami pracowali, tradycya miejscowe twarze dwóch uczniów nawet wskazuje pomiędzy prorokami.

Daléj następuje Narodzenie Pańskie, majestatycznie pojęte, dziecię na niém prześliczne i Przemienienie, w którém Chrystus jest anielskiéj prostoty i słodyczy postacią. Przypomina ono nieco obraz Rafaela. Apostołowie także wielkiego charakteru.

Następny obraz wystawia sześciu rycerzy i bohaterów starożytnych: Pittacus, Fabius Maximus, Leonidas, Horatius Cocles, Temistokles. Stoją oni szeregiem we zbrojach, figury wspaniałe, ale szkoła Perugina dała im rysy bohaterów nieba nie ziemi, pełne spokoju i miłości. W górze: Umiarkowanie i Fortuna; odpowiadają sześciu rycerzom, sześciu filozofów starożytnych, równie pięknych, z dwoma allegorycznemi figurami. Na stropie są planety i bogata ornamentacya w smaku loż Rafaelowskich z figurkami małemi prześlicznemi. Na jednym z pilastrów pod szkłem portret *al fresco* Perugina.

Podanie przyznaje niewielki udział Rafaelowi w ozdobieniu *il Cambio*, głowy Sybilli erytrejskiéj i libijskiéj i głowę Zbawiciela w Przemienieniu. Ale Rafael przybył na naukę do Perugina w r. 1498, a fresk był skończony w 1500. Z tém wszystkiém obrazy tę są czémś większém, potężniejszego tchnienia, niż inne Perugina, który trzymał się stale w małém kółku prześlicznych, ale zawsze jednych typów. Niektóre głowy apostołów w Przemienieniu, ołtarz ze Ś. Janem, olejno malowanym, nawet rycerze i mędrcowie noszą piętno szkoły dobitne, ale w nich więcéj stylu, ruchu, swobody, jakby młodzieńczéj siły. Czy ona pochodzi od Rafaela, czy jest dziełem Pinturicchia, to zagadka nierozwiązana.

Freski te ze wszystkich znanych dzieł starego malarza (oprócz Madonny we florenckiéj Trybunie i Złożenia z krzyża w galeryi Pitti) są najznakomitszemi, jako utwór i wykonanie, to jego *capo d' opera.*

W Perugii zaś za arcydzieło mają obraz niewątpliwie jego ręki, malowany dla bractwa Ś. Piotra męczennika, wyobrażający N. Pannę z Chrystusem, aniołami i sześciu mniejszemi figurkami donatorów braci konfraternii, pomiędzy którémi wskazują i wizerunek artysty. Widzieliśmy go zblizka, bo w mieszkaniu tego, który kopiował obraz, ale daleko, daleko nie dochodzi wartością fresków w trybunale.

Madonna nie ma takiego wdzięku, jakim się odznaczają Peru-

ginowskie, ręka jéj podtrzymująca dziecię, jest nawet bardzo ułomnego rysunku, koloryt piękny i jasny, ale chłodny.

Obok sali trybunału jest jeszcze kapliczka mała, któréj freski malowane być mają przez Giannicolo Manni, ucznia Perugina; przypominają go one stylem, ale są daleko słabsze, i widocznie innéj ręki. Kaplica formą odpowiada sali poprzedzającéj.

Wyszedłszy z *Il Cambio*, przechodzi się około *Palazzo pubblico*, czyli *communale*, w końcu ulicy Corso ku katedrze idąc. Jest to budowa z XIV w., architektury gotycko-włoskiéj, z pięknemi rzeźbami i ozdobami drzwi i okien, surowego pozoru. Jeden jéj bok zwrócony jest ku przepysznemu wodotryskowi przez Jana z Pizy rzeźbionemu z marmuru w kształcie chrzcielnicy, o kilkunastu ścianach z figurami i bogatą ozdobą. Wodotrysk zakończa bronzowa figura Gryfon, herb miasta z r. 1277 przez Rosso. Stąd przeszliśmy na plac *del Papa*, wśród którego stoi poważny posąg Juliusza III przez Danti (1555 r.), zmierzając do pałacu *Conestabile Staffa.*

Ciągnął nas tutaj obraz Rafaela i freski Perugina, zdjęte z kościoła. Jeden z nich wyobraża S. Ercolana, patrona miasta z gryfonem i chorągwią męczeńskiego zwycięstwa, prześlicznego rysunku i wielkiego stylu.

Na drugiéj części fresku z herbami, dwa aniołki mają być także ręki mistrza.

Oprócz tego szacownego zabytku znajduje się jeszcze N. Panna z dwoma aniołami, klęczącemi przed nią; z najlepszéj epoki Perugina, jasny, miły, spokojny obraz wielkiego wyrazu.

Po tych freskach, po tych postaciach sam Rafael maleje w przekonaniu patrzącego, rodzą się wątpliwości, ale wstrzymać się potrzeba z sądem, bo któż wie, czy mistrz ucznia, czy uczeń mistrza wykształcił?

Pod N. Panną Perugina stoi drugi maleńki obrazek... Rafaela, N. Panna z dziecięciem Jezus, które ciekawie zagląda w książeczkę pokazaną mu przez matkę. Jest to drobnych rozmiarów, wykończone jak miniatura, ale cudownéj piękności, że się tego napatrzyć, nalubować tém dosyć nie można. Mało znaczniejszych dzieł Rafaela są autentyczniejszemi nad to, lepiéj dochowanemi a większemi myślą i wyrazem nad tę drobną deszczułkę.

Przy tym obrazku Perugin znika, to coś potężniejszego nad niego. Podanie miejscowe, aby sławie mistrza nie ująć blasku, utrzymuje, że z rysunku Perugina wykonał tylko Rafael tę śliczność, ten klejnot drogi.

Perugia słusznie się chlubi swojém dziecięciem, noszącém imię jéj i uświetniającém rodzinne gniazdo, ale, dlaczegóż nie poszano-

wała fresku, który przyozdabiał stary dom, co był jego mieszkaniem? Trudno temu uwierzyć, że wypiłowano Chrystusa z frontu budowy i sprzedano go do Anglii. Obok tych pereł zbioru Conestabile nikną *stellae minores*, piękne, ale powszedniejsze dzieła, jak S. Rosa de Lima Sassoferrata, któréj wdzięk trzyma się w granicach, jakie mu talent autora zakreśla.

Stąd jeszcze udaliśmy się do *San Severo* kamedułów widziéć kaplicę al fresco malowaną przez Rafaela i Perugina. Dzieło to, jak z pozostałości sądzić można, było znakomite, ale okrutnie zostało zniszczone. Można się domyśléć, że je ktoś odnowił, że poznano się na szkodzie wyrządzonéj mu i starto potém wierzchnią skorupę, ale z nią zeszło wiele pierwotnego oryginału. Układ figur przypomina nieco dysputę o P. Sakramencie Rafaela, ale tylko w mechaniczném rozłożeniu postaci. W górze część znaczna zniszczona, niżéj Chrystusa twarz zachowała ślady piękności, ale czystość rysunku znikła [1]).

W tych datach jest coś wątpliwego, trudno dziś wyrokować z pozostałości nadwyrężonych, bo i w dole blade postacie zamazane. Mają one coś w sobie Peruginowskiego. Święci u góry są: Maurus, Placidus, Benedictus, Romualdus, Joannes; święte: Scholastyka, Marta i t. d. Wszystko to jest cieniem tylko i szczątkiem, który więcéj żalu obudza niż zachwytu.

Raz dostawszy przewodnika, nie daliśmy mu pokoju, poszliśmy z nim do San Lorenzo, katedralnego kościoła z XV w. w smaku XIII. Ozdobna facyata jak i wnętrze nie czynią wielkiego wrażenia, czuć w nich odświeżenie. Z obrazów za najcelniejszy Baroccio ukazują tu Zdjęcie z krzyża, które miało honor jeździć do Paryża i powrócić stamtąd na miejse; ale to pstre, zręczne, umiejętne, a próżne ducha malowanie, przy poważnych mistrzach ledwie zwraca oczy. Ciekawsze są rzeźby Jana z Pizy na grobowcu Marcina V i obraz Giannicolo, ucznia Perugina, N. Panna modląca się z rękami złożonemi, pełna wyrazu [2])

Pielgrzymka po kościołach zawiodła nas do San Domenico,

---

[1]) Napisy później dodane podobno są następujące: Z lewéj strony: Rafael de Urbino Domino Octaviano Stephani Volaterraneo Priore Sanctam Trinitatem Angelos astantes Sanctosque pinxit A. D. M. D. V. Z prawéj strony: Petrus de Castro Plebis Perusius tempore Domini Silvestri Stephani Volaterranii destris et sinistris Divi Christophorae Sanctas Sanctosque pinxit. A. D. MDXXI.

[2]) W jednéj z kaplic tego kościoła znajdowało się Sposalizio Perugina, przeniesione teraz do Muzeum w Caen, będące prototypem medyolańskiego, przyznawanego Rafaelowi.

wielkiego gmachu zdala wyglądającego na ruinę, a teraz właśnie restaurowanego. Pochodzi on z 1304 r. i miał niegdyś szyby z rysunków Fra Bartolomeo, dziś mało w nim zabytków dawnych pozostało.

W zakrystyi zachowują obrazy Fra Angelico, Zwiastowanie zupełnie podobne do znajdującego się u Ś. Marka (kilka razy powtarzane przez niego) i kilkunastu świętych z rzeźbionego zapewne ołtarza wyjętych. Są tu i inne ciekawe malowania Giannicolo, Gentile da Fabriano, i t. p. Na Giannicolo najlepiéj przekonać się można, jaki wpływ Perugin mógł wywrzéć na Rafaela, a ile on winien był sam sobie. Uczniowie tacy jak Giannicolo, przejęli tylko wiernie tradycye szkoły, Rafael ją ożywił duchem nowym i posunął daléj. Zostało w nim tchnienie mistrza, ale bujniéj rozkwitło.

Stąd ruszyliśmy za miasto do *San Pietro de Cassinensi, fuori di mura,* kościoła i klasztoru benedyktynów, do którego idąc, widok na miasto stare, nieregularnie pobudowane, ściśnięte, rozwija się rozległy, na dolinę otaczającą je i Apeniny, aż ku Assyżowi. Panorama ta przy zachodzącém słońcu przedstawiała się nam czarownie, gdyż dalsze plany okrywały cienie, a budowy bliższe, wille i mury stare wychodziły jasno na mglistém tle dalekich głębin pejzażu. Zbierało się na nieszpór świąteczny, ulice więc pełne były zieleni, pozawieszane wieńcami z dębiny, chorągwiami, dywanami, przyborami do iluminacyi, a roiły się ludem, żołnierstwem, kobietami i dziećmi postrojonemi. Próżno wszakże szukaliśmy w Perugii typu Madonny Perugina.

U San Pietro nic nie mieliśmy więcéj do oglądania i studyów nad tutejszą szkołę (pomijam przepyszny lawatarz Łukasza della Robbia, Samarytankę u studni).

W obrazach Giannicolo, l'Ingegno, Pinturicchia, zbliżonych do robót Perugina widać jak się do pewnego stopnia styl i sposób malowania przekazywał, jak się pod indywidualnemi zmieniał wpływami; jak talent go podnosił, jak przy braku jego szkoła mogła stworzyć malarza z niewiele usposobionego ucznia. Znaleźliśmy tu i rysunki Rafaela i pięciu świętych Perugina, bardzo pięknych i, co najciekawsza, *Pietę* z 1469 roku przez Bonfigli, nauczyciela Perugina.

Odstęp między nim a mistrzem jest wielki, Bonfigli jeszcze suchszy, ostrzejszy, rysunek jego mniéj dokładny, znajomość ciała ludzkiego bardzo ograniczona, wykonanie bojaźliwe i drobnostkowe, ale twarz Chrystusa znakomicie pojęta, wypogodzona śmiercią, ozłocona męczeństwem. Otaczający ludzie żywi gasną przy umarłym, wszystkie uczucia wlał malarz w te rysy boskiego męczen-

nika. Widzimy, skąd Perugino zaczerpnął ten spokój i jasność, jaką obliczom swych Madonn umiał nadawać.

Są tu jeszcze stalla z rysunków Perugina bardzo piękne i, przez benedyktynów wykonane, rękopisma miniaturowane z XV wieku.

Tegoż rodzaju zabytki powtarzają się i u San Agostino, bogaty i to kościół w Peruginów, wielkie ołtarzowe jego obrazy są: I. Chrzest Chrystusów koloru złocistego, blady jednak nieco, figury suche i sztywne; II. N. Panna ze Św. Józefem, czczący dziecię Jezus, w dali pasterze u góry dwa charakterystyczne anioły z obu stron wznoszące się, które, jak u Belliniego aniołowie grający, znajdują się na każdym niemal jego obrazie. Dziecię i N. Panna bardzo piękne, typ jeden zawsze.

Ze starego szafiastego ołtarza pozostały pojedyńcze figury, Bóg Ojciec, Ś. Jan i Hieronim. Nad drzwiami zakrystyi jest obraz Rafaela, pierwszéj maniery, może tylko z jego rysunku, bo koloryt dziwnie nieprzezroczysty i różny od jemu zwykłéj barwy. Płótno to mocno zczerniało.

Są tu i innych malarzy Peruginowskiéj szkoły obrazy zastanawiające i w zakrystyi jeszcze Peruginowie. Między rysunkami myśl do obrazu Wieczerzy odmienna wcale od zwykłych. Szkoda, że rysunek mocno przypsuty i twarze wszystkie jakby umyślnie starte. W głębi stoi stół Chrystusów, na przodzie kilka figur w strojach wieku opiętych, pyszna kolumnada podpiera Wieczernik, część apostołów zakrywa szczegóły pierwszego planu.

Jużeśmy byli tak znużeni gwałtownem pochłonięciem tylu przedmiotów, że pamięć z ciężkością podołać im mogła, poszliśmy więc powoli z naszym przewodnikiem, jednym z najrozsądniejszych, jakich się nam w podróży natrafić zdarzyło, P. Giovanni Scaleti, dla przypatrzenia się staremu miastu. Droga zawiodła nas do bramy, zwanéj łukiem Augusta, wzniesionéj na gruzach starego muru, na którym znać ślady pożaru, który zniszczył Perugią. Zbudowana z wielkich brył trawertynu, bez wapna spajanych, ma wiele charakteru i powagi właściwych starożytnym budowom — kamienie równéj miary leżą rzędami jedne na drugich. Kawał rzeźby i napis: Augusta Perusia, zostały z epoki restauracyi rzymskiéj, ale późniejsze ją popsuły boczną galeryą i innemi szczegółami dodanemi.

Wieczór spędziliśmy na rozprawach o sztuce, na notowaniu wrażeń i wspomnień po albumach, i na przeglądaniu ciekawéj księgi podróżnych w *Hotel de la Grande Bretagne*, w którym nas los umieścił. Znaleźliśmy w niéj oprócz *premiers prix* paryskich jadących do Rzymu, ze wszelkiemi tytułami i dystynkcyami pozapisywanych, protestacyą ciekawą Dr. Forstera, ogromne rozprawy wędrujących Anglików, których liczba w statystyce podróżnych przemagała, wiele

zabawnych uwag, wierszy, dowcipów. Nie zbywało nawet na artystycznéj krytyce.

Następny dzień (5-go lipca) był wprawdzie, *albo notanda lapillo*, użyty dobrze, ale niesłychanie utrudzający. Poczęliśmy od tego, że, chcąc dokończyć oglądanie Perugii, widziéć Assyż i stanąć w Spoletto, musieliśmy wstać bardzo rano i mimo dnia chmurnego, a kropiącego deszczu, o piątéj już pod bronią, z książkami pod pachą, pieszo, zmęczeni drapaliśmy się po górach, po kamieniach, przez stare strome i kręte uliczki, pod murami Perugii, do *San Francesco del Monte*. Przechadzka ta pomimo chłodu zmordowała nas mocno, bo klasztor odległy jest dobrze od murów miasta, stoi na wyniosłości a *Scala del Paradiso*, jak wszystkie drogi do rajów, nie jest ani łatwą, ani przyjemną. Ale stąd znowu jaki widok na gród stary, na tę gmatwaninę murów, ścian, wieżyc, zębatych blanków, łukiem łączących domostwa, na dolinę i Apeniny za zasłoną mglistą chmurnego ranka przeglądające.

Klasztor ten wedle podań założonym być miał przez samego jeszcze Św. Franciszka, ukazują dotąd *claustrum* pierwotne ubogie, ciasne, które późniéj dopiero rozszerzono. W tém dawném mieszkało owo święte ubóstwo, którego on dał przykład, które podniósł i uświęcił.

Pokazano nam tu naprzód stary fresk dosyć zniszczony, piękny wyrazem zachwytu, wystawujący świętego w Alwernii otrzymującego stygmata. Ma on być Perugina.

Głównie ciekawém i autentyczném jego dziełem jest wszakże inny, tu znajdujący się, zdjęty z muru i przeniesiony na płótno, umieszczony w opuszczonéj kapliczce, do któréj iść potrzeba przez kościołek również ubogi i biedny, równie opuszczony, jak ona. Odprawiały się w nim ranne msze, gdyśmy przechodzili.

Zatrzymawszy się chwilę, szliśmy daléj wewnątrz podupadłych murów, aż do nowego fresku. Ucierpiał on także, bo był dawniéj umieszczony na ścianie zewnętrznéj i deszcze go spłukały. Cała ta karta, jasna, miła, tchnie spokojem szkoły,—jest to ulubiony owych czasów przedmiot, adoracya dziecięcia Jezus, wystawiony tak, jak go zwykle przedstawiano. Mówią, że malarz w postaci klęczącego z boku pasterza wystawił Ś. Franciszka, jakby chciał wyrazić, że duch jego był u kolebki Zbawiciela. Piękne to dzieło, choć nie uderza niczém nadzwyczajném, ma bardzo wybitny charakter twórcy.

Drugi obraz malowany na desce z obu stron znajdował się w celi braciszka, który go kopiował, poszliśmy więc do niéj dla widzenia jeszcze jednego Perugina. Znaleźliśmy w skromnéj izdebce młodego człowieka, z twarzą wesołą, wyrazem pogodnym, z koroną do koła pięknéj głowy, z trochą odrosłych już włosów bujnie rozrzuco-

ną, zajętego przy staludze, w pośród rysunków, masek gipsowych i studyów. Znać było, że się kształcił z miłością dla sztuki na religijnego malarza, surowo, choć o własnych siłach. Powitał nas uprzejmie, ale milcząco, usunął się od obrazu, i unikał rozmowy, znać pilno mu było do roboty powrócić.

Obraz, który bardzo starannie począł był kopiować, wyobrażał z jednéj strony Ukrzyżowanie. W pośrodku wstawiał się krzyż rzeźbiony, po obu jego bokach stoją czteréj święci, w górze anioły w kielichy przyjmujące drogą krew Zbawiciela. Anioły te, które już zaczął w ten sposób malować Bonfigli, są cechą wielu obrazów Perugina i zawsze prawie powtarzają się jednakowe.

Na téjże desce z drugiéj strony jest koronacya N. Panny, z dwunastu świętemi apostołami u dołu, obraz piękny, ale zimny. Mieliśmy zręczność dobrze się przypatrzyć nawet wykonaniu technicznemu.

Pożegnawszy wreszcie milczącego braciszka, wyszliśmy już nie Peruginów oglądać, ale klasztor, w którym żyje sześćdziesięciu siedmiu mnichów, ubogich, ale wesołych, swobodnych i zdających się szczęśliwemi. Część ich była w chórze, część w kościołku, inni, jak ów malarz, pracowali po celach, cała ta rodzina wyglądała na zgodną i cichą familią.

Zaprowadzono nas potém do pięknie urządzonéj sali bibliotecznéj, obfitującéj w księgi treści teologicznéj i do historyi kościoła. Z balkonu biblioteki znowu cudowny mieliśmy widok na góry, aż gdzieś ku Assyżowi.

Tuż pod stopami naszemi był obszerny ogród, a raczéj pólko klasztorne, na niém złociła się bujna pszenica, a kilku braciszków zakasawszy poły habitów uwijali się około niéj z sierpami, ale tak wesoło, ochoczo, z takim do pracy zapałem, że się nam prastare Franciszkowskie przypomniały czasy.

Obszedłszy klasztor nowy i stary dokoła, pożegnaliśmy braci i kołując pod wysokiemi murami miejskiemi, po schodkach i ścieżynkach, spuściwszy się w dół przy uniwersytecie i ogródku botanicznym, skierowaliśmy się do San Francesco Conventuale, po naszemu do XX. bernardynów. Facyata kościoła, rzeźbiona z marmuru przez della Robbia, nosi datę 1461 roku *Augusta Perusia.* W pośrodku niéj S. Bernard z księgą, niżéj różne sceny z jego żywota, główną jest palenie ksiąg heretyckich, z których przez płomienie szatan ucieka. Scen takich jest pięć i ośmiu aniołów, rzeźby piękne bardzo, ale dziś zdobią czoło opuszczonéj budowy, gdyż kościół przeniósł się gdzieindziéj.

W kościele było znów do oglądania wiele obrazów Perugina, Alfaniego, Dono Doni, Lorenzi i Bonfigli. Wymienim tylko S. Se-

bastyana z r. 1518, w którym łucznicy, strzelający do męczennika, przypominają postacie młodzieńców w Sposalizio i, *capo d' opera* Alfaniego, śś. Antoni i Franciszek, obraz zwiastujący samoistnego znakomitego artystę. Twarze świętych cudnie piękne. Są tu tegoż samego Ukrzyżowanie i Ś. Michał, fresk nade drzwiami zakrystyi.

Bonfigli nauczyciela stary szafiasty obraz ołtarzowy, ciekawy tém, co się późniéj powtarza z niego w uczniu. Piękne są dwa anioły ze znakami męki, pełne wyrazu, pogrążone w głębokim smutku. Jeszcze na wstęgach napisy, które u Perugina czasem się znajdują, stary obyczaj czasu, gdy malowanie wszystkiego wypowiedziéć nie mogąc, co chciało, posługiwało się pismem.

W maleńkim kościołku Madonny *di Monte Luce*, na pagórku, który niegdyś okrywał gaj święty i gdzie znaleziono napis: *Augusti lucus sacer*, pokazano nam wcale ładny obrazek ucznia Perugina, *l'Ingegno*, wystawujący Madonnę i ŚŚ. Franciszka i Ludwika biskupa Tuluzy. W typach twarzy jest pokrewieństwo z mistrzem, jest szkoła jeszcze, ale o wiele wpływem osobistego talentu już zmieniona. Matka Boska słodka i poważna.

Upływające skoro godziny na wpatrywaniu się w obrazy kazały naostatek pośpieszać z Perugii, od szkoły umbryjskiéj, w dalszą ku stolicy świata drogę. Nie było chwili do stracenia, musieliśmy co żywiéj do gotowego siąść weturyna i uciekać.

Droga z Perugii do Assyżu wiedzie naprzód kręto z góry w dolinę ogrodami i willami ożywiona, a potém aż do parę stąd mil oddalonego Assyżu ciągle krajem zamieszkanym i żyznym. Nie było dosyć czasu, aby po drodze odkopane groby etruskie i rzymskie oglądać, czego żałowaliśmy mocno, ale inaczéj nie stanęlibyśmy w Spoletto i nie bylibyśmy na dzień naznaczony w Rzymie. Przebywszy płowy Tybr po moście San Giovanni, pominąwszy u stóp góry położony kościół *Santa Maria degli Angeli*, w którym był fresk Overbeck'a, zniszczony trzęsieniem ziemi 1854 roku, przybyliśmy pieszo do Assyżu, rzuciwszy weturyna wlokącego się powoli na górę. Ścieżka, którą iść było potrzeba, pełna kamieni, męczącą czyniła tę pielgrzymkę. Już stąd wspaniale nam się klasztor przedstawiał.

Samo miasto zbudowane na dość wielkiéj wzniosłości u stóp Apeninów; po nad niém wznosi się stary zamek malowniczo usadowiony. Na skraju góry, jakby twierdza średniowieczna, jak feodalne zamczysko rozpościera się szeroko klasztor wielki z krużgankami w arkadach. Pieszo się wlokąc, pod skwarném słońcem dostaliśmy się do bramy, potém przykrą w górę ścieżyną między staremi domkami do klasztoru i kościoła w stylu gotyckim zbu-

dowanego. Facyata kościoła górnego dość piękna, z oknami okrągłemi (rosace), dobrze jest zachowana, sięga ona 1230 roku.

Kościół ten, jasny i ładny, dziś prawie jest opuszczony, w dolnym około grobu świętego Franciszka całe nabożeństwo i życie. Zwłoki tego prawdziwie wielkiego i prawdziwie świętego męża spoczywają w krypcie niedawno zbudowanéj pod wielkim ołtarzem. Dolna świątynia ciemna jest, gotycka i równie stara jak górna. Przewodnik prowadził nas naprzód, chcąc dać wyobrażenie wielkości klasztoru, przez obszerne krużganki puste, do olbrzymiego refektarza, w którym do tysiąca osób mogłoby się pomieścić. Znaleźliśmy tu jeszcze jednę Wieczerzę, *Solimeny*, ale obrachowaną na efekt, odmalowaną bez czucia i przejęcia. W drugim końcu téj jadalni odpowiedni fresk wyobraża nadanie zakonowi reguły i potwierdzenie jéj przez papieża. W mniejszym refektarzu zimowym znajduje się Wieczerza *Dono Doni*, w stylu surowszym, ale rażąca zbytkiem dramatyczności i gwałtownością. Postać Judasza pospolita, Chrystus obejmujący Jana niezręcznie narysowany, apostołowie zdają się kłócić między sobą, jeden Piotr tylko przysięga.

Dolny kościół ma bardzo ciekawe freski, na nieszczęście, niewiele widoczne dla panującéj tu ciemności, poprawiane wreszcie i popsute. Opisane są one i znajome, jako ważne pomniki dla historyi sztuki.

Dla nas zajmującemi szczególniéj były freski Giotta, przedstawujące cnoty ś. Franciszka, Ubóstwo, Czystość, Posłuszeństwo. Czystość uosobiono w postaci króla naszego Bolesława Wstydliwego.

Oprócz tego wspomnieć należy pozostałe freski Giottina, Ukrzyżowanie Cavalliniego, Cimabuego piękną Madonnę z aniołami, w któréj twarzy powaga i surowość bizantyjska już od ucznia malarza wyłagodniały, freski Gaddi i Memmi. Wszystko to cień taki osłania, że przy najlepszych chęciach trudno się wpatrzyć w niektóre obrazy.

Kościół dolny tą ciemnością i budową dziwną robi wrażenie grobowe, ale jest malowniczy i piękny, bo niezwyczajny. W przyległéj grobu kaplicy znaleźliśmy malarza Anglika, zajętego akwarelą tych podziemiów, któremu wierna towarzyszka, młoda żona, czytała książkę, dla skrócenia godzin pracy.

Zeszliśmy, obejrzawszy kryptę, do grobu świętego, gdzie okazują kamień, w którym ciało wprzódy spoczywało. Lud utrzymuje, że Franciszek na pustyni modli się i modlić będzie, aż do końca świata. Jest on jednym z tych nieśmiertelnych, co jak Ro-

land, jak Karloman, jak Bolesław, nie mogą umrzéć, bo duch ich żyje w świecie.

Jedna się mimowolnie nastręcza uwaga w Assyżu, klasztor ten jest głową wszystkich zakonu ś. Franciszka, przechował téż najlepiéj zalecane przezeń ubóstwo. Pomimo obszerności i wspaniałości gmachów, kościół, grób sam, wszystko, co go otacza, jest skromne, zaniedbane, biedne.

Gdy u Ś. Antoniego w Padwie świetnie, błyszcząco, wspaniale, od marmurów, sreber, złota, tu prosty kamień ledwie ociosauy, kilka lamp, zakopcone sklepienie, ołtarz zżółkłym obwiedziony marmurem, ponuro, smutno w dolnym kościele, jak na całym ziemskim świecie.

Relikwie świętego, suknia, którą nosił, bulla papieska zakon potwierdzająca, zasłona, którą N. Panna spowiła dziecię boże po jego narodzeniu, wraz ze skrzynką, w któréj ją przywieziono z Jeruzalem, mieszczą się w bardzo prostych, drewnianych szafach, ledwie na dębie nieco rzeźbionych. Cóż to za porównanie do skarbca Ś. Antoniego! Błogosławieństwa, medaliki tu rozdają darmo podróżnym, a choć w zakrystyi jest stary portret świętego, niéma jego kopii na sprzedaż, jak w Padwie. Cicha modlitwa u skromnego grobu człowieka, który ubóstwo zalecił swym uczniom, jako najpierwszy życia zakonnego warunek.

W głównym kościele górnym, prawie opuszczonym, freski Cimabuego i Giotta są mało już widoczne; zachodzi nawet wątpliwość wielka, czy im przyznane być mogą, czy Giunta Pisano. Trzęsienie ziemi 1854 mocno gmachy assyskie nadwyrężyło.

Obejrzawszy, co tylko na widzenie zasługiwało, przeszliśmy do miasteczka i lokandy, w któréj się nasza vettura zatrzymała, potrzebując nieco spoczynku. Po drodze tylko zatrzymał nas sklepik, w którym sprzedawano *stampe istoriche*. W nim opatrzyliśmy się w rozmaite pobożne pamiątki dla naszych znajomych, a mianowicie: w błogosławieństwa ś. Franciszka, sprzedawane na tuziny. Przypomniały nam one pisane ręką księdza Marka, z których nie jedno zachowuje się w kraju, jako droga pamiątka.

W r. 1786 Goethe w podróży do Rzymu przejeżdża przez Assyż, i oto jak ten ustęp swéj wędrówki opisuje; jest on charakterystyczny:

„Wyjechałem z Perugii przepysznym porankiem, i użyłem rozkoszy samotności, byłem sam z sobą. Położenie miasta piękne, widok jeziora bardzo miły. Droga naprzód się spuszcza, potém idzie doliną wdzięczną, z obu stron opasaną oddalonemi wzgórzami. Nakoniec ujrzałem Assyż. Wiedziałem z Palladyusza i Volkmann'a, że się tu znajduje bardzo piękna świątynia z czasów Augusta, wybor-

nie zachowana. W Madonna *del Angelo* porzuciłem vetturina, który pojechał daléj do Foligno, i pomimo silnego wiatru, poszedłem pieszo do Assyżu, bo mi pilno było przejść się samemu wśród tego pustego dla mnie kraju. Rzuciłem na lewo, ze wstrętem, ogromne budowy i babilońskiéj architektury kościoły, jedne na drugich powznoszone, pod któremi ś. Franciszek spoczywa, tam, rzekłem w sobie, kują się takie głowy jak mego kapitana (Goethe spotkał ubogiego duchem kapitana owego, który utrzymywał, że człowiek zamyślać się nie powinien, bo myśląc, starzeje). Potém spytałem ładnego młodego chłopaka o *Santa Maria della Minerva*; przeprowadził mnie na górę do miasta, które na pochyłości jest zbudowane. Stanęliśmy wreszcie w prawdziwie starożytném mieście, i nagle ujrzałem przed sobą to wytworne dzieło, *pierwszy pomnik starożytny, który oczy moje całym i pełnym ujrzały.*"

Goethe rozwodzi się obszernie nad pięknością, nad proporcyami budowy, mówi o niéj z uwielbieniem, zasługuje na to, niéma wątpliwości, lecz sztuka chrześcijańska, choćby w kolebce, nie byłaż równie ciekawą?

Smutno jest widziéć jednostronność nawet w tak potężnym umyśle jak jego. Dla wytłómaczenia uwielbienia może zbytniego, jakie Goethe zapisał w swéj podróży, dość przypomniéć, że to był pierwszy pomnik starożytny zupełny, jaki mu się widziéć zdarzyło. To wiele wymawia; zresztą jakkolwiek Goethe, pisał on to w r. 1786 i o tém zapominać nie potrzeba, dlatego nic więcéj w Assyżu nie dostrzegł nad świątynię Minerwy. Oglądaliśmy i my ten fronton, uderzająco szlachetnych i pięknych proporcyj, ale poszliśmy potém i do kościoła ś. Klary, gotyckiego, z ogromnemi podpierającemi go łukami. Wewnątrz oprócz malowań Giottina jest ukazywany z ceremonią pobożną grób świętéj Klary, do którego mnodzy uczęszczają pielgrzymi. W kościele znaleźlilmy nowy ołtarz ś. Stanisława naszego (*Archiep. et Martyr*).

Wyjechawszy z Assyżu spuściliśmy się nieco z góry, i dołem jadąc, minęliśmy na wyniosłości malowniczo rozłożoną osadę Spello. Spello ma wiele starożytnych pamiątek, bramę, mniemany grób Propercyusza i olbrzymi Fallus, zwany Rolandowym, wreszcie kilka obrazów ciekawych, ale to wszystko pominąć było potrzeba, dla nieszczęsnego pośpiechu.

Tak samo pominęliśmy leżące w dolinie Foligno znaczniejsze miasteczko, przejechawszy tylko główną jego ulicę. Przed portykiem średniowiecznego kościoła wywieszony był obraz śmierci z jaskrawo kolorowanemi herbami. We wszystkich tych miasteczkach trafia się na stare bramy, mury, resztki twierdz, i ciasne uliczki, na które otwierają się owe sklepione ogromne wrota izb, przez Goe-

tbego trafnie jaskiniami nazwanych, pełne wrzawy, ludzi i warsztatów różnego rzemiosła przez pół wysuniętych w ulicę.

Minęliśmy jeszcze Borgo z zameczkiem, zwanym *Castel di S. Eraclio*, potém na wysokiéj górze leżące Trevi; nagle w miejscu zwaném od źródeł *le Vene*, postrzegliśmy coś nakształt starożytnéj świątyńki, droga szła tuż koło niéj, ale weturyn, któremu było pilno do Spoletu, nic nam o niéj nie mówił. Mimo jego oporu zatrzymaliśmy się, dostrzegłszy na murze napis: *Tempio Clitumno*. Jechaliśmy dawną *Via Flaminia*, był to szczątek otaczających ją niegdyś budowli. Czołem ta maleńka świątyńka zwróconą jest do strumienia zwanego Grodone, który ma być Pliniuszowym Clitumnus, wcale ładnych proporcyj budowa, z koryncklemi słupami i frontonikiem wdzięcznym. Góra przerobiona na kaplice San Salvatore jest nieco popsutą. Na dole pokazują miejscę, którędy krew ofiar spływała do rzeki. Zowią ten kątek Passiniano, jeżeli mnie ucho nie omyliło.

Na czole nowéj kaplicy czyta się napis:

† SCS. DEUS ANGELO TOMOV... FC TRES
V PELLION. EM. †...

W dolnéj części świątyni na dwóch przewróconych kamieniach (może umyślnie) jest starożytny epigraf:

Septimius Plebeius
Bidiale Paulina...

Wiele jest smaku w téj drobniutkiéj budowie.

Daléj znowu po drodze trafiliśmy na stare miasteczko S. Biaggio, jechaliśmy ładną doliną, ożywioną strumieniami, zarosłą drzewy i ujrzeliśmy na górze Spoletto, u stóp Apeninów, w bardzo pięknéṁ położeniu. Panuje nad niém zamek i szczyt zielonéj góry: dokoła wille w rozkosznych ogrodach.

Uderza zaraz w starém miasteczku brama tryumfalna rzymska, zwana Annibalową, gdyż Annibal, ścigający wojska rzymskie, do Spoletu miał być stąd odepchnięty. Przerobiona jest i napis ma nowy:

Annibal caesis ad Trasymenum Romanis Urbem Romam infenso agmine petens Spoleto magna suorum clade repulsus insigni fuga portae nomen fecit.

Miasto wygląda ponuro, ulice wązkie, domy wysokie, dużo malowniczych budowli. Poszliśmy ledwie wysiadłszy do katedry

z XIII w., na którój facyacie jest wspaniała stara, z 1207 r. mozaika Chrystus, ś. Jan i Marya. Okna gotyckie koliste. Portyk przebudowany nowszy, wieża kościoła po spaleniu od pioruna odbudowana przez dzisiejszego papieża Piusa IX, który tu był biskupem. Świadczy o tém napis w katedrze z r. 1847.

W chórze są odnowione ale pyszne freski Fra Filippo, w dobrym stylu, postacie olbrzymie. Matka Boska majestatycznie piękna.

Idąc do katedry, spotyka się dom ozdobiony przypsutą fryzą z rysunków Giulio Romano. Kompozycya mitologiczna, smakowna, bardzo uszkodzona, przedstawia bóstwa morskie. W pośrodku miasta jest jeszcze jakaś brama stara, z nieczytelnym napisem.

Pokazują tu także kościołek San Andrea, który niegdyś miał być świątyńką Jowisza, małą budowę, o jedném oknie podwójném gotyckiém, przy której tuż stoi kawiarnia. San Dominico z pięknemi odrzwiami gotyckiemi zbudowany jest w pasy z cegieł białych i czerwonych. Znajduje się tu bardzo dobra kopia Przemienienia Rafaelowskiego przez Giulio Romano.

Nazajutrz rano jechaliśmy w dalszą drogę ze Spoletu. Widoki coraz bardziéj malownicze, góry pokryte prześlicznemi lasami, staremi dęby majestatycznemi o drobnych listkach i ciemno-zielonéj barwie. Gościniec spina się nieco pod górę, kołując nad łożyskiem wiosennych potoków, pełném brył kamieni porozrzucanych na oschłém dnie jego. Gdzieniegdzie malowniczo z za zielonych potoków gałęzi i liści przeglądają złomy skał szare. Im wyżéj podnosi się droga, tém pejzaż dzikszym, ale wspanialszym się staje. Góry przybierają coraz poważniejsze kształty, drzewa rosną bujniéj i swobodniéj się rozpierają na ich bokach, czasem ruina zamku wystrzeli do góry z pomiędzy szczytów obrosłych.

Widoki są takiego stylu, że niemal przypominają starą szkołę pejzażu wielkością linij i układem zakrawając na umiejętną i na zbyt obmyśloną kompozycyą. Wszystko aż do barwy skał i ziemi, ciepłéj, złocistéj, aż do lazurowego nieba pogodnego poranku z ostrobiałemi chmurkami, pływającemi po niém, do fioletowych oddaleń, zdawało się, jakby malowanym krajobrazem, dla nas wędrowców prawie nie do wierzenia świetnym swoją świeżością, blaskiem i pięknością.

Gościniec, obwarowany murkiem, wił się ciągle nad potokiem, pod skałami, wśród dosyć pustynnych gór. Rzadko spotkaliśmy lokandę, która swą architekturą swobodną, schodkami, kletkami, przybudowkami nowego wdzięku dodawała widokowi. Tu i owdzie pokazywały się szczątki jakichś murów gęsto okrytych bluszczami, tak,

że z pod nich prawie ich widać nie było; przyjaciele ci tulili, osłaniali i jedli powoli. Urozmaicały obraz krzyże, domki, kapliczki z Madonnami, ruiny, a dołem mieliśmy ciągle stare dęby nad wyschłém łożem potoku. Taką sobie wyobraziłem owę Alwernią, w któréj na świętym zachwycie dni pędził Franciszek.

Trwa ciągle ten uroczo piękny widok, jakiemu we Włoszech nawet, w tym rodzaju, mało jest równych, aż do najwyższego wierzchołka Apeninów téj gałęzi (*la Somma*) Nie są tu one tak wyniosłe jak około Sestri. Zjeżdżając ku *Strettura* krajobraz zawsze malowniczy, tu skały stanowią jego piękność, szarawe, żółte, białe, potrzaskane dziwnie, bluszczami poobwieszane dokoła. Nareszcie roztwiera się wąwóz, szeroko rozpadają te wrota i siny łańcuch gór ukazuje w dali, gościniec schodzi powoli i przez ogrody wesołe dojeżdża się do miasteczka Terni, przez bramę zwaną Tacitorum. Gród ten sięgający czasów Numy (*Interamna*) chlubi się, że jest ojczyzną Tacyta i Floryana. Napis na wrotach przypomina jéj sławę. Miasteczko téż wygląda staro, brudno ale ładnie, bo fantastycznie, pełno murów, uliczek i widoków stąd na okolicę.

Zaledwie miałeś czas stanąć w Terni, już europejskiéj sławy kaskada *Velino* (*caduta delle marmore*) spokoju ci nie daje.

Mimowolnie przypomina sobie każdy, że ją widział wielekroć malowaną, sztychowaną, że mu o niéj cuda opowiadano. Terni z niéj więcéj żyje, niż ze swych fabryk sukna, żelaza i przędzalni jedwabiu. Nie byłbyś turystą porządnym, gdybyś kaskadę ominął, trzeba się poddać nieubłaganemu przeznaczeniu.

W hotelu zalecono nam, nim dano jeść sławnego, równie jak kaskada, przewodnika Angiolo, który zaraz, niby przypadkiem, znalazł się pod ręką z książeczką sławiącą jego przymioty w najrozmaitszych językach, szczególniéj jednak po angielsku.

Byliśmy moralnie przymuszeni widziéć kaskadę, ale nalegania, pochwały, zrodziły w nas niedowierzanie, wywołały opozycyą i chciało się nie widziéć, pragnęło się zaprzeczać, minąć lub pozostać chłodnym. Wreszcie od *Caduty* odstręczało i to, że widzenie jéj bardzo się drogo opłaca.

Jedno z dwojga, albo do oddalonéj dosyć kaskady iść potrzeba pieszo z przewodnikiem, co tam i nazad zajmuje dobre trzy godziny drapania się po górach, albo potrzeba wziąć pocztę, któréj służy monopol wyłączny wożenia podróżnych do kaskady, co z *buona mancia*, przewodnikiem, wyderkafami różnemi, kosztuje już na miejscu do trzydziestu franków. Nie koniec na tém, spisek na kieszeń wędrowca osnuty jest z wprawą, jaką daje doświadczenie.

Jedziemy tedy, chcąc po angielsku, sumiennie ze wszech stron, z ośmiu urzędowych punktów obejrzéć kadutę; spuszczamy się na

Anglików, którzy to sobie musieli praktyczuie urządzić, i dajemy czynić przewodnikowi, co chce.

Iluż tu lordów poci się co roku i pięknych miss wzdychał... Zajeżdża poczta, z nią zławny Angiolo, wyruszamy z najmocniejszém postanowieniem wypicia kaskady do dna, a ja opisania wycieczki we dwudziestu czterech rozdziałach.

Droga naprzód wspina się do góry, jedzie się, coraz piękniejsze skały i wyniosłości mając przed sobą, po bardzo wygodném szosse. W dole uczepiony na skale widać zameczek Papignano. Jedziemy tak coraz wyżéj, wyżéj, gościńcem wiszącym u boku skały, wśród szarych złomów piętrzących się wspaniale, olbrzymio, w głowie się zawraca, bo w dół spojrzawszy, jak to daleko lecieć potrzeba, nimby się miazga człowieka do matki ziemi dostała. Tu spotkaliśmy dwie niewiasty na osłach, które jakby na żart zaczęły nam proponować najęcie asinellów, po co? na co? odrzuciliśmy ich ofiarę z oburzeniem, wszakże mamy konie pocztowe! My sobie jedziemy daléj, ale niewiasty owe jadą za nami. Droga coraz straszniejsza, a nasz pocztylion tak kłusuje, jak gdyby jechał bessarabskim stepem, w lewo coraz głębsza przepaść, zawroty przykre co chwila, choć murek niby oddziela od głębin, ale spojrzéć w nie ciężko. Jakże za to pięknie! jak dziwnie pięknie! co za skały! jaka przestrzeń, jak niezmierzone doliny, jakie Papignano maleńkie! Na jednym zawrocie, jakby dla dodania strachu, przybity obrazek pamiątkowy, zleciał stąd powóz z rozbujanemi końmi. Nareszcie stajemy, potrzeba wysiąść i ma się począć pieszą wędrówkę dla obejrzenia kaskady z należném jéj poszanowaniem.

Rozdział pierwszy. Pochód przez ogródki, ale do pierwszego z nich wrotka zamknięte, ktoś ci je otwiera, Angiolo ocenia tę posługę od nas wszystkich na pół pawła, bardzo dobrze, idziemy krętą, piękną drożyną, słychać już szum kaskady; brama druga. Trzeba dać drugie pół pawła, ogródek trzeci i paweł znowu. Tu już widać czub kaskady, wierzchołek, rzeka wśród dzikich skał rwąc i miotając się, spada... Cała rzeka! jest przecie za co płacić!... z ogromnéj wyżyny leci w przepaść i rozbija się w pył biały. Widok jest arcywspaniały, piękny, skały, wśród nich ten potok rozjadły, zielenie drzew, a gdzie tylko dłużéj woda pobyła, osadza natychmiast skorupkę, inkrustuje wszystko, czego dotknie.

Tu stacya pierwsza, ofiarują podróżnemu *lavori di cascata*, dzieła i prace kaskady, ludzie, którzy sami nic nie robią, choćby za bajoka. Obudza to tém większe podziwienie, że pod nogami nie płacąc złamanego szeląga, można ich wziąć ile się podoba. W pyle wód słońce wyrabia kolory tęczowe, i słońcu się za tę sztukę nic nie płaci, albo raczéj... płaci się, płaci, bo gorąco okrutne i pocić się trzeba.

Spuszczamy się nieco niżéj, kaskady widać drobinkę więcéj, stacya druga, przewodnik sumienny zatrzymuje się i pokazuje w dali góry, prezentując je podróżnemu po imieniu: Larrone, Terracina, Collo Strato, Monte Franco... Trzeba przyznać, że choć Anglicy wynaleźli ten punkt do widzenia, krajobraz jest przecudny.

Idziemy daléj wśród prac kaskady, mokrych gałęzi i szumu... punkt trzeci. Tu wstęga kaskady nieco dłuższa się wydaje, biała jak obłok leci rozbita rzeka z góry, w niéj cała ogromna tęcza, cudnie!

Idziemy daléj jeszcze, tu stoi chatka, gdzie w cieniu usiąść i spocząć można, punkt czwarty. Kaskada coraz piękniejszego kolorytu, coraz widzimy jéj więcéj, ale płaci się w chatce za siedzenie i nieco daléj w grocie okrytéj pracami wody, to jest osadami, punkt piąty, paweł bodaj czy nie szósty? nie wiem. Malowniczą ścieżką depcąc i łamiąc lavori owe, wśród bluszczów, drzew, skał suniemy się, schodząc coraz i przechadzka, gdyby była samotną, byłaby niezrównanie miłą. Tu Angiolo staje i pokazuje spory kawał skały, leżący po za drożyną, skała wcale nie osobliwa, ale historya jéj! Angiolo przeprowadzał Anglików, gdy ta, ot taż sama skała z góry odłamała się, zakreśliła łuk nad ich głowami, (prawa natury nawet ustępują, gdy idzie o ocalenie życia obywatelom Wielkiéj Brytanii)... i w oczach ich upadła. Płaci się pół pawła za historyą, punkt szósty czy nie wiem już który...

Nieco daléj znowu i niżéj, z innéj strony ogląda się Cadutę, tęcza krótsza, wstęga biała wije się inaczéj, a skałami okryta ściana, punkt nowy i paweł nowy.

Przechodzimy *ponte naturale* po nad rzeką, pod którym wre woda biała, spieniona i szumiąc gna daléj. Ukazują się na zawrocie owe dwie niewiasty z osłami, śmiejemy się z bab i z osłów, nie chcemy ich, dziwi nas upór tych istot, które wszelako po cichu swoje osły prowadzą.

Tu potrzeba wdrapać się na wyniosłości wprost przeciw kaskady, aby ją lepiéj oko w oko i już nie z profilu ale *en face* zobaczyć, ścieżynka przykra, gorąco okrutne, idziemy, osły za nami. Niewiasty nam je ofiarują, my heroicznie się pocąc, odrzucamy ofiarę i odnosim zasapani — pierwsze w życiu nad osłami zwycięstwo!

Stąd widać całą i przepyszną kaskadę, długa wstęga jak śnieg biała, leci, rozsypuje się, zbiera, spada wodą, rozbija niżéj znowu i rozpryska jeszcze raz trzeci, naostatek, piany, mgły, tryski łączą się między kamieniami i zburzone, zmęcone, wrzące lecą niespokojnie twardém łożyskiem, wśród którego jeszcze mnóstwo skał i kamieni pokoju im nie daje.

Gdy się unosimy nad pięknością widoku, zachodzi nam drogę figura niepoczesna, ale trzyma w ręku jakiś papier z pieczęcią Jest to świadectwo rządowe, za numerem, protokularnie wydane, iż ten jegomość ma prawo wymagać opłaty i datku za ławkę w pobudowanéj chatce a raczéj szałasie, który chroni od słońca, z którego najświetniéj wygląda *caduta.* Daje się tedy znowu pawła, i idzie spocząć do chatki, gdyż przewodnik umyślnie posadził na słońcu, aby obudzić pragnienie cienia i chłodu. Czy się pawłami dzielą z tym urzędnikiem od chatki, nie wiem.

Otóż napatrzywszy się istotnie pięknych widoków, wody, skał, drzew i nasłuchawszy szumu caduty, już nareszcie powracamy, osły za nami... Do powozu kawał drogi jeszcze, słońce piecze, znużenie niezmierne, a gdybyśmy siedli na te osły nieszczęsne? Rozumujemy sobie, że człowiek nie powinien być tak jak to stworzenie upartym. Osły zwyciężyły! niestety! siadamy, jedziemy. Zawcześnie śpiewaliśmy pieśń tryumfu, baby się z nas teraz śmieją. Czy nie tak zawsze?

Droga prowadzi przez piękną Villa Graciani w położeniu uroczém, wśród skał na kilkaset stóp wysokich, w dole drzewa cieniste, ogród, widok cudowny. Pod willą płynie Velino jeszcze rozdąsane i spienione, chciałoby się tu pozostać, spocząć, patrzéć.

Cóż to jest? brama zamknięta, śpieszą ją otworzyć, ale Angiolo mruga, że jeśli gdzie, to tu należy zapłacić... paweł nie wiem który. Jedziemy ogrodem, brama druga, oglądamy się na przewodnika, rusza ramionami, paweł jeszcze, naostatek, żeby się z ogrodu i raju wydostać, brama, żelazna, wspaniała, pańska, ale i ta zaparta. Angiolo zaręcza, że ostatnia. Niewiasty od osłów słusznie domagają się wynagrodzenia, siadamy do powozu, pozostaje nam tylko datek dla pocztyliona i krwawe poty Angiola, który tak umiejętnie kierował naszą wycieczką.

Kaskada w Terni (istotnie mimo tych niedogodności godna widzenia) jak kaskada w Tivoli jest dziełem... sztuki i człowieka. Na trzy wieki przed Chrystusem Curius Dentatus odwrócił bieg Velina, puścił go korytem wykutém w skale i zrzucił z téj wyżyny dla połączenia z Narem czyli Nerą. Wysokość spadku wynosi 370 metrów. Zapobiegło to wylewom rzeki, któréj wody niszczyły część okolicy, ale je zarazem użyzniały.

Wyruszyliśmy z Terni starą rzymską *Via Flaminia.* Fredro w Cudzoziemczyznie włożył w usta anglomana, że dobrze jest *milą angielską* przejechać się czasem; ale jakież wrażenie głębokie robi ten odwieczny gościniec, którym przepłynęła cywilizacya Rzymu i wielkości jego, te kamienie mówić się zdają o przeszłości...

żal nam, że ją kołami wozu, który wiezie nędze dzisiejsze, ścieramy...

Okolica ciągle piękna, w lewo ukazuje się zamek na górze, dolina, którą jedziemy cała w ogrodach, w zieleni i drzewach, na widnokręgu góry, tak się dosięga *Narni*. Jest to jedno z najpiękniejszych miasteczek włoskich zbudowane na skale, nad przepaścią, w której głębi płynie Nera. Dokoła wzgórza obrosłe, pełno ruin, wrot rzeźbionych, murów, z za których patrzą się gałęzie powywieszane. Na górze znowu puste gniazdo, zamek stary. Przejeżdżamy tak przez uliczki ciasne, potém drogą bardzo ładną nad skałami i rzeką okrążamy miasto.

Szose się spuszcza w dolinę, i widać siną w dali *Soracte*. Rzym już blizko! Witaj, stara góro, którą śpiewali poeci rzymscy *). Zjeżdżamy zwolna w dolinę Tybrową z Apeninów, dosięgamy Otricoli, w prawo pokazuje się Tybr... *flavus*... Milcząc, jedziemy zamyśleni, droga wśród gór, a co ruina nad nią, to rzymski grobowiec, to rzymska ruina... stoją jeszcze stare słupy naddrożne, co im wskazywały odległość od forum stolicy, a ludzi, ludu, państwa, cywilizacyi już tylko mogiły! Między Otricoli a Rzymem, gdzie dziś te kupy gruzowisk, gościniec był tak ubrany w pomniki, tak ozdobny, że cesarz Konstantyn, gdy raz pierwszy nim jechał, minąwszy Otricoli, sądził się już w stolicy.

Przebywamy Tybr przez *Ponte Felice* i dobiliśmy się późnym wieczorem do Borghetto, niegdyś podobno posiadłości Farnesich, bo zamek, którego tu malowniczą widać ruinę, zowie się *Castro Farnese*.

Tu dzisiaj uszczuplone państwo kościelne się zaczyna, i przy *Ponte Felice* pytają podróżnego o paszport.

Musiał nas przekląć Angiolo w Terni za brak poszanowania dla niego, bośmy na poczcie w Borghetto nocując, oczu prawie zamknąć nie mogli. Zajęliśmy jakieś izby puste i smutne na górze, pod których oknami pocztylioni całą noc śpiewali smętne pieśni, lub zajadle się kłócili; wiatr suchy, gwałtowny zerwał się wieczorem i wył i trząsł okiennicami i targał dachem i zdawał się chcieć domostwo obalić. Mimo znużenia oka zmrużyć nie było podobna, do czego się i komary i inne istoty pasorzytne przyczyniały. Aleśmy mogli za to z okien poczty wystudyować (gdy rozedniało) piękną ruinę zamku i kościoła.

---

*) Vides ut alta stet nive candidum Soracte (Horat. Od. I. IX).

Sirocco, którego gwałtowność wzmogła się jeszcze nad rankiem, towarzyszyło nam w drodze dnia następującego do *Città Castellana*, dawnego *Falere* (*Junona Falisci*) Etrusków. Jechaliśmy krajem żyznym, ale mało zamieszkanym, przypominającym stepy. Na polach zżętych stały nieco odmiennego kształtu od naszych stérty zboża, ścierniska żółciały nad drogą... Około stert młócono świeżo zebraną pszenicę końmi. Rzadko jednostajność pejzażu i pustynny charakter jego przerywała kupka drzew w dolinie. Na horyzoncie szare gór pasma w oddaleniu. Od Borghetto zmienił się kraj zupełnie, życie znikło, ludzi prawieśmy nie spotykali, pola szerokie a oniemiałe, pagórki tylko w dali, trochę dębów starych, i gdyby nie winna latorośl dzika, co się gdzieś uczepiła, bardzoby to przypominało niektóre okolice nasze. Ale Soracte sinieje i mówi, żeśmy coraz bliżéj stolicy, która na przekór wszystkim innym, otacza się ciszą i pustynią. Gdzieindziéj gród wielki daje się przeczuć skupioném około niego życiem, tu się oznajmuje—grobami.

Città Castellana leży na malowniczo odartych skałach, z prostopadłemi ścianami, jest to dziś małe, smętne, brudne dosyć miasteczko. Widok jego i przypomnienie, że tu naszych żołnierzy także krew się lała, na chwilę przerwał jednostajność krajobrazu, przebywszy miasto znowu, ciągle po *Via Flaminia* wlekliśmy się wśród srogiéj burzy suchéj okolicą tak pustą jak wprzódy.

W małéj mieścinie Rignano na ścianach domostw znaleźliśmy już napisów rzymskich szczątki, kawałki rzeźb po drodze i na murach. W rynku naprzeciw *Antica locanda del Moretto* stał posąg jakiegoś cezara obity wszetecznie, z głową odłupaną i nasadzoną na żelaznym pręcie, ale twarzą do pleców!... Wszystko to razem dziwném przejmowało wrażeniem, była w tém dzika ironia losu. Aż do Castel Nuovo ciągnie się ten kraj coraz pustynniejszy i dzikszy, za nim widać płaską Campanią rzymską, na prawo i lewo gór łańcuchy dalekie. Soracte została za nami, mieliśmy ją tak długo na oczach, żeśmy się mogli jéj przypatrzyć i rosnącym na niéj drzewom i rozsianym po niéj ruinom świątyń i kościołów. Gościniec nasz ciągle to przerzynał Via Flaminia, to się z nią łączył, chwilami tętniały pod kołami weturyna szerokie, płaskie płyty, któremi wyłożono ją przed lat tysiącem, słupki milowe jeszcze się miejscami zachowały. Nad drogą groby a groby. W Castel Nuovo kilka marmurowych szczątków przypominają, gdzie jesteśmy.

Dzień mglisty, wietrzny, wicher tumany pyłu nosi po Campa-

nii, nie widać daleko, a przecież chwilami, co tam jak sen jaki na widnokręgu się ukazuje?

To kopuła Święsego Piotra, to Rzym.

Najzimniejszy człowiek uczuć się musi poruszonym tém imieniem wielkiém. Patrzyliśmy długo w oddalenie, ale nikt z nas nie miał siły wyrzec słowa. Ile się razy usta otwarły powtarzaliśmy tylko:

— To Rzym!

Rodziła się jednak wątpliwość, czy to, co zdala tak ukazywało się, jakby pagórek na widnokręgu, mogło być Rzymem i kopułą? nie chcieliśmy wszakże pytać nikogo, oczy tylko chciwie badały przestrzeń, a serce mówiło:

— To Rzym.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w Castel Nuovo, przy poczcie. Stoi tu stary słup drożny rzymski i napis, który świadczy o odkryciu drogi dawnéj w r. 1580 *).

Niecierpliwość gnała nas co prędzéj ku Rzymowi.

Pierwszy raz kopułę Ś. Piotra przed Castel Nuovo we mgle postrzegliśmy, nie będąc jéj pewni o mil włoskich ośmnaście; potém zakryły ją znowu falowate wzgórza. Nic nie oznajmywało zbliżania się do odwiecznego grodu, po bokach dość pustego gościńca mijaliśmy obalonych w gruzy, porosłych chwastem i cierniami dosyć grobowców bez imienia, w lewo ledwie dostrzeżone we mgłach widniały oddalone gór pasma. Okolica nieco wzgórkowata zupełnie była bezludna, ale bujnemi ścierniskami okryta, obszerne łany, płoty drewniane, rzadka zielona latorośl. Wzgórza od strony Tybru nieco piękniéj się zarysowały. Nad gościńcem ciągle pusto i pusto, przestrzeń powyginana lekko i wzgórkowata, gdzieniegdzie porosła bujnemi krzewy i bujniejszemi jeszcze bluszczami, w dali trochę starsze majaczyły zarośla, nad drogą coraz gęstsze gruzów kupy, groby. Ludzi nie spotkaliśmy prawie, a ci, którzy się z nami minęli, mieli twarze chmurne, ciekawe, wejrzenia przeszywające, szybko przesuwali się, zdając gonić za czémś lub od czegoś uciekać.

Czasem, gdyśmy wjechali na wierzchołek wzgórza, odsłaniała się przed nami poważna, majestatyczna kopuła Ś. Piotra, i znowu zasłaniały nam ją fale Campanii, a przez czas, gdy dla nas była

---

*) Clarix Columnae anguillariae viam Flaminiam antea deviam spinis et terra alte obrutam labore et impensa oppidanorum Castri novi purgatam aperuit, jussu Gregorii XIII, Piissimi principis — Pau. Bursius Prff. viar. cur. MDLXXX.

zakrytą, rosła. Z jednéj strony gościńca trochę zieleni, więcéj życia ku górom i Tybrowi, z drugiéj nagie skały tylko, w których przeglądają podziemia, lochy, wydrążenia jakieś, a po nich stami migają zwinne jaszczurki zielone.

Kilka budowli opuszczonych i lichych nad drogą, kilka maluczkich krzyżyków, kapliczek, na wyższych wzgórzach niedogryzione przez wieki ruiny, bez imienia.

Gdy niespokojnie czekamy ukazania się Rzymu, droga zakręca się nagle jakby dotknięciem czarodziejskiéj laski odsłania się miasto, zielone ogrody, winnice, wille, gmachy, a pod niemi olbrzymia kopuła kościoła stołecznego świata, katedry chrześcijaństwa.

Rzym przed nami, jesteśmy w Rzymie.

XV.

Słówko wstępne.—Rzym pogan i Rzym chrześcijański.—Wjazd do Rzymu.—Kościół Ś. Piotra.—Hotel.—S. Maria *sopra Minerva.*—Nowe mieszkanie w Casa Zuccari. — W pałacu Watykańskim u M. Pacca. — Obiad w *villa Camilluci.* — Przechadzki Poussin'a.—*Monte Testaccio.* — Rzym stary. — Grób Ś. Stanisława Kostki u Ś. Andrzeja na Monte Cavallo. — Panna Marya zwycięska. — Kościoły.—Duchowieństwo.—*Aqua felice.* — Mojżesz Prospera z Brescia.—P. Marya kartuzów. — Termy Dyoklecyana. — P. Marya większa.—Bazylianki.—Obrazy Nowotnego.—U pana de Rossi.—Leopold Nowotny.—Galerya Doria Pamphli. Otrzymane posłuchanie.—*Campo Vaccino.*—Kapitol.—*Ara coeli.*—*Forum.*—*Colosseum.*—Nabożeństwo piątkowe.—Kazanie włoskie. — Łuk Konstantyna.—Termy Karakalli. — Widok na okolice.—Świątynia Westy. — Posłuchanie u ojca św.—Watykan. — Przemienienie Rafaela i pinakoteka Watykanu. — Galerya Colonna.—Skrzypek Rafaela.—Leda Corregia.—Za Tybrem.—Ś. Piotr *in Montorio.*—Rzym stolicą Włoch?—Kapliczka Ukrzyżowania.—*Aqua Paolina.*—Ogród na *Monte Pincio.*—Widok z niego. — Museum Campana. — Obrazy. — *Maria del Pascolo.*—Forum jeszcze.—Ś. Klemens, bazylika, jéj urządzenia i obrazy.—Łuk Janusa i Septyma Sewera.—*Cloaca maxima.*—Teatr Marcela—*Ghetto* i żydzi.—Forum Nerwy.—Forum i kolumna Trajana.—Wodotrysk Trevi.—Sobiesciada za bajoka.

Nim rozpoczniemy po nieśmiertelnym grodzie wędrówkę, musimy w kilku słowach, raz jeszcze wypowiedzieć nasze wyznanie wiary wędrowca.—Nie mamy, ani możności, ani ochoty kreślić tu całkowitego obrazu Rzymu, na którego poznanie potrzeba i długiego czasu i pracowitych badań; nie chcemy powtarzać, co inni o nim pisali; dajemy wam, na co nas stało, wrażenia własne w krótkiéj i za szybko odbytéj podróży. Żywe życie i zabytki sztuki obchodziły nas najwięcéj, tych téż schwyciliśmy może rysy niektóre, jeśli nie nowe, to przez innych nie tak dobitnie uwydatnione. Każdego dnia rzucało się na papier wspomnienia, do których niewiele dodajemy dzisiaj. Ominąć musieliśmy przedmiotów zajmujących mnóstwo, ale główne przynajmniéj staraliśmy się poznać bliżéj. Nie klasyfikujemy notat podróży, choćby może pewien w nich porządek ułatwił przegląd tego olbrzymiego cmentarzyska ludów i wieków; idziemy

za niemi, tak jak-eśmy po Rzymie chodzili, wyszukując obrazów, myśli, pamiątek. Nie damy panoramy, ale pojedyńcze rysy wielkiéj całości—z albumu wędrownego wyjęte.

Rzym starożytny, jakkolwiek wielce zajmujący, nie był pierwszym dla nas; pamiątki chrześcijańskie, życie i sztuka nowszéj epoki, rozkwitłéj z katakumb, więcéj nas nad wszystko obchodziły i pociągały.

Mieliśmy wówczas na myśli stworzenie obrazu narodzin chrześcijańskiego świata, zbieraliśmy doń myśli i materyały; z nich powstała *Capreä* i *Roma*, którą dla wytłómaczenia się z wędrówki po Rzymie przywieść jesteśmy zmuszeni. Epoka ta ciemniejszą jest może nad pierwiastki pogańskiego Rzymu, nad dzieje cezarów i historyę pierwotnych szasów państwa, które w spadku wziąwszy cywilizacyą grecką, samo nowéj stworzyć nie mogąc, przerobioną tylko oddało przyszłości w nowéj formie, rozwiniętą czy zepsutą, nie wiem.

Charakter rzymskiéj epoki jest dla nas wytłómaczony, jasny, został zbadany starannie, niéma w nim tajemnic, choć są wątpliwości i najróżniejsze wykłady. Cale inaczéj dzieje się z historyą powstania i rozwinienia nowéj ery, chrześcijańskiego świata; jedni całą tłómaczą ją cudem, drudzy nie kuszą się o kiełkowanie tego gorczycznego ziarna, co świat ma pokryć gałęźmi. Pragnęliśmy znijść do katakumb i spytać prochów o tajemnicę tych czasów tak cudownych, tak wielkich, a tak dla nas niepojętych. Oprócz interesu historycznego, mieliśmy w tém także sprawę własną, łącząc w idei epoki, pragnąc, by jak nauka Chrystusa zwyciężyła pogaństwo, tak prawda dziś sponiewierana téj nauki zwyciężyć mogła odrętwienie wieku.

Nie łudźmy się bowiem, chrześcijanami jeszcze nie jesteśmy czynem i życiem, jesteśmy niemi słowem tylko i pozorem.

Drugi może raz z nowych katakumb wyjść musi prawda, aby. świat zwyciężyć, który o niéj zapomniał.

Nic dziwniejszego nie może czynić wrażenia, nad to przejście niespodziewane z pustyni do ogromnego grodu ruin i wspomnień, nad ten przeskok od ciszy grobowéj do wrzawy i życia stolicy.

Nie postrzegliśmy się, gdyśmy już wjechali na Ponte Molle, ozdobiony posągami, gdy naprzeciw nas ukazała się brama *del Popolo*, i tenże sam znany mi dobrze widok z dwoma jednakowiuteńkiemi kościołkami, który sztychował Pinelli z wjazdem Radziwiłła. Zatrzymano nas u wrót grodu, aleśmy tu rzucili weturyna, rzeczy i towarzysza, poleciwszy im sobie szukać gospody, a że

jeszcze dnia parę godzin zostało, poszedłem pieszo jako pielgrzym do grobu Ś. Piotra na Watykan.

Z towarzyszem moim Julmo, który znał już Rzym dobrze, puściliśmy się przez Ripettę i ulice, których wymienić nie umiem, potém przez most na Tybrze, niesmacznemi figurami Berniniego ozdobiony, mimo twierdzy świętego Anioła wspaniałéj, do Ś-go Piotra.

Dziwnym skutkiem mnogich przypomnień wszystko tu znaczniejsze, choć niewidziane nigdy, znane było dobrze, nie potrzebowaliśmy pytać o nic. Przychodziły na myśl obrazy, sztychy, ryciny, które budziły niegdyś tęsknicę i pragnienie widzenia tych pomników, dziś ziszczoną!

Nie chciało się prawie oczom wierzyć, zdawało się to snem jakimś, musiałem powtarzać sobie, żem w Rzymie.

Ulica wiodąca do wspaniałego gmachu wcale nie była wspaniałą; uderzyć to musi każdego w grobie cezarów i papieżów, że się tu nikt nie stara o przeistoczenie go na europejskie miasto harmonijne i porządne. Tak jak jest, Rzym zachowuje się tylko, złożony z najwspanialszych budowli i najpospolitszych śmiecisk. Pałace graniczą w nim z kletkami, a ciasne przesmyki wiodą do najdroższych zabytków. I jest tak dobrze i szczęście, że nie jest inaczéj, ileżby tu zniszczyć mogła zapalczywa ręka przyjaciół porządku, regularności i pobiały! Rzymu *immondezajo* ma swój charakter, widać w nim stolicę następcy tego, który świata znikomością pogardzać rozkazał.

Stajemy na rozległém podwórcu poprzedzającém wnijście do świątyni. Olbrzymia budowa, przed którą wysuwają się te wspaniałe portyki i biją dniem i nocą szemrzące wodotryski, niezrównane z niczém czyni wrażenie. Nigdy może człowiek nie wzniósł nic potężniejszego, majestatyczniejszego, nie mówimy o piękności, giną szczegóły, całość jest przerażająco wielka i poważna. Taką sobie wyobraziliśmy katedrę chrześcijaństwa. Cała z marmurów, kamienia i bronzu, świetna, świeża, bogata, zdaje się postawioną wczora i przeznaczoną stać wieki.

Aleśmy w téj chwili nie widzieli nic i nie myśleli oglądać, przeszliśmy w milczeniu ten niezmierny gmach pusty teraz i cichy, aż do okolonego lampami grobu apostoła, i tu modliliśmy się duchem.

Wieczór, a raczéj nadchodząca noc, dokoła milczenie gmachu straszliwego swą wielkością, migocące światła lamp grobowych, wrażenia miejsca i chwili przeniosły nas w świat nie ziemski.

I u grobu zastępcy Chrystusowego, spytałem po cichu:—Panie, kiedyż zwyciężysz?

I cisza mi tylko odpowiedziała głucha, bo byłem niewiernym Tomaszem, co śmiał zwątpić o sprawiedliwości bożéj. Wstaliśmy powoli ze smutkiem w duszy i poszliśmy, nie śpiesząc, przez kościół, a jam się dał już wieść towarzyszowi, nie patrząc prawie, dokąd i którędy szedłem. Mrok padał coraz gęstszy, wśród niego mijaliśmy jasno wyiluminowane, uwierzylibyście? sklepy! sklepy w Rzymie! potém obeliski jakieś i szemrzące fontanny, poznałem Panteon po cudnego wdzięku kolumn proporcyach, za chwilę znaleźliśmy się u P. Sauve w hotelu Minerwy, na placu tegoż nazwiska.

Tu panowała już najczystsza proza hotelowa, tak, że się było można sądzić w Paryżu, lub w Londynie, niestety!

Wszędzie dziś wędrujący znajdzie braci i ziomków po całéj kuli ziemskiéj rozsianych, i my téż nie byliśmy tu samotni od chwili przybycia, dawny przyjaciel nasz z Warszawy, poeta Teofil pierwszy przybył uścisnąć dłoń, która go powitać pragnęła. Bez kradzionéj przed sobą łzy na tych ruinach nie naszych powitać się nie było podobna. Znaleźliśmy się po latach wielu, zmienieni oba, smutniejsi oba, ale w duszy dawnemi ludźmi, których nawet cierpienie poprawić nie mogło. Śpiewak wiejski, co najlepiéj potrafił ludową powtórzyć piosenkę, nucił na ruinach Colosseum, a może téż podania chrześcijańskiego Rzymu przypadały mu lepiéj do legend polskich, niż najkunsztowniejsze poemata.

O trzy kroki od gospody stał kościół Panny Maryi *sopra Minerva*, jedyny gotycki w całym Rzymie, poszliśmy doń z Teofilem. Na placu przed oknami już kawałek Rzymu wykrojony na obrazek miałem na pierwsze wejrzenie, w środku obelisk dźwigany przez słonia, dokoła domy różnéj wysokości i fizyognomii i róg rotundy Panteonu, około którego jużeśmy przechodzili wczoraj wieczorem, podziwiając piękne jego kolumn kształty. Rzym ma właściwy sobie charakter tam szczególniéj, gdzie wzrok wybiedz może po za ciasne ulice na szersze place, ku pałacom i fontannom. Wszędzie prawie spotyka się dwie rzeczy konieczne, kościół czy kapliczkę i wodotrysk, wszędzie widzisz dwa Rzymy jeden na drugim, opierający się zniszczeniu stary i niemogący do życia przyjść nowy.

Mimo wspaniałości chrześcijańskiéj stolicy, olbrzymie zwalisko, na ktorém się ona wznosi, jeszcze nad nią jest pogańsko wspanialsze; czuć, że kościół jest wojującym dotąd, nie zwycięscą.

P. Marya *sopra Minerva*, skromna zewnątrz, strojna jest i ozdobna wewnątrz, cała w marmurach; straciła wszakże cechy gotyckie, oprócz sklepień. Nie mieliśmy na myśli ją oglądać, i przy-

padkiem przyszliśmy prawie do grobowca ukochanego mistrza Fra Angelico da Fiesole. Skromny to tylko kamień na murze z lewéj strony, w kościele, w którym niéma żadnego jego obrazu.

W wielkim ołtarzu spoczywa ciało ś. Katarzyny, któréj domek widzieliśmy w Siennie, w otwartéj tumbie, pokryte rzeźbioną kolorowaną figurą dziwnego smaku.

Nimeśmy z téj małéj wycieczki powrócili do hotelu, przyniesiono mi wiadomość, że staraniem dobrych przyjaciół znaleziono dla mnie mieszkanie prywatne, przechodzące wszelkie oczekiwanie. Było ono już ugodzone i najęte w domu niegdyś będącym własnością Aleksandra Sobieskiego (w którym zwykle poselstwa polskie stawały), mającym jeszcze herby rodziny na jednéj z ścian od *Trinità del Monte.* Pokoiki na drugim piętrze miały i wysoką artystyczną cenę, z powodu malowań al fresco okrywających ściany salonu, przez Overbeck'a, Veith'a, Schadow'a i Cornelius'a wykonanych. Z balkonu widok na część wielką Rzymu i kościół ś. Piotra rozciągał się przepyszny. Dodać należy, iż może z powodu lata mieszkanie to miesięcznie umówione nie kosztowało drożéj nad dziesięć skudów, to jest około sto złotych polskich.

Przenieśliśmy się tedy zaraz na *Via Sestina* (Casa Zuccari. 64), aby co rychléj się z niém obeznać i nacieszyć! Freski miały dla nas historyczne znaczenie, przypominając chwilę, gdy Cornelius i jego towarzysze poczynali pracować w Rzymie nad wskrzeszeniem szkoły chrześcijańskiéj malarstwa, w duchu pierwotnych mistrzów. To odtworzenie form archaicznych niezupełnie szczęśliwie się powiodło, lecz bądźcobądź, Overbeck, Cornelius i Veith od francuskich wielu realistów są wyżsi i na lepszéj drodze.

Z młodzieńczym zapałem przyjaciele artyści na ścianie mieszkania zajmowanego przez jednego z nich, zostawili tę pamiątkę rozkosznych chwil młodzieńczych marzeń o sztuce. Przedmiotem fresków (których rysunki są znane) była historya Józefa.

Mając zamiar prosić o posłuchanie Ojca świętego, a nie wiedząc, jak się ono rychło da wyjednać, i obawiając się wyjazdu na wieś Piusa IX, tegoż dnia udałem się do Monsignora Pacca, żądając audyencyi, wedle przyjętéj tu formy. Monsignor Pacca jest kameryerem Ojca Ś-go. Przyobiecano mi, że będę mógł być przyjętym w sobotę. Pierwszy raz z tego powodu byliśmy w pałacu Watykańskim i widzieliśmy owę średniowieczną gwardyą Szwajcarów w bardzo malownicze stroje halabardników XVI w. poubieranych. Oni tu straż trzymają. Jest to jedyna wystawa dla oczu nieco uderzająca, zresztą jak najskromniéj i jak najciszéj. Ojciec ś. mieszka na drugiém piętrze gmachu wielkiego, rozległego i niezwyczajnych rozmiarów.

Z południa zaproszeni będąc, pojechaliśmy za miasto do *Villa Camilluci*, na obiad, gdzie wielu znajomych i nieznajomych ziomków zebrać się miało. Z willi téj prawie cały Rzym widać jak na dłoni i daleko sinych gór pasmo, ku Tivoli, i całą przestrzeń niezmierzoną tego świata pamiątek, kędy nogą stąpić nie można, by na historyę nie nadeptać.

Jadąc do willi ciągle po drodze przy murach, bo bokach, w kupach gruzu, między zielskiem i trawami spotykaliśmy złomki ozdobnych gzymsów starożytnych, kawały kolumn, szczątki rzeźb podpierające płoty, wmurowane jak prosty kamień, lub walające się po ziemi. W saméj willi pokazano nam wykopaną niebrzydką wcale głowę marmurową i tułów posągu.

Znaleźliśmy, oprócz naszych duchownych, liczne artystów grono: pp. Postępskiego, Malińskiego, Nowotnego, obu Stattlerów ojca i syna, p. Wł. K..., gienerała Szymanowskiego i wiele innych osób.

Ale najprzyjemniéj ździwił mnie ze szkolnéj ławy jeszcze towarzysz, od lat trzydziestu niewidziany X. D... z którym akademii bialskiéj mogliśmy sobie przypomniéć czasy! Ówczesnych współuczniów gronko jakże to burze rozniosły po świecie szerokim! a jednak każdy miłe zachował tych dziewiczych lat młodości wspomnienie, każdemu łza kręci się pod powieką, gdy te zamglone wystąpią przed nim obrazy!

Biesiada była skromna, ale ożywiona przypomnieniami kraju i przeszłości, które nieznanych sobie rozbitków prędko łączą i zbliżają.

Wyjechaliśmy nad wieczór w tę stronę, od któréj wczoraj właśnie przybyliśmy do Rzymu przez *Ponte Molle*, a potém drożyną nad Tybrem, po pobojowisku wsławioném zwycięstwem Konstantyna nad Maksencyuszem. Most Milvius wzniesiony był przez cenzora M. Emiliusza Skaura, ale dzisiejszy jest całkiem, a nawet bardzo, nowy. Nad-tybrowa wycieczka nasza miała na celu obejrzenie tego miejsca, które podanie zowie przechadzką Poussin'a; tu lubił się przechadzać sławny artysta, wpatrując w dalekie góry, ruiny i linie krajobrazu, które się w jego utworach często przypominają. Po nad skały wśród drzew poszliśmy tak aż do *Aqua Acetosa*, źródła wody mineralnéj, zalecanego chorym, studyując ten pierwowzór wielkiego stylu.

Przechadzka wraziła nam w pamięć majestatyczny pejzaż okolicy, w któréj natura jest poważną i surową jak kompozycye mistrza, co ją odtworzył w swych obrazach. Powróciliśmy nazad przez *Porta del Popolo*. Podobne wspomnienie przechadzki Poussin'a zachowało się także na *Monte Testaccio*. Wzgórze to nie na-

leży do owych siedmiu sławnych, na których stary Rzym był zbudowany. Samo imię świadczy o pochodzeniu jego, jest to góra złożona z *czerepów* (testa) potłuczonych naczyń, których mnóstwo w powszedniém życiu używali Grecy i Rzymianie. Skorupy te wielkiego grodu w III wieku naszéj ery utworzyły wzgórze 4500 stóp mające obwodu, a półtorasta wysokości. We wszystkich starożytnych osadach greckich i rzymskich, jedną z najcharakterystyczniejszysh oznak zwalisk jest wielka mnogość szczątków glinianych naczyń; gdzieniegdzie, jak w Rzymie *Monte Testaccio*, całe z nich porosły pagórki, które historya biedna, nieraz troskliwie rozgrzebywać musi, bo i czerepy te noszą na sobie piętno epoki, co je ulepiła.

Ironia dziejów często po epokach świetnych zostawuje jako ślad jedyny tego rodzaju reszty liche. W Rzymie, jeśli spytacie o najstarszy pomnik z czasów królów, wskażą wam więzienie i kloakę; rzeczpospolita zostawiła gościniec (via Appia), a cesarstwo górę czerepów potłuczonych, nie licząc gmachów w zwaliskach.

Ponieważ jużeśmy dotknęli starożytnego Rzymu przedchrześcijańskiego, powiedzmy o nim jeszcze słów kilka.

Rzym, na którym stanęło krzyż zatknąwszy wyszłe z katakumb chrześcijaństwo, widoczny jeszcze z pod dzisiejszych budowli, cały prawie należy do epoki ostatniéj cezarów. Wielka prostota obyczajów i surowość życia nie godziły się z przepychem budowli, wznoszono w sposób trwały tylko to, czego konieczna wymagała potrzeba, nie sadzono się na zbytek i okazałość. Najpotężniejsze gmachy wzniosły czasy, w których Rzym już na stratę świętych cnót prastarych się użalał; większa ich część są dowodami zepsucia, zniewieściałości, rozmiłowania w rozkosznèm znikczemnieniu.

Rzym, co powstał siłą, wierzył w siłę tylko i sławił potęgę jéj, a w sztuce wyraził przedewszystkiém tę siłę tylko swoję, gmachy jego zdumiewają rozmiarami zwalisk, Termy, Kolosseum, mury to ubóstwienie Rzymu w cezarze dźwignęło. Cała sztuka Rzymian napiętnowaną jest tylko tym majestatem ludu, co królów barbarzyńskich z poobcinanemi rękami wiódł zbroczonych za wozami zwycięsców.

W pomnikach jéj próżnoby szukać uczucia innego nad cielesne rozbestwienie i apoteozę materyalnéj siły.

Tym charakterem pełnym bezdusznego okrucieństwa napiętnowane jest wszystko w Rzymie, osobliwie z epoki ostatniéj, gdy szala złego tak się już była przechyliła, że potrzeba było przyjścia samego Boga, aby świat od téj powodzi zepsucia ratować;

i zalewu dzikich narodów spuszczonych z łańcuchów na zwycię-żenie stugłowéj poczwary.

Wielkość Rzymu pogańskiego nie obudza współczucia, zdumiewa, ale nie dobywa żalu z piersi po sobie, jaki czujemy na ruinach greckich grodów, a choćby na popielisku zburzonéj handlarskiéj Kartagi. Okrutna ekspiacya zakupiła dla niéj litość, gdy upadek Rzymu widzimy jako dokonanie wyroku ścisłéj sprawiedliwości. Winniśmy mu wprawdzie przechowanie oświaty i cywilizacyi greckiéj; ale piśmiennictwo jego dowodzi, że całą swą twórczość wylawszy na zbudowanie olbrzymiego kolosu państwa uniwersalnego, na twory innego rodzaju siły już nie miał. Oddał nam spadek stary, przeistoczony, a o niewiele pomnożony.

Z należną czcią dla wielkich cnót rzymskich bohaterów, narodowi i jego dziejom wogóle serca dać nie można. Widzimy w nim pracę potrzebną dla przyszłości, zasługi wielkiéj, ale dokonaną bez wiedzy, ręką narzędzia opatrzności dziejowéj. Otóż dlaczego podziwiając ruiny, nie mamy ku nim tego pociągu, jaki przeszłość wywiera, gdy one są grobami bohaterów ducha, nie pięści.

Nie powinnoby to zadziwić nikogo, że w tym Rzymie pełnym świetnych wspomnień, nie śpieszyliśmy do głównych ognisk dawnego życia, ani do najcelniejszych gmachów nowéj stolicy: postanowiliśmy oglądać, co się nadarzy, a najpierwéj co nas ze względu na kraj lub pierwotną epokę obchodzić mogło. Może i traf zrządził, że nazajutrz pierwszą wycieczką była do grobu ś. Stanisława Kostki w San Andrea (*a monte Cavallo*). Kościół ten przy nowicyacie XX. jezuitów, wzniesiony przez Berniniego, więcéj bogactwem, niż smakiem zastanawia. Ma on kształt rotundy, do któréj przytykają występujące po za jéj obręb kapliczki. Cały wewnątrz wyłożony marmurami, świeżo odnowiony, utrzymywany jest bardzo starannie. W lewo od wnijścia jedna z kaplic poświęcona ś. Stanisławowi Kostce, synowi możnéj polskiéj rodziny, którego kości spoczywają tu w ołtarzu, w przepysznym sarkofagu z lapislazuli i złoconego bronzu. Przed grobem stoją dwa świeże bukiety z róż i lilij i pali się lampa. Obraz główny ołtarza, a może i dwa boczne są Carlo Maratti. Pod niemi powtarza się godło świętego młodzieńca, gołąbka z różczką oliwną. Obrazy te bez ducha, ale umiejętnie malowane, mimo wyrazu łagodności i słodyczy, jaki nadał artysta świętemu, nie obudzają żadnego uczucia.

W klasztorze pełno po Kostce pamiątek. W celi, w któréj umarł, na miejscu, gdzie stało jego łoże, wzniesiono dziwny posąg przez Legros z białego marmuru w sukni czarnéj. Wyobraża

on młodzieńca z krzyżem w ręku, któremu dla zeszpecenia rzeźby dodano pobożnie prawdziwy różaniec i obrazek Matki Boskiéj. Jest coś przerażającego w téj rzeźbie, która nie mogąc dosiądz ideału, nie kusząc się oń nawet, pragnęła tylko złudzenia.

W drugiéj izdebce jest za szkłem list polecający do Rzymu od Prowincyała, z którym Stanisław, wraz z drugim jakimś Polakiem Mateuszem tu przybył. O Stanisławie pisze prowincyał, że dla rodziny swéj, która nie życzyła sobie, aby kapłanem został, z kraju do Rzymu dla przyobleczenia sukienki uchodzić musiał. O Mateuszu owym wyraża się X. prowincyał dosyć niekorzystnie. Zachowują się tu i kartony obrazów z żywota świętego, które zapewne do dekoracyi przy obrzędzie kanonizacyi służyć musiały. W celach przyległych są liczne relikwie ś. Stanisława i innych zakonników.

Weszliśmy potém do *S. Maria della Vittoria* (przy termach Dyoklecyana), wzniesionego w r. 1605 kościoła, na pamiątkę zwycięstw nad Turkami otrzymanych. Byliśmy i my naówczas jednym z narodów, które zwano przedmurzem chrześcijaństwa. W kościele tym okrągłym, wspaniałym dosyć, oprócz innych dzieł sztuki znajduje się obraz Dominiquin'a, Rodzina święta ze ś. Franciszkiem, który nie należy do najcelniejszych dzieł jego. Freski obok nie wiele téż są znaczące.

Oglądają tu także sławny posąg zachwytu ś. Teresy przez Berniniego, godzien wieku i artysty, co go utworzył. Święta opada omdlona, a anioł ze strzałą złocistą zabiera się przebić jéj serce! Osobliwszy ten pomysł był zakryty posągiem N. Panny, z powodu nabożeństwa, tak, żeśmy go dobrze widziéć nie mogli. Obok są Berniniego grupy z białego marmuru, czterech i czterech osób z lóż patrzących na kościół. Znaczenia ich nie wiemy, lepsze są od innych obfitego rzeźbiarza.

Wszystkie kościoły rzymskie są równie piękne i starannie utrzymywane, a jest ich tu ni mniéj ni więcéj tylko trzysta ośmdziesiąt dziewięć, jeżeli się nie mylę. Wiele z nich w mieście i na prowincyach widzieliśmy właśnie się restaurujących za staraniem Ojca ś., jego kosztem lub zachętą. Zaoszczędzone fundusze, jakiekolwiek się gdzie znalazły, na to obrócone zostały. Bazyliki rzymskie wszystkie otwarte są przez dzień cały, inne kościoły do 9 lub do 10 rano, a otwierają się znowu około trzeciéj, nie tak dla nabożeństwa, jak dla pracujących w nich artystów. Główne drzwi szczelnie zawieszona zasłona ochrania od gorącego powietrza, okna są poprzysłaniane, a ciekawsze i piękniejsze obrazy opatrzone firankami. Gdzieniegdzie nawet pozakrywane są freski nie w myśli ochronienia ich, ale dla zarobku kustodów, którzy od

odkrycia biorą choć mały datek od cudzoziemców. Niektóre dzieła sztuki wcale znaczny w ten sposób przychód czynią. W kościołach, w których jest odpust, zawieszają u wnijścia znak jakiś, chorągiew, oponę aksamitną ze złotem, a po wsiach wieńce zielone i rozmaite ozdoby z liści i kwiatów. Ubiory duchowieństwa bardzo są różne od naszego, księża chodzą w sukni czarnéj z płaszczykiem lekkim, którego końce noszą zwykle na ręku, i w kapeluszach z wielkiemi, z trzech stron do góry poprzypinanemi skrzydłami. Wstążki różnokolorowe na kapeluszach oznaczają stopnie w hierarchii, biskupi noszą zielone. Pończochy także fioletowe odróżniają monsignorów, a pąsowe kardynałów. Monsignorowie i książęta kościoła jeżdżą paradnemi powozami z liberyą. Dwór papieski ubrany pąsowo, kardynałów powozy poznać łatwo po koniach z czubami strojnemi, *in fiocchi.* Rozmaite kolegia i seminarya mają także właściwą sukni barwę, która ich odcechowuje, niemieckie noszą suknie pąsowe z wiszącemi długiemi rękawami, inne fiolety z pąsem i t. p.

Plac przy Maryi Zwycięstwa jest przyozdobiony wodotryskiem *Aqua Felice*, nad którym stoi kolosalny Mojżesz za Sykstusa V, przez Prospera z Brescia wykuty,—w głównéj arkadzie. Przypisują nagleniu Sykstusa V, któremu artysta oprzéć się nie umiał, że Mojżesz pośpiesznie zrobiony, gdy go ustawiono na miejscu, wzbudził śmiech powszechny. Jest wistocie niezgrabny, ale Prosper z Brescia tak uczuł szyderstwo ludu, że ze zmartwienia umarł. Śmieszniejszym był jeszcze od swego Mojżesza. Wodotrysk Aqua Felice tak nieszczęśliwie przyozdobiony, a raczéj zepsuty, należy do najpiękniejszych w Rzymie, który nad wszystkie miasta w świecie obfituje w fontanny. Mojżesz ten dla wielu turystów uchodzi za owego sławnego Michała Anioła... a że słyszeli, iż go chwalić potrzeba, chwalą go i zachwycają się...

Po drodze chcieliśmy zajść do ś. Zuzanny, aleśmy kościół zastali zamknięty i przez kraty tylko przypatrywaliśmy się freskom niewiadomego malarza, ale dobréj szkoły. U Ś. Bernarda, w ładnym okrągłym kościele, odnowionym staraniem Piusa IX, nic znaczącego nie znaleźliśmy.

S. Maria *dei Angeli*, przy któréj są kartuzi, należy do największych w Rzymie świątyń. Oryginalna ta budowa z pomysłu Michała Anioła wzniesiona została, ale ją w r. 1740 przerobił Vanvitelli. Wchodzi się do niéj okrągłym przedsionkiem, przerobionym z jednéj z izb tegoż kształtu termów Dyoklecyana, do których klasztor przytyka... Tu stoją grobowce Carlo Maratti, Salvatora Rosy, Alciata... Wnijście jest niezwyczajne i piękne; ale plan pierwotny Michała Anioła może był jeszcze wspanialszym.

Aby mieć wyobrażenie, czém bywały termy rzymskie, o których powiemy niżéj, dość przypomnieć, że kościoła nawa główna jest salą *jedną* tego gmachu. Kolumny granitowe we wnętrzu Michał Anioł zachował z dawnéj budowy. Następuje po przedsieniu ogromnie długa nawa, zakończona kaplicami. U wnijścia jest posąg ś. Brunona przez Houdoria, arcydzieło artysty, o którym Klemens XIV miał się odezwać, że mówiłby, gdyby mu reguła zakonu nie broniła. Pojęcie téj postaci zdaje się pokrewne z typem obrazów Lesueur'a.

Obrazy są nowszych mistrzów, ale gasną wszystkie przy fresku Dominiquina w nawie przeciwległéj wnijściu, składającéj presbiteryum. Fresk wyobraża męczeństwo ś. Sebastyana i przeniesiony tu został od Ś. Piotra w r. 1736 przez samouczka architekta i mechanika Zabaglia.

Jako dzieło sztuki, jako kompozycya, koloryt, harmonia, nic piękniejszego nad ten obraz; tak umiejętnie, z takim talentem malowany, tak zlany w przepyszną całość dekoracyjną... ale zdumiewając się talentowi, zawsze jedno zarzucić się godzi... brak ducha. Jest to sztuka podniesiona do najwyższéj potęgi, ale chłodna, nieprzejęta, zalotna, wywdzięczona, nie mówiąca nic nad to, że malarz był człowiekiem wielkiego talentu.

Kościół przerobiony z murów starych łaźni Dyoklecyanowskich, jest maleńką ich cząstką tylko, *cella calidaria* i *laconicum* zostały użyte, wreszcie tych olbrzymich ruin są magazyny słomy i siana wojsk francuskich, stojących załogą w Rzymie, o czém świadczą napisy.

Bo też termy owe, łaźnie Rzymian z czasów Dyoklecyana były nie zakładem kąpieli dla zdrowia, ale całym rajem rzymskich rozkoszy, całym światkiem, w którego murach można było nie dzień, ale życie spędzić i więcéj nad to, co zawierały, nie pragnąć. Łaźnie pierwotne Rzymian były proste i niewykwintne, używano kąpieli dla zdrowia, nie szukano w nich, jak późniéj, rozkoszy i wygody.

Jak Santa Maria *dei Angeli* jest parą izb termów Dyoklecyana, tak ów sławny z piękności panteon Agryppy był też częścią termów, które on dla ludu rzymskiego wystawił.

Oprócz wszystkiego, czego było potrzeba dla wygody kąpiących się w zimnéj i gorącéj wodzie, w wyziewach parowych termy zawierały wspaniałe ogrody dla przechadzki, biblioteki, galerye obrazów, sale dla spoczynku i rozmowy, izby do gry i ćwiczeń gimnastycznych, portyki, galerye, kuchnie, lupanary, sklepy; ćmy przekupniów, pasorzytów, kobiet płochych i mężczyzn zniewieściałych zaludniały je dniem i nocą. Architektura termów była zbytkowną i wspaniałą, ozdoby jéj kosztowne. W termach

Tytusa na Eskwilinie znaleziono sławną grupę Laokoona, w termach Karakalli czyli Antonińskich odkryto Herkulesa zwanego Farnezyjskim i sławną grupę Zetus i Amfion. Termy Dyokleeyana, o których mowa, zajmowały części góry Wiminalskiéj i Kwirynalu. Życie w publicznych termach schodziło próżniakom stołecznym bardzo przyjemnie, znajdowali tu pod portykami znajomych, plotki, nowiny, kąpiel wedle upodobania ciepłą, chłodną, parową w *laconicum*, mogli pływać w sadzawkach, grać potém dla ruchu w kręgle (*sphaeristeria)*, czytać w bibliotece, przypatrywać się obrazom lub z pięknemi paniami gwarzyć do woli. Nie zbywało na kuchniach i jadle, na napojach i przysmakach, nawet na sklepikach, w których fryzowano, wyrywano włosy, smarowano olejkami i malowano twarze.

Przypochlebiając się panującemu ludowi, dawano mu gmachy darmo, a kąpiele bardzo tanio, tak samo jak mu sprawiano igrzyska i przywożono zboże, aby wykarmić głodną tłuszczę wołającą:

— *Panem et circenses!*

Część tych olbrzymich murów Dyoklecyana stoi dotąd, jak była, jakąś przerażającą ogromem ruiną. Przez zwaliska wchodzi się do klasztoru kartuzów (*claustrum*), na krużganki otaczające dziedziniec wspaniały, wśród którego rośnie kilka olbrzymich cyprysów. Z bocznéj ściany bije, mrucząc, maleńka fontanka. Cicho tu dziś i spokojnie, w najgwarliwszéj wrzawy siedlisku, na którą w listach swych uskarża się Seneka, dziś milczenie wiekuiste; braciszek niemy pokazuje ci krużganki sparte na stu kolumnach z trawertynu i oprowadziwszy, otwiera powoli szafę, na któréj desce w głębi artysta jakiś odmalował łudząco kartuza naturalnéj wielkości i przy nim kota; drzwi przemknięte, a na okiennicy wszystko co kartuskie mienie stanowi, trochę warzywa na talerzu, książki, sprzęt ubogi mnicha. Wszystko to jest jakby kolorową fotografią natury.

U wnijścia na ziemi walają się jak wszędzie, złomki starożytnych rzeźb dobyte z pod gruzów olbrzyma.

Idziemy daléj, choć skwar nieznośny, do *Santa Maria Maggiore*. Jest to jedna z głównych bazylik Rzymu i z najpiękniejszych, stołeczny kościół Maryi, sięgający IV w., ale za Benedykta XIV przerobiony i przyozdobiony wspaniale.

Przed nim stoi na placu starożytna kolumna z posągiem N. Panny Niepokalanego poczęcia, Paweł V dodał do portyku z obu stron przybudowy dla kapituły. Smak architektoniczny nie jest najczystszy, przesadzono ozdobami, ale wnętrze jest wspaniałe i wielkie, podzielone na trzy nawy kolumnnmi z białego

marmuru, strop nowy cały w kasetony złocone. W głębi znajdują się bardzo stare mozajki z VIII wieku, wedle innych z V-go. Główna wystawia Koronacyą N. Panny i na czas ów odznacza się szlachetnym rysunkiem, w którym ślad tradycyi sztuki starożytnéj pozostał. Bogactwo materyału niezmierne, porfiry i marmury wszędzie, kolumny porfirowe utrzymują baldachim nad w. ołtarzem. Osobna kaplica *del Presepio*, przepysznie wyzłocona i wykładana, jest jakby oddzielnym kościołem. Żłobek, który się tu przechowuje, umieszczony we wgłębieniu, wspaniale okryty i bogato ozdobny. W tym kościele ma być grób ś. Hieronima, ale miejsce, w którém spoczywa, niewiadome. Kaplica Borghesich jeszcze bogatsza za Pawła V zbudowana. Kościół pełen grobowców papieżów i posągów, które ich przedstawiają; nadaje to wielką powagę gmachowi... kolumny z agatów i jaspisów, kapitele złocone. Chrzcielnicę stanowi starożytne naczynie porfirowe, wielkie, pokryte wiekiem bronzowém. Tu się zwykło uroczyste odprawiać nabożeństwo u żłobu w wigilią Narodzenia Pańskiego, tu są zamurowane drzwi, które otwierają się tylko z ogłoszeniem jubileuszu. Bazylika ta przepyszna ogromem szczególniéj i bogactwem się odznacza. Tu spoczywa ciało ś. Mateusza Apostoła.

Pokazywano nam figurkę Chrystusa dziecięcia, odlaną z rzeźby ładnéj, przedstawującéj dziecinę tulącą się od zimna, które dla *una donna polacca* zrobiono. Z wosku ją powtórzono dla kościoła, pomysł jest wdzięczny...

W kościołku nowym bazylianek obrzędu łacińskiego wedle sycylijskiego rytu, zaszliśmy obejrzéć obrazy prawie naszego artysty, przyswojonego krajowi naszemu, p. Leopolda Nowotnego. Jest on rodem Czech, ale zarazem Polakiem i pochlubić się nim możemy. Nowotny należy do małéj nader liczby artystów, którzy tajemnicy sztuki chrześcijańskiéj szukali w wiekach, co rozbujanie się pogańskie malarstwa poprzedziły. Obrazy jego są pełne uczucia i prostoty, znakomite wyrazem i pięknością spokojną typów. Na nieszczęście zbyt mało u nas są znane, i niewiele ich mamy w kraju. Liczy się on do szkoły chrześcijańskiéj Overbeck'a, Cornelius'a i Veith'a. Kościołek bazylianek ma dwa obrazy świętych, malowane przez Nowotnego.

Zaszliśmy jeszcze do *Santa Maria del Pascolo*, u któréj była kopia obrazu N. Panny Żyrowickiéj.

Ponieważ jednym z głównych celów przybycia mego do Rzymu było pilniejsze zwiedzenie katakumb, których nadzór i uporządkowanie dobytych z nich pomników powierzone jest panu Rossi znakomitemu filologowi, a miałem nadzieję, że choć raz-bym

mógł z jego nauki korzystać, udałem się do niego samego z prośbą o pomoc w zwiedzeniu téj kolebki chrześcijaństwa.

Pan Rossi, któremu byłem polecony, przyjął mnie najuprzejmiéj, ale zarazem oświadczył, że z powodu panującéj w téj porze w stronach, w których położone są katakumby, *malaryi* (*aria cattiva*) oglądanie podziemiów latem uważa się za dosyć niebezpieczne i przewodnika nawet znaléźć teraz będzie trudno. Dla nas, cośmy do powietrza złego nie przywykli, obawa ta wydaje się prawie dziwną, w Rzymie wszakże lękają się go bardzo. Pan Rossi oświadczył się z gotowością pokazania i objaśnienia mi zbioru muzeum lateraneńskiego, złożonego z zabytków dobytych w katakumbach, uklasyfikowanych przezeń, ale uważałem, że ciężko mu było w lecie odważyć się na zstąpienie do katakumb. Zdawał się nawet powątpiewać, czy, wyjąwszy te, które zawsze zwiedzać można, przy kościele św. Agnieszki, inne przystępnemi dla nas będą. Nie mogłem pogodzić się z przypuszczeniem, żebym Rzym opuścił, nie zwiedziwszy pilnie kilku różnych katakumb z pierwszych wieków. Nie nalegając na pana Rossi, którego grzeczności nadużywać nie chciałem, w duszy zachowałem nadzieję, że z pomocą dobréj zapłaty znajdzie się zawsze przewodnik, który czy rano czy wieczór, czy o południu, wówczas kiedy *aria cattiva* jest najmniéj groźną, podejmie się oprowadzić po katakumbach. Jak wszyscy całego świata uczeni prawdziwie nauce oddani, p. Rossi jest nią tylko zajęty i wiedzie życie bardzo skromne. Mieszkanie jego i osoba napiętnowane są prostotą, łatwy jest i przystępny, a co rzadsza, nauką swą dzieląc się z profanami umié ją uczynić przystępną dla każdego, każdemu zrozumiałą.

Oprócz układu muzeum lateraneńskiego, w którym napisy i rzeźby chronologicznie się mieścić mają, gdyż niektóre cechy daty ich z pewnością dozwalają oznaczyć, ma p. Rossi polecenie od Ojca ś. wyszukania ciała ś. Cyrylla, apostoła Słowian, który spoczywa w bazylice ś. Klemensa, ale miejsca grobu pamięć zatraconą została.

Zaszliśmy potém do pracowni skromnéj tylko co wspomnionego Nowotnego w pałacu XX. Odescalchi, dla widzenia rozpoczętych przezeń obrazów. Między innemi widzieliśmy tu do Krakowa przeznaczoną ś. Zofię ze trzema palmami w ręku, któréj anioł czwartą palmę zwycięstwa podaje, bardzo piękną wyrazem, ołtarzyk w smaku dawnym ze św. Trójcą (Bóg Ojciec trzymający Chrystusa rozpiętego na krzyżu) i N. Panną, św. Andrzeja Bobolę uniesionego do nieba, rysunki wspaniałéj już wykonanéj Transfiguracyi, jako téż świętych patronów kraju, Wojciecha, Stanisława, Hleba i Borysa i t. p. Niektóre z nich były litografowane i z nich najlepiéj poznać można wiel-

ki styl malarza, surowość jego i powagę połączoną z prostotą i wdziękiem.

Ponieważ w téj porze roku galerya pomieszczona w pałacu Doria-Pamphili raz tylko w tygodniu bywa otwartą dla zwiedzających, pośpieszyliśmy do niéj, korzystając z chwili wolnéj. Pałac Doriow wspaniały bardzo, ale budowany częściami, w różnych epokach, nie przedstawia całości pięknéj, jest gmachem ozdobnym, na którym znać nieco upadek sztuki. Wchodząc zapisuje się imiona w księdze. Większy jest dozór niż dawniéj z powodu jakiegoś miłośnika sztuki, który szacowny obrazek wyniósł niepostrzeżony. Sale galeryi przyozdobione są wystawnie w antyki, rzeźby i złomki starożytne, o które tu tak łatwo. Ogół zbioru nie uderza, przeważają mierne płótna, mnóstwo starych krajobrazów i t. p. Ale między temi są i bardzo piękne rzeczy. W pierwszéj sali najwięcéj kwiatów i zwierząt, w drugiéj różne kuchenne przedstawienia i *nature morte.* Tu jest bardzo piękny krajobraz Salvatora Rosy, ze skałą w łuk wygiętą; oddalenie, choć zbladłe, jeszcze wdzięczne. Pejzaże Poussin'a, wielkiego stylu i powagi, poczerniały, straciły harmonią i potrzebują wielkiego wnikania w piękność swą, by się podobały. Do celniejszych dzieł należą bardzo piękne zaślubiny św. Katarzyny Beccafumi, Tycyana dwie Magdaleny, obie podobne do znajdującéj się w Pitti, prześliczna Madonna Belliniego, Lippi Zwiastowanie, Francii Madonna z właściwym mu charakterem i wdziękiem, naostatek dwa złączone portrety Bartolo i Baldo przypisywane Rafaelowi, portret Lukrecyi Borgia w średnim już wieku, ale jeszcze pięknéj, typ raczéj holenderski niż włoski, i Leonarda da Vinci cudownego wyrazu wizerunek królowéj Joanny.

Za ozdobę celną galeryi uważają trzy krajobrazy Poussin'a, z których dwa istotnie przepyszne, wielkiéj przezroczystości tonów, iciepłe i dosyć pięknie zachowane; Andrea del Sarto portret Machavella z profilu; pyszne wizerunki Velasqueza, Sebastyana del Piombo jeden z Doriów, poczęty na płótnie niegruntownèm obraz Guercina, niedokończony. Vandyck i t. d. zasługują na wzmiankę. Antyków, posągów, rzeźb i innych ozdób z marmuru i bronzu zliczyć trudno.

Powróciwszy do mieszkania, odebrałem po południu z antykamery papieskiéj oznajmienie drukowane i wyznaczoną nazajutrz godzinę pół do dwunastéj, na przyjęcie przez Piusa IX *).

---

*) Oto jest forma:

Dell Anticamera Pontificia
Vaticano 9 Luglio 1858...
E pregato giugnendo in Anticamera
di esibire il presente biglieto.

Wybiegłszy tylko do sławnéj tratoryi Lepre, gdzieśmy się przekarmiali, obok Cafe Greco, znanéj artystów młodych gospody, i nie zabawiwszy tam dłużéj nad konieczną potrzebę posiłku, udaliśmy się do kościoła św. Ludwika francuskiego, aleśmy go zastali nieubłaganie zamkniętym, więc na Kapitol...

Rzym był stolicą świata; ogniskiem i sercem Rzymu było Forum i Capitolium.

Któż nie wié, że ów rynek *krowiém polem (Campo vaccino)* nazywa się dziś jakby na pośmiewisko!!!

Na stosunkowo niewielkiéj przestrzeni *Forum Romanum* mieściło mnóstwo gmachów przepysznych, świątyń, łuków zwycięskich, bazylik; dziś to wszystko w ruinach, a to co się zowie Kapitolem, jest prawie nową budową. Część jakaś muru od dawnego *Tabularium* miała się uchować w gmachu czasów Rzeczypospolitéj sięgająca. Kapitol dzisiejszy wcale nie jest obszerny, plac przed nim szczupły obejmują trzy skrzydła budowy, do któréj prowadzą wschody monumentalne ozdobione posągami, całość z rysunku Michała Anioła wzniesiona, ale dokończona przez innego architekta, może ideą, jaką do niéj przywiązujemy, przedstawia się wspaniale i poważnie.

Na nowym Kapitolu uwieńczono laurem poetyckim Petrarkę; tu Rienzego ogłoszono trybunem ludu i tu on późniéj na wschodach uderzony przez rzemieślnika, zamordowany był przez ciżbę... U wschodów stoją różne rzeźby, dwie lwice bazaltowe egipskie, posągi Kastora i Polluksa, trofea, statua Konstantyna i jego syna, kolumny drożne i t. d. W pośrodku jest sławny posąg konny Marka Aureliusza..

Zaraz za Kapitolem, obok którego jest kościół *Ara coeli*, wchodzimy na milczące Forum... pełne najszacowniejszych pamiątek odkopanych dziś mozolnie z pod grubéj warstwy ziemi, która je okrywała na kilka łokci. Tu spojrzawszy na majestat zdruzgotany Rzymu na chwilę jeśli nie żal, to smutna zaduma owładnie człowiekiem i pyta się—czém jest siła ziemska? czém potęga? Pustynia, chwasty, i gruzy... a to *Forum Romanum.*

Tu stoją zwaliska po nad *Via Sacra* i razem się zdumionemu oku przedstawiają *Tabularium*, gdzie się przechowywały tablice praw, dziś podstawa nowego Kapitolu, w lewo nieco przepyszny łuk zwycięski Septyma Sewera, głęboko w ziemi, otoczony mnóstwem rozbi-

---

Si avverte che non potrà essere ammesso
se non in uniforme, e non avendone l'uso
in fraco nero, cravata bianca e scarpa.
Si previene......che Sua Santità si
degnerà ammettersi all' Udienza.....
Il Maestro di Camera di S. S.

tych kolumn i troskliwie pozbieranych rzeźb szczątków. Napis na nim był z liter bronzowych, w czwartéj linii widać, że gdy Karakalla zabił Getę, imię téż jego z łuku zetrzéć kazał... Daléj idą Swiątynia Zgody (*T. Concordiae*), kolumn grupa ślicznych proporcyi, resztki świątyni Jowisza piorunującego (*Jupiter tonans*), równie wytworne resztki świątyni Fortuny, rostra, kolumna Follasa wystawiona dlań przez jakiegoś złotnika pochlebcę w r. 608; *Graecostasis*, gdzie posłów przyjmowano, kilka kolumn. Niektórych pomników więcéj zostało opisów niż gruzu. Znać jeszcze kierunek, w jakim szła Droga Święta. Tu jeszcze bazylika Julia, a w głębi widać łuk Tytusa i Konstantyna, Kolosseum i ruinę pałacu cezarów, na mogiłach tych kościoły i krzyże.

Powoli smutnie przechodzi się pobojowisko wieków, nie mogąc oderwać oczów od uroczystego wielkiego widoku, tu i tylko tu Rzym stary mówi jeszcze i użalać się zdaje nad sobą, albo raczéj pysznić ze swéj ruiny...

Szliśmy tak nie wiedząc prawie, jak się błądziło i dokąd kierowało, ażeśmy doszli do olbrzymiogo Kolosseum... Słońce ku zachodowi zniżone ozłacało go silnie a długie cienie rozkładały się u stóp jego...

Ogrom ten zdumiewa i przeraża zarazem... opustoszenie jego, milczenie panujące w niém, wspomnienia scen, jakich te mury były świadkami.... obudzają niewyraźne uczucia.

Miejsce, które zajmuje ten teatr, było sadzawką w ogrodach Nerona, cezar Wespazyan po powrocie z wojny judejskiéj, rozpoczął stawić potworę... Żydzi niewolnicy tysiącami nad nim pracowali, tak samo jak niegdyś nad piramidami; ostatnie piętra skończono dopiéro za Domicyana. Tytus otwierając i inaugurując budowę, w któréj około 90,000 ludu pomieścić się mogło, dał na pastwę rzymskiéj gawiedzi pięć tysięcy dzikiego zwierza i... dziesięć tysięcy niewolników!!

Kolosseum jest gmachem owalnym cztero-piętrowym, zajmującym przestrzeń ogromną, zbudowanym z brył trawentynu. Każde piętro ma około osiemdziesięciu arkad, i każde jest innego porządku architekturą ozdobne, idą po sobie dorycki, joński, koryncki, czwarte pilastrami koryuckiemi otoczone. Teatr był tak urządzony, że nietylko do walk zwierząt ale i do naumachij, to jest wodnych przedstawień mógł służyć.

Uderzenie piorunu zniszczyło go naprzód, a Aleksander Sewerus odnowił, Filip mógł w niém obchodzić w r. 248 tysiącolecie od założenia Rzymu. W średnich wiekach służyło Kolosseum za twierdzę, szczególniéj stronnictwu Frangipani; zaczęto powoli rozbierać je i burzyć, palono wapno z kamieni, budowano z nich pałace, wznie-

sienie tak zwanego weneckiego pałacu i Fernesich zaledwie wyszczerbiło olbrzyma. Myślano o przerobieniu resztek na fabrykę sukienną, a tymczasem gnojono mury na saletrę. Dopiéro za Benedykta XIV powstrzymano systematyczne niszczenie, i wystawiono wkoło cztérnaście stacyj, a wśród areny polanéj męczeńską krwią pierwszych chrześcijan, wzniósł się pierwszy krzyż drewniany. Dla zachowania resztek monumentu grożące obaleniem ściany popodmurowywano, odkopano arenę zarzuconą ziemią, i dziś Kolosseum obiecuje stać jeszcze wieki.

Gdyśmy weszli do wnętrza, było tu pusto, rozglądaliśmy się po niém, zapomniawszy iż to był piątek, gdy przez jedno z wejść powoli wsunął się szereg zakapturzonych pokutników i poczęło śpiewanie litanii i procesya.

Ten obrzęd chrześcijański w zburzonym cyrku pogan, przy krzyżu drewnianym, te postacie zakapturzone, które otoczyły kołem małą kazalniczkę, gdy bernardyn wyszedł na nią, nareszcie kazanie samo składały obraz, którego zapomnieć niepodobna.

Włoskie kazanie, szczególniéj, gdy je ma mnich zakonu ś-go Franciszka, zwykle kość z kości ludu, umiejący przemawiać doń jego językiem, nie może się porównać z tém, co u nas kazaniem się zowie. Jest to rozmowa, łajanie, szyderstwo, namiętny wykrzyk duszy, któremu towarzyszą ruchy, śmiechy, rzucanie się, dla nas ludzi z północy — niepojęte. Chwyta się wyrazy i mimowoli przychodzi na myśl Schillerowskie kazanie w obozie Wallensteina. Najjaskrawsze barwy, najdobitniejsze wyrażenia, wcale się nie szczędzą, kaznodzieja nie ma litości, jest tu panem i używa swobody słowa nie powstrzymując się.

Wogóle całe nabożeństwo włoskie i stosunek człowieka do Boga we Włoszech inny jest niż na północy. Jestli to skutkiem zabytków obyczaju pogańskiego, czy charakteru ludu, nie wiem, ale przy głębokiéj, namiętnéj wierze, forma jest dziwna we wszystkiém, co religii tyczy.

Możnaby rzec, że my szanujemy Boga, a oni go czysto po ludzku i niemal jak człowieka kochają. Jak ś. Januarego jego stare krewniaczki łają, gdy się nie śpieszy z cudem, tak swych patronów tłuką często Włochy i wyrzucają, jeśli na ich modły są głusi. W kościele obok najżarliwszéj modlitwy spotyka się najzupełniejszą z panem Bogiem poufałość. Kazanie, którego wysłuchaliśmy w Kolosseum, nie było przesadzenie gwałtowne, ale podobniejsze się nam zdało do rozmowy niż do namaszczonego słowa bożego. Mimo wieczora gorąco było wielkie, ksiądz ocierał pot z uznojonego czoła, przechadzał się, chłodził chustką, a mówił pochylając się, giestykulując, uśmiechając i robiąc ruchy żywe,

z przejęciem niezmierném... Nareszcie Ave Maria zakończyło naukę i procesya z krzyżem wyszła powoli z Kolosseum... My téż za nią wysunęliśmy się milczący.

Począwszy wędrówkę po zwaliskach pogańskiego Rzymu, użyliśmy i reszty pięknego dnia na oglądanie ruin, poczynając od najpiękniéj zachowanego, wspaniałego łuku Konstantyna, który przeznaczonym był dla Trajana, jak dowodzą rzeźby górnéj części, a późniéj przez senat i lud po zwycięstwach nad Maksencyuszem i Licyniuszem, oddany na cześć Konstantyna.

Rzeźby niższéj części, znacznie gorsze, są z epoki, w któréj sztuka chyliła się do upadku.

Stąd poszliśmy do Termów Karakalli.

Rzym miał oprócz Dyoklecyanowskich, i tych, o których mówimy, Termy Agryppy, przytykające do Panteonu, i Tytusa. Termy Antonińskie, czyli Karakalli, po Kolosseum i niezmierném zwalisku pałacu cezarów są jedną z budowli największych, których szczęty pozostały w Rzymie. Jeszcze dziś grube te mury, ślady wielkich sal, mnóstwo złomków, rzeźb i marmurów, których tu pełno, pogruchotane sklepienia olbrzymie, porosłe krzakami, ściany potężne zalegające przestrzeń rozległą, dają wyobrażenie o ogromie dawnéj budowy. Termy Karakalli skończone były dopiéro przez Heliogabala i Aleksandra Sewera. Starożytni, przywykli do wspaniałości termalnych zakładów, sami podziwiali przepych, z jakim urządzone były. Tysiące posągów odkopano w tych ruinach i to nie poślednich, tors belwederski, Herkules Farnese, Flora, Wenus zwana Kallipygą, byk Farnezyjski, ogromne wanny granitowe, stojące na placu Farnese, stąd dobyto. Samych siedzeń marmurowych było tu półtora z górą tysiąca. Sklepienia i posadzki okryte były mozajkami z kamieni, z których część przeniesiono do muzeum lateraneńskiego, kolumny granitowe dostały się do Florencyi. W szóstym wieku opuszczone już były Termy, zdaje się dla niedostatku wody.

W ruinach, które za opłatą pokazuje kustode, więcéj zajęty uzbieranemi kawałkami marmurów na sprzedaż niż monumentem, który ma ciekawym objaśnić, znać jeszcze rozporządzenie zwykłe termów, *laconicum* czyli łaźnię parową okrągłą, dwie eksedry półkoliste dla gimnazistów i graczy, mnóstwo małych izdebek, w których się mieściła usługa łazienna.

W samym środku gmachu była wielka sala okrągła, sparta na granitowych kolumnach, pozabieranych w różne strony.

Kustode widząc, że nas nie skusi marmurami i czerepkami skrzętnie za szkłem poukładanemi a drogiemi dosyć, bardzo w końcu ostygł dla nas i dozwolił samym wałęsać się po zwaliskach,

przypominając tylko kwaskowato, że dla *aria cattiva* radby się już oddalić. Zmusił nas niejako do rychłego odwrotu. Mieliśmy jednak dość czasu z wierzchołka jednego z tych olbrzymich murów rzucić okiem na mur i otaczającą go okolicę zewsząd pustynną i milczącą. Wpośród niéj gdzieniegdzie tylko długim pasem ciągnący się akwedukt w łukach wyglądał jak skamieniały pochód olbrzymów wygnanych z odwiecznego miasta.

Droga powrotna prowadziła nas około jednéj z najpiękniejszych choć maleńkich świątyń starego Rzymu, około świątyni Westy (*piazza della Bocca della verità*). Budowa to okrągła, otoczona portykiem, wspartym na dwudziestu koryncki ch żłobionych słupach. Jednego z nich tylko braknie. Mury saméj świątyni (cella) są całe z wielkich brył marmuru białego doskonale spojonych, pokrycie dachu nowe, podobne do słomianki na ulu, szpeci ten budyneczek bardzo wdzięczny. Starożytnicy kłócą się o niego, mając go za świątynię Herkulesa lub Mater Matuta. Trudno rozstrzygnąć między niemi, ale śliczny bardzo, a to nam starczy. Dziś jest to kościołek czy kapliczka ś. Maryi słonecznéj (*del Sole*), dawniéj poświęcony był ś. Stefanowi (*delle Carozze*). Dlaczego ten święty miał być patronem wozów czy powozów? nie wiemy.

Dnia 10 lipca w sobotę przygotowywaliśmy się do przyobiecanego posłuchania u Ojca ś., do którego każdy miał jakąś prośbę, jeżeli nie od siebie to od rodziny. Jest we zwyczaju, że się pisze podług pewnéj formy żądanie, a papież na niém przyzwolenie podpisuje. Przepisywały się więc petycye. Oprócz autora tych kartek obywatel z Wołynia Juliusz Moczulski, syn pani Ewy, znanéj ze swych podróży na północ, Juliusz Feliński i artysta Klemens Łuk Rodziewicz tegoż dnia przyjęci być mieli. Zwykle katolicy proszą papieża o udzielenie błogosławieństwa dla siebie i rodziny, o indulgencyą *in articulo mortis*, dla krewnych do trzeciego stopnia włącznie, a nawet dla obcéj osoby jednéj wybranéj, prócz tego o poświęcenie różańców, i innych przedmiotów. Mieliśmy z sobą przeszło dwadzieścia różańców i kilka formuł błogosławieństwa.

Oczekiwana godzina pół do dwunastéj zbliżyła się, weszliśmy po szerokich marmurowych wschodach na drugie piętro watykańskiego pałacu, do apartamentów papieskich, które są bez błyszczącego przepychu, poważnie, surowo, ale bardzo wspaniale urządzone.

Przechodziliśmy naprzód obszerne przedpokoje, w których prawie było ciemno, bo dla gorąca okna wszędzie były pozapuszczane. Ściany w salach poobijane karmazynowym adamaszkiem, drzwi podobnież, zwierciadła weneckie, stoły marmurowe i mozaj-

kowe, posadzki wysadzane wzorzysto z marmurów. Odrzwia też marmurowe. Wszystko to ciemne, nie krzyczące. W pierwszym przedpokoju, oprócz strzegącéj kurytarzy i pałacu gwardyi szwajcarskiéj, w średniowiecznych XVI w. strojach (których rysunek miał dać Michał Anioł), w hełmach z halabardami, w kaftanach i sukniach żółto-czerwono-czarnych, znaleźliśmy sługi papieskie w liberyą pąsową adamaszkową od stóp do głów ubrane. Ci wzięli od nas różańce na tacę i otrzymane przez nas wczoraj oznajmienie, że będziemy do audyencyi dopuszczeni. Daléj przeszedłszy parę sal prawie pustych, zaproszono do bliższéj gabinetu Ojca ś. dla oczekiwania. Wzięto od nas kapelusze i polecono zdjąć rękawiczki, gdyż z niemi nie wchodzi się do Ojca ś. Tu umeblowanie także było bardzo skromne, ale tron stał w głębi służący do przyjęcia posłów zagranicznych, dębowe krzesła z poręczami proste i ławy. Kilku monsignorów w fioletach, kilku oficerów gwardyi w mundurach pąsowych ze złotem z szafirowemi kołnierzami, w kaskach złoconych z piórami białemi, w wysokich butach i łosiowych spodniach, kilku naostatek kameryerów cywilnych w strojach hiszpańskich czarnych, z krézami białemi i łańcuchami złotemi u szyi, przechodzili się po pokoju. Dnia tego monsignor Pacca pełnił urząd kameryera przy Ojcu ś. Posadzono nas w fotelach i proszono czekać, póki nie wyjdzie minister finansów, który był właśnie u papieża.

Zabawiali nas tymczasem rozmową monsignor Pacca i kapelan armii francuskiéj, ksiądz... Wyszedł naostatek minister, odezwał się dzwonek z blizkiego pokoju, potém raz drugi, i weszliśmy wprowadzeni do gabinetu papieskiego przez monsignora Pacca, który nam drzwi otworzywszy, sam się cofnął.

Pius IX siedział na małém podwyższeniu, na którém był fotel i biuro do pisania, albo raczéj stół wielki: cały ubrany biało, z twarzą łagodną, ale razem energicznego wyrazu. Czerstwy był, oblicza spokojnego i nie wyglądał na więcéj nad lat sześćdziesiąt, włosy miał siwe, twarz dość rumianą, nieugięta wola malowała się w rysach pełnych szlachetności. Gdyśmy po trzykrotném przyklęknieniu zbliżyli się, Ojciec ś. kazał nam stanąć przed sobą, a że widocznie był uprzedzony, kto jesteśmy, począł z każdym z osobna rozmowę, mylę się, każdego z osobna pytał i dawał nauki. Poznać z nich było można łatwo, iż mówił wedle skazówek i natchnienia tych, którzy objaśnili zawczasu Ojca ś. o osobach mających mu być przedstawionemi. Nie wchodzim w to, o ile zdanie o nas było lub nie sprawiedliwém, przez usta Piusa IX mówiło przekonanie własnych ziomków, przyjęliśmy więc opartą na niém naukę, jako pokarm duchowny w milczeniu. Koléj obeszła

wszystkich, każdego Ojciec ś. zapytywał, badał, pocieszał lub gromił, wedle wiadomości, jakie mu o kim z nas dostarczono. Mówił do nas po francusku. Naostatek spytał, czy mamy co do podpisania i począł podane formuły w różny sposób opatrywać swym podpisem, co chwilę jeszcze zabrało. Zatém dał znak do pożegnania, udzielając swe błogosławieństwo, rękę do ucałowania i nogę... Przyklękliśmy, dzwonek dał się słyszéć, i drzwi gabinetu zamknęły się za nami. Jeden z nas tylko pozostał w pałacu, oczekując na błogosławione różańce.

Tak się odbyło to przedstawienie nasze, i tak codziennie przyjmuje papież z całego świata przybyszów, których Rzym zawsze jest pełen. A jakże być w Rzymie, i papieża nie widziéć? powiada przysłowie.

Będąc już w Watykanie, poszliśmy wprost z audyencyi do małéj, ale niemal całkowicie z arcydzieł złożonéj galeryi obrazów, mieszczącéj się w czterech niezbyt wielkich pokojach.

Tu się znajduje sławne i sławione *Przemienienie Pańskie* Rafaela, więc od niego poczęliśmy nasz przegląd. Jest ono nadto znaném ze sztychów i reprodukcyj wszelkiego rodzaju, abyśmy je tu opisywać mieli, przypominamy tylko czytelnikom, że Chrystus wzniesiony w powietrze, jasny, ubłogosławiony, wystawion tu jest z pierwszemi dwudziestu wierszami Ewangielii św. Mateusza, rozdziału XVII, między Eliaszem i Mojżeszem [1]), poniżéj oślepieni blaskiem tego cudu uczniowie, a na samym dole obrazu grupa ludzi oczekująca mistrza z opętanym (*lunaticus*), z którego ma wygnać złego ducha [2]). Obraz więc z natury tego założenia dzieli się na dwie sceny odrębne, niebiosa i ziemię, między którémi, ściśle biorąc, niéma koniecznego związku. Zarzucano to słusznie Rafaelowi, niéma jedności w tém dziele, a wierność, z jaką artysta pomieścił wszystko, co było w Ewangielii, posłużyła tylko fantazyi, która stworzyła przepyszne postacie pierwszego planu; wierność ta wszakże nie była obowiązkiem, bo historya opętanego oczekującego na Chrystusa u stóp góry, jest zupełnie oddzielona od wielkiéj sceny przeobrażenia.

Obraz ten, jako dzieło sztuki, uważany jest za najprzedniejszy ze wszystkich utworów wielkiego mistrza; przyczyniło się do tego, że jest jego ostatnim, że stał nad jego zwłokami, że niesiono go w procesyi na pogrzebie, że wieki z poszanowaniem uważały go

---

[1]) Et post dies sex assumit Jesus Petrum et Jacobum et Johannem fratrem ejus, et reducit illos in montem excelsum seorsum etc.

[2]) Matth. XVII. v. 14.

niemal za relikwią, a Vasari głosem powszechnym wypowiedział dlań bezwarunkowe swe uwielbienie. Wistocie pojedyncze części jego są przecudowne, ale téj wielkiéj całości, jaką mają inne Rafaela obrazy, nie daje nam Przemienienie.

Artysta, zestawując z sobą niebieskie przeistoczenie Zbawiciela, gwar i zamęt życia i namiętności ludzkich, czy chciał sprzecznością wywołać efekt, czy uwydatnić tylko różnicę dwóch żywotów, nie dosiągł żadnego celu. To życie powszednie konwulsyjne, ten tłum u podnóża góry niespokojny i kipiący, źle się godzi z cudem, który króluje obrazowi; tego pospolitego ziemskiego środka kontrastu nie potrzebował malarz, aby Chrystusa podźwignąć. Przypomnim tu arcydzieło, widzenie Ezechiela... jaka tam wielkość i prostota, jaka tu widoczna sztuka, wysiłek, nagromadzenie środków i narzędzi. Jest to już oznaką zwątpienia w artyście, gdy się sprzecznością posługiwać potrzebuje.

Cudna postać niewiasty, w któréj czuć Fornarinę, odwrócona białemi plecami do patrzących, jest prawie świętokradztwem na obrazie. Mimo to wszystko, Transfiguracya jest i pozostanie arcydziełem, a my mamy prawo, maleńkie widzenie Ezechiela przenieść nad to płótno olbrzymie.

Nie wiem dlaczego Przemienienia kopia wykonana w mozajce i umieszczona w ołtarzu św. Piotra, tam prawie robi większe wrażenie, niż sam oryginał w galeryi. Przeznaczony on był przez Juliusza Medyceusza do kościoła w Narbonne we Francyi południowéj, bo Juliusz był arcybiskupem narboneńskim, ale po śmierci artysty, Rzym go już oddać nie chciał.

Drugim wielkiéj sławy obrazem Rafaela w Watykanie jest N. Panna, zwana *di Foligno*; malowana dla niejakiego Zygmunta Conti, kameryera Juliusza II. Jest on tam odmalowany jako donataryusz, starym obyczajem, naprzeciwko ś. Jana Chrzciciela. Kompozycya znaną jest prawie tak powszechnie, jak Przemienienie, a czytelnicy przypomną ją sobie po aniołku, który trzyma tablicę, jakby do napisu przygotowaną.

Obraz ten, jak poprzedni, należy już do ostatniéj epoki dramatycznéj maniery Rafaela. Od zaślubin N. Panny, które tak są podobne do dzieła Perugina, że mogą mu być przyznane, do tych płócien, zdaje się, że nie życie człowieka, ale wieki przepłynęły! Rafael przekształcał się z dziwną, ze zbytnią może łatwością, zachowując jedno tylko piętno, niezmierne poczucie piękności zawsze; uczeń Perugina naśladował go, podnosząc, uczeń Leonarda wziął od niego wyższe już życie i swobodę, naśladowca i współzawodnik Fra Bartolomeo, kilka obrazów stworzył w jego rodzaju; naostatek przejmując się Michałem Aniołem, potrafił go dosię-

gnąć, nie przestając być sobą. Ta zdumiewająca w nim wrażliwość, to przejmowanie się wszystkiemi przymioty, których czuł niedostatek, przebieżona przezeń droga ogromna czynią go w 37 r. zgonu, mistrzem niezrównanym i nieporównanie wielkim.

Niech nam tu wolno będzie uczynić uwagę, że gieniusz ludzki po tém się zawsze znamieniu poznaje. Jak cechą ludzkości jest powolny postęp, tak oznaką gieniuszu jest jego doskonalenie się. Mierność występuje cała sobą; mniéj więcéj zastanawiająca, mniéj lub więcéj pospolita, niekiedy jednostronnie uderzająca jakimś przymiotem, ale niemal na jednę strunę, gra całe życie pieśń jednę, nie bierze nic od świata, nie przerabia materyałów życia, nie opanowywa tego, co napotka. Przez nią jak przez ciało nieprzejrzyste żaden promień nie przechodzi. Pierwsze poezye Mickiewicza, drukowane w Tygodniku Wileńskim, są prawie śmieszne, nic w nich nie zwiastuje poety potężnego, lada... (lepiéj nie przywodzić nikogo) napisał od razu coś lepszego, ale nigdy téż po nad to pierwsze i ostatnie słowo się nie podniósł.

Wracamy do Rafaela i do N. Panny *di Foligno*. Cudna ta postać w obłoku z dziecięciem, które utrzymuje za pasek ze wdziękiem... ale czy pewnie to Matka Boża? Czy Madonna *del Verde* nie jest nią bardziéj?

Za to postacie pierwszego planu są arcydziełami; szczególniéj św. Franciszek, który w zachwycie leci ku niebu, w którym czuć wielką świętość i uniesienie nieziemskie. Donataryusz jest także portretem wybornym i tu on stanowi, swą czysto ludzką twarzą, potrzebną sprzeczność dwóch światów. Jest to obraz z r. 1512. Znać na nim, niestety, restauracyą!

Koronacya N. Panny, z 1505 r., jest jedném z mniéj znanych i mniéj udanych dzieł Rafaela; zaczęta przezeń, skończona była przez Giulio Romano w górze, przez *Il Fattore* od dołu. Może to jest na obrazie nawet widoczném.

Druga Koronacya, jedno z pierwszych dzieł Rafaela w stylu Perugina, sucha i ostra nieco, jest prześliczna. Obraz to jasny, miły, spokojny, przejęty świętością jakby Fra Angelico. Są tu jeszcze Rafaela monochromy (*Chiaroscuro*) trzy cnoty teologiczne, trzy figury z aniołami trzymającemi ich godła, godne mistrza rysunku szlachetnością i majestatem.

Arcydzieło Dominiquina *Komunia św. Hieronima* jest wistocie przepyszném malowaniem; równa się ona jego freskowi św. Sebastyana. Robota mistrzowska, potężna, wszystkie warunki kompozycyi, rysunku, kolorytu, światłocienia, a jednakże wielbiąc sztukę z tego obrazu napić się nie można ducha, który zeń płynąć powinien. Jako studyum dla malarza nic wyborniejszego znaleść

nie podobna, ale najpiękniejszy obraz, malowany na zimno, zimnym być musi.

Jest to rzecz obrachowana, ale nie natchniona—podoba się téż tym, którzy w obrazie szukają tylko malowania.

Krytyka, badając bliżéj historyą tego dzieła, znalazła w niém zbyt blizkie naśladowanie podobnéj sceny Augustyna Carracci, które prawie zarywa na plagiat. Znajdujemy w notatach naszych uwagę, że anioły w górze tak są cielesne i ciężkie, iż obawiać się można, aby nie pospadały; trafem toż samo postrzeżenie potwierdzają i inni krytycy, i my więc je zapisujemy.

Andrea Sacchi *Widzenie św. Romualda*, wielki obraz czyniący wrażenie, choć mdło i do zbytku miękko jest malowany, godzien wspomnienia obok mistrzów. Tajemnicą jego powodzenia jest oprócz ducha, jaki w niego wlał malarz, ta przyczyna, że artysta umiał się niezmiernie ograniczyć. Niéma tu nic tylko jedno brunatne tło pejzażu i białe suknie mnichów. Ta prostota pomysłu jest w nim największą sztuką. Cienie mnichów w dali idące w górę są poetycznie pomyślane. Nie jest to arcydzieło, ale znakomita kompozycya.

Poussin'a jest tu *Męczeństwo św. Erazma*, kompozycya wielka, pyszna, rysunku śmiałego, tonu ceglastego, kolorytu żadnego i zimna. Męczeństwo to dopełnia się urzędownie, poważnie, ani oburzenia, ani męczarni, ani litości nie dojrzysz na twarzach, które są pięknie i poprawnie narysowane, ale nie żyją. Święty znosi mękę jako święty, kaci ją zadają, jako oprawcy, patrzący przekonawszy się, że to nic nikogo nie kosztuje, rozgląda się w malowaniu, o św. Erazmie nie myśląc.

Znajduje się tu jeszcze *Chrystus* Corregia w niebiosach, ale temu malarzowi wszystko lepiéj przystało niż przedmioty święte; Michała Anioła Caravagio *Złożenie w grobie*, obraz przepysznie, ognisto i efektownie malowany, ale dziwnie brzydki realizmem powszednim postaci, arcydzieło Baroccio *Zachwycenie św. Michaliny z Pezaro*, wdzięczna *Koronacya Matki Boskiéj* Pinturrichio i Perugina piękne *Zmartwychwstanie Pańskie*. Słodki wszakże mistrz nasz dał uśpionym żołnierzom twarze łagodnych baranków, nie są to straszni stróże, śpią snem sprawiedliwych, do których są podobni. Oprócz tego ma tu Perugin popiersia świętych podobne do tych, które się w zakrystyi u kamedułów w Perugii, bardzo wspaniałe. Tycyana portret Doży weneckiego śliczny, ale tak pospolitéj twarzy, że z niéj typu nieśmiertelnego nie dobył nawet mistrz portretu.

Benozzo Gozzoli ma tu *Predellę* ze scenami z żywota naszego św. Jacka, godną rozpatrzenia baczniejszego, dla samych legend,

które przedstawia; Fra Angelico podobny żywot św. Mikołaja z Bari.

Otóż prawie wszystko, co galerya obrazów watykańska zawiera, mało ale wielkiego, krytyka możeby jeszcze stąd coś wyrzucić mogła, ale z pewnych względów, każdy obraz czémś zastanawia.

Poszliśmy stąd do pałacu Sciarra Colonna, jedynie dla widzenia obrazu Rafaela zwanego *Il Suonatore di violino.* Tak téż nas ten cudny portret zachwycił, żeśmy już na więcéj patrzéć nie chcieli. Jest to z niezmiernym wdziękiem narysowana głowa młodego mężczyzny, który trzyma w ręku smyczek i kilka kwiatów. Tu się nauczyć można, jak z pospolitego człowieka mistrz tworzył ideał; jak uszlachetnił, jak podniósł ten typ, który pewnie wcielony nie wyglądał tak, jak tu został odgadnięty. Każde oblicze ludzkie odnosi się do prototypu bożego, ale przychodzi na świat ucieleśnione ułomnie, namiętność i życie, boleść i rozkosze ścierają z niego pierwotne znamię, zadaniem artysty jest, jak zowią architekci, zrestaurować twarz, nie zmieniając jéj, nie odejmując jéj podobieństwa. Piękniejszego portretu nad Rafaelowskiego Skrzypka wyobrazić sobie trudno, chociaż są prawie mu równe między dziełami mistrza.

Leonarda da Vinci, wedle innych Luiniego, są dwie postacie allegoryczne, tak piękne, że i po Skrzypku wstrzymują; wyraz téj *Próżności* i *Skromności*, wykonanie obrazu, do najcelniejszych prac Leonarda zaliczyć je każą.

Miłośnicy Corregia wynoszą bardzo jego Ledę, musimy się przyznać, że nie zachwycamy się Corregiem wogóle, a osobliwie, kiedy przedmioty święte maluje. Leda wszakże ma wiele wdzięku, bo pojęta jest w sposób bardzo prosty, niby scena kąpielna dwojga pustych dziewcząteк. Szczególniéj Leda tak naturalnie odpędzająca łabędzie wielce miluchna. Obrazu tego powtórzeń i kopij krąży po świecie... bez miary, miał wiele szczęścia, a malowany jest téż pięknie.

Nadchodząca godzina zamknięcia zbioru, może i wrażenie Rafaelowskiego portretu już nam innych wielu ciekawości patrzéć nie dały; wyszliśmy, aby nie zatrzéć w sobie pamięci szczególniéj dwu pierwszych obrazów.

Część miasta, zwana Zatybrze (*Trastevere*) uchodzi dotąd za jednę z najcharakterystyczniejszych miasta dzielnic, w której lud zachował dawne cechy rzymskiego gminu; zalega ona część znaczną prawego brzegu Tybru, i rozściela się na dawnym Janikulu, aż do bramy San Spirito. Dla przypatrzenia się zatybrzańskim fizyognomiom udaliśmy się tam umyślnie. Nie wiem, może skutkiem

trafu, nie znaleźliśmy tu nic nadzwyczaj uderzającego. Zamieszkuje tu lud uboższy, któren przez sam niedostatek odosobniony jest od innych klas społeczeństwa, dzicéj też wygląda, straszniéj, a wszystkie zwykłe cechy małych miasteczek włoskich tu się powtarzają na większą skalę. Ulice są znakomicie brudne, zalegają je sklepiki, szynczki wody, kuchenki, rzemieślnicze warsztaty i, obyczajem włoskim, koczujące na chodnikach, często wpośrodku przejścia, całe rodziny, zajęte włosami swemi, łataniem odzieży i t. p. Dziko, to prawda, ale malowniczo wyglądają te łachmany, ci półnadzy, ogorzali ludzie, te porozwieszane chusty, powyrzucane pościele i wyrostki, które, poznawszy cudzoziemca, witają go... kamieniami. Mnie się szczęśliwie udało uniknąć cięższego razu, ale liść kapusty padł mi na kolana.

Nędza za Tybrem jest cynicznie widna i przykra, nosi się jednak hardo, na twarzach wyżółkłych nie widać prośby o miłosierdzie, tylko nienawiść do ciebie, żeś szczęśliwszy. Czujesz w tych odartych ludziach prawie nieprzyjaciół społeczności, chcących się pomścić za to na niéj, że ich opuściła.

Namiętność błyska w czarnych źrenicach tych ludzi, w których nędza wyrobiła gniewliwość zawsze do wybuchu gotową. Takiemi się nam wydały ulice, któreśmy przebywali powolnie, aż do *San Pietro in Montorio.*

Kościół ten stoi na placu, na którym, wedle podania miejscowego, św Piotr został ukrzyżowanym. Widok stąd na cały niemal Rzym bardzo rozległy i piękny, widać górę Kapitolińską, Forum, Bazylikę Konstantyna, Kolosseum, Palatyn i Monte Testaccio i Tybr płową wstęgą płynący i wille i ogrody, a pod stopami kopuły niezliczonych kościołów. Długośmy tu stali i patrzali na ten biedny Rzym, którego Włochy dziś tak pragną, jako klejnotu do swojéj korony.

Nie wchodzim w żadne polityczne rozprawy z tego powodu, ale spytamy tylko, jak z Rzymu zrobić *teraz* stolicę wielkiego państwa, dźwigającego się do nowego życia, nie niszcząc staréj Romy pogańskiéj i chrześcijańskiéj? Jako stolica państwa głowy kościoła, ten cmentarz doskonale odpowiada potrzebom, a co więcéj idei swéj przeszłości; przerobiony na gród żywy, handlowy, militarny, urzędowy, zmuszony się odnowić, przebudowywać, rozszerzać, wyświeżyć, byłby czémś całkiem inném, to pewna, że ani piękniejszém, ani właściwszym sobie. W téj sukni żałobnéj gruzów jest mu do twarzy.

Cywilizacya dzisiejsza, przy całém swém poszanowaniu wrzekomém przeszłości, jest okrutna, koléj żelazna nie przebacza po-

mnikom, handel śmieje się z pamiątek, przemysł rozpiera się w najstarszych murach bez zgryzot sumienia.

Proszę sobie wystawić drut telegrafu przeciągnięty i oczepiony o jakąś kolumnę w forum romanum, o ścianę Kolosseum, o ruinę termów—cały urok ich ginie. Włosi ze swą miłością dla Rzymu tak namiętną, sami nie wiedzą, czego chcą, zniszczyliby go dla dogodzenia pysze młodocianego królestwa. Rząd papieski niezbyt skwapliwy do reform, zachowawczy aż nadto, jest jedynym dla Rzymu, bo tu nawet śmiecisk rozrzucać nie bardzo bezpiecznie, żeby nie naruszyć jakiego historycznego szczątku. Młoda Italia czułaby się w prawie dźwignąć swą stolicę, a wówczas powstałby nowy Turyn bardzo porządny, ale-by Romy nie było.

Ludzie praktyczni mogą mieć nam za złe, że się powodujemy tak błahemi dla nich uwagami, ale któż obrachował kiedy, czy widok ruin i grobów nie jest dla ludzkości koniecznym i potrzebnym, czy zniszczywszy je, nie odjęłoby się człowiekowi zbawiennego pokarmu ducha? Dziś on potrzebny, a choćby najprodukcyjniejsze warzywo wyrosło na miejscu kośćmi użyznionóm, któż wie, czy i kości nie produkują? Z kości się rodzą mściciele, nie ludzi, ale idei sponiewieranych i prawd pogrzebionych.

S. Pietro in Montorio miał być początkowo zbudowany przez Konstantyna, w końcu XV w. Ferdynand i Izabella odbudowali go na nowo. Jest on dziś jeszcze raz odnowiony po zniszczeniu cząstkowém, któremu uległ w czasie oblężenia roku 1849 i utrzymany starannie. U wchodu jest malowanie na murze olejne z rysunku Michała Anioła, wykonane przez Sebastyana del Piombo, który nad niém sześć lat pracował. Przedmiotem jest biczowanie Chrystusa, dziś tak zczerniałe, że ledwo jest widocznóm. Pięknie rzeźbionych kilka grobowców, u drzwi w lewo sekretarza kardynała Bessariona z N. Panną w górze i dwoma świętemi w stylu della Robbia. W kapliczce pomniki z pięknemi popiersiami, aniołki przy marmurowéj balustradzie i dwie leżące figury w sposobie Michała Anioła, pięknego są efektu. W tym kościele znajdował się sławny obraz *Przemienienie* Rafaela, który Francuzi zabrali, odnowili, wyrestaurowali i chlubią się tém, że go zwrócili Watykanowi w lepszym daleko stanie, niż wzięli. Nie uniewinnia to zaboru.

W dziedzińcu, w samém miejscu, gdzie św. Piotr był ukrzyżowany (legenda mówi, że Neron się temu przypatrywał z wysokiéj wieży, która stała za *Ara Coeli*)—wzniesiono kapliczkę bardzo piękną, obwiedzioną kolumnami doryckiemi. Jest to arcydzieło Bramantego. W podziemnéj kaplicy, tam, gdzie miał być wbity krzyż, u otworu pali się lampa wiekuista... Ta nieprzerwana tra-

dycya miejsca, ta wiekowa pamięć dziejów przed tysiącem ośmiuset laty spełnionych, robi wielkie wrażenie; — epoki się zbliżają, stare dzieje uprzytomniają żywo.

Obok wznosi się przepyszny wodotrysk ogromny, dostarczający wody dla Zatybrza, zwany *Acqua Paola* (Paolina). Jest to dzieło Pawła V. Obficie bije fontanna o sześćdziesiąt kilka metrów nad Tybrem, i pięciu wspaniałemi kaskadami spada w dolne wyżłobienia. Jezioro Bracciano, Martignano i stary akwedukt Trajana, dostarczają wód pięknemu wodotryskowi i dzielnicy watykańskiéj. Mówiliśmy już o téj wielkiéj obfitości wody, którą Rzym przechodzi wszystkie inne miasta; jest to wspaniały zbytek, w części odziedziczony po starożytnych, częścią od nich przejęty.

Czuli oni niezbędną potrzebę obfitości wody zdrowéj do życia, szczególniéj dla ludu, na 310 lat przed erą naszą pierwszy wodociąg przywiódł tu wody Prenestu, w 482 sprowadzono część rzeki Anio. W Kampanii rzymskiéj stoją jeszcze wspaniałe łuki wodociągu Aqua Marcia i Aqua Tepula. Późniéj zbudowano akwedukt zwany A. Julia, A. Virgo, Augusta, Claudia i t. p. Niektóre z nich do dziś dnia ogromną ilość wód sprowadzają do Rzymu i trwają niezepsute, inne w gruzach już leżą. Obrachowano, że razem wzięta ilość wody, którą wodociągi do Rzymu zlewały, wyrównywała Sekwanie pod Paryżem. Kosztowne te dzieła Rzymian dają pojęcie o ich potędze.

Słońce się miało ku zachodowi, gdyśmy, skierowawszy się ku domowi, zapragnęli jeszcze rzucić okiem na Rzym z wyżyny *Monte Pincio*, ogrodu publicznego do przechadzki, położonego niedaleko od naszego mieszkania. Drogą powolnie wiodącą na górę, wśród posągów i wspaniałych przyozdobień dostaliśmy się do ogrodu, istotnie godnego Rzymu, urządzonego i utrzymanego prześlicznie. Z placu Hiszpańskiego wiodą doń wielkie wschody. Jest to najulubieńsza jeśli nie jedyna w Rzymie przechadzka, pełna krzewów kwiecistych, cienia drzew i ślicznie wśród zieloności wyglądających popiersi i posągów. Jest to dawne *Collis hortulorum*, tak jak dziś jest, wspaniale dokończone za Piusa VII. Widok stąd w jednę stronę na wielką część miasta, podobny do tego, jaki mamy z balkonu, ale daleko rozleglejszy, w drugą na willa Borghese się rozciąga. Dokoła widać gór pasma sine, bliżéj skupiony gród, pełen murów, dzwonnic i kopuł, których matką była Piotrowa. Tu i owdzie przegląda ruina starożytna, ale zdala gmachy nowsze osłaniają wszystkie niemal zabytki dawne. W prawo, od gór Sabiny płynie Tybr, zawracając się, kręcąc i ginąc w dali ku *Porto d'Anzio* na równinie, który widać pomiędzy Janiculusem a Awentynem... *Corso* ciągnie się linią długą od *Porta del popolo* aż prawie do Kapitolu. Z za niego

wygląda owa wieża, w podaniu zwana Neronową, z któréj miał on się przypatrywać męczeństwu św. Piotra. Widać pałac Kwirynalski, letnie mieszkanie papieża, masę murów około Kapitolu ciągnącą się nad Tybrem daleko i wzgórze watykańskie i kopułę św. Piotra na wieczorném niebie, zarysowującą się charakterystycznym profilem. Bliżéj kościołek Trinita del Monte, około którego mieszkamy, z jego obeliskiem i plac hiszpański.

Wszystko to razem stanowi wspaniałą panoramę, nad którą długo zadumać się można.

Ogród dnia tego był prawie pusty, lecz w święta i inną porę bywa bardzo ożywiony i ludny. W zimie zawsze tu zielono i prawie zawsze ciepło. Wracając, spotkaliśmy kolegium propagandy sznurem długim ciągnące na przechadzkę. Pomiędzy uczniami tego zakładu, który dostarcza apostołów i misyonarzy całemu światu, dziwnie wyglądał murzyn w sukni duchownéj, Chińczycy, Japończyk i inne plemiona, które z łatwością po rysach twarzy poznać było można.

Następnego dnia w niedzielę rano błądziłem trochę po Rzymie bez celu, zachodząc do kościołów i przypatrując się ludności; w téj przechadzce dwa razy przyszło mi drapać się na wschody do *Trinità del Monte* od placu hiszpańskiego prowadzące i chociaż zdala pięknie one wyglądają, ciężkie mi się zdały, gdy je liczyć przyszło, wstępując. Dzień to był otwarcia Museum Campana, dziś, gdy na dwie części rozdzielone i sprzedane zostało, lepiéj znanego, ale naówczas świeżo jeszcze przez rząd zabranego i tém ciekawszego, że się z nim łączyła tajemnicza historya jego właściciela Marchese Giovanni Pietro Campana. Poszliśmy więc przejrzéć nieco galeryę jego rzeźb i obrazów. Tego dnia jednak ani ogromny zbiór naczyń etruskich, ani starożytności wszelkiego rodzaju etruskie i rzymskie, nie były do widzenia, galerya tylko i niektóre posągi naprędce rozstawione w dosyć ciasném miejscu.

Mówiono już naówczas o projektowanéj sprzedaży całego zbioru jednemu z dworów północy, co się późniéj w części sprawdziło, resztę zakupił cesarz Napoleon do Paryża.

Szeptano nam dziwne plotki o właścicielu tych skarbów, który właśnie przed trzema dniami został osądzony za nadużycie zaufania i roztracenie funduszów *Mons pietatis*, kasy pożyczki dla ubogich (któréj był głównym zawiadowcą), na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia. Pięć milionów franków użył on ze skarbu powierzonego mu, na życie i na skupienie ogromnego muzeum, które rząd teraz zabrał, poszukując swéj własności. Nie zdaje się,

by na tém stracił. Galeryę pokazywano za pieniądze, zapłaciliśmy po dwa pawły od osoby.

Mieściła się ona w pokojach trzech piętr niezbyt obszernego stosunkowo domu, ale oprócz dolnego (starych zabytków malarstwa włoskiego z XI—XIV w.) obrazy, któreśmy widzieli, muszą chyba stanowić najmniéj cenną część tego przechwalonego zbioru. Marchese widać znał się niewiele, kupował hurtownie, chrzczono mu téż obrazy śmiało i poprawiano je haniebnie. W tém mnóstwie mierności i rzeczy pospolitych, naturalnie znalazło się téż wiele godnego widzenia. Pierwotnego malarstwa pomników była liczba wielka i w tych najciekawsze oglądaliśmy obrazy mistrzów mało znanych, dosyć autentyczne, bo stare, nie tak się łatwo fałszują, jak późniejsze.

Znaczna była bardzo ilość dzieł z XIII, XIV i XV w., między innemi i dla nas zajmujący wizerunek św. Jana Kapistrana, we trzy lata po jego śmierci malowany przez Vivariniego z Murano (1496?) wystawujący go w wieku podeszłym w habicie, z chorągwią w ręku, na któréj jest św. Franciszek z jednéj, krzyż czerwony w białém polu z drugiéj strony. Nad głową jest napis: *Chwała Bogu, przez którego zwyciężyliśmy.* Św. Jan, jak wiadomo, apostołował w Polsce, umarł w Węgrzech. Nie była to rzecz znakomita jako dzieło sztuki, ale portret prawie współczesny, z dawniejszego zapewne przemalowany. Spotkaliśmy tu także parę obrazów Francii, dwa niewielkie Peruginowskie dobrze zachowane i wielką jego kompozycyą podobną przedmiotem do *Navicelli.* Wystawia ona łódź z apostołami czasu burzy, Chrystusa idącego po wodzie i podającego rękę Piotrowi. Na łodzi apostołowie w strachu, zwątpieniu, podziwieniu, zapale, z różnemi uczuciami, dramatyczniéj, niż było w obyczaju Perugina, przedstawieni, jeden zakrywający sobie oczy... Znaleźliśmy ciekawy portret Danta i Beatrycy, Dant z twarzą surową i smętną jak we Florencyi, kaptur na głowie czerwony, suknia zwierzchnia czarna, z pod niéj rękawy czerwone drugiéj wychodzą. Było kilka obrazów Gozzoli, Memmi, Gaddi.

Bardzo zastanawiający był obraz św. Teresy, nazwany Zurbaranem, typ niewiasty po ziemsku roznamiętnionéj, z oczyma spłakanemi, z rękami złamanemi gwałtownie, twarzą bladą, ale z wyrazem niezmiernym ze szczęśliwie wybranego wzoru ujętym. Ta chwila zachwytu miłości prawie cielesnéj, ziemskiéj, niepohamowanéj, niespokojnéj, obudza więcéj politowania niż czci.

Było kilka pejzażów Claude Lorrain'a, które nie wiem czy w *Liber Veritatis* się znajdą, czystych, ciepłych, przejrzystych, ale konwencyonalnych; kilka Madonn kredziastych Sassoferrato, Lo-

renzo da Credi Chrystus jako ogrodnik, pokazujący się Magdalenie, ciekawy dobrze wystudyowanym z natury włoskiéj krajobrazem, szczególniéj w oddalonych planach. Z rzeźb niewiele było do oglądania, oprócz pięknych *terra cotta* della Robbia, jednego posągu klęczącego młodzieńca starożytnego i figury średniowiecznéj kobiety z jakiegoś grobowca.

Za to mnóstwo fabrykatów nowych i dowolnie ochrzczonych płócien, ale zbiór obfity bardzo liczebnie.

Po południu byliśmy u *Maria del Pascolo*, kościołku małym, ale ładnym; w ołtarzu wielkim obraz starożytny grecki wielkiéj piękności, którego kopia była w Żyrowicach, obraz błogosławionego Józafata Kuncewicza i grobowych kilka napisów, między innemi metropolity Korsaka. W kurytarzu domu należącego doń oznaczone jest miejsce, gdzie obraz cudowny wprzódy był umieszczony, stosownym napisem. Rzym wogóle obfituje w napisy, kładą je wszędzie, co jest dobrym do naśladowania obyczajem. Przekonano się tu jawnie o użyteczności napisów, które w samym Rzymie tyle objaśniają pamiątek.

Niecałe wprzódy obejrzawszy Forum, ruszyliśmy teraz do Bazyliki Konstantyna, któréj studya P. Nibby przywróciły właściwe nazwanie; uchodziła bowiem długo za świątynię Pokoju. Wspaniała ta ogromna ruina zalega jeden bok *Campo Vaccino*. Trzy jéj arkady stoją jeszcze, a na nich widne ślady rzeźbionych metopów, linie budowy dziwnie wspaniałe i wielkie. Podanie mówi, że ze sklepień tych Michał Anioł wziął formę przecięcia kopuły św. Piotra. Na ziemi, w gruzach i chwaście leżą przepyszne marmurowe kornisze, gzymsy i ułamki kolumn, przy murach zwalisk sterczą jeszcze kapitele ogromnych pilastrów... Na ziemi łatwo jest wziąć rozmiar tego gmachu, który miał trzysta stóp długości, dwieście szerokości, a blizko siedmdziesiąt był wysoki. Wnijście doń było od strony Kolosseum z małym portykiem.

Tuż obok jest starożytny kościołek, gdzie spoczywa ciało św. Franciszki Rzymskiéj (*Santa Francesca Romana*) budowa niewielka, ale dość piękna; nawa jedna, kaplice po bokach, wpośrodku grobowiec świętéj, a po obu jego stronach wschody wiodą do w. ołtarza. Stoi ona na gruzach starożytnéj świątyni Wenery i Rzymu, kopuła w sklepieniu nad w. ołtarzem jest okryta mozajką z IX wieku, wystawującą N. Pannę i czterech apostołów; ostrą, surową, ale archeologicznie ciekawą.

Na lewo od w. ołtarza są dwa piękne obrazy szkoły Perugina i Rafaela, dobrze zachowane wystawujące Madonny ze świętemi; w prawo grobowiec Grzegorza XI przez Olivieri z ładną płaskorzeźbą, wystawiającą powrót jego z Avinionu do Rzymu. W bocz-

nym ołtarzu z lewéj strony obraz stary, ś. Anna na kolanach trzymająca Maryą i Jezusa. Napis na kamieniu oznacza miejsce, w którém, wedle tradycyi, św. Piotr miał paść na kolana, prosząc o cud Boga dla zwycię̇żenia Szymona Maga. Strop nowszy złocony i kolorowany z dosyć udatnemi rzeźbami.

Minąwszy Kolosseum, które przy zachodzącém słońcu bardzo się wspaniale wydawało, napół oblane światłością, wpół zacienione, z piętrzącemi się arkadami i rozdartą ścianą, pojechaliśmy do jednéj z najstarszych bazylik na Eskwilinie, niedaleko termów Tytusa, do św. Klemensa.

Bazylika ta zajmuje szczególniéj doskonale zachowaném urządzeniem wewnętrzném, prawie niezmienioném od IV w., chociaż ją restaurowano w XVIII. Wspomina o niéj św. Hieronim w końcu IV w. Poprzedza ją według dawnego obyczaju *atrium*, podwórzec otoczony portykami; wewnątrz dzieli się na trzy nawy, z których jedna boczna obszerniejsza przeznaczoną była dla mężczyzn. Wpośrodku kościoła jest chór otoczony balustradą marmurową, po stronie ewangielii stoi kolumna z marmuru, służąca za kandelabr do paschalnéj świecy, po obu bokach dwie ambony. Przybytek od chóru oddziela marmurowa ścianka nizka i kilka stopni. Nad ołtarzem wznosi się *ciborium*, poza nim absyd, *presbiterium*, miejsce dla kapłanów. Jak u św. Ambrożego w Medyolanie, tu téż w półkolu, na środku, naprzeciw w. ołtarza jest siedzenie biskupie (*Cathedra*), podwyższenie na trzy stopnie. Całość ma w sobie wiele powagi i czyni wrażenie majestatyczne. Ciekawą jest mozajka z XIII w., wystawująca Ukrzyżowanie Chrystusa, krzyż cały siany gołębiami, u dołu tryska zeń źródło, z którego piją jelenie. Niżéj baranek otoczony nimbusem i dwanaście baranków dokoła, zwróconych ku niemu... Wiele do symboliki chrześcijańskiéj materyałów. Na starym fresku dwunastu apostołów nie czuć tradycyi, wszystkie twarze jednakie. U wnijścia Cyryl i Metody, pierwszy z nich tu pochowany, jak eśmy wspominali; grobu jego poszukują. Od głównego wnijścia z lewéj strony jest kaplica z freskami Masaccio, choć poprawionemi, ale jeszcze bardzo zastanawiającemi, szczególniéj *Ukrzyżowanie*. Jest to scena pojęta bardzo dramatycznie, krzyż otacza ciżba ludzi niezmierna, większa część na koniach; jednego rumaka malarz ośmielił się przedstawić widzianego wprost w zupełném skróceniu; nad krzyżem łotra, pod którym stoi rycerz zbrojny, straszny dyabeł czerwony. Równie piękny fresk z historyi św. Katarzyny, któréj typ pełen jest niewinności i wdzięku. Masaccio myślał, badał, chwytał naturę (tak z niéj żywcem wzięty jest ów człowiek, z wysiłkiem kręcący koło): mniéj

ideału, ale prawdy coraz więcéj, prawdy, która miała niestety skończyć się na zimnym realizmie.

Stąd udaliśmy się na ulicę *S. Giorgio in Velabro* do dość dobrze zachowanego łuku, a raczéj giełdy dawnéj, zwanéj *Janus Quadrifrons*, gdyż jest kwadratową. Tu się mieścili przekupnie pod arkadami w ozdobnéj otwartéj budowie, jakich wiele było w Rzymie. We wgłębieniach stały posągi, ściany okrywał marmur. Obok jest mały kościołek św. Jerzego. Minęliśmy téż starą krągłą świątynię, któréj cella służy dziś (podzielona na dwa piętra) za wnijście do kościoła św. Kozmasa i Damiana, wystawioną wedle podania w tém miejscu, gdzie wilczyca karmić miała Romula i Rema. Był zwyczaj pogański noszenia tu słabych dzieci, które późniéj święci patronowie przyjęli pod swoję opiekę; utrzymał się on do dziś dnia.

Tuż obok Janusowéj giełdy jest cale niebrzydki maleńki łuk wystawiony przez *Forum Boarium* kupców i złotników cesarzowi Septymowi Sewerowi, Julii Pii, Karakalli i Gecie. I tu imię Gety po zabiciu jego starte zostało. Zdaje się zawsze mordercom, że historyą zmuszą do milczenia, tu więcéj mówi imię, którego niéma, nad te, co pozostały. Rzeźby, już upadek sztuki objawiające, dosyć się nieźle zachowały. Jedną ścianą przypiera on do św. Jerzego.

W lewo zeszliśmy oglądać szczątek najdawniejszego pomniku w Rzymie *Cloaca Maxima*. Sięga on czasu królów i jest dziełem Tarkwiniusza Starego, ma więc półtrzecia tysiąca lat, a wieki nie nadwyrężyły go dotąd.

Kanał ten sklepiony od Forum szedł, plugastwa i nieczystości Rzymu odnosząc do Tybru. Łuk formują kamienie w trzy rzędy zasklepione, powiązane ogromnemi bryły, bez wapna. Agryppa oczyścić kazawszy to podziemie, na łodzi je całe przepłynął aż do ujścia w Tybr, między świątynią Westy a mostem Palatynu. Idzie się ku temu monumentowi ciasną i brudną, obwiedzioną murami uliczką, wśród zasklepień i spotyka naprzód wodotrysk, po za nim w ciasnym kątku, otoczonym wysokiemi ściany, widać wsiadły w ziemię zczerniały łuk kanału, do dziś dnia jeszcze oczyszczającego miasto... I tu mruczy mała fontanka. Zastaliśmy w tym, z przeproszeniem, bardzo niewonnym zakątku mnóstwo ludu—szyneczek wody, limonady i różnych napojów chłodzących, gdyż wino pije się tu tylko jako posiłek, a pijanych wcale nie widać. Ciężkie, wilgotne, zaduszające powietrze nie dozwalało pojąć, jak tu mogli ludzie siedziéć i chłodzić się w tym wyziewie zatrutym.

Oddawszy cześć należną dziełu Tarkwiniusza Starego, błądziliśmy bez celu po różnych Rzymu uliczkach, natrafiając na starożytne pomniki, to kolumny w mur wpuszczone, to gzymsów szczęty, to ściany, po których budowie poznać było można, że z rzymskich po-

chodziły czasów; tak zaszliśmy na placyk Montanara i trafiliśmy przypadkiem na śliczne reszty teatru Marcella.

Pozostały ze czterech jego piętr zaledwie dwóch ślady, zastanawiające pięknemi proporcyami swemi, które służą za wzór jońskiéj i doryckiéj kolumny. Teatr ten dziś zmieniony na kamienicę zamieszkaną przez nie wiem kogo, mieszczący na dole szyneczek Kampanelli, zbudowany został przez Augusta i poświęcony Marcellusowi. Znikły bez śladu otaczające go portyki, a gmach, co 20 do 30 tysięcy widzów mógł objąć, rozkruszył się powoli na małe izdebki i kamienice. Niemcy szyneczek Kampanelli zowią knajpą Goethego, musi być zapewnie przywiązane doń jakieś podanie, aleśmy w notatach poety odszukać nie umieli śladu przyczyn tego nazwania. Goethe w czasie pobytu w Rzymie tak był zajęty sztuką starożytną, swoją Ifigenią, Tischbeina rysunkami i piękną Medyolanką, że nie wiem, czy owe cudne proporcye przez Witruwiusza zachwalone, miał czas tak podziwiać, jak Minerwę w Assyżu.

Na dole, oprócz szynczku, w którym dobre wino Genzano sprzedają, znaleźliśmy kuźnie, w środku z gruzów teatru nowe stanęły budowy.

Szliśmy na Ghetto; będąc już w dzielnicy, która go w sobie zamyka (*Sant' Angelo*) chcieliśmy spojrzéć na ten zabytek średniowieczny. Nie potrzebujemy tłómaczyć, co znaczy *Ghetto*, jest to osobna część miasta, wyłącznie dla żydów przeznaczona, jak po innych starych miastach Europy bywało.... W średnich wiekach ludzie się chętnie, nie bacząc na braterstwo dzieci bożych, dzielili, odpychali, wyłączali i nękali wzajemną nienawiścią i wzgardą. Nie było nad to wyłączenie ze społeczeństwa lepszego sposobu uczynienia całego plemienia szkodliwém, nienawistném. Skutki tego okrutnego ostracyzmu, który psuje i upadla równie tego, co skazuje, jak tego, co cierpi, widzieliśmy na nieszczęśliwych żydach w naszym dopiero wieku dopuszczonych do praw ludzkich i obywatelskich. Jak piętna kajdan na długo wpijają się w ciało, tak skutki niewoli i odepchnięcie moralnie przez wieki noszą ludy wyłączone. Nie łatwo się otrząsnąć z tego egoizmu, do którego zmusza prześladowanie i odosobnienie, niesprawiedliwość i bezprawie. To téż żydzi po dziś dzień zachowali w sobie coś z téj natury, jaką im narzuciło długie tysiącletnie prześladowanie. Wieków potrzeba, aby ślady wiekowe się zatarły; społeczność może dziś cierpiéć od nich, jak niegdyś oni od niéj cierpieli, ale czas zagładzi złego ślady, ufajmy. W Rzymie położenie żydów w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zaraz ciężkiém się stało, późniéj coraz boleśniejszém, stolica wiary wysadzała się na nękanie tak zwanych jéj nieprzyjaciół. Osiedli tu od bardzo dawna i w znacznéj liczbie, nie mogli oni opuścić Rzymu, choć położenie

ich było do nie zniesienia. Ale czegóż się nie cierpi, aby nie opuścić dachu, pod którym stała nasza kolebka, ziemi, na któréj są ojców groby!... Średniowieczne męczeństwo żydów usprawiedliwia według nas ten charakter, jaki im zawsze wyrzucano; nie krew, nie plemię, ale sam świat uczynił ich tém, czém byli. Żyd był zawsze na łasce społeczności, po za prawami, które służyły innym ludziom, mógłże być tego społeczeństwa obywatelem i do istniejącego przywiązać się porządku?

Ghetto, mimo łagodniejszych dziś rządów Piusa IX, którego izraelska gmina poważa i kocha (sprawili przepyszną illuminacyą powracającemu do Rzymu papieżowi w r. 1857) ma jeszcze starą swą fizyognomią. Bogate, zamożne, handlowe, wydaje się na pozór brudném i opuszczoném, stary to nałóg tajenia się z zamożnością, która narażała na zdzierstwa. Chociaż to była niedziela, żydzi w Ghetto pracowali. Typ twarzy nie wydał się nam wschodni, ani bardzo wybitny, strój się nie różnił od pospolitego ludu. Nic zresztą téj części miast nie nadawało odrębnego charakteru; może pod łachmanami i brudem przeglądała nieco większa zamożność.

Wiadomo, że odwiecznym zwyczajem karnawał rzymski odbywa się kosztem gminy żydowskiéj, na rozpoczęcie jego deputacya niesie na kapitol daninę roczną i bukiet kwiatów. Dawniéj odbierający je urzędnik, oddającego w pokorze, wedle obyczaju, uderzał nogą, dziś tę ceremonię zarzucono. Rząd toleruje dwie bóżnice i nie prześladuje żydów, ale do jednego z kościołów raz w rok obowiązani są pójść na kazanie, jest to próba nawrócenia, po odbytéj ceremonii żydzi idą do synagogi jak przedtém i cały rok są spokojni.

Odbywając tę przechadzkę po mieście, trafiliśmy na jednę z najpiękniejszych ruin Rzymu pod względem malowniczym, chociaż nadzwyczaj uszkodzoną i ułomkową, składającą się z pary kolumn (*Via Alessandrina piazza Colonnale)*, resztki portyku i fryzy, na któréj widać jeszcze Pallas... Cudowne kształty tych reszt, w których wnętrzu mieści się dziś piekarz, zdumiewają, chociaż kolumny w dwóch trzecich częściach są w ziemię zasunięte. Starożytnicy z powodu postaci na fryzie zowią ten złom muru świątynią Minerwy, inni świątynią Nerwy, forum Nerwy, łaźnią Kajusa i cezara Lucyusza, świątynią Herkulesa. Sądzą, że budowa pochodzi z czasów Galliana. Kopiąc w tém miejscu znaleziono posągi Eskulapa, Pomony, Adonisa, Wenery, Fauna, Herkulesa, Antynousa. W r. 1828 opadło sklepienie, mury podtrzymano od ostatecznego zniszczenia. Trudno jest wyrazić, jak dziwnie pięknie wyglądają te dwie korynckie kolumny, jakby wyrosłe z ziemi i podtrzymujące wspaniałą fryzę... któréj kształty myśl zmuszoną jest dopełnić. Rzadko całkowita ludzka budowa jest dla malarza tak piękną, jak zgruchotane jéj szczątki...

śmierć dodaje im uroku, łamie linie jednostajne, ściera zbytnią regularność kształtów.

Niedaleko stąd jest ślad wspaniałego niegdyś, najwspanialszego może Forum, Trajana, odkopane reszty kolumn granitowych potłuczonych, gzymsów i t. p. starannie ustawiono w zagłębieniu, które dziś ma w sobie coś cmentarnego, sławna kolumna Trajana sama jedna wznosi się na tém pobojowisku. Forum to mieściło w sobie sławną bibliotekę Ulpianów, dwie sale, greck ą i łacińską, z których księgi późniéj przeniesiono do termów Dyoklecyana.

Kolumna Trajana, jako dzieło sztuki i jako pomnik historyczny należy do najdroższych zabytków, jakie Rzym posiada. Jest zbudowaną z marmuru białego kararyjskiego, którego dwadzieścia i trzy bryły liczy się do kapitelu, jedną sztuką pokrywającego prześliczny ten monument. Dokoła wije się wstęgą rzeźba przedstawująca wyprawę Trajana przeciw Dakom; z niezliczonemi szczegółami dla starożytnika, historyka, dla artysty nawet jako nauka stylu.

Dwa tysiące kilkaset postaci naliczono na téj rzeźbie, w któréj ubiory, wojenny przybór, rynsztunki,—stroje kraju podbitego, tysiące szczegółów się uchowało, dla nas także mających wagę, gdyż dackie odzieże przypominają zupełnie do dziś dnia zachowujące się u ludu na Rusi. Studyum nad kolumną Trajana zbogaciło niejednym szczegółem rzymskie starożytności, mówią, że Rafael korzystał z niéj dla przejęcia się duchem kompozycyi historycznéj starożytnych.

Popioły Trajana spoczęły pod tym monumentem, a posąg jego zdobił wierzchołek kolumny, na miejscu tém późniéj Sykstus V umieścił statuę Piotra św. Całe forum Trajana jeszcze w r. 600 zachowywało się mimo najazdu barbarzyńców; nie wiadomo prawie, jak upadło i zniszczało. W r. 1812 około odkopania prace przedsięwzięli Francuzi, którym Rzym wiele podobnych jest winien.

Oglądaliśmy także szczątki świątyni Marsa mściciela i przyszliśmy do wodotrysku zwanego fontanna *Trevi*, najwspanialszego w Rzymie. Plac, na którym się ona znajduje, ledwie tę ogromną machinę pomieścić może, pomysł dekoracyjny, szumny, wielki, wykonany zamaszysto, ale niesmakownie. Całą ścianę pałacu Conti (Poli) zajmuje główne czoło wodotrysku, masą wody rozlewającego się wśród skał i posągów. Króluje Neptun na wozie końmi morskiemi ciągnionym. Ale pominąwszy styl budowy *aqua Vergine* wśród spieczonego miasta robi nadzwyczaj miłe wrażenie, ten szum, świeżość jéj, ta obfitość orzeźwia. Zawsze téż pełno tu i tych, co limonadę z niéj sprzedają i dzieci i kobiet; Włosi, którzy wogóle albo się nie umywają, lub aktu tego dopełniają tylko w dnie uroczyste, piją za to wody niezmiernie wiele.

Muszą oni rozumować, jak ten skąpiec, który w piecu nie palił, znajdując, że nazajutrz wystyga, i nie umywają się, postrzegłszy, iż wprędce znowu się zabrudzą, to pewna, że mniéj dbałego o czystość narodu znaléźć trudno. Piękne panie włoskie twarze miewają białe, ale rączki zawsze dość zaniedbane, to staranie o ręce, które znamionuje, wprawdzie nieco zniewieściałą, ale wyższą cywilizacyą i poczucie własnéj godności, tu jeszcze nie istnieje. Najarystokratyczniejsze piękności wolą włożyć rękawiczki, niżeli się umyć; cóż dopiero mówić o ludzie! W jednym z obrazów Gallait'a zachował malarz ten charakterystyczny rys, pięknéj albańskiéj niewieście dając czarne i zabrukane ręce, jakie miała w naturze. A ręce przecież tyle przynajmniéj mówią, co twarz człowieka i chiromancya nie jest próżną nauką...

Aleśmy daleko odbiegli od wodotrysku Trevi, koło którego wieczorem miło jest stanąć, aby się ludowi rzymskiemu przypatrywać. Błąkaliśmy się téż długo tutaj, zbierając wzory i typy i przeglądając maleńkie książeczki, sprzedawane dla zabawy ludu. Jak w Neapolu, tak tu dużo się tych broszurek i piosenek rozchodzi, sprzedają je po ulicach, ale cenzura rzymska jest pilną i strzeże, aby się rewolucyjny kąkol nie wkradł między niewinne poezyi kwiaty. Poemata zwykle arkuszowe, na bibule odbijane, są różnéj treści, żartobliwe i nieco tłuste, pobożne i budujące, naostatek historyczne. Między innemi znaleźliśmy tu w poufałym stylu skreśloną Sobiesciadę arkuszową, opiewającą zwycięstwo Jana III nad niewiernemi.

Kosztowała ona bajoka, kupiliśmy ją skwapliwie, kto wie, jak się podobne wydania z wieku w wiek powtarzają, gdy wyczerpną, może być pewnym, iż ten poemat, oryginalny *desinvolturą* swą, jest współczesnym. Swieżo zapewnie po zwycięstwie tém głośném na całe chrześcijaństwo, musiano puścić między lud owe wiersze, które się dotąd jeszcze sprzedają. Język rubaszny, wyrażenia pospolite, talentu pasz, ale namiętnie i gorąco opiewa autor wiktoryą Jana i Turkom nałajał jak się patrzy. Obok Sobiesciady, wierszydeł różnych nakupiliśmy tego rodzaju, boć ta literatura uliczna godną jest, aby ją bliżéj poznać, karmi się nią lud pospolity prawie wyłącznie.

26*

XVI.

Goethe pasterzem Arkadyjskim.—Dziennikarstwo w Rzymie.—Św. Stanisława kościół i szpital.—Muzeum kapitolu.—Obrazy.—*Gladyator umierający*. — Posągi.—Rzeźby.—*Ara coeli*.—*Il Bambino*.—Muzeum Lateraneńskie.—Katakumby.—Napisy w katakumbach.—Ich charakter.—Zabytki w muzeum.—Muzeum Gregoryańskie.—Willa Massimi i freski nowe. — Rodzina Massimi. — Życie nasze w Rzymie.—Wieczory.—Piramida Cestyusza.—Mury Rzymu.—Bazylika św. Pawła.—Droga Apijska.—Jej pomniki. — Kościół św. Sebastyana. — Katakumby pierwsze.—Historya katakumb.— *Arenaria*. — Chrześcijanie pierwsi. — Widok wnętrza katakumb.—Co w nich znajdują, stan teraźniejszy. — Budowa. — Kaplice i groby.—Stan katakumb św. Sebastyana. — U św. Agnieszki. — Kościół i fresk Galliardego.—Św. Konstancya.—Katakubmy św. Agnieszki. — Malowania w katakumbach.—Kościół św. Piotra.—Budowa. — Wielkość jego. — *Navicella*.—Wnętrze.—Podziemie.—Michał Anioł.—Jego *Pietà*. — X. A. Theiner. — Biblioteka i muzea w Watykanie. — Zabytki chrześcijańskie. — Wesele Aldobrandyńskie.—Katakumby św. Kaliksta.—Ich fizyognomia.—Chrześcijanie.—Stroje wieśniaków z okolic. — *Stanze Rafaela*. — Kapliczka św. Wawrzyńca Fra Angelico. — Loże Rafaela. Rafael i Michał Anioł. Sykstyna. Sąd ostateczny. Sklepienie. Prorocy i Sybille. Michał Anioł. Muzeum, rzeźby i celniejsze dzieła. Tors. Laokoon. Apollo. Sala Zwierząt. Krajobraz u starożytnych. Zabytki rzeźby. Pius IX. Willa Ludovisi. Gall. Juno. Jowisz. Aurora Guercina.—*Columbaria* dworu Augusta.—Scypionów groby.—Francuzi. *Porta Latina*.—Św. Jan w oleju.—Kardynałowie. — Dom Rienziego. — S. Maria in Cosmedia.—Obraz grecki z IX wieku.

Gdy Goethe w r. 1788 powtórnie był w Rzymie, zajęty więcéj sobą, sztuką i Ifigenią swą, niżeli wiekuistą stolicą, mimo ścisłego incognito, jakie dla świętego zachowywał spokoju, nie wypuszczono go, nie oblókłszy dostojnością członka pasterskiéj akademii Arkadów.

Wspominając o tym wypadku w swoim dzienniku i przywodząc całkowity dyplom, którym zaszczycony został *erudito Signor de Goethe Consigliere attuale di Stato* pod imieniem przybraném *Megalio*; poeta mówi o akademii Arkadów, stworzonéj dla oczyszczenia smaku i zabawiającéj się w czytanie poezyi i prozy. Na tych posiedzeniach Arkadów i Kwirytów, do dziś dnia jeszcze trwają one niewinne wyścigi, improwizacye, mowy, elukubracye oklaskami okry-

wane. Nadaje to pewien pozór ruchu i żywota umysłowego spokojnemu Rzymowi, który do zbytku na literaturę nie choruje, bacząc wszakże, iż zupełne zaparcie się jéj byłoby wstydliwém, poświęca czasem parę godzin wieczornych téj rozrywce spokojnéj i umiarkowanéj. Arkadów akademia trwa tu od 1688 roku i żyć zapewne będzie jeszcze długo, bo tak wstrzemięźliwy żywot nie wyczerpuje.

„Ceremonia przyjęcia, pisze Goethe, odbyła się w sposób następujący: Przedstawiony zostałemw pierwszych salach przyzwoitego budynku, dostojnikowi duchownemu, i wskazano mi go, jako poręczyciela, czyli ojca chrzestnego."

„Weszliśmy potém do wielkiéj sali, już dosyć ożywionéj i usiedliśmy w pierwszym rzędzie krzeseł, wprost naprzeciw katedry, wzniesionéj wpośrodku. Słuchacze wciąż, coraz liczniejsi przybywali. Po prawéj ręce na krześle niezajętém usiadł piękny starzec, w którym po sukni i po uszanowaniu, z jakiém go witano, poznałem kardynała. Kustosz z wysokości katedry rozpoczął mowę wstępną ogólną; wezwał osób kilka, które czytały jedne wiersze, drugie prozę. Trwało to dość długo i kustosz znów miał mowę, którą pomijam, bo powtarzała to, co się znajduje w dyplomie, jaki mi wręczono, (przepisuję go tu cały); następnie obwołany zostałem członkiem towarzystwa, przyjęty i uznany z wielkiemi oklaskami."

„Mój ojciec chrzestny i ja wstaliśmy i dziękowali, nie szczędząc ukłonów. On powiedział mowę, dobrze obmyślaną, niedługą, bardzo zręczną, po któréj znowu zgodne nastąpiły oklaski. Wróciło milczenie, z chwili téj skorzystałem, aby każdemu z osobna podziękować i wywdzięczyć się grzecznością. Dyplom odebrałem nazajutrz."

Zdaje mi się, że co do literatury właściwéj, nad Arkadów i współzawodniczących z niemi Kwirytów, nad poezye propagandy i sonety w czasie kanonizacyi niewiele więcéj Rzym wydaje. Jest ona tu skromną sobie zabawą, oględnie używaną; szersze pole ma nauka, studya historyczne, i starożytnicze, którym się wielu poświęca. Książek oprócz ściśle naukowych niewiele wychodzi, ale w wydziale historyi to, co się wydaje, jest największéj wagi.

Zbytnia ruchliwość umysłowa wobec zasady zachowawczéj, którą naczelnik kościoła przedstawia, byłaby niemożliwą, zresztą Rzym i jego życie nie usposabiają do niéj.

W r. 1858, gdyśmy byli w Rzymie, następujące wychodziły tu dzienniki: *Giornale di Roma* urzędowy, *Civiltà Cattolica*, rodzaj przeglądu wydawanego przez OO. jezuitów, którego po świecie, jak mówią, ma się liczba egzemplarzy rozchodzić ogromna, znany dobrze choćby z tytułu tylko, *Arcadico*, dziennik literacki towarzystwa Arkadów, *Album*, pismo artystyczno-literackie, *Bulletino archeologico*

bardzo dobre i ciekawe pismo, *Efemeridi agrarie*, rodzaj gazety rolniczéj, *Eptacordo*, muzykalny dziennik, *Corrispondenza astronomica dello Sarpellini*, *Filodramatico*, teatralny, *Orfanello*, organ zakładów dobroczynnych, *Roczniki naukowe* (*Annali delle scienze*), *Varietà illustrate*, tygodnik obrazkowy i t. p. Zupełnie odrębnie położyć należy ważne pismo *Analecta Juris Pontificii*. Z dzienników właściwych dołączyć trzeba *Gazzeta di Roma*, *Vero amico del popolo*, *Gazetta delle strade ferrate*, *Giornali di arrivi e partanze*, i jedno pismo francuskie. Na literaturę peryodyczną Rzymu jest to bardzo dosyć, ale w tém wszystkiém tchu i życia był brak zupełny, obawa przekroczenia granicy zawsze je odejmuje. Pisać o ruchu umysłowym Rzymu byłoby prawie śmieszném, ledwie dać można wiadomość o objawach niezupełnego milczenia i odrętwienia.

To, co piszemy, nie jest bynajmniéj krytyką, jest uznaniem faktu, który mimo wypadków od r. 1858 zaszłych we Włoszech, nie zmienił swéj natury. Nie myślimy wyrokować, czy to powstrzymanie życia, czy swobodne otwarcie mu pola, jest lepszém.

Zrana poszliśmy na mszą (12 lipca) do św. Stanisława *dei Polacchi*, przy ulicy *delle Botteghe oscure*. Maleńki ten kościołek zdawna do Polski należał, przy nim był i jest do dziś dnia szpital dla pielgrzymów z Polski przybywających. Jest on w zawiadywaniu poselstwa rosyjskiego. Budowa mała o jednéj nawie, wewnątrz żółto na marmur pomalowana ze złotemi kapitelami pilastrów.

W wielkim ołtarzu są połączeni święci patronowie Polski, cztery boczne ołtarze poświęcone w prawo, św. Stanisławowi (Wskrzeszenie Piotrowina) i N. Panna Częstochowska, drugi św. Jan Kanty, trzeci św. Kazimierz i Stanisław Kostka, czwarty św. Jadwiga. Antepedya ołtarzów z herbami Polski (orły białe) i Junoszą Załuskich. Nagrobki, które mi się ponotować udało, oprócz kamienia pamiątkowego Anny Jagiellonki i herbów Hozyusza nad chórem (obok jest także korab) ks. Stan. Parczewskiego z r. 1830, ks. Jakóba Kłosowskiego, proboszcza św. Stanisława, który pewien fundusz na kościół zapisał, z r. 1684, Kazimierza Hłodowickiego z r. 1697, Franc. Zakrzewskiego krakowianina z roku 1712, Franc. Dalewskiego kanon. chełmskiego, bez daty, Andrzeja Radoszkowskiego z r. 1645, Teresy, córki ks. Henryka Lubomirskiego z ks. Czartoryskiéj z r. 1832 i Władysł. Marylskiego. W lewo jest grobowiec autora sławnéj kopii mozajkowéj Ceny Leonarda, która znajduje się u minorytów w Wiedniu, Rafaellego. Na stropie apoteoza św. Stanisława.

W skromnéj zakrystyi jest kilka obrazów Smuglewicza z historyi św. Stanisława, portret Stanisława Augusta, za którego kościół został odnowiony, i portret Hozyusza.

Obok przez podwórzec wchodzi się do szpitala dziś zupełnie pu-

stego, w nim, oprócz herbów polskich wiszą liczne portrety dobroczyńców tego domu, Sobieskiego, kilku kardynałów (między innemi Dönhoffa), osób mniéj znanych bez podpisów i dwóch kobiet, z których jednę niesłusznie podają za Jagiellonkę.

W głębi stoi olbrzymie popiersie cesarza Aleksandra I.

Po obejrzeniu kościoła poszliśmy z p. Postępskim ziomkiem naszym, artystą dawno zamieszkałym w Rzymie, do Muzeum kapitolińskiego.

Mówiliśmy już o kapitolu, stoi on na dosyć wyniosłém wzgórzu, na które wchodzi się pięknemi wschody, ozdobnemi w lwice egipskie, olbrzymie konie, Dyoskurów (znalezione w Ghetto w XVII w.), trofea rzymskie, Konstantyna i jego syna posągi z termów Konstantyna. Wszystko to dobrze przygotowuje do pamiątek zebranych na kapitolu; ukazuje się wreszcie wpośrodku placu bronzowy (złocisty miejscami) prześliczny konny posąg Marka Aureliusza. Cóż to za szlachetna postawa, jaki spokój i majestat, jaka potęga w téj postaci, jaka całość harmonijna, silna i spójna. Pojmuje się lepiéj Roma starożytna, wpatrzywszy w to jéj uosobienie. Jezdny ten posąg służył za wzór prawie wszystkim późniejszym konnym pomnikom, które daleko go nie doszły. W VI wieku złupił był Totyła tę złocistą pamiątkę, ale ją odebrał Belizaryusz i wrócił Rzymowi. W XVI wieku ustawiono posąg na kapitolu; oznacza on miejsce, na którém spalony został Arnold z Brescia.

Gmach nowy składa się z głównego korpusu i dwóch po bokach skrzydeł, rysunek jego dawał Michał Anioł, ale dokończony był późniéj i zapewne zmieniony; przyznają mu tylko dolną część budowy, wzniesioną w miejscu, gdzie było *tabularium* (tu się zachowywały tablice praw) i monumentalne wschody.

Ta część kapitolu zowie się pałacem Senatorskim. Boczne skrzydła noszą nazwę pałacu konserwatorów. Tu leżą dwa olbrzymie posągi starożytne Tybr i Nil z czasów Antoninów, nieco ciężkie, ale wspaniałe.

Weszliśmy naprzód na prawo do pałacu konserwatorów, już sam podwórzec jego jest rodzajem Muzeum. W głębi widać posąg Romy, a obok niéj, nie bez myśli, postawiono dwa z czarnego marmuru posągi dwu królów barbarzyńskich z rękami uciętemi, niewolników, z jakiegoś łuku zwycięskiego zdjętych zapewne. Tradycya mieć chce, że ich tak z poodrąbywanemi dłońmi oprowadzano bezsilnych za wozem zwycięsców... Są to postacie dzikie, sam czarny marmur mówi o pognębieniu ich, twarze chmurne, stroje niby naszych krajów północnych, rzeźbiarz nadał im wiele wyrazu i charakteru. *Vae victis!* pogańskie brzmi nad ich głową, ręce krew sączą, a czoło nie pozbyło się dumy ludzkiéj, źle mówię, uczucia godności człowieka.

Dokoła w podwórzu same olbrzymów kawały, okruchy tych kolosalnych posągów, które kolosalne pochlebstwo wznosiło cezarom w ostatnich czasach, Neronom i Heliogabalom. Leżą tu ręce i nogi tych potworów, niektóre prześlicznéj roboty. Jeśli co uderza w tych szczątach to ich zniszczenie, od którego nie obroniła wielkość ludzka i kamienna. Spoczywa tak u ściany głowa trochę ostro wykonana Domicyana, i szare nogi jakiéjś statuy nieznanéj. Po wschodach wchodzimy na górę, wciąż zatrzymując się u wmurowanych w ściany napisów, płaskorzeźb, tablic. Tu historya Kurcyusza, tam dzieje Marka Aureliusza z jego łuku tryumfalnego.

Siedm sal wielkich składa apartament konserwatorów, pełne pamiątek starego Rzymu, ale senatorowie dzisiejsi na kapitolu z kurulskich krzeseł przesiedli się na elastyczne fotele; na teraźniejszość nie trzeba patrzéć, rozczarowuje.

Freski sal, z których najlepsze są Kawaliera d'Arpino, z figurami, pożyczanemi od świata stworzonego przez Rafaela, nie zmęczą odwiedzającego, może na nie nie patrzéć. Są tu napisy pamiątkowe, przypominające bytność Maryi Kazimiery, żony Jana Sobieskiego, i Fryderyka Chrystyana syna Augustowego.

Rzeźby są obfite i przepyszne. Oto na słupie sławna wilczyca (z dorobionemi Romulem i Remem) bronz ten sam, jak twierdzą, o którym wspomina Cycero w Katylinaryach. Prześliczny także, znany z mnóstwa powtórzeń, bronz wystawujący pastuszka, wyjmującego cierń z nogi. Kształty młodzieńcze rzadko który mistrz starożytny pochwycił z taką czystością myśli.

Oto odłamki tablic konsularnych, Meduza Berniniego, przypominająca florencką Leonarda, ale z twarzą pofałdowaną, jak Bernini wszystko fałdować lubił. W kapliczce święta familia Giulio Romano i piękna Madonna Pinturricchio. Przebiegłszy pokoje konserwatorów, w których umyślnie pomijamy mnóstwo rzeczy, bobyśmy ich wyliczeniem nic nie nauczyli nikogo, wchodzimy do Pinakoteki, szczupłéj, założonéj przez Benedykta XIV i do dziś niewiele zbogaconéj.

Pomimo arcydzieł malarstwa, jakie w sobie zawiera, Rzym nie jest stolicą malarstwa, króluje tu wszędzie, jak królowała niegdyś, rzeźba. Jak Florencya ma świat obrazów, tak Rzym las posągów, głównie zaś marmurów. W Neapolu trzeba się uczyć bronzów i ceramiki starożytnéj. Bogactwa rzeźby rzymskiego opowiedziéć nie podobna, nie można go z niczém porównywać, bo nie sama ilość zdumiewa, ale dobór dzieł Grecyi i Rzymu, ze wszystkich epok od eginetycznéj rzeźby, aż do monumentu epoki pierwotnéj chrześcijańskiéj. Wszystkie style, formy, pojęcia piękna, wszystkie fazy historyi sztuki znajdzie tu badacz... człowieka, bóstwo i zwierzę, po-

czwarę i ideał. Kto nie widział zbiorów rzymskich rzeźby, ten nigdy powiedzieć nie może, by znał historyę sztuki starożytnéj, choćby najpilniéj zwiedzał najbogatsze europejskie muzea... Stami stąd wywożono niegdyś rzeźby, pozostały ich tysiące, a każdy miesiąc, dzień prawie coś do tych olbrzymich zbiorów przynosi nowego.

Niéma w Pinakotece ani jednego zbyt uderzającego obrazu, któryby sprowadzał miłośników i zatrzymywał tłumy znawców i profanów jak Przemienienie lub M. Boska di Foligno, ale jest kilka dzieł godnych widzenia, do tych liczymy Garofalo, św. Łucyą i św. Familią, portret Belliniego, dwóch jego świętych acz zbyt świeżo odnowionych, Poussin'a Tryumf Flory w rodzaju Albana, Madonnę Francii, wielki obraz Guercina, który służył za wzór do wykonania św. Piotra mozaiki, Perugina dwóch aniołów, portret Michała Anioła przez niego samego (?), parę obrazów Botticellego i t. d.

Jest tu Veronezyusza mało różne powtórzenie Porwania Europy, które właśnie kopiował p. Postępski, ale co do kolorytu znacznie mniéj świetne, niż weneckie w pałacu dożów, zczerniałe i odnawiane. Jednym z najpiękniejszych obrazów jest wielka Piotra z Kortony, Porażka Daryusza, kompozycya znakomita, pełna życia i ruchu.

Wybór rzeźb przewyższa o wiele skromny zbiorek obrazów, jest przepyszny, obfity i ma dzieła pierwszorzędnéj wartości. Mieści się on w salach i korytarzach, i składa z sarkofagów, urn, posągów, napisów, popiersi, bronzów i marmurów, prawie wszystkich bardzo pięknych. Popiersi dużo kopiowanych z dobrych wzorów i ciekawych jako studya z natury. Weszliśmy do sal odrazu przez tę, która zawiera arcydzieła i stanęliśmy zdumieni, przejęci przy *Gladyatorze.*

Gallus to, czy Dak czy Scyta, nie wiem, dzisiejzi znawcy porównywając go z figurą na sarkofagu (kapitol. sala sarkofagu) mienią Gallem; to pewna, że jest arcydziełem.

Wśród marmurów, wśród posągów, wśród umarłego świata, on jeden zdaje się żyć.

Któż nie zna, choć z kopij niedostatecznych, Umierającego Gladyatora? Ośliznęła mu się noga, padł, oparł się ręką o ziemię, głowę zwiesił na piersi, krew z rany wycieka powoli. Cóż to za głowa? co za wyraz jéj? jaki ruch, jakie arcydzieło wykonania, jaka tęsknota rozlana w tym marmurze ożywionym przez artystę, aby konał przez wieki! Czytasz ten dramat cały, w którym zwyciężony został zwycięscą... to chrześcijanin, widać po rezygnacyi, z jaką umiera, to jeden z tych nieśmiertelnych żołnierzy idei, który krwią polewa przyszłość. Grozą, strachem i litością przejmuje ta postać, nad którą więcéj już żadnéj nie widzisz, choć ją otaczają arcydzieła, przy wy-

razie téj cichéj boleści, którą męczeństwem nazwać można, bogowie pogańscy, bohaterowie i cezary uśmiechający się, dumni, nic ci nie mówią.

Dzieło to szkoły pergamskiéj pochodzi z willa Ludovisi i może być z pierwszego wieku po Chrystusie. Obok niego Pandora, Aryadna, Amazonka wspaniała z naczyniem w ręku, Westalka cała zakwefiona, flora i Antynous prześliczny, pełne wdzięku dziewczę z gołąbkiem... znikają.

Opisać zresztą wspaniałych rzeźb kapitolu niepodobna, musimy się ograniczyć wzmianką o arcydziełach. Do nich należy Wenus, zwana kapitolińską, doskonale dochowana, bo ją znaleziono zamurowaną w Suburra. Dzieło to przedziwne szczególniéj piersi, tors, ręce, plecy i niższa część ciała do kolan, nogi możemniéj wytwornych kształtów. Wystawia ona kobietę w pełni życia, siły i piękności. Dziwna rzecz, iż starożytni dziewictwa prawie wyrazić nie umieli, dzieci ich nawet już wyglądają na dorosłych człowieczków, startą mają z czoła niewinność, a zasianą lubieżność. Ta Wenus jest czystą jeszcze, ale wszystkiego, co nieczyste, świadomą, jest to bóstwo, które się nie wstydzi niczego, ale i nie pragnie nic. Obok Amor i Psyche, marmur niezbyt wykończony, ale grupa wielkiego wdzięku, może powtórzenie daleko lepszéj, i Leda wcale nie uderzająca, profil nie piękny i bez wyrazu.

Oprócz tych głębiéj wrażają się w pamięć stara Sybilla, postać pełna naturalności, w korytarzu posąg kobiety siedzącéj, spartéj na ręku, prześliczny, z gruba tylko obrobiony, lecz z życiem ogromném; siedząca Agrypina, Faun z czerwonego marmuru (*rosso antico*) z willa Adryana i wielki zbiór popiersi cezarów i ludzi sławnych. Między temi zaleca się biust modelowany wybornie mężczyzny, okryty draperyą z czerwonego marmuru, głowa przepyszna.

Na ścianach przy wschodach są plany Rzymu ryte na marmurowych tablicach ze świątyni Remusa w Forum, stoi tu wielki sarkofag przy *Porta San Giovanni* znaleziony, płaskie rzeźby z historyą Achillesa, mozajki sławne (dwa gołębie pijące z naczynia) dwie maski i t. d. Male fragmenta malowań ściennych dziś po znalezieniu wielkiéj ilości w Pompei mniéj uwagi zwracają.

Muzeum to, którego piękności słabe dać mogliśmy wyobrażenie, dzieli się na salę napisów, od Tyberyusza do Teodozyusza i salę sarkofagu (bitwa z Gallami), salę bronzów, salę cezarów, filozofów, salon główny, salę Fauna i gladyatora. Wenus kapitolińska, Amor i Psyche, Leda z łabędziem należą do osobnego gabinetu nie dla wszystkich i nie zawsze otwartego.

Odpocząć poszliśmy do kościoła N. Panny *in ara coeli*, wystawionėm na miejscu, w którém stała świątynia Jowisza kapitolińskie-

go. Mówią, że Gibbon rozmyślając o tej przemianie gmachu najwspanialszego staréj Romy na ubogi kościołek bernardynów, powziął tu myśl napisania historyi państwa rzymskiego. Było to w roku 1764, właśnie sto lat temu, gdy i nasz rozpoczynał się upadek. Do kościoła wiodą szerokie wschody, dzieli się ona kolumnami starożytnemi z granitu egipskiego i nie jednakowemi na trzy nawy. Jedna z tych kolumn przedziurawiona, nosi napis: *A cubiculo Augustorum*; pochodzić ona może z pałacu cezarów.

Stoi tu sarkofag starożytny, porfirowy, służący za ołtarz w miejscu, gdzie według podania, August, któremu Sybilla zwiastowała przyjście na świat Syna Bożego, wystawił ołtarz pierworodnemu Bogu (*Ara primogeniti Dei*). Sarkofag ten zowią tu kustody grobem cesarzowéj Heleny.

W kościele zachowuje się kolorowana figurka dziecięcia Jezus, zwana *Il santissimo bambino.* Podanie mówi, że została wyrzeźbioną z drzewa ogrodu oliwnego przez jakiegoś mnicha, a w czasie jego snu, kolorowaną przez św. Łukasza. Jest ona w wielkiéj czci u Rzymian. Na Boże Narodzenie wystawują ją uroczyście w żłobku, a dzieci postrojone przychodzą odmawiać przed nią wiersze i mowy. *Andersen* w Improwizatorze wspomniał o téj uroczystości. Późniéj na zamknięcie obchodu, dawane bywa nią błogosławieństwo ludowi z ganku kościoła. Oprócz tego *Il Bambino* wożą do chorych dzieci w paradnym powozie, co klasztorowi znaczny dochód czyni. W szafie, w któréj figurka jest zamkniętą, klęczące są kolorowane posągi Józefa i Maryi; stroją Bambino wytwornie i okrywają mnóstwem drogich kamieni i klejnotów. Ciekawym pokazuje się przy świecach i z pewnym pobożnym obrzędem.

Kaplica z freskami Pinturricchio odnawianemi przez Cammuciniego, bardzo szczęśliwie, wystawia życie św. Bernarda. Wielka różnica stylu tych fresków od wspomnionych w Libraryi w Siennie, potwierdza udział Rafaela w kompozycyi ich, dowiedziony zresztą zachowanym rysunkiem. Freski *Ara Coeli* są inne, ale bardzo piękne. Sceny następujące: Obłóczyny św. Bernarda z Sienny, kazanie, widzenie Chrystusa i śmierć. Ostatnia się zwłaszcza odznacza. Święty spoczywa na marach, obok niego dwie poważne zakonnice, św. Klary, człek z ręką uschłą, baba, żebrak, jakiś magnat i mnóstwo ludu wybornie scharakteryzowanego. Na głównéj scenie Apoteoza św. Bernarda pomiędzy św. Antonim a Ludwikiem z Tuluzy umieszczonego. Freski te są największą kościoła ozdobą. Ściana przy oknie ucierpiała miejscami, figury są czarne od odnawiania.

Przygotowując się do oglądania katakumb, wprzód chcieliśmy widzieć z p. de Rossi formujące się Muzeum w Lateranie starożytności chrześcijańskich pierwszych wieków. Jest ono dziełem Piusa IX,

wykonaném przez Cavaliere de Rossi, o którego pracach już wspomnieliśmy. Od czasu naszéj bytności w Rzymie pierwszy szereg najstarszych napisów z katakumb zebranych, już przez niego wydany został. My oglądaliśmy właśnie rozpoczętą klasyfikacyą ich i z ust jego słyszeliśmy wykład zasad, na których się opiera. Oprócz znakomitéj erudycyi, pan de Rossi ma istotny talent badawczy, który mu do wyjaśnienia zabytków chrześcijańskich najstarszéj epoki wielce posłużył. Pomimo prac poprzedników jego, więcéj na tém polu zrobiono przypuszczeń, niż istotnych odkryć, on pierwszy położył gruntowne zasady dla oznaczenia chronologii napisów. Wyłożył je obszerniéj w przedmowie, która dzieło poprzedza. Napisy znalezione i wydane sięgają od 71 r. po Chrystusie do 410.

Materyałów do ich klasyfikacyi dostarczyła sama epigrafika grobowa, daty znajdujące się na niektórych kamieniach wskazały, jak należało inskrypcye bez dat oznaczać, porównanie charakterów języka dopełniło potrzebnych danych, na których oparł się pan Rossi.

Trudno jest zupełnie pochwalić myśl pierwszą ogołocenia katakumb z pamiątek, które w nich samych, na miejscach, gdzie położone zostały, nabierały większego, świętszego powiem, znaczenia; objaśniały się wzajemnie. Zniszczono w ten sposób pomnik jedyny w chrześcijaństwie, żywe świadectwo życia w pierwszych wiekach prześladowania. Lecz to ogołacanie podziemiów nie od dziś się poczęło, od końca XVI w. wynoszono stąd nietylko kości męczenników, ale wszelkie zabytki, które się tam znajdowały, mozajki, malowania, łzawnice, kamienie, część ich złożono wprzódy w szafach muzeum na Watykanie, wiele się rozproszyło, potrzeba więc było koniec położyć nieładowi i reszty ocalić. Tym końcem założone zostało Muzeum Lataraneńskie. Samo wnijście do katakumb, na które potrzeba teraz pozwolenia od propagandy, jest obwarowane jak najsrożéj, by nie posługiwało do frymarku zabytkami; katolicy obowiązują się *sub excommunicatione* (pod klątwą) ani okruszyny z grobu nie wynieść. Gdy szło o wypełnienie pokruszonych tablic i napisów, często jeden odkradziony marmuru kawałek mógł niepowetowaną uczynić szkodę.

Główną pracą p. de Rossi było zebranie i ułożenie napisów, oprócz tego głęboko badał symbolikę chrześcijańską pierwszych wieków, do któréj nowych i ciekawych danych dostarczyły katakumby.

Muzeum Lateraneńskie mieści się w pustym pałacu, który niegdyś zajmowali papieże, nim się do Awinionu wynieśli: pierwszym, który powziął myśl stworzenia jeszcze jednego zbioru w tych

murach, był Grzegorz XVI. Magazyny na Watykanie pełne stały posągów, których nie było gdzie mieścić, oddano na nie sale Lateraneńskie. Pius IX dołączył do tego chrześcijańskie zabytki oddzielone osobno; prawie wyłącznie pochodzące z katakumb. Napisy wmurowywano w ściany, podzieliwszy na różne kategorye, oznaczające np. stan, powołanie, rodzaj śmierci, dowodzące dogmatów i t. p.

Starania o zachowanie napisów w Rzymie sięgają czasów bardzo dawnych, w XV w. Papież Mikołaj V nakazał już był spisywanie epigrafiki chrześcijańskiéj pierwotnéj, następca jego Kalikst III zabronił niszczyć pamiątki tego rodzaju. Gdy Leon X-ty polecał budowę św. Piotra Rafaelowi, zastrzegł wyraźnie, by baczono pilnie, iżby stare napisy (*res lapidaria*) nie były nadwyrężone. Wszyscy papieże aż do Benedykta XIV też same powtarzali zakazy, ostatni zlecił Franc. Branchini zebrać o ile było można epigrafiki i takową w Watykańskiéj galeryi pomieścić. Jednakże czasy i okoliczności spełnienie téj myśli odwlokły aż do Piusa VI, za którego Gaetano Marini w części ją wykonał. Umieszczono tylko napisy wybrane i na szczególną uwagę zasługujące, bez żadnéj klasyfikacyi. Jest ich od 1200 do 1300; inne rozproszone zostały zachowane w kapitolu, Lateranie, po klasztorach, portykach, krużgankach i t. p. Zdaje się, że pan de Rossi miał sobie dozwoloném dopełnienie nowego zbioru Lateraneńskiego wszystkiemi, jakie gdzie mógł odszukać.

Napisy w katakumbach, o których nieco powiemy, aby już do tego przedmiotu nie wracać, nie na samych marmurowych tabliczkach pokrywających groby w ścianach, ryte były, wiele z nich stylem, drewnem na świeżéj glinie miękkiéj nakreślano. Większa ich część jest pisana po łacinie, inne po grecku, inne greckiemi głoskami po łacinie. Język bardzo często niepoprawny i omyłek dosyć. Co do wieku napisów, czasem głębsze ich położenie nawet w katakumbie służyć mogło za wskazówkę, do którego ze czterech wieków należały.

Chronologia cała obejmuje lat czterysta, a wśród tych, charaktery damazyjskiemi zwane, stanowią jakby kolumnę drożną do pokierowania się w badaniach.

Napisy katakumb różnią się od pogańskich naprzód wyrzuceniem formuły *Di Manes*, która bardzo rzadko się trafia i bezmyślnie tylko kładzioną była z nałogu, potém wyrazami końcowemi *in pace* (w pokoju), naostatek wyrażeniami oznaczającemi śmierć samę i modlitwami krótkiemi.

W nagrobkach pogan wyrażało się zawsze żal i oburzenie, w chrześcijańskich rezygnacya i poddanie się woli bożéj; nie znaj-

dują się téż tytuły ani urzędy, tylko proste określenie stanu i zatrudnienia. W pierwszych wiekach uważano za niegodne chrześcijanina chlubienie się jakąś ziemską dostojnością. Tak samo na grobowcach pogańskich niezmiernie często spotyka się określenie tyczące wielkiego podziału społeczeństwa rzymskiego na wolnych i niewolników, wymieniają one, czy zmarły był *servus* czy *libertus* (wyzwolony) i t. p. W chrześcijańskich grobowcach prawie niéma przykładu tego rozróżnienia; wskazuje to zaraz, jakie nowe prawo światu przyniosło chrześcijaństwo i jak rychło a ściśle ono wykonaném zostało.

Pisarz jeden angielski uczynił także postrzeżenie, iż często na grobowcach spotykają się u chrześcijan *alumni*. Tém imieniem oznaczano sieroty niewiadomych rodziców, które prawo rzymskie oddawało na własność tym, co je wychowywali; znać pierwsi chrześcijanie przez miłosierdzie i w sprawie rozszerzenia wiary, brali z chęci dzieci te do swych domów. *Alumnus* w nagrobku oznacza nieupokarzający stan, ale określa sieroctwo, nie mianują się oni *servi* ani *vernae*, tylko *alumni*.

Napisy wogóle są proste i krótkie, imię z dodatkiem, *spoczywa w pokoju, usnął w Bogu* i t. p. Tytuły i pochwały, jeźli są, odnoszą się nie do życia ziemskiego, ale do zasług i cnót chrześcijańskich. „Przyjaciel wszystkich, miłośnik ubogich (*Amicus omnium, amator pauperum*)“ albo „dusza łagodna i niewinna, młodzieniec niewinny, baranek boży, owieczka niewinna, gołąb bez żółci“ i t. p. (*Anima dulcis et innocens, parvulus innocens, Agnellus Dei, Agnella innocens, palumba sine felle*).

Styl i forma tych dawnych pomników nie są napuszone, ale poufałe, rzewne, serdeczne, natchnione cichym żalem, który nadzieja w Bogu osładza. Na jednym znajdujemy żale wdowy, która żyła z mężem przez lat kilkanaście: „*sine lesione animi*“ „*bez obrazy ducha*“, to jest bez waśni i sporu; dodaje, że miała z nim sześciu synów, z których czterech razem z nim są przed Panem (*secum habet ad Dominum*) i t. p. Są to żale i zwierzenia bez wymusu, bez żadnych wysileń retorycznych.

Z napisów katakumb poznaje się najlepiéj pierwotne społeczeństwo chrześcijańskie, podział jego na świeckich i duchownych, a wreszcie i hierarchią ówczesną. Wymienieni tu są: *Biskupi, księża, dyakoni, subdyakoni, akolici, egzorcyści* i *lektorowie*. Oprócz tego znajdujemy w napisach *notaryuszów*, pisarzy i *fossores* grabarzy. Pisarze (*notarii*) mieli zdaje się zlecone sobie zbieranie aktów tyczących się męczeństw i t. p.

Świeccy ludzie są oznaczani rozmaicie, a naprzód panny jako pobożne (*virgo devota*), jako służebnice boże (*ancilla Dei*), jako dzie-

wice, które ślub uczyniły; niewiasty, jako wdowy boże (*matrona vidua Dei*), lub wdowy, które w niczém nie obraziły kościoła (*vidua, quae Ecclesiam nihil gravavit*), jako wdowy po jednym mężu (*univira*).

Świeżo nawróceni, *neofici*, *illuminaci* i *katechumeni*, oznaczeni są także na grobowcach. Na napisach są téż dowody, że katakumby wogóle zwały się cmentarzami, że pojedyńcze ich izby, zwano *cubicula*, jakoby *łożnice*, bo w nich leżeli umarli, a w grobach ciała składano czasowo do zmartwychwstania ich (*depositum*). Zawsze prawie napis kończyła forma *in pace*, w pokoju; w rozmaitych znaczeniach używana i wykładana rozmaicie; często odnosząca się do niepokoju żywota doczesnego, a do tego pokoju niebieskiego, którego świat dać nie może. Modlitwy do Boga o orzeźwienie duszy zmarłego, o przyjęcie jéj do światłości, do życia, o napojenie i t. p., na mnóstwie napisów się powtarzają. Polecano je świętych opiece i męczenników; czasem zmarłych proszono o modlitwy za żywych i pozostałych. Wiele z tych napisów swą prostotą niezmierną, i jakby wykrzykiem boleści przejmuje do głębi.

Nie mniéj zajmujące są pomniki sztuki zebrane w grobach, w których znajdowały się kaplice, mozajki, malowania, sarkofagi i rzeźby. W początkowych, zwłaszcza najdawniejszych, które są mieszaniną typów pogańskich i nowych chrześcijańskich, znać jeszcze wpływ żywy mistrzostwa odziedziczonego po starym świecie. Późniejsze oznaczają upadek. Niektóre mity pogańskie przyswajano, gdy musiano kryć się z chrześcijaństwem, a idee jego chciano wyrazić, czasem mieszano obrazy, a naostatek unikając pisma, wyrażano się symbolami i umówionemi znakami. Rzeźby chrześcijańskie muzeum nie są już piękne, rzadko w nich myśl obleka formę udatną, są to walki idei usiłującéj się wcielić, tém cięższe, im chrześcijaństwo mniéj do ciała i cielesnéj piękności przywiązywało wagi. Jeden z sarkofagów, które nam pokazywał pan Rossi, przedstawia w środku popiersia kobiety i mężczyzny, chrześcijańskiego małżeństwa; obok w dwóch rzędach a czterech obrazach Trójcę świętą w postaci trzech osób stwarzającą mężczyznę i kobietę. Adam trzyma kłosy (praca na chleb), Ewa baranka (wełna — życie domowe). Następuje wąż i upadek pierwszego człowieka, daléj na trzeciéj płaskorzeźbie życie Chrystusa, hołd trzech królów i apostolskie posłannictwo Piotra. Piotr wyobrażony jako Mojżesz dobywający wodę ze skały. Chrystus rozmnażający chleby i ryby, Chrystus wskrzeszający umarłego, Narodzenie Boże, duch święty nad Matką Boską i t. d. Nigdzie tu jeszcze w całéj plastyce katakumb nie znajdziecie śmierci Chry-

stusa, ani Ukrzyżowania, nie śmiano jéj wyobrażać aż do VI w. Na innych sarkofagach powtarzają się też same motywa. Często bardzo spotyka się *Bonus Pastor*, aniołkowie około winobrania, godła pół pogańskie, dusza jako Psyche. Zebrano tu kopie malowań ważniejszych, znalezionych w katakumbach i niektóre z nich mozajki; jedna wielka zniszczona wystawuje ucztę.

Wszystko to jeszcze nie pełne, jeszcze nieułożone znaleźliśmy, ale miarkując z gorliwości pana Rossi, można się było spodziewać, że dzieło swe doprowadzi rychło do końca.

Obok chrześcijańskiego muzeum, oglądaliśmy Gregoryańskie, starożytności rzymskich, w którém jest wiele pięknych posągów. Między innemi Antynous nieco ciężki a bardzo drogi, bo 11,000 skudów zapłacony, prześliczny Sofokles udrapowany wspaniale, (z teatru Pompejusza, ofiarowany przez Antonellich), Arystydes, Faun tańcujący, król jakiś barbarzyński z białego marmuru, naostatek wielki zbiór ozdób architektonicznych przepysznych.

Jakby dla porównania z sobą dwóch ostateczności, od resztek malowań katakumbowych tak prostych i naiwnych, pojechaliśmy zwiedzić w willi Massimi (dawniéj Giustiniani) freski nowych mistrzów niemieckiéj szkoły. Piękny bardzo ogród, smakowne urządzenie, i tu jak wszędzie bogactwo marmurów starych, nie tyle nas zajęły co obrazy okrywające ściany, z poematów Danta, Aryosta i Tassa.

Pierwszy pokój z Komedyi Boskiéj malowali pp. Koch i Veit; są tu główne sceny z wielkim talentem i energią odtworzone, na suficie w starym stylu bardzo piękne niebo Veit'a, z koronacyą Matki Boskiéj.

Przestrzeń nie dozwalała objąć tego ogromu, jaki w poemacie się rozsnuwa, a Dante nie łatwym jest do illustrowania, choć porywczo do niego chwytają się wszyscy, niezmierną żywością, z jaką w niewielu słowach kreśli obrazy tak pełne i wyraziste, ujęci. Piękne są te freski, ale Giotto i Orgagna ze swym stylem archaicznym lepiéj objaśniają wielkiego poetę, niż najgienialniejsi nowi artyści. Historya illustracyj Danta byłaby ciekawą zaprawdę, gdyby ją porównawczo przejść można, począwszy od Giotta, Giulio Clovio, aż do Dorégo. Najtrudniejsze Niebo, malowane samą światłością, bezcielesne, olśniewające, bardzo się Veitowi udało; talent jego usposabiał go do tego zadania.

Drugi pokój Schnorr'a przedstawujący sceny z Orlanda Aryostowego, pełen fantazyi, stosunkowo był łatwiejszym, ale mniéj po Boskiéj Komedyi zajmuje; trzeci Overbeck'a z Jerozolimy Wyzwolonéj Tassa jest może najpiękniejszym, jako malowanie i rysunek, postacie idealne, pełne poezyi. Nad te jednak freski da-

leko wyższemi zdają się nam Corneliusowe w naszém mieszkaniu z historyą Józefa.

Z powodu willi Massimi niech nam będzie wolno przywieźć powiastkę tyczącą się téj rodziny, którą nam w Rzymie opowiadano... Massimi wywodzą się od jednéj z familij rzymskich patrycyuszów, od Maksymów. Książę Massimi przedstawiony cesarzowi austryackiemu, który słyszał o tém podaniu, zagadnięty został przez niego:

— Czy też to prawda, że macie pochodzić od rzymskich Maksymów?

— Nie wiem — odparł, kłaniając się patrycyusz — ale u nas w Rzymie tak mówią od dwóch tysięcy lat...

Po dniu bardzo pracowitym, który jeszcze dopełnić było potrzeba, notując wrażenia, wróciliśmy dosyć znużeni do domu; a nazajutrz czekał trud nowy i niemały, bo chwile były policzone a drogie. Nie miło jest mówić o tych szczegółach, które mało kogo obchodzić mogą, ale podróży dla nauki nikt odbywać w krótko ograniczonym czasie nie powinien. Doznaliśmy téj prawdy własném doświadczeniem. Praca była nad siły, a wola tylko trzymała na nogach po całodziennych wycieczkach na skwarze, pyle, często o głodzie, bo jeść nie było czasu... i dodajmy, nie było co... Przybywszy do Rzymu w porze, gdy wszyscy z niego wyjeżdżać zwykli, znaleźliśmy hotele puste, umyślnie w nich kazać sobie gotować dla zdzierstwa nie było podobna; oszczędność kazała stołować się w małéj garkuchni Lepre. Ale tu jak wszędzie we Włoszech łój służy za podstawę kuchni, a my nie przywykli do niego, musieliśmy się ograniczać potrawami, do których albo oliwa tylko lub żadna nie wchodziła okrasa. Obiady były więc bardzo proste: makaron, mięso gotowane, kartofle gotowane i trochę kompotu. Dodawszy do tego owoce i czarną kawę, wyżyć było można, ale się rozpieścić niepodobna. Lepre leżący niedaleko od nas, zaraz za hiszpańskim placem, od którego tylko wschody trochę ciężkie dzieliły, był dla nas najdogodniejszy, mieliśmy też zręczność przypatrywać się tam różnym średniéj klasy cudzoziemcom i miejscowym, a obok w Cafe Greco szczątkom artystów, których skwar nie wypędził z Rzymu. Mało ich było wszakże, bo ci wychowańce, których tu cały świat zsyła dla dopełnienia artystycznego ukształcenia, rozbiegają się w lecie na prowincye i w okolice dla studyów, a więcéj może dla wypoczynku i uniknienia malaryi. Codziennie schodziliśmy na posiłek po wschodach *Trinità del Monte*, codzień powracaliśmy smętni tąż samą drogą, chłodząc się lemoniadą u staréj kobieciny, która ją pod wschodami sprze-

dawała. Dwóch z nas znosiło mężnie tę biedę, trzeci zrazu mocno bolał, ale szczęściem zakochał się w makaronie, a miłość osładza wszystko. Wyziewy łoju u Lepre znosił stoicko, pocieszając się tém, że go jeść nie będzie.

Wieczorem często kilku ziomków zamieszkałych w Rzymie i przejezdnych, przychodzili do nas na herbatę, któréj nałogowi pozostaliśmy wierni, warząc ją po angielsku nad kociołkiem. *Pane biggio* przypominał nam chleb nasz polski, z balkonu mieliśmy na Rzym widok cudowny, więc choć się napracowało we dnie, choć się jeszcze miało pisać w nocy, zasiadaliśmy na długie gawędy o wszystkiém, co nas nie otaczało.

Nieraz myślałem sobie, że gdyby cudem wróciła młodość, pragnąłbym się skąpać na życie podróżą dłuższą i lepiéj osnutą po tych Włoszech, które teraz przelatywałem jak lokomotywa. Teraźniejszy stan Włoch, jakkolwiek ciekawy, niczém jest w porównaniu z zajęciem, które budzi ta druga czy trzecia cywilizacyi kolebka. Co wspomnień, ile podań, ile nauki w najmniejszym okruchu przeszłości! Jak człowiek obojętnieje na bóle własne, ucząc się, co ludzkość wycierpiała, nim przyszła do dzisiejszego egoizmu, wśród którego mówić nawet o cierpieniu przed szczęśliwemi, co drugich męczą, nie godzi się! Jak ciekawie patrzy się w przyszłość i pyta, kiedy rozpocznie się ruina tego, co jest, i budowa tego, co ma być? A naostatek pytanie, czy ten gmach nowy ma koniecznie powstać na gruzach?

Otóż co się nieraz w Casa Zuccari do północy i po północy patrząc na historyą Józefa, wymalowaną przez Overbeck'a, mawiało. I rozchodziliśmy się z westchnieniami, z nadziejami, z rezygnacyą spokojną po większéj części, bo wszystkie kwestye ludzkości żywotne, bądź cobądź, są kwestyami czasu. Rozwiązuje one cierpliwość, przyśpiesza praca, a nigdy podobno konwulsyjne targanie się i zżymanie na losy. Kto wierzy w prawo boże dane światu, a nie w chaotyczny nieład i bezrozumny przypadek, jest potrosze spokojnym fatalistą. Więc idzie się spać na twardéj poduszce, śpiewając...

Obudziliśmy się nazajutrz raniéj, bo mieliśmy dzień rozpocząć wycieczką za mury do św. Pawła, jednéj z bazylik Rzymu. Liczy się ich (nie wiem, czy mówiłem o tém) siedm, pielgrzymi obchodzą je i dostępują odpustu takiego, jaki daje wędrówka do Jerozolimy.

Po drodze znaną z rysunków spotkaliśmy grobową piramidę Cestyusa z czasów Augusta, w któréj zaledwie pozostały ślady dawnych malowań w izbie grobowéj, ogłosił je Falconieri w XVII wieku, a inne odkryte odtąd nagradzają, cośmy tu utracili. Pira-

mida ta, około bramy św. Pawła, wpuszczoną jest w stare mury okólne Rzymu, które zowią tu Belizaryuszowskiemi. Rzym za Serwiusza Tulliusza obwiedziony ścianą z kamieni ogromnych spajanych bez wapna; na nowo i szerzéj opasany został murem za Aurelijana. Trzysta wież obronnych, z których jeszcze część jakaś pozostała, wznosiły się na tym pasie kamiennym, wzmocnionym przez Honoryusza. W pięć lat po ukończeniu robót, Alaryk zdobył i złupił wieczną stolicę.

W niektórych miejscach malowniczo bardzo przedstawiają się te potężne budowy, które wszakże malarzom tylko do ich studyów posłużyć mogą.

Bazylika św. Pawła za murami miasta położona w okolicy, w któréj często panuje *malaria*, sięgała czasów Konstantyna; większą na grobie apostoła wzniósł późniéj Honoryusz. Dawniejsza budowa otoczona portykami, była jedną z najwspanialszych w Rzymie, ogromem i pamiątkami, jakie zawierała, spłonęła ona w r. 1823, a skończona teraz jest całkowicie nową. Zaczął ją Leon XII, Pius IX poświęcił w r. 1847. Przytyka do niéj piękny klasztor benedyktynów, którzy po upadku zakonu od niejakiego czasu starają się o ożywienie go nowym duchem i reformą reguły. Kościół jest wielce wspaniałym i pięknym gmachem, na pięć naw kolumnami koryncкiemi z granitu Raveno podzielonym. Kolumny baldachimu w wielkim ołtarzu są z alabastru wschodniego ofiarowane przez paszę Egiptu.

Dokoła pięciu naw górą fryza złożona z medalionów mozajkowych, wystawujących papieżów (258), obiega. Malachity w ołtarzach pochodzą z kopalni rosyjskich. Wielki ołtarz nad relikwiami śś. Piotra i Pawła jest nadzwyczaj bogaty; stare mozajki z XIII w. ocalone restaurowano tylko na nowo.

Klasztor z krużgankami ks. benedyktynów, który się zachował w całości, mozajkowany portyk, jakoby z X lub XI w. są wielce zajmującym zabytkiem budownictwa.

Przy murach leży mnóstwo ułamków starożytnyh, sarkofagów i napisów.

Stąd chcąc na Apijską trafić drogę, zabłąkaliśmy się trochę pomiędzy winnicami i ogrodami, otaczającemi Rzym z téj strony, alem tego nie żałował. Ranek był prześliczny, a te mury, drożyny, ta zieloność obfita, wśród któréj cicho było i pusto jak w grobie, składały obraz pełen uroku. Nie było się kogo rozpytać, szliśmy instynktem, aż do ubogiego domku, przy którym znalazł się przecie wychodzący na robotę w pole gospodarz, który drogę pokazał. Ubogo wyglądał ten człowiek z za murów, ale nie straszno; szedł kopać, bo miał motykę na ramieniu, postrzegł-

27*

szy w nas wszakże ciekawych podróżników, zaprowadził na swój dziedzińczyk i pokazał na sprzedaż leżące pod murkiem śliczne kolumn kapitele, parę okruchów tablic z napisami, rękę jakąś i nogę marmurową. Wszystko to było za bezcen, ale jak przewieźć te pamiątki! westchnąwszy, trzeba się było wyrzec targu. Wieśniak kopiąc, dobywał, jak mówił, mnóstwo tego rodzaju obłamów, tym płodem ziemi handlował, a w murach jego chaty widać téż było niejeden gzyms, co może zdobił świątynię.

Weszliśmy na Apijską drogę... ale potrafimyż wam wypowiedzićć i odmalować, czém jest ten cmentarny stary gościniec, wiodący niegdyś do Kapuy, na granice państwa? ta *regina viarum*? Stary to szlak, bo na trzysta lat przed erą naszą wytknięty, a więc pamiętający lat dwa tysiące. Ileż nim przeszło pokoleń! Cenzor Appius Claudius go rozpoczął, kończono długo, robiono mozolnie. Od Rzymu do Kapui cały był wyłożony taflami bazaltowemi.

Znikł późniéj rzymski opuszczony gościniec, i otaczające go niegdyś wspaniałe grobowce w ruinach, same oznaczały kierunek, w którym szedł od staréj *porta Capena*. Jak ogromne skał złomy stoją jeszcze zdruzgotane, nieforemne, porosłe chwastem i bluszczami reszty pomników mogilnych, groby grobów; z ich cząstek pobudowały się nowe poprzylepiane do ich boków chatki, powznosiły dworki, polepiły mury ogrodów. Co krok idąc, zatrzymują cię te niezliczone pamiątki w sposób najniespodziewańszy porozrzucane. Kawał kolumny, gzyms rzeźbiony, część posągu, rzeźba, napis, wala się w pyle lub jak bryła kamienia wlepiona została w mur ogrodowy. Idąc tą drogą, poi się człowiek smutkiem ruin tak ozłoconych, tak ubranych, tak rozrzuconych cudnie, że nad nie wesele i życie nowe nie byłyby piękniejsze. W prawo przez kampanią widać akwedukt w połamanych łukach, ciągnący się kędyś daleko i góry około Albano. Otaczający krajobraz majestatyczny, niezrównanie wspaniały i wielki. Gdzieniegdzie na pierwszym planie wystrzela cyprys stary, z pośród którego liści czarnych, widać szare, pokręcone gałęzie, jak obnażone wnętrzności, daléj wysmukła sosna baldachinowa podnosi się i rozściela na niebie wdzięczną koroną liści, tu wisi zabłąkana gałąź winnéj latorośli, tam zsypał się z muru bluszcz ciemny. Cała droga dziwnéj uroczystości, smutku i powagi, niąby najwłaściwiéj było wyjeżdżać dzisiaj do Rzymu.

Grób Cecylii Metelli (*Capo di Bove*), wznoszący się nad Apijską drogą, znają wszyscy. Niegdyś tę budowę familia Cajetanich przerobiła była na twierdzę. Obok leżą w gruzach zameczek téj ro-

dziny i kościół przy nim, gniazdo, z którego w średnich wiekach wypadały sokoły na nieopatrznych podróżnych.

Szliśmy drogą, nie pytając o nic, nie ucząc się imion, chcąc tylko napawać się niezmierną pięknością motywów tego pejzażu, niezmierną tęsknotą miejsca, ale obowiązki wędrowca wkrótce wyrwały z tych swobodnych dumań.

Zbliżając się już ku miastu, spotkaliśmy nade drogą niezbyt widny, niepozorny kościół św. Sebastyana, na cmentarzu św. Kaliksta, sięgający 367 roku. Weszliśmy doń, wnętrze wyświeżone ze złoconym stropem straciło dawny charakter; posąg Berniniego pod ołtarzem umieszczony, św. Sebastyana przebitego złocistemi strzałami, a wdzięczącego się, nie podobał nam się wcale. Bernini zrobił zeń Antynousa chrześcijańskiego, tak jak ze św. Teresy zrobił chrześcijańską Safo... Nie szło nam o kościół, ale o pierwsze znijście do katakumb. Mogę powiedzieć, że głównie dla nich przybyłem do Rzymu, chwila więc, gdy nareszcie miały się one dla mnie otworzyć, ważną była. Tymczasem wśród ciszy i pustki próżnośmy się dobijali o przewodnika. Niecierpliwość rosła. Umyślnie odłożyłem oglądanie, przygotowując się do niego, ale nareszcie potrzeba było rozpocząć od pierwszych, jakie się nastręczały. A tu zdawało się, jakby na przekór, że w téj porze dnia i roku, żywéj duszy około św. Sebastyana znaléźć nie będzie podobna.

Należałoby wstęp do katakumb uprzedzić ogólniejszemi o nich wiadomościami, lękamy się tylko, aby tak zajmujący przedmiot w zbyt obszerną nie wwiódł rozprawę; krótkie objaśnienie jest niezbędném.

Katakumby służyły pierwszym chrześcijanom w wiekach prześladowania za cmentarze, kościoły i miejsce schronienia. Wszystkie one wykute są w tufie, puzzolanie lub zsiadłym piasku i glinie. Są to niezbyt foremne galerye, ciągnące się w różnych kierunkach i rozgałęziające na kilka piątr w głąb'. Wśród korytarzy, których ściany stanowią jedne nad drugiemi ułożone groby, pozamykane kamieniami, dachówką, gliną, spotykają się kaplice, salki i ozdobniejsze miejsca modlitwy. Z katakumb tych chrześcijanie zwycięscy wyszli na świat, tu spoczęły ciała ich męczenników, na grobach tych wzniosły się pierwsze na powierzchni ziemi bazyliki.

Ta kolebka chrześcijaństwa zaniedbana w średnich wiekach, pozasypywana umyślnie w obawie profanacyi i zniszczenia, dosyć długo zostawała ukrytą ze skarbami, które zawierała. Pierwszym niemal, co po długich latach zstąpił do katakumb, był Antoni Bosio, rodem z Malty, z powołania prawnik. Mieszkał on w Rzy-

mie jako prokurator zakonu rycerzy Maltańskich. Zajmując się od młodości starożytnościami chrześcijańskiemi, Bosio poszukiwał zręczności dostania się do podziemiów, o których dawne mówiły tradycye. Na drodze za *porta Salaria*, obsunięcie się ziemi odkryło przypadkowo katakumby św. Pryscyli. Bosio cały się badaniu ich poświęcił, o własnym koszcie z niebezpieczeństwem życia, niekiedy własnemi wkopując się w nie rękami. Pierwszy raz wszedłszy w korytarze cmentarza św. Kaliksta d. 10 grudnia, r. 1593, Bosio ledwie mógł nazad trafić, następnie sznurek służył mu za przewodnika. Tu on rysował, pisał, notował, zbierał pamiątki i gotował materyały do pierwszego dzieła o katakumbach, które się za życia jego nie ukazało. Papiery po Bosio pozostałe zabrał zakon Maltański, od którego dostał je książę Aldobrandini i przywiózł do Rzymu, a kardynał Franc. Barberini polecił je O. Janowi Severano. Z mnogiemi dodatkami dzieło Bosio wyszło nareszcie z druku i rozchwytane zostało, taką obudziło ciekawość.

Od tego czasu prace, poszukiwania i kosztowne wydania różnych zbiorów relikwij podziemnych przedsięwzięte i dokonane zostały, potworzyły się zdania i opinie najrozmaitsze o ich powstaniu. Najjaśniejszą treść tych badań naukową dają prace pana de Rossi.

Katakumby rzymskie, one podziemne cmentarze chrześcijańskie, są w wielkiéj liczbie dokoła Rzymu, pod powierzchnią jego rozciągnięte. O. Marchi powiada, że znane galerye ich wynoszą około trzechset mil długości, a przybliżenie zawierają do sześciu milionów grobów. Zdało się bardzo wielu, że przez cztery wieki zrazu szczupła garść chrześcijan nie mogła tak olbrzymiego wykonać dzieła, pod naciskiem prześladowania, pod oczyma Rzymian, którzy ścigali nowowierców.

Krytyka znalazła pewne dane, na których się oparła, twierdząc, że chrześcijanie zajęli tylko odwieczne galerye wyżłobione dobywaniem materyału na budowy Rzymu, zwane *Arenariae*.

Cyceron wspomina o nich (*pro Cluentio*), mówiąc o młodzieńcu, którego do tych pieczar zaciągniono i zabito; Swetoniusz pisze, że Neron, któremu radzono schronić się do nich, nie chciał żywy wléźć pod ziemię.

Zdanie to popierał ustęp z akt męczeńskich, uchodzących za dzieło IV w. (u Bollandystów), w którym powiedziano, że święci Marek i Marcelin pogrzebieni zostali nad Apijską drogą, na drugiéj mili, w miejscu nazwaném na piaskach (*in Arenas*) „gdyż były tam pieczary w piasku, z którego miasto budowano.“

Bosio, Aringhi, Boldetti, pierwsi archeologowie zajmujący się katakumbami, podzielali to przekonanie, i dopiéro O. Marchi i pan

Rossi usiłowali dowieść, że krypty są całkowicie dziełem chrześcijan.

Głównie przeważa na stronę ostatnich prawdopodobieństwo, wykazanie różnicy pomiędzy właściwemi *arenariami*, a katakumbami. Wyżłobienia te wyglądają inaczéj, są szersze, musiały być tak zrobione, aby z nich piasek, puzzolanę i t. p. można było z łatwością wywozić i wynosić. Katakumby są ciasne i rozciągają się tak daleko w głąb, że tylko potrzeba zmusić mogła do takiego ich rozgałęzienia. Są zasklepione półokrągło, szczupłe i wyglądają wcale nie na robotę kopaczy, ale na obmyślaną budowę, na kryjówkę.

Arenariae zresztą dostarczały puzzolany, a większa część katakumb wykute są w kamieniu, w tufie. Stykają się one z wyżłobieniami tego rodzaju, początkowo nawet mogły myśl pierwszą do nich dostarczyć, ale tak, jak one są, nie można ich wziąć za jedno z pieczarami starego Rzymu. Nie znaleziono zresztą w katakumbach wśród mnóstwa cegieł i szczątków rzeźb nic starszego nad pierwszy wiek po Chrystusie.

Poganie wiedzieli dobrze o tych przytułkach chrześcijan, których prześladowali, pierwszém zawsze hasłem do nowych ścigań i mordów były zakazy zgromadzania się w podziemiach. W chwilach tolerancyi nie przeszkadzano chrześcijanom kopać i odbywać swe nabożeństwa w kryptach, zowiąc ich z powodu tych schronień, ludem uciekającym od światła (*lucifuga natio*). Wiadomo, że kilka razy z rozkazu cezarów zamurowywano katakomb wnijścia i wszyscy zamknięci w nich ginęli; lud we wściekłości przeciw chrześcijanom tak samo wołał: „Chrześcijan zwierzętom na pożarcie! i chrześcijańskie pozamykać cmentarze!“

Z tego powodu wnijścia do katakumb były liczne i skryte, mnóstwo ich wynajdują ciągle. W wielu posiadłościach prywatnych tajemnie urządzano wschody, kopano katakumby i osłaniano je od oka pogan.

Z prac pana de Rossi jasno się okazuje, że cmentarze, zamykające w sobie kościoły, były razem pierwszemi parafiami, na które się chrześcijanie dzielili; później też pierwsze kościoły i ołtarze jawne wzniosły się nad głównemi ogniskami podziemiów, jak naprzykład u ś. Sebastyana, ś. Wawrzyńca i ś. Agnieszki.

Cmentarzów tych i parafij wiele już pooznaczano; katakumba ś. Aleksandra na drodze Nomentańskiéj, jest ciekawym wzorem téj przemiany krypty na kościół, *confessii* dawnéj na wielki ołtarz i połączenia katakumby z nową budową.

Pan de Rossi wskazuje także przyczyny, dla których w późniejszych czasach wnijścia do grobów pozasypywano. Mniema on,

że napady Saracenów w VIII i IX w., zapuszczających się często aż pod mury Rzymu, i łupieże ich po kościołach podziemnych, były do tego powodem.

W wielu téż razach kościół podziemny i grób męczennika stanowiący ołtarz *(confessio)* tak był głęboko, że nowa budowa złączyć się z nim nie mogła. Wschody wiodły naówczas z kościoła górnego do grobu; mnóstwo pielgrzymów pobożnych zwiedzało podziemia i składało w nich wota; krypty zdobiono ofiarami, stąd późniéj nad wiek IV nowsze znalazły się w nich napisy i t. p. Odkrycie nietkniętéj od IV w. katakumby ś. Kaliksta winniśmy panu Rossi.

Mówiliśmy już o napisach w nich znajdowanych, teraz nieco o ich fizyognomii.

Wogóle są to w ziemi ryte galerye wązkie, niezbyt foremne, w różnych idące kierunkach, spuszczające się w głąb, a z obu stron w ścianach mające od dołu do góry grobowe wieka, regularnie i w liczbie odpowiadającéj sobie poumieszczane. Ciała leżą jedne nad drugiemi, wsunięte bokiem w otwór, na zewnętrzném pokryciu stoi napis na złomie marmuru, dachówce, często na saméj glinie wydrapany tylko nieforemnie.

W większéj części galeryi groby nie są regularnie i w równych odstępach poukładane, ale ściśle zastosowywane do rozmiaru ciał, co wskazuje, że fossorowie przygotowywali je dopiéro, gdy zachodziła potrzeba. Rzadko, jak w katakumbie ś. Cyryaka, leżą osobno dzieci, dorośli i t. p. w symetrycznie rozmierzonych grobach. Mogło to dopiero w szczęśliwszych dla kościoła czasach odbywać się tak swobodnie.

Na glinie w wielu miejscach znać odcisk całunów z cienkiego płótna. (U ś. Agnieszki i ś. Priscyli). Sposób grzebania *w nowym grobie*, ciała osłonionego *całunem*, odpowiada opisowi pogrzebu Chrystusa, i był pewnie w pierwszych wiekach naśladowaniem Chrystusowego. Niektóre groby bywały wcześnie przygotowywane i opłacane, z r. 426 jest nawet napis oznaczający cenę, która wynosiła półtora solidusa, około dwudziestu kilku naszych złotych, jeśli się nie mylimy.

Grabarze, *fossores*, byli stowarzyszeniem pobożném, rodzajem bractwa poświęcającego się grzebaniu zmarłych. Oni wyżłabiali galerye, ryli grobowce, składali potajemnie ciała, żyli, można powiedzieć, w podziemiach. Groby bogatych i ubogich ani napisami, ani formą, ani powierzchownością się nie różniły, zupełna równość panowała w obliczu śmierci jak wobec Boga, wedle prawa chrześcijan.

Przy grobach znajdują rozliczne lampki gliniane z godłami

chrześcijańskiemi i małe flaszeczki szklane (*ampullae*), w które zbierano krew męczenników. Te flaszeczki były dowodem męczeństwa w grobie, jeśli zaś zmarły był spalony, utopiony i zginął śmiercią inną bez krwi rozlewu rysowano palmę na kamieniu lub glinie.

Niekiedy rodziny przygotowywały sobie oddzielnie na kilka ciał wydrążenia zasklepione, które zwano *arcosolia;* całe izdebki (*cubicula*) własnym robiąc kosztem i z większém staraniem, zawczasu.

Oprócz grobów, gdyż przedewszystkiém były ono cmentarzami, ale nie wyłącznie tylko niemi, katakumby zawierały miejsca modlitwy, które jako budowy, jako urządzenie są niezmiernie ciekawe. W nich to uchowały się najstarsze zabytki sztuki chrześcijańskiéj, mozajki i malowania z pierwszych wieków.

Chrześcijanie zwykli byli od najdawniejszych czasów zbierać się na modlitwy w domach prywatnych, w osobnych na to przeznaczonych izbach, często bogato przyozdobionych. Nabożeństwo kończyło się skromnym posiłkiem. Świątyńki te powoli coraz bardziéj uczęszczane z domowych zmieniały się na publiczne; za Dyoklecyana rozkaz zburzenia kościołów dowodzi, że już osobne istniały. Prześladowanie zmusiło zbierać się dla modłów w miejsca mniéj widoczne i dostępne. Najwłaściwiéj w obszerniejszych *Arcosoliach* katakumb odbywać było nabożeństwo. Kaplice te są różnych kształtów: czworokątne, ośmiokątne, okrągłe, zasklepione w górze, zawsze niewielkie. Naprzeciwko wnijścia na jednym z grobów wyznawcy (*confessio*) odbywała się ofiara święta. Najczęściéj w podziemiach kaplic bywa dwie naprzeciw siebie, osobna dla kobiet, i dla mężczyzn, jednak nie zawsze.

Około ołtarza, przy grobowcu męczennika, wykuty bywa stół na naczynia i sprzęt ofiarny (*prothesis*), kamień wystający służył ku temu, lub małe wgłębienie w murze.

Katakumby niektórym wyłączniéj prześladowanym, papieżom, biskupom i t. p. służyły za przytułek, chronili się więc w nich i żyli, ale śladu osobnych mieszkań w nich nie znajdujemy. Dla zabezpieczenia ucieczki i wnijścia pomnażano wchody skryte. Dla odświeżenia powietrza więcéj może, niż dla oświecenia galeryi, urządzano *luminaria*, to jest, rodzaj otworów wychodzących z głębin piętr podziemnych, aż nad powierzchnią. Jakkolwiek bowiem groby szczelnie były zamknięte, mnogość taka ciał, palące się po galeryach lampy i światła przy grobach męczenników, musiały ciężkiém czynić powietrze katakumb. *Luminaria* były tak urządzane, że najczęściéj na dwie kaplice służyły; w późniejszych czasach przyczyniły się one do nadwyrężenia w wielu miejscach galeryi,

przez nie bowiem wpadała do nich woda, a potoki je wyrywały i niszczyły. Napady i łupieże katakumb, o których wspominaliśmy, spowodowały przeniesienie ciał męczenników do kościołów lepiéj zabezpieczonych od napaści, a późniéj niespokoje, wojny, przeniesienie stolicy papieskiéj do Awinionu, na jakiś czas katakumby okryły zapomnieniem.

Weszliśmy ze czcią i poszanowaniem do katakumb św. Sebastyana, ale niestety, tuśmy zaledwie mogli nauczyć się ich budowy, nic bowiem z tego, co zawierały w sobie, w nich nie pozostało. Galerye były puste, groby otwarte, kaplice ogołocone z fresków. Pomimo to, katakumby bez napisów, bez ciał, które jako relikwie wzięto, dzieląc niemi cały świat chrześcijański, czynią jeszcze potężne wrażenie, uprzytomniają się czasy, gdy w ciszy i mroku ręka grabarza kuła wśród modlitw te krypty, gdy lud przelękły w nich się tulił, gdy tu odbywała się ofiara i łamanie chlebem żywota całego społeczeństwa chrześcijańskiego, w którém pierwszy raz niewolnik i wyzwoleniec stali obok patrycyusza, jako jednego Boga dzieci i bracia.

Zbieg różnych okoliczności spowodował to odarcie katakumb nie od dziś poczęte, wyniesienie z nich relikwij, wyłamanie napisów, opróżnienie ołtarzów, ale smutno jest, że się tak stało, że pobożność nierozważna, ciekawość płocha, nauka nielitośna, świętokradzko się targnęły na te pamiątki, które pozostawić było potrzeba, jak je ręce pierwszych chrześcijan złożyły. Muzeum najbogatsze nie powiada dziś o przeszłości tyle, co ubogi grób, tam na miejscu zasklepiony ręką fossora przed tysiącem sześciuset latami. Czemuż z cichą modlitwą nie można przyjść dziś jeszcze na stary grób męczenników, który straszliwie wygląda ze swą próżnią i osieroceniem.

Najwspanialszy sarkofag w marmurowym kościele nie przemawia tak do duszy, jak prosty kamień wyżłobiony, na którym niezgrabnie nakreślono palmę ręką drżącą.

W katakumbach osieroconych świętego Sebastyana, nic nie widzieliśmy całego, nic takiego, coby o ich stanie wyobrażenie nam dać mogło. Przeszliśmy je, ubolewając nad zniszczeniem, a ciesząc się nadzieją, że po południu zobaczymy mniéj ogołocone św. Agnieszki.

Kościół św. Agnieszki *fuori le mura* (za murami, gdyż drugi tegoż imienia znajduje się przy placu *Navonna*) nad drogą Nomentańską, zdaje się być z czasów Konstantyna, który pierwotną budowę wzniósł na znalezionych grobach męczenników. Powiększyli ją Liberyusz i Innocenty I, a Honoryusz w VII w. ozdobił mozajkami. Na nieszczęście skutkiem późniejszych odnawiań starto starożytny charakter kościoła. Wchodzi się doń po wspaniałych wschodach; wnę-

trze sparte jest na szesnatu dawnych korynckich kolumnach, z których dwie są z frygijskiego marmuru.

Tu dnia 21 stycznia poświęcają się baranki, a z ich wełny zakonnice w klasztorze św. Agnieszki tkają paliusze rozsyłane patryarchom i arcybiskupom. Na jednym z takich obrzędów znajdujący się Pius IX wraz z dziewięćdziesięciu kilku osobami, zapadł się przez obalenie stropu, ale wszyscy cudownie ocaleni zostali. Wypadek ten, który był powodem nowéj restauracyi, wystawia pamiątkowy fresk Galliardego, z dziwnemi współczesnemi strojami i portretami przytomnych dygnitarzy.

Posąg św. Agnieszki ze starożytnego zrobiony z głową, palmą i suknią bronzową, sam alabastrowy, szkoda powiedziéć, by był piękny.

Znakomitém dziełem jest w bocznym ołtarzu głowa Chrystusa Michała Anioła, któréj malarz Sądu Ostatecznego nadał charakter łagodności sobie niezwykły; — piękna bardzo i w swoim rodzaju jedyna.

Obok stoi okrągły stary kościół św. Konstancyi. Ołtarz otaczają w pośrodku kolumny po dwie ustawione i połączone łukami, na sklepieniu ciekawa mozajka stara wystawująca winobranie, gieniusze, ludzi tłoczących wino, wozy i t. p. Ma ona pozór zupełnie pogański, choć może pochodzić z epoki, w któréj formy dawne do nowéj zastosowano idei. Wedle tych, co ją uważają za całkiem pogańską, miałaby być dowodem, że rotunda była świątynią Bachusa. Późniéj została zmienioną na mauzoleum rodziny Konstantyna; tu stał sarkofag Konstancyi, córki jego. Jako kościół tego imienia poświęconą była dopiero w XIII w. Budowa jest bardzo ciekawą.

Wnijście do katakumb św. Agnieszki znajduje się daléj nieco w ogrodzie; staruszek, który mimo złéj pory odważył się na oprowadzenie nas po nich, spełnia te obowiązki od r. 1813. Mieliśmy oprócz niego ziomka naszego, zacnego *Capitane Onofrio*, którego pobożność i serce znają wszyscy w Rzymie, a pamięć o nim wywożą jako jedno z drogich wspomnień wiecznego grodu. Opatrzono nas w długie stoczki umyślnie na ten cel przygotowane, i zeszliśmy w korytarze prawie tak opustoszone jak św. Sebastyana.

W wielu miejscach poobsuwała się tak ziemia, że przejście było trudne, w innych galerye puste, na ziemi tylko walały się drogie szczątki marmurów, dachówek, cegieł rzymskich i okruchów grobowych. To, czego wszakże ruszyć z miejsca nie było podobna, zostało szczególniéj w kapliczkach; ołtarze w zasklepieniach pojedyńcze i podwójne, siedzenia wykute w tufie, nakształt krzeseł kurulskich dla biskupów, konfesyonały nawet i to podwójne, przy drzwiach. Tak nam przynajmniéj tłómaczono w jednéj z kaplic

u wnijścia, dwa umieszczone krzesła kamienne. O mozajkach i malowaniach nadzwyczaj ciekawych dla historyi sztuki chrześcijańskiéj i tworzenia się symbolów, dla tradycyi ikonografii religijnéj, powiemy obszerniéj zaraz. Przeszliśmy z przewodnikami naszemi bardzo znaczny krąg podziemiów z żywą ciekawością, zajęciem, a raczéj z najgłębszém poszanowaniem poglądając po nich, z rozrzewnieniem szukając śladów życia, które przez trzy z górą wieki kryło się tu oblewane wciąż krwią męczeńską. Nadzwyczajna prostota tych podziemnych gmachów, niewyrażone czyniła wrażenie. Galerye krzyżowały się, rozchodziły, zstępowały; co chwila napotykaliśwy to pusty sarkofag pogański, uświęcony tylko jakimś chrześcijańskim dodatkiem, to obłam tablicy z palmą, i ostatkiem słów:

IN PACE.

Walały się nawet szczątki drogich flaszeczek, do których może przyschła krew męczeńska, ale ruszyć tego nie było wolno. Mało i tu pozostało znaczniejszych rzeczy, oprócz malowań, budowy saméj kaplic i *arcosoliów*. W niektórych miejscach korytarze były doskonale suche, tynki trzymały się mocno, a woda ściekając powoli po opokach, osadzała skorupy, inkrustując ściany.

Powietrze nie było ciężkie, wszakże przejmowała je jakaś woń właściwa, dająca czuć wiekową zgniliznę.

Malowania zdobiące wiele kaplic są z różnych wieków, wszakże niéma wątpliwości, że niektóre z nich sięgają najpierwszych po Chrystusie. Im kształty są bardziéj pogańskie, a mity niejasne i zmieszane, tém pewniéj fresk pochodzi z najdawniejszych czasów. Z porównania wielu grobowych izb (*Columbaria*), ornamentacyj malowań w termach Tytusa, w Pompei, w grobach Nasonów, styl malowań téj epoki pierwszéj łatwo oznaczyć się daje.

Oprócz tego brak *nimbusów*, które około głów świętych i męczenników zjawiają się dopiéro w czwartym wieku, daje także skazówkę do oznaczenia epoki. Późniejsze ozdabianie katakumb w V i VI w., malowania, które się w św. Kaliksta katakumbach spotykają, ściślejsze badanie dozwala łatwo odróżnić.

Najstarsze obrazy Chrystusa rzeźbione na naczyniach używanych do ofiary, wedle Tertuliana, który pisał w drugim wieku, wyobrażały dobrego pasterza, z owieczką na ramionach, w katakumbach téż Chrystus często pod tą samą występuje postacią.

Obrazy w pierwszych wiekach naturalnie, dla przesiąknienia sztuki pogaństwem, musiały być nader oględnie używane po miej-

scach poświęconych, ale że kościół się niemi posługiwał dla obudzenia pobożności, dla uprzytomnienia pamiątek, są ślady w pismach ojców kościoła, w Augustynie, Chryzostomie, Bazylim.

Ornamentacya w podziemiach jest bardzo podobna do współczesnéj pogańskiéj, właściwie chrześcijańskie godła i przedmioty nie od razu upostaciowują się jasno. Unikano wogóle przedstawień scen krwawych, męczeństw, śmierci; malowanie jest pełne spokoju i uroczystości. Najczęściéj spotyka się na obrazach dobrego pasterza. Wprawdzie sceny pasterskie i w współczesnych pogańskich malowaniach się trafiają, ale tém bardziéj chrześcijanie posłużyć się niemi mogli bezpiecznie, inną wcale do tego wyobrażenia przywiązując ideę, a mogąc nią pokryć tajemnicę swoję. Pasterz na tych obrazach czasem z owcą na łonie, z owcą u boku, z piszczałką w ustach, z laską, przedstawia się rozmaicie, jaśniéj już z kozłem i barankiem.

Obrazy mające związek z dogmatem zmartwychwstania, równie są dawne w katakumbach; takim jest wieloryb wyrzucający z paszczy Jonasza, który wyobraża otchłań, oddającą niebu i życiu dusze odkupione, Daniel między lwami (wybawienie od śmierci), wskrzeszenie Łazarza. Znajdujemy tu także Noego, do którego gołąb leci z różczką oliwną, symbol chrztu, który nas życiu nowemu powraca. Wyobrażenie rybaka łapiącego ryby (symbol posłannictwa apostołów), Mojżesza różczką źródło dobywającego ze skały są także (osobliwie ostatnie) bardzo zwyczajne w katakumbach. Figurę Mojżesza znaleziono i na szklanym kielichu, który tu odkryto. Rozmaicie ją wykładają, raz jako przedstawiającą samego Chrystusa, to znowu jako św. Piotra.

Chrystus wskrzeszający Łazarza, zamieniający wodę w wino, lub dokonywający cudu jakiegokolwiek, zawsze wyobrażany bywa z różczką, która oznacza *siłę*. Różczka znajduje się tylko w rękach samego Chrystusa, św. Piotra i Mojżesza.

Obrazy uzdrowienia paralityka, oznaczające sakrament pokuty i przebaczenia grzechów, są także dość pospolite w kaplicach, ale najobfitsze są godła, symbole i obrazy tyczące się eucharystyi. Rozmnożenie ryb i chleba, chleb i ryby, przemiana wody na wino w Kanie Galilejskiéj, powtarzają się często. Ryba, jak wiadomo, w której greckiém nazwaniu, początkowe głoski imienia Chrystusa się zamykają, służyła jako żywy hieroglif Zbawiciela. Ryba trafia się téż z chlebami na grzbiecie w koszu i kielichem wina. Chleb nie jest zwyczajny, ale tak zwana *mamphula*, który wypiekano u żydów dla ofiarowania kapłanom, podzielony dwiema linijami w krzyż na cztery części. Tu po raz pierwszy może wyobrażenie krzyża i przypomnienie męczeństwa znaleść można. Jest to wszakże na-

szym tylko domysłem, który jako hipotezę dajemy. Stoły z chlebami, błogosławieństwo chleba powtarzają się wielekroć.

Na lampach grobowych gołębie, monogram Chrystusa, ryby są godłami zwykłemi.

Przedstawiano także często pokłon Trzech Króli. Rzadkie są postacie męczenników z imionami, wyobrażające ich ze złożonemi rękami na modlitwie. Orfeusz grający na lirze i łagodzący dzikie zwierzęta, spotyka się wśród obrazów chrześcijańskich, jako *vates*, prorok, który przepowiadał i przeczuł przyjście Zbawcy. Znaleźliśmy także obraz Matki Boskiéj z rozwartemi rękami i Chrystusa siedzącego na jéj łonie; ubiór był zwykły matron rzymskich.

Co do sposobu malowania i wykonania, nie można się nawet spodziewać po nich, by doskonałemi były, zdając sobie sprawę z trudności, które towarzyszyły ozdobieniu podziemiów. Wszakże wiele z tych figur mają uroczą prostotę. Są to nie typy, ale charaktery, nie obrazy, ale symbole, hieroglify, znaki i sądzić je tylko jako takie powinniśmy. Malarze myśl pisali, a nie przedstawiali przedmiotów. Dlatego Noe w arce wyobrażony jest w skrzyni małéj, Łazarz spowity i nieforemny, ryba, palma, są raczéj umówioną cyfrą, niż ikonem. W większych tylko przedstawieniach Wieczerzy, w pojedyńczych figurach, styl i malowanie ocenić się daje. Te, jak-eśmy mówili, tém są przedniejsze, im dawniejszéj sięgają epoki, chrześcijaństwo najmniéj naówczas mogło wyrazić się sztuką, było całe w życiu i czynie.

Trudno się było oderwać od tego widoku, który mimo pozornéj jednostajności, coraz czémś nowém nęcił i ciekawość obudzał.

Oglądaliśmy niemal wszystkich tych obrazów rysunki i kopie w dziełach dawniejszych i nowych, wydanych w tym przedmiocie, tu wszakże całkiem inne one robiły wrażenie, miały w sobie coś, co się na papier przenieść nie daje — żywego jeszcze ducha tamtych wieków.

Nareszcie potrzeba było kapitana Onofrio uwolnić od téj ciężkiéj wędrówki, którą dla naszéj podjął nauki, wróciliśmy powoli z niższych piątr, oglądając po drodze *luminaria*, na ziemię.

Trzysta lat walki wytrwałéj i zwyciężyła prawda! Jakąż to cześć winna ludzkość tym świętym ludziom, co potrafili światło wypiastować, co mu nie dali zagasnąć! Chociaż nie spełnia się nauka Chrystusa wszędzie i zawsze jak powinna, choć jest zaparta czynami i systemy, przecież powoli przejmuje ona społeczność, i jeśli się nowych nie ulęknie katakumb, pracy i modlitwy — zwycięży.

Nazajutrz dzień był poświęcony na oglądanie kościoła świętego

Piotra, podziemia i Watykanu. Ledwie wrażeniem z czytelnikami podzielić się możemy, bo opis tego ogromu przechodzi nasze siły i zakres tych notat podróżnych.

Jak pierwszą razą kościół św. Piotra wydał się nam wielce wspaniałym, galerye Berniniego, podwórzec, fontanny, bazylika w dali składają przepyszny obraz, ale front kościoła w miarę zbliżenia do niego traci... Kopuła majestatyczna znika, portyk nie wydaje się pięknym, co większa, gdy inne gmachy pozorną wielkością łudzą, ten ukrywa swe rozmiary i zdaje się mniejszym niż jest wistocie.

Uważają to wszyscy, powiemy zaraz, dlaczego się tak dzieje.

Góra Watykańska zatrzymała nazwanie rzymskie dawne, które wywodzą od *vaticinium*, od wieszczenia, wydawania wyroków; był to dawniéj cyrk olbrzymi za Nerona, a pod nim w katakumbach spoczęły naprzód zwłoki św. Piotra, późniéj z obawy o zawalenie się krypty przeniesione do innego grobu.

Na dawnym grobowcu św. Piotra pierwszy kościół wzniósł papież Anaklet, który Konstantyn rozszerzył i ozdobił. Stał on tysiąc przeszło lat; wizerunek jego zostawił Rafael w jednym ze swych fresków na Watykanie.

Bazylika dzisiejsza więcéj ogromem i przepychem niż jednostajnością myśli zdumiewająca, wznosiła się długo i nie wedle pierwotnéj idei Michała Anioła, ani wedle pierwotnego przeznaczenia swego, bo ją był papież Juliusz II na grób dla siebie przeznaczył. Bramante, Michał Anioł, Rafael, Baltazar Peruzzi, San Gallo della Porta, Maderna, pracowali około tego pomnika wiekowego, który dokończono zaledwie i wypełniono pod koniec XVII wieku. Rachunek fontanny w 1693 r. oblicza koszta budowy na przeszło dwieście pięćdziesiąt milionów franków.

Św. Piotr jak jest, składa, można powiedzieć, osobne miasteczko, ma swoję ludność, która nosi właściwe nazwanie *(San Petrini)*, swoję fontannę na dachu, domki dla służby także pod kopułą i wcale spore, zajazd osobny, którym muły dostać się mogą na górę, swoję temperaturę, swe światło i odrębne życie. Ogromna ściana przednia kościoła widziana od obelisku, łudzi naprzód tém, że trzystasiedmdziesiąt stóp mając długości, spiera się na ośmiu tylko kolumnach. Proporcye giną, bo wszystko jest zarówno powiększone, starano się jakby umyślnie uniknąć wrażenia ogromu. Dopiero zbliżywszy się, stanąwszy u jednego z tych słupów tak z dala zwyczajnie wyglądających, postrzega się, że kolumna ma około czterdziestu łokci wysokości, a więcéj czterech średnicy.

Po nad tém czołem stoją trzynaście równie kolosalnych posągów, Chrystus i apostołowie. — Każda z nich przynajmniéj trzy

razy jest większa nad naturę. Wspaniały portyk poprzedza kościół, sam on gdzieindziéj byłby już wielką świątynią, tu ledwie przedsionkiem. Stoją w nim dwa konne posągi Konstantyna i Karola W. i nikną... Ponad drzwiami środkowemi wiodącemi wewnątrz, jest kopia nowa mozajki zwanéj *Navicella* (Łódź piotrowa), którą *Giotto* i *Cavallini* wykonali byli do staréj bazyliki. Rysunek stary Giotta, znajdujący się u kapucynów, więcéj ma charakteru, niż ta mozajka znacznie już restauracyami i całkowitém przerabianiem zmodernizowana.

Wielkie drzwi, nad któremi mozajka jest umieszczona, bronzowe z XV wieku, nie wstrzymują, bo wnętrze samo bazyliki woła.

Całkowita długość ogromna, zrazu się taką nie wydaje, dopiéro rozważywszy postacie zaledwie przy mroku dające się dojrzéć w drugim końcu, można uwierzyć, że ma pięćset siedemdziesiąt pięć stóp, i że przechodzi wszystkie znane świątynie olbrzymie... W pośrodku plan kościoła jest tradycyjny, trzy nawy, kształt łacińskiego krzyża. Wchodząc postrzega się kropielnicę i przy niéj utrzymujące ją anioły, bardzo zwyczajnych proporcyj, z których każdy jest olbrzymem, przyszedłszy doń blizko.

Łacno było budowniczemu wywołać w patrzącym wrażenie wielkości, mnożąc galerye, piętra, słupy, rozdrabiając gmach na części, rozdzielając go na mnogość szczegółów, uczyniono właśnie przeciwnie, jest to, jakby zwykły kościół, widziany przez szkła powiększające. Mniejsze daleko świątynie, jak katedra kolońska naprzykład, u wnijścia łudzą efektem wielkiéj rozległości.

W pośrodku jest wgłębiony, wiekuistemi otoczony lampami grób św. Piotra nad katakumbą, w któréj jego zwłoki spoczęły. Idąc doń z prawéj strony przy pilastrze, spotyka się bronzowy stary posąg, który wierni całują w nogę. Bronz od tych pocałunków milionowych znacznie już został wylizany.

Wnętrze z marmuru, bronzu, mozajki, zastawione wspaniałemi grobowcami jest, trzeba przyznać, nad wszelki wyraz majestatyczne, tryumfujące, świetne. Minąwszy je, zstąpiliśmy do kapliczki grobowéj, oświeconéj tylko otworami w posadzce kościelnéj. Miała się tu msza odprawiać. Ołtarz na samych relikwiach Piotra i Pawła, (których połowa jest u św. Pawła, a głowy w Lateranie), ozdobiony jest mozajką i bronzami, miejsce bardzo szczupłe.

Stąd wyszliśmy do podziemnego kościoła, do sklepionych krypt zawierających oprócz grobów papieżów, mnóstwo pamiątek ze staréj bazyliki wziętych, które się w nowéj nie pomieściły. W korytarzach i nizkich ciemnych salach podziemia mieszczą się groby Ottona II cesarza, Stuartów, rzeźby, mozajki stare wielkiéj piękności i charakteru (z grobu Pawła II), malowania, rzeźby ołtarzów,

sarkofagi i t. p. Izba podziemna z tumbami papieżów przejmujące robi wrażenie, z ciemności wynurzają się te sarkofagi ciężkie, kolosalne, niektóre z figurami leżącemi na nich, wielce wspaniałe. Niéma tu przepychu, ale jest majestat śmierci i dziejów kościoła. Wiele ze szczątków staréj bazyliki (któréj tu zachowuje się rysunek) wzbudzają żal, że nie zostały użytemi. Otrzymano wprawdzie harmonię wielką odrzucając je, ale odjęto urok pamiątek.

Z czwartego wieku stoi tu sarkofag Juniusza Bassusa, prefekta Rzymu, ciekawy, jako rzeźba tamtéj epoki.

Wróciwszy do kościoła, nie wiem prawdziwie co zeń wybrać, aby go opisać; wspaniały wielki ołtarz w smaku Berniniego, który go zbudował, mozajki okrywające kopułę i ołtarze, trybunę z rysunku Michała Anioła, jeden z grobowców, których tu tyle, czy jednę z kaplic, z których każda się czémś odznacza?

Gmach pełen jest imienia Michała Anioła, choć pierwsza jego idea, choć nawet jego kopuła od planu oryginalnego znacznie w wykonaniu odstąpiły... myśl wszakże wielkiego artysty żyje tu i zaciera wszystko, co zrobili inni. Chodźmy więc w tém dziele oddać cześć drugiemu, jego dłuta, które wykonał mając lat zaledwie dwadzieścia i cztery. Jest to grupa Matki Boskiéj na kolanach trzymającéj ciało zmarłego syna (*Pietà*).

Niéma w niéj zniewieściałego wdzięku, ani starania o wytworną piękność, w młodzieńczém dziele znać już potężnego artystę, który surowo pojmuje sztukę i chce wyrazić całą siłę, jaką włada. Grupa ta wielce zajmująca, jako pamiątka, jako jeden ze szczebli, które przeszedł Michał Anioł, religijnego nie robi wrażenia, jest w niéj coś ostrego, coś rozpaczliwego niemal... niéma tego, czego i w życiu gwałtownego, ale pełnego gieniuszu i zacności człowieka nie było: rezygnacyi. Boleść to matki człowieka, ale nie matki Boga.

Zeszliśmy potém do Watykańskiego pałacu, ale i to znowu cały świat do obejrzenia. Nie jest to właściwie ani jeden gmach, ani jedna budowa, ale labirynt pałaców różnemi czasy posklejanych w całość. Samych dziedzińców naliczono tu dwadzieścia i dwa, trzynaście tysięcy izb i sal, są galerye po pięćset łokci długie, kaplice, korytarze, ogrody.

Gdyby nie łaskawy przewodnik, nie sądzę, bym sam trafił po trzystu wschodach do JMX. Augustyna Theinera, którego tytułów wypisywać nie potrzebuję. Ksiądz Augustyn Theiner mający otwarte i pod swym zarządem archiwa Watykańskie, czerpie z nich nie tylko dla dalszego ciągu dziejów Baroniusza, które już do XVI wieku końca doprowadził (jeśli się nie mylę), ale wydał i wydaje mnóstwo akt i dokumentów do historyi kościelnéj pojedyńczych

krajów. My także zawdzięczamy mu drogi zbiór tego rodzaju. W chwili gdyśmy byli w Rzymie, drukowało się właśnie dzieło: „*Monumens historiques relatifs aux règnes d'Alexis Michaelowitch, Feodor III et Pierre le Grand, Czars de Russie*“. Akta w nim zawarte, historyę Polski także objaśniające, z archiwum Watykanu i Neapolitańskich były zebrane.

Prawda, że ks. Theiner, zajęty pracą, niewiele wychodzić musi, ale gdyby kilka razy na dzień zmuszony był schodzić i wracać po kilkuset wschodach wiodących do niego, nie wiem, jakby mu nogi starczyły. Mieszka bowiem w dawném obserwatoryum astronomiczném na wieży, ma wprawdzie południk na posadzce i freski Zuccarego na ścianach, ale drapać się do nich musi nadto wysoko.

Jak wszyscy oddani nauce, ks. Augustyn Theiner jest mężem na swój wiek i olbrzymie prace bardzo jeszcze czerstwym, silnym i wielce pogodnego umysłu, bo nauka i praca raczéj zachowują niżeli niszczą człowieka. Już z przedłużenia dzieł Baroniusza przekonać się można, jak dobrze zna stosunki dawne Polski i jaką do religijnéj historyi naszéj przywiązuje wagę. Widać to było i z rozmowy, w któréj głęboką znajomość dziejów okazał i żywo o nich a z przejęciem się odzywał. Staruszek miły, wesół i wielce rozumny, z oczów mu bystrość patrzy i przenikliwość niezwyczajna.

Nie chcieliśmy mu zbyt wiele zabierać drogiego czasu, bo zastaliśmy w jednym owym obszernym pokoju o południku, obłożonego księgami i rękopismami, znać w biegu zajęcia, nie godziło się więc go przerywać.

Na dzisiejszy dzień postanowiwszy obejrzeć część zbiorów watykańskich, ograniczyliśmy się biblioteką i chrześcijańskiém muzeum.

Weszliśmy do sal bibliotecznych przez galeryę napisów nagrobnych zebranych z katakumb i kościołów. Zbiór ten bardzo ważny i zajmujący, z rozkazu Piusa VII wykonany przez Gaetano Marchi, zawiera ilość wielką ułamków epigrafiki chrześcijańskiéj, o któréj już mówiliśmy. Słuszną-by dziś było rzeczą złączyć go albo raczéj przenieść do Lateranu, bo to rozbicie pamiątek, badanie ich utrudnia. Biblioteka mieści się w wielkich salach, w szafach niezbyt smakownie malowanych, których alabastrowe i malachitowe wazy, porcelany sewrskie, dary panujących dzisiejszemu papieżowi, freski nareszcie stanowią ozdobę. Biblioteka bogatą jest szczególniéj w rękopisma. Zakład jéj sięga XVI wieku, przeszły do niéj biblioteka Mikołaja V, Fulwiusa Ursina, klasztoru

Bobbio w Piemoncie, Palatyńska z Heidelberga, Urbino, królowéj Krystyny, Ottoboniana i Bazyliańska z Grota Ferrata.

Rękopismów liczy przeszło dwadzieścia pięć tysięcy, wschodnich, greckich, łacińskich. Między temi *osiemnaście* jest słowiańskich. Ksiąg drukowanych niéma nad trzydzieści tysięcy. Otwarta bywa co dzień, ale odliczywszy święta, niedziele, ferye, ledwie sto dni w roku korzystać z niéj można. Rękopismy nie dozwalają się, jak za rozstrzygnieniem kardynała sekretarza stanu.

Do najciekawszych należą Wergiliusz z IV wieku, Terencyusz z IX wieku, Boska komedya Danta z miniaturami Giulio Clovio, Homilie św. Grzegorza Nazyanzeńskiego z 1063 roku, Dogmatica Panoplia przepyszna z 1081, Ewangelie z XII wieku, pontyfikały, palimpsest Cycerona ksiąg *de Republica*, Tassa i Petrarki rękopismy i t. d.

Niezmiernie zajmujące są szafy, składające muzeum sprzętów do obrzędów religijnych służących, w liczbie ośmiu. Zbiór ten rozpoczął Benedykt XIV, zbogacił Grzegorz XVI, przybywają doń różne przedmioty codziennie. Starożytności to chrześcijańskie; kielichy, pateny, cyborya, pierścienie, dyptyki, szkła, bronzy, kości są w liczbie bardzo wielkiéj, a niektóre z nich odległéj sięgają starożytności, szkoda, że metodyczniéj ułożone nie są, i zaledwie nieco podobierane. Epoki i sprzęty tak są zmieszane, że z niezmierną tylko pracą korzystać można z kolekcyi, która zresztą nie łatwo jest dostępną. Między obrazkami greckiemi znalazł się i Chrystus z katakumb, wizerunek stary bardzo, który mój towarzysz zrysował, chociaż pokazujący mocno się sprzeciwiali, gdyż na to potrzeba osobnego pozwolenia. Darem Grzegorza XVI jest szacowna płaskorzeźba na kości słoniowéj wystawująca Zdjęcie z krzyża, przypisywana Michałowi Aniołowi.

Niemniéj ciekawy jest zbiór starożytnych obrazów dawnych szkół aż do XV w., ale tego nie mieliśmy czasu pilniéj rozpatrzyć, ani mnogich zwojów papirusowych tu zachowanych.

W osobnym pokoju mieści się sławne wesele Aldobrandyńskiém zwane. Przez długi czas nim freski pompejańskie większe odkryto, było to, jeśli nie jedyne, to największe malowanie starożytne. Z tego powodu rozgłośne zyskało imię, sztychowano je wielekroć, a raz z rysunku naszego Fr. Smuglewicza.

Obraz ten na tynku malowany, rodzaj fresku odkryto jeszcze w roku 1606, w gruzach starożytnego domu na Eskwilinie, blizko łuku Galliana. Jest ono mocno i niejednokrotnie restaurowane, mimo to nabywca Pius VI zapłacił za nie kardynałowi Aldobrandini 10,000 skudów, około stu tysięcy złotych.

Tłómacze niektórzy zowią obraz ten zaślubinami Bachusa

i Kory. Kompozycya, o któréj z rysunku osądzić można, jest bardzo piękną, wykonanie zdradza kopię, jedno z tych powtórzeń, które ze sławniejszych obrazów robiono często. Może téż i poprawki popsuły ją, odejmując czystość rysunku i piękność stylu, która przegląda tylko w ogólnym układzie. Koloryt, niegdyś żywy, spłowiał bardzo; w rysunku znać wprawę, ale razem zaniedbanie. Oprócz Wesela są tu inne freski starożytne, Pazyfae, Mirra i t. p. figury bardzo piękne, lekkie i szlachetne, koloryt przejrzysty, nie silny. W innym pokoju obok znajduje się zbiór pieczęci i jeszcze malowania chrześcijańskie stare. Jest tu uczta Chrystusa z apostołami, bardzo pięknego stylu, który zdawałby się wskazywać wiek I lub II, gdyby nimbus trzydzielny nie kazał ją odnieść do V wieku.

Na ten raz nie poszliśmy daléj; zbiory zamykano, a po obiedzie mieliśmy zwiedzić jednę jeszcze katakumbę św. Kaliksta, dawniéj zwaną Ksystową (Św. Ksysta). Dawne i nowe wnijście do katakumb z ogrodu, jedno z nich bardzo malownicze, wśród rozwalin bluszczem okrytéj budowy. Ze wszystkich, które widzieliśmy, są to niezawodnie najobszerniejsze i najciekawsze. W nich papież Damazyusz położył napisy, które skrzętnie teraz zebrano, tu zaczęto oddawać cześć ciałom męczenników. Wspaniałe, rozległe bardzo, mnóstwem kaplic poprzedzielane, są tak wysokie, że w niektórych miejscach ciała leżą we dwadzieścia sześć rzędów, inne stoją w starożytnych sarkofagach. Tu znaleziono ciało św. Cecylii i kilku papieżów.

Niektóre kaplice noszą nazwanie od ciał w nich znalezionych i napisów, takiemi są Patrycyusza, Ksysta i t. p.

Korytarze nie są wszędzie jednakie, rozszerzają się i zwężają, budowa ich bardzo zastanawiająca i trwała. Ciągną się one w różnych kierunkach na kilka piętr pod całym dzisiejszym cmentarzem, na którym stoją wzniesione późniéj bazyliki śś. Kaliksta i Euzebiusza. Przy nowéj restauracyi dodano szerokie *luminaria*, które światło i powietrze do podziemiów przepuszczają.

Pozostałe na miejscu napisy są jeszcze bardzo liczne, szczątki kolumn, rzeźb, fryz zdradzają późniejszą już epokę, która się do ozdabiania przyczyniła. Na sarkofagach, które oglądaliśmy, jest jeszcze mieszanina godeł, pojęć epoki przejścia i tajemnicy, w któréj musiano tak chrześcijaństwo oznaczać, aby poganie swoje w nim mity wyczytywać mogli. Mnogość obcych bóstw i cudzoziemskich obrzędów, przyjęta w rzymskim panteizmie, dopuszczała mnóstwo wykładów.

W wielu ołtarzach na grobach znajdują się płyty marmurowe. W jednéj kaplicy ukazują dwa ciała męskie i żeńskie obwinięte

w całuny i osznurowane, jakby spowite, dawnym obyczajem, na sposób, jak Łazarz bywa w obrazach katakumbowych. Ciężar ziemi pospłaszczał je zupełnie.

Malowania lekkie, zręczne są w stylu starożytnych grobowców pogańskich, gieniusze, tancerki, wiązanki długie owoców, maski się nawet spotykają, głowa z rogami może Mojżesza. Na jednym obrazie Chrystus różczką dobywa źródło ze skały, z którego napawają się uczniowie. Wiele figur z rękoma podniesionemi, modlących się, Matka Boska z dziecięciem na łonie, Samarytanka u studni, kobieta kryjąca w studni ciało męczennika, znajdują się w tych katakumbach.

Tuśmy czytali jeszcze napisy na grobach biskupów, presbiterów, egzorcystów, fossorów i znaleźli nieporuszone znaki męczeństwa. Między freskami jest wcale dobrze malowany wizerunek św. Cecylii. Przedmioty obrazów i tu są też same, o których wyżéj mówiliśmy. Często trafiają się *Agapy* Chrystusa i uczniów, których liczba bywa różna od sześciu począwszy. Chrystus wszędzie wyobrażany młodym. Późniejsze obrazy z czasów papieża Damazyusza, mozajki, posadzki rozeznać się dają. Do godeł, o których mówiliśmy, gołębia z różczką oliwną, ryby z koszem chleba i chustą krwawą, dodać należy *pawia*, który się tu spotyka.

Nie pojmujemy świętokradztwa odwiedzających, którzy śmią obok męczenników kłaść swoje imiona w tych miejscach, pełno ich jednak wszędzie. O dziwna próżności ludzka! Prawda, że często z życia i z człowieka to tylko jedno świadectwo jego lekkomyślności pozostaje.

Katakumby śś. Ksysta i Kaliksta równie są zniszczone, choć więcéj się w nich dochowało pamiątek; ciał mnóstwo wyjętych, korytarzy pozasypywanych, połamanych sarkofagów, opustoszonych kaplic.

Chociaż za Piusa IX są one pilniéj strzeżone, przeszłemu już złemu zaradzić było niepodobna, ślady niepowetowanych spoliacyj pozostały.

W ozdobniejszych nieco kapliczkach posadzki są na sposób rzymski z drobnych sztuczek marmuru układane, niekiedy słupy kamienne, ale ściany tylko potynkowane. Na tych to tynkach nad drzwiami znajdują się malowania, na tle jasném. Większe kaplice mają i po dwa ołtarze na grobach męczenników, tron biskupi, siedzenia u drzwi, stolik albo konsolę wystającą od ściany na naczynia, nic więcéj. Wszystkie są stosunkowo szczupłe, reszta wiernych, przytomnych ofierze, gromadziła się u wnijścia.

Znajdują podobieństwo tych katakumb do grobów etruskich i kolumbaryów pogańskich, pierwsze może być przypadkowém,

drugie było nieuniknioném, gdyż wiek od razu z obyczaju swojego wyjść nie mógł.

Położenie katakumb nad drogą grobową Rzymian, nad tą *Via Appia*, którą otaczały mauzolea, ułatwiało chrześcijanom niepostrzeżone gromadzenie się i wychodzenie z ich podziemiów.

Ogólne wrażenie długich godzin spędzonych w wielu katakumbach, i bliższego nad niemi zastanowienia, jest czcią i podziwem dla tego wieku, który je zbudował. Potrzeba sobie uprzytomnić ten świat rzymski, wśród którego się to działo, zużyty, zniewieściały, zobojętniały na wszystko, sceptyczny, zmateryalizowany, okrutny swą obojętnością, aby pojąć, jak walka z nią była ciężką.

Ludzie ci przeżuli już wszelkie religijne systemy, starli poczucie moralnego piękna, chciwi tylko byli grosza i użycia; jakimże językiem, w imię czego przemówić do nich było można, co ze wszystkiego szydzić byli przywykli? Ubóstwiali siłę, jakże im dać było poczuć, że ona zniżała ich do zwierzęcia? Z razu zastępy męczenników witano śmiechy szyderskiemi. — *Chrześcijan na pożarcie! do cyrku!*—wołali patrycyusze po obfitych ucztach. Wleczono czyste dziewice do *lupanarów*, aby je zbezcześcić, urągano się tym, co świętéj prawdy dla cielesnego pokoju zaprzéć się nie chcieli, nie było potwarzy, którejby na tę *lucifuga natio*, na tych skrytych i tających się pod ziemią biedaków nie ciśnięto... zmyślono, że czcili ukrzyżowanego z oślą głową człowieka, że dopuszczali się szkarad największych, tysiącami duszono ich w zamurowanych katakumbach, tysiącami palono i zabijano, z pokorą znosili długie, długie znęcanie się owéj cywilizowanéj dziczy, aż w końcu przemogło światło i prawda. Gdyby w pierwszym wieku, po pierwszych mordach wyczerpał się on duch boży, co ich trzymał, czémże-by świat był dzisiaj?

Tak myśleliśmy, powracając od katakumb pieszo, powoli na naszę Via Sestina. Przecież to z łona tego świata zepsutego, jakim był ówczesny Rzym, wyszły te wielkie charaktery i ci bohaterowie! Społeczność nie była jeszcze tak do gruntu zgniłą, by w niéj nasienie przyszłości nie pozostało.

Idąc z panem Teofilem, spotkaliśmy niedaleko naszego mieszkania kilku w malowniczych strojach wieśniaków i wieśniaczek, z różnych okolic Rzymu. Wzięliśmy ich naiwnie za wędrowców, gdy lepiéj obznajmiony z miejscowością nauczył nas poeta, że to były modele, które artystom za wzór posługiwały. Mogliśmy więc i my nazajutrz do naszych pamiątkowych albumów schwycić stroje Albanek, wieśniaków z Abruzzów, chłopek z Sonnino i Nettuno. Zmieniały się wzory z kolei, ale w nich strój był może najpię-

kniejszą częścią, wogóle znużenie malowało się na uwiędłych obliczach, kształty nie posągowe były wcale i lica nie idealne. Jeśli młoda niewiasta przychodziła na godzinę dla szkicu stroju, towarzyszyła jéj staruszka dla przyzwoitości. Obie drzemały biedne, w dosyć niewygodnych postawach, ale artystyczne chętki mają także swe okrucieństwa. Album zbogaciło się jedną kartką rzymskich wspomnień.

Ukończywszy nasze rysunki, po dziesiątéj pojechaliśmy do Watykanu, dla rozpoczęcia muzeów, do których przystąpić nie można bez obawy; taki to las posągów, taka mnogość arcydzieł, tak wistocie długiego potrzebaby czasu, żeby to baczniéj i gruntowniéj rozpatrzyć i porównać. Jużeśmy je byli przeszli, zwiedzając bibliotekę i parę razy oglądaliśmy pobieżnie, teraz po niejakiém przygotowaniu, należało przystąpić do surowszego zastanowienia choćby tylko nad celniejszemi dzieły.

Takim zbiorem rzeźb starożytnych, jakiemi są muzea Watykanu, żadna stolica, żaden kraj pochlubić się nie może.

Traf chciał, byśmy nie odrazu mogli wejść do tego skarbca; pora była po temu, by dobrze widziéć *Stanze* Rafaela, należało z niéj korzystać. Są one w liczbie czterech; było to niegdyś mieszkanie papieża Mikołaja V. Aleksander VI kazał apartament zwany Borgiów malować, kilka stropów zrobił w nim Pinturicchio. Juliusz II z kolei górne piętro chciał miéć także malowaném i polecił je między innemi Signorellemu i Peruginowi. Robili oni koło nich, gdy Bramante polecił papieżowi Rafaela. Dano mu za pierwszy przedmiot *Dysputę o P. N. Sakramencie.* Papież tak był nią zachwycony, że kazał to, co już dokonaném było, zmazać i wszystką robotę oddał jemu. Przez poszanowanie dla swego mistrza, młody Sanzio oszczędził jeden sufit Perugina, który nawet przy jego obrazach dziś jeszcze jest piękny bardzo, swą wielką prostotą.

Freski te wiele cierpiały, są poczerniałe, poobijane, restaurowane, co wogóle szkodzi temu rodzajowi malowania więcéj niż olejnemu. Obraz może być biegle wyrestaurowanym i odnowionym tak przez dobrego artystę, ze czcią dla prototypu, że śladu prawie nie zostanie, iż był tknięty, fresku niepodobna restaurować, nie uszkadzając tonu jego. Zachowuje się rysunek, kompozycya, ginie harmonia, lekkość, powietrzność, czuć zawsze łatanie. Niegdyś w czasie zajęcia Rzymu za Karola V, stało tu żołdactwo, od którego malowania mocno ucierpiały. C. Maratti odczyszczał je i niektóre części odnawiał.

Stanza pierwsza, w któréj znajduje się ów strop malowany przez Perugina, zawiera cztery obrazy z rysunków Rafaela wyko-

nane przez jego uczniów. Mówią, że on sam robił część pożaru w Borgo, figury niektóre malował G. Romano. Układ obrazu jest piękny, życie w nim wielkie, dramatyczność, wdzięk niewieścich postaci znakomity, ale przedmiot sam może sprawia, że Rafael nie jest w nim tak wielki, jak gdy maluje spokój, niebo, Apollina i Muzy lub dysputujących starców. Więcéj siły, energii, furyi potrzeba było na to zadanie. Uczyniono uwagę, że Rafael nigdzie może w swych kompozycyach tyle razem nagich postaci nie użył, co tutaj, zdaje się to umyślnym jakby popisem anatomicznych studyów.

Druga ze sławnych Stanz zawiera szkołę Ateńską (zowią ją *de la Segnatura*). Tu papieże podpisywali *breve*, i do tego się ściągają postacie allegoryczne teologii, filozofii, literatury (nauki) i prawoznawstwa, na stropie w owalach wyobrażone. Oprócz nich są na nim Sodomy: Nauka, Sąd Salomona, Adam i Ewa kuszeni przez węża i Marsyasz, którego ze skóry odziera Apollo. Ostatni przedmiot starano się wytłómaczyć, i przyszło do tego, że ktoś to nazwał: „talentem zabijającym pedantyzm!“ Naciągany bardzo wykład i nie do rzeczy— lepiéj przyznać się do bezsilności.

Tu naprzód uderza wspaniała Dysputa o P. Sakramencie, jedna z najpiękniejszych kart dzieła Rafaela, w któréj zespoliły się ziemia i niebiosa na uznanie tajemnicy łączącéj ziemię z niebem. Bóg, anioły, święci, doktorowie kościoła, wyrzekają o ustanowieniu Sakramentu jednym chlebem żywota, mającego karmić całą ludzkość, człowieka łączącego cieleśnie i duchowo z bóstwem. Nic nie dorównywa majestatowi tych figur i wielkiéj całości, jaką tworzy obraz z takiéj mnogości postaci złożony. Są tu niektóre powolnością tylko Juliusza II wprowadzone jak Savonarola; inne przez uwielbienie jak Dante, przez przyjaźń, jak Bramante, przez cześć, jak Fra Angelico umieszczone w nieśmiertelnym Soborze, Rafael swą ręką malował cały fresk, i zasięgał w kompozycyi rady Aryosta, pracował nad nim z wielką usilnością, to téż jest tu natchniony, jest jeszcze uczniem z ducha Fra Angelica, choć potężniejszym nadeń jako artysta, niedościgającym go jako ubłogosławiony.

Bardzo słusznie zauważono, że w Dyspucie Rafael należy zarówno do téj szkoły, z któréj wyszedł, jak do téj, którą miał stworzyć. Najwięcéj blasku Dyspucie daje wszakże przeszłość jego i młodzieńcze upojenie religijne. Przebija się tu nieco naśladowanie układu i stylu Fra Bartolomea.

Szkoła Ateńska przedstawia filozofią, i jest już co do układu, stylu, ducha, swobodniejszém dziełem od poprzedzającego. Znać w niém człowieka pewnego siebie. Gdy tam artysta chciał dowieść, kim był, i pracował gorączkowo, tu chłodno a potężnie swym przedmiotem włada. Artystycznie Szkoła Ateńska nie ustę-

puje Dyspucie, może ją przewyższa większą śmiałością układu, ale o ile filozofia różni sią od teologii, rozum od natchnienia, mistycyzm od logiki powszedniéj, o tyle Szkoła Ateńska chłodniejszą jest od poprzedniego obrazu.

Rafael spotykał się tu z przedmiotem, którego malarstwo do jego czasów prawie było nie tknęło, przeczuł wszakże, gdzie wzorów było szukać potrzeba, odgadł ten świat i oddał go ze szlachetnością, z powagą, któréj żaden malarz dotąd nie przewyższył...

Tu wszystko odbywa się na ziemi, symbolem pracy naukowéj jest ów Archimedes schylony, zamyślone twarze, w trudzie ducha chodzący filozofowie i uczeni, o własnych siłach. Jest to wielki obraz tego, co starożytność grecka dokonała, przygotowując przyszłość. Skupił Rafael uosabiających pracę wieków ludzi, co jéj przewodniczyli.

I w tym fresku pokazują wiele portretów współczesnych. Archimedesowi dał artysta twarz przyjaciela Bramante, za Zoroastrem stoi Perugin i sam Rafael, w lewo za Pitagorasem, w białym płaszczu jest książę Urbino, synowiec papieża Juliusza. Mówią, że wkrótce po śmierci Rafaela tak jakoś w Rzymie zapomniano o znaczeniu tego fresku, iż go sobie tłómaczono św. Piotrem i Pawłem (Plato i Arystoteles) nawracającemi Greków.

Trzecim jest *Parnas* (poezya), *con amore* prawdziwie malowany, prześliczny. Tu w niebiosach, w tych *templa serena*, wkoło Muz i Apollina siedzą Homer, Pindar, Safo, Horacy, Wergili, Owidyusz, Enniusz, Propercyusz, Dante, Petrarka, Bokacyusz, Sannazar.—Prawoznawstwo naturalnie zimniéj i sumaryczniéj się ukształcilo, na drugiém oknie uosabia je z dygiestami Justynian.

Następna Stanza zowie się *Heliodorową*, gdyż na głównéj ścianie wyobrażone jest wypędzenie Heliodora ze świątyni, zwycięstwo sprawy ducha nad sprawą ziemi. Myśl wszakże podał do téj allegoryi prawie Juliusz II (którego artysta wystawił na obrazie), odgrażając się, że rzuci w Tybr klucze Piotrowe, a miecz Pawła w dłoń ujmie. Scenę tę znają wszyscy ze sztychów mnogich, jest wspaniałą i piękną, jest najdramatyczniejszą może ze wszystkich. Rafael skończył ją w r. 1512.

Taż sama myśl promienieje z obrazu Leona I wstrzymującego Attylę u wrót Rzymu. Jakkolwiek ten Leon I ma być alluzyą do Leona X, my widzimy w tém zawsze zwycięstwo toż samo siły bożéj nad zwierzęcą

Cud w Bolsena (1264 r.) wyobrażony w téjże stanzy w niewygodném miejscu przeciętém oknem, — kolorytem i bogactwem kompozycyi celuje. Legenda powiada, że w czasie mszy świętéj,

ksiądz, który ją odprawiał, nawrócony został z niedowiarstwa widokiem hostyi zakrwawionéj. Pomiędzy przytomnemi mszy, widać Juliusza II, a na pierwszym planie kobietę, która jest zjawiającą się pierwszy raz w dziele Rafaela piękną Fornariną.

Na odpowiedniém drugiém miejscu, przedzieloném oknem z równém misterstwem kompozycyi, Rafael wystawił uwolnienie św. Piotra z więzienia. Ma to być także alluzya do oswobodzenia Leona X, wziętego w niewolę w bitwie pod Rawenną. Są tu trzy efekta światła, które zbytecznie wychwalano, daleko godniejsze pochwał są pięknego rysunku figury obrazu.

Nakoniec przychodzimy do sali *Konstantyna*, w któréj fresk główny, bitwa Konstantyna z Maksencyuszem przy Ponte Molle, jest tylko z rysunku Rafaela zrobioną. Zaczął ją był malować olejno na murze, ale śmierć go zaskoczyła. Przyznają mu tylko dwie piękne, allegoryczne postacie Sprawiedliwości i Łagodności. Fresk ten, gdyż po śmierci mistrza, Giulio Romano zdjął powłokę i bitwę malował zwykłym sposobem *al fresco* — wygląda czarno i niemiło; niéma jasności, przezroczystości pierwszych robót Rafaela. Układ obrazu jest piękny, umiejętny, ale Sanzio nie był malarzem bitw i podobnych wielkich machin; czuć, że tchu mu brak na gwałtowność, na zajadłość walki, nadaje jéj uroczystą powagę chwili, która rozstrzygała o losach świata, nie tytaniczną zaciętość. Ukazanie się krzyża w niebiesiech Konstantynowi malował Giulio Romano i zachować miał w części przygotowany rysunek Rafaela, dodał wszakże ze swego dwóch paziów i karła, Klemensa VII. Giulio nie jest wcale sympatycznym dla tych, którzy miłują jego mistrza, o ile Rafael ma wrodzonego wdzięku, tyle ten dzikiéj fantazyi, w któréj czuć siłę, ale brak instynktowego uczucia piękna. Dwa pozostałe freski, chrzest Konstantego przez Penni, oddanie Rzymu papieżom przez de Colle już po Stanzach oglądać się nie dają.

Ze wszystkich obrazów tych nieśmiertelnych izb, które pędzel Rafaela poświęcił, *Dysputa* i *Szkoła* są niechybnie najwspanialszemi. Nawet ów uroczy *Parnas* iść z niemi nie może w zawody.

Tuż prawie obok *Stanze* mieści się niewielka kapliczka Mikołaja V, malowana przez Fra Beato Angelico. Można sobie wystawić, z jaką obawą szliśmy do niéj, lękając się, aby świeże jeszcze wrażenie fresków Rafaela nie odjęło nam miłości dla natchnionego zakonnika.

Lecz nie, nawet porównany z Rafaelem, Angelico zostaje sobą i jest wielkim malarzem. W kapliczce téj po dramatycznych scenach poprzedzających, oddychamy błogo spokojem. Uderzają naprzód poważne pojedyncze postacie, Ambroży, Augustyn, Grzegorz,

Potém następują sceny z żywota św. Wawrzyńca, pod którego imieniem zbudowana była kaplica.

Uderza święty rozdający ubogim jałmużnę, obraz, w którym Angelico uniknąć potrafił odrażliwego charakteru nędzy; jego ubodzy są chrześcijanie, są zrezygnowani, są smutni, zboleli, ale widać, że ust nie skalali narzekaniem. Na drugim święty naucza lud. W grupie kobiet, które go słuchają, jest jedna trzymająca dziecię tak zasłuchana, iż obawiać się trzeba, aby go nie upuściła, druga z załamanemi rękami, przejęta, trzecia, która je składa z uczuciem do modlitwy, czwarta najobojętniejsza, prawie roztargniona, a już pochwycona jednak urokiem słowa bożego. Tak Fra Angelico umiał urozmaicać postacie i obmyślać układ swych obrazów.

Matka jest matką, przyciska dziecię, ale przez to, że macierzyńskiém uczuciem serce się jéj otwarło, bliższą jest pojęcia prawdy, która miłością się wyraża. Ostatnia obojętna nie doznała jeszcze ani bólu, ani przywiązania i zimniejszą być musi. Jest potężna znajomość serca ludzkiego w tych obrazach Fra Angelico. Cała kaplica tchnie nadzwyczajnym pokojem, ciszą słodką niebieską; jest, można powiedziéć, tak pobożną, jak był ten, co ją malował.

Loże Rafaela mieszczą się w jednym z portyków (galeryj dziś oszklonych) przez niego zbudowanych w myśl planu Bramantego na drugiém piętrze. Gdyśmy je zwiedzali, właśnie je starannie bardzo odnawiano. Na sklepieniach mieszczą się wedle kartonów Rafaela malowane przez uczniów jego sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Jest ich pięćdziesiąt i dwie — znamienitych układem i rysunkiem. Oprócz tego przyozdobił je Sanzio ornamentacyą, która naówczas była nowością. Właśnie odkryte zostały malowania starożytne w termach Tytusa, Rafael pilnie je studyował, przejął się ich fantazyą i odwzorował w łożach. — Są one wielkiego wdzięku, lekkości, ale obok surowych obrazów biblijnych stanowią prawie anachronizm. Czuć, że to są goście z grot przybyłe na ziemię, która inną myślą oddycha. Nic piękniejszego nad to naśladowanie wykwintnego ozdobnictwa rzymskiego, które Rafael zbogacił może, tchnąwszy w nie gieniuszem swoim, ale te rozsypane kwiaty, owoce, zwoje, cacka, fraszki już nas przenoszą w świat inny.

Od łóż powietrznych, od uspokojenia Angelica, przeszliśmy wprost na obejrzenie sławnéj kaplicy Sykstyńskiéj, tryumfu Michała Anioła. Nigdzie on większym jak tu nie jest olbrzymem, nigdzie lepiéj nie czuje się różnicy dwóch gieniuszów, równych sobie, a wcale odmiennie uorganizowanych. Rafael w Dyspucie,

w lożach, w ornamentacyi, w całém życiu, jest tym lgnącym do świata duchem, co się upaja, przejmuje wszystkiém i przywłaszcza sobie wszystko, aż do charakteru Michała Anioła nawet. Bóg Ojciec stwarzający świat, widzenie Ezechiela podnoszą go na wysokości Buonarottego. Buonarotti jest tylko sobą, olbrzymem samoistnym, odosobnionym, silnym i niezłomnym. Od pierwszéj bryły marmuru, którą wyrzeźbił, ściany, którą wzniósł, fresku, który stworzył, do ostatniéj poezyi swéj i obrazu, Michał Anioł jest jeden.

Wielka i piękna dusza osmutniała, ale szlachetna. Rafael daje się uwieść i umorzyć Fornarinie, Michał swe noce spędza u łoża chorego sługi, a gdy kocha kobietę, szuka w niéj natchnionéj Sybilli. Miłość jego jest tak surową jak posągi, tak czystą, jak obrazy, tak poważną, jak jego gmachy. Są to dwie natury równie wielkie, a w niczém do siebie niepodobne, instynktowo czujące ku sobie odrazę dwóch pierwiastków odmiennych.

Rafael w związku z całym światem, ma wielbicieli we wszystkich, Michała Anioła aby pojąć, trzeba się podnieść do niego; pierwszego gieniusz spływa promieniem jasnym na świat, drugiego wzlatuje w niebo. Jeśli ci Bóg dał skrzydła, goń za nim, abyś go poścignął.

Poważnie a surowo wygląda ta smutnych, wielkopiątkowych obrzędów kaplica Sykstyńska, mroczno w niéj i straszno.

Zowie się ona Sykstyną od Syksta IV, który ją wznieść rozkazał około 1473 r. Architektem był Pintelli.

Byliśmy już u drzwi, gdy z powodu restauracyi odmówiono nam wnijścia, zaczęto robić trudności, ale sama obawa wyjechania z Rzymu, nie widząc Sykstyny, kazała nalegać i potrafiła nareszcie skłonić, że nam te drzwi, przez które rzemieślnicy wchodzili, w oczach naszych, otwarto.

Zwycięstwo to winniśmy byli trochę stałości naszéj, dużo przekonywającym argumentom dotykalnym.

Ozdób tu niéma nadzwyczajnych, do koła dla kardynałów ławy, siedzenie dla Ojca świętego. Od świec poczerniały bardzo malowania.

Nie całą Sykstynę zajmuje Michał Anioł, pozostały tu freski starsze, mimo wielkich zalet, drobno jakoś, dziecinnie wyglądające przy olbrzymie. Perugin, Ghirlandajo, Signorelli toną niepostrzeżeni.

Całą naprzeciw wnijścia ścianę zajmuje olbrzymia kompozycya Sądu ostatecznego — zczerniała od kilkusetletniego kopciu świec, ciemna; w któréj na pierwszy rzut oka tylko chaotyczną masę

figur się postrzega. Potrzeba się wpatrzyć, aby plan obrazu objąć i szczegóły jego ocenić.

Przywykłym do malarstwa religijnego, zwyczajnego, w którym tradycya ma przeważny udział, dziko się to wydaje jakoś, jakby nie chrześcijanin, ale wstały z grobu artysta rzymski nakreślił ten przedmiot. Chrystus, Jowisz, anioły, potępieńce. M. Boska jedyna prawie postać odziana w całym obrazie, te strumienie nagich ciał, te chmury trupów; nie są do niczego znanego podobne. Każdy inny malarz musiałby się był ugiąć pod wpływem przypomnień i mimowolnego naśladownictwa, Michał Anioł jest sobą. On tak pojął Sąd ostateczny.

Forma jest przeważnie jego własną, mimo to coś tradycyi w osnowie przegląda. Chrystusa tak prawie pojął Orgagna na pizańskim fresku, Matka Boska tuląca się do Chrystusa, myśl także Orgagni, albo bardziéj myśl chrześcijańska; u spodu Danta Charon z łodzią i Minos wężem przepasany i rzeka, potok, lawa nagich ciał, przerażająca potęgą twórczą.

U dołu szatan białemi świecący zębami, i oczyma, umarli co z grobów powstają jeszcze na pół trupami, potępieńcy, są okropni. Gdzie siłę i gdzie burzę, gdzie trzeba było wydać namiętność, tam Michał Anioł jest samą siłą, burzą i namiętnością.

Fresk ten nie jest do opisania, składa się z tysiąca szczegółów; mówią, że tworząc go artysta, czytał Danta i na brzegach księgi rysował, co z niéj wydobył, całyby tu świat Dantejski odszukać można. Mówią również, iż Sąd ostateczny Signorollego w Orvietto posłużył mu do układu, że Chrystusa zapożyczył u Fra Angelico z jego fresku. Temu jednak wierzyć się nie chce, nic ona nie ma z jego charakteru. Mnóstwo powiastek rozpowiada się o tém dziele, takiego rodzaju, jak w Medyolanie o Cenie Leonarda, gdzie przeor konwentu miał służyć za Judasza. Tu niejaki messer Biagio, mistrz ceremonii Pawła III, papieża, odmalowany jest z oślemi uszami na pamiątkę, iż owe nagości uznawał za niewłaściwe do kaplicy. Ze swojego stanowiska oślego messer Biagio miał trochę słuszności—drobni ludzie dopatrzą wprzód gołych nóg, niż straszliwéj myśli obrazu.

Gdy się biedny w piekle osadzony mistrz ceremonii poskarżył, Paweł III miał mu odpowiedziéć: — *Ex inferno nulla redemptio!* Z piekła wyjścia niéma, gdybyś był w czyscu, dałoby się to zrobić może.

I zostały na wieki ośle uszy skromnego krytyka, na naukę tym, co się nagościami wszelakiemi do zbytku trwożą.

Fresk Michała zajmuje podobno miejsce trzech startych Perugina.

Obraz ten jakkolwiek wielki, przesławny i godzien swéj sławy, w przekonaniu naszém gaśnie przy suficie Michała Anioła. Na nim mistrz jest dopiéro niezrównanym.

Sklepienie dzieli się na trzy pasy, w każdym z nich mieści się po kilka obrazów, podtrzymywanych przez rzeźbowego charakteru postacie przecudownego rysunku i wielkości stylu. Dokoła otaczają je *Prorocy i Sybille.* Ale jacyż prorocy i jakie Sybille, jesteśmyż w stanie dać wam wyobrażenie choć słabe potęgi tych figur zadumanych, skamieniałych wszechwiedzą i całą boleścią wieków? Każda z tych postaci, wzięta odrębnie, zdumiewa. Niektóre z nich przypominają leżące posągi na grobach Medyceuszów (bo i Michał Anioł powtarzać się musiał). Do jakiego ideału powagi i majestatu we freskach stropu podniósł się mistrz, nie podobna wyrazić. Są to wistocie nadludzkie postacie, obleczone ciałem, ale żyjące życiem oddzielném, inném, niepoścignioném dla nas. Przy nich wszystko maleje. Sztuka nic nie stworzyła potężniejszego w nowszych czasach.

A ten-że powieszony Aman i ścięty Holofernes z jaką śmiałością, z jakiém zuchwalstwem rzuceni są na stropie! Wpatrzywszy się w to wistocie Rafael, wielki Rafael, wydaje się nam słabszym, mniéj sobą, mniéj siłą. Juliusz II nie dał prawie dokończyć Michałowi Aniołowi kaplicy, tak mu pilno było ją objąć i nią się cieszyć.

Dnia 10 maja 1508 r. rozpoczął koło niéj roboty Buonarotti, d. 1 listopada r. 1509 już część była odsłonięta. W r. 1513 jednakże kaplica jeszcze odkrytą nie była w całości.

Zakończym to, cośmy powiedzieli o Michale, słowy bardzo trafnemi nowych wydawców Vasarego.

„Michał Anioł był bardzo oryginalnym, chociaż ściśle biorąc, nie stworzył ani rysunku ani rzeźby. Uczył się na Ghibertim i Donatellu, Masacciu i Orgagni, Brunelleschim i Verocchio, nawet na Leonardzie i Rafaelu. (Ta uwaga zdaje się nam zupełnie mylną). Wdzięczność swą wyraził dwom inicyatorom Dantemu i Giotto. Pędzel jego nie miał łagodności lombardzkiéj Corregia, wdzięku rzymskiego Rafaela, uroku weneckiego Giorgiona i Tintoreta, bogactwa i pewności hiszpańskiéj Murilla i Ribeiry, świetności i harmonii flamandzkiéj Rubensa i Rembrandta, spokoju i rozwagi francuskiéj Lesueur'a lub Poussin'a. Była to natura nieulękła, silna, uparta. Miał gieniusz i metodę; gieniusz od natury, metodę od ojczyzny Florencyi. Nauka moja, mawiał, zrodzi mistrzów wieków. Wistocie niewolnicze naśladowanie Michała Anioła, jego wad przesada, brak jego przymiotów, rzuciły sztukę w szalone nadużycia. Michał Anioł dokończył cyklu sztuki florenckiéj, rozpo-

czętego przez Giotto. Po nim został Rzym bardzo upadły, Wenecya także w upadku i Bolonia, która nie mogła zastąpić Florencyi, Rzymu i Wenecyi. Michał Anioł jest w sobie cały wiekiem szesnastym, z jego melancholicznemi żalami, zuchwałemi nadziejami, długą męczarnią i olbrzymiemi zdobyczami. Michał Anioł to wierne uposągowanie epoki, najpodobniejszy, najpełniejszy jéj obraz. On jeden panował długo, uznany, prawowity, wszechmocny. Gdy Michał Anioł umierał (1564 r.), Galileusz na świat przychodził, nauka miała wyręczyć i zastąpić sztukę. Michał Anioł i Rafael byli jedynemi zwycięscami na polu sztuki, nic nie zrówna oklaskom ludu zachwyconego, gdy ujrzał z ich rąk wychodzące... karton wojny Pizańskiéj, Stanze Watykanu, kaplicę Sykstyńską i Przemienienie. Żaden głos ozwać się nie śmiał zaprzeczający zwycięstwu. Potrzeba było więcéj wieku, aby ośmielona krytyka odważyła się pierwsze słowo wyszepnąć. Po usiłowaniach próżnych przeciwko Rafaelowi i Michałowi, naostatek postąpiła jak kamieniarze, którzy dyament dyamentem szlifują. Postawiła Rafaela przeciwko Michałowi, Michała przeciw niemu. Ale od trzech wieków nieustannie rozbijani jeden drugim, Rafael i Michał Anioł coraz jaśniejszym świecą blaskiem.“

Wróciliśmy nareszcie do muzeum rzeźb starożytnych, o którego bogactwie jużeśmy wspominali. Składa się ono ze zbioru *Chiaramonti*, założonego przez Piusa VII, muzeum *Pio-Clementino* od imion papieżów, co je zbogacali, tak nazwanego muzeum gregoryańskiego etrusków, i muzeum egipskiego. Z tych wszystkich muzeum etruskie, jako pomnik sztuki, od którego zrazu całą swoję zapożyczyli Rzymianie, i muzeum rzeźb grecko-rzymskich są bardzo zajmujące. Mówiliśmy już o sztuce u Rzymian, którzy stworzyli państwo ze zdobyczy i sztukę swą także zawojowali, własnéj nie mogąc urodzić. Etruskowie, późniéj Grecy pożyczyli im to, czém Rzym stary jaśniał. Może najsamodzielniejsi w architekturze, chociaż charakter jéj stanowiące sklepienie nie było ich wynalazkiem, ale również pożyczką od Etrusków, w rzeźbie, malarstwie Rzymianie są bezwstydnemi plagiatorami Greków. Wszystko jest u nich zdobyczą, religie ludów podbitych wwożą do swojego panteonu, tworząc z nich sturamienną mitologią, zawojowują kraje, łupią posągi, wywożą obrazy, kupują naczynia, sami nie są w stanie nic wydać z siebie nowego, oprócz wielkiéj idei, która przegląda w państwie uniwersalném Rzymian, idei zjednoczenia przyszłego świata, solidarności ludzkości całéj, — którą religia Chrystusowa ma wyjaśnić i uwieńczyć wyrazem równości i braterstwa. Rzymskie podboje, dokonywane siłą, są przecież bez ich świadomości potężną pracą przygotowawczą, cywilizacyjną, a samo rozlanie greckiego światła

już je w historyi stawi wysoko, mimo tego braku twórczości duchowéj.

To, co nam pozostało ze sztuki rzymskiéj, jest przez Rzymian uprawioną sztuką grecką w nowéj bytu epoce. Oryginalności od panów świata ani pożądać można, ani jéj u nich szukać.

Wszystko, co najbardziéj uderzającém, co najpiękniejszém jest w tym zbiorze olbrzymim, co ma wybitne piętno właściwe prostoty, wdzięku, szlachetności, ideału — jest napewno czysto greckiém.

W nowém skrzydle muzeum Chiaramonti, wspaniale ozdobném kolumnami z alabastru i *giallo antico* (z grobu Cecylii Metelli) znajduje się dziesięć starożytnych mozaik *), przepyszna karyatyda, którą restaurował Torwaldsen, dwie maski Meduzy kolosalne ze świątyni Wenery w Rzymie, posąg prześliczny Demostenesa, znaleziony blizko Tuskulum i mogący pochodzić z willi Cycerona, naostatek przyznawany Lizypowi atleta. Atleta stoi odosobniony i zadziwia szlachetnością kształtów, naturalnością ruchu, ideałem formy, który Grecy tylko znaléźć umieli. Jest to jedno z arcydzieł muzeum. W półkolistym wgłębieniu leży olbrzymi posąg Nilu, cały okryty szesnastu małemi dzieciakami, które po nim pełzają. Jest to także kopia dzieła greckiego z epoki po-Aleksandrowéj. Gdybyśmy same typy główne zliczyć chcieli, jużby to osobnego dzieła potrzebowało. W pobieżnym przeglądzie ledwie wspomniéć możemy o najcelniejszych. Oto jeszcze Faun z praksytelesowéj szkoły, płaskorzeźby wystawujące gladyatorów, sarkofagi całe okryte obrazami z marmuru, bóstwa, ubóstwione Cezary, popiersia sławnych mężów, Kupido Praksytela, i niezliczone całéj epoki świata twory, które dziś są dla nas prawie hieroglifami i tajemnicą.

Z muzeum Chiaramonti przechodzi się w osłupieniu do Pio-Clementino i spotyka naprzód niezmiernéj siły tors sławny, zwany Belwederskim, fragment posągu Herkulesa. I to niestety jest dzieło greckie Apolloniusa, syna Nestora Ateńczyka. Jest to ideał *budowy* człowieka harmonijnie uwydatnionéj. Tu stoi także z czasów rzeczypospolitéj sarkofag Scypiona Barbatusa, droga pamiątka. Mijamy balkon z widokiem, który nadaje téj części imię Belwederu, zbliżamy się do wybranych i najsławniejszych klejnotów skarbca, do Laokoona, do Apollina, nie chcemy patrzéć na znanego nam Perseusza Kanowy, dziwim się sarkofagom i porfirowym wannom cezarów, idziemy do Laokoona.

---

*) O mozajkach i malarstwie starożytnych obszerniéj w Neapolu i Pompei.

Jest to w starożytności już sławione dzieło, o którém Pliniusz wspomina, że było umieszczone w pałacu Tytusa. Mówi on, iż stworzyli je *trzéj* mistrzowie greccy z Rodos: Agesander, Polidor i Atenodoros. Grupa ta, zachwycająca wyrazem niezmiernéj boleści, jest dopełniona przez kilku rzeźbiarzy, znaleziono ją bowiem w r. 1506, w owéj świetnéj dla sztuki epoce, potłuczoną i uszkodzoną. Michał Anioł nazywał Laokoona „cudem sztuki", jest on nim wistocie, nawet starożytni, jak widać z Pliniusza, już go za arcydzieło uważali. Całe księgi napisano o nim, znają go wszyscy, tu stanąć tylko trzeba, milczéć i podziwiać.

Od eginetyckich marmurów co za ogromną przestrzeń przebiegła sztuka grecka! W Laokoonie dochodzi szczytu, krok daléj, nastąpić musi upadek, przesada, przekwit.

Po tém męczeństwie oczy z rozkoszą odpoczywają na Apollinie belwederskim, stojącym w wyżłobieniu, promieniejącym młodością ubóstwioną. I ten posąg znalazł się w XVI wieku, gdy wzorów sztuka potrzebowała. Z ziemi naówczas wydobywały się pamiątki same, na zawołanie wieku, który je ocenić umiał. Jakkolwiek jest to jeden z najbardziéj uwielbianych posągów, my prawie przenieślibyśmy nadeń Apollina z jaszczurką, dzieło greckie nierównie wdzięczniejsze, mniéj dramatyczne, mniéj krzyczące, jeśli się tak rzec godzi, a niezmiernéj piękności.

Apollo Belwederski jest z téj epoki sztuki, którąby teatralną nazwać można, w któréj nie starczyło piękna artyście, potrzebowali sztuką i rozmysłem uwydatnić je, szukali efektu. Niéma tu onéj wielkiéj prostoty i namaszczenia pierwszych epok, które tak głęboko przemawiają; wszystek uzewnętrzniony, chlubiący się sobą, pokazujący światu Apollo jest cudowny, ale już w jego marmurowéj piersi—myśli szukać i czucia byłoby napróżno.

Mania podpisów i nieśmiertelności na pewnéj części mniéj widzialnéj Apollina belwederskiego wyraziła się w dziwny sposób sekretnie zapisaném imieniem. Przejść do potomności w ten sposób jest przynajmniéj zabawnie.

Mniéj może znana jest sala zwierząt starożytnych, nadzwyczaj zastanawiająca dla tych, co miarę naśladowania natury w dziele sztuki badać zechcą. Nie przeszli jéj nigdy Grecy; zwierzęta jak wszelka istota, któréj rzeźba ich dotknęła, są wyidealizowane, a prawdziwe. Znajdziecie tu co najmniéj możliwém było uszlachetnić, wszakże uszlachetnione a żywe. Tam, gdzie fantazya ich tworzyła zwierzę niebywałe, sprzężenie najmniéj do siebie przystających połowic istot, zdaje się nawet naturalném, koniecznem. Mistrze w sztuce, Grecy, panują po dziś dzień, krokiem daléj nie

posunęła się ona od ich czasów, a ileż razy w błędne manowce cofała!

Braknie sił na obejrzenie tego mnóstwa. Zachowały się tu nawet artystycznie utworzone sprzęty; nic piękniejszego nad monumentalne ich kandelabry, zwane tu Barberinich. Znaleziono je w ruinach willi Adryana. Stąd także pochodzi wielka mozajka posadzkowa z wiązkami mask i krajobrazem.

Otóż jedno przecie, czego Grecy pojęcia nie mieli, — natury, pejzażu. Pejzaż ich jest zbiorowiskiem budowli, fantazyą architektoniczną; woda, skała, drzewo, powietrze, jeszcze dla nich były bezmyślne i martwe. W wykopaliskach Pompei, w muzeum Watykanu, w starych grobach z okolic Rzymu, mieliśmy zręczność studyowania pejzażu starożytnych; można powiedzieć dziś, że im go całkiem brakło. Natura dla nich skupiała się, wyrażała w wyżéj zorganizowanych istotach, dopatrzéć tchu bożego w martwych na pozór liniach i kształtach nie mogli, tak głęboko nie sięgał ich wzrok. Człowiek-Bóg panował nad naturą, człowiek-Bóg przeistaczał się we zwierzę, poniżéj były tylko martwe łomy i podścielisko bezkształtne. Wielkich mas niéma w sztuce Greków i Rzymian, wszystko się wyosabnia, indywidualizuje, występuje egotycznie i odrębnie, dlatego téż i właściwy pejzaż nie istnieje dla nich. Środki ówczesnéj sztuki malarskiéj nietyle może stały na zawadzie wyobrażeniom natury, co zupełne niepojęcie jéj zbiorowych piękności.

Przechodzim pokój Muz znalezionych w Tivoli, w domu wiejskim Kasyusza; jest tu oprócz nich kilka pięknych posągów, Peryklesa, Aspazyi, Metrodora.

Wspaniale wygląda wyłożona posadzką starożytną, ze swém naczyniem porfirowém, ostawiona popiersiami sala okrągła Simonettego, ale tu chyba-by nas mozajka wstrzymać mogła; nic nie uderza nadzwyczajnego, oczy obyły się z pięknością kształtów.

W sąsiedniéj sali stoją przepyszne dwa sarkofagi porfirowe świętéj Konstancyi z kościoła, o którym już mówiliśmy. Na sarkofagu tym jest winobranie tak samo jak na mozajce kościelnéj, niezawodnie więc przedstawia ono symbol chrześcijański, w związku z krwią i nauką Chrystusa, z eucharystyą i przemianą wina. Na drugim sarkofagu świętéj Heleny, rzeźba wystawia bitwę. Oba są bardzo piękne swą barwą ciemną i kształty ciężkiemi, malującemi nieporuszoność grobową.

Obok tych dwóch skrzyń, Wenus Praksytelesa. Sala, w któréj jest starożytna mocno restaurowana *Biga* (wóz) i galerya zwana kandelabrów, kończą tę część muzeum, za którą idzie muzeum etruskie. O sztuce u tego ludu i jéj pomnikach, tém ciekawszych,

że mają dziwne podobieństwo czasem do rzeźb starych u nas znajdowanych, na nieszczęście szerzéj tu mówić nie możemy.

Podobieństwo to zresztą łudzić nas nie powinno, nie jest ono skutkiem powinowactwa żadnego plemion, ale prawa ogólnego, które w pewnych peryodach cywilizacyi jedne owoce wydaje, na dwu przeciwnych świata krańcach. Przekonanie o téj prawdzie obala bardzo wiele hipotez pokrewieństwa ludów, zbudowanych na analogii ich pomników; ale zarazem dowodzi jedności, tożsamości człowieka. Nauka, która przywiązuje się do martwego kształtu, sądzi go zawsze zapożyczonym, należy już do przeszłości. W danych momentach historycznych człowiek tworzyć musi i pewne kształty i pewną sztukę, która płynie z natury jego ducha, usposobionego do wydania tego, a nie innego dzieła. Niéma w tém fatalizmu, jest to, co rządzi światem i rządzić nim powinno—wielkie a niewzruszone, jedno dla wszystkich, prawo.

Zeszliśmy nad wyraz znużeni tą mnogością kształtów, po których spojrzenie na dzisiejszą ludzkość we frakach, surducikach i kapeluszach, chudą, nędzną, biedną, skarlałą, było przykrém rozczarowaniem. Wątpić należało prawie, czy to są potomkowie nietylko tych ideałów marmurowych, ale nawet tych, co je tworzyli i pojmowali. Dzisiejszy człowiek wcale nie jest pięknym i nie idzie mu téż o to, aby nim był; rozrosła mu się czaszka, ale wycieńczyło ciało, starły rysy szlachetne, a dusza cała skryła w głębinach. Trzeba go przyjąć, jakim jest, ale szkoda greckiego świata, było to wdzięczne marzenie.

Wśród tych wspaniałości królewskich, pominęliśmy przechodząc skromne mieszkanie Piusa IX i mnisze jego gospodarstwo. Nic prostszego nad życie, które on tu wiedzie, ani uboższego stosunkowo. Około niego żadnéj monarszéj wystawy, ledwie to, co konieczność mieć zmusza. Mieszka w kilku niewytwornych pokojach, a obiad jego, którymby bardzo umiarkowany człowiek może się nie zaspokoił, kosztuje zwykle około pięciu franków, nigdy więcéj. Dwór jego bardzo mały, osobiste potrzeby nie przechodzą zwykłych proboszcza małéj parafii, następca apostołów i głowa katolicyzmu daje nam przykład najpiękniejszy dobrowolnego ubóstwa.

Przeszliśmy około kuchenki, w któréj przygotowywał się właśnie obiad papieski; towarzysz, który nam dał szczegóły o życiu Ojca św., nie mógł znaléść wyrazów na uwielbienie. Podzielają je wszyscy, co bliżéj przypatrzyć się mogli prywatnemu życiu Piusa IX.

Po obiedzie zwiedzaliśmy Villa Ludovisi, należącą do księcia de Piombino. Ogród ten i willa, na gruzach ogrodów Salustyusza zburzonych przez Alaryka, przypiera do murów okolnych Rzymu.

Zdobią je piękne masy drzew, chociaż pojedyńczo wzięte, nie są one bardzo stare, wyjąwszy dwa olbrzymie wiązy (platany). Ulice, laurami i bukszpanami wysadzane, lasek z dębów zielonych (*chênes verts*) mile jest oglądać, po znużeniu murami i miejską brukową zaduchą.

Zbiór antyków Villi Ludovisi nie jest bardzo mnogi, ale ma kilka znakomitych dzieł, a na ich czele owo popiersie Junony, niezrównanéj piękności i majestatu, nad które starożytny świat nie stworzył typu niewiasty poważniejszego, idealniejszego. Cóż to za pogoda i pokój tego oblicza opromienionego! jak uroczysta piękność! Obok niéj stanąć tylko może na równi wspaniały Jupiter Fidyasza...

Małą i dziecinną wydaje się sztuka dzisiejsza przy tych olbrzymich tworach gieniuszu, w których nie czuć wysiłku, są jakby tchnieniem jedném wydane na świat.

Głowa Junony i głowa Jupitera tego mówią więcéj, niż największe ogromniejsze uczone księgi o przeszłości. Pojmujemy, że Grecy mogli przed niemi składać ofiary, jako przed ucieleśnioną bóstwa ideą. Wrażenie tych dzieł nie daje się wypisać, potrzeba je widziéć.

Wojownik odpoczywający z wyrazem uspokojenia szczęśliwie pochwyconym i znamienita grupa Galla zabijającego żonę, którą fałszywie dawniéj zwano Paetus i Aria, szczególną zwracają uwagę. Ostatnia jest wielkiéj piękności, iść prawie może narówni z Gladyatorem kapitolu.

Typ w obu postaciach Gallów jest podobny, czy to są Gallowie czy inni jacy *barbari*, nie potrzebujemy dochodzić, pytanie jest, dlaczego starożytni, gdy sceny podobne śmierci gwałtownéj, męczarnie wyrażać chcieli, wybierali do nich barbarzyńców?

Znajdujemy na to odpowiedź w tém pojęciu, że umierający Rzymianin nie powinien był zdradzić boleści twarzą i postawą, dostojność mu nie dozwalała dać wytrysnąć cierpieniu na zewnątrz. Kiedy więc męczarnią śmierci, żal życia, ofiarę wyrażać im przyszło, brała sztuka barbarzyńców jako niższe istoty, na których uczucie z całą swą naiwnością odbić się mogło.

Tak-byśmy przynajmniéj tłómaczyli to sobie.

Bernina jest tu jedno z najlepszych dzieł jego, najmniéj w jego stylu, Pluto porywający Prozerpinę. Głowa kobiety ma wiele niespodziewanego, naturalnego wdzięku, Pluto nawet dobrze pojęty i narysowany. Wspomnimy jeszcze Wenus anadyomenę i posąg grecki, bez głowy z dwoma kulami w ręku.

W drugim pałacu Ludovisi jest fresk Guercino de Cento—*Aurora*; wiele mu odjęła restauracya, która, jak we wszystkich freskach, jest

plamą. Jest to jak gdyby kto przezroczystą akwarellę chciał poprawić *guaszem*; poprawia się *al secco*, więc kolorami gęstemi, które przy powietrznych tonach przezroczystego fresku muszą się wydać ciężkie i kredziaste.

Niezmordowani w oglądaniu sławnych rzeczy Anglicy, dla rozgłosu i porównania Aurory Guida z Aurorą Guercina, cisną się tak do willi Ludovisi, że właściciel obwarowuje się od natrętów wszelkiemi możliwemi sposoby. Za wielką łaskę uważać trzeba wpuszczenie tu, które nie inaczéj, jak w wyznaczony czwartek, za biletem podpisanym przez właściciela, się odbywa. Gdy go niéma w domu, willa jest niedostępną, bo słudzy przekupić się nie dają dla surowego zakazu. Tu nawet nie ofiaruje się im nic, i wszystko pokazuje darmo; co dziwem jest wielkim na Włochy, gdzie mnogość wędrowców w miejscach zwiedzanych pospolicie zrobiła z tego korzystne rzemiosło.

Aurora Guercina jest piękną, rysunek wielce misterny, perspektywa umiejętna, sztuki wiele, jeśli nie nadto. Noc siedząca, gieniusz z pochodnią są ładne, bardzo ładne, ale to już zniewieściały artyzm. Wpatrzywszy się w to, postrzega się ciężar koni, ciężar chmur, i wiele rzeczy, które nikną na pierwszy pogląd. Architektura połamana nie jest ani najprzedniejszą, ani ściśle w należytéj perspektywie. Dzieło to o wiele przechwalono. Jest tu jeszcze w ogrodzie Satyr, przypisywany Michałowi Aniołowi, ale fałszywie.

Piękna ta pańska rezydencya pomiędzy bramą Pinciana a Salara rozciągająca się pod murami, jest w większéj części roku niezamieszkałą; park czyniłby ją bardzo przyjemną.

Stąd wróciliśmy patrzéć i przypatrywać się rumowiskom Via Appia, po katakumbach dla ocenienia różnicy grobów starożytnych od podziemiów chrześcijan, należało widziéć *Columbaria* rzymskie. Najznaczniejsze z nich otaczały *regina viarum*, tak, że w niektórych miejscach nieprzerwanym stały szeregiem. Groby wedle prawa dwunastu tablic powinny były znajdować się za miastem, za cesarstwa mnóstwo ich wzniesiono nad Apijskim gościńcem. Na czwartéj mili pokazują tu jeszcze ruinę grobu Seneki, w miejscu, gdzie była willa jego i gdzie trybun przyniósł mu rozkaz Nerona, aby umarł. Znacie ten obraz ostatnich chwil filozofa wśród rodziny pochwyconego tym nieludzkim wyrokiem i poddającego mu się z prawie chrześcijańskim pokojem ducha.

Groby Scypionów odkryte zostały dopiéro w 1780 r. Jest to podziemie tylko; budowa górna, wzniesiona po nad niém, znikła. Stąd pochodzi sarkofag Barbatusa w muzeum Watykańskiém, kilka popiersi i napisów.

Wchodzi się do podziemia przez nowe dorobione wnijście z ogro-

du, a wygląda to przy kwitnących laurach zewnątrz bardzo pięknie i malowniczo. Ponieważ pokazujący wiele korzystają na grobie Scypionów, który podróżni zwiedzają chciwie, choć dziś on jest całkiem próżnym i smutnym lochem tylko, pokładziono nowe kopie dawnych napisów i różne fantazyjne starożytności, które dla wielu uchodzą za pomniki poszanowania godne.

Przeszliśmy stąd do prawdziwszego *Columbarium*, grobowca dworu i sług Augustów. Gołębnikiem zwali starożytni izby mauzoleum, w których popioły w urnach składane były w zasklepieniach formy takiéj, jakiéj się robią otwory w gołębnikach. Zwykle pod każdą taką niszą z urną podpisywano imię zmarłego. *Columbaria*, któreśmy oglądali w ogródku Codini, są bardzo czysto i porządnie utrzymane. Są to dwie izby pełne takich nisz, ale już z urn ogołoconych po większéj części. W pośrodku pierwszéj jest oddzielne *aediculum* mur w prostokąt nakształt wielkiego pieca zbudowany, także na nisze drobne podzielony; pełno tu szczątków grobowych i trochę się utrzymało napisów. Oglądaliśmy je z zajęciem, było to pierwsze lepiéj zachowane mauzoleum starożytne, które się nam widzieć dostało.

Dziwną sprzeczność stanowiły obok rozkwitłe ogrody, róż pełne, wonne, wesołe, z temi mogilnemi komnatami, tysiącoletniemi służebników Augusta, pokazywanemi za pieniądze. Trzeba oddać sprawiedliwość właścicielom, że bardzo starannie je utrzymują.

Ogródek Codini przypiera do murów miasta; przeszedłszy go, znaleźliśmy zamkniętą *Porta Latina*, ale nam ją otwarto i mieliśmy przyjemność posłużyć kilku wesołym żołnierzom francuskim, którzy się do nas przyłączyli, potrzebując bliższą tędy przejść drogą, bo, jak mówili, nie otworzonoby im, gdyby sami byli.

— Cóż to?—spytałem jednego małego wzrostu wesołego i gadatliwego chłopaczka—czyżby Rzymianie tak być mieli niegrzeczni?

— Sapristi! niegrzeczni!—zawołał—*vous êtes bien bon!* oni są najnieprzyjaźniejsi dla nas. Samemu jednemu po zakątkach miasta nawet we dnie chodzić niebardzo bezpiecznie, nocą niéma co i mówić! Musimy jak mniszki zawsze wyruszać z koszar parami *c'est vexant!*

— Podobaż się wam pobyt w Rzymie? — spytałem utrzymując rozmowę.

Chłopak głową pokiwał.

— A! no—rzekł—jusciż wolałbym być we Francyi, wino tanie, ale brzydkie, kobiety na nas ani chcą patrzéć i z mieszkańcami jakoś zgodzić się nie można. Jesteśmy ich przyjaciółmi, a radziby się nas pozbyć, wolelibyśmy już nawet dobrą wojnę, niż ten jakiś stan, co nie jest ani pokojem, ani walką...

— No! a miasto?

Uczucie artystyczne wcale w chłopaku nie było rozwinięte, ziewnął.

— Brudne i pogruchotane... (splunął), jużbym wolał nawet Marsylią, a co o Paryżu! — westchnął.—Wyszliśmy za *porta Latina* i Francuz przyłożywszy rękę do czapeczki, pożegnał nas z uśmiechem, uchodząc. Włoch, który nam odmykał, spojrzał dziko, mrucząc za odchodzącym.

Przy bramie stoi niewielka, ośmiokątna kapliczka św. Jana, fundacyi francuskiéj w miejscu, gdzie, wedle tradycyi, św. Jan był w oleju gorącym męczony...

Mieliśmy szczęście spotkać po drodze ekwipaż paradny kardynała Altieri, który wyjechał był za miasto dla przechadzki, bo kardynałowie bez asystencyi i ceremoniału wyruszyć nigdzie nie mogą. Konie szły powoli, kardynał pieszo z kapelanem, czarno ubrany, w pąsowych tylko pończochach. Na karecie jechał ogromny parasol, dystynkcya, po któréj powóz kardynalski poznać można.

Nie wspomniałem, żeśmy tegoż dnia oglądali dom, w którym mieszkał trybun Rienzi, przy ponte Rotto, fantazyjnie przyozdobiony, późniéj szczęty świątyni *Fortuna virilis*. Jest to jeden z najstarożytniejszych gmachów, sięgający czasów Serwiusza Tulliusza, odbudowany za rzeczypospolitéj, bardzo pięknych kształtów kolumny jońskie pozostały z niego, portyk zamurowany.

Przeszedłszy około świątyni Westy, mało co daléj byliśmy w kościele św. Maryi *in Cosmedia*. Miała to być dawniéj świątynia *Pudicitia patricia*, zostały z niéj kolumny, potém przerobioną była za Hadryana na bazylikę grecką i zwano ją *schola graeca*. Po tych zmianach, które jéj nadały charakter nowy,* mało co się utrzymało, marmurowe kandelabry, dwie ambony. Najciekawszą rzeczą jest w ołtarzu obraz N. Panny, grecki, w w. IX sprowadzony z Konstantynopola, nadzwyczajnéj piękności, na szkołę i czas, do których ma należéć. Nie znamy nic bizantyjskiego z takim wyrazem głębokim powagi i łagodności. Powątpiewać prawie przychodzi o autentyczności podania, które go do tak dawnéj epoki odnosi. Jedyny kampanił romański ostał się tu przed Michała Anioła naśladowcami, z cegły, wysadzany porfirem i *verde antico*, z kolumienkami marmurowemi.

XVII.

Wycieczka do szczątków bazyliki św. Stefana. — Nowo odkryte grobowce. — *Pancratia.*—*Actia.*—Izby grobowe.—Piazza *Navona.*—Szkółki wieczorne.—Pałac Rospigliosi.—Aurora Guida.—Pałac Kwirynalski.—Wnętrze. — Fresk Overbeck'a. Willa *Doria-Pamfili.* — Palatyn.—Ogrody Farnesich.—Ruiny.—*Campo vaccino* i kto na niém króluje.—*Trinità del Monte.*—Obraz Daniela Volterra.—Panteon i jego historya.—Grób Rafaela.—Kościół św. Ludwika.—Freski Dominiquina.—Św. Andrzéj, św Onufry, grób i pamiątki Tassa.—List jego ostatni.—Rodzina de Tassis.—Św. Grzegorza kościół.—Grób Imperyi.—Kaplice.—Guido Reni.—Jeszcze ruiny Palatyńskie.—Krzyż. — Św. Jan i Paweł. — *Navicella.* — *S. Stefano rotondo.*—Oskar Sosnowski. — Więzienie Hipolitowe. — Kosciοły św. Pudencyanny i Praksedy. — Kaplica św. Hennona.—Mozajki.—*Colonna.*—Św. Marcin, jego ozdoby, podziemie.—Św. Piotr *in vincoli.*—Mojżesz Mich. Anioła. Termy Tytusa i pałac Nerona.—*Ponte nomentano,* mury Rzymu.—*Corso.*—Książki i sztychy.—Kopuła św. Piotra.—Kościół.—Muzeum Etruskie.—*Arazzi.*—*Farnesina.*—Psycha Rafaela.—Tryumf Galatei.—Rysunek Michała Anioła.—Fresk Sodomy.—Pałac Farnese i jego freski.—*Via Appia.*—Kościół św. Achilla.—Ręce w murze.—Wycieczka do Tiwoli.—Św. Wawrzyniec za murami.—Groby.—Obyczaj rzymski.—Droga do Tiwoli.—Villa Adryana.—Tiwoli.—Świątynia Sybilli. — Kaskady. — Widoki *Villa d'Este.* — Drzewa.—Freski Galliardego u św. Hieronima.—Ukrzyżowanie.—Kościół XX. kapucynów. - Grobowiec Sobieskiego.—Podziemia i groby.—P. Marya *del Popolo.*—Prochy Nerona. — Rzeźby z rysunków Rafaela.—Freski Rafaela u *Maria della Pace.*—Św. Augustyn.—Fresk Rafaela.—Izajasz.—Grobowiec Spławskiego z r. 1596.—*S. Krzyż w Jerozolimie.*—Relikwie. — Kościół.—Grób B. Bogdanowicza cystersa, 1722 r.—Lateran i jego kaplice.—Pałac Borghese i jego obrazy.— Znowu Fornarina.—Amor Tycyana.—Św. Wojciecha pamiątki.—Św. Marya za Tybrem.—Grób kardynała Hozyusza.—Św. Sabina.—Jacek i Czesław Odrowąże. - Św. Aleksy.—Kaplica Maltańska. — Grób Fra Angelico. — Więzienie Mamertyńskie i *Tullianum.*—Pałac Barberinich. — Beatryks i Fornarina. — Inne obrazy.—Ostatnie chwile w Rzymie.—Pożegnania.—Zamett i Postępscy.—*Pasquino.*—Odpusty. — Św. Józef Kalasanty.—Wycieczka do Porta Maggiore.—Dom Zuccari.—Artyści i sztuka.—Życie w Rzymie.—Wyjazd.

Nazajutrz, d. 16 lipca przedsięwziąłem wycieczkę za miasto, za *Porta di San Giovanni di Laterano,* dla zwiedzenia fundamentów w tym właśnie roku, przed miesiącami kilku, przypadkiem odkrytéj, staréj bazyliki św. Stefana, pierwszego męczennika, i grobow-

ców rzymskich, o których wiele mówiono. Były one nietknięte jeszcze, z ozdób, które zawierały, nieogołocone i mało komu znane. Niejaki Lorenzo Fortunati, antykwaryusz, spekulant, przedsięwziął w têm miejscu kopać, w nadziei znalezienia starożytności, gdy nagle natrafił na podstawy kolumn, kapitele i rzeźby wielkiéj budowy. Było to w lutym, 1858 r. Poznano zaraz, że to wskazywało gruzy staréj bazyliki św. Stefana, którą za czasów Leona I, w r. 440 założyła była pobożna Demetrya, a Leon III, w r. 795 odnowił.

Gdyśmy oglądali oczyszczone z ziemi fundamenta gmachu, prócz nich i resztek kolumn, nic już więcéj nie było, pozostał widoczny tylko plan budowy, podzielony na trzy nawy podłużne, z portykiem, przedsienią (*pronaos*) i przybudowaną przy absydzie chrzcielnicą. W pośrodku, w miejscu wielkiego ołtarza, zostały ślady jakiegoś *aediculum*, zapewne starszego od bazyliki i objętego jéj budową, umieszczone niezupełnie w pośrodku, bliżéj lewych kolumn rozdzielających kościół, niż prawych. Starożytnicy rzymscy gorąco się zajmowali i tą nieregularnością we wnętrzu bazyliki i wszystkiemi odnoszącemi się do niéj wspomnieniami dawnych pisarzy. Rozpoznawano nawet pierwszą bazylikę od restaurowania jéj późniejszego. *)

Mauzolea te, których reszty nakształt nieforemnych kup gruzu stérczą chwastami, pokryte pod Apijską drogą, były niegdyś wspaniałemi budowami z cegły i marmurów. Budowy górne kryły pod sobą izby grobowe, w których stawiono sarkofagi i urny. Wiele bardzo zrujnowanych mauzoleów pozostały nietkniętemi w podziemiach. Właśnie jednę z takich izb sepulchralnych świeżo wydobyto z pod nasypu ziemi. Przybyliśmy do drzwi, ale Włoch, najdziwaczniéj w świecie rozdrażniony, gniewny, czy udający srogiego, nie wiem, w żaden sposób puścić nas nie chciał do wnętrza. W dodatku łajał i pięścią mierzył do najspokojniejszych ludzi na świecie.

Nie chcieliśmy wszakże odstąpić na żaden sposób, nie zaspokoiwszy ciekawości i pół gwałtem, na pół targiem, wsunęliśmy się naprzód do grobowca rodziny: *Pancratii.* Po nad ziemią znać tylko oczyszczone fundamenta pięknéj budowy z posadzką mozajkową białą z czarnêm, dosyć obszernéj, z portykiem, po kilkunastu wschodach wchodzi się do podziemia. Sklepienie w pierwszéj izbie mało jest ozdobne, w drugiéj malowane ładnie w ornamen-

---

*) Dodatek do „Giornale di Roma" Nr. 139, 22 czerwca 1858 r. z rysunkiem bazyliki. Pius IX zwiedził ją w tymże roku dnia 19 kwietnia.

ta, które na tle kolorowém wychodzą biało, bo są w części wypukłe i w tynku wyrabiane. Smak przypomina termy Tytusa i naśladowanie ich Rafaela. Wyobrażają zwoje, liście, zwierzęta fantastyczne, kwiaty, rośliny i lekkie osóbki, po większéj części leżące. Szlak ze sznurów kręconych, w którego kołach pąsowych są ozdoby. W środku, na sklepieniu, Jowisz. Po rogach w otokach cztery krajobrazy w swoim rodzaju bardzo ładnie malowane, jak inne wystawują wille, portyki, wiejskie domki, studnie, kolumny i nieco drzew. Perspektywa i koloryt wielką wskazują wprawę. Ornamenta są żywéj barwy, widoki daleko łagodniejszéj. W pośrodku izby znaleźliśmy parę ogromnych sarkofagów, z których jeden najmniéj ozdobny był olbrzymi, kilka pomniejszych z rzeźbami miernemi, wystawującemi polowanie na dzika. Jeden sarkofag miał dwie głowy po bokach, jak widzimy w katakumbach. Posadzka cała marmurowa, u dołu kornisza, sklepienie koliste, bardzo udatne i wybornie zachowane.

Jeszcze pracowano około oczyszczenia odkrytego mauzoleum, gdyśmy go widzieli, byliśmy z pierwszych, którym się udało oglądać go tak, jak go ziemia przechowawszy, oddała.

Trudniéj jeszcze przyszło się dostać do drugiego podobnego familii *Actia*, ale i tu upór nasz przemógł bardzo niegrzecznych stróżów.

We wnętrzu izby znaleźliśmy ściany niemalowane i wyciski na nich takiegoż koloru, lekko, dosyć niedbale porzucane. Ozdoby były jednakie z obu stron, w pośrodku wyobrażenie kobiety osłonionéj na chimerze i innych postaci lekkich na koniach morskich. Przy robocie wycisków gipsowych widać było głębokie rysy rylca, oznaczające miejsca, gdzie położone być miały. Posadzka i tu uchowała się marmurowa, z kolumn u wnijścia ślad tylko pozostał.

Izba ta mniéj daleko ciekawa, wyjąwszy malowanie, gdy widzenie jéj opłacić przyszło, drożéj nad pierwszą kosztowała. Włoch pierwszy datek plując, rzucił na ziemię, i dopiéro gdym go podniósł i schował do kieszeni, pomiarkowawszy, że może nic nie dostać, (na to się zanosiło), złagodził i przyjął, co mu ofiarowałem.

Po upieczeniu się tém na skwarze słonecznym, uciekliśmy do miasta, przechodząc się po nim swobodniéj, dla poznania tych jego części, których jeszcze nie zwiedzaliśmy. Tak zaszliśmy na jeden z największych i najpiękniejszych placów Rzymu, *piazza Navonna.* Zachowała ona dotąd kształt cyrku Aleksandra Sewera.

Domy stanęły dokoła na fundamentach, których dostarczyły ławice cyrku...

Ozdobiono ją obeliskiem, fontannami, posągami, wszakże jest to tylko najożywieńsze targowisko miasta. Trzy wodotryski, z których główny w smaku Berniniego, a niby egipskim, dźwiga iglicę; wszystkie są teatralne i niesmaczne. Rzymianie mówią o jednéj z figur na wodotrysku (Nil), że oczy ma zasłonięte, aby na kościół św. Agnieszki Borrominiego nie patrzéć.

W sierpniu na placu tym odbywa się *Lago;* plac napełniają wodą, a lud rzymski pluszcze się w niéj i bawi doskonale; jeżdżą powozami, chodzą, oblewają się, i przy téj zręczności raz w rok przynajmniéj umywają. Jestli to jakie wspomnienie dawnych *naumachij?* nie wiem.

Wieczór poświęcony był oglądaniu szkółek wieczornych (*Scuole notturne*) zostających pod szczególną opieką Ojca świętego. Są one przeznaczone dla rzemieślników i ludu, a nauczycielami w nich są wyżsi duchowni i osoby, które się poświęcają temu posłannictwu chrześcijańskiemu i miłości bliźniego. Marchese Patrici z polecenia Ojca św. był łaskaw z kolei pokazywać nam kilka klas, w których młodzież z wielką gorliwością i zapałem, z wielką téż wesołością zajmowała się szczególniéj rysunkiem i innemi wykładami. Chłopaki tylko co od pracy, wyglądali dosyć brudno i osmolono, ale zdrowo i raźno; widać było, że szli z ochotą, że czuli potrzebę nauki. W jednéj szkółce, w klasie IV najwyższéj zastaliśmy rozdającego nagrody Monsignora Ricei *cameriere segreto Ojca świętego.* Był to rodzaj krzyżów i orderów, z których nabycia okazywano wielkie uszczęśliwienie. W tego rodzaju szkółkach tysiąc dwóchset do półtora tysiąca w tym roku było uczniów. Rysunki architektoniczne, któreśmy oglądali, świadczyły o skuteczności nauczania. O mroku rozpoczynnją się wykłady modlitwą; po ukończeniu ich uczniowie idą w porządku, śpiewając litanie i pobożne pieśni, przed najbliższym obrazem, których w ulicach pełno, zatrzymują się, modlą, a potém dozorca rozprowadza ich po téj części miasta, do któréj należą.

Nazajutrz rano udaliśmy się do pałacu Rospigliosi dla widzenia *Aurory* Guida. Naprzeciw na ziemi leżą pod drzewami w ogródku reszty olbrzymiéj fryzy i ogromnych kolumn, podobno ze świątyni Słońca. Pałac wznosi się na tém miejscu, gdzie były łaźnie Konstantyna, zachowują tu z nich szczęty. Jakiś czas pałac ten nabyty przez kardynała Mazarin, do 1704 r. zajmowało poselstwo francuskie, przeszedł późniéj na własność rodziny Rospigliosi. Otóż jesteśmy w salonie ogrodowego budynku, pokrytym tą sławną Jutrzenką. Jest ona nieskończenie wyższa, piękniejsza nad Guercina; szlachetniejszego stylu i świeższego kolorytu. Apollo jadący na wozie, Godziny otaczające go, sama Jutrzenka lecąca przo-

dem i sypiąca kwiaty są wielkiego wdzięku, trochę pieszczonego, trochę lubieżnego, ale nie mogło być inaczéj. Dość przypomnieć sobie epokę i malarza. Barwa fresku jasna i przezroczysta, całość świeża, lekka, wyglądająca wesoło. Dwa te obrazy, wywołujące porównanie, nie dają się jednak z sobą porównywać. W tamtéj tylko twarzyczka Jutrzenki jest miłą i młodziuchną, ale reszta ciężka i ostra. Nastręcza się tu uwaga, że starożytni w swoich budowach, o ile z pozostałych sądzić można, nigdy na stropach nie przedstawiali całkowitych scen i obrazów tłumnych, najczęściéj figury pojedyncze. Kompozycye ich przeznaczone do ozdoby podniebia izb, kolumbaryów, sal łaziennych i t. p. są lekkie, fantastyczne, postaci w nich niewiele, rozrzuconych, leżących. Dzisiejsze wielkie a ciężkie obrazy, zawieszone nad głowami, trudne do oglądania, nieprzyjemne czynią wrażenie, zdają się spadać na głowy patrzących. Perspektywa w nich zawiła, niezawsze szczęśliwa; często tak mało się téż o nią troszczą, że obraz malowany jakby miał być widzianym na prostopadłéj płaszczyźnie, przybijają do sufitu.

Wszystko to dowodzi, jak mało mamy smaku w rzeczach sztuki. Kilka innych obrazów pałacu nie powstrzymały nas od zwrócenia do pałacu Kwirynalskiego.

Wznosi się on także na gruzach termów Konstantyna; budować go począł w końcu XVI w. Grzegorz XIII, skończył Klemens VIII. Inni papieże przydawali mu ozdób, ogrodu i wspaniałości. Przed pałacem stoją sławne konie, które długo uchodziły za dzieło greckie, pewniéj z pierwszéj epoki cesarstwa, obelisk i fontanna z ogromnego granitowego naczynia, przeniesionego z Forum. Konie są idealne, pięknych proporcyj, ale wykonane jako architektoniczna ozdoba. Należały dawniéj do termów Konstantyna i utrzymały się na tém miejscu, gdzie znalezione były. Wyglądają wielce wspaniałe...

Kwirynał jest obszernym i pięknie, ale bez zbytniego przepychu urządzonym pałacem, papieże zwykli w nim przebywać miesiące letnie, czasu niezdrowego powietrza na Watykanie. Pius IX wolał Castel Gandolfo. Salony wewnętrzne są poważne, poobciągane gobelinami i adamaszkami, w kilku z nich są trony z baldachimami. Pokój sypialny papieża nadzwyczaj prosto urządzony, skromny, łóżko prawie mnisze. W każdéj niemal komnacie stoi krucyfiks, we wszystkich obrazy pobożne, w wielu klęczniki. Krzesła z drzewa prostego niewyściełane, po większéj części dębowe, jak na Watykanie, stoły złocone. Z obrazów dawniejszych, (których tu nie ma wiele) celują dwaj apostołowie Fra Bartolomeo, w stylu Michała Anioła, jeden szkoły Perugina i św. Jan

Giulio Romano. Fryza Torwaldsena, znana zresztą, zasługuje na wzmiankę; gobeliny, na sposób obrazów pooprawiane, wyglądają niesmacznie. W jednéj sali znaleźliśmy pontyfikalne ubiory papieskie z gobelinów, rozwieszone na ścianach...

Kilka jest stropéw malowanych, ale jeden szczególną zwraca uwagę.

Jest on dziełem Overbeck'a i aluzyą do znanych wypadków z historyi Piusa IX.

Malarz wybrał chwilę z życia Chrystusa, gdy zajadli nań żydzi chcieli go z góry zepchnąć; tłum ciśnie się z wściekłością, następując, Chrystus staje na chmurze. Wśród tłuszczy, namiętnością dziką miotanéj, odznacza się faryzeusz rudy z nastawionemi pięściami; wszyscy gonią rozjadli. Chrystus z prawdziwie boskim spokojem stoi niewzruszony, jasny, piękny. Jedna noga jego jeszcze jest na urwisku, druga na chmurze, którą (wcale niepotrzebnie) jakoś niemiło, kolorowane podtrzymują aniołki. Kontrast oblicza wypogodzonego i namiętności bezsilnéj, wydany mistrzowsko. Dzieło znakomite jako myśl i rysunek, jako fresk i koloryt nie tyle zaspakaja, zyskałoby w sztychu. Powiedziałbym zawsze, że pośrednictwo aniołów wcale nie w miejscu, dość było posłusznéj chmury, obraz byłby prostszy i większy jeszcze. Strop ten stanowi dziś jednę z ciekawości Kwirynalskiego pałacu, pozostanie on jako pamiątka czasów próby i niepokoju.

Po obiedzie pojechaliśmy do willi Doria Pamfili, aby odetchnąć świeżém powietrzem. Jest ona jedną z najpiękniejszych w Rzymie, nie tyle budowami, co drzewem i położeniem. Rozległa bardzo, zajmuje cztery do pięciu mil obwodu, zdaje się, że tu były ogrody Galby. Widok stąd na Rzym jest jedyny, prawdziwy krajobraz Poussina. Dziwnym układem planów, św. Piotr ze swą olbrzymią kopułą wydaje się, jakby stał osamotniony, królując pustyni i zieleni.

W głębi tylko widać góry i siną Sorakte. Bliżéj gliniaste gór obrywy i pusta dolina. Miasto znika, świątynia zdaje się ogromniejszą jeszcze i wspanialszą wśród téj ciszy pejzażu.

Willa Doria ma bardzo ładny las sosnowy, drzewa stare, pełno cienia i chłodu, kilka wodotrysków, zieloną łąkę, wśród któréj stoi biały, starożytny ołtarz marmurowy, a w kilku ścianach domów ułamki rzeźb wykopanych, których tu taka wszędzie mnogość. Nieopodal od głównéj budowli willi są stare *Columbaria* rzymskie, dobrze zachowane, z ozdobami malowanemi na ścianach. O ilem dostrzegł i rozpoznać mógł, są na nich postacie tancerek, krokodyl, przed którym jakaś osoba ucieka, ptaki, wieńce. Malowania lekkie, napisów niéma, ale wkoło ustawiono wiele grobowców

z napisami, kapitele, gzymsy i t. p. Pełno tych złomków wśród kwitnących oleandrów i poplątanych bluszczów. Na wzgórku poczęta kaplica nowa ma formę staréj bazyliki Konstantyna, rotunda, którą w środku obiegają kolumny połączone łukami bizantyjskiemi. Słupy i kapitele starożytne.

Długośmy tu siedzieli pod staremi drzewy, wpatrując się w dziwnie osamotnioną Piotrową świątynię. Jakiżby to był obraz!

Wychodząc, zastanowił nas pomnik dla poległych przy zdobyciu Rzymu Francuzów, wystawiony przez ks. Doria. Stoi na nim posąg Maryi Łaskawéj, dosyć ładny. Napisy są aż do zbytku naiwne i proste. Przy jedném imieniu dodano: „*Son oncle Char... est Gouverneur Général de l'Algérie.*“ Jakiż to tytuł dla nieboszczyka? Przypomina się mimowolnie „*Sa veuve inconsolable continue le commerce...*“

Od strony bazyliki Konstantyna zwiedziliśmy Palatyn, potém resztki ogrodów Farnesich dawniéj, dziś ex-króla Neapolitańskiego. Pokazują tu niby łaźnią Liwii, tak nazwane dwie izby, nie wiadomo dlaczego. Trzeba je oglądać przy pochodniach. Na sklepieniu ślady ozdób gipsowych na tle złoconém. Z ogrodów Farnesich na gruzowiskach pałaców cezarów, pełnych ruin, które nagromadziły wieki, widok na Rzym, Kolosseum, bazylikę Konstantyna, łuki, mury i gród nowy na popiołach odwiecznego grodu—prześliczny.

Z rozwalin sławnego Neronowego Złotego Domu kupy niekształtne, góry ziemi, startych cegieł i lasy chwastu. Cały Palatyn wygląda jakby trzęsieniem ziemi wywrócony do szczętu. Budowy Farnesich, rozpoczęte przez Pawła III, papieża, są także pustką rozbitą, biedną i smutną. Jakieś przekleństwo zdaje się wisiéć nad splugawioną tą górą. Grachus, Krassus, Skaurus, Cyceron, Katylina, Marek Antoniusz, August, Tyberyusz, Kaligula, Neron, z kolei mieli tu mieszkania. Ostatniemu samemu jednemu było ciasno... opasał Dom Złoty ogrodami, jeziorami, galeryami, a w ogrodach tych męczono chrześcijan, i zapalano słomą obwiniętych na illuminacyą wielkiemu artyście... Dziś zielone jaszczurki biegają po rozsypujących się cegłach, cisza i bezludzie... prochy Nerona rozsypano, a imię stało się wiekuistém uosobieniem okrucieństwa. Biedny wielki artysta, wielki poeta i śpiewak...

Od ex-króla neapolitańskiego przed paru laty przeszły *Orti farnesiani* na własność cesarza Napoleona, robiono w nich poszukiwania, niéma wątpliwości, że choć zwaliska te wielekroć musiały być już skopane, jeszcze w nich kryć się mogą drogie szczątki.

W każdym razie, *fortuna mutabilis,* możnaby przyjemnie zamieszkać na Palatyńskiéj górze...

Zmierzchało już dobrze, gdyśmy piękny ten widok opuścili. Lu-

dzie, których tu spotkaliśmy, tak jakoś niemiłe mieli twarze, że rozmowa zeszła mimowolnie na złodziejstwa i rozboje.

Jeden z towarzyszących nam stałych mieszkańców Rzymu upewnił, że kradzieże szczególniéj wcale nie często się trafiają.

Rozbój, napaść, mające jakiś pozór walki, cień niebezpieczeństwa, są daleko pospolitsze, prawie jedynie używane przez łotrzyków tutejszych. Prosta kradzież wydaje im się nadto prozaiczną; jest sromotną, gdy rozbój nie uważa się za rzecz haniebną *). Pomimo czujności policyi, lud strzeże więcéj jego własne sumienie, niż obawa prawa i kary. Za prześladowanym *ladrone* ujmują się wszyscy, bronią go, osłaniają i zwykle ocalają. Lud zresztą żyje trzeźwo, rozpusty mało, próżniactwo jest wadą panującą, złych istotnie skłonności niéma, są złe tradycye, jest nieukształcenie, ciemnota, przesądy. Największa gorliwość religijna godzi się z rozbojem i z wielu wcale nie świętemi obyczajami; wiara przeżywa w nich cnotę, ale téż często przez nią wracają do cnoty. Przy największém zepsuciu jest to jeszcze niezaparta droga, którą wycofać się mogą od złego.

Nie potrzeba więc nazbyt się oburzać na poczwarne połączenie pobożności z zepsuciem.

— Na Campo Vaccino—dodał rozpowiadający—znaléźć można lub dowiedzieć się o tak zwanym *Capo dei ladroni*, wodzu złodziejów. Siaduje on tu umyślnie w razie, gdyby go kto potrzebował, pełniąc swą funkcyą z zimną krwią urzędnika. Jeżeli komu skradzioną zostanie rzecz, którą odzyskać pragnie, idzie go szukać na *Campo Vaccino*. Wskazują mu zwykle ogorzałego mężczyznę, niepozornego wcale, który gdzieś na wywróconéj odpoczywa kolumnie. Z jego pomocą i za przyzwoitém wynagrodzeniem można być pewnym powrotu przedmiotu, do którego przywiązuje się cenę, gdy *Capo* da słowo, dotrzyma Cudzoziemiec musi się poddać oznaczonym przez niego warunkom, a nawet zapłacić zgóry. *Capo* ma pod swemi rozkazy wszystkie łotrowstwo Rzymu i okolicy swoję i lepszą od miejscowéj policyą, agentów, wiadomości; można mu zaufać najzupełniéj.

Nazajutrz poszliśmy, jako w niedzielę, do kościołów, a naprzód do najbliższego *Trinità del Monte*, stojącego nad placem Hiszpańskim, (na którym mieszkała królowa hiszpańska Krystyna). Jest to kościół narodu francuskiego, zbudowany w 1494 r., w którym wszakże mało śladów zostało pierwszéj budowy. Przy kościele tym jest klasztor wizytek; po ósméj już nabożeństwo było skończone, ledwie,

---

*) Jest to sposób dorabiania się majątku... jak na giełdzie, ruiną cudzą, ale wedle ludu włoskiego, sposobem tak dobrym, jak drugie.

że nie zamykano kościoła. Główną ciekawością jest jedno z arcydzieł malarstwa, *Zdjęcie z krzyża* Daniela de Volterra, wprawdzie z kartonu Michała Anioła, ale niemniéj malarza, który więcéj nic równego temu obrazowi nie utworzył.

Zdjęcie z krzyża, które znajdowało się w drugiéj kaplicy po lewéj stronie, właśnie w tym czasie zostało zdjęte i przeniesione do akademii francuskiéj; mówiono o wywiezieniu go do Francyi, co Rzym zazdrośny poruszało mocno. Utrzymywano, że ojciec św. powinien był zabronić, drudzy sądzili, że gdy kościół był własnością Francyi i obrazem ona rozporządzać mogła. Podług naszych pojęć kościół jest własnością bożą, niczyją więcéj, są ludzie, co w nim pilnują całości i porządku, ale frymarczyć rzeczami kościelnemi nikt nie jest mocen.

Trinità stoi nad wspaniałemi wschodami, na wyniosłości, ale budową piękną nie jest. W kaplicach pozostały freski szkoły Perugina. Giulio Romano przypisują obraz energicznie wykonany: *Noli me tangere.*

Stąd poszliśmy do Panteonu, który tylko zdaleka dotąd oglądaliśmy. Jest to najcalszy i jeden z najpiękniejszych pomników, jakie nam starożytność przekazała. Wystawił go Agrypa, zięć Augusta, na lat dwadzieścia i sześć przed erą naszą. Dziś jeszcze na fryzie na czole gmachu stoi napis:

M. AGRIPPA L. F. COS. TERTIUM FECIT.

Spalony za Tytusa i Trajana, gmach ten wyrestaurowany był przez Adryana, Antonina Sewera i Karakallę. Restauracya ta sięga 202 roku ery naszéj. Poprzedza go piękny portyk wsparty na ośmiu korynckich kolumnach. Dawniéj siedem wschodów wiodło do niego, dziś ich tylko dwa pozostało. Wszystkie szesnaście kolumn portyku są monolitami z granitu wschodniego, prześlicznych proporcyj.

Fronton był dawniéj przyozdobiony płaskorzeźbą spiżową złoconą, którą za Urbana VIII zdjęto i stopiono... w 1632 roku, powyrywano téż z dachu bronzowego ćwieki; spiż posłużył na ulanie niepięknego baldachimu u św. Piotra i kilkudziesięciu dział do twierdzy św. Anioła. Drzwi bronzowe wszakże pozostały starożytne.

Za to dobudowano do Panteonu dwie dzwonniczki po rogach szkaradne, które nie bez przyczyny Rzymianie nazywali oślemi uszami. Drzwi jedyne służyły za wnijście, po bokach we wnękach stały posągi Augusta i Agrypy. Agrypa jest teraz w Wenecyi.

Wszedłszy doznaje się tego wrażenia, jakie czynią tylko doskonałe dzieła sztuki, niezmierna harmonia linij uderza, gmach jest jak wspaniała melodya, miły i pogodnie piękny. W środku okrągły, bez okien, oświecony jest tylko otworem u góry. Wszystko tu prawie zostało, jak było, *aediculae* z frontonikami, z których przerobiono ołtarze, posadzki, kolumny, marmury.

Panteon przytykał do Termów Agrypy; może być, że do nich należał, dodano doń portyk, gdy przekształcono salę na świątynię. Losy Panteonu są tém ciekawsze, że to prawie jedyny gmach najcalszy ze starożytnych. Od 391 r. do 608, stał on zamkniętym, Konstantyn II zdjął z niego bronzowe pokrycie i posągi, których barbarzyńcy nie tknęli; łup ten zabrali Saraceni i zawieźli go do Aleksandryi. W 731 Grzegorz III kazał pokryć Panteon blachą ołowianą. W XIII i XIV wieku wiele uszkodzono. Ziemią zawalony był portyk, tak, że do świątyni schodziło się w dół, między kolumnami postawiano domki. Powoli zaczęto restaurować i odzierać, brakło jednéj kolumny granitowéj, dorobiono ją, ale zdjęto bronzowe ozdoby; w 1662 r. porozrzucano kletki w portyku. Nie można powiedzieć, aby dziś Panteon jeszcze choćby odczyszczenia nie potrzebował, ale tak, jak jest, wspaniale wygląda.

Tu w tém arcydziele budowniczéj sztuki spoczywają prochy arcymistrza, Rafaela. Nowy grobowiec wystawiono mu w r. 1833 w rogu ołtarza N. Panny z lewéj strony. Naprzeciw leży Annibal Carracci.

Obrazy ani rzeźby Panteonu nie odznaczają się, któżby tu zresztą mógł z dziełem sztuki obok starożytnych wystąpić!

Dwutysiącletnia świątynia, mimo przerobienia do dziś dnia ma jeszcze fizyognomię pogańską.

U św. Ludwika Francuzów na końcu Ripetta przy placu Navonna, niewielkim, ale pięknym kościołku z XVI wieku, gdzie leży z nagrobkiem kardynał d'Arquien, są freski Dominiquina z żywota św. Cecylii, w bocznéj kaplicy na prawo. Malowania te artystycznie piękne są, ale zimne, sztuczne, obmyślane, bez ducha. Śmierć świętéj uderza szczególniéj tém ustawieniem postaci nienaturalnych i przesadnych. Naprzeciw święta rozdająca jałmużnę ubogim, z grupą ubogich (starzec niosący drugiego starca), z dzieciakami, jest kompozycyą piękną, proszę ją jednak porównać ze św. Wawrzyńcem Fra Angelico rozdającym jałmużnę. Co tam za spokój i prawda, jaka tu machina, robota, przemysł a chłód! Jak tu uczone torsy i pozy, jak tam święte są i piękne twarze, jak wielka czasu, szkół i ludzi różnica! Dominiquino był wielkim artystą, ale nie poetą z pędzlem w ręku. Freski mają koloryt

nieco mdły i niedorównywający przeniesionemu do kartuzów od św. Piotra, św. Sebastyanowi.

Zaszliśmy jeszcze do San Andrea della Valle z r. 1591, dla widzenia fresków Lanfranca i obrazów Prete Calabrese, najbardziéj dla ewangielistów Dominiquina.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, tu był natchnionym, prostym i wielkim, tak, że przypomina Michała Anioła w Sykstynie. Ze wszystkich czterech ewangielistów św. Jan jest najpiękniejszy, znają go wszyscy z mnogich powtórzeń. Możnaby tylko aniołkom zarzucić że na pogańskie gieniuszki wyglądają.

Mniéj już piękne freski sklepienia znakomitém jednak są dziełem. Trzy obrazy Kalabryjczyka, bardzo odznaczające się kompozycyą i rysunkiem, przedstawiają sceny z życia św. Andrzeja. Wpośrodku jest Ukrzyżowanie.

A teraz, chodźmy oddać cześć popiołom poety... zmarłego w nędzy; nędza przystała poezyi, to jéj purpura,—więc nic to jeszcze, ale zmarłego w zwątpieniu o ludziach i świecie,—chodźmy do grobu Tassa.

Klasztor św. Onufrego leży za Tybrem, na Janikuln nad bramą San Spirito, stary, zbudowany był w XV wieku. Poszliśmy pieszo pod górę, bo takiéj pielgrzymki nie godzi się odbywać inaczéj, czołem przed ulaurowaną nędzą. Budowa wcale się nie odznacza powierzchownością. Nieregularny portyk z kilku kolumnami staremi prowadzi do kościołka i klasztoru. Zaraz nade drzwiami jest obraz N. Panny z aniołkami Dominiquina, piękna kompozycya, szczególniéj aniołowie, ale koloryt blady i zimny. Daléj wiodą nas zaraz do trzech obrazów Dominiquina z żywota św. Onufrego. Pierwszy wystawia urodziny i chrzest świętego, drugi odnosi się do widzenia, które miał św. Onufry.

W zachwyceniu ujrzał się przed sędzią Chrystusem, który go spytał — kto jesteś?

— Chrześcijanin—odpowiedział Onufry.

— Nie chrześcijanin jesteś—rzekł głos z góry—ale cyceronianin. (*Non christianus, sed ciceronianus es*).

Po czém aniołowie go chłostać zaczęli.

To widzenie ślicznie, lekko, wdzięcznie, ale jakoś w zniewieściałym stylu przedstawił Dominiquin; Chrystus mimo surowego wyroku łaskawie patrzy, anioły są łagodne, sam święty jest pięknym nagim młodzieńcem.

Trzeci obraz wystawia św. Onufrego na puszczy kuszonego, gdy w marzeniu przedstawia mu się Rzym i chóry tańczących dziewic. Wdzięczne jest kółko to Rzymianek. Szatan siedzi u nóg świętego.

W korytarzu jest jeszcze N. Panna, fresk naśladujący mozajkę, blady i niesmaczny, choć Leonarda da Vinci, z donataryuszem, postacią nadto rzeczywistą i prozaiczną. Portret św. Mikołaja, założyciela klasztoru, stary, wcale piękny.

Ale wnijdźmy do kościoła.

Na lewo, w nowéj kaplicy, świetnéj i błyszczącéj, wielki, świeży pomnik dla Tassa. Niestety! niestety! jakże Włochy upadły w poczuciu piękna, gdy taki monument zbudować mogli, w tém miejscu łzami wielkiego poety oblaném, nad jego popiołami. O! lepszy był ów stary kamień w posadzce z prostym napisem:

D. O. M.

Torquati Tassi
Ossa
Hic jacent.
Hoc ne nescius
Esses, hospes,
Fres hujus Ecclesiae
P. P.
M. D. C. I.
Obiit Anno MDXCV.*)

Nowy grobowiec jest wcale niesmaczny, wolimy już patrzéć na freski Pinturricchia, które zdobią ścianę nad ołtarzem w górze. Wystawiają Boga Ojca, aniołów śpiewających jego chwałę, świętych i koronacyą N. Panny. Niéma to wdzięku Rafaela, ale prostota

*) Na ścianie, pod malowaném popiersiem Tassa:
Torquati Tassi Poetae
Heu quantum in hoc uno nomine
Celebritatis ac laudum
Ossa huc transtulit, hic condidit
Bonif. Carda. Bevilacqua
Ne qui volitat vivus per ora vivum
Ejus reliqua parum splendido loco
Colerentur, quaererentur,
Admonuit virtutis amor, admonuit
Adversus patriae alumnum, adversus
Parentem, amicum — pietas
Hic anno LI nato magni florentiss. saec. bono
Anno MDXLIV.
Vivet, haud fallimur, aeternum in hominum
Memoria — admiratione — cultu.

Perugina szkoły, miłe oblicza, i wiele pokoju. Jeszcze poniżéj są freski Baltazara Peruzzi Pokłon trzech króli i Ucieczka do Egiptu, styl archaiczny, mniéj piękne od wyższych, ale miłe.

Teraz wiodą nas do klasztoru, w którym od r. 1595 zachowano pamiątki Tassa, który tu zmarł w celi samotnéj. Maleńka izdebka, stoi w niéj krzesło, na którém siadywał, trumna ołowiana, w któréj spoczywało dawniéj jego ciało, schowana w szafie wspaniałéj, kałamarz jego drewniany, miska starożytna (patera), pas, którym się przepasywał.

Ale najdroższą z tych pamiątek jest w środku stojące popiersie zrobione z maski zdjętéj z jego twarzy po śmierci. Widać szlachetne rysy znękanego boleścią człowieka, który się łudził, że poeta mógłby być szczęśliwym, dlatego, iż jest wielkim, gdy przez to, że wielkim jest, nieszczęśliwym być musi. Na twarzy śmierć czuć, która jakby lodem ścięła rysy.

Tu leży także list, który na niewiele przed śmiercią pisał do przyjaciela Antoniego Constantini. Smutek w nim dojmujący.

„Cóż powie mój pan Antoni, gdy posłyszy o śmierci Tassa? A zdaniem mojém niedługo przyjdzie ta nowina, bo ja się czuję u końca mojego życia, nie mogę znaléźć lekarstwa na nieznośną słabość, która przybyła w dodatku do moich zwyczajnych, jakby potok gwałtowny, przeciw któremu utrzymać się nie można, — widzę jasno, jak mnie on porywa. Nie czas już, bym mówił o upartéj doli mojéj, że nie powiem o niewdzięczności świata, która pragnęła odnieść zwycięstwo i zawieźć mnie do grobu żebrakiem, gdy jam sądził, że chwała, która pisma moje naszemu wiekowi przyniosły, powinna była coś uczynić i dla mnie. — Kazałem się zaprowadzić do tego klasztoru św. Onufrego, nietylko dlatego, że tutejsze powietrze lekarze chwalą i mają za najzdrowsze w Rzymie, lecz, by z tego wzniosłego miejsca i przez rozmowy z pobożnemi zakonnikami, rozpocząć z niebem rozmowę. Proście Boga za mną, a bądźcie pewni, że jak-em was kochał i czcił w tém życiu, tak i w przyszłém, prawdziwszém, nie ustanę i t. d.“

Na ścianie wisi rysunek dębu, pod którym Tass siadać lubił, patrząc na rozległy widok Rzymu, rozściełający się pod stopami, dąb ten burza obaliła w r. 1842. Z okien celi widać Monte Mario i okolice, pod niemi jest ogródek pełen laurów kwitnących. Cela nie smutna, widok wesoły, ale osamotnienie, nędza, zwątpienie, gdzież się rozchmurzyć potrafią? Dziś jest to jakby kapliczka poświęcona pamięci Tassa, w któréj się chce za niego pomodlić bardziéj, niż przy pomniku, zasypana laurowemi wieńcami, których zeschłe liście podróżni ze sobą wynoszą.

Rodzina Tassów, czyli de Tassis (de Taxis) wiedzie swój ro-

dowód od Karola Wielkiego. Byli oni panami hrabstwa Val Sassina w prowincyi Bergano. Od Tacito, czyli Tacio, z Val Sassina przezwali się de Taxis, czyli de Tassis, gdy przedtém nazwisko ich było tylko della Torre. Marcin della Torre de Tassis na wezwanie św. Bernarda wziął udział w wojnie krzyżowéj, jeździł do Palestyny z Ludwikiem, królem francuskim, i Alfonsem, hiszpańskim. Jan Chrzciciel miał zarząd poczt włoskich i hiszpańskich i otrzymał od Karola V cesarza dziedziczny tytuł *Corriere maggiore,* który to urząd zostawał długo w téj rodzinie. Dlatego w herbie swym do dawnego dzika, którym się pieczętowali, wzięli trąbkę pocztową. Karol V dodał im nadto orła cesarskiego w r. 1532, z tytułem hrabiów świętego państwa rzymskiego *).

Od grobu poety poszliśmy do Teofila na skromny włoski obiad, rozmawiać długo o Tassie, przy kieliszku Orvietto. Tass i nasi poeci i poezya nasza i losy naszych poetów i ich groby i ich dole, zajmowały nas do wieczora. Gdy nieco ochłodło powietrze, pojechaliśmy do San Gregorio na *monte Celio* naprzeciw Palatynu. Jest to dawna bardzo budowa z VII w. w miejscu, gdzie Grzegórz święty pałac swój na klasztor przerobił.

Do kościoła wchodzi się po kilkudziesięciu wschodach, przez starożytny podwórzec, otoczony portykiem, pod którym stoją grobowce. Tu zdaje się znajdował pamiętny a dziwny grobowiec z napisem, sławnéj z piękności, ale nie z obyczajów, *Imperii cortisana romana,* która, wedle słów epigrafu, *rarae inter homines formae specimen dedit.* Mauzoleum swe winna była przyjaźni, jaką miał dla niéj bankier Chigi. Żyła lat dwadzieścia sześć. Grób jéj zniszczono przypadkiem przy restauracyi kościoła. Zmarła w r. 1511.

Wewnątrz odnowiony kościół dzieli się szesnastu kolumnami granitowemi na trzy nawy. Obok jest cela, w któréj mieszkał św. Grzegorz. Wyszedłszy na prawo, przez ogródek, idzie się do trzech połączonych z sobą kaplic, poświęconych św. Grzegorzowi, św. Sylwii jego matce i św. Andrzejowi. U św. Sylwii jest fresk Guido Reni, Bóg Ojciec w chwale aniołów; anioły grają i śpiewają, dokoła balkon zawieszony draperyą, na którym porozrzucane są nuty. W średniéj kaplicy biczowanie św. Andrzeja Dominiquina, fresk blady i kompozycya słaba i zaniedbana. Pojedyńczo wzięte postacie są piękne, katy wystudyowane pysznie, święty także, a przecież wyższy jest Guido we fresku, naprzeciw wyobrażającym św.

---

*) Notatka z dzieła „*della Nobilità d'Italia del Signor Francesco Zazzera Napolitano. Napoli, 1605. T. II,*“ udzielona przez pana Władysława Kulczyckiego.

Andrzeja, którego wiodą na śmierć. W dali, na górze, widać już wbity krzyż, świętego obnażają z szat, on klęczy i modli się, podniósłszy ręce. Dokoła tłum konnych i pieszych dość obojętny, ale zaciekawiony. Twarze tych pogan wyraziste, postacie narysowane energicznie, a bez przesady, w rogu na prawo młoda kobieta z dziecięciem, poganka jeszcze patrzy na świętego zadumana, jakby chciała pojąć tę siłę, co go na męczeństwo wiedzie. Ta figura zamyślonéj, wzruszonéj niewiasty jest prześliczna. Guido jest tu natchnionym i silniejszym, niż w innych swych dziełach. W ostatniéj kaplicy św. Grzegorza, na lewo, jest marmurowy posąg papieża, który miał być poczęty przez Michała Anioła, a skończony przez Cordieri. Naprzeciw stoi stół, przy którym św. Grzegorz przyjmował ubogich, gdy mu się zjawił ów *trzynasty*, anioł boży. Piękny z téj legendy obraz Crayer'a... niegdyś, przypominał nam, gdyśmy do stołu siadali, obowiązek łamania się chlebem z temi, co go nie mieli.

Stąd pojechaliśmy na górę Palatyńską do ruin pałacu cezarów. Weszliśmy przeze drzwi, nad któremi stoi napis: *Ingresso alle rovine.* Dziś góra Palatyńska podzielona na kilku właścicieli, w znacznéj części przemieniła się w ogród warzywny i winnice. Całą okrywają zwaliska przepotężne; z pośrodka żywéj i bujnéj zieloności, widzisz nagle wyrastający kawał muru czerwonego, grubego, którego czas nie mógł skruszyć, tu złom olbrzymich jakichś sklepień, tam pod nogami otwiera się nagle czarna przepaść, gdzieś w głąb runęły gruzy. Z téj malowniczéj ruiny, poobwijanéj zielenią, z miejsca zwłaszcza, kędy stać miał pałac Tyberyuszowy, przepyszny widok się odkrywa na Kolosseum, które po nad te krzaki i drzewa podnosi się samo, i na dolinie, po za niém góry okolic Albano.

Wchodząc na górę po wschodach, spotykasz wpośród złomów na ścianie zawieszony, prosty, drewniany krzyż... ten spadkobierca cezarów, po których zostały tylko zwaliska, mówi tak wiele, że żadne słowo więcéj już wypowiedziéć nie potzafi.

Jednak i tu i przy tym krzyżu, wysoko, po drabinach się spinając, Anglicy, Niemcy, Francuzi, chciwi nieśmiertelności, pozapisywali imiona swe na murach. Prawie stuletnie już są tu pamiątki téj odwagi, godnéj lepszéj sprawy. Niektórzy pięli się, aż pod górę, aby tam ich szacownych imion nikt zamazać nie mógł, lub dodać im tytuł stosowny. Nic tu już niéma coby się opisać dało, ale malarz mógłby z tego przepyszny obraz utworzyć.

Stąd jeszcze do *San Giovanni e Paolo* zmierzyliśmy; choć kościół starożytny, bo z 400 roku, ale zupełnie przerobiony. Jest tu tylko do widzenia fresk w chórze Pomerancio, Chrystus w chwale. Dokoła muzykujące anioły; jasno, wesoło to wygląda, ale nie wychodzi

nad granice przyzwoitéj mierności. U drzwi dwa lwy, zapewne starożytne.

Wstąpiliśmy potém do *S. Maria in Dominica della Navicella*, na miejscu domu św. Cyryaki, w którym się chrześcijanie zgromadzali i gdzie św. Wawrzyniec był kapłanem sprawującym ofiarę. Przed kościołem stoi na słupie łódka marmurowa, wzniesiona przez Leona X. Stary kościół wewnątrz wspiera ośmnaście kolumn. Przerobiono go wedle rysunku i pomysłu Rafaela. Strop cały biały bogato rzeźbiony. Fryzy malowane z rysunków Giulio Romano i Perino del Vaga, *chiaroscuro*. W chórze zachowała się mozajka, jajakoby z V wieku. Na niéj Matka Boska z dziecięciem Jezus, stojącém na jéj kolanach, u góry apostołowie. Rysunek surowy, ostry, ale pamiątka szacowna.

Stąd na Monte Celio już późno zaszliśmy do *San Stefano* zwanego *Rotondo*. Jest to zdaje się jakaś budowa starożytna, świątynia może, lub, jak inni twierdzą, z ułamków starożytnych tylko w V w. zbudowany kościół. Poświęconym był już w r. 467.

Weszliśmy do niéj z boku, gdzie w ustępie za rotundą przybudowanym stoi siedzenie marmurowe, białe, bez poręczy (starożytne, jak okazują smakowne rzeźby), z którego św. Grzegórz mówił swą czwartą homilią o apostołach, z tekstu ewangielisty Mateusza. Pamiątka to czcigodna. Kościół, jak jego nazwanie wskazuje, okrągły, otoczony kolumnami, które wewnątrz oddzielają świątynię, połączonemi łukami bizanckiemi. Ściana o czterech kolumnach jeszcze raz to wnętrze przecina. Na samym środku w ołtarzu stoi cierpliwéj roboty Jerozolimska Świątynia.

Kościół, poświęcony pierwszemu męczennikowi chrześcijaństwa, musiał być historyą męczeństw przecierpianych dla wiary. Cały téż szereg fresków Pomerancia, Tempesty i innych przedstawia straszliwe, krwawe dzieje prześladowań, aż do zwycięstwa kościoła.

Pomimo słabości niektórych obrazów i szybkości wykonania, sam przedmiot ich silniéj przemawia nad pędzel, a człowiek przeszedłszy te karty, odchodzi od nich zmalały, upokorzony, zawstydzon brakiem siły i ducha. Obojętni ludzie wyrzucają niemal artystom skreślenie tych scen okrucieństwa, istotnie przerażających; ale to wymowna księga, choć po niéj dreszcz przejmuje. Za temi płomieniami, topory, kleszczami, kratami, kotłami i narzędziami męczeństwa — stoi zwycięstwo prawdy. Straszne to jest, ale wielkiego pomysłu. Długo, wyszedłszy, śnią się te okropne sceny, oddane z energią i siłą często zbyteczną i odtrącającą.

Musieliśmy wrócić do miasta, zmieszać się z wesołym tłumem, nasłuchać jego śmiechów i wrzawy, napatrzyć powszedniego życia, aby o przykrém wrażeniu zapomnieć. Wieczór był piękny, ale do

późna gorący, to też ludność cała wyszła z domów szukać powietrza i wolniéj nieco oddychać. Gwarno było około licznych wodotrysków, i w téj dopiero porze, wstrzymane skwarem, rozbudzało się życie. Z naszego balkonu widok na Rzym o mroku i błyskające światełka w Watykanie—potém cicha rozmowa, zatarły wspomnienie fresków św. Stefana.

Z kapitanem Onofrio rozpoczęliśmy dzień następny zwiedzeniem pracowni naszego artysty pana Oskara Sosnowskiego, który jest dziś jednym z najcelniejszych w Rzymie. Dla nas dzieła jego mają podwójną wartość, bo w nich cenimy nietylko piękny talent, ale żelazną wytrwałość, z jaką się zawodowi, wcale napozór nie przeznaczonemu dłań, poświęcił. Potrzeba było walczyć z rodziną, któréj powołanie artysty zdawało się dla potomka dygnitarzy niewłaściwém; kształcić z niezłomną wolą oddania sztuce zupełnego, opuścić kraj, okupić ofiarami swą miłość piękna. Wszystko to dokonane z powagą, w ciszy, spokojnie i otrzymane wreszcie owoce pracy wysoko każą cenić Oskara Sosnowskiego. Znamy go zresztą w kraju z wielu dzieł, które mu ofiarował, Warszawa ma prześlicznego Chrystusa w grobie, posąg Czackiego, płaskorzeźbę anioła zmartwychwstania i sądzę, że miéć jeszcze będzie medalion Józefa Korzeniowskiego, już przez niego przyrzeczony rodzinie *).

Oskara Sosnowskiego nie było w Rzymie, gdyśmy studyum jego oglądali; prace po większéj części dawniéj nam znane, odlew Chrystusa w grobie, płaskorzeźbę anioła zmartwychwstania, N. Pannę Niepokalanego Poczęcia w różnych rozmiarach powtarzaną, posąg bardzo wdzięczny, popiersie transteweranki (poważnéj, jakby żona cezara), Justycyą, Wiktoryą, Mojżesza, i odlew gruppy Jagiełły i Jadwigi, mniéj może szczęśliwy nad inne prace Sosnowskiego. Są one już bardzo liczne i kraj się niemi pochlubić może. Radzibyśmy artystę po długich latach przebywania w Rzymie widziéć z powrotem u nas. Rzym jest wprawdzie dla artysty ojczyzną, ale kraj także skorzystałby wiele, gdyby takiego inicyatora mógł miéć jak Sosnowski. Pobyt w nim byłby może ofiarą, pojmujemy to dobrze, ale jedną tylko więcéj, po bardzo wielu.

Dzień dzisiejszy był jakby umyślném przedłużeniem wrażeń wczorajszego, przy małym kościołku św. Wawrzyńca zwiedziliśmy uświęcone podaniem więzienie jego, starożytne podziemie, w którém zamknięty był przez Hipolita skazany na śmierć święty. Tu on ślepego, zajadłego więźnia uzdrowiwszy, cudem tym nawrócił Hipolita.

---

*) Nie medalion, ale popiersie już zostało przesłane, 1865.

Do podziemia tego idzie się szyją wązką, samo ono jest małe, okrągławe, i w górze ma, jak inne, otwór, przez który spuszczano jadło. Niżéj wytryska źródełko, dla obmycia oczu ślepego ze skały dobyte przez Wawrzyńca. Budowa nie dozwala wątpić, że legenda, co uświęca to miejsce, bardzo dawnych sięga wieków. Ciasny, czarny, zimny, zewsząd zaparty loszek ten, daje wyobrażenie straszliwych jam, w które rzucano pierwszych chrześcijan. Zaledwie można się w nim było położyć, usiąść tylko na zrębie małym muru, służącym za ławę. Dziwnie przejmuje widok tego więzienia.

Szliśmy już, za legendami goniąc, do starego kościoła św. Pudencyanny. Tu św. Piotr nawrócił Pudensa, jednego z patrycyuszów rzymskich, właściciela tego domu i pierwszą u niego spełniał ofiarę. Razem z nim nawrócona została jego rodzina, synowie i dwie córki: Pudencyanna i Prakseda. Odtąd dom Pudensa stał się gospodą apostołów. Tu pobożnemi rękami świętych dziewic w cysternie, która jest teraz objęta kościołem, i podziemiach przyległych, pogrzebione zostały ciała do trzech tysięcy męczenników chrześcijańskich, krew ich zbierały niewiasty gąbkami i zachowywały troskliwie. W bocznéj kaplicy wskazują jeszcze rzymską posadzkę, która była w domu Pudensa, na kościół późniéj przerobionym, jest i cysterna i leżą w niéj kości. W samym kościele starym, ale odnawianym, znajduje się mozajka, ciekawy zabytek sztuki chrześcijańskiéj. Krzyż otaczają zwierzęta, czterech ewangielistów przedstawiające, i anioł, dołem figury, pomiędzy któremi Chrystus z księgą, na księdze napis: *Dominus Conservator Ecclesiae Pudentianae.* Kompozycya wspaniała, obraz ma być z czasów Karola Wielkiego. Fresk w kopule jasny i dosyć wdzięczny, jest Pomerancia.

Znajduje się tu stół, na którym św. Piotr odprawiał ofiarę, i napis z katakumb z Pudencyanny imieniem.

Nieopodal wznosi się kościół św. Praksedy, zbudowany także na dawnéj posiadłości Pudensa; a w nim mozajka z 800 roku. Mozajki te wszystkie stanowią niezmiernie ważny materyał do ikonografii chrześcijańskiéj.

W górze Baranek apokaliptyczny na księdze siedmiu pieczęciami zamkniętéj, przy nim kandelabry gorejące. Otaczają go inne baranki (apostołowie) ku niemu zwrócone. Obraz wystawuje Jeruzalem niebieską, do któréj od ziemi cisną się z wieńcami męczeńskiemi w ręku mnóstwo wybranych. Niektórzy postacie te mają za apokaliptycznych starców, jabym sądził, że to są owe trzy tysiące męczenników pierwszych, które pobożne niewiasty pogrzebały, gdyż i św. Pudens i Prakseda są między niemi.

Dom ten, zbudowany na termach Nowata, w drugim wieku był już kaplicą (oratorium). W dziewiątym wieku papież Paschalis uczynił z niéj kościół. Mozajka tutejsza, mimo niedołęstwa sztuki IX wieku, jest wielkiego zastanowienia godną, myśl w niéj jasna, tradycya szacowna. Freski nowe kościoła kawalera d'Arpino, dziwią prześlicznemi postaciami aniołów, ale podanie mówi, że są z rysunków Rafaela, anioły te i apostołowie odznaczają się zresztą nawet piękném wykonaniem.

W kaplicy św. Hennona męczennika mieszczą się mozajki sławne, które tak były na swój czas piękne, że miejsce to dla nich zwano *Orto del Paradiso, Rajskim ogrójcem*. Okrywają one całe sklepienia i są pełne ciekawych symbolicznych przedstawień; między innemi cztery anioły trzymające obraz Chrystusa w owalu, apostołowie Piotr i Paweł trzymający tron, na którym leży krzyż; wnijście do katakumb, wizerunki N. Panny, św. Praksedy i Pudencyanny, Pudencyusza, Teodora, Paschalisa. Nimbusy u świętych kwadratowe. Tu pokazują kolumnę marmurową nizką, nadkruszoną z marmuru wschodniego pstrego, czarno białego, przywiezioną z Konstantynopola w XIII wieku, przez jednego z rodziny Colonna, podawaną za słup, przy którym Chrystus był biczowany. Jest to podstawa jakby sprzętu jakiegoś, u dołu szersza, na wielu obrazach przedstawujących biczowanie, można widzieć ją w tym kształcie*).

W kościele tym jak u św. Pudencyanny, jest cysterna zamurowana, o któréj mówi podanie, że za czasów św. Grzegorza, gdy do niéj kamyk spuszczono, probując, coby się na dnie znajdowało, wrócił krwią zbroczony. Unikając profanacyi, kazano ją zamknąć.

W ołtarzu biczowanie Chrystusa, obraz Giulio Romano, piękny jako utwór artystyczny, ale chłodny.

San Martino ai Monti, przy termach Tytusa, do którego szliśmy następnie, jest jednym z najpiękniejszych w Rzymie kościołów, a jednym z najdawniejszych, ale zupełnie odświeżonym. Kolumny starożytne dzielą go na trzy nawy, w pośrodku ładny ołtarz, podniesiony nad kryptą, do którego wchodzi się z dwóch stron po wschodach. Rysunek jego dał Piotr z Cortony. Z obu stron na murach są malowane przez Guaspra Poussin *alla tempera, krajobrazy*; jedyny może kościół w świecie w ten sposób przyozdobiony. W każdym z nich są drobne figurki ledwie dostrzeżone, przedstawujące sceny z histo-

---

*) Między innemi naszego sztycharza Rakowieckiego, Chrystus u słupa. Rakowiecki pracował w Berdyczowie w końcu XVIII wieku.

ryi świętéj. *) Malowanie to nieco zblakło, ale znać w niém mistrzostwo wielkie, kompozycya teatralna, efektowna, czuć włoski kraj i dobrze pochwycone cechy jego ogólne, linie pejzażu. Szczegóły, koloryt, jak w innych krajobrazach heroicznych epoki, są dowolne i konwencyonalne. U góry, po nad temi krajobrazami, są podłużne mniejsze, tegoż artysty. Dziwnie się to wydaje w świątyni, te jakby okna na cały świat poroztwierane i te rozliczne natury widoki.

Jeden z dawniejszych fresków przedstawia na ścianie z lewéj strony sobór watykański u św. Piotra; drugi, sobór lateraneński, w latach 324 i 325 w przytomności Konstantyna, Heleny i t. d. Na pierwszym z nich było biskupów 284, na drugim 225. Potępiły one błędy Aryusza, potwierdzając postanowienia nicejskie.

Z kościoła wchodzi się do krypty, przerobionéj, jak się zdaje, z termów Tytusa w IV wieku na chrześcijański dom modlitwy. (?) Są to podziemia widocznie starożytne, sklepione, których posadzka wilgotna jest mozajką rzymską. Obok malowań epoki chrześcijańskiéj bardzo zniszczonych, widać ślady ozdób łaźni Tytusa. Na jednym łuku ptaki, arabeski i lecąca w powietrzu tancerka. Obok obrazy chrześcijańskie z IV w., Chrystus, święci, *ananas*, jako symbol odrodzenia w Chrystusie. Oprócz tego ułamki rzeźb, fresków ślady wyblakłe, gdzieniegdzie twarz, to znowu zwój liści. Podziemie jest smętne, poważne i tajemnicze. Za wielkim ołtarzem przechowuje się stół Aryusza i kamień czarny owalny, z rodzaju tych, których w Rzymie przechowało się wiele po kościołach z podaniem, iż je do szyi chrześcijanom czepiano. Przy kamieniu wisi reszta łańcucha. Podobne one są do starożytnych wagowych kamieni, a raczéj są niemi, używano ich tylko do męczeństw, jak innych narzędzi.

Stąd szliśmy do św. Piotra *in vincoli*, tak nazwanego od kajdan tu przechowanych w zakrystyi, któremi św. Piotr był w Jerozolimie przez Heroda przykuty. Pamiątka ta, przez różne przechodząc ręce, naostatek do Rzymu przez Eudoksyą, Walentyniana III żonę, się dostała.

Z dziedzińca kościelnego, śliczny widok na miasto, który zdobi średniowieczna wieżyca i wielka palma niedaleko rosnąca.

Tu stoi ów sławny posąg Mojżesza, Michała Anioła, w pomniku Juliusza papieża, tak poważny, surowy, gniewny prawie, a silną dłonią zdający się targać brodę. Postać równie wielkiego stylu, jak grobowe Medyceuszów we Florencyi.

Resztę pomnika wykonali uczniowie Michała Anioła. Mojżesz

*) Historyą Eliasza.

niedobrze może jest postawiony, stoi za nizko, okolony figurkami i ozdobami, które odwracają uwagę, niszczą efekt ogromnéj téj postaci. Wzniesiony odrębnie na wielkiéj bryle podstawy, byłby wspanialszym jeszcze.

Figura Juliusza papieża, którą Mojżesz gasi, nie jest bez wielkich zalet, chociaż przyznawana Maso del Bosco, musi być z rysunku Michała, jak Lea i Rachel. Wykonanie słabsze (szczególniéj niższéj części posągu). Pokazują tu siedzenie starożytne (łaziebne) z marmuru na lwich nogach, podobne do Grzegorzowego u św. Stefana, z którego Leon papież miał kazać.

W zakrystyi są szczątki starego ołtarza z kręconemi kolumienkami z białego marmuru, wysadzanemi mozajką, i sławny obraz Guida *La Speranza,* figurka ładna, manierowana, z oczkami ku niebu podniesionemi. Anioł Guida jest od niéj piękniejszy. Malarze nieustannie ten komunał kopiują, stoi on na trójnogu w zakrystyi. Spotyka ta cześć i krajobrazy Poussin'a dosyć często, a daleko zasłużeniéj.

Byliśmy tak blizko termów Tytusa, że ich ominąć nie było podobna. Wielka ta ruina niewłaściwe nosi nazwanie, jest to miejsce, na którém w części stały termy Tytusa, ale nie one szczątki Złotego pałacu Neronowego, a pod nim może domu i grobu Mecenasa i Horacyusza. Tytus zasypać kazał fundamenta i gmachy Neronowe i na nich on budował. Odkopano tu wiele pięknych posągów, Merkurego, Meleagra i inne. Szereg izb i sal idących jedne za drugiemi ciągnie się kilkaset kroków, w niektórych korytarzach na sklepieniach utrzymały się reszty ozdób, co podały myśl Rafaelowi do jego lóż watykańskich. Gdzieniegdzie nisze czerwono pomalowane, próżne posągów. Na freskach dostrzegłem leżącą Wenus, zwierzęta, lwa, kozę, ptaki, wieńce, małe krajobrazki, gdzieniegdzie, jak w Pompei, na tłach czerwonych.

Gmachu część jeszcze pod gruzami leży.

Budowa wogóle bardzo majestatyczna, sala środkowa olbrzymia, z wysoko wzniesionêm sklepieniem, drzwi wszędzie szerokie, okna wielkie, sklepienia z cegieł drobnych, na ścianach widać *opus reticulatum,* mur sieciasty Rzymian. Kolumny portyku były z kosztownego żółtego marmuru, *giallo antico.*

Chwasty dziś porastają ów Złoty pałac, na którego grzbiecie złamanym wzniosły się łaźnie Tytusowe i brudno, smutno, pusto... Z malowań bardzo pozostało mało, rzucano potwarz na Rafaela, że skorzystawszy z tego zabytku, postarał się go zniszczyć; ale wistocie mury porozbijano późniéj dla saletry.

Dają wyobrażenie wielkości i wspaniałości gmachu całe szeregi drzwi ogromnych, idących po sobie, które uczony, a do południa

trzeźwy, cicerone miejscowy w kapeluszu i surducie z cienkiego sukna, pokazywać raczy. Przy natłoku cudzoziemców, jaki co rok bywa w Rzymie, i ciekawości widzenia wszystkiego, miejsce takiego kustoda jest wcale pięknym urzędem, znać to na obliczu tego, co go posiada.

Nic zabawniejszego nad wyuczone stereotypowane frazy, które znudzony powtarza tylekroć na dzień, że w końcu drzémiąc je same usta już wymawiają, a człowiek widocznie myśli o czém inném.

Po obiedzie wyruszyłem za miasto przez *Porta Pia* do *Ponte Nomentano*, średniowiecznéj budowy. Dziwna rzecz, jak minąwszy mury Rzymu, natychmiast wjeżdża się w pustynię. Do Ponte Nomentano wcale nie jest daleko, a już około niego, żadnego niéma ruchu, życia, nic, coby zwiastowało stolicę. Skupia się ona cała w sobie, jakby zaledwie na ożywienie ruin swą ludnością starczyć mogła, po nad drogą ledwie gdzieniegdzie kupka gruzu ze starego mauzoleum, lub niezamieszkana licha karczemka. Ludzie, których się spotyka, dziko i smętnie wyglądają, kraj spiekły i suchy.

Przypatrzywszy się stąd Rzymowi, dla lepszego widzenia starych murów opasujących go, okrążyliśmy je, aż do bramy *del Popolo*. Grube te kortyny z wieżami są z różnych epok, najstarsze pokazują przy dawnych ogrodach Salustyusza, w willi Barberini i winnicy Maccarani. Między bramą del Popolo a Pincianą mają być z dziewiątego wieku, stąd do Porta Salara, z czasów Belizaryusza, między Pia a San Lorenzo Tyberyuszowskie i t. d. Widok murów piękny i malowniczy służyć-by mógł za motyw do obrazu, w wielu miejscach.

Wróciwszy, snuliśmy się po Corso, którego bardziéj europejska fizyognomia dość dla mnie była odstraszająca. Sklepy, cudzoziemcy, angielskie lady, całe rodziny zamorskich turystów i handel dla nich przedmiotami im miłemi, wydawały mi się w Rzymie czémś nieprzyzwoitém. Szczęściem, żeby na angielskie farmacye nie patrzéć, mogłem się schronić do bukinisty i przeglądać stare księgi. Szukałem coby się tyczyło Polski, było mało a bardzo drogich; za podróż Henryka Walezyusza z Polski, cztery kartki, żądano dwa skudy, za dwie stronnice opisu Ossolińskiego (który, jako objaśnienie do ryciny Dolabelli, był pożądanym) dziesięć naszych złotych. Wogóle nieopatrzność nasza wszędzie za granicą ceny ksiąg, sztychów i pamiątek naszych nadzwyczaj wysoko podniosła. W handlu europejskim niesłychane nakładają na kupujących haracze; taki Drugulin w Lipsku lub Clement w Paryżu, którzy rachują na to, że istotnéj wartości rzeczy nie bacząc, jako rzadkość przepłacić ją musimy. Spekulują nawet na najpoczciwszém przywiązaniu do rzeczy

krajowych, targują się, jak ci poganie, co popioły ojców zmarłych w niewoli, na wagę złota sprzedawali dzieciom.

Teraz téż zbieranie ksiąg i sztychów stało się już tylko dla tych dostępném, co do nich wielkiéj nie przywiązują wagi.

Dostawszy nazajutrz pozwolenie na piśmie od *Rnda fabrica del Vaticano*, (to jest, jakby od urzędu budowniczego Watykanu), do oglądania kopuły św. Piotra, udaliśmy się tam nazajutrz rano. Nie tak jednak rano, by już gałka pod krzyżem nie miała czasu rozpiec się na słońcu. Po dopełnionéj formalności zapisania nazwisk, wpuszczono nas na kościół. Tu dopiéro, wchodząc na dach i kopułę, można miéć najlepsze wyobrażenie o wielkości gmachu. Po drodze spotkaliśmy mnóstwo kamieni świadczących, kiedy dostojne osoby odbyły tę samę pielgrzymkę. Po bokach mijaliśmy mnóstwo drzwiczek wiodących do różnych korytarzy i mieszkań na dachu, nareszcie dostaliśmy się na rozległą platformę, która jest tak wielką jak rynek porządnego naszego miasteczka. Na téj płaszczyźnie dachu stoi dopiéro ów drugi gmach ogromny, który się zowie kopułą św. Piotra. Dziwić się potrzeba tryumfowi gieniuszu, który wznosząc w powietrze tę masę kamieni, musiał intuicyjnie odgadnąć wiele praw ciśnienia i oporu za jego czasów niedokładnie znanych i obrachować się nie dających. Zaledwie doświadczenie innych i przykłady były dlań skazówką. Kopuła jest straszna, ale wnijście na nią korytarzem wygodnym bardzo łatwe, z kopuły wchodzi się na latarnię, z któréj widok rozległy i piękny całéj okolicy; ukazuje się nawet morze w oddaleniu na horyzoncie.

Nie będąc zbytecznym miłośnikiem panoramy, tu się zatrzymałem. Towarzysz mój, Klemrod, mimo groźby, że się w gałce św. Piotra upiecze, poszedł aż na nią i powrócił czerwony i zdyszany, zaręczając, że w piecu chlebowym goręcéj być nie może.

Z nawyższéj galeryi wzrok już sięgał tak daleko, że więcéj pożądać nie było można. Cały Rzym, cały gmach Watykański szczególniéj, mieliśmy pod nogami, ogrody papieskie, pałace, okolice, morze. Na morzu jak niedostrzeżone cienie majaczyły okręty. Wszakże i tu już było tak gorąco, że długo się tym widokiem nasycać nie było podobna.

Utrzymanie gmachu, wschodów, korytarzów, nadzwyczaj staranne, porządek jest przykładny i czystość, jakiéj gdzieindziéj w Rzymie nie znaleść. Na dachu domy stróżów, fontanna, a figury kolosalne na froncie św. Piotra widziane zblizka, wyglądają jak bryły nieforemne, ociosane od siekiery. Zdumiewa to wielkością, ale rozmiary nie mogą zatrzéć braku smaku epoki, w któréj św. Piotr był skończony. Wewnątrz jest przeciążenie ozdób, wspaniałości, jest wielka jedność i całość, mimo to, tylko ogrom robi wraże-

nie, nie można powiedzieć, żeby to było piękne, jest—olbrzymie. Mozajki ołtarzów, grobowce majestatyczne papieżów, kolosalny tron papieski, baldachim W. ołtarza, wszystko zdumiewa, gdy się przybliży i sobą rozmierzy; ale nie zaspokaja uczucia. A że w rzeczach ludzkich stosunek przedmiotów stanowi o ich wielkości, cóż właściwie znaczy rozmiar? tylko pokonaną trudność.

Zszedłszy obchodziliśmy znowu muzeum rzeźb, zbiór obrazów i dłużéj zatrzymaliśmy się przy Etruskach, naczyniach, bronzach, rzeźbach i wszelkiego rodzaju pamiątkach, po tym ludzie, którego cywilizacya, pochodzenie, byt, dotąd są jeszcze mgłą okryte. Charakter wyrobów etruskich jest wybitny i właściwy.

To, czego Rzymianom w sztuce brakło, oryginalność, miała etruska, choć do wysokiego stopnia doskonałości nie doszedłszy, pochłoniętą została. Zbiór watykański, oprócz wyrobów z gliny, które pierwsze miejsce zajmują w sztuce tego ludu, ma mnóstwo sprzętów, zbroi, ozdób stroju, malowań i rzeźb grobowych. Niektóre posągi są bardzo zastanawiające. Ślady sztuki Etrusków w późniejszéj rzymskiéj są widoczne.

Przeszliśmy potém małe muzeum egipskie i gabinet kart gieograficznych, idąc do zbioru kobierców (*Arazzi*) z rysunków Rafaela tkanych.

Sławne owe szpalery, które znikły ze skarbcu polskiego, były właśnie tego rodzaju gobelinami jak rzymskie *arazzi*, i na ten sam u nas obracane były użytek. Obijano niemi w wielkie uroczystości kościelne ściany, zawieszano przy publicznych obchodach. Arazzi rzymskie służyły do ubrania Sykstyny. Obyczaj ten wywieszania opon, kobierców i t. p. do dziś dnia utrzymuje się we Włoszech, a w Rzymie niéma bez nich żadnego festu i odpustu. Kobierce z rysunków Rafaela wykonane we Flandryi pod dozorem Van Orley'a, dziś są szczątkiem daleko mniéj szacownym od kartonów w Hamptoncourt, które do nich służyły. Czystość rysunku znikła przez wyciągnienie materyału, barwy zblakły, i wyroby te kosztowne dziś tylko na wiarę ich dawnéj świetności uwielbiać można.

Przypomniawszy sobie Rafaela, i jego malowania w Farnesinie, zląkłem się, abym ich obejrzéć nie zapomniał i pośpieszyłem wprost do dawnéj willa Chigi, dziś nazwanéj od imienia Farnesich, bo w końcu XVI w. nabył ją kardynał Aleksander. Jest to własność ex-króla neapolitańskiego. Pałacyk postawiony był jeszcze przez owego sławnego bankiera Chigi, który tak olbrzymią wsławił się fortuną, wspaniałością, przepychem, a razem miłośnictwem sztuk pięknych i pięknych kobiet. On to wzniósł ów skandaliczny grobowiec pięknéj Imperyi, o którym wspominaliśmy.

Przyjmując raz Leona X papieża w Farnesinie z dwunastu kar-

dynałami, półmiski złote w miarę, jak ze stołu schodziły, kazał przez okno wyrzucać do Tybru. Było to bardzo po pańsku, ale w Tybrze zastawiona sieć umyte tylko nazad oddawała. Za troje ryb na tę biesiadę zapłacono 250 skudów, jak pisze Tycyan.

W Farnesinie Rafael malował historyą Psychy, jednę z najpiękniejszych, najczystszych fantazyj starożytnego świata, i nadał jéj cały wdzięk, który tylko on tchnąć umiał. Miłość i dusza są wistocie piękne, jak dusza i miłość owego przedświata, pełne młodości, pełne niewinności, powiedziałbym, mimo szczęścia, które je upaja.

Na pierwszym obrazie Wenus wysyłająca syna z zemstą, na drugim Amor pokazujący Psychę trzem Gracyom, daléj Juno i Ceres wstawiające się za Psychą, Wenus idąca do Jowisza, Wenus wzywająca jego zemsty, Merkury ogłaszający nagrodę za wydanie Psychy, Psyche powracająca z piekieł, Psyche podająca Wenerze puszkę przyniesioną do Prozerpiny, Amor proszący Jowisza o pozwolenie zaślubienia Psychy, nakoniec Merkury wiodący Psychę do niebios, bogów zgromadzenie słuchające skargi Wenery, a na sklepieniu podniebném, uczta bogów weselna.

We wszystkich tych utworach prawie, Wenus jest już więcéj matką Amora, niż bóstwem miłości, Psyche przewyższa ją skromnością i wdziękiem dziewiczym. Urok tych obrazów, tak miłych i pełnych szlachetnego stylu, wypowiedziéć się nie daje. Obrazy Rafaelowskie są odnawiane przez Carlo Maratti i niewiele się to postrzega.

Tu także znajduje się sławny fresk, znany pod nazwaniem Tryumfu Galatei, skończony w r. 1514. Galatea jest cudnéj piękności, otaczające ją nereidy czarującego wdzięku; Rafael, jak sam przyznaje w liście do Castiglione, malował ją nie ze wzoru cielesnego, ale ze wzoru ducha—z ideału. I stworzył ideał. Pokazują tu także kolosalną głowę, nieco zadartą do góry, piękną, śmiało rzuconą, ale bez wielkiego charakteru, którą znudzony Michał Anioł, czekając na Daniela Volterra, nakreślił węglem na ścianie.

Willa opuszczona, zabrukana, smętna, pełną jest, jak widzimy, najdroższych sztuki zabytków. Na górze jeszcze są freski szkoły Rafaela (kuźnie Wulkana) i dwa Sodomy, Aleksander i rodzina Daryusza, Aleksander i Roksana. W obu obrazach twarze mają ten wdzięk lubieżny, który Sodoma nadał swéj św. Katarzynie w Siennie, zowiąc go zachwytem niebieskim. Szczególniéj Roksana, Aleksander, kobiety stojące w lewo, młodzieniec na boku, podobają się wyrazem téj słodyczy pieszczonéj, tego wdzięku niewieściego. Niéma tu czystości i idealności rysunku, jaką Rafael nadawać umiał swym postaciom, ale jest coś dziwnie pociągającego, sympatycznego,—uczuciem rozlaném na nich.

W pałacu Farnese, z którego już prawie wszystko naówczas wywieziono do Neapolu, opuszczonym i zniszczonym, bo klimat południowy w inny sposób, ale zarówno jak północny, prędko zjada zaniedbane budowy, stał tylko na dole w dziedzińcu sarkofag kamienny Cecylii Metelli, a na górze kilka mniéj szacownych, ponadkruszanych posągów i trochę obrazów. Przetrwały tylko freski sławne Carracciów, Guida i Dominiquina, dzieło charakteryzujące wiek swój naiwnym bezwstydem, ze scen miłosnych, a raczéj rozpustnych złożone całe,—niestety! prześliczne. Artyści właśnie do malowania podobnych obrazów lepiéj, niż do religijnych byli usposobieni. Jest to arcydzieło Caraccich, Dominiquino zostaje w cieniu, ma tylko mniejsze kompozycye. Ośm lat pracy kosztowały te freski nieporównanéj lekkości, wdzięku, piękności rysunku i wytworności pełnéj smaku, zapłacono je tyle, ile dziś mierny artysta zwykł sobie kazać płacić za mały obrazek około 3,000 franków!

Na próbę oto Mars i Wenus, *genus unde latinum*, ale... ale tu by się dało słówko powiedzieć o mitologicznych nowych obrazach.

Przypuściwszy, że z grobu powstał pierwszy lepszy poganin,—czy poznałby w nich swych dawnych bogów? Nie jesteśmy tego zbyt pewni. Przedmioty mitologiczne służą za preteksty do przeróżnych przedstawień nagości i anatomicznych studyów, mało artystów wniknęło w charakter starożytnéj sztuki. Przeżyliśmy wiele szkół klasycznych jeszcze wszakże po kilku obrazach w Pompei, po szczątkach pompejańskich, rodzaj ten nie zdaje się wyczerpany. Nie przysiągłbym, że nań moda nie powróci.

Przykre wogóle wrażenie wynieśliśmy z tego przepysznego pałacu w ruinie, rzuconego na pastwę sługom niedbałym i powolnemu zniszczeniu: Nie przeczuwał naówczas król neapolitański, że owa pustka może być kiedyś ostatniém i jedyném schronieniem wygnańca!

To, co wywieziono do Neapolu, wątpię, by teraz do pałacu powrócić mogło, chociaż jako prywatna własność królewska, ściśle biorąc, powinnoby być oddane. Ale własność jest także fikcyą, którą szanują czasami, z któréj się cześciéj śmieją... *beatus qui tenet.*

Pora była tak znośną, żem znowu mógł, nie wiem już po który raz, zrobić wycieczkę na Via Appia, najpiękniejszą przechadzkę w Rzymie. Dobiłem się aż do grobowca Cecylii Metelli (*Capo di Bove*), jednego z tych pomników, którym sprzyjał los, bo niéma ruiny lepiéj znanéj z tysiąca rysunków i obrazów. Studyowali go niemal wszyscy malarze i wielu budowniczych. Trzeba przyznać, że dziś jeszcze popsute mauzoleum wygląda bardzo malowniczo ze swą fryzą bukranów, wmurowanemi szczętami rzeźb i złocistą powłoką z trawertynu.

Powracając tą drogą, którą bliżéj miasta osłaniają drzewa i krzewy, spotkaliśmy nad nią kościołek, przed którym stała osamotniona kolumna. Fresk na szczycie jego wyblakły wyobrażał N. Pannę, pozór miał opuszczony i smętny; a że w Rzymie wszędzie się znajdują jakieś pamiątki i podania, zatrzymaliśmy się przed nim, szukając, ktoby nam go pokazał.

Był to, jak się okazało po wynalezieniu jakiegoś *custode*, kościół świętego Achillesa, pamiętny tém, że w nim święty Grzegorz miał dwudziestą ósmą homilią swą, która tu cała wypisana jest na starożytném siedzeniu marmurowém z poręczem przyozdobionym mozajką. Reszta mozajki przegląda ze sklepienia, w chórze obraz wystawiający każącego Grzegorza. Kościołek wewnątrz zachował niektóre formy stare, osobny pulpit do czytania epistoły, baldachim nad ołtarzem, z którego zwieszano cyboryum w postaci gołębia.

Przechodząc korytarz, zdziwiłem się dwom marmurowym rękom, wmurowanym w ścianę, wyciągniętym, strasznym, jak gdyby po za tym murem uwięziona istota domagała się niemi pomocy. Robią one wrażenie dziwnie przykre. Custode, albo nie chciał, albo nie umiał mi ich wytłómaczyć, pytany, ruszał ramionami, patrzał na ręce, potém na mnie, kiwał głową, mruczał coś, trząsł kluczami, koniec końcem. *Non si sa.* I na tém się skończyło. Hoffmann z tych dwóch skamieniałych dłoni wyciągniętych napisałby był powieść, drażniącą ciekawość, śnią się w nocy, niepodobna je odpędzić.

Proste dwie ręce posągu, może gdzieś znalezione na drodze, trzebaż było, żeby je ktoś tak szyderską zagadką wbił w ścianę, by się modliły i prosiły nie wiedzieć o co! Jużem był odszedł od tych rąk i powróciłem do nich znowu, custode się zżymał i niecierpliwił widocznie. Jako podróżny miałem z sobą Förster'a,—ale w nim nawet kościołka niéma, cóż dopiéro tych rąk! Potrzeba było wyjść z nierozwiązaną zagadką, co tam robią te dwie marmurowe dłonie?

Dnia 21 lipca wybraliśmy się do Tiwoli, ale po drodze wstąpiliśmy dla zwiedzenia kilku polskich grobów do *San Lorenzo fuori le mura.* Sam téż starożytny kościół zasługiwał na widzenie, bo sięga IV wieku i był zbudowany przez Konstantyna na krypcie, w któréj leżały zwłoki świętego; a dziś spoczywają rzeźby ich i relikwie św. Stefana. Przyozdobienia, mozajki, freski są z VI, VIII, i XIII wieku. Stoją obyczajem dawnym dwie ambony, tron w chórze, galerya marmurowa otacza presbiteryum, ławy stare z marmuru, wszystko to poważne, wiekowe, nie dzisiejsze, i dobrze w tym kościele modlić się za umarłych, którzy téż blizko na cmentarzu leżą. Tu się téż zwykle odprawiają nabożeństwa za nich, a na cmentarzu wielu ich spoczywa. Jam tu chciał odwiedzić grób zacnego i utalentowanego człowieka, którego widywałem w dzieciństwie, Stefana

Witwickiego. Oprócz niego spoczywa tu gienerał Klicki i kilku naszych ziomków. Cmentarz jest bardzo skromny, śmierci nie przystrojono ogródkami, nie rozweselono niczém, jest tak boleśnie i sucho i prozaicznie, jak może po chrześcijańsku być powinno, ale czegoś to serce ściska. Czemużby żywi więcéj z pamięcią umarłych i grobami obcować nie mieli? czemu nie zbliżyć cmentarza i nie uweselić téj roli bożéj, na co śmierć tak czynić straszliwą i odrażającą?

Mówiąc o tém, musimy wspomnieć i o innym obyczaju rzymskim, który nam się zdaje przynajmniéj dziwnym. Jak skoro chory uczuje się blizkim skonania, lekarze przestaną czynić nadzieję i chwila zbliżenia się do Boga nadejdzie; rodzina, żona, dzieci, rodzice, wszystko odstępuje od łoża umierającego, opuszcza dom, wchodzi ksiądz i z nim do zgonu zostaje umierający. Tłómaczyć to można potrzebą oderwania się od wszystkiego ziemskiego, zerwania ze światem i t. p., ale niemniéj jest w tém coś okropnego, przerażającego, srogiego. Miłość dla ludzi nie może nigdy być zbrodnią w oczach bożych, godziż się pod pozorem przyciągnienia do Stwórcy, zrywać te węzły, któremi on sam nas w społeczność jednę połączył?

Na pogrzebach w Rzymie nie widać rodziny, wynosi się ona z domu i nie powraca, aż gdy zwłoki zostaną pogrzebane.

Ta niesłychana surowość nie wiem czy dobre wydaje owoce, ale się zdaje niewytłómaczoną.

Droga do Tiwoli wiedzie krajem dosyć pustym, jak wszystkie te dziwne okolice Rzymu, któreby umarłemi nazwać można, gdzieniegdzie spotykasz grobowiec, w dali pokaże się wieżyczka starego średniowiecznego kasztelu, w prawo widać góry Albano, na których stoku leży Frascati, daléj idą góry Sabiny, a na nich stary Tibur. Zaraz za miastem i *Porta San Lorenzo*, przebywa się Anio płynące od Tivoli do Tybru, przez Ponte Mammolo późniéj ciągle prawie *Via Tiburtina*, dojeżdża się do strumienia, *Aquae Albulae*, mocno czuć dającego wyziew siarczysty, i płynącego wodą białawą. Już stąd widać góry sadami oliwnemi okryte i gaje willi Adryana ubrane w przepyszne sosny i cyprysy.

U mostu Lucano w lewo stoi pomnik nieco podobny do Cecylii Metelli, okrągły, również w wiekach średnich na zameczek przekształcony, rodziny *Plautia*, z takiego samego trawertynu żółtawego, jak Cecylia.

Zwróciliśmy się do ruin willi Adryana, ogromną zalegających przestrzeń a zarosłych, zacienionych, jakby je umyślnie tak przybrano, chcąc dodać im wdzięku. Na dolinie zasadzonéj oliwkami, ulicami z cyprysów, sosnami staremi, sterczą ślady wspaniałości

prawie szaloną nazwać się mogącéj. Cezar Rzymu i pan świata mógł sobie tylko takiéj rozpusty murów pozwolić. Szczęty willi mają ośm do dziesięciu mil obwodu, całe jeszcze pokryte niedogryzionemi przez wieki portykami, lochami, bazylikami, ruinami cyrku, pałacu i mnóstwo dziś niewytłómaczonych dla nas budowli.

Adryan, powiadają podania, objechawszy znaczniejszą część swojego państwa, po powrocie do Rzymu, z głową pełną wspomnień, sam zakreślił plan ogromnéj willi i kazał tu pobudować najpiękniejsze gmachy, jakie widział w swych podróżach, najściślej je naśladując. Było tu Liceum, Akademia, Prytaneum, Pecil Ateński, Serapeum Kanopy, Tartar, pola Elizejskie, dolina Tempe, termy, teatra, świątynie. W pośrodku stał pałac Cezara i koszary jego pretoryanów.

Wchodząc w tę cichą dziś ustroń okrzewioną drożyną, spotyka się naprzód nowy budyneczek wiejski, na wzgórzu zajęty przez rodzinę wieśniaczą, osadzony cyprysowemi ulicami i drzewy. Tablica na domku poświadcza bytność cesarza Józefa II.

Tu w lichéj zagnojonéj stajence osłów są jeszcze na sklepieniu gipsatury i ozdoby wytworne z czasów Adryana, dość dobrze zachowane, szydersko urągające się zniszczeniu tego, co je otacza. Gdzieniegdzie nad drogą złomek kolumny, lub posąg bez głowy. Ciągle między drzewy a ruiny idzie się na wzgórze, na plac obwiedziony portykiem, którego mury stoją jeszcze, i do *Cento camerelle*, stu izdebek, to jest koszar pretoryanów cezara. Na tym placu, powiada wieśniak, Cezar swoję gwardyę mustrował.

Daléj wpośród drzew oliwnych sterczą ściany, jakby cyrku, bazyliki, pałacu z ogromnemi podziemiami, w których bydło kryje się od skwaru, biblioteki, kuchni, tarasów. Nie można opisać, jak to wszystko objęły, obwieszały, obrosły figowe drzewa, winna latorośl i bluszcze, z jaką siłą natura mści się na murach, co jéj dzieci wydziedziczyły. Tysiące obrazków z tych arkad, złomów ozielenionych zrobić by można... a zapewne i zrobiono... Cisza głucha, tylko sosny coś szepczą, a zielone jaszczurki (dragone) zwijają się żwawo po swém państwie... kilka par wołów podorywa żółtą ziemię u pni starych drzew oliwnych. Malowniczo, prześlicznie wśród tych gąszczy sterczą mury i sklepienia pałacu... gdzieniegdzie pod nogami nagle otwiera się jakby przepaść... był to niegdyś przechód podziemny... Wszystko to milczy jak grób, pustka zalega rozkoszną willę, którą pierwszy Totyla zniszczył!... W dawnéj dolinie Tempe, gdzie stała woda sprowadzona z gór, rosną spokojnie kukuruzy.

Błądziliśmy długo, usiłując rozpoznać gmachy i słuchając nai-

wnych opowiadań przewodnika, wreszcie z rozkosznym tym cieniem, chłodem i smutkiem pożegnać się było potrzeba, przewodnik musiał powracać do wołów... my śpieszyć do Tiwoli.

Pięknaż to być musiała ta heroiczna willa cezara, ale któż wié, może piękniejszą jeszcze jest w téj ruinie, niż za młodu świecąca marmurami i bronzy, czerwieniejąca ścianami, w których bielały posągi? Dziś, gdyby nie obawa pustéj okolicy, rozkosznie byłoby tu zamieszkać na lato i dni spędzać na włóczędze po ruinach, na odbudowywaniu w myśli tych wspaniałości. Sosny i cyprysy nawet są niewidzianéj piękności. Po obaleniu gmachów przez Totylę, długo z kamieni palono wapno; dobyto stąd kilka posągów, które stoją w muzeach.

Stąd już powoli wspinać się potrzeba na górę przez las starych bardzo drzew oliwnych, powygarbianych, pokrzywionych, spękanych i rosnących wśród skał. Studyował je właśnie jakiś artysta siedząc w cieniu, gdyśmy przejeżdżali, pozazdrościliśmy mu jego zajęcia. Ale otóż jesteśmy w Tibur, wedle Niebuhr'a, starszém od samego Rzymu; przebywszy kilka ciasnych uliczek, stajemy w gospodzie Sybilla, wzniesionéj przy saméj owéj świątyńce, która nam puławską przypomina mimowolnie. Śliczne położenie miejsca wśród gór, obwieszanych krzewami. Świątynia ostawiona kolumnami wybornych proporcyj, stoi nad samą przepaścią, w któréj głębi widać szumiące Anio.

W chwili, gdyśmy pośpiesznie wtargnęli do świątyni, mieszkały w niéj—kaczęta, próg zastawiony pył stołkiem, aby nie pouciekały; dokoła obwieszoną była schnącą bielizną... kury piły wodę w wyżłobionym ślicznym marmurowym kapitelu!

U dwóch studni widzieliśmy przechodząc dwa starożytne sarkofagi służące za koryta. I to wszystko w oném Tibur, w którém żyje dotąd wspomnienie Horacego, Mecenasa, Propercyusza, Katulla...

Obok téj cacki świątyni krągłéj, stoi tuż druga kwadratowa, obrócona na kościołek św. Jerzego. Nie zgadzają się na to uczeni, czyją była piękna krągła, Sybilli, Herkulesa, czy Westy... Może być z czasów Adryana.

Ledwie chwilę spocząwszy w gospodzie, która prócz owoców i wina niewiele co nam dać mogła, zeszliśmy wązką ścieżką, którą w r. 1804 w skałach wybito staraniem jenerała Miollis ku kaskadom. Drożyna malownica, bo obrosła krzakami, skały mają dziwaczne kształty... Trafiliśmy naprzód do groty Neptuna, całéj ze skamieniałości złożonéj, w któréj wody Anio z szumem i pędem rozbijają się o zaporę trawertynu... Jedna ze skał zwieszonych dawniéj nad przepaścią, obaliła się, niszcząc część miaste-

czka i kościół. Anio dwoma kanałami kutemi w skale przeprowadził Grzegorz XVII, a że się do kosztów przyczynili mieszkańcy Tiwoli i familia Massimi, na tablicy téż stoi pamiątka Tyburtynów i *gentis Massimi*. Ta *gens* Massimi siedzi tu sobie w Tibur w willi przerobionéj ze starego klasztoru kapucyńskiego.

W Tiwoli znać trochę, że je cudzoziemcy zwiedzają, przybrano je, uwygodniono, wygląda na ładny ogródek angielski, ścieżki bardzo zręcznie prowadzone, poręcze nad przepaściami, mostki kształtne. Idzie się potém kutym w skale korytarzem do groty Syren, która jest daleko mniéj wspaniałą jak pierwsza i wcale innego charakteru.

Z różnych stron chcąc obejrzéć kaskady, które po Terni wydają się daleko mniéj piękne, idzie się jeszcze drożyną stromą, ale wygodną do głównego spadku i nowych kanałów kutych w skale. Rzekę przeprowadzono tunelem przerzynającym górę Catillo.

Ale najpiękniejszym krajobrazem wydaje się Tiwoli, gdy się obejdzie dokoła miasteczko siedzące na skale, widok stąd prześliczny i szeroki... pojmuje się, jak Tibur mógł być niegdyś miły, choć klimat jego teraz tak osławiają.

Nie mogąc pójść w góry szukać śladów willi Horacego, która jest dziś warzywnym ogrodem, jak Adryanowa dolina Tempe, zeszliśmy przynajmniéj obejrzéć wspaniałą niegdyś willę, którą kardynał Hipolit d'Este wzniósł w r. 1549. Nie jest ona wytwornego smaku, prawdę powiedziawszy, śmieszną ozdobnością grzeszy i nieprzebaczoną przesadą, ale ma prześliczne stare cyprysy, drzewa, ogród, i jest prawdziwie włoską i oryginalną. W gmachu tym dziwnie zrujnowanym a niegdyś wspaniałości niezmiernéj, znaleźliśmy garbatą babę, która nam służyła za przewodnika, i zdaje się, że żywego ducha więcéj w tych zaklętych murach nie było. Willa wznosi się na wyżynie, ogród tarasami schodzi niżéj; wszystko opuszczone, zamarłe, zdziczałe, a przechowujące piękniejszych dni pamiątkę. Z wielkim wykwintem urządzony był ogród, pełen sadzawek, wodotrysków zrujnowanych, szpalerów, balustrad, grot, posągów szkaradnych, ale zdala robiących efekt bardzo malowniczy. Widok stąd na Tyburtyńską dolinę zachwycający. Stare cyprysy godzą nas z tém drzewem, które rozrastając się, nabiera wdzięku i powagi, szczególniéj pnie są śliczne. Pięć fontan, jedna nad drugą musiały niegdyś z dołu widziane sprawiać widok dziwny, dziś tylko wilgoć koło nich i mchy rosną w marmurowych wannach. W jedném miejscu tak była urządzona przechadzka, że ściany z obu stron tworzyła zieloność i spadająca woda. Wiel-

kiéj fantazyi pomysłu jest ten ogród ze swemi przejściami, gankami, przechodami, cały w laurach, cieniu i rozrosłych drzewach.

Ruina domu, ogrodu, potrzaskane piorunami drzewa, robią na duszy wrażenie przykre, jest ogromna sprzeczność wesela i przepychu budowy z jéj opuszczeniem i żałobą. Jedne drzewa skorzystały ze swobody i z lat zapomnieuia, bujają téż cudnie, największą dziś miejsca stanowiąc ozdobę. Cyprysy szczególniéj.

Gdzieniegdzie okruchy tylko wspaniałości dawnéj, w gankach resztki mozajkowanych posadzek, w pokojach resztki fresków Zuccarego. Przy dymisyonowanéj kaskadzie marmury powoli wyprzedają.

Główny zbytek willi d'Este stanowiła niegdyś woda, cały ogród był osrebrzony wodospadami, które łatwo tu zwrócić było, dziś tylko połamane wodociągów rury wystają z pod ziemi, fontanny zamarłe milczą. Mówią, że książę Modeny, właściciel willi, gdy ją po długich latach zobaczył, naiwnie miał się odezwać:

— Prawdziwie, wyobrażałem sobie, że jest daleko gorszą ruiną...

Po przechadzce w willi d'Este, wróciliśmy nocą do Rzymu, czas był prześliczny, góry sine na złocistém tle nieba z wielką odcinały się siłą, po dolinach mgły i opary przesuwały się leniwo. Ponad tym krajobrazem ciemne niebo podziurawione jasnemi gwiazdami. Wjechaliśmy w ulice właśnie, gdy się na wieczorne gawędy ludzie pod domami skupiali, każde gospodarstwo rozkładało się na wschodkach przed swemi drzwiami, a w głębi przez nie widać tylko było słabą lampkę gorejącą u obrazu Madonny.

Nazajutrz z rana poszliśmy do św. Hieronima Słowian, na Ripetta, przeciw Tybru (*San Girolamo dei Schiavoni*). Jestto budowa z czasów Sykstusa V, niedawno odrestaurowana na nowo. Ale tą razą nie starożytność żadna sprowadzała nas, chcieliśmy widziéć jedyne znakomitsze w Rzymie dzieło sztuki współczesnéj — włoskiéj.

Z obu stron ołtarza są nowe freski pana Gaillardi, zajmujące dwie wielkie ściany; w lewo Ukrzyżowanie Chrystusa Pana cale oryginalnego pomysłu, choć w wykonaniu jest wiele rzeczy oklepanych i pospolitych. W pośrodku wbity krzyż, na którym kona Chrystus Bóg, spokojny i wielki, wkoło niebiosa zachmurzone, rozdarły się tylko obłoki nad głową ukrzyżowanego i na błękicie zabłysła tęcza nowego przymierza. Pomysł to piękny. Na skrajach chmur szare tłumy aniołów, widzów niebieskich dramatu niebios i ziemi. Na ziemi u krzyża żołnierze w kości rozegrywają szatę Chrystusową, szyszak im do tego służy... jeden przegrał i chwycił się za włosy, drugi leży tryumfujący.

Dalszy tłum mało ma charakteru. Stojący na straży u krzyża żołdak pospolity i zimny. W lewo grupa kobiet, święty Jan, Magdalena. Jan załamał ręce, Matka w oniemiałéj rozpaczy. Na samym pierwszym planie umarli powstają z grobów, jeden z nich aż nadto dramatyczną ma pozę, scena pojęta zbyt teatralnie, ale wiele ruchu i życia. Naprzeciw tego fresku, któremu zalet odmówić nie można, spokojniejsza scena Pokłon trzech króli u żłóbka Chrystusowego, pasterze i anioły na wysokościach. Ten fresk bogatéj kompozycyi mniéj zastanawia. Ukrzyżowanie lepiéj natchnione, tu więcéj obmyślenia i rachuby. Oprócz tych dwu wielkich kart w odnowionym kościele, pełno figur apostołów, aniołów i t. p. z rysunków pana Gaillardi. Jeśli to nie mistrz jeszcze, to przynajmniéj człowiek z talentem i nauką. Technicznemu wykonaniu zarzucić-by można ton zimny, fresk wygląda nie tak przezroczysto i złocisto jak dawniejsze, ale kredziasto i chłodno jak tempera. Bądź co bądź warte to widzenia. Oba przedmioty tylekroć były przedstawiane, że nowym i oryginalnym w nich okazać się było bardzo trudno. Ukrzyżowanie nie jest pospolitym obrazem.

Stąd powracając do domu, wstąpiliśmy do niedalekiego od *via Sistina*, kościoła ks. kapucynów. Sprowadziło nas tu, żeśmy o ziomkach w klasztorze zasłyszeli, a było ich podówczas ośmiu. Z tych dwóch pojechało w misyi do Indyj. W kościele dosyć starym są i nasze pamiątki. Po lewéj stronie ołtarza grobowiec z białego marmuru zmarłego w Rzymie Aleksandra Sobieskiego. Popiersie w płaskorzeźbie i aniołki podtrzymujące je są piękne, całość skromna i ładna. Obok leży kamień pokrywający prochy kardynała Borghese z napisem: *Hic jacet pulvis, cinis et nihil* (Tu leży proch, popiół, nicość).

W jednéj z bocznych kaplic jest wspaniały św. Michał Guida, gniotący szatana. Polot téj postaci, wyraz potęgi młodości w twarzy czystéj i prawdziwie anielskiéj, ruch jéj, są wielkiego efektu. Obok wielce uszkodzony fresk Dominiquina, Zachwycenie św. Franciszka, postać leżąca, głowa bardzo piękna i malowanie wdzięczne, ale niezmiernie zniszczone. Szkoda, jeśli zeń rysunku nie zdjęto.

W zakrystyi pokazują obraz Chrystusa i opowiadają legendę osobliwszą; ma on być malowany przez szatana. Artysta siląc się napróżno, by Chrystusa odmalować, zapisał duszę dyabłu, z warunkiem, by mu w robocie był pomocnym. Szatan się wysilił, ale okazuje się, że nie jest gienialnym artystą. Legenda zupełnie średniowieczna. Ileż to obrazów malował szatan pychy, a nie istotne natchnienie!

Największą jednak ze wszystkich osobliwości u OO. kapucy-

nów są groby. Podziemie dosyć jasne i czyściuchne, zawiera kilka kapliczek przystrojonych samemi kośćmi ludzkiemi w najosobliwszy sposób. Na sklepieniach z samych drobnych kostek, piszczeli, goleni, powysadzano szlaki, wieńce, rozety i całe figury. Mozajka z kości człowieka. Ozdoby te są zupełnie w rodzaju gipsatur i malowań zwykłych na stropach, z niezmierną cierpliwością wykonane. Kilka tysięcy żywotów, może więcéj, składało się na tę ornamentacyą. Są tu grobowce z czaszek ludzkich, nisze z nóg, gzymsy z żeber, i t. p. Wszystko bardzo symetryczne, z pewnym zgrozą przejmującym wdziękiem pozestawiane. Gdzieniegdzie przegląda błyszcząca czaszka z napisem. W jednéj z kaplic na stropie śmierć z kosą i klepsydrą kościotrup cały, wisi nad głowami i lecićć się zdaje. W niszach każdéj z tych kaplic przy ołtarzach, stoją poubierane w habity kościotrupy kapucynów, popodpierani na laskach, z różańcem w ręku, poschylani, w postawach rozmaitych i z różnym wyrazem, jaki im śmierć nadała. Jedni zdają się przemawiać, drudzy poruszać się, gniewać, uśmiechać szydersko. Ci leżą na łokciach oparci, inni chylą się znużeni... Rozmaicie zachowane głowy ich stanowią w saméj jednostajności śmierci dziwaczną sprzeczność, niektóre poobciągane zeschłą skórą brunatną, są dzikie, przerażające. W tych podziemiach u ołtarzy z kości odprawia się żałobne nabożeństwo... Cała ta ornamentacya tak na zimno, pracowicie ze szczątków ludzkich dokonana, jakby jaka igraszka ze śmierci i zniszczenia przejmuje zgrozą i smutkiem. Artysta, co to wykonał—niestety—artysta!—pozostał bezimiennym.—Trzeba było ostygłéj duszy zakonnika, który zerwał ze światem, z rodziną, z człowiekiem, żeby tak na zimno zabawiać się szczątkami braci, oblanych tylą łzami.

Obejrzawszy tę osobliwość, tak nam się zrobiło boleśnie przykro, żeśmy się powoli powlekli do domu, podziękowawszy młodemu zakonnikowi warszawiakowi, który nam to arcydzieło, nie czując jego okropności, z prawdziwém okazywał zajęciem.

Po południu szliśmy ku bramie *del Popolo*, i wstąpili do kościoła P. Maryi, który tuż przy niéj stoi. Starożytna budowa sięgać ma 1099 roku, ale wieki przepłynęły po niéj i ubrały ją na nowo. W tém miejscu gdzie dziś kościół, znalezione być miały prochy Nerona, które na wiatr rozrzucono. Odbudowany kościół w 1471 przez Pintelli, poprawiony został przez Bernina w jego stylu.—W prawo wszedłszy jest fresk Pinturicchia, w charakterze szkoły Perugina, przedziwnéj piękności, wystawujący w średnich wiekach często malowaną adoracyą dzieciątka Jezus, Matka Boska pełna wielkiego, dziewiczego wdzięku. Daléj manierowane Niepokalane Poczęcie Carlo Maratti. Inne freski Pinturicchia, restauro-

wane wybornie przez Cammuciniego, godne są widzenia. Wiele jest téż rzeźb bardzo pięknych z XV i XVI wieku. W wielkim ołtarzu obraz Matki Boskiéj stary, szkoły bizantyjskiéj. Za nim w chórze dwa arcydzieła Sansovina, grobowce w stylu odrodzenia. Szczególniéj postać kardynała Sforzy, spartego na ręku, usypiającego, godna największych rzeźbiarzy. Całe mauzolea w przedziwnym smaku, zdradzającym pilne przejęcie się arcydziełami starożytnemi. Piękne téż są okna malowane z XVI wieku, osobliwie z prawéj strony, kolorytu żywego i bardzo dobrego rysunku. Dnia 8-go września ojciec św. sam zwykle odprawia nabożeństwo u N. Panny *del Popolo*, jest to uroczystość wielka. Mijając inne kaplice, dochodzim do grobowéj rodziny Chigich, z rysunku Rafaela, równie jak mozaika na sklepieniu. Pokazują tu nawet dwie rzeźby, w których wykonaniu Rafael miał udział. Śliczny, jako młodzian, ale bez wielkiego charakteru Jonasz, ma być w części rzeźbiony przez Sanzia. Naprzeciw stoi prorok Ezechiel z rysunku jego, przepyszny, wielki, Rafaelowskiéj prostoty. Oba posągi wykonał Lorenzetto. Dwie inne statuy pokręcone i wymuszone, każą się domyślać dłuta Bernina (Daniel i Habakuk). W wielkim ołtarzu jest bronz Sansovina, Chrystus u studni z Samarytanką. Figury ładne, linie czyste, ale nic niemówiące.

Pomnik jakiegoś malarza oryginalny, w górze jego portret, u spodu kościotrup w całunie marmurowy. Ani tu żywy, ani tam umarły. Taki jest napis. Obejrzeliśmy kościół bardzo pobieżnie, ale Rafael i Sansovino utkwili w pamięci. Ze wszystkich nowszych rzeźb w Rzymie, Sansovino jest najbliższy starożytnych talentem i uczuciem piękna.

Zaprowadzono nas potém do fresków Rafaela w *Santa Maria della Pace*. Kościół z 1487 roku, składa się z małéj nawy podłużnéj i przytykającéj do niéj rotundy. W prawo od wnijścia nad czołem kaplicy, znajduje się ów fresk przyciemniały, prześliczny. Znają go wszyscy. Są to *Cztery Sybille*, cztery postacie niewieście ugrupowane szczęśliwie w malowniczych postawach. Zdumiewa rysunek, niezrównany wdzięk tych figur i kunsztowność dzieła, w którém czuć, jakby daleki odblask Michała Anioła. Sybillom tym jedno zarzucić można, zbytnią postaci zalotność. Nie wiem, jak to mam nazwać, zdają się myśléć więcéj o tém, jak się wydadzą, niż co prorokować będą.

Układ ich nieco teatralny, wyszukany. Lecz malowanie, linie, harmonia całości, urok figur, są mistrzowskie. Obok druga kaplica przyozdobioną jest z rysunków Rafaela czterema prorokami, którzy przy powadze i majestatyczności, mają wdzięk Sanzia. I prorocy i sybille są widocznie natchnione myślą współzawodnic-

twa, a razem pokazania swéj wyższości, to jest połączenia siły i wdzięku. Rysunek rzeźb téj kaplicy jest Michała, wielkiego stylu.

Chcąc widziéć choć część kościołów rzymskich, które się wszystkie prawie czémś odznaczają, musieliśmy po nich nieustannie prawie wędrować. W San Agostino, którego kopuła poprzedziła o lat trzy wzniesienie Piotrowéj, oglądaliśmy naprzód sławny posąg cudowny N. Panny z dziecięciem, obwieszony niezliczonemi kosztownościami, kościół też pełen jest ex-votów. Jedna z nóg posągu, którą całują pobożni, jest bronzowa *). Cały dzień pełno tu modlących się, szczególniéj kobiet z dziećmi. W kościele za wielkim ołtarzem odnawiano freski, czy téż nowemi przyozdabiano ścianę. Tu także jest fresk Rafaela w stylu Michała Anioła, Izajasz prorok (na trzecim słupie). Dwa aniołki trzymają napis nad jego głową. Nie śmiem powiedziéć, co myślę, ale czuć chłód w postaci téj, na którą silił się widocznie artysta, chcąc podołać zadaniu, którego wykonanie w charakterze jego nie było. Aniołki są bardzo ładne, prorok majestatyczny, ale ducha weń nie wlała praca i rozmysł. Wielce nauczająca to postać, nigdy ze swego charakteru wyjść kusić się nie potrzeba, bo nie można.

Niéma najmniejszéj wątpliwości, że Izajasza stworzył Rafael pod wrażeniem dzieł Michała Anioła; poświadczają to wyrazy Juliusza II, papieża, znane z listu Sebastyana del Piombo do Michała.

Prorok był mu nawet przyznawany, ale skądinąd wiadomo, że jest Rafael, że zapłacono za niego 50 skudów, i że się to augustyanom wydało za drogo, tak, że na nim poprzestali, i nie dali mu kościoła malować całego.

Znaleźliśmy tu i polskie pomniki, w prawo w bocznéj nawie na ścianie z r. 1596, młodego Polaka popiersie w zbroi z herbem, z marmuru białego. Zmarł on w Rzymie w 22-gim roku życia. Był to Andrzej Spławski, wojewodzic inowrocławski. Postawił mu nagrobek Andrzej Przyjemski, starosta kowalski.

Dosyć dziwnie wydaje się ogród willi Borghese odnowiony w roku 1830 i przyozdobiony sztucznemi ruinami, świątyniami, posągami, strukturami egipskiemi, niewielkiego to smaku, ale drzewa ładne, woda i wodotrysk. Dęby stare piękniejsze stokroć od statuy. Nie udają się tu naśladowania ruin antyków; obok tyle jest prawdziwych a przepysznych.

---

*) Jest to piękne dzieło Jakóba Sansovina, może jedyna artystycznie odznaczająca się Madonna, która stała się cudowną.

Mieliśmy nazajutrz pozwolenie oglądania relikwij w *Santa Croce in Gerusalemme.* Zaszliśmy naprzód do klasztoru księży cystersów dla obejrzenia pięknéj ich biblioteki, w któréj rękopismy z VI-go wieku, palimpsety i wiele rzeczy niewydanych dotąd się znajduje. Kilka starożytnych, ważnych ułamków stąd na świat wyszło. Biblioteka bardzo pięknie urządzona, znać, że koło niéj pracują.

Wielkie relikwie przechowują się w osobnéj kapliczce; przywiezione one zostały z Jeruzalem przez św. Helenę, matkę Konstantyna W. Składają się z części kolumny Chrystusa, żłobu, bardzo znacznéj sztuki krzyża świętego, dwóch gałązek cierniowéj korony, palca św. Tomasza, który utkwił w zranionym boku Chrystusa, włosów dziecięcia Jezus. Oprócz tego jest poprzecznica krzyża św. Dyzmasa dobrego łotra, zasłona Matki Boskiéj w bogato ozdobnym relikwiarzu przechowywana i mnóstwo innych pomniejszych relikwij, które przy modlitwach i obrzędzie pobożnym pokazują. Na tablicy św. Dyzmasa są ślady wyrytych głosek od prawéj ku lewéj ręce, we trzech językach. Cały ten szczątek przejedzony od robaków, długo się zamurowany przechowywał.

Nie wchodząc w dowodzenie autentyczności relikwij, sama idea, którą do nich przywiązują pobożni, już je dla nas uświęca.

Jak większa część bazylik rzymskich, Santa Croce, założona przez Helenę, matkę Konstantyna, tylekroć była odnawianą, że w niéj trudno śladów starożytności wyszukać. Wewnątrz kościół jest nowy, nawet piękny fresk Pinturicchia w absydzie odświeżono i uczyniono go zimnym. W małéj kapliczce osobnéj *de la Pietà*, ze staremi figurami śśw. Piotra i Pawła, jest w posadzce nagrobek Bernarda Bogdanowicza Polaka cystersa, zmarłego tu w roku 1722, d. 23 listopada, w życia lat 82. Bogdanowicz ten jest autorem Summy dzieł, to jest ducha pism św. Bernarda.

Kaplica, z pokoju św. Heleny przerobiona, z mozajkami, ma w ołtarzu papieskim posąg Heleny, zrobiony ze starożytnego dodaniem rąk i głowy. Rzeźba jego jest przedziwnéj starożytnéj i wielkiéj piękności. Tu są malowania Pomerancia, i mozajki Peruzzi. W samym kościele pod w. ołtarzem sarkofag, zawiera ciała śśw. Cezarego i Anastazego MM...

Zajechaliśmy, wracając do willi ks. Wołkońskich, gdzie są przepyszne ruiny wodociągu i—pamiątki po Mickiewiczu, ale mimo usilnych próśb nie wpuszczono nas, nie było komu oprowadzić. W lecie nikt nawet ze służących po tych willach nie mieszka, tak się malaryi obawiają.

Więc-eśmy korzystając z czasu zwrócili się do bazyliki laterańskiéj, tak nazwanéj od imienia dawnego posiadacza téj części placu, na którym jest zbudowaną. Lateranus został na śmierć

skazany przez Nerona za spisek Pizona. Konstantyn plac darował biskupowi rzymskiemu. Jestto matka kościołów (*mater et caput ecclesiarum*). Aż do XIV w., tu wszyscy papieże grzebani byli; a świątynia mnogiemi przywilejami obdarzona przez następców św. Piotra. Zaraz po wyborze swym, każdy z papieżów jedzie uroczyście obejmować swe probostwo lateraneńskie. Królowie francuscy są *canonici nati* kapituły. Dochody, już bardzo uszczuplone, wynoszą jeszcze około sta tysięcy złotych naszych. Dzisiejsza budowa jest z r. 1570, ale z murów X wieku przerobiona. Konstantynowska zniszczoną była trzęs.eniem ziemi w r. 896.

Plac lateraneński przyozdobiony jest obeliskiem, do kościoła przytyka kaplica ze wschodami świętemi, które wedle podania, Chrystus idąc do Piłata miał przechodzić. Są one dziś w wielkiéj czci u pobożnych.

Główna facyata dzisiejszego kościoła, ozdobna posągami, nie jest dobrego smaku, ale poważna, wewnątrz uderza świątynia wspaniałością i rozległością swoją, nadewszystko przepychem i ozdobami, których wyliczyć niepodobna. Nowe pomniki pobożności świadczą wprawdzie, że ona nie wygasła, ale nas pozbawiły dawniejszych.

Kaplice i grobowce świecą od marmurów i złota; dzieł sztuki prawdziwie godnych zastanowienia, jest mało. Starsze rzeczy ledwie się dają odszukać wśród błysku nowych. Taką wspaniałością razi prawie kaplica Corsinich w stare słupy i porfirowe naczynia, w bronzy i mozajki przybrana; a jeszcze bardziéj kaplica Torlonia, gdzie wszystko jest przepyszne, świeże, ale nawet Zdjęcie z krzyża Teneraniego w wielkim ołtarzu nie przechodzi przyzwoitéj mierności. Grobowce ojca i matki księcia mniéj jeszcze pięknemi przybrane posągami. Najbardziéj zajmuje mozajka w trybunie z XIII wieku z czasów Mikołaja IV; inne szczątki mozaik mocno nadpsutych, dla symboliki zajmujących i średniowiecznych starożytności, które próżnobyśmy zliczyć usiłowali.

Baptyster z czasow Konstantyna, rozszerzony i przerobiony, jest ośmiokątny; chrzcielnicę w nim zastępuje starożytna wanna porfirowa z pokrywą bronzową. Tu się odbywały i odbywają chrzty nawróconych inowierców, szczególniéj w wielką sobotę.

Przejdziemy teraz tak, jak nas traf i zręczność przeprowadzały, do pałacu Borghese, przy placu tegoż nazwiska, zawierającego znakomity zbiór obrazów. Jest to jeden z najpiękniejszych w Rzymie, galerya z prywatnych prawie najbogatsza. Szkoda wielka, że nie wszystko dobrze widzieć można, gdyż nie wszędzie światła jest dosyć. Zajmuje kolekcya ta aż dwanaście pokojów, w jednym z nich bije maleńki wodotrysk. Chociaż codzień otwarta,

zawsze tu pełno i nie zbywa nawet na pracujących artystach.

Zaczniemy nasz przegląd od Rafaela, w Rzymie i prawie wszędzie gdziekolwiek znaléść go można, jemu należy pierwszeństwo. Jest tu wielki obraz niedokończony z czasów jego młodości, *Rodzina święta.* Myśl w nim szczególniéj uderza. Chrystus bawiąc się, wziął od św. Jana mały krzyżyk z trzciny i pogląda nań. Św. Jan modli się klęczący.

Drugim obrazem jest portret Rafaela malowany przez niego w młodości, dziwnéj maniery i nie wiem czy autentyczny.

Trzecie, Złożenie w grobie, sucho i zimno robione, oprócz Matki Boskiéj mało w twarzach wyrazu, koloryt jasny, obrysy suche; ogół piękny, lecz nie miły. Nie wiem, wprawdzie, do jakiéjby go odnieść epoki; podają go za robotę 1507 roku, gdy miał lat dwadzieścia cztéry. Miał być malowany do kościoła św Franciszka w Perugii. Jestto jedna z pierwszych większych kompozycyj mistrza.

Tegoż portret Borgii przepyszny! styl wielki, maniera mistrzowska, szeroka i śmiała, postawił go w rycerskiéj postawie, a twarz uchwycił, jak była, jestto oblicze człowieka, który rodem i położeniem towarzyskiém czuje się silen, że mu wszystko wolno. Żywe uosobienie arystokracyi włoskiéj XVI wieku, a trochę wszelkiéj innéj, wszystkich epok i czasów.

Portret kardynała... niczém się nadzwyczajném nie odznacza, wzór niedał z siebie iskry wydobyć, był drewniany.

Kopia Rafaelowskiego portretu Juliusza przez Giulio Romano nie wyborna i nie wiem czy Giulia? Jest jeszcze przyznawana mu kopia św. Jana na puszczy, ale i ta nie dochodzi do oryginału, przesadza surowy twarzy wyraz, koloryt tylko piękny.

Teraz już tylko gdzieniegdzie coś znaczniejszego uszczkniemy. Michałowi Aniołowi przyznawani są dwaj apostołowie na tle złotém, młodości jego robota... może dlatego, że są w rodzaju Ghirlandajo.

A! otóż znowu Fornarina, ale tę malował Giulio Romano. Na bransolecie, jak na psa obróży stoi napis:—Rafael Urbino! Co za upokorzenie, lub jaka pokora!—Ale tu na tym obrazie jestto pospolita, darujcie, nawet nie ładna dziewczyna, otulająca pierś nagą. Patrząc na ten portret i przypominając Fornarinę florencką, uczymy się, jaką ona była w oczach Rafaela, jaką dla Giulia zimnego, cielesnego człowieka. Tu duszy niéma, przecież Rafael ją wlać potrafił w tę cielesną, bezduszną istotę.

W portrecie Signory *Doni,* druga taka nauka; jakże na nim jest inną od Rafaelowskiéj! Mistrz wszystko umiał podnieść, wy-

szlachetnić, widzieć têm okiem, co ideału dopatruje, inni widzieli tylko powierzchnią i martwe ciało!

Powiedział to ktoś nie bez wielkiéj słuszności, że gdyby dwudziestu malarzy jednę twarz ludzką miało odtworzyć, każdy z tych portretów odbije inną jéj stronę, zarazem usposobienie artysty i wzoru fizyognomią, która mu była najsympatyczniejszą, najponętniejszą. Tak jest tu właśnie z Fornariną i Doni, w obu promyk, który błyszczał dla Rafaela, zagasnął, — na portretach malowanych przez innych; są to całe pospolite istoty. Każdy malarz malując wizerunek, siebie w nim trochę przedstawia, ten automorfizm jest nieuchronny.

Mnóstwo tu jeszcze pięknych i ciekawych spotykamy rzeczy; oto śliczna M. Boska Sodomy; kilka obrazów wielkiego wdzięku Garofalo, madonna Francii z rąbkiem przezroczystym, Belliniego na charakterystycznêm jego tle zielonêm, portrety Laury i Petrarki; Perugina, św. Sebastyan, kilku miękkich i pieszczonych Andrea del Sarto, Dominiquina elegantka Sybilla kumejska, śliczna, ale podobna do idącéj na maskaradę zalotnicy, św. Katarzyna Seneńska, Carraci mdlejąca, aby na nią patrzono, Cav: d'Arpino Biczowanie tęczowéj barwy; przesławione cztery pory roku Albana, które nieustannie kopiują, i sławne polowianie Dyany Dominiquina; Ribeiry św. Stanisław z dziecięciem Jezus prześliczny i pełen wdzięku, Van Dycka Chrystus i para obrazów Tycyana, z których Amor, jedno z piękniejszych płócien jego.

Wymienić jeszcze zapomnieliśmy freski Rafaela z willi Olginti, zaślubiny Aleksandra i Roksany, mniéj wdzięczne niż Sodomy w Farnesinie, i strzelanie do celu. Czy to są Rafaela, nie zaręczyłbym, a przynajmniéj są to pomysły mniéj szczęśliwéj chwili.

Ale zatrzymujemy się, spis byłby za długi... a do widzenia mnóstwo; galerya prawdziwie pańska, urządzona też wytwornie i po pańsku, otwarta dla wszystkich, jako własność powszechna będąca pod strażą i opieką jednego.

Po obiedzie ruszyliśmy do San Bartolomeo *all'Isola*, na wyspie Tybrowéj. Kościół ten przerobiony ze świątyni Eskulapa ze staremi kolumnami, obchodzi nas, bo był początkowo wystawiony przez cesarza Ottona, na cześć męczennika naszego świętego Wojciecha. Późniéj zmieniono przeznaczenie, gdy ciało świętego Bartłomieja apostoła udało się pozyskać, o które spór jest wszakże, gdyż utrzymują, że prawdziwe znajduje się w Benewencie.— W bocznéj kaplicy na lewo, w kaplicy młynarzy razem z relikwiami św. Paulina z Noli, złożono tu rękę św. Wojciecha, chociaż żaden napis o têm nie poświadcza. Kościół nie ma nic odznaczającego, oprócz starożytnych kolumn.

Święta Marya in Trastevere jest najstarszym kościołem w Rzymie poświęconym Najświętszéj Pannie w roku 340, prześlicznemi mozajkami z roku 707 ozdobionym w absydzie. Są i późniejsze. Tu znajduje się grobowiec ze wspaniałém popiersiem kardynała Hozyusza z prawéj strony ołtarza, zastawiony chórem. Napis grobowca tego jest u St. Reszki w jego żywocie, ale niéma, o ile wiem, nigdzie rysunku bardzo pięknego popiersia, téj głowy poważnéj i myślącéj, która oznajmuje męża, jakim był Hozyusz. Portret sztychowany Hozyusza niéma tego wyrazu. Wiele oprócz tego starych grobowców i napisów. Kościół rozdzielają na nawy słupy różnych rozmiarów, grubości i kapitelów, w których ozdobach są przedmioty mitologiczne, jest stare siedzenie biskupie, a pod w. ołtarzem zwłoki św. Kaliksta.

Do dwóch wymienionych kościołów szliśmy dla pamiątek po św. Wojciechu i Hozyuszu, do św. Sabiny, staréj z piątego wieku bazyliki na Awentynie, udaliśmy się dla wspomnienia śśw. Jacka i Czesława Odrowążów, którzy tu suknię zakonną oblekli. W przedsieniu mnóstwo katakumbowych napisów i kamieni, w środku piękne kolumny starożytne. Na prawo kaplica św. Jacka, mająca dwa freski z jego żywota; obłóczyny świętego, wobec św. Dominika i ogłoszenie jego kanonizacyi. Św. Jacek wystawiony przy obłóczynach zwrócony plecami tak, że go nie widać. Czesław oczekując sukni, leży na ziemi. W lewo młody człowiek (czy kobieta?) w sukni, która ma być polską, a jest fantazyjną. Nad salą w klasztorze stoi napis pamiątkowy świadczący, że tu św. Jacek wziął suknię zakonną, ale od tych czasów sala została przerobiona nieco, od korytarza zachowały się tylko stare okna z marmurowemi słupkami. Drzwi drewniane rzeźbione z XII wieku, krużganki są dawne, jak były za Jacka. Pokazują tu téż portret św. Dominika twarz pełną charakteru, ale świeższego malowania z dawniejszych może przerobionego. W ogrodzie jest drzewo pomarańczowe, które św. Dominik posadził.

Jako dzieło sztuki istotnie piękne, pokazują tu madonnę Sassoferrato. Nie należąc do wielbicieli malarza, nie wielką widzenia jéj mieliśmy ciekawość, ale i on w szczęśliwéj chwili stworzył swoje arcydzieło. Madonna ze świętym Dominikiem i Katarzyną Seneńską jest istotnie piękna, ciepléj nawet malowana, niż inne jego obrazy. Anglicy ofiarowali zakonnikom znaczną sumę za ten obraz, którego naturalnie sprzedać nie myślą.

W klasztorze św. Aleksego mieszkał niegdyś św. Wojciech, poszliśmy zwiedzić stary klasztor, który został przerobiony zupełnie. Pokazują tu studnię św. Aleksego, wschody, pod któremi umarł, i opowiadają legendę o dobrowolném usunięciu się od świata

do psiej budy, w którėj żył nędznie nieznany nikomu [1]). Nieco dalėj za klasztorem tym, w którym pamięć św. Wojciecha wygasła, jest kaplica Maltańska, kościołek piękny, biały, z grobami kilku kawalerów, i nagrobkiem Piranesego, architekta i rysownika znakomitego, szczególniėj wydanemi widokami Rzymu, które są przepyszne. W ogródku po-za długim szpalerem z laurów, piękny widok na Tybr i zatybrową okolicę. Custode zmusza do spojrzenia w furtce przez dziurkę od klucza, w którėj pokazuje się w perspektywie kościół św. Piotra. Pierwsza lekcya perspektywy dla tych, co się jėj nie uczyli... kościół św. Piotra w dziurce od klucza! W podwórcu, w kościołku, w ogrodzie czysto, ale czuć, że zakon umarł, i że po nim pozostały dziś tylko poetyczne wspomnienia. Walka z pogaństwem na innėm się polu odbywa, i niestety! nie Chrystusowa nauka jest zwycięscą...

Poszedłem raz jeszcze do Ś. Maryi *sopra Minerva* nazajutrz, dla lepszego obejrzenia grobu Fra Angelico; kamień w korytarzyku, do zakrystyi wiodącym, wystawia go ze złożonemi rękoma, w sukni zakonnėj, twarzą bez brody, wypogodzoną i napisem w kilku wierszach [2]). W kościele żadne po nim malowanie nie pozostało. W prawo jest kaplica malowana al fresco, przez Rafaellino del Garbo, ale nie w jego stylu. On i Filippino robili około tėj kaplicy, w którėj zwycięstwo świętego Dominika nad herezyą wystawili, w obrazach bardzo zastanawiających. Obrazy wielkiego ołtarza w stylu archaicznym także uwagi godne. Obok stoi posąg przyznawany Michałowi Aniołowi bardzo piękny, Chrystus silnėj budowy, ale słodkiego oblicza. Kościół wyświeżony, wyrestaurowany, świetny i połyskujący.

Stąd poszliśmy obejrzéć więzienie Mamertyńskie, dziś z pogańskiego lochu na miejsce modlitwy wspomnieniem świętego Piotra przekształcone. Loch ten w skale wykuty przez Ankusa Marcyusza i od jego imienia (Mars. Mamers) nazwany więzieniem Mamertyńskiém należy do najstarszych pamiątek Rzymu. Kloaka i więzienie!

---

[1]) Przypomina to legendę naszę o Korsaku.

[2]) Hic jacet Venelis Pictor Fr. Jo de Fio. Ordinis Praedicator. 14. LV. M. CCCC. L. V.

nižėj:

Non mihi sit laudi quod eram velut alter Apelles,
Sed quod lucra tuis omnia Christe dabam.
Altera nam terris opera extat, altera coelo.
Urbs me Joannem, flos tulit Etruria.

Więzienie Mamertyńskie jest pełne wspomnień scen okrucieństwa; tu Cyceron udusić kazał towarzyszów Katyliny, tu zginął Jugurta i Sejan; sam widok jego mówi o bezlitośném i nieludzkiém twardych Rzymian obejściu się z więźniami. Wrzucano ich przez otwór w pieczarę, których dwie było, jedna pod drugą, skazany przestawał dla nich być człowiekiem. Dziś do tych uświęconych podziemiów schodzi się nowemi wschodkami i korytarzem ciemnym, naprzód do tak zwanego Mamertyńskiego, izby dosyć obszernéj z ogromnych głazów nieforemnych ustawionéj z płaskiém sklepieniem. Tu stoi teraz ołtarz śś. Piotra i Pawła i słup, do którego byli przywiązani. U wschodów na murze pokazują jakby wycisk profilu twarzy ludzkiéj, w miejscu gdzie znużony apostoł głowę do kamienia przyłożył. Pod Mamertyńskiém jest drugie okropniejsze jeszcze więzienie z otworem w sklepieniu, podobne do Hipolitowego. Przez otwór ten spuszczano więźniów na śmierć bez powietrza i światła, w ciemności i zgniliźnie. Ściany opasane są głazami wielkiemi, sklepienie z nieforemnych brył ciosu, ciężkie, czarne.

Tu bije źródło, które, wedle podania, wytrysło na obmycie chrztem nawróconych dozorców śś. Piotra i Pawła, późniéj męczenników śś. Procesa i Martyniana. Ołtarzyk i tu stoi mały, gdzie się czasem msza odprawia. Wschody dzisiejsze zastąpiły owe stare zwane *scalae Gemoniae*, wschodami jęków, których ślad tylko pozostał. Niższe owo więzienie, gdzie głodem zamarzano skazanych, zowie się *Tullianum*. Straszny jest dziś jeszcze widok tych pieczar okrwawionych, do których ścian tyle jęków boleści przyrosło.

Pałac Barberinich, zbudowany przez Urbana VIII, znaleźliśmy opuszczonym; w zbiorze, który się mieści na dole, resztki bogatéj niegdyś kolekcyi obrazów. Przeszli już tędy zdobywcy Anglicy z workiem w ręku, i pozostawili próżnią po sobie. Została wszakże jeszcze jedna Fornarina Rafaela, ten sam typ niewieści, w którym się duszy dopytać nie można; bardzo zresztą pospolity dziś jeszcze na ulicach Rzymu; kobieta zbudowana atletycznie, twarz rysów dosyć zwyczajnych, nos niebardzo foremny, czarnych dużych oczów dwoje i usta dosyć spore. Nic nie mówi z czoła i wejrzenia, chyba jakaś dzika namiętność cielesna. Fornarina jest prototypem pięknéj rzymianki, cudnéj w piętnastu leciech, w dwudziestu kilku rozrosłéj zbytecznie, w trzydziestu okrytéj mchem czarnym i prawie zestarzałéj i zwiędłéj.

Pokazują tu także domniemany wizerunek Beatryx Cenci przez Guida, tak chce tradycya, spospolitowany tysiącem kopij rozbiegłych po świecie. Żadna z nich jednak nie ma téj boleści, tych

spłakanych oczów, tego wyrazu co portret tutejszy. Obok jest portret macochy.

Madonna Belliniego, w któréj twarzy razi błąd rysunku nosa i lewego oka, mniéj piękna od innych, Francii podejrzanéj autentyczności, Tycyana portret zwany *niewolnicą* ślicznéj blondynki, w bogatém ubraniu, z łańcuchem, który od jéj ręki spływa, obraz pełen blasku, Sarto familia święta słodka i wypieszczona, na ostatek dziko tu wyglądający Jezus z mędrcami Dürera: oto wszystko prawie, godniejsze wspomnienia. Dürer wśród Włochów razi realizmem prawie karykaturalnym, czysto niemieckim. Jego obrazy zwiastują już kwadratową twarz Lutra, która, w imię swobody, ma wygnać ze świątyni uśmiechającą się w niéj poezyę.

To były prawie ostatnie oględziny w tym niezmiernym Rzymie, który potrzeba było opuścić, części nawet skarbów jego nie widząc. Przy niezmordowanéj pracy i znużeniu niezmiernem, przekonywaliśmy się codzień bardziéj, że się należało wyrzec mnóstwa zabytków, na których zbadanie lata nie starczą. Pocieszaliśmy się tą myślą. że nie zaniedbaliśmy nic, by z krótkiego czasu korzystać. Rzym żywy, dzisiejszy, mało nam był dostępny, bo umarły stokroć więcéj żyje dotąd i mniéj znany jest, mimo rozlicznych opisów powtarzających często cudze zapożyczone sądy i wrażenia.

W niedzielę dnia 25 poszliśmy jeszcze na mszę śpiewaną do Wizytek u Trinità del Monte; piękne głosy zakonnic przeleciały do nas przez kraty, z innego świata tajemniczego modlitw, mortyfikacyi i osamotnienia. Trzeba się było zaraz zająć najęciem vetturina do Neapolu i przyborami do téj drogi, która dawniéj uchodziła za dosyć niebezpieczną. Mieliśmy ją odbyć mniéj zwykłym szlakiem jadąc na Ceprano i Monte Cassino. Ostatni obiad złożony ze zwykłych potraw, które nas przy życiu utrzymywały w Rzymie, zjedliśmy u Lepre, ostatnią filiżankę kawy wypiliśmy dnia tego w Cafe Greco opustoszoném, bo artyści wszyscy niemal byli na wilegiaturach, studyując wiejskie widoki i typy.

Potém potrzeba było pożegnać dobrych znajomych i przyjaciół, których uprzejma pomoc ułatwiała nam widzenie wielu mniéj dostępnych ciekawości Rzymu, a znajomość miejsc objaśniła ich znaczenie. Poetę Teofila, kapitana Onofrio, i kilku artystów naszych żegnaliśmy z tą tęsknotą, którą niepewność zobaczenia się drugi raz na tym świecie, rodzi. Zajechaliśmy do pejzażysty Zametta i do p. Postępskiego, oglądając raz jeszcze ich prace.

Pan Postępski oprócz oryginalnych swych prac, bardzo piękne kopie arcydzieł tutejszych wykonywa, żona jego jest równie znakomitą akwarelistką. Jéj obrazy na białym marmurze z Sassofer-

rato i Murilla niezmiernego wykończenia, bardzo są szacowane. Dwóch ślicznych chłopaków Postępskiego zwijało się w jego pracowni, spytałem ich, jakby się poczuwali i czy są Włosi, czy Polacy?

Jeden z nich spojrzał mi w oczy i zawahawszy się nieco, rzekł powoli:

— *Siamo Polacchi... Italiani!*

U Zametta pełno było studyów i krajobrazów włoskich, ciepłych, jasnych, świeżych, przedziwnego kolorytu, widok grobowca Cecylii Metelli, Castel Gandolfo, wiele innych. Wszystko to prawie zabierali Anglicy i cudzoziemcy.

Na samym ostatku zajechaliśmy do Pasquina, obłamanego posągu nieosobliwéj roboty, który się podjął satyry Rzymu, tylko na jego grzbiecie mogącéj się odezwać sarkazmem bolesnym. Stoi on przy pałacu Braschi (którego zbioru opisywać nie będziemy), i poczytywany jest przez znawców za ułamek grupy Menelausa z ciałem Patrokla. Głowa bezkształtna, obita, widać część zbroi na piersi, na kolanie ręka jedna. Lud dał mu nazwisko krawca sławnego ze swych szyderstw i nielitościwych żarcików, paskwinady i paskwilusze od niego się wywodzą.

Po śmierci krawca cała opozycya, któréj usta zamykano gdzieniedzié, schroniła się na ten posąg, historya jego jest ciekawym obłamkiem dziejów Rzymu, widzianych ze stanowiska szyderskiego, często najprawdziwszego. Dokuczał Pasquino tak, że czasem stawiono przy nim straż, a Adryan VI chciał kamień wrzucić do Tybru, choć z nim byłby nie utopił prawdy. *Marforio*, drugi taki obłam starego posągu, już był gotów go zastąpić. Marforio stał u łuku Septyma Sewera; często Pasquin i Marforio rozmawiali z sobą. Marforia przeniesiono do muzeum w Kapitolu, gdzie musi siedzieć spokojnie, Pasquino dziś jeszcze czasem sobie pozwala, ale już tylko monologów.

Żegnając Rzym jużeśmy osmuceni tylko po ulicach jego wędrowali bez celu, zdawało się nam, że jeszcze w ten sposób trafimy na coś niewidzianego, szczęśliwym losem, który czasem sprzyja pielgrzymom nieumiejącym sobą kierować. Francuzi powiadają, że jest Bóg osobny dla pijaków, jabym sądził, że bywa i dla podróżnych. Wiele razy mogliśmy się o tém przekonać. W ulicach wigilię święta i odpustu dawało się czuć przed kościołami. Mówiliśmy już, jak się one gotują na taką uroczystość ludową, połączoną z muzyką, z koncertem, z fajerwerkami i występem, do którego przyczyniają się wszystkie domy sąsiednie, strojąc balkony i okna.

Ponad ulicami wywieszają chorągwie, zielone wieńce, stawią

bramy z gałęzi drzew, wyścielają kwiatami całą drogę, którą ma procesya przechodzić. Ludność rozweselona, roznamiętniona ciśnie się przed portykiem kościoła, do którego zajeżdżają purpury kardynalskie, będące konieczną illustracyą każdéj takiéj uroczystości, codziennéj w Rzymie po różnych jego ulicach. Trzysta do czterechset kaplic i kościołów starczą na rok cały.

Miejscami trafia się, że przed petardami, środkiem ulicy strzelającemi, przejść trudno.

Zabiegłem na chwilę do kościołka św. Józefa Kalasantego, którego porfirowa tumba w znacznéj części za polskie pieniądze sprawioną była. Możemy ich nie żałować, bo zakon położył zasługi około wychowania publicznego, które się nigdy dość opłacić nie mogą. Przejechaliśmy potém drogą około murów do Porta Maggiore, zastępującéj dawne wrota *Labicana* i *Praenestina*. Zrobioną ona była ze sklepienia starego wodociągu. Tu przytyka dziwaczny grobowiec piekarza i dostarczyciela chleba Marka Wergiliusza Eurysages, z ostatnich czasów rzeczypospolitéj, przypominający jego powołanie; z otworami kolistemi, jakby pieców chlebowych. Dosyć to malownicze i oryginalne. Tuż stoi dziwnie ze starożytnemi pomnikami sprzeczający się dworzec małéj kolei żelaznéj. Jakby się wstydził, schował się w ten kątek.

Gdy przyszło powrócić na Via Sistina i pożegnać się z domem p. Zuccari i freskami Overbeck'a, żal było szczerze opuszczać te piękne obrazy, na które się przez tyle dni patrzyło swobodnie; utkwiły téż one w pamięci na zawsze, i Zaprzedanie Overbeck'a i Schadow'a Józef tłómaczący sny więźniom, i Cornelius'a Józef przed Putyfarem, i Corneliusowe Poznanie przez braci i dwie lunety głód i urodzaj wystawujące. Więcéj je wystudyować mogliśmy niż wiele arcydzieł, a odkryć w nich piękności. Ten kierunek szkoły niemieckiéj natchnionéj studyami pierwszych mistrzów chrześcijańskich, nowego w nią wlał ducha, odrodził ją i uczynił płodną. Najzagorzalsi germanofile przyznają nam, że wpływowi sztuki włoskiéj i ich pomników winni są artyści niemieccy to odrodzenie. Zachowali oni w niém coś z charakteru narodowego, ale uszlachetnionego idealniejszém pojęciem zadania sztuki. Ta izdebka nasza była i jest pomnikiem, katakumbą, z któréj wyszli na świat apostołowie sztuki nowi, co ją w Niemczech opowiadać mieli i zapewnić jéj zwycięstwo.

Nie jesteśmy zwolennikami żadnego w świecie naśladownictwa, przecież bez wzorów, bez doświadczenia wieków, człowiek się obejść nie może, nie tracąc czasu na przebieżenie drogi, która już raz przed nim była odkrytą i zbadaną. Dlatego Włochy przedstawujące całe dzieje sztuki ludzkiéj w najrozmaitszych jéj meta-

morfozach, pod wpływem indywidualności przeróżnych, są skarbnicą, z której musi każdy, wielostronnie chcący się wykształcić artysta, korzystać. Historya sztuki i pomniki jéj we Włoszech są dziejami i zabytkami należącemi do całéj ludzkości. Charakter narodu, który je piastuje, odbił się tylko w poczuciu wczesném ideału, nie jest wszakże tak wyłączny, by na nim zetrzéć się miała cecha odrębna, jaką każdy utwór nosić powinien. Uczniowie nie przestając być sobą, mogą bezpiecznie przebiedz Italię, która im da wybrać z tysiąca pomników to, co więcéj do ich usposobień przypada. Rzym przestając być stolicą świata, nie mogąc być stolicą państwa wielkiego, jest lepiéj i więcéj niż metropolią królestwa, bo stołecznym grodem kunsztu. Tego panowania nikt odjąć mu nie może, chyba jakiś straszny kataklizm, któryby dzieła sztuki poniszczył.

Nie jest śmiesznością to napieranie się młodych artystów do Włoch i Rzymu, jest przeczuciem wiodącém do macierzyńskiego łona, pełnego zdrowego pokarmu.

Najbogatsze muzea Europy nie uczą tyle co jedna po mieście nieśmiertelném przechadzka, jedna podróż po Włoszech. Obawiać się tylko potrzeba zbytniego ograniczenia młodzieży w jakiémś kółku tych dzieł i szkoły, która zrazu wyda się im jedyną, ale Rzym i Włochy dają na to lekarstwo. Między Perugią, Sienną, a Bolonią i Florencyą, są całe światy różnic i sprzeczności; Rzym tylko pojednać je może i zrozumiałemi uczynić; tłómaczem wymownym będzie Rafael.

Niemcy ubolewają nad odosobnieniem, w jakiém tu żyją artyści, zbyt wyłącznie zatapiając się w badaniach martwego, a zaniedbując świat żywy. Nie sądzimy, żeby samotność szkodliwą być miała, lub żeby wiodła za sobą wyłączność, o którą oskarżają młodych artystów. Wyłączność ta, jednostronność, zbytnie uwielbienie dla rzymskiego świata przeszłości, są sprawą własnego ducha młodzieży, nie tutejszego jéj życia. Praca wymaga osamotnienia, z nią ono nigdy szkodliwém być nie może, człowiek niém mężnieje, surowszym się staje i zmuszony wnikać w siebie, dobywa, co mu natura dała, z głębiny, która dla wielu przez ciąg życia zostaje nietkniętą. Trzeba tym pługiem myśli zorać duszę, aby plon wydała. Skarżą się téż wogóle artyści wszystkich krajów, zamieszkujący w Rzymie, na brak głośności, na bezwładność umyślną akademii świętego Łukasza, na małą zachętę, jaką otrzymują talenta młode. Nic silniejszego wybić się nie może, powiadają, ponad ten poziom, który urzędowa sztuka, będąca słabym odblaskiem szkoły Cammuciniego, zakreśla. Skargi te, w części mogą być sprawiedliwemi, lecz gieniusz, a nawet talent wielki

łamią zapory, nie potrzebując, by one same przed niemi na skinienie opadały. Rzym umiałby się pewnie, mimo wpływu Akademii i Cammucinistów, rozgrzać do wspaniałego, wielkiego dzieła sztuki, gdyby się ono zjawiło. Lecz wogóle, tu i wszędzie, sztuka stała się prawie rzemiosłem, podniosła tylko pojęcie o swéj ważności a nie swojego ducha. Gdy prorok Izajasz Rafaela płacił się złotych pięćset a wydawał drogim, sztuka wistocie nie rachowała na pieniądz, była sobą, narzucała się, walczyła, rozgrzewała świat, mało płatna, była wielce cenioną. Dziś lada obrazek tysiącami każą opłacać, choć nań niewiele wyszafowano myśli, choć jest najczęściéj zręczném powtórzeniem i przypomnieniem. Artyści myślą o chlebie, nie o sztuce, dla tego sztuka jest martwą; targują się o jéj płody, jak o każdy inny towar. Złe tu nie pochodzi od otaczającego świata, ale z głębi, z wnętrzności saméj sztuki upadłéj, zaniedbanéj, uprawianéj, jak zabawka lub frymark. Zadaniem jest artystów świat przerobić, nie czekać, aż on sam się dla nich przeistoczy. Potrzeba wywalczyć siłą natchnień i pracy to, czego ludzie nie dają; trzeba zwyciężyć; żale i narzekania odejmują potęgę, a do niczego prócz zwątpienia nie wiodą.

Nazajutrz mieliśmy Rzym opuścić i ostatni raz z balkonu domu Zuccari patrzaliśmy nań długo ze smutkiem, którym on przejmuje. Wielka ruina, muzeum, świątynia, ale nie żywy to gród, dlatego w nim szukać nawet społeczności odrębnéj nie należy. Duchowieństwo wyższe jest tu tém, czém wszędzie, spotwarzono je wielce, a nie dosyć uznano trudne jego położenie. Kapłan w purpurze już przez to samo jest związany, że ją włożył. Szaty apostołów purpurą broczyła tylko krew. Wiele w tym świecie zakonniczym i duchownym, o którym unikamy wspomnienia, zmienić się musi, i wiele z niego pozostać. Między społeczeństwem tém są ludzie z wadami ludzkiemi, ale są święci i wielcy. Arystokracya Rzymu nie bardzo téż odmienną jest od innych herbowych spadkobierców dawnéj sławy. Ich charakterem wszędzie kosmopolityzm. Mówiliśmy o artystach, których jest miejscowych niewielu, napływowych mnóstwo, ten światek także potrzebuje reformy i zdaje się na nią pracować. W ostatku lud rzymski jest włoskim i ma wszystkie cechy kraju, spotęgowane dumą obywatelstwa rzymskiego, zwiększone wiekowém zaniedbaniem wychowania, które, choćby tak sądzono, nie idzie na korzyść wiary. Oświata i więcéj swobody, mogłyby nawet zastygły Rzym odrodzić. Na nieszczęście nim to odrodzenie przygotowywać zaczęto, wszczepiono tu politykę na dziką płonkę; wydała gorzkie owoce.

Ci, co spiskują dla wielkiéj Włoch jedności, nie wiem czy możliwéj, choć może bardzo pożądanéj, przedewszystkiém powinniby

spiskować dla oświaty, dla zachęty do pracy, dla moralnego podźwignienia społeczeństwa. Łatwo się ludem roznamiętnionym posłużyć do wszelakiego celu, dzisiaj on wołać będzie: — niech żyje Pius IX;—jutro z równą mocą:— niech żyje Garibaldi;—ale obu wykrzyków głębszego znaczenia nie wié ten tłum, co je wydaje. Zmieniłoby się to, co dla kraju najgoręcéj jest upragnioném, gdyby rzeczywiście kraj dorósł do przemiany i na nią zasłużył. Elementarz i szkoła, oto najskuteczniejsze podwaliny reform, odrodzenia i postępu w przyszłości. Zamiast podźwignąć lud rzymski, agitacye polityczne stają na drodze rzeczywistego pochodu, obałamucają umysły, a w najszczęśliwszym razie, prowadzą do tego, że na gruncie tym nic się zbudować nie da. Społeczność i tu, i w wielu innych krajach, potrzebuje podstaw nowych, które jéj tylko dłuższa praca i wytrwała walka z nią samą, dać mogą.

Ścisnęliśmy raz jeszcze dłonie przyjaźne...

— Do zobaczenia!

Któż wié! na tym, czy na lepszym świecie!

XVIII.

Wyjazd z Rzymu. Rozstanie z kapitanem Onofrio. Porta Maggiore i pomnik piekarza.—Kolej żelazna. Pustynie rzymskie i ruiny. Widoki.—Briganti.—Weturyn. *Torre pignattora*. Sarkofag. Budowa pomnika. *Frascati.—Torre nuova*. Podejrzana podkowa i kowale. Noc i góry. *Lugnano*.—Krajobraz nocny i podróż po księżycu. Piosenka.—Kapitan Zabłocki. Gospoda w *Valmontone*.—Widoki.—*Anagni. Ferentino*.—Lud. Napis na bramie Sanguinaria. Krajobraz nowy. *Frosinone.—Ceprano*.—Locanda Trani. Miasteczko i święto patrona.—Balon.—Ranek, granice i dogany. Obrazy malowane i prawdziwe. *La Murata. S. Germano i Monte-Cassino*. Ruiny.—Benedyktyni. *Locanda nuova—San Vittore.—Ponte storto*. Nocleg ze strachami.—Rzymianie i Neapolitańczycy. Wozy i wózki. *Calvi.—Norma.—Capua. Lą Posta*. Pogrzeb włoski. Frytura.—Okolice Neapolu.—Droga. *Aversa*.—Odpust. Wjazd i przedmieście.—Widok na Wezuwiusz i morze.—*Crocelle*.

Opuściliśmy Rzym po południn dnia 27 lipca, polskim obyczajem wybierając się od samego rana, ciągłemi przeszkodami wstrzymywani, tak, że gdyśmy do najętego veturina wsiedli, przeczuwać było można, iż się przed nocą nie dostaniemy do Valmontone, miejsca przeznaczonego na spoczynek. Ale wyjechać raz było potrzeba z tych majestatycznych ruin, które mają w sobie urok niebezpieczny, do których człowiek przyzwyczaja się, przyrasta, powraca... Chodzi tu podanie o jakimś Angliku, który ciągle wybierając się Rzym opuścić, do śmierci w nim pozostał. Nie można się dziwić temu; każdy się tu czuje jakby w drugiéj ojczyźnie i tęskni potém za tą kolebką cywilizacyi i wiary, w któréj więcéj niż rodziny i narodu, bo całéj ludzkości żył wspomnieniami. Temu tu tylko jest obco i przywiązać się do uświęconych gruzów nie może, kto zerwał z tradycyami i nie czuje, że cała teraźniejszość na nich jest zbudowaną... Wszystkim nam pobyt w Rzymie, gorączkową pracą około zapoznania się z nim zapełniony, wydał się krótkim i niedostatecznym, choć nie mieliśmy na sumieniu straty próżnéj, ani jednéj czasu godziny. Odjeżdżając, chciało się powiedzieć do widzenia; ale któż jest tak panem przyszłości, ażeby te wyrazy

śmiał, jakby wyzywając ją, wymówić? Ludziom i miejscom, im więcéj się je ukocha, tém trwożliwiéj na odjezdném rzuca się pożegnanie i powrotu nadzieję. Dzień był skwarny, powietrze duszne, niebo rozgorzałe, miasto ziało gorącem murów przepalonych... Spodziewaliśmy się choć trochę świeżości za murami, ale vetura nasza jak my wlokła się opieszale po tysiącoletnich brukach... Kilku znajomych przeprowadzało, kusząc do pozostania. Kapitan Onofrio wiódł nas aż do Porta Maggiore, powtarzając, że należało się zatrzymać, aby nazajutrz w Sapienzy być świadkami tryumfu młodego ziomka naszego, który mnogie miał brać medale; dodawał, że i wielki odpust, już nie pomnę w którym kościele, winien był zatrzymać. Ani medale wszakże, ani odpust nie mogły skruszyć postanowienia naszego... Czas oznaczony był krótki, a Neapol i Pompeja przed nami... dwa czarowne imiona... Żegnaliśmy więc Rzym, wyciągając ręce, chwytając oczyma fizyognomię, aby ją zapamiętać i zatrzymać... Zgrzybiałe to oblicze Romy staruszki, śmiało się łzawo z za ruin pozieleniałych...

Kapitan Onofrio ścisnął nam ręce w Porta Maggiore... Wyjeżdżaliśmy przez te wrota, zastępujące starożytne Labicana i Praenestina, jedną z arkad wodociągu Klaudyusza.

Tu, jak wszędzie, pełno obłamów starożytnych, a najprzód uderza oko wmurowany grobowy napis i rzeźba, poświęcone pamięci Marka Wergiliusza Eurysages, piekarza, który żył w ostatnich czasach rzeczypospolitéj, i był zapewne bogatym dostarczycielem chleba, na którym majątek zrobił. Grobowa płaskorzeźba przedstawia oficynę piekarza... Oprócz tego złomki kolumn, pokruszone kapitele, otłuczone posągi, na pół zielonemi przysłonione gałęźmi, leżą pod murami, na drodze, lub litościwą ręką zostały w nowszy mur wpuszczone. Tu spotkaliśmy się z miniaturową koleją żelazną, naówczas jeszcze dopiéro rozpoczętą, która wśród ruin rzymskich raziła straszliwym anachronizmem... Pociąg z Frascati o trzech wagonach dochodził właśnie do wrót, gdyśmy je przejeżdżali... Wydał się nam wstrętliwie brzydkim... Cywilizacya wymaga, ludzkość potrzebuje tych ulepszeń, trzeba się poddać konieczności, ale czyby prąd epoki nie mógł pewnych miejsc oszczędzić jako relikwij? Wiemy, iż czułość ta dla pamiatek w uszach postępowych brzmiéć będzie dziwacznie; postęp jest nieubłaganym. Materyalne potrzeby idą dziś przedewszystkiém — ale nie należały gasić ducha i poszanowania dla przyszłości. Jest ona matką dni dzisiejszych i w przykazaniach dziesięciu, mieści się nie darmo rozkaz boży—szanowania macierzy, a w nim tradycyi ludzkości.

Wagony zwycięskie wiozące wiek XIX-ty do Rzymu cezarów wydały się małe, liche i brzydkie. Wina uczuć, nie wagonów.

Rzym na wszystkie strony otacza cisza wielkiego pokoleń cmentarza... zewsząd opasuje go milczenie pustyni i ruin... tak samo z téj strony. Zaledwieśmy wyjechali z miasta, znaleźliśmy się wśród majestatycznego pustkowia. Zrazu wysokie mury ogrodów i zagród osłaniają nielitościwie drogę. Przed nami widać w dali czarno i sino malujące się góry na widnokręgu nagie, zarosłe lasami, z białemi murami miasteczek u podnóży, po bokach, na wierzchołkach.

Powoli droga się rozwiera, oko w niezmierzone sięga oddalenie. Rzuciwszy w lewo gościniec stary *Via Praenestina,* jedziemy Labikańskim.

W dolinie snują się, jak zaczarowane, procesye kamienne, wodociągi bluszczami okryte, a piękne ich galerye dziwnie malowniczo się wydają tak same jedne, niezliczonemi arkady ciągnąc się gdzieś w głąb.

Tu i owdzie wystrzela z winnic ruina bez nazwiska... stos gruzu bez kształtu z potrzaskanemi sklepieniami, ze złamanym łukiem, z odartym skieletem kolumny... cała obwiązana zielonością chciwą życia, napastliwą, cisnącą się w szczeliny i wytryskującą z nich bujnie. Po nad nią sosna, jakby chciała zasłonić od skwaru, wspina dach swych gałęzi. Daléj grobowiec z drobniuchnych cegieł, których siatkowa powłoka daje datę, na pół już zaklęsły w ziemię. Przy nim lub nad gościńcem wala się, wyrwany jak ząb ze spróchniałéj szczęki, biały marmuru kawał lub zżółkłego trawertynu. Wszystko to kości wieków, nieme pamiątki innego świata.

Pusto, cicho, skwarno nad wyraz i smutno. Rzym za nami ze swą kopułą panującą nad nim, przed nami gościniec z drobnych kamieni po rzymsku brukowany, gdzieniegdzie zastąpiony szosą. Milczący jedziemy, już nawet nie pytając o nazwiska tych miejsc, do których pełno się wiąże przypomnień. Pustą doliną zbliżamy się ku górom, ku górom... a słońce nielitościwie ku zachodowi się zniża i na noc w osławionych Rzymu okolicach pozostają nam właśnie wąwozy, zarośla, gąszcze i pieczary tak umiłowane i dogodne brygantom. Nie czyniłoby to pewno żadnego wrażenia, gdybyśmy sobie nie przypominali tysiąca i jednéj powieści o rozbójnikach, o napaściach i wypadkach krwawych właśnie w najbliższéj Rzymu okolicy. W żywéj zachowując je pamięci, jeden z moich towarzyszów, już od Porta Maggiore począł objawiać żywy niepokój i prorokować, że się ten dzień fatalnie skończyć musi. Według jego spostrzeżeń nawet wszystko bardzo zręcznie było na

to obrachowaném przez weturyna, ażeby podróż opóźnić, zmusić do przebywania nocą miejsc najniebezpieczniejszych i hekatombą okrutną zamknąć malowniczą wycieczkę naszę. My pozostali, śmieliśmy się nieco we dwóch z bujnéj imaginacyi artysty, który niecierpliwiąc się coraz bardziéj, upatrywał téż coraz wyrazistsze znaki spisku w sposobie podróżowania weturyna, który, jakby naumyślnie, wlókł się noga za nogą, ponury i milczący. Oblicze jego, potrzeba to przyznać, nie obudzało wielkiego zaufania, nie był to jeden z tych Włochów żywych, wesołych, pochlebników, pragnących się poprzyjaźnić, zasłużyć i pozyskać względy swych forestyerów; twarz jego ogorzała, czarna, spieczona, tchnęła surowością, odzywał się półsłowami, mruczał coś sam do siebie pod nosem, oglądał się, jakby nas liczył i siły nasze chciał ocenić, słowem zdał się jednym z tych brygantów, którym miał nas oddać na pastwę.

Pod wrażeniem tych przeczuć krwawych, towarzysz nasz nie smakował w widoku, którego pustynny majestat dla nas był uroku pełnym. W dolinie cichéj co chwila chwytało coś oko, to zgrzybiałe owe gruzowiska rzymskie, to z nich zlepione, osamotnione średniowieczne wieżyczki, do których boków często czepiała się lepianka manenta i obórka sklecona z grobowca.

Przed nami góry, a góry inaczéj oświecone, coraz inne, Albańskie, Hernickie, piętrzą się, zamykając horyzont.

U *torre pignatora*, przypomniał się nam dobyty z okrągłego grobowca kolosalny sarkofag z czerwonego porfiru stojący w Watykanie, fałszywie zwany grobem cesarzowéj Heleny. Pomnik ten wzniósł wistocie Konstantyn swéj matce. W budowie sklepienia jego użyte zostały gliniane naczynia, dla nadania mu lekkości, a nazwanie rądelków (*pignatle*) dało imię monumentowi. U nas w cerkiewce na Kołoży w Grodnie, bardzo staréj, w murach ścian, znaleziono podobnież użyte, w niezrozumiałym celu, gliniane garnki.

W prawo mijamy bielejące z dala mury Frascati. Otacza nas ciągle ten sam amfiteatr gór i równina żyzna dosyć, co poświadczają ściernie już zebranego zboża. Cicho a smutno w téj Kampanii Rzymu; kiedy niekiedy spotykamy ogromne ciężkie wozy o dwóch kołach, naładowane kukurydzą, baryłkami, zbożem, ciągnione przez rosłe woły o olbrzymich rogach.

Jeszcześmy nie dojechali do Torre Nuova, gdy, jakby na dobitkę dla strwożonego towarzysza naszego, koń jeden kuléć zaczął, ale tak nieszczęśliwie, żeśmy stanąć musieli, aby mu nogę opatrzyć. Okazało się, iż podkowa na pół była oderwana i zaledwie się trzymała. Trzeba ją było odjąć, a weturyn zapowiedział, że

bez niéj koń nie pójdzie, i że około albergo przy Torre Nuova musi stanąć i konia podkuć na nowo.

— Uważajcie tylko, panowie, jak to się wszystko ładnie składa!... Nie ujechaliśmy jeszcze pięciu małych milek a już koń zakulał!... Ha! ha! Teraz znowu pół godziny czasu stracone, ażeby tém pewniéj noc zaskoczyła nas w górach! Jużciż porządny veturin, wybierając się w drogę z Rzymu do Neapolu, dba o konie i opatruje podkowy. No, zobaczycie, to są ich włoskie sztuki. Nie mówię nic więcéj... ale o zmierzchu dobywam krócicę, odwodzę kurki i nie wypuszczam ich z rąk... aż...

Tak mówił podejrzliwy nasz towarzysz, posądzający Włocha o kryminalne matactwo. Smieliśmy się trochę, ale, Bogiem a prawdą, nie było niepodobieństwa. Cała nasza nadzieja w tém leżała, że na St. Germano do Neapolu forestyerowie nie jeżdżą prawie, a zatém rozbójnicy nie powinni być tak dobrze zorganizowani.

U Torre Nuova znaleźliśmy wistocie obok zameczku feodalnego, albergo czyli locandę i kowala. Obszerna majętność tego nazwiska, niegdyś należąca do nieszczęśliwéj rodziny Cenci'ch, zabrana z rozkazu papieża Klemensa VII, po Aldobrandinich dostała się Borghesim. Historya Beatrycy, którą imię rodziny przywiodło na pamięć, nie przyczyniła się do rozbicia smętnych myśli...

Vetura stanęła, powoluteńku zsunął się z siedzenia ponury woźnica, wolnym krokiem powlókł się do lokandy, dosyć długo tam zabawił i wyszedł z drugim drabem równie chmurnego jak on sam oblicza, niosącym obcęgi i młotek. Oba szeptali coś z sobą. Spisek był prawie dotykalny, widoczny, a kucie nieszczęśliwego konia, zdaniem przenikliwego towarzysza, poświadczało go. Sprzeczano się o każdy ufnal... ściągano umyślnie jak najdłużéj przypasowanie podkowy. Słońce, które czekać nie ma zwyczaju, spuszczało się tymczasem z przerażającą szybkością.

Gdyśmy nareszcie po nieznośnie długich przyborach znowu drobnym kłusikiem puścili się ku górom... zmierzchało... Niestety! wszczepiona nam obawa bryganów truła widok najcudniejszego wieczora i nocy. Po dniu ognistego skwaru zbliżał się prawdziwie włoski mrok przezroczysty, a noc z księżyca pełnią obiecywała się uroczą. Powietrze było miłe... chłód już od gór zielonych zalatywał. Na gościńcu od lokandy począwszy żywego ducha... pusto, cicho... a w mroku poczynają nam z boków majaczyć zarośla ciemne. Góry przysunęły się do nas... obejmują, zsuwają się, dolina zwęża. Milczenie coraz straszniejsze... kraj obumarły... jakżeby stać się mogło, żeby tu rozbójników nie było? Okolica zdaje się dla nich stworzona. Ale jakże tu cudnie przy księżycu!..

jak fantastyczne wydają się te góry ciemnemi okryte zaroślami, gdzieniegdzie żółtemi bokami nagiemi świecące, a wśród nich z czarną, jak otchłań pieczarą.

Dobrym już mrokiem, który nagle nas zaskoczył, dojechaliśmy do mieściny Lugnano, położonéj w wąwozie ciemnym. Towarzysz nasz radby tu w jakiejkolwiek noc przebyć lokandzie, ale weturin słyszéć o tém nie chce, obrachowane ma dni i musi nas choć późno dowieźć do Valmontone.

W tym uporze człowieka, który po nocy gwałtem ciągnie nas w lasy i góry, podejrzliwy nasz podróżny widzi potwierdzenie obaw i domysłów swoich.

— Jak chcecie — rzekł — ale zginęliśmy, rzecz jawna, trzeba być ślepym, ażeby tego nie widziéć.

W obie ręce pobrawszy odwiedzione krócice, siadł zrezygnowany, polecając ducha Bogu. Nie jest rzeczą pewną, czy korzystając z pobytu w Rzymie, należycie się przygotował na *wielką podróż*, ale któż wszystko przewidzi?

Noc była cudowna, świat zdawał się wysilać, oblekał we wszystkie uroki, aby go nam jeszcze bardziéj żal było.

Wistocie trudno się było obronić téj myśli, którą nam Klemrod, nieufający Włochom i nielubiący ich, narzucał. Salvator Rosa na jeden ze swych krajobrazów fantastycznych nicby dzikszego wybrać nie mógł. W mrokach nocy i blaskach księżyca wydawało się to jeszcze dziwniéj i straszliwiéj. Nad drogą coraz ciaśniejszą piętrzyły się gąszcze czarne, drzewa i skały, wjechaliśmy temi zaroślami, z których gdzieniegdzie wyglądały czarniejsze jeszcze pieczary, do miasteczka, które się nam prześlicznem wydało ze swemi mury, uliczkami, gdzieniegdzie światełkiem i długą ścianą bielejącą w mroku.

Tu słychać jeszcze było i widać ludzi, ciemne postacie zagadkowe stawały popatrzéć na powóz, zamieniały tajemnicze słowa z weturynem, z otwartych drzwi widać było wieczorne rodzin kółka i oświecone obrazy Madonny, gdzieniegdzie pas żywego światła przeciął nam drogę, potém ostatnie czarne minęliśmy domki, ostatnie mury ogródków i wąwóz wprowadził nas w stary, prześliczny, ale dziwnie po nocy wyglądający las.

Gdyby nie trwoga naszego towarzysza, którą napróżno staraliśmy się uspokoić, doprowadzając go tylko do ostatniego stopnia niecierpliwości i zajadłego milczenia, co za noc i co za cudowny obraz!...

Weturyn wistocie wlókł się powoli, ale powietrze było balsamiczne, woń lasów i łąk poiła, świętojańskie muszki latały, jak

zielone gwiazdki, a kształty olbrzymich dębów i kasztanów przybierały najfantastyczniejsze pozory. Księżyc, który powoli wszedłszy w pełni, zakradał się promieniami między szerokie cienie, przyświecał nam w téj drodze, jak marzenie pięknéj. Cisza uroczysta, cisza nocy i odludzia, nawet żadnego drzew szelestu, tylko brzęk uprzęży naszéj i stłumionéj rozmowy, w któréj nieszczęśliwy towarzysz żadnego nie brał udziału.

Wistocie śnić było można, iż z czarnéj pieczary wyskoczą co chwila zbrojni ludzie, chwycą za konie i wrzask rozlegnie się: — *Ferma!* Ale mimo proroctw i obawy, przejechaliśmy półtoréj mili do noclegu nie napastowani wcale, i pistolety dobyte nie miały zręczności się popisywać.

Po półtoragodzinnéj przejażdżce, która w miarę, jak księżyc się podnosił, a noc stawała przezroczystszą, coraz była piękniejszą, ujrzeliśmy w dali światło. Było to oczekiwane owo Valmontone. Z żalem prawie przyszło się nam rozstawać z temi wąwozami, lasem, strumieniem nad drogą, górami zielenią ubranemi i fantasmagoryą nocnéj wycieczki. Uśmiechaliśmy się, spoglądając na towarzysza, ale nie dał nam za wygraną.

— Tak! tak! — rzekł — gdybym był nie pokazał zdrajcy weturynowi, że mam pistolety gotowe, byłoby nas co innego spotkało! Ale przekonał się, że my się mężnie bronić postanawiamy i w Lugnano przestrzegł po drodze. Włosi są tchórze, to nas zbawiło.

Miał słuszność czy nie podejrzliwy włochożerca, nie umiem powiedzieć, ale to pewna, że po chwili szeroki pas światła z wrót lichéj lokandy, w któréj mieliśmy zanocować, ukazał nam, gdzieśmy zatrzymać się byli powinni. Stanęliśmy.

Jeden z nas dobywał się z wetury, aby miejscowość obejrzéć, gdy ledwie uszom własnym wierząc, usłyszeliśmy bardzo znaną piosenkę: *Czegoś oczki zapłakała...*
nuconą od nas o trzy kroki. Wszędzie indziéj mogłoby to być wytłómaczoném, ale w Valmontone? jeszcze upojonym krajobrazami Salvatora Rosy? wśród tych gór, wśród nocy? Mężczyzna, który cygaro paląc i przechadzając się zwolna przede drzwiami, nucił ją sobie powoli, wydał się nam znowu jakiémś fantastyczném zjawiskiem. Siwy był, niemłody, wąs srebrny spadał mu na wargi, ale trzymał się prosto, po żołniersku. Na widok powozu, usłyszawszy głosy, tak zdumiony, jak my, stanął.

Spotkanie było zaprawdę dziwne. Tym śpiewakiem był kapitan inżynierów Zabłocki, brat znanéj kanoniczki, panny Zabłockiéj, od roku 1831 zamieszkały za granicą, a teraz użyty do robót

ziemnych przy projektowanéj kolei żelaznéj z Rzymu do Neapolu, która właśnie przez Valmontone przechodzić miała.

Nie wielu słów potrzeba było, aby się poznać i rozpocząć rozmowę, która trwała niemal noc całą. Na widok ziomków, kapitan ożywił się, ale smutnie jakoś. Przypomniała mu się rodzina, świat inny, czasy dawniejsze i pochmurniał. Zerwał już był oddawna z przeszłością, a żył pracą i tym obowiązkiem życia, który pomaga dźwigać ciężar do ostatka, choć się już przed sobą nie widzi nic oprócz grobu wśród obcych zapomnianego, bez imienia.

Lokanda, w któréj kapitan mieszkał, była bardzo biedna, uboga, niewygodna, łatwo się domyśléć, że tu o wieczerzy, o noclegu dobrym ani myśléć nie było można. Wino było kwaśne, ser spleśniały, chleb czerstwy, aleśmy nie skarżyli się bardzo. Trochę jeszcze zapasu było z Rzymu, uciecha rozmowy i wspomnienie nadaremnéj trwogi rozweselały. Przez okna ponad górzystą okolicą świecił księżyc jasny, czysty, rozpogodzony, śmiejący się, a tu i owdzie piętrzące się mury miasteczka wpośród drzew malowniczém tłem wabiły oko. Noc nie była długą, a tyle do wypowiedzenia!

Dla skorzystania z chłodu poranka, woźnica nasz wybierał się o świcie, tak, że ledwie zdrzemnąwszy się nierozebrani, musieliśmy wstawać i opuścić piękne Valmontone. Miasteczko po dniu nie mniéj się nam pięknem wydało, otoczone zewsząd zielonemi górami z zamkiem, a raczéj pałacem z XVII wieku, należącym do rodziny Doria Pamfili.

Kraj z razu roślinnością bujną okryty, za miasteczkiem zmienił się powoli w okolicę pustą, nagą i smutną. Z daleka tylko widać pasma gór to łysych, to lasami okrytych, zameczki i wieże średniowieczne. Wczorajszego wieczora minęliśmy w lewo zawracając do Valmontone starożytne Praeneste, dzisiejszą Palestrinę, na stoku gór osiadłą; dziś tak samo w lewo na górze ukazują się nam tylko mury znacznego miasta Anagni, pamiętnego okrutném obejściem się z osiemdziesiątletnim Bonifacym VIII Colonnów i Wilhelma Nogareta.

Wśród tych pięknych Włoch, pełnych dla nas uroku i ciekawości, nigdzie może smutniejszego, jak tu nie doznaliśmy wrażenia od widoku nędzy ludu, tak ubogiego, tak pracą znękanego, wyglądającego brudno i opuszczono, że nam niekiedy poleskich wieśniaków mimowolnie przypominał. Sam strój kobiet i mężczyzn wymownie świadczył o nędzy. Twarze ogorzałe, rysy ich nieforemne, ciało od spieki i trudu popękane, czyniły wrażenie bolesne. Spotykaliśmy ciągle na gościńcu kobiety z miedzianemi od wody

naczyniami na głowach, zaledwie brudnemi płachtami okryte, wozy z kukurydzą, chude kóz trzody.

Do starożytnego Ferentino powoli na stromą dosyć wyniosłość drapać się było potrzeba. Na górach wogóle wszystkie dawne osady i miasteczka są położone, siedzą jak gniazda wyniosłe, skupione, zlepione murami, czuć, że je potrzeba obrony od nieprzyjaciela wzniosła i ścisnęła. Ferentino, dawne miasto Wolsków, pełne jest szczątków murów z prastarych czasów, z ogromnych brył złożonych.

Olbrzymie te głazy mchami porosłe, są malownicze i dobrze charakteryzują epokę, w któréj powstały. Otaczają one miasto, a na jednéj z bram czytać się daje z dwóch złomów marmuru sklejony napis. Zapewne go spisał jaki starożytnik miejscowy, ale żeśmy go jednak nigdzie nie znaleźli, dajemy tu dla pamiątki:

<table>
<tr>
<td>JULIAE. AUG. MATRI
AUG ET CAST. ROR.
ET SENATUS AC
PATRIAE PIAE
FELICI.</td>
<td>IMP. CAS M AURELLIO ANTONII
FELICI UC PART MAX. BRIT. MAX.
MAX. GERMAN. TRIB. POT. XVII MPII. COS
PROG MAG-NO INICTO AC FORTISSIMO
PRINCIP.</td>
</tr>
</table>

SENATUS ROMANUS O FERENTIN.

Brama, nad którą się ten napis złatany mieści, zowie się Porta Sanguinaria.

Stanęliśmy tu spocząć w gospodzie *des Etrangers*, w któréj bodaj mało kto obcy gości. Stoi ona tuż prawie oparta o niewielki kościołek kk. bernardynów.

W ciągu spoczynku przesuwały się ciągle umęczone postacie ludowe, kobiety z naczyniami na głowie, w rodzaju gorsetów i chustkach na włosach, mężczyźni odarci i czarni. Nigdzie lud tak się nam nie zdał nędznym.

Z Ferentino droga idzie dosyć pustym, bardzo górzystym dokoła krajem wielkiego charakteru. Widoki majestatyczne, wielkie, coraz nowe, linie krajobrazu klasyczne przypominają oddalenia Poussin'a. Tu i owdzie w załomach wzgórzów, jakby w fałdach szaty, ukryte miasteczka na stoku wyniosłości, to kasztele, to ruiny i wieże. Widok na łańcuch Apeninów przepyszny. Mimo wspaniałości kraju, wrażenie robi tęskne i smutne, życia mu i ludzi braknie. Przestrzenie ogromne niezaludnione, niezużytkowane.

Dopiéro zbliżając się ku Frosinone, nieco ludniéj i weseléj. Przepyszna droga, wijąc się pod górą, wiedzie do zamku i miasta

na znacznéj położonego wyniosłości. Słyną podobno stroje malownicze tutejszych niewiast, ale się one nam nie pokazały; zakrótko zatrzymaliśmy się, aby je oglądać, chociaż w kartonach artystów wieśniaczki od Frosinone nieraz się znajdują. Ale stroje owe modelów bodaj czy nie tak się tworzą, jak krakowskie dla baletów.

Wyjechawszy z miasteczka, znaleźliśmy się znowu wśród kraju pustego, dzikiego i postaci ludowych przypominających okolicę Ferentino; ale za to majestat gór dalekich nas pocieszał. Była to najcudniejsza dekoracya, jaką sobie wyobrazić można, a że dzień i niebo sprzyjało oświeceniu fantastycznemu, pasma gór na przemiany sine, zimne, to znowu ogniste, zaczerwienione, poprzerzynane obłokami, przedstawiały się nam, jakby oczarować nas chciały i dnie te upamiętnić na zawsze.

Nie postrzegłszy się, zbliżyliśmy się pod wieczór do granicy państwa kościelnego i miasteczka Ceprano, gdzie nas nocleg oczekiwał.

Mieliśmy wprawdzie wielką ochotę posunąć się daléj, ale ponury weturyn, który pocichu umówił się z gospodarzem bardzo porządnéj lokandy Trani, stojącéj w samym rynku, objaśnił nam w dosyć niezręczny sposób, iż daléj się nie ruszy.

Po stoczonéj z nim nadaremnéj walce, w któréj się trzeba było uciec aż do listów polecających, jakieśmy mieli z Rzymu, wieczór już był tak późny, iż upokorzony woźnica, gdyby chciał nawet być posłusznym, jużbyśmy z jego powolności korzystać nie mogli.

Gospodarz lokandy naznaczył ceny, jakie chciał, gdyż drugiéj podobno porządnéj nie było w miasteczku, a my mieliśmy czas przypatrzyć się rynkowi starego grodu Wolsków i Samnitów. Niektórzy starożytnicy mieszczą tu zniszczoną przez Rzymian Fregellę, a mnogie wykopywane starożytności poświadczają o ważności osady. Miasteczko jest dość malownicze, w lewo od lokandy mur jakiéjś opadłéj wieżycy obwieszonéj bluszczami, w prawo różnéj wysokości kamieniczki, kościołki, stare bramy i polepione przybudówki. Przez wyłom, jakby umyślnie dla widoku z rynku zrobiony, widać było blaskiem zachodu żywo ozłocone pasmo gór i piętrzące się nad nim chmury, w których grzmiało i błyskało.

Mieścina tego dnia była niezwyczajnie ożywiona, był to odpust uroczysty, fest patrona S. Harduina, *protettore del paëse.* Ludu zbiegło się mnóstwo z okolicy, zjechał nawet z Frosinone monsignor delegat, któregośmy postrzegli przechadzającego się po rynku, licznem towarzystwem duchownych okolonego, w fioletowych pończochach i szerokoskrzydłym kapeluszu.

A że we Włoszech każda uroczystość kościelna jest zarazem

wesołą zabawą ludową, nie obeszło się i tu bez *aparatorów*, wieńców, cyfr, strzelania, illuminacyi, wspaniałego, jak na Ceprano, fajerwerku z bukietem, a o mroku już puszczono w powietrze balon z zapaloną pod nim latarnią, który się długo nad miastem unosił, malał, świecił, jak radośna gwiazdeczka, i spadł nareszcie gdzieś daleko.

Mieliśmy zręczność z balkonu przypatrzyć się téj uciesze ludu, jego strojom, które tu już bardzo się nam wydały malownicze, gorsetom kobiet sznurowanym z tyłu, chustkom, zawinięciom głowy i mnogim różnych kształtów naczyniom glinianym, w których napróżno starożytnych poszukiwaliśmy kształtów.

Chociaż spór z weturynem popsuł nam ów wieczór i zatruł nieco spoczynek, jemuśmy zawdzięczali widok uroczystości, fajerwerku, balonu i wesela téj garstki ożywionéj pobożnych wieśniaków, która się zwijała pod oknami naszemi.

Sprawiedliwość wyznać każe, iż weturyn okazał skruchę, że nocleg wcale zły nie był, a zdzierstwo gospody, zbyt pospolite we Włoszech, w końcu już tylko śmieszyło.

Mimo znużenia i bezsennéj przeszłéj nocy, ta znowu była tak piękną ze swą burzą oddaloną na górach, żeśmy nierychło poszli na spoczynek.

Z Ceprano nie mogliśmy wyruszyć tak wcześnie, jakbyśmy byli pragnęli, konie ledwie o godzinie siódméj były gotowe. Skwar się obiecywał nieznośny a burza nocna zdawała się tylko zapowiedzią nowéj we dnie. Gdyśmy przez ciemne wrota wyruszyli z rynku Ceprano, ujrzeliśmy góry otaczające całe okryte białemi obłokami, zdające się kurzyć i dymić jak wulkany.

W téj odzieży, która z niezmierną szybkością opadała, podnosiła się, skręcała, nikła i wyrastała z boków gór, było im cudnie pięknie; kontrast ostrych ścian z temi powiewnemi zasłony, koloryt skał, gdzieniegdzie przedzierające się światło płonące, cienie i blaski, ruch żywy obłoczków, oparów, mgły to roztapiającéj się w powietrzu, to wyrastającéj z niczego, nadawał całości czarodziejski wdzięk. Nie można się było napatrzyć na ten dramat włoskiego poranka.

Na drodze mijaliśmy lud malowniczo poubierany, weselszy, postrojony z pewném poczuciem artystyczném.

W Ceprano zapisano pasporta nasze, poczém podjechawszy, trafiliśmy na pierwszą doganę i granicę, następnie na jakąś drugą granicę, wizę i znowu doganę. Szczęściem owe dogany, które miały posłannictwo zajrzéć we wnętrzności pakunków naszych, dały się przekonać, iż one nic niebezpiecznego w sobie nie kryły. Nie wiele więc czasu zabrały nam formalności pograniczne.

Za wczorajsze dosyć pustynne krajobrazy płacił sowicie dzisiejszy, cudnie piękny i wesoły. W prawo piętrzyły się ogromne góry, a u stóp ich rozwijała się dolina żyzna, prześliczne lasy dębowe, winnice. Gdzieniegdzie obnażona ziemia uderzała kolorytem włoskim, czerwonym, podobnym do puzzolany, który w pejzażu malowanym raziłby pewnie surowością tonu oczy do niego nie nawykłe. W lewo drugie pasmo gór nieco daléj odsunięte, sine, miało też same kształty i linie szlachetne. Na tle niebieskiego powietrza, kąpiący się w jego falach krajobraz, wszystkich nas, nie wyjmując fanatycznego Włoch nieprzyjaciela, zachwycał. Ponad drogą zdawały się ołówek wyzywać to malownicze chatki manentów, to znane z obrazków studzienki murowane, okryte bluszczami, to domki bez architektury, a z fantazyą pobudowane, to niespodzianki starych drzew i pasy wysadzanych gościńców.

W miarę posuwania się coraz daléj, z tych zwykłych żywiołów włoskiego krajobrazu składały się coraz nowe widoki. Ponad szczytem obrosłéj góry ruina zamku, obok drogi łożysko strumienia, wśród dębów odwiecznych lokanda, jakby dla malarza stworzona. Wszystko to, oprócz linij pięknych, najżywszym oblane kolorytem.

To co nieraz widziane na obrazku wydało się nam oklepaném, tu nabierało wdzięku od szczegółów hojną dłonią natury usypanych. Motywa wistocie są nawet tym znane, co nigdy nie bywali we Włoszech, ale z wyjątkiem niewielkiéj liczby pierwszorzędnych artystów, którzy téj fizyognomii wyraz duchowy pochwycić umieli, więcéj popsuto Włochy, niż nam je odwzorowano. W tym krajobrazie, jak w klasycznéj piękności posągu, oprócz linij na pozór prostych, jest coś określić się nie dającego, co tylko natchnienie, przejęcie się, wcielenie, miłość téj piękności odtworzyć może. Na sufitach wszystkich lokand we Włoszech dekoratorowie nawet malują włoskie pejzaże, ale to są karykatury tylko.

Na nieszczęście malowane wyrazami widoki jeszcze są pewnie mniéj warte od najgorszych dekoracyjnych; wypełnienie ich zawisło od czytelnika, który własnemi wspomnieniami, kolorytem, fantazyą, musi sobie to, co mu wyrazy wskazują, wypracowywać wedle możności. Dlatego nasze malatury są na łasce czytelników, dla jednych będą zażywe, dla wielu zablade, dla nas samych są niedostateczne.

Od granicznéj komory *La Murata*, droga prowadzi jedną z najpiękniejszych okolic aż do miasteczka San Germano, a raczéj Monte Cassino. Nagle z pośrodka lasu na wyniosłości nad głowami, ukazuje się prześliczny, jak dekoracya artystyczna, zameczek z wieżycami okrągłemi i basztami, siedzący na skalistéj, całéj połama-

nemi głazami usianéj górze, zamek Manfredowski. U jego stóp rozłożone małe, porządne wcale miasteczko. Nie dojeżdżając do niego wśród gęstych zarośli jest pięknie dochowany amfiteatr rzymski okrągły, jedyny jaki istnieje tego kształtu. Mury okolne, bramy i wnijścia pół-okrągłe, zasklepiane, istnieją dotąd dobrze zachowane. Zewnątrz okrywa je powłoka sieciasta (reticula). Jest to wspaniała ruina gmachu, który wzniosła swym kosztem matrona rzymska Umidia Quadratilla. Oprócz tego są złomy tak zwanéj willi Warrona.

Resztki te starożytne poszczerbione, okryte zielenią, zarosłe, ustrojone w bluszcze, gdzieniegdzie z powłoki odarte, wśród drzew wyglądają prześlicznie. Wkrótce odsłania się widok z profilu na zamek i górę, jakby potrzaskanemi głazami, które wojownicy na siebie ciskali, usianą całą. Jeszcze wyżéj widać na wyniosłości znacznéj starożytny ów klasztor, jednę z kolebek odrodzonéj oświaty. Monte Cassino, wyglądający teraz świeżo i czysto. Część téj góry wydaje się łysą i tylko od dołu drzewami jest wysadzoną. Całość krajobrazu, zamek, góra, klasztor, wesołe u stóp miasteczko, jest wdzięczną, a wspomnień i starożytnych i średniowiecznych nie braknie.

Monte Cassino, u którego stóp istniało dawne miasteczko Wolsków Casinum, w dziejach oświaty średniowiecznéj zaszczytne miejsce zajmuje. Tu w r. 529 święty Benedykt na ruinach świątyni Apollina założył owo sławne opactwo, które w r. 589 zniszczył napad i łupiestwo Lombardów, a w 884 spalili Saraceni. Pomimo tych klęsk, pożarów, trzęsienia ziemi, któremu ulegało, zachowały się tu cenne rękopismy starożytne i z ich pomocą odrodzenie oświaty w XIV wieku na podstawie tradycyi dźwignąć się mogło. Zasługi benedyktynów są niezaprzeczone, chociaż zarówno im zarzucają, że były chwile, w których skrobano pargaminowe rękopismy Tacyta, wpisując na nie kantyczki. Powodem do tego jest wspomnienie u komentatora Dantego Benvenuto da Imola o bytności w Monte Cassino Bokacyusza, który ciekaw będąc rękopismów dawnych, znalazł bibliotekę niezamkniętą, bez drzwi, okrytą pyłem, księgi podarte i zaniedbane straszliwe. Mogło tak być chwilowo, ale pomimo to benedyktyni więcéj jeszcze uchowali zabytków, niż inne zakony i klasztory, a wsławili się pracami znakomitemi.

Stąd uczeni nauczyciele rozsypywaii się po całym świecie, jako apostołowie wiary i światła zarazem, tu uczyć się i badać przybywali uczniowie chciwi nauki ze stron dalekich.

Dzisiejszych bardzo starannie zachowanych ksiąg i rękopismów klasztoru ocenić trudno, potrzebaby na to więcéj czasu, niż zwy-

kły podróżny poświęcić może. Jedzie się tylko na górę obejrzéć klasztor w czworobok pobudowany, ogromny, do twierdzy podobny i wspaniały aż do zbytku kościół.

Przejażdżka ta dosyć jest nużąca i wiele zajmuje czasu, ale miejsce zasługuje na pokłon i oddanie mu czci należnéj. Wysadzana droga, kręcąc się po górze, wiedzie powolnie do ciemnych, w swoim rodzaju nie bez wdzięku wrót klasztoru.

Dziedzińce przyozdabiają galerye kryte z kolumnami granitowemi, wedle podania pochodzącemi ze świątyni Apollina; posągi św. Benedykta, Scholastyki, fontanny.

Sam kościół przepyszny, ale może aż do zbytku przyozdobiony. Znać w nim kilkakrotne szkody od piorunów zrządzone, które na téj wysokości często bardzo nań spadały. Bronią go dziś konduktory. Freski przechwalone Luca Giordano i inne malowania uszkodzone, nic bardzo znakomitego nie przedstawiają. Zewnętrzne téż cechy bardzo odległéj starożytności nie są widoczne.

Biblioteka, dziś wybrana ze szczątków dawnych, nie jest bardzo liczna, ale rękopismami szczególniéj się odznacza. Najstarszy z nich sięga VI wieku. Dla paleografów, dla historyi sztuki znajdą się tu pomniki nader zajmujące. Po bliższą o nich wiadomość musimy odesłać do dzieł specyalnych i dziejów klasztoru i zakonu, na których nie zbywa. W podróży, zwłaszcza takiéj, w któréj z dniami rachować się potrzeba, nie można przedsiębrać nad siły. Nie mogliśmy téż ani pomyśléć o skorzystaniu z pobytu w San Germano dla zbadania bogactw opactwa. Należałoby tu zasiąść i na długie dnie pozostać. Świeże powietrze gór, klimat zdrowy, słynne dosyć kąpiele, czynią to miejsce ulubioną willegiaturą chorych i tęskniących za ciszą i spokojem.

Myśmy się schronili dla spoczynku do stojącéj po-za miasteczkiem i strumieniem Rapido gospody, zwanéj *Locanda nuova,* dosyć porządnie utrzymywanéj. Znać w niéj było z przyjęcia, że dosyć często miewać musi gości, gdyż znaleźliśmy wszystko, czego można było zażądać. Burza, która po skwarze dnia zerwała się nagle nad Monte Cassino, z gwałtownym wichrem, cały horyzont i piękne otaczające góry zakryła, ale przeszła dosyć prędko.

Nimeśmy jednak wyruszyli daléj, jeszcze raz musieliśmy się meldować z pasportami naszemi czujnéj policyi neapolitańskiéj.

Rozjaśniło się nieco, a weturyn do dalszéj wzywał podróży, chmury rozbite zawisły na szczytach i bokach gór, a my wyjechaliśmy drogą bardzo piękną daléj, zmierzając ku Kapui.

Skaliste boki wyniosłości u dołu lasami porosłych, kontrast zieleni i szarych tonów głazów, żyzność i piękność doliny, którą, jakby jednym ogrodem, droga się wije, zachwycały nas. Potężne

góry wznosiły się ciągle ponad gościńcem z obu stron, szczególniéj piękne z lewéj strony, na nich gdzieniegdzie szare ruiny zameczków. Droga wybornie utrzymana wiodła zrazu krajem nad wyraz wdzięcznym, którego fizyognomia zmieniała się co chwila inną gór panoramą. Trwało to, jeśli się nie mylę, do San Vittore. W lewo na górze ukazało się miasteczko w dali, a nad drogą niepoczesny dom z tablicą, na któréj napis świadczył o bytności Franciszka I.

Malowniczo u stóp gór leży San Vittore, miasto i zameczek z wieżą okrągłą i ruinami, które chciwie bluszcze pożerają. W prawo zdala widać drugą osamotnioną okrągłą wieżycę. Wzgórza maleją i rozchodzą się, całe obrosłe lasami. Na prawo śliczny krajobraz daleki z zielonemi wzgórzami. Słońce nad zachodem oświeca go tony czystemi i nadzwyczaj ciepłemi. Mijamy kilkakroć rozpoczęte usypy pod kolej żelazną do Neapolu budować się mającą.

Już o dobrym mroku, coraz puściejszym jadąc krajem, dobijamy się do osamotnionéj wśród gór i pól lokandy Ponte Storto.

Naszemu towarzyszowi, który w mocnéj miał pamięci te Włochy dawne, wśród których bez eskorty podróżować nie było bezpiecznie, położenie osamotnionego albergo nie podobało się wcale. Zamiar nocowania w téj pustce, razem z mnóstwem nader podejrzanych weturynów, pieszych włóczęgów jakichś, wieśniaków, górali i wcale niepoczesnéj czeredy, wzbudził w nim znowu podejrzenie przeciw naszemu woźnicy.

Wistocie owa lokanda w Ponte Storto w swoim rodzaju była czémś tak okropném, jak owe oberże w powieściach o rozbójnikach, w których krwawe odbywają się sceny. Odrapane jéj mury z niepełnemi oknami, z drzwiami niezamykającemi się, z brudnemi gankami, podwórzec pełen śmieci, fur i koni; gospodyni stara, chmurna, w podejrzany jakiś sposób chodząca około podróżnych; zupełny brak żywności, naostatek szkaradna izba przeznaczona dla nas na nocleg, która jednéj klamki całéj nie miała, wprawiły nas w cale niedobry humor.

W fizyognomii gospody było coś przerażająco smutnego, w dali pejzaż górzysty, pustynny, dokoła cisza cmentarna, naprzeciw okien jakaś kapliczka wyglądająca na grobowiec podróżnego, z cyprysem i wierzbą płaczącą, na sprzętach ślady jakiéjś przeszłości nieodgadniętéj, w których oko badacza gotowe było ślady krwi upatrywać, wszystko to nie dodawało ani odwagi, ani humoru.

Napróżno usiłując wymódz na gospodyni pożywienie wieczorne, przymuszeni się ograniczyć zeschłą bułką rzymską i resztką własnego wina, przy świetle lichego kaganka, którego postanowiliśmy

nie gasić, zatarasowawszy drzwi, pokładliśmy się nie rozebrani na łóżkach nie zachęcających do spoczynku. Przez drzwi porozszczepywane, wychodzące na galeryę, ciekawe oczy gospodyni, weturynów i jakichś ludzi, podpatrywały nasze zajęcia. Nam dramatyczny ten nocleg przypadał dosyć do smaku oryginalnością swoją, ale bujna fantazya naszego towarzysza na tkance téj snuła przerażające obrazy. Bezbronni prawie, wśród dwudziestu kilku ludzi przy sprzyjających wielce okolicznościach, mogliśmy łatwo paść ofiarą. Tak utrzymywał pessymista. Śmieliśmy się potrosze, co go gniewało mocno, a że banda weturynów na dole bardzo wrzawliwie ze śpiewami wieczerzała i biesiadowała, to podniecenie umysłów, ten gwar i latanie po galeryi, co chwila nowe wywoływało domysły. Ile razy ciekawe oko szpiegujących nas mieszkańców lokandy ukazało się w drzwi szparze, czujny towarzysz nasz chwytał za pistolety.

Że w tych warunkach nocleg nie należał do najprzyjemniejszych i zostawił po sobie wspomnienie gorączkowéj drzemki z towarzyszeniem dzikiego śpiewu weturynów, domyślić się łatwo. Ale nawet takie długie noce czuwania i niepokoju w końcu kiedyś brzaskiem dnia się kończą.

Powoli śpiewy weturynów ucichły, milczenie grobowe zaległo lokandę. Teraz i ono przerażało nieufającego Włochom towarzysza. Uważał je za podejrzańsze jeszcze od wrzawy, a że wśród ciszy niekiedy to stojące w podwórzu konie, to ludzie może się ruszali, najmniejszy szelest budził uwagę i stojący na straży kazał nam natychmiast mieć się na baczności, Zdrzemnięci ledwie dźwigaliśmy się na łokciach, nasłuchując w milczeniu.

Nareszcie gdy powieki coraz uporczywiéj sen kleić poczynał, w okienkach zaszarzało blade światełko poczynającego się dnia, wciskało się przez zbrukane szyby w podwórku, ruszyli się ludzie, ozwały się głosy, noc dogorywała, dzień, któregośmy spodziewali się stanąć w Neapolu, świtał szczęśliwie.

Teraz czujny stróż naszego bezpieczeństwa chrapnął dopiéro, pewien, że Włosi o świetle dziennèm już się na nas nie rzucą, ale wrzawa woźniców, ruch gospody już z nas nikomu usnąć długo nie dały. Mieliśmy téż jeszcze kawał dobry do Kapuy, a stamtąd do stolicy królestwa Obojga Sycylii.

Wielce znużeni ruszyliśmy się leniwo z posłania.

Nie jeden raz uczyniono uwagę, iż ludność rzymska charakterem i usposobieniem zupełnie się różni od neapolitańskiéj; widziano w tém ślad jawny odwiecznego plemienia osiadłego tu przed wieki, krew dawnych kolonistów greckich. Niezaprzeczenie różnica ta czuć się daje, zbliżając ku Neapolowi. Powaga milcząca

Rzymian i Rzymianek zmienia się w natarczywą wesołość, w niezmiernie ruchliwą i gorączkową żywość, wielomówność i szyderską żartobliwość często niepospolitego talentu komicznego dowodzącą. Zamiłowanie w błyskotkach, w przystrojeniach, w cackach, w pstrociźnie objawia się wszędzie.

Wyjechawszy na gościniec i spotykając na nim mnogie zaprzęgi, mieliśmy się zręczność o tém przekonać. Wetury, powoziki o dwóch kołach mijające nas, postrojone były w najosobliwszy sposób, począwszy od koni i mułów dźwigających wielkie ciężary, których chomąty przybrane były w świecidła, chorągiewki, siodełka, medaliony, obrazki, wieżyczki, aż do małych koników ciągnących corricola pod baldachimami, z ławeczkami w pośrodku. Każdy koń, osioł i muł obwieszany był tak obfitemi ozdoby, jak Włoszka w dzień świąteczny pierścieniami i łańcuchami. Wózki przeznaczone do przewożenia osób, już tu się odznaczały tém co w Neapolu, nieporównaną sztuką nagromadzenia podróżnych siedzących, poczepianych, wiszących, stojących tam, gdzieby się ich jak najmniéj spodziewać było można. Towarzystwa w ten sposób zbite w kupkę nadzwyczaj były wesołe, krzykliwe, a choć turkot nie dozwalał słyszéć mowy, ruchy rąk świadczyły, z jaką żywością rozprawiano.

Droga dnia tego nie była już wcale malowniczą, jednostajniejszą daleko; jechaliśmy doliną, w dali góry stożkowate malały coraz i znikały. Około Calvi (?), jeżeli się nie mylę, spostrzegliśmy nad głęboko w parowie płynącym strumieniem, starożytną jakąś budowę, ze czterema okrągłemi bastyonami, zupełnie opustoszoną. Wierzch jéj ciosem był kryty. (Norma?)

Stojące ponad gościńcem lokandy z szarego kamienia niezbyt zachęcająco wyglądały. Widzieliśmy jednę przerobioną z kościoła, przy wielu innych pod jednym dachem mieściły się oratorya i gospody; kapliczki i szynki. Jedne i drugie odrażająco były utrzymane, brudne, opuszczone i niechlujne.

Cała droga do Kapuy niebardzo nas zająć mogła. Nazwisko historyczne miasta nęciło, ale owa słynna rozkoszami Kapua dawna, dziś jest od miasta dosyć odległą wioseczką, zwaną Santa Maria di Capua. Pelazgowie, Etruskowie, Samnici, Rzymianie opanowywali ją z kolei; kwitnęła za cesarstwa, zburzoną była przez barbarzyńców. Trudno uwierzyć podaniom, które jéj do 300,000 mieszkańców dają; a Cycero wspomina o 40,000 gladyatorów, których tu wychowywano na pociechę ludu rzymskiego.

Nowa Kapua, wcale porządne miasteczko, nic wspólnego nie ma z Annibalową. Przejechawszy kilka ciasnych uliczek, stanęliśmy spocząć koniom w gospodzie *La Posta*. Do obejrzenia

tylko była katedra w stylu gotyckim, z kolumnami granitowemi, które tu niegdyś świątynie Junony i Herkulesa podpierały. Różne też są ich rozmiary. Wszędzie po gmachach publicznych, w domach prywatnych, widać wmurowane szczątki rzeźb i potłuczonych posągów. W hotelu nawet, w którym staliśmy, sieni przyozdobione były obłamami rzeźb złéj epoki, ale i takie są przecie zajmującą ozdobą i budowie pewien artystyczny nadają charakter.

W chwili, gdyśmy przez miasto ciągnęli, drogę nam zaszedł pogrzeb, któremu towarzyszyło jedno z bractw pobożnych, kapnicy w białéj odzieży, kapturach białych i zielonych pelerynach, z wielkiemi srebrnemi blachami. Niesiono nieboszczyka w brackiéj trumnie, na któréj przytwierdzony był takiż strój jego pokutniczy.

Jak wszędzie we Włoszech, duchowieństwo tylko i bracia po duchu wiedli do grobu zmarłego, zwyczajem włoskim nie było nikogo z rodziny i przyjaciół. Mieliśmy już zręczność wspomnieć o tym obyczaju, który się nam wydaje okrutnym, choć go pobożnym zowią. Zaprawdę Bóg chrześcijan nie może być tak zazdrośnym, ażeby wymagał zaparcia się najdroższych sercu węzłów, ani te węzły mogą odwodzić tak dalece od Boga, którego są dziełem *).

Popas w Kapuy zostanie nam pamiętnym nie delicyami żadnemi, bo o tych w nowożytnéj nie słychać, ale zapachem frytury, która się smażyla pod oknem, a na natręctwo jéj nawet zamknięcie go nie pomagało. Wciskała się ona szparami, przychodziła z kuchni, a że dosyć niemile przypominała studenckie czasy i zgaszoną świecę łojową, nie dodała nam apetytu.

Wyjechaliśmy w godzinę skwaru samego, szczęściem jednak powietrze ulitowało się nad nami, wiatr wiał chłodny i temperatura wcale, jak na Włochy, stała się łagodna. Przejechaliśmy

*) W chwili gdy to przepisujemy, dzienniki głoszą o odkryciach zajmujących (1869 wrzesień) w Kapuy. P. Salazaro, dyrektor galeryi obrazów w Neapolu, zarządził poszukiwania w Kapuy, które do świetnych doprowadziły skutków. Odkryto pod kościołem św. Michała kryptę zrujnowaną, która od dawnych czasów służyła za miejsce pogrzebu. Salazaro dowiedział się od malarza, który w niéj jakieś wykonywał poprawki, że się tam znajdowały malowania alfresco i przedsięwziął poszukiwania. Odkryto budowę jedyną w swoim rodzaju; sklepioną kopulasto i wspartą na jednym z granitu oryentalnego z żyłami różowemi słupie. Kapitel wykonany w stylu epoki lombardzkiéj, takim jaki się z IX wieku zachował na dzwonnicy w Kapuy. Główną postacią na fresku jest Chrystus, ręką lewą błogosławiący, a w prawéj trzymający biblię. Po obu stronach pięknie pojętéj postaci Chrystusowéj stoją archaniałowie Michał i Rafael, pięknie dochowani i znakomitego mistrza. P. Salazaro poczynił też odkrycia u p. Maryi w Kapui i spodziewa się więcéj jeszcze wynaleźć, jeśli mu miasto dozwoli z pierwszych wieków pochodzące katakumby otworzyć.

część fortyfikacyj, gdyż Kapua na stary Vaubanowski sposób jest ufortyfikowaną.

Daléj kraj był płaski, widok nie pociągający oka, zewsząd tylko drzewa długiemi, regularnemi pozasadzane rzędami, poobwieszane winną latoroślą. Gdzieniegdzie jednostajność tę przerywała studzienka z szarego kamienia, domek murowany odrapany, albego brudne a po ścianach pełno pobożnych obrazów, nad które gorszych nigdzie mi się we Włoszech widziéć nie trafiło.

Z pewnego względu były one wszakże ciekawe, jeśli nie dla historyi sztuki, to dla dziejów pojęć i idei Neapolitańczyków.

Większa część wyobrażała płomienie czyscowe i dusze ze złożonemi rękoma dopraszające się o modlitwy. Artysta starał się pobudzić do litości, ale nie czyniły te wizerunki wrażenia, na które rachował. Równie nieudatne były wizerunki Matki Boskiéj i różnych patronów. Jeden fresk na małéj murowanéj kapliczce wystawiał powóz napadnięty przez brygantów w tém miejscu i zapewnie cudowną ocalony interwencyą. Na podróżnych działał ten widok potężnie. Ukazaliśmy go naszemu towarzyszowi, który ręką i głową kiwnął; jakkolwiek dzień był biały, nie czuł się bezpiecznym jeszcze.

O kilka mil od Neapolu droga rozszerzyła się wspaniale, drzewa otaczające ją stały się okazalsze, czuć było po ruchu gościńca sąsiedztwo wielkiego miasta, aleśmy napróżno wyglądali ukazania się Wezuwiuszu i morza, płaszczyzna podniesiona nie dozwala ich dostrzedz zdaleka. Dokoła ożywiało się wielce, wozy, wózki, karyolki, o dwóch i trzech siedzeniach, wymijały nas krzycząc i śpiewając, obładowane, obwieszone ludźmi, siedzącemi, stojącemi, wiszącemi, czepiającemi się, biegnącemi przy nich. Osobliwsze te *vehicula* zwykle były dla większéj oczów pociechy malowane czerwono, a ciągnione, jakeśmy już napomknęli, to szkapą wystrojoną a chudą i z bokami obitemi, to biednym osłem, najpracowitszym z mieszkańców Włoch, albo parą tych nieboraków lub mułem w siodle obronzowaném, w strzępach i kutasach. Niektóre z tych skrzyneczek z pretensyami miały na bokach cyfry, godła i stroiły się z naiwnością dziecięcą.

Lud wydał się nam rosły, silny, nadewszystko wesół, rzeźwy, ożywiony, a brudny znakomicie. Na widok naszéj wetury, z ziemi wyrastali żebracy młodzi i gonili nas wrzeszcząc:

— *Celenza! celenza! piccola moneta! Povero! Miserabile! Moribondo! Fama!* A że we Włoszech nic się bez mimiki nie obchodzi, w pół śmiejąc się, pokazywali na usta, na żołądek i dawali do zrozumienia, z jaką uciechą jedliby makarony za zdrowie téj *celenzy.*

Droga mimo tych dramatycznych epizodów, urozmaicających ją,

pomimo wspaniałości swéj, pięknych drzew, ciekawych budowelek malowniczych, z niecierpliwości dojechania do Neapolu, wydała się nam niezmiernie jakoś długą i potrosze nudną.

Ogromnemi temi alejami cienistemi, zawsze zapowiadającemi stolicę, któréj doczekać się nie mogliśmy, dostaliśmy się do Aversa, miasteczka ostatniego przed Neapolem, które słynie, jak mówią przewodniki wszystkie, domem obłąkanych i winem, nakształt szampańskiego wyrabianém: *Asprino*. Nie mając nabożeństwa do rzeczywistego szampana, nie mieliśmy ciekawości fałszywego próbować.

Aversa stroiła się i przygotowywała do jakiéjś uroczystości i illuminacyi. Osobliwsza rzecz, że w krajach, gdzie lud najnędzniejszy, ubóstwo największe, namiętność zabaw i uroczystości najgwałtowniejsza. Ulice stroili *aparatorowie*, ale przystrajały je téż charakterystyczne rzemiosła *en plein vent*, bo tu, jak w większéj części Włoch, pod gołém niebem się pracuje, jé, śpi i żyje. Ten sposób życia najlepiéj nam tłómaczy ciasne domki starożytnych Rzymian i Greków, którzy w podobny sposób w ulicy gospodarować musieli. W Aversa prawie przed każdym domem był warsztat, krawcy, szewcy, przekupnie owoców, rymarze łatający chomąty, nawet kowale. Ulice pozawieszane już były festonami z lamp kolorowych, pozastawiane słupkami zielonemi z bukszpanu, a na twarzach ogorzałych ludu jaśniał już przedsmak nadchodzącéj uciechy. Ażeby ją uczynić tak wrzawliwą, jak Neapolitańczycy lubią, musiało muzyki i petardów nie braknąć. Huku i łoskotu im więcéj, tém uroczystość wspanialsza.

Za Aversą znowu wysadzane ulice, ale w nich życia coraz więcéj, czuć wielką stolicę, około któréj ruch znaczniejszy. Wille zastępują miejsce domków, wjeżdżamy w przedmieścia o ulicach szerokich, zapełnionych ludem odartym, wesołym, ciekawym, natarczywym, kręci się żebraków mnóstwo, bo przy zdarzonéj okoliczności, każdy niemal się nim staje, sam widok cudzoziemca zachęca do wyciągnięcia ręki. Nad drogą sklepiki sprzedających wodę, limonadę, owoce, i przemysłowcy czatujący z worami i koszami na gnoje rozsypane po drodze, które na osły pakują.

Naostatek wjeżdża się do starożytnego Syren grodu ulicą wspaniałą, szeroką, znamionującą stolicę, nawet nie tak brudną, jakby się spodziewać można z opisów. Ruch ludności coraz gorętszy, i wrzawa dla nienawykłych do południowéj krzykliwości niepojęta. Osłów przynajmniéj tyle, ilu ludzi; stosy pomidorów na ziemi, makaronów festony schną na tyczkach rozpięte, fontanny z wodą ostawione cytrynami, ryba praży się na fryturze. W jednym

kotle zupa z pomidorami, w drugim kukuruza gotowana, dalėj pieczona na węglach.

Możnaby sądzić, że jedzenie i picie główne stanowi zajęcie mieszkańców, choć wcale tak nie jest. Minąwszy wspaniały wjazd oznaczony granitowemi obeliskami i świątynię (komorę) wjeżdżamy z przedmieść do miasta.

Ulice szerokie, domy dosyć porządne. Dogana zabiera się do rewizyi tłumoków, ale daje sobie tę chętkę wyperswadować, zabierają nam tylko w niezliczone wizy opatrzone pasporty. Jesteśmy w Neapolu i wleczemy się nim długo. Otóż w lewo Wezuwiusz i Somma, a przed nami nareszcie morze i wyspa śpiąca na niém i przeciwny zatoki brzeg, z górami lasem okrytemi. Już mamy przedsmak piękna, jakie nas czeka.

Obraz portu pełen oryginalności i ożywienia. Lazaroni ogorzeli kręcą się, jak mrowie dokoła. W budkach wołają do teatru pupek, przed którym gra skrzypek zajadle, bije bębenek z całéj siły, a cudacznie ubrany herold wskazuje na ponętny obraz wywieszony nad drzwiami, przedstawiający sceny dramatu. Obok znowu sklepiki, budki, stragany, ławki, stosy pomarańcz, *frutti di mare*, frytura nieunikniona, kawony i makarony, a wśród nich gąszcz, tłum, opalony, czarny, śmiejący się zębami białemi, giestykulujący dramatycznie i zrywający płuca na wymowne okrzyki.

Ulice poprzystrajane, jak w Aversa, przygotowanemi lampami i wieńcami, spodziewaną illuminacyą, wojsko w paradzie przeciąga. Jest to wigilia dnia urodzin królowéj, pretekst do zabawy i hałasu, ale otóż stajemy u wrót gospody *delle Crocelle* i nasza wetura, otoczona mnóstwem aż nadto usłużnych lazaronów, tryumfalnie wjeżdża w dziedziniec.

XIX.

Neapol. — Rys historyczny. — Kampania szczęśliwa. — Autochtonowie. — Ludy napływowe. — Celtowie. — Pelazgowie. — Eneasz. — Ulises. — Parthenope. — Kolonie helleńskie. — Torre del Greco. — Paleopolis i Neapolis. — Focejczycy. — Diotimos. — Wyścigi lampowe. — Podbój rzymski. — Annibal. — Kapua. — Neapol. — Kolonie rzymskich zbytników. —Wille. — Romulus Augustulus. — Belizaryusz. — Narses. — Obraz kraju z pism św. Grzegorza. — Historya średniowieczna. — Burboni.— Dalsze losy do dni ostatnich. — Wpływ na obyczaje ludu. — Demoralizacya. — Sztuka i jéj zabytki. — Epoka etruska i pelazgicka. — Zabytki greckie i rzymskie. — Normandowie. — Sztuka nowsza. — Bernini. — Charakter narodu i sztuki. — Malarstwo. — Tom. de Stefano. — Giotto. — Zingaro. — Sabbatini. — Przybysze. — Caravagio. — Ribera i jego towarzysze. — Annibal Caracci. — D'Arpino. — G. Reni.— Dominiquina męczeństwo i koniec tragiczny. — Krucyfiks Stanzioniego. — Salvator Rosa i jego dzieła — L. Giordano. — Solimena.

Powinnibyśmy rozpocząć opis naszéj wędrówki od historycznego zarysu, bez którego z trudnością można sobie dzisiejszy charakter mieszkańców i kraju wytłómaczyć. Jest to wstęp niezbędny, chociaż dla wędrowca, niemogącego się zapuszczać w zbytnie szczegóły, nadzwyczaj trudny.

Historya tych wybrzeżów sięga pierwotnych epok świata i jak on jest starą. Cudowny klimat, żyzność ziemi, obfitość wszystkiego, czego mógł człowiek potrzebować, piękność okolicy, ściągają tu kolonistów i zdobywców ze wszystkich stron świata. Tysiące plemion zlewa się w téj szczęśliwéj Kampanii, na utworzenie ludu zachowującego do dziś dnia cechy najrozmaitszego pochodzenia. Homer, Wirgiliusz, Hezyod, Owidyusz, Horacyusz, Teokryt, Tytus Liwiusz i Herodot są pierwszemi dziejów i podań tego kraju materyałami. Uroczo w ich pieśniach i opowiadaniu maluje się obraz jego, szczególniéj przed wielkim onym wybuchem Wezuwinsza, który zniszczył Pompeję, lawą okrył Herkulanum i fizyognomię nawet okolicy odmienił.

Podania mówią naprzód o dzikich autochtonach tutejszych, ludzie odwiecznie osiadłym i w stanie na pół zwierzęcym żyjącym

wśród tego raju. Później Latyni, Sabińczycy, Sabellianie, Marsowie, Marrubianie, Samnici, Wolskowie, nie licząc mnóstwa plemion pomniejszych, zalewają Hesperyą. Nadchodzą Celtowie, a po nich Pelazgi i plemiona greckie. Po zburzeniu Troi mnogie tu powstają kolonie... legendowy zjawia się Eneasz. Ulises spotyka tu trzy Syreny, Ligeę, Leukozyę i Parthenopę, która z rozpaczy, że go pociągnąć nie zdołała, na wieki ginie w morza głębinach. Na wzniesionym jéj grobowcu, Rodyjczycy zakładają gród partenopejski. Taki jest Neapolu początek.

Helleńskie kolonie mnożą się i opanowują wybrzeże, ich działalność i siła nowe życie nadają miastom Kampanii. Do owych czasów należy wieża Falera, dzisiejsze *Torre del Greco.*

Miasto Kumy, starsze od Neapolu, zaniepokojone wzrostem współzawodniczym jego, rozpoczyna walkę i niszczy Partenopę. Ale na gruzach powstaje mór i wyrocznia nakazuje odbudowanie grobu Syreny i jéj miasta. Zarazem tedy wznosi się i dawna *Paleopolis* i drugie, nowe miasto *Neapolis* (940 przed Chrystusem).

Jego dzieje rozświecają tylko luźne wspomnienia. Dwa miasta zlewają się z sobą; Focejczycy, wygnani z ojczyzny przez Persów, pomnażają liczbę mieszkańców.

W r. 433 przed Chrystusem, Dyotym, dowódca floty ateńskiéj, przybija do Neapolu, składa Syrenie ofiarę, ustanawia tu wyścigi lampowe dorocznie i zostawuje część swych towarzyszów. Miasto skutkiem tych posiłków coraz bardziéj nabiera stanowczo charakteru greckiego, którego nawet Rzymianie zetrzéć nie mogli i nie chcieli. Kampania szczęśliwa wabi nawet szczęśliwych Rzymian i słynie jako siedlisko rozkoszy. Po zdobyciu długo opierającego się Neapolu, po zwycięstwie pod Caudium (313) Kampania cała podbita. Kapuę z Rzymem łączy murowana droga Appijska, któréj szczątki trwają do dziś dnia.

Mijając boje i walki, które Kampanii szczęśliwéj pokój zakłócały... trafiamy na wspomnienia Annibala... W chwili gdy mógł zdobyć Rzym, idzie zwycięsca na Kapuę... która po naradzie otwiera mu wrota. Plutarch naiwnie maluje losy wojsk, które się do jéj murów dostały.

„Zwycięsca pod Kannami, wybrał sobie — powiada historyk — za twierdzę główną stolicę miasto Kapuę, bardzo przyjemną i obfitującą we wszystkie rozkosze. Stało się, iż tu żołdactwo nawykłe spać na ziemi twardéj i cierpliwie znosić zimno, głód i pragnienie, z mężnego stało się tchórzliwém, z silnego, lękliwém, z przemyślnego i zręcznego, rozpieszczoném i zniewieściałém od rozkoszy, których tu codzień obficie zażywało. Albowiem rozkosze łakome i pociągające ludzi ku sobie niszczą siły w nich i moc odwagi,

umysł wycieńczają i odejmują rozsądek. A zaprawdę w miejscu tém rozkosze Kampanii więcéj szkody przyniosły Kartagińczykom, niżeli najwyższe Alpy i całe Rzymian zastępy.“

Z wiosną dopiéro wyruszył Annibal z Kapuy i pociągnął na Partenopę. Szukał on w niéj portu i bezpiecznego przezeń z Kartagą stosunku. Ale od murów został odparty i napróżno je taranami starał się podruzgotać; odepchnięto go tak samo od Noli; Rzym nabrał nowych sił do boju. Neapol wiernym trwa Rzymowi w różnych przygodach, w wojnach z obcemi i domowych, oszczędza mu to wiele strat krwawych.

Rzym z krajów zdobytych wytwarza tę wielką całość mającą panować światu i przygotować materyał dla nowéj epoki. Coraz mniéj znać w państwie pierwiastki, które się nań złożyły i tworzą narodowość nową i potężną.

Za Cesarstwa Neapol staje się gniazdem rozkoszy, kolonią zabaw, miejscem społeczeństwa rozwielmożniałego i rozbujaniem gnijącego. Wszystko, co ma najświetniejszego stolica świata, idzie w Neapolu na rozkosznych wybrzeżach szukać wytchnienia, spokoju, używać życia. Przez cztery wieki stroi się, ubiera, buduje, zbogaca Neapol i Kampania. Mnóstwo rozkosznych willi i przepysznych ogrodów zbytkownie urządzonych przystraja cudnéj piękności zatokę. Cezar, Pompejusz, Lukullus, Pollion, Maryusz, Sylla, Cyceron, Hortensyusz współzawodniczą wznosząc gmachy, których ruiny zalegają do dziś dnia morza brzegi. Kampania jest zbiegowiskiem tych, co bawić się pragną, uczty i obchody świąteczne idą nieprzerwanym szeregiem.

Krwawe i miłosne dramata odgrywają się wśród gajów laurowych... okolice stają się teatrem orgij cezarów i poczwarnych zachcianek rozpustników.

Na łożu z kwiecia, wśród woni i dźwięków, upływa ta epoka dziejów Kampanii. Przychodzą barbarzyńcy a z niemi wojny i pożogi. Romulus Augustulus znajduje tu więzienie i trumnę w gmachu Lukulla. Herule i Ostrogoci przeciągają przez Włochy. Belizaryusz opierający się zdobywa Neapol i niszczy go z okrucieństwem bezlitosném. Zemsta jego sięga nietylko Gotów tu osiadłych, ale prawdziwych mieszkańców bez różnicy płci, wieku i stanu. Złupiono wszystko, nie wyjmując kościołów.

Późniéj Narses zamyka się w Neapolu... nadchodzą te czasy straszliwe, których obraz maluje św. Grzegorz Wielki: „Wkrótce dziki naród Lombardów, wyciągnięty z pochwy, co go zamykała... głowy nasze gniótł nogami. Lud, który na téj ziemi wyrósł jako kłosy zboża, ścięty został i wysechł.

„Miasta wyludnione, twierdze obalone, kościoły popalone, kla-

sztory mnichów i zakonnic zniszczone, posiadłości ręką ludzką rozgrabione zostały. Ziemia... zasiadła w pustce i milczeniu. Żaden w niéj właściciel nie mieszka, a dziki zwierz zajmuje miejsca, które tłumy ludu zapełniały. W kraju, w którym żyjemy, nie zwiastuje się koniec świata, ale widoczny przychodzi.“

Neapol pod protektoratem cezarów bizantyńskich (Liburia ducalis) pozostaje wolnym i zamierza urządzić się nanowo.

W IX wieku zdobywają go Seraceni, w XI wypędzeni przez Normandów. W początku XII wieku ustala się dynastya normandzka we Włoszech z tytułem króla Neapolu i Sycylii. W roku 1194 odziedzicza tytuł i władzę Henryk IV, cesarz niemiecki. Klemens VI, w czasie małoletności Konradyna, oddaje królestwo Karolowi Andegaweńskiemu, bratu św. Ludwika. Średniowieczne dzieje Neapolu ciągną się w bojach krwawych i zmianach panujących, które się błogosławionéj krainie swobodnie nigdy rozwinąć nie dały. Z niéj téż mniéj tu może pozostało tradycyj i pamiątek, niż ze świetnéj epoki rzymskiéj, która do dziś dnia wymownemi poświadcza się ruinami.

Historya tych czasów nie przedstawia nam nic tak bardzo zajmującego, stanowczego, charakterystycznego, byśmy się w jéj labirynty zapuszczać widzieli potrzebę. Wspólną ona jest Neapolowi ze znaczną częścią Włoch; a w przechadzkach naszych po stolicy do kilku jéj epizodów powrócić będziemy musieli.

W r. 1734 powracają na tron obojga Sycylii Burboni. Za panowania Karola III zapomniana Pompeja odkrytą zostaje nanowo. Po przejściu jego na tron hiszpański w 1759 następuje Ferdynand IV. Po rewolucyi 1793 rodzi się rzeczpospolita Partenopejska, a z niéj królestwo dla Józefa i Murata. Po upadku jego Ferdynand IV, pod imieniem Ferdynanda I, mimo rozruchów, ustala się na tronie z pomocą Austryi. Za nim idą Franciszek I i Ferdynand II, w czasie którego panowania oglądaliśmy Neapol.

Dzieje i charakterystyka ostatnich czasów panowania Burbonów w Neapolu nadto są znane i zbyt jednogłośnie osądzone zostały, byśmy potrzebowali nanowo do smutnego wizerunku ich powracać. Jedno tylko uderzająco świadczy, jak system obrany był dla kraju zgubnym: to barbarzyńska ciemnota, brak oświaty, jaki po nim pozostał. Jemu przypisać należy znaczną część wad ludu, który używany był za narzędzie, psuty, terroryzowany, odziedziczywszy po przeszłości wszystko złe, którego nasiona zawierała. Zdaje się, że od najodleglejszéj starożytności Neapolitańczyków przeznaczeniem było walczyć z najzgubniejszemi wpływy i pokusami, na jakie naród narażonym być może. Ktokolwiek dziś chciałby go sądzić surowo, niech myślą przebieży dzieje i zastanowi się

nad wszystkiém, co na naturę ludu oddziaływało, co go czyniło swawolnym, próżniaczym, namiętnym, dziwacznym — a pewnie znaczną część win, któreby na karb jego chciał złożyć, zrzuci na najnieszczęśliwsze losy najpiękniejszéj na świecie krainy.

Zdaje się, że z największą szatańską przebiegłością nie możnaby dobrać skuteczniejszych środków zdemoralizowania nad te, których wypadki użyły przeciwko Neapolitańczykom. Począwszy od rozpusty rzymskiéj, do grozy i obskurantyzmu pobożnego dni poślednich, jest to szereg nieprzerwany wpływów, pod których potęgą najszczęśliwiéj obdarowany naród uledzby musiał.

Dlatego w sądzie o społeczności téj oględnym być należy, aby jéj za winy cudze nie potępiać. Tradycye obyczajowe, jak wszelkie inne, są niezmiernego wpływu na moralność narodu, a wykorzenienie ich potrzebuje i długiego czasu i wielkiéj siły, którą tylko zdrowa oświata wyrobić może.

Nim rozpoczniemy wycieczki nasze po Neapolu i okolicy, musimy tu także dać zarys historyi sztuki, któréj mnogie pomniki rozsiane są w Kampanii. Wistocie ważniejsze jéj zabytki należą tylko do najstarszéj greckiéj i rzymskiéj epoki. Późniejszy stan kraju, życie społeczne jego, nie dozwoliły się sztuce tak szczęśliwie i samoistnie rozwinąć, jak w innych włoskich prowincyach.

Zato w prastare zabytki Neapol i okolice obfitsze są niż całe Włochy razem wzięte, i wielkiéj katastrofie, która przysypała bogate miasta Kampanii popiołami i lawą, winniśmy zachowanie najznakomitszych sztuki pomników we wszystkich jéj rodzajach i zastosowaniach.

Oprócz tego z epoki etruskiéj i pelazgickiéj, zwanéj cyklopejską, przepyszne reszty dają się widzieć w akropolis w Alatri (nad granicą państwa kościelnego), w Arpino, w Kumach, Forli i t. p. Są to w większéj części substrukcye z potężnych głazów, jakby rękami olbrzymów dźwigniętych i siłą czasu spojonych.

Jedne z najpiękniejszych reszt architektury greckiéj uchowały się w Paestum (Posidonium), w Tarencie, w Locri. Jeszcze obfitsze są ruiny rzymskie, niezliczone prawie w Kampanii, oprócz pompejańskich, Puzzoli, Baje, Misena, Kumy, sam Neapol, dochowały ich mnóstwo. Nie mogły one być bez wpływu na późniejsze budownictwo, którego najstarsze zabytki od V do XII w. zachowują cechy bizantyńsko-rzymskie, greko-latyńskie.

Przejście Normandów, panowanie Arabów w Sycylii mniéj więcéj także odbija się w budownictwie i pomnikach epoki, która uległa ich wpływom. Normandzkie budownictwo mało wszakże śladów pozostawiło po sobie. Architektura strzałkowata, gotycka, rozwija się za panowania domu Andegaweńskiego bardzo świetnie, ale tak

w niéj jak w innych sztukach, Neapolitańczycy po większéj części sami mało są czynni; posługują się cudzoziemcami i szczególnego do tworzenia nie okazują popędu.

Historya sztuki neapolitańskiéj, jeśli wyrażenia tego użyć się godzi, składa się niemal cała z imion obcych przybylców. Weneci i Pizańczycy są pierwszemi nauczycielami i krzewicielami smaku w budownictwie i rzeźbie, w XI — XIII wieku. Szkoły: pizańska, toskańska, hiszpańska narzucają się przez użytych tu mistrzów naprzemiany, nie mogąc wyrobić nowéj a właściwéj Kampanii. Wszystkie bowiem znaczniejsze budowy winien Neapol artystom sprowadzanym.

Przypomniéć należy urodzonego tu Berniniego, który w rodzinnym kraju wcale nie był czynnym, ale stylem i wyszukaniem zdradza swe pochodzenie. Rzeźbiarze a zarazem architekci, których dzieła zwracają uwagę, są po większéj części Florentczycy: Donatello, Michelozzo, Benedykt z Majano, Antonio Rossellino, Fran. San Gallo i t. d. Z charakteru narodu zamiłowanego w cackach, błyskotkach, ozdobach drobnych a licznych, co się w życiu powszedniém tak silnie na każdym kroku czuć daje, łatwo wnioskować, że ogólna dążność sztuki tutejszéj ten sam charakter nosić musiała. Tak jest wistocie. Prostota i smak czyściejszy zapanować tu nie mogły; umysłom żywym, wrażliwym, prędkim a do głębszego wniknięcia w dzieła sztuki niezdolnym, potrzeba było tworów, któreby silnie odrazu działały na wyobraźnię, wzrok porywały i przesadzie charakteru, gwałtowności jego odpowiadały.

Neapolitańczyk nie modli się do Madonny, nie ubrawszy ją wprzódy w aksamity, koronki, pióra i świecidła.

Kościół nie jest mu nigdy dosyć pięknym, jeśli go nie przystroi w firanki i galony, nawet sklepik z limonadą musi dlań obwiesić się w girlandy i różnobarwne papierki, dzieło téż sztuki, aby jego usposobieniu odpowiadało, musiało przesadnie rzucać się w oczy. Styl tutejszéj rzeźby i malarstwa do pewnego stopnia odbija ten charakter narodowy, nieco płochy i dziecinny.

Szkoły malarskiéj, właściwie tego nazwiska godnéj, próżno szukać w Neapolu.

To co się imieniem tém odznacza, winno chwilową świetność obcym po większéj części mistrzom, wpływowi otoczenia, atmosfery, obyczaju uległym.

Z czasów Cimabnego, za Karola Andegaweńskiego, ma Neapol pierwotnego artystę, charakteru epoki naiwnego Tomaso de Stefani, którego roboty zachowały się w Santa Maria la Nuova. Późniéj wezwany do Neapolu w końcu pierwszéj ćwierci XIV w., Giotto maluje freski u św. Klary i w Incoronata, i zostawuje po

po sobie uczniów, którzy mu w pracy pomagali. Ale ten impuls nadany sztuce nie rozciąga się długo i nie rozpoczyna samoistniejszego ruchu, po Giocie zostają malarze neapolitańscy tylko uczniami jego, przez sto lat z górą żadnego nie czyniąc postępu.

Nieco oryginalności przedstawia maniera Antoniego Solario, przezwanego *Zingaro* (1382—1445), którego życiorys przypomina znane przygody Quentina Metzis. Zingaro urodzony w Abruzzach był naprzód czeladnikiem kowalskim, a zakochawszy się w córce malarza Colantonio del Fiore, dla pozyskania jéj począł się uczyć malarstwa i po dziewięciu latach nakoniec nabywszy wprawy znakomitéj, zdobył ukochaną a razem sławę i majątek. Zingaro wszakże studyował sztukę w Bolonii i innych miastach włoskich, ale nadał jéj pewną właściwą cechę odróżniającą jego obrazy, które zdawały się obiecywać nawet szkołę odrębną. Uczniowie jego chwycili się realizmu niemieckiego, a ostatek poszedł w naśladownictwo niewolnicze różnych późniejszych mistrzów. Stanowczo Neapolitańczykom brakło tego natchnienia wyższego, téj samoistności silnéj, która właściwą szkołę stworzyć może. Wszystko co tu najlepszego znajdujemy, winno byt wpływowi i naśladownictwu obcych.

Jeszcze widoczniejszém staje się to w XVI w.; Sabbatini (1480 — 1545) naśladuje Perugina i Rafaela. Polidor Caravagio, il Fattore, Vasari, Marek z Sienny, przynoszą tu różne style i szkół różnych odbłyski. Rzymian i weneckich mistrzów uczniowie w chwili największego rozkwitu sztuki włoskiéj, pracują w Neapolu i naprzemiany uwielbienie wywoływają.

Najświetniejszą epokę dla malarstwa stanowi chwila w któréj Guido Reni, Annibal Caracci, Dominiquino, Ribera i Lanfranc tu pracują. Na nieszczęście jest ona zarazem odrażającym wizerunkiem zepsucia moralnego, upadku tego artystycznego wzniosłego ducha, który Michała Anioła i Rafaela ożywiał.

Caravagio schronił się do Neapolu (1606 r.), uciekając przed karą, która go za zabójstwo ścigała w Rzymie. Charakter jego jest znany, widać go po części w samych obrazach napiętnowanych czémś gwałtownem, brutalskiém, pełnych sprzeczności, wystawiających sceny życia karczemnego i dramatyczne, dzikie epizody, gorączkowo, silnie ale namiętnie na płótno rzucane. Caravagio należał do tego ustroju artystów, za których prototyp idealny można Benvenuta Celiniego uważać. Niepomiarkowany w życiu, w obyczajach nieposkromiony żadnemi względy, samowolny, śmiały do zuchwalstwa i dzikości, wpłynął on na otaczających, wpajając im swoje wady. Grupa tych artystów stała się postrachem dla ludzi spokojnych i zapanowała nad artystycznem świat-

kiem Neapolu. Przyłączył się do niego Ribera, Carracciolo i Corenzio. Szajka ta wyglądała raczéj na rozbójniczą, niż na malarską szkołę.

Corenzio był Greczyn rodem, uczeń Tintoret'a; Carraciolo Neapolitańczyk naśladował naprzód Caravagia, potém Annibala; Ribera naostatek, Hiszpan (zwany *Spagnoletto*), osiadły w Neapolu, także uczniem był szaleńca Caravagia. Któż nie zna znakomitych płócien jego, w których i szkoła mistrza i charakter własny ucznia tak dobitnie się wyraża? Niezaprzeczony talent Spagnoletta zjednał mu stanowisko pierwszorzędne, tytuł malarza nadwornego i wielką wziętość, ale zarazem wbił go w pychę i zuchwalstwo niesłychane.

Żaden obcy artysta nie mógł się pokazać w Neapolu, nie narażając na najniegodziwsze prześladowanie, którém kierował Ribera, a zręczny i zapamiętały Corenzio wykonywał jego pomysły. W ten sposób zmuszono Annibala Caracci, który był wezwany dla malowania fresków w kościele Gesu Nuovo, do ucieczki w same skwary letnie, z czego wkrótce potém, nabawiwszy się choroby, umarł. Tak samo uciec musiał przed niemi d'Arpino, któremu dano przyozdobić kaplicę św. Januaryusza. Po nim przybył Guido Reni, ale na wstępie zagrożono mu śmiercią, jeśliby natychmiast nie uszedł z Neapolu — i ten więc, nie chcąc się narażać, opuścił niegościnną stolicę. Śmielszy Gessi, przybrawszy sobie dwóch pomocników, zabierał się do walki, ale towarzysze jego wkrótce po przyjeździe z ciekawości poszli oglądać statek w porcie, siedli nań dla przejażdżki i więcéj już nie wrócili. Gessi z kolei uląkł się i ustąpił. Miejscowa władza zmuszoną była udać się do malarzów, którzy tak dzielnie przywilejów swoich bronili. Corenzio i Caracciolo rozpoczęli freski ale tak licho, iż się niemi zadowolić nie było podobna. Zmazano je i jeszcze raz postanowiono wezwać Dominiquina. Wybór nie mógł być lepszym jako artysty, ale jako człowiek Dominiquino nie był stworzony do podobnéj walki. Przyjął ją zmuszony i pojechał gotując się na męczeństwo.

Wiedział już, co go czekało. Starano się napróżno biednego osłonić o ile możności; dano mu mieszkanie w pałacu arcybiskupim przy kościele i przyrzeczono opiekę. Mimo to piérwszego dnia zaraz, wracając do mieszkania, w dziurce od klucza znalazł nieszczęśliwy artysta kartkę, w któréj przestrzegano go, że jeśli natychmiast nazad nie powróci do Rzymu, więcéj go już żywy nie zobaczy. Dominiquino z biletem tym w ręku poszedł natychmiast, prosząc wice-króla o posłuchanie, i pokazawszy kartkę, domagał się obrony w imię kościoła, dla którego pracował. Przyrzeczono mu ją, bo téż gwałty i przemoc uczniów Ribery przechodziły już wszelką miarę. Dano Dominiquinowi uroczyste poręczenie, że na

nim gwałtu dokonać rząd nie dopuści. Artyści nie targnęli się też na życie jego, ale umęczyli go, dokuczając mu nieustannie i zatruli życie. Psuto jego roboty, wymyślano prześladowania, naigrawano się, tak że nakoniec zmuszony był potajemnie umknąć do Rzymu. Ale administratorowie kościoła w zakład zatrzymali jego żonę i zmusili go do powrotu. Męczeństwo rozpoczęło się nanowo, i osnuło tak artystę, że najbliższym swym nie dowierzał. Dręczony, znękany nareszcie zmarł, jak utrzymywano, od zadanéj mu trucizny.

Historya tego współzawodnictwa niepoczciwego kończy się jak tragiedya. Caracciolo jeden z prześladowców Dominiquina, umiera przed nim jeszcze, Corenzio kończy życie potłukłszy się w skutek upadku z rusztowania, Ribera dotknięty nieszczęściem, jakie spotkało jego córkę, siada na okręt, odpływa i ginie... niewiadomo gdzie, dostawszy się podobno w ręce morskich zbójów. Jeden rys jeszcze może dać wyobrażenie o charakterze Spagnoletta. Massimo Stanzioni odmalował był piękny krucyfiks — kartuzom u św. Marcina,—Ribera, któremu okazano to dzieło, pochwaliwszy je, dodał, iż wymagało niektórych małych poprawek. Podjął się ich i wmieszawszy do farb gryzące ingredyencye, spalił malowanie umyślnie. Stanzoni nie chciał już obrazu odnowić, aby niepoczciwéj zawiści Ribery została pamiątka.

Jedno imię jeszcze świeci blaskiem wielkim ponad całą szkołą neapolitańską i cześć jéj przynosi... jedyne w niéj może i w historyi sztuki stojące na odrębném, samoistném stanowisku — to imię Salvatora Rosy.

Mistrz ten nadto jest znany z mnogich a przerozmaitych dzieł swoich, z prześlicznych krajobrazów, z mistrzowskich rysunków i z kilku kompozycyj tak wzniosłych jak owa, która ozdabia galeryą florencką — życie téż jego pełne przygód powszechnie wiadomych; charakterystyki jego osoby i talentu dawać nie potrzebujemy. Cały swój talent winien był Salvator sam sobie, chociaż w życiu i charakterze Falcone, jego mistrza, jest wiele z nim wspólnego. Obaj oni byli zarazem artystami namiętnemi i ludźmi życia czynnego, duszy gorącéj.

Salvator ubogi niezmiernie, zaczął żywot od nędzy; wmieszał się w rozruchy ludowe za czasów Masaniella; uciekł potém do Rzymu. Tu więcéj pono dowcipowi satyrycznemu, wesołości swéj neapolitańskiéj, mnogim talentom ubocznym muzykalnym i aktorskim winien był wybicie się na wierzch w chwili, gdy Rzym wielu liczył znakomitych mistrzów — niżeli pędzlowi.

Wistocie jest to jedyny neapolitański malarz, który naturę kraju, ludu, ducha epoki i indywidualność swoję w dziełach pozo-

stałych najenergiczniéj wypowiedział. Ceniony jako pejzażysta, miał zupełną słuszność dopominać się o uznanie dla swych kompozycyj historycznych. Gdyby po nim nic nad Sprzysiężenie się Katyliny nie zostało, jużby miał prawo stanąć obok najpierwszych. W krajobrazach téż jego jest fantazya niezmierna, pojęcie natury właściwe jego charakterowi, werwa, maestrya niezrównana, bogactwo pomysłów rzadkie. Jako technik, jako rysownik niewyczerpany odznacza się między współczesnemi.

Po nim już niéma imienia, któreby obok niego postawić było można.

Ani Luca Giordano (Fapresto), ani Solimena zbliżyć się doń nie mogą.

Właściwie Caravagio, Ribera i Salvator Rosa, wszyscy trzéj nie bez pewnego moralnego pokrewieństwa z sobą, najlepiéj przedstawiają szkołę hiszpańską, gdyby ona była mogła do tego imienia dorosnąć. Wszyscy trzéj celują namiętnością, gorączką, grą świateł i cieni, przesadą neapolitańską ruchów, wyborem przedmiotów dramatycznych i wrażenie wywrzéć mogących; we wszystkich trzech odbija się życie ludu, wrzawliwe, awanturnicze, lazarońskie, niepokój jakiś młodości, która zestarzeć nie potrafi nigdy. Ale Salvator z nich trzech najpotężniejszy ma i najuniwersalniejszy gieniusz, a jest zarazem najbardziéj dziecięciem bruku neapolitańskiego i ludu. Jemu jednemu godziłoby się osobną poświęcić kartkę... ale... wróćmy do dzisiejszego Neapolu.

XX.

Neapol. — Widok z Crocelli. — Życie w gospodzie.—*Santa Lucia.*—Ulice i sklepy.—Typy ludu.—Wrażenie.—Przebudzenie, burza i słota.—Kościołek na drodze. — Strada di Toledo. — Przekupnie. — *Aquajolo.* — Neapolitanie. — Obrazy z ulicy.—*Palazzo Reale.*—Opona złota, obrazy, zbiory i widoki.—Smutne wrażenie.—*Riviera di Chiaja.*—Pausilippo.—Cicerone.—Grób poety czarnoksiężnika. — Tradycye o Wirgiliuszu. — Silius Italicus. — Goście grobowi. — Chateaubriand. — Alf. de Vigny.—Anglicy.—Tunel w Pausilippie.—Opis z listu Seneki.—Przewodnika czyny i mowy. — S. M. del Parto. — Sannazar. — Pożegnanie kraju, powrót, śmierć, grób i pomnik.—Posągi.—Widoki na morze.

Stanęliśmy w gospodzie Crocelle, w najpiękniejszém miejscu, jakie wybrać było można, mając tuż pod bokiem cudną owę przechadzkę nadmorską, która się zowie Villa Reale, naprzeciw fantastyczny zameczek *del Ovo*; daléj prześliczne morze, we mgle niebieskiéj zdala Castella-mare i Sorrento i zadumane Capri, jak sfinks uśpiony leżące na lazurach wód, pod lazurem nieba. W lewo na widnokręgu Wezuwiusz ze swym obłoczkiem na czole, i Somma, i cały brzeg zatoki usiany białemi mieścinami. Pod oknami naszemi wiodła droga do *Villa Reale,* urzędowy plac popisu koni, ludzi, strojów, elegancyi i całego życia neapolitańskiego.

Dodajmy do tego, że dzięki .najniewłaściwszéj porze, w któréj nas tu losy zagnały, dzięki opustoszonéj zupełnie gospodzie, dostaliśmy mieszkanie z balkonem i owemi widokami niezrównanemi, stosunkowo tanio, a cała usługa i życie było aż do zbytku wygodne i wytworne; gospodarz grzeczny, ludzie uczciwi—słowem nic do życzenia. Wieczór już był, gdyśmy do stołu zasiedli, po kilkodniowym poście zgłodniali i rozweseleni... żartując z przygód, które nas spotykać miały, ciesząc się z przebytéj bezpiecznie niebezpiecznéj drogi, notując tysiące rysów i wspomnień, pozostałych z téj, zaprawdę czarownéj, przejażdżki. Jeden tylko poczciwy wizyoner, który widział w weturynie spiskującego zbójcę, a w Ponte Storto zamach na życie nasze, tłómaczył sobie szczęśliwe do portu

przybicie jedynie czujnością własną i niezmierną przenikliwością, jakiéj dał dowody.

Jeszcze przed zachodem słońca nie mogliśmy się powstrzymać od wyjścia na miasto, od rzucenia okiem na ten obraz tak nowy dla nas, tak po wszystkich znanych nam opisach i obrazkach pełen rysów niespodzianych.

Na Santa Lucia wrzało, kipiało, lud zdawał się obchodzić uroczystość pięknego wieczora, jakby naumyślnie na pokaz dla nas. Brzmiały gitary, śmiechy się rozlegały, ogorzałe łazarony latały i zwijały się, ofiarując swe posługi, miasto, mimo dnia powszedniego, wydało się nam rozgorączkowane, oszalałe. Rzuciliśmy ledwie pobieżne wejrzenie na S. Lucyę, potém przeszliśmy nieco w głąb' spojrzéć na nieznane nam jeszcze gmachy bez imienia; ale nadewszystko pociągnął ten lud, tak do żadnego nie podobny, wesół, poliszynelowaty, napastliwy, szyderski, pięknie zbudowany a brzydki, artystyczne przybierający pozy a brudny, mimo niewoli swobodny i wydający się zupełnie szczęśliwym, bo nie sięgający po szczęście wysoko.

Po drodze uderzyły nas sklepy antyków (nowych), wyrobów z lawy, korali, waz etruskich, bronzów, terra-cotty, rzeźb, malowań, szkieł... mogące zadowolić turystów chciwych pamiątek. Obok nich owoce, woda, makarony, daléj liche kilkogroszowe ludowe świstki, piosnki, poemata, teatrzyki, stragany, ławki, a pośród tego wszystkiego przelatujące powoziki szalonym pędem, napraszający się woźnice i gadatliwe przekupki.

Z pierwszego wejrzenia na ten lud, doznaliśmy rozczarowania wielkiego; po kolonistach greckich, znać przeszli Normandowie i Longobardy, ale téż typu greckiego ani śladu! znikł bezpowrotnie. Twarze kobiet i mężczyzn wszystkie bez wyjątku potwornie brzydkie. Na licu ożywioném mężczyzn, mimo nieregularności rysów, jest jeszcze pewien dowcip i bystrość; świeci coś w oku, śmieje się w ustach, kobiety zdają się znękane, przybite, zawcześnie przekwitłe. Młodość nawet jakaś starta i bez wdzięku.

Pobłądziwszy ulicami, powróciliśmy rychło z naszego balkonu używać widoku, którym się nasycić nie było można. Słońce zachodziło, jaskrawemi promieniami przedzierając się przez chmury; na Wezuwiuszu stał obłoczek dymu; morze przybrało się w barwy najświetniejsze, a jakby dla odepchnięcia artystycznego w dal brzegów Sorrento i Capri, mieliśmy przed sobą ów zameczek del Ovo, czarny, fantastyczny, podobniejszy do grobowca olbrzymiego, niż do twierdzy. U nóg naszych sunęły się niezliczone powozy i jezdni ku Villa Reale.

Co za różnica charakteru od Rzymu! krajobraz, lud, oblicza,

głosy, farby, jakby z innego świata. Tam powaga ruin i majestat Romy, tu jakiś żywot bez wczoraj i bez jutra, doraźny, gorączkowy, szyderski, oprawny w najcudowniejsze ramy, a malowany barwy najżywszemi.

Dziwna rzecz, sławiona owa piękność Neapolu, mimo najprzesadniejszych malowideł, które usposabiały do zawodu, nie wydała się nam nic a nic przesadzoną. Gdy powszechnie to, co nam obiecuje najwięcéj, najmniéj dotrzymywać zwykło—tu hymn uwielbień dla rajskiéj zatoki, dla złotego krateru Syreny, nucony od lat dwóch tysięcy, jeszcze się nam słabym wydał i niedostatecznym. Wistocie natura zrobiła tu dla oka ludzkiego wszystko, co tylko uczynić mogła, aby je zachwycić: linie, koloryt, wonie, blaski zebrała razem na arcydzieło artystyczne. A dopełniając go, jak prawdziwy artysta, użyła za *repoussoir* tego ludu, który jest kontrastem i szyderstwem. Zamiast bogów i bogiń greckich, zsypała tu poczwarne, ogorzałe, wykrzywiające się istoty, które na tle idealnego widoku, co je otacza, najdziwniéj wistocie wyglądają.

Jest to ironia losu, któréj znaczenia doprawdy odgadnąć trudno.

Niech się czytelnicy nasi nie spodziewają ani wyczerpującego opisu Neapolu, ani wielce porządnych po nim wędrówek; zastrzegamy sobie swobodę ruchów i słowa, chwytanie tego, co się da pochwycić, a nie ubiegamy się wcale o dokładność angielskiego turysty, który, chcąc widziéć wszystko, wistocie nic zobaczyć dobrze nie może.

Całe przygotowania do uroczystości, widziane przez nas wczora, były, jak się zdaje, na dziś przeznaczone. O godzinie piątéj rano, gdyśmy po bezsennéj nocy w Ponte Storto i długiém czuwaniu na balkonie zasypiali w najlepsze, zbudził nas huk przerażający.

Z początku trudno nam było się opamiętać, o co chodzi, gdyż wystrzały dawały się słyszéć jedne u stóp naszych, drugie nad głowami, odpowiadając sobie hukiem okrutnym, od którego okna się trzęsły. W ten sposób jednak wyrażała się radość. Fort położony tuż nad nami i ów Castel del Ovo, rozmawiały z sobą przez godzinę o urodzinach królowéj. Radzi nie radzi spać już nie mogliśmy, choć wstawać było zarano. Wkrótce potém nadeszła burza z piorunami, która przeciągnąwszy ponad nami, poszła na morze i tam dość długo téż odprawiała gody. Gdy naostatek ruszyć się trzeba było z łóżek, zamiast neapolitańskiego lazurowego nieba ujrzeliśmy chmurne jakieś, szare, i chłodny deszczyk, kapuśniaczek, kropiący jakby u nas, pomalutku. Zamiar korzystania z czasu i przedsięwzięcia zaraz wycieczek na miasto, zdawał się nie do urzeczywistnienia. Ale od czegóż upór turysty, którego godziny są... opłacone tak drogo. Mimo deszczu i rozczarowania wyszliśmy, acz

Neapol w słotę był jakąś anomalią nie do pojęcia. Zaledwieśmy wyszli na upartego na S. Lucyę, gdy gęstszy coraz deszcz zmusił nas schronić się do pierwszego kościołka, jaki się nam na drodze nastręczył. Budowelka to była w stylu XVII wieku, nie wielce smakownym, cicho w niéj i zaciszno. Ksiądz, zażywając tabakę, powolnie spowiadał penitenta, tak jakby z nim nie bardzo zajmującą dla siebie prowadził rozmowę, zakrystyan tymczasem z flegmą zamiatał, a jakaś rodzina, jak my od deszczu chroniąca się, usiadłszy z dziećmi i psem na sznurku w pośrodku, swobodnie wesołą rozpoczęła rozmowę. Szczęściem, bo nie było co oglądać w kościołku, wkrótce jakoś zaczęło się wyjaśniać i wyszliśmy na Toledo.

Każdy wié, że Strada di Toledo jest najznaczniejszą, najcharakterystyczniejszą i najbardziéj ożywioną, a dodajmy, może i najporządniejszą, z pewnością zaś najdłuższą (prawie pół mili). Odmalować ją, ująwszy jeden z główniejszych punktów, prędzéj można, niż opisać. Naprzód nie należy sobie wyobrazić jéj wytworną ani wymuskaną, mimo oświetlenia gazowego i lampaderów; otoczona jest pałacami, gospodami, domami i budowami najrozmaitszemi, naprzemian eleganckiemi i opuszczonemi; powtóre: niema chodników, a obyczajem włoskim życie, handel, ruch od świtu przekracza progi i wylewa się w nią, zajmując tyle miejsca, ile się podoba. Z tego powodu i dla napływu przekupniów owoców, mleka, wiktuałów, wody, dla niezmiernego ruchu karyolek, pędzących zawsze jak można najprędzéj z krzykiem i hałasem, panuje tu ścisk, wrzawa nie do opisania.

U wnijścia na Toledo lazaron, którego ojczyzną i gniazdem są stare, ciasne uliczki w okolicy portu, S. Lucia, Chiaja i t. p., niknie prawie, ale najróżnobarwniejsza zastępuje go ludność. Zdaje się, że policya miejska, w niemożności uporządkowania tego życia, uznając konieczność tych jego form, wcale się nie wdaje w innowacye i nie wzbrania ludkowi bożemu obracać się z całą swobodą, jakiéj temperament jego wymaga.

Więc na téj najparadniejszéj z ulic odbywa się wszystko poufalutko i bez względu na decorum przesadzone. W bramach domów panie czatujące na przekupniów, zaczesują włosy i wdziewają suknie, przez drzwi widać gospodarstwo poranne, wnętrza gospód ludowych, naiwnie odsłaniające wszystkie swe tajemnice. Rozwożący mleko targuje się z trzeciém piętrem nad głową, spuszczają mu na sznurku garnuszek, który napełnia i odbiera w papierek zawinięty pieniądz. Daléj w ten sam sposób wędrują do góry warzywa i owoce. Nie zważając na przechodniów, *Aquajolo* sklepik swój stawi śród drogi, a że to jest niepospolitéj konstrukcyi budowa, na-

leży mu miejsca wiele. Zwykle wygląda to na rodzaj wycacanéj kapliczki. Na froncie obraz Matki Boskiéj, św. Antoniego, Januarego, lub innego ulubionego patrona, przystrojony w festony, wstążki, zieleń, kwiaty. Słupki i daszek strojne, girland pełno, a w pośrodku z kokieteryą poustawiane szklanki, stosy cytryn, baryłki i t. p. Sprzedaż wody i limonady stanowi tu jednę z najpierwszych potrzeb życia; a nie może się odbywać poprostu, bez hałasu, błyskotek, zapraszania, przyboru świecącego, pstrocizn i trochę komedyi.

Neapolitańczyk urodził się na aktora, najprostszy czyn odegrywa on, nie odbywa naturalnie, każde słowo stroi tak, jak te budki, każdy ruch obmyśla. Nic bez deklamacyi się nie obejdzie, bez patosu lub ironii, często obojga połączonych tak razem, iż rozeznać je trudno. Zwłaszcza do czynienia mając z obcemi, lazaron, przekupień, cicerone jest artystą. Najnaiwniéj wistocie zdaje się przypuszczać, że ów barbarzyńca da się ująć na lep przesadnéj elokwencyi, rachuje na głupotę, a spotkawszy najlżejszy opór, coraz gwałtowniéj naciera, krzyczy, giestykuluje, dokazuje, i choć sam się uśmiecha, w końcu szturmem wziąć gotów ogłuszoną ofiarę.

Lecz powróćmy na Toledo. Dla nawykłych do ciszy chodzącego zegaru życia ludzi północy ta wrzawa w początkach jest odurzającą. Oprócz ludzi na najpyszniejszéj z ulic, cała menażerya stworzeń im towarzyszących, krowy, kozy, osły, konie, psy, powozy z woźnicami klaskającemi z batów—ogłuszają i onieśmielają. Ale zatkawszy uszy na sposób towarzyszów Ulisesowych, dla oczów przedstawia się obraz tak malowniczy, tak ożywiony i ukolorowany, z taką rozmaitością rysów i barw, że niepodobna mu się nie uradować.

Składowych żywiołów tego tłumu wyliczyć nie potrafimy. Mnichy wszelkiéj barwy, lazarony, rybacy, *contadini, fachini,* matrony, kobiety z ludu, dzieci odarte, żołnierze postrojeni dziwacznie.

Tu sklepik z loteryą, do którego cisną się ubodzy, tam przepyszny magazyn, pałace i kamieniczki stare, balkony i fantastyczne balustrady, a gdzieniegdzie ciasna, wązka, ciemna uliczka, w bok uciekająca, z wysokiemi ściany, osłaniającemi ją od słońca.

Nie lubimy wogóle oglądać pałaców; są one mniéj-więcéj wszystkie do siebie podobne, wyjątkowo jednak trafiło się, żeśmy się dali skusić na *Palazzo Reale,* bo król był w Caserta, kazano nam z tego korzystać. Smak wspaniałego tego gmachu z piramidami i wazami na przyczółku, nie należy do najwyborniejszych. Wystawiony w r. 1600 przez tego Fontanę, który wzniósł obelisk na placu św. Piotra w Rzymie, po pożarze 1837 roku został wspaniale bardzo odnowiony. Jest téż jeśli nie piękny, to pyszny, a i to coś

znaczy, szczególniéj w Neapolu. W sali tronowéj, ściany okrywa opona aksamitna karmazynowa, ściana w lilie, arabeski, kwiaty i figury haftowane złotem. Robotę wykonano w szpitalu *Albergo dei poveri*, a waga złota samego, użytego do wyszywań, przedstawia wartość 425,000 fr. Pamiątek i obrazów w pałacu pełno. Szczególniéj portrety Holbeina, Tycyana i innych mistrzów przepyszne. Broń, także pamiątkowa, widzenia jest godną. Z mieszkania, z tarasu, z ogrodów widoki niezrównane, ale razem wzięto to wszystko, smutne na nas robiło wrażenie. Dlaczego?—wytłómaczyć trudno. Dalekie jeszcze naówczas, a wcale nieprzewidziane były wypadki, które rodzinę królewską na wygnanie skazać miały, coś przecie dozwalało je przeczuwać, choć się z tego samemu sobie nie zdawało sprawy.

W pierwszym tym dniu wszystko nęciło i ciągnęło; ledwieśmy skąpali się w tym tłumie na Toledo, już przypomniawszy sobie grób Wirgiliusza i grotę Pauzylippu, chciało się pokłonić miejscu uświęconemu wspomnieniem poety. Rzuciliśmy się więc nazad ku S. Lucia, a potém ciągle ponad brzegiem morza, mijając Villa Reale ku kościołkowi Pie di Grotta. Cała ta *Riviera di Chiaja*, aż do Pauzylippu stanowi najpiękniejszą i najulubieńszą téż Neapolitańczykom przechadzkę. Majestatyczne drzewa, morze w prawo, piętrzące się góry i poczepiane przy nich budowy, widok stanowią czarujący. Nie mieliśmy na dziś tego nastroju ducha, którym należało oddać cześć pamięci Wirgiliusza, chcieliśmy tylko miejsce to obejrzéć, zostawując właściwe odwiedziny uroczyste do spokojniejszéj chwili, ale u stóp pagórka przytrzymał nas najoryginalniejszy z lazaronów, łysy, z twarzą, któréj szczęka dolna wysunięta (wedle słusznéj uwagi Kremera częsta w typie neapolitańskim) Negra przypominać się zdawała. Jak tylko nas zobaczył, *proprio motu* uczepił się do nas, ofiarując swe usługi, obficie naprzód obsypując nas ekscellencyami. Napróżnośmy się obraniali od widzenia grobowca, nie chciał nas puścić z rąk. Był wymowny, napastliwy, przekonywający.

— Dlaczego nie mielibyście widziéć grobu wielkiego czarownika? w téj chwili biegnę po Domenikę, otworzy natychmiast. To jest najciekawsze miejsce w Neapolu; żaden podróżny nie może odjechać, ażeby go nie zobaczył. Wszyscy Anglicy rwą tu na pamiątkę gałązki, wynoszą cegły i trawy. Niepodobieństwo, ażebyście nie widzieli grobu!

A widząc, że się wahamy jeszcze, złożył ręce w trąbę i krzyknął o pomoc do Domeniki, która dzierżyła klucz od grobowca. Nie sądźcie, ażeby we Włoszech cośkolwiek darmo widziéć można, nie opłaciwszy kustodom, przewodnikom, klucznikom i ciceronom. Do-

menika nadbiegła z kluczami u pasa tak gorąco pędząc nas do Wirgiliuszowego grobu, że się już opierać dłużéj nie było można. Schodkami wykutemi w skale weszliśmy na pagórek, na którym wśród dziwnéj ciszy i pustki stoi owo columbarium z tradycyą odwieczną, iż w niém złożone były popioły poety.

Domenika, nim otworzyła nam drzwi ostatnie przybytku, miała przytomność potargować się z nami o cenę wnijścia.

Dziś tu już niéma ani urny, ani śladu grobowca, ale imię wielkie króluje ruinie.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Wirgiliusza popioły bardzo być mogły złożone w tym grobowcu na Pauzylippie.

Wiadomo powszechnie, że powracając z Aten, poeta śpieszył się chory do swojéj willi neapolitańskiéj, a zmuszony zatrzymać się w Brindisi, tam umarł. Zwłoki jego, z rozkazu Augusta, przyjaciel jego Tucca miał przywieźć i złożyć w grobie nad drogą do Puzzoli. Stała odwieczna tradycya uświęca to wzgórze.

Pamiętném jest, że u tego grobu, żebrząc, siedział Silius Italicus; natchnął on Siliusa Italica:

„Maronis sedens in margine templi Sumo animum ac magni tumuli adcanto Magistro. (I siedząc w progu świątyni Maronowéj, nabieram ducha; opiewam mistrza, co spoczął w tym grobie“).

Z Wirgilim Dante zwiedza piekło i czyściec:

„Tu duca, tu maestro...“

Petrark, Bokacyusz, Aryost przeszli pod tém sklepieniem; a któż z późniejszych nie przyszedł otrzéć się o te uświęcone kamienie? Chateaubriand w swym pamiętniku podróży pisze: „Grób Wirgiliusza, z którego widać Tassa kolebkę“. Jeśli się nie mylimy, A. de Vigny w miejscu uschłego, zasadzonego tu dawniéj lauru, nową gałązkę młodą utkwił na grobie—ale żyła niedługo.

Dwóch Anglików, jak mówią, spoczywa tu przy Wirgiliuszu w grobach, zakupionych na wagę złota. Dziwactwo to niezdolném było nawet imion ich zapisać na kartach przewodników podróży w Murray'u, o co zapewne szło im najwięcéj. Całe to wybrzeże, którego opis byłby tylko niedołężną słów szermierką, nieustannie nowym jakimś wdziękiem, imieniem, pamiątką przywabia. Fantazyjnie wije się ono nad morzem, z drzewy swemi, budowami, pałacykami, willami, ruinami.

Byliśmy zbyt blizko słynnéj groty Pauzylippu, ażeby choć niezajrzéć w jéj wnętrze. Będziemy wprawdzie mieli zręczność oglądać ją jeszcze w naszych wycieczkach, ale jak się oprzéć ciekawości zobaczenia najstarszego tunelu na świecie? Góra ta dzieliła Neapol od Puzzoli i Kumów, dla skrócenia więc drogi przebito ją na ćwierć mili, a że starożytni nawet takiéj utylitarnéj robocie

umieli nadać charakter majestatyczny, sklepienie unosi się wysoko i grota wygląda, mimo że jest wązką, bardzo malowniczo. Długa na blizko tysiąc kroków, dwadzieścia szeroka, wykuta jest cała w tufie. Kiedy?—jest to tajemnica. W średnich wiekach, gdy Wirgiliusza zrobiono czarnoksiężnikiem, Villani zapisał podanie, iż on tknięciem różczki górę rozszczepił. Ciemnicę tego przejścia oświeca teraz dniem i nocą dwanaście latarni, niedostatecznych wcale. Przejazd jest ciasny i niedogodny, zwłaszcza w godzinach, gdy tędy ku Bajom pędzą trzody, snują się ludzie i jadą karyolki.

W listach Seneki już jest ciekawa wzmianka o tém, jak grota wyglądała za jego czasów. „Zmuszony z Baj powracać do Neapolu, pisze on, dałem sobie wmówić łatwo, że morze było wzburzone, aby go drugi raz nie próbować, ale drogi tak były błotniste, że przejazd niemi mógł się téż liczyć za żeglugę. Musiałem tego dnia uledz losom atletów; w przejeździe podziemnym do Neapolu cały zostałem pyłem okryty jak oni i błotem, do maści, którą się oni nacierają, podobném (ceroma). Nic na świecie dłuższém się nie wydaje nad to czarne podziemie, nic ciemniejszém nad owe pochodnie oświecające je, które zdają się służyć nie na to, by świeciły, ale żeby lepiéj widziéć dały ciemności.“

Bylibyśmy dłużéj zachwycali się malowniczém wnijściem do groty, tylekroć wprawdzie widywaném na sztychach i obrazach, gdyby nie łysy nasz przewodnik, który spokoju nie dawał. Winniśmy mu byli wynagrodzenie za zawołanie Domeniki, męczył więc, dopominając się o nie, jak wprzódy nękał, aby grób pokazać. Znudzony, dałem mu carlina. Tu widziéć go było potrzeba, z jaką powagą położywszy go na dłoni, podniósł głowę i począł mi czynić wyrzuty.

— Carlino! za ukazanie drogi do grobu sławnego Wirgiliusza! — zawołał — carlino!... I nie wstyd wam tak wynagradzać oddaną usługę tak wielkiéj wagi! Nie... oczom mym nie wierzę... śnię... lub chcecie szydzić ze mnie. Carlino! Weźcie sobie nazad! Nigdy jeszcze, jak istnieje Neapol i grób poety, nikt pracowitemu przewodnikowi nie dał carlina!

A widząc, że nie czyni wrażenia, Neapolitańczyk jął się unosić, rzucać, miotać, krzyczéć; śmiech nasz obudzał w nim coraz większe oburzenie, tarł czapkę, tupał nogami, gonił nas, nic nie pomogło— został przy tym carlinie.

My weszliśmy do kościołka *del Parto*, aby drugiego, mniéj głośnego poety grób zobaczyć. Właśnie dlatego, iż mniéj znany, zasługuje on na obszerniejszą nieco wiadomość. Na Via Mergellina, która się tu poczyna, w r. 1458, narodził się Sannazar, i pieśni jego zdają się, jak ptastwo tu wylęgłe, ulatywać nad wybrzeżem.

Sannazar obyczajem wieku nucił językiem Horacego i formy starożytnemi, przezwał się nawet na sposób rzymski Actius Sincerus; ale pomimo to, był poetą chrześcijańskim. Najznakomitszym jego poematem jest *De partu Virginis,* chociaż dziś formy jego dziwacznie mitologiczne z trudnościąby nam do smaku przypadły. Tak samo jak Dante w Boskiéj Komedyi nie może się obejść bez tradycyj pogańskich Rzymu, Sannazar także przyswaja poematowi czysto chrześcijańskiemu formy poezyi, wyrażenia innego świata. Było to naówczas tak naturalném i nierażącém nikogo, że Leon X-ty smakował w poemacie, a Klemens VII-my za dedykacyą jego dziękował poecie.

Pięknym rysem w życiu poczciwego Sannazara jest jego wierność niedoli. Gdy Fryderyk Aragoński w r. 1501, straciwszy tron Neapolu, zmuszony był do Francyi uciekać, Sannazar sprzedał swą posiadłość na Mergellinie, ażeby mu przyjść w pomoc, i dobrowolnie poszedł za wygnańcem. Prześlicznym wierszem żegnał on naówczas swój domek ukochany.

Parthenope mihi culta; vale... blandissima Siren.

„Miła ma Partenopo, droga Syreno, bądź zdrowa! bądźcie zdrowe ogrody, Hesperyd mieszkanie. Mergellino, żegnaj mi a nie zapominaj o mnie, i przyjm od płaczącego te wieńce pana, bo więcéj ci nic dać nie może.

„Witajcie, macierzyńskie cienie; witaj mi, ojca pamięci! przyjmijcie kadzidło w ognisku waszém. Dziewico z Sebetho, niech twe ukochane nie przestają płynąć wody; niechaj choć we śnie obraz mi ich świeży powróci i znużone dusznemi upały pokrzepi ciało powiewem. Niech innych rzek wody wtórują ci szmerem swoim, ja dobrowolne wybrałem wygnanie...“

Sannazar powrócił wszakże późniéj do Neapolu i żył tu do późnéj starości; miał lat siedemdziesiąt i dwa, gdy w czasie wojny jego ustronie zniszczono. Umarł z tęsknoty poeta, ale przy zgonie dowiedział się, iż nieprzyjaciel, co nie poszanował jego schronienia, został zwyciężony.

Z ofiary poety założony został kościołek *Santa Maria del Parto,* nazwany tak na pamiątkę jego poematu o narodzeniu Pańskiém. Tu mu za ołtarzem wystawiono grobowiec, pełen figur mitologicznych, nimf, satyrów, trytonów, pastuszków, jak przystało dla Wirgiliuszowego naśladowcy. Ponad rzeźbami temi wznosi się popiersie ulaurowane Actiusa Sincera. Z obu stron grobowca dwa wielkie posągi wyobrażały zrazu Minerwę i Apollina, musiano je późniéj przerobić na Judytę i Dawida, gdyż grobowiec i tak straszliwe poganizmem swym obudzał oburzenie. Mabillon z tego powodu pisał: „Wśród płaskorzeźb pomnika Sannazara stoją marmurowe posągi Minerwy

i Apollina, między satyrami. Potomność nie bez przyczyny wstydziła się téj bezbożności, wkradającéj się do samego ołtarza; usiłowano pokryć sprawę, podpisując pod jednym Dawida, a pod drugą Judytę. Ale, dodaje Mabillon, Pana Boga się temi figlami nie oszuka. (Sed his coloribus non luditur Deus)."

Już to cały ten kościół nie był w doborze ozdób swoich szczęśliwym. W pierwszéj kapliczce na prawo jest obraz, przedstawiający św. Michała, przez Leonarda z Pistoi. Artysta pod nogami zwycięscy umieścił, miasto szatana, kobietę, w któréj szalenie się kochał Dyomedes Caraffa, biskup Aziaro, nim został kapłanem. Sam biskup dał pomysł do téj kompozycyi, oznaczającéj zwycięstwo, jakie odniósł nad namiętnością. Lud miejscowy nazywa obraz ten *il diavolo di Mergellina*, nie mogliśmy nie widzieć téj osobliwości. Godzi się domyślać, że archanioł portretem być musi biskupa Aziaro.

Widok z progu kościoła na zatokę, Wezuwiusz, wybrzeże całe i miasto—prześliczny, ale któż nie widział choć malowanego Neapolu od strony Mergelliny? Jest to powszedni temat, po tysiąckroć powtarzany. Na nieszczęście, żaden z tych chłodnych wizerunków nie daje pojęcia nawet kolorytu i życia miasta, barwy nieba, i morza, i powietrza.

XXI.

Wypoczynek. — Rady i przestrogi. — Droga do Villa Reale. — Lazzaronowie. Obrona pozornego ich próżniactwa. — Charakter.—Siły ludu. — Zabytki przeszłości.—Mowa i ruchy.—Jeszcze Lazzaroni.—W porcie.—Księgarnie ludowe.—Poezya ludu w Rispetti. Stramboti. Stornelli. Sarenate. Maggi.—Voceri pogrzebowe.—Próbki poezyi.—Poezye neapolitańskie.—Raziell. Pieśń korsykańska.—Nanna.

Po dosyć pracowitéj piérwszéj przechadzce porannéj, musieliśmy spocząć, bo chłodny ranek ów dżdżysty zmieniał się zwolna w dzień wcale gorący. Nawał przytém i rozmaitość przedmiotów, na które oczy się rzucały chciwie, w końcu znużył i nie dozwalał nic już pochwycić, jedne wrażenia zacierały się drugiemi. Życzyłbym to zawsze podróżnym wszystkim, by nie pragnęli widziéć nadto w krótkim czasu przeciągu. Władze człowieka są ograniczone, a warunkiem lepszego poznania przedmiotów musi być wymiar pewien czasu. Umysł potrzebuje spoczynku i najwyśmienitszéj strawy zanadto przyjąć nie może. Lepiéj więc ograniczyć się do tego, co najmilsze i najważniejsze, a resztę zdać na łaskę losu.

Z balkonu gospody naszéj mieliśmy widok dopełniający inne w chwilach spoczynku; a gdy się napatrzyło na Wezuwiusz, morze, Capri i śliczne góry około Castellamare, dosyć było wzrok w dół spuścić, by miéć nowy cel dla ciekawych spostrzeżeń. Ulica, przechodząca tędy na Villa Reale, nigdy prawie nie była pustą, a na murku, oddzielającym ją od morza, które tuż prawie podpływało, lazzaroni siadywali chętnie i zawsze jakiś przekupień, grajek z gitarą lub żebrak, żywcem wydarty z obrazka Salvatora Rosy, się nastręczał.

Dopiero, gdy się już miało ku wieczorowi, puściliśmy się na wycieczkę wybrzeżem dla przypatrzenia się lazzaronom, życiu ludu, teatrzykom jego i téj wrzawie wesołéj, która tu panowała.

Lazzaron uchodzi, i jest wistocie tak oryginalnym typem miejscowym, iż go pominąć, nie zwracając nań szczególnéj uwagi, nie-

podobna. Widząc go odpoczywającym całe dnie na bruku, w koszu, przy murze gdzieś na schodkach, wiodących do morza, w jednéj koszuli, podartéj, boso, z charakterystyczną czapką na głowie, przypominającą frygijską, napozór niedbałego o jutro, byle dziś miał trochę makaronu i zimną wodę lub chłodnego wina szklankę — zrodziło się to ogólne przekonanie, iż niéma na świecie większych próżniaków.

Nie będziemy od zarzutu miłości téj *far niente* bronić biednych obdartusów z Chiai, ale się słówko godzi powiedzieć, które ich potrosze wytłómaczy. Naprzód w tym klimacie we dnie pracować jest prawie niepodobieństwem, wpływu tego doznaje każdy, a obronić mu się trudno. Powtóre większa część tych ludzi, których widzimy we dnie zasypiających w cieniu, pracują nocą, bo wielu z nich są rybakami, wioślarzami, spędzającemi od wieczora do poranka cały czas w łódce na morzu, przy sieciach. Ludzie ci, namęczywszy się do świtu, wróciwszy często z próżnemi rękami, gdy przyjdzie skwar dnia, nie są już ruszyć się w stanie. Trzeba pomówić z niemi, ażeby się o tém przekonać. Zresztą lazzarona stworzyły potrosze losy polityczne państwa, nieraz używając go za narzędzie i posługując się jego silnemi rękami i gorącą a młodzieńczą fantazyą, którą lada co zapalić mogło.

Tłum ten, próżniaczy i niemogący się wyżywić w mieście, urósł zubożeniem ogólném kraju, który wojny, pretendenci i kandydaci do tronu i obcy panujący nieustannie zdobywali i tracili. W naturze ludu neapolitańskiego, płynącéj ze szczęśliwego klimatu, jest pewna rezygnacya wesoła, do któréj wyrobienia i katolicka, a raczéj włoska, jego pobożność się przyczyniła. Do życia, w ścisłém znaczeniu, niewiele tu potrzeba, bez dachu obejść się można, prawie bez odzieży, a jadła niewiele starczy. Furta klasztorna i wspaniałość magnatów pomagały do wegetowania tego. Coś może z czasów rzymskich, gdy lud był żywiony kosztem cezarów i możnych, pozostało w obyczaju tych tłumów. Tak powoli lazzarony urosły do potęgi tych kilkudziesięciu tysięcy, liczonych na tutejszym bruku. Potrzeba obrony, wrodzony duch stowarzyszenia każdéj społeczności, poczuwającéj się choćby do najmizerniejszego bytu, stworzyły z téj ciżby pewną całość, mającą swych wodzów, prawa, zgromadzenia i pewien zarząd wewnętrzny. Zorganizowani lazzaroni stali się nakoniec siłą, nieraz téż wypotrzebowaną.

Dziś mniéj potężni uchowali się raczéj jako zabytek przeszłości, niż organiczna część społeczeństwa, wyczekują zmiany nieuchronnéj, któréj z czasem uledz muszą.

W chwili, gdyśmy oglądali Neapol, wypadki na półwyspie włoskim nawet się przewidywać nie dały, lazzaroni żyli i rozkwitali

wedle starych swoich tradycyj, poczuwając się do pewnéj roli i znaczenia.

Każdy z nich, pojedyńczo wzięty, był łazarzem, ale gromada miała siłę, którą szanowano. Na Chiaja, w uliczkach, wiodących do portu, napatrzyliśmy się scen z żywota ludowego. Tu, we Włoszech, wszystko odbywa się pod gołém niebem: gospodarstwo, rękodzieła, zabawy, odpoczynek, miłostki i kłótnie. Dla nas, mieszkańców północy, nienawykłych do tak żwawych uczuć objawów, chyba w szczególnych wypadkach podniecenia, lud ten zdaje się zrazu w jakimś stanie gorączkowym. Mowa, z towarzyszeniem wyrazistych ruchów, przestrasza, krzyk onieśmiela. Włoch nie odezwie się nigdy, nie pomagając sobie rękami i twarzą do wyrażenia myśli. Czy woła czy żegna, dziękuje czy się gniewa, śmieje się czy smuci, nie starczy mu słów i głosu, musi ubrać mowę ruchami koniecznie. Niektóre z nich, jak powitanie, pożegnanie, przywoływanie, są niby znakami umówionemi, telegraficznemi, które wszyscy rozumieją, inne fantazya tworzy i natchnienie.

Włoch na kazalnicy jest równie gwałtowny, jak w pospolitém życiu. Na ambonie odgrywa często rodzaj dramatu religijnego, cóż dopiéro w teatrze!...

Będziemy mieli zręczność mówić o tém w innéj naszéj przechadzce. Tym razem łachmany lazzaronów, ławki przekupniów, sprzedających w porcie *frutti di mare*, któremi lud się karmi, teatrzyki pupek i stragany zajmowały nas najwięcéj.

Mijaliśmy ciągle porozciąganych na bruku bronzowych od wody morskiéj i słońca lazzaronów, a tłum chłopaków, ofiarujących nam swe usługi, ciągnął za nami. Port był pełen majtków, fakinów, odartusów, kobiet z dziećmi i prawie nagich chłopiąt, które czasem naszych cygańczuków bardzo przypominały. Patrząc, jak zajadali kawałki kawonów, mimowolnie przychodzili mi na myśl chłopczyki Murilla. Pod murkiem portu nad morzem... patrzcie! znaleźliśmy niby księgareńkę ludową i z ciekawością rzuciliśmy się na nią. Książeczki były na bibule wszetecznie drukowane, dużo pobożnych, wiele piosenek, ale między tém wszystkiém znaleźliśmy z poszanowaniem Manzoniego, Tassa, Petrarka, S. Pellico i—za co poprzysięgam, Dantego komedyę, kosztującą trzy karliny...

Najwięcéj było ludowych ulubionych piosenek, o których niech mi tu wolno będzie z tego powodu nieco obszerniéj się rozpisać. To, co u nas za ludową często poezyę włoską uchodzi, wcale nią nie jest; są to piosnki, jak nasze: Chciało się Zosi jagódek, Już księżyc zaszedł, Czegoś oczki zapłakała — piosnki popularne, ale nie utwory własne ludu. Tych szukać potrzeba w bliższém z nim obcowaniu

i dłuższém z nim życiu. Pewne wyobrażenie o tych przyśpiewkach i całych kompozycyach powziąć można ze zbiorku p. J. Caselli *).

Po największéj części są to piosenki miłosne, gdyż uczucie to jest całym życia dramatem pod włoskiém niebem południa. P. Caselli upewnia, i myśmy to sami na sobie sprawdzić mogli, iż poznanie poezyi ludu nowy a niespodziany klucz daje do Dantejskiéj poezyi. Lud tu zna Tassa, czyta Aryosta, umié czasem wyjątki z Dantego na pamięć, a ma tak głębokie poczucie artystycznego wdzięku, że własne jego, naiwne śpiewki, często artystyczną swą formą zdumiewają, harmonią języka zachwycić mogą.

Wszystkie niemal prawdziwe ludowe poezye, jak nasze krakowiaki, do których czasem wielkie mają podobieństwo, składają się z kilku wierszy, z zapytań i odpowiedzi. Są to przyśpiewki, wykrzyki, odgłosy: *rispetti, stramboti.* Ten poemacik pozdrowienia z uszanowaniem (*rispetto*) składa się, co najwięcéj, z ośmiu wierszy, wytworną całość tworzących. *Stornelli* są krótsze jeszcze, z dwóch lub trzech wierszy tylko; jak w krakowiaku, początek zdaje się nie miéć koniecznego związku z wierszem następnym, tak w stornellach (zwrotkach) najczęściéj poczyna się od imienia jakiegoś kwiatka, któremu rym następny odpowiada. To wywołanie kwiatka niekiedy zmienia się na wykrzyk serdeczny: *o! aniele złoty! o! słońce, miesiącu! (Angelo d'oro, o bella bimba, o Dio de'dei, o luna, o sole!)*

Zwrotki te wywołują odpowiedzi na tę samę nutę, gdyż towarzyszy im gitara. Z okna do okna leci tam i nazad piosnka, aż jedna z nich zwycięży.

Serenate lub *inserenate,* od których pochodzą serenady, są tęsknemi śpiewy wieczora i nocy pod oknem ukochanéj, trwającemi aż do świtu.

Io vido l'alba che vuole apparire.

Serenaty i śpiewy wieczorne, szczególniéj ostatnich dni kwietnia i piérwszego maja, obyczajem zapewne jeszcze od starożytnych pochodzącym, odbywać się zwykły. Śpiewy majowe, *maggi,* z ofiarą kwiatów i zieleni, tchną całe nadchodzącą wiosną, trwają do dnia w noc majową.

Oprócz *rispettów,* a raczéj jedną z form ich, są listy, piosenki — posłania *(le lettere).* Listy lecą ku dobrowolnym wychodźcom, którzy z końcem jesieni idą na Maremmy, na Elbę, Sardynię lub Korsykę. Zresztą każda z prowincyj włoskich ma swą formę poezyi ludowéj, jak u nas. W Wenecyi, zamiast *rispettów,* śpiewają, tańcując, *vilote.*

Pieśni u kolebki zowią się *nanne,* więcéj w nich dźwięków powta-

---

*) Chants populaires de l'Italie. Texte et traduction par I. Caselli. Paris, 1865, 8-o.

rzających się, niż wyrazów i myśli. Wszędzie z pieśnią idzie muzyka często żywa, oryginalna, natchniona, szczególniéj w Neapolu. Nie dziwimy się wcale, że Bellini i Rossini pochwytywali i użytkowali te melodye neapolitańskie; nasłuchawszy się *la bella Sorrentina*, wróciliśmy z pamięcią jéj aż do domu. Równie świeże i śliczne są neapolitańskie: *Aquecina, Fenestra che lucivi, lo Belko Cardillo, Raziella, la Padovana* i t. p. Niekiedy pieśni te śpiewają się chórem, śpiewak koryfeusz zaczyna, drudzy za nim powtarzają, lub przygłuszonym głosem wtórują mu.

Śpiew i muzyka wiodą z konieczności taniec za sobą. W Toskanii, pisze Caselli, jeden z tych tańców zowie się *życiem złotém* (*la vita d'oro*); w tańcu tym chłopak śpiewa:

O vita d'oro, vita d'argento.
Dammi la mano, che son contento.

W tych starożytnych obchodach, śpiewach, tańcach, mnóstwo jest przypomnień pogańskich... Któż nie zna prześlicznych pogrzebowych pieśni litewskich płaczek? Obyczaj tego opłakiwania pieśnią umarłych, zupełnie podobny utrzymuje się w Korsyce. Studya nad temi *voceri* (nawoływaniami) podają pp. Tommaso, Fic i Gregorovius.

Ciało zmarłego złożone bywa na stole, obwinięte w całun, głowa spoczywa na poduszce. Niekiedy, pisze Caselli, jak na niektórych pomnikach etruskich, głowę pokrywa rodzaj czapki frygijskiéj, brodę podtrzymuje chusta lub wstążka. Zrana przed zdjęciem ciała, przybywają krewni i przyjaciele. Kobiety, okryte płaszczami czarnemi, włosy rozrzucone, oczy czerwone, cisną się dokoła stołu (*tola*) wyzywają umarłego, przemawiają doń, przeklinają zabójcę (jeśli został zabity, co się w Korsyce zdarza zbyt często), tarzają się po ziemi, obsypują popiołem. Często w rodzaju szału okrwawiają się, jakgdyby ta krew miała być miłą zmarłemu, biorą się za ręce i krzykliwy zawodzą taniec dokoła (*Ballo funebre, ballatrici*). Pierwsza *zawodząca* poczyna i prowadzi śpiewy; a gdy znużone kobiety upadłszy na ziemię, spoczywają, budzi je do nowego płaczu i krzyku. Cały dramat odegrywa się u tych zwłok zmarłego. Kilka próbek z téj bogatéj skarbnicy:

Wszyscy mi mówią, żem ja czarna, czarna!
A czarna ziemia dobre daje ziarna:
Patrzaj na gwoździk, w czarnéj on sukience,
A jak po pańsku wygląda w méj ręce!
Wszyscy mi mówią: czarny mój kochany,
A mnie się zdaje anioł malowany.

Wszyscy mi mówią, że on twarz ma ciemną,
Aniołem z niebios świeci on przede mną.

(Tutti mi dicon che son nera, nera!
La terra nera ne mene il buon grano,
E guarda il fior garafan com'e nero,
Con quanta signoria si tienne in mano.
Tutti mi dicon che il mio tamo etinto,
A me mi pare un angiolo dipinto.
Tutti me dicon che il mio damo e nero,
A me mi pare un angiolo del cielo).

Jeszcze parę *rispetti*, abyśmy lepiéj poznali ich charakter:

Przyszedł miesiąc opłakując
Przed miłość niebieską,
Że na niebie zostać nie chce,
Boś mu blask odkradła.
Płacze miesiąc, lamentuje,
Liczy gwiazdy swoje,
Dwóch mu braknie, tyś je wzięła,
Świecą ci na czole.

Całaś ty śliczna! o! śliczna!
Słówko twoje wonne.
Z ust płynące tchnienie,
Jak zapach fijołka.
Migdałowe i sosnowe
Mniéj pachnące drzewa,
Jak twe usta, kiedy boskie
Słówko z nich powiewa.
Migdałowe, brzoskwiniowe
Mniéj są wonne drzewa,
Niż twe usta, gdy poczciwa
Mowa z nich powiewa.
Migdałowe kwiatu wonie
Mniéj słodyczy mają,
Niż twe usta, gdy z nich słowa
Miłosne wzlatają.

Następna rozmowa należy także do *rispettów:*

Kto wy jesteście? słyszę was, nie widzę...
Słówka miłosne posłane do ciebie.
Powiedzcie słówka, kocha on mnie bardzo?
Lecim do ciebie niosąc serce jego.

Powiedzcież, drugiéj nie ma on kochanki?
Ty byłaś pierwszą, ty będziesz ostatnią.
A któż zaręczy: będzie mi on stały?
Przychodzim, by cię nie opuścić nigdy.

Stornelli są krótsze:

Kiedyś ty się rodziła, kwiatek wykwitł śliczny
I księżyc się na niebie wstrzymał w swoim biegu,
I wszystkie gwiazdki pobladły.

Albo:

Jeden całusek za cierpienia tyle!
Całusek jeden za miłości lata!
Ninetto moja! drobnaż to zapłata.

Mówiliśmy o *Stornellach*, poczynających się od uczczenia kwiatków, ot para z nich:

Kwiatku jabłoni!
Chciałabym z miłym pogadać godzinę,
Ale godzina niechby przez dzień trwała.

Kwiatku cytryny!
Gorzka cytryna i zjeść jéj nie można,
Więcéj goryczy jest w miłosnym bólu.

Piosnki neapolitańskie odznaczają się od innych włoskich energią i fantazyą, niekiedy dziwacznym nieco realizmem i mieszaniną pewnéj ironii. Niektóre z nich w całéj swéj naiwnéj prostocie są prześliczne.

Oto z nich kilka:

Idźcie, westchnienia me, gdzieście posłane,
Ani się kędy wstrzymujcie po drodze.
Idźcie, przylgnijcie na szaty kochane,
Z których się ona rozbiera i stroi.
A jeśli siądzie do stołu, by jadła,
Weźmijcie dla mnie z ust jéj odrobinę.
A gdy w łóżeczku położy się, zaśnie,
W jéj usta złóżcie całe serce moje.

Następnéj piosnki rysy, nieco dziwne, są właśnie rękojmią, że nienaruszona wyjęta została z ust ludu:

„Okienko, coś świeciło, nie świecisz mi więcéj,—Bo miła moja chora. Siostra w oknie stoi—Miła twoja umarła, i już pogrzebiona.—Płakała, że śpi sama, dziś już nie zapłacze.—Śpi razem z umarłemi. Idźże do kościoła, odkryj trumny wieko. Zobacz, co się z nią stało, z twoją ukochaną. Z ust jéj kwiatki leciały, dziś ro-

baki lecą.—Księże mój, dobry księże, miéj o niéj staranie, a niechże się jéj lampa wiekuista pali“.

Albo ta istnie neapolitańska fantazyjka:

Postawię ja dom śród morza,
Z piór pawich zbuduję.
Złote, srebrne dam mu wschody,
Balkon z dyamentów.
A jak wyjdzie moja miła,
Powiedzą, że słońce.

Jakby parodya Dantejska, wygląda piosnka ta neapolitańska ze trzech trójwierszy złożona:

Śniło mi się, żem był w piekle,
Ale taka ciżba wszędzie...
Chciałem już powracać.

Patrzę! tę, którą kochałem,
W wielkim kotle smażą
I przyszedłem ją pocieszyć.

Zwróciła się do mnie, rzecze:
Nie słuchałam ciebie...
Z niewdzięcznemi-m ukarana.

Jedną z najpospolitszych i najznajomszych neapolitańskich jést piosenka *Raziella* (Graziella).

„Serce przy sercu siedziałem z Raziellą, w jéj domu siedziałem. Ojciec wyszedł, była ciotka, alem mówił cicho. Ciotka przędzie i nie słucha, głowa ze snu jéj upada, biorę mojéj miłéj rączkę, wyrywa, całuję. Zaśpiewała ślicznym głosem, gram na mandolinie... Ona mówi mi pocichu: Mój Aniello! kocham wiecznie. Ciotka spała, nie słuchała, ze snu głowa jéj spadała... Ale co się ciotka zbudzi, ja znowu siedzę spokojny“.

Żywiuteńki to obrazek, chwycony z natury.

Na zakończenie tych przykładów jednę jeszcze dłuższą nieco pieśń o marynarzu (żeglarzu) spisaną w Korsyce, przytoczymy. Artystyczna jéj budowa zasługuje na to. Chcąc oddać jaknajwierniéj słowa pieśni, tłómaczym ją także wierszem białym:

„Żeglarzu mój, żeglarzu, zaśpiewaj mi piosenkę. Niech płynie po wodzie, niech po morzu płynie. Siądź na łódkę moję, piosnkę ci zaśpiewam. Ona w łódkę siadła, żeglarz piękny śpiewa. I pięćset mil płyną, a on piosnkę śpiewa. Gdy dokończył pieśni, ona chce powracać. Pięćset mil do domu, jesteś moja miła. A! co

powie mama, żem późno wróciła! Nie myśl już o mamie, myślij tylko o mnie. Aż północ nadchodzi, czas spać się położyć. Zdejm suknie, pończoszki i kładź się z żeglarzem. Sznurówkę mam ciasną, nie rozplączę węzła. Żeglarzu kochany, pożycz-że mi noża, niech węzeł rozetnę. Gdy nóż w ręku miała, w serce wbiła sobie. O nożu przeklęty, ręko, coś go dała! Żywéj-m nie całował, pocałuję zmarłą. Wziął na ręce białe, do morza ją wrzucił. I płynie po wodzie i po morzu płynie".

Wystawmy sobie biedną kobietę u kołyski dziecięcia, osamotnioną, smutną, przypominającą wesołe chwile pierwszéj młodości. Męża nićma, północ bije na zegarze, dziecina płacze i kwili... Matka tęskno łkającym śpiewem ją kołysze. W tym śpiewie myśl matki, wspomnienie kochanki, cały życia smutek się mieści. Oto ta prześliczna swoją naiwnością *nanna*:

Luli, luli, dziecino...
Na północ dzwoni dzwon,
To nie mój, dziecino,
To dzwon S. Lucyi...
S. Lucya ci oczki dała,
Magdalena włoski jasne...
Aniołkowie ci rumieńcem
Twarz pomalowały.
S. Marta usta dała,
Buziaczek miłosny...

. . . .

Buziaczku miłosny,
Ze florencką mową,
Powiedz mi, kochanie,
Jak się rozpoczyna?
Miłość się poczyna
Muzyką i śpiewem,
A kończy — kołyską!
Miłość się poczyna
Muzyką i pieśnią...
Łzą i jękiem kończy!

El se scomenza con soni e canti
El se fenisse con lagreme e pianti *).

Niestety! jak wszystko na świecie!

---

*) Piosnka wenecka u Casellego str. 229.

XXII.

Niedziela. -- Nabożeństwo włoskie. — Kościoły.— Strojne posągi.—Lud w kościele. — Spowiedź. — Chiatomone. — Kościół św. Klary.—Wieża.—Historya.— Wnętrze katedry św. Januarego.— Legenda o patronie.— Ś. Piotr Asprenus. — Nabożeństwo do J. Excell. św. Januarego. — Obrazy i skarbiec. — Mozajka. — Ambony.—Cud krwi.—Opis relikwiarza.—Obrazy w zakrystyi.—Powrót.— Villa Reale.—Powozy i ludzie.—Via Mergellina.—Widoki.

Nazajutrz była niedziela, najwłaściwszy więc dzień do obejrzenia kościołów wraz z ludnością i przypatrzenia się charakterowi nabożeństwa włoskiego, które wcale jest inne jak u nas. Jużeśmy na to nieraz zwracali uwagę, iż tu z innych pojęć o bóstwie, z innego do niego stosunku, wcale odmienną jest modlitwa i zachowanie się po kościołach. Na północy Bóg jest wszechmocną a pełną grozy istnością najwyższą, do której przybytku zbliża się człowiek z trwogą i poszanowaniem; tu daleko poufaléj cisną się doń, jak do dobrego ojca, który choć chłoszcze, ale dziecięciu przebaczy, i jedna (jak mówi Dante): *una lagrimetta*, jedna łezka go przebłaga. Nasze pojęcie bóstwa jest bardziéj abstrakcyjne, czyściejsze, dla nas jest on prawie nieubłaganą sprawiedliwością, tu więcéj antropomorfizmu w wyobrażeniach o niebie i jego potęgach. Patrona, któremu palą świece, gdy się nie popisze, wyrzucają na śmiecie i łają bez ceremonii.

Pomodliwszy się w jednym z pobliższych kościołów, poszliśmy na oglądanie innych. O kilku z nich powiemy trochę więcéj, tu tylko to ogólne uczynię postrzeżenie, że lśniące, bogate, wystrojone wogóle nie odznaczają się ani smakiem szczególnym, ani dziełami sztuki uderzającemi. Moda ubierania posągów, po większéj części Madon, razi i zamiast podnosić wrażenie tych wizerunków, czyni je dziecinnie śmiesznemi. I w tém jest wiele antropomorfizmu. Ofiarodawcy sądzą, iż najprzyjemniejszą dań przynoszą posągowi, gdy go jak lalkę ubiorą. Proszę sobie wyobrazić statuę Matki boleści, z siedmią mieczami w łonie, obwieszoną perła-

mi, łańcuchami, w koronie, z zausznicami bogatemi, w atłasowéj sukni, w białych trzewikach balowych, w woalu wyszywanym, przyodzianą zupełnie po modnemu. Wszystkie obrazy i statuy ulubione, szczególniéj w święta N. Panny, są tak nanowo wyświeżone i postrojone. Nie brak ani pierścieni na palcach, ani bransoletek, ani kanaków; tombaku i szychu co niemiara. Widziałem Madonnę w stroiku nakształt kapelusza na głowie... Lud się tém zachwyca. Nie można wymowniéj poświadczyć pojęcia o bóstwie i świętości poziomego i z tego jednego jużby o religii Neapolitańczyków sądzić się godziło. To co się widzi po kościołach, jest logicznym dalszym ciągiem plastycznych wizerunków Boga i świętych; zbliżywszy ich do siebie w ten sposób, lud poufale téż się z niemi obchodzi. Za pan brat jest z Panem Bogiem, a cóż dopiéro ze świętemi! W kościele siadają, gawędzą, śmieją się, chodzą, jak po własnym domu, rzadko kto ma książkę, bo niewielu czytać umié, mało kto różaniec—z mężczyzn prawie nikt. Panie przychodzą, siadają na krzesełkach, wachlują się, bo gorąco i tak mszy słuchają. Na ewangielię niéma, jak u nas, zwyczaju powstawania, tylko w czasie podniesienia klękają.

Obejście to ludu łatwiéjby wytłómaczyć, ale duchowieństwo nie postępuje sobie inaczéj; czasu nabożeństwa przechadzają się, zażywają tabakę i gawędzą swobodnie, nie zwracając na ołtarz uwagi. Zamiast w konfesyonale, zdarza się widziéć spowiadających na krześle, penitent klęczy, patrząc księdzu w oczy i swobodnie o swych grzechach rozprawia z nim po przyjacielsku. Wśród spowiedzi (widziałem to na moje oczy) nadchodzi dobry przyjaciel księdza; powitanie — spowiedź się przerywa, a gawędka poczyna wesoła, penitent tymczasem klęczy i oczekuje na dalszy ciąg i rozgrzeszenie. Nie sądźcie, żeby to *intermezzo* krótko trwało.

Z małego kościołka na *Chiatomone*, gdzie było pełno ludu, lazaronów, rybaków i fakinów, i do którego ledwieśmy docisnąć się mogli, poszliśmy po mszy do św. Klary. Jest to jeden ze starszych, większych i najpiękniejszych kościołów Neapolu, chociaż nie należy do dziewięciu (raczéj ośmiu, za jedno licząc katedrę ze św. Restytutą) przerobionych ze świątyń pogańskich.

Przed kościołem stoi jedna z rzadkich w Neapolu wież, gdyż trzęsienia ziemi nie dozwalają zbyt wysokich wznosić budowli, dosyć oryginalnych kształtów, dotąd niedokończona. Wieża ta w roku 1328 została zbudowana przez Masuccio młodszego w stylu toskańskim do wysokości pierwszego piętra. Napisy bronzowe gotyckie ze czterech stron, przypominają, że rozpoczęto budowę w roku 1310, i że papież zgromadzeniu przy niéj mieszkającemu nadał przywileje klasztorom téj reguły służące i t. d. Drugie piętro do-

ryckie wystawiono w XV wieku, trzecie jońskie w początku XVII. Wieża niedokończona stoi dotąd.

Sam kościół popsuty restauracyami, bez smaku, ale bogaty jak inne, wistocie w r. 1310 założony był przez Roberta W. Andegaweńskiego, na prośbę pobożnéj żony jego (Sanche). Począł go stawiać Niemiec, dokończył Masuccio młodszy, Neapolitańczyk. W r. 1340 było uroczyste poświęcenie świątyni ogłoszonéj *królewską*. Obrzęd ten odbył się na Boże Ciało z procesyą od katedry i od katedry z P. Sakramentem. Od r. 1340 do ostatnich czasów utrzymał się zwyczaj, iż wszyscy panujący w rocznicę szli z procesyą do św. Klary.

W swoim czasie był to we Włoszech najwspanialszy i największy z kościołów. Styl jego, czysto gotycki, późniejsze poprawy i przyozdobienia zatarły. Wchodzącego uderzają naprzód u góry opasujące kościół złocone przepysznie galerye i balustrady. Freski są z XVIII wieku. Pomniki grobowe na szczególną uwagę zasługują; monument wspaniały Roberta W. z napisem fałszywie przypisywanym Petrarce. Na to dosyć go przytoczyć:

Cernite Robertum Regem virtute refertum.

Oprócz tego są tu pomniki Karola księcia Kalabryi (1328), również ozdobny Joanny I Andegaweńskiéj, Maryi jéj siostry, Filipa z Tarentu, cesarza konstantynopolitańskiego i wielu innych. Rzeźby monumentów grobowych są ciekawe, jako zabytki sztuki.

Obejrzawszy kościół św. Klary, pośpieszyliśmy do katedry, poświęconéj św. Januaremu. Słówko naprzód o legendzie świętego męczennika i o pierwiastkach wiary chrześcijańskiéj w Neapolu.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, a tradycye w téj mierze są zbyt jasne i stałe, aby ich prawdziwości dowodzić potrzeba, iż w samych początkach krzewienia się chrześcijaństwa, przyszło ono tutaj i zawczasu wszczepione zostało. Podanie mówi o przybyciu w 44 roku po Chr., a 797 od założenia Rzymu, za Klaudyusza, dwóch apostołów śś. Piotra i Marka do Neapolu. Jednym z pierwszych nawróconych był Asprenus, obywatel rzymski z rodu Panitia, niegdyś pretor, i Kandydus; pierwszym biskupem Neapolu był wyznaczony przez apostoła Piotra tenże Asprenus. Ołtarz, na którym stały penaty, na którym potém Piotr ofiarę bezkrwawą odprawiał, stoi dotąd w San Paolo Maggiore.

Od Asprenusa ciągnie się szereg nieprzerwany gorliwych krzewicieli chrześcijaństwa na tém wybrzeżu, które największéj rozpusty rzymskiéj było siedliskiem.

Legenda o św. Januarym i towarzyszach jego: Sosyuszu, Proculusie, Eutycesie i Acutiuszu, sięga czasów prześladowania Dyo-

klecyanowego. Ś. January był znakomitego rodu i wielkiego wpływu mężem, a pasterzem Benewentu. Wtrącony do więzienia razem z towarzyszami swemi, z przyjacielem Sosyuszem, którego przychodził pocieszać, gdy go pochwycono, wycierpiał naprzód prześladowanie Drakona, potém następcy jego Tymoteusza i, nie chcąc złożyć ofiary fałszywym bogom, po wycierpianych wielu męczarniach, został ściętym.

Legenda wskazuje jako miejsce wykonania wyroku Solfatarę. Wszyscy święci towarzysze Januarego także dostąpili męczeństwa. Ciała ich, kościoły tych ziem, do których należeli, rozebrały jako relikwie; Neapolowi dostał się ś. January, Puzzoli ś. Proclus, Eutyces i Acutius, Mizenie Sosyus, Benewentowi Festus i Dydak. Neapolitańczycy ukryli naprzód drogie zwłoki na miejscu zwaném *Campus Marcianus*; dopiéro późniéj biskup Sewerus przeniósł je do samego miasta. W IX wieku relikwie odebrano do Benewentu, a dopiéro w XV w. odnalezione, uroczyście napowrót wprowadzono do Neapolu, podczas morowego powietrza, które natychmiast ustało.

Nabożeństwo do ś. Januarego w Neapolu, zapał i cześć dla patrona równają się chyba uwielbieniu Wenecyan i Paduańczyków dla ś. Antoniego, *il Santo,* świętego *per excellentiam,* któremu nawet imienia nie dodają. Neapolitańczycy natomiast bardzo charakterystycznie nazywają ś. Januarego: *la sua Eccelenza San Gennaro.*

Wspaniały przepyszny kościół ś. Januarego, cały od marmurów, bronzów, mało ma na oko starożytnego charakteru. Właściwie są to trzy kościoły razem skupione i zlane: w prawo tak zwane *il tesauro di san Gennaro* (Skarbiec ś. Januarego), w lewo najstarożytniejsza bazylika ś. Restytuty, na ostatek środek *il Duomo.*

Gmach ten wznosi się na podwalinach świątyni Neptuna. Budowa, rozpoczęta przez Karola I Andegaweńskiego, przerwana, dokończoną dopiéro została za Roberta W. przez tego samego Masuccio, co stawił kościół ś. Klary.

Gmach ma kształt krzyża łacińskiego o trzech nawach. Zewnątrz zaraz zatrzymują oko stare gotyckie drzwi i rzeźby, około nich zajmujące; wszedłszy, niemal piérwszym przedmiotem uderzającym jest w lewo stojąca kropielnica z bazaltu egipskiego, z godłami Bachusa, maskami, tyrsami i t. p. Było to, jak się zdaje, naczynie do wody lustralnéj.

Trafiliśmy właśnie w czasie celebry arcybiskupiéj, któremu przy mszy asystowali dwaj biskupi. Mnóstwo duchowieństwa stało w presbiteruym, ale czasu mszy przechadzali się, śmieli i tak sobie poczynali swobodnie, że my, ludzie świeccy, ale nie tutejszéj parafii, czuliśmy się zakłopotani, patrząc na to...

Co kraj, to obyczaj.

Poszliśmy więc bez zgryzoty sumienia oglądać kościół i jego pamiątki.

Sto ośmnaście kolumn z granitu wschodniego dzielą główną świątynię na trzy nawy; oprócz nich, kaplice po bokach rozszerzają *duomo*.

W lewo kaplica seminaryjna, w któréj powitaliśmy i poznali łatwo charakterystycznego Perugina: Wniebowięcie N. Panny z postaciami, aniołami, akcesoryami, powtarzającemi się u niego zawsze. Obraz zdał się nam nieumiejętnie restaurowany. Tak samo na prawo w starożytnéj kaplicy Minutolich portrety ich przodków uległy niewczesnéj gorliwości odświeżających... Boże im odpuść!

W trybunie wielkiego ołtarza, przed którym odprawiało się nabożeństwo, znajdują się złożone zwłoki ś. Januarego, jest to tak zwane *Ipogeo di S. Gennaro*, w kształcie małéj świątyńki, bogatéj i ozdobnéj, wzniesionéj staraniem kardynała arcybiskupa Caraffy. Posąg jego klęczący ma być z rysunku Michała Anioła wykonany. Świątyńka jest bardzo piękna i wdzięcznemi arabeskami okryta.

Z nawy w lewo drzwi wiodą do bazyliki ś. Restytuty, któréj założenie sięga roku 334. Jest to najstarszy jawny kościół w Neapolu, za pozwoleniem Konstantyna zbudowany na ruinach świątyni Apollina. Siedmnaście kolumn z niéj użyto do nowéj budowy.

Tu w lewo znajduje się jeszcze starsza kapliczka *S. Maria del Principio*, najpiérwsza, z owych czasów, gdy się potajemnie modlono. Tu zasłonioną firankami wielce ciekawą dawną mozajkę, wystawującą N. Pannę, ś. Januarego i Restytutę — odkryto dla nas. W istocie piękne to dzieło (M. Boża na tronie, z dziecięciem, twarz wielce miła i łagodna) godném jest widzenia. Nosi ona datę 1328, ale to jest rok odnowienia, mozajka widocznie o wiele jest starszą.

Równie ciekawym zabytkiem są wstawione w ściany dwie płaskorzeźby marmurowe, szczątki dwóch *ambon*, wzniesionych w kościele przez Stefana II biskupa w VIII wieku.

W kompartymentach wyryte są na prawo sceny z życia ś. Januarego, Samsona, Eustachego, w lewo historya Józefa.

Dawne baptysteryum *San Giovanni a fonte*, z szóstego wieku, dziś kapliczka, ma na sklepieniach bizantyjskie mozajki trzynastego wieku, których dobrześmy widzieć nie mogli.

Tesoro di S. Gennaro, z początku XVII wieku, wspaniała kaplica, z bronzowemi drzwiami, przepysznie ozdobna, świadczy o zamożności i ofiarności pobożnych. Marmury, złocenia, posągi, porfir, lapislazuli składały się na to dzieło w smaku iście neapolitańskim. Tu w ołtarzu zachowuje się owa flaszeczka ze krwią świętego męczennika i część jego relikwij. O cudzie dorocznym, a raczéj trzykroć do roku powtarzającém się burzeniu się ś. Januarego (gdyż trzy razy

odbywa się ten obrzęd) w piérwszą sobotę majową, dnia 19 września i dnia 16 grudnia), nic powiedzieć nie możemy, nie byliśmy przytomni ceremonii i wyznajemy wstręt do najgrawania się ze wszystkiego, co głęboka wiara obudza. W naszém przekonaniu, gdzie człowiek czuje cud, tam on dla niego istnieje, mierzenie go własném niedowiarstwem niczego nie dowodzi.

Z mnóstwa opisów wpada nam w ręce jeden, który daje charakterystykę obrzędu bardzo trafną, i ten tu powtarzamy:

„W Neapolu pobożność niczém smutném i ponurém się nie cechuje; jest ona, można rzec, obrazem tego jasnego nieba, tego morza błyszczącego, téj Kampanii szczęśliwéj, które lud ma ciągle przed oczyma. Neapolitańczyk pobożny jest z zaufaniem i poufałością; obchodzi się ze świętościami z dziecinną naiwnością i wesołością dobroduszną. Nie mógł nigdy oswoić się z naszemi katedrami, melancholii i powagi pełnemi. Jemu potrzeba kościołów pełnych światła, od marmuru i złota lśniących. Z tym charakterem poufałym występują kobiety zapalczywe, które, stojąc dokoła balustrady chóru, błagają Boga, aby dozwolił się spełnić cudowi zburzenia krwi ś. Januarego ruchy, krzykami, wyrazami, których żaden opis nie potrafi dać wyobrażenia, tak są nadzwyczajne, tak uderzające.

„ — No, no, ś. Gennaro,— woła jedna—słuchajże przyjaciół, dokonaj cudu! Nie każ czekać! Myśl, że wszyscy pokładamy w tobie nadzieję. Patrzaj na tego świętego kardynała, na tylu pobożnych cudzoziemców! Nie zawódźże ich zaufania.

„Gdy się cud dopełni:

„— No! tak to dobrze, San Gennaro! dobrześ zrobił, pięknie! Jesteś wielki, jesteś dobry, my cię kochamy wszyscy. Bądź po tysiąc i tysiąckroć błogosławiony!

„Forma trywialna, ale wymowna i wyrazistość porywająca. Zresztą baczny postrzegacz nie może mieć najmniejszéj wątpliwości o szczerości tych uniesień ludowych. Dosyć było przypatrzyć się łzom, zalewającym oczy tych kobiet, usłyszeć ich głos, widzieć wzruszenie głębokie, by się przekonać, że tu nic być nie mogło obrachowanego, sztucznego. Dodajmy, że z mniejszą wyrażając się żywością, uczucia też same podzielał cały tłum napełniający kaplicę i katedrę.

„O dziewiątéj rano dziekan złożył popiersie ś. Januarego na ołtarzu z lewéj strony. Dziekan kapituły ma z prawa dostojeństwa swego honor dotknąć naprzód relikwiarza. Ale że siły go zawieść mogą, jeden lub kilku towarzyszów przychodzą mu w pomoc, gdy cud nierychło się spełnia. Kapłan, któregośmy ujrzeli przy ołtarzu, trzymającego głowę męczennika z pomocą kilku księży, był starcem złamanym wiekiem, a twarz jego miała wyraz łagodny i natchniony.

Głowa świętego zamknięta jest w popiersiu srebrném, złoconém, przedstawującém twarz jego wedle pomników najdawniejszych i tradycyi. Popiersie okryte jest godłami dostojności biskupiéj i przyozdobione klejnotami przepysznemi. Mitra szyta perłami i złotem. Sznur ogromnych pereł z kilku złożony, niezmiernéj ceny, spada na ramiona. Następnie wyjmują ze skrzyneczki srebrnéj, rzeźbionéj i złoconéj relikwiarz ze krwią ś. męczennika. Mieliśmy czas mu się doskonale przypatrzyć i możemy go opisać dokładnie.

„Relikwiarz jest srebrny, okrągły, a kształtem podobny do ogromnego zegarka, mającego po obu stronach ściany kryształowe. Oprawa i rączka okryte są ozdobami trybowanemi, noszącemi ślady złoceń. Zdaje się pochodzić z XV wieku. W środku jego, pomiędzy szybami kryształowemi, zamknięte są dwie ampułki, czyli flaszeczki, okrągłe, spłaszczone, z szyjkami wązkiemi krótkiemi, leżące jedna wprost, druga na bok. Flaszeczki te są zupełnie podobnie do znajdowanych w starożytnych grobach i zwanych pospolicie łzawnicami. Gdy odprawujący nabożeństwo pokazuje relikwiarz, ksiądz z tyłu trzyma świecę zapaloną, co dozwala zblizka widziéć dokładnie zawarte w środku. Patrzyliśmy po kilkakroć z wielką uwagą i oto cośmy ujrzeli:

„Flaszeczka umieszczona nawprost napełniona jest w dwóch trzecich częściach około czémś brunatném, wyschłém i twardém. Taż sama substancya wypełnia jednę trzecią część flaszeczki bocznéj. Obu wyschnięcie jest zupełne i zdaje się bardzo dawném.

„Ukazawszy relikwiarz w tym stanie nietylko kardynałowi, ale duchownym i cudzoziemcom, otaczającym go, kanonik zszedł ze stopni, stanął przy balustradzie i, podniósłszy go w rękach, oświecony świecą, ukazał zgromadzonemu ludowi.

„Potém, zbliżywszy się do ołtarza, rozpoczął głośno odmawiać modlitwy, które przytomni powtarzali za nim. Następnie dał do całowania relikwiarz wszystkim otaczającym, przytykając go im do ust i czoła. Po dwudziestu do dwudziestu pięciu minutach, znużony oddał relikwiarz drugiemu kanonikowi, prawie tak staremu i równie bezsilnemu, jak on, a sam, drżąc ze wzruszenia, ukląkł na stopniach ołtarza. Kanonik, zastępujący go, rozpoczął znowu modlitwy. Modły i krzyki tłumu podwoiły się. Naostatek o godzinie dziesiątéj minucie trzydziestéj siódméj odprawujący nabożeństwo dał znak, podnosząc relikwiarz nad głowę.

„W téj chwili na dany znak *Te Deum* majestatycznie i poważnie zagrzmiało, rozchodząc się po kaplicy i katedrze. Posypały się kwiaty na ołtarz, puszczono tysiące ptaszków, które ulatywać poczęły po kościele, świegocąc radośnie. Cud się spełnił.

„Chociaż ta scena mogła działać i wywrzéć głębokie wrażenie na

wyobraźnię i serce, jesteśmy pewni, że całą zachowaliśmy zimną krew i przytomność; z największą uwagą, nie raz, ale sześć do siedmiu razy zaglądaliśmy do relikwiarza, świecą oświeconego. Flaszeczka boczna nie wskazywała cieczy w sobie, ale w stojącéj naprost, rozpłynienie się było widocznem: szkło napełniła ciecz, mająca płynność, gęstość, wszystkie pozory krwi, utoczonéj świeżo z człowieka.

„Sceptycy zawołają, że to szalbierstwo... Opowiadamy, na cośmy patrzyli. Cud ś. Januarego nie jest artykułem wiary. Można o nim sądzić, jak się podoba; ale powtarzamy, że uroczystość cała nie dopuszcza ani podobieństwa oszukaństwa i komedyi.

„Wrażenie to podzielali z nami wszyscy Francuzi, znajdujący się w kaplicy, a między niemi niejeden był niedowiarkiem. Musimy dodać, że cud ten spełnia się od kilku wieków, że trwał w czasie różnych rewolucyj, w czasie zajęcia Neapolu przez Francuzów, a dotąd uczony żaden i chemik nie umiał wytłómaczyć, w jaki sposób się to dzieje.

„Bądź co bądź, dzień 19 września i ośm dni następnych, w czasie których krew ś. Januarego pozostaje płynną i jest wystawioną na ołtarzu katedralnym, miasto obchodzi jakby uroczystość narodową. Wieczorem droga od Neapolu do Puzzoli pełna pielgrzymów. Zamożniejsi przynajmniéj raz odbywają tę pielgrzymkę. W sobotę król z całą rodziną, o południu, w paradzie wielkiéj przybył do katedry" *).

Część znaczna obrazów i fresków kaplicy ś. Januarego (Tesoro) malowaną była przez nieszczęśliwego Dominiquina pod wrażeniem obawy, w śmiertelnéj trwodze o życie. Są to jego dzieła ostatnie.

W zakrystyi zachowują czterdzieści pięć popiersi świętych patronów miasta i kilka posągów srebrnych. Między innemi popiersie ś. Januarego, przystrojone na sposób neapolitański w ponsowe, złotem szyte okrycie, na szyi kolie z drogich kamieni, a na niém poczepiane dary kosztowne panujących: krzyże dyamentowe, gwiazdy i t. p. Na głowie mitra srebrna, złocona, cała wysadzana kamieniami drogiemi, dyamentami, rubinami, szmaragdami.

Skarbiec obfituje w ofiary niezmierne, a kościół, zostający pod opieką miasta, ma dochody ogromne. Wszystko téż w nim lśni i zdumiewa wspaniałością niezmierną, ale wrażenie bogactw przemija prędko.

Przypatrzywszy się wesoło modlącéj ludności, wyszliśmy nareszcie, a że skwar był wielki i znużenie znaczne, poszliśmy sprobować morskiéj kąpieli. Wydała się ona rozkoszną, ale znać była

---

*) H. Cauvain. Constitutionel 27 września 1856 roku.

nieostrożnością, czy w niewłaściwéj porze wziętą, bośmy ją potém przypłacili niezdrowiem.

Wieczorem rozpoczęła się pod naszemi oknami jazda, rodzaj *Longchamps*, przez Chiaję, około Villa Reale, za Pie di Grotta i na Via Mergellina. Niezmierna moc powozów wszelkiego kalibru, miary, barwy, sunęła się jedne za drugiemi do końca, nazad i *da capo al fine*. Dla lepszego przypatrzenia się różnorodnéj, bo wszystkich klas ludności, siedliśmy i my do najętego powozu za drugiemi. Coś to podobnego do przejażdżki na Cascine we Florencyi, ale mniéj wytworności, przepychu, a tu i owdzie nawet zaniedbanie. Powozów rozmaitość była nieskończona; najparadniejsze, zaprzężone końmi pięknemi, w chomątach błyszczących od świecideł, z woźnicą wystrojonym na koźle, za którym misternie ułożony płaszcz świeci guzami herbowemi, miały po dwóch lokajów w kamaszkach, akselbantach, rękawiczkach i t. p. Panie w nich leżały raczéj, niż siedziały... Ale obok tych ekwipażów arystokracyi szły najmniéj spodziewane wózki, osiołkami powożone, ubranemi także i postrojonemi, wiozące majtków, kabryolety z kobietami ludu. Najzabawniejsze były wózki z osiołkami, które właściciele powyczupurzali z fantazyą wielką. Przez punkt honoru małe stworzeńka kłusowały ochoczo. Oprócz powozów, byli jeźdźcy na koniach ogromnych i na osiołkach także. Karety, calessina, karyole, dorożki, corricola, wszystko to wrzawliwie, śmiejąco, a poważnie niby, sunęło tysiącami na Mergellinę, a owo *corso*, czy nie wiem, jak to w Neapolu nazywają, trwało bez przerwy od godziny szóstéj wieczorem do jedenastéj.

Lazzaroni, ukazujący się około portu i nad morzem, powyświeżani byli od niedzieli. Nie śmiem zaręczać, czy się myli, bo dla Włocha woda jest wstrętliwą, a czynność mycia niezrozumiałą, ale mieli pyszne czapki czerwone, jak z igły, i koszule białe.

Téj przejażdżce, jakkolwiek długiéj, ktokolwiek zna Neapolitańską zatokę, dziwić się nie będzie, widok na nią, czy we dnie, czy o zachodzie, czy przy księżycu, zachwycający. Kołem zatacza się miasto, daléj miasteczka z niém połączone, w oddaleniu bielejące, Wezuwiusz drzemiący i góry nad Castellamare i Sorrento i w morzu pływająca Capri. W pośrodku szafir wód, po którym uwijają się łódki z białemi żaglami.

Cieniste aleje Villa Reale ze swemi palmami, mirtami, magnoliami i rozrosłemi drzewami, z posągami i fontannami, potém szereg pałaców i willi, poczepianych na górach nad drogą, pełnych kolumn, grot, balkonów, altan, świątyniek, schodków, okrytych kwiatami, bujną roślinnością, cudnie odbijają przy lazurach tego morza i mglistych, oddalonych planach krajobrazu. Braknie wyrazów na odmalowanie tych wspomnień.

Znużeni wreszcie samym zbytkiem wrażeń, powróciliśmy do *Crocelli*, ale tu balkon kusił, a z niego widać było Wezuwiusz, nad którego wierzchołkiem jakby obłok się zsunął i stał nieruchomy. Na przeciwległych wzgórzach snuły się, w pół je przepasując, białe chmurki. Capri, gdy słońce zaczęło przygasać, pociemniała i jak niebieskawe widmo stała zdala; tylko, gdy promyk silniejszy ją oblał, można było dostrzedz fałdy skał jéj, prostopadłe ściany i bielejące budowy. Zwolna pomarańczowe niebiosa czerwieniały, stawały się fioletowe, szare, noc rozściełała przezroczystą zasłonę swą po ziemi i niebiosach. W górze zaczęły zjawiać się gwiazdki, Wezuwiusz z przepaską czerwonych ogni wystąpił; morze, zwolna falujące ku brzegom, poczęło frędzlować się mdłém światełkiem. Każdy wał, rozbijający się o groblę Castel del Ovo, pryskał tysiącem iskier. Niebo z przezrocznego stało się czarném i przepasało, jak gazą srebrną, drogą mleczną.

Przyszła noc, ale gorączkowa, niespokojna jazda ku Villa Reale trwała nieskończenie i śmiech rozlegał się pod oknami. Mieli słuszność! takiéj nocy przespać się nie godzi, niewiele ich jest w życiu

XXIII.

Neapol i zabytki sztuki.— *Embaras de richesses.*— *Pompeja.* — Dzieło Overbeck'a o niéj.—Museo Borbonico.—Budowa i jéj losy.—Zbiory i ich podział.—Historya kraju.—Pompeja i jéj piérwotne dzieje.—Trzęsienie ziemi.—Wybuch Wezuwiusza.—Opis Pliniusza.—Zniszczenie i wspomnienie.—Nowe odkrycia.—Roboty około Herkulanum i Pompei.—Zabytki malarstwa starożytnych.—Sztuka i jéj charakter.—Technika.—Al fresco i jego własności.—Podział.—Koloryt starożytnych.—Ściany i ozdoby ich.—Sposób malowania.—Farby panujące.—Wyraz: ból i spokój. — Janusa oblicze. — Mitologia. — Mit Herkulesa. — Telefus.— Herkules ze lwem. — Matkobójstwo Alkmeona. — Dzieje trojańskie.— Chiron i Achilles.—Penelope. — Imiona artystów. — Kopie-naśladowaniem. — Bitwa pod Issos. — Opis obrazu i zalety jego. — Domysł o autorze. — Postacie lecące. — Obrazki rodzajowe.— Eroty.—Krajobrazy. — Widoki.—Zwierzęta. — Celniejsze obrazy. — Karykatury. — Pracownia malarza.—Portrety. — Obrazy wotalne i obscena i t. d.

Tych dni parę, które się mogły nazwać wypoczynkiem, były wstępem i przygotowaniem tylko do poważniejszych studyów, będącym istotnym celem podróży do Neapolu. Liczyć zapewne należy za coś rozkosz widzenia tego Edenu oczów i ideału krajobrazu ziemskiego, bo przysłowie nie kłamie *(Vedi Napoli e puoi mori)*, ale kraj ten przyciąga nas szczególniéj nagromadzonemi skarbami starożytności, które światło niezmierne na życie téj epoki rzucają. Tysiące zadań, tyczących się historyi sztuki szczególniéj, tu tylko intuicyą, jaką daje samo przedmiotów widzenie, rozwiązać się mogą. Żaden opis, wizerunek najwierniejszy, najuczeńsza rozprawa nie zastąpią tego, co daje wejrzenie jedno.

Szczątki starożytne, pozbawione tego komentarza, którym jest to wszystko, co je otacza, nie mówią do nas, pozostają okruchami. W Neapolu dopiéro uczy się, czém była u starożytnych sztuka, a z niéj widzi się, czém być musiała ta cywilizacya, z któréj ona wykwitała.

I miłość sztuki i miłość starożytności téj wiodła nas do Neapolu. Ludzkość żyje tradycyami, z nich tylko czerpie się to, co żywot jéj stanowi, winniśmy wszystko niemal tym, co nas poprzedzili i usłali

nam drogi, wraca się więc do téj zdruzgotanéj kolebki z rozrzewnieniem dziecięcia, z poszanowaniem i czcią.

Ale w Neapolu studya nad starożytnością i sztuką są trudne tém, coby je ułatwiać powinno. Ten ogrom bogactw, ta nieprzeliczona moc przedmiotów zgromadzonych przestrasza. Od czego zacząć? Jaki sobie plan nakreślić? Zbytni pośpiech budzi obawę, abyśmy nie dość się wtajemniczyli i ociąganie się każe lękać, że czasu zabraknie na wszystko.

Najwłaściwszém się nam zdaje uwolnić czytelników naszych od pochodu krok w krok za nużącemi badaniami, które się powtarzać i dopełniać, prostować ciągle musiały, damy więc tylko ostatnie wypadki studyów, jakkolwiek, sami to dobrze widzimy, niedostatecznych.

A nim przystąpimy do historyi Pompei, która się zlewa z historyą Neapolu i stanowi tu najbardziéj zajmujący przedmiot; niech nam wolno będzie przytoczyć jednę ciekawą wiadomostkę.

Najbardziéj wyczerpującém i najpełniejszém może dziełem opisującém Pompeję jest wydane przez Overbeck'a w języku niemieckim. Cóżby to u nas powiedziano, gdyby kto opisywał zabytki wcale ich nie widząc? A jednak faktem jest, że szanowny profesor dopiero po wydrukowaniu dzieła pojechał zobaczyć te gruzy i wróciwszy, pracę swą uzupełnił.

Niechże naszéj, wiele skromniejszéj, wybaczy czytelnik niedostateczności jéj, pocieszając się tém, że to przynajmniéj, o czém mu mówimy, na własneśmy oczy oglądali. Szliśmy téż na tę artystyczno-archeologiczną pielgrzymkę nie bez pewnego przygotowania, a z miłością wielką.

Przygotowaniem także nazwaćby można tegoż dnia przedsięwzięte zwiedzenie *Real Museo Borbonico*. W zbiorach tych, jak wiadomo, złożono wszystko, co najciekawszego dobyto w Herkulanum i Pompei. Nie będziemy jednak dawali opisu muzeów, gdyż o przedmiotach w nich zawartych powiemy na swém miejscu. Tu damy tylko zarys mały skarbów, jakie się w nich znajdują.

Muzeum w tym czasie, gdyśmy je oglądali (późniéj znacznie się ono zbogaciło nowemi poszukiwaniami, przedsięwziętemi z podwojoną gorliwością) składało się z piętnastu oddziałów. Z małemi wyjątkami wszystkie działy te nadzwyczaj bogato były uposażone, a niektóre z nich za jedyne w swym rodzaju na świecie uważać można.

Gmach muzeum, smutno to wyznać, w r. 1587 wzniesiony był przez ks. Ossuna na... stajnie. Hrabia Lemos, jego następca, po ukończeniu wedle nowego planu, zrobił z nich uniwersytet. Losy pałac przechodził osobliwsze; uniwersytet ustąpił trybunałowi; try-

bunał przerobiono na koszary; z koszar zmieniono go na uniwersytet, i dopiéro w r. 1790, po dodaniu pierwszego piętra, zaczęto gromadzić pamiątki starożytne. Przyznać należy, iż zgromadzenie to zawdzięcza Neapol Burbonom, którzy własne dziedzictwo po Farnesich połączyli z miejscowemi zabytkami.

Na dole mieszczą się najbardziéj zajmujące, bo jedyne malowania starożytne i mozajki:

Daléj idą: wyroby starożytne marmurowe.

Zbiór starożytności egipskich i oskich, najuboższy stosunkowo

Posągi i różne dzieła starożytne z bronzu, w swoim rodzaju jedyne.

Napisy (razem Herkules i Byk Farnezyjski).

Pomniki średniowieczne. Wyroby ze szkła.

Gliniane naczynia (Ceramica).

Na pierwszém piętrze mieszczą się: klejnoty, wyroby złote, kamee, kamienie rytowane, drobne szczątki z Pompei, farby, żywność, małe bronzy, naczynia greckie (etruski) malowane, galerya obrazów i gabinet papirusów.

Proszęż człowieka chciwego wiedzy rzucić w ten świat, w tę prawdziwą *Silva rerum*, nie dając mu lat, swobody, możności wybadania życia z tych jego szczętów—męka Tantala! Jedynym środkiem, acz nie zawsze najlepszym, jest pójść posłusznie za skazówkami poprzedników uczonych i patrzéć tylko na to, co widziéć zalecają. Ale ileż-to razy przekonywa się przebiegający za panią matką muzea, że ona często opuściła rzecz najgodniejszą zastanowienia, a nadała wagę mniéj wartéj uwielbień, któremi ją okryto. Trzeba więc eklektycznie iść do wskazanych przedmiotów, ale z niezawisłością sądu, i oku dać trochę maroderskiéj swobody.

Niżeli jednak zaczniemy się rozpatrywać w zabytkach, które opatrznie jakby wielki kataklizm nam zachował, opowiedzmy historyą jego.

W tym raju, niestety, w téj Kampanii szczęśliwéj, na któréj krajobrazie śmiały się najcudniejsze barwy—trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne były nieustanną groźbą i postrachem.

U stóp Wezuwiusza, okrytego naówczas do szczytu zielonością bujną, zasiadło małe miasteczko Pompeja, przy ujściu Sarno do morza. Legenda starożytna przypisywała założenie jego Herkulesowi, wracającemu z Hiszpanii i pędzącemu przed sobą woły Geryona.

Pierwszemi mieszkańcami téj osady byli Oskowie, Etruskowie, Pelazgowie, Samnici. Zbliżona do morza (które dziś jest odleglejsze znacznie), stanowiła targowisko dla okolicy; Nole, Nucerya, Acerra z całym swym handlem spływały do Pompei. Przecudowne położenie, ruch ten, zamożność ludzi szukających tu rozrywki, wy-

poczynku, rozkoszy, bogaciły miasteczko i nadawały mu możność. Z Rzymu co żyło i wyżyło się w nim, uciekało na wybrzeże Kampanii oddychać rajskiém powietrzem, kąpać się w rozkoszném morzu i marzyć, patrząc na uroczą okolicę.

Samo nazwanie Pompei (od Πομπεῖον, emporium, skład, targowica) wskazuje, czém ona żyła głównie, ale życie to dzieliła ona z innemi miastami Kampanii: Kumami, Puzzolą, Neapolem, Herkulanum, Kapuą i dopiéro na lat sto przed Chrystusem poczęła większéj nabierać ważności. Po bitwie pod Kannami, znajdujemy ją wspomnianą w liczbie miast, które się Annibalowi poddały.

W r. 89 (przed Chr.) Sylla zdobył Pompeję, ale zachować jéj musiał dawne przywileje, napróżno usiłując zmienić w kolonię wojskową. Za Augusta ogłoszono ją jako *municipium*, wzrosła szybko i za Nerona stała się kolonią rzymską. Celniejsi obywatele poczęli tu szukać wypoczynku, Cycero wybudował sobie willę; Klaudyusz przebywał tu do śmierci Druzusa.

Wśród tego rozrostu, jaki po wojnach domowych nowe życie nadawał Pompei, niespodziana klęska, jakby zwiastun téj, która ją zniszczyć miała, dotknęła miasto. W roku 63 po Chr. Tacyt i Seneka wspominają o tém trzęsieniu ziemi. Ostatni pisze: „Pompeja, miasto owo sławne w Kampanii, położone nad cudowną zatoką, którą tworzą z jednéj strony Sorrento i Stabie, z drugiéj brzeg Herkulański, obalona została trzęsieniem ziemi. Cała okolica ucierpiała okrutnie, a to wpośród zimy, w téj porze, którą przodkowie nasi uważali za zupełnie ubezpieczoną od tego rodzaju klęski. Herkulanum zniszczone, a Nucerya uszkodzona w części. Neapol zlekka dotknięty straszliwą katastrofą. Przerażenie jest tak wielkie, iż senat naradzał się, czyby nie wypadało odtąd zakazać mieszkać w Pompei i Herkulanum."

W szesnaście lat potém, gdy miasta zaledwie się nanowo dźwigać poczynały, nastąpił ów straszliwy wybuch Wezuwiusza dnia 23 sierpnia r. 79.

Z Witruwiusza, Strabona i innych pisarzy widoczna jest, że Wezuwiusz wybuchał i wprzódy; o gwałtowności jednak wybuchów i dacie ich niéma dokładnych wiadomości. Zdaje się, że przed 79 r. długo nie dawał znaku życia, góra była żyzna, uprawna i do wierzchołka wegietacyą okryta. Ale Dyon Kassyus, piszący w II-im wieku, mówi o Wezuwiuszu: „Takim jest Wezuwiusz. Co roku się to przytrafia. Ale późniejsze wybuchy jego po tym, o którym mówimy, gdyby je nawet wszystkie zebrać razem, niczémby były w porównaniu do niego." Najdokładniejszy opis tego wypadku pozostał nam w listach Pliniusza młodszego do Tacyta. (XVI—XX). Stryj jego, Pliniusz starszy, dowodzący flotą w Mizenie, padł, jak

wiadomo, ofiarą swéj ciekawości i miłości nauki, chcąc zblizka przypatrzyć się fenomenowi.

„On (pisze synowiec) był w Mizenie, gdzie flotą dowodził. Dziewiątego dnia przed kalendami wrześniowemi, około siódméj godziny, matka moja dała mu znać, że na niebie ukazał się obłok wielkości i kształtów niezwyczajnych. Natychmiast wstaje i wychodzi na miejsce, z którego mógł się przypatrzyć temu cudowisku. Chmura wynosiła się w powietrze, ale z téj odległości niepodobna było rezeznać, z jakiéj pochodziła góry; późniéj się dowiedziano, że z Wezuwiusza. Kształt jéj podobien był do drzewa, a mianowicie do sosny; wznosiła się ku górze, jakby pień olbrzymi, a wierzch rozchodził nakształt gałęzi. Sądzę, że wiatr podziemny gwałtownie ją naprzód wypychał, ale czy to, że siła jego w górze już się tak czuć nie dawała, czy że własny ją ciężar unosił, chmura opadała potém i rozchodząc się, rozszerzała.

„Wydawała się to białawą, to czarną, w miarę jak była więcéj lub mniéj złożoną z popiołów i ziemi.

„Cud ten zadziwił mego stryja, z gorliwości swéj dla nauki, chciał mu się bliżéj przypatrzyć; kazał sobie podać lekki statek i pośpiesznie płynąć tam, skąd wszyscy uciekali; wprost szedł na niebezpieczeństwo, z umysłem tak od wszelkiéj obawy wolnym, że dyktował opisy wszystkich wydarzeń i zmian, zachodzących w tém dziwie, które miał przed oczyma. Już na okręty jego dolatywał popiół coraz gęstszy i gorętszy w miarę, jak się zbliżali; już zaczęły padać kamienie przepalone i kamyki czarne, zgorzałe, pokruszone ogniem gwałtownym. Morze nagle opadłe płytkiém się stało; do brzegu dobić nie było można, tak go zasypywały kamienie. Stryj mój zrazu nie pewien był czy zawracać, ale wkrótce odezwał się do swego sternika, który namawiał, aby wrócić: Fortuna męstwu sprzyja; jedź do Pomponiana. Pomponianus był w Stabiach, z drugiéj strony małéj zatoki, którą nieznaczne wygięcie brzegu tworzyło.

„Tu widząc niebezpieczeństwo jeszcze oddalone, ale coraz się zbliżające, Pomponianus kazał wszystkie swe sprzęty poprzenosić na okręty, i czekał tylko na wiatr mniéj przeciwny, aby odpłynąć. Tym samym wiatrem gnany, stryj mój przybył do niego, uściskał i starał się uspokoić.

„Tymczasem w kilku miejscach na górze Wezuwiuszu widać było szerokie płomienie i ogromny pożar, którego jasność ciemności jeszcze zwiększały. Dla uspokojenia tych, którzy mu towarzyszyli, stryj mój położył się i wistocie zasnął snem głębokim. Dziedziniec, przez który się wchodziło do jego mieszkania, zaczynał się napełniać popiołem i kamieniami; gdyby tu był dłużéj pozostał,

jużby wynijść nie mógł. Budzą go, wychodzi i łączy się z Pomponianem i temi, którzy czuwali. Zaczęli radzić, czy się mają zamknąć w domu, czy błądzić po polu, bo domy były tak gwałtownemi coraz po sobie następującemi trzęsieniami ziemi poruszane, że się zdawały z posad swych wyrwane, popychały je one to w tę, to w tamtę stronę i nazad na miejscu stawiały. Z drugiéj, po za miastem lękać się trzeba było spadających kamieni, chociaż te były lekkie i od ognia wysuszone. Wśród niebezpieczeństw tych, wybrano ostatnie: poprzywiązywali sobie poduszki wkoło głowy, jako ochronę od padających kamieni. Gdzieindziéj już się na dzień zabierało, ale tu dokoła nich panowała najciemniejsza i najczarniejsza noc, oświecona tylko pożarami i ogniem wszelkiego rodzaju. Chciano się zbliżyć do brzegu dla przekonania, czyby morze nie dozwoliło jakiéj próby; ale było ciągle burzliwe i przeciwne. Wkrótce płomienie i zapach siarki, który oznajmywał o ich zbliżaniu się, wszystkich rozpędziły. Stryj mój, pozostawszy na brzegu, nagle został pochwycony wirem i natychmiast padł trupem. We trzy dni późniéj znaleziono ciało jego nietknięte.“

W następnym liście (XX) dodaje szczegóły równie zajmujące:

„Była pierwsza godzina na dzień, a jednak mimo to zaledwie słabe i wątpliwe ukazywało się światełko. Mury dokoła nas tak gwałtownemi wstrząśnieniami były rzucane, że niebezpieczném się stało pozostać w miejscu wprawdzie odkrytém, ale bardzo ciasném.

„Postanowiliśmy opuścić miasto; lud wylękniony, tłumami szedł za nami, naciskał nas, popychał; każdemu się zdawało, że się najlepiéj ubezpieczy, czyniąc to, co widział, że robili drudzy. Wyszedłszy za miasto, zatrzymaliśmy się; tu nowe dziwy, postrach nowy. Wozy, któreśmy z sobą wzięli, co chwila były tak gwałtownie rzucane, chociaż w czystém polu, że niemożna ich było utrzymać, nawet spore podstawując kamienie. Morze zdawało się przewracać i cofać, odpędzone od brzegów poruszaniem ziemi.

„Brzeg wistocie coraz szerzéj wychodził i okryty był rozmaitemi rybami, które osiadły na piasku. Z drugiéj strony, obłok czarny i straszny, porozdzierany ogniami, które wężykowato do góry parły, otworzył się i z niego wyprysnęły długie strugi, podobne do błyskawic, ale daleko od nich większe. Prawie natychmiast obłok ten upadł na ziemię i pokrył morze; zakrył przed oczami naszemi wyspę Capreę, opasując ją, zasłonił nam widok przylądka Mizeny.

„Popioły zaczęły nas obsypywać, chociaż w niewielkiéj ilości. Odwracam oczy i postrzegam gęsty dym, który goni za nami, rozlewając się jak potok po ziemi. Nie była to już noc ciemna i obłokami okryta, ale ciemności zamkniętéj izby, w któréjby wszystkie światła pogaszono. Słychać tylko było jęki kobiet, płacz dzieci,

krzyki mężczyzn. Jeden wołał ojca, drugi syna, tamten żony, i poznawali się tylko po głosach. Ów narzekał na losy swoje, inny na dolę swych bliźnich. Byli tacy, którzy, z obawy śmierci, wzywali zgonu. Wielu błagało o pomoc bogów, inni myśleli, że ich już nie było i że ta noc musiała być ostatnią a wiekuistą, w któréj świat miał się zagrzebać.

„Ciemności te straszliwe niekiedy się rozświecały, nie blaskiem dnia, ale jasnością płomieni wybuchających z krateru. Potém wracała noc, wracał deszcz popiołów, coraz gęstszy i obfitszy. Te niezmierne kłęby poszły aż ku Rzymowi, w tak wielkiéj ilości, iż tam zaćmiły światło dzienne. Naostatek czarne wyziewy rozeszły się powoli, jak dym lub chmury. Wkrótce potém ujrzeliśmy znowu jasność i słońce nawet, ale blade i takie, jak bywa po zaćmieniu. Wszystko było zmienione, obalone; morze straciło swe brzegi, a ziemia okryta kupami popiołów, jak czasem bywa śniegiem w dni zimowe, przedstawiała widok najsmutniejszy."

Inni pisarze wzmiankują, może z przesadą, iż popioły dosięgły Afryki, doszły do Syryi i Egiptu.

W tém zniszczeniu straszliwém miasteczko Herkulanum zostało zalane lawą Wezuwiusza, a Pompeja zasypana deszczem popiołów i kamyków, który ją okrył do piętnastu i osiemnastu stóp wysoko. Dachy i piętra runęły pod ciężarem. Po wybuchu Tytus przyszedł w pomoc nieszczęśliwym i zajął się ich losem, starając wyrwać z nędzy grożącéj. Część mieszkańców, przywiązana do miejsca, poczęła się w blizkości zasypanych ruin budować nanowo, ale ją spotkał ten sam los, co pierwszą Pompeję w r. 471. Widoczném jest, iż mieszkańcy ocaleni dobywali co mogli w początkach i kopali w popiołach. Późniéj o miastach tych tak zapomniano, iż przez 1676 lat zagrzebane w popiołach i lawie szczątki, nietknięte pozostały. Pierwszy raz natrafiono na ruiny w r. 1689, ale poszukiwania rozpoczęły się dopiéro w r. 1755. Dziwną jest rzeczą, że jak katakumby rzymskie, tak Pompeja mogła długo zostać zapomnianą, mimo że na jéj szczątki natrafiano. W r. 1592 budowniczy Fontana miał sobie polecone sprowadzenie wód rzeczki Sarno do Torre del Annunziata; kopano kanał podziemny przez Pompeję, natrafiając na posady domów, i nie uczyniono nic dla ich odkrycia.

Gdy jednak raz już kopać zaczęto, czynnie dość się odbywało odgrzebywanie. W Herkulanum oblaném lawą musiano wyrąbywać, w Pompei znosić, odkopywać popioły. Czyniono to zrazu szczególniéj dla dobycia prredmiotów sztuki, tak, że odkryte już w części pomniki nazad gruzem pozasypywano.

Z tych zdobyczy Herkulanum i Pompei, mimo wielkiéj liczby rozproszonych po świecie, rozdarowanych i rozkradzionych, głównie się składają neapolitańskie muzea. Pierwsze nasze poszukiwania zwróciły się ku zabytkom starożytnego malarstwa, które tu są prawie jedyne, a przynajmniéj nigdzie w takiéj liczbie i obfitości się nie znajdują.

Przez bardzo długi czas pozbawieni byliśmy wszelkiéj próby malowania starożytnych. Rzymskich kilka szczątków, dekoracyj grobowców, drobne złomki w ruinach, a nadewszzstko świadectwo pisarzy dawnych, dozwalały się domyślać, iż i ta gałąź sztuki uprawianą była szczęśliwie i do pewnego stopnia doskonałości doprowadzoną. [1])

Dopiéro odkrycia, poczynione w Pompei, zarówno na wykonanie techniczne, jak i charakter kompozycyi stanowcze światło rzuciły.

Odkryto mnóstwo niezmierne malowań ściennych, w które obfitowała Pompeja; doprowadziły one do wielu wniosków, ważnych niezaprzeczenie, sądu jednak ostatecznego o wysokości, do jakiéj doszła sztuka, wydać i dziś nie możemy, tylko opierając się na pewnych przypuszczeniach. Głównie należy miéć to na uwadze, iż mimo zamożności swéj, bogactwa mieszkańców, ich wykształconego smaku, Pompeja była małém miasteczkiem, w którém sztuka kwitnąć z całym swym przepychem i okazałością nie mogła. Obrazy okrywające ściany są prawie wszystkie dekoracyjnego stylu i pośledniejszych artystów; są one widocznie powtórzeniem słabém, kopiami mniéj-więcéj udolnemi, arcydzieł i kompozycyi znakomitych— wnioskować więc z nich o sztuce można tylko warunkowo i wszystkie te względy stawiać należy w rachunek. [2])

Naprzód co do samych pomysłów i przedmiotów, co do ducha malarstwa (którego znamy tylko jeden rodzaj dekoracyjny, gdyż właściwych obrazów na drzewie malowanych wcale nie mamy) powiedziéć sobie należy, iż ono w zgodzie będąc z całym sztuki starożytnéj rozwojem, wchodzi w jéj pojęcia i warunki bytu; podziela losy rzeźby, i w najściślejszym z nią jest związku. Jak cała sztuka starożytnych jest ciągłém idealizowaniem i abstrakcyą człowie-

---

[1]) Źródła: Wandgemälde der vom Vesuv verschütteten Städte Campaniens, v. Wolfgang Helbig und Otto Donner. Leipzig, 1868.

Overbeck. Pompeja. Drugie wydanie.

[2]) Świeżo odkryte na Palatynie w Rzymie malowania starożytne w niewielkiéj ilości, ale bardzo znakomite, potwierdzają, co tu mówimy; albowiem co do stylu i wykonania ani je można porównać z pompejańskiemi, tak dalece je przewyższają.

ka a jego losów, tak i malarstwo musi téż być od wszelkiego realizmu i indywidualizmu dalekiém.

Człowiek, jako jednostka wyzwolona, zrodził się dopiéro z chrześcijaństwem, w sztuce téż nie mógł istniéć, nie istniejąc w społeczeństwie. Bohaterowie, bogowie, ideały i tłum a ciżba stanowią tych epok żywioł; ideałowi tylko hołduje sztuka, a nawet ubóstwiając żywych, ściera z nich, co zbyt osobistego w sobie miały typy pojedyńcze. W ideale zlewają się jednostki i wyrażają ich rodzaje, jakby umówionemi znakami. Prawie wszystkie przedmioty, które służą za temata rzeźbie, powtarzają się w malarstwie na sposób rzeźbiarski, ustawione bareljefowo i jak najbardziéj uproszczone. Język sztuki jest prosty i jasny, nic nadto—częściéj każe się domyślać wiele, nigdy nie mieści, bez czegoby obejść się mogła.

Jak rzeźba unika anestetycznych przedstawień boleści, męczarni, gwałtownych namiętności, przedmiotów straszliwych i groźnych, tak malarstwo nigdy ich tknąć nie śmie. Krwawy dramat nie występuje na scenę nigdy, bo świątynia sztuki to owe *templa serena* Lukrecyusza, których śmiertelne przygody nie dosięgają. Lepiéj to jeszcze zobaczymy, rozpatrując się w pojedyńczych malarstwa zabytkach.

Co do techniki, powiedzieliśmy już, że prawie jeden tylko rodzaj obrazów, na ścianach malowanych, mamy przed sobą. Rozpatrzenie się w nich, nawet pobieżne, przekonywa, iż wszystkie w jeden téż sposób są wykonane. Jak—to było pytaniem, aż do lat ostatnich nierozwiązaném, lub bardzo różnie rozwiązywaném. W trojaki sposób, jak wiemy z Pliniusza, starożytni malowali; na świeżym murze, *al fresco*; na murze suchym farbami klejowemi, *tempera*, i enkaustycznym sposobem, z pomocą wosku i ognia. Sama enkaustyka była jeszcze dwojaką. Pierwsze dobyte obrazy stały się przedmiotem rozpraw i sporów bardzo żywych, a fałszywe o nich pojęcia płynęły głównie z niedostatecznéj znajomości techniki w ogóle.

Nawet nieco obeznani z malowaniem *al fresco* wyobrażali sobie, że farby na świeżym murze kładzione w ten mur wsiąkały, z nim się łączyły i głęboko wnikając, trwałość temu rodzajowi malarstwa nadawały. Szukano więc onych głęboko zasięgłych farb, a nie znajdując ich, wnoszono, iż malowania nie były robione *al fresco*. Tymczasem inaczéj się ma wcale i teorya tego rodzaju wykonania nie spoczywa na wsiąkaniu, bo farba nigdy nie wsiąka głęboko, ale na chemicznym procesie, który części tynku zamienia w rodzaj soli przejmującéj warstwę kolorów, utrwalającéj ją od zepsucia. Stąd też te tylko barwy używać się dają w malarstwie *al fresco*, które działaniu owéj soli oprzéć się mogą. Pierwsi znawcy wzięli wszyst-

kie pompejańskie roboty za temperę, za malowanie klejowe. Winkelman wszakże stanowczo orzec nie chciał. Rafael Mengs uznał je za freski; inni za enkaustyczne, woskowe roboty. Tymczasem znaleziono w Pompei resztki farb malarskich w garnuszkach, przysposobionych do użycia, a rozbiór chemiczny śladu w nich wosku dostrzedz nie dał.

Późniéj zdania były najsprzeczniejsze: Raoul-Rochette, Letronne, Hittorf, O. Muller sprzeczali się o to, nie dosyć na doświadczeniu opierając, więcéj na domysłach i teoryach. Ostatecznie dziś wszakże po głębszych badaniach p. Otto Donner, niewątpliwém jest, iż malowania ścienne wykonywano, z małemi wyjątkami, al fresco. Używano wosku może wyjątkowo do niektórych farb, mogących się zmienić i spłowiéć lub zczerniéć bez niego (szczególniéj na tłach obrazów). Nie możemy się tu wdawać w drobnostkowe dowody, po które odsyłamy ciekawych do rozprawy p. Donner.

Cały ogromny zasób malowań pompejańskich daje się rozłożyć na kilka główniejszych działów, które rozpatrzenie ich ułatwiają: wyobrażenia bóstw miejscowych, ogólne mity bóstw, mity bohaterów, obrazy historyczne, sceny rodzajowe, portrety, żartobliwe wyobrażenia, *nature morte*, krajobrazy i t. d.

Malowania ścienne już ze względu na sposób ich rozmieszczenia, na ramy i otoczenia, godne są uwagi. W tém leży jedna z ich główniejszych zalet, że tłem, ramami, całością, do któréj należały, tworzyły harmonijny efekt częstokroć dziś znikły, bo je powyjmowano z miejsc, a stawiąc jedne obok drugich, cały urok farb zniszczono. Łatwo to dostrzedz na murach nietkniętych domów, że u starożytnych farba była stosunkową, nie szło jéj o naśladowanie natury, ale naprzód o harmonię obrazu. Dziwnym instynktem jakby odgadli późniejsze teorye kolorów dopełniających, umieli między tłem a obrazem zachować ten stosunek, który główny przedmiot kolorytem podnosił. Stosownie do ściany, na jakiéj wychodził obraz, cienie figur kładziono, w miarę jak ton ogólny wymagał zielonawych lub sinawych, albo brunatnych. Łatwo pojąć, że wszystkie te różne gammy, zestawione obok siebie w muzeum, nawzajem często unieważniają się i sprzeczają z sobą.

Właśnie ten rodzaj malowań ściennych jest najmniéj zrozumiałym, gdy obrazy wycięte zostaną i odosobnione.

Ściany domów w Pompei, niektóre z wielkim smakiem i bogactwem, wszystkie w stylu architektonicznym fantazyjnym, są naprzód podzielone i pomalowane tłami różnemi jednobarwnemi. U dołu ciemniejszy cokuł, podstawa oddzielona linią, szlakiem, mało ozdobna, w kwiaty, wieńce, drobne obrazki zwierząt, ptaki i t. p. pomalowana, daléj w ramach główne pole na obraz przeznaczone,

u góry fryza kolorem jaśniejsza, ozdobami przypominająca podstawę. Ramy obrazu i mniejsze ścian podziały wypełniają słupki i architektura fantastyczna. Podział ścian, spowodowany ich rozmiarami i architekturą domu, dostarczał motywów do przerozmaitych kształtów pól, zapełnionych to krajobrazami, to figurkami lecącemi, to trofeami i t. p. Architektoniczne ozdoby malowane są nadzwyczaj urozmaicone i wielkiego wdzięku.

Nic się jednak ogólnego o malarstwie wyciągnąć nie daje z tysiąca tych obrazów z tego powodu głównie, iż mimo stylu podobnego i charakteru jednego wszystkich, są one nader różnéj wartości, od arcydzieł, do najpospolitszych tuzinkowych robótek. Wszystko to zresztą są przypomnienia kompozycyj sławnych, mniéj-więcéj udatne kopie artystów, techniczną wprawę ogromną posiadających, ale nie dzieła samoistne. Przyznajemy się, że pierwszy rzut oka, mimo kilku celnych obrazów, zrazu przykre zawodu obudził uczucie; dopiéro głębsze zastanowienie z tych danych dozwoliło korzystniejsze wyciągnąć wnioski.

Wszystkie obrazki malowane są z wprawą, z mechanizmem nadzwyczajnym, z pewnością pędzla szaloną, aż do zuchwalstwa. Czuć, że ten, co robił, tysiąc razy powtórzył motyw i umiał go na pamięć, jak wirtuoz kompozycyę muzyczną, wykonywając go prawie bez myśli. Ręka szła sama i nie myliła się nigdy. W takim rodzaju malowania trudno się téż wielkiego wykończenia i wielkiéj poprawności spodziewać, jakoż rysunek nie zawsze ścisły, choć zawsze śmiały, a egzekucya często bardzo, najczęściéj nawet, zaniedbana. Właściwie rzekłszy, mamy przed sobą dekoratorów utalentowanych pono, jeszcze jednak nie artystów, z małemi wyjątkami; ale smak i wykształcenie starożytnych artystyczne stały tak wysoko, że nawet małego miasteczka malarze podrzędni, w swoim rodzaju byli znakomici.

Mówiliśmy już o ogólnéj harmonii kolorytu. W pojedyńczych obrazach barwy są użyte umiejętnie, niekiedy z przeczuciem praw zadziwiającém. Ogólny panujący ton jest żółto-pomarańczowo-czerwony. Gamma ta króluje tutaj. Nader ostrożnie używano lazuru,—fioletową piękną farbę natrafiłem raz tylko. Jak w typach niéma indywidualności, są tylko ogólne zarysy idealne, tak w barwach prawdy nie trzeba szukać, tylko stosunkowéj.

Im przedmiot obrazu zbliża go więcéj do rzeczywistości a oddala od ideału, tém téż koloryt staje się prawdziwszym i naturalniejszym, jak np. w naśladowaniach ptaków, kwiatów i t. p. W większych kompozycyach, barwie panuje to, co ją otacza, sama w sobie jest ona niemal obojętną. Pędzel wszędzie chodził lekko, żywo, śmiało, nie dbając o szczegóły, raczéj o harmonię i udatność całości.

W twarzach bogów, bohaterów i t. p. wyraz jest rzadki, znać artysta o to, co my zowiemy ekspresyą, nawet się nie starał. Wskazują w wielu dziełach fresk z Ifigenią (z *Casa del poeta*) jako odznaczający się wyrazem boleści; obraz ten, pełen innych zalet i wielkiego znaczenia, w oryginale wszakże najmniéj uderza tém, co mu przyznają.

Wiemy, iż starożytni wogóle unikali zbyt gwałtownych okazów cierpienia w dziełach sztuki i tam nawet, gdzie przedmiot wymagał ich, łagodzili wyraz ten, ażeby spokoju i majestatu dzieła nie zepsuć. Im idealniejsze są postacie na freskach, tém spokój i powaga w nich większa, bo one wyrażały siłę i potęgę. Boleść jeszcze w téj epoce uświęconą nie była i nie otrzymała praw obywatelstwa. Bohater, choćby cierpiał, winien był pogodą czoła się uśmiechać.

Jedyne postacie, w których widzimy wyrażony ból, cierpienie i t. d., są to podrzędne i gminne wizerunki barbarzyńców, Daków, gladyatorów, amazonek, istot w rozumieniu ówczesném podlejszych. Tak samo uśmiech pijany umié tylko dać artysta satyrowi, faunowi, niewolnikowi.

Z tym majestatem niezachwianego spokoju stoi Jupiter Fidyaszów w Watykanie, Juno (Ludovisi), taki promienny młodością i siłą zwycięską jest belwederski Apollo. Unikanie wizerunków męki w przedmiotach sztuki widzimy jeszcze w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, w spadku po poganizmie, tak, że nie rychło dopiéro sztuka waży się w celu religijnym przedstawiać bolejącą ofiarę. W malowaniach pompejańskich przedmioty wszystkie brane są z tego świata pokoju i wesela, którzy starożytni miéć przed oczyma potrzebowali. Zefir żeni się z wiosną, bachantki ulatują w powietrzu, jakby do niego były zrodzone, nie potrzebując nawet skrzydeł do lotu, maski się śmieją, dziewczę się ubiera, tam grają koncert, tu amorki niosą owoce, kozy skaczą do winogron, Jowisz w tęczy króluje pogodny, Wenus leżąca się uśmiecha, a jako osobliwość z ucztowéj sali domu Dyomeda czy Skaura dobyty, przedstawia się raz jeden mozajkowy skielet śmierci z dwoma naczyniami w rękach, jako przypomnienie krótkości żywota: *Carpe diem!*

We wszystkich tych twarzach jakiś zdumiewający chłód bezmyślny i odrętwienie panuje; rysy wypogodzone, ani śladu na nich burzy, ale i światła niewiele. Próżnoby téż szukać twarzy, rysów, coby wzruszały i myśléć zmuszały; oblicze człowieka indywidualnego nie istnieje tu jeszcze, jest jakiś prześliczny ideał zimny, martwy (abstrakcya), który się nigdy nie zmęczył, nie zapłakał nigdy, a nawet nie pracował w pocie czoła. Marszczka, łza, fałd,

zepsułyby te czyste linie, w które się tu przyobleka bóstwo i bohaterstwo. Niekiedy téż one dochodzą do czystości nadzwyczajnéj, naprzykład w zarysach czerwonych na marmurze, w monochromach Aleksandra Ateńczyka.

Na celniejsze tylko obrazy niektóre zwrócimy szczególniejszą uwagę. Wiadome nam już są stosunki Kampanii z Grecyą i jéj grecka kultura, któréj ślady sztuka téż przechowuje. Wszystkie niemal celniejsze kompozycye obrazów, bogi i bohaterów przedstawiających, są ze źródeł mitologii i tradycyj helleńskich zaczerpnięte. Bogowie wogóle mniéj są liczni, niż bohaterowie. Bachusowa legenda powtarza się często, wychowanie Bachusa, wyzwolenie Aryadny, pochody z satyrami i bachantkami, również miłostki Jowisza i Ledy, porwanie Ganimeda, Jo, Apollo i Dafne, Mars i Wenus, Adonis raniony przez dzika, Neptun i Amymone, Merkury, Dyana i Endymion, Zefir i Flora i t. p., są najpospolitszemi mitologicznemi kompozycyami. Wszystkie niemal przedstawiają momenta miłosne i przedmioty wdzięczne. Poważniejsze, surowsze mitologiczne temata, jakby umyślnie usunięte. Tak samo z mitów heroicznych wybierano szczególniéj nadające się do wdzięcznych i miłych obrazków. Słusznie Overbeck uważa, iż na jednę walkę Herkulesa, Tezeusza, Meleagra, Jazona, po kilkadziesiąt wypada Narcyzów, Andromed, Aryadn i t. p.

Mit Herkulesa, jako założyciela miasta, powinien był panować w Pompei, wistocie historya bohatera spotyka się na wielu obrazach, z prac jego dwunastu nie wszystkie się trafiają, z miłostek kilka (Jole, Omfala, Auge).

Uderzył nas wykonaniem tak mistrzowskiém, iż nie wiem, czy mu inny jaki obraz dorówna, Telefos przez kozę karmiony. Obraz ten co do kompozycyi aż do zbytku bogaty, przeładowany może, wystawia małego Telefosa, kozę, kilka figur uosabiających, dodatkowych; zapełniony jest akcesoryami, ale kolorytem, energicznym rysunkiem, artystyczną egzekucyą, wskazuje rękę mistrza daleko wprawniejszego, niżeli była pospolita pompejańskich rzesza. Obraz ten dać może wyobrażenie, czém malarstwo było u starożytnych, w głównych sztuki ogniskach.

Piękną jest także walka Herkulesa ze lwem, wyrazem siły i spokoju, z jakim bezbronny gołą ręką, w paszczę wepchniętą, dławi napastnika. W ten sam sposób walka ta przedstawioną jest na wazach malowanych, na kameach, monetach, skąd wnoszą, iż kompozycya pierwotna musi być jakiegoś znakomitego mistrza. Inne téż przygody Herkulesowe są dość pospolite na murach.

Spotyka się także historyę Tezeusza, od młodości począwszy, do opuszczenia Aryadny.

W mniejszéj ilości idą: historya Argonautów, Medei, Jazona, Atalanty, Meleagra. Do najpospolitszych należą Perseusz i Andromeda i historya Perseusza wogóle. Tebańskie podania (Oedipus) prawie się nie spotykają. Świeżo znaleziony obraz jeden, matkobójstwo Alkmeona przedstawujący, wyszczególnia się tém, że na nim cienie rzucone od figur są oznaczone dobitnie. Wspominamy o nim dlatego, ażebyśmy dodać mogli, iż obrazy niemal wszystkie tém się różnią od naszych, że są jednostajnie, równo jakby rozlaném światłem oblane całe, gry cieni a blasków wcale na nich niéma. Stanowi to jednę z charakterystycznych cech malarstwa tego.

Trojańska wojna i cyklus powieści homerycznych należą do najulubieńszych przedmiotów w Pompei. Między niemi są niektóre wyborne obrazy. Tu znajdziemy budowę Ilionu przez Apolla i Neptuna, Ledę z gniazdem (kilkakrotnie), sąd Parysa, Parysa i Helenę, ofiarę Ifigenii, młodość Achillesa.

Jeden z najpiękniejszych obrazów pompejańskich wystawia Chirona uczącego grać na lirze Achilla; znany on jest z wiele razy powtarzanych sztychów. Koloryt nawet i kontrast dwóch karnacyj wybornie pojęty, a rysunek prześliczny. Daléj idzie odkrycie Achilla między córkami Likomeda, równie zajmująca i piękna kompozycya. Z homerycznych poematów mniéj stosunkowo czerpano epizodów, ale i te się znajdują. Do najpiękniejszych należy uprowadzenie Bryzeidy, w którym wyraz oblicza Achillesa zastanawia. Z Odysei bardzo piękny obrazek znaleziony w Panteonie przedstawia Penelopę uskarżającą się na swe losy przed Ulisem przebranym na żebraka. Postać Penelopy pełna szlachetności i powagi, przysłuchujący się Ulises, zaglądająca Melanto, całość wreszcie i ugrupowanie nadają mu wysoką wartość. Natomiast z tradycyi i poematów rzymskich tak jak nic nie znaleziono.

Już po bytności naszéj w Neapolu nowo przedsięwzięte poszukiwania pod kierunkiem gorliwego p. Fiorelli miały dostarczyć parę rzymskich przedmiotów.

Overbeck czyni ciekawe spostrzeżenie nad źródłami artystycznemi, z których kopiści pompejańscy czerpali. Że po większéj części obrazy są kopiami i naśladowaniami, to nie ulega najmniejszéj wątpliwości. Oprócz herkulańskich monochromów (o których mówiliśmy wyżéj, należą do najlepszych), podpisanych przez Aleksandra Ateńczyka, i mozajki Dyoskorydesa z Samos, nigdzie imienia artysty nie znaleziono. W przedmiotach po kilkakrotnie powtarzanych na murach (Narcyz, Andromeda, Adonis, Aryadna) są podobieństwa układu, ale nigdzie właściwéj kopii nie odkryto. Rodzi się stąd pytanie o stosunku tych powtórzeń do domyślnych

prototypów, i o pochodzeniu ostatnich. Z przypuszczeń różnych ledwie jedno przypisanie Medei Tymomachowi z Bizancyum ma za sobą wiele prawdopodobieństwa. W obrazie ofiary Ifigenii (z domu poety tragicznego) znać naśladowanie raczéj niż kopię sławnego obrazu Tymanta, w którym artysta twarz ojca, nie mogąc boleści jego wyrazić, okrył zasłoną. Ale bardzo sprawiedliwą jest uwaga, że autor kompozycyi nie dla okazania swéj bezsilności w pokonaniu tak trudnego zadania głowę ojca osłonił, raczéj, iż obyczajem było u starożytnych oblicze ukrywać, doznając boleści. W jednym także, nieznanym nam obrazie Danay, upatrzono naśladownictwo Artemona kompozycyi, wspomnionéj przez Pliniusza.

Słowem z tego wszystkiego widoczna, iż u starożytnych obyczajem było powtarzać słynne utwory artystów, natchnąć się niemi, ale do wiernego ich oddania nie przywiązywano wagi, a najmniejszy kopista w naśladowaniach tych pozostawał sobą i do pewnego stopnia mógł być samoistnym. Ten obyczaj, zupełnie nam dziś niepojęty, należy do charakterystycznych znamion dawnego malarstwa, dziś dla nas z trudnością wyrozumiéć się dających. Arcydzieło artysty jednało mu imię i było w najwyższéj cenie, ale myśl jego stawała się, można powiedziéć, własnością publiczną: spożytkowywali ją wszyscy.

Znawcy widzą w pompejańskich obrazach, szczególniéj naśladowania *greckich* malarzy; w dekoracyjnych otoczeniach ich, szkołę rzymską. Oprócz tego dają się dzieła te rozklasyfikować na dwa peryody: starszy odznaczający się tém, że obrazy nie malowane na ścianach, ale wstawiane były w mury, i nowszy po trzęsieniu ziemi r. 63, nierównie liczniéj reprezentowany.

Wszystkie niemal sądy o znaczeniu malarstwa w starożytności, o płaskorzeźbowym stylu obrazów, braku w nich głębi i powietrza, ograniczeniu kompozycyi niewielu postaciami, zburzyło i zachwiało odkrycie d. 24 października 1831 roku w *Casa del Fauno*, słynnéj mozajki przedstawiającéj jednę z bitew Aleksandra Wielkiego.

Arcydzieło to, jak się zdaje, poprzedniém trzęsieniem ziemi znacznie uszkodzone, wyrwało Goethemu, gdy je ujrzał, wyrazy w liście do profesora Zahn, powtórzenia godne: „Współcześni i potomność nie starczą, aby to cudo sztuki, jak należy, objaśnić; zmuszeni jesteśmy, po objaśnieniach, spostrzeżeniach i badaniach, zawsze nakoniec do prostego uwielbienia powrócić".

Rzeczywiście z podziwem staje się przed tą ogromną, a tak doskonałą, pełną i całą w sobie kompozycyą, iż ani najświetniejszéj epoki malarstwa mistrze, ani wyuczeni dzisiejsi wprawni naśladowcy i kompozytorowie, na wzorach wiekowych ukształceni, nie mogliby nic stworzyć umiejętniéj, gienialniéj pojętego. A ta

jest różnica onego arcydzieła od wszech późniejszych, że ono samoistne jest, pierwotne, gdy późniejsze już mimowolnie czerpią z tego, co je poprzedziło.

Bitwa Aleksandra jest ze znanych dotąd dzieł starożytnego malarstwa najprzedziwniejszém. Była téż i jest przedmiotem studyów bez liku, w znacznéj liczbie czczych i drobnostkowych, od których, jak mówi Goethe, do prostego uwielbienia wrócić zawsze na końcu potrzeba.

Kompozycyę obrazu wszakże od wykonania odłączyć należy naszém zdaniem. Nie stoi ono na wysokości pierwszéj, a niektóre części nawet, których rysunek i charakter jéj nie odpowiada, znawcy zmuszeni byli tłómaczyć sobie tém, że po trzęsieniu ziemi, które ją w części zgruchotało, mozajka niezręcznie odnowioną została. Bądź-co-bądź, utwór to pierwotnie znakomitego artysty *).

Przedmiotem obrazu jest bitwa, najprawdopodobniéj jedna ze stoczonych przez Aleksandra W. z Persami. Wszystko mówi za tém, iż ją oznaczyć można, jako walną i stanowczą walkę pod Issos. Z opisów jéj wiemy, iż gdy większa część wodzów, broniąc Daryusza, około jego wozu padła, sam on winien był ocalenie temu, iż dosiadł podanego mu konia i uszedł. Obraz przedstawia właśnie chwilę, gdy królowi podają konia, który ma go wybawić; koń ten stanowi sam środek i główny punkt kompozycyi. W lewo Aleksander na czele swojego wojska, gwałtownie nacierający z dzidą w ręku, przeszywa właśnie, jak się domyślają, Oksartesa, brata króla, który napróżno usiłuje wydobyć się z pod konia i w chwili, gdy już miał z niego zeskoczyć, zostaje przeszyty. Aleksander konno (ta część obrazu najmocniéj właśnie uszkodzona) z nadzwyczajnym pędem rzuca się na wodza, który ręką dzidę, w boku uwięzłą już, chwyta. Z głowy bohatera w pędzie spadł hełm, leżący na ziemi, twarz jest odsłoniona, ale ta właśnie ideałowi Aleksandra, ani tradycyjnym jego rysom, nie odpowiada. Przypuszczają, że została dorobioną. Persowie na widok zwycięscy przerażeni, nie myśląc się już opierać, dzidy na ramiona zarzuciwszy, uciekają w popłochu największym. Woźnica Daryusza, splątane i dębiące się konie wozu, napróżno chce gwałtownie pędzić; tymczasem jeden z otaczających, zeskoczywszy z konia, poddaje go królowi, który w téj chwili o sobie zapomniawszy, cały zbolały nad losem bitwy, osłupiały stoi i rozpaczliwy patrzy na zgon swojego wodza, wyciągając ku niemu ręce. Postać ta nieszczęśliwego króla, ruch jego, mistrzowsko są pojęte, zdają się

---

*) Zobacz piszących o tém *Gervinusa*, *O. Müllera* i *Welckera*.

przemawiać... W prawo uciekający tłum Persów. Główny punkt w środku kompozycyi, stanowi wóz wspaniały Daryusza, upadły Oksartes i Aleksander; figura Persa panuje całości. Nadzwyczaj jasno i wyraziście przedstawia się nam ta bitwa jednym epizodem scharakteryzowana; reszta służy jéj za tło tylko i objaśnienie. Krajobrazu niéma wcale, w lewo tylko, pomiędzy Aleksandrem a jego ofiarą, wznosi się suche drzewo, które może oznaczać, iż walka toczyła się w porze zimowéj.

Ruch nadzwyczajny, figury główne narysowane śmiało, naturalnie, umiejętnie. Jako szczególność można przytoczyć konia, którego poddają Daryuszowi, odmalowanego w skurczu tak sztucznym, trudnym a tak wybornie wykonanym, iż sam pomysł jego zdumiewa. Ruch postaci i ręki woźnicy usiłującego konie poplątane przynaglić do biegu; Daryusz wyciągający rękę ku Oksartesowi z osłupieniem i boleścią, postawa zwycięska Aleksandra, tłum Persów przerażony, niezrównanego są artyzmu i uczucia.

Z tego obrazu można po części wnosić, na jak wysokim stopniu stało malarstwo historyczne u starożytnych; Overbeck słusznie powiada, iż on stanowi epokę w pojęciach o sztuce u Greków i Rzymian. Poszukiwano wzmianki o autorach, którzy bitwy Aleksandra przedstawiaii, i znaleziono imię, nie artysty, ale artystki, Heleny, córki Tymona, Egipcyanki, która malowała bitwę pod Issos.

Wespazyan obraz ten jéj kazał przenieść do Rzymu, i być może, iż go z oryginału w mozajce przekopiowano. Welcker i inni nie znajdują w tém nic dziwnego, iż artystka i kobieta podobny przedmiot z taką siłą i energią wykonać mogła.

Pomniejsza jedna cecha zdaje się za utorstwem Heleny Egipcyanki przemawiać; szlak bowiem przedstawia, zapewne nie przypadkowo, atrybuta Nilu i Egiptu, krokodyla, ibisa, hippopotama i t. d., które nie mając związku z obrazem, oznaczają, jak się zdaje, pochodzenie artystki.

Pojedyńcze postacie bogów, bogiń, szczególniéj unoszących się w powietrzu bachantek, tanecznic, wypełniają wiele średnich pól głównych w komnatach. Piękne te ulatujące figury, jedne z najpopularniejszych pompejańskich, są powszechnie znane z mnóstwa kopij, powtórzeń i naśladowań. W oryginale te obrazki pięknego pomysłu, dosyć niedbale są w większéj części wykonane, choć w nich znać rękę wprawnego technika.

Czystości linij, pewności ich tu nie szukać, traktowane są dekoracyjnie. Zresztą w tymże rodzaju lecące postacie, znać upodobane starożytnym, powtarzają się w termach Tytusa, w kilku kolumbaryach i grobowcach. Kobiety, ulatujące na Chimerach, są

w świeżo odkrytych grobach rodziny Aricia. Naturalnie, że na lecące owe motywa, dobierano właściwych mitów i figur: Irys, Aurorę, Wiktoryę, Psychę, Hebę, Bachantki, Menady i t. p. Oprócz tych znajdują się i stojące postacie pojedyńcze, jak Ceres w domu Kwestora i t. p.

Niéma prawie rodzaju malarstwa, któregobyśmy próby nie znaleźli w tych bogatych zbiorach; tak i to, co my zowiemy rodzajowém, z największą się tu przedstawia rozmaitością, począwszy od obrazków z życia, scen teatralnych, aż do karykatury. Niepodobieństwem jest wyliczać, ani zdać sprawę ze wszystkiego. Wspomnimy tylko miłe bardzo obrazki rodzajowe przedstawujące geniuszki skrzydlate przy różnych a różnych zajęciach powszedniego życia, łowiące ryby, powożące, zabawiające się muzyką, stolarstwem i t. p. Tak zwane erotyczne obrazki, w których amorki grają pewną rolę, są w wielkiéj ilości. Dość znany z opisów jest ten, który wydobyty został z *Casa dei Capitelli colorati.* Piękna kobieta (w oryginale na nieszczęście bardzo zniszczona) z rodzajem korony na głowie, ubrana w bransolety i sandały, w białym przepasanym chitonie, żółtym płaszczu na biodrach, stoi zamyślona, podparta lewą ręką na słupie, i spogląda na amorka, który oknem ulatuje, trzymając w obu rączkach dwie korony, czy téż dwie przepaski. Przed nią stoi klatka, w któréj siedzą dwa amorki zamknięte. Trzeciego, gruby, długobrody w czerwoną egzomis ubrany starzec, lewą ręką przytrzymujący wieko klatki, za skrzydełka wyciąga. Za kobietą jeszcze jeden Eros stojący.

Inna taka sprzedaż Erotów znajduje się w zbiorze (Helbig, 824). Na wielkiéj liczbie obrazków znajdujemy dla starożytników nieocenione rysunki wozów, zaprzęgów, budowli i t. p.

Przychodzimy naostatek do krajobrazu, o którym, wedle powszechnego mniemania, starożytni wyobrażenia nie mieli. Długo przynajmniéj utrzymywano to, nie znajdując prawie przykładów pejzażu, który z całą swą rozmaitością występuje dopiéro w freskach pompejańskich. Krajobraz u starożytnych zajmował bezsprzecznie w malarstwie miejsce podrzędne, powiedzićć jednak nie można, ażeby się bardzo zastanawiające kompozycye i w tym rodzaju nie znajdowały.

Zdaje się, że krajobrazy dekoracyjne, wedle wiadomości przez Pliniusza podanéj (N. H. 35, 116) pierwszy zaczął malować za panowania Augusta niejaki Ludius (czy téż S. Tadius, wedle innego waryantu rękopismu). Wyraźnie o nim powiada wzmiankowany, że *primus instituit* wyobrażenia willi, portów, ogrodów, gajów, lasów, gór, stawów, strumieni, urwisk, dodając dla ożywienia ich postacie zajęte myślistwem, rybołóstwem, żeglugą i t. p. Wszyst-

kie wymienione przez Pliniusza rodzaje w mnogich obrazach pompejańskich się nam ukazują.

Słusznie powiada Helbig, że krajobrazy te, tak są zimne i bez wyrazu, tak nieobudzające żadnego uczucia, jak większa część dzisiejszych pejzażów, *vedute*, wykonywanych na ścianach włoskich domów. Ale, że starożytnym nie brakło poczucia natury i warunków przedstawiania jéj, dowodem są sceny z Odysei w Bibliotece watykańskiéj i kilka krajobrazów z Pompei, w których sceny historyczne są umieszczone. W tak zwanéj *Villa ad Gallinas* odgrzebane widoki, szczególniéj pięknie wykonane, zasługują na uwagę. Malowanie to śmiałe, wprawne, nadzwyczaj zręczne i efektowne, ma tę zaletę, iż uwydatnia główniejsze przedmioty, a mniéj godne zastanowienia ogólnikowo przedstawia. Na większéj części krajobrazów są okolice skaliste, górzyste, świątynie, wille, budowy fantastyczne z figurami mitologicznemi, hermesami, pastuszkami, zwierzętami. Nigdy zapominać nie należy, iż to są ozdoby ścian w małéj mieścinie, gdzie o znakomitych mistrzów było trudno. Na kilku obrazach zwierzęta są przedstawione z wielką biegłością rysunku. Oprócz tego w małych tabliczkach grupy zwierząt pojedyńcze, niekiedy z flamandzką prawie cierpliwością, bardzo pracowicie są malowane. Przypominamy sobie przepiórki skubiące łapczywie kłosy pszenicy, bardzo ładne. Tego rodzaju ornamentacye małych rozmiarów wystawujące ptaszki, rybki, grzyby, potrawy, sprzęty, są wogóle pilniéj wykończone od wielkich. Zwracałem uwagę największą na rysunek i pewność jego, na styl, i ponotowałem naówczas to, co mnie szczególniéj mistrzostwem wykonania zastanowiło. Czytam dziś w moich notatach największe uwielbienie dla obrazu Telefosa i wzmiankę o Amfionie, Zetusie i Dyrcy dla porównania ze sławną grupą Farnezyjską, o Dyanie z Endymionem, historyi Jo, ofierze Ifigenii, o gotowalni dziewczyny ślicznie narysowanéj, o Achillesie z Bryzeidą (Achilles sam szczególniéj piękny), o Perseuszu uwalniającym Andromedę, z dziwnie pogodnemi twarzami obojga, Tezeuszu zwyciężającym Minotaura i t. d.

Karykaturalne i żartobliwe obrazki pompejańskie, wszystkie prawie przedstawiają karzełki (pigmeje) w walkach z żórawiami, z kogutami, z krokodylami i t. p. Karłowate postacie w przesadnie wielkich hełmach, ogromnie zbrojne, trochę poczwarne. Tam gdzie siła ciała była w poszanowaniu, słabość stawała się pogardzoną i wyśmianą; może téż karzeł z pretensyą do siły rozśmieszał zarozumiałością swoją. Jedna z tych mnogich pigmejowych karykatur ciekawa jest tém, że wyobraża pracownię malarza (Casa d'Adoride). Znamy ją raczéj z rysunków niż oryginału, który się rozleciał. Karzeł siedzi przed trójnogiem z pędzlem w ręku,

z natury malując portret drugiego karła; inne trą farby i rysują.

Właściwych portretów prawie niéma w Pompei; kilka popiersi wyindywidualizowanych, wątpliwie wszakże, poczytują za rodzaj portretów. Znać te przez innych artystów i pewnie na drzewie enkaustyką były wykonane, dlatego ich tu nie mamy; bo, że po domach zachowywały się i popiersia i wizerunki rodziny, to nie ulega wątpliwości.

Na wielu ścianach malowano nie dla przyozdobienia, ale przez pobożność bogi, ofiary, penaty i t. d. Wogóle malatury te przez klasę malarzy osobną robione, są bardzo nędzne, niedbałe i najpośledniejsze. Tak samo mnogie *obscena*, sromotne wizerunki, są liche i nieforemne.

Z tego cośmy tu wogóle o malarstwie powiedziéć mogli, mimo najlepszych chęci naszych, wątpimy, żeby czytelnik bez pomocy sztychów i własnych oczów, mógł sobie wyrobić pojęcie charakteru tych zabytków. Trzeba przez nie widziéć i odgadywać świat i sztukę, do których należy, ale niemi samemi jeszcze zadowolić się niepodobna. Przyczynę wymieniliśmy na początku. Od arcydzieła do mazaniny szkaradnéj, cała gamma doskonałości i mierności, bogato jest tu illustrowaną.

XXIV.

Spoczynek. — Jadła w hotelu. — Przejażdżka po morzu. — Michele Mustaccio i syn. — Dlaczego Mustaccio? — Gawęda z wioślarzem.—Widok z morza.—Legenda o Masaniellu. — Lud i jego charakter. — Wyrażenia. — Próba języka i piosnki neapolitańskiéj.—*Morra.*—Loterye i Teatr San Carlino. — Typy charakterów w teatrze włoskim, Pulcinello. — Tartaglia. — Donna Petronia.— Altavilla. — Co grano na teatrach San Carlo i San Carlino.— Inne sceny.—Więzienia, szpitale, koszary. — *Castel dell'Ovo.*

Dzień był skwarny, a praca przy oglądaniu muzeów niemała, tyle się tu jednak nastręczało przedmiotów co chwila zajmujących żywo, niedozwalających się oderwać, iż przebyliśmy w salach dolnych, dopóki tylko sił stało.

Naostatek wyczerpał się ich zasób, ogrom i rozmaitość zabytków odurzyła, potrzeba było uciekać, ażeby nie oszaléć, a żeśmy sobie obiecywali powracać codziennie do zbiorów, przygotowując się niemi do oglądania Pompei, wyszliśmy nie bez utyskiwania na słabość władz ludzkich.

Telefosy, Aryadny, Bachantki, cudne rysunki na marmurze, krajobrazy figlarne snuły się długo jeszcze przed oczyma, choć jużeśmy przez skwarne ulice pośpieszali do naszych Crocelli.

Tu dopiéro można było odetchnąć. Gospodarz, jakby przeczuwał, iż potrzebujemy posiłku i ukrzepienia się do pracy nowéj, wystąpił z obiadem wspaniale. Nie pamiętamy w podróży nigdzie lepszego stołu i przy niewielkim koszcie, wytworniejszego jadła; lepszych ryb, owoców a nawet wina. Być bardzo może, iż usposobienie, trud, długie zresztą wygłodzenie przykładały się także do osmaczenia nam obiadów. Przyczyniało się i to do dobréj dla nas usługi, żeśmy byli prawie sami, bo w tych miesiącach wędrowców jest najmniéj w Neapolu.

Już nad wieczór po wypoczynku, wzięła nas dwóch chętka przejażdżki po zatoce ku Wezuwiuszowi. Trzeci towarzysz nasz miał wogóle nieprzełamany wstręt do wody, a raczéj przeczucie,

iż mu ona jakiémś grozi niebezpieczeństwem. Wolał więc na suchym lądzie pozostać.

Zeszliśmy na S. Lucia, poszukując łódki i wioślarza, o co nietylko nie było trudno, ale gdy myśl naszę odgadnięto zaledwie, opędzić się nastręczającym kłopot był niemały.

Wybór nasz padł naturalnie na jednego z najnatarczywszych, najweselszych, najbardziéj ochoczych, najwięcéj obiecujących. Michele Mustaccio, to było jego imię, wpędził nas do swéj łodzi i wraz z synem swym, młodziutkim chłopakiem, powiózł po spokojnym błękicie. Był to człowiek w sile wieku, ogorzały, obronzowany, czarny, zasmolony, niezbyt przyodziany, gdyż oprócz koszuli, spodni zatoczonych i czapki, nie miał nic na sobie. Chłopak jego, wyrostek silny, podobny do ojca, spozierał na nas ciekawie; Mustaccio miał za obowiązek, robiąc wiosłem, bawić nas rozmową.

Wyspowiadał się nam z całego swojego życia, a najprzód skąd poszło, iż ojciec jego został przezwany Mustaccio. Zapuścił on był wąsy samowolnie, a król ich nie lubił i nie tolerował, dano mu więc za nie bastonadę, a na pamiątkę jéj został przydomek Mustaccia. Śmiały ten mąż miał, jak powiadał syn, dwadzieścioro i jedno potomstwa.

Co się z nim stało, nie mogliśmy się dowiedziéć, ale Michele dodał, iż wstępując w ślady ojca, żonaty od lat siedemnastu, ma ich już szesnaścioro. Nie zdawał się kłamać wcale. Coby na to Malthus powiedział!

Uchwyciwszy nas, Michele starał się przypodobać, nastręczając swe usługi w przejażdżkach do Ischia, a choćby do Castellamare i Capri. Zaręczał, że się zna z morzem, i że się ono spokojnie zachowa, co dla małéj łodzi było koniecznem, bo w burzę na zatoce nie jest bezpiecznie, a Mustaccie wogóle prędko głowy tracą i tchórze są znakomici. Przy najlżejszym wietrze poczynają modlitwy i wota, ale o sterowaniu zapominają. Wieczór był piękny dosyć, Wezuwiusz stał, jakby obłokiem przykryty, który wiatr rozwiewał i spędzał, a drugi natychmiast się zbierał. Zatoka z całym swym wdziękiem roztaczała się przed nami w barwach zachodzącego słońca: liczyliśmy dokoła miejsca słynne z piękności i wspomnień historycznych. Cały Neapol w półkole rozłożony stanowił sam już bardzo malowniczy krajobraz od Scuola Wirgilego i Pauzylipu, z Castel del'Ovo, z twierdzą S. Elmo, ze swemi kopułami z polewanych pstrych dachówek i ogromnemi gmachy koszar. Mustaccio wskazywał nam to wszystko, a wspomniawszy ulicę Masaniella, objaśnił nam, że ten jego ziomek wdał się w bardzo niebezpieczną sprawę, chcąc królem zostać, co naturalnie smu-

tnie się skończyć musiało. Nie mogliśmy się napatrzyć, na wszystkie obracając strony, tych uroczych oddaleń, wysp śpiących w morzu, gór, zaułków i sznurów miasteczek białych. Pochmurne niebo, rozdzielając światło rozmaicie, jedne części pejzażu okrywając cieniem, inne gorącém światłem, zachwycające malowało nam obrazy. Paplanina Mustaccia była bardzo miłém towarzyszeniem, ucząc nas tego życia ludu, o którém nam opowiadał. Na Chiaja ukazał mieszkanie, które zajmowali on i jego współbracia, po większéj części w podziemiach nędznych, w loszkach pod domami, blizkiemi portu.

Mówiliśmy wiele o wadach ludu tego, który je winien w większéj części nie naturze swéj w głębi dobréj, ale opuszczeniu wiekuistemu i wpływowi w jakich wzrastał; należy coś wspomnieć i o przymiotach. U ludu tego jest może zbyt gorące, ale jest serce, na którém zbywa innym, i fantazya poetyczna, do dobrego zarówno, jak do złego ochoczy, pomysły ma czasem dziwne, łatwowierność dobroduszną i dziecinną prawie. Nie słyszałem sam tego, ale mi mówiono, że strzegąc się przekleństw, zwykli, przez eufemię błogosławić to, co im dokucza: *Qual benedetto affare!* lub *Andantevi a far benedire!* Ostatnie odpowiada naszemu — idź do licha i francuskiemu — *Allez vous faire pendre ailleurs!*

Z głęboką wiarą neapolitańczyk liczy swą rodzinę umarłą i żywą w jeden poczet, jakby z nią tylko chwilowo się rozstał.

— Wiele macie dzieci? pięcioro... *uno in paradiso, quattro quaggio.* (Jedno w niebie, a czworo tutaj). Gdzie twój ojciec? *Do due anni ci aspetta in paradiso.* (Od dwóch lat w raju na nas czeka).

Przyznaję się, że mi w Wenecyi prawie odrazu dyalekt miejscowy był zrozumiałym; w Genui przekupek języka długo nie mogłem zrozumiéć ni słowa, w Neapolu mało co szło lepiéj, przecież u manenta pod Wezuwiuszem zmuszony do rozmowy, jakoś ją potrafiłem poprowadzić, dyalekt ten łagodny nie jest, ale téż nieprzyjemnym nazwać go nie można.

Oto jest próbka piosenki czysto neapolitańskiéj:

Aquila, che d'argiento puorte l'ale,
Ferma, quanto te dico na pazola,
Quanto te levo na penna de st'ale
Per fa na lettrecella allo mio amore.
Tutta de sango lo volgio bagnare,
Po pe'sigillonce metto sto core.
Quando sta lettera è finita de fare,
Aquila, portancella, et viene mone.

(Orle ze skrzydły srebrnemi, zaczekaj, powiem ci słówko. Z skrzydła daj mi piórko jedno, list do méj drogiéj napiszę. Cały

krwią moją obleję, serce za pieczęć wycisnę, a gdy list będzie gotowy, orle mój, nieś go i wróć z odpowiedzią).

Chociaż wieczór nadchodził, wysiadając z łodzi, jeszcześmy pełno w porcie spotykali grających w *morrę*... i... wykrzyki *perduto! gagnato!* obijały się o uszy nasze. We dnie także o kupki ludzi niezmiernie tą grą całemi godzinami zaprzątnionych nie było trudno. Nigdy neapolitańczyk nie odmówi zaproponowanéj mu morry, gra namiętnie. Ale na czém, spytacie, gra zależy? Najprostsza w świecie, odegrywa się we dwóch dziesięciu palcami. Gracze stają naprzeciwko siebie, prawą ręką wybijają takt, a lewą poczynają; zaczyna podnosząc w górę kilka palców i wywołuje liczbę, jaką mu się podoba, byle dziesięciu nie przechodziła. Drugi winien palcami i ustami dopełnić różnicy między liczbą palców podniesionych a wymówioną cyfrą. Wygrywa kto prędko palce wystawi. Partya każda składa się z dziesięciu takich stawek, zwyciężony zwykle stawi butelkę wina. Lazarony bawią się w ten sposób po całych dniach z największym zapałem. Gra ta sięga jeszcze rzymskich czasów, poświadcza to przysłowie dawne mówiące o uczciwym człowieku, że z nim po ciemku w palce grać było można: *Dignus est cum quo mices nocte.* Palcami igrać, *micare digitis*, zwało się w dzisiejszą bawić się *morrę*.

Zabawka ta w najgorszym razie tylko czasu wiele kosztować może; daleko szkodliwszą jest namiętność do loteryi liczbowéj, któréj nadzwyczaj liczne biura, pod godłami świętych, nęcą ubogi lud, stawiący ostatni grosz od ust oderwany, na przyśnione numery, na wymodlone jakieś cyfry. Świętemu patronowi palą się świece, obiecują śliczne rzeczy, a gdy zawiedzie, gniew nań najstraszniejszy. Mówią o powyrzucaniu śś. Antonich, a połajania się nie liczą.

Z téj charakterystyki stan oświaty klasy niższéj najlepiéj się pojmuje. Szkół dla ludu nie spotka nikt w Neapolu, ale téż na każdéj prawie ulicy więzienie.

Mówmy o weselszych rzeczach i wnidźmy do San Carlino, do ludowego teatrzyku, najulubieńszego neapolitańczykom.

Z tego, co się rzekło o ludzie, domyśli się każdy łatwo, że Włoch wogóle a neapolitanie szczególniéj zrodzeni są na dramatycznych artystów; przypatrując się życiu powszedniemu, rozmowom, zabawom, kłótniom, słuchając opowiadań, którym koloryt dramatyczny łatwo nadać umieją, widzisz, że są najszczęśliwiéj obdarzeni na artystów.

Jak w teatrze starożytnym po części, tak do dziś dnia prawie we włoskim ludowym, kilka głównych, ulubionych typów, w różnych metamorfozach, składają się na to, coby można nazwać teatrem ich

narodowym. Typy te wyrosły z łona społeczeństwa, ukształtowały się z niego i dla niego i przedstawiają w skróceniu całą ludzkość. Są one wszystkie w najwyższym stopniu komiczne. Każda włoska prowincya ma sobie właściwych śmieszków owych, ułomną stronę człowieka przedstawujących aż do zbytku wyraziście. Tu należą Arlekin, Scapiu, Truffaldino (Bergamo). Truffaldino jest mieszczaninem zamożnym, podejrzliwym, pozornie przebiegłym, chytrym, a w końcu zawsze oszukiwanym. W Bolonii upodobanym jest Doctor Ballanzone, pedant zarozumiały, dumny a w rzeczy ograniczony. Do weneckich typów należy Messer Pantaleone, pyszny, samochwał, nieuk i głupiec. Brigella, służący jego, w rodzaju innych sług starego teatru, córka Smeraldina, typ kobiecy i włoski *per excellentiam.*

Teatr neapolitański składa się także z takich popularnych typów Pulcinella, Pankracego, Tartaglii i donny Petronii. Pulcinello jest neapolitańczykiem czystéj krwi takim, jakim g› wieki powoli stworzyły; cechują go tchórzostwo, obżarstwo, chytrość, skłonność do kłamstwa i chciwość, nie licząc próżniactwa, na którém wykwitają te przymioty. Pulcinello, mówi doskonały znawca tego teatru, kłamie bez potrzeby, mimowoli, dla przyjemności skłamania; a dla kilku dukatów sprzedałby ojca i matkę, gdyby go niemi obdarzyły niebiosa. Za gran pocałowałby w nogę największą hołotę, a kijem zapędzić go można w mysią jamę. Pulcinello nie umié nic, ale mówi wiele, plecie niestworzone rzeczy i niczemu się nie dziwi. Z tego wszystkiego składa się istota najzabawniejsza w świecie. Pulcinello ma strój właściwy sobie: szeroki kaftan biały, na głowie równie białą czapkę, szlafmycę, czy co chcecie, podobną do mitry, i maseczkę na pół twarzy czarną z nosem ogromnym. Maska i ubiór przypominają rysunki dawnych komedyj grecko-rzymskich. Don Pangrazio Cocoziello (Korniszon) łatwowierny wieśniak, dobroduszny, zadomowiony, serca najlepszego, którego niemiłosiernie oszukują i drwią z niego, niewinna ofiara litość często obudzająca, stoi wprost naprzeciw Pulcinella; Tartaglia (jąkała) chudy, suchy, w ogromnych okularach szafirowych, z zapaleniem oczu chroniczném, bywa najczęściéj skąpy i głupawy a uparty. Zjawia się on w różnych postaciach, wedle potrzeby sytuacyi. Donna Petronia jest podżyłą niewiastą w pretensyach, dającą się słówkiem miłosném złudzić i oszukać. Do tych głównych postaci komedyi improwizowanéj *dell'arte*, któréj często osnowa jest tylko oznaczoną, a artyści grają w niéj z natchnienia, dodają się figury podrzędne najrozmaitsze, i plącze z nich coś między komedyą a farsą pośredniego. Autorem i aktorem ulubionym w chwili, gdyśmy w Neapolu przebywali, był Altavilla, umiejący z najmniejszéj zręczności korzystać, by do teatru przywabić. Sto-

sunkowo též tu može więcéj dawano swobody, niż gdziekolwiek indziéj, a dowcipne, choćby ostre słówko uchodziło bezkarnie.

Abyśmy dali wyobrażenie ogólnego stanu teatrów w Neapolu, wyliczymy, co dnia tego grano na różnych scenach. Naprzód w *Real Teatro del Fondo* (Teatro Nuovo) przedstawienia nie było; w San Carlo po raz sześćdziesiąty szósty *Don Pasquale*, z illuminacyą, z nieuniknionym baletem p. Fuchs'a *Il ravvedimento ossia incostanza e amore*. Na teatrze *de'Fiorentini* trupa Alberti dawała komedyę w pięciu aktach Cav. Martini Fiorentini (bodaj z francuskiego) *La Donna de 40 anni.* Na scenie *San Ferdinando* filodramatyczne towarzystwo pod dyrekcyą pana Gustawa Pouchain, na benefis *pewnéj zubożałéj rodziny* grała *Il pessimista*, tłómaczoną z P. de Kock'a. W *Teatro Fenice* dramat Altavilli, z powieści Dumasa zrobiony (po raz 16-ty), *I tre moschettieri*; w teatrze *Partenope* „Trubadura” Verdiego; w teatrze *Sebeto* „Fridolina”; w cyrku popisywała się kompania jeźdźców, przedstawując Napoleona I w Egipcie, czyli śmierć Klebera. W małym teatrzyku *alla Marina del Carmine* nie było programu, ale coś grać obiecywano; naostatek w teatrze San Carlino po raz dwudziesty ósmy powtarzano ulubionego Pasquale Altavilla komedyę: *Il Papa dei contrabbassi* (sic). Sam Altavilla grał Terenzia, Pulcinella, Petito Antonio, inne figury dodatkowe zwykli artyści. Powiemy tylko to, że naiwność, żywość gry, prostota pewna w niéj, czyniły ją niesłychanie zabawną. Przypominało to, nie wiem czemu, one czasy Molierów i Shakspearów, gdy mniéj wymagano od sceny, a więcéj ją kochano.

Teatr San Carlino mieści się na placyku, zwanym *Castello;* jest niewielki, niewystawny, ale prawie zawsze przepełniony. Latem gorąco w nim nie do wytrzymania, nie wychodzi się bez bólu głowy.

O przesławnym, wielkim teatrze San Carlo, jednym z najwspanialszych w Europie, jako najbardziéj europejskim, najmniéj mamy do powiedzenia. Jest on podobny do wszystkich wspaniałych teatrów. Wystawiony z rozkazu Karola III, w roku 1738 w przeciągu trzech kwartałów, ukończony na św. Karola i inaugurowany na imieniny króla; po pożarze r. 1816 odbudowany przepyszniéj jeszcze, jest chlubą Neapolu, ale podróżnego nie przynęca.

Drugi teatr, *del Fondo*, także istniejący od lat osiemdziesięciu, mniejszy, przeznaczony jest dla komedyi i baletów komicznych. Teatrzyk *Fiorentini*, nazwany od sąsiedniego kościołka, grywa tragedye, komedye i dramata. W *Sebeto* dla ludu przedstawiają dramata z życia rozbójników, z podań ludowych i t. d.

Oprócz tego, mnóstwo szopek i teatrów maryonetek zabawia lazzaronów, którzy się bez tych *circenses* obejść nie mogą.

Równą, jeśli nie większą liczbę posiadał Neapol za czasów, w których go oglądaliśmy, więzień i domów karnych. Samych

większych, nie licząc *Nisidy*, która była jedném więzieniem, naliczyliśmy pięć: *della Vicaria, S. M. d'Agnone, S. Anello, S. Maria Apparante, Concordia* i t. p. Przechadzając się ulicami, rzadko przy większym gmachu inną otrzymywaliśmy odpowiedź, jak: *Caserne, Carcere*, lub w ostatku *Ospedale.* Wszystko to dowodziło małoletności ludu i czynnéj nad nim opieki, ale smutną jakąś barwę miastu nadawało. Liczba koszar, przeznaczonych dla szwajcarów i dla krajowych wojsk, przechodziła szesnaście. W każdéj części miasta spotkać się było można z niemi. Równie mnogo i szpitalów, ale jakaż to rzecz bolesna, że ich tam tyle potrzeba! *Casa Santa dell'Anunziata, Real albergo dei poveri, Casa dell'Incurabili, San Gennaro dei poveri*... pełne wszystkie! W samym ostatnim starców i sierot liczba siedemset przechodzi!

Nie wiemy, jak dziś Neapol wygląda, ale w r. 1858 z temi koszarami, więzieniami, szpitalami i zamkami obronnemi, mimo wesołości ludu, piękności kraju, cudownego klimatu, wrażenie czynił bolesne.

Przed samemi oknami memi, połączony wązką grobelką z lądem, czerniał *Castel dell'Ovo*, na owalnéj wysepce, od któréj kształtu został nazwany. Wysepka ta, dziś przyczepiona do lądu, niegdyś także z nim się łączyć musiała. Wiemy, że tu był pałac Lukulla, *castrum Lucullanum.* Wysepka zwała się potém *Isola del Salvatore*, w XII wieku przerobiono mury stare na twierdzę, która ma pozór posępny i straszny. Miałem czas studyować ją, a nawet jak najstaranniéj odrysować w albumie. Pozór ten więzienny zamku nie kłamie; ostatni cesarz Rzymu, *Augustulus*, wygnany przez Odoakra, tu życie skończył; tu była zamkniętą Helena, żona Manfreda, i Tomasz Campanela. Dziwne wrażenie robił na mnie ten pagórek piętrzących się czarnych murów, o których boki rozbijały się morskie fale, gdzie nigdy prawie żywéj nie można było spostrzedz duszy, tylko jakby tajemniczą siłą jakąś niewidzialną czasem wystrzeliła gdzieś z okna chorągiew, lub z czarnych jam murów huknęły działa niewidoczne. W nocy, gdy morze świeciło, gdy niebo było jasne, lub burza z błyskawicami zapalała widnokrąg, zameczek wydawał się jeszcze czarniejszy, jeszcze bardziéj milczący, a przy bladych i niebieskawych promieniach księżyca lub błyskawic ogniu, jedno gdzieś czerwonawém światłem gorejące okienko złowrogo pałało, jak krwawe Polifema oko.

I tego dnia, po powrocie naszym do hotelu, długo wpatrywałem się w *Castel* mój, niby pusty, niby zaczajony, cały osłonięty cieniem, z owym otworem ognistym. Fale morskie opasywały go jakby frędzlą fosforycznych światełek.

XXV.

Rzeźba. — Marmury i bronzy. — Sztuka i życie. — Smak starożytnych. — Ilość rzeźb i rozmaitość. — Bóstwa - ideały. — Apollo, Minerwa Herkulańska. — Psyche. — Apollo Citharides. — Byk farnezyjski. — Herkules. — Antynous. — Postacie idealizowaue. — Ptolomeus Soter. — Rodzina Balbusów. — Posągi konne. — Eumachia. — Arystydes. — Sokrates. — Karakalla. — Agrypina. — Grupa z wieprzem. — Naczynia. — Inkrustacye. — Bronzy. — Realizm w nich. — Tyberyusz. — Antynous - Bachus. — Neron. — Plato. — Augustus. — Aleksander W. — Amazonka. — Tancerki. — Fauny. — Merkury w spoczynku. — Głowa konia. — Koń Nerona. — Klucz wodociągu. — Małe bronzy. — Sprzęty. — Szyszak i głowa. — Samowary rzymskie. — Bronzy i ich ozdoby. — Dziś i wczora. — Kamienie rznięte. — Złotnicze rzeźby. — Mozajki. — Kamea olbrzymia zwana misą Farnesich. — Inne kamee. — Klejnot żony Dyomeda. — Gnomon w kształcie szynki i t. d.

Po niezrównaném bogactwie rzeźb w muzeach rzymskich, przyznam się, żem nieco obojętnie przystępował do oglądania zbiorów neapolitańskich. Wiedziałem już naprzód, że tu królują bronzy, jakoż wistocie co do ich liczby i piękności żadne muzeum w świecie tutejszemu nie zrówna; i marmury wszakże widzenia są godne, zawierają niektóre znakomite zabytki sztuki. Tu nawet, z powodu stosunkowo mniejszéj ich liczby, uwaga nie jest tak rozerwaną, swobodniéj zastanawiać się nad niemi można i podziwiać. Nigdzie téż pewnie tak całości i rozmaitości dzieł sztuki rzeźbiarskiéj objąć niepodobna, jak tutaj; począwszy od ideałów marmurowych, aż do drobnych a przedziwnych kameów, aż do bronzu, którym zdobiono powszedniego użycia naczynia kuchenne. Tu się dopiéro widzi, jakie poczucie piękna mieli starożytni, jaką ono było potrzebą, nie ludzi wyjątkowych i pewnych momentów życia uroczystych, ale wszystkich godzin żywota i wszelkiego stanu ludzi. Najmniejszy sprzęcik, gliniana lampka wieczorna, rączka naczyńka, pierścionek, nosiły na sobie ślady takiego smaku i wykończenia, taki miały wdzięk niewynaśladowany, *sponte* zrodzony pod dłonią artysty, iż się wydziwić nie można temu darowi, który ludy sarożytne znamiono-

wał. Jest dla nas, bądź co bądź, tajemnicą przyjście na świat tego kunsztu, do takiéj doprowadzonego doskonałości, nie na drodze wyrozumienia i naśladownictwa, ale żywego natchnienia.

Zabytków rzeźby przerozmaitéj utrzymało się daleko więcéj i różniejszych, niżeli malarstwa. Tu zadanie chcącego zbadać wszystko i objąć a związać ramami jednemi, niezmiernie trudne. Kunsztowi temu granic oznaczyć niepodobna; wciska się wszędzie, cechę swą kładzie na wszystkiém; wytworną linią wielkiéj prostoty poświadcza się, gdzie wyraźniéj uwydatnić nie może. Gdzie brak ozdób wszelkich, wdzięk w ogólnym kształcie zastępuje one i poświadcza uczucie, z konieczności jakiéjś ukryte.

W muzeum Neapolu, począwszy od posągów i płaskorzeźb marmurowych, od wielkich bronzów, od gliny palonéj, aż do kameów, rytych kamieni, drobnych wyrobów kruszcowych i naczyń italo-greckich, wszystko oglądać potrzeba, wszystko to jedno drugie objaśnia i do wielkiéj należy całości.

Z tego ogromu wszakże wspomnimy tylko to, co najmocniéj uderza i ducha starożytnych uwydatnia.

Na piérwszy rzut oka, chcąc poddać jakiéjś klasyfikacyi utwory rzeźbiarskie, nastręcza się jedyna, którą, nie zważając na rozmiary i materyalne oznaki, przyjąć musimy za najwłaściwszą.

W tym świecie marmurów oddzielają się sami bogowie i istoty ubóstwione, utwory idealne od postaci historycznych, od tego wszystkiego, co z rzeczywistości wyczerpniętém zostało lub na niéj oparte. Idealizowanie rzeczywistości jest zadaniem stosunkowo łatwiejszém, niż urzeczywistnienie ideału. Juześmy wielokrotnie mówili o tym najogólniejszym charakterze sztuki starożytnéj wyrażającym potęgę, siłę, wielkość, bóstwo i nadludzkość nadziemskim sposobem i powagą. Szczególniéj marmury odznaczają się tém pojęciem nieśmiertelnego ideału w spoczynku. Nie trzeba sądzić, aby im przez to brakło wyrazu i charakteru; właśnie bóstwo starożytnych nieśmiertelném znamieniem tém się odznacza, iż pokój i majestat jego zarazem się łączą z wybitną cechą téj potęgi, którą uosabia. Tak Jowisz, Wenus, Apollo, Minerwa, zarówno poważni i silni w sobie, lecz każde z osobna występuje szczególniéj, wyrażając władzę, piękność, harmonię, rozum i t. p.

Takim tu ukazuje się nam Apollo, grający na lirze, zdający się sam napawać dźwiękiem muzyki, z wyrazem promiennéj młodości, w zgodzie ze światem i w niebiańskim pokoju. Dwaj wielcy znawcy, Winckelman i Canova, Apollinowi temu nad wszystkiemi innemi dawali pierwszeństwo; chociaż Belwederski Apollo z jaszczurką w Watykanie i inne monumenta, apollinowskie wyrażające posągi, mimowol-

nie na myśl przychodzą. Niezmierny wdzięk ma głowa boga, a może, jak na bóstwo, mówiący już zbyt wiele.

W starym, archaicznym stylu surowym pojęta jest i przedstawiona herkulańska Minerwa, pochodzenia greckiego. Jak wszystkie pomniki tych epok, wymaga ona pewnego wtajemniczenia, aby się jéj piękność uwydatniła. W tego rodzaju dziełach nigdy prawie piérwszemu swemu wrażeniu wierzyć nie trzeba, ale pracować, by wniknąć w zakryte bóstwo.

Do ideałów zaliczyć trzeba przecudny tors Psychy, na nieszczęście szczątek tylko greckiéj rzeźby, zachwycającego wdzięku. Niektórzy znawcy chcieli w nim widziéć *Victorię*. Obok Apollina piérwszego, choćby dla porównania, kładziemy ze zbioru Farnezyjskiego Apollina *siedzącego* (jedyny *Citharoedus* w téj postawie). Jest on nie z marmuru, ale z porfiru dokonany, w połączeniu z karraryjskim marmurem; rzeźba polichromowa, piękna, ale rażąca tym kolorytem, chociaż na posągach wielu ślady malowania widziéć się dają. Starożytni krasili je tym sposobem, inkrustowali, i w Grecyi nawet barwa w rzeźbie miała prawo obywatelstwa. Tu jeszcze należą dwa zabytki rzeźby, ze zbioru po Farnesich przewiezione do Neapolu, grupa zwana *Bykiem farnezyjskim* i tegoż imienia *Herkules*. O piérwszéj z nich wspomina Pliniusz, jako o znakomitém dziele dwóch mistrzów greckich, *Apolloniusa* i *Tauriscusa*. Za Augusta przewieziono je z Rodu do Rzymu, gdzie w gruzach termów Karakalli zostało znalezione w najopłakańszym stanie. Grupa ta, jak ją dziś widzimy, jest w połowie przynajmniéj restauracyą nową i dopełnieniem mniéj więcéj szczęśliwém. Cała, prócz nóg, postać, nazwana Antyopą, w znacznéj części Amfion i Zetus, równie jak sam byk, są pouzupełniane. Sądu téż o zaletach tego słynnego w starożytności dzieła wydać dziś trudno. Części dochowane są wykonane bardzo pięknie i mistrzowsko, całość mniéj zaspokaja, jest przeładowaną i nie odpowiada zwykłym naszym pojęciom o sztuce greckiéj, dla któréj sceny okrutne a gwałtowne były wstrętliwe. Pomnik to wysokiego zapewne szacunku dla historyi sztuki i archeologii, ale w tym stanie, w jakim jest dzisiaj, nie godzi się o nim wyrokować. Grupa ta wielekroć była sztychowaną.

Wcale inne wrażenie robi arcydzieło, które się zowie Herkulesem Farnesich. Jest to jeden z pomników sztuki greckiéj, najlepiéj dochowanych, gdyż, oprócz palców u nóg, cały składa się z wynalezionych w termach Karakalli odłamów. Twórcą tego posągu jest Ateńczyk Glikon, widocznie uczeń szkoły Praksytelesa. Wyraz siły zwycięskiéj, spokojnéj, ubóstwionéj i wyidealizowanéj cudownie się objawia w Herkulesie. Postawa jego zdaje się oznaczać spoczynek po dokonanych dziełach w przedchwili apoteozy. Żadnego atrybutu,

żadnéj broni, oprócz pałki i trzech jabłek hesperyjskich w dłoni ręki, od niechcenia w tył zarzuconéj. Głowa uderza stosunkowo małemi rozmiarami, które olbrzymią budowę ciała uwydatniają. Styl szeroki, mistrzowski, potężny i wrażenie téż niezmierne. Niepodobna wypowiedziéć jaśniéj, upostaciować znakomiciéj ubóstwienia siły w spoczynku. Kolosalny ten posąg jest świadectwem najwyższego sztuki greckiéj rozkwitu, w jedném słowie arcydzieło.

Z marmurów, dołączywszy piękny obłam Antynousa, mocno dopełniony nowém dłutem, prawie wszystkie znakomitsze wymieniliśmy ubóstwione postacie.

Daleko obfitsze są zabytki wyidealizowanych postaci rzeczywistych, poczynając od przepysznéj, a naprzód się nastręczającéj głowy, nazwanéj Ptolomeuszem Soterem. Ciekawą jest bardzo cała rodzina Balbusów Herkulańskich, dobyta z pod lawy. Jednéj z nich tu tylko braknie, którą ofiarowano do Drezna. Wszystkie dziewczęta te bardzo wdzięczne, bardzo arystokratycznie wyglądające, ubrane skromnie, każda inaczéj. Włosy były pozłacane. Jedna z nich miała przybity na czole dyadem, którego nie znaleziono; twarze wszystkie podobno malowane téż były. Wyrazem oblicza zastanawia i Viciria Aretas, matka Balbusa i ojciec Balbus. Dopełniają tego szeregu Balbusów dwa rzadkie konne posągi, ojca i syna, które stały w dwóch zewnętrznych arkadach Chalcydyku. Całkowite dochowane konne postacie, jak wiemy, są nieliczne. Szczególnym pomysłem artysty było, iż dwóch Balbusów, stanowiących ozdobę arkad, sobie odpowiadających, pojął dekoracyjnie i zrobił, z wyjątkiem głów tylko, jakby dwa razy jeden posąg. Tego wymagała harmonia budowy, w którą ich wcielił. Postać młodego Balbusa, który powstrzymuje konia, a ręką prawą zdaje się dawać znak ludowi, — jest zręczna i piękna, ruch swobodny, prostota wielka. Koń mógłby być odpowiedniejszy naszemu ideałowi konia, ale głowa żywa. Od posągu ojca wierzch był odbity, dlatego tylko o synu mówimy. Rodzina Balbusów zajmowała znaczne stanowisko w Herkulanum, gdzie sprawowała godności pretorów i konsulów i liczyła się do dobroczyńców miasta.

Ślady kolorów nosi na sobie także piękny posąg kapłanki Eumachii, udrapowany szczęśliwie. Napis przy nim znaleziony w Pompei świadczy, że ona kosztem swym zbudowała kryptę, Chalcydyk *Fullonica.* Ten poważny mówca z tak energicznym wyrazem oblicza i taką powagą, jest skromnym a poczciwym Arystydesem? wątpić się godzi... Tu znowu podziwiać trzeba talent, z jakim starożytni osłaniali swe posągi, szlachetny styl tych sukni, pełnych prostoty i wdzięku. Stajemy nad głową Sokratesa... szczególna rzecz, marmur ten nie mistrzowska wykonała ręka, egzekucya wiele do życze-

nia zostawia, ale co za wyraz słodyczy w oku, rozumu na czole; co za prześliczna brzydota! ile w niéj charaktery! Jak ten artysta pojął i odgadł Sokratesa prawdziwego, nieśmiertelnego, któremu bogowie dali poczucie prawdy, żywot męczeński i śmierć tak piękną!

Winckelmann unosił się nad tą głową Karakalli, wistocie Tącyt i Swetoniusz na myśl przychodzą i cały ten wiek, co wydał szereg po sobie idących ubóstwionych a rozbestwionych Tyberyusza następców. Co za zuchwalstwo i duma patrzą z tego plagiatu Aleksandra W. Odwróćmy oczy, oto niezrównanéj piękności Agrypina. Na pół siedząca, w pół leżąca, cała obwiniona draperyami, smutna, zamyślona, zdaje się szukać środków, aby władzę nad niewdzięcznym synem utrzymać. Przepyszny to posąg! Jak on mówi o tym wieku, którego jest świadectwem, co za pańskość i dystynkcya w téj figurze matki cezara, w téj wielkiéj pani, do zgonu pięknéj i chcącéj piękną pozostać! Znawcy upatrują pewną sprzeczność między młodemi kształtami posągu, które zdradza draperya, a wyrazem twarzy; ale gdy sobie szczegóły zgonu przypomnimy i owę Neronowską krytykę nad trupem matki, znajdziemy w tém ślad historycznéj prawdy.

Do marmurów, godnych zastanowienia, dodać jeszcze należy raczéj ciekawą, niż piękną grupę ludzi, zajętych oprawianiem dzika (wieprza zabitego na ofiarę). Wykonanie, nieodpowiadające pomysłowi, wskazuje, że to być może kopia. Przedmiot niezwyczajny i szczególny.

Popiersi cezarów wielkie mnóstwo, niektóre z nich godne studyów szczególnych, dla charakteru. Przepyszne jest ogromne naczynie porfirowe, kunsztownie przyozdobione splotami wężów, makówkami i liśćmi roślin wodnych, które należéć mogło, jak się domyślają, do Eskulapa świątyni. Jedynemi w swym rodzaju są dwie inkrustacye na tablicach łupku czarnego, z żółtego marmuru. Ten rodzaj roboty dotąd był zupełnie nieznany. Na obu obrazach przedstawione są sceny bachiczne (Bachantka i Faun, Bachantka ofiarująca zonę cz. strophium, przepaskę, Pryapowi).

Kilka pięknych sarkofagów, mnóstwo płaskorzeźb giną wśród bogactwa tego różnorodnych zabytków.

Nic piękniejszego nad zbiór nieoszacowany bronzów; tyle i tak prześlicznych żadne muzeum europejskie nie posiada. Zaraz na wstępie uderza wcale odmienny charakter tych dzieł, w których więcéj jest rzeczywistości, niż ideału, więcéj poszukiwania prawdy, niż nadziemskiego piękna, więcéj charakteru niż spokoju, więcéj ruchu, niż trymfującego spoczynku. Z małym wyjątkiem, bronzy nie sięgają Olimpu, nie kuszą się o boskie oblicza, odtwarzają lu-

dzi, żywot powszedni i są, jakby dziś się wyrażono—realistyczne. Lecz realizm ten starożytnych wcale do naszego teraźniejszego nie jest podobny. Nie kusi się on o przedstawienie bez wyboru tego, co mu się nawinie, daje z życia co najprzedniejsze, brzydotę upięknia stylem, uzacnia poczwarność, umié najpowszedniejszą czynność uszlachetnić. Realizm tu jest częstokroć zewnętrznym tylko środkiem do uczynienia idei prawdopodobną, możliwą, do ucieleśnienia jéj; nie jest zaś nigdy celem samym—zawsze narzędziem tylko.

Łatwo pojąć, że same materyalne warunki, barwa ciemna bronzu mianowicie, dobór przedmiotów, które się w ten sposób odtwarzać miały—ograniczała. Niejeden cudny posąg marmurowy, odlany z bronzu, wydałby się zimnym, niejeden bronz na marmur przetłómaczony, zdaćby się mógł poczwarnym. Więcéj wyrazistości i dobitniejszego charakteru, więcéj ruchu i akcyi wymaga bronz i oba te warunki doskonale pojęli starożytni artyści.

Tu także celniejsze tylko możemy wymienić dzieła.

Pan Beulé, znakomity archeolog paryski, który tak ciekawe wydał studya nad kilku postaciami cezarów, nie wiem, czy znał bronzowego Tyberyusza neapolitańskiego.

Jest to wizerunek młodego jeszcze Tyberyusza, przed Rzymem i Capreą, smętnego owego wygnańca o niespokojnéj duszy, w którym już wrą zamknięte wszystkie namiętności, mające późniéj wybuchnąć. Pochylenie głowy, wyraz srebrnych oczów, charakter twarzy, wszystko aż do uszów z natury schwyconych, odsłania nam tajemnicę okrutnika, zarazem podstępnego a chytrego człowieka.

Jakby dla kontrastu, oczy się przenoszą na smętną a wdzięczną twarz ubóstwianego Antynousa-Bacha. Popiersie to przecudownie jest rzeźbione i wykończone z wielką delikatnością. Typ Hadryanowego ulubieńca, znany zresztą, powtarza się tu ten sam zawsze.

Oto Neron nieszczęśliwy, zsadzony z konia, na którym jechał zwycięsko, w postawie bohatera-artysty. Odwróćmy się od niego, aby cześć oddać nieporównanemu zadumaniu Platona, pełnemu łagodności, szlachetności i rozumu. Tak sobie najwyższą mądrość ludzką wystawiali starożytni, dobroci pełną, wyrozumiałą i niezamąconym oddychającą spokojem. Popiersie Platona do najpiękniejszych należy, tak, to on, boski Plato, w przepasce na czole symboliczné, mędrzec, którego mądrość nasza nie prześcignęła do dziś dnia.

Przepyszny posąg Augusta, do pasa tylko powinien być oglądanym i sądzonym; bronz ten bowiem widocznie w odlewie doznał ja-

kiegoś uszkodzenia, które w oczach znawcy nie zaszkodzi dziełu artysty. Dziwna rzecz tylko, że w tym stanie mógł być wystawiony i zachowany. Aleksander W., konny posąg (przewybornie posadzony na koniu), Amazonka, konna także, zasługują na uwagę.

Kilka jest w zbiorze postaci tańcujących, wszystkie prześliczne; tancerka z proscenium herkulańskiego teatru, przypinająca sobie systydę na prawém ramieniu; Faun w skokach (z domu Fauna), a nareszcie Faun opiły, arcydzieło wyrazu i naturalności. Faunów jest kilku; we wszystkich zdziczała, pół zwierzęca ich natura wyrażona bez karykaturalności, z charakterem wielkim. Faun śpiący równie piękny, jak pijany. Ale ten młodziuchny opój, pół przytomny, pół drzemiący, który nie mogąc się już podnieść, ręką jakby do tańca czyjegoś wtóruje—nieporównany. Obok niego stanąć tylko może Merkury, odpoczywający w podróży.

Żadne z tych dzieł nie potrzebuje komentarza i tłómaczeń; nawet profan, stanąwszy przed tym Merkurym, rozpoznaje człowieka znużonego podróżą, zadyszanego zda się jeszcze, który siadł na chwilę, aby odetchnąć i zaraz pobieży daléj. Nic naturalniejszego nad postawę znużonego bogów posła. Wszyscy znawcy przypisują jednemu z najznakomitszych rzeźbiarzy starożytnych ten posąg, któryby ani Poliktetowi, ani Lizyppowi wstydu nie zrobił. Bronz ten grecki znaleziono w Herkulanum.

Minąwszy wiele innych rzeźb, mimowolnie zatrzymuje się przy kolasalnéj głowie, widocznie do greckiéj epoki należącéj. Co za szkoda odbitéj reszty! Ta reszta, ciekawe zaprawdę dzieje! Koń stał cały na placu, gdzie była niegdyś świątynia Neptuna. W podaniach ludu, który zaczepia swe poemata o pomniki i imiona najrozmaitsze, wiążąc je fantastycznie z sobą, koń ów uchodził za dzieło Wirgiliusza. Wirgili w Neapolu miany był nie tyle za poetę, jak raczéj za czarnoksiężnika w średnich wiekach. Jemu przypisywano, że pod pewnemi konstelacyami ulał kolosalnego konia i nadał mu własność leczenia chorób końskich. Ten przesąd chcąc zniszczyć, arcybiskup Neapolu w r. 1322, nakazał konia stopić; ogromny tułów przelano na dzwony do katedry, a głowę, szczęściem jakiémś, potrafił ocalić Dyomedes Caraffa. W r. 1809 ofiarowano ją do muzeum, kopia gliniana pozostała w pałacu Colombrano.

Inny koń w ruchu, pozostały ze czterech wprzężonych do wozu Neronowego, znaleziony był w ruinach świątyni Herkulesa w Herkulanum. Ciekawy jako typ koński, który dziś wiele się zmienił.

Custode oprowadzający nie pominie żadnego z podróżnych, ażeby mu nie pokazał olbrzymiego bronzowego klucza od wodociągu, w którym zamknięta przed dwoma tysiącami lat woda bełkocze.

Mogę zapewnić, że ta stara woda wielu nieczułych na artystyczne piękności innych bronzów doprowadza do entuzyazmu. Woda! woda dwutysiącoletnia! Custode porusza klucz, wszyscy ciekawie nastawiają uszy: woda bełkocze... o cudo! tego rodzaju starożytności depczemy ciągle pod nogami; możnaby ciekawym téj wody zaręczyć, że cząstki, z których się składa ich ciało, istnieją od stworzenia świata.

Pomijamy z umysłu inne przedmioty, o których jeszcze mówić będziemy mieli sposobność, abyśmy rzecz o bronzach dopełnili choć pobieżném obejrzeniem, tak zwanych małych wyrobów bronzowych. Jakkolwiek na pozór należą one do innego rodzaju zabytków, my na ten raz tylko ich stronę artystyczną wskazać chcemy. Muzeum drobnych bronzów neapolitańskie jest jedyne. Zachowało się ich pod lawą i popiołami takie mnóstwo, iż w chwili, gdy to piszemy, zbiór pewnie piętnaście tysięcy okazów przechodzi. Naczynia ofiarne świątyń, sprzęty domowe, wazy, trójnogi, patery w nieskończonéj liczbie, najrozmaitszych są wzorów. Mijamy to, iż naczynia owe, narzędzia, ozdoby różnego użytku i przeznaczeń wtajemniczają nas w życie starożytnych i zdumiewają doskonałością, wyszukaniem, a domniemanym użytkiem swym domyślać się każą cywilizacyi nadzwyczaj wysokiéj, obyczajów wykwintnych; najbardziéj może podziwu godną jest ich artystyczna wartość.

Począwszy od rondlów z rzeźbionemi rękojeściami, od foremek do ciast i galaret, do kandelabru i trójnoga, wszystko cechuje smak wykwintny i instynkt artystycznego kształtu. Gdzie niéma rzeźby i ornamentacyi, tam jeszcze linia pełna prostoty, świadczy o uczuciu piękna.

Pan d'Aloe, który wydał dobry spis główniejszych przedmiotów, dzieli te bronzy, wedle prawdopodobnego ich użytku, na naczynia kuchenne, wagi, miary, kandelabry i lampy (jest ich kilkaset), narzędzia rzemieślnicze, łaziebne, zbroje, rynsztunki końskie i ułamki wozów, posągi i naczynia ofiarnicze, przyrządy do pisania, chirurgiczne narzędzia, muzyczne, ozdoby stroju i t. d.

Niéma prawie przykładu, ażeby ozdoby, choć podobne, powtarzały się niewolniczo, jednostajnie. W tych tysiącach, przy bacznem porównywaniu, nie mogliśmy dopatrzyć dwóch repetycyj zupełnych, dwóch odcisków. Każda z tych robótek oryginalna, umyślna i z myślą wykonana.

Wszystkie najpospolitsze narzędzia uderzają najstaranniejszém wykonaniem artystyczném, każdy przedmiot do codziennego użycia przeznaczony, kuchenka, lichtarz, lampa uboga, rączka łyżki, ciężar przyczepiony do bezmiana wykonany ozdobnie, z myślą właściwą przeznaczeniu i wdziękiem wielkim. Wagi, którémi ważono mięso,

wyobrażają zwierzęta i tym podobnie. Wśród tych bronzów jakże przejmującego doznajemy wrażenia, spotykając bronzowy szyszak dosyć prosty, a w nim głowę żołnierza, który w Pompei stał w bramie na straży i nie ruszył się dla ocalenia, a czaszka jego stróżuje szyszakowi temu do dziś dnia. Tak samo skute łańcuchami znaleziono cztery szkielety winowajców, czy niewolników.

Rozmaitość przedmiotów nie daje się wypowiedzieć; możemy zapewnić, iż dwa naczynia do gotowania wody z otworami na węgle w pośrodku, daleko są piękniejsze od tych, których my dziś do herbaty używamy. Możnaby je na półce dla ozdoby pokoju postawić, co wprawdzie spotykało u nas dawniéj samowary, ale tylko na folwarku.

Jedném słowem, bronz przybiera tu najróżniejsze kształty: wozy, siedzenia, krzesła, zbroje, naczynia, narzędzia, są z różnego bronzu.

Motywa ozdób najróżniejsze: rośliny, liście, sploty winne, kwiaty, skóry zwierząt, głowy zwierzęce, stworzenia fantastyczne, to, co my zowiemy arabeskami, okrywają naczynia i sprzęty. Połączenie nawet najmniéj na oko z sobą harmonizujących części przedziwne, wytworne, niespodziane niekiedy, zawsze smaku pełne. Motywa te wszędzie są spowodowane jakąś myślą, wyrażają cel, ideę, symbol, tak jasno i zrozumiale, że my, co tego świata nie znamy, czytamy w nim łatwo. Ale nie obejdzie się bez wstydu i westchnienia, bez upokorzenia. Wobec tylu zabytków przekonywamy się, niestety, żeśmy przez dwa tysiące lat nie wymyślili nic, że żyjemy plagiatem, że powtarzamy cudze i że zmysł ów twórczy, który im był dany, nam został cofnięty. Malowania naszych pokojów, bronzy, nasze nawet tkaniny i desenie są po największéj części naśladowaniem, które czasem oryginał popsuło, nie poprawiło go podobno nigdy. Moglibyśmy się pocieszać, że naszym wiekom inne zadania udało się rozwiązać, gdyby one choć trochę były porozwiązywane.

Mówiliśmy o rzeźbie, nie można naostatek pominąć kamieni, wypukło i wklęsło rzniętych, których zbiór wielki i cenny zachowuje się w muzeum. Niepodobna się nie zdumiéć doskonałością tych małych popiersi, figur, grup, często zaledwie przez szkło zwiększające dających się ocenić, czystości rysunku nadzwyczajnéj, wykończeniu, stylowi tych arcydzieł, które na drobną skalę odtwarzają znane utwory rzeźby. W tym rodzaju téż starożytni nie dali się nam doścignąć; naśladowania nowsze, mimo wdzięku, nie mają nigdy téj cechy smaku i doskonałości, jaką się dzieła greckie odznaczają. W sali, zawierającéj kamienie, umieszczone są także przed-

mioty kosztowne ze złota i srebra, z równym kunsztem i przedziwnym rysunkiem wykonane; wreszcie drobne wyroby z Herkulanum i Pompei. Sam ten oddział w swoim rodzaju jest może jedynym w Europie. Posadzkę okrywa sławna mozajka z domu poety tragicznego w Pompei, pies rwący się z łańcucha, z napisem: *Cave canem*, strzeż się psa. Na oknie naprzód uderza stojąca najsławniejsza kamea w świecie, ogromna patera, zwana *Misą Farnezyjską*, starożytnéj roboty sardoniks wschodni, jedyny znany, rzeźbiony ze stron obu. Historya jego dziwna i zagadkowa: jedni podają, że został znaleziony w Mauzoleum Adryana (Castel Sant Angelo), drudzy, że przy szturmie Rzymu żołnierz z wojska Karola Burbona odkrył ten zabytek przy kopaniu wału w Willi Adryana pod Rzymem. Misa ta, przecudownéj roboty, na nieszczęście w środku jest przedziurawioną, gdyż musiała być osadzoną na nóżce. Dziś ujęta za brzegi, okręca się na wszystkie strony. Na spodzie jest głowa Meduzy; głąb dwukolorowy przedstawia wielki obraz z ośmiu figur złożony. Przedmiot jest niepewny i każdy ze starożytników w odmienny sposób go tłómaczy. Każdy w nim co innego czyta. Swoboda, z jaką artysta przedmiot traktował, nic z pewnością wyrzec nie dozwala. Główną jest postać starca, trzymającego róg obfitości, obok młodsieniec z nożem krótkim, niżéj siedząca niewiasta, siedząca na sfinksie, daléj dwie z rogiem i czaszą dziewice, u góry dwa bóstwa. Historya ma jakiś związek z Egiptem, ale ściśléj oznaczyć jéj niepodobna. Robota wielkiego stylu, wspaniała, przepyszna, daje miarę sztuki i osłupia. Głowa Meduzy prześliczna.

Ale jakże tu opisać tę mnogość miniaturowych mistrzowskich utworów! Odznaczają się wpośród nich: Jowisz piorunujący Tytanów przez Albeniona, głowa Jowisza Serapisa (agat), głowa Augusta, ofiara Cererze. Na półcalowéj przestrzeni, dwadzieścia figurynek przecudnie rozłożonych. Nie tyle podziwu obudza sama sztuka mikroskopowych rzeźb tych, jak szeroki, wielki styl, jak potęga kompozycyi, rozmiary idealne pomysłów. Jak w sławnym Ezechielu Rafaela małe płótno niezmierzoną myśl i ogromny obraz zamyka w sobie, tak tu na małym kamyku najwznioślejszy pomysł ujęty jest i z doskonałością niezmierną wyrzeźbiony.

Naszyjniki, pierścienie, guzy, spinki, tkanki złote, kolce są zachwycających proporcyj i rysunku. Pokazują tu ozdoby stroju, po których domyślają się żony Dyomeda, noszą one jéj imię; inne pierścienie osadzone są na kostkach palców, które zdobiły. Cóż powiecie? mimo piękności tego złota, kto wié, czy stosunkowo bronzy nie piękniéj i nie staranniéj są obrabiane?...

Naczynia zato srebrne ozdobne, wytworne są i wielkiego wdzięku;

puhary z wypukłemi mocno figurami, obleczone liśćmi winnemi, misternie rzeźbione kubki, formy srebrne do ciastek prześliczne. Dlaczego sławnemu *gnomonowi*, kompasowi słonecznemu, o którym wiele pisano i mówiono, nadano dziwaczny kształt szynki, odgadnąć niepodobna. Astronomowie obrachowali, że zrobiony był w r. 28 ery naszéj, zatém 1841 lat temu (*Excusez du peu!*)

Nie będziemy męczyć czytelników opisem tych osobliwości, o których jeszcze z powodu Pompei mówić będziemy musieli. Miarkując z siebie, czujemy, iż jednym razem połknąć tego ogromu niepodobna, a słowo, choćby najpilniéj się o barwę starało, uczuje się w końcu bezsilném, gdy mu pojęcie piękna plastycznego wyrazić przychodzi.

XXVI.

Galerya obrazów. Obrazy Marco-Spadaro z historyi Masaniella. Tomas Anielo. — Wybraniec ludu. — Na placu del Mercato. — Obraz morowego powietrza. Stara szkoła neapolitańska. Jéj charakter. — Rafael w Neapolu. Święta rodzina. — Portrety. — Tibaldeo. Portrety Tycyana i innych. — Obrazy zakazane.— Celniejsze dzieła. — Canaletto. Tomas di Stefano. Naczynia italo-greckie. Ich pochodzenie i rodzaje. — Ceramika starożytna. — Naczynia z Noli i Ruvo. — Papirusy. — Odwijanie zwęglonych. — Ks. A. Piaggi. — Rękopisma odkryte i wydane.

Dzień następny dla odmiany przeznaczyliśmy na oglądanie galeryi obrazów, dosyć nieszczęśliwie umieszczonéj w salach przyciemnych, pod nie wiem wielu kluczami, które podróżny siłą *monety* odkręcać musi. Nie żal jest jednak dobijać się widzenia zbioru, który wiele bardzo ciekawych i pięknych rzeczy zawiera.

Zaprawdę żal tylko, że na nic dostatecznego czasu nie mamy, że jak-eśmy w Neapolu ograniczać się musieli widzeniem rzeczy główniejszych tylko, tak teraz z nich wybrańsze znowu krótko i treściwie napomknąć zaledwie możemy.

Jednemi z pierwszych kart, które uderzają wchodzących, są obrazy, przedstawiające widoki Neapolu w czasach moru i rozruchów, z których sławne pozostało imię nieszczęśliwego Masaniello (Tomasso Aniello), wodza lazzaronów. Są one malowane przez Marco Spadaro i nie pod względem sztuki, ale jako historyczne zabytki silne obudzają zajęcie.

Oto w kilku słowach historya owego wodza ludu, który chwilowego swojego zwycięstwa bez zawrotu głowy znieść nie umiał. W r. 1647, za panowania Filipa IV, Neapol pod zarządem księcia d'Arcos w najsmutniejszém znajdował się położeniu. Wojna zmuszała zwiększać podatki, a lud cierpiał nędzę wielką. Rozdrażnienie stąd wynikłe z każdym się dniem zwiększało. Nałożono opłatę na owoce, jedyne prawie wyżywienie ubogich lazzaronów. Młody Mas Aniello, syn rybaka z Amalfi, którego żonie zabrali celnicy pół

miarki mąki, począł w rynku rozwodzić się z żalami przed zebranym tłumem. Nędza była nieznośną, panowanie Hiszpanów i bezwzględne obchodzenie się ich z krajem zwiększało ją. Niewiele potrzeba było, aby zrozpaczony lud do ostateczności przywieść. Celnicy pobili chłopca wiozącego na targ wiśnie, lazzaroni stanęli w jego obronie, zasztyletowano napastników i ruch powstał w mieście. Na czele zburzonego ludu stanął Aniello. Do nocy gromadzący się tłum urósł do półtorakroć sta tysięcy głów; napadnięto na pałac, załoga poszła w rozsypkę, wice-król schronił się do klasztoru św. Ludwika, pod którego świętości osłoną jeszcze bezpiecznym się mógł mniemać. Musiano ustąpić wzburzonym lazzaronom, z któremi zawarto kapitulacyę, poprzysiężoną u Santa Maria del Carmine, przez księcia d'Arcos i wodza ludu, którym się ogłosił Aniello.

Biednemu synowi rybaka powodzenie zawróciło głowę; wystrojony po pańsku, mniemał się już prawie panem Neapolu. Szał nim owładnął smutny i śmieszny zarazem, szał groźny, bo niepodobna było następstw jego obrachować. Ten lud, który przed chwilą czcił Masaniella jako wodza i półkróla, zabitego podstępnie potém, utkwiwszy głowę na kopii, obnosił po ulicach miasta, a nad zwłokami znęcano się okrutnie. Nic lepiéj nad te wypadki nie maluje niestałości uczuć tłumów, któremi owłada namiętność, które jedném słowem dają się wieść przeciw temu, co wielbiły, by obalone opłakiwać po chwili.

Ze śmiercią Masaniella zdawało się wszystko skończoném, ale trup jeszcze nie ostygł, gdy znowu tłumy się zburzyły, książę d'Arcos musiał się schronić do twierdzy nowéj, a pogrzeb zabitego wodza, któremu uwielbienie wróciło, był hasłem do ogłoszenia rzeczypospolitéj. Ze śmiercią wodza nie uspokoili się lazaroni, wyrośli z łona ich nowi dowódcy i chwilowo tłumy te opanowały Neapol. Stan kraju pod rządami Falconich i Annesich stał się opłakańszym, niż kiedykolwiek, nie było bezpieczeństwa dla nikogo; nadszedł głód i mór. We cztery miesięce potém, nędza doszła do tego stopnia, iż przybywającego Don Juana Austryackiego powitać już miano jako zbawcę, gdy śmiały Henryk Lotaryński, książę Gwizyusz, nadbiegł z Rzymu, ofiarując się obalony przywrócić porządek. Wprawdzie nie bardzo go sobie życzyli łupiescy i ci, co korzystali z nieładu, ale mieszczaństwo zamożniejsze czuło, iż surowszéj ręki potrzeba dla powstrzymania rozhukanych tłumów.

Wyprawa Gwizyusza maluje doskonale rycerskiego, śmiałego, awanturniczego ducha Francuzów XVII w. Książę Henryk Lotaryński wybrał się z Rzymu, nie mając nad kilkudziesięciu tak zuchwałych i mężnych kawalerów, jak on sam, broni niewiele, służbę nieliczną, a całego zapasu cztery tysiące talarów w złocie (skudów).

Czekano nań już w Neapolu; przedarł się przez flotę Don Juana, który leżał chory, i wylądował, witany radośnie. Prowadził go Nicolo Mannara, młody człowiek z dobréj rodziny neapolitańskiéj. Gwizyusz, wychowany w Rzymie, znał dobrze charakter Włochów i ich język. Wyprowadzono przed niego konia bogato przybranego, kobiety stały na balkonach, lud cisnął się naprzeciw przybywającemu.

Nazajutrz Gwizyusz wszystkie bramy miasta oddał pod straż swoich towarzyszów Francuzów; lazaroni przyszli się skarżyć, kazał im milczéć. Michel Santis dobył, grożąc, mieczyka. Gwizyusz, spostrzegłszy to, natarł nań konno i obalił. Aptekarz jakiś wystąpił z tłumu, chcąc przemówić; dostał laską po głowie, ukląkł i począł przepraszać. Sześciu rabusiów skazano na śmierć przez powieszenie. W jednéj z bram (Albańskiéj) straż odmówiła posłuszeństwa oficerowi francuskiemu; książę Henryk leci tam, trzaska kij na łbie nieposłusznego, zabija z pistoletu opierającego mu się żołnierza, a reszta pada na kolana i błaga miłosierdzia... Książę powraca do pałacu w tryumfie. Idący przy nim Nicolo Monnara odzywa się z powinszowaniem, iż książę uniknął niebezpieczeństwa.

— Jakiego niebezpieczeństwa? — uśmiechając się, odparł Gwizyusz. — Ludzie mojego rodu i dostojeństwa mają coś takiego w oczach, czego ta hałastra znieść nie może.

Długiémby było opisywać świetne czyny Gwizyusza w téj awanturniczéj jego wyprawie neapolitańskiéj, któréj szczęśliwych następstw kardynał Mazarini uznać nie chciał, ani popierać. Pięć miesięcy trzymał się Gwizyusz w Neapolu, ale nareszcie zdradzony został; don Juan Austryacki opanował miasto i wziął go w niewolę.

Do tych-to wypadków ilustracyą ciekawą są trzy obrazy Marco Spadaro.

Pierwszy z nich wystawia plac *del Mercato*, tłumami ludu przepełniony (r. 1647). W lewo w głębi pokazuje się Masaniello w ubiorze lazarona, z krzyżem w ręku, zdający się przemawiać do ludu i budzić go do oporu. W pośrodku widać obalony posąg wice-króla, a u jego podnóża, we dwa rzędy leżące głowy ściętych panów, daléj szubienicę i koła, i tłuszczę, która, spragniona krwi, urąga się ofiarom swoim. Na pierwszym planie zbiegowisko łupiesców, zabójstwa, rzeź. Tu wódz pospólstwa ukazuje się już jako tryumfator na przepysznym koniu białym, ubrany w szaty bogate, złotem i srebrem szyte, z głową okrytą tokiem aksamitnym pąsowym z piórem białém, na piersiach mając zawieszony obrazek Najświętszéj Panny Karmelu, wedle obyczaju ludu. Tłumy biegną za nim w uniesieniu.

Na drugim obrazie z r. 1648 wszystko się zmienia. Don Juan Austryacki wjeżdża zwycięsko do miasta na ten sam plac *del Mercato*, w towarzystwie arcybiskupa Neapolu, kardynała Filomarini

i wielu możnych panów. W głębi widać w têm samêm miejscu, gdzie leżały głowy ściętych szlachty i panów, upadłe teraz głowy przewódców tłumu i chwilowych zwycięsców.

Jakby dla dopełnienia tych dwóch scen, następuje trzecia z roku 1656, którąby można nazwać palcem bożym. Okropny obraz rozwija się przed oczyma patrzącego: mór straszliwy niszczy miasto, trupami zalega plac *Mercatello*, ziemia zasłana niemi. Wpośród stosów tych malarz umieścił dziecię żywe, ssące pierś matki skostniałą. W pośrodku prefekt miasta, otoczony orszakiem licznym, daje rozkazy, które się zdają bezsilne. Wozy leżą połamane pod ciężarem trupów, które wywozić miano; widać kapłana, przygotowującego na śmierć konających.

Wspomnieliśmy o tych trzech kompozycyach nie dla ich artystycznéj wartości, lecz że się one ściśle łączą z historyą Neapolu i zbliżone do siebie, stanowią jakby jednę całość, pełną smutku, jak dramat tragiczną i straszną.

W drugiéj sali jest tego samego Marco Spadaro obraz z r. 1656 z wielu portretami współczesnemi (Salwator Rosa), wystawujący modlitwę o wybawienie od morowego powietrza. Obraz z figurami ukazuje wnętrze klasztoru San Martino.

Lecz czas odwrócić od nich oczy i w tym przybytku sztuki szukać mistrzów, bo nad mistrzów wpośród czterechset blizko dzieł sztuki trudno co więcéj będzie obejrzéć, opisać, wspomniéć nawet. Najpierwéj zwracają uwagę malarze neapolitańscy i innych szkół włoskich, z epoki przedrafaelowskiéj, zrodzonéj z natchnienia religijnego i mającéj całą naiwność i prostotę epoki, do któréj należą. Można to, jeśli się podoba, nazwać dziwactwem lub uprzedzeniem, albo fantazyą, wszakże wyższą dla nas miéć będzie wartość, co samoistnie z ducha rośnie i bez wzorów do pewnéj doskonałości dochodzi, niż to, co już z poślubienia szkoły chrześcijańskiéj ze szkołą starożytną powstaje. Przeto też owe Fra Angelica marzenia na murach, owe sny Luinich i Bellinich, sztywne jeszcze i jakby z pieluch nierozwinięte, ale życiem nowêm, bo żywotem ducha promieniejące, zawsze nas stokroć więcéj zachwycać będą nad najdoskonalsze twory sztuki, która do S. Jana szukała wzorów w Apollinie, a do Madonny bolesnéj w Niobie i t. p. Nie zbywa tutejszemu muzeum na obrazach, pochodzących z epoki przedrafaelowskiéj, tak neapolitańskich, jak i innych włoskich artystów. Vaccaro, Pacecco di Rosa, Donzelli, a szczególniéj Tomasso di Stefano celują; ostatniemu nawet cześć tę wyrządzono, iż jego obrazy niektóre przyznawać chciano Fra Angelico da Fiesole. Początki szkoły są nieskończenie więcéj obiecujące, niż przyszłość jéj dotrzymać miała. Jedno wszakże uderza, co z charakterem ludu a kraju, a nawet

z fizyognomią jego doskonale się godzi—obrazy, nawet pierwotne, mają w sobie zadatki realizmu daleko większe, niż inne szkoły włoskie w téjże dobie; realizm ten niemal przypomina germański.

Pomimo to jednak, spotykając się tu niespodzianie z Dürerem, uderza tak niesłychanie północna, nieco dzika, surowa, ostra natura jego talentu, iż się od wykrzyku nad nią powstrzymać nie można. Między Włochami a Germanii dziecięciem przepaść jest cała; w tych krwi płyną tradycye kilkutysięcznoletniéj cywilizacyi, tu dorabia się dopiéro człowiek nowéj a swojéj własnéj. W małym obrazku jest plemion historya, a potrosze ich przyszłość, bezwiednie wypowiedziana. Plemiona łacińskie już się pozbyły szorstkości towarzyszącéj sile, jeszcze krok, a rozpłyną się w sferach ideałów, kończąc życie. Tu rozpoczyna się dopiéro wyrobek żywota, który trwać będzie długo, aż z kolei, doszedłszy kresu posłannictwa, siły postrada.

Szliśmy naprzód pokłonić się mistrzowi wdzięku i powagi, stojącemu na skraju dwóch światów, dwóch szkół, dwóch epok, uczniowi Peruggina a nauczycielowi Giulio Romano—Rafaelowi. Imieniem jego oznaczonych jest tu kart kilka, choć nie idzie za tém, ażeby one wszystkie miały być autentyczności niezaprzeczonéj. Te nawet, których oryginalność jest wątpliwą, co do kompozycyi Rafaelowi niechybnie przynależą; zawsze więc zajmujące przedstawiają studyum.

Piérwsza oczy zwraca Święta Rodzina: Madonna z Dziecięciem Jezus na kolanach, które świętego Jana błogosławi. Obok, w półcieniu św. Anna, daléj nieco pod portykiem św. Józef. Obraz to nie pierwszéj maniery mistrza, nieco chłodny, lecz bardzo piękny. Styl wyszlachetniony, rysunek pełen wdzięku, w kolorycie przyćmionym i jakby naumyślnie zgaszonym, ażeby nazbyt nie porywał oczów. Oblicze Matki Boskiéj piękne, poważne, spokojne, niéma może nadzwyczajnego uroku innych Madon Rafaela, lecz wyraża niezmącone duszy ukojenie, uroczystą powagę Matki Bożéj. Dziecię téż idealne, prześliczne. Twarz świętéj Anny, babki, miłéj i łagodnéj staruszki, jest więcéj ziemską a niemniéj świętą. Całość kompozycyi obmyślona i natchniona zarazem, harmonijna, pełna, szlachetna. Nie jest to arcydzieło mistrza, lecz obraz godny Rafaela.

Ten przedmiot, tak prosty, powtórzy na różny sposób tyle razy, iż wydziwić się nie można gieniuszowi, który z tematu jednego tyle umiał różnych wydobyć arcydzieł. Weźmy tylko oblicza Madon, wszystkie sobie pokrewne, a wyrażające różne momenta życia, coraz wznioślejsze i aż do mistycyzmu się podnoszące. Od Matki Bożéj w Sposalizio, do Sykstyńskiéj, co za szereg różnych piękności, majestatycznych, promiennych siostrzaném podobieństwem charakteru

oznaczonych, przecież nieskończenie odmiennych. Jest to ta sama Madonna, a coraz inna, a coraz bardziéj się zbliżająca do ideału. W tém mistrzowstwo Rafaela, który nie potrzebuje wysilać się na pomysły cieleśnie urozmaicone, a umié być zawsze wielkim, jednę pieśń o świętéj powtarzając rodzinie. Obok Familii Świętéj, jest kilka jeszcze obrazów, Rafaelowi przypisywanych. Najprzód portret Leona X-go, z kardynałami Ludwikiem de Rossi i Juliuszem Medyceuszem, znany już z Florencyi. Niektórzy mają go za piękną kopię, wykonaną przez Andrea del Sarto, co bardzo być może. Świeższy on jest, świetniejszy, większy, jaśniejszy od prototypu florenckiego; lecz nie przeto nadeń pośledniejszy. Jest tu także tak zwany wizerunek matki Rafaela, kobiety młodéj, pięknéj, miłego oblicza, ubranéj w suknię czerwoną, który powieszono wysoko nade drzwiami, może aby mu się nie dać zbyt troskliwie przypatrzyć. Drudzy podają go za dzieło nieznanego ucznia Rafaela, lecz nie zdaje się nosić koniecznie cech jego szkoły i ręki. Jest to karta nader przynajmniéj wątpliwa. Dwa inne portrety Cavaliere Tibaldeo i kardynała Passerini, gdyby nie miały za sobą tradycyi mistrza, noszą cechy wybitne jego gieniuszu i są rzeczywiście arcydziełami. Rafael wobec ideałów, Madon i świętych, i Rafael portrecista, walczący z rzeczywistością, którą idealizuje, nie odejmując jéj prawdy, dopełniają się wzajemnie. Jako malarz ludzkich postaci z życia wziętych, a ubóstwionych i z ich idealizmem, niéma on sobie równego. Z dwóch tych wizerunków, obu wielce znakomitych, kawalera Tibaldeo zdaje się późniejszéj maniery i o wiele drugi przewyższa. Wystawia go do pół ciała, na tle architektonicznóm, pełnym życia, prawdy i siły. Modelowanie twarzy mistrzowskie, barwy, styl, wszystko niezrównane. Żadnego wysiłku dla efektu, żadnych wyszukanych kontrastów, portret jasny, śmiało rzucony a przerażająco prawdziwy. Kardynał Passerini, może z wcześniejszéj epoki, może w mniéj szczęśliwéj chwili malowany, acz bardzo piękny, nie dorównywa tamtemu. Twarz płaska nieco i bez wielkiego wyrazu, ręka spuszczona mniéj zręcznie, postawa sztywniejsza. Obok tych portretów stanąć tylko może tu Tycyan z Filipem II, arcydziełem w swoim rodzaju. Jest tu téż słynna Magdalena pokutująca, we łzach biedaczka, z załamanemi rękami, bardzo piękna, ale nie wiem, czy kto uwierzy w tę skruchę, pełną zalotności, podobniejszą do chwilowego kaprysu rozpieszczonéj zalotnicy. Nie wiem dlaczego portrety szczególniéj ściągały tu uwagę, wydały się nam prawie wszystkie znakomite; naprzykład Parmiggianina portret Ameryka Vespucci, Bartłomieja Schidone oryginalny ów szewc papieża Pawła III go z trzewikiem w ręku (starzec bardzo piękny), Tycyana niedokończony wizerunek papieża

Pawła III-go Farnezyusza z twarzą niezmiernie wyrazistą, może nie bez pewnéj złośliwości, napiętnowaną chytrością i przebiegłością wielką; Perugina Juliusz Clovio, słynny miniaturzysta, Krzysztof Kolumb, Parmiggianino i wiele innych.

W ośmiu salach, które za naszéj bytności zajmowały obrazy, rozmieszczone dosyć nieszczęśliwie i pozawieszane niedbale, z porozrywanemi numerami, które się doszukać nic nie dozwalały, wiele bardzo znajdowało się rzeczy zajmujących, nadto nawet na ten czas, jakiśmy im poświęcić mogli. Nie znaleźliśmy wszakże słynnych arcydzieł, jak Daniel Tycyana i kilka Wener, pozamykanych na klucze, wedle przyjętego tu obyczaju i dostępnych tylko z wielkiemi formalnościami, o które starać się trudno. Pozorem do tego uwięzienia dzieł sztuki była zbytnia swoboda, z jaką je utworzyli artyści, mogąca zgorszyć niewinnych. Dosyć byłoby w takim razie odosobnić te obrazy, aby się z niemi niespodzianie nie spotykano, lecz zabraniać ich widzenia jest śmieszném. Powtarzamy tu, cośmy już mówili z powodu obrazów i rzeźb pompejańskich, iż oczyszczenie to starożytnego świata z tego, co jego pogański stanowi charakter, jest historyczném fałszerstwem. Po tak ocenzurowanym pogaństwie, chrześcijaństwo nie uderza właściwością swą, którą stanowi skromność i dobrowolne wyrzeczenie się cielesności. Tak samo sztuka XVI i XVII w., gdy się jéj odejmie śmielsze arcydzieła, pojętą być nie może taką, jaką była wistocie. Madonna i Danae stanowią właśnie cechę jéj; wskazują, jak się bezwzględnie ubiegała za plastyczném pięknem, gdziekolwiek je znaléźć mogła.

Uderzyły nas jeszcze niektóre celniejsze obrazy, jak Belliniego Transfiguracya, samym przedmiotem zajmująca, ciekawa téż z powodu pięknego w stylu peruginowskim krajobrazu za tło służącego; kilku Peruginów pięknych (Bóg Ojciec między innemi); Salwatora Rosy Chrystus nauczający w świątyni i parabola o źdźble i belce w oku (Mat. E.), Claude Lorraine'a krajobraz bogaty, Domeniquina Anioł stróż (nieco ciężki), Ribery św. Hieronim i t. p. W szóstéj sali zbiór widoków Canalettego (Antoniego), bardzo téż piękny, przedstawia nam starą Wenecyę, dotąd tak mało zmienioną. Nie mówimy nic o flamandzkich i holenderskich obrazach, które są tu gośćmi, i choć między niemi kilka pięknych, we Włoszech obco one wyglądają. Trzeba je widziéć i sądzić gdzieindziéj. Muzeum téż, szczególniéj studyującym stare szkoły, a najbardziéj neapolitańską, polecić można. Pocecco di Rosa, Vaccro, Tommaso di Stefano, o których wspominaliśmy, tu tylko poznanemi lepiéj i ocenionemi być mogą. Matka Boska na tronie, otoczona aniołami i cherubinami; Liberius, obierający fundamenta kościoła *ad Nives*,

godnemiby być mogli Fra Angelico. A jednak, mistrz ten nie miał uczniów, nie pozostawił po sobie szkoły i tylko wielką ducha podniosłością naiwny artysta chwilami mógł mu sprostać. Ogólne wrażenie neapolitańskiego muzeum obrazów, widzianego po innych europejskich, nie dozwalało go pod żadnym względem zrównać z niemi. Być może, iż niedbałe utrzymanie przyczyniło się do tego. Wreszcie zabytki sztuki starożytnéj mogły także mimowoli patrzącego wpływać na jego sąd o utworach zupełnie innego świata, smaku, innych idei i pojęć. Naostatek ten ogrom różnorodnych płodów kunsztu, wabiących ku sobie, zobojętniał na wszystko, co pierwszorzędnego nie miało uroku arcydzieła, imienia, pomysłu.

Zostawało jeszcze zawsze tyle a tyle do oglądania, do nauczenia się rzeczy, które tu tylko zrozumianemi być mogły. Pomimo niecierpliwości wszakże, postanowiliśmy sobie co najbardziéj ponętne zostawić na ostatek, aby ze swobodną myślą późniéj napawać się tém bez troski o jutro.

Teraz pominąć nie było podobna jedynego w Neapolu zbioru malowanych naczyń italo-greckich, liczącego do 4,000 sztuk, którym równych niéma na świecie. Zestawienie tak wielkiéj liczby tych pomników ceramiki dozwoliło wyczytać naprzód historyę saméj sztuki owéj u starożytnych, potém objaśnić tysiące zadań, obrzędów, obyczajów tyczących się. Jakkolwiek przedmioty na naczyniach tych malowane powtarzają się często, jest ich wszakże liczba dostateczna do stworzenia całéj, że tak powiemy, literatury ceramicznéj.

Naczynia te, wazy różnokształtne (u nas pospolicie etruskami zwane) najrozmaitszych kształtów i wielkości, kratery, hydrye, lecyty, dyoty i t. p., wydobyte zostały w różnych stronach Włoch południowych, Nobi, Canosa, Plistia, Abella, w Kumach, Girgenti, Syrakuzie i t. p. Muzeum waz tak szczęśliwie się mnożyło i rosło i przybrało takie rozmiary, iż rząd téż, czując jego ważność, ze szczególną troskliwością starał się je dopełniać i bogacić. Nawet wewnętrzne urządzenie téj części zbiorów, w salach, których posadzki stanowią najpiękniejsze mozajki starożytne z Herkulanum i Pompei, nic nie zostawia do życzenia. Oprócz wartości artystycznéj, rysunku, kształtów, barw, smaku w ich wykonaniu, wazy te stanowią nieoszacowaną ilustracyę do mitologii starożytnéj, zbiór jakby rysunków oryginalnych, tyczących się żywota, wiary, obyczaju, obrzędów Greko-Rzymian. Skarby te zachowały się na kruchych listkach wypalonéj gliny, gdy tyle innych, daleko trwalszych zniszczało! Najstarsze z tych naczyń, zwane egipskiemi, z mniéj wytwornéj gliny białawéj, na tle jasném, mają rysunek ciemny; z drugiéj epoki italo-greckie naczynia, z piękniejszéj gliny, z ry-

sunkiem staranniejszym, powtarzają przedmioty tradycyjne, ale wykonane wdzięczniéj, daléj idą naczynia ciemne z rysunkami jasnemi, z napisami wielkich niekiedy rozmiarów, nader pięknych i pełnych stylu kształtów. Na wielu znajdują się imiona artystów, którzy je wyrabiali. Przedmioty, przedstawiane na wazach, odnoszą się do Herkulesa, Bachusa, tajemnic różnych i obrzędów, historyi Troi, Jazona, amazonek i t. p. Większa część wykopana została w grobach. Niektóre zabezpieczone były od zniszczenia wstawieniem w grube i mocne olle. Taką jest odkopana w roku 1797 w Noli, pełna popiołów i kości zebranych ze stosu, we wnętrzu któréj znaleziono téż pięć małych naczyń z wonnościami alabastru i piękny kamień rzeźbiony (sardoine), wystawujący orła, niosącego w szponach węża, dzieło greckie, wysokiéj wartości. Rysunek naczynia wystawia dziewiętnaście postaci, w stylu archaicznym, bardzo pięknie ugrupowanych i pełnych wyrazu, Pryama, Pirrusa, Ajaksa, Eneasza, Kassandrę i t. p. Inna sławna olla, dobyta w Nocera, w któréj znaleziono sympul bronzowy, wyobraża obchód świąt Neoinia, czyli Winaliów, po winobraniu w jesieni, a raczéj tajemnic Dyonizyackich—Bachusa indyjskiego. Najstarsze wazy z Noli, zwane izyackiemi, są bardzo proste, w kształcie kropli wody lub piersi (Izys, matka). Malowano na nich zwierzęta tylko, ptaki, ozdoby w stylu egipskim. Barwy gliny i polewy są smutne i jakby zblakłe, glina żółtawa i niedopalona. Napisy na późniejszych przy postaciach umieszczone, greckie, podają imiona tylko. Wyjątkowo znajdowano odłamki naczyń, w których rysunki niezupełnie płaskie, jak wogóle na wszystkich, lecz cieniowane są misternie. Taki jest, przed kilkunastu laty odkopany w Ruvo, prześliczny kawał naczynia znacznéj wielkości, wystawujący walkę Tytanów (2045), z nadzwyczajnym kunsztem wykonany. Enkelados szczególniéj odznacza się pięknością postaci i ustrojeniem. Zresztą, aby miéć lepsze pojęcie ceramiki téj, należy ją tu widziéć i nie pobieżnie oglądać, lecz badać i studyować. Jest godną tego ta nowa strona kunsztu, który, innemi się posługując środkami, przynosi téż z niemi nowe i niespodziane światło ku wyrozumieniu świata starożytnego.

Niestety, podróżny, przebiegający te sale, choćby z monografią Gargiulego w ręku, jeśli nie ma wiele czasu, powierzchownie tylko sądzić o tém może. Lecz uderzą go zawsze choćby linie i kształty téj ceramiki, któréj wdziękiem a prostotą najwyszukańszą późniejsza nie dorównywa. Dziwi nas, że naśladowania tych waz, bardzo pospolite, nie dają wiernych kopij najznakomitszych przynajmniéj tego rodzaju pomników, jak naprzykład kolosalnéj (2718), największéj ze znanych dotąd, dobytéj w Ruvo (wysoka 6 ½ palm.

neapol., szeroka w wydęciu największém 9¼). Mieści ona nie mniéj nad 158 postaci różnych, przedstawiających bitwy Amazonek z Achilesem, Ajaksem i wyborem greckiéj młodzieży, z niezmierném życiem i ruchem ugrupowane. Najmniejszy szczegół, ozdoba, pasek, najobojętniejszy arabesk, z wielkim i nieporównanym smakiem jest obmyślany. Jest to nieocenione dzieło.

Należy téż choćby się pokłonić gabinetowi papirusów, dobytych w Herkulanum i Pompei, zwęglonych niestety, a zawierających może w tajemniczych swych zwojach najdroższe pomniki przeszłości. Uchowały się one dlatego tylko, aby rozbudzić żal, iż cała ludzka umiejętność ledwie maluczko dobyć z nich mogła. Spoczywają dziś, czekając szczęśliwego jakiego odkrycia, czarne wałeczki, poukładane na pułkach. Wiele z tych drogocennych rękopismów niepowrotnie zginęło, bo z początku nikt się nie domyślał, co to było, i brano je za zwęglone drzewo. W Herkulanum, gdzie znaczną liczbę znaleziono, wyrzucono i połamano wiele. Późniéj w roku 1752, pod ogrodem klasztoru augustyanów w Portici, odkryto dom wiejski z ogrodem, który się rozciągał ku morzu. W środku jego była półokrągła sadzawka, otoczona kolumnadą. Pomiędzy kolumnami stały na postumentach popiersia marmurowe i posągi bronzowe, przeniesione do muzeów. Ulica, niegdyś wysadzona drzewami po obu stronach i grzędami kwiatów, wiodła do morza, kończąc się rodzajem altany wyniesionéj, wyłożonéj marmurami i mozajkami. Naprędce oczyszczając to miejsce i szukając po małych izdebkach, znaleziono w jednéj z nich szafy przy ścianach i w pośrodku jednę w kształcie stołu. Na nim leżał stos regularnie bardzo poskładanych wałeczków, których znaczenia nie umiano odkryć. Pewien dozorca wykopalisk, zwany Pederni, wpatrując się pilniéj w węgle, dostrzegł na nich dopiéro pismo greckie. W bibliotece téj znaleziono także cztery bronzowe popiersia Epikura, Hermaka, Zenona i Demostenesa, siedem kałamarzy, sztyletów kilka i trzcinek do pisania. To wkońcu naprowadziło na przekonanie o przeznaczeniu pokoju. Z rozkazu Karola III go, około dwóch tysięcy zwitków zwęglałych przeniesiono do muzeów naprzód w Portici, potém do Neapolu. Zwęglenie wprawdzie rękopismy przejęło do głębi, ale zabezpieczyło je od zgnicia i rozsypania się w proch, chociaż skutkiem jego stały się one tak kruchemi i łamliwemi, iż rozwinąć zrazu zdawało się niepodobieństwem. Napsuto wiele, nie mogąc nic poradzić. Cierpliwość i miłość nauki księdza Antoniego Piaggi zdołała wreszcie przemódz trudności. Wynalazł on bardzo prostą machinkę, która na błonce przezroczystéj przytwierdza węgieł cieniuchny i rozwija tak, aby późniéj czytać go można. Próbowano innych różnych sposobów, posyłano wałeczki do Anglii

i Francyi, chemik Davy usiłował także ożywić je i przywrócić spójność, wszystko to dotąd się nie udało. Rozwinięto wszakże sposobem księdza Piaggi około pięciuset zwojów, a niektóre z nich odczytano, w całości lub w części jakiéjś. Pracowali nad niemi uczeni: Mazzochi, Caraani, Ignarra, Giordano. Na nieszczęście, to, co dotąd wyczytano i ogłoszono drukiem, nie okazało się tak ważném, jak się spodziewać było można. Większa część rękopismów, z wyjątkiem dwudziestu kilku, była grecka. Pierwszy odczytany traktat Filodema o muzyce, ogłoszono w roku 1793. Następnie poemat łaciński Rabiriusa jakiegoś o wojnie między Cezarem a Antoniuszem, dwie księgi Epikura o naturze, w roku 1827 znowu rozprawy Filodema, skrócone z dzieł Zenona i Polistratesa, o krytykach niesłusznych. Osiem ułamków są wszystkie Filodema. O późniejszych wydaniach nie wiemy; zdaje się wszakże, iż nic prawdziwie pożądanego dotąd nie odkryto. Przyszłość może być szczęśliwsza.

XXVII.

Powrót do żywego życia. — Wędrówki bez celu. — Santa Lucia. — Wyroby przemysłu i sztuki. — Korale. — Lawa. — Antyki nowe. — Vesuvio. — Obrazy miasta. — Ruch uliczny. — Typy ludu. — Stragany. — Toledo. — Pogrzeb. — Powrót na balkon.—Muzyka pod oknem.—Grota Pauzylippu.—Widoki.—Grota di Sejano.—Brzegi morza, ruiny i winnice.—Willa w gruzach.—Willa Polliona.—Sadzawka dla muren karmionych niewolnikami.—Wille nowe i ogrody.— Przejezdni. — Powrót.

Spędziwszy cały ranek na oglądaniu muzeów, potrzeba było dla wytchnienia wrócić do żywego świata i trochę się orzeźwić innym widokiem. Towarzysze téż moi, Klemrod i Julmo, chociaż z wielką ciekawością oglądali wraz ze mną zabytki owéj tysiącoletniéj przeszłości, tęsknili potrosze za widokami miasta, ulic i teraźniejszości, przynajmniéj równie jak węgle zajmującéj. Wróciliśmy skwarem straszliwym do naszéj gospody i orzeźwieni nieco obiadem, spocząwszy nad notatkami, które pod pierwszém tylko i niezatartém wrażeniem spisywać się powinny, aby świeżości swéj nie straciły, wyszliśmy na dalsze oglądanie różnych miasta zakątków. W tych przechadzkach przynajmniéj mogliśmy się nie trzymać żadnego systemu i błąkać, jak się podobało.

Kto jedzie w celu studyów nad sztuką, może się zamknąć nad książkami, w muzeach; chcąc poznać lepiéj kraj, nie godzi się niczém gardzić, co jakąś stronę życia odkrywa. Poszliśmy więc w tę część miasta właśnie, w któréj wre najwięcéj ruchu neapolitańskiego, na *S. Lucia a mare,* pomiędzy sklepiki i przechodniów. Zwróciły naprzód naszę uwagę we wszystkich miastach włoskich nadmorskich mnogie i piękne wyroby korali. Rozchodzą się one po całéj Europie w najrozmaitszych kształtach, a pomiędzy niemi są i dosyć kunsztownie rzeźbione. Tego jednak o wszystkich powiedzieć nie można; rzadko który z artystów chce i może coś nowego wymyslić, powtarzają się stare wzory, prawie mechanicznie, wyrobione z jak największą oszczędnością czasu i pracy. Wyglą-

da to na pozór dosyć wytwornie, ale to rzemieślniczy wyrób tylko... Mnóstwo cudzoziemców przybywających do Neapolu, nabywa, co znajdzie, na pamiątkę, odbyt więc dosyć jest znaczny, ale zato rzeźbione korale wszystkie niemal są jednakowe i pospolite. Wytworniejsze tylko *różowe*, większe sztuki lub okazy bardzo kosztowne, przedstawiają coś czasem oryginalnego. Na wzorach-by tutejszym artystom nie zabrakło, bo cudnie piękne klejnoty starożytne znajdują się w muzeum pompejańskiém, nie zbywa im téż na talencie, lecz może na miłości sztuki, dla któréj się pracuje, nie oglądając na korzyść, jaką praca przynieść może. Oprócz wyrobów koralowych, których pełno na rozmaite ceny, równie mnogie są małe przedmioty, medaliony, spięcia, figurki, patery, węże, pierścienie z lawy najrozmaitszych barw, białéj, szaréj, brunatnéj, czarnéj, ciemno-zielonéj i t. p. Te, większych będąc rozmiarów, może z lepszą znajomością rysunku są wyrabiane i bardzo zręcznie, ale zawsze jest-to potrosze tandeta, jest-to handlowy wyrób, na którym chce się jaknajwięcéj zarobić małym kosztem czasu. Rzeźbi się więc oklepana główka kobieca, wedle przypomnień sztuki starożytnéj, bezmyślna, chłodna, czasem wdzięczna, gdy się w to wda przypadek, najczęściéj znośna tylko, ale wyglądająca na pozór klasycznie i niewiele znający się forestjerowie kupują to z wielką pociechą, że nabyli tak tanio! Zawsze to pamiątka!

Niéma ani jednego w Neapolu gościa, któryby coś nie wywiózł z sobą; każdy tu znajdzie, co mu przypadnie do smaku i możności. Ci, co chcą koniecznie antyków, znajdą je doskonale podrobione we wszelkich rodzajach, zacząwszy od italo-greckiéj wazy, aż do bronzu pompejańskiego. Fałszerstwo jest tu nawet doprowadzone do stopnia doskonałości i gdyby tylko kopiowało, ledwiebyśmy mu to za grzech poczytali. Za naszéj bytności w Neapolu przynoszono nam w tym rodzaju rzeczy bardzo ładne, a niektóre z nich mogły być autentyczne, bo je custode muzeum sprzedawał. Ogromnego zbioru starożytnych lampek glinianych, liczących się na tysiące, nikt nie mógł kontrolować, pocichu więc wiódł się niemi korzystny handelek, równie jak drobnemi bronzami...

Weszliśmy do składu fotografij, bo chciałem mieć widok Wezuwiusza, a żem się u p. Tibaldi bardzo gorąco upominał, Włochowi zaś szukać go nie zbyt się chciało i miał to ochotę na jutro odłożyć; gdym go naparł, wykrzyknął z pewnym rodzajem szyderstwa:

— *Ecco, sospira al Vesuvio!*

Powtarzaliśmy potém długo, śmiejąc się, to wyrażenie markotnego kupca, który sobie sowicie za poszukiwanie mozolne o mroku zapłacić kazał. Ale jakże można było wizerunku wielkiego

agitatora nie wywieźć a Neapolu? Właśnie zachodzące słońce i zmniejszający się skwar, zaczynały ludzi znowu powoływać do czynniejszego życia; wkrótce téż wrzawa, latanina, ruch pośpieszny, śpiewy i krzyki doszły do pożądanego stopnia dla podróżnego, który chciał mieć o nich wyobrażenie i wspomnienie. Na S. Lucia przecisnąć się było trudno; tam kłócono się przy sprzedaży fruktów morskich, owdzie śmiano przy straganie z limonadą; roznoszono wodę, rozwożono owoce, osły naładowane pomidorami, kartoflami, kukurydzą, brzoskwiniami szły, stawały, pozbywały się swego ciężaru. Przy każdym z nich formowała się grupa ludzi, mieląc rękami należącemi do włoskiéj rozmowy, kłócąc, śmiejąc się, drwiąc, popychając, potém przenosiło się to na inny punkt, rozbiegało i skupiało gdzieindziéj znowu.

Dwie cechy ma ten lud rozgorączkowany wiekuiście: wesołość szyderską i pobożność bałwochwalską. Gdzie tylko stragan stanie, widzisz zaraz na nim obraz świętéj patronki lub patrona; na rogach ulic, w niszach, na murach, na czółnach poczepiane są te lary i penaty, postrojone, wyświeżone. Gdziekolwiek oko sięgnąć może do głębi domu, spotyka Madonnę i lampę. Gdybyż ta przytomność Boga i jego wysłańców wpływała choć cokolwiek na życie i obyczaje! Bynajmniéj! ludzie rachują bardzo chłodno, iż grzechy swe zapłacą oznakami pobożności; im kto więcéj broi, tém gorręcéj modli się do opiekunów, czując, że potrzebuje ich łaski. Fanatyzm rośnie z rozwiązłością, w nadziei, iż pan Bóg zaciągnie w rachunek obok wyuzdania pokorę i wierność literze religii. Wychodząc z Santa Lucia ku miastu, chociaż fizyognomia ludu i przechodniów się zmienia, nie ustaje wrzawa, ruch, owo gospodarstwo uliczne, które sobie przywłaszcza chodniki dla spoczynku i pracy. Tu tylko większa mieszanina klas różnych. Powozy pańskie potrącają o corricola włościan, mnisi ustępują przed wesołemi dziewczętami, żebracy rozpychają elegantów, na pół nagie dzieci, ogorzałe jak cygańczuki, cisną się pod nogi paniom i panom, słowem, mozajka osobliwsza, nie powiem żeby piękna, lecz wielce oryginalna, coś niby Wschód przypominająca. Szkoda tylko, iż ludowi wogóle, nawet dzieciom, nawet ledwie dorastającym dziewczątkom, brak wdzięku świeżości, szlachetności rysów; jest-to plemię startego oblicza, stare i odrażające. Rzadko się spotyka twarz sympatyczniejszą i choćby odległe wspomnienie krwi greckiéj, która płynie w żyłach téj ludności. Za to mrowie to rusza się, wre, kipi, warczy, roi, kręci z niezmiernym szafunkiem jakiéjś wewnętrznéj siły, ludziom północy, nienawykłym do takiego ekspensowanin życia—niezrozumiałym.

Mimo wieczornéj godziny, sklepiki z żywnością bardzo były

czynne i mnogich gromadziły konsumentów; sprzedawano owoce, ciastka, smażone rybki, smażoną fasolę, najwięcéj wszakże wody z cukrem i cytryną. Przed jednym z takich straganów przyciągających, obwieszanych festonami złoconych papierków i wstążek, girlandami cytryn, z Madonną przepyszną na przyczółku, zatrzymaliśmy się dla przypatrzenia gospodyni. Tłusta, gadatliwa, już nie pierwszéj młodości limonadjerka, wystrojona paradnie jak stragan, z mnóstwem pierścieni na rękach, brudna przytém znakomicie, śmiała się, czerpała, nalewała, wyciskała cytryny, podawała szklanki i wiodła z konsumentami rozmowę nieprzerwaną, trwającą może dzień cały, którąby inną kobietę pewnie o chorobę przyprawiła. Nikt nie wypił swéj limonady, żeby jéj nie zaczepił, żeby się nie rozśmiał i żeby nie otrzymał odpowiedzi, odcinku i przy zdawkowéj monecie uśmiechu w dodatku. Głos jéj głuszył otaczającą wrzawę, a nawet niegrzeczny ryk osiołków, które z rozpaczy poczynały czasem wrzeszczéć na całe gardło. Ledwieśmy przebrnęli przez Toledo, gdy na drodze spotkaliśmy pogrzeb. Chowano biednego człowieka, ale znać należącego do jednego z licznych bractw miejscowych, które po śmierci czczą członków swych wspaniałym pogrzebem. Ciało z trumną zwyczajną, włożone było w bogatą ozdobną drugą trumnę do bractwa należącą, obwieszoną całunem wspaniałym, szytym złotem z herbami królewskiemi. Tuż za nią szli kapnicy biali, zakapturzeni, za niemi drugie bractwo w płaszczykach czarnych i kapelusikach marynarskich, a każdy niósł w ręku czarną chorągiewkę. Oprócz bractw tych i duchowieństwa, z rodziny, znajomych, przyjaciół, nie było nikogo. Obyczaj to znać powszechny. Umierający i zmarły przestają należéć do swoich, duchowni tylko bracia, z któremi ich złączyła modlitwa i służba boża, odprowadzają na wieczny spoczynek. Smutne to i nie nasze... polski obyczaj nie wymagał nigdy rozbratu z temi, z któremi wiązała wspólność losu, węzły krwi i walka życia.

Ściemniało dobrze, gdyśmy wreszcie skierowali się ku gospodzie, lecz nogi znużone domagały się odpoczynku, więcéj niż umysł, chciwy jeszcze nowych wrażeń.

Czekał nas tam balkonik miły z widokiem na morze, na Wezuwiusz, na wybrzeże Castellamare, Sorrento i Capri.

Ledwieśmy na nim zasiedli, gdy przy murku oddzielającym od morza oblewającego Castel del Ovo brzęknęła gitara. Śpiewak wędrowny, zobaczywszy nas, postanowił uraczyć serenadą. Nie był to zapewne artysta wielki, lecz na ognistym wyrazie, na wyrobionym głosie, na pewnéj naiwnéj maestryi mu nie schodziło. Śpiewał przytém nie zeszpecone arye wielkich pretensyj, ale piosnki ludowe, z których nuta *la bella Sorrentina* utkwiła nam dobrze

w pamięci. Ledwie przystanął i począł swój concertino na wolném powietrzu, gdy przechodzący skupiać się, stawać i słuchać zaczęli. Mur się zakrył cały gawiedzią, okna przyległych domostw zaczerniały głowami, ulica do pół napełniona lazarońdstwem, radém, że ma przyzwoity pozór stać z założonemi rękami. Tak liczna publiczność musiała szczęśliwie wpłynąć na usposobienie śpiewaka, gdyż śpiewał z wielkim ogniem i widocznie natchniony. Za ten popis wieczorny, tak dobrze przystający do neapolitańskiego nieba i krajobrazu, balkon jeden musiał zapłacić. Reszta amatorów porozsuwała się po cichu, gdy koncertant podnosząc kapelusz do góry, przypomniał: *Signori! Celenza! la moneta!* Zrzuciliśmy skromny datek, zawinąwszy go grzecznie w papierek i śpiewak poszedł dalej probować szczęścia. Cisza zaległa naszę uliczkę, noc milcząca, cudna, spokojna otoczyła nas dokoła... Powoli podniósł się księżyc na wypogodzoném niebie, zarumieniły potoki lawy na Wezuwiuszu. Na wygładzonych wodach morza, wiaterek marszczac je, wstęgi bladych rozwijał światełek. W dali jakby senne błąkały się ciemne barki rybackie, na tle omglonych oddaleń, *Castel del Ovo* czarny straszny... zaległ ze swém okiem Polifemowém.

Następny dzień na pół został stracony, potrzeba było odpisywać na listy, pokończyć notaty i przeczekać sierpniowy skwar nieznośny. Każdy z nas miał coś do czynienia, ażeby się uwolnić od suchéj łaźni i przed sobą samym lenistwo swe wytłómaczyć. Byliśmy téż nawzajem pobłażający i każdy z nas dopraszając się wiary u towarzyszów, wiarą w pilne nader zajęcia im odpłacał. Aż do obiadu nie wyszliśmy ani na krok, co dla turysty jest niedarowanym grzechem, bo każda godzina droga. Dotąd w gospodzie naszéj, z powodu pory roku, w któréj bardzo mało przybywa podróżnych do Neapolu, jadaliśmy zwykle sami; tego dnia przecież zastaliśmy w *tavola rotonda* całą rodzinę angielską, która nam nie przeszkadzała w niczém, milczała bowiem lub obchodziła się własną, cichą rozmową. Składało się towarzystwo z matki, ojca i młodego syna. Sztywne to, chłodne, poważne, odpowiadało typowi angielskiemu najpospoliciéj znanemu, obyczajem i twarzą. Obok państwa tych wszakże zjawił się młody Anglik, p. H. Spencer Ashbell, który rozpoczął z nami swobodną rozmowę i ożywiał ją w ciągu całego obiadu. Do ziomków swych nie odzywał się, będąc pewnym, iż nie prezentowany, nie otrzymałby odpowiedzi, z nami bardzo był miłym i grzecznym.

Mówił nawet więcéj, niżby na Anglika może przystało, ale żywość i młodość tłómaczyła to. Niezmordowany turysta, był już mimo młodości potrosze w całym świecie, a w roku przeszłym za-

pędził się nawet daleko na północ i zwiedził dwie stolice Rosyi: Petersburg i Moskwę. Obiad z rozmową przeszedł nam szybko, a że powietrze znacznie znośniejszém się stało, wybraliśmy się na przechadzkę ku grocie Pauzylippu, chociaż w chwili przybycia do Neapolu, raz już zwiedziłem wnijście do niéj i grób Wirgiliusza. Piękna droga wiodąca w tę stronę idzie wzdłuż Chiaja i Pie di Grotta, około kościołka N. Panny tegoż imienia, po za którym zakręca się nieco i malowniczo przedstawia się z téj strony fantastyczny utwór starożytnego tunelu, przecinający górę, wysoki a wązki. To przejście podziemne wykute w tufie, z którego góra się składa, wykonaném zostało tak dawno, iż pamięć i tradycya o tém zaginęły. Olbrzymie dzieło, bo długie na trzy ćwierci mili włoskiéj, istniało już, jak wiemy, za czasów rzymskich. U wnijścia stoi rodzaj pomnika z napisem, który zdobi jeszcze to miejsce, samo z siebie malownicze i piękne. Podziemie bardzo stusunkowo wysokie, bo dosyć wązkie, wybrukowane, oświecone dniem i nocą lampami, dziś po tylu przebywanych olbrzymich tunelach, nie czyni już tego co dawniéj wrażenia. Gdzieniegdzie widne są ślady rzymskich robót, kawałki murów. W środku i ku drugiemu końcowi znacznie się ono zniża. W drugiéj stronie krajobraz i widok na wioseczkę *Fuori grotta* nic niéma zastanawiającego. Nie bylibyśmy w Neapolu, żeby w Pauzylippie zabrakło — kapliczki i obrazka. Jakoż w prawo zaraz spostrzega się oświecony rodzaj ołtarza, przy którym za skarbonką siedzi kapucyn. Druga jest w końcu podziemia, a za górą dla podróżnych poufałych *Trattoria di Pausilippo.* Tu u wyjścia nie minie się nikt z cygańczukami czarnemi, wywracającemi koziołki i dopominającemi się za to groszaka, który każdy rzucić musi, bo inaczéj niepodobna-by się od nich uwolnić.

Przebywszy grotę ukazuje się wioseczka owa *Fuori grotta,* pełna ludzi zajętych na ulicach robotami brudnemi i nie czyściejszych od nich; rojąca się cyganami i wielce brzydkiemi kobietami bijącemi len i konopie.

W miejscu tém można zapomnieć na chwilę, że się jest w okolicy najpiękniejszéj w świecie. Tu poczynają się na płaszczyźnie rozłożone ogrody owocowe *Villi Bossa* i innych, urządzonych raczéj dla dochodu i gospodarstwa, niż dla oka. Po pewnym przeciągu czasu, drogi jednostajnéj i bez widoków zająć mogących, dostaje się nareszcie do starych, Rzymianom znanych wód mineralnych w Bagnuoli, gdzie dziś jest jeszcze zakład dla chorych. Tu nagle odsłania się, jakby nowa dekoracya, widok prześliczny na cudne morskie wybrzeże, wyspy dalsze, Ischią z wysokiemi góry, Procidę i przylądek Misene z panującą nad nim wieżycą. Na

kręgu brzegów widać we mgłach sinych miasteczka i wille porozrzucane, które przewodnicy mianują. Bliżéj patrzącego nieforemna góra stoi w morzu nieopodal od stałego lądu, jakby oderwana od niego, pokryta oliwnemi ogrodami, z zamkiem na szczycie i poczętą drogą a raczéj mostem, co ją miał znów z wybrzeżem połączyć. Jest to Nisita. Za bytności naszéj w Neapolu, mimo niezliczonych więzień porozsypywanych po całém mieście, wysepka ta jeszcze była także więzieniem i mieściła w sobie—mówiono—tysiące zamkniętych tu od lat dziesięciu nieszczęśliwych, nie mających nawet nadziei, aby kiedy wyszli na swobodę. Wysepka ta smutna, bezkształtna, jak placek leży tuż przy urwistym *Capo di Pausilippo*, z którym niezawodnie niegdyś połączoną być musiała, nim ją powolnie żłobiąc, odpruły morskie fale. Około niéj szczątki jakichś starych murów, mostu, kilka złomów skał sterczących. Tu Brutus po zabiciu Cezara na jakiś czas się był schronił i tu miał go Cyceron odwiedzać w willi Lukulla.

Nie było naszym zamiarem dnia tego daléj się zapuszczać, chcieliśmy tylko to sławne niegdyś oglądać wybrzeże, owo *precz ze smutkiem* rzymskie, usłane willami bogatych patrycyuszów, na którém przepych, zbytek, rozpusta wysilały się, by zeń raj ziemski uczynić. Tu uciekano od trosk Rzymu rozkoszować się morską kąpielą, niezrównanym klimatem, wytwornemi ryby, cieniem drzew, i domy jak cacka wyświeżonemi, ubranemi dla rozpieszczeńców losu. Dziś piękne to miejsce, teatr scen życia pełnych, jest stosem ruin strupieszałych. Po nad niemi niezliczone wspomnień mary. Świat, z którego to wyrosło, zapadł się, zgorzał jak Pompeja. Krążąc od Nisity po rumowiskach, dostaliśmy się wcale niespodzianie, bo przyznaję się, żem o istnieniu nawet drugiego tunelu podobnego do Pauzylippu nie wiedział, do wnijścia tak zwanéj *grotta di Sejano*, czy *di Sillano*, bo lud wszystkie nazwy najdziwniéj przekręca. Podziemie to, dłuższe i piękniejsze od Pauzylippu, było niemal zapomnianém, a przez czas znaczny zasypane gruzami i dopiéro Ferdynand II oczyścić je kazał.

Miało ono prowadzić do willi Sejana; wedle Strabona, budowniczy Coccejus z rozkazu Agryppy je zbudował. Jest bowiem murami rzymskiemi w wielu miejscach podtrzymywane, pozasklepiane i oświecone gdzieniegdzie otworami ku morzu. Znacznie wyższe, foremniejsze, piękniejsze od groty Pauzylippu, stoi pustką, i przewodnik je tylko pokazuje na żądanie forestjerom.

Byliśmy we dwóch tylko, a choć custode mający nas przeprowadzać, w szablę i strzelbę zbrojny, bardzo zamaszysto wyglądał, jakby bandyta i do tego twarz miał tak cygańską, że sam czując to, tłómaczył ją przed nami tém, że go słońce letnie na cygana

opala, postanowiliśmy odbyć tę półmilową pielgrzymkę pod jego opieką. W tych osławionych Włoszech i niebezpiecznych okolicach Neapolu nie zawsze się wychodzi tak szczęśliwie, jak my z podobnych wycieczek, czasem jednak śmiałością nadrabiając, cało i zdrowo przebyć można i najniebezpieczniejsze miejsce. Pochód przez podziemie wydał się nam jednostajny i długi, urozmaicały go tylko przestrzały z widokiem na morze. Olbrzymie to dzieło ta grota Sejana, i mimowoli przebywając ją, przychodzi na myśl, ilu nieszczęśliwych niewolników, pod żelaznemi prętami dozorców, potem swym i krwią oblało tę budowę. W drugiéj już połowie tunelu tego wychodzi się boczną grotą nad morze, skąd śliczny się widok odsłania na wyspę Capri, na cichą brzegu zatokę i maleńki porcik dla łodzi, otoczony płowemi ścianami góry Nazaret. Chociaż droga piesza dosyć nas znużyła, przewodnik skusił jeszcze pójść oglądać rumowiska, gruzy i szczątki onych sławnych willi rzymskich panów, na gruntach dziś do nuncyusza papieskiego i kanclerza Bereti należących.

Ścieżkami wśród winnic przeszliśmy naprzód do dosyć dobrze zachowanego rodzaju małego amfiteatru, którego stopnie granitowe, a gdzieniegdzie marmurowe okładziny, dobrze się jeszcze zachowały. Musiał on do jednéj z tych will należéć. Szczątki dozwalają jeszcze sądzić, z jaką wspaniałością i kosztem wszystkie te budowy były wykonane. Co krok, postępując wśród poplątanych gałęzi winogradowych, napotykaliśmy izby podziemne rzymskiéj budowy, okruchy białych płyt marmurowych, podstawy kolumn z cippolinu, porfiru i różnych marmurów kolorowych. Gdzieniegdzie wyglądał rzeźbiony gzyms bogaty, lub okruch strzaskanego sarkofagu. Wszystko to leżało zapomniane, sponiewierane... rozsypując się powoli. Gdzieniegdzie pomiędzy krzakami wina, natrafialiśmy na całe posadzek marmurowych ścieżki, na pokłady mozaik wklęsłych głęboko i poprzysypywanych ziemią. Kilka razy zstępowaliśmy do sklepionych podziemiów, może łaźni, których wygładzone tynki okryte były ulubioną Grekom i Rzymianom barwą ciemnoczerwoną.

Trudno jest dać wyobrażenie o tych gruzach wkraczających w morze, w części wodami jego zalanych, w części zielenią dziś przykrytych, w których wyobraźnia przewodników widzi wille najsłynniejszych Rzymu bogaczów. Cała ta część góry z nich się, można powiedziéć, składa. Są to ruiny willi Polliona, Lukulla i Sejana, które zniszczyć miało trzęsienie ziemi. Ostatni cypel pagórka w języku i podaniach ludu nazywa się *Scoglio* lub *Scuola di Virgilio.* To co odkopano, każe wnosić, że daleko więcéj kryje się pod gruzami, roślinami i ziemią. Tu wydobyto piękną Nereidę

znajdującą się w Villa Becchi, która, jak się domyślają, zdobić miała dom Polliona. Po nad samo schodząc morze, widać stare mury rzymskie, które podtrzymywały ścianę, wchodząc w wody lub zwieszając się po nad niemi. Z obrazków w Pompei można się poniekąd domyślać, jak fantastycznie budowano te wille, piętrzące się galeryami, portykami, pergolami i maleńkiemi przybudówkami, które, zlepione w jednę całość, kształciły rodzaj *insuli*.

Były tam i ogrody wiszące i sadzawki domowe i podziemia i wieże i przejścia kolumnami poostawiane.

Znaleźliśmy tu jeszcze mały teatrzyk domowy ze stopniami dla widzów i białą kolumnę, przy któréj widne są jeszcze ślady pokruszonych jéj sióstr, rzędem dawniéj za nią stojących i posadzka z białych płyt marmuru, wśród których krzewi się wino muszkatowe. Tuż przy teatrze maleńka izdebka, jeszcze czerwone swe tynki, wypolerowane jak kamień, zachowała. Wszystko to tylko pozasuwało się w ziemię i napoły obróciło w proch.

Stanąwszy na cyplu i rzuciwszy okiem dokoła na panoramę krateru tego, tak uroczą i niezrównanie piękną, na brzegi roztaczające się jakby sznurem pereł z zielenią zwitych, zasiane miasteczkami, na wdzięcznych kształtów góry i skały, łatwo zrozumiéć, co tu Rzymian ściągało, dlaczego się tu wysadzano na kosztowne budowy, czemu tu było sybarytom najmiléj przepędzać życie. Należy sobie wyobrazić widok sam z tego ziemi cyplu, poczynający się od Sommy i Wezuwiusza na lewo, od Resiny, Torre greco, Torre anunziata, daléj Castellamare, Sorrento, Capri, a bliżéj rozsiane wyspy, jak kosze kwiatów na lazurowym kobiercu. Wszystko to odziewa niezrównanéj czystości powietrze barwami, które na obrazie artysty muszą się wydać jaskrawemi i przesadzonemi. Prawda, że cala ta przestrzeń tak uroczo piękna, jest rzec można wulkanu skorupą, gdzieniegdzie spękaną, rozpieczoną i dymiącą, lecz człowiek tak łatwo z niebezpieczeństwem się oswaja i zapomniéć o niém umié. Świadkiem ta Pompeja i okoliczne miasteczka u stóp Wezuwiusza.

Nieco głębiéj, wśród winnic ukazują się ruiny willi Polliona, rozległe, pełne gruzów i szczątków budowli. W jednéj izbie są jeszcze dobrze dosyć zachowane malowania na tle czerwoném. Było ich tu więcéj, jak mówią, lecz kilka widoczków niby wstawionych z ramami w ścianę, umiejętnie z tynkiem wyrzezano i wykradziono dla ciekawych Anglików. W jednéj tylko izdebce téj są malowideł ślady. Za nią jest jeszcze do obejrzenia łaźnia dobrze zachowana, z piecem, ogniskiem przysklepioném i rurami z wypalonéj gliny, które wodę prowadzić musiały. Ukazują tu wreszcie owę sadzawkę Polliona, w którą rzucać miano niewolników na pożarcie murenom.

Składa się ona z dwóch izb sklepionych, z jednéj wielkiéj podłużnéj z dwoma otworami u góry, jak w więzieniach Mamertyńskiém i Hippolita w Rzymie, przez które zrzucano ofiary, a z drugiéj ciemnéj, zapewne także sadzawką zajętéj. Teraz tu zupełnie ciemno, tak, że po chwili wyjść musiałem nie dopatrzywszy nic, oprócz śladów wodotrysku w pierwszéj sali, z którego świeżą wodę puszczano. Błądziliśmy długo po tych gruzowiskach i winnicach, które, jak widać ze zwalisk, całkiem aż do morza okryte były budowlami. Z nich dzisiaj pozostały ściany tylko, kolumny, fundamenta, posadzki i okruchy, z pod którychby kopiąc, niewątpliwie wiele jeszcze wydobyć można. Lecz tam, gdzie tak obfite jak w Pompei są skarby, nie łatwo o ochotnika do nowych poszukiwań.

Obchodząc winnice, musieliśmy się, obyczajem włoskim, po kilkakroć przy różnych furtkach za otwieranie opłacać i mozolnie wdrapawszy na wzgórze okryte nowemi willami Anglików, Francuzów (Lablache) i innych cudzoziemców, dostaliśmy się wreszcie ku większéj drodze, wiodącéj ku Mergellina.

Tu, po cmentarzu i zwaliskach, obraz życia pełen wdzięku, bo całe wybrzeże zajęte jest przepysznemi ogrodami i willami nowemi, Stugri, Doria Auletta, Rocca Romana, Rocca Matilda, Serra i t. p. Każde z tych pieścideł otaczają gaje laurów, pomarańcz, palm, cyprysów, jodeł, kaktusów i aloesów z wysokiemi kwiaty kandelabrowemi. Wille te poczepiane nad morzem poniżéj drogi i wchodzące w morze ogrodami, inne na wyniosłościach nad drogą, nie są wielkiego smaku. Niektóre z nich nawet wcale nie piękne jako budowy, ale położenie ich, otaczająca zieloność, urwiska góry, na któréj stoją, morze, okalający krajobraz, nadają im wdzięk wielki. Piętrzy się to w najfantastyczniejszy sposób, wysuwa po nad przepaść, chowa w głąb zieleni, obwiesza gałęźmi, ubiera kwiatami i wygląda jak dziwaczna dekoracya teatralna, prawie przesadnie śmiałego pomysłu. Daléj po za willami widać cały Neapol nad zatoką, ze swemi kościoły i pałacami—widok niezrównany. Samo wzgórze nad drogą pełne pieczar, galeryj, pergoli, gloryet, altan, ogrodów pozawieszanych w powietrzu, ma coś charakteru owych rzymskich krajobrazów pompejańskich i wielce je przypomina. Przy takim pierwszym planie obrazu, dodawszy doń oddalone, omglone, sine i fioletowe brzegi przeciwne zatoki od Sorrento, wyspy, skały i oświecenie przy zachodzącém słońcu — można sobie wyobrazić zachwyt oczów i duszy, jaki ten kraj wywołuje. Z każdym krokiem widok ten mieni się, odsłania, kryje, przerabia, a drzewa i krzewy, sosny i palmy, w coraz inny sposób ugrupowane na średnich planach, zdają się wdzięczyć umyślnie, by coraz artystyczniejsze tworzyć obrazy. Taką drogą idzie się,

wśród ciągle mieniących się akcesoryów, aż do Mergelliny. Tu spotkaliśmy się, powracając, z długim szeregiem ekwipażów wielkiego świata, który w piękne wieczory odbywa po wybrzeżu przejażdżki, począwszy od S. Lucia, wzdłuż Villa Reale, aż do końca Mergelliny, nasycając się widokiem, powietrzem i popisem wytwornych zaprzęgów, strojów i powozów.

Na czele bardzo długiego łańcucha tego, jechał brat króla, Francesco Paolo, człowiek młody jeszcze, o ile mogłem dostrzedz, jaśniejszych włosów, niż włoskie zwykle bywają, dosyć miłéj twarzy. Powoził sam. Tuż ciągnęły się ekwipaże dworu jego, arystokracyi miejscowéj, bogatych mieszkańców, bardzo wytworne i z wykwintnością urządzone. Kobiety pół siedząc, pół leżąc, rozmawiały i śmiały się, zakrywając wachlarzami, jeźdźcy popisywali się z końmi. Że moda, jak we Florencyi Cascine, czyni te spacery nad morzem ciekawemi dla wszystkich, domiesza się zawsze sporo cudzoziemców w najętych ekwipażach i skromnych nader różnego rodzaju wózkach, a nawet figurantów na osiołkach. Wogóle składa się ów długi szereg z najrozmaitszych żywiołów, w Neapolu nieuniknionych, nieraz się bowiem zamiesza w tłum i wózek wieśniaczy, z koniem wystrojonym w dzwonki i świecidła, i przekupka z próżnemi od pomidorów koszami, uszczęśliwiona, że do takiéj parady należy.

Zapomnieliśmy zapisać w krajobrazie wspaniałych nad morzem ruin pałacu Donny Anny Caraffa, księżnéj di Medina, które zowią pospolicie pałacem królowéj Joanny. Znajdzie je każdy w mnogich widokach okolic Neapolu, do zbytku często powtarzane.

Powróciwszy do domu, gdzieśmy jeszcze na balkonie mogli dalsze czynić postrzeżenia nad charakterem społeczności spacerującéj, która przeciągała tuż wązką uliczką do późnego wieczora, znaleźliśmy tu oczekującego na nas, znajomego właściciela łodzi, szanownego Mustaccia, pragnącego namówić na przejażdżkę po morzu, chociażby do Capri. Odeszła nam wszakże ochota do téj wyprawy, bo lazaron przyszedł tak napiły, tak bełkoczący, wesół i niepewien nóg swoich, żeśmy mu się powierzyć na dłuższą podróż nie mogli.

Barka o czterech wioślarzach na dzień cały kosztuje zwykle dwa piastry (około 16 złp.); nie byłoby to tak wiele, ale Mustaccio nie obudza zaufania, a pogodzie nocnéj nie bardzo téż wierzyć można, by za jutro bez burzy ręczyła.

XXVIII.

Wyprawa na Wezuwiusz.—*Ruina montis.*—Wybuchy. — *Monte nuovo.*—Wybuch ostatni. — Oznaki zbliżającego się wybuchu. — Lawy. — Droga do Resiny. — Konno w drogę. — *Buon camino.* — W chacie *manenta.* — *Piano delle Ginestre.*— Obserwatoryum. — Domek Eremity. — Widoki. — Lawy zastygłe. — *Atrio del Cavallo.* — Spekulanci. — *La salita.* — Wchodzenie, wciąganie, wnoszenie. — Podróż pod górę. — Szczyt. — Koloryt jego i widoki z niego. — Toczym się na dół. — Krajobrazy wieczorne i nocne. — Resina.

Wedle zwyczaju i rady, jaką nam dano, aby się dla zwiedzenia Wezuwiuszu wybrać z południa, mieliśmy cały ranek na przygotowania do podróży. Góra wabiła nas co wieczora karminowemi ogniami swemi, często długo w noc przypatrywaliśmy się jéj jako ozdobie krajobrazu; należało jeszcze nauczyć się nieco jéj dziejów, bo tu, na tym ruchomym gruncie, góry i doliny zmieniają postać, rodzą się, nikną i przekształcają.

Widziany z Neapolu Wezuwiusz i *la Somma,* druga jego połowa, każą się już domyślać ze swych kształtów, iż stanowiły całość, którą wielki wybuch rozerwał. Jest to, jak powiada Pliniusz, *ruina montis,* wiemy bowiem z dziejopisów, że zielona ta góra długo nie dawała żadnego znaku ogni wewnętrznych, pokryta była roślinnością i zamieszkana, a na krótko przed wybuchem dopiéro zaczęła się pękać, dymić i w pamiętnym dniu zniszczenia zmieniła zupełnie dawną postać. Zdaje się, że poprzedzające wybuch trzęsienie ziemi, które piérwszy raz zniszczyło Pompeję, zwiastowało wrzące już w łonie Wezuwiusza pożary.

Po zalaniu Herkulanum i zasypaniu Pompei mniéj gwałtowne erupcye powtarzały się, nie ustając prawie, w różnych czasach. W r. 472 Ammian Marcelin i Prokop piszą o wybuchu, którego popioły zaniosły wiatry aż do Konstantynopola. Inni historycy wspominają o lawach, wyrzuconych w roku 512. Pomiędzy wybuchem 1500 a 1631 roku Wezuwiusz zdawał się spoczywać, ale wewnętrzne ognie, szukając sobie nowego wyjścia, podniosły skorupę ziemi

i utworzyły w 1538 r. tak zwaną *Monte nuovo*, górę nową, w okolicy Puzzoli. Przez te sto kilkadziesiąt lat krater miał już czas wystygnąć i zasunąć się w części; Braccini, Włoch, który zwiedzał Wezuwiusz na lat kilka przed wybuchem 1631 r., opisał go naówczas w ten sposób:

„Wulkan miał 5 mil obwodu, a około tysiąca kroków głębokości; boki jego okrywały krzaki, a w głębi znajdowała się dolina, w któréj pasło się bydło. W lesistych częściach często wykarmiały się dziki. Niespodzianie w grudniu 1631 r. siedem strumieni lawy rzuciło się razem i zalało wiosek kilka, położonych u stóp góry. Resina, która, jak wiadomo, pobudowaną została na miejscu, gdzie stało Herkulanum,zniszczoną została ognistym strumieniem. Nie mniéj straszliwe spustoszenie sprawiały płynące z krateru potoki błota gorącego, law wodnistych."

Wybuch ten nieprzewidywany pochwycił ludność tak nagle, iż do czterech tysięcy osób zginąć w nim miało. W ciągu siedemnastego wieku trzykroć jeszcze wybuchał Wezuwiusz, w osiemnastym dwadzieścia jeden razy, w naszym, na osiemnaste przedstawienie ciekawego widowiska właśnieśmy się nieszczęśliwie spóźnili. Wybuch tegoroczny piérwszych dni czerwca tém był ciekawy, iż krater wyższy Wezuwiusza osunął się o kilkadziesiąt metrów; lawy po nim rozpalone jeszcze i płynące mogliśmy teraz oglądać. Z wybuchów po 1579 roku żaden gwałtownością nie dorównał tamtemu; lecz po razy kilka ogniste potoki zniszczyły miasteczka i wsie otaczające i płynęły aż do morza. W roku 1794 Torre del Greco zburzyła ogromna rzeka ognista, w któréj płomieniach kilkaset osób zginęło. Opasywała ona domy masą od 12 do 40 stóp grubą i na tysiąc stóp szerokiém łożyskiem zsunęła się w morze, na trzysta pięćdziesiąt w głąb' wchodząc od brzegów. Od krateru do morza rzeka ta płynęła tylko sześć godzin. Zaledwie lawy ostygły, ledwie wrażenie się zatarło, mimo odradzań i przestróg, pozostali mieszkańcy Torre del Greco pobudowali się tu znowu, jako wierni potomkowie swych przodków herkulańskich.

Częste pomniejsze wybuchy i pilniéj postrzegane towarzyszące im fenomeny dozwalają dziś, mniéj więcéj, przepowiedzieć zbliżający się wybuch góry. Naprzód ustanie dymu, potém nagłe wyschnięcie źródeł i poprzednie wstrząśnienia ziemi zwiastują nadchodzący. Mówią Włosi, iż węże wychodzą ze swych kryjówek, a zwierzęta instynktowy opanowuje niepokój. Następnie masa dymu, wychodząca z krateru, powiększa się, podnosi gwałtownie wyżéj, w kształcie słupa i przybiera tu formę sosny baldachimowéj, którą wzmiankuje Pliniusz. Sypią się popioły i drobne kamuszki (lapilli), niekiedy wyrzuca wulkan wielkie bryły kamieni. Kolumna dymu i pary, jak chmura, wyrabia w sobie elektryczność, błyskawice i pioruny. Lawa

wzbiera w kraterze do brzegów i zaczyna się wylewać; niekiedy pękają boki, otwory się tworzą nowe i płyną. Tak było i w tym roku. Na strumieniach powoli chłód powietrza ostudza powierzchnię, zastyga skorupa zewnętrzna, a pod nią niezmiernie długo zawsze jeszcze rozpalone sączą się lawy.

Po rannéj serenadzie, którą nam odśpiewał nasz nadworny tenor uliczny, przychodzący teraz regularnie po należne mu *grana*, dodając nowy popis udawanych ptasich głosów—wysłuchawszy znowu *la bella Sorrentina, la bella Carolina, la bella Fiorentina* i kilka innych *belli*, a na ostatku — *allegramente! allegramente! La moneta, Cellenza, la moneta per la musica!* w najokropniejszy skwar siedliśmy do powozu, który miał nas zawieść do Resiny, czekać tam na powrót i znowu odstawić do Crocelli. Idzie wprawdzie kolej żelazna wiozącа tędy do Pompei, lecz ta nocą już nie jest czynna, a przewidywać było można, że nasza wyprawa nieco jéj zachwyci.

Dzień niezmiernie gorący i około południa gromadzące się po za Sommą chmury złowrogie, źle jakoś wróżyły, chcieliśmy wszakże szczęścia probować. Było nas trzech, ja, Klemrod i Julmo, który wspólną utrzymywał kasę i podjął się na ten dzień być płatnikiem.

Opatrzyliśmy się naprzód w tę nieuchronną *monetę,* bez któréj *forestier* we Włoszech i *fremde* w Niemczech kroku stąpić nie może, w książki do notat i rysunków, w podwójne obuwie, gdyż podeszwy miał nam Wezuwiusz popalić, i w olbrzymią cierpliwość do znoszenia wszystkiego, cokolwiek chciwość i głupota przewodników narzucić nam mogły.

Z Neapolu wyjechawszy, droga ciągle kołuje nad morzem. Przedmieścia pojedyńczemi domkami łączą stolicę z mieścinami, które się nieopodal rozpostarły od wieków, tak, że wszystko to razem zdaje się jednę tworzyć całość. Coraz tylko ciszéj i puściéj. Po nad gościńcem szerokim ustawione domy, dosyć, jak na Włochy, czyste i porządne, nowe wszystkie niemal, mają pozór świeży i przyzwoity. Nie spotyka się nic prawie starożytnego. Jest to część miasta i osady zajęte najwięcéj przez fabryki różnych wyrobów żelaza, wyprawy skór i t. p. W ulicach ludność ma charakter neapolitański: brzydka, opalona, brudna i żwawa a ruchliwa. Na Chiaja mijamy sklepy i składy wyrobów glinianych, posadzek polewanych, jakich używają we Włoszech, naczyń różnych, waz i t. p. Odznaczają się dosyć dobrym smakiem i wykonaniem technicznie wyborném. Daléj jeszcze w straganach żywność dla ludu, pieczona kukurydza, smażone rybki, kawony, limonada, woda świeża. Wszystko to pod gołém niebem, starym zwyczajem po rzymsku. Przez te otwarte drzwi dolnych mieszkań widać rzemieślników przy robocie, napół często wysuniętych z warsztatami w ulicę. Wszędzie protektorki Madonny, na domach,

na straganach, na sklepikach i w izbach. Zamiast tablic i napisów, rzemiosło mówi do oczów samo sobą, bo lud, przynajmniéj dawniéj, trzymany był w pobożnéj niewiadomości i wstręcie do czytania. Tak *Lavatrice privilegiata* wystawia dwa czysto zasłane łóżka na widok, aby oznajmić, że ma gdzie przyjąć chorą, potrzebującą jéj pomocy; szewc robi buty przy świadkach, kowal kuje na chodniku, nie troszcząc się o przechodniów, a ludzi ćma uwija się obok, kręci, mija, wita, zaczepia... Osły ryczą w niebogłosy, niosąc na grzbietach pomidory i kartofle, które, na gałązki ponatykane, za szyldy służą przekupniom; hałas uliczny, acz może nie tak ogłuszający, jak czasem na Santa Lucia i Toledo, jednak dla nienawykłych uszów przerażający—oswoić się z nim potrzeba.

Jedzie się tak prawie aż do Resiny. Portici wygląda na przedmieście Neapolu. Tu pełno willi z napisami właścicieli na sposób dawny. Główną ozdobą jest pałac, którego ani czasu, ani ochoty nie mieliśmy oglądać. Jesteśmy w Resina... pod nami Herkulanum... Miasteczko nie ma nic odznaczającego, podobne do innych włoskich. Woźnica wprost nas prowadzi do uprzywilejowanego starszyzny przewodników, który ma nam dać z kolei przypadających ludzi na tę wyprawę. Ugoda, do któréj byliśmy przygotowani, stanęła w jednéj chwili, osiodłano cztery małe koniki, nawykłe do téj podróży, i mimo zbierających się chmur, w których grzmiało nieco, puściliśmy się niezwłocznie. Oprócz przewodnika, ukazanie się forestierów, to jest ludzi, których na wszelki sposób miejscowi odzierać z niepotrzebnego grosza czują najświętszy obowiązek, wywołało zaraz chłopców z kijami do popędzania nieszczęśliwych koni i do podpierania się w pieszéj podróży, a następnie pięciu odartusów nieproszonych, eskortujących nas dla miłości sztuki, w koszulach, w odrapanych spencerkach na ramionach, wrzeszczących, śmiejących się, przeganiających. Myślę, że swą wesołością sądzili, że nam do owéj strasznéj podróży otuchy dodadzą. Odprawić ich, ani pozbyć się nie było podobna.

Zaledwieśmy wyruszyli z miasteczka, chmura nad głowami przybrała barwę ciemniejszą, grzmoty coraz stawały się silniejsze, deszczyk zaczynał pokrapiać, kazano nam na to nie zważać, obiecując wypogodzenie. Przewodnik obrał drogę krótszą, ale on tylko jeden coś podobnego tém imieniem mógł nazwać. Jechaliśmy jakby szerokiém łożyskiem wyschłego strumienia, który w burzliwe czasy wiosenne naniósł ogromnych kamieni, złomów lawy, popiołów, okruchów skał i urządził to w ten sposób, aby uczynić niedostępném. Napozór zdawało się to nie do przebycia, bo po osuwających się bryłach drapaliśmy się w górę, spadali w wyżłobione podstępnie dziury, a konie i my mogliśmy karki połamać co chwila. Poczciwe wszakże stworzenia, na których siedzieliśmy, znać oswojone z tą tak zwaną drogą, kro-

czyły po niéj z wprawą wirtuozów. Za każdym nowym zwrotem gościńca, nową kupą skał i wyrytą a głęboką przepaścią przygotowywaliśmy się do nieuchronnego wypadku i upadku, konie wszakże z flegmą dawały sobie radę wybornie. Jazda ta jednak nie należała do najzabawniejszych. Słyszałem ciągłe towarzyszów moich wykrzyki, uśmiechy podziwu i nawoływanie przewodników, a sam, choć może więcéj od nich do konia nawykły i osadzony téż na dosyć złośliwéj szkapce, która miała urazę do towarzyszących jéj nieprzebaczoną (co jéj czyniło nieustanne dystrakcye), znosiłem stoicko piekielną przeprawę; przewodniki i biegnący za nami ludzie, gdym wymawiał, że nas tak poprowadzono, zaręczali z największą uroczystością, że to jest *buon camino!* Czémby zła być mogła — nie wiem. Deszcz coraz żwawszy zmusił nareszcie schronić się choć na chwilę do poblizkiéj nad drogą chatki w winnicy. Ubogie to było i nędzne nad wyraz wszelki, choć gospodarz był dziedzicem gruntu, domu i winnicy. Przyjął on nas i gospodyni bardzo uprzejmie pod lichy dach swéj lepianki. Chata była obrazem najprzykrzejszéj nędzy. Składała się z jednéj izby sklepionéj, która stanowiła śpiżarnię, sypialnię, jadalnię, kuchnię... wszystko. Coś pierwotnego, jak przed lat tysiącami. Piecyk, stoliczek, ława, łóżko, mnóstwo schnących pomidorów nieuniknionych stanowiły sprzęt cały. W biednéj, brudną płachtą zasłanéj kołysce spało dziecko. Gospodarz, mężczyzna podżyły, wyglądał jak człowiek, spracowany nad miarę, nogi spalone od skwaru, opryszczone, czerwone, okrywał jakby rodzaj szkaradnego jakiegoś trądu i łuski. Gospodyni równie miała znękaną i zbiedzoną postać. Niepozorny ten Filemon miał pewną przyzwoitą w obejściu powagę, i posadziwszy gości, uważał za obowiązek bawić ich rozmową, w swym niezrozumiałym, popsutym języku rozpytując o pochodzenie, kraj, życie w nim i t. p. Usiadł naprzeciw nas na łóżku z fajką i ciekawie badał. Co chwila wszakże potrzebowaliśmy tłómacza, takim dyalektem starożytnym się wyrażał, Klemrod zaręczał, że to była mowa etruska lub oska...

Nareszcie po chwilowéj ulewie wyjaśniło się nieco; podziękowaliśmy za gościnę, wynagradzając ją małym podarkiem i, siadłszy na mokre nieco siodła, ruszyli daléj.

Byłem przekonany, że *buon camino* tu się skończyło — za wrotami *villi* (?) pożegnałem się z tém złudzeniem: *buon camino* tu się dopiéro zacząć miało... Jechaliśmy drogą ściśniętą między dwa murki, opasujące winnice, przedstawiającą niewysłowiony chaos kamieni, law, popiołu i drobniuchnych *lapilli,* które każdy wybuch wyrzuca w ogromnéj ilości. Gdzieniegdzie trafiały się wielkie płyty ślizkie, pokładzione, czy porzucane, to znowu sterczące łomy, zwieszone nad dziurami, przez wodę wymytemi, a że piąć się trzeba było do góry, droga

stawała się coraz gorszą i niebezpieczniejszą. Miała ona być za to krótszą, ale Klemrod utrzymywał, że nawet życie i podróż po padole płaczu skrócić mogła. Dałem sobie słowo po cichu, że nazad, po nocy, tą drogą wracać nie będę. Konie dokazywały cudów, bite, ciągnione za ogony przez goniącą nas gawiedź, wychodziły zwycięsko z zadań, które zdawały się niemożliwe do rozwiązania dla nieszczęśliwych stworzeń. Część ta drogi, pomiędzy ciasnemi a wysokiemi mury, z po za których gdzieniegdzie zwieszała się gałąź wystrzelonego wina lub znużonéj zamknięciem figi, wydała się długą nad miarę i nużącą... Nie widząc nic a nic, wlekliśmy się tym więziennym szlakiem, aż nareszcie ukazało się obserwatoryum i dom pustelnika. Powitaliśmy je radosnym okrzykiem. Zbliżyliśmy się do tak zwanego *plano delle Ginestre* i pustelni, która jest poprostu na odarcie bezlitośne podróżnych przeznaczoną gospodą. Jednakże już widząc ten piérwszy, pożądany do osiągnięcia cel podróży, wlekliśmy się jeszcze dosyć długo, pocieszając pięknym już widokiem po za sobą na morze, Neapol i wyspy. Niebo, poprzerzynane chmurkami, czyniło tę panoramę piękniejszą jeszcze, oświeconą bowiem była i ocienioną fantastycznie. Słońce ozłacało Castellamare i Sorrento, lub dalekie morza płaszczyzny oblewało jasnością, gdy Capri i Ischia zdawały się drzemać w fioletowych chmur cieniach, a ciemniejsze ogrody willi koło Neapolu i Portici szmaragdową, malachitową, nieporównanéj słodyczy zielenią się mąiły.

Przed owym domkiem eremity wyjechaliśmy na ostatek na szeroką i wspaniałą szosę, około któréj ukończenia pracowano właśnie. Wiedzie ona do *Osservatorio meteorologico vesuviano*, poczętego w r. 1844, w którém, oprócz obserwatoryum, przygotowane są mieszkania dla dostojnych gości. Tuśmy piérwszy raz bliżéj się spotkali z ogromnemi rozlewami lawy ostatniego wybuchu, który rozpoczął się dnia 21 maja, a skończył dnia 14 czerwca. Nocą strumienie te, całe jeszcze gorejące, czerwone się wydają, dniem tylko dymią i wyglądają brudno, czarno, jak zastygłe. Miejscami przez tężejącą skorupę przegląda straszny ogień karminowy.

Potoki tegorocznego wybuchu zeszły dosyć nizko, po nad Resinę, opasały jeden po drodze napotkany domek, zniszczyły winnic kilka, nie uczyniły jednak wiele szkody, bo po większéj części zlały się na stare popioły. Zalegają one przestrzeń dosyć znaczną, widną stąd, począwszy od obserwatoryum i domku eremity, ku dołowi. *Plano delle Ginestre* ocieniają piękne drzewa, po większéj części kasztany. Cała Somma w lewo obrosła zielonością nizką, paprociami, rodzajem roślin, podobnym do naszego sitowia z żółtym, wonnym kwiatem i innemi różnemi krzewy i trawami; po deszczu napawała nas wonią balsamiczną, która przypomniała mimowolnie nasze lasy brzozowe

po majowéj ulewie... a! tamte piękniéj mi jeszcze niegdyś pachniały!

Wygodną drogą, zawsze w towarzystwie nieproszonéj eskorty, pomnażającéj się co chwila nowozaciążnemi w podróży, dojechaliśmy do domku Eremity. Kletka ta murowana, stojąca nieco niżéj od obserwatoryum, nabiera wdzięku od otaczających ją drzew starych. Możeż być brzydko, gdzie są stare drzewa? Pod niemi postawiono parę ław kamiennych, więc można przysiąść, spocząć i patrzyć... Jest téż stajenka dla koni i para pokoików na górze. Nie życzę jednak wędrowcom przestępywać progu téj zdradliwo zapraszającéj gospody. Z jednego jéj okna na górze, które gospodarz otwiera, jest piękny widok na Neapol, ale za spojrzenie z niego płaci się potém około sześciu carlinów (prawie cztery złote). Widok wprawdzie zachwycający, ale cena wysoka. Wszystko tu w tym stosunku *).

Chociaż chmury groziły nam, jeszcze i grzmot dawał się słyszéć po nad głowami, trzeba było jechać daléj. Stąd jeszcze dla pośpiechu używa się koni, aż do pokładów lawy, stężałych z przedostatniego wybuchu r. 1855, które gdzieniegdzie do téj pory dymią.

Widok stąd wielki i wspaniały, po za sobą mamy ogromne, niezmierzone morze, uciekające gdzieś daleko, na niém wyspy porozrzucane, jakby je świeżo ręka boża cisnęła; przed nami w lewo podarty szczyt, a raczéj ścianę Sommy i koniczny wierzchołek szaro-brunatny Wezuwiusza, pręgami ciemnemi popiołów i żużli poprzerzynany. Tuż na równi z drogą jakby jezioro lawy czarnéj jak węgiel, któréj bałwany najdziwaczniéj powykręcane, poprzewracane, zasty-

*) Oto są spisane przez kasyera naszego koszta wyprawy na Wezuwiusz:

Powóz z Neapolu jednokonny	gran.	200
Buona mano	„	20
W Ermitażu za medal z lawy i pudełeczko kamyków	„	30
Na górze za wina butelek trzy, jajko, wodę i cztery gruszki	„	300
Buona mano tym, co lektykę nieśli	„	120
Buona mano przewodnikowi	„	60
Za cztery konie wierzchowe	„	320
Przewodnik	„	100
Za ciągnienie na szlejce Klemroda	„	120
Za przejście progu w Ermitażu	„	60
Żołnierzowi strzegącemu od złodziejów (la guardia)	„	40
Człowiekowi, co patrzył jedném okiem na konia, bo drugiego nie miał	„	40
Nieznajomemu rabusiowi	„	20
Lektyka dla p. Kr.	„	600
Za medal kupiony i nieoddany	„	10
Pomoc i popychanie Julmowi	„	440
Dorożkarzowi buona mano	„	15
Z dodatkiem opłaty za przykrycie siodeł w winnicy	„	10
	Razem gran.	2505

gły i stwardniały. W prawo dymią świeżego wybuchu szczęty, widać gdzieniegdzie płomienie i ledwie przystygłe skorye wulkaniczne.

Otóż przez te potoki lawy, podobnéj z pozoru do zgęsłéj, czarnéj, szklistéj smoły błyszczącéj, wznoszącéj się i opadającéj w kotliny, gdzieniegdzie głębokim płynącéj strumieniem, to poderwanéj do góry i postrzępionéj dziwnie, z pokruszoną skorupą, przez którą widać czarne przepaści, przechodzić musimy w lewo, aby się dostać do *Atrio del Cavallo*, skąd ścieżka nas prowadzi w górę do krateru. Dać wyobrażenie o téj pieszéj przechadzce po ostygłych bałwanach lawy bardzo trudno. Jestem przekonanym, że tu przewodnicy, aby zastraszyć i stać się potrzebnemi, wybierają jeszcze najgorsze miejsca i utrudniają pochód w widokach zysku. Wistocie niemiły to spacer, a może i niebezpieczny; czuje się strumienie ogniste pod tém sklepieniem kruchém, widzi się straszne, czarne głębiny przepaściste, tu i owdzie połamana skorupa chrzęszczy pod nogą, daléj zdradnie wygładzona i ślizka, to znów pełno na niéj żużli ostrych, porozsypywanych wysoko, po których nogi osuwają się między śpiczaste ich boki i miękkie popioły, w których się grzęźnie głęboko... Ta rzeka, czy jezioro law zastygłych, godna Dantejskiego piekła, wygląda nawet napozór dziwnie, niebywałym sposobem, do niczego niepodobnym, szczególniéj dla tych, co tu po raz piérwszy przychodzą, bo lazzarony, śmiejąc się, bezpiecznie skaczą po łomach tych, jak po najlepszéj posadzce. Czy omijając gorsze jakieś miejsca, czy żeby niemi nastraszyć tylko, przewodnicy ogromnie krążą i nakładają drogi. Interesem jest téż spekulantów, którzy mają późniéj wnosić, wciągać i popychać podróżnego na wierzchołek, żeby zrazu wszystko utrudniać, okazywać jak najstraszniejszém i znużyć wędrowca. Wiodą więc go na płomienie, na porozpękane do wnętrza lawy, na gorejące rozpadliny, na najostrzejsze żużle, aby skłonniejszym do ugody uczynić. Znać to z ich chytrych uśmiechów, gdy się podróżny zawaha. Spisek na forestiera kieszeń osnuty jest z wielką znajomością serca ludzkiego. W chwili, gdy od domku eremity puszczamy się na lawy, wysuwa się téż ze drzwi jego człowieczek, niosący na głowie koszyk z trzema butelkami wina, dziesięciu może zgniłemi gruszkami, kilku jajami i chlebem. Napróżno zapowiadamy, że tego wcale potrzebować nie będziemy; milczący, ruszywszy ramionami, idzie sobie obojętnie zdaleka. Rachuje na różne słabostki ludzkie, na barany Panurga, które zwykły to robić, co przed niemi zrobili inni, na niewstrzemięźliwość ust, spieczonych skwarem, na upojenie radością, gdy się dosięgnie wierzchołka... Odpędzić go niepodobna. Cóż komu szkodzi, że on darmo idzie? Oglądamy się, czy nie wrócił — sunie się cierpliwy.

Przeszedłszy nareszcie to zburzone morze lawy skamieniałéj,

przeskoczywszy kilka rozpadlin, pośliznąwszy się parę razy i załamawszy wcale jednak nie niebezpiecznie, bo lawa gdzieniegdzie ma na sobie jakby bąble cienkie, które pod nogą pękają, wchodzimy w dolinę popiołem i kamieniami zasypaną, pomiędzy Sommą a Wezuwiuszem, po niemałym trudzie i krążeniu. Konie nasze dawno zostały u krzyżyka na zielonéj jeszcze górze po za Ermitażem. Nic tu już nie widać, tylko w rozstępie gór morze i wyspy, a nad głowami piętrzące się szczyty Sommy, z drugiéj strony szaro-czerwony stóg Wezuwiusza, cały poprzerzynany pasami ciemniejszych skoryów. Tu się zwykle chwilkę spoczywa na kamieniach, w miejscu ogrodzoném niemi; bo stąd zaczyna się straszliwa *salita*, drapanie na stromy wierzchołek... Jest to wistocie najtrudniejszy kawał drogi; człowiek jest już dosyć zmęczony, tu zaś potrzeba całych sił, aby się dostać na wyżynę, a idzie się na nią, mając do wyboru dwie równie niewygodne ścieżki. Można wchodzić albo popiołami, w których nogi grzęzną po kostki i osuwają się co chwila, lub po ostrych żużlach, formujących obok wały, które nogi kaleczą ostremi kanty i ruszają się pod niemi. W dodatku stożkowaty wierzchołek jest bardzo stromy, bo pochylony więcéj, niż pod 50 stopniem. Podróżny wszakże ma tu usłużnych pomocników, gotowych go nieść, ciągnąć, popędzać — jak się podoba... ale *moyennant finance*. Przygotowane są dla kobiet i słabszych lekkie krzesła, które niesie czterech ludzi, zręcznych, silnych, nóg pewnych i nawykłych do tego rzemiosła...

Niesiony musi się tylko trzymać, bo nim jak piłką przewracają, zresztą obawiać się niéma czego. Ile razy ofiara ozwie się nieco wystraszona na grzbiecie lazzaronów, powtarzają wszyscy chórem: *Non avete timore! Senza timore! Corragggio... maccaroni col ferromagggio!*

Śmieją się, kłócą, rozprawiają, zdają się zapominać o tém, co mają na plecach, przybywa się do celu złamanym, ale własnemi nogami drapać się bodaj gorzéj jeszcze. Krzesło dosyć téż drogo kosztuje, a są tacy, co niém gardzą zrazu i muszą je dopiéro wziąć, gdy już tchnąć nie mogą. Od połowy wyżyny płaci się je tak samo, jak od spodu.

Wszyscyśmy mężnie postanowili iść o własnych siłach, pomimo to, niesiono w milczeniu krzesło, tak samo, jak niepotrzebne butelki i owoce. Ludzie ofiarowali się ciągnąć nas na szlejkach, odrzuciliśmy i ten upokarzający środek. Ująwszy kije w ręce, każdy z nas wybrał sobie do smaku, jeden żużle, drugi popioły, w początkach téż nie przykrzyliśmy sobie. Po niejakim czasie, ci, co szli popiołami, przeszli na żużle; ci, co wybrali żużle, przeszli na popioły. To ten, to ów, przystawał, przysiadał—potrzebował wytchnąć, twarze nabierały coraz jaskrawszéj barwy republikańskiéj, oddechu brakło, krew biła gwałtownie w pulsach i skroniach... Nie miałem najmniejszéj

ochoty dostać zapalenia płuc, z którém się już znałem z młodu; siadłem z pokorą na krzesło... Niezłomny Klemrod, który na zniewieściałość naszę rzucał pioruny, ledwie dyszał — Julmo kazał się ciągnąć na pasku... Spartanin został jakoś daleko za nami. Zobaczyliśmy go nierychło, gdy, klnąc Włochy, Wezuwiusz, drogę, przewodników, ciekawość niepotrzebną i co tylko przekląć się dawało, pochwycił także pasek opiekuńczy i szedł, nie przymierzając, jakby go na rzeź ciągniono. Chociaż *salita* jest nadzwyczaj przykra, ciekawość i miłość własna nie dopuszczają powrócić ze wstydem, trzeba dostać się do krateru, upiec jajko w popiołach i zajrzéć do piekielnéj kotliny. Jedni dłużéj, drudzy krócéj zapewne odbywają podróż tę mozolną, w przecięciu jednak trwa ona około trzech kwadransów, śmiertelnie długich. Ludzie nawykli po kilkakroć tu odpoczywają. Idzie za nami uparty chłopak z koszykiem także i uśmiecha się, czując zbliżającą się godzinę... Usta zaschły straszliwie, pragnienie piecze... a! zdałoby się to Lacrima Christi... po kropel parę... jedna butelka na trzech... Gruszki te nawet wyglądają tu inaczéj, świeżo, ponętnie... Woda téż nie byłaby do pogardzenia. Zrazu wstyd wdać się w parlamentowanie z człowiekiem, który teraz drożyć się ma prawo... przemaga pragnienie... a sługa eremity umié chwilę zwycięskiéj pokusy wyzyskać... Gdy jeden dotknął gruszki, czy butelki... drudzy czują się jakby rozgrzeszeni. Śmiejemy się sami z naszego stoicyzmu, a sługa eremity tryumfuje, a lazzarony zachodzą się z uciechy... Ileż to razy widzieli tę samę grę, w ten sam sposób zakończoną!

Ciągnieni na paskach mało mają sposobności spoglądać na coraz rozleglejszy krajobraz, odsłaniający się ich oczom; wloką za sobą nogi zmęczone. Niesiony na krześle widzi nieco więcéj, ale i ten pilnować się musi, bo krzesło wywraca się, przechyla, kołysze...

Co za panorama! góry, doliny, miasta, morze, cyple żółte i zielone, kąpiące się w wodach; lazurowe zatoki, które się wkradły między wzgórza; chmury odbite jak w zwierciadle!... Nazwanie podobnych widoków *a vol d'oiseau* jest bardzo właściwém, lecz, bądźcobądź, przypominają one mapę topograficzną, dobrze malowaną. Człowiek zdumiewa się i cieszy, piérwszy raz oglądając tak niezmierne przestrzenie, artysta wszakże nie może powiedziéć, aby to było w ścisłém wyrazu znaczeniu piękne. W takiéj odległości przedmioty nikną, zlewają się w mozajkę, w pasy i plamy... Przynajmniéj jest to piękność kobierca, nie krajobrazu, a na zmysły człowieka tego za wiele i za mało... Dziwi to, oślepia, upokarza, nie nasyca. Zostaje gra kolorowa, jako zabawka dla uczniów, świateł oblanych powietrzem... Pustynia! cisza!... człowiek i dzieła jego zniknęły. Nie rozeznasz tu żywego miasta od ruin, nie widzisz stworzenia, nie

domyślasz się ruchu... Jest li tam człowiek? kolebka, grób? Nie wiész... Słońce, wody, chmury i malowana posadzka nóg bożych...

Na chwilę podnieść się tak można i zadumać, i zamodlić, ale żyć mógłby w téj śmiejącéj się pustyni chyba asceta... eremita, święty, co wyrzekł się świata... Jak ptak, którego skrzydła uniosły pod słońce, trzyma się na nich chwilę, a musi w końcu powracać na ziemię, tak człowiek zstąpić téż z tych wyżyn jest zmuszony... bo one nie dla niego są stworzone... Kilka kroków, a będziemy już u szczytu góry i życzeń. Nieszczęśliwy Klemrod ciągnie się, tłumiąc w sobie oburzenie i gniew przeciwko samemu sobie; Julmo szczebiocze, śmieje się, lecz czuć, że nadrabia weselem pożyczoném i pot go oblewa; ja téż radbym się na ziemię przenieść z huśtawki... Tak dosięgamy uznojeni wszyscy — wierzchołka, to jest płaszczyzny, w któréj się znajdują kratery. Widok się zmienia; po czarnych, szarych, brunatnych i płowych żużlach i popiołach boków wulkanu, wśród których rzadkie form gąbczastych kawałki mają barwę czerwonawą, żółtą i białą, zasłana popiołami gorącemi powierzchnia, cała się przedstawia okryta właściwą farbą siarczysto-żółtą, kanarkową, pomarańczową, sino-żółtawą. Kamyki, żużle, obłamki, wszystko żółte... Z krateru dobywają się dymy kurzące, pod nogami czuć gorąco, przez mnóstwo szczelin strzelają płomyki i opar bucha jak z wrzącego kotła. Pomimo woni, dosyć nieprzyjemnéj i wyziewów siarczanych, przysiedliśmy trochę odpocząć, bo wszyscy byliśmy zdyszani i spoceni. Ostatnie wysiłki dla dostania się na wierzchołek, żywsze i niecierpliwe, podobijały nas. Każdy pochylił się i przysiadł, jak mógł. Po dobréj chwili poszliśmy oglądać kratery, z których trzy różne wystarczyły do nasycenia ciekawości. Wszystkie zaś kształt mają jeden — lejkowaty, wgłębiony. Boki ich wyglądają sino-żółte, dymią potrosze z wnętrzów, a gdy prąd powietrza odniósł nieco dymy, z po za nich widać było czarne głębiny i nad niemi unoszące się opary siarczyste. Nachylają się od brzegu, oko sięgało daléj, chociaż przewodnicy ostrzegali, aby się nadto, dowierzając skorupie, nie zbliżać, gdyż czasem obłamywać się umié, a los Empedokla nie do zazdrości. Siarczany dym panuje tu wszędzie, zabija oddech, otacza, dobywa się z pod nóg, okrąża górę, powietrze przesycone zapachem, a osady siarki na lawach i popiołach nadają jéj tę dziwną farbę kanarkową.

Na tę chwilę właśnie rozpogodziło się pięknie, chmury popłynęły wszystkie w stronę ku Salernu, słońce nad zachodem oblewało olbrzymi krajobraz i dopiekało jeszcze na współkę z kraterami. Obejrzawszy trzy bliższe kratery, różniące się tylko rozmiarami, ale kształtami i barwami zupełnie do siebie podobne, zasiedliśmy w zwykłém miejscu, aby owe konieczne jaja, pieczone na górze w gorących

popiołach, spożyć na pamiątkę odwiedzin. Stacya ta wędrowców i miejsce odpoczynku, ostawione kawałkami lawy, łatwe jest do rozpoznania po rozmaitych jadła i życia okruchach, których tu wala się pełno. Łupiny zjedzonych pomarańcz, szpargały gazet angielskich, podeszwy od przepalonych butów, szyjki od butelek, różne pozostałości śmieciowate czekają, aby je Wezuwiusz popalił i doniszczył. Bawilibyśmy może dłużéj nieco, wpatrując się w czarujący zachód słońca, gdyby przewodnicy nie przypomnieli nam, iż pozostawało jaśniejszego dnia niewiele, a musieliśmy owe lawy czarne przebyć za światła, aby nie potrzebować pochodni. I tak przed nocą dostać się do Neapolu już było niepodobieństwem. Pożegnaliśmy więc stary Wezuw i obraz rozległy, i dymiące a drażniące kratery. *Salita*, trwająca trzy kwadranse, napowrót zabiera ledwie kilka minut; po stromym boku Wezuwiusza schodzi się popiołami, a raczéj zbiega galopem i pędem, z przyśpieszoną coraz szybkością, tak że gdyby popioły nie strzymywały nieco, możnaby nie zejść, lecz spaść i stoczyć się potłuczonym. Grzeczni przewodnicy podtrzymują téż zadyszanych i w końcu nie mogących już się pohamować podróżnych... Spadliśmy tedy w oka mgnieniu wszyscy trzej, wśród śmiechów i krzyków Włochów, znowu w dolinę między Sommą a Wezuwiuszem, która jest także starym z 79 roku kraterem.

Dalej idąc już nieco inną drogą, mieliśmy śliczny widok na zatokę, Neapol i zachodzące pontyfikalnie słońce, w stronie Baji. Złociło ono miejscami morze, na którego powierzchni lśniącéj lądy malowały się ciemno-różową barwą. Po nad słońcem stanęły czerwone, pomarańczowe i złociste obłoki, służki, które króla do snu kłaść miały... Obraz ten mienił się, ciemniał, przechodził w tony różowe, fioletowe, sinawe, chłodniejsze coraz, aż gdyśmy dochodzili do domku eremity, zapadła lampa dnia i mrok się zrobił, szybko zwiększając co chwila.

Po przebyciu owéj rzeki czarnych law zastygłych, która się nam już daleko mniéj przerażającą wydała, przy rosnącym coraz mroku zbliżyliśmy się ku lawom ostatniego wybuchu, płonącym teraz ognistą czerwienią; miały nam one swemi krwawemi zygzakami przyświecać aż do Resiny.

Część ta drogi dramatyczniejszą była może, niż piérwsza, byliśmy bowiem na łasce osób nieznanych, wśród nocy na pustkowiu; a mój koń w dodatku nie mógł zapomnieć zajścia i niechęci ku swym współtowarzyszom i korzystał z najmniejszéj zręczności i zbliżenia ku nim, by, wcale nie zważając na mnie, wierzgać po nad przepaścią i unosić się namiętnością, która nam tu stać się mogła niebezpieczną. Trzeba go było wziąć w dobre kluby i ukrócić tę swawolę, która już o mało nie dała się we znaki neutralnemu Klemrodowi. Przytém zgraja naszych towarzyszów, która dość długo nas przeprowadzała,

po zapłacie stała się jakoś coraz zuchwalszą; główny przewodnik objawił życzenie wracania krótszą drogą, na co zezwolić nie mogłem. Wszczął się spór nader nieprzyjemny, a Klemrod, który marzył zawsze o rozbojach i machiawelstwach włoskich, zmuszony był dobyć z kieszeni parę pistolecików, których ukazanie się nadzwyczaj ułatwiło porozumienie. Łajano nas wprawdzie, lecz, ściśle biorąc, nie byliśmy obowiązani rozumieć włoskich tych, wyszukanych, dykcyonarzom tylko znanych grubiaństw, które padały, jak groch na ścianę. Przewodnik zmuszony został wieść nas dalszą i lepszą, a po nocy jedyną możliwą drogą, okrążającą górę i niezbyt spadzistą. Piękny ten szeroki gościniec nie jest jeszcze dokończony; lawy ostatniego wybuchu w dwóch miejscach już go przecięły. Zwieszają się po nad nim skały okryte bujną roślinnością, a wkrótce spuszcza się na pochyłości, okryte sadami winnemi, owego sławnego *Lacrima Christi*: jest ono tu tak różnéj dobroci, że o niém nic powiedziéć nie umiem. Mogłoby być i bywa doskonałém, lecz Włosi wogóle wina robią niedbale, choć materyał do nich mają wyborny.

Zmrok a raczéj noc bardzo szybko zwiększała się, począwszy od Ermitażu. Jechaliśmy dosyć powoli, przypatrując się widokowi już zupełnie zmienionemu nocnemi barwami. Stopniami Neapol, Portici, Resina, wybrzeże całe, aż do przylądka Misene, oświecać się poczęły. Zaokrąglony ten wieniec brzegów, jakby różańcem ognistych pereł obwodził się stopniami, zarysowywał jasno, wyraźnie, odbijając w morzu cichém. Widok morza był uroczyście piękny, poetyczny, jakby wieczorna modlitwa. Nad nami niebo czarne, gwiaździste, głębokie, w stronie Sorrento daleko, daleko blade błyskawice migły, odzwierciadlając się na wodach. W zatoce Neapolitańskiéj mogliśmy rozróżnić wyraźnie wszystkie jéj wykrojenia, załomy, latarnię morską, ogień na wybrzeżach, sznury świateł w ulicach. Noc była ciemna a przezroczysta, cicha, dziwnie piękna, noc, któréj się nigdy nie zapomina. Może się tu nie godzi poruszać własne wspomnienia, lecz z obrazów nocy jeden został w pamięci na zawsze. Pamiętam jeszcze cichą a śliczną noc majową. Byłem w podróży z akademickim tłomoczkiem na skromnym wózku. Zbłądziliśmy w lesie rozkwitłym i woniejącym brzozami i czeremchami. Trzeba było do rana spędzić godzin kilka w ciszy leśnéj, którą przerywały namiętne śpiewy słowików i wycie dalekie głodnych wilków. Noc ta była w swym rodzaju fantastyczna a osobliwszéj piękności.

Czarodziejski widok na zatokę znikł; spuszczając się ku Resinie, otoczyły nas murki ogrodów, winnice jakieś, budynki, jakby opuszczone... Okolica milcząca była, w kilku zaledwie pomijanych domostwach błyskały światełka, nie spotkaliśmy po drodze nikogo, oprócz człowieka, niosącego wodę, i dziewczyny, wracającéj z bieli-

zną. W dwóch miejscach przebywać musieliśmy jeszcze potoki ostatniéj lawy, po zastygłéj i stwardniałéj skorupie, gdyż przecinała nam gościniec, a konie, choć z góry, po nocy i po żużlach, nie utknęły ani razu. Mój nawet zapomniał o nieporozumieniu z kolegami i, idąc obok nich, zachowywał się przyzwoicie. Niezmiernie długą wydała nam się ta podróż do Resiny, aż nareszcie na tle niebios ukazał się kościół Panny Maryi i za nim oświetlone ulice mieściny, z porozwieszanemi wpoprzek ulic na wielkich chorągwiach obrazami odpustowemi. Świeciło się jeszcze po gospodach, sklepikach, domach i przed obrazami świętych, a ludność gęsto kręciła się w uliczkach.

Tu dopiéro Klemrod i my wszyscy odetchnęliśmy lżéj jakoś po długiéj, nocnéj, ciemnéj, dla koni niebezpiecznéj, a dla nas obcych, otoczonych ludźmi nieznanemi, dosyć męczącéj wycieczce. Wracaliśmy mocno znużeni, ale cało. Przy piérwszych domostwach Klemrod schował pistolety do kieszeni, tu już mogliśmy się obejść bez nich. Koń mój chciał znowu skorzystać ze zbliżenia do towarzyszów i rozpoczął wierzganie, lecz dałem mu do zrozumienia, iż na to nie pozwolę. Tak naostatek, dobiwszy się do gospody przewodnika, rozpoczęliśmy obrachunki. Wypadły one nader smutnie dla kieszeni, co zresztą przewidzianém być mogło. Suma rosła wszelkiemi możliwemi *buona mancia* i wymagania do nieskończoności się mnożyły, aleśmy, mimo krzyku i gadaniny, położyli koniec zapłatą ostateczną, aby, wytchnąwszy, powrócić do Neapolu. Goniono nas po schodach, przeprowadzano po ulicach; ujrzawszy wreszcie, że, nie oglądając się, już siadamy do powozu, Włosi, widząc, że darmo gęby trudzą, zamilkli. Powrót od Resiny do Neapolu bawił nas jeszcze nowym miasta widokiem. Większa część domów stała otworem, w głębi widać było izby z obrazkami, grupy ludzi i wieczorne pogadanki. Młodzież snuła się parami, używając pięknéj nocy...

XXIX.

Kościoły.—S. Severino.—Grobowce S. Severinich.— Pomniki. — Freski Zingara z żywota św. Benedykta. — Domenico maggiore. — Odnowa jego.— Grobowiec Noli. — S. Gaetano (Paolo mag.) — Kazanie.—Odpust.—Freski Stanzioniego. — Neron artysta. -Porta Capuana.—Plac Cavalcatori.—Ulica S. Antonio Abbate.— Więzienia i szkoły.—Stan kraju w r. 1858. — Oświata.—Więzienia. - Vicaria. — S. Francesco.—S. Maria d'Agnona.—Monte Sarchio.

Następującego dnia nierychło wybraliśmy się na dalsze rozglądanie po mieście. Wczorajsze znużenie przeciągnęło sen na poranek, a gdyśmy powstawali, było straszliwie skwarno, tak, że nawet cudzoziemiec niedoświadczony a śpieszący, wyrwać się już nie mógł w ulicę. Każdy z nas wytłómaczył się sam przed sobą ze swego lenistwa.

Dopiéro po obiedzie mogliśmy przedsięwziąć wycieczkę po ulicach, placach, kościołach. Wypadek zaprowadził nas naprzód do kościoła *San Severino e Sosio*, założonego w r. 1490. Jest to gmach ogromny, niegdyś wspaniały i w pięknym stylu zbudowany, który po trzęsieniu ziemi 1731 i częściowém zniszczeniu, dość niesmacznie zrestaurowano. Ściągnęły nas tu dzieła sztuki, chociaż freski w samym kościele i chórze, Corenzia, nie obudziły wcale zachwycenia. Natomiast grobowiec w kaplicy San Severini uczynił na mnie wielkie wrażenie. Jest prześliczny, a legenda, a raczéj historya grobowca, dodaje mu smutnego uroku. Na trzech sarkofagach, obok siebie stojących, leżą z założonemi na piersiach rękoma trzej prześliczni młodzieńcy, z wyrazem bólu, smutku i rzewnéj modlitwy. Zdają się modlić do N. Panny, umieszczonéj nad pomnikiem, za swego zabójcę. Zabójcą tym był własny stryj, Ascanio San Severini, który w r. 1516 jednego dnia wszystkich synowców zgładził ze świata, łakomiąc się na spadek po nich. Śliczne to dzieło kunsztu, pełne wyrazu, jest pierwszym utworem Giovanni di Nola, którego Pieta, dokończona przez ucznia, zdobi drugą kaplicę. Oryginalny pomysł, wielki wyraz figur, smak w wy-

konaniu zatrzymują mimowolnie przy tym grobowcu, który zostaje w pamięci.

Chór za wielkim ołtarzem szczyci się, jak wiele innych, rzeźbionemi stallami, o których custode nie zapomina objaśnić, że kosztowały artystów tyle a tyle lat pracy. Stalla są wistocie bardzo piękne.

Tegoż samego Giovanni di Nola jeszcze może piękniejszy pomnik drugi wystawia umierającego młodzieńca anielskiéj piękności, którego głowę omdlałą anioł podtrzymuje (Andreo Bonifacio). Napis Sannazara. O tym grobowcu nikt nawet nie wspomina, a niezrównanie wyrazisty jest i poetycznie pojęty. Wychudłe oblicze w kwiecie wieku i nadziei gasnącego jak kwiat uwiędły Bonifacia łzy wyciska. Nic równie pięknego nie spotkałem oddawna. Najpiękniejsze może u S. Severino są freski w klasztorze samym, z życia ś. Benedykta, przez Zingara. Im samym należałoby poświęcić ustęp obszerny, bo są mistrzowskiém i przepyszném dziełem, mało nader znaném. Pan Stanisław d'Aloê wydał je z rysunkami (1846); lecz te pełnego wyobrażenia o stylu i wyrazie malarza nie dają. Ten niebiański charakter słodyczy, dobroci, pokory, uspokojenia, który odznacza szkołę przedrafaelowską, a w późniejszych zmienia się na afektacyę i nienaturalne wypieszczenie, tu zachował się cały i dzieje ś. Benedykta oblewa jakimś nadziemskim wdziękiem. Postacie świętego, jego towarzyszów, niebiańskich zjawień, zachwycają pięknością szlachetną a pełną prostoty. Siedemnastu tych wielkich obrazów dosyć się napatrzyć niepodobna. Zingaro w olejnych swych obrazach, rozsianych po świecie, nie daje nawet pojęcia o tém, czém jest w tych mistrzowskich freskach. Tak samo Giotta widzieć należy i sądzić nie z małych Madon na szczupłych deszczułkach, ale z jego kompozycyj w Padwie i po innych kościołach. Dziwimy się, że Zingaro tak mało jest znany, przebiegając klasztor S. Severino; lecz ileż to znakomitych dzieł sztuki zapomnianych jest dlatego tylko, że mniemani znawcy i miłośnicy idą ślepo za skazówkami odwiecznemi, samoistnego nie mając sądu.

Kilka obrazów tegoż Zingara i malarzy neapolitańskich dawniejszych, krucyfiks rzeźbiony z IX wieku przez Corentino, mogłyby zwrócić uwagę, gdyby jéj rzeźby Noli i freski Zingara nie pochłonęły.

Od S. Severino poszliśmy do S. Domenico maggiore, przystrajającego się właśnie na obchód jakiéjś uroczystości i pozawieszanego oponami wspaniałemi. Cały ten gmach zresztą razi jaskrawością odnowienia niesmacznego, błyskotliwego, dogadzającego neapolitańskim oczom, kochającym się w błyskotkach, barwach krzy-

kliwych i pstrociźnie. Śladu prawie nie pozostało z najdawniejszego kościoła założonego w 1289, który był przerobiony w połowie XV wieku, zawsze jeszcze w stylu gotyckim, przez San Lucano, a w r. 1677 popsuty został szkaradnie po trzęsieniu ziemi i w stylu owéj epoki zbarokowany.

Dopełniła ostatnia restauracya 1853 roku kolorami i złotem, co poprzednie oszczędziły. Świeci się kościół, ale w nim ledwie ślad pozostał pięknych zarysów pierwotnych. Smutna to wspaniałość, gdy smak jéj nie przewodniczy. W kaplicy św. Tomasza z Akwinu pokazują obraz krucyfiksu, który przemówił do anielskiego doktora. Tu, jak w San Severino, najwięcéj uwagę zwrócić powinny przepyszne grobowce z XIV i XV wieku, któremi gmach jest ubrany. Takich pomników dziś nikt stworzyć nie potrafi. Nie znam piękniejszych nigdzie, chyba u nas w Krakowie. Tu znowu spotykamy się z rzeźbą Noli, monumentem jego mistrza del Fiore; pomnik Alagni i jego żony przez del Fiore i kilka innych są wielkiéj powagi, majestatem śmierci powleczone. Piękny grobowiec Porcyi Capece, trzy posągi świętych są dłuta tego rzeźbiarza. Pokazują tu także dwóch świętych Hieronimów przez del Fiore i ucznia jego Nolę, który walcząc o pierwszeństwo z mistrzem, nie doścignął go wyrazem i natchnieniem, ale przewyższył prawdą i naturalnością. Zliczyć trudno drobniejszych dzieł sztuki, których oglądanie utrudniały wspomnione przygotowania do odpustu. Kustodami kościoła znaleźliśmy inwalidów żołnierzy, co nam też przypomniało naszych dziadów: niedobitki z pod Racławic i Dubienki. W San Gaetano, a raczéj Paolo maggiore, trafiliśmy na nabożeństwo wieczorne; ksiądz był właśnie na kazalnicy... Stanęliśmy nieco, chcąc się przysłuchać wymowie, któréj wyraz dramatyczny nas uderzył. Nie pierwszego to włoskiego kazania słuchaliśmy, nie zdziwiła więc nas różnica intonacyi, sposobu wyrażania się i gwałtowne ruchy mówiącego. Być może, iż za dawnych czasów niekiedy tak i gdzieindziéj przemawiano do ludu, chcąc głębsze na nim uczynić wrażenie; dziś wymowa kaznodziejska znacznie zmieniła środki działania i w innych krajach tak teatralnie jużby się odzywać nie mogła. Lecz byliśmy we Włoszech, gdzie najpospolitsze pytanie nie obchodzi się bez pomocniczéj mimiki, gdzie mówiąc o powszednich sprawach, głos przybiera deklamacyjne intonacye; jakże mógł ksiądz natchniony przemawiać zimno? Bądź-co-bądź, dla nas przechadzki jego po obszernéj kazalnicy, ruchy rąk, miotanie się, krzyki, westchnienia, wydały się czémś dziwnie przesadzoném. Pot lał mu się z czoła, nieustannie ocieranego chustką, twarz cała stała w płomieniach, od głosu rozlegały się sklepienia. Niekiedy lud wtórował westchnieniami

i łkaniem. Tu także był odpust i święto, to też i posąg św. Kajetana, który przed kościołem widzieliśmy wystawiony, cały był przybrany i obwieszony świątecznie.

Kościół ten stoi w miejscu pamiętném, na ruinach pogańskiéj świątyni wspaniałéj, którą wyzwoleniec Augusta Tiberius Julius Tarsus wzniósł Kastorowi i Polluksowi. Miało to być arcydzieło kunsztu przyozdobione w posągi, kolumny, płaskorzeźby przewybornego smaku. Opuszczoną świątynię późno już zaczęto przerabiać na kościół św. Pawłowi poświęcony. Znalezione kolumny korynckie zużytkowano przy wnijściu, gdzie i torsy Kastora i Polluksa są wmurowane na pamiątkę. Przyznaję się, że owo kazanie, tłum ludu napełniający kościół, trudność dociśnięcia się do kilku obrazów, któreby mogły być zajmujące, odjęła mi ochotę dalszego oglądania. Freski Stanzioniego i Corenzia mrok ledwo dojrzéć dozwolił. Klasztor przytykający do kościoła, zajmuje miejsce owego dawnego słynnego teatru (znać jeszcze ślady jego), na którym nieporównany ów artysta, który umierając, wołał:—*Quantus artifex pereo!*—śpiewak i poeta Neron, kilka razy przebrany, wmieszany między histryonów, popisywał się przed ludem i zbierał oklaski. Na pamiątkę wielkiego powodzenia wybito nawet medal, na którego stronie odwrotnéj cezar ukoronowany laurem gra na lirze. Historycy niedosyć uwydatnili w téj oryginalnéj postaci oszalałego i pełnego próżności artystę, fenomen ten miernego talentu połączonego losem z wszechwładnością i przywiedzionego dwoma upojeniami władzy i próżności do rodzaju obłąkania, którego drugiego przykładu nie spotykamy w dziejach. Większa część najpoczwarniejszych fantazyj Neronowskich artystomanią jest natchniona; tworzy on poemata dzikie i opiewa je. Pali Rzym, aby się przejąć pożarem Troi i barw pochwycić do niego, pali chrześcijan tak samo, śpiewa na teatrze i popełniając zbrodnie, szuka artystycznych efektów. Nawet zwłoki matki ogląda okiem znawcy i rzeźbiarza raczéj niż syna. Zaprawdę, typ osobliwy i jedyny.

Mrok nie dozwalał nam już iść do innych kościołów, w ulicach wszakże było jeszcze dosyć jasno, a że na odpustach nie zbywało, mogliśmy się przypatrywać weselącemu się ludkowi, który obchodził patronów swych, strzelając z małych moździerzyków przechodniom pod nogi, za każdym strzałem głośno objawiając dziecinną radość z tak zachwycającéj pukaniny. Wszystkie Madonny w niszach i na murach, tam gdzie przypadał odpust, dziwnie były postrojone, w atłasy, perły, jedwabie, wstęgi i złociste papierki.

Pojechaliśmy jeszcze spojrzéć na dawną *Porta Capuana*, która

niegdyś stała u wjazdu od Kapuy, dopóki ulicy nowéj, *Foria*, nie wytknięto. Są na niéj piękne rzeźby Giuliano da Majoro, i całość ma charakter monumentalny; ale to już dziś umarła pamiątka tylko, w któréj chyba ślady kół wozu Karola V szanować trzeba. Wygląda dziś malowniczo. Za nim będący plac *Cavalcatori* jest miejscem, gdzie winowajców tracą. Obok, nie wiem już które ogromne znowu więzienie. Wogóle z niczém się częściéj nie spotyka w Neapolu, jak z temi gmachami publicznego użytku, tak, że straszno obrachowywać, jaka tu część ludności spędza czas, nie płacąc za mieszkanie. Nie wiem już, jak dostaliśmy się stąd na ulicę S. Antonio Abbate, któréj brud, smród i niechlujstwo przerażające zniechęciło nas do dalszych badań. Przyznam się, że czegoś podobnego w środku stolicy, nie widząc, wyobrazić sobie nawet nie można. Stojące, gniłéj wody i śmiecia pełne kałuże, stosy rozmaitych pozostałości życia, łachmany wiszące a walające się i chodzące, powietrze przesiąkłe wyziewami nieopisanemi, przytém tłum wrzaskliwy żebraczy kazały się cofnąć coprędzéj. Około ogrodu botanicznego wydostaliśmy się szczęśliwie znowu na trochę przyzwoitszy świat i znaną już ulicę Toledo. Tu znaleźliśmy wprawdzie mruczący tłum wesoły, już nam znany z poprzedzających opisów, lecz nędza i dzicz, które w San Antonio przerażały, zmieniły przynajmniéj odrażającą fizyognomię. Westchnąłem mimowoli myśląc, jakiém będzie zadaniem dla przyszłości z tych szczątków ludności pół zgniłéj, uczynić naród nowy powołany do normalnego życia i rozwijania się. W r. 1858 nikt jeszcze ani mógł przewidywać przyszłych losów Włoch, podzielonych naówczas i w próżnych wysiłkach miotających się tylko dla osiągnienia idealnéj jedności. Stan wszakże obecny dolegał niepomiernie i wszystkie jego chorobliwe strony były bardzo wydatne. Prawie żadnych szkół, a taka niezliczona więzień liczba... surowość i piecza nieustanna, a mimo to ciągły niepokój i gorączka, lud w stanie natury i to zepsutéj niedogryzkami cywilizacyi, fanatyzm bałwochwalczy miasto wiary, teatralna reprezentacya miasto religijnych obrzędów, a w klasach wykształconych źle tajona niecierpliwość i oburzenie nad losami kraju, zwiastowały, że one zmienić się muszą.

Wistocie stanu tego nieznośnie ciążącego na kraju, dłużéj wytrzymać on nie mógł. Przechodził jego siły. Musiało to, zrodziwszy ruiny, skończyć się katastrofą.

Na dobrych chęciach zapewne nie zbywa rządzącym, można to przyznać, i są dowody, iż była wola zbawienia neapolitańczyków, a uczynienia z nich najszczęśliwszego narodu pod słońcem. Cóż potém, gdy chęci te posługiwały się źle pojętemi środkami i za-

sadami, z których nic pomyślnego wyrosnąć nie mogło. Jedną z tych zasad właśnie było fałszywe pojęcie, iż światło jest niebezpieczeństwem, nauka obałamuceniem, a samoistniejsze myślenie groźbą dla społeczeństwa. Większa część instytucyj zostawała w rękach zakonu ojców jezuitów, którzy w najlepszéj wierze krzewili ciemnotę, fanatyzm i odrazę do pracy. Na ciągłe symptomy trwożące, w jednem tylko szukano lekarstwa, utrudniano naukę, czyniono ją nieprzystępną, usiłowano jawnie rozwicie duchowe narodu powstrzymać.

Szkoły świeckie w roku 1858 już prawie nie istniały; kierunek wychowania i oświaty cały był w rękach ojców jezuitów, a młodzież szlachecka wychodziła wszystka z ich szkół tylko.

Oświata ludu, dla któréj za rządów Murata w każdéj parafii pozakładano szkółki elementarne, a do nich chodziło już 120,000 dzieci, po powrocie Burbonów wstrzymaną została. Szkółki pozamykano prawie wszystkie, lub pozbawiając je funduszów, przyprawiano o upadek. Owocem tego był stan pół dziki, przerażający, z którego niełatwo i nieprędko prowincye te dźwignąć się potrafią.

Obok tego braku szkół uderzała każdego przybywającego niezmierna ilość więzień, o któréj wspominałem kilka razy. Pisarz jeden, zamieszkujący długo we Włoszech, słusznie powiedział, że w koloniach na trzebieży nowéj, Hiszpanie budują kościół, Anglicy karczmę, Francuzi twierdzę a Włosi kościół z więzieniem. Neapolitańskich nadzór wyższy i poprawczy kierunek powierzony był jezuitom.

Przystęp do nich dla cudzoziemców ciekawych badania stanu, który o kraju najlepsze mógł dać wyobrażenie, niezbyt był łatwy. Jednem z głównych była tak zwana Vicaria, niegdyś pałac książęcy, utrzymywany dosyć troskliwie na pozór, ale przepełniony tak, że w niektórych salach mieściło się po sto pięćdziesięciu ludzi, zmieszanych razem: osądzeni zbrodniarze i obwinieni, nieustannie się o siebie ocierać musieli. W Vicaria praca nie była obowiązującą, swobody aż do zbytku, jadło dobre, twarze nawet wesołe, lecz więzienie to można było nazwać raczéj szkołą występku, niż poprawy. Nic tu znaléść nie można odrażającego, żadnéj srogości zbytniéj, ale zdaje się, że szło tylko utrzymującym o wydzielenie ze społeczeństwa niebezpiecznych, i nic więcéj. Co się tu z niemi stać miało, nie troszczono się zbytnio. Zamknięci byli wprawdzie, lecz nie głodni i stosunkowo swobodni, bawili się i robili, co chcieli. Szpital i więzienie San-Francesco, na Porta

Capuana, z dawnego klasztoru przerobiony, wyglądał mniéj porządnie, mniéj czysto, nieład w nim panował większy, ale wolność taż sama. Scen i ludzi można się tu było napatrzyć oryginalnych. O Santa Maria d'Ognona (gdzieśmy nie byli) opowiadał nam Francuz oddawna zamieszkały w Neapolu, który dłużéj i lepiéj mógł studyować więzienia: — „Wpadłem do pałacu wytwornie przyozdobionego; pokazano mi naprzód sypialnie obszerne, których posadzki były mozajkowane, a sufity malowane al fresco. Kwiaty i liście laurowe zaściełały dziedziniec i korytarze, w których wesołe promienie słońca igrały. Pod obszernemi portykami, ujrzałem zgromadzone około obficie zastawionych stołów secinami kobiety w strojach malowniczych, niektóre z pewną wytwornością poubierane, których wesołość, troszkę hałaśliwa, zdawała się nieprzymuszoną, naturalną. Do stołu posługiwały panie, należące do pierwszych rodzin, które się tém bawiły niezmiernie. Ojcowie duchowni, w białych fartuchach, zastępowali kucharzy; hrabine roznosiły półmiski, a arcybiskup kardynał chodził dokoła stołu uśmiechając się i błogosławiąc. Niktby się tu nie domyślił więzienia!

„Rozpytywałem niektóre z tych kobiet, a ciekawość moja wyraźnie je rozweseliła. Wszystkie naturalnie mówiły, że były posądzone lub osądzone najniewinniéj. Jedna tylko przyznała się, że ją uwięziono za bójkę, dodając z pewną dumą, iż najlepiéj się popisała i nawet przeciwniczce wybiła kilka zębów. Była to, jak się łatwo domyśléć, rywalka“ *). Zdaje się, że system poprawczy ograniczał się na samém oddziaływaniu przez zamknięcie i odosobnienie, a zarazie występków zapobiegano tylko podziałem nader niedostatecznym na kategorye. We wszystkich więzieniach ci, co je zwiedzali, znajdowali obwinionych, którzy po siedem i osiem miesięcy siedzieli, nie będąc jeszcze badani ani sądzeni.

Więźniowie polityczni w Santa Maria aparente uskarżali się na też same zwłoki. Najsurowszém zamknięciem było *Monte-Sarchio*, ale wogólności więzienia nie grzeszyły zbytkiem surowości i okrucieństwa, tylko nieładem i urządzeniem bezmyślném, które z nich czyniło rozsadniki złego, zamiast instytucyj karnych i poprawczych. Sama ich ilość świadczyła o nieskuteczności. Oddzielano chorych, których liczba się codzień mnożyła, a nie umiano lub nie chciano leczyć choroby...

---

*) Teod. Vernes toż samo powtórzył w swéj książce późniéj wydanéj: *Naples et les Napolitains.*

Tak było wszędzie — złe rosło, starano się je wypleniać, zapobiegać jego działaniu, hamować objawy, nie zastanawiając się nad tém, co je rodziło, nie usuwając pierwszych przyczyn: ciemnoty i braku wykształcenia. To, co było jego skutkiem, przypisywano raczéj promykom niebezpiecznéj oświaty, która się mimo silnéj kontroli wcisnęła. Omyłka w dyagnozie musiała w końcu być dla pacyenta zabójczą. I dziś, gdy wcale innym trybem, w inny sposób Włochy pracują nad podźwignięciem się z upadku, z jadu, wiekami zaszczepionego, trudno będzie nieszczęśliwych oczyścić. Minie lat wiele, nim Włochy wejdą na drogę postępu, którą z oczów w ciemnościach straciły.

XXX.

Wyjazd do Pompei.—Campania Felix u starożytnych. — Natura.—Pompeja.— Osady greckie.—Drogi rzymskie, ich budowa.—Historya. — Nuceryni i Pompejanie.—Zniszczenie.—Szkielety znalezione. – Zagadka i zapomnienie. — Odkrycia i poszukiwania. — Roboty około odkopania. — Droga do Pompei. — Obrazki z drogi.—Hotel Dyomedesa.

Przyszła nareszcie długo oczekiwana chwila wyjazdu do Herkulanum i Pompei. Dla nas, a przynajmniéj dla mnie wycieczka ta stanowiła najważniejszy cel podróży, przedsięwziętéj niemal wyłącznie dla katakumb rzymskich i wykopalisk pompejańskich. Pierwszych wieków chrześcijaństwa, ani świata starożytnego pojąć, nie widząc, nie zbadawszy nieco tych zabytków, niepodobna. Pobyt w Neapolu miał téż na celu przygotować nas, zwiedzaniem muzeów, do lepszego zrozumienia szczątków miast zasypanych. Dłużéj wszakże zwlekać nie dozwoliła wzrastająca niecierpliwość i ciekawość. Nie wątpiąc, iż czytelnicy podzielą z nami żywe zajęcie się pompejańskiemi wykopaliskami, będziemy się starali dać przynajmniéj główne zarysy obrazu jedynego w swoim rodzaju i krótką historyę tego świata zmartwychwstałego w lat prawie dwa tysiące *). Lecz nim przystąpimy do opisu wrażeń własnéj wycieczki, nieuchronném jest poprzedzić go wiadomościami o mieście zasypaném i kraju tym w starożytności.

Campania felix liczyła się za rzymskich czasów, jak samo nazwisko jéj powiada, do najszczęśliwszych na kuli ziemskiéj okolic. Cudne położenie, które oczy zachwyca, dopełniała nadzwyczajna żyzność doliny, któréj wulkaniczne grunta wydawały wyborne wina, owoce, oliwę i zboża. Zatokę morską od Sorrento do Misene,

*) Oprócz źródeł dawniejszych i dzieł obszerniejszych, trzymać się będziemy najdokładniejszéj, bo najświeższéj pracy Overbeck'a, który zebrał i przywiódł, co tylko mógł znaléźć w tym przedmiocie.

z Wezuwiuszem w pośrodku, obiegało wybrzeże osłonione górami, obwarowane od wiatrów, rozkwiecone i bujną roślinnością okryte. Rodziły się tu obficie najwięcéj cenione wina, Falernus i Massyk. Pliniusz wprawdzie powiada, że wina tutejsze potrzebowały się wytrawić i zestarzéć, aby bez szkody używanemi być mogły, lecz téż, jak dziś tak wówczas, a wówczas więcéj niż dziś może, uprawa win i robota około nich była zaniedbaną. Rosły dziko. Oprócz tego całe stoki gór okrywały lasy oliwne, a doliny wydawały zboża obficie.

Pompeja, miasteczko położone w niewielkiéj od morza odległości, choć nie miało zachwycających widoków Neapolu, w części przynajmniéj tak zbudowaném było, iż amfiteatr wybrzeży ze świątyni Jowisza, z Forum triangulare oglądać było można. Wcześnie zamieszkana okolica roiła się od napływu ludności. O Pelazgach, Tyrrenach, Auzonach są tylko głuche podania; ślady zaś niewątpliwe pozostały po Oskach i jońskich koloniach Greków. Ludność grecka zmieszała się tu z oskosabellicką tak, iż rozróżnić tych dwóch warstw nader trudno. Mommsen bardzo trafną znalazł cechę do odznaczenia tych osad, które przeważnie były oskie, od jońskich. Tylko greckie biły monetę i tylko w nich znajdują się malowane naczynia gliniane, o których zbiorze mówiliśmy. Tak Kapua, Dikarchia (Puteoli), Sorrento, Kumy, Nola zawdzięczają początek swój Grekom, Abella, Herkulanum, Pompeja zdają się osadami autochtonów. Greckie kolonie w większéj części leżą nad morzem, oskie głębiéj od wybrzeży.

Pompeja była główném targowiskiem dla okolicznych miasteczek i wiosek, które tu w części po rzeczce Sarnus, w części lądem zwoziły zboża i oliwę, dla ładowania ich na okręty. Być może, iż przed wielkim wybuchem Wezuwiusza, który zmienić mógł kształt i podniesienie brzegów, morze podchodziło do saméj Pompei, i tak powszechnie przypuszczają. Niektórzy nawet utrzymują, iż Sarnus zmienił późniéj bieg swój i koryto. Oprócz téj najstarszéj drogi komunikacyjnéj, Overbeck słusznie wspomina o gościńcu rzymskim, *via Campana*, który ułatwiał dalszym osadom żywy związek z głównemi ogniskami handlowemi. Budową tych dróg, których ślady po dziś dzień pozostały, Rzymianie dali dowód najlepszy instynktu organizacyjnego, który tak długo zapewniał im panowanie nad światem. Gościńce te murowane, kosztowne i wspaniałe, rozchodziły się, jak żyły wiodące życie, w głąb' posiadłości państwa. Patrząc na nie, dziś jeszcze podziwiać potrzeba potęgę, co je stworzyła i niemi cywilizacyę słala w najoddaleńsze kraje. Drogi rzymskie murowano kosztem wielkim, na spód rzucając kamienie olbrzymie związane wapnem (*statumen*), sypiąc potém dro-

bny zwir ubity z piaskiem (*rudera*), naostatek mieszcząc na tych fundamentach płyty kamieni dobranych i starannie skupionych. Taki gościniec (*agger)* w pobliżu miast miał jeszcze chodniki wyżéj podniesione *(margines*), słupami (*milliaria*) oznaczone odległości i stacye dla podróżujących. Na owe wieki, przyznać należy, był to postęp niezmierny, który nieprędko nawet w późniejszéj Europie naśladować umiano.

Osada pompejańska, jak się z niektórych części murów okazuje, musiała być bardzo starożytna. Pierwsze o niéj wspomnienie znajdujemy w roku 310 przed Chr. Rzymianie kusili się o jéj podbicie i o zawładnienie Samnitami, co dopiéro po krwawych wojnach w r. 290 przed Chr. dokonaném zostało. Że zwycięscami wszedł język i prawo rzymskie, chociaż w obyczajach i mowie długo jeszcze ślady Osków dawnych pozostały. Panowanie Rzymian utrzymywało się tu aż do zwycięstwa Hannibala pod Kannami, po którém samnickie miasta oderwały się od Rzymu i połączyły z Kartagińczykami. Pompeja wszakże, wzorem Kapuy, napróżno korzystać usiłowała z tego. Zwycięstwo Marcellusowe przywróciło tu panowanie Rzymian. Powstały jeszcze raz miasta samnickie w r. 91 przed Chr., dobijając się prawa obywatelstwa rzymskiego lub niezawisłości i otrzymały to obywatelstwo. Pompejanie uczestniczyli w téj wojnie pod dowództwem Pontiusa z Telezyi, którego Sulla zwyciężył pod Stabia i miasto to zniszczył. Pompeja broniła się, potém dwa razy odepchnąwszy napad Rzymian, została przez wojska Sulli zniszczoną i nadzieję niezawisłości utraciła. Nadano natomiast prawo obywatelstwa żądane; lecz Pompeja musiała znieść przymusowe osadzenie na ziemiach swych żołnierzy rzymskich, z któremi nigdy zupełnéj zgody nie było. Bronili oni wszakże osadę od napaści żołnierskich oddziałów. Odtąd Pompeja coraz bardziéj rzymską stawać się zaczęła i z losem swoim przejednaną. Dobrobyt, handel, przemysł, życie się wzmagało, a osiadający w Kampanii bogaci Rzymianie przynosili z sobą potrzeby zbytkowne i środki ich zaspokojenia. Wybrzeża okryły się temi cudnemi willami, domami, gmachami, których dziś tu jeszcze spotykamy ruiny. Jednym z najznakomitszych, którzy się tu przenieśli, był Cycero, oprócz domu większego w Puteoli, mający tu nabyte ciche schronienie, wspomniane w listach jego.

Tak zwana willa Cycerona, odkopana i w części zasypana znowu, wątpliwa bardzo czy istotnie do niego należéć mogła. August także lubił bardzo Pompeję i (7 r. przed Chr.) założył tu na przedmieściu osadę nową: *Pagus Augustus felix suburbanus.* Miał tu willę Klaudyusz; było w modzie nabywać tu domki i budować letnie mieszkania z przepychem. Miasto zależąc w wyższych instancyach

i sprawach od Rzymu, zarząd miało miejscowy gminny, na którego czele stali *duumviri, decuriones*, edylowie, cenzorowie, kwestor i t. p. Na wzór Rzymu, jak miasta, ukształtowało się tu wszystko powoli.

Do historyi wewnętrznéj miasta należy wywołana igrzyskami gladyatorów w amfiteatrze walka z przybyłemi tu Nucerynami, których liczniejsi Pompejanie pobili, za co ukarano ich zakazaniem kilkoletniém igrzysk i wygnaniem tych, którzy byli kłótni przyczyną. W r. 63 po Chr. dotkniętą została Pompeja pierwszą straszliwą klęską, która była wybuchu przepowiednią, trzęsieniem ziemi; wiele gmachów obalonych niém zostało, domy poniszczone, posągi, które z podstaw pospadały, pogruchotane. Świątynie Jowisza, Izydy, kolumny Forum potrzaskane padły. Ślady tego trzęsienia ziemi, już w znacznéj części restauracyą nową zatarte, w gruzach się jeszcze widziéć dają; rozeznać nawet można po stylu budowy, które na miejscu starożytnych dekuryonowie powznosili. Praca ta szła bardzo szybko, tak, że już prawie dokonaną została, gdy straszliwy ów wybuch niespodziany nastąpił. Mówiliśmy o nim wyżéj, przywodząc piękny opis Pliniusza, któremu w pomoc przychodzi opowiadanie Dyona Kasyusza.

Odkrycia nowsze dozwalają téż do pewnego stopnia wnioskować o tym straszliwym dniu ostatnim Pompei, który w rzeczywistości przechodził tragicznością swą wszystko, co wyobraźnia na ten temat stworzyć mogła. Z badania popiołów, które zasypały miasto, odróżniających się barwą od tych, które późniejsze wybuchy naniosły, przekonać się można, iż w r. 79, warstwa ich doszła do 22 stóp. Popioły, kamyki, błoto gorące utworzyły tę masę stężałą, która oblała gruzy. Overbeck przeczy, ażeby rozpalone kamienie, spadające z Wezuwiusza, mogły miasto zapalić i wzniecić pożar, zwęglenie drzewa przypisując działaniu czasu. Zasypanie to miasta nie było, jak się zdaje, tak nagłém i gwałtownném, ażeby się mieszkańcy z niego z życiem uratować nie mogli. Wszyscy naprzykład widzowie z amfiteatrów czas mieli ujść, a kilka szkieletów tu znalezionych, mogą być bardzo zabitych w igrzyskach przed wypadkiem gladyatorów.

Większa część mieszkańców, których kości i ślady znaleziono w ruinach, padła ofiarą nieopatrzności, ratując się zapóźno, lub kryjąc do lochów i izb ustronnych, w których późniéj zasypani udusili się lub pomarli z głodu, sami, starając się pozabierać, co mieli kosztowniejszego w domu, opóźnili się w ucieczce. Spadające kamyki i popioły, ciemność nie dozwoliła im już wyniść na bezpieczniejsze miejsce. Szkielety w wykopaliskach nie są częste; od r. 1863 odkryto ich czterdzieści, cztery odciski ciał na wilgo-

tnych popiołach, szkielety dwóch koni, kilku kóz, psów i kotów. Lecz miary z jednéj części o drugiéj brać nie można. Co do położeń, w jakich ciał ludzkich reszty się znalazły, opiszemy tu tylko kilka, ściśle się trzymając faktów i wstrzymując od wszelkich domysłów. Przed wrotami Herkulańskiemi w pierwszéj niszy grobowca w lewo, znaleść miano szkielet żołnierza z dzidą w prawéj ręce, a lewą do ust przytkniętą. W ulicy, od teatrów do Forum wiodącéj, znaleziono dwoje ludzi — mówią kochanków, przysypanych w ostatnim miłosnym uścisku. Jeszcze w ulicy grobów, w półokrągło przysklepionéj niszy, schroniona matka z trojgiem dzieci, zamiast ocalenia śmierć znalazła. Tuż blizko kilku ludzi, którzy odprowadzali ciało zmarłego do grobowca i odprawiali tam stypę (*triclinium funebre*) pozostali wraz z nieboszczykiem, spóźniwszy się z ofiarą. Z dwóch kapłanów Izydy, przy jéj świątyni, jeden udusił się niedojadłszy kury, któréj kostki przy nim znaleziono, drugi toporem dwie ściany przerąbawszy napróżno, u trzeciéj legł bezsilny... trzeci zabrawszy kościelny dostatek, uciekał już na *forum triangulare*, gdzie kościotrup jego znaleziono, wraz z pozostałościami do obrzędu Izydy należącemi. Opóźnieni kapłani téj bogini znać, jak wnoszą, największą mieli ufność w jéj opiece i do ostatniéj chwili na nią rachowali. Przy innych szkieletach znajdowano także kosztowności uratowane, lub, jak się inni domyślają, porabowane przez złodziejów po domach. W willi Dyomedesa, w Kryptoportyku (w końcu ulicy Grobowéj) odkryto najwięcéj osób razem zebranych, które się tu skryć usiłowały. Krypta służyła za piwnicę, w któréj stały amfory z winem. U wnijścia do niéj przy wschodach... osiemnaście kobiet i dziewcząt śmierć znalazło. Ciała te przysypały późniéj delikatne popioły, które zwilgocone wyschły i stężały tak, że zachowały kształty postaci, z których jednak ocalała tylko część gorsu i piersi młodego dziewczęcia, prześlicznych kształtów, okryta cieniuchną tkaniną. Razem z matką swą, która na ręku trzymała dziecinę, a starszą miała przy sobie, schroniły się tu w pierwszéj chwili trwogi i późniéj wynijść już nie mogły: kamyki i popiół objęły je. Ze spokojem Rzymianek zmarły, zasłoniwszy głowy, wedle starego obyczaju. Sam właściciel domu szukał ratunku w ucieczce, w któréj mu towarzyszył niewolnik; ale u furty ogrodowéj z kluczem w ręku padł nieżywy. Niewolnik w chuście niósł pochwycone pieniądze.

Wszystko, cośmy tu przytoczyli, mieści się w dawnych, dość wiarogodnych opisach—które tylko może z ust do ust i z książek do książek przechodząc, trochę ubarwione zostały. Natomiast odkrycia nowsze Fiorellego, po naszéj bytności w Pompei wykonane, dały kilka nieocenionych odcisków ciał, odlewy z gipsu, w któ-

rych zgon tragiczny schwytany został z całą prawdą natury. Odlewy te znane są z licznych fotografij a jest ich dotąd cztery, olbrzymiéj wielkości mężczyzna, kobieta i dziewczyna.

Mężczyzna, zbudowany atletycznie, znaleziony został leżący na krzyżach i konwulsyjnie pociągający szatę, którą był okryty; dwie kobiety w różnych pozycyach skonały; młodziuchne dziewczę, skrzyżowawszy ręce, ze spokojem poddało się przeznaczeniu; starsza niewiasta walcząc ze zgonem, wyzionęła ducha w męczarniach, które się widziéć dają na odlewie. Wszystkie te szkielety znaleziono w bardzo lekkiéj odzieży, bo cięższą znać zrzuciły w ucieczce; o tkaninach odlew sądzić nie dozwala.— W ruinach pozostały niewątpliwe ślady, iż wkrótce po katastrofie mieszkańcy Pompei wrócili do zasypanych domostw i usiłowali z pod popiołów dobyć resztki swojego mienia. W niektórych miejscach nawet powyjmowano płyty marmurowe, kolumny całe, a jak się domyślają, posągi, rzeźby i kosztowności, których stosunkowo liczba znajdowana nie jest wielką. Tak samo w lawą zalaném Herkulanum znaleziono powyrąbywane wschody, któremi ratowano późniéj, co było niezniszczone. Cesarz Tytus zamierzał odbudować miasta oba i wysłał dla opatrzenia miejsc dwu senatorów, lecz co postanowiono, niewiadomo. Mieszkańcy w części rozpierzchli, pobudowali się późniéj pod Pompeją, i doznali tego samego co ona losu w 472 r. po Chr. Imię nawet zapomnianém zostało, i aż do XVIII wieku nigdzie go wspomnianém nie znajdujemy. Stało się tu, co z katakumbami, pamięć ludzka w ciągu kilku pokoleń, wśród wojen i niepokojów — nie zatrzymała nawet podania o losie Pompei i Herkulanum.

Od pierwszego stulecia po Chrystusie do r. 1748, nie tknięto już owych pagórków popiołu, na których krzaki i drzewa porosły. Przypadek zwrócił uwagę na Pompeję, po odkryciu Herkulanum. Uczeńsi wspominali już o niéj w XVI w., oznaczono na kartach fałszywie miejsca gdzie stała, wreszcie w r. 1594 — 1600 przerznięto popioły i ruiny budując kanał, a o poszukiwaniach nikt nie pomyślał. Nakoniec w 1748 r. za panowania Karola Burbona, wieśniacy robiąc około winnicy trafili na mur, potém kopiąc daléj, znaleźli kosztowności, i to zwróciło uwagę na możliwość raczéj zdobycia skarbów może, niż cenniejszych nad nie pamiątek. Zrazu wszakże nie łożono na to ani wiele sił, ani kosztów; posyłano kilku ludzi pod dozorem kaprala. Od r. 1751 do 1754 zupełnie poszukiwań zaprzestano. Odkopane ruiny, wyjąwszy z nich co było godném zachowania, wypiłowawszy nawet ze ścian obrazy zasypywano nanowo. Szukano téż bez planu, tam gdzie się prawdopodobnie spodziewano znaléść rzeczy kosztowne, lub gdzie wy-

niosłości i kształty popiołów domyślać się dozwalały budowli znaczniejszych. Wśród tych robót, gdy skutek nie odpowiadał nadziejom, przerywano je, potém rozpoczynano nanowo w różnych miejscach. Tak naprzykład amfiteatr poczęto odsłaniać w r. 1748, skończono dopiéro w 1816. Wielki teatr w 1764 odkopany w części, w 1793 oczyszczono cały. Szły zatém świątynie i znaczniejsze gmachy. W 1763 kopano także około ulicy Grobowéj, w 1771—1774 odkryto willę Dyomedesa. Liczba pracujących czasem dochodziła do ośmiu, niekiedy podnosiła się do trzydziestu. Opisywać szczegółowie robót tych powierzchownych nader opieszale prowadzonych nie widzimy potrzeby, ani niezręczności z jaką często postępowano, więcéj niszcząc, niż odkrywając. Jeszcze za bytności naszéj w Pompei liczba robotników była szczupła i postęp bardzo powolny, żywsze wzięcie się do pracy, wynagrodzone nader szczęśliwemi zdobyczami, rozpoczyna się dopiéro od przyłączenia Neapolu do Włoch i naznaczenia dyrektorem robót tych p. Józefa Fiorelli, profesora archeologii, który systematycznie ze znajomością warunków na nowo, na daleko większą niż przedtém skalę, kopanie rozpoczął. Nowsze prace w inny sposób dokonywane, ostrożniéj, dozwoliły zachować wiele szczątków dachów, wschodów, balkonów, które dawniéj w gruz się rozsypały. Overbeck wspomina, iż starano się i miano nadzieję cały jeden dach nad atrium ocalić i na nowo wznieść zrestaurowany. Dotąd to, co zostało odsłonięte, stanowi mniéj więcéj jednę trzecią część miasta samego nie licząc przedmieścia Augustus felix; ważniejsze jednak gmachy wszystkie niemal są oczyszczone.

Starając się pozyskać czasu jak najwięcéj, wybraliśmy się bardzo rano; chmury, co rzadko się trafia — oblekały niebo całe. Zdało mi się, że koleją żelazną do Pompei jechać było rodzajem profanacyi, oprócz tego kolej ma swe godziny, woleliśmy biorąc weturyna, zyskać zupełną swobodę. I znowu puściliśmy się tą samą drogą już znaną, która nas prowadziła do Wezuwiusza, na Resinę. Mimo wczesnéj godziny, gościniec pełen był zwierząt i ludzi. Osły dźwigały nieznośne owe pomidory, których widok sam nawet w końcu we Włoszech obrzydnie, ludzie nieśli na głowach kosze owoców, zielenin, sałaty i t. p. Ruch już był wielki a hałas nie mniejszy, bo rozmowy toczyły się między wszystkiemi przechodzącemi i przejeżdżającemi, byle gęba nie próżnowała. W Portici zastanowiły tablice z napisami, chlubiącemi się dawnością tych zakładów, które polecały gościom. Były tam: *Antico Caffée degli Amici*, *Antico Caffée del buon gusto*, *Nobile Albergo*, *Antico Spaccio... e altri generi*. *Generi* nazywa się wszystko co chcecie, są nawet szyldy z napisem: *Diversi generi*. Gdzieindziéj popłaca nowość, tu

chlubią się starożytnością i nie bez przyczyny, najlepsze jest co stare. Wśród tego świeżego poranku, lud wydał się nam dziwnie, odrażająco brudny, zaniedbany, niechlujny i brzydki; ulice téż nie grzeszyły wytwornością utrzymania.

Osobliwsza rzecz, ta niegdyś kolonia jońska, ta Grecya włoska w typach ludowych piękności greckiéj nie zatrzymała ani śladu; prędzéj jeszcze pięknego mężczyznę spotkać było można, niż świeżą a wdzięczną twarz kobiecą. Młodziuchne dziewczęta zwarzył już ten klimat, spaliło słońce, strawiła praca... skarliła jakaś krew wyżyta.

Od Portici ciągną się wille nad morzem różnych właścicieli, z napisami na szczytach... budowy pospolite, nie odznaczające się niczém, ale przynajmniéj dziś czyste. Ani się spostrzega, gdy Portici zastępuje Resina, spadkobierczyni uboga bogatego Herkulanum. Miasteczko w położeniu, jak one wszystkie tu, uroczém, u brzegu morza, do którego toczą się i spadają zielone jéj ogrody i winnice, a z pośrodka liści i drzew gdzieniegdzie świeci się pałacyk biały. Ledwieśmy Resinę minęli, po małym bardzo kawałku drogi otoczonéj murem i winnicami, wjeżdża się do podobnego Torre del Greco. Jestto osada ludniejsza jeszcze niż Resina, starożytna bardzo, na nowo odbudowana w XIII w..., po niezliczonych zniszczeniach przez lawy Wezuwinsza. Gościniec kilka razy przerzyna się przez stare pokłady zastygłych strumieni. Co krok spotyka się pamiątki szkód wyrządzonych przez nie, a mimo to ludność ciśnie się na żyzną tę ziemię, choć wiekuista groźba wisi nad jéj głową. Mało co różni się od Torre del Greco, podobne do niéj i równie brudne Torre del Annunziata.

Miasteczka te zabrukane po włosku, wzniesione z lawy, z dużemi domy i nie wielkiemi kościołkami w smaku XVIII w., przedstawiły się nam pełne rannego ruchu, ludzi po rynkach, rzemieślników pracujących w ulicach, gwaru i wesołości. I tu jeszcze prześladują nas łachmany, pozór niemiły i ubogi mieszkańców—zaniedbanie jakieś nie harmonizujące ze szczęśliwym klimatem i taką wdzięczną naturą.

Przez drzwi domostwa pootwierane szeroko widać o porannym blasku, wnętrze tak zaniedbane jak ulica, tak nieporządne jak ludzie, co je zamieszkują. Uderza każdego ta jawność wszystkich funkcyj życia, ta potrzeba wspólnego żywota, to nawyknienie do społeczności. Gdy gdzieindziéj każdy się zamyka, odosobnia, odgradza, tu przeciwnie pierwszą potrzebą dzielić się uczuciem, słowem, wszystkiém ze wszystkiemi. Niéma tajemnic przynajmniéj ubóstwo i lud... niéma tu udawania tego, czém się nie jest, ani chowania się z nędzą czy dostatkiem. Na balkonach, wystawach,

ławkach, w rynku, u straganów upływa dzień i noc, dzieci nawykają usypiać kołysane w ulicy, salssatorów, flebotomistów i barbierów sklepy na oścież stoją otworem, co nie przeszkadza gościom rozbierać się, golić i ubierać bez ceremonii. Wiele do tego obyczaju przyczynia się klimat, któryby w zamknięciu wytrwać nie dozwolił, wiele téż jest pozostałością starego życia rzymskiego, które tak właśnie wyglądało i trawiło się na forum i po placach a łaźniach publicznych.

Za Torre del Annunziata dzieli się droga, jedna w prawo wiedzie do Castellamare i Sorrento, druga do Scafi... Tą puszczamy się właśnie ku Pompei. Kraj żyzny ma postać zieloną i wesołą, brzeg morza śliczny, góry dalekie we mgłach sinych toną. Z drugiéj strony poważny Wezuw sterczy, wkoło nad szeroką i piękną drogą winnice, pola, ogrody. Postrzegliśmy tu po raz pierwszy uprawiany dość powszechnie *Ricinus*, z którego plantacyi bujnych wyrabiają olejek w fabrykach sąsiednich. Ciekawie wyglądamy Pompei—któréj niewidać, kryje się ona za wałami ziemi i popiołów, co ją z téj strony otaczają, a po za nią wśród nieprzejrzanych winnic i sadów, bieleją tylko wille i domy rozciągające się prawie do stóp Wezuwiusza. Tak tu wesoło, uśmiechnięto, iż dziś trudno wśród tego krajobrazu pomieścić straszliwą scenę skréśloną przez Pliniusza i Dyona.

Stajemy wreszcie przed dosyć przystojnie wyglądającym:

Hôtel et restaurant français de Diomède.

Dyomedes i hotel!!! Dwa tysiące lat przedziela te dwa imiona sprzężone tak dziwnie... Jesteśmy u celu... Pompeja o trzy kroki.

XXXI.

Przewodnicy.—Ostrożności i zakazy.—*Pompeja castigata.*—Przechadzka po mieście.—Widok ruin.—Uliczki, domy, wyroby i rękodzielnicy. — Sklepy. — Do osiołka. — Jaką była Pompeja. — Ozdoby, malowania i świątynie.—Place. — Światynia Merkurego.—Bazylika.—Napisy na ścianach.—Próbki humoru i dowcipu starożytnych.—Rysunki i skrobanki na murach.—Chrześcijanie w Pompei.—Dom rzymski, jego części składowe. — Willa podmiejska, łaźnie, kąpiele i t. d.

Gospodarz Dyomedesowego hotelu ma monopol karmienia i przyjmowania podróżnych, nie można więc wysiąść gdzieindziéj, ani się z nim targować—on tu panem. Ani z hotelu wyszedłszy marzyć nie trzeba, że się pójdzie swobodnie oglądać odkopane miasto, wedle własnéj woli i planu; umundurowani przewodnicy rządowi, mający swe prawa, taksę i marszrutę niezmienną, biorą w opiekę przybywających, którzy się zdać muszą na łaskę i niełaskę, pierwszą kupować, od drugiéj odkupić. Jeden z ciceronów rządowych kieruje wycieczką i bierze za nią nagrodę, co nie przeszkadza, by z osobna nie potrzeba było opłacać się różnym pomocnikom, z których jedni mają klucze od domów, drudzy wyłączny dozór amfiteatru, inni wreszcie przynoszą we dzbankach wodę i polewają mozajki pozostałe, ażeby się im lepiéj przypatrzyć można.

Nie wiem, jak dziś jest w Pompei, gdzie się zapewne zmieniły urządzenia, jak wszystko w Neapolu; ale tak było, gdym po raz pierwszy zwiedzał wykopaliska. Surowy nadzór nad podróżnemi rozciągał się do tego stopnia, iż wglądano w książki do notat, ażeby nikt nic bez pozwolenia nie rysował. Zdejmowanie widoków było wzbronione, a starając się o nie, trzeba było przechodzić przez cztery różne instancye i nieskończone formy, nim minister zgodził się na dopuszczenie ołówka. Przyznam się, że mnie może najwięcéj zabolało, gdy przyszło album zrazu zostawić nietkniętém, dopóki łaskawsza nie nastąpiła decyzya. Gdybyż to

były rzeczy nieznane, gdyby to komukolwiek szkodzić mogło? Trudno zrozumiéć powody téj surowości. Lecz za rządu Burbonów wszystko podlegało takiéj podejrzliwéj kontroli, a ponieważ już o niéj mowa, dodać należy, że skutkiem obawy zgorszenia, odarte i nagie resztki murów, troskliwi o moralność stróże wykastygowali tak, iż cały swój charakter straciły. Pozalepiano godła, pozamykano sklepy, obrazy, pościerano napisy, słowem uczyniono z miasta, którego patronką była *Venus pompejana*, miejscem skruchy i rozmyślania. Przerobiono ten świat starożytny *ad usum delphini*, zgwałcono prawdę historyczną ze zbytniego ferworu pobożnego; a ostatecznie odjęto chrześcijaństwu jego cechę, nadając ją nieprawnie pogańskiemu światu. Wspomniałem już o tém, powtarzam raz jeszcze, bo mi oburzenie zapomniéć nie daje o tém barbarzyństwie. Zepsucie nie przychodzi od wszetecznych obrazów i wizerunków, ale z obyczajów i wychowania, dla ludzi czystych wszystko czyste, dla złych niéma nic świętego.

Opatrzeni w umundurowanego stróża puszczamy się nareszcie do miasta z gorączkową niecierpliwością. Niech łaskawy czytelnik jednak nie wymaga po nas, abyśmy mu szczegółową sprawę zdali z widoku miasta, z jego gmachów i osobliwości, których opis starczyłby na księgi całe — wyspowiadamy mu się z wrażeń naszych i co ciekawsze opowiemy... wyczerpać tych skarbów niepodobna.

Murowaną bramą sklepioną wchodzimy w ulicę... Ulica jest wązka, ma wysokie podniesione chodniki z obu stron... resztki ścian od domów ją otaczają. Domki te o szczupłych sklepikach i izdebkach formują skupione niby małe kwartały... *insulae*... Dachów, wznioślejszych kolumn, domów wyższych nie widać całkiem, ogólna fizyognomia przedstawia jakby ruiny po pogorzeli... Ton murów i barwa panująca czerwona. Wszystko to zrazu wygląda pusto, odarte, złupione, bo co tylko w domach znajdowano, aż do obrazów malowanych na ścianach, zabierano do muzeów. Powydzierano nawet posadzki. Trzeba się domyślać i stawić myślą widziane po muzeach sprzęty, malowania... rzeźby i t. p. Ciasnota uliczek, na których bruku znać jeszcze wyraźnie koleje i ślady kół od wozów, które parę tysięcy lat temu przesuwały się tędy—wydaje się dziwną zrazu. Niektóre z nich z chodnikami zajmują niewięcéj czterech do pięciu łokci. Chodniki nie są jednostajne, przynajmniéj co do materyału, każdy miał prawo a może i obowiązek utrzymywania ich i, wedle zamożnosci a smaku, murował je, wykładał kamieniami, marmurem a nawet mozajką grubą. Ponieważ w czasie wielkiéj ulewy, tak samo jak dziś w Neapolu, woda płynęła strumieniami po ciasnych uliczkach, gdzieniegdzie

widać kamienie wyższe przez szerokość ulicy, dozwalające przechodzić ją nie błocąc się. Tam, gdzie szły koleje wozów, zostawiono próżnię. Mowy być o tém nie może nawet, ażeby się tu dwa wozy minęły; miejsca starczy zaledwie na jeden. Musiały więc wymijać się na placach i tam, gdzie się ulice krzyżowały. Dla odpływu wody i ścieków, gdzieniegdzie widać otwory do kanałów podziemnych. U zejścia się ulic stoją studnie pięknego kształtu.

Zresztą od czoła domostwa najwięcéj izby zajęte były sklepikami, szynkami, wystawkami najrozmaitszemi rzemieślników i przekupniów. O tych miéć można pewne wyobrażenie z pozostałości już na miejscu widocznych, już po muzeach się znajdujących. Sklepiki były szczupłe jak wogóle wszystkie budowy; kupujący w większéj liczbie wnijść nie mogli, ściskali się u wystawy na chodniku, w ulicy i tam kupowali, co im było potrzeba. Ponad drzwiami zasuwanemi sklepów, w miejscu napisów były żywe obrazy i godła rozmaitych handlów. Amfora wywieszona odznaczała sklepik z winem, żarna młynarza, koza mleczarnię. Niektóre z tych znaków są dziś niezrozumiałe. W izdebkach tych poznajdowano mnóstwo drobnych przedmiotów z bronzu, z żelaza, z kamienia, które stanowią zbiór jedyny w swoim rodzaju. Życie wygodne i zbytek wymagały już wówczas mnóstwa wyrobów, podobnych dzisiejszym, których się często ani spodziewało znaléść w małém miasteczku owéj epoki. Rękodzielników, artystów, przemysłowców wszelkiego rodzaju, jakich tu ślad pozostał, zliczyć niepodobna.

Mamy tu kowalów, ślusazy, ceglarzy, cyrulików, mydlarzy... przekupniów wonności i balsamów do namaszczania ciał umarłych; apteki, lekarzów (ciekawe narzędzia chirurgiczne), złotników, którym dzisiejsi przynajmniéj smakiem nie dorównywają, malarzy, rzeźbiarzy; folusze, farbiarnie i t. d. Domyślają się, że w sklepach wielu, których przeznaczenia odkryć nie umiano, sprzedawano różne zapasy żywności. U jednego z przekupniów oliwy, sklep nader wytworny przybrany był pięknemi marmurowemi płytami, a w naczyniach niektórych stały oliwki, które się do dziś dnia zachowały. W termopolach sprzedawano różne napoje chłodzące i rozgrzéwające; wino gotowane korzenne, słodzone, wodę zaprawną sokami i t. p. W tak zwanym Fortunata szynku, na marmurowym stole, na którym stały czasze i naczynia, widać dotąd plamy od nich lepkie, jak po dzisiejszych szynkach. U bardzo wielu młynarzy pozostały i dochowały się żarna kamienne nader proste. Obracał je osiołek lub niewolnik. Pełne rzewności są tu

wyskrobane na murze wiersze, znalezione w Pompei, które biedny niewolnik napisał...

Labora, aselle, quomodo laboravi, et proderit tibi.
(Pracuj osiołku, jak ja pracowałem, a pójdzie ci to na korzyść).

Ironia życia! Wszak i Plaut żarna także obracał, a iluż Plautów cięższe jeszcze żarna przez cały żywot ciągnęło!!

Takich napisów skrobanych, malowanych, na różny sposób nakreślonych na murach, pozostało w Pompei wielkie mnóstwo; są one literaturą ścienną, która wybornie życie ówczesne maluje, i wrócimy też do nich jeszcze, bo dla nas mają one urok głosów, po lat dwóch tysiącach odzywających się z grobów.

Mówiliśmy już o studniach zdobiących ulice, niekiedy bardzo kształtnych, Oprócz téj ozdoby, mnóstwo drobnych rzeźb, godeł, malowanych ścian, afiszów tyczących się spraw publicznych, wyborów, lub zawierających pochwały urzędników, ożywiały mury Pompei. Im ludność była większa, mieszkania ciaśniejsze, życie i obyczaj wymagające ciągłego błądzenia po placach i ulicach, tém obraz miasteczka ówczesnego bardziéj być musiał malowniczy i podobniejszy do odpustowego dnia w dzisiejszéj włoskiéj mieścinie.

Wielkie gmachy, place, świątynie, budowy publiczne, z których po większéj części podmurowania i reszty kolumn tylko pozostały, dają się jednak odgadnąć i w wyobraźni odnowić. Jednę sobie tylko pozwalamy uczynić uwagę, iż co do smaku starożytność przedstawia się nam może w świetle korzystniejszém, niż była za żywota. Z tych umarłych szczątków czas zdjął to, co może najmniéj było pięknem, pstrą barwę. Wprawdzie na obrazach w murach harmonia kolorów jest przedziwna, trudno się jednak pogodzić z myślą, ażeby równie pięknie wyglądały, krasno i pstro malowane świątynie, gzymsy, a naostatek rzeźby, na których niewątpliwe pozostały ślady wstawianych oczów, kolorowanych draperyi, złoconych i purpurowych dodatków. Zewnętrzne i wewnętrzne dekoracyjne malowania pompejańskie są niekiedy jaskrawe...

W stosunku do małego miasteczka, jak była Pompeja, świątynie, gmachy, amfiteatra, termy (łaźnie publiczne), bazyliki, są w liczbie dosyć znacznéj i obszerne. Ze wspaniałych tych gmachów pozostały jeszcze rzędy kolumn, ślady ołtarzy, celli, mieszkań kapłanów, sanktuaryów; kształty budowy, zresztą z innych pomników znane, dają się odgadnąć łatwo, lecz zabrano stąd, co tylko unieść się dało, i ruiny czynią daleko mniéj wrażenia, niżby mogły, gdyby wszystko zostało na swych miejscach.

Świątynie właściwe u starożytnych były szczupłe; mieszkali

w nich bogowie; lud pozostawał w ulicy i portykach, które do nich dodano. Gmachy te znajdują się na placach, których trzy dotąd odkopano w Pompei, zowią się one: *Forum civile*, *Forum triangulare* i *Forum boarium*, niedaleko amfiteatru. *Forum civile* było niegdyś całe marmurem wyłożone, ale bruku tego są tylko szczątki i ślady.

Jestto najważniejszy plac ze wszystkich, na którym niegdyś ogniskowało się życie publiczne miasta i który też najwspanialszemi budowami był otoczony: portykami i kolumnadami. Overbeck znajduje tu wszystko to, co w opisie Witruwiusza cechować miało forum... Dwa boki jego opasywały portyki z kolumnami, zdobiły wrota zwycięskie i świątynie. Jednę z nich nazwano, z powodu znalezionego posągu, Jowiszową, drugą Merkurego. Innym gmachom nadano imiona od znajdujących się na nich napisów.

Tak naprzykład pałac Eumachii—któréj posągu odlew stoi tu na dawnéj podstawie, Chalcydyk, poświęcony zgodzie i pobożności... choć zagadkowego przeznaczenia uchował pamiątkę założycielki, kapłanki publicznéj, która go wzniosła w imieniu swojém i syna. Posąg Eumachii kapłanki na cześć jéj wystawili folusznicy, którzy w Pompei i innych miastach składali znaczny cech; suknie bowiem, jakie naówczas noszono, nieustannie ich pomocy potrzebowały.

W świątyni, któréj nadano imię Merkurego, zachowują się płaskorzeźby wystawujące ofiarę i ofiarników. Mury są pomalowane—niekoniecznie zbyt smakownie. Salę, w któréj senat, to jest ławnicy miasteczka zasiadali, wyobraźnia musi zrestaurować... bo z niéj tylko ściany zostały i okruchy materyałów. Po Senaculum, idzie Panteon, budowa zagadkowego przeznaczenia. Z drugiéj strony świątynia Wenery, jedna z najpiękniejszych ruin na forum, i Bazylika. Nazwanie to nie ulega wątpliwości, bo je i wypisane znajdujemy na murach i stwierdzone kształtem budowy, zajmującéj szczególniéj tém, iż wedle podań, bazyliki rzymskie stały się wzorem przyszłych kościołów. Bazyliki służyły, jak wiadomo, za rodzaj trybunałów i zrazu składały się z prostokątnego podwórza otoczonego kolumnadą, pod którą w głębi naprzeciw wnijścia było siedzenie dla urzędników.

Późniéj podwórzec kolumnami porozdzielano na nawy, a z wgłębienia zaokrąglony apsyd się utworzył.

Bazylika pompejańska, od strony placu (Forum) ma sześć kolumn, między które wsuwały się drzwi w widoczne jeszcze wyżłobienia. Wyglądać musiała wspaniale z portykami dokoła ją otaczającemi, kolumnami, posągami, których tu znaleziono szczęty, i trybuną w głębi o sześciu pięknych koryunckich kolumnach. Pod

trybuną zasklepiona izdebka z okienkami kraciastemi do czego służyć mogła? nikt nie odgadł dotąd. Mury tego publicznego miejsca najobfitszy dały zbiór napisów, przez lud na ścianach pozostawionych, których tu próby podamy, dołączając do nich rysunki; inne gryzmoły poznajdowano na murach miasta. Namiętność pisania na białych ścianach, jak widzimy, nie od dzisiejszych czasów się poczyna. W Pompei popsute poezye Horacyusza, Owidyusza, Wirgiliusza, Propercyusza, obficie się spotykają; — często z taką ortografią, jak u nas Mickiewicz na szybach w gospodzie.

Miłość, ta wiekuista ludzi męczarnia, natchnęła większą część napisów.

Scribenti mi dictat Amor, monstratque Cupido:
Ah! peream, sine te si Deus esse velim!

„Miłość mi piszącemu dyktuje, Kupido mnie uczy: — A! niech zginę, jeśli bez ciebie chciałbym być choć Bogiem!“ Bardzo ładnie!

Czytajmy daléj, zakochany to znowu (ci najchętniéj po murach piszą):

Quisquis amat, valeat, pereat qui parcit amare,
Restantem pereat quisquis amare vocat.
Felices adeas , pereas o Martia, si te
Vilis denari maxima cura fecit.

Pierwszy wiersz jest dosyć ładny (Zdrów bądź, ktokolwiek kochasz, giń, kto w miłość skąpy!), ostatni dowodzi, że rzymskie Marcye podejrzewane być mogły o miłość podłego kruszcu. Wyrażenie to *utarte* sięga—ni mniéj ni więcéj—pompejańskich czasów!

Jeszcze ta nieszczęsna miłość:

Alliget hic auras, si quis obiurgat amantes
Et vetet asciduas currere fontis aquas.

Wiersz ten wdzięczny znaleziono wyskrobany na słupie jednego domu w małéj uliczce. Posądzić można, że jestto przypomnienie z jakiegoś zaginionego poety. „Prędzéj wiatry spętasz, łatwiéj płynące strzymasz wody, niżeli kochających się zahamujesz.“

Następne wiersze niepoprawnie spisane z obłamków Owidyusza i Tybulla, w ścianach Bazyliki, dały powód do różnych dopisków i dlatego je tu przywodzimy (nie poprawiając).

Si potest et non vis cur gaudia differs,
Spemque foves et cras usque redire jubes?

Ergo coge mori, quem sinete vivere cogis,
Munus erit certe non cruciasse boni
Quod spes eripuit spes certe reddet amanti.

„Jeżeli możesz (kochać) a nie chcesz, dlaczegóż szczęście odkładasz, nadzieją żywisz i zawsze jutro powracać każesz? Myśl, że ten umrze, któremu żyć każesz bez siebie. I dzięki ci będą, żeś nie męczyła napróżno... i odebrana nadzieja nową nadzieją się spłaci.“

Ktoś przeczytawszy to, dopisał téż z szyderską powagą (i ortografią fantastyczną);

„Qui hoc leget nunc quam posteae aled legat et nunquam salvos quiits supra scribict.“

„Ten kto to czytał, niech więcéj nic już nie czyta, a temu co pisał, niech się nigdy dobrze nie dzieje.“ (?)

Trzeci rozsądzając sprawę, potwierdził zdanie drugiego i doskrobał „Vere dicis“—masz asan słuszność.

Następujący oszalały kochanek odgraża się w nieprzyzwoity sposób przeciwko saméj bogini miłości.

Quisquis amat, veniat: Veneri volo frangere costas
Fustibus et lumbos debilitare deae.
Si potis illa mihi tenerum perturdere pectus,
Cur ego non possim caput illut frangere fuste.

„Chodź tu, ktokolwiek kochasz! Wenerze żebra chcę kijmi połamać i otłuc jéj boki. Jeśli jéj wolno mi pierś słabą przeszywać, czemuż-bym ja niemiał jéj głowy rozbić pałką.“

Słuszną uwagę czyni pewien uczony komentator, że zapalczywy kochanek z wielkiéj złości pentametr drugi na heksametr zamienił.

Inny odgraża się znowu na wszelkiego współzawodnika, któryby mu chciał uwieść kochankę:

Si quis forte meam cupiet vio... puellam
Illum in desertis montibus urat amor.
„Kto moję ulubioną chce uwieść dziewczynę,
Niechaj go wśród gór pustych miłość spali.“

Było to znać pospolite przekleństwo, bo dobitniéj jeszcze na różny sposób znajdujemy je powtórzone razy kilka.

Rodzina Istacidiuszów, jak Balbusowie w Herkulanum, liczyła się do zamożnych... widać wszakże, iż pasorzytów naraz wszystkich na ucztę zapraszać nie mogła... to ich bolało i napisał jeden wierszem:

Istacidi! at quem non ceno barbarus ille mihi est.

„Istacydzie! U kogo nie wieczerzam, tego mam za... barbarzyńcę“ (Po polsku za cztery litery.) Inny wyraził toż samo w przyzwoitszy sposób:

Quisquis me ad cenam vocavit, valeat.
„Zdrów niech będzie, kto mnie na wieczerzę prosi.“

Otwarta i bez ceremonii przymówka do pieczeni!

Wielu napisów, nakształt zagadek ułożonych, nikt dziś nie umié rozwiązać... i nie dziw, gdy one dla Rzymian już niełatwemi zapewne były.

Są zachcianki komunistyczne biednych hołyszów, którzy około skarbca publicznego chodzili:

Communem nummum dividendum censio est,
Nam noster nummus magnam habet pecuniam.

„Skarbiec publiczny sądzę, że należałoby podzielić, bo ma w sobie podostatkiem grosza.“

Inny daje doskonałą radę na nudy:

Moram si queres, sparge millium et collige.
„Jeśli ci nudno, posyp proso i zbieraj.“

Napisów prozą krótkich a czasem na sposób starożytny dobitnych, jest niezliczone mnóstwo. Jeden z nich doskonaleby wytłómaczył hr. Bismarck'a „Gewalt geht vor Recht“—siła idzie przed prawem:

Marti omnia vota valent.

Inny przypomina piosenkę Marcina Lutra:

Nemo est bellus nisi qui amavit
„Kto nie kochał, nie może się nazwać porządnym człowiekiem.“

Jeszcze inny powiada kochance:

„Kochało cię wielu, nikt cię jak Celer nie kochał.“
(Pusiva, multi te amant, te unice Celer amavit.)

W teatrze na ścianie:

„Methe, niewolnica Kominii, aktorka, kocha Chresta sercem całém, niech im obojgu Wenus pompejańska sprzyja i niech zawsze żyją w zgodzie“ (Methe Cominiae atellana amat Chrestum corde, sit utreique Venus pompeiana propitia et semper concordes veivant“).

W jednym z domków na ścianie: „złapaliśmy, złapali, rzecz pewna, że sobie Romula ze Stafilusem tu daje schadzki.

„Tenimus tenimus, res certa Romula hic cum Staphylo moratur.“

Dziwnie żywo te pozostałe napisy malują przedwieczne owo życie, tak podobne do naszego... Jeden przeklina, drugi winszuje, trzeci błaga, czwarty łaje...

Biedny niewolnik pisze:

„Agaton Herenniusa niewolnik modli się Wenerze.“

A tuż mu podpisał drugi:

„Ut pereat rogo. Niech przepada, proszę.“ Ktoś gorszy życzy Korneliuszowi, aby wisiał (Samius Cornelio suspendere). Wiele napisów ma niby formę listów, z których naprzykład jeden brzmi dowcipnie:

„Pirrus Chionowi towarzyszowi pozdrowienie. Bardzo mi przykro, iż się dowiaduję, żeś umarł... a zatém — bywaj zdrów“ (Pyrrhus Chio conlegae sal... Moleste fero quod audivi te mortuum. Itaque vale).

Napisy, malowane wielkiemi głoskami, są rodzajem ogłoszeń i przestróg, inne wykładane są z mozajki. Na progu domu kupca stoi: Salve lucru (m), Witaj zysku, a naprzeciw drzwi na ścianie z obawy, aby się tam nie zatrzymywano nadto długo, w nieczystych zamiarach, odmalowano dwa ogromne węże i pod niemi: „Nie miejsce tu dla próżniaków, ruszaj twą drogą, leniwcze.“ (Otiosis hic locus non est, discede morator).

Ogłoszenie o wynajęciu domu brzmi: „W zabudowaniach (insula) Arryi Polli posiadanych przez Gn. Allejusa, Nigidiusa, Majusa wynajmują aż do następnych Idów Julii sklepy z gankami i obywatelskie (equestria) piętrowe pokoje i dom. Życzący wynająć, zgłosi się do niewolników Gn. Allejusa, Nigidiusa.“ W tym rodzaju oznajmień o domach, sklepach, łaźniach, jest bardzo wiele; ciekawsze następujące ogłoszenie:

„Naczynie miedziane zniknęło ze sklepu; kto je odniesie dostanie 65 sest. (około osiemnastu złotych), a kto złodzieja dostawi, zapłaci się...“

(Urna aenia pereit de taberna; sciquis rettulerit dabuntur HS LXV sel. furem dabitu....).

Do najciekawszych skrobanin na murach należą rysunki, jakby dziecinną ręką nakreślone. Ktoś naprzykład pod znakiem) (dodał—Patrzcie na Micciona nogi (Miccionis statum considerate).

Głowa z ogromnym nosem dziobowatym, na łysinie coś nakształt chudego wieńca laurowego, u góry napis nieczytelny *Peregrinnus.* Inne karykatury przypominają walki amfiteatru, gladya-

torów, ich imiona i różne sceny z przedstawień. Jedna zdaje się odnosić do wspomnianego zdarzenia w amfiteatrze, gdy w czasie igrzysk Pompejanie Nucerynów potłukli, lecz rysunek nie łatwo się tłómaczy, a napis brzmi: „Campani victoria una cum Nucerinis peristis.“ „Kampanie (mieszkańcy Kapuy) w jedném zwycięstwie z Nucerynami polegliście.“

Krótsze notatki na murach oznaczają często rachunki kupców, daty urodzin ludzi i osiołków, koleje w grze podobnéj do kręgli. Komuś się zachciało uwiecznić napisem, że dostał kataru (*Pituita me tenet*). Po szynkach naturalnie spodziéwać się trudno przyzwoitych rzeczy, po gospodach téż pisano to, co dziś na szybach. (Vibius restitutus hic solus dormivit et Urbanam suam desiderabat).

Na naczyniach od wina, po ścianach spotyka się często coś w tym rodzaju: — A, dajże mi czystego; i niech ci zato sprzyja Wenus, która ogrodów (winnic) strzeże—lub—Suavis pragnie dzbana, proszę was... schnie z pragnienia! — albo „Hedone (szynkarka) mówi ci: tu się pije i za szeląg, dasz dwa, dostaniesz lepszego, a za cztery będziesz miał Falerna“.

Śladów pobytu żydów i chrześcijan w Pompei bardzo jest mało. Pokazywano tu lampę starożytną z godłami niewątpliwie chrześcijańskiemi, która miała być znalezioną w r. 1756, lecz niestety, bliższe rozpatrzenie w niéj dowodzi, że jest znacznie późniejszą, z IV wieku. Imiona zdające się hebrajskiemi, spotykają się w napisach; a pokilkakroć powtarza się wyraz: *Verpus* w malowanych, który (z satyr Juwenalisa wiadomo) żyda oznacza; na małéj uliczce (dei lupanari) w pół zatarty, szyderski stoi wyraźny napis:

. . . . N I G A U D I . . . H R I S T I A N I

(Igni gaude Christiane...)

„Ciesz się z ognia, chrześcijaninie.“ Że to się odnosi pewnie do Neronowskich paleń żywcem chrześcijan, zdaje się niewątpliwém. Wyobraźnia, na tle tych, niewielu danych, snuć może co zechce...

Napisy na ścianach, szczególniéj w miejscach, kędy tłumy przechodziły codziennie, są nadzwyczaj liczne tak, że ktoś aż w trzech miejscach na Bazylice, w teatrze i amfiteatrze położył z tego powodu wiersz:

Admiror paries te non cecidisse r...
Qui tot scriptorum taedia sustineas...

„Dziwię ci się, ściano, że nie padniesz w gruzy, dźwigając tylu piszących głupotę.“

Nie potrzebujemy obszerniéj się rozwodzić nad tém, że napisy są jedne skrobane, inne malowane (dipinti, graffiti.) Z rozmaitéj bardzo treści wybraliśmy tylko małe próbki.

Lecz czas jest, abyśmy czytelnika wprowadzili do rzymskiego domu i dali mu o nim choć jakiekolwiek wyobrażenie. Zwykle przewodnicy wszyscy obierają na wzór dom tak zwany Pansy, który i my, za innemi idąc, opiszemy. Jak dotąd na całym wschodzie, zdaje się przynajmniéj z dolnych wnosząc mieszkań, bo górne wszystkie runęły, że domy rzymskie ścianami tylko malowanemi, prawie bez okien, wychodziły w ulicę; życie ich, piękność, przepych, kryły się we środku.

Zabudowania zwrócone ku ulicy węższym bokiem prostokąta, który zajmowały, zwykle otaczały dwa podwórza, jedno za drugiém idące w głąb'. Zwały się one atrium i peristylem Atrium, bliższe wnijścia i mieszkania, skupione przy niém, głównie przeznaczone było na przyjmowanie gości, na obchody, na sprawy publiczne gospodarza domu. Około głębszego peristylu były izby dla kobiet, dzieci, życie domowe, które się oczom wszystkich nie okazywało. Wchodząc od ulicy przeze drzwi drewniane zwykle, nabijane ćwiekami bronzowemi a zamykane ze środka sztabą z góry w dół zasuwaną w próg, przechodziło się naprzód wązki korytarzyk (prothyrum). Na progu stał często napis mozajkowy: — Have — Salve — Witaj. Obok w maleńkiéj ciupce mieszkał, albo przykuty był niewolnik, odźwierny (ostiarius), czasem stróżował tu pies, lub w miejscu jego żartobliwa mozajka wyobrażająca szczekającego brytana z napisem: Strzeż się psa, Cave Canem.

Wchodziło się korytarzykiem do atrium, prostokątnéj sali, pokrytéj dachem tak, że w pośrodku jéj zostawał otwór, którym wpuszczano światło i powietrze. Ten odpowiadał środek sali zajmującéj sadzawce (impluvium), obramowanéj marmurem, często mającéj wodotrysk dla ozdoby.

Atrium otaczały kolumny i kryty chodnik dokoła. Budowano je zresztą w różnym smaku, wedle zamożności i architektury obranéj dla całego domu. Z sali téj wchodowéj wiodły drzwi do bardzo szczupłych celek sypialni, w których zaledwie starczyło miejsca na łóżka (bronzowe często) na podmurowaniach ustawiane. Izdebki te okien nie miały. Po bokach były większe pokoje, salki, dla przyjmowania gości. Wszędzie posadzki marmurowe lub misternie mozajkowane. W głębi za atrium, sala gościnna, kryta, tablinum, mieściła w sobie pamiątki rodzinne, woskowe wizerunki przodków, obrazy ich, napisy (Imagines majorum). O tych wiemy tylko z opisów, gdyż wszystkie zniszczone zostały.

Po lewéj ręce téj izby była biblioteka, po prawéj korytarz wązki wiodący do peristylu z jeszcze jedną sypialnią przy nim. Peristyl znowu otoczony kolumnami, galeryą, w pośrodku niekryty, był niby ogródkiem, mającym wpośrodku sadzawkę (piscina) a dokoła popiersia i posągi, wazony na kolumnach. Wodotrysk mniéj więcéj ozdobny, prawie zawsze i tu się znajdował. Dokoła peristylu było mieszkanie rodziny, tu się tuliło życie domowe matrony rzymskiéj, niedostępne oku obcemu.

W głębi peristylu zwykle bywała obszerna sala (oecus) wspaniale przyozdobiona kolumnami i galeryami, często w kształcie bazyliki wznoszona, z któréj wyjście było do ogródka. W prawo od téj sali, w głębi podwórca, była mniejsza salka (exedra), w lewo *triclinium*, salka jadalna. Z peristylu można było od natrętnych gości ujść korytarzykiem i drzwiczkami małemi w boczną uliczkę, tak, aby *ostiarius* mógł powiedzieć natrętnym klientom, że pana w domu nie było.

Z lewéj strony peristylu były znowu małe izdebki sypialne i kuchnia. W domu Pansy na ścianach jéj znaleziono odmalowane węże święte i różne kuchenne przybory. Oprócz tego mnóstwo naczyń glinianych i bronzowych. W śpiżarni przytykającéj—stoły, ławy i gliniane amfory z oliwą. Po-za peristylem, jakeśmy już wspomnieli, znajdował się jeszcze ogródek (xystus) warzywny i kwiatowy, z poprzedzającą go *pergula*, galeryą krytą od słońca i deszczu. O górnych piętrach tych budowli z dotychczasowych wykopalisk zaledwie mieć można wyobrażenie. Były to lekkie, niewysokie izdebki, poddasza, w których się mieścili niewolnicy, słudzy, kobiety, ubodzy lokatorowie. W majętniejszych domach oprócz wymienionych części składowych, różnych rozmiarów i budowy, bywały jeszcze łaźnie, pinakoteki na obrazy, *sacella*, kapliczki bóstw domowych i t. p. W domu Pansy, który sam stanowił całe zabudowanie (*insula*, wyspę) i otoczony był dokoła uliczkami, ze trzech stron mieściły się wynajęte sklepiki piekarza, skład win właściciela domu i t. d.; na jednéj ze ścian znaleziono bardzo wyraźny krzyż łaciński wyrzeźbiony wypukło.

Obok sklepików maleńkie izdebki osobne, wynajmowane były ludziom ubogim, bezdomnym (*inquilini*), wogóle niewiele szacowanym przez Rzymian; rodzaj to był proletaryatu. O piękności pozostałych sprzętów z bronzu, gliny, kamienia, wspomnieliśmy, gdy była mowa o muzeach. W maleńkich tych domkach rzymskich ozdobnie było bardzo i z najwytworniejszym urządzono smakiem.

Jako wzór willi podmiejskiéj, służyć może tak zwana Dyomedesowa, odkopana w r. 1771—74, jedna z najobszerniejszych i najlepiéj dochowanych, położona przy ulicy Grobowéj, monumentami,

wedle obyczaju starożytnych, ostawionéj. Willa Dyomedesa zawierała w sobie mnóstwo izb mieszkalnych, przepyszną sypialnię o trzech oknach z okiennicami i firankami, od których tylko kółka znaleziono, posągi, wodotryski, kolumny, studeńki (marmurowe malowano czerwono), sadzawki, ściany z ozdobami al fresco, posadzki mozajkowane i wykładane płytami marmurowemi, mieściła łaźnie i wszystkie wygodnego, zbytkowego życia warunki, cały mały światek, w którym zamkniętemu żyć było można. Znaleziono téż tu wielkie mnóstwo pięknych sprzętów, klejnotów i ozdób wszelkiego rodzaju nader ciekawych; naczynia szklane z wypukłemi rzeźby, srebrne puhary, bronzowe kandelabry i t. p.

Z większéj części domostw pozostały dziś tylko pokruszone ściany, resztki kolumn, posadzki, miejsca, gdzie stały słupy podpierające galerye, i z tego tylko wnioskować można o ich rozporządzeniu i ornamentacyi. Szkoda, że choć jeden z nich nie jest z pomocą zabytków tu znalezionych tak zrestaurowanym, ażeby żywo przedstawiał przeszłość, którą patrzący sam z rozsypanych szczegółów budować sobie musi.

Jednym z najciekawszych dla nas zabytków w Pompei są termy, łaźnie publiczne, z których pojęcie niejakie o tego rodzaju zakładach u starożytnych mieć można. U wszystkich ludów Wschodu, w Grecyi i Rzymie kąpiel była niezbędną życia potrzebą; była ona higienicznym środkiem instynktowo znalezionym, a późniéj namiętnie przyjętym, jako największa rozrywka a razem i nałóg.

Używano i nadużywano kąpieli, trawiono w nich lub około nich dnie całe. Przypochlebiający się ludowi budowali dlań takie łaźnie. Gmachy termów publicznych były jednemi z najwspanialszych w Rzymie. Za panowania Augusta stolica świata liczyła pono osiemset pięćdziesiąt i sześć łaźni. W termach Karakalli mogło się kąpać razem trzy tysiące ludzi. W zabudowaniach przy łazienkach były sklepy, garkuchnie, zabawy, teatra, gry, gimnazya, akademie i publiczne odczyty, gdyż goście dostarczali tu licznych słuchaczów. Przyozdabiano je najwytworniejszemi dziełami sztuki. Ubodzy od rana napełniali termy, bogaci w różnych dnia godzinach się kąpali; brano kąpiele zimne, gorące i ciepłe, wonne i t. p.

W Pompei dotąd odkryto dwie łaźnie publiczne, a jedna z nich jest bardzo obszerna, wygodna, z sadzawkami i izdebkami z palestrą dla młodzieży. Mniejsze łazienki, arystokratyczniejsze może są bardzo pięknie przyozdobione. Opiszemy łaźnię rzymską, skracając szczegółowy obraz jéj, jaki kreśli Overbeck. Ciasném przejściem wchodziło się do *apoditerium*, izby sklepionéj i malowanéj, w któréj się rozbierano. Sala ta z ławami do spoczynku,

z mozajkowaną posadzką, z gwoździami do zawieszania sukien, miała wyjście do izdebki, w któréj nacierano olejem tych, którzy życzyli sobie grać jeszcze w kręgle. Sklepienie jéj pomalowane było niebiesko w gwiazdy złote. Kto chciał, szedł kąpać się do sadzawki marmurowéj pełnéj wody zimnéj, która się tak zachowała, że i dziś jeszcze służyćby mogła do kąpieli. Otoczona dokoła stopniami, dozwalała opłukać się, siedząc na nich, jak na ławie.

Po kątach były ławy do spoczynku. Mur pomalowany żółtawo z gałęźmi rzucanemi zielonemi. Cokuł i fryza z płaskorzeźbami białemi na dnie czerwoném. Sklepienie samo niebieskie, trochę pstro. Ciepłe kąpiele znajdowały się z drugiéj strony sali, w któréj się rozbierano, poczynając od *tepidarium*. Sala ta wspaniała zachowaną jest ślicznie, stoją w niéj nawet bronzowe ławy, na których tylko poduszek brakuje. Poczynając od sklepienia, którego tło czerwone i niebieskie, zasiane jest rzucanemi postaciami amorów, chimer, delfinów, różnych zwierząt nader obficie, poniżéj mur czerwony, podzielony jest na wgłębienia karyatydami, a raczéj atlasami czy telamorami podtrzymującemi bogato ozdobną kornniszę. Około okna w głębi także figury pięknego stylu. Sala ta bardzo wspaniała. Ogromne brazero, bronzowa fajerka, która ogrzewała tepidaryum, zachowała się dotąd, a na niéj stoi napis tego, co ją ofiarował: *M. Nigidius Vaccula P. S.* Vaccula znaczy krówka, i na naczyniu jest krówka rzeźbiona. W głębi fajerki na rodzaju rusztu spoczywały cegły, na nich pokład kamyków (pumeksu) a na tym dopiéro węgle.

Z *tepidarium* wchodziło się do *caldarium*, z ciepła do gorąca. Jest to sala długa, w któréj końcu jednym podwyższona studnia, z drugiego kwadratowa sadzawka. Łaźnię stanowi środek. Para napełniała ją, buchając ze stropu i ścian, przyozdobionych prostém rowkowaniem. Kwadratowa sadzawka pełną była wody ogrzanéj; okładziny marmurowe i stopień do siadania ją otaczały, naczynie marmurowe podobne do studzienki (*labrum*) służyło do obmywania się po łaźni wodą zaledwie letnią, która wydawała się prawie chłodną. Odważniejsi rzucali się, wychodząc wprost do zimnéj. Na tém nie kończyła się jeszcze łaźnia, gdyż po niéj, jak dziś na wschodzie, łaziennik wyciągał członki, szorował skórę, wycierał, a naostatek namaszczał ciało olejami wonnemi z mirrą, nardem, cynamonem, co musiało nieboszczyków Rzymian tak czynić nieznośnemi, jak pewnego subjekta aptekarskiego, pamiętnego mi na wieki zapachem cynamonowym wąsów swoich!... Rozmaitych maści używanych przez Rzymian, a przeznaczonych szczególniéj do nacierania piersi, rąk, włosów. kolan, nóg, wyliczyć trudno. Wie-

rzono w specyficzne ich działanie właśnie na te, a nie inne ciała części. Kosztowne to były pachnidła.

Oprócz tych sal, termy miały wiele innych, mniéj ozdobnych, których przeznaczenie wiadomém nie jest. Być może, iż służyły dla ludu i niewolników. U głównego wnijścia do termów, obszerny podwórzec otoczony kolumnadą, a przy nim krypta służyły do przechadzki, gry i spoczynku. Na murach znaleziono mnóstwo napisów, o których wyżéj wspominaliśmy. Jeden z nich był afiszem wielkiego widowiska jakiegoś z Renza owych czasów; obiecywano na nim polowanie, zasłonę (od słońca) i wonny deszczyk dla ochłody...

XXXII.

Jeszcze Pompeja.—Domysły i przypuszczenia.—Teatra.—Gladyatorowie.—Ulica Grobowa.—Palenie ciał.—Grobowce.— Zabytki różne. — Urny. — Wrażenie odkopalisk.—Sztuka.—Herkulanum.—Historya. — Port morski. — Odkrycie.— Herkulanum.—Teatr, domy, ulice.—Ogródek i róża.—Powrót do Neapolu. — Burza.—Serenada w ulicy.—Kościoły i nabożeństwa.—Wielki tydzień.—Obraz na sprzedaż.—Katakumby S. Germano dei poveri.—Pieczary, kościół w podziemiu. — Obrazy. — Podania o rozległości pieczar.— Wycieczka na Campo Santo.—O zachodzie.—Widoki.—Bractwa i pogrzeby.—Okolice i t. d.

Wśród tych rysów pojedyńczych rzuconych na papier, aby dać wyobrażenie miasta wskrzeszonego, sama obfitość tego, coby wymienić należało, odwzorować, ukazać, powstrzymuje. Wszystko to razem wzięte — niestety — da jakiekolwiek pojęcie o starożytnym świecie, ale o Pompei?... nie wiem. Ją trzeba objąć okiem, po obejrzeniu muzeów, po wyuczeniu się tego, co tu stało, co to dopełniało, co poufaléj jeszcze zbliżało do form tego życia. Powtarzają się one trochę w naszém własném, lecz wiele z nich były tak różne, wynikały z tak odmiennych warunków, iż dziś trudno je sobie uprzytomnić. Widać już z domów, że te służyły do snu, odpoczynku, przyjacielskiéj uczty na kilka osób, były schronieniem rodziny, gniazdem, z którego wszakże ptak na cały niemal dzień odlatywał. Bazyliki, place, termy, amfiteatr, teatra, gmachy publiczne roiły się tłumami, życie, jak jeszcze dziś we Włoszech, upływało w ulicy i na targu. Zato ów kątek dla spoczynku był przybrany z największym smakiem i wdziękiem, wesoło dla oczów, uroczo, wytwornie. To co dziś znikło, co się przechować nie mogło, a o czém wiemy z innych podań i źródeł, nadawało mieszkaniom właśnie wykończoną ich piękność i ozdobę; opony, zasłony, draperye, kobierce, mnóstwo drobnych a nietrwałych fraszek, które z malowaniami ścian i ornamentacyą murów harmonizowały, czyniły domy milszemi jeszcze. Postawmy tu w miejscach niegdyś przez nie zajmowanych te śliczne bronzy pompejańskie, któ-

rych muzeum jest pełne, lampki, kandelabry, popiersia na kolumnach, posągi na piedestałach, puśćmy wodę w sadzawki i wodotryski, niech zazielenieją bluszcze i ksysty, i stare odrosną drzewa, i wino okryje ściany, i kwiaty napełnią naczynia marmurowe, a Pompeja ukaże się tak piękném cichém ustroniem, jak była dla Cycerona i dla innych, co tu uciekali rozmyślać, dumać, pracować, oddychać. Dziś ona podobna do szkieletu pięknéj kobiety, któréj ciało w proch się rozsypało.

Nie poprowadzim was już oglądać ani teatrów, ani amfiteatru, są one zapewne lepiéj zachowane tutaj, niż gdziekolwiek indziéj, ale zwiedziwszy kilka ruin tego rodzaju, łatwo o budowie powziąć wyobrażenie. Z jednéj strony scena, z drugiéj półkolem stopnie z siedzeniami, rzędy do góry podnoszące się, poprzedzielane na miejsca. Najniższe a najbliższe sceny były najpierwszemi. Na górze siedział tłum i kobiety. Sama scena szeroka była, a nie tak głęboka jak w dzisiejszych teatrach. W Pompei budowa tego rodzaju, opisana zresztą wielekroć, wybornie studyować się daje.

Igrzyska gladyatorów odbywały się w amfiteatrze, który tu także nieopodal od murów okolnych miasta oglądać można. Wyżłobione wpośrodku wgłębienie, arenę — przestrzeń wysypana piaskiem, ażeby rozlaną krew piła—otaczały siedzenia podnoszące się wkoło stopniami. Gladyatorowie wchodzili korytarzem dla nich przeznaczonym; osobne izby z kraciastemi otwory służyły dla zamknięcia dzikich zwierząt. Wszystko to dziś jeszcze pozostało prawie nienaruszone i izba, w któréj zapaśników zwlekano z odzieży i zbroi, i otwory, które utrzymywały kraty czy siatkę z drutu nie dopuszczającą zwierzętom skoczyć na widzów. Amfiteatr pompejański stosunkowo do ludności miasta jest ogromny, ale na igrzyska tutejsze zbiegała się ludność ze wsi i osad okolicznych. W czasie takiego to zbiegowiska Nuceryjczyków pobito. W amfiteatrach przedstawiano polowania na dzikie zwierzęta, walki ich między sobą i pojedynki gladyatorów lub zapasy całych partyj jednych z drugiemi. Lecz o tém całąby księgę napisać trzeba, chcąc przedmiot wyczerpać.

W amfiteatrach, teatrze, po ścianach wszędzie napisów mnóstwo. Ciekawszą nad nie jest ulica grobów w Pompei. Za owych czasów prawo dwunastu tablic wzbraniało już w mieście chować umarłych i palić. Nabywały rodziny możniejsze place, szczególniéj ponad gościńcami wielkiemi i stawiały sobie wspaniałe grobowce. Widzimy ich ślady na starych drogach wiodących do Rzymu, i wybornie zachowaną ulicę taką w Pompei; tylko dla niewolników i dla najuboższego proletaryatu miasta wyznaczano miejsca pogrzebu bezpłatnie. Na groby rodzinne wysadzano się ze wspa-

niałością największą; za przykład, do jakiego stopnia dochodziły czasem olbrzymie mauzolea, posłużyć może ów pomnik Hadryana, który się stał twierdzą św. Anioła, lub Cecylia Metella na mniejszą skalę. Obyczaj chowania ciał najdawniejszy, pomimo przyjętego późniéj palenia ich, zachowywał się z nim współcześnie, a późniéj nawet znowu składanie zwłok we wspaniałych rzeźbionych sarkofagach od epoki Antoninów coraz jest częstsze. Palono zwłoki na stosach, albo na placach (*ustrinum*) dla wszystkich przeznaczonych, lub przy grobach samych na familijnych zgliszczach. Z ciał spalonych zbierano resztki kości, popioły, polewano je winem, mlekiem, wonnościami i składano w naczyniach, urnach, popielnicach glinianych, kamiennych, szklanych, bronzowych, najrozmaitszych. W niektórych urnach znajdowano przy popiołach pieniądze, ale nie dla Charona, na ów przewóz za Styks, które umarłym w usta kładziono, tylko pamiątkowe, oznaczające zapewne datę śmierci i pogrzebu. Urny stawiano w grobowcach we wgłębieniach, w niszach, na kamiennych otaczających je ławach. Takie gołębniki, *columbaria*, pełne naczyń grobowych, dziś jeszcze w Rzymie dobrze zachowane widziéć można. Oprócz rodziny składano prochy wyzwoleńcow i ulubionych sług także; niektóre *columbaria* mieściły urny z popiołami ubogich, w zakupionych lub darowanych przymurkach.

Każdy grób, pomnik rodzinny otaczał zwykle murek, który granice posiadłości wskazywał. Ulica Grobowa Pompei poczyna się za Herkulańskiemi wrotami; innych ślady są tylko za bramą do Noli wiodącą, Stabijską i Sarnusową; najpiękniejsze wszakże monumenta stoją przy pierwszéj z nich, między wrotami wymienionemi a willą zamiejską Dyomedesa. Naprzeciwko niéj zaraz jest grobowiec rodziny Dyomedów, a raczéj cmentarzyk. Wznoszą się na nim słupki (hermesy) nakształt tych, które u nas po żydowskich grobach widzimy, świątyńka o dwóch słupach (główna) i jeszcze jeden pomniczek córki Arryusa Dyomeda. Z bardzo wielu następujących po tym monumentów pozostały tylko obłamane ściany, słupy i wypukłorzeźby.

Jednym z najbardziéj zajmujących jest tak zwany grób drzwi marmurowych (*colla porta marmorea*), w którym, oprócz drzwi tych, zachowała się doskonałe izba grobowa. Wszedłszy do środka, znajduje się zasklepioną półokrągło, oświeconą otworem z góry izdebkę. W głębi jest nisza na popioły założyciela, gospodarza tego domku śmierci, dwa wschody wiodą ku niéj. Alabastrowe wielkie naczynie, które tu znaleziono, istotnie kości zawierało. Na ławie obiegającéj dokoła ustawione także były urny szklane, marmurowe, gliniane i lampy bronzowe, któremi oświecać musiano

pomniki przy obchodzie rzymskich zaduszek (*Feralia*). Otaczający placyk, wedle wszelkiego podobieństwa, służył do palenia ciał. Bardzo też ciekawe naprzeciw jest piękne *triclinium*, miejsce gdzie się odbywały uczty pogrzebowe, niepokryte, w którém ołtarz, łoża do uczty i stół rozeznać można. Ściany są ozdobnie malowane. W grobowcu Naevoleia Tyche, oprócz ciekawych rzeźb znaleziono szklaną urnę, okrytą dla bezpieczeństwa drugiém podobnego kształtu naczyniem ołowianém. W pierwszéj z nich pływały kostki, w mieszaninie złożonéj z wody, wina i oleju.

Zajmującemi wielce są rzeźby, malowania, napisy mnogie poznajdowane w téj ulicy. Do grobowéj ulicy pamiątek zalicza się także piękna a dziwna nieco wystawa, siedzenie kryte, zasklepiono okrągło w górze, objęte pilastrami, z których drugie pilastry bez balki i przedziału wyrastają. W trójkątnym szczycie ma ono kamień widocznie dla napisu przeznaczony, ale jeszcze próżny. Środek téj ławy był okryty ozdobami i malowaniem, które się zaledwie rozeznać daje. Samo sklepienie, wedle opisów dawnych, było niebieskie, kopuła w formie konchy biała, pola na ścianach, na których naturalnemi barwy malowane były zwierzęta lecące w biegu, miały tło czerwone, dzielące je pasy czyli słupy czarne, ornamenta na nich złocistéj barwy. Z téj niszy z ławą, w któréj od słońca i od chłodu ukryć się było można, piękny na okolicę rozciągał się widok. Wogóle śmierć u tych ludów starożytnych mimo niepewności o przyszłych losach duszy... i zaświata, nie otaczała się taką grozą i przerażeniem, jak za dni naszych. Jakaś głęboka ufność w sprawiedliwe przeznaczenie i przyszłość, spokój stoicki na losy, których uniknąć było niepodobna, panowały u Rzymian. Każdy niezbędnéj konieczności zgonu poddawał się z męstwem i rezygnacyą obowiązkową. Nikczemném było nie umieć umrzéć godnie; wyrzucano to jako najwyższe spodlenie Neronowi, iż zabić się nie umiał, że wahał się dać życie mężnie. Seneka i tylu innych w owych czasach, gdy tak często poseł cezara przynosił rozkaz śmierci, konali z bohaterską obojętnością. My, chrześcijanie, cobyśmy weseléj i piękniéj umierać powinni, nie nauczyliśmy się od pogan spokoju ducha ostatniéj godziny. Groby Rzymian nie są smutne, po ich sklepieniach latają skrzydlate chimery, gieniusze, zwierzęta jakieś, na sarkofagach są obrazy walk i uczt. Same urny weselsze są nierównie od naszych posępnych trumien, a stos oczyszczający przez ogień, niszczący znikomy ów „*posąg duszy*“ *), milszy niż wilgotna ziemia cmentarza, i nieskończenie

*) J. P. Richter.

przedłużone wszelkiemi możliwemi środkami rozsypanie się tego, co jak najrychléj wrócić powinno do ogólnego gospodarstwa...

Groby są od naszych weselsze. Ciekawą jest Pompeja, gdy się ją przebiega, ogląda, rozpatruje o białym jasnym dniu włoskiego nieba, wśród natury uśmiechniętéj, życiem tchnącéj, a przecież gdy myśl wnika w te ruiny, wciska się przez kości i popioły do głębin, gdy się wpatrzy i wmyśli w ten cmentarz, z którego żaden głos nie wyjdzie, po którym milczenie zostało z tylu żywotów ludzkich, tylu prac, cierpień, zabiegów... tylu istnień bez śladu i wieści, bez dziejów, coś ściska duszę i ludzkie owo życie na ziemi, które nas tak gorąco zaprząta, wydaje się marném, lichém, przerażającém nicestwem. Tysiące lat, pokoleń tyle tak samo, jak owi Pompejanie, krzepkich, wesołych, zajętych chwilą obecną, zaginęły, utonęły bez śladu, tu śmierć dała stosunkową nieśmiertelność kopalną. W ziemi zachował się jeden moment żywota rzymskiego hieroglifami kości i czaszek pisany. Czytamy w nim tylko nasze dzieje, nieco odmiennym językiem. Nic tak dziwnego nie robi wrażenia, jak tylekroć wspominane przez nas napisy. Brzmią one jakby wczorajszy wykrzyknik; tkwi w nich niedogasła iskierka jakaś, ale wkoło popioły.

Pompeję badać można z tak tysiącznych stron, a tak zawsze jest zajmującym przedmiotem, iż miesiące nie starczyłyby na studya. Najmniejszy szczątek pociąga za sobą cały szereg wniosków. Ta cywilizacya w kwiecie, która umarła, aby naszéj za podścielisko służyła, przeraża wyżynami, do jakich dobiegła. Co za organizacya tych ludów odgadujących tyle rzeczy, których my po dwóch tysiącach lat uczyćbyśmy się jeszcze od nich mogli. Całe nasze dzisiejsze piękno w sztuce, cóż to jeśli nie naśladowanie i pożyczki od Greków i Rzymian? Wydoskonaliliśmy wiele, aleśmy też popsuli niemało. W sztuce poczucie barwy i wyrazu mamy większe, to jest pierwiastku śmiertelnego, przechodzącego, a ich uczucie formy, idealnych kształtów, nieśmiertelnego, wielkiego, prześciga o wiele nasze.

Trzeba nareszcie pożegnać miasto umarłych. Tyle o niém pisano, że naszych kilka słów nic do wizerunku nie dodadzą. Na nieszczęście słowa są wskazówkami tylko, obrazu niemi odmalować niepodobna.

Idąc za radą i zwyczajem, dopiéro po obejrzeniu Pompei udaliśmy się jednego dnia do Herkulanum. Starożytna ta osada Osków i Tyrrenejczyków nazwą swą przypomina patrona dawnego Herkulesa wschodniego. W r. 283 od założenia Rzymu konsul ś. p. Carvilius wziął ją szturmem, po dwukrotnéj napróżnéj napaści, którą mieszkańcy odeprzéć potrafili. W r. 80 przed Chr. Herku-

lańczycy podjęli oręż przeciw Rzymowi z innemi ludami Włoch i jeszcze raz podbici zostali, ale otrzymali pożądane prawo obywatelstwa. Przed wybuchem 79 roku zniszczyły miasto trzęsienia ziemi, a popioły, które zasypały Pompeję i Herkulanum i Stabii nie oszczędziły. Miasto, jak się ze ściślejszych badań okazuje, zbudowane było na pokładzie odwiecznym lawy; jednakże nie zostało zalane nią w r. 79, jak najpowszechniéj twierdzą, ale raczéj masą popiołów rozmieszanych z gorącą wodą i błotem było pokryte, a ta późniéj stężała i skamieniała. Długo stwardniałe te popioły brano za lawę. Lecz przy obejrzeniu ściślejszém widać, że to, co wypełnia budowy Herkulanum, w stanie na pół płynnym tu weszło. Dopiéro na tę warstwę tufu późniéj wylały się strumienie lawy. Od r. 472 ginie zapomniane nazwisko Herkulanum, nowe a coraz nowe wybuchy grubszą coraz okrywają je skorupą. Liczą do sześciu aż warstw różnych w tym pokładzie, pochodzących z różnych wybuchów i poprzedzielanych ziemią roślinną, w któréj się znajdują różne szczątki życia. Grubość wszystkich skorup wynosi od 21 do 34 metrów.

Herkulanum jak Pompeja było portem morskim, chociaż dziś nagromadzone lawy, popioły, podniesienie się ziemi, odsunęło je od brzegu. Port ten zwał się Retiną i pobudowane na zgliszczach miasteczko dziś jeszcze Resiną się zowie. Na szczątki, zapomniane od wieków, pierwszy natrafił jakiś piekarz, kopiąc studnię. Dobyto złomy marmuru. W r. 1711 Emmanuel lotaryński książę d'Elbeuf, stawiając sobie pałac w Portici obok klasztoru Alcantarynów i potrzebując doń marmuru, gdy się dowiedział o onéj studni, szukać w tém miejscu polecił. W ten sposób dokopano się do tylnéj części teatru Herkulańskiego. Dobywano stąd przez lat pięć płyty, kolumny, posągi, z których potém część musiano oddać rządowi. Karol III zakazał kopać osobom prywatnym i w roku 1738 polecił poszukiwania dalsze w różnych kierunkach nieopodal od studni piekarza. Aż do r. 1770 grzebano się nieumiejętnie, wrębując w te szczątki, a potém gdy się co wydobyć udało, nazad gruz zasypywano w otwory. Zniszczono pewnie tyle drugie, co zdobyto, ale wiele téż udało się odkopać. Odkryto naprzód teatr ogromny, z szesnastu stopniami siedzeń dla widzów, ozdobiony marmurami afrykańskiemi, posągami, bronzami. Cztery konne posągi najpiękniejsze, o których pisaliśmy (Balbusów), tu stały.

Odwiedziny tych ruin, które przy pochodniach się odbywa, dlatego aby sobie powiedzieć, że się nic godnego widzenia nie opuściło, naprawdę niewiele uczą i niezbyt zajmują. Wśród tych ciemności, podpór wstrzymujących górne pokłady, dostrzedz zaledwie można, co jest najbliższego, a co pojęcia o całości nie daje.

Przewodnicy wskazują miejsca, gdzie stały Balbusów posągi; potém owę pierwszą studnię, gdzieniegdzie zachowane odciski przedmiotów, mozajki, kolumny, i prawią napamięć wyuczony inwentarz tego, co tu się znajduje albo było. Oprócz teatru, bazyliki i kilku domków, które muzeum dostarczyły wielkiéj obfitości pięknych szczególniéj i doskonale dochowanych bronzów; niéma tu nic nowego dla tego, który uważniéj zwiedzał Pompeję. Też same uliczki wązkie, takie same bruki, podobne malowania, mozajki, rozporządzenia domostw. W domu zwanym Argusa (od obrazu Jo, któréj Argus strzeże), po odkopaniu, jakaś roślinka w ogródku, śpiąca od Tytusa czasów, obudziła się, zazieleniała i wykwitła.

Pokazywano nam jeszcze więzienie dla winowajców niewolników, z kratami w oknach, z ławami, stołem i lararium. Zeszliśmy wschodkami spocząć w małym ogródku, w którym bujały róże przy starych murach odsłonionych, i drobnych różnych śladach przeszłego życia. Znalazła się ława rzymska, na któréj usiąść było można, a nikt nie bronił tu urwać róży herkulańskiéj na pamiątkę. Jaszczurki wygrzewały się gdzieniegdzie na słońcu, cicho było i smutno. Różom się chciało zazdrościć, że kwitły, jaszczurkom, że nie znały historyi... Siedzieliśmy zadumani, a cicerone jak pacierz opowiadał na pamięć, na co pod karą grzechu śmiertelnego patrzéć i czemu się dziwić należało. Tu przynajmniéj dobyć można było album i kilka na niém rysów nakreślić. Cisza tego ogródka z różami, wgłębionego w ziemię, była urocza; chciało się tu pobyć, odetchnąć, spoczywać, ale przewodnicy stali na straży dokuczliwie i naostatek należało pomyśléć o odwrocie do Neapolu. W samę porę, gdyż niebo zaciągało się chmurami ciemnemi i na wieczór, jeśli nie na noc, widocznie, po skwarach tych dni, gotowała się ekspiacyjna burza. Wczas się udało powrócić do gospody, aby tam z okna bezpiecznie przyglądać się rozhukanym żywiołom, obchodzącym wesele tak, jakby świat pochłonąć chciały. Główna siła burzy skupiła się nad morzem, szalała wściekle. Za każdą błyskawicą odsłaniał się krajobraz i znikał, w każdéj z nich zębate pioruny dzierzgały niebiosa dziwacznie. Morze téż w początkach paliło się fosforyczném światłem, fale strzępiły iskrami. Ulewa, jak z wiadra, strumieniami potopowemi oblewała puste ulice. Widok był majestatyczny, lecz pioruny długo spać nie dawały, a ciekawość trzymała przy oknach, które dźwięczały od trzasku nieustającego. Błyskawice tak były silne, iż oddalone Capri na tle ich jasném, niekiedy postrzegać się dawało. Takie burze tylko nad morzem i w starych puszczach naszych widywać można.

Nazajutrz, była to niedziela, gdyśmy przebudzeni okno na bal-

kon otworzyli, wesołe, miłe, znacznie po owéj katastrofie nocnéj ochłodzone powietrze, ulice już były suche. Mostki drewniane, stojące ku wielkiemu podziwieniu pośród ulic, pozornie bezużyteczne w taką zlewę gwałtowną, wielce się przydają, bo potoki wzbierają ogromnie i na chwilę zalewają przejścia. Myliłby się, ktoby sądził, że pod tém niebem błogosławionén wiekuista trwa pogoda; meteorologowie wśród całego roku liczą tylko siedemdziesiąt dni zupełnie jasnych.

Korzystając z przyjemnéj aury (jak to dawniéj u nas mówiono), śpiewak nasz uliczny przyszedł nucić swą: *la bella Sorrentina*, dla tego biednego carlina, który mu się z okna rzuca. Za ten podarek głosem naturalnym i sztucznym nuci, skomli, wykrzykuje. Słyszymy urywane o *belli* Carolinie *di Castellamare... amor pietà... Sorrentina, morir sospiri...* i mamy tego wkrótce dosyć, okno się zamyka, koncertant idzie daléj z gitarą.

Poszliśmy już niebardzo rano do kościoła, gdzie za krzesła zapłaciwszy, słuchaliśmy dwóch mszy. Lud choć widocznie pobożny, modli się mało, książki w rękach bardzo rzadkie, ale słuchają nabożeństwa uważnie i prawie ciągle klęcząc.

Nie mieliśmy sposobności widziéć neapolitańczyków w jednéj z tych chwil uroczystych, w których charakter ich pobożności najdobitniéj się maluje; naówczas kościoły są oblężone, pełne, a skrucha grzeszników wyraża się jękami i łkaniem. W kościele św. Teresy, pisze podróżny Francuz, który tu dłuższy czas przebywał, widziałem kaznodzieję kapucyna, otyłego ale wielce ruchawego, który przerwawszy nagle kazanie, zbliżył się do posążku N. Panny stojącego przy kazalnicy. Począł z wyrazem i ruchami, których opisać niepodobna, błagać Ją o wstawienie się dla pewnego rodzaju grzesznic znajdujących się w kościele; a że posążek nic mu nie odpowiedział, kapucyn postąpił znowu, objął go rękoma i błagał jeszcze, błagał gorąco, nadaremnie, posążek był niemy. Naówczas zwrócił się do ludu i wykrzyknął, że N. Panna wstawić się za nim nie chciała.—„Widzicie—zawołał—nie może znieść widoku waszego i żąda, by jéj oblicze zasłoniono".—To mówiąc ujął płaszczyk, którym był odziany posążek i okrył nim twarz, na widok ten, lud w rozpaczy, począł jęczéć i krzyczéć, kobiety rzucały się na posadzkę i wyrywały sobie włosy, kapucyn mówił daléj:—„Tak, płaczcie! rozpaczajcie!... powinniście, ale dawajcie na kościół! Dlaczego? to do was nie należy!... dawajcie, abyśmy się za was modlili. Jeszcze tylko dwa dni czasu—*poi più niente*".

Po chwili, z wielkiéj rozpaczy wszyscy ochłonąwszy, wrócili do spokoju i wesela...

W wielkim tygodniu, we czwartek i piątek ustaje cały ruch

powozów na ulicach, wszyscy chodzą piechotą, i z kolei, jak u nas, obchodzą po siedem kościołów, kobiety poubierane czarno w większéj części, królewska rodzina ukazuje się téż czasami pieszo w ulicach, a za nią tłum ciekawych się ciśnie.

Groby ubierają podobnie jak u nas, ale z daleko teatralniejszą wystawą; ten teatralny charakter mają wszystkie religijne obchody. W czasie świąt Bożego Narodzenia wystawiają żłobki z figurami, z kołyskami, z rozmaitemi pastuszemi figurkami, wcale nawet niepobożnie wyglądającemi. Tak samo inne święta są raczéj pobudką do zabaw i roztargnieniem, niż rzeczywistém podniesieniem ducha.

Wróciwszy do gospody, znaleźliśmy tu oczekującego na nas jakiegoś biednego artystę, który przyniósł z sobą na przedaż dosyć znacznych rozmiarów i wcale niezły obraz wystawujący widok Campo Santo Neapolu w czasie obchodu dni zadusznych. Nie było to arcydzieło, lecz miłém wspomnieniem Neapolu być mogło. Ani cena była zbyt przesadzona, oddawał bowiem swą pracę za 40 tutejszych dukatów (prawie tyleż rubli), nie mogłem wszakże biednemu malarzowi usłużyć, ani sobie uczynić téj przyjemności, bo podróżna kasa nie dozwalała. Klemrod przytém, aż do zbytku surowy sędzia, ganił malowanie i odradzał gorąco. Malarz poszedł szukać Anglików, o których w téj porze roku dosyć trudno.

Z południa jechaliśmy zwiedzić szczególnie dla mnie po rzymskich zajmujące katakumby, do których wnijście znajduje się przy kościele św. Januaryusza *dei Poveri,* przy szpitalu dla ubogich starców i dziewcząt. Niedziela ta musiała być świętem jakiegoś wielce popularnego patrona, gdyż po drodze jadąc, spotykaliśmy wszędzie przygotowania i przystrojenia ulic właściwe odpustom. Niektóre przejścia całe już pozastawiano moździerzykami, obrazy w niszach wyświeżone wyglądały i ukwiecone. Powiewały przy nich obfite festony żółte, niebieskie, różowe a na sznurach w poprzek ulic pozawieszano herby, obrazy i chorągwie.

Katakumby, do których dążyliśmy, znajdują się w wyniosłém wzgórzu ponad miastem. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zużytkowane, może powiększone przez chrześcijan, nie są całkowicie ich dziełem. Niektóre ich części sięgają odległéj bardzo starożytności, owego pierwotnego żywota ludzkiego po jaskiniach, które stanowiły pierwsze może mieszkania, w wiekach mamutów i renów.

Być bardzo może, iż naówczas już część tych wyżłobień za groby służyła, tak, jak za czasów Rzymian mieszczono w nich *columbaria.* Wnijście do tych katakumb jest ze wnętrza zabudowań św. *Gennaro dei poveri.*

W pierwszym wieku po Chrystusie, gdy tu się przez apostołów

opowiadana rozszerzać zaczęła wiara prześladowana, chrześcijanie użyli pieczar starożytnych za schronienie, na kościoły i groby swoje. Musiano je rozszerzyć znacznie, pogłębić, nowe gałęzie prowadzić, starając się je uczynić niedostępnemi. Miejsce zajęte dziś zabudowaniami okrywającemi katakumby, zowie się, a raczéj zwało doliną Eumelidów. Tuż przy kościele jest do pieczar wnijście, bardzo malownicze i czyniące wielkie wrażenie. Znajdujemy się najprzód w najstarszym kościele chrześcijańskim Neapolu, wykutym w górze; ma on kształt prostokątu, jest niewielki, nagi dziś, ale zaludniony wspomnieniami przejmującemi. W głębi stoi ołtarz na pół zniszczony i tron biskupi podobny do rzymskich w katakumbach. Na ścianach widnieją jeszcze wypełzłe, osypane prastare obrazy. Ponad samém wnijściem na eliptyczném sklepieniu, postać olbrzymia Chrystusa, siedzącego na tronie chwały, ręką prawą wskazującego na księgę świętą, którą trzyma otwartą, dwa anioły klęczą przy nim. Gdzieniegdzie ślady postaci świętych biskupów, które rozpoznać trudno. Część około ołtarza widocznie późniéj zniszczona, odarta, zatynkowana, zdaje się, wedle podania, w XVI wieku. Styl obrazów przypomina greko-bizantyjski, nie są téż z pierwszych wieków, ale z téj epoki przejścia, w któréj malarstwo nowe rodziło się dopiéro na szczątkach sztuki pogańskiéj. Stąd dopiéro wchodzi się korytarzami, rozmaicie się wyginającemi, plączącemi z sobą i krzyżującemi, do właściwych katakumb, całkiem charakterem, rozmiarami, kształtami niepodobnych do rzymskich. Są one daleko obszerniejsze, rozlegające się swobodniéj, przestronniéj, poprzerzynane, jakby salami, które podtrzymują słupy kamienne nieregularne. Fizyognomia malownicza, a gdzieniegdzie wpędzająca światło luftami, otwory, czyni je fantastyczniejszemi jeszcze. W jedném miejscu przez taki wyłom spuściła się zielona bluszczu gałąź i cudownie jéj pięknie saméj jednéj w téj gościnie. Sklepienia są śmieléj, szeroko acz niezbyt regularnie ciosane, słupy nieforemne, przymurki poobijane, lecz ta szorstkość form nadaje im wdzięk szczególny. Znać z ozdób dawnych pieczary zostały czy poodzierane, czy je poniszczono, mało się bowiem stosunkowo śladów znajduje, napisów i pamiątek; wygląda to nago, gdzieniegdzie zostały marmurowe płyty, malowania reszty i mozajki, wśród korytarzy są, jak w rzymskich, małe kapliczki, z pilastrami u wnijścia i szczątkami ozdób. Podania o rozległości katakumb są wielce różne, to pewna, że się rozciągały lub ciągną jeszcze daleko, chociaż najgłębsze piętro, gdy w niém niezmierną ilość ciał w czasie moru 1656 zrzucono, zasypane zostało i jest niedostępném. Zaręczają miejscowi, iż katakumby dochodzą podziemnemi przejściami aż do Santa Maria del Pianto a poggio-

reale, do San Efrem vecchio, do San Severo de Sanità, do S. Maria della vita. We wszystkich tych miejscach znajdowały się dawniéj ciasne wnijścia do katakumb, które jeszcze ukazują. W r. 1685 sławny uczony Mabillon zwiedzając te krypty, wszedł do nich od S. Gennaro dei poveri, ale wyszedł przez San Severo. Ks. Romanelli w r. 1792 pisze, że znalazł w podziemiach kościół wykuty w tufie o trzech łukach, podtrzymywanych przez sześć słupów także z tufu, z ołtarzem, kazalnicą, chrzcielnicą, a w r. 1814 będąc po raz drugi, więcéj mili uszedł pieczarami obszernemi, które się rozciągały aż do wzgórza Lautrec.

W jednéj izdebce (cella) widać nieforemne dosyć malowanie, wyobrażające św. Januarego w całéj postaci, w ubiorze biskupim cale różnym od dzisiejszego. W aureoli napis głoskami czerwonemi pędzlem:

Sancto Martiri Janvario

Z boku dziecię i napis:

Enicatiola infans.

Z drugiéj strony kobieta, strój na głowi osobliwszy, a nad nią:

Hic requiiscit (sic) benemerens pace Cominia.

Oprócz tych, wiele innych napisów czytać się daje: imiona świętych: Festus, Eutices, Agrippinus. Na obrazie, który się zdaje przedstawiać świętych Piotra i Pawła, jednego w ubraniu pontyfikalném, drugiego w tunice długiéj, podpis:

Spełniamy ślub uroczysty, my których imiona Bóg wie.
(Votum solbimus (sic) nos cujus nomina Deus scit.)

Mnóstwo innych napisów zebrali i wydali Pellicia, Giustiniani, Romanelli, Jorio i Bellermann. Bardzo ciekawy jest jeden napis hebrajski (więcéj tu się w tym języku znajduje), który Fusco przełożył: In angustia lugebo insurgentes tenebras—Attenuata est scientia orationum—Splendidum donum justi. „W ciasnocie opłakiwać będę wzburzone ciemności. Uszczuploną jest nauka modlitwy.—Wspaniały dar sprawiedliwego".

Domyślają się, że wyrazy te zapisane zostały w pierwszéj połowie VIII wieku, za biskupstwa Pawła II, którego patryarcha konstantynopolski wyświęcić nie chciał, który cierpiał prześladowanie i wygnanie od ikonoklastów. Schronił się on tu dobrowolnie, zamieszkując przy kościołku św. Januarego, u wnijścia do katakumb, gdzie zbudował baptisterium i *triclinium*, dla chrztu we dnie wyznaczone. Lud i duchowieństwo go nie opuściło. We dwa lata późniéj, szlachta, dotknięta żałobą ludu i smutkiem, udała się do

katakumb z wielkim tłumem, wśród okrzyków wzięto stąd biskupa i w procesyi odprowadzono do jego stolicy przy św. Restituta. Później na pamiątkę odbywały się co roku procesye, a ciało zmarłego przeniesiono do marmurowego grobowca w katakumbach. W r. 1849 d. 20 grudnia ojciec św. Pius IX zwiedzał znaczną przestrzeń pieczar przy pochodniach, kościół św. Januarego i inne pamiętne i ciekawe części katakumb.

W ścianach są liczne dosyć kapliczki krągło sklepione, ze śladami mozajki, malowaniami starszego stylu i późniejszemi bizantyjskiemi. Napisy greckie przeważają; w ołtarzach kilku ledwie znajdują się ciała świętych (*Confessio*) podobnie jak w rzymskich. Jedno z malowań na sklepieniu wystawia znaną postać kobiety z wzniesionemi do góry rękoma, około której dwie mniejsze także wznoszą ręce, modląc się. Mozajki, bardzo popsute, mają napisy na szlakach i wogóle użyte są tu jako ornamentacye. Zniszczenie wielkie, kamieni powyjmowanych mnóstwo, malowania spełzłe i pościerane. W jedném miejscu pokazują słup, do którego miano przywiązywać męczenników chrześcijan; jest to widocznie starożytny Phallus, co poświadcza grecki napis: *Priapos* i niezrozumiały mi hebrajski ארור. Nie wiem tylko, czy go spisałem wiernie, nie znalazłszy o tém wspomnienia nigdzie, zapisuję tutaj. Pieczary neapolitańskie należą do najciekawszych może w swym rodzaju, a chociaż je badano, wieleby jeszcze, pilniéj poszukując, odkryć i wnioski o ich starożytności ściślejsze ze śladów ozdób, napisów i t. p. wyciągnąć można. Lecz tu, gdzie obok grzebią się ludzie w Herkulanum i Pompei, nikt mniéj powabnéj i skromnéj pracy podjąć nie myśli. Widoczném jest, że mnogie pokolenia po sobie następowały w katakombach. Gdzieniegdzie spotyka się łatwe do poznania rzymskie *Columbaria;* w kaplicy św. Januarego z pod dwóch figur wymalowanych późniéj wygląda malowanie starsze dekoracyjne, niby pogańskiego grobowca. W jedném z zasklepień znalazłem rzadko spotykające się godło chrześcijańskie *Pawia.* W drugiém miejscu, przy obrazie świętego, odmalowano po bokach dwie gorejące pochodnie. Pawia tego zapisał, jak-em się przekonał późniéj, d'Agincourt (pl. 11, 11, 9), podobnego znaleziono i w katakumbie w Medyolanie. Były to już drugie po rzymskich, a trzecie licząc z kijowskiemi, katakumby w życiu zwiedzane; a każde z nich różne, wszystkie wielkie na mnie czyniły wrażenie. Groby to bowiem i kolebki razem, z których wykołysana cierpieniem i prześladowaniem wyrosła ta wiara chrześcijańska, która zdobyła świat. Mimowoli przychodzi myśl grzeszna, jak różną naówczas a dziś była religia, gorący zapał dla niéj i charakter chrześcijańskiego społeczeństwa przejętego idealnemi wzory,

które nieustannie miał przed oczyma. Napróżno dziś silą się ludzie wskrzesić tego ducha, te pojęcia, tę siłę, jaką po apostołach odziedziczyli pierwsi chrześcijanie, nic się pono nie odradza po raz wtóry, a obraz tych wieków tak jest wspaniały i piękny, tak niedoścignionego majestatu i wielkości!

Od katakumb już o chylącém się ku zachodowi słońcu, jechaliśmy widziéć *Campo Santo nuovo*, do którego zachęcił nas pono widziany świeżo ów obraz biednego artysty. O! i nie pożałowaliśmy téj przejażdżki, bo piękniejszego położenia, widoku, nawet w okolicy czarownéj Neapolu znaléść trudno. Jest to z pewnością najpiękniejszy cmentarz w Europie, a może na świecie całym. Na stoku wzgórza półkolisto wznoszącego się u stóp *Poggio reale*, wyrasta to pole spoczynku. Już jadąc, można było miéć przeczucie widoku, jaki się odkrywa ze wzgórza, co chwila odwracaliśmy się, wykrzykując z radości i uniesienia nad krajobrazem. Słońce zachodzić miało pogodne, cała zatoka rozlewała się przed nami jak tafla sina *lapis lazuli;* Wezuwiusz oświecony był pomarańczowo. Bliżéj nas, na pierwszym planie drzewa ciemno zielone, kolorytem swym silnym odpychały dalsze plany i oddalenie malowane barwy powietrznemi. Capri, jak zawsze o zachodzie, ukazywało się w przejrzystéj mgle ze swemi poszarpanemi, prostopadłemi, tonącemi w morzu ścianami. Jadąc coraz wyżéj, ginie Neapol a dźwiga się przeciwny brzeg oddalony, ogromna przestrzeń staje się widoczna. Z miasta wyskakuje tylko jedyna wieżyca klasztoru karmelitów.

Samo tak zwane Campo Santo jest, obyczajem włoskim, budową obszerną, prostokątną, otoczoną murami i kolumnami w stylu staro-doryckim, ze stu czy więcéj kapliczkami dla tyluż bractw i ich członków. Bractw tych liczy się podobno 174, a każde z nich ma swój strój właściwy, wszystkie szczególniéj przychodzą w pomoc w chorobie, u łoża konających i po śmierci odprowadzają do grobu.

W pośrodku placu obwiedzionego murem, stoi kolosalny posąg Religii z krzyżem i palmą w ręku, dość piękny, ale nieco ciężki. Jest to dzieło Cavadito Angelini, które poświęcono i odkryto w r. 1845, w czasie kongresu uczonego. Napisy na podstawie wysokiéj układał Queranta. Posąg ten monumentalnie wygląda i wspaniale. Przed portykiem wznosi się kościół cmentarny nowy, z obrazami nowemi, ale, nie oglądałem go. Mógłże na świecie być obraz piękniejszy nad ten widok oświecony zachodzącém słońcem?

Weszliśmy daléj na cmentarz, gdzie się wznosi kościołek kapucynów i mnóstwo kaplic wśród najśliczniejszego ogrodu, pełnego drzew, kwiatów, mruczących strumieni, cyprysów i róż. Te ka-

pliczki bractw wychylające się z pośrodka zieleni, ozdobne, różnokształtne, osłonione do pół gałęźmi sosen, pomarańcz, cytryn, płaczących wierzb babilońskich, posągi, tumby, sarkofagi, stanowiły na tle gór i morza jeden z najpiękniejszych widoków, jakie się spotyka we Włoszech. Cisza i spokój wielki ponad tym hałaśliwym Neapolem, u wrót kościołka kapucyn szeptał pacierze, strumyk mruczał wśród kamieni, liście drzew poruszały się cicho powiewem wieczora, jakby się lękały przerwać spoczynek zmarłym. W jednym tylko dniu w roku neapolitańskie życie całe się tu przenosi, groby się stroją w wieńce, ostawiają świecami i pochodniami, rodziny całe zasiadają gwarno modlić się za swych nieboszczyków, rozmawiać, płakać i śmiać się, a ponieważ dwa dni trwają zaduszki, i do miasta dosyć daleko, przynoszą się koszyki z jadłem i flaszki z napojem, i żarty a wesele na pociechę po łzach przychodzą, nie zbywa nawet na posępnéj ale zawsze przyjemnéj muzyce. Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszny cały prawie spędza ludność na Campo Santo. Wistocie taki to wesoły cmentarz, iż się dziwić nie można, że dłużéj tu posiedziawszy, rozweseli się i rozchmurzy najposępniejsze czoło.

Kapliczki, około których przechodziliśmy, wszystkie należą do bractw różnych. Jedno z nich *Bianchi Secreti* widzieliśmy właśnie w ulicy w kapach białych, ale ileż różnych... *Bianchi di S. Sacramento, S. Roccho, S. Giuseppe.* W kapliczkach ciała się składają w ścianach na sposób katakumb. W niektórych zapełnione już miejsca, w innych czekają jeszcze na przybyszów. Przez drzwi kraciaste czytać można napisy w głębi u ołtarzy:

Zmiłujcie się nad nami, o wy przyjaciele moi!...

Na innym:

Via universae carnis...

Pierwsi, co tu spoczęli na cmentarzu, byli: dziewica Bogu poślubiona, zakonnica, chłopiątko i dziecina. Piękny napis wzywa do modlitwy za ich dusze tych, co tu teraz odpocząć przychodzą.

Spotkaliśmy kilka pogrzebów. Co kraj to obyczaj, wcale one inaczéj wyglądają, niż u nas. Uboga trumna jakiegoś nieboszczyka, bardzo prosta, okryta była przepysznym, bogato szytym całunem, znać należącym do bractwa. Idący za pogrzebem ludzie z czarnemi chorągiewkami, byli ubodzy od San Gennaro. Jechał także powóz pogrzebowy z trumienką dziecięcia. Na przedzie rodzaj wygodnego koczyka, w którym siedział ksiądz i zapewne zakrystyan. Trumna z tyłu w rodzaju paczki czy tłumoka umieszczona, przy którym paliły się dwie latarnie, w osobliwszy sposób zdała się nam ulokowaną. Zresztą żadnych żałoby oznak nie było.

Przez dolne ulice powróciliśmy do miasta, winnice pełne domków murowanych bez dachów, pozasklepianych tylko okrągło na sposób wschodni. Budowy takie widzieliśmy już około Torre del Greco. Po ogrodach studnie obracane końmi do polewania. Znalazł się i ubogi w miniaturze akwedukcik. Wjechaliśmy naostatek do miasta, nie mogąc się rozminąć z petardami i strzelaniem, wśród okrzyków *Eviva Maria!*

W ulicach szum, wrzawa, wesele, skwarczące kuchnie wydały się nam po ciszy cmentarza jeszcze dziwniéj. Na ustach u Włochów jako przysmak pożądany jest nieustannie macaroni col fromagio, ale w ulicy nie tyle go widać, co rybek i kukuruzy. Na wszystkich balkonach pełno kobiet mocno nie ładnych, na ławach przed domami starcy, w każdéj golarni widać twarz namydloną i zwijającego się przy niéj Figaro, z budek i szopek wytykają głowy poliszynele i zapraszają na gody. Wieczór nader ożywiony, pełno przejezdnych, przechodzących, śmiechu a gwaru, bo tu w nim tylko życie. Około kawona lub melona rozdzielonego na trzydzieści cząstek kupa ludzi, odświeżających sobie spalone usta niewielkim kosztem. O mroku ognie świecą pod kociołkami, à la Schalcken oświecając twarze ulicznych kucharek, gdzie *neve* sprzedają po szopkach, zapalono latarki, woda z cytryną płynie strumieniami. Miasto całe używa wieczoru ślicznego, Corso rozpoczęte, powozy się roją, a że tu każdy, co się szanuje, pokazać się musi, ścisk taki, że ledwie możemy dostać się do Crocelli, które są właśnie na drodze. *Santa Lucia a mare*—w pełnym rozkwicie, noc prześliczna...

XXXIII.

Burza nocna. — Wycieczka ku Pozzuoli. — Fuori Grotta — Piekło starożytnych. — Stufe S. Germano. — Bagnuoli. — Agnano. — Amfiteatr. — Pozzuoli.—Puteolae.—Wspomnienia.—Monte Nuovo.—Świątynia Serapisa.—Wille. Gruzy a ruiny.—Jezioro Lukryńskie.—Averno.—Grota Sybilli.—Droga do Baj. —Świątynia Merkurego i Venus genitrix. — Gospoda.—Stufe di Nerone. — Na łódce.—Groby.—*Cento camerelle.*—Piscina mirabile.—Baje.—Wykopalisko. Kumy.—Porta Felice.—Powrót.

Zaledwie późno w noc, gdy Corso się skończyło i miasto uspokoiło, mogliśmy zasnąć, a pół do czwartéj zrana zbudziły nas pioruny i burza straszna, która trwała do białego dnia, kończąc się gwałtowną ulewą. Chociaż po niéj nie miało jeszcze czasu schnąć, myśmy téż czekać na lepszą porę nie mieli czasu, musieliśmy się na nową wybrać wycieczkę... ku piekłu starożytnych, na flegrejskie pola... Z poprzednich wycieczek znaną już nam była część téj drogi, grób Wirgiliusza, wybrzeże morskie i grota Pauzylippu. Drugi już raz wjechaliśmy w ten tunel, który opisuje Seneka, i wspomina Petroniusz jako nadzwyczaj nizki, gdy dziś jest przeciwnie bardzo wysoki, przynajmniéj po obu końcach. Poprawiono go bowiem w XV wieku. U wnijścia jego wita pomnik z szumnym napisem, a naprzeciw ubogi żebrak przy kapliczce w mniszéj sukni św. Franciszka o jałmużnę prosi. Kapliczka wyobraża żłobek otoczony zwierzętami i pasterzami, którzy pierwsi pokłon Chrystusowi oddali. Wszystko to pomalowane, odświeżone, z tym starym mnichem, z grotą w pół-cieniach, malowniczy obrazek stanowi. Przed nami długa, ciemna grota, w któréj głębi świecą latarnie i w drugim końcu przebija się światło dalekie. W grocie spotkaliśmy się z ogromnym o téj godzinie ściskiem koni, osłów, wozów, ludzi z okolicy i krzykiem a wrzawą właściwą Neapolitańczykom. Ścisk ten, ciemność, pył ogromny... czyniły przejazd równie nieprzyjemnym, jak niebezpiecznym. Szczęściem wydostaliśmy się cało, minąwszy jeszcze jednę kapliczkę na pół drogi,

a potém u wyjazdu trattorię i miasteczko, czy wieś, *Fuori Grotta*. Po najokropniejszéj drodze puściliśmy się ku jezioru Agnano przez miłość wspomnień starożytności. Drogi jednak uczucie to nie potrafiło polepszyć; kamienista, błotna, powybijana, doprowadziła nas naostatek do tego starego, wygasłego krateru wulkanu, zalanego wodą, zarosłego trzcinami, otoczonego wzgórzami zielonemi bez wdzięku; kilka domków niepowalonych stoi nad jego brzegami, w górze widać mury klasztorku. Samo jeziorko, niegdyś sławne ilością wężów, które się w tém cieple tysiącami lągły, wygląda na nasz wiejski stawek brudny, a podobieństwo zwiększa jeszcze wielką ilość moczonych tu konopi, od których powietrze nabiera woni tém przyjemniejszéj, że oprócz tego pełne jest siarczystych wyziewów. Naprawdę powiedziawszy, szkoda było fatygi po okrutném błocie, nieubłagany cicerone chciał nam gwałtem pokazywać osobliwości i prowadził do niepozornéj dziury pod górą, która słynie jake *Grotta del cane*, gdzie koniecznie należy być świadkiem męczarni nieszczęśliwego psa, duszącego się śmiertelnym wyziewem, o którym, niestety—Pliniusz wspomina... Pies i cicerone byli gotowi... zaciągnięto i nas pod samę grotę, ale nie dopuściłem ani psa dręczyć, ani nas odzierać... Chciwy Włoch poszedł z kwitkiem... Cały ten krater zieje siarczystemi opary... Pozwoliliśmy sobie pokazać ciepłe wody źródło nad stawem, a naostatek Pisciarelli i Stufe di San Germano... Są to kąpiele ciepłe, przesycone siarką i ałunem, które leczą na rozmaite choroby, ale zdrowego mogłyby zamorzyć. Stufe, izby wyziewami gorącemi siarczystemi napełnione, w tufie wulkanicznym wykute, pokazywała nam nielitościwie zmuszając do admiracyi jakaś gadatliwa, niegdyś przystojna gosposia. Małośmy się od powietrza tego nie podusili... Zresztą od Bagnuoli cała ta okolica pełna źródeł siarczanych, mineralnych, wody gorącéj wytryskującéj co krok... pod stopami grunt ugina się i trzęsie, huczy próżnia... czuć, że się stąpa po wulkanie i skorupą wątłą pokrytych otchłaniach płomienistych. Zobaczywszy trochę tylko tego piekła, ciekawość nas do staranniejszego zapoznania się z niém nie brała... opuściliśmy bez żalu okolicę Agnano.

Po drodze mieliśmy jeszcze do obejrzenia wielki amfiteatr dobrze zachowany, lecz budową do wszystkich innych podobny. Jest on mniejszy od znajdującego się w Kapuy, ale dwakroć obszerniejszy od pompejańskiego. Mógł pomieścić do trzydziestu tysięcy widzów. Neron dawał tu wspaniałe igrzyska. Odkopano go dopiéro w r. 1838, bo już na nim rosły drzewa figowe i winnice.

Droga się nieco polepszyła, jechaliśmy wśród winnic, zawróciwszy po nad morzem do Pozzuoli. Widok stąd ciągle na wyspę Capri, na Nisidę, ku brzegom Sorrento i sine śliczne morze. Ranek

stawał się coraz piękniejszym, słońce przebiło się z za chmur, które powoli rozstępowały mu się i uciekały.

Pozzuoli, do którego się przybywa, kręcąc nad brzegiem morza, drogą, około któréj właśnie pracowali więźniowie, na pozór niczém nie uderza.

Rozstąpili się nam nieszczęśliwi robotnicy owi w różnobarwnych katankach, czerwonych, żółtych i niebieskich. Pierwsi są najstraszniejsi zbóje, drudzy swobodniéj nieco puszczani, sądzeni znać na czas krótszy... blado niebieski jest ubiór królewskich ubogich. Miasteczko zbudowane nad samym brzegiem morza na cyplu wzgórzystym, ma fizyognomią wszystkich małych włoskich osad. Upiękniają je stérczące maszty statków i łodzie podchodzące prawie pod same domy. Z drugiéj strony wysokie ściany góry spadzistéj. Stanęliśmy tu na chwilę przed niejakim Lucio Magri, ażeby wyszukać poleconego nam przewodnika Francesco... lecz ledwieśmy się zatrzymali, tłum nas utrapiony otoczył, narzucając na sprzedaż, jako antyki, podejrzane posążki bronzowe... różne drobiazgi i owe rybki, które mają zasuszone kształt końskiéj głowy. Jedynym środkiem na natręctwo Włochów jest uparte milczenie... wdawszy się w rozmowę, podróżny zawsze jest zwyciężony.

Niepozorna dziś mieścina—któżby się domyślił?—była niegdyś znaczném miastem handlowém, które tu u Greków zwało się Dicaerchia... u Rzymian Puteolae... Syrya i Egipt słały tu swe towary... tu Sylla na rozpuście życia dokonał... Akta apostolskie świadczą o wylądowaniu tu i siedmiotygodniowym pobycie apostoła narodów, św. Pawła. Zniszczone w średnich wiekach kilkakrotnie Pozzuoli, nadwerężone kilku trzęsieniami ziemi, ostatecznie zrujnowane zostało najgwałtowniejszém w r. 1538, wskutek którego powstała konicznego kształtu, nowa góra, *Monte nuovo*. Miasto ucierpiało straszliwie i już się późniéj dźwignąć nie mogło.

Przeszedłszy parę ulic pieszo, znaleźliśmy się przy świątyni Serapisa, dziś najciekawszym zabytku. Stoi ona w obmurowaném podwórzu, zalana wodą... (Późniéj ją podobno zasypano w części ziemią, aby niezdrowych dla miasta uniknąć wyziewów). Wygląda to na rodzaj sadzawki, z pośrodka któréj stérczą bloki marmuru szarego i białe gzymsy, nogi, ręce, tablice, złamki rzeźb staréj świątyni. Znać z nich, że się ona składa z prostokątnego *atrium*, z portykiem o czterdziestu ośmiu kolumnach, przed któremi stało tyleż posągów. W pośrodku mieściła się sama świątynia, któréj kształt z substrukcyi widoczny, okrągły był. Szesnaście kolumn z marmuru afrykańskiego ją otaczało. Zabrane stąd kolumny, wazy, posągi są po muzeach, w Cazercie i Neapolu; tu tylko pozostały bardzo malownicze drobne odłamki wspaniałéj nie-

gdyś budowy. Dokoła na znacznych podmurowaniach otaczały ją izby dla chorych, łaźnie siarczane, gorące kąpiele. Świątynia wyroczni, źródła zwabiały tu tysiącmi chorych i miejsce to słynęło bogactwy. Też same zapewne wulkaniczne poruszenia skorupy ziemskiéj, które stworzyły Monte Nuovo, kilkakroć podobno dźwigały posadę świątyni Jowisza Serapis i obniżały ją... tak, że woda morska zalewała. Niszczy ona dziś również szczątki świątyń Neptuna, Nimf i Antynousa... które widać w głębi wody. Ze sławnéj willi Cycerona, a przynajmniéj z tego, co tu o niéj podają, mało co téż pozostało. Tu on umieścił był Pilię ukochaną i tu pisał swe Akademiki. Sama ustroń téż zwała się Akademia. Lecz wogóle oznaczenie ścisłe miejsc, jakie dawne budowy zajmowały, bardzo jest trudném, po tylu wiekach i po zmianach tylu, w kraju, w którym sam kształt brzegów uległ z pewnością przemianom. Należy téż miéć wiele wiary i przyjmować większą część imion... nie zbyt wglądając w ich prawowitość.

Po drodze z Pozzuoli spotyka się ciągle bezimienne gruzy, murki, resztki sklepień odwiecznych zasypanych ziemią, zarosłych krzewami. Niektórych walają się tylko rozproszone kamienie, na innych poczepiały się winnice. Pustka, smutek na tych zgliszczach pogrzebanego bez powrotu świata potęgi niezmiernéj, który się w proch rozsypał... Co krok ruina, wspomnienie, imię wielkie, które się rozlega, nie mogąc, jak spłoszony ptak, przylgnąć na pewno do żadnego szczątka. Cycerony?... Cezary... święci... bogowie Rzymu, koloniści greccy... błądzące cienie po pustkowiach. Ale co za cudne widoki na morzu, które się ciągle mieniają i urozmaicają! Widać stąd przylądek Misene, poza nim Procidę, a późniéj sterczącą wysoko górę na Epomeo na Ischii. Poniżéj u brzegu sterczy Castello średniowieczy w Bajach piętrzy się wspaniale, a daléj jeszcze na samym cyplu wysunięta, stróżuje pusta wieżyca... Saracenów, których już niéma. Brzegi całe poryte grotami rzymskiemi, tajemniczemi podziemiami, przejściami, których po górach i winnicach pełno... Monte Nuovo, dosyć łysa góra, nie miała jeszcze czasu porosnąć, a po nad nią Monte Barbaro na prawo z klasztorkiem kapucynów. Nowa góra urodziła się jednéj strasznéj nocy kosztem Lukryńskiego jeziora... któż wie, pożywszy kilka wieków, może znów zniknąć jednéj nocy. Zeszliśmy tu pieszo wzdłuż kanału, który kopano, ku jezioru Lukryńskiemu, za czasów rzymskich sławnemu z najlepszych ostryg, które w zmniejszoném dziś, owemi narodzinami góry, jeszcze się pono chowają... Dziś owo jezioro smutnie na błotnistą sobie wygląda kałużę. Stąd dążyliśmy do innego zgasłego i zalanego wodą starego krateru, zwane-

go jeziorem Averno. Miejsce jest ładne, otoczone wzgórzami okrytemi lasem kasztanów, winnicami i pomarańczowemi sadami. Ścieżka w lewo prowadziła stąd, po mokréj dosyć glinie, do sławnéj groty Sybilli Kumejskiéj. Tak nazywają tutaj i za nią poczytywano tunel za Agryppy przez Kokcyusa wykopany, dla połączenia Kumów z Bajami. Chciano w nim widzieć owę Wirgiliuszową grotę (szóstéj pieśni Eneidy) i imię Sybilińskiéj pozostało przy niéj. Ledwieśmy tu przybyli, znaleźli się jakby z pod ziemi Włosi z pochodniami, ofiarujący swe usługi, których my nie zdawaliśmy się wcale potrzebować, nie wiedząc jak się do podziemia dostać. Zrazu pieczara przypomina bardzo kształtami pauzylipską, znać ślady rzymskich murów, które ją podtrzymywały. Idąc tak przy świetle pochodni, dostaliśmy się do mniemanego schronienia Sybilli. Przewodnicy plotą jak na mękach, mieszając niedogryzki podań z ukutemi przez się niedorzecznemi baśniami, o Neronie razem i o Sybilli, o zabawach lubieżnych, o szkaradach, jakie się tu działy... Wykuta w górze grota musiała być wistocie schronieniem i kąpielą, na ścianach bowiem okopconych, widać ślady malowań, wśród których owoce rozpoznać można, gałęzie na tle białém niegdyś. Są także szczątki mozaik. Ażeby się dostać do tak zwanéj kąpieli Sybilli, niéma innego środka, jak dać się na plecach nieść ludziom, gdyż wody jest po kolana. Nie jest rzeczą zbyt przyjemną wsiąść na takiego brudnego Włocha i dać mu się dźwigać wśród ciemności, po wodzie — ale ciekawość! Klemrod protestował, że nas potopić i pozabijać w tych pieczarach mogą, ale sam téż wśród ciemności pozostać nie chciał, a gdyśmy siedli na plecy przewodnikom, w końcu i on na jednego z nich skoczyć musiał... Izba do kąpieli ma siedzenie ponad poziom wody podniesione, dwie niby wanny wykute w kamieniu. Otwory i przejścia w różne rozchodzą się strony. I tu są ślady ozdób, malowań, mozajki, a na ścianie charakterystyczne znamiona, które do powieści o Neronie i Sybilli Włochom asumpt dały... Potrzymano nas na plecach, świecąc pochodniami, abyśmy grocie przypatrzyć się mogli, i cało wróciliśmy nazad w suchą pieczarę, z której miło wydobyć się na światło dzienne. Dalsze pielgrzymki po okolicy, pełnéj śladów dawnego ludnego jéj zamieszkania, odbywaliśmy pieszo, potrącając o nieminione ruiny. Wskazują ciągle mniéj znane świątynie Merkurego, Apollina... Gdzie tylko kopulaste sklepienia szczątki — świątynia... Krajobraz znowu z drzew ogołocony... lub krzakami tylko porosły...

Dążąc do Baj, zwiedziliśmy po drodze taką mniemaną także świątynię Merkurego, która była wistocie wspaniałym jakimś pa-

łacem czy willą o kilku salach zasklepionych, długich, a jednę wyższą nad inne kopulasto okrągło pokrytą, do któréj światło otworem wpada z góry. Kilka niższych podobnych do niéj otacza ją i tworzy rozległą budowę. W głównéj wysokiéj sali, echo, z wielką Włochów radością, powtarza ich wykrzykniki. Jużeśmy wychodzić mieli, gdy nadbiegły czarne, osmolone, brudne okrutnie dziewczęta z tamburynem, ofiarując się tańcować nam tu tarantellę... Jedna z nich przyniosła bukiecik jaśminu, przyjęliśmy ten wonny dar, bardzo miły po różnych siarczystych wyziewach, ale tarantelli, tańcowanéj przez te biedne czupiradła w łachmanach, nie chcieliśmy widziéć, ażeby wszelkiego złudzenia nie stracić.

Tu wypadało nam spocząć po trudach przechadzki, skwarem neapolitańskim sierpniowym zwiększonych. Właśnie téż odarte, ubogie, niepozorne albergo nastręczyło się nad drogą, z prześlicznym na okolicę widokiem... Tuśmy siedli w cieniu, i dwaj moi towarzysze podróży postanowili, mimo odrażającego ubóstwa i niechlujstwa gospody, w niéj się posilić. Wstrzymałem się, woląc być głodnym, i na dobre mi to wyszło, gdyż się jedzeniem tutejszém na cały dzień potruli. Użyłem téj chwili na oglądanie blizkich ruin i rysowanie widoku na Castel Baiae i okolicę prześliczną. O kilka kroków od albergo stoi resztka świątyni, zwana *Venus genitrix*, ośmiokątna zewnętrznie, o ośmiu oknach... Wygląda bardzo kształtnie, obrosła u góry bluszczami, i na pierwszy plan obrazu jest jakby stworzoną. Niewątpliwie budowa starożytna, musiała być jednak w średnich wiekach przerabiana, jak wiele innych, ślady bowiem jakichś balkonów przy oknach, nie zdają się być dawne. U brzegu morza pokazują *Stufe di Nerone*, podziemia znowu, gorące, pełne siarczystych duszących wyziewów. Kustod, który je każe widziéć, aby coś zarobić, przynosi ze źródła wodę prawie wrzącą i gotuje jaja... Ma także zarobek, trzymając pełną izdebkę rozmaitych po okolicy uzbieranych szczątków naczyń, marmurów, mozaik, lampek, bronzików, które podróżnym zaleca i sprzedaje... I korytarz wykuty w tufie i kąpiele te, i wszystko tu nieustannie zaleca się imieniem Nerona. Jakoż nie darmo brzmi tu złowrogie imię... a pustka dzisiejsza wybrzeży Baj... nie jego tylko rozpustą i zbrodnią się rozlegała... Jestto ten brzeg, o którym śpiewa Horacy:

Nullus in orbe sinus Baiis praelucet amoenis.

o którym Propercyusz mówi:

Littora quae fuerunt castis inimica puellis...

Cycero, który sam w okolicy mieszkał, opowiada, że tu panowały: „libidines, amores, adulteria... convivia, commissationes, cantus, symphonia, navigia.“ Zbytnicy rzymscy budowali tu wille, aby zażywać rozkoszy, miłostek, rozpusty... ucztować, śpiewać, słuchać muzyki... pływać po morzu spokojném... i zużyte zmysły krzepić do nowych szałów... Pełno o tych osławionych przytułkach zepsucia rzymskiego świadectw, wspomnień u pisarzy starożytnych. Za czasów cesarstwa i moralnego upadku Rzymu, do olbrzymich rozmiarów, do bajecznych szałów doszła tu owa rozpusta panów świata. Był to kąt na nią uprzywilejowany. Przepłacano ziemię, a gdy jéj zabrakło, wille występowały w morze... Roiło się tu ludnością całego świata, bo jeden zbytnik tysiąca niewolników dla siebie potrzebował. — Dziś... pusto, ruiny... i groby—kraj pokutuje za ludzi.

Gdyśmy tu na łódź siedli dla opłynięcia zatoki około twierdzy Baj, aż do przylądku Misene, napatrzyć się było można od strony morza tego poszarpanego przed wieki brzegu, porytego grotami i ostawionego murami. Na każdym pagórku niemal jakaś sterczy ruina. Kilka takich grot, naturalnych czy wyżłobionych, przerzyna na wylot wzgórza ku Misene, i myśmy taką dostali się do starego portu Baj, zakrytego zewsząd, cichego, po nad którym tylko winnice i płowe góry, z takiemiż gruzami się wznoszą. Ta grota zowie się niebieską, chociaż do właściwéj tego nazwiska nie jest wcale podobną... Wioślarze pokazali nam rosnące niegłęboko pospolite korale koloru pomarańczowego, których potrosze nałamali. Wylądowaliśmy w starym porcie, kierując się na górę winnicami ku miasteczku, a raczéj ku wioszczynie Bauli... Co krok wspomnienia, choć oprzéć je o którą z tych ścian na pół obalonych trudno. To, co pozostało w dziejach, nie ma wykładu; o czém mówi historya, tego tu śladów nie znajdziesz. Właśnie w tém miejscu istniały wille Hortensyusza, Cezara a późniéj Augusta... Tu po śmierci Antoniusza mieszkała Oktawia, i tu miał Wirgili czytać jéj owe: *Tu Marcellus eris.* Tu w ostatku, gdzie co chwila spotyka się z imieniem Nerona, spełniła się najstraszniejsza jego zbrodnia, którą tak dramatycznie przejmująco opisał Tacyt... W Bauli Neron pozornie pojednał się z Agrypiną i uwodził ją synowską czułością, gotując się wydać na śmierć. Agrypina tonąca, ratowała się wpław, dopadła łodzi, dostała się na jezioro Lukryńskie, kazała zanieść do swego wiejskiego domu i tu przez zbójców od syna nasłanych, zabitą została... Zdaje się, że przekleństwo téj zbrodni opustoszyło kraj cały... zdaje się, że ten szał rozpusty i krwi spalił go i zniszczył na wieki. Przewodnicy pokazują tu tak zwane *Cento camerelle,* podziemne substrukcye jakiegoś gmachu,

wielki korytarz wspaniały i czysty, daléj mnóstwo celek ciasnych, ciemnych, strasznych, w których ledwie się człowiek mógł pomieścić, a niby dla ludzi przeznaczonych na legowiska, co zdaje się podmurowanie pod głowę oznaczać... Czy to były żołnierskie łoża, czy więzienia... czy... odgadnąć trudno. Podanie i tu przylepiło imię Nerona. Prości wioślarze, którzy nas obwozili po wybrzeżu, wskazali nam nie dojeżdżając do Miseny, owo miejsce skalane matkobójstwem. Imię Agrypiny przypomniało piękny jéj posąg w muzeum... posąg wielkiéj pani, która spoczywa pozornie, zdając się tym pokojem odegranym trwogę ducha pokrywać. Rozmaite imiona ponadawane spotykanym tu budowom najfantastyczniéj, służą tylko do pewnego zoryentowania się; wszystkie one razem, ta mnogość, te rozmiary, jedno pozostawiają niezależne od celów i imion: wrażenie, niezmiennéj potęgi i siły. Szczególniéj budzi je widok tak zwanéj *Piscina Mirabile,* do któréj doszliśmy ścieżkami wśród winnic. Jestto znowu podziemie wyżłobione w górze, ale olbrzymie, regularnéj, wspaniałéj budowy, sklepione, w którém wodę dla floty, jak się domyślają, i na użytek okolicy trzymano, rodzaj wielkiéj cysterny. Niewiadomo kto to i kiedy zbudował, ale nic lepszego nie daje wyobrażenia o sile i bogactwie Rzymu nad ten gmach, którego charakter sam podziwienie obudza. Łuki i słupy wznoszą się dotąd niewyszczerbione, całe, potężne, z jakimś wyrazem zdającym urągać czasowi i zniszczeniu. Rysunek prosty, ozdób żadnych, a majestat wielki... Materyał téj *piscyny,* niepożyty, nieskruszony, oparł się tysiącom lat, i te czterdzieści osiem łuków i słupów stoją jakby wczoraj dźwignięte, a cysterna dziśby doskonale służyć mogła, gdyby tu wróciło życie, ludzie, floty i wille... Teraz jestto prywatna własność człowieka, który ją starannie na klucz zamyka i za pieniądze pokazuje.

Miasteczko Baje, pełne przerabianych kolumbaryów i grobowców, z których wielu, bodaj czy nie chlewy i kurniki porobiono! Gdzieniegdzie widać w nich jeszcze wgłębienia na urny dawno znikłe... i piękne sklepienia stare... wszędzie a wszędzie Baltazara głoskami... słowo ludzkich dziejów—ruina...

Ciasnemi uliczkami gonieni przez dzieci, które za nami niosły dojrzałe winogrona muszkatelowe, wyszliśmy na drogę ku Kumom, to jest, ku polom zajmującym dziś miejsca, *ubi Troja fuit.* Niewiele tu więcéj pozostało jak na polach trojańskich. Było to, wedle powieści, najstarsze miasto włoskie, założone w mitycznéj epoce wojny trojańskiéj, przez kolonistów z Eubei i Azyi mniejszéj. Ci wygnali stąd starszych od siebie Osków. Z Kum późniéj wychodziły nowe osady (Neapol), rozszerzając się po Włoszech. Była

to stolica i ognisko wiejskiéj potęgi i znaczenia. W 416 roku, Samnici opanowali Kumy, a w 70 lat potém Rzymianie. Póżniéj Baje i Pozzuoli współzawodniczyły z matką. W IX wieku zniszczyli je Saraceni i odwieczna osada upadać zaczęła; a gdy naostatek służyła już tylko za przytułek rozbójnikom morskim, obalono miasto i zasypano podziemia tak, że zupełnie spustoszała...

Że ten grunt niezmierne skarby starożytne kryć w sobie musi, niéma wątpliwości.

W saméj nekropolis tutejszéj kopiąc, odkryto szacowne naczynia malowane; egipskie gliny, skarabee, bronzy. Groby jedne na drugich, często na trzy piętra w głębi ziemi sięgają, i pochodzą z różnych epok, obliczonych przybliżenie na tysiąc siedemset lat. Najgłębsze są kopane w ziemi i mają cechy egipskie; w drugiém piętrze pelazgickiém, są izby grobowe i naczynia archaicznych kształtów i wyrobu. W najnowszych odkryto prześliczne malowane naczynia, ozdoby złote, sprzączki, iglice, hafty i t. p. Szkielet jeden znaleziono spowity w tkankę asbestową. Przewodnik téż nasz, Francesco, i kilku próżniaków idących za nami, starali się do kopania namówić, jeden z nich podniósł nad drogą stary rzymski pieniążek, dla zachęcenia znać; lecz pokusie oparliśmy się, wiedząc, jak za nie drogo płacić trzeba, ażeby być oszukanym. Téj wstrzemięźliwości Francesco jakoś pojąć nie umiał i bardzo ku nam potém zobojętniał.

Nagrodziły nam to prześliczne—mój Boże! jak wiekuiście śniące się jeszcze w duszy do dziś dnia, widoki na Mare Morto, na jezioro Fusaro, wzgórza drzewami okryte, z po za których widać Ischią, morze... a na pierwszym planie owę górę nową. Pustynia... winnice, cisza, rzadko się spotyka człowieka... ale zato co chwila cegły, gruzy i obłamki mozaik rozsypanych i rzymskie cegiełki i skorupy z naczyń starych. Przeszedłszy po kilkakroć starożytną drogę rzymską, jeszcze bardzo widoczną, przybywa się do jedynego zabytku, jaki pozostał po mieście Kumach. Jestto wspaniały łuk zasklepiony, wysoki, pełen prostoty i powagi, brama wiodąca do grodu, którego niéma, zowiąca się, jakby na urągowisko, *Porta Felice.* Chyba dlatego, że sama jedna ocalała... Ta ruina rumiana, opalona, ozieleniona dokoła krzewami, które ją porosły, i na niéj się poczepiały, prześlicznie się wydaje, i osamotniona, czyni wrażenie wśród pustyni... Każdy téż artysta i dyletant musiał ją w swéj tece naszkicować... znajdziecie ją we wszystkich widokach *di Napoli e contorni.*

Wieczór nam sprzyjał, był cudowny, mogliśmy więc pozostać jeszcze na tych ruinach Kum, szperając po winnicach i wyszu-

kując z pagórków coraz nowych widoków, słońce było powolne życzeniom i takiemi tony, takiemi blaski ten czarodziejski obléwało krajobraz, że się nam w pamięć wraził na wieki. Patrzyliśmy na morze, na wyspy, na te brzegi rozkoszne, a tak srodze spustoszone, myśląc, czy tu kiedy życie powróci, czy jeden z tych mnóstwa kraterów zalanych zionie znów wodą, błotem, popiołem i lawą na ten raj wyrosły na piekle. Nieskończoną liczbę ruin bez nazwiska spotykaliśmy co chwila... i o mroku, idąc noga za nogą, doszliśmy napowrót do Pozzuoli, gdzie chwilę spocząwszy—najprostszą drogą—wróciliśmy do Neapolu.

XXXIV

Burza i poburze.—Droga do Castellamare.—Okolica.—Quisisana Stabiae.—Castellamare.—Osiołki.—Albergo reale.—Monte Cappola.—Widoki.—Droga do Sorrento.—Vico Equense.—Piano di Sorrento.—Podania.—Willa Nardi.—Brzegi morza.—La bella Sorrentina.—Wycieczka ku górze św. Agaty.—Tasso.—San Daniello.—Il Deserto.—Krajobraz.—Klasztor kapucynów.—Powrót do Sorrento. — Wycieczka na morze. — Wieczór na tarasie. — Muzyka. — Tęsknoty.

Szczęśliwi są prawdziwie ci, co jadąc się uczyć nowych krajów i ludzi, nie potrzebują się ani z czasem, ani z kosztem rachować, którym nie truje dni swobodnych, przypomnienie zaległéj pracy i straconego grosza... Prości śmiertelnicy, co do świata marzeń dążą, płacąc ofiarą czasu i oszczędności trudnych—niestety—śpieszyć się muszą. Byliśmy w tém położeniu—dnia stracić nie było podobna. W nocy zbudziła nas znowu burza, ale nie tak już gwałtowna jak poprzedzająca, główne jéj siły poszły gdzieś na kalabryjskie wybrzeża... Deszcz, ten tak częsty gość w Neapolu, odświeżył wczoraj parne powietrze i po mokréj jeszcze ziemi, choć już słońce chwilami się z za chmur pokazywało, a chwilami kropił deszczyk, ruszyliśmy z nowym przewodnikiem, który do nas przystał w Pozzuoli... niegdyś marynarzem (Francesco Frajer) ku Castellamare... Ranek jakby naumyślnie na wycieczkę był stworzony, nie zbyt skwarny, na pół chmurny, pół słoneczny, oświecał okolicę fantastycznie podzielonemi światłami i cieniem. Droga, którą jechaliśmy, była nam już dobrze znaną; przebywaliśmy ją kilkakroć jadąc na Wezuwiusz, do Herkulanum i Pompei. Tu dopiéro, gdzie się ona rozdziela, wiodąc ku wykopaliskom pompejańskim, a drugiém ramieniem po nad brzegiem morza ku Sorrento, zaczęła dla nas być nową. Wogólności gościńce wszystkie niemal w ówczesném królestwie obu Sycylij, znajdowaliśmy bardzo dobrze utrzymane, szerokie i wspaniałe. Pracowało nad niemi mnóstwo więźniów okutych, w czerwonych odzieżach, skazanych na życie do robót.

Doliną u stóp gór jedzie się do Castellamare, mijając różne porozrzucane budowelki po ogrodach i winnicach, przybierające coraz bardziéj charakter wschodni, bez dachów, o płaskich lub zaokrąglonych sklepieniach, pola pozasadzane rycynem, warzywem, drzewami owocowemi. Po nad Castellamare i daléj u wybrzeża wznoszą się skaliste, pięknych kształtów góry, całe prawie bujną zielonością lasów dębowych i kasztanowych okryte. Jestto tak zwana *Quisisana*, część góry *Sant Angelo a tre pizzi*... cała obrosła, cała willami pokryta... jedno z najrozkoszniejszych miejsc tego rozkosznego wybrzeża. Tu leżały owe starożytne Stabiae, które spotkał los Pompei, tu wysiadł i zginął w czasie wybuchu, Pliniusz. Część zasypanych Stabij probowano odkopywać (1754—82), znaleziono tu nieco sprzętów, ale ruiny napowrót zasypano. Na *Sant Angelo*, nie bardzo wysokiem, ciągle chmury jeszcze siwe błądziły, zapadając chwilami w głębsze fałdy, snując się naprzemian, kryjąc i osłaniając wille i lasy. Że brzeg ten ciągnie się w kierunku od wschodu na zachód, a osłoniony jest wyżynami temi, winien położeniu klimat łagodny, dla którego cisną się tu i obcy i mieszkańcy okolicy. Zato téż w Castellamare tylko bogaci mieszkać mogą, bo ta uprzywilejowana willegiatura drogo się opłaca. Miasteczko, pobudowane nad samym prawie brzegiem morza, ma port i ruch nadmorski; kręci się tu mnóstwo majtków, rybaków, statków rybaczych i łodzi z połowu korali. Zabudowano téż dosyć porządnie i w widokach pokusy dla tego forestjera, który tu pieniądze w zamian za powietrze i niebo przynosi. Z wykopalisk przedstoletnich ani śladu, odkryto wszakże świątynie gieniusza Stabij (patrona osady), dwa piękne okrągłe ołtarze, dom zwany gieniusza, dom kupcowéj Amorków (od obrazu tak zwany), filozofa, maski mozajkowéj, Bacetusa i Aryadny, Satyra... Wszystko to znowu zasypane popiołami.

Castellamare dzisiejsze pobudowane nieco w prawo od miejsca, na któróm stały Stabiae, słynie słusznie nadzwyczajnie pięknóm położeniem, widokiem rozległym na Neapol i zatokę, a liczy do osiemnastu tysięcy mieszkańców. Na dole przed Albergo Gran Bretagna, gdzieśmy się zatrzymali, stało już mnóstwo okulbaczonych osiołków do wycieczek w góry, stworzeń nieszczęliwych, których tu wszyscy używają, zapewne z powodu, że są bezpieczniejsze od koni. Kobiety, starcy, dzieci, posługują się osłem. Otoczyli nas tu właściciele tych rumaków, zachwalając swą chudobę, istotnie godną, aby jéj oddano sprawiedliwość. Poczciwe, łagodne, cierpliwe, rozumne nawet, nóg pewnych, wielkiéj siły i wytrwałości, niekiedy nawet miłe, dziwnych sztuk dokazują po górach z ciężarami, jakie dźwigają, a najniesłuszniéj wymierzane razy nie-

litościwe znoszą z niewypowiedzianym stoicyzmem, w ostateczności tylko ryczéć zaczynając boleśnie, jakby się na wyrządzoną sobie krzywdę skarżyły. Pospolicie zaniedbane, źle utrzymywane, gdy właściciel ma o nich nieco starania, wyglądają nawet wcale ładnie.

Chcieliśmy spocząć w Albergo, nie było w nim osobnego pokoju, udaliśmy się więc do drugiego, Albergo Reale, na najętych już osiołkach... przez śliczną ulicę z zielonych dębów, cienistą, malowniczą... szeroką, wiodącą ku górze. Coraz a coraz piękniéj wśród tych drzew odwiecznych, wśród mas zieloności ciemnéj, z po za któréj wyglądają tu i owdzie wille malowniczo rozrzucone, a gdzieniegdzie zwróciwszy się, z gałęzi postrzegasz lazurowego morza kątek. Tu się dopiéro przekonać można, jak krajobrazowi najcudniejszemu źle jest bez drzew, bez liści, bez starych pni, bez zielonych splotów, bez roślinności, która wszędzie tło najśliczniejsze stanowi... Budowy, morze, skały, wody, wszystko to dopiéro z drzewami i zielonością jest całe i pełne... bez drzew wszędzie pustynia. Castellamare, bez kasztanów i dębów, nie byłoby tak uroczém... Lecz, czytelniku miły, jak mawiał Rej stary, gdy mówię o dębie i kasztanach, nie sądź, ażeby to były te nasze, któreśmy przy dworach i lasach widziéć nawykli. Kasztan jest ten, którego owoc nam najczęściéj spleśniały przywożą jesienią, a dąb jest-li pokrewnym naszemu, lecz wygląda wcale inaczéj. Szlachetny kasztan barwę liści i kształt nawet ich ma odmienny, a dąb o drobniejszych, ciemniejszych, gęsto się grupujących listkach, w krajobrazie wygląda téż majestatycznie. Wszystko to w cieniu góry buja, rozrasta się, sklepi, przykrywa tak pięknie, że przypomina las Dantejski w ziemskim Raju. Albergo Reale, w któremeśmy się zatrzymali dla spoczynku i śniadania, bardzo pięknie urządzone i położone, całe jest téż w cieniu, w drzewach, w wijących się bluszczach, kwitnących laurach i pomarańczach, i wygląda jak willa pańska. Za to wszystko płaci się drogo, bo nawykli tylko wielkich panów przyjmować. Ministrowie na urlopie, książęta bez zajęcia, mieszczą się tu, trawiąc dnie w ciszy, z widokiem na morze lazurowe.

W hotelowéj księdze znaleźliśmy imię jakiegoś Montmorency i ministra pruskiego... chociaż... chociaż hotelowym księgom nie bardzo wierzyć można. Piszą w nich czasem awanturnicy, co im na myśl przyjdzie, mistyfikując służbę, potomność, a czasem wypotrzebowując imię na oszukaństwa...

W Albergo Reale panowała cisza klasztornego ogrodu, po cienistych uliczkach snuły się z długiemi lokami, długotwarze Angielki pieszo i na osiołkach, chodzili jacyś panowie podstarzali, a ma-

jący odmłodnieć po kąpieli tego powietrza... czuć było miejsce wytchnienia i spoczynku, nawet gadatliwa gawiedź włoska zniżała głos, szanując miejsca powagę.

Mocno odarci za posiłek więcéj niż skromny, puściliśmy się stąd parkiem królewskim (Bosco), ciągle jadąc pięknym lasem drzew gęstych, drogą na *Monte Cappola.* Przejechawszy część góry Quisisana, po nad miastem, okrytéj willami, wśród ogrodów i lasu rozrzuconemi, szeroką i przepyszną drogą, wśród parku podnosiliśmy się ku górze. W prawo i w lewo schylały się gałęźmi kasztany, przez których liście czasem przejrzéć można ku morzu i bardzo rozległemu widokowi na zatokę, na wyspy, na Neapol, w półksiężyc domy białemi rozsypany nad brzegiem. Taką piękną ciągle drogą dojeżdża się na wierzchołek Cappoli, skąd panorama ogromna i piękniejsza nad inne. U stóp rozściela się morze ogromne, lazurowe, gdzieniegdzie lśniące od blasku, jakby wyzłocone, to znów przycienione, z wyspami poosadzanemi na téj tafli, jak kamienie drogie... Wszędzie miasteczka świecą biało, poskupiane, porozsuwane, w fantastyczne kształty... W prawo Wezuwiusz ze swoim dymem i mgłami. Nie chce się opuścić tego miejsca, w którém nawykłe już do stacyi osiołki same się zatrzymują, zwiesiwszy głowy i korzystając z zachwycenia podróżnych, próbują posilić się gałęźmi lub krzewami. Widok z Monte Cappola wart jest, żeby dlań godzinę poświęcić; sama zresztą droga wielce piękna. Zjeżdża się stąd wdół taką samą prawie, mając na prawo morze przeglądające z za ściany drzew, gdzieniegdzie obmurowany gościniec lub chatę strażnika. Na pół wzgórza na urwisku i cyplu wchodzącym w morze, stoją ruiny średniowiecznego zameczku, podobno założonego przez Karola Andegaweńskiege, brata św. Ludwika; dziś w ruinach sterczącego po nad zaroślą i gruzy z okrągłemi wieżycami, zębatemi mury, porozwalanemi ścianami. Krajobraz to znowu, który musi skusić każdego rysownika, chociaż wygląda nadto dekoracyjnie, rzekłbyś, że go kunsztmistrz do opery jakiéjś stworzył... Temat zużyty, ale ruiny bardzo piękne... i osute zielenią jak w gnieździe. Od zameczku drugą spuściliśmy się drogą do Marina, przedmieścia Castellamare, gdzie na nas czekały konie, mające zawieść do Sorrento. W owe czasy Włochy jeszcze były rozdzielone, a w Neapolu panował il Re Bomba, ale gościniec do Sorrento przebywać było można bez obawy aresztowania i uprowadzenia w góry przez brygantów, co się późniéj często zdarzało, nawet jadącym dyliżansami. Dumas przypadkiem tylko losu tego uniknął.

Gościniec przepyszny, świeżo w skałach wykuty, wiodący brzegami morza od Castellmare do Sorrento, gdyby go malarz tworzył,

nie mógłby być piękniejszym, rozmaitszym. Po onéj słynnéj drodze z Genui do Spezii, niéma we Włoszech nic śliczniejszego... Tu nawet, któż wié, obraz może wspanialszy, weselszy razem. Zatoka, Neapol, Wezuwiusz, przedstawiają się z coraz nowemi pierwszemi planami, drzew i skał i urwisk godnych studyów pejzażysty. Kuty w skale gościniec, który niezmierną pracę kosztował (robili go więźniowie w kurtach czerwonych), ciągle pilnuje brzegu morza, nigdy się bardzo nie oddalając od niego. Często przesuwa się nad samą przepaścią, prostopadłą ścianą spadającą w morze. Po nad nim z drugiéj strony majestatyczne, ogromne z sinych głazów góry dźwigają się gdzieś po nad głową wysoko, dziwnie postrzępione, połamane, porysowane i pomalowane tony surowemi. Ukośne ich pokłady przypominają formacyą wulkaniczną, wysiłek, który skorupę wygniótł i pochylił. Jadąc niemi, jadący nasyca się, radby to wszystko zatrzymać w pamięci, zamknąć w albumie... ale któż pochwyci barwy i światła, i powietrzne malowania pory dnia, pory roku... Jeśli z lewéj strony ustąpią ściany, widzisz parowy głębokie, zarosłe, pełno poplątanych gałęzi i porozrzucanych skał z kamieni... Jedne zdają się świeżo urwane, te jeszcze poczernieć nie miały czasu, drugie okrył mech, obrosła pleśń lub wypiekło gorące słońce, które tu dziwnéj siły tonów umié dobywać z kamienia. W dżdżystym a chłodnym klimacie, kamień, marmur, nawet najpiękniéj zabarwiony gdy wychodzi z ziemi, staje się wprędce szarym, brucze, starzeje, smutnieje, we Włoszech nabiera pomarańczowych kolorów, czasem aż jaskrawy, lub wypala się do białości.

Wśród tych czarownych widoków dojeżdża się do *Vico Equense*, osady malowniczo bardzo rzuconéj u samego brzegu na skały w morze wsunięte; ze starym kościołkiem, w którym jest grób Filangierego, ale tu trudno o Filangierym pamiętać, patrzy się na tak piękne skały, poodrywane, porozpraszane w zielonawych falach morza. Jedna z nich, przebita na wylot wiekowym wody wysiłkiem, ma kształt jakby naturalnego łuku... czy bramy. Znać tu wszędzie pełno mineralnych źródeł, bo nad strumieniami z gór płynącemi, czuć mocno zapach siarki. Budowle coraz daléj fantastyczniejsze, nie mają już żadnych pretensyj do klasycznéj i prawidłowéj architektury, stoją z dachy płaskiemi, ze słupkami na dachach, z niszami, z portykami, z gankami sklepionemi, obrosłe winną latoroślą i bluszczami. W ogrodach pełno pomarańcz żółtych, drzew obwieszonych cytrynami, pokręconych figowych gałęzi, orzechów i starych pni oliwnych, które przypominają bardzo wierzby nasze, ale pnie ich poszczepione, porozłupywane, zdziwaczałe, jeszcze osobliwsze przybierają formy... i nocą osobliwie jak straszne widma wyglądają.

Minąwszy cypel *Punto di Sentolo*, a po nim jeszcze jeden podobny za tak zwaną *Metà*, ukazują się już okolice—*Piano di Sorrento*, dolina u stóp gór, cała w sadach i białych willach rozsypanych nad morzem, w najpiękniejszém położeniu, sławném ze zdrowego powietrza swego, owoców i oliwy. Jest téż to jeden ogród rozkoszny.

Gdzieniegdzie po spadzistościach gór, lecące potoki powyłamywały głębokie parowy, obnażyły skał trochę, ale starsze łomy okrywają mchy i trawy, a mury pnące się bluszczem i rozbukana bujna roślinność... strojąca się we wszystkie odcienie zieloności. Wegietacya nadzwyczaj silna i natrętna, czepia się i wiesza wszędzie, po dachach, kamieniach, murach, szparach, pełno liścia, pełno kwiatów. Gościniec szeroki mija ciągle wille, domy, domki, które głoszą, że są do najęcia. Niéma prawie jednego, na którymby nie stało: *Si loca*, lub *da affitarsi*, lub tabliczki z francuskim napisem. W téj porze jakoś niedość znać napłynęło cudzoziemców, wiele było willi próżno stojących, lub zajętych tylko przez wyczekujących posiadaczy. Ciasnemi i coraz węższemi uliczkami, wśród włoskich straganów, warsztatów rzemieślniczych *sub Jove* i kup śmiecia nieuniknionych, wjeżdża się nareszcie w Sorrento, zbudowane na skałach, które wysoko stoją nad morzem i prostopadle w nie spadają, uciętemi gładko ścianami. Jestto, jak wiadomo, gród Syren, Sorrentum rzymskie, Greckie Syrenton, dziś mieścina około ośmiu tysięcy mieszkańców licząca. Jak Kapua, jak inne osady nad zatoką, Sorrento sięga najgłębszéj starożytności. Za Augusta stawszy się kolonią rzymską, ozdobione zostało pięknemi budowy, po których tylko pamięć została. W czasie wybuchu 79, ucierpiało téż wiele. Według miejscowéj powieści *le belle Sorrentine* mogłyby kąpiąc się w morzu, grać rolę Syren, tak piękne być miały. Wistocie typ tu inny i twarze niewieście spotykają się już uszlachetnione. Dzisiejsze miasteczko, cudzoziemcami ożywione, żyje głównie z przybyszów.

Na wszystkich téż domach niezliczone napisy—*Maison meublée, Locanda—Albergo*... Restauracya, Hotel... łokciowemi głoskami, na wszelkie worki—lecz wogóle drogie. Budowy wyglądają malowniczo, gankami, wystawkami, balkonami, pergolami, wdzięczą się podróżnemu, jak mogą... W środku miasteczka rozdół rozstępuje się nagle... z poobnażanemi skały, w których widać groty podziemne i resztki jakieś starych rzymskich murów... ponad tém mosty porzucane górą, a gdzie się tylko drzewina lub krzew mógł przyczepić, uchwycił i zalotnie wieńce spuszcza, jakby ręce wyciągał ku matce ziemi.

I tu gdziekolwiek człowiek kopał i woda ryła, dobył się odwieczny Sorrent gruzami, cegłami, substrakcyami gmachów. Domy-

ślają się, że w 79 r. morze musiało się znacznie podnieść i zająć część miasta, gdyż pod wodą nawet spadek, od brzegów widać mury jakichś zatopionych budowli.

Przebywszy bramę i most, bardzo wązkiém przejściem dostaliśmy się do położonéj na stroméj skale, nad samym brzegiem morza *Villa Nardi*, któréj gospodarz nosi oryginalną nazwę Signora tramontano. Lepszego typu oberżysty Włocha znaléśćby trudno... Otyły człowieczek, czarno zarosły, pulchny, dobrze wykarmiony, z oczyma bystremi, które patrzą ci odrazu w kieszeń i w duszę, aby z obojga jak najumiejętniéj skorzystać... zresztą usłużny i troskliwy o dobro swych gości. Villa Nardi wychodzi oknami na niezmierzoną przestrzeń morza, widoczną stąd na całą zatokę, po któréj krążą jak plamki statki rybackie i łodzie łowców korali. Sam brzeg nad przepaścią zużytkowany bardzo umiejętnie, ubrany ogródkiem z pomarańcz, cytryn, laurów, mimozy, fig i innych drzew tego klimatu, ostawiony popiersiami na słupach, z balkonem nad morzem zwieszonym, jak gniazdo jaskółcze—zachwyca.—Zachwycenie to nie jest bezpłatném. Tramontano nie darmo nad tém pracował. Pod namiotem na balkonie, wystawione są stoły do jedzenia dla gości. W chwili, gdyśmy tu przybywali, gitarzysta, skrzypek i śpiewak, fałszywém trio z wielką werwą wykonywaném, uprzyjemniali właśnie obiad nielicznym gościom, których Tramontano karmił *struttem*, zdradzającém się swą wonią zgaszonéj świecy łojowéj. Uwijali się słudzy zajęci tymi gośćmi i obiadem. Nie rychło mogliśmy się osobnego pokoiku doprosić, który nam wreszcie jakaś *bella Sorrentina* raczyła otworzyć i urządzić. Mogliśmy się z jéj twarzy i majestatycznéj postaci przekonać, że o piękności kobiet sorrentyńskich nie darmo mówią i piszą, ale była tak znać przejęta majestatem swych wdzięków, tak pogardliwa i milcząca, że nawet wody nie mogliśmy się doprosić, po pyle jaki nas okrywał, będącéj pierwszą potrzebą. Typ mieszkańców wogóle już się tu zupełnie zmienia, szlachetnieje... starcy obojéj płci nawet piękniéj wyglądają. W Neapolu mają oni podobieństwo do zgniłych grzybów. Klemrod utrzymywał zawsze, iż z najpiękniejszą Włoszką nie mógłby się ożenić, pomnąc na straszliwe łyse staruszki, w które się one przemieniają po latach trzydziestu.

Doczekawszy się wody, która nas obdarzył sługa płci męskiéj, a potém lekkiego posiłku, nie tracąc czasu, gdy do wieczora dość go nam jeszcze zostawało, uprosiliśmy pana Tramontano o osły i na nich puściliśmy się w góry, aby kraj lepiéj obejrzéć jeszcze. Słyszeliśmy, że z góry św. Agaty panorama niezmiernie rozległa dozwala oku ściągnąć aż do zatoki Salerno, brzegów Kalabryi i Paestum, a do niéj nie mieliśmy więcéj mili. Droga wiodąca

w góry prowadziła naprzód przez ciasne kamieniste uliczki, około dawnéj rzymskiéj *porta Marina*, któréj około mostu widać w głębi parowu grube jeszcze murów ostatki, przepysznie zielonością ubrane. Osły nasze same się zatrzymały przy willi księcia Strongoli, pod portykiem jego w herby przybranym u ogródka, w którym są rozwaliny domku... pamiętnego tém, że się tu Tasso urodził. Szczątek to muru tylko nie większy od tego może, który po Kochanowskim został w Czarnolesiu. Inny dom jego siostry (Sersali), w którym po siedmiu latach więzienia w Ferrarze, znalazł przytułek w r. 1577. Lecz oprócz wielkiego imienia—*magni nominis umbra*—powtarzanego bezmyślnie, a wypotrzebowanego dla dochodu, o Tassie lud nic nie wié. Minąwszy miasteczko, pociągnęliśmy w góry, piękną wprawdzie, bardzo piękną, ale najokropniejszą drogą, jaką sobie wystawić można... podobną do łożyska rozhukanego potoku, otoczoną murkami, obrosłą dzikiemi ożynami i cierniem, po skałach, poruszających się wschodkach nad przepaściami. Osioł mój, mimo poszanowania, jakie miałem dla niego, i wiary w nieomylne nogi, uczynił zawód wielki, poślizgnął się i padł, co zmusiło jeźdźca do stoczenia się przez głowę, w sposób niewygodny, ale żadnych złych za sobą nieciągnący skutków, oprócz lekkiego podrapania i stłuczenia. Ponieważ miejsce, w którém nas spotkał ten wypadek, było z jednéj strony stromém zakończone rumowiskiem, mogłoby się to było nierównie odbyć boleśniéj. Klemrod i Julmo znaleźli się tak, jak się najczęściéj znajdują ludzie dobréj woli, a niepewni tego, co czynić mają: krzyknęli oba, nie ruszając się wcale, aż gdy się już bez pomocy obejść było można... Śmiechem skończyło się wszystko i znowu jechaliśmy daléj ku *Deserto*, pnąc się coraz wyżéj a wyżéj. Droga staje się tu pustszą, dzikszą, chociaż wije się wciąż między domki wieśniacze, ogródki i gospodarstwa różnego rodzaju, wcale do naszych niepodobne. Minąwszy kościołek ładny i wioskę w górach... wistocie pustynniejszą coraz ścieżką, drapiąc się po skałach, osuwając po drżących i staczających kamieniach... dobijaliśmy się góry wierzchołka, dla obiecanego widoku. W wioseczce, jeśli się nie mylę, zowiącéj się *San Daniello*, zatrzymaliśmy się dla obejrzenia kościołka świeżo zrestaurowanego, który się nam bardzo starożytnym nie wydał. Nowy ołtarz cały z marmurów kosztownych, wysadzany w mozajkę, składa się, jak mówią, ze szczątków znalezionych tu rzymskich budowli. Poza osadą niéma drogi, tylko stroma góra najeżona skałami, między któremi na łysym szczycie ukazuje się wreszcie pusty klasztor, podobno niegdyś kapucyński, dobrze nazwany *il Deserto*. Ale z téj pustyni widać światy, jakby z niéj szatan chciał kusić mnichów... niezmiernéj rozległości panorama u stóp się rozciąga,

zatoka Salerny, świątynie w Paestum, Punto di Lycosa, a bliżéj cały kraj otaczający i cypel, który wkracza w morze, Campanella zwany, od dzwonu, który się stąd rozlegał oznajmując o korsarskich statkach Saracenów. Gaje mirtów i drzew oliwnych okrywają go. Tu stać miała Minerwie poświęcona świątynia przez Ulissa. W dole jeszcze w prawo poza nim widać wieś u brzegów naprzeciw Capri, zwaną Massa Lubrense, od imienia wyzwoleńca Neronowego. Tu, gdzie dziś stoi kościół św. Franciszka, miała być Junony świątynia.

Klasztor ów kapucynów pusty i zamknięty jak kościół; na płaskich dachach schną zbiory wieśniaka, który tu kawał roli uprawia. W środku klasztoru, zabudowanego w kwadrat, jest ogródek i drzewa owocowe, które właścicieli przeżyły—korytarze puste, cele pootwierane, wiatr po nich chodzi swobodnie, jakaś serce uciskająca ruina, rzekłbyś, że mór przeszedł po niéj. Z wierzchołka płaskich dachów i widok się jeszcze rozszerza. Przy gmachu obalającym się, okrytym już cierniami i chwastem, spadkobiercą jeden wieśniak ubogi. Napatrzywszy się gołém okiem wkoło morza i lądów, puściliśmy się nazad w dolinę i po drogach nie lepszych nad te, które nas tu zawiodły, dostaliśmy się znużeni do miasteczka. Po drodze pokazywali nam przewodnicy rozmaite szczątki rzymskich budowli, których tu na każdym kroku pełno, ale i nazwiska im dawane, i sam widok nic nie uczy. Wogóle są to już nie do rozpoznania, w proch rozpadłe kupy kamieni i cegły, podmurowania tylko, obalona część izb dolnych i piwnic, z któréj ani o sposobie budowania, ani rozległości gmachu pojęcia mieć nie można, bo znaczna część jego kryje się w ziemi lub obrosła krzewami, znika... Są to relikwie, pamiątki, nic więcéj. Przewodnicy téż nie żałują szumnych nazwisk, i łatwo doczepionych do nich niedorzecznych powieści, a archeologowie niemal o każdą cegłę uczenie się spierają, komu ją przyznać i jak ją nazywać...

Pora jeszcze dozwalała, wróciwszy do Sorrento, zrobić małą wycieczkę po morzu, u ślicznych brzegów jego. Łódkę nam dano z hotelu i zszedłszy wykutemi w skale wschodkami wiodącemi do morza (dwieście stopni czy więcéj), popłynęliśmy zwiedzić groty nadbrzeżne... i resztki murów zatopionych, przeglądające z pod wód przezroczystych. Całe Sorrento przedstawia się z tych miejsc zbudowane na wysokich prostopadło uciętych skałach. Odznaczają się pięknością i rozległością budowy nad urwiskami, wznoszące się wille ks. Syrakuzy i drugiego brata króla,—imienia nie pomnę. Wszędzie wschodkami są znijścia do małych zatok i łodzi w nich oczekujących. Brzeg ten dziwnie malowniczy i piękny, woda powybijała w nim groty, pieczary, poszarpała i podziurawiła skały.

Gdzieniegdzie muru szczątki, daléj wschody, drzwi, tarasy, galerye, wgłębienia... Płynąc ku Castellamare, są dwie groty takie, mała i większa, zwane grotą lazurową i zieloną, w których światło przechodzące przez wodę, okrywa skały barwą powietrzną opalową. Szum wody wpadającéj między najeżone skały, pozwieszane nad głowami, i głazy olbrzymie, formy ich dziwaczne, układ coraz odmienny, stanowią krajobraz nadmorski zupełnie oryginalny, który przypomina stare włoskie sztychy, bo im téż za wzór służył. Te naturalne wrota, pieczary i rozrzucone głazy w morzu, nie jeden artysta malował i rysował... stały się prawie komunałami.

Zwiedziwszy część brzegów, mieliśmy już prawo, po dniu pracowitym, usiąść na balkonie nad morzem i nieco odpocząć. Wieczór był bardzo piękny, cisza zalegała dokoła, niekiedy tylko słychać było plusk fali rozbijającéj się o skały... ponad zatoką zabłysnęły sznurami ognie w Neapolu i na przedmieściach. Wezuwiusza wierzchołek zapłonął... powietrze było miłe i wonne, a w dodatku jakaś biedna, podobno suchotnica Angielka grała pieśni bez słów Mendelsohna i kilka urywków Schumanna. Pierwszy podobno raz we Włoszech spotkaliśmy się z rodzimą niemiecką muzyką... Trudno się wytłómaczyć z wrażenia—była ona dziwnie piękną, tęskną, ujmującą, sympatyczną dla nas—a jednak tu, wśród laurów, pomarańcz i cytryn, brzmiała obco, jak zabłąkane ptaszę z pod innego nieba. Czuć było, że się nie tu zrodziła, że urodzić się tu nie mogła, że niosła z sobą tęsknoty i bóle, z głębszych płynące źródeł, niż potoki włoskich melodyj Belliniego, Verdiego, i ich współzawodników. Tak milcząc wśród ciszy, nocy, okoleni laurami, patrząc z góry na morze i brzegi ożenione z nocą, zamyśleni i rozbiegłszy się myślami każdy w swoję stronę, przesiedzieliśmy, mimo zmęczenia, jak było można, jak się godziło, najdłużéj. Był to jeden z niezapomnianych nigdy życia wieczorów — i z tych, co nigdy nie wrócą.

Nawet Klemrod wzdychał tęsknie.

XXXV.

Do Capri.—Łódka nasza.—Żegluga ku wyspie. — Ludzie i rośliny.—Capri. — Skały i zamki.—Anacapri.—Grota lazurowa, odwiedziny w niéj.—Widok wnętrza.—Wybrzeże.—Ludność.—Droga do miasteczka.—Rynek i Kościół.—Maria del Soccorso.— Gospoda.—Podania.—Gmachy Tyberyuszowskie.—Capri w rękach Anglików.— Zdobycie.—Marina Grande.—Powrót do Neapolu nocą.

Z Neapolu wpatrując się w wyspy na tém lazurowém morzu rozsiane, oko mimowolnie pociągnione, najdłużéj na Carpi spoczywa, najczęściéj ku temu skalistemu Sfinksowi powraca. Dziwniebo piękne ze swemi urwistemi brzegi, całe najeżone, pomarszczone, spękane, maluje się to Tyberyuszowych rozpust siedlisko na tle powietrzném, w barwach mglistych, jakby jakieś senne widziadło. W rozmaitych porach dnia, ocienione, ozłocone, czerwieniejące, sine, znika czasem w oparach, to się odsłania częściami i zamyka obraz zatoki, jakby umyślnie stworzone, aby mu do malarskiego wdzięku nic nie brakło.

Nikt nie przeciągnął pobytu w Neapolu, żeby nie zapragnął dostać się na Capri i zwiedzić grotę lazurową, a nacieszyć się widokami tych skał piętrzących, z których wyżyn nowy a inaczéj piękny odkrywa się krajobraz morski. Z Neapolu chodzą tam statki parowe, można w pogodny czas dostać się łodzią bez niebezpieczeństwa, lecz z Sorrento bliżéj już do Capri, i my postanowiliśmy stąd doń dopłynąć. Zacny nasz Klemrod radby był od morskiéj uwolnił się przejażdżki, gdyż wodzie nie dowierzał i lubił ją tylko widziéć od brzegów, nie chciał nas jednak porzucić i poświęcił się dla naszego towarzystwa. Gwoli zupełnemu bezpieczeństwu, nawet gdyby nas burza napaść miała, co zdało się możliwém, bo ranek był chmurny, nająłem łódź dużą o sześciu wioślarzach, o trzech żaglach, za pięć piastrów tam i na powrót, szósty trzeba było dać na *buona mano*. Klemrod utrzymywał, że ta wycieczka źle się skończyć może, gdyż niebo było całe ochmurzone, powietrze parne, i nietylko Wezuwiusz okryty był wyzie-

wami, ale góry około Sorrento i Castellamare dymiły, a ponad wyspami stały widma, które żeglarze nazywają karykaturami gór. Całe niebo niemal osłaniały gęste obłoki, w których głucho podgrzmiewało, a deszcz gdzieniegdzie sinemi pasy przerzynał płowe obsłony. Wśród tak złych wróżb łódź nasza wysunęła się powoli, obłoki poczęły się zbijać w kłęby wielkie, gdzieniegdzie pokazało się niebo czyściejsze, sirocco wiał od morza, ale Francesco, stary marynarz, zaręczał, że się wypogodzi i do groty lazurowéj, do któréj przystęp, gdy fale wezbrane, niebezpieczny, dostać się będzie można. A na cóżby się zdała wycieczka na Capri bez onéj sławnéj groty lazurowéj?

Wistocie grota przy wietrze sirocco, od którego jest osłonioną, zawsze bywa przystępna. Poczęliśmy żeglugę kołując ponad brzegami; naprzód ukazały się mury rzymskie na niewielkim cyplu ziemi, skałami dokoła obłożonym, zwane świątynią Herkulesa. Na mocném podmurowaniu widać otwory izb sklepionych, przypominające raczéj termy lub kąpiele. Wyżéj widać ruiny innéj opuszczonéj budowy. Na każdym prawie z tych zębów ziemi stoi jakaś resztka murów.

Capri dotąd widziane z dali poczęło się nam zarysowywać coraz wyraźniéj i ostrzéj z siwemi, stromemi skałami swemi i gdzieniegdzie zrzadka porozsypywanemi domkami białemi. Po niejakim czasie ukazał się *punto della Campanella* i *masco di Sorrento* naprzeciw Capri. Morze dosyć było rozhukane, zwłaszcza gdyśmy przebywali kanał między Capri a Pampanellą, którędy żywszym prądem płyną wody. Szczęściem Francesco odgadł, niebo się coraz bardziéj wyjaśniało, a barwa wód poczęła nabierać tego ciemnego szafiru, tak silnego, krzyczącego prawie, że kto jéj w dzień pogodny na pełném morzu nie widział, nie może sobie wyobrazić, jak jest surową i ostrą. Dziwimy się na obrazach Włoch i Wschodu téj potędze kolorytu, wydającéj się nam przesadzoną, wistocie jest ona jeszcze przymgloną, bo w naturze nadzwyczaj bywa jaskrawą. Niebo w dnie pogodne ku północy jest szafirowo czarne, morze bywa granatowe, na niebie złota i rubinów pasy, a barwy oddaleń mgliste a czyste i zdecydowane, są świeżości niewynaśladowanéj.

Minąwszy Campanellę, już oczu nie oderwaliśmy od Capri, przedłużyło się i wyciągnęło teraz, tylko Monte Sereno panujące nad nią, podniosło się wysoko i śpiczasto. Mogliśmy już stąd widzieć, że wyspa cała się składa z prostopadłych głazów, stromych, potrzaskanych, porytych barwy szaro-czerwonawéj. Tylko od strony Ischii schodzą nieco łagodniéj ku morzu ogrody oliwne,

które gdzieindziéj czepiają się także, po rzadkich fałdach, w których drzewo ustać może.

Cała ludność téj wysepki, niewielka, nie dochodzi pięciu tysięcy dusz; zgadzają się wszyscy na pochwałę ich poczciwego, łagodnego charakteru. Niéma tu prawie przykładu rozboju. Wszyscy zajmują się rybołóstwem lub uprawą ogrodów. Wywożą stąd wyborne figi, jak z okolic Sorrento, oliwę, owoce, trochę wina. Skaliste strome brzegi czynią wyspę niedostępną, oprócz dwóch miejsc, od strony Neapolu w *Marina grande*, z przeciwnéj w *Piccola Marina*. Capri, którego imię dziś związane jest z ohydném wspomnieniem Tyberyusza, ma swą historyę starożytną, sięgającą Osków i Tyrrenejczyków. Oddawano tu cześć Mitrze, a do mieszkańców wychodźców ze Wschodu, domieszała się pewnie krew kolonistów greckich. Sądzićby o tém można przynajmniéj z trafiających się często prześlicznych typów twarzy niewieścich, greckie przypominających posągi. Lud łagodny i miły. Zamianą za Ischię, August nabył dla siebie Capri od Neapolitańczyków i pobudował parę willi, w których lubił przebywać. Najświetniejszą, ale najstraszliwszą epoką był pobyt Tyberyusza, który niesłychane tu koszta łożył na przeistoczenie całéj niemal wyspy w jeden jakiś teatr rozpusty i wyszukanego zbytku. Wzniesiono dlań aż dwanaście willi, z których najwspanialsza, willa Jupitera, wznosiła się na stroméj skale od strony Campanelli, na Capo, gdzie dziś kościołek Maria del Soccorso. Dnia ósmego sierpnia bywa tu odpust wielki. Przy kościołku mieszka tu eremita, więcéj pono dla podróżnych, niż dla nabożeństwa.

Inne miejscowości, które nam zdala ukazywano, były: zamek na górze w Castiglione, a na Monte Sereno ruiny zamczyska Barbarossy. Tuż na szczycie miasteczko Anacapri.

Dosyć długo płynęliśmy, mając czas przypatrywać się skałom, których szczegóły, roślinność, barwy coraz nam wyraźniéj występowały. Minąwszy Capo, na którém stała owa willa Jowisza Tyberyuszowego, poczęliśmy się posuwać wzdłuż wyspy, wprost ku grocie lazurowéj, do któréj nas już inna łódź ranniejsza z Sorrento uprzedziła. Minęliśmy Marina grande, osadę na samym morza brzegu i pod skały coraz a coraz bliżéj przysuwając się, musieliśmy nadaremnie szukać oczyma tajemniczéj groty, w ścianie tak umieszczonéj, iż się jéj trudno domyślić. Wystawialiśmy ją sobie inaczéj, wspanialéj, a wistocie jest ona szczeliną tylko, którą gdy morze kipi, zalewa zupełnie i otwór wówczas staje się niedostępnym.

Jednym z najosobliwszych fenomenów jest ta pamięci ludzkiéj wątłość jakaś, te tradycyi przerwy niezrozumiałe, które czasem

przez kilka wieków zapomnieniem okrywają miejsca, pamiątki, powszechnie znane i pociągające. Tak przez długi czas zupełnie zaniedbanemi były katakumby rzymskie, Pompeja i Herkulanum, a nareszcie i owa dziś sławna grota lazurowa. Znając historyę Capri, przypatrując się wnętrzu, w którém są ślady widoczne, iż była używaną do kąpieli, a głazem ciężkim zawalony jeszcze widać otwór, który do jakichś podziemiów prowadził, niéma najmniejszéj wątpliwości, iż za Tyberyuszowskich czasów służyła staremu Cezarowi za schronienie lub do tych tajemniczych orgij, o których piszą Tacyt i Swetoniusz. Tymczasem przez długie wieki zapomniano zupełnie o niéj. Pomimo, że w r. 1605 opisujący okolice Neapolu Capaccio wspomina o osobliwszéj pieczarze, zdaje się późniéj nikt o niéj nie wiedział, tak, że dopiéro za naszych czasów nanowo ją odkryto. Rzecz nie rozstrzygniona, kto pierwszy trafił kąpiąc się przypadkiem na to cudo natury. Anglicy przypisują to dwom ziomkom swoim; Forster i Niemcy przyznają wynalezienie Kopischowi, malarzowi z Berlina, który tu był w r. 1822, Włosi przywodzą imię i nazwisko swojego Angelo Ferra, prostego tutejszego rybaka. Że grota kaprejczykom musiała być znaną, to pewna, ale lazurowe blade jéj oświecenie nikogo może nie uderzało, a Kopisch pierwszy za cudo je rozgłosił. Od téj pory stała się celem wycieczek i wielu niefortunnych gwaszystów próbowało na niéj ultramarynu i kobaltu. Otwór jest tak szczupły, iż promienie słońca nie dochodzą tu nigdzie, przedziera się tylko światło złamane w wodzie, a od niéj nabierające barwy lazurowéj, jakby przez szkło niebieskie na pieczarę patrzano. Gdy morze nie jest zburzone i zbyt pełne, pozostaje między niém otwór taki, iż łódka z leżącemi na niéj ludźmi wcisnąć się może; jeśli fale się podniosą, otwór zostaje zalany zupełnie i dostać się, ani wydobyć już nie można. Mówią o podobnych przykładach, iż zmiana wiatru po kilka i kilkanaście godzin w głodzie i trwodze trzymała w niéj ciekawych turystów.

Łódką kieruje dwóch wprawnych marynarzy miejscowych, zawsze gotowych i oczekujących na podróżnych, ciekawi kładą się w niéj na wznak, i tak bijąc się o skały, popychana wsuwa się do groty. Nie jest ona zbyt obszerną. Woda tu ma śliczny turkusowy kolor niebieski, łagodny, srebrzysty, miękki, a ściany powleczone ślizką jakąś krystalizacyą odbijają tę barwę z półtonami zielonawemi. W głębi pieczary, widoczne są w prawo groty dalsze i jakby wyrobiony do siedzenia stopień. Tém przejściem w skale niewiadomo, jak daleko się ciągnącém, o cztery stopy nad morze wzniesioném, musiało się przechodzić do jednéj z willi cezara. Prostopadle stojący kamień czworokątny, obrobiony, dal-

szą drogę zapiera. Iść można tylko do trzechset stóp. Nikt dotąd nie postarał się dalszych czynić poszukiwań, choć co roku wielu tu młodych malarzy dla studyów przebywa. Każdego odstręcza trwoga ogłodzenia, koszta może, ale - by z sobą zapasy wziąć łatwo i trochę czasu i grosza poświęcić dla zaspokojenia ciekawości. Wszystkim podróżnym jeden z rybaków zwykł pokazywać, pływając, jakiego koloru nabiera ciało zanurzone w wodzie, i jak barwa jego się mieni a blednieje. Sztuka ta piastra kosztuje, ale wiosło zanurzone, równie skutecznie toż samo wykaże. Bylibyśmy może trochę dłużéj zabawili w grocie, lecz przypomnienie owych męczenników trwogi, którzy tu zamknięci być mieli, działało tak na niechętnego wszelkim z wodą eksperymentom Klemroda, iż go co najrychléj wypadało stąd salwować. Siedliśmy więc do łodzi, a raczéj położyliśmy się w niéj, popchnięto ją, a że chwilowo woda przybrała, zastrzęgła pod ciasném sklepieniem, wkrótce jednak opadająca fala na świat, dzień jasny i morze wolne nas wyniosła.

Wszyscy, którzy sobie grotę lazurową z obrazków pospolitych wyobrażają, tak, jak ją widzą malowaną, z przesadą tonów i rozmiarów, rozczarowani będą, dostawszy się do niéj. Jest to wszakże efekt światła niezwyczajny i bardzo piękny. Coś ma czarodziejskiego w sobie. Wyobraźmyż pieczarę tę przybraną, ustrojoną, ze zbytkiem rzymskim urządzoną na skrytą kąpiel w dni gorące. Prawdziwa łaźnia sybaryty, Tyberyuszowskie gody.

Łódź popłynęła z nami ku Marina grande, dokąd już widok przybywającéj barki z cudzoziemcami sprowadził cały zastęp ludzi, osłów, koni, przekupniów. Ponieważ łódka do lądu nie dobija, przystawiono nam ławki, a ledwieśmy na gładkich kamykach wysiedli, oskoczyli nas kaprejczycy, kapreanki, co żyło w Marina grande. Jest to szczupła osada, kupka domków białych, dość oryginalnéj budowy, pozasklepianych, bez dachów, z balkonami, wschodkami i t. p. Dziewczęta uśmiechając się, przyniosły do kupienia pamiątki, swojego wyrobu wstążki ze słomy i włosieni, muszle, owoce. Pomiędzy niemi, zapewne niegdy piękna, dziś jeszcze przystojna, panowała *La bella Caterina*, którą Francesco i marynarze jako dobrą znajomą witali. Nie mieliśmy jednak ochoty nic nabywać, a że wyprawa na góry była ciężka, ruszyliśmy zaraz ku Capri. Droga, nie wiem czy to się drogą nazwać może, stroma, ciągle pod górę wiodła po wschodach kamiennych, ślizkich i ruchawych, po ścieżkach poosuwanych, rowach i dziurach, ponad przepaściami, i nie zdawało się możliwém, ażeby konie i osły przebyć ją potrafiły, ale tu one po wschodach chodzić nawykły, bo kilku sążni gładkiéj drogi niéma na całéj

wysepce, i wywiązują się z tego doskonale. Widok skalisty, pusty, dziki, skały się piętrzą do góry sterczące, ku Monte Solaro. Zrzadka spotyka się ogród oliwny, kilka drzew figowych, pomarańcz i cytryn; dokoła tylko u płotów i murków pełno kaktusów, na których właśnie owoce dojrzewały. Chciałem spróbować tego przysmaku, który okrojony z ościstéj powłoki, środek ma żółty, ziarn pełny, a smak podobny do mdłego melona i brzydkiéj gruszki. Miękki, soczysty, chłodzi w gorąco, ale wątpię, żeby był zdrowym. Capri poczepiane na bokach gór, z murami jakiemiś średniowiecznemi swych domów, galeryami, bramami, mostami, ma coś maurytańskiego w fizyognomii. Na ciasnym rynku stoi kościół o dziewięcin kopułkach nizkich, dwie osobliwszéj budowy, równie jak domy, ze swemi przybudówkami, arkadami, galeryami i ocienionemi przejściami. Na dachach wszędzie są słupki przeznaczone do umieszczenia na nich winnych latorośli, ale te mało gdzie widać. Uliczki miejskie starym obyczajem wąziuchne, u góry, jak w wielu innych miastach włoskich łączą arkady, podtrzymując ściany. Minęliśmy je nie odpoczywając wcale. Droga ciągle się wspina, a w jedném miejscu, z wyżyny widok razem na zatokę Neapol i na Salerny brzegi dalekie, po obu stronach, jakby dwa morza sine.

Eremita, zdaje się, że dopiéro zobaczywszy dążących podróżnych na górę, z miasteczka przodem wyruszył, kulejąc i niosąc prowizye na ramionach, aby być na stanowisku. Widzieliśmy go w czarnéj, mniszego kroju sukni, krótszemi ścieżkami idącego między skały. Nierychło na pół konno, pół pieszo dostaliśmy się na sam szczyt góry, który zajmują rozległe ruiny willi Tyberyuszowskiéj. W wielkich salach sklepionych oglądaliśmy resztki mozaik na posadzkach (któremi i ścieżki gdzieniegdzie były wykładane) i malowania na murach. Tu i owdzie wala się kawał białego marmuru, kapitel i część złamanéj z cippoliwu kolumny. Na gruzach rosną drzewa i chwasty, a pod lepiéj zachowanemi sklepieniami wieśniak trzyma krowy. Wyżéj nad ruinami temi, z których cała jeszcze mazajkowana czarno z białém drożyna schodzi ku morzu, wznosi się kaplica P. Maryi *del Soccorso,* uboga, ale dziś ładnie ubrana. W niedzielę odprawia się tu msza święta. Eremita ma w pobliżu izdebkę ubogą i książkę, w któréj się podróżni zapisują. Niedaleko, nieco niżéj, założył oberżę dla spoczynku podróżnych, *un dicore de la vicille* M. Bourgeois, który świeżo dostał był medal św. Heleny i bardzo się nim cieszył. Ten jakiémś jadłem i kapryjskiém winem słodkawo-kwaskowatém, białém, przyjmuje gości, a kilka starych, opalonych i brudnych niewiast, ofiaruje się z tamburynem tańcować dla nich tarantellę.

Nieco dalèj budynek w gruzach wieży, zwanéj Farem, trochę odnowionéj, na *punto del Monaco.* Stąd jeszcze szerszy widok, jeszcze rozleglejsze morze i brzegi, których kończyny giną dla oka. Tradycye Tyberyuszowskie żyją tu, bo ludzie pokazują stromą skałę, z któréj zrzucano w morze skazanych, po najwymyślniejszych męczarniach, ale że do tych wszystkich tradycyj, tak jak w grocie Mitry, którą dziś lud przezwał Matrymonialną, jak po gruzach innych, teatru, na *punta tragara,* przy *faraglioni,* dużo się plecie baśni, które pochwytano z powietrza, z ust turystów, z niejasnych wspomnień Tacyta i Swetoniusza, Capri dziś zajmuje szczególniéj pięknością swoją dziką, malowniczemi widokami raczéj niż temi powieściami, od lat tysiąca przerdzawiałemi.

W historyi wyspy ciekawym jest epizod opanowania jéj w r. 1803 przez Anglików, bardzo zręcznego. Sidney Smitz, który go dokonał, rozpoczął tu gospodarstwo w sposób angielski, resztkę jednéj willi Tyberyuszowskiéj (*Castiglione)* przerobiono na twierdzę, chciano z Capri uczynić drugi Gibraltar. Dowodził właśnie Hudson Lowe, sławny późniéj stróż Napoleona, gdy Francuzi w październiku 1808 r. pod wodzą gienerała Lamarque, wdrapali się z niesłychaném męstwem na niedostępne skały i z kolei wyspą owładli.

Zabawiwszy dla oglądania krajobrazów i widoków dziwnie pięknych tak długo, jak tylko było można, lecz wyrzekając się ciężkiéj stroméj drożyny wiodącéj do Anacapri i zamku Barbarossy, opuściliśmy miasteczko, z żalem zjeżdżając znowu ku *Marina grande,* gdzie na nas łódź czekała. Tuśmy już coś musieli kupić u natrętnych dziewcząt czyhających na nas u brzegu ze słomianemi wyroby i muszlami; wioślarze byli gotowi, odbiliśmy od pięknéj wyspy, żegnając ją a zazdroszcząc tym, którzy tu dłużéj studya artystyczne przedsiębrać mogą. Mało który pejzażysta nie oparł się o Capri. Myśmy przebyli nazad drogę do Sorrento, rozmyślając i milczący, za to wioślarze po kapryjskiém winie byli w wyborném usposobieniu. Ostrożni zawsze, czując zapewne do siebie, iż z żaglami radyby nie dali, nie rozwinęli ich nawet pod pozorem przeciwnego wiatru, i dowieźli nas całych do wschodków w willi Nardi i Signora tramontana.

Zajęły nas tu rachunki z całą czeredą ludzi, których jakakolwiek usługa upoważniała do żądania wynagrodzenia. W Sorrento oglądaliśmy bardzo piękne tutejsze wyroby drewniane, wysadzane różnokolorowo i wcale kunsztowne. Są to miłe Neapolu pamiątki. Na większéj części z nich rysunki wystawiają ubiory ludu, tańce i sceny z życia lazaronów. Ta mozajka drewniana ładnie i starannie jest wykonaną.

Późno już, korzystając z pięknego wieczora, ośmieleni przez przewodnika, puściliśmy się napowrót do Neapolu. Wieczór był bardzo piękny i illuminacya przepyszna. Składały ją Wezuwiusz z ponsowemi wstęgami lawy, morze iskrzące się fosforycznemi światłami, wreszcie miasteczka i stolica ubrana w wieńce gazowych latarni. Gdyśmy dojechali na S. Lucia, wszystko to jeszcze było w ruchu, śmiechu i nocnych zabawach... a rybacy korzystając z nocy pogodnéj, wybierali się na morze... śpiewając:

Quanto bella aria fresca...

XXXVI.

Wypoczynek.—Historya Klemroda z wielorybem, księdzem i kartami.—Tragiedya kończy się komicznie.—Wieści i rysy.—Cartosa.—Obrazy.—Klasztor.—Pożegnania.—Wybór w drogę.

Niewiele nam już dni pozostawało na pobyt w Neapolu, aleśmy spokojni w sumieniu mogli sobie powiedzieć, że z każdéj wolnéj chwili korzystaliśmy nie dla przyjemności, ale dla nauki i przypatrzenia się nowéj jakiéjś stronie życia włoskiego.

Po dosyć nużących wycieczkach ostatnich do Pozzuoli i Capri, dzień jeden trzeba było poświęcić notatom, korespondencyi, przygotowaniom wreszcie do dalszéj podróży. Chodziliśmy trochę po mieście, rozmawiali wiele i przypatrywali się morzu a niebu. To było dosyć chmurne, i bywa niém, jak tu mówią, bardzo często. O ostatniéj wielkiéj burzy jeszcze rozpowiadano, że podobnéj najstarsi tu ludzie nie pamiętali. Wyliczono, że dwadzieścia siedem piorunów padło na miasto, zabiło kobietę na Chiaja, kilku pono Szwajcarów i przeleciało po wielu budowach. Dotknęła burza szczególniéj samego środka Neapolu. Klimat, osławiony z gorąca, nie jest nieznośniejszym niż w innych okolicach Włoch południowych, sądziłbym przeciwnie. Zimą śnieg, rzadki chłód nigdy nie trwa długo, przymrozek się trafia, ale jest osobliwością. Palmy téż w gruncie rosną, pomarańcze i kaktusy. Powietrze w Kapri ma być szczególnie zdrowém, suchot tam i gorączek nie znają, śmierć przychodzi ze starości lub skręcenia karku ze skał, z których bezkarnie spaść nie można.

Handel ma tu używać dosyć swobody, ale się nie rozwija żywiéj, gdyż jéj w innych sferach życia braknie. Ruch handlowy mały; wywożą stąd oliwę, wina trochę, skóry, konopie, owoce suszone. Wyroby zbytkowne zagraniczne, drogie; życie, gdyśmy byli, zdało się dosyć trudném a aż nadto wygodném.

Dziś rozeszła się wieść o zabiciu Anglika malarza na Villa reale, nieopodal od naszego hotelu, z powodu, iż sprawcy zostali sądzeni z niezwykłym pośpiechem i surowością, na dwadzieścia kilka lat więzienia. Powodem zbrodni była chciwość, chociaż nie znalazł przy artyście zabójca więcéj nad 20 franków. Mówią, że tego rodzaju wypadki są dość rzadkie, częstsze daleko zuchwałe kradzieże i bójki na noże (*coltellata*). Zabójcy, których spotykaliśmy przy robotach publicznych, poubierani czerwono, żółci są sądzeni za rany nożem zadane. Lecz wiele ich przechodzi bezkarnie, nóż jest w obyczaju. Za lada waśnią go dobywają.

Nazajutrz trafiła się nam, szczęściem nie tragiczna, ale wielce charakterystyczna przygoda, którą w dzienniku podróżnym zapisać się godzi. Mieliśmy iść do muzeum jeszcze, gdy Klemrod oświadczył, że ma coś do oddania na pocztę i wyszedł, obiecując, że wkrótce powróci. Przestrzegł nas wszakże, iż gdyby się gdzie zabawił, zapatrzył i zabałamucił, czekać nań nie potrzebujemy. Pomimo téj swobody danéj nam, nie chcieliśmy z niéj korzystać, postanawiając czekać na niego. Mieliśmy coś i do pisania i do rysowania, a gdyby nawet muzeum nas ominęło, obiecywaliśmy to sobie nazajutrz wynagrodzić. Nie było dziesiątéj, gdy Klemrod wyszedł na pocztę, około pół do jedenastéj przedłużony pobyt w mieście zdawał się nam trochę dziwnym, wszakże możliwym. Późniéj już mimowolnie nam różne neapolitańskie myśli przychodziły, nawet o owym zabitym artyście. Do południa niepokój wzrastał, a około pierwszéj zmienił się w trwogę tak, żeśmy Francesca wysłali na zwiady. Ten powrócił, mówiąc, że na poczcie śladu Klemroda nie było. Kwadranse upływały, coraz zwiększając przestrach, nie myśleliśmy już wychodzić wcale z domu, dopókiby albo nie wrócił, albo się nie dało wyśledzić, co się z nim stało. Pobyt jego tak przedłużony w mieście nie był naturalnym z wielu względów. Naprzód Klemrod nie cierpiał przechadzek po upale, a gorąco było straszne, powtóre nie był tak nadzwyczaj ciekawym. Znaliśmy go też jako bardzo ostrożnego i niedowierzającego Włochom; kilkogodzinne jego zniknięcie stawało się niezrozumiałém, było groźném. Klemrod się łatwo gniewał, na myśl przychodziły i noże, i wszystkie nieszczęścia, jakie go tylko spotkać mogły. Miano już dawać do stołu, i zbliżała się godzina, w któréj *tavola rotonda* nas oczekiwała, gdy drzwi się otworzyły, krzyknęliśmy z radości, poskakując ku nam, Klemrod wszedł. Ale blady był jak ściana, drżący, wylękły, tak, że dopóki nie spoczął i nie wydychał przygody swéj, słowaśmy z niego dopytać nie mogli.

Oto jest co do słowa powtórzone opowiadanie jego, za które charakter ręczy, iż ani przesadzoném, ani wymyśloném być nie mogło. Klemrod wprost wyszedłszy udał się na pocztę, ludzi przy biurze stało wielu, nim nań koléj przyszła, dobył woreczka, w którym trochę dwudziesto-frankówek brzęczało. W téjże chwili zbliżył się doń dorodny, młody jeszcze, słusznego wzrostu, dosyć starannie ubrany mężczyzna w sukni duchownéj i zagadnął go o coś tyczącego się oddania listu. Klemrod, dobrze mówiący po włosku, w którym suknia obudzała zaufanie, wcale nie podejrzywając nic, wdał się nieostrożnie w rozmowę. Od słowa do słowa, ksiądz mu opowiadać począł, że jest nie tutejszy, że przybył umyślnie z Rzymu dla zwiedzenia Neapolu, jego osobliwości i okolic i t. p. Klemrod poszedł swój list oddać, rozmowa się przerwała grzecznym ukłonem.

Po chwili, wychodząc z pocztowego gmachu, Klemrod ujrzał przed sobą tego samego duchownego, rozmawiającego bardzo żywo z drugim Włochem, który się szybko oddalił. Kawałek drogi szli od poczty razem i rozmowa zawiązała się znowu.

— Wiesz pan, że to nam się nadzwyczaj szczęśliwie powiodło, iż teraz właśnie a nie kiedyindziéj przybyliśmy do Neapolu, trafia się coś tak osobliwego do widzenia, jak nigdy--odezwał się duchowny.

— Cóż takiego? — spytał Klemrod.

— Szczególny wypadek — począł ksiądz — tłumy ludu lecą, aby zobaczyć wieloryba, którego fale i wiatry przypędziły tu, co się nigdy nie zdarza. Osiadł na mieliźnie, schwytali go rybacy i za pysk na łańcuch wzięli.

Klemrod gorącéj wymowie Włocha dał się pochwycić, nie miał najmniejszego podejrzenia.

— Rzecz nigdy nie bywała! tak! wieloryb, to téż chcesz pan go widziéć?

Klemrod niedługo myśląc, rzekł:

— Chodźmy!

Ruszyli tedy krokiem żywym na Chiaja, aby im się wieloryb nie urwał. Gorąco było straszne, ale ciekawość jeszcze większa. Przeciskając się przez lazaronów, doszli jakoś do portu, na drodze ksiądz spytał jakiegoś człowieka o wieloryba, a ten odpowiedział mu z pośpiechem, że o kilkaset kroków od brzegu z nim odpłynęli. Klemrodowi, nielubiącemu wody i żeglugi, daléj za tym potworem morskim płynąć się wcale nie chciało. Myślał wrócić, ksiądz się śmiać z niego zaczął.

— Cóż tak wielkiego popłynąć kilkaset kroków! — zawołał —

morze spokojne, biały dzień. Za pół godziny będziemy z powrotem. Koszt mały, weźmiemy łódkę razem.

Klemrodowi wstyd się zrobiło, mimowoli dał się namówić, ksiądz zawołał wioślarza i począł godzić na przechadzkę. Łódź była spora. Już mieli siadać, gdy ów mężczyzna, z którym ksiądz rozmawiał przed pocztą, nadbiegł, wpraszając się także. Już mieli odbijać, gdy znowu jakiś jegomość, wcale porządnie ubrany, zgłosił się do spółki, tak, że Klemrod znalazł się na łódce z dwoma wioślarzami i trzema nieznajomemi. Było to w porcie, wieloryb miał się znajdować niedaleko.

Wioślarze żywo poczęli robić, odbito od brzegu, płyną.

Ostatni przybyły do łodzi wcale zdawał się być księdzu nieznajomym, patrzył po morzu, odwracał się, szamotał. Dziwna rzecz, gdy się tak kręcił, w kieszeni jego od kamizelki pokazały się karty.

Ksiądz uśmiechnął się, pochylił i delikatnie wyjął je palcami, podnosząc do góry, a potém przychował.

Upłynęła chwilka, mrugnął na Klemroda i rzecze do nieznajomego:

— Przepraszam, czy pan téż nie zgubiłeś książki?

— Ja, nie — rzekł nieznajomy.

— Żadnéj?

— Żadnéj.

— Ej że? książeczki, w którą się codzień zaglądać nawykło?— zapytał duchowny, śmiejąc się.

— Nie — odparł Włoch — nie brałem z sobą żadnéj.

— Pewnie?

— Niezawodnie.

Wtém podniósł ksiądz karty do góry:

— A to co?

— O! proszę mi je oddać! — odezwał się podróżny, wyciągając rękę.

Łódka tymczasem płynęła. Duchowny, wstrzymując karty, rozpoczął rodzaj nauki moralnéj o niebezpieczeństwie gry, o tém, jak te karty są złą zabawą, jak fatalną namiętnością, jak duszę gubiącą rozrywką i t. d. i t. d.

— No — odzywa się w końcu pół seryo, pół żartem — pokażże, jak się to w to gra?

Tak nieznacznie gra na łodzi się rozpoczęła między dwoma nieznajomemi Włochami, ksiądz się jéj przypatrywał, chwaląc, że nie była wcale namiętną. Grali w farynę Włosi, poczynając po carlinach, potém dobywając piastrów, ksiądz się zajął i wmieszał

niby prosto przez ciekawość i zabawę. Klemrodowi cała ta scena się nie podobała, peczął się dopominać o swojego wieloryba. Wieloryb był gdzieś daléj, daléj, ale nie mógł być daléj nad brzeg pod Castellamare. Rzecz się stawała dyabelnie podejrzana.

— Pojedziemy do Castellamare — zawołał ksiądz, zmieniając jakoś ton rozmowy i usposobienie, i poczynając naglić na Klemroda, aby dla zabawy grał z niemi.

Klemrodowi już tak wiele nie było potrzeba, ażeby zrozumiéć, że go wzięto na wieloryba, aby wywieść na morze, wywołać spór przy grze i... kat ich wié — dodał, opowiadając nam przygodę — mogli mnie łajdaki, odarłszy, do morza rzucić.

Przewoźnicy-by ich dla jednego forestiera nie wydali. Ciarki przeszły po mnie, oblany zimnym potem, myślałem, jak się ratować. A tu ci gwałtem i prawie grubiańsko już do gry napierają, a brzeg coraz daléj, a morze puste i człowiek na łasce tych zbirów.

Wymawiając się od gry, wykręcając, żaląc, że zbyt wiele czasu traci, w trwodze coraz większéj, Klemrod już głowę tracił, gdy spostrzegł zbliżającą się łódkę rybacką dążącą do portu, podniósł się i począł wołać na wioślarzy, aby przybyli. I ksiądz i Włosi strasznie się obrazili tą nagłą determinacyą, poczęli się nawet gniewać, biorąc ją za urazę osobistą, za okazany rodzaj niedowiarstwa, i t. p. Ale Klemrod krzyczał, łódź się zbliżyła, ochota widzenia bajecznego wieloryba odpadła i mimo łajania Włochów, którzy salwującego się im, nie wyjmując księdza, klęli głośno. Klemrod się na łódź drugą wydobył z rąk rzezimieszków, którzy z pewnością nieczyste mieli zamiary. Gdy go zobaczyli na drugiéj łódce, zaczęli mu dopiéro miny robić, pięści pokazywać i mścić się na migi. Odwożący rybacy oświadczyli Klemrodowi, że znają tych łotrów i że nie pierwsza to ich sztuka z cudzoziemcami łatwowiernemi. Można było wistocie jeśli nie życie postradać, gdyby przejażdżka do nocy potrwała, to worek i zegarek z pewnością.

Wysłuchawszy opowiadania, nie dziwiliśmy się już wcale, że Klemrod wrócił biały jak ściana i bez tchu. Daliśmy mu przyjść do siebie, ale przy obiedzie nie obeszło się bez żartów z łatwowierności i prześladowania tym nieszczęśliwym wielorybem, który nam na zawsze w pamięci pozostał. Klemrod utrzymywał wszakże, iż się nie na wieloryba dał wziąć, ale na owę suknię, wdzianą znać umyślnie, która podejrzenia nawet nie dopuszczała.

Po obiedzie słuchaliśmy serenady naszego nadwornego śpie-

waka, który zawsze zaczynał od „bella Sorrentina"; a gdy nieco ochłodło, wyruszyliśmy, aby coś jeszcze widzieć, przed wyjazdem z Neapolu. Pieszo idąc, mieliśmy zwykły widok życia włoskiego *sub Jove*, mycia i czesania dzieci w ulicy, golenia brody na trotuarze i t. p. Miedniczka tradycyonalna służyła do namydlania. Wszystko tu takie stare, prastare, *antico*, i medycyna jeszcze sięga epoki Salernitańskiéj. Najpowszechniejszym sposobem leczenia jest obfite krwi puszczanie; komu nie pomaga jedno, powtarzają do nieskończoności, aż albo chorobę lub chorego ubiją. Nie daj téż Boże zachorować we Włoszech. Lancet, bańki i domowy olejek rycinowy, stanowią zwykłe środki leczebne. Ubodzy wprost idą do aptek, gdzie zwykłe znajdują dyżurującego biednego dottore, który im coś przepisuje na pamięć. Ogromne napełnione ślicznym różowym i niebieskim płynem naczynia błyszczą za oknami aptek, które się tytułują fantastycznie, najczęściéj *del Castoro*; bo bóbr miał tu i ma jeszcze wielką reputacyę.

Przez Toledo przeszedłszy, którém zaledwie się przecisnąć było można ku końcowi ulicy, gdzie się nam trzeba było zwrócić na górę do klasztoru kartuzów (Certosa) nad zamkiem San-Elmo, znaleźliśmy całą trzodę okulbaczonych osłów, na tę podróż przeznaczonych. Używają ich, oszczędzając nóg, wszyscy zmuszeni wchodzić na tę górę. Wiadomo, że przy każdym takim ośle, bieży kłusem jego właściciel, najczęściéj czepiając się jego ogona, aby sobie ulżyć w pochodzie, a zato niemiłosiernemi razami okładając biedne zwierzę. Zmusiłem wszakże mojego chłopaka, aby i kija i ogona się wyrzekł. Ulica wiodąca na *Capo di Monte* (jeśli się nie mylę) pełna była o téj godzinie praczek wracających z bielizną i chustami na głowach. Ta procesya przekonała nas raz jeszcze i to najdowodniéj, że lud neapolitański znakomicie jest brzydki, nie ma nawet wybitnéj cechy żadnéj, któraby wdzięk zastąpiła charakterem. Powoli tak dojechaliśmy do San Elmo, pod zamek, i minąwszy dziedzińce pełne dział i żołnierzy, dopytaliśmy się naprzód do balkonu, z którego widok rozległy bardzo i piękny na Capri i miasta część ku *Pie di grotta*. Nie jest on wszakże ani rozleglejszy, ani wdzięczniejszy niż z Sorrento lub gór nad Castellamare, ale zdobi go ogród ze staremi drzewy pomarańczowemi i polepione pod nogami patrzącego stare domostwa. Bardzo uprzejmy zakonnik zaprowadził nas potém do kościoła, czysto i starannie utrzymywanego, pełnego marmurowych mozaik, rzeźb, pracowitych wyrobów z drzewa i obrazów. Nic tu już dziś nie przypomina pochodzenia Certosy z XIV-go wieku — Ribera i wiek jego królują.

W kaplicach są obrazy Carraciolo, Correnzio, Stanzioniego, który manierą przypomina Riberę, Maratte i t. d. W samym kościele prorocy na lunetach zasługują na szczególną uwagę,—w całym blasku potężny Spagnoletto. Naturalność tych figur, ich powaga, wyraz potężny, efekt wielki i sztuka z jaką są posadzeni, wielkiego oznaczają artystę. Jeden wszakże z lewéj strony wielkiego ołtarza, mocno przypomina lazzarona, może bardziéj niż proroka. Mojżesz w chórze także wspaniale piękny. Stanzioniego zepsute owo Zdjęcie z krzyża i Chrystus u słupa (w zakrystyi) a w rodzaju Ribery, freski Lanfranca, d'Arpino gasną przy nim. Spagnoletto ma tu także prześliczne Zdjęcie z krzyża; ale wszystkie jego dzieła, w jeden sposób pojęte i malowane, wydają charakter artysty gwałtowny, rozmiłowany w kontrastach, polujący na efekta ostateczne świateł i cieni; pełen siły, energii, blasku, a mimo to nie sympatyczny. Niekiedy to upędzanie się za potęgą, rodzi przesadę. Obrazy téż mocno poczerniały w cieniach, i dziś już pod względem światłocienia i kolorytu, sądzone być nie mogą.

Po wrzawie i tumulcie miejskim, ten klasztor gdzieś w obłokach, na wyżynach, zawieszony nad przepaścią, ze swą ciszą i spokojem, robi wrażenie miłe nieziemskiego ukojenia. Otworzono nam późniéj sam klasztor (Claustrum) obwiedziony przepysznym portykiem architektury XVII-go wieku, w środku którego jest cmentarz zakonników, ich Campo Santo z krzyżem i marmurowemi głowy trupiemi po środku na słupach. Obok grobów, kwatery niezajęte jeszcze zasadzono warzywem. Widok z drugiego balkonu wewnętrznego klasztoru daleko jeszcze rozleglejszy, obejmuje całą okolicę i niemal całe miasto. Siedliśmy tu, aby Neapol ów śliczny pożegnać, raz jeszcze powieść okiem po górach, z tą myślą smutną, że się go pewnie drugi raz w życiu nie zobaczy. Z tego balkonu mogliśmy, biegnąc wzrokiem po budowach i okolicy, policzyć, cośmy tu widzeli, i przekonać się, że wiele nie mogliśmy zobaczyć. Główny cel wszakże był dopięty — zwiedzone muzea pompejańskie, odkopane miasta, i katakumby. Jedna karta dziejów żywiéj teraz stała w oczach; uprzytomniła się szczątkami, których widzenia żaden opis, żaden obraz, żaden rysunek najwierniejszy zastąpić nie może...

We wszystkich przewodnikach znajdziecie o tym balkonie anegdotę, którą, na przypadek wszelki, przytoczyć się godzi. Ma ona w sobie coś dziwnie ludzko smętnego i boleśnego. Jakiś Anglik przed pokazującym mu klasztor ten mnichem, unosił

się nad jego pięknością, i dodał, że mu się wydaje rajem na ziemi. Kartuz westchnął i odpowiedział jedném słowem:

— *Transeuntibus!* (Rajem — dla tych, co tędy tylko przechodzą). Tak! *Transeuntibus* rajem wydaje się wszystko...

Wróciwszy, musieliśmy zająć się pakunkiem i wyborem w dalszą drogę. Jutro o czwartéj siadamy na statek Bosfor, który nas wiezie do Marsylii.

Klemrod nie lubiący morza, chociażby na najurzędowniéj patentowanym statku, wzdryga się na to, lecz losowi swemu poddać się musi.

XXXVII.

Statek Bosfor.—Na wyjezdném.—Podróżni wszelkiego rodzaju.—Widok morza.—Wyspy.—Co się mówi na pokładzie.—Pierwsza noc na morzu.—*Città Vecchia*.—Kwarantanna.—Widok ze statku.—Nurek.—Goście nowi.—Wyjazd. Mires i jego dwór.—Biografia aż do szczytu wielkości.—Elba i Korsyka.—Zatoka St. Laurent.—Hyères.—Marsylia.—Miasto i mieszkańcy.—Różnice od Włoch.—Wylądowanie.

Ostatnie chwile pobytu, wyjazd, przybór do niego, zwykły pośpiech, rachunki, najnieprzyjemniejszém czynią pożegnanie; nie dają nawet poczuć żalu, zastępując go uprzykrzonym kłopotem. Znajduje się jeszcze coś odłożonego na tę godzinę najkrótszą, chwytać się potrzeba i rozmyślać, czy się czego jeszcze nie zapomniało. Przez część dnia, która nam pozostała, kupowaliśmy jeszcze ciągle coś na S. Lucia, a szczególniéj piosnki ludowe neapolitańskie i książeczki, które po straganach sprzedają... O trzeciéj łódź wywiozła nas na Bosfor, statek parowy *des Messageries impériales*, idący wprost do Marsylii i przytykający tylko na chwilę w Città Vecchia. Okręt to stary, szrubowy, o sile stu osiemdziesięciu koni, mimo przeróżnych losów, jakich doznawał już, utrzymany bardzo czysto i porządnie, nawet z pewnym zbytkiem. Podróżni wprawdzie uprzejmości szczególnych spodziewać się od marynarzy nie mogą, ale na krzywdę skarżyć się téż nie godzi. Służba spogląda obojętnie; dowódcy zdają się znudzeni. Do ostatniéj chwili, pokład zarzucony owocami na sprzedaż przywiezionemi z Neapolu, wyrobami z koralów, a nawet obrazami... Dopiéro, gdy się już ma dać znak do odjazdu, wszystko to znika i łódkami nazad odpływa. Ruszyliśmy nieco później niż zapowiedziano, było już dobrze po czwartéj, obejrzawszy nasze kabiny, to jest te pudełka umieszczone jedne nad drugiemi, w których się ma noc przepędzić... salę gościnną i t. d. Natłoku niéma szczęściem, podróżnych ledwie kilku — postacie nieznaczące, prócz jednéj: młodego, bardzo regularnego i porządku pilnującego jegomości, nie-

zbadanéj narodowości, który się uśmiecha do siebie i prowadzi z soba ciche monologi.

Ten wygląda na kogoś z powieści fantastycznych Hoffmana... Oprócz niego jest piękny, młody, żwawy mężczyzna, Francuz, inżynier, potrzebujący się wygadać i zapoznać, jeden Belg, który ma tu jakieś interesa kolei żelaznych i t. d. Kapitan bardzo poważny, swą dyktatorską władzę noszący z poczuciem jéj dostojeństwa; porucznik, stary marynarz, stąpający szeroko i palący swe cygaro w milczeniu i młody ładny a żywy second-lieutenant, stanowią starszyznę Bosforu.

Ruszamy wreszcie. Neapol ukazuje się nam raz jeszcze z całą swą uroczą pięknością, okazałością i chwałą. Mijamy Castele... okna naszego hotelu, który nas tak gościnnie przyjmował... Villa Reale, Pauzylip... Zbliżamy się do Nisidy, która z téj strony wydaje się jak na pół rozcięty amfiteatr, w pośrodku wyżłobiony, potém Procida, Ischia, zatoka Baj. Zdała Wezuwiusz na pożegnanie rzucił nam jeszcze kłębami czerwieniejącego dymu i wkrótce znikł w wieczornych mrokach...

Dokoła morze i wyspy, które z mgłą wyrastają zdala, zbliżać się zdają, zarysowują chwilę i nikną w mgłach znowu. Siedliśmy do stołu bardzo wytwornie zastawionego, mijając Procidę; gospodarzył przy nim kapitan. Obiad, milczący z razu, ożywił się wkrótce rozmową, a że większa część osób, na statku się znajdujących, należała do ludzi przemysłem zajętych, mówiono o kolejach, o fabrykach, o wielkich przedsiębiorstwach i spekulacyach, o przyszłości cywilizacyi europejskiéj, o krajach wreszcie, do których ona powoli się wciskać musi... i które za ruchem ogólnym zdążyć nie chcą i nie mogą. Kapitan z goryczą wielką począł narzekać na kwarantannę neapolitańską. Tu bowiem, pod pozorem, że Francya nie dosyć się pilnuje i strzeże, statkom fancuskim, z Marsylii przybywającym, nakazują dziesięciodniową kwarantannę. Wszyscy Francuzi z niewysłowioném oburzeniem mówią o tém, niemal osobiście czując się tym brakiem zaufania obrażeni.

— Toż samo jest w Civitá Vecchia — mówi stary kapitan — rzecz nieznośna, niesprawiedliwa...

Noc była piękna dosyć i ja przynajmniéj, jak wprzódy płynąc z Tryestu do Wenecyi, tak i teraz wcale się spać nie kładłem. Jeżeli chłód trochę dojmował, przechadzałem się dla rozgrzania lub schodziłem do sali, wracając na pokład, ażeby z widoku morza, wysp i krajobrazu nocnego korzystać. Wysepki majaczyły w mrokach... fale połyskiwały... późniéj zszedł księżyc... miałem i widok oddalonéj burzy, która uchodziła zwolna i znikła. W prawo uka-

zały się wzgórza od Gaety... puste wybrzeża, gdzieniegdzie wieże strażnicze jeszcze z tych czasów, gdy się napaści Saracenów obawiać musiano... Pełno podobnych na cyplach i pagórkach, ale dziś pustkami stoją, poobalane i zdobią tylko widoki.

Nad ranem pokazały się brzegi od Civitá Vecchia, ląd wzgórzysty dość nieuprawny, dziko wyglądający, i znowu owe wieżyce stare. Kierując się ku portowi, postrzegliśmy miasteczko na wyniosłości nad samym brzegiem usadowione, murowane, z kilku kościołami i otaczającemi port staremi murami twierdzy. Był to dzień właśnie piętnasty sierpnia, w kościele N. Panny, na statku i w porcie Napoleońskie święto... Mieliśmy tu z załogi francuskiéj zabierać kilkuset żołnierzy, statek miał urzędowe świadectwo zupełnego zdrowia, wydane przez doktora i poświadczone przez kilku urzędników, mimo to wszakże i pomimo usilnych starań kapitana, policya strzegła, aby nikt się nie ważył na ląd wysiąść ze statku... Trzeba się było poddać temu rozporządzeniu. Mogliśmy tylko zdala przypatrywać się brzegom i rojącéj się na nich ludności. Statek stanął tak, iżeśmy w porcie mieli przed sobą kapliczkę ołtarzem ku nam zwróconą. Drzwi jéj umyślnie otwarte, dozwalały widzieć wychodzącego ze mszą świętą kapłana i wysłuchać jéj z pokładu... Nie innem jest przeznaczenie kapliczki, bardzo wistocie potrzebnéj, bo kwarantanny są tu ciągłe i przystęp utrudniony. Statki, z powodu Napoleońskiego święta, wszystkie były uilluminowane, to jest obwieszone banderami przerozmaitemi... Oprócz tego na cześć cezara dawano niemiłosiernie ognia z dział dokoła, z fortów i statków, tak, że nas ogłuszono.

Gdy się to działo, od portu na maleńkiéj łupince przypłynął chłopak goły, z drugim, który go powoził... Powołaniem jego było rzucone w przezroczystą wodę morza groszaki łapać, dając nurka, wprzódy nim dopadły do dna. Czynił to bardzo zręcznie i nie okazując najmniejszego znużenia. Egzercytowali go niektórzy podróżni, nie mając co innego do czynienia; podziwiać było trzeba opalonego dzieciaka, który za każdym razem rzucał się w wodę wesoło i zdobyty pieniążek tryumfująco do góry podnosił. Tymczasem przypływały téż łodzie, które wojsko nam wiozły, i podróżni... Jeden szczególniéj nas uderzył — niepoczesnéj wprawdzie fizyognomii, ale tak oczywiście ważnością swą i wielkością przejęty, tak roztrącający ludzi i rozgospodarowujący się na pokładzie, przytém w tak licznéj asystencyi nadskakujących mu ichmościów, żeśmy w nim mieli prawo się domyślać jakiéjś nader znakomitéj osobistości... Towarzyszyli widocznie znużonemu temu panu: słuszny mężczyzna, rodzaj adjutanta ze wstążeczką legii honorowéj u surduta, wesół, nadskakujący, natrętny prawie, gdyby

potrzebnym się nie czuł; inny jegomość znowu z brodą czarną, typ wschodni z nosem orlim, spokojniejszéj natury, ale kwaśny, i jeszcze jeden z brodą i wąsami à la don César de Basan, otyły, z wargą wywieszoną, mięsistą, naostatek skromnego coś wyglądającego na sekretarza. Ten stał w tyle milczący, i nie narzucał się z sobą, ale oczekiwał skinienia... Podróż do Marsylii obiecywała być wielce ożywioną, oprócz bowiem dworu tego potentata, wsiadła na statek niemłoda już, ale jeszcze piękna, rysów zmęczonych i zwiędłych jakiémś cierpieniem, jenerałowa francuska, z nader żywą *suivante*, którą marynarze natychmiast w szczególną wzięli opiekę, i dwie siostry miłosierdzia, które się usunęły na ławeczkę i poczęły modlić... Nimeśmy odpłynęli jeszcze, Tybrem widzieliśmy odchodzący statek do Rzymu... mieszkańcy przystroili brzegi... ruchu było pełno u portu... my skazani byliśmy tylko mu się przypatrywać zdaleka. Na trzecich miejscach lokując się wojsko francuskie, w większéj części mały ludek, ale żwawy bardzo, chichotał, kłaniając się pozostawionym przyjaciołom na lądzie.

Opuszczaliśmy port w Cività, gdy nieznany ów pan przybyły z dworem rozkazał sobie dać śniadanie i z całém swém towarzystwem zasiadł do stołu, obficie zastawionego. Wszystko mu tu jednak było niedobrém, znać do wygód nawykł wcale innych nad te, na które statek się mógł zdobyć; zasłaniano go od słońca, zakrywano od wiatru, podkładano mu poduszki, zmieniano miejsce, twarze podróżnych i jego zdradzały niewypowiedzianą wzgardę dla tego biednego statku, na którém tak lichemi przybory ograniczać się było potrzeba. Odsuwano flaszki z niewysłowioną wzgardą, wąchano potrawy okazując rezygnacyą—śmiano się i ruszano ramionami. Widowisko dla nas było zajmujące, jak przedstawienie dobréj charakterystycznéj komedyi na scenie. Siedziałem właśnie z inżynierem Francuzem na ławce... Ruszał on ramionami i śmiał się bez ceremonii, palił cygaro, gryzł je i widocznie śniadający nie tyle go co mnie bawili... niecierpliwili raczéj. Spluwał, patrząc na nich... Wniosłem z tego, że towarzystwo to znajomém mu być musiało, choć z nazwiska. Nie mógł w końcu wytrzymać—gadatliwy z natury—i przysunął się do mnie.

— Patrz pan—rzekł—zaprawdę widok ciekawy! Mógłbyś sądzić, że to są synowie możnéj rodziny, wychowani w pieszczotach od kolebki, którzy nawykli do zbytku i wygódek *font la petite bouche* na te przysmaki... A wiész waćpan, kto jest ten wspaniały magnat... jadący z tym dworem?...

— Nic nie wiem!—szepnąłem cicho.

— Sławna to przecie postać, król bursy paryskiéj—*saluez, s'il*

vous plait. To bankier Mires, powracający z Rzymu, gdzie mu się pono nie udało wziąć kolei, jaka się tam ma budować.

Dzienniki tyle już razy naówczas wspominały o bajecznie z niczego stworzonéj olbrzymiéj Miresa fortunie i jego śmiałych spekulacyach, że imię nie mogło mi być nieznaném. Uśmiechnąłem się—typ doskonale odpowiadał roli... Inżynier zdawał się miéć jakiś ząb do niego.—*Mais regardez donc!*—zawołał—to ciekawe! warto-by we dwójnasób za miejsce na statku zapłacić, za to widowisko... Patrz pan, jak ci ludzie, co wczoraj żyli o suchym chlebie, małpują zepsutych szczęściem zbytników!

Mówił tak głośno Francuz, wcale się nie troszcząc o to, że słyszanym być może, jakby się tego nie tylko nie obawiał, ale prawie na to mierzył.

— A znasz pan?—dodał, zapalając nowe cygaro—historyą tego człowieka? Ja ją mogę opowiedziéć, nauczyłem się jéj, niestety, gdy mi się dał we znaki... bośmy się w życiu w sprawach kolejowych zetknęli—ale gdzieżby dziś tak wielka potęga miała pamiętać małego inżyniera, który jéj służyć nie chciał, bo oprócz pieniędzy, wymaga od ludzi, z któremi ma do czynienia, aby przynajmniéj ludźmi byli... Jak go pan widzisz—mówił coraz żywiéj—młody to milioner... Izaaczek ów r. 1809 ujrzał światło dzienne w stolicy Château-Lafitte, w Bordeaux... Teraz go nazywają Julkiem, bo Izaak przypomina zbytnio synagogę. Ojciec jego był rodem z Portugalii; widzisz pan, że rysy krew niezmieszaną zdradzają... Ze krwią wziął charakter. Papa naprawiał zegarki, lutował łańcuszki, sprzedawał pierścionki i żył o małém, bo nigdy się nic wielkiego nie dorobił.

Pomimo ubóstwa, żenił się wszakże dwa razy, wedle obyczaju Izraelitów, którzy bez żony być uważają za występek. Izaaczek urodził się z drugiéj już małżonki złotnika, która wkrótce po wydaniu na świat wielkiego człowieka—umarła. Plemię to, które wcześnie dojrzewa; małym jeszcze chłopakiem, nasz przyszły milioner zarabiał na chleb powszedni jak mógł. Mówią, że długi czas biegał na przyjęcie dyliżansów, czekając i jałmużny podróżnych, i przy teatrach otwierał drzwiczki powozów. We dnie sprzedawał koperty, papier, lak i pióra... Zresztą co było można... Trwało to do lat dziesięciu, których doszedłszy, począł się uczyć złotnictwa; ale to nie szło jakoś. W r. 1834 zmarł ojciec, dwóch braci objęło po nim sklepik, jeden powędrował do Paryża, trzy siostry spłacono. Izaak postrzegł się, że nie umié nic i sam nauczył się czytać; zdaje się, że się téż i pisać musiał poduczyć... Ze złotnika przeszedł na urzędniczka przy podatkach. Tu nie powiodło mu się, skłócił się z towarzyszami, naraził zwierzchnikom,

wytoczono mu proces o obrazę honoru, skazano na trzy dni więzienia i odprawiono. Ponieważ znał się na podatkach i opodatkowaniu, ofiarowywał obywatelom, przeciążonym opłatami, wyrabianie im słuszniejszéj oceny ich posiadłości. Za to brał połowę summy zyskanéj. Lecz zarobkowanie to nie starczyło na długo. Trzeba było szukać innego, wkręcił się do miernika—geometry. Brał po czterdzieści franków miesięcznie; ale dostawszy nagniotków, postrzegł, że to się na nic nie zdało. Chodzenia było wiele, pieniędzy mało, a nadziei dobicia się czegoś więcéj, oprócz reumatyzmu, jeszcze mniéj. Z usług geometry przeszedł na usługi współziomka swojego, spekulanta Millaud, u którego wprawdzie nauczyć się mógł wiele... ale nie zarobił nic. Millaud robić mu kazał to, czego sam nie chciał, a zysk zabierał dla siebie, i jednego poranku czy wieczora, znikł z Bordeaux. W tym stanie nader nieszczęśliwym, gdy już nie wiedział co począć, wezwał go brat Adolf do Paryża.

— Ale pan znasz tę biografię ze wszelkiemi szczegółami? — przerwałem opowiadającemu.

— Żałuję tylko, żem się jéj zapóźno z *Journal de Lille* nauczył, odpowiedział mi—słuchaj pan tylko, jest zaprawdę ciekawą. Tu, z bratem Adolfem, który handlował winami, zżyć się nie mogli jakoś—kłótnie były nieustanne. Rozstawali się i zbliżali, pogodzić nie umiejąc, gdyż Izaak jest nader gorący i opryskliwy. Opuściwszy brata, przybrał tytuł agenta katastralnego. Nieszczęściem, nikt go nie potrzebował, brat zlitowawszy się, wysłał go do Holandyi, jako komisanta handlu win. Nie był wszakże zdolnym do tego interesu i odwołać go wkrótce przyszło, bo nic nie robił. Nic nie robił, gdyż dotąd na drogę swojego posłannictwa trafić nie mógł. Czepiał się procesów, interesów, podatków, pośrednictw, nic nie szło... Traf na ostatek zapędził go na bursę... gdzie choć bez pieniędzy—był odrazu w swoim żywiole. Tysiące krąży powieści o awanturach między braćmi, bójkach i kłótniach, których nie będę panu powtarzać, bo do rzeczy nie należą, ale wspomnieć je musiałem, gdyż malują niespokojny, gwałtowny, niepowściągniony charakter człowieka, który czuł, że kiedyś będzie miał prawo zostać nieznośnym impertynentem. Kłótnie familijne prowadziły ich kilkakroć aż przed kratki... Tymczasem Mires się wkręcił za pomocnika do agenta wekslowego i trochę szachrował na swoję rękę. Ażeby zaś nie być samym, przybrał sobie do gospodarstwa przyjemną panienkę, zajmującą się praniem bielizny. Zrazu szło tak twardo, że nie było za co mebli kupić, a kredytu nie miał wcale, otrzymany zaś zaprowadził go wkrótce do Clichy...

Jak pan widzisz, przyszłą wielkość okupywał milioner ciężkie-

mi próbami, a pierwszą myśl szczęśliwą nie był winien samemu sobie. Tą pierwszą ideą szczęśliwą kyło kupienie przez licytacyą sprzedawanego dziennika *des Chemins de fer* i uczynienia z niego miecza Damoklesowego, zawieszonego nad głowami spekulantów. Mires przewidział przyszłość pisma, które strachem mogło sobie wytargować wszystko... nawet udział w pomyślnych przedsiębiorstwach... nie wiele było na to potrzeba, kilkaset franków, ale i tych brakło. Udało się wszakże dziennik kupić na kredyt kilkomiesięczny, u drukarza uprosić poczekanie, papier dostać tak samo; szło o anonse.. nie było czém utrapionych opłacić anonsów. Mires odegrał komedyą zręczną, głosząc, że dziennik ma możną opiekę i przybierze znaczenie nowe, rozmiary olbrzymie. Wmówił to w abonentów... ściągnął grosz i wypłynął... Pieniądze rzucono śmiało jak stawkę na anonse, te ściągnęły tysiące prenumeratorów—towarzystwa kolei północnéj i wschodniéj ofiarowały swe akcye, prosząc dziennik o poparcie... Mówią, że kompania Lyońska samopomoc potrzebną opłaciła sześćdziesięciu tysiącami promessów. Koszta wszakże były znaczne, a chwila do spekulacyi niepomyślna i trzeba się było różnemi podtrzymywać środkami. Nie przebierano w nich, spekulując na wszystkiém, na czém się tylko dało. Zamówiono Lamartina na redaktora dziennika *le Conseiller du peuple*, ofiarowując mu 30,000 franków, pięć tysięcy dla dwóch sekretarzy i dwa tysiące miesięcznie za rękopisma. W sześć tygodni imię Lamartina sprowadziło 25,000 abonentów. Dziennik trwał przez trzy lata; p. Mires, ze swym wspólnikiem Millaud, zużyli człowieka i ideę i porzucili wreszcie. Potém nabyli *l'Entre-acte*, potém stworzyli *Monitora wieczornego*, na złość *Patrie*... Dziennik kolei żelaznych odegrał téż nie źle swą rolę;—gdy nagle wystąpiły ogłoszenia na czwartéj stronicy, oznajmiając o fundacyi... *kasy kolei żelaznych*, obiecującéj, ni mniéj ni więcéj, 72 procenta od stu rocznie. Prospekt był dla naiwnych ludzi olśniewający. Kupiono dla popierania go *Pays*, zamówiono doń Lamartina, zagarnięto *Constitutionnel'a*... Dwaj sprzymierzeńcy w końcu, coraz atletyczniejsze rozwijając siły, pobili się i potłukli, co z Izaakiem łatwém było zawsze... gdyż, jak go pan widzisz, nie ustępuje nikomu.

Zliczyć wszystkich przedsiębiorstw hazardownych człowieka, którego pan masz przed sobą, nie potrafię; rzucał się z dwoma krociami na miliony, z milionami na miliardy... był to raczéj gracz szczęśliwy, niż spekulant. Wszystko mu było dobre, pożyczki, dziennikarstwo, stowarzyszenia kredytowe, sprzedaż akcyj, assekuracye, nabycie kopalni tanio, a rozprzedanie współudziałów w nich drogo. Nabywano tak wszystko, co chwilowo wartość straciło, podnoszono sztucznie, i pozbywano się, umywając ręce... Fundo-

wano coraz nowe stowarzyszenia, rachując na łatwowierność tłumów anonsami przywabianych, a że nabyta wprawa na każdém takiém przedsiębiorstwie coś dozwalała zarobić, rosły krzyki, na które nie zważano, a gorączkowe chwytanie wszystkiego, z czego umiejętnie można było jakiś uczynić użytek... zwiększało się i powiększa do téj chwili... Rosną wszakże procesa i nieprzyjaciele...

Inżynier spoczął na chwilę i popatrzył zdala na Miresa, który się sadowił, aby jaknajwygodniéj po śniadaniu drzemiąc, palić cygaro.

— Przypatrz mu się pan—dodał—jestto typ epoki, chwili, niestety i kraju... typ, który długo istnieć nie może, bo żyje łaską głupoty i łatwowierności ludzkiéj. Usta jego zdają się mówić *Mundus vult decipi...* Jestto cynizm, któremu idzie o to, aby się na scenie właściwéj pokazał jaknajświetniéj, a niedbający, co o nim za kulisami powiedzą. Ze słabemi zuchwały, z możnemi uniżony, ze wszystkiemi chytry i przebiegły, serca nic, sprytu wiele, a całą tajemnicą, że zawsze na ludzkie słabości i głupoty rachuje. Nie potrzebuję nawet mówić o sumieniu.

— Przypatrz się pan dobrze—rzekł wreszcie z uśmiechem Francuz — postrzeżesz pan wstążeczkę w dziurce od guzika... jestto pierwsza i jedyna, jaką Mires otrzymał... Nie potrzebuję tłómaczyć, że jest hiszpańska. Dano mu ją za pożyczkę, którą protegował... Dowcipnie ktoś powiedział, widząc go po raz pierwszy przystrojonym—że to krzyż otrzymany pożyczką... (C'est une croix *d'emprunt*).

Zamilkł mój towarzysz... Mires z dworem zająwszy najpierwsze i najszersze miejsca na statku, nie zważając ani na kobiety, ani na wygody innych podróżnych, rozkładali się do siesty. Znać w nich było doskonale ludzi, których świat o tyle tylko obchodzi, o ile z niego korzystać mogą. Studyum było ciekawe.

Za Civitâ pokazała się nam wyspa, któréj nazwiska już sobie nie przypominam... mijaliśmy Pianosę, Gorgonę i owo sławne z łaski Dumasa Monte Cristo, dziś nabyte pono na własność przez jakiegoś Anglika; mijaliśmy Elbę i mogliśmy zdala dojrzéć Korsykę. Elba, z któréj Napoleon mógł patrzéć na swoję kolebkę... wydaje się pusto, dziko, strasznie, na brzegu widać ubogą mieścinę i góry nagie; zdaje się stworzoną na wygnanie.

Wieczorem już mogliśmy się przypatrzyć zdala Korsyce, najeżonéj skałami i góry, bardzo malowniczéj. W Bastia widać było światełka i far zapalony... Kraj ten wszakże, tak pięknie wydający się zdaleka, ma być nader zblizka niemiłym. Charakter mieszkańców, obyczaje, ubóstwo wyspy... niedostatek i drożyzna wszelkich do życia potrzeb czynią tu pobyt trudnym, chociaż zalecają

klimat dla osób chorych. Zbliżaliśmy się do zatoki St. Laurent, a Francuz inżynier opowiadał nam straszliwą historyą o Angiolinie Korsykance i miłości z nożem w dłoni, gdy kapitan statku, który się wmieszał do rozmowy, bo musiał, zbliżając się do Cap Corse, być na pokładzie — począł ze wspomnień swoich dobywać dosyć nieprzyjemne pod noc opowiadania o losach, jakich już kilkakroć z tym samym statkiem doznawał. Słuchaliśmy z tém większém zajęciem, że niebezpieczne miejsce do przebycia zbliżało się właśnie: że na niebie błyskało i zbierać się zdawało na burzę... Kapitan z powodu zepsucia machiny, uderzenia o skałę i niemożności pokierowania się, przez dni kilka z sześciuset ludźmi, których wiózł, był igraszką wiatrów i prądów, dopóki jakiegoś parowca, który go uratował, nie spotkał... Stary wyga opowiadał bardzo obojętnie, na nas czyniło to aż nadto wielkie wrażenie, przebyliśmy jednak już po ciemku Cap Corse bez szwanku... Widok był osobliwy, gdyż odgraniczenia morza od niebios wcale dostrzedz nie było można; i statek płynąć się zdawał w powietrzu. Noc i księżyc zastały nas na pokładzie i rozmowie, — jedne historye wywołały drugie. Mires i towarzysze wygodnie poukładani chrapali... Rozeszli się potém niemal wszyscy do swoich szufladek, a ja podobno sam miałem sobie za obowiązek nie tracić wrażeń nocy na morzu i czuwać, drzemiąc potrosze...

Wschodzące słońce i poranek znalazł nas na pełném morzu, lądu nigdzie dostrzedz nie było można gołém okiem... Małośmy też spotykali i mijali statków, pusto było i cicho... posuwaliśmy się dosyć szybko, dalej a dalej. Około południa wprawo zarysowały się brzegi, wyspa Hyères i miasto tego nazwiska w oddaleniu. Brzegi Francyi wydały się nam jakoś inne, zieleńsze, okryte bujniejszą wegetacyą, gęściéj zamieszkałe... Gdzieniegdzie tylko od brzegu majaczyły ściany skał. Pokazał się późniéj w bardzo wielkiéj odległości Tulon ze swemi mury i masztami, ale go mało było można rozeznać. Nad brzegiem późniéj dostrzegliśmy nawet pas drogi żelaznéj, idącéj z Marsylii do Tulonu, miejscami widoczny. Tu już morze zaludniać się poczęło, statki, barki, łodzie rybackie, żagle białe mijały się dokoła, ruch zwiastował się daleko żywszy, niż u wybrzeży włoskich. Ostatnia z wysp Hyères, największa z nich, pełna budowli, cała najeżona poszarpanemi skałami, poprzerzynanemi kłębiącą się zielenią, wydała nam się bardzo piękną. W prawo S. Nazaire i Cassis zagłębione w zatokach. Góry żółte i siwe, a raczéj urwiska, falaisy. Skały te oznajmiły nam Marsylią, gdyż ich ściany osłaniają port... Tu już coraz gęstsze po morzu zwijają się łódki... niektóre z nich dość zblizka mijamy, by się im przypatrzyć, wydają się nam jakoś innéj budowy, bar-

wy, fizyognomii niż włoskie, ale trudno określić, na czém to zależy. Wjeżdżając do portu i zewsząd spotykając tylko kredziaste urwiska, góry nagie, spadzistości poryte potokami, a nad niemi stary, posępny zamek *Château d'If*—daléj trochę zieleńszych ogrodów i bastidy... i góry znowu obnażone, nie znajdujemy Marsylii tak piękną jak-eśmy ją roili. Krajobraz ma wiele charakteru i powagi, ale jest dziki i smutny... W porcie prawie się rozminąć nie podobna, całe lasy masztów, tysiące okrętów, bark ładownych i wszelkiego rodzaju pływających budowli niezliczone mnóstwo.

Gwaru wiele we Włoszech, tu więcéj życia rzeczywistego, ruchu i ładu. Płynęliśmy do komory, która nasze rzeczy przejrzéć i paszporty pozapisywać miała, a tymczasem, co żyło na statku, sposobiło się do wylądowania.

Na twarzach różne widać było uczucia. Towarzystwo Miresa krzątało się około pakunków, a najtroskliwiéj dźwigając skrzynkę ciężką z białego drzewa, dobrze okutą, która znać nieprzyjęte w Rzymie napoleondory wiozła nazad do Francyi. Generałowa, która przez całą drogę cierpiała na morską chorobę, lecząc się na nią bezskutecznie cytrynami, powitała brzeg z radością, mniéj może—piękna jéj subretka, któréj służba statku nadskakując, usługiwała... Siostry miłosierdzia wstały z ławki, zabierając swe skromne woreczki... Inżynier, który dla rozmowy, potrzebując jéj ciągle, chodził do żołnierzy na trzecioklasowy oddział, napytał tam biednego Włocha, wypędzonego z Rzymu, którego miano za szpiega... i zabroniono mu wracać do kraju. Biedny ów *incisore* (rytownik na kruszcach i kamieniach) płakał jak dziecko. Był pozbawiony wszelkich środków, rodzinę ubogą zostawił we Włoszech... i sam nie wiedział co ma począć z sobą. Widok obcego brzegu, ziemi wygnania, wywołał łzy z pod zaschłych powiek.

Nareszcie statek, z którego pokładu przyglądali się wszyscy, znużeni morską podróżą, stałemu lądowi z upragnieniem—przybił... a my z kolei ruszyliśmy do niepozornego budynku komory... Potrzeba było przebyć dosyć surową rewizyą i zapisywanie paszportów i różne formalności drobnostkowe, od których tylko Mires z impetem wielkim i przebojem idąc, z ową skrzynką i akolitami, zdołał się uwolnić. My, prości śmiertelnicy, niemający jego imienia, jego skrzynki i jego orderowych adjutantów, pozostaliśmy długo na łasce urzędników. Prawie każdego z podróżnych powitał tu ktoś... począwszy od sióstr miłosierdzia, oprócz nas i biednego *incisore* rzymskiego, który wyszedł jak obłąkany od wrażenia... Była to pierwsza jego podróż w życiu... pierwsza chwila osamotnienia. Na statku, który go wiózł z Włoch, czuł się jeszcze jakby na pół w domu... tu otoczyli go obcy.

Pierwsze wrażenia z przybycia do Marsylii, z porównania mimowolnego Włochów z Francuzami, całe było na korzyść ostatnich. Znać tu karność i porządek kraju dawno zagospodarowanego. Lud, żywy i wesoły prawie jak Włosi, praktyczniejszym się być zdaje... Nadewszystko dziwném i nowém jest dla nas, że tu nikt po datek, jałmużnę, podarek, ręki nie wyciąga, gdy we Włoszech i po komorach i wszędzie, każdy się domagał zapłaty, każdy musiał być odprawiony choć drobną jałmużną. Więcéj godności w ludziach choć powierzchownéj.

Nasze pakunki przejrzano do dna troskliwie, nudnie, ale grzecznie... za niektóre rzeczy płacić musieliśmy cło... Zawieziono nas wreszcie na Cannebière, do szumnie nazywanego Hotelu Luwru, gdzieśmy tylko resztę dnia i noc przebyć mieli...

XXXVIII.

Francya w r. 1858.—Marsylia.—Legenda i historya.—Cannebière.—Włochy i Marsylia.—Typy i fizyognomia miasta.—Kościoły.—Wycieczka do Tulonu.—Wąwozy Oullioleś.—Miasteczko.—Tulon.—Arsenał.—Widoki.—Droga do Nizzy. Cannes.--Hotele i cudzoziemcy.—Zimowa pora w Nizzy.—Okolice.—O Nicejczykach.—Wspomnienia Piusa VII i t. d.

Trzynaście lat minęło od tego roku 1858, gdyśmy przybyli do Francyi, oglądając ją po Włoszech... Los obu tych krajów zmienił się tak dziwnie, tak niespodzianie, iż we śnie gorączkowym nawet przewidzieć nie było podobna, co spotka nieszczęśliwe Włochy i szczęśliwą naówczas Francyą. Byłżeby kto choć zamarzyć mógł, że Włochy zjednoczone wyrosną na państwo, mające przyszłość przed sobą, i że olbrzymio się nam wydająca potęga cesarstwa runie jednego dnia, jednéj godziny, rozsypując się w proch i zgniliznę! Dziś, gdy po tych latach trzynastu, które zmieniły losy Europy, zaglądamy do notatek podróżnych, pytamy się siebie, dlaczegośmy naówczas nie mogli dostrzedz zarodu tego, co w tak blizkiéj przyszłości nastąpić miało? ale któż widział jaśniéj, kto sięgnąć mógł myślą zuchwałą w te niezbadane głębiny przeznaczeń? Są przepaście, których się nie widzi, aż stanąwszy u brzegu...

Francya, jaką się nam wydawała naówczas, pełną siły i życia zdrowego... odbije się w tych notatkach, których przerabiać nie chcemy. Nie obronimy się tylko może nie jednemu porównaniu i uwadze, które się natrętnie wcisną.

Piękną jest legenda o założeniu Marsylii. Foceńczycy, którzy tu kolonią założyć pragnęli, wysłali od siebie posła do króla Sygobrygów, niejakiego Protisa, dla zawarcia z nim sojuszu. Protis przybył wypadkiem w dniu, gdy doszła do lat córka królewska, Gyptis, wedle obyczaju narodowego męża sobie wybierać miała... Znakiem wyboru było, iż dziewczę niosące pełne wody naczynie, oddawało je temu, który się jéj podobał. Protis był świadkiem obrzędu; piękny Grek zwrócił oczy dziewczyny, która rumieniąc

się, stanęła przed nim ze dzbanem. Małżeństwo to dało początek kolonii Massalią nazwanéj. Osada, zwiększona późniéj zbiegami po zdobyciu Jonii przez Harpagusa, zaludniła się, rozszerzyła i stała jedném z najważniejszych targowisk. Port marsylski przyjmował statki z całego naówczas znanego świata—marsylskie okręty opiérały się nieraz statkom z Tyru, Rodu i Kartaginy. Była to mała rzeczpospolita, rządzona przez znakomitszych obywateli wybranych, z których łona wychodziła rada piętnastu i trzech urzędników pełniących obowiązki jakby konsulów. Marsylscy koloniści dali początek innym osadom, Nicei, Antipolis (Antibes), Monaco i t. p. Ścisłe przymierze łączyło Marsylian z Rzymianami, aż do zdobycia miasta przez Cezara... Z utratą niepodległości nie straciła wszakże Marsylia swéj ważności handlowéj; ani świetności, jaką jéj grecka nadawała kultura. Zwano ją Atenami Galii; wydała wielu uczonych i wielu z nich przytuliła gościnnie. Z upadkiem świata rzymskiego, chrześcijaństwo przyszło tu pod koniec trzeciego wieku. W r. 288 ogłosił się wyznawcą Chrystusa dowódca wojsk rzymskich, Wiktor, którego Maksymian wydał na męki. Krew przelana była płodną; nauka nowa wzeszła i rozkrzewiła się. Ale z nową epoką nastały dla miasta cięższe czasy, wojny, rozterki domowe i chwilowe tylko błyski powrotu do życia dawnego i świetności. Za Karola VIII przyłączoną została do Francyi, i odtąd dzieliła jéj losy. Dziś jeszcze jestto jedno z najbogatszych, najożywieńszych i najgorętszego ducha miast w kraju. W ostatnich czasach nawet zyskało wielce powierzchownie, kilką pomnikowemi przyozdabiając się budowami.

Przez krótki czas pobytu, mało miałem zręczności przypatrzyć się Marsylii; ale z okna mieszkania mogłem owę sławną i prześmiewaną przez Paryżan oglądać Cannebière... która jest wistocie wspaniałą, piękną i wytwornie zbudowaną ulicą. Paryżanom wolno tylko sobie pożartowywać z téj Cannebière, dlatego, że Marsylianie są nią dumni... Długa i szeroka jak ulica St. Honoré w Paryżu, w jednym końcu ma przechadzkę, rodzaj ogródka, zwanego *Cours*, drugim schodzi ku morzu. Gmachy, które ją otaczają, pięknéj architektury, nie oszpeciłyby żadnéj stolicy. Ruch na niéj wielki, ożywiona bardzo. Po włoskich nawet większych miastach, Marsylia wygląda porządniéj daleko, więcéj europejsko, czyściéj, wytworniéj. Tu życie zdaje się iść normalnym, obrachowanym, pewnym już trybem, gdy we Włoszech fantastyczne, nieporządne, urywane, gwarne, gorączkowe, albo się śpieszy do zbytku, lub całkowicie zamiéra... Znać, że cywilizacya uregulowała tu wszystkie funkcye, odbywające się jak w dobrze nakręconym zegarku. We Włoszech lud jest panem i gospodarzem ulicy, tu czuć policyą i władzę,

która rozporządza wszystkiém, nic się z tych klub wyrwać nie może. Nie spotyka się już owych budek, straganów, rozsypanych koszów z owocami, garkuchni na chodniku, warsztatów na drodze, ani wykrzykujących przekupniów, ani postrojonych sklepików z limonadą, a nadewszystko nie dopatrzysz nigdzie Madonny ani Chrystusa na domu, ani lampy przed żadnym obrazem. Tu każdy kąt, przymurek, ścianka, nisza, szczyt domu, każde najmniejsze miejsce wolne zajmują prospekta i ogłoszenia ogromnemi głoskami, ilustrowane, upstrzone, dla zwrócenia oka. Wieczorem, zamiast świateł przed obrazami, gaz zapalają wszędzie, a najobficiéj po sklepach, zamiast gitary, słychać z otwartych okien gammy fortepianów, a wrzawę wesołą ludu zastępują pijane okrzyki majtków.

Gdy Włochy poetyczne, ozłocone podaniami, po tylu nawet przesadnych i gorących opisach, obrazach, rysunkach, wydają się podróżnemu całkiem nowe, cudniéj piękne, a wielce różne od tego, co się zastać spodziewał—gdy w nich co krok spotyka jakiś szczegół, jakieś znamię, promyk, którego nikt nie pochwycił—tu we Francyi znajduje się po raz pierwszy ten, co o niéj słyszał, czytał, co ją zobaczył na różnych grafiach, jakby w domu. Podobniusieńka jest do odwzorowanéj, z tą może różnicą, iż w artystyczném powtórzeniu była wdzięczniejszą. Najpospolitsza rycinka dała ci twarz, a można rzec ducha téj cywilizacyi, w któréj niéma prawie niespodzianek... Ludzie, ludzie nawet zdają się wyjęci z karykatur Gavarniego i Daumier'a, z ilustracyj Bertall'a; z opisu Paryża jakiegoś, z jakiéjś teki Charivari. Żaden lazaron malowany, żaden obrazek, których po świecie krąży tyle, nie ujął całkiem fantastycznego oblicza Neapolitańczyków, nie wniknął w tajemnice bytu i żywota, w których jest iskra ambrozyi i iskra boża, gdy tu już wszystko czysto po ludzku prozaiczne, porządne, zimne, obrachowane i widocznie do jednego celu dąży—do życia dla życia i użycia. We Włoszech królują jeszcze złociste Madonny, panują cuda, śpiewają strofy Tassa, obdartusi grają na gitarach i żyją kawałkiem kawona; lazaron wyciąga rękę do celenzy, ale się z niéj śmieje i czuje jéj równym, gdy w Marsylii Mires tylko królem, pieniądz panem, handel religią. Trzeba było widzieć, jak ów potentat giełdy paryskiéj dla wszystkich zaparte drzwi komory tłukł pięściami, bo czuł, że mu tu wszystko wolno.

Nie wiedzieliśmy, patrząc na to dobijanie się zuchwałe, iż Mires, w Marsylii szczególniéj, miał prawo gospodarować jak w domu, po nabyciu w r. 1853 całych gruntów Lazaretu i Joliette od miasta za dwadzieścia milionów, do których ze wspaniałości swéj przydał 200,000 fr. na budowę nowego kościoła, na który i place wyzna-

czył. Co się z tą jego spekulacyą stało, dziś już doprawdy dobadać trudno.

Marsylia wygląda ładnie, ale zimno, starych pamiątek, pomników, śladów jakiegoś uczucia, nawet kościołów w niéj nie widać; sklepów zato mnóstwo. Chodnikami suną się *niby paryscy* eleganci, środek ulic zajmuje główna sprawa, handel. Po zaprzęgach z koni małych włoskich, mułów i osłów, tu uderza olbrzymi koń normandzki, stąpający powoli z rogiem nad łbem, zastępującym włoskie pióra, dzwonki i świecidła. Takich koni poważnych, tłustych, lśniących, ciągnie się często sześć, jeden za drugim wprzężonych do wozu, naładowanego pakami.

Inny téż typ ludności miejscowéj, szczególniéj kobiet, których strój, ruch, wejrzenie zdradza więcéj inteligencyi, dowcipu, przebiegłości. Niéma tu krzykliwości, gadatliwości i śmiechu, a mimo to może więcéj zepsucia. Tamto natura porywcza, gwałtowna, namiętna, ta chytra i świadoma swéj siły. Idące na targ Marsylianki w maleńkich białych czepeczkach, rzuconych na tył głowy, lub czarnych i szarych stroikach narodowych, więcéj nam dały poczuć różnicę krajów i cywilizacyi, niż się to wyrazić daje. Kobieta zdradza sobą zawsze, więcéj niż mężczyzna, charakter kraju, pozostają w niéj wybitniejsze cechy plemienia.

Z kościołów, których wśród miasta dojrzéć trudno, najstarszy jest św. Wiktora podobno, z ciekawą i piękną kryptą. Sięga on wspomnieniami V wieku, budową, z któréj niewiele pozostało, początków XIII. W kościele N. Panny, jeśli nas nie omyliło opowiadanie, miał po zmarłym tu Kajetanie Węgierskim pozostać portret, który już teraz zniknął. O grobie bez pomnika nic się dowiedziéć nie można.

W kilka lat po téj podróży, byliśmy po raz drugi w Marsylii i mieliśmy sposobność nieco ją dłużéj oglądać; lecz nie zmieniło to pierwszego wrażenia, jakie na nas uczyniła. Miasto rozległe, okolica malownicza, wszystkie nowe budowy bardzo imponujące i widocznie dobijające się efektu. Odbyliśmy stąd przejażdżkę starą drogą do Tulonu, gdyż nowa koléj żelazna, bliżéj brzegów morza idąca, jeszcze nie była skończoną. Ta wycieczka pogodziła nas z pięknością otaczającego kraju, który jako krajobraz jest prześliczny i daje już przedsmak dalszéj podróży brzegiem z Tulonu do Nizzy, z Nizzy do Genui.

O ile Marsylia, widziana z morza, nagą i smutną się wydaje, o tyle okolice, bujną roślinnością okryte, poprzerzynane cudnemi wąwozy, ponajeżane skałami, ozielenione, z perspektywami, jak dekoracye pełnemi fantazyi i niespodzianych efektów, są ożywione i obrazowe. Wprawdzie pod samém miastem spalone jeszcze ogro-

dy, drzew mało, sucho jest, dziko, pusto, ale dalej wyjechawszy, krajobraz nabiera rozmaitości i choć Salvatorowski zawsze, surowy, ma motywa prześliczne. Taką jest dolina Huveaume, którą się przejeżdża do Aubagne, ze swą rzeką i staremi lasami. Stare miasteczko, ze swym zamkiem na górze i białemi obrywy, wygląda jakby je pejzażysta tam posadził. Wyjechawszy z Aubagne (Albania rzymska), przejeżdża się przez wąwóz zarosły, a potém doliną, całą w drzewach owocowych i ogrodach, która się ciągnie aż do sławnych z dzikiéj i posępnéj piękności wąwozów d'Oulliołes.

Droga, kręcąc się, spadając, podnosząc, przedstawia oku podróżnego pod coraz nowemi stronami otaczające skały, pogruchotane, poobalane, sterczące pionowo, porosłe i nagie, tak, że co chwila się podziwia nieskończoną rozmaitość, choć zawsze jednego charakteru obrazu. Potoki pełne kamieni wstrzymanych w biegu, głazy w najfantastyczniejszych postawach, ziemia najróżniejszych barw, dzikie chwasty i krzaki, trochę wody, składają się na nieskończone, jakby z Calame'a studyów powyrywane obrazki. Niektóre z tych olbrzymich skał obnażonych u góry, zwłaszcza przy właściwém oświeceniu, łudzą jakby ruinami starych murów i zamczysk. Choć rzadko, spotyka się tu jeszcze włoską parasolową pinią, wdzięcznie rozpostartą na tle nieba. Jedzie się temi wąwozami, które dla artystów, gdyby nie wspomnienie Kaspra Bezy i możliwych jego naśladowców, cudnegoby dostarczyły materyału do studyów, aż do miasteczka Oullioles.

Miasteczko z zamkiem wygląda wśród lasów i zdala otaczających je pagórków równie dekoracyjnie, krajobraz może aż nadto sztucznym się zdaje, tak jest złożonym szczęśliwie.

Głównym przedmiotem przemysłu mieściny téj są nieśmiertelniki! Trudnoby uwierzyć temu, gdyby się o tém w miejscu przekonać nie było można. Ogromną ilość uprawianych tu wywożą po całéj Europie. Zbliżając się do Tulonu, czuć jakby sąsiedztwo Włoch: wracają drzewa oliwne, pinie i bastydy nawet nabierają kształtów, przypominających Włochy. W prawo gdzie-niegdzie przegląda szyba morza. Nareszcie ukazuje się u stóp wzgórzów i obrywów miasto i port. Tulon, za rzymskich czasów mało znacząca osada, późniéj nierychło oceniony, winien pierwsze mury Henrykowi IV-mu, Richelieu'mu założenie arsenału i powiększenie portu, który za Ludwika XIV-go przeznaczonym został dla wielkich okrętów wojennych.

Miasto dzisiejsze otaczają jeszcze mury ówczesne. Leży ono na pochyłości, wśród gór pięknego rysunku, i ściąga oczy więcéj lasem masztów i portem, niż samém sobą. Port i okręty stanowią życie Tulonu; właściwie dwa porty, gdyż wojenny jest oddzielony od ku-

pieckiego. W obu jednak okrętów mnóstwo, ruch wielki. Wzgórza zatoczone wpółokrąg, osłaniają przystań. Samo miasto nie przedstawia nic ciekawego; stanąwszy w hotelu Maltańskiego krzyża, przy pięknemi drzewy ocienionym *Place d'armes*, mieliśmy odrazu przed sobą część najpiękniejszą — i jedynie widzenia godną. Wszyscy podróżni, którzy tu przybywają, głównie chcą oglądać arsenał, port i tych nieszczęśliwych skazanych, którzy w nim pracują. Wistocie arsenał widzenia jest godnym; nie powiemy tego o warsztatach i więzieniach galerników, bo znajdujemy, że więzienia i szpitale obłąkanych powinni tylko oglądać ci, którzy się tam chcą czego nauczyć.

Prosta ciekawość pocóż ma prowadzić tam, gdzie najboleśniejszy dla serca ludzkiego widok spotyka, upokarzający upadek ducha lub zbrodnię. Lekarz, prawnik, ten który się zajmuje chorobą ciała i duszy, aby ją leczył, mają prawo badać nieszczęśliwych—iść ku nim dla nasycenia chorobliwéj ciekawości, nie wiem, czy się godzi. Do arsenału tulońskiego prowadzi jakby łuk zwycięski, majestatyczna brama, przyozdobiona rzeźbami i marmurowemi kolumnami, niekoniecznie najwytworniejszego smaku. Czuć w nim epokę, w któréj, nie mogąc tworzyć pięknie, wysadzano się na bogactwo i dziwaczność. Wszedłszy w obszerne podwórze, po za którém widać już morze i okręty, postrzega się budowy ogromne, zawierające w sobie warsztaty, magazyny, biura urzędników, kuźnie i t. p. W gmachu, zajętym przez dyrekcyę, zwanym zegarowym, na dole mieści się muzeum wzorów najrozmaitszych statków: od łódki począwszy, do olbrzymiego wojennego okrętu.

Oprócz tego, pokazujący arsenał nie dają pominąć najróżniejszych tu pomieszczonych warsztatów i zbiorów, dla podróżnego mało zajmujących i zrozumiałych. Niezmierne zapasy dział, kul, lawetów, dziwią tylko i smucą, bo przypominają niezbędną potrzebę wojny, która jest najstraszniejszą klęską, nietylko materyalną, ale moralną. Każda z nich, w dzisiejszych czasach, hamuje i spóźnia cywilizacyę ogólną. Z tych muzeów i zapasów najciekawszą jest sala zbroi i oręża, ubrana z wielkim kunsztem w samę najrozmaitszą broń tylko. Broń ma to do siebie, że jak kości człowieka u kapucynów w Rzymie—daje się użyć do wytworzenia najpiękniejszych ornamentacyj, deseniów; kolumny, gwiazdy, kwiaty, gzymsy ułożyć się z niéj dają i wyglądają nader powabnie. U drzwi stoją dwa pełne uzbrojenia na straży, które fantazya przewodników chrzci nazwiskami rynsztunków Godfreda de Bouillon i Rajmunda, hrabiego Tuluzy. Kto chce, może wierzyć i marzyć. *Grand bien lui fasse.* Co się tu dawniéj przynajmniéj mieściło zapasów dla artyleryi, o tém dać nie można pojęcia, aby nie być o przesadę

posądzonym. Daléj przechodzi się do coraz nowych warsztatów, aż nareszcie do miejsca, gdzie pracują galernicy, pod bardzo surowym dozorem i ostrą karnością. Nie przeszkadza to corocznie kilkunastu lub kilkudziesięciu najcudowniejszym jakimś sposobem wyrwać się z tego piekła, w nadziei swobody, którą rzadko zyskują. Naówczas wystrzały działowe zwiastują okolicy o zbiegu, sieją przestrach i narażają nawet spokojnych i niewinnych ludzi na chwytanie przez żandarmów, jeśli papierów, udowadniających, kim są, nie mają przy sobie. Trafiało się artystom w okolicy wędrować pieszo dla sprawdzenia aż do portu. Chociaż tu warsztaty budowy okrętów są na olbrzymią skalę, ale myśl niewoli, kary, więzienia, którą zieje cały ów port, sprawia, że one mniéj zajmują. Wiem tylko, żem z przyjemnością wielką siadywał na wybrzeżu w Sestri di Levante pod Genuą, przyglądając się wesołemu ciosaniu, piłowaniu i smoleniu bark, które Włosi, śmiejąc się i śpiewając, klecili, a tu jakoś nie miałem ochoty się przypatrywać. Do widzenia jest jeszcze cysterna olbrzymia, ogród na niéj zasadzony Saint-Mandrier i do słyszenia echo w cysternie, powtarzające głos nie wiem wiele razy, bardzo wyraźnie; ale uczucie sąsiedztwa tych nieszczęśliwych skazańców nie dozwala w niczém zasmakować.

Z Tulonu, zawsze najpiękniejszą w świecie drogą, któréj dla tego samego opisywać nie śmiemy, żebyśmy jedne prawie widoki i jedno niemi zachwycenie powtarzać musieli, jedzie się, mijając Cannes, do Nizzy. Przebyliśmy tę drogę wówczas, gdy jeszcze kolei żelaznéj nie było, nie myśląc wcale o notatkach, nasycając się tylko cudnemi wybrzeżami, tak że nam dziś z niéj pozostało nie więcéj, nad kilka rysunków podróżnych.

O ile nam ona w pamięci została, wiemy tylko, że od Tulonu widoki już nie są tak posępne i dzikie. Cannes, które chciało rywalizować z Nizzą, bo ma klimat równie łagodny i równie piękną wegietacyę i to samo morze, wyglądało już na taką stacyę dla cudzoziemców, przyozdobioną wytwornemi willami, ale mieścina bardzo maleńka; nie wiem, czy tu bogaci wędrowcy mogli równie łatwo opatrywać się we wszystkie życia zbytkownego potrzeby. Wspomnienie 1815 r. nie robi innego wrażenia, nad smutną pamięć ofiar, jakie pociągnęło za sobą.

Nizza jest cała, można powiedziéć, hotelem i mieszkaniem do najęcia, żyje ze swego powietrza, ze swych kwiatów, ze sławy swojéj, a teraz może z sąsiedztwa Monaco, w którém się wygodnie i wesoło zgrać można. Naówczas, gdyśmy tu byli, jeszcze koléj żelazna nie łączyła ich z sobą, a nawet nie przypominam, czy w Monaco p. Blanc już był bank, dla uszczęśliwienia ludzkości, założył. Pora to była jeszcze niewłaściwa do odwiedzin; miasteczko

wypoczywające, puste, mieszkańcy pochowani, hotele kwaśno przyjmujące podróżnych, na których pobyt dłuższy rachować nie mogli. Przed wojną i przyłączeniem do Francyi, ojczyzna Garibaldego wcale nie wyglądała na miasto włoskie, była raczéj kosmopolityczną przystanią, niezmiernie drogą i czyhającą na to, aby przybywający do niéj wywiózł stąd wspomnienie zdzierstwa. Panują tu Anglicy szczególniéj, bo płacą najchętniéj i nie targując się; to téż znajduje się tu, jak w Dreźnie, cały osobny kwartał miasta—angielski, przechadzka Anglików, apteki angielskie, sklepy i t. p.

W téj części miasta wszystko nowe, wytworne, wygodne może, ale nie ładne. Wyschłe łożysko strumienia kamienistego, w którego ostatkach wody praczki cały dzień z bielizną się uwijają, dość nieładnie wygląda; ale tuż morze, które za to wynagradza.

Stare miasto i port, resztki zamku, ogród publiczny na górze zamkowéj, są najpiękniejszemi miejscami Nizzy. Góra, na którą się wjeżdża krzewami i drzewy południowemi osadzoną drogą, wśród aloesów, palm, cyprysów, urządzoną jest z wielkim smakiem i widok z niéj na morze, na okolicę, aż ku Korsyce, przepiękny. Piękną téż zwłaszcza jest dolina, w któréj leży Nizza, którą od północy osłaniają ostatnie Alp stoki. Żyznéj, łagodnego klimatu dolinie téj, wiekuistego kwiecia, okolicom prześlicznym winno to miejsce swą sławę, swe bogactwo, swe życie. Lord Brougham, który mieszkał w Cannes, dlatego tylko ażeby mu tam było spokojniéj, był jednym z najupartszych krzewicieli téj teoryi, iż człowiek w miarę jak się starzeje i czuje słabszym, coraz cieplejszego, łatwiejszego do życia, niewystawionego na nieustanne zmiany, winien szukać klimatu. Z całéj téż Europy osoby delikatniejsze lub wyobrażające sobie, iż się bardzo szanować powinny (choć to nie zawsze jest najlepszym środkiem przedłużenia życia), jadą do téj sławionéj Nizzy na zimę. Wistocie w szczęśliwszych latach przez całą prawie zimę, można tu śniadać na balkonie, zieloność, róże i kwiaty trwają ciągle. Niestety, ludzie tu umierają, jak gdzieindziéj! Przechadzki w okolicę najsłynniejsze są do groty św. Andrzeja i do ciemnéj doliny; nie mówiąc już o źródłach templaryuszów i innych dalszych wycieczkach. Zamek i grota św. Andrzeja, wśród obrosłych lasem gór, w dzikiéj, pustéj, ale zielonéj okolicy, są rzeczywiście pięknym obrazem. Ze skał prostopadłych, pełno się sączy strumieni, kształty ścian malownicze, ścieżki kręte, fantastycznie łożyskami potoków idące. Sama grota ze swém źródłem romantyczne Angielki wprawia w zachwycenie. Grot takich, stalaktytami okrytych, jest kilka w okolicy. Dolina ta ciemna jest ulubienicą gości; przyozdobiono ją mnóstwem legend, które przybyły tu, jak się zdaje, z podróżnemi razem. Znać ją wiekami pracowite wody wymy-

ły, i z obu stron pochylone, jakby skały, zamykają to stare, wyżłobione głęboko łożysko, którego ściany bujna zieloność osłania. W jednym końcu rozszerza się ona i zacisznym, miłym otwiera kątkiem, w którymby pustelnik mógł zamieszkać. Tylko żeby mu tu przez znaczną część roku spokoju ludzie nie dawali. Cały departament Alpes maritimes jest żyzny i piękny, w dolinach są wyborne pastwiska dla trzód, których tu mnóstwo hodują. Drzewo oliwne rośnie tu prawie dziko, dosięga ogromnych rozmiarów, żyje długo i rodzi, ale téż na owoc z niego czekać potrzeba, bo z nasienia po pięćdziesięciu, a z gałęzi ledwie po dwudziestu pięciu latach obficiéj rodzi. Oprócz tego, jeśli się zima ostra przytrafi, drzewa marzną i giną. Kształty pni oliwnych starych są bardzo fantastyczne. Z wielką łatwością téż utrzymują się w gruncie pomarańczowe i cytrynowe drzewa, i wiele ich się tu znajduje po ogrodach. Pomarańczowych najwięcéj w okolicach Nizzy, cytrynowych około Villefranche, Monaco, Roquebrune, Menton i w dolinie Nervia. Jednakże i pomarańcza i cytryna potrzebują osłony od północy. Z kwiatów pomarańczowych pędzona woda i sok cytrynowy stanowią przedmiot znacznego handlu. Oprócz tego rośnie drzewo figowe, morwowe, kasztan, orzech i migdał. Samych fig w r. 1820 zbierano tu 400,000 kilogramów, dziś pewnie wychodzi ich znacznie więcéj.

Zakończym ten ustęp kilką słowy hr. Drohojewskiéj, która w swéj zajmującéj książeczce (Une saison a Nice, Chambéry, Savoie) tak mówi o Nizzy i jéj mieszkańcach: „Życie tu miłe jest i łatwe, wprawdzie przedmioty zbytkowne dochodzą cen szalonych, natomiast, pomimo coraz zwiększającego się napływu bogatych gości, wszystkie pierwsze potrzeby życia obfite są i ceny ich umiarkowane. Pokarmy wyborne i bardzo urozmaicone, tak naprzykład ryby i zwierzyna doskonała, mięso najlepsze, łączą się na wszystkich targach i na wszystkich stołach z najpiękniejszemi owocami i najwytworniejszemi jarzynami. Natura tu tak szczodra, klimat tak zachwycający, nadewszystko temperatura tak równa, że człowiek nadmiarem tych darów nasycony, mniéj niż gdziekolwiek potrzebuje wrzawliwych zabaw; to téż świat tutejszy mało daje balów, nie wysila się na przepychy, które pod mniéj szczęśliwém niebem zdają się płacić ludziom wyższego towarzystwa długiemi nocami i dniami mglistemi zimy, za brak słońca i zieleni. Z tego powodu kobiety nie wysadzają się na stroje, ale téż nie zaniedbują. Przeciwnie, podoba się w nizzejskiém towarzystwie smak doby i brak pretensyi, który mu szczególny i miły nadaje charakter. Łatwość w pożyciu, wdzięczną prostotę winni są Nizzejczycy swemu majątkowemu położeniu, dostatkowi, skromnemu, równemu prawie

u wszystkich, rodzącemu następnie wielką serdeczność i zapobiegającemu pragnieniu przesadzania się, rywalizacyi, współzawodnictwom, które są wszędzie i we wszystkich niemal klasach społeczeństwa jedną z najboleśniejszych ran naszéj epoki. Tu niéma lub nadzwyczaj mało takich współubiegań, a wszyscy przesadzają się tylko w grzeczności i przyjęciach cudzoziemców, które pospolicie przypisują temu, że Nizza winna swą pomyślność i dostatek napływowi ich, chociaż ja wolałabym w tém widziéć naturalny owoc wrodzonéj serca dobroci. W niedzielę, po mszy trzeba widziéć mieszkańców na tarasie, który, złączywszy się ze staremi mury, prowadzi na skałę zamkową. W połowie tarasu marmurowemi wschodami schodzi się ku przechadzce, ocienionéj wiązami. Tu scena ożywiona bardzo. Mężczyźni wprawdzie trochę się zaniedbują w ubraniu; ale się pojmuje, iż przyczyną tego musi być wpływ klimatu południowego. Łagodne niebo czyni téż łagodnemi i poufałemi obyczaje. Kobiety, poubierane z wielką prostotą, odznaczają się majestatyczną żywością Prowansalek; wzrost ich wogóle wyniosły i postawa zręczna, wejrzenie głębokie i uśmiechnięte, odpowiedź szybka i dowcipna.

„Rozmowy krzyżują się, mieszają, strzelają słówka, uśmiechy, postrzeżenia trafne, i dziesięć języków tak się tu miesza łatwo, że się pyta w duchu mimowolnie, który z nich narodowy? Na to odpowiedziéćby trudno. Nizza była włoską nazwiskiem—obyczajem, sympatyami zawsze więcéj francuską, napływ obcych czyni ją kosmopolityczną potrosze, gdy w głębi może najbardziéj jest prowansalską. Wistocie lud tutejszy jest najlepiéj zachowaną pamiątką po owéj staréj Prowancyi, którą trubadurowie opiewali z taką miłością i zapałem.“

Do wspomnień Nizzy należy przejazd przez to miasto papieża Piusa VII w roku 1809 d. 7 sierpnia i trzydniowy pobyt jego. Zbiegły się tu tysiącami pobożne tłumy z okolic, tak, że miasto ich nie mogło objąć. Obozowały na ulicach, na brzegu morza, a serdeczne wołania prawie co chwila wyzywały starca znękanego, aby im błogosławił. Rybacy ostatniego dnia naprzeciw pałacu prefektury na morzu stanęli z łodziami oświetlonemi, postrojonemi, aby im także sieci poświęcił. Nazajutrz Pius VII musiał jechać w dalszą drogę, któréj celu nie wiedział.

Powtórnie ukazał się tu Pius VII w lutym 1814 r., gdy gwiazda Napoleona zgasła i cesarz uznał wreszcie słuszném pozwolić na powrót jego do Rzymu. Tak samo tłumy go przyjęły, a długie męczeństwo świętego starca zapał ich podniosło do najwyższego stopnia. Zatrzymano powóz, urządzono pochód uroczysty, i wśród okrzyków, oświetlenia, wieńców, nieopisanéj radości wjechał Pius VII

do Nizzy, wprost wysiadając przed katedrą. I znowu trzy dni spoczywał tutaj, otoczony pobożną ludnością całej niemal prowincyi. Jakiego przyjęcia doznał na całej drodze, opisać niepodobna. Na pamiątkę tych dwóch przejazdów Piusa VII i dni uświęconych jego pobytem, wystawiono marmurową białą kolumnę, z herbem ojca św. i napisami w tém miejscu, gdzie lud wyprzągł konie z powozu. W sali rady miasta znajduje się portret, na pamiątkę ofiarowany przez papieża.

Wracamy teraz do Marsylii, od której nas wycieczka ku Nizzy odciągnęła, i w dalszą puszczamy się drogę.

XXXIX.

Droga do Paryża.—Krajobrazy.—Tarascon.—Avignon.—W wagonie.—Lyon. — Obrazy Lyonu z natury.—Przemysł.—Vienne. — Okolice Paryża. — Handel! Handel!—Paryż jakim był i jakim jest. — Cesarstwo i społeczność. — Paryż monumentalny.—Historya jego.—Pałac królów.– Templaryusze.— Dalszy ciąg dziejów i wzrost Paryża.—Napoleon.—Restauracya. — Dzieje współczesne. — V. Hugo o Paryżu.

Dosyć jest powiedziéć, że z Marsylii pociąg kuryerski nielitościwy porwał mnie na skrzydła pary i niósł, nie spoczywając, aż do Paryża, aby się wytłómaczyć z tego, żem z okna wagonu nie wiele mógł widziéć i ta najpiękniejsza może część Francyi mignęła mi, jak sen tylko. Szczęściem kilkakroć potém daleko powolniéj, zatrzymując się, przebywałem drogę z Paryża do morza Śródziemnego i mogłem dopełnić późniejszemi studyami pobieżne wrażenia tego przelotu. Zaraz za Marsylią, która nam z oczów znikła, ukazały się malownicze skały żółte i szare, a wpośród nich i wielkiéj masy zielonych ogrodów, w których widać było cyprysy, pomarańcze, winne sady, domki schludne i ładne, chociaż bez wielkiego starania o zewnętrzny wdzięk stawiane. Ogrody i budowle były widocznie dla gospodarstwa tylko pourządzane, wszystko pod sznur, w grzędy, w linie proste. Potém znowu skały i obrywy i w lewo jeszcze raz błysnął morza kawałek, aleśmy je wnet z oczów stracili. Z fizyognomii kraju ledwie się co pochwycić dało; czasem przypominał brzegi morza Czarnego. W lewo pokazywały się słone jeziorka, sadzawki i kupy soli około nich. Wszędzie znać gospodarstwo i staranie, chociaż ziemia płowa, spalona, nie zdaje się być urodzajną. Na górach od południa winnice, inaczéj uprawiane jak we Włoszech, krzakami, przy ziemi i drobnych kijkach. Tych wieńców od drzewa do drzewa czepiających się tak ozdobnie, tak wdzięcznie, tu już się nie spotyka, wino rośnie prozaicznie, jak u nas kartofle.

Przez okno wagonu migają różne widoki, wzgórza na prawo się podnoszą, potém znowu równiny, żyzne, poszachowane, pokrajane na drobne kawałki, łączki gdzieniegdzie zielone, domki ładne w drzew kupce. Wspanialszych pałacyków, zamków, kościołów, pamiątek jakoś nad drogą nie postrzegam. Po miasteczkach ledwie gdzieś coś starego i to tak zrestaurowanego, wybielonego, odmłodzonego, że wygląda jakby nowe. Znać, że kraj i lud żyje więcéj teraźniejszością, że tu dobrobyt jest wszystkiém, a staranie oń pierwszym celem życia.

Poezya uciekła stąd w góry, lasy i pustkowia.

W Avignonie, koło Tarascon kilka wieżyc gotyckich, kilka wznioślejszych muru szczątków, nowym, wybitnie innym zastanawiają charakterem po dłuższém obcowaniu z murami we Włoszech. Tam wogóle budowy więcéj mają cech staro-rzymskich, jakieś są spokojniejsze, cięższe, rozsadowione a przyległe bezpiecznie do ziemi; tu inny pierwiastek, myśl, epoka, przyniosła z sobą wyraz nowy, wieże śpiczasto strzelają i pną się do nieba, dachy piramidami uciekają w górę, ostre łuki piętrzą się i wspinają, zdając się ledwie ziemi dotykać. Czujemy, że inny jakiś lud wydał tu téż sztukę różną od téj, któréj zabytki długośmy oglądali. Tamtych budowli znamieniem jest powaga i siła, tych strzelistość i lekkość. Chrześcijaństwo, które zaparło się ciała w człowieku, w sztuce téż chce być niemal bezcielesném. Ten pęd ku niebu każda wieżyca i portal kościoła ma na sobie wypisany. Jest w tém coś wschodniego, coś radykalnie różnego od szczątków starego grecko-rzymskiego świata.

Po Włoszech całe téż życie Francyi odmienną cechą się narzuca, tam jeszcze w Madonnach, w modlitwach, w zabawach czujesz Boga i Opatrzność, w nieopatrzności narodu jest ona najwybitniejszą; tu człowiek rachuje tylko na siły własne i zabiega, rzuca się, myśli o sobie. Ruch jest wszędzie wielki, nigdzie bez celu, fantazyi, zawsze praktyczny i obliczony. Tam wszyscy mają aż nadto czasu, tu się niesłychanie śpieszą; tam ubóstwo nie wstydzi i niezbyt dolega, jest dopustem bożym, tu sromotą i największém nieszczęściem.

Nie wiem prawdziwie, na któréj stacyi do próżnego wagonu wpadło mi aż pięciu nader niewygodnych sąsiadów, młodych Hiszpanów, podobno z Cette przez Francyę dążących do Londynu. Ciekawi, rozszaleni, natrętni, nieuważający na nikogo w świecie, krzykliwi, rwący się nieustannie do okien, zaopatrzeni w butelki, winogrona, przysmaki, odbywali widocznie młodzieńczą podróż dla wrażeń, dla któréj powinni byli sobie osobny wagon zamówić. Niepodobna było wytrwać z niemi tak dalece, że kapitan francuski,

któremu swém roztrzpiotaniem dokuczyli, wyniósł się prędko do innego powozu. Ja zostałem, bom miał pociechę, w duszy porównywając ich do wielu domorosłych młodzieńców, którzyby się byli pewnie nieinaczéj znajdowali w takiéj podróży.

Tak dojechaliśmy do Lyonu, gdzieśmy w bardzo pięknym dworcu jedli dosyć niedobry obiad. Piękny Rodan mogliśmy tu powitać. Zdala miasto wydało się ludném, ruchomém i tak dobrze zagospodarowaném, jak inne we Francyi. W roku 1848 Feliks Morrand mówiąc o Lyonie odmalował go, jakim jeszcze był podówczas, ale podobno dziś już nie jest: „Liczni podróżni — pisze on — którzy zwiedzają stary gród założony przez Munatiusa Plancusa, drugie miasto Francyi po Paryżu, zgodni są w tém tylko, iż niewiele o nim dobrego powiedzieć mogą. Ulice czarne, ciasne, a raczéj zaułki, przerzynające się skryto wpośród olbrzymich kamienic, jednostajną barwą czarną starości i dymu węgli pokryte; bruk o wszystkich porach roku błotnisty, nasadzany ostremi śpiczastemi kamykami, jak gwoździe u trzewików Owerniaka; drożyny bez wyjścia, z rynsztokami, które niosą z sobą podejrzane jakieś płyny i polepy ciemne i niewytworne wcale; ogromne wrota sklepione, o żelaznych drągach, oświecające miasto okien przez kraty, ciemności ledwie zgłębić się dające magazynów, których słońce nigdy promieniami swemi nie ozłociło, gdzie lampa melancholiczna czasem się zapala o południu; tysiące różnych swędów, lekarstw i korzeni, lub, gorzéj jeszczo, napastujących nerw węchu człowieka; ludność zakłopotana, śpiesząca się, zaniedbana powierzchownie: zamiast zbytkownych i wybornych powozów, w ulicach godnych XVHI wieku, hałaśliwe bryki, ciężkie wozy naładowane górami pak; atmosfera szara, wilgotna pół roku temi mgłami, które do samobójstwa doprowadzają Anglików: oto panorama wesołego Lyonu, uderzająca naprzód każdego tu przybyłego, obcego wędrowca. Charakter mieszkańców niewiele może to pierwsze wrażenie poprawić. Lyończyk jest gatunkiem Holendra uczciwego i czynnego, oszczędnego, pracowitego, lecz któremu niebo, dla zrównoważenia cnót jego gruntownych, odmówiło wszelkiego płochego wdzięku, lekkości, towarzyskości, tego kwiatu ducha, co się dowcipem zowie, lub szczerzéj mówiąc i sprawiedliwiéj sądząc, téj miléj żartobliwości, którą najczystszéj wody Beotczyk paryski umie tak doskonale swoję nicość zamaskować, a razem tego pokostu grzeczności i elegancyi, które dla oczów obcych kryją umiejętnie, co jest pospolitém i samolubném w człowieku. Lyończyk do tych wszystkich sztuk zdolności nie ma. Nie stara się pokazać (i co do tego ma słuszność) ani zabawnym, ani nader miłym; śmieje się, gdy mu na to czasu staje. Handel,

przemysł, rachunki pochłaniają go całego; stąd jego fizyognomia posępna i poważna, a prawdę rzekłszy, dosyć kwaśna. Nie wysilając się na to, surowym jest; zbytku nie potrzebuje wcale, zabaw, smaku nie zna. Obiaduje o godzinie drugiéj, wieczerza o dziewiątéj, a kładnie się cnotliwie potém zaraz, jak średniowieczny kupiec. Dnie całe, niewiele różne od nocy, spędza, z piórem za uchem, w rodzaju piwnicy czyli parteru ciemnego, który lubi, bo to miejsce kryje w swém łonie niepozorném jego towary, księgę rachunkową, jego interesa, co stanowią wielki cel życia. Lyończyk, którego trzydzieści lat takiego bytu zbogacają zawsze, z niewielą wyjątkami nadzwyczajnych klęsk jakichś, nie ma nawet najmniejszéj idei, aby miał potém tego używać, co zapracował; korzysta z tego zwykle dopiéro trzecie pokolenie. Jedyną pociechą i satysfakcyą, jakiéj sobie dozwala, bo mu jéj zwyczaje grodu i tradycye nie bronią, jest kupno wiejskiego domu w okolicy, w którym patryarchalnie spędzać zwykł dzień poświęcony Panu. Od roku 1848 wszakże ten Lyon stary miał się tak nadzwyczajnie zmienić, iż już go poznać nie można. Miasto się przebudowało, a ludzie pod wpływęm ruchu, kolei, stosunków podobniejszemi stali się do prototypu Paryżanów. Czy to jednak istotną dla nich korzyść moralną przyniosło, za to zaręczyć nie mogę“.

Lyon czyli Lugdun (Luctus Durum) jest jedném z najstarszych miast we Francyi. Istniała tu już osada, gdy Munatius Plancus w 710 roku Rzymu założył kolonię stałą, która różnemi losy odtąd na silny gród wyrosnąć miała. Lyon ma wiele pamiątek rzymskich, średniowiecznych, muzea, bibliotekę a nadewszystko słynie ze swych tkanin jedwabnych, które są najwytworniejszemi w Europie. Przemysł ten winien on wychodźcom włoskim, którzy tu osiedli; ale go w miejscu wydoskonalono. W roku 1608 niejaki Daugon pierwszy zaczął wyrabiać tkaniny na osnowie bawełnianéj, z nićmi złotemi i srebrnemi; w 1655 wynaleziono białe jedwabie lśniące (lustris); potém różne rodzaje aksamitów, wzorzystych materyj, brokatelli, atłasów i t. p. Dosyć ciekawa statystyka warsztatów przekonywa, że od roku 1650 do 1680 znajdowało się tu od 9 do 12,000 warsztatów; po odwołaniu edyktu Nantejskiego do roku 1760, zmniejszyła się liczba ta do 3—4,000; w 1788 podniosła do osiemnastu, w 1794 spadła do czterech; a po różnych zmianach w czasie rewolucyi lutowéj pracowało tu już 50,000 i więcéj. Jaki wpływ wywrze obecna wojna na przemysł ten, przewidzieć trudno. W chwili gdy to piszemy, dowiadujemy się, że znaczne zamówienia tkanin jedwabnych z Niemiec poczynione, kupcy i fabryki odrzuciły, składając się tém, iż wszystkie

stosunki dano słowo zerwać, i że łamiący zobowiązanie byłby narażonym nieochybnie na nieubłaganą zemstę ludu. Wartość materyj wyrabianych tu liczono około 400 milionów, w które wchodzi wartość materyału na przeszło 150, robota jest szacunkiem pracy. Gdzież ona znajdzie odbyt nowy?

Nie będziemy się dłużéj rozwodzić nad tém.

W Vienne pokazały się znaczne góry i skały, przebyliśmy parę tunelów. Okolica Lyonu malowniczą wydała się z téj strony. Hiszpanów zastąpił mi nierównie znośniejszy kapitan wojska stojącego w Rzymie, powołany do gwardyi, z zapałem rozpowiadający o wiekuistym grodzie, a nadewszystko o zachwycających czarnookich istotach, które go zamieszkują. Wzdychał, mówiąc o nich, bo się już Annucyat, Pepit... onych nie spodziewał drugi raz zobaczyć w życiu, a nierównie wytworniejsza Paryżanka zabrukanéj a serdecznéj Włoszki nie zastąpi. Zostawując kapitana miłym marzeniom jego i wspomnieniom, próbowałem usnąć, nadchodziła noc, ale spać w tém pudełku toczącém się wśród ciemności, trudno... Już o białym dniu pokazał się Melun, lasy a raczéj plantacye drzew i wśród zieloności miasteczko białe, wdzięczne, z porozsypywanemi domkami, o wysokich dachach, mansardach, ganeczkach ze starannie utrzymywanemi ogródkami, z wypieszczonemi i wytwornemi dziedzińcami z gustem trochę miejskim, ale nie bez wdzięku.

Z okna wagonu nie widzę nic prócz tego, co do mnie samo przychodzi, zbliżanie się wielkiéj stolicy nie zwiastuje się niczém nadzwyczajném; dosyć drzew i zieloności. Nagle zaczynają się zjawiać mury, domy, ściany, ogrodzenia, bramy, kominy całe okryte prospektami, ogłoszeniami, nazwiskami, illustracyami, zaproszeniami. Litery sążniowe, cieniowane, złocone, czerwone, czarne, pną się, cisną, kłócą, włażą jedne na drugie, zdają się bić, napierając do oczu. Olbrzymi surdut, na tytana skrojony, zajmuje cały szczyt domu i oznajmuje mi pierwszy, że jesteśmy w Paryżu. Tak wielki surdut nie pomieściłby się w małém miasteczku. Wielu mądrych ogłoszeń i pomysłów przyznam się, że nawet zrozumiéć nie mogę. Lecimy daléj. W ulicach pełno wozów miejskich, zamiatacze krzątają się z miotłami, godzina szósta rano, pusto jeszcze a już gwarno i ruchliwie. Niéma domu bez sklepiku, bez drzwi, napisu i godła. Frymark panuje tu, handel! handel! Wózki małe śpiewają monotonnie swój towar, posuwają się popychane przez przekupniów. Na ogromnych karach pełno zieleniny i jarzyn, wozy ładowne. Galganiarz jeszcze resztki śmiecia o białym dniu uczenie rozbiera, wracając już spocząć do domu, bo pracuje nocą.

Znać przebudzenie poranku i przygotowywanie do życia, coś nakształt tego, jak gdy we dworze państwo śpią, a służba pokoje czyści i śniadanie dla nich przysposabia. W ulicach widać tylko tę klasę, która dla obrządzenia pracy innym sama pracować musi.

Po miastach włoskich cóż to za ład, czystość, elegancya, porządek! jak tu znać dobrze nakręcony zegarek, który doskonale idzie, obracają się wszystkie kółka.

Przeczuwam i poznaję po drodze ratusz, kolumnę lipcową, to musi być ulica Rivoli, to Luwr i Tuilleries. Tamta wieża, to St. Jacques. Wszystko niewidziane a znajome, ale zajechać i spocząć gdzieś potrzeba. Mam na kartce zapisany mały hotelik Rue d'Antin, więc na los szczęścia do niego. Po nocy w wagonie, po znużeniu długiém, jakże się odpoczynek wydaje wielkiém szczęściem człowiekowi!

Klemrod i Julmo, którzy mnie poprzedzili dniem prawie, zaspani witają czule i starają się sami wypocząwszy, mnie nie dać ani godziny wytchnienia; Klemrod ma posługującą mu za wymówkę teoryę siły ducha, którą mi przyznał niegdyś, gdy ze mną we włoskich przechadzkach nadążyć nie mógł, woląc przypisać duchowi niż nogom moję wytrwałość.

Jesteśmy więc w tym sławnym, wielkim, niezrównanym Paryżu. Trzeba dodać, że w r. 1871, gdy notaty przepisuję, tego Paryża, który się zdawał wiekuistym, już niéma. Jest inny, a raczéj pokłady i materyały, z których się ma narodzić.

Chwila, w któréj nam wrażenia nasze z bruku paryskiego po kilkunastu leciech spisywać przychodzi, bolesne porównanie tego, co dziś jest, z tém, co było, przypomina wiekuiście prawdziwe *Memento mori*, wiszące nad wszystkiém, co ludzkie i ziemskie. Człowiekowi w sile wieku i zdrowia, narodowi w całéj potędze chwały swéj, upadek i śmierć zdają się niepodobieństwem; jeden podmuch losu i wszystko to rozsypuje się w proch. Odkopując stare ruiny Babilonu i Nimrud, Palmiry, Teb, ludzie z trudnością pojąć się silili, jakim sposobem te kwitnące państwa i grody mogły tak zniszczéć do szczętu. Mamy w XIX wieku początek tego procesu przed oczyma, a jego przyczyną główną, jedyną, zawsze i od wieków toż samo, upadek moralny narodu. Czy je rodzi rozpasanie obyczajów, czy choroba politycznych mrzonek, czy nienaturalny rozwój sił kraju, z upadku ducha płynie śmierć, z niego się rodzą ruiny.

Być może, iż się jeszcze odrodzi tu życie jakieś, być może, iż zmartwychwstanie, co wymarło, że prąd nowy odzieleni martwą gałąź Francyi, lecz ileż lat potrzeba na całkowite przetworzenie się narodu i zniszczenie jadów, co tchnęły śmiercią?...

W chwili gdyśmy po raz pierwszy zwiedzali Paryż, myśl o jego

upadku byłaby poczytaną za szaleństwo, za najnieprawdopodobniejszą mrzonkę choréj głowy. Cesarstwo drugie było w całym swym łudzącym blasku; przepych, bogactwo, handel, siła zdawały się świat zdumiewać i grozić mu. Anglia niepokoiła się wzrostem floty, państwa lądowe za jednę z pierwszych armij poczytywały cesarską, na medalach laurem opasywano głowę Napoleona, rozum jego polityczny, przebiegłość, zręczność, sławione były powszechnie, bo szczęście zaślepiało wszystkich. Głos Wiktora Hugo z wygnania, głosy kilku opozycyonistów schronionych w Anglii witano ruszeniem ramion i piętnowano namiętną przesadą; nikt nie przypuszczał, ażeby to, co się świeciło po wierzchu, mogło być we środku tak zgniłém.

Tymczasem głębszy, chłodny, nieuprzedzony rzut oka może już we wnętrzach tych blasków widział zarody słabości i śmierci.

Paryż! Paryż w oczach jego mieszkańców i dla każdego Francuza był stolicą Europy; uznawano nawet w Niemczech panowanie jego nad modą, rządzenie smakiem, kierowanie opinią, moralny wpływ na Europę. Ilekroć drgnęła ta Babel nowożytna, prąd konwulsyjny przebiegał od brzegów Tagu do brzegów Wołgi; zwano go sercem, zwano głową, zwano *katekzochen* stolicą. Miasto za cesarstwa już przebudowywało się i upiększało, zrzucało dawne łupiry domostw, by wdziać nową szatę błyszczącą Hussmanowską. Z całego świata zbiegali się do téj gospody goście chciwi zobaczyć rozkosze i nauki, rozrywki i grosze. Na wielkiéj téj targowicy wszystkiego dostać było można, począwszy od najwytworniejszego jadła aż do najrozumniejszéj książki; robiono w niéj na obstalunek bohaterów i starożytności, reputacye, majątki; nowe twarze strojne kobietom i nowe imiona zniesłowionym osobistościom. Wśród grzmotu oklasków i okrzyku podziwów, jakiemi witano każdy ruch stolicy świata, odzywały się przecie, jakby prorocze głosy Jeremiaszów; Velletan pisał swą Babel nową, Wiktor Hugo Napoleona małego, ale nawet w najgorszym razie, najdaléj posunięte domysły nie były w stanie odgadnąć rzeczywistości straszliwéj, nad wyraz wszelki straszliwszéj.

Wróćmy wszakże do Paryża z r. 1858. Uderzał on naówczas wistocie majestatyczném obliczem stolicy stolic. Każdy Francuz byłby tego dowiódł w najprostszy sposób obcemu przybyszowi. Paryż jest stolicą Francyi, Francya ogniskiem Europy, Europa ogniskiem świata, zatém Paryż jest stolicą świata. Przekonanie to wyrobiło się powoli, i zdaniem jednego uczonego niemieckiego przyszło niepostrzeżenie a logicznie *).

---

*) Karol Rosenkranz.

Pierwszy peryod życia Paryża, powiada on, ginie w mroku celtyckiego świata. Gallowie osiedli na siedmiu wyspach oblanych Sekwaną, które późniéj zrosły się na trzy tylko: Chantier le Bois, St. Louis i Ysle du Palais. Pierwsza jeszcze dziś jest składem drzewa i warsztatów ciesielskich; najmniejsza to ze wszystkich. Ysle du Palais stanowiła *Cité*, gród, właściwe ognisko nowego miasta, i jest z nich największą. Gallowie Lutecyanie żyli tu z rybołóstwa i rzeki; Paryż był jeszcze wioską; dwa mosty łączyły z sobą brzegi przeciwne Sekwany.

W drugim peryodzie życia Paryż jest rzymskim grodem. Po zdobyciu Galii przez Cezara, Labienus zmusił Gallów do ucieczki na wyspy i popalone mosty; zręczny wódz na łodziach przypuścił atak z lewéj i prawéj strony, a głównemi siły uderzył na środek i wdarł się na największą wyspę. Od tego zdobycia Paryża zaczyna się właściwie pewniejsza historya jego. Rzym z sobą wszędzie niósł cywilizacyę swoję i obyczaje; zbudowali twierdzę, uorganizowali cech kupiecki; powstały targowiska, wzniosły się świątynie; zaczęto budować domy na wybrzeżach rzeki; miasto się na stały ląd przeniosło. Pod nie wiem wielą warstwami, z popiołów pokoleń zsypanemi, sterczą jeszcze szczęty łaźni cesarza Juliana, namiestnika Galii, którego tu legie okrzyknęły cezarem. Dzisiejsze drogi jeszcze za Rzymian budować się poczęły. Ślad jednéj z nich odkryto, kopiąc na fundamenta téj kolumny Vendôme, która właśnie w chwili, gdy to piszemy ma być obaloną. Znaleziono nad gościńcem grobowiec setnika i w nim złote monety z drugiego wieku.

Trzecią epokę Paryża dziejów stanowi zdobycie jego przez Franków, w pięćset lat po opanowaniu przez Rzymian. Chrześcijaństwo przyszło tu jeszcze za nich, nowi zwycięscy przyjęli je także. Chlodwig zmienia twierdzę w palatium, które następcy jego Karol Wielki i Hugo Capet rozszerzają i zdobią. Owo palatium składało się natenczas z piwnic, w których trzymano więźniów i wino razem, z wyższego piętra, w którém była kaplica, mieszkanie króla, królowéj, dworu i ogromnéj sali olbrzymiéj, między któréj kolosalnemi słupami stały posągi królów w chronologicznym porządku. W pośrodku był marmurowy stół niezmierny, do różnych służący użytków. Na stole tym w czasie wielkich uroczystości panie dworu stawały się przypatrywać, zastawiano go potrawami dla gości, a pierwsi komedyanci grali na nim *moralités* swoje i farsy. W r. 1618 pożar zniszczył ten pałac i salę, którą późniéj odbudowano bez dawnych ozdób. Ostatni z królów, który tu mieszkał i wesele obchodził, był Ludwik XIII. Epoka od Chlodwiga do Franciszka pierwszego, średniowieczna, przyczyniła się

niezmiernie do rozwinięcia Paryża. Uniwersytet paryski uczynił go stolicą, ogniskiem światła dla Europy. Tłumy młodzieży zbiegały się tu słuchać wykładów najsłynniejszych teologów i filozofów onego czasu, od Wilhelma de Champeaux, wykładających te nauki z rozgłosem wielkim. Profesorowie otwierali szkoły i swobodnie głosili w nich jak Abelard wykłady własnéj myśli. W XIII wieku dopiéro zorganizowano je i ujęto w jedno ciało. Uczniowie, których bywało do 10,000, dzielili się na narody. Sławna Sorbona, początkowo bursa dla ubogich, powstała w 1250 r. z daru kilku dworów, księdza Roberta. Późniéj przeniósł się tu wydział teologiczny. Napływ uczniów był pobudką do ożywienia handlu i przemysłu; szli tu ubodzy, ale przybywali i bogaci. W XIII w. liczba mieszkańców doszła do 200,000, i miasto ku północy coraz więcéj rozciągać się zaczęło. Ku południowi zamieszkała nauka, tu handel, zabawy i właściwe miastu życie. Z obawy napadu Normanów i Anglików otoczono Paryż wałem, fosą i murem z wieżami. Bulwary powstały właśnie na miejscu tego pasa kamiennego starych fortyfikacyj. Ulice, jakie jeszcze w zakątach Paryża niedawno widziéć było można, były budowane ciasno, nieregularnie, kręto i śmiecie zalegało je bezkarnie. Sekwana nie była jeszcze ujęta w groble i mury i wylewała często, zatapiając część miasta. W téj epoce wznosiły się tu najpiękniejsze gotyckie kościoły, mianowicie Notre-Dame, która dopiéro w końcu XVI wieku, po dwóchsetletniéj nad nią pracy dokończoną została. Filip piękny i Ludwik XI w téj epoce przyczynili się najwięcéj do upiększenia Paryża. Wznoszono mosty, starano się zapobiedz wylewom Sekwany; zaczęto budować Luwr, który był tylko początkowo wieżycą otoczoną wałem. Na północnéj stronie Templaryusze zbudowali gmachy, po których jeszcze dziś zostało imię. Po skasowaniu zakonu w 1312 r. odziedziczyło je państwo i obróciło na archiwa i skarbiec. Z tego niegdy klasztoru Ludwik XVI wyszedł na rusztowanie. Dla utrzymania butnych mieszczan w XIV wieku zbudowano bastyllę, czworokątną twierdzę wśród miasta, postrach krnąbrnych. W początkach XV w. królowie francuscy, niedaleko od klasztoru St.-Antoine kupili znaczny plac, około którego mieli ogrody i folwarki, domy, nawet zwierzyńce. Ludność się około nich skupiła. Zbudowano zameczek (le Château des Tournelles), założono park, dawano tu świetne zabawy. Smutny wypadek na turnieju z Henrykiem drugim odstręczył od tego miejsca. Gdy Henryk IV wjeżdżał do Paryża, mieszkańcy na tym placu Royale, trzy dni go festynami przyjmowali; potém obudowano go domami i powoli zszedł na cichą pustkę. Tu mieszkała p. Sévigné i Paskal. Już naówczas Paryż ożywiony był, wrza-

wliwy, pełen ludu, pełen świetności razem i nędzy; a w téj gromadzie z najnieurodniejszych żywiołów złożonéj, rozwijały się najsprzeczniejsze namiętności, idee, nurtowały ją prądy najrozmaitsze. Świętość i cnota ocierały się o zepsucie i bezwstyd; fanatyzm o zobojętnienie sceptyczne. Bezimienne gromady żebractwa, rzezimieszków, uliczników, nędzarzy, rozbójników, cyganów zaludniały ciemne kwartały tego ogromnego i tajemniczego ula. Dopiéro Ludwik XIV, król-słońce, kazał tę nędzotę precz wyrzucić, rozegnać, a kogo złapano, do więzień zamykać.

Paryż, powiada przywiedziony przez nas historyk jego rozwoju wyrósł na ogromne miasto, ale pięknym jeszcze nazwać się nie mógł. Domy, z powodu walk, napadów i potrzeby obrony, budowano jak małe twierdze, więcéj patrząc na bezpieczeństwo, niż na ozdobę. Dopiéro w XVI i XVII wieku architektura ich zmieniać się i wypiękniać zaczęła. Gotyk ustąpił renesansowi, łuk kolistemu sklepieniu, a iglica kopule. Przyczółki domów gotyckie rozległy się liniami prostemi, i naśladowanemi ze starożytnych ornamentacyj wzorami upiękniać poczęły. Posągi świętych, madonny, krzyże, ustąpiły bóstwom Olimpu, Faunom, Nimfom i Satyrom z nisz swoich. Franciszek I w tym stylu budował Luwr, w którego pięknych salach przyjmował Karola V. Katarzyna Medicis wzniosła Tuilerye. Miasto, które dotąd nie miało ratusza, odbywało rady w wieżycy Chatelet, pomieszkaniu burmistrza lub w najętym domu (Meisson aux Pillers); postanowiło téż wznieść dom miejski (Hôtel de ville). Skończył go Corfone w r. 1605. Katarzyna także założyła pałac Luksemburski, Marya Medicis — zamek w Vincennes. Richelieu'go dziełem był Palais Cardinal, późniéj Royal nazwany; on téż pierwszy wyprostował ulicę jednę, która nosi jego nazwisko, i na nowo odbudował Sorbonę. Za Ludwika XIV wznosiły się coraz gęściéj mnogie pałace i gmachy potężne jak Hotel Inwalidów. Oba brzegi Sekwany otoczyły się domami; do dwóch mostów, łączących je, przybyły nowe; przyozdobiono i obmurowano wybrzeża Najpokaźniejsze gmachy pochodzą prawie wszystkie z tych czasów. Pozakładano téż ogrody, pozasadzano drzewa, potworzono cieniste przechadzki. Plac pomiędzy Tuileryami a Luwrem, mokry i opuszczony, za Ludwika XIV zmieniono w piękną arenę, na któréj się odbywały karuzele, bieganie do pierścieni, wyścigi. W sąsiednich lasach powycinano drogi, wśród ich gąszczy poczęły dla spoczynku i zabaw budować się pałace i zameczki. Versailles, który był przed Ludwikiem XIV domem leśnika, stał się najwspanialszém myśliwskiém schronieniem króla. Wyszafowano miliony, aby go uczynić świetnym, złocistym, godnym słońca, które w nim zachodzić miało. Lecz coraz

częstszy pobyt dworu w Wersalu, w Fontainebleau, Compiègne, St. Cloud, Marly, opustoszył nieco Paryż, zdemokratyzował go, przyczynił się do rozdziału wyrazistszego szlachty od mieszczan, przygotował antagonizm późniejszy. W miejsce szlachty szablistéj, wystąpiła szlachta w togach, juryści, a za niemi bankierowie i finansiści, którzy dla uprzyjemnienia sobie życia zbliżyli się do literatów, artystów i teatrów. Pomnożenie pieniędzy w rękach spekulantów ogołociło z nich jedne klasy, w drugich zrodziło zbytek i zamiłowanie wytwornego, rozpalonego życia, którego przykłady szły z góry. Artystki teatralne, jak Adrienne Lecouvreur, miały salony, przyjmowały świetnie i wywierały wielki wpływ na społeczność. Szlachta traciła powoli przywileje, nawet ostatni dawania toru społeczeństwu, któremu królowała pani Geoffrin, żona fabrykanta luster. Paryż opuszczony przez dwór i królów, tworzący sobie życie własne, w XVIII w. za Regencyi stawał się coraz bardziéj zbiegowiskiem świata, stolicą Europy.

Jedną z tajemnic, które to sprawiły, było, że tu się bawiono swobodnie, że bogaty cudzoziemiec znajdował zawsze gotowych na usługi faktorów i wesołe towarzyszki, że zabawy nie miały końca. Jak dawniéj do Wenecyi, zaczęto płynąć do Paryża, w którym kwitły sztuki, encyklopedye i filozofowie, aktorki, balet... i zielone stoliki. W średnich wiekach ściągał tu uniwersytet i nauka, teraz ciągnęła cywilizacya i polor, uspołecznienie, towarzystwo, które głoszono jako najwykształceńsze w świecie; a do towarzyskiego poloru tego zaczęto nad miarę wielką przywiązywać wagę, nie ceniąc go jako oznakę cywilizacyi zewnętrznéj, ale jako zdobycz samę w sobie, najdroższą. Zewnętrzna fizyognomia Paryża, budowy, domy, ulice zmieniały się powoli. W końcu drugiéj połowy XVII w. ulica od Bastylli wiodąca do placu zwanego teraz *place de la Concorde*, wysadzona drzewami, zaczęła się zaludniać sklepami, garkuchniami i kawiarniami. Kawiarnie zajmowały miejsce winiarni dawnych.

Wejście w użycie kawy słusznie bardzo uważają za wypadek wielkiego wpływu na zdrowie, obyczaje, na stan umysłowy ogółu. Odzwyczajać się zaczęto od wina, od upojenia, od tego stanu, w którym pobudzone życie i fantazya ku złemu i dobremu przyśpieszonym biegiem pędziły człowieka. Przy kawie weszły we zwyczaj gazety, gra w szachy, a dla kawiarń, w których modą było zasiąść, spacery. Najruchliwszém ogniskiem Paryża był Palais-Royal, zamykający w sobie cały świat zbytku i rozrywek, począwszy od teatru, garkuchni, aż do gospody i szulerni. W tém to ognisku, ku któremu spływało, co tylko wrażeń, nowin, wrzawy pragnęło, pierwsze iskry rewolucyi błysnęły. Tu Kamil Desmoulins wskoczywszy na stół, zapalającą mową poruszał ciżbę zebraną.

Inne zmiany Paryża zależały raczéj na têm, co ze starego średniowiecznego znoszono, co przerabiano i niszczono, niż na rzeczywiście nowych zakładach. W saméj Cité więcéj pięćdziesięciu klasztorów zniesiono dla rozszerzenia ulic, dla zyskania miejsca, dla światła i powietrza. Cmentarze rozkazano powynosić za miasto. Dwa z nich St.-Denis i des Innocens, zmieniono na targowice. Kości przeniesiono do katakumb pod miastem. Rewolucya też przyczyniła się do nowego oczyszczenia Paryża, burząc Bastyllę, klasztory, pałace, a zarazem niszcząc niezliczone dzieła sztuki, i drogocenne pamiątki. Nie zbudowała wszakże nic oprócz gilotyny, posągu gipsowego bogini rozumu i kilku podobnych mu skleconych na prędce, a rozwalonych prędzéj jeszcze.

Napoleon po tych zniszczeniach i stosunkowém opuszczeniu stolicy zamierzał znowu odbudowywać i upiękniać; jego są dziełem rzeźnie nowe, halle, bursa, miniaturowy łuk zwycięski Karuzelu; rozpoczęty de l'Etoile; kolumna Vendôme, dwa mosty Jena i Austerlicki. Wszystkie budowy tego czasu są niewolniczém naśladowaniem rzymskich z epoki cezarów. Miasto poczęło się coraz więcéj ku północy rozciągać, ulice prostować i przedłużać, a imionami przypominać zwycięstwa, które Francyi przyszło opłacić późniéj tak drogo.

Restauracya, żyjąca po większéj części w Wersalu, mało się o Paryż troszczyła. Zdjęto tylko Napoleona z kolumny Vendôme i ulano z niego posąg Henryka IV, który rewolucya pierwsza przetopiła na działa. W miejscu kaprala na kolumnie stanęła śmieszna olbrzymia lilia Burbonów, istny kwiatek przy... Po rewolucyi lutowéj wzięto się gorąco do ozdabiania Paryża, przywrócono kaprala na kolumnie, wzniesiono łuk zwycięski, kościół Magdaleny, kolumnę Lipcową i przyozdobiono świetnie plac Zgody. Historya tego placu jest też nie bez znaczenia. Za Ludwika XIV był on jeszcze błotnisty i opuszczony. Paryż, rozkochawszy się w Ludwiku XV, chciał mu tu posąg wystawić; Bouchardonowi polecono go utworzyć, osiemnaście lat pracując nad nim, nie mógł dokończyć. Vigalle robił jeszcze trzy lata. Tymczasem owa miłość ostygła i gdy posąg stanął, otoczono go prostym płotem, na tém się skończyło. Plac się zwał Ludwika XV. Rewolucya obaliła posąg, a że tu ścięto Ludwika XVI, nazwano go placem rewolucyi. Napoleon, któremu to imię matki jego nie smakowało, zmienił je na plac Zgody. Miano na nim wznieść posąg Francyi. Za Ludwika Filipa przywieziono i ustawiono tu obelisk Luksorski; chyba dla osobliwości, ostawiono go potém posągami i kandelabrami i rzeczywiście stał się pięknym mimo obelisku, który czuć, że jest gościem, nieumiejącym się rozmówić z Paryżem.

Za Napoleona I myślano o ufortyfikowaniu stolicy. Ludwik Filip podniósł tę myśl i z pomocą Thiers'a w 1840 do skutku ją przyprowadził. Otoczono go wałem, fosami, wieżami, i murami, a oprócz tego obwiedziono fortami w różnych odległościach wystawionemi (Enceinte—Forts detachés). Gdy myśl Thiers'a miano przyprowadzić do skutku, Paryż opozycyjny nadrwił z niéj i naszydził do syta. Obwodowe mury uszkodziły wielce okolice Paryża, gdyż dla przeprowadzenia ich musiano mnóstwo domów, ogrodów, willi przeistoczyć. Ludność stolicy od 1793 roku, w którym nie przechodziła 800,000, dosięgła przeszło dwóch milionów, lecz fortyfikacye zatamowały swobodne rozszerzanie się dalsze. Ludwikowi Filipowi winien Bonapartyzmus sprowadzenie popiołów Napoleona, którego sądził umarłym, gdy właśnie z téj trumny miał w karykaturze zmartwychwstać. Pogrzeb zwłok tych odżywił wspomnienia dni krwi i chwały.

Za Napoleona III Paryż do reszty się odmłodził, przeistoczył, wyrównał, przyozdobił, nie zawsze z najlepszym smakiem, ale kosztem ogromnym. Całe kwartały burzono i przestawiano na nowo, nie przez miłość porządku, ani dla próżnéj pychy, by zasłużyć na imię restauratora, lecz z przyczyn daleko praktyczniéj obmyślanych. Paryż stary mógł w swych zaletach zrodzić i podtrzymywać rozruchy, nowy szczególniéj pod względem strategicznym był zbudowany tak, aby w nim ani się ruszyć, ani ruszywszy utrzymać nie było podobna. Rozłożono w pośrodku umiejętnie koszary, zamieniono niebezpieczne bruki na mac-adamy, sprostowano linie, aby działa wygodnie celować i daleko sięgać mogły. Zresztą bulwarami, gmachami nowemi ozdobiono téż Paryż znacznie, uczyniono go świeżym, eleganckim. Paryż średniowieczny znikł doszczętnie, tak, że oprócz Clugny i kilku kościołów, nic prawie z niego nie pozostało. Dziwna rzecz, dziwne przeznaczenie; Napoleon III, który się tak lękał i tak zapobiedz starał rewolucyi w stolicy, został obalony jedném tchnieniem pogardy narodu.

Najmniéj skłonni do przyznania Paryżowi nazwiska stolicy Europy, wyznają przecież, iż wiele europejskich miast przewyższa go w pewnych względach, ale żadne z nim równać się nie może ogromem, wykończeniem, rozmaitością, pełnością życia.

Obok tego rzutu oka suchego i zimnego na historyę Paryża, który spisaliśmy, chcąc zbliżyć się do jego przeszłości, jakże nie dodać dla uzupełnienia choć kilku wyjątków z żywéj karty tych dziejów, kolorowanéj przez Wiktora Hugo.

„Paryż — powiada on — jest rodzajem niezgłębionéj studni.

„Historya jego, mikrokosmos historyi powszechnéj, chwilami rozwagę przeraża.

„Historya ta, więcéj niż każda inna, jest próbką, jest wzorkiem. Fakt miejscowy nabiera w niéj znaczenia powszechnego. Krok w krok w tych dziejach znaczony jest postęp.

„Co gdzieindziéj jest, wszystko się tu znajdzie. Jest to treść popodkreślana. Łamią się promienie i odbijają; wszystko się tu skrócone ukazuje, ale wyrazistsze. Nie ma studyum, któreby bardziéj zajmującém być mogło.

„Historya Paryża, odkopując je, jak odkopywano Herkulanum, nieustannie zmusza powracać do pracy. Są na niéj pokłady napływowe. Są w niéj konchy i muszle wyschłego morza. Rozczłonkować tę ruinę do głębi zdaje się niepodobieństwem. Oczyszczony loch jeden, odkrywa zasypane lochy. Pod dobrém mieszkaniem znajdujesz kryptę, niżéj od krypty pieczarę, pod nią grób, pod grobem przepaść — przepaścią tą są nieznane celtyckie czary. Wszystko przeszperać zdaje się niepodobieństwem. Gilles Corrozet próbował to uczynić przez legendę; Malingre i Piado Bonfons przez podanie; Du Breul, German Brice, Saural, Bequillet, Piganiol de la Force przez erudycyę; Hartaud i Marigny metodą, Julliot krytyką, Fellibien, Lobineau i Leboeuf ortodoksyą, Dulaure filozofią; a wszyscy na téj opoce połamali narzędzia...

„Spojrzawszy w głębiny Paryża, dostajesz zawrotu. Nic fantastyczniejszego, nic tragiczniejszego, nic wspanialszego w świecie. Dla Cezara jest miastem hołdów, dla Juliana miejskiém schronieniem, dla Karola W-go szkołą, do której powołuje doktorów z Niemiec i śpiewaków z Włoch, którą papież Leon III zowie *Soror bona (Sorbona*, z przeproszeniem Roberta Sorbon), dla Hugona Capet'a pałacem rodziny, dla Ludwika XI, portem opodatkowanym, dla Filipa Augusta twierdzą; dla św. Ludwika le Hutin szubienicą; dla Karola V biblioteką; dla Ludwika XI drukarnią; dla Franciszka I gospodą; dla Richelieugo akademią; dla Ludwika XIV jest łożem sprawiedliwości i izb gorejących, dla Bonapartego wielkim rynkiem wojennym. Początek Paryża schodzi się prawie z końcem Rzymu. Posąg marmurowy damy Rzymianki zmarłéj w Lutecyi, jak Julian Alpinulla w Avenches, spał dwadzieścia wieków w staréj glinie paryskiéj; znaleziono go, grzebiąc się w ulicy Montolon. Paryż nazywa „miastem Juliuszowém" Boecyusz, mąż konsularny, który umarł od postronka zaciśniętego w koło szyi przez kata, aż oczy na głowę wytrysły. Tyberyusz, można powiedziéć, położył pierwszy kamień węgielny kościoła Notre Dame, on ten plac znajdował dogodnym na świątynię i tu wzniósł ołtarz Bogu Cerennos i bykowi Esus. Na górze św. Genowefy czczono Merkurego, na wyspie Louvier Izydę, przy ulicy Barille-vie Apollina, a gdzie dziś Tuilerye Karakallę. Karakalla jest tym cezarem, któ-

ry swojego brata Getę uczynił bogiem za pomocą sztyletu, pchając go nim i wołając: *Divus sit, diem non vivus.* Przekupnie wody, zwani nautami, poprzedzili tu o tysiąc pięćset lat wodotrysk Samarytanki. Przy ulicy St. Jean de Beauvais wyrabiano garnki etruskie, przy Fossés S. Victor był cyrk gladyatorów, do termów dochodził akwedukt od Rongis przez Arceuil, a do ulicy S. Jacques rzymski murowany gościniec. Egipt przedstawia w Lutecyi nietylko Izydę i podanie prawi, że w kamieniu napływowym w Sekwanie odbito żywego krokodyla, którego w XVI wieku jeszcze widziano wiszącego na pułapie w pałacu sprawiedliwości".

Tak to Hugo pisze historyę Paryża. Myśmy tu tylko próbkę jéj dali. Mniejsza o historyę, idzie nam więcéj o to, czém jest i był Paryż dla Europy, a o tém jeszcze w godzinie niedoli i upadku, jak dzisiejsza, głosu się podnieść nie godzi. Pójdźmy przynajmniéj i zbierajmy wrażenia, resztę ktoś kiedyś dopowie.

LX.

Przechadzka.—Charakter miasta.—Handel.—Ś. p. Stefan K.—O Paryżu w obronie jego.—Dawne dzieje czasów, gdy Napoleon był gienialnym.—Burza.—Z deszczu pod rynnę.—Podział pracy.—Luwr zewnątrz i wewnątrz.—Łuk tryumfalny Karuzelu.—Łuk de l'Etoile.—Pola Elizejskie.—Teatr français i Molière.—Ranek z okna widziany.—Typy.—Mires.—Magazyny starych rupieci.—Teatr Palais royal.—Ratusz.—S. Chapelle.—*Gaité*.—Niedziela.—Msza u św. Rocha.—Nabożeństwo.—Muzyka.—Obrazy.—Chleb poświęcony.

Pierwszy dzień poświęcony był przechadzkom po mieście bez celu, dla oswojenia się z tym Paryżem, dla nasycenia zewnętrzną jego fizyognomią. Mamże wyznać? Ta wytworna, utrzymana tak starannie, tak pilno, tak czyściuchno, tak porywająco oczy, stolica—nie zachwyciła mnie wcale. Wydała mi się jedną wielką targowicą, jednym sklepem, a co do wdzięków, te tak sztuczne, tak wyszukane znalazłem... tak mało w nich majestatu, powagi i istotnéj wielkości, że mnie smutne ogarnęło odczarowanie. Jeden Panteon wyglądal wspaniale... w innych budowach szukano piękności, nie znaleziono, trudu tylko i wysiłku ślad pozostał...

Z końca w koniec przebiegając miasto, — widziałem tylko ludzi, co sprzedawali i ludzi co łaknęli zabawy, rozrywki, popisu. W tłumie ich nikły i ginęły wyjątkowe postacie, ożywione innym celem i myślami. Pamiątki cesarstwa Orleanów, Burbonów, Rewolucyi, różnych epok, dynastyj, spotyka się po mieście jak archeologiczne zabytki ciekawe, a nieobchodzące nikogo. Francuzi biegną na bursę i nie entuzyazmują się niczém... To zaprzątnięcie zyskiem, handlem, zbogaceniem dla używania, na pierwszy rzut oka było bardzo uderzającém.

W miastach włoskich przez ruiny i łachmany patrzy myśl jakaś, żal—boleść—miłość, tu... wszystkiemi szpary wygląda złoto... Nie sądzę, ażeby Paryż całą mógł przedstawiać Francyą, ani żeby to, co bije w oczy po ulicach, miało być wyrazem żywota paryskiego—a przecież to, co się widzi, jest jedną wielką targowicą.

Pod względem malowniczym jeden obłam muru starego Rzymu piękniejszym jest od całego Paryża. Ten ścisk ludzi, ten ruch gorączkowy—przeraża...

Milczący, skierowałem się za Sekwanę szukać tu poczciwego mojego krewnego, młodego Stefana K... Jedna z najpiękniejszych postaci, jakie w życiu spotkałem. Wiedziałem, że był w Paryżu, że się tu uczył i pracował, miałem adres jego studenckiego mieszkania w hoteliku łacińskiego kwartaliku — i szczęściem znalazłem go w domu. Poczciwy Stefan—spokój jego pięknéj, zacnéj duszy—powitał mnie tak serdecznie, jak witał każdego, kogo raz pokochał—ucieszył się i zadyszanego wschodami czwartego piętra posadził w swém skromném, ale czystém mieszkanku. Mówiliśmy zrazu o Włochach, potém o kraju, naostatek o Paryżu. Mimowolnie z ust mi się wyrwało, żem się na nim zawiódł. Wyspowiadałem mu się z mojego wrażenia. Stefan słuchał—milczał, lecz gdym skończył, począł się za Francyą i jéj stolicą ujmować. Znajdował mnie uprzedzonym...

— Paryż—rzekł—nie ma jednéj twarzy, ma ich wiele, są one różne... Znajdziecie w nim podniesione do najwyższéj potęgi i wszystko złe i wszelkie dobro; jestto mały światek.

— Tak—rzekłem—ale co w nim przeważa?

— Żyję już od roku w Paryżu, a wyrokowaćbym nie śmiał—odparł Stefan. — Wiem tylko jedno, że mieszczaństwo i średnia klasa, na któréj społeczność budowała nadzieje przyszłości, jest straszliwie zepsuta. Szlachta, przeszedłszy przez ognistą próbę rewolucyi, mając tradycyę i poczucie godności, zwłaszcza wiejska szlachta—wiele szlacheckiego i szlachetnego zachowała. Wieśniak stracił w większéj części wiarę, która mu dawała moralność a nie nabył światła, coby z sobą przyniosło nową, jest zepsuty, chciwy i nie pożąda nawet oświaty — pracuje na grosz. Średnie klasy, nabywszy go już, bez gruntownego oświecenia, bez wiary, bez uczuć wznioślejszych, może najwięcéj są zepsute, a dziś najczynniejsze. Ta targowica, którą widzicie, jest placem popisu i sprawą klasy średniéj. W niéj niéma co szukać myśli i czucia sięgającego po za chleb powszedni... Natomiast przy nieuctwie, przy częstém zwichnięciu pojęć, u ludu, w robotnikach znajdziecie jakąś aspiracyą szlachetną, jakąś wiarę choćby w mrzonki, coś, co poza interesa materyalne sięga.

— Mnie się téż zdaje—mówił Stefan,—że w takim ścisku milionowéj ludności, ani się dziwić trzeba zepsuciu, chciwości, żądzy używania. Tu największa nędza ociera się o najzuchwalszy zbytek, który jéj rzuca w oczy pokusę. Cóż dziwnego, że człowiek, widzący tego, co wczora chodził odarty, a dziś jeździ wytwornym

ekwipażem—który wie, że wszystko dał pieniądz, a pieniądz został nabyty zręcznością lub szalbierstwem — mrąc z głodu, powie sobie, iż cnotę często jest nosić zaciężko.

— Bronisz więc Paryża i Paryżan? —spytałem Stefana.

— Bronię tego, co jest nie zepsute, czyste, ofiarne — rzekł na to—bo, że takie jest, to pewna. Spotyka się serce w najniższych warstwach ludu i w najwyższych—w średnich najrzadziéj, niestety! Na tym średnim stanie ludzkość srodze się pono omyliła...

Zdanie poczciwego Stefana, na owe czasy i w dzisiejszéj chwili nawet, wyglądało zuchwało, ale w niém jest wiele prawdy.

— Robotnik paryski—mówił Stefan—pije, bije żonę, łajdaczy często... dokazuje, łotruje, to wszystko prawda, lecz posłuchajcie—dodał—parę tygodni temu, na Pont Neuf przechodząc, ujrzałem kupkę ludu. Zbliżywszy się, postrzegłem starą kobietę, która się osunęła przy poręczy mostu. Chora była i głodna... Przechodziło mnóstwo, nikt nie myślał o ratunku, każdy pociekawił się trochę i mijał nieszczęśliwą. Nadszedł bluzowy, rozepchnął lud, począł trzeźwić, zebrał swoich, podnieśli kobietę, złożyli trochę grosza miedzianego, zapracowanego w pocie czoła, i postarali się jéj o przytułek. Sto razy na to patrzyłem—ubogi najskorszy jest do ofiary. Majętny, aby sumienie swe oczyścić, zaczyna od niedowierzania nędzy, domyśla się szalbierstwa, wzywa urzędu... chce się przekonać, że nieszczęście zasługuje istotnie na pomoc... a koniec końcem gdérze i nic nie robi...

— W średniéj klasie—mówił Stefan—młodzież nawet nie ma już w osiemnastym roku ani uczucia, ani żądzy innéj nad zbogacenie, nad nasycenie próżności, nad używanie wykwintne. Celów dla niéj w życiu nad te—nie widać...

— Być może—odezwałem się—że wiele winny różne wpływy demoralizujące, ale najwięcéj pewnie wychowanie niedostateczne, fałszywie pokierowane, skrzywione, powierzchowne... Jak ten prawnik, co w każdym procesie szukał winowajcy i przyczyny w kobiecie, *où est la femme?* jam skłonny o wszystkie winy narodów obwiniać ich wychowanie.

— I masz słuszność—rzekł Stefan—bo pod ten wyraz najogólniejszy podciągnąć potrzeba, oprócz szkół, prócz nauki, wszelkie wpływy, jakie na dziecię od kolebki działają. Wiész zapewne, że w Paryżu, wyjąwszy najuboższych kobiet, żadna matka dziecięcia nie karmi, wszystkie się oddają na mamki. Niéma więc matek, a gdzie ich niéma, jaka przyszłość narodu być może?

Przestaliśmy téj smutnéj rozmowy; wyprowadziłem z sobą Stefana na drugi brzeg, i tu w Poissonnerie anglaise, pod arkadami naprzeciw Luwru, u niejakiego Thuillier, zjedliśmy pierwszy obiad

razem. Rozmowa poszła żywiéj jeszcze o wszystkich małych i wielkich tajemnicach Paryża. Dziś, po Sedanie, to, co z naszéj gawędy pozostało na papierze i w pamięci, wydałoby się nieprawdopodobném. Ówczesny stan Francyi, charakter Napoleona III, księcia Napoleona, ludzi stojących u steru, pojmowano wogóle fałszywie, złudliwy blask otaczał te sfery, i z po za obłoków kadzideł, zdala w tém misterném oświeceniu teatralném, wydawało się to istotnie wielkiém, majestatyczném, potężném. O gieniuszu politycznym cesarza nikt nie wątpił, o jego wzniosłych programach chodziły przesadne domysły—o siłach Francyi jeden był głos: niezwyciężona... Stefan, który był na prowincyi, nie mógł się naopowiadać o niezmiernéj zamożności, handlu, przemyśle, rolnictwie, bogactwach kraju. Cała Europa długo dzieliła ówczesne nasze przekonanie, nikt nie podejrzéwał zepsucia i zgnilizny, lęgnącéj się po brudnych kątach i mającéj zarazić niewidocznie całe ciało, zatruć krew jego i soki.

Po obiedzie wykwintnym zapewne, ale, jak powiadał jeden poczciwy szlachcic, tajemniczym do zbytku, bo człowiek pod przyprawą i urządzeniem, nie wiedział, co jadł—a my nawykliśmy do rzeczywistéj jadła fizyognomii, wyszliśmy się przejść w ulicę. Przechadzkę tę wszakże wkrótce przerwała nam nadchodząca burza z piorunami i ulewą, która zmusiła szukać przytułku. Wszystko, co się roiło w ulicy, tłoczyło się do bram, do kawiarni i sklepionych pasażów. Myśmy zapędzeni do pasażu Delorme... musieli się dość długo przechadzać w towarzystwie bardzo mieszaném, nim naostatek niebo się rozjaśniło. Stefan przestrzegał ciągle, aby pilnować kieszeni, bo w tym tłoku o rzezimieszków nie było trudno, a nasze twarze obce, łatwe do rozpoznania wśród Paryża, ściągały ich jak muchy na lep.

W czasie przymusowéj przechadzki, przypatrywaliśmy się sklepom i rozmaitości ich, a rozbicie na najspecyalniejsze specyalnostki; jak *appreteur des chemises*, wywołało w Stefanie, bardzo słuszną uwagę, iż ci ludzie, co tu od urodzenia mieszkają i wyłącznie czegoś jednego tylko się uczą, w jedném ciasném kółku obracają, mimo zewnętrznéj ogłady pewnéj, o wiele są umysłowo niżsi od naszych wieśniaków. Nasz Maciek, rzucony na Robinsonowską wyspę, jakoś by sobie dał rady, taki uwrier, który całe życie był tu jedném kółkiem w machinie, który z naturą nie żył, w niebo nie patrzył, nie uczył się świata i ludzi, umarłby drugiego dnia z głodu. Między nim a miastem istnieje żywotny związek, między nim a naturą niéma żadnego. O milę od Paryża nie wiedziałby co poczynać, a kozak ks. Radziwiłła wysłany z Nieświeża z listem do Paryża, wracał cały i z odpowiedzią. Taki uwrier, który jest, można rzec, intensywnie wykształcony, w praktyce ustępuje wielce mniéj, ale ekstensywniéj wyrobionemu chłopkowi. Nazajutrz znowu błędna

wędrówka po Paryżu. Mamże go opisywać? Sądzę, że to byłoby śmiesznem... kto go nie widział, dla tego najbardziéj szczegółowy obraz nie starczy, kto go zna, dla tego dość przypomnienia i słowa.

W przechadzkach tego dnia oglądaliśmy Luwr i połączone z nim Tuilerye. Czytając o nich niezmiernie przesadzone pochwały, a powracając z Włoch—z popsutemi oczyma, nie mogłem dopatrzyć tu tego piękna, o którém mi głoszono... Czytałem u p. Vitet zdanie o architekturze Luwru następujące: „Przebiegając Włochy, spotyka się niezaprzeczenie gmachy, w których prawa sztuki starożytnéj pojęte są i zastosowane z większą odwagą i gieniuszem; spotyka się wykończone z większém staraniem, z doskonałością delikatniejszą; lecz gdzie, pytam, znajdziecie budowę bardziéj harmonijną, bogactwo bez przesady, symetryą bez oschłości, wyobraźnię obfitą a umiarkowaną i zawsze panią siebie, łączącą ciągle z najzręczniejszemi wymysły, najwytworniejszy smak i najzdrowszy rozsądek. W tém spoczywa, dodaje p. Vitet, wielka tajemnica renesansu francuskiego, którego Luwr jest najdoskonalszym wyrazem."

Zdanie to mógł tylko Francuz wyrzec. Wistocie, w architekturze Luwru są zalety harmonii wielkiéj, niéma wszakże téj wstrzemięźliwości w szczegółach, tego pomiarkowania w wykończeniu, a nadewszystko niéma tu linij wielkich, głównych, panujących, któreby całości nadawały powagę i majestat. Szczegóły stanowią wszystko, odrzuciwszy je, zostają mury bezkształtne.

Wnętrze pałaców, sale, ich ozdoby i rozmiary, o wiele przewyższają zewnętrzną piękność gmachów. Tu wistocie czuć królewski majestat i wspaniałość. Pracowano nad Luwrem i Tuileryami aż do Napoleona III, kończono je za niego i zharmonizowano, o ile się dało, wielką całość. To, co tu zrobili Visconti i Lefuel, jako umiejętne użycie danego tematu, zasługuje na wielkie pochwały. Co ten styl dać mógł, wyciągnięto zeń, tylko tu jak we wszystkich budowach Napoleona III, niepomiarkowane ornamentacyi bogactwo trąci przesadą i czasem w zły samk wpada. Jestto znamieniem wszystkich epok upadku, iż się obwieszają cackami, jak stara kobieta, która sama nie wié, co włożyć na siebie, aby się wydawała piękniejszą. Nowy Luwr zostanie po cesarstwie pamiątką, jeśli go miny komuny nie wysadzą w powietrze. Po rzymskich łukach, tak zwany łuk Karuzelu, stojący jak zabawka na pułce między Tuileryami a Luwrem, wydaje się nieco śmiesznie. Wykończony jest z niezmierném staraniem, kosztował przeszło milion, koryncкie jego kolumny są z czerwonego marmuru langwedockiego, ozdoby i kapitele bronzowe, fryza z szarego włoskiego *griotto.* Ale to posągi żołnierzy napoleońskich!

Łuk miał być bardzo wspaniale ukoronowanym. Któż sobie nie przypomina tych koni, które stoją u wnijścia nad portalem św. Marka w Wenecyi. Pochodzą one pono ze świątyni słońca z Koryntu, skąd Teodozyusz zdobył je do Konstantynopola, a Dandolo zabrał do Wenecyi. Napoleon chciał je mieć w Paryżu, tak jak chciał pozabierać wszędzie najcenniejsze zabytki, aby niemi zapłacić krew Francyi. Postawiono konie, zaprzężono je do wozu, miano posadzić na nim posąg Napoleona, ale nadszedł rok 1814, na wozie nie było już nikogo. W r. 1815 konie powróciły do Wenecyi. Restauracya nie mogła znieść widoku płaskorzeźb wystawujących Ulm, Austerlitz, Wiedeń i t. p. zastąpiono je epizodami kampanii ks. d'Angoulême w Hiszpanii. Po roku 1830 rząd lipcowy zwrócił na miejsce Ulm i Austerlitz. Aż do r. 1828 na dachu nie było ani wozu, ani koni. W tym roku zebrano się na cztery bronzowe rumaki i figurę niewieścią alegoryczną z rysunku *Bosio*, wystawić mającą—*Restauracyą!* W r. 1830 pozwolono jéj zostać, lecz wyobrażała już *Chartę*. Dziś wyobraża... kogo, z pewnością niewiadomo.

Łuk de l'Etoile, do którego wspaniała wiedzie ulica, jest majestatyczniejszy, poważniejszy, rozmiarów wielkich, ale ciężki. W téj chwili jakże sobie nie przypomnieć dziwnego proroctwa W. Hugo, który w jednéj z najpiękniejszych ód swoich, widzi ruiny Paryża i wśród nich ocalałe trzy tylko pomniki: Notre-Dame, Łuk de l'Etoile i kolumnę...

Il ne restera plus dans l'immense campagne
Pour toute pyramide et pour tout Panthéon,
Que deux tours de granit, faites par Charlemagne.
Et qu'un pillier d'airain fait par Napoléon.
Toi! tu compléteras le triangle sublime...

Założony na cześć wielkiéj armii w r. 1806, budowany do r. 1814, za czasów Restauracyi o mało nie obalony, nim go dokończono; w r. 1823 na cześć księcia d'Angoulême rozpoczęty na nowo, w r. 1832 poświęcony wszystkim Francyi armiom, w r. 1836 dopiéro został skończony. Pomiędzy płaskorzeźby niektóre się odznaczają, ale wogóle i to dzieło sztuki, oprócz kolosalnych rozmiarów, niczém nie zadawalnia.

Przepyszne są zato te *Champs Elysés*, które wiodą do sławnego bulońskiego lasku. Ulica szeroka, majestatyczna, potrójna, ostawiona pałacami, ogrodami, drzewami przepysznemi. Stare dzieje pamięta ten szlak, po którym jeździła, wysadziwszy go drzewy, Marya Medicis! Stworzył tę ozdobną aleję, wraz z wielą innemi rzeczami ku ozdobie, Ludwik XIV, sławny le Nôtre zarysował

plan; przechadzka ta była placem uroczystości, obchodów, fet dla ludu, iluminacyj. Temi wroty i tą ulicą weszli zdobywcy za Napoleona I, i za Napoleona III...

Dokoła śliczne ogródki, klomby, ciernie, a z za nich zachwycające budowelki, zalotnie zdają się wyglądać i uśmiechać. Teatrzyki, koncerta, cyrki, restauracye, zabawy, krzesełek mnóstwo, ale w téj porze gości niewiele...

Zrana na Polach Elizejskich nikogo, późném popołudniem w porze, gdy miasto zaludnione, tłumy, wieczorem wiele jeszcze, ale najludniéj w niedzielę.

W te dnie, począwszy od godziny drugiéj, od miejsca, gdzie stoją konie przeniesione z Marly, aż do łuku, powozów i jeźdźców ciżba. Obok najwytworniejszych à la Daumont, najpospolitsze fiakry i omnibusy, obok folblutów najęte szkapy i jeźdźcy niedzielni, eleganci z magazynów. Ten sam ścisk w bocznych uliczkach, ogródkach i przy teatrzykach.

Wieczorem poszliśmy, *à tout seigneur tout honneur* do teatru francuskiego *per excellentiam*, (aux Français). Grano nawet na szczęście Moliera, *Le Bourgeois gentilhomme* a przedstawienie mogło zadowolnić najwykwintniejszego znawcę, tak było wykończone, staranne, doskonałe. W czytaniu ta scena Mammamuchi jest przesadzenie śmieszną, na teatrze nieznacznie przygotowana, dobitnie tylko dowodzi, jak człowiek opanowany namiętnością, chorujący na coś, daleko zajść może, jeśli jego słabość łechtać umieją.

Artysta, który grał p. Jourdain, nic nie pozostawił do życzenia; słabszą była jejmość sama.

Publiczność zgromadzona, poważna (sami smakosze) z wielkiém poczuciem piękna dawała oklaski umiarkowane. Po zapalczywych Włochach, miotających się zarówno z zapału i gniewu, objawiających swe zadowolenie krzykiem i ruchami gwałtownemi, widzowie we francuskim teatrze wydali się chłodni, ale wielce przyzwoici.

Nazajutrz rano, zacząłem postrzeżenia od okna. Pierwszą postacią, jaka mi się nastręczyła, była kobiecina średniego wieku, przyzwoicie bardzo ubrana, która pod salopką elegancką starała się zdysymulować polano drzewa, będąc zmuszona sama je zanieść do domu. Niemka-by się tego nie powstydziła. Najwięcéj patrzę w ulicę, bo mi się zdaje, że Paryż w ulicy najgłówniéj żyje. Wszystko tu świetne, ładne, ożywione, ale nic nie porusza głębiéj, nie zaciekawia, nie rozśmiesza, nie zasmuca, jestto proza życia, ubrana w bardzo czystą sukienkę. Miasto kipiéć poczyna od dnia. Słuszną Klemrod uczynił uwagę, że nie wiedziéć kto tu kupuje, bo wszyscy sprzedają, ale ostatecznie ci, co sprzedają, zarazem kupować muszą.

Typ ludności paryskiéj, nie można powiedzieć," żeby był wybitnie jeden, jest mnogi, bo prowincya dostarcza kontyngensu, ale wyrobiło się tło pewne, któreby czysto paryskiém nazwać można. Fizyognomia Paryżanina nie uderzająca, twarz zawcześnie zwiędła, oko ciemne lub czarne, wczesna do otyłości skłonność, charakter na oko powolny, a wybuchający nagle i silnie. Paryżanka téż nie jest piękną, ale niezmiernie wdzięczną i bardzo zalotną, umié się ubrać, pokazać, uczynić ładną, umié iść i usiąść, instynktowo szukając wdzięku w każdym ruchu. Najczęściéj oczy czarne, cera bladawa, włos téż czarny, i typ południowy przemaga. Od najuboższéj gryzetki do największéj damy, wszystko na swą stopę postrojone, wyświeżone, uśmiechnięte i szukać się tylko zdaje zabawy i rozrywki. We dnie, po ogromnych tych kolumnadach i portykach w Palais Royal, na Rivoli, po ogrodach spotkasz krążące parami lub pojedyńczo bachantki owe paryskie, piękności poróżowane, pobielone, strojne, a odrażające cynizmem wejrzenia i sztuką, z jaką się narzucają oczom przechodniów. Przypatrzywszy się Paryżowi i jego ekonomii, doskonale się pojmuje istnienie tych pompejańskich figur wśród niego. Tu urządzone jest tak wszystko, iż co krok spotykasz gościnny przytułek, gdzie cię niczyje nie wyśledzi oko, tysiące kawiarni, restauracyj, koncertowych sal, gabinetów osobnych, które stoją otworem dla gości. Dokoła wszystko nęci i podbudza zmysły, tam wykwintne przysmaki, tu napoje, owdzie cacka, stroje, kosztowności, z za szyb księgarzy i sklepów artystycznych śmieją się twarze i sceny lubieżne, atmosfera przejęta jest żądzą życia i używania. Wśród tego szału, żadnego *memento mori*, żadnéj przestrogi, nic, coby przypomniało obowiązek, cnotę lub wstyd. Ten ostatni wydałby się tu prawie śmiesznym. Dziesięcioletnia córeczka gospodyni jest już tak zalotną, fertyczną i wykończoną kobieciną, jakby nigdy dzieckiem nie była. Cóż dopiéro mówić o chłopakach, o paryskim gawroszu, w którym mimo zepsucia kawałeczek serca zachowuje się jakby cudem, nieuku dowcipnym, szydercy nielitościwym, próżniaku z profesyi, mającym zawczasu wszystkie wady starych ludzi, a z młodości nawet ani rumieńca.

Stefan, któremu opowiadałem o spotkaniu na statku z Miresem, przyniósł numer dziennika *Carricature*, w którym Taxile Delord następujący o nim napisał artykuł:

„Dzisiejszego ranka przystęp do ulicy Richelieu zapchany był ciżbą zbitą, stojącą przed domem kasy powszechnéj kolei żelaznych. Spytałem jednego z ciekawych, którzy się tam znajdowali, o przyczyny tego natłoku. Czekają, odpowiedział mi, na wyjście deputacyi, którą Stany papieskie wysłały do p. Miresa.—Cóż to? Sta-

ny kościelne deputacyę wysłały do Miresa?—Przynajmniéj wnoszę o tém z kilku słów, które mi szepnął przechodzący znajomy chłopak od kasy.

„Tłum co chwila się zwiększał, odszedłem. Przechodząc przez plac przed bursą, spotykam naszego niedzielnego korespondenta finansowego, Kastorynę, idzie ku mnie i podaje mi rękę.

— Co tam słychać na bursie?

— Nic tak dalece, oprócz, że akcye kolei rzymskich idą w górę, od czasu przybycia deputacyj rzymskich.

— Jakto? wiec rzeczywiście deputacya tu przybyła?

— Niezawodnie.

— Po cóż?

— Błagając go, aby co rychléj z ukończeniem dróg pośpieszał. Byłem przytomny gdy przybyła. Mówca wyraził się w następujący sposób: — Szanowny panie! Położenie nieszczęśliwych mieszkańców Stanów jest nieznośne; nie możemy kroku zrobić bez narażenia się na napaść rozbójników. Czyniono nam nadzieję, że wojsko papieskie uwolni nas od rozbojów, ale na nieszczęście, wojsko do skutku przyjść nie mogło. Chodziły procesye, odprawiano nowenny, nie pomogło i to. Rozbójnicy zatrzymują podróżnych pieszych, konnych, na mułach, na osłach, w dyliżansach, powozach, w gondolach, karyolkach, wózkach, wozach, taczkach i wszelkiego rodzaju przewozach lądowych i wodnych. Pan jeden ocalić nas możesz. Tu mówca odetchnął. P. Mires skorzystał z przystanku, pytając, czego po nim Stany papieskie żądały. Mówca ciągnął daléj:

— Rzeczy nadzwyczaj małéj i łatwéj.

— Cóż takiego?

— Dokończenia kolei. Gdy nie będzie dróg, oczywista rzecz, że nie stanie rozbójników. Nie zatrzymuje się pociągu tak łatwo jak dyliżansu. Gdy się okolice oczyszczą, będziemy mogli napawać się rozkosznym pobytem na wsi, odwiedzać przyjaciół, przebiegać kraj wzdłuż i wszerz, i wystawimy panu posąg, z napisem:—„Miresowi, wyniszczycielowi rozbójników, wzniesiony przez wdzięcznych mieszkańców Stanów papieskich.“

— Cóż Mires na to?—Że koleje będą i tak wprędce skończone, i że się bez posągu obejdzie. Odpowiedź ta rozgłoszona na bursie, wpłynęła na kurs akcyj rzymskich i życzę panu korzystać z ich podniesienia się. Rozstałem się z Kastoryną, dziękując mu... O Miresie! ulituj się nad nieszczęsną dolą tego kraju, i dokończ co rychléj rzymskie koleje.“

Nie godzi się posądzać, lecz mimo, że był umieszczony w „Karykaturze“, artykuł zakrawał wistocie, choć w formie żartobliwéj—

na rodzaj reklamy—Mires właśnie na tym samym statku i prawdopodobnie tym samym co my pociągiem, do Paryża z Rzymu powrócił.

Tego dnia obchodziliśmy ze Stefanem magazyny starożytności, któremi handel tu jest ogromny. Nie za wszystkich wszakże prawdziwość ręczyć można, wiele jest umiejętnie podrobionych i zestarzonych. Książki stare, niektóre za bezcen dostać można, jeśli się kto nie zbyt śpieszy i nie bardzo napiera. Kupiłem piękny egzemplarz Glossarium Ducange'a za 60 franków.

Wieczorem, chcąc poznać, czém się Paryżanie zabawiają, szliśmy do teatru Palais-Royal, chociaż z góry uprzedzeni, iż tam niedorzeczną *féerie* satyryczną grać miano. Występował w niéj sławny Hyacynt. Zwałn się to: *Le fils de la belle au bois dormant.* Sztuka dawno zapomniana, cała w satyrycznych konceptach, w mało osłonionych aluzyach, w karykaturach, dowcipach i wymysłach dziwacznych... cała w śmiechu i komizmie, niezawsze delikatnym. Już w niéj zdradzało się to upodobanie w płochych, lubieżnych, obnażonych farsach, które operetki Offenbacha na scenę stanowczo wprowadziły,—dla ludzi nic poważniejszego, nic artystyczniéj obmyślanego spożyć i zrozumiéć nie mogących. Dramat dzieje się po większéj części w świecie dziwowisk i czarów, przez którego szerokie szpary teraźniejszość przegląda. Wiele w tém fantazyi zmarnowanéj na drastyczne efekta, kontrasty i niesmaczne wymysły, któreby bez komentrza tłumowi były zrozumiałe. Między innemi występuje balet fajek w królestwie tytuniu... Wróżek, czarownic, cudów, przemian i obnażonych nóżek co niemiara. Królowa jak w *Tour de Nesle, Ananke* jak w Notre-Dame, Hyacynt karykaturuje wielkich aktorów opery, melodramatu i tragiedyi przewybornie. Panna Schneider grała rolę królowéj uśpionéj z wielkim talentem cynizmu, który jéj następne sukcesa dozwalał wróżyć. Śpiewy na wzór wielkich aryj oper, z zestarzałemi ich a przesadzonemi formami... pobudzały do śmiechu... Ogół sztuki, z któréj niepodobna zdać sprawy, ani spamiętać treści, bez sensu i loiki, obrachowany był na utrzymanie widzów w nieustannéj wesołości bezmyślnéj, parter téż chwilami pokładał się ze śmiechu, szczególniéj, gdy coś grubiéj nasolonego przyszło. Hyacynt wykrzykujący z nienaśladowanym ruchem: *Qu'elle est belle!* przerażająco stawał się komiczny; jak nie mniéj Scapin jego (Sanszo-pansa), w scenach dosyć brudnych pijaństwa i mdłości po fajce. W balecie kobiety poprzebierane za ogromne fajki, z poprzypinanemi z tyłu cybuszkami, *Amor* stary, mający 3,000 lat, czarownice, ognie bengalskie, *tableau final*, obnażonych kształtów bez końca... oto ten nieszczęsny dramat, wielkiego efektu, zwabiający tłumy. Wyszliśmy z teatru upokorzeni, pytając się siebie, azali w największego ze-

psucia czasach, w epoce cezarów, pogańskim tłumom coś gorszego i bezwstydniejszego podawano ku zabawie? Ale tam obyczaj, wiara, pojęcia różne, odbierały siłę wielu dziś działającym daleko niebezpieczniéj na zmysły i wyobraźnię obrazom. Samo lekceważenie bezwstydu nie jest bez znaczenia... Cóż powiedzieć o społeczności wielkiéj stolicy, która, aby się bawić, potrzebuje tak pobudzających środków, tak jaskrawych wymysłów, tak rozszalałych fantazyj, któréj nie hamuje żaden wzgląd na moralność publiczną?

Z jednego tego przedstawienia można było wiele wyciągnąć wniosków. Teatr wydawał się nie ową szkołą obyczajów, smaku, poloru... ale wprost igrzyskiem i rozrywką, spekulującą na namiętności, na zepsucie, nie wahającą się truć, byle ściągnąć ciżbę i pieniądze. Już w tém roku 1858 można było przewidzieć, do czego dojdą teatra w roku 1870.

Następnego dnia oglądaliśmy ratusz, który, pomimo starannych restauracyj, wykończenia budowy i poważnéj powierzchowności, nie ma wielkiego charakteru. Czuć w nim przebudowywania, przerabiania i lepienie powolne; nieznać już 1533 r., 1605-go można się tylko domyślać. Postać dzisiejszą nadał mu rok 1835. Restauracya kosztowała do piętnastu milionów; a w kilka lat ciasno już w nim było—bo prefektura Sekwany przyjmuje panujących i musi umiéć występować po królewsku. Budżet i długi Paryża dozwalają mu nie bardzo się na wydatki oglądać. Zewnątrz przyozdabiają facyatę posągi sławnych Paryżan i urzędników municypalnych; niéma tu tylko najpamiętniejszego z nich—Etienne Marcel. Wewnątrz sale, galerye, z niezmiernym przepychem złoceń i ozdób są odnowione. Ale tak tu, jak i w innych restauracyach, którym starano się zachować charakrer pierwotnéj architektury, pojęcie jéj i przekład na nowożytny język, jeśli się tak wyrazić godzi, niezawsze dokonane szczęśliwie.

Godna jest uznania chęć zachowania przeszłości, lecz z jakąż sumiennością starać się należy ją zgłębić, zrozumiéć, ażeby odtwarzając i dotwarzając, nie przeistoczyć? Stan wnętrza kościoła Notre Dame najsmutniejszém napełnił nas uczuciem... był rażąco odświeżony, nowy, a niesmaczny. Toż samo spotkało w Sainte-Chapelle odpokostowanéj jaskrawo... Chce się czasem zapytać restauratorów kolorujących wedle jakichś starych wskazówek kościoły i pomniki, czy nie zażądają, znalazłszy ślady pozłoty i purpury na posągach greckich—ich także naprowadzić barwiczką jaką?

Nie można zaprzeczyć, że kapliczka, cacko owo, relikwiarz, który pobożny Ludwik święty wzniósł w niespełna trzy lata, na pomieszczenie w nim cierniowéj korony i drzewa krzyża świętego, wyrestaurowaną została z nadzwyczajną usilnością przywrócenia

jéj dawnéj fizyognomii—a jednak cały ten przepych barw i złoceń—zamiast przypominać połowę XIII w., sprowadza nas ku XIX... Więcéjby mówiła może ruina, jaką po sobie zostawiła rewolucya, czasu któréj grzmiały tu narady klubów... nim kaplicę przerobiono na magazyn mąki. Linie ogólne, plan kaplicy niższéj i wyższéj, pomysł budowy, jako architektury XIII w.—jest niezmiernie zajmujący. Czuć w tém wiek ów gorącego odrodzenia, którego siłę czerpał on z umiłowanéj sercem całém wiary chrześcijańskiéj, pojętéj, jak ją pojmował i wyśpiewał Dante.

Nie wieleśmy tego dnia oglądać mogli, deszcz bowiem, z małemi przestankami, prześladował nas prawie ciągle; a wieczorem Stefan zaprowadził do teatru innego znowu charakteru i dla innéj przeznaczonego publiczności, do *Gaité*, jednego z czterech teatrów paryskich, które są własnością miasta... Grają tu dla ludu melodramata i dramy. Teatrzyk niewielki, dosyć przybrukany, wcale nie wykwintny... Znaleźliśmy go napełnionym publicznością w bluzach, w koszulach, w sukniach pomiętych... Podżyłe kumoszki, służące, uwriery, a na pierwszych miejscach komisanci sklepowi. Publiczność poufała, wesoła, bez ceremonii, ruchawa, śmiejąca się głośno i nie udająca dobrego tonu... znajdowała się tu jak u siebie w domu. Pomiędzy aktami, zamiast obwoływania i roznoszenia gazet, obnoszą ciastka, pomarańcze podejrzanéj świeżości i zielone jabłka. Postacie ludowe szczere, serdeczne i mimo zaniedbania, w jakiém występowały, dosć sympatyczne. Grano tego dnia *Les crochets du père Martin*, sztukę pospolitą, bez wielkiego talentu napisaną, bez wysiłku w osnuciu i prowadzeniu, ale z myślą poczciwą i dążnością moralną. Treść jéj następująca: komisyoner Martin ciężką pracą dorobiwszy się trochę grosza, syna chce, wykształciwszy, zrobić adwokatem w Paryżu; ale synalek psuje się w stolicy, zawiązuje niebezpieczne stosunki, robi długi i wpada w najsmutniejsze położenie, z którego stary ojczysko ratuje go, idąc potém na nowo dorabiać się i pracować. Zawstydzony marnotrawny syn, zaciąga się do służby na okręcie i rehabilituje, pokutując za pierwszą lekkomyślność. Koniec końcem, wszystko się jak najszczęśliwiéj rozwiązuje i składa. Przyznam się, że więcéj patrzyłem na słuchaczów niż na scenę, badając, jakie wrażenia wywołują sytuacye. Z wielką pociechą przekonałem się, że lud, który z niezmierną uwagą i zajęciem przysłuchiwał się ojcu Martin, dawał oklaski w miejscach, które poczciwém tchnęły uczuciem. Widać było, że pod temi bluzami biją niezepsute serca, przystępne szlachetnemu zamiłowaniu cnoty. Główny aktor grał swą rolę dobrze, reszta miernie, wystawa nie była nazbyt staranna, ale uchodząca. Przypominało to średni teatrzyk prowincyonalny. Naiwni

słuchacze, jedząc jabłka kwaśne, ocierali łzy współczucia nad dolą ojca, odbijała się w nich sztuka jak w źwierciedle, a każde poczciwsze znalezienie się, ofiarę, poświęcenie, przyjmowano grzmiącemi oklaskami. Znać było w téj ludności ubogiéj, pracowitéj, skromnie odzianéj, nie wyglądającéj zalotnie, tę właśnie część Paryża, którą ogólne zepsucie najmniéj dotknęło. Stefan więc miał słuszność, broniąc jéj i na niéj pokładając nadzieje.

Dzień niedzielny zaczął się od mszy uroczystéj u św. Rocha. Kościół to niczém nie uderzający, budowa ciężka i niesmaczna, dziełami sztuki téż się nie odznacza, od wnijścia porównanie téj świątyni do naszych wiejskich i miejskich kościołów razi i dziwaczną, przykrą, przedstawia sprzeczność. Mimo całéj sympatyi dla Francyi, nie jedno to się nader tu dziwném wydało, począwszy od kościoła i nabożeństwa, aż do... najmniejszych życia szczegółów, jakoś nam tu nie swojo, jakoś dziwnie cudzo. Wszystkiego uczyć się, ze wszystkiém oswajać potrzeba. Dnia tego było właśnie kościelne święto obchodzone uroczyście, a na wielką mszę, któréj asystować mieliśmy, muzykę umyślnie napisał Leprevost, do wykonywania zaś jéj zaproszono najcelniejszych artystów opery i najlepszych kantorów kościelnych. Kościół był pełen i nabity, ogłoszono bowiem jak przedstawienie teatralne muzykę, imiona artystów i kaznodzieję, który miał wystąpić z mową.

Po naszém skromném, poważném nabożeństwie, do jakiegośmy nawykli, po tych obrzędach naszego kościoła majestatycznych, a prostoty pełnych,—niech Bóg mi przebaczy—jakże msza u św. Rocha wydała się teatralną! We Włoszech już obrzędy zakrawają na dramata, tu są wystawą zupełnie sceniczną. Ubiory duchownych, sposób celebrowania, wszystko inaczéj niż u nas wygląda, księża w czapeczkach, z rabatami wielkiemi, w rokietach karbowanych z tyłu spadających, chłopcy posługujący, w pasach niebieskich i myckach pąsowych, szwajcarowie ze złocistemi halabardami, w stosowanych kapeluszach z plumażem, przy szpadach, we frakach ze szlifą na jedném ramieniu, z szarfami złotem haftowanemi na drugiém, mistrz obrzędów ze srebrnym łańcuchem na szyi, duchowni grający na puzonach przy procesyi, nadawały mszy osobliwszy charakter. Dodać należy rażącą bardziéj jeszcze, może nieuchronną, ale oburzającą, sprzedaż krzeseł w kościele, rachunki, wypłaty, brzęczenie monetą, targi i jako komentarz do nich, poprzybijane na ścianach taryfy mszy cichych i śpiewanych, abonament na msze święte!... Chryste Panie, cóż z Twych zrobiono kościołów!

Msza była grana i śpiewana wybornie, ale napisana, jak francuski kompozytor pojął i umiał. Początek zdawał się zwiastować

dzieło poważne, daléj a coraz daléj muzyk wpadł w teatralne frazowanie, w formy opery, w popisy, w styl zupełnie świecki, sceniczny i błyskotliwy. Było w tém wiele uroczystości, majestatu, blasku, uczucia, głębokości, pojęcia, rzekłbym wiary—brakło. Nie pobudzała muzyka ta do modlitwy, nie otwierała duszy, nie oskrzydlała myśli, męczyła popisami i w końcu kazała wątpić, czyśmy w kościele, na koncercie, czy w teatrze.

Po skończoném nabożeństwie oglądaliśmy kościół wyświeżony zewnątrz, odnowiony, ale nie odznaczający się żadném dziełem, któreby szczególną zwracało uwagę. Obrazy mierne, ani złe ani dobre, zdala zaspokajają ogólnym układem, światło-cieniem i kolorytem, zblizka widziane, zdradzają praktykę rzemieślniczą, która nad niemi pracowała bez natchnienia. W lewo posąg Chrystusa przy słupie omdlewającego, z koroną u stóp cierniową, przedstawia chyba aktora grającego tę rolę. Układ teatralny, wyszukany, rażący.

Wśród mszy, pierwszy raz spotkaliśmy się ze starożytnym obrzędem rozdawania poświęconego chleba, którego nasz kościół nie zachował. Chłopcy posługujący wnieśli na wielkich tacach pokrytych chleby (sześć) ostawione świecami, które kapłan poświęcił. Te, pokrajane na drobne kawałeczki w koszyku, podawano sobie i dzielono się niemi. U drzwi kościoła siedział staruszek z kropidłem w ręku, w święconéj wodzie zmaczaném, którego wchodzący i wychodzący dotykali. Był to *donneur d'eau bénite.*

XLI.

Muzeum Luwru.—Szkoła francuska. — Początki trudne. — Ślady pierwotnego malarstwa do XIV w. — Włosi. — Pierwsi artyści francuscy. — Szkoła się rodzi.— David. — Géricault. — Gros. — Tratwa Meduzy.—Poussin.—Proudhon.— Lesueur.—Greuze.—Boucher. — Salon carré.—Obrazy Rafaela.—Św. Michał.— La belle jardinière. Leonarda Joconda. — (Menna Lisa) Correggio. — Weroneńczyk, Gody i inne obrazy.—Tycyan.—Giorgione.—Celniejsze obrazy.—Rzut oka na galerye.—Muzea Luwru.—Wenus z Milo.—Rzeźby.—Zbiory prywatne.—Moda i obrazy.—Muzeum Luksemburskie. — Ingres. — Delacroix.—Delaroche.— Współcześni.—Couture.—Müller.—Cluny.—Muzeum Dusommerard'a. — Zbiory sztuki w Paryżu.

Muzeum Luwru, które było jednym z celów podróży do Paryża, obchodziliśmy wiele razy, nim w zbiorze tak bogatym w arcydzieła wszelkiego rodzaju surowsze studyum dozwoliło wydzielić to, co w nim na szczególną zasługuje wzmiankę i niesie z sobą myśl wydatną. Gdzież, jeśli nie tu można powziąć wyobrażenie o malarskiéj szkole francuskiéj, o charakterze jéj i tych mistrzów, któremi się szczyci. Świecą jéj te wielkie imiona, lecz przy całém dla nich poszanowaniu, urokowi ich nie należy się dać ująć, a sąd własny wyrobić, poddając rozwadze ścisłéj zalety, cechy i wady artystów, których tu całe szeregi dzieł i najcelniejsze utwory dozwalają wyrobić sobie pojęcie o charakterze i szkoły, i mistrzów. Szkole malarskiéj Francyi niepodobna odmówić tego imienia, dzisiaj zwłaszcza, gdy sobie wyrobiła wybitne cechy techniczne i do pewnego stopnia fizyognomię odrębną duchowo. Nie sięga ona wszakże głębokiéj starożytności i nie może się poszczycić tém, by jak włoska, samoistnego ducha sprawą powstała. Tego rozbudzania się, którego ślady dziecinnego wdzięku i naiwności pełne, przynoszą nam szkoły włoskie i niemiecka, Fra Angeliców, Bellinów, Luinich, van Eycków, nie znajdziemy we Francyi, a przynajmniéj mało po nich śladów zostało.

Piękną legendą wszakże rozpoczynają się dzieje malarstwa we Francyi. W końcu piątego wieku, żona Namatius'a, który rozstawszy

się z nią, został biskupem w Clermont, budowała za miastem kościół św. Stefana, i chciała go przyozdobić malowaniami. Siadywała więc, ubrana skromnie, ubogo, czarno przy drzwiach kościoła i malarzom z księgi, którą trzymała na kolanach, wskazywała sceny z Pisma, które mieć chciała wyobrażone na ścianach kościelnych. Raz, ubogi człek, który przyszedł się modlić, wziąwszy staruszkę za jeszcze uboższą od siebie żebraczkę, położył jéj na kolanach kawałek chleba i odszedł. Pobożna niewiasta jak drogi dar kładła go na swym stole, dopóki nie spożyła. Podanie to nie należy wprawdzie do historyi sztuki we Francyi, ale dowodzi, że w piątym wieku byli tu już malarze i mozaiści. O obrazach i mozajkach w tych wiekach wspominają często kroniki. Gondebaud, syn Klotaryusza I, którego ojciec uznać nie chciał, a matka wychowywała starannie, nietylko w piśmie był biegłym, lecz zabawiał się malowaniem. Zmuszony uciekać z Francyi, błąkać po Włoszech, szukać schronienia w Konstantynopolu, wykształcił się więcéj jeszcze w sztuce u artystów greckich i włoskich. Późniéj, gdy go chciano ogłosić królem Galii południowéj, i stronnikom jego nie powiodło się, wyrzucali mu to, że bazgrał po ścianach, sklepieniach i kaplicach obrazy.

Podobnych wspomnień o malarstwie kościelném, obrazach, o przepisach dla artystów, zapłacie ich i t. p. wyszukano w kronikach wiele; pomników jednak z tych wieków zostało bardzo mało. W X i XI wieku zjawiają się pierwsze imiona malarzy, po większéj części zakonników. Freski z XII wieku, znajdowane po kościołach, uczą tylko tego, iż sztuka była w kolebce, a nie miała siły czy wzorów, czy popędu, aby z pieluch tych się rozwinąć. W XIII i XIV w. nie widzimy jeszcze żadnego postępu, nie spotykamy takiego gienialnego przodownika, jak Cimabue i Giotto, któryby drogę pierwszy przetrzebił i wrota do przybytku otworzył. Nawet pobyt i prace Giotta w Avignonie nie zdołały wpłynąć na wyrobienie się poczucia sztuki i rozbudzenie jakiego talentu rodzinnego. W XV wieku jeszcze znajdujemy imiona malarzy, nie spotykamy mistrza; miniatury rękopismów niektórych są jedynemi pomnikami godnemi uwagi. Jan Bourdichon maluje za Ludwika XI chorągwie, Jean Perréal robi widoki architektoniczne; zjawiają się tu i owdzie próby obrazów pobożnych, przypominające flamandzkie, René d'Anjou jaśnieje jako znakomity amator, miniaturzysta; ale dobyte przez archeologów zabytki nie stanowią szkoły, nie zwiastują nawet artystycznego zmysłu. Rodzą się bez rozgłosu i giną zapomniane. W połowie XVI w. niéma tu jeszcze nikogo oprócz Clouet'ów, a sztukę i artystów trzeba sprowadzać z za granicy. Oboje przybywają tu z Włoch w chwili odrodzenia, a prawie współcześnie

z epoką, gdy Zygmunt I ściąga na dwór swój florenckich kamieniarzy i rzeźbiarzy. Leonardo da Vinci, Andrea del Sarto, Serlio, il Rosso, przychodzą zdobić pałace i kościoły. To pierwsze nasiona artyzmu na gruncie francuskim — Rosso i Primatice wnoszą z sobą sztukę włoską już nie w epoce największego jéj blasku, ale raczéj chorobliwego przerostu. Ich wzorem kształcą się pierwsi artyści francuscy, Clouet, w którym coś oryginalnego pozostaje, i pomniejsi naśladowcy ślepi obcych mistrzów Dubreuil, Cormoy, Rondelet i t. d.

Z tych narodzin ciężkich sztuki i szkoły już się domyślić łatwo, iż przychodząc na świat nie o własnéj sile, nie z potrzeby żywota i organizmu narodu, będzie ona produkcyą sztuczną, wyrobioną, bez cech téj oryginalności, jaką posiadają szkoły włoskie, niemiecka i flamandzka. Wistocie malarstwo we Francyi prawie się nie wytwarza, mozolnie szukając sobie dróg, doskonaląc, znajdując formy i płynąc z ducha, przez wieki martwe, okwita dopiéro zapłodnione kwiatami włoskiego nieba. Sztuka przychodzi tu już w swém stadyum drugiém, wydoskonalona i wystygła, maniery i rzemiosła blizka, przynosi téż z sobą odrazu do manieryzmu skłonność, techniczną doskonałość, teatralność, dekoracyjne cechy a brak głębszego poczucia, którego Francya wydobyć téż z siebie nie może.

Rodzi się szkoła odrazu starą, ze wszystkiém, co ją ma odznaczać aż do dni naszych, z teatralnemi blaski, z wyszukaniem i brakiem naturalności, z konwencyonalizmem zimnym. Ledwie wyjątkowo znajdujemy w niéj przejętego Lesueur'a, i kilku prostotą i naiwnością odznaczających się artystów. Ten sam duch i cechy odznaczają nawet gienialnego Poussin'a, aż do Davida, Prudhon'a, Géricault, Delacroix... Seb. Bourdon i tylu innych; każdy z nich maluje inaczéj, wszyscy po francusku; każdy szuka gwałtownych efektów, patetyczności, pokaźności, wyrazistości, melodramatu, na swój sposób. Gieniusze, talenta, miernoty ostęplowane są tym charakterem narodu.

Wita nas przy wejściu do Luwru sala szkoły narodowéj, a w niéj przedewszystkiém David, którego tu dzieła i rozmiarami i powagą kompozycyi przodują. „Dawid — powiada z pewną właściwą sobie przesadą, ale trafnie Th. Gautier, znakomity znawca sztuki — Dawid nie był uczniem Vien'a, napróżnoby mu kto chciał szukać przodka. Nic go nie poprzedziło, urodził się sam z siebie, a do jego dzieł malarskich zastosuje się wyrażenie: *proles sine matre creata.* Nigdy nikt z upartszą wolą nie szukał piękna; są może szczęśliwiéj od niego obdarowani, niéma nadeń wytrwalszego, mocniéj stojącego, zaciętszego myśli swéj wykonawcy. Był to gie-

niusz energii pełen. Kochał sztukę miłością gorącą i brał ją na seryo. Jego namiętność antyku, nieznana w XVIII wieku, mogła go w błąd wprowadzać, mieszając z sobą rzeźbę grecką i rzymską, ale Winckelman, ów archeolog erudyt, nie był od tego wolnym. Krytyka jeszcze nie była się narodziła, rzeźby Partenonu nie zostały odkryte. David czuł, że prawdziwe piękno tam tkwiło, że od tych drogocennych szczątków domagać się było potrzeba pięknych linij, heroicznych natchnień, poruszeń szlachetnych.“ Dzieło Davida w Muzeum Luwru najlepiéj daje poznać tego malarza, a godzi z nim znakomity portret Marata w kąpieli, i papieża Piusa VII. W wielkich swych kompozycyach suchy bywa, sztywny, niemal płaskorzeźbowo ustawiony, ale styl ma wielki, rysunek poprawny, energię i siłę niepospolitą. Koloryt jego szary i monotonny, lecz harmonijny. Do najlepszych dzieł Davida należą: Sabinki i Leonidas pod Termopilami. Gros, malarz napoleońskich dziejów, ma tu Bitwę pod Eylau i Morową zarazę w Jaffie, obrazy malowane z ogniem, ale niesympatyczne. Dla nas zresztą i ta epoka sama wstrętliwemi je czyni. Ze wszystkich obrazów téj sali największe na piszącym uczynił wrażenie pomysłem, siłą, wykonaniem mistrzowskiém, niezmierną potęgą zgrozy Géricault’a *Le radeau de la Méduse*, tratwa rozbitków: wśród szerokiego morza bez końca, garstka ludzi na wątłych deskach, skupionych z wyrazem rozpaczy, znużonych walką, umierających, umarłych, wołających ratunku. Płótno to przykuwa, zatrzymuje, przejmuje, a im się weń wpatruje dłużéj, tém silniéj działa i rozbudza uniesienie dla twórcy tego poematu. Rysunek, układ, wyraz, całość kompozycyi niezmiernéj siły. Jest to arcydzieło szkoły i arcydzieło téj teatralnéj, wyrazistéj, deklamacyjnéj maniery, która cechuje każdego francuskiego malarza.

Obraz ten, który Géricault odmalował po powrocie z Włoch w sali teatru Favart, wywołał niemal rewolucyę w Paryżu. „Dziś — mówi Gautier — niepodobna sobie wystawić, do jakiego stopnia przedmiot ten raził naówczas publiczność, a szczególniéj artystów. Malarstwo historyczne ograniczało się przedmiotami klasycznemi i mitologią. Sam pomysł skupienia na tratwie rzuconéj wśród fali gromady nieszczęśliwych, wynędzniałych, z których najsilniejsi ledwie nad stosem trupów i konających podźwignąć się mogli, pomysł ten musiał się wydawać i wydał się wistocie potwornym. Gdybyż przynajmniéj byli to jacy homeryczni rozbitkowie; ale ta nędzota współczesna, taka rzeczywista, dzisiejsza, wczorajsza raczéj, bo wypadek był z 1816 r., a obraz malowany w 1819. Skutkiem zaślepienia jakiegoś, z którego przyszłość sobie sprawy zdać nie może, chociaż ono towarzyszy zjawieniu się

prawie każdego gienialnego gieniuszu, to arcydzieło osądzono szkaradzieństwem. Nie zrozumiano téj poezyi, realizmem swym przenikającéj, nie uczuto dramatycznego efektu tych niebios płowych, tego morza zielonawego, którego fala i piana rozbijały się o trupy rozrzucone na belkach pokładu, naigrawającego się swą słoną wodą pragnieniu konających, podrzucającego swym strumieniem olbrzymim wątłą tę wiązkę drzewa, teatr skonu i rozpaczy; nie oceniono téj muskulatury potężnéj, siły kolorytu, szerokości pędzla, energii majestatycznéj, przypominającéj Michała Anioła, obrzucono je wzgardą i naganami. Po śmierci artysty dziedzice, dla łatwiejszéj sprzedaży płótna wielkich rozmiarów, chcieli je rozciąć na cztery części, szczęściem nabył je hrabia Forbia za 6,000 franków. Taki czasem bywa los arcydzieł."

Nie myślę spisywać wszystkich obrazów szkoły, ani się na jéj historyę porywać, notuję to, co słusznie lub nie przemówiło do mnie. Tak naprzykład Poussin, wielki rysownik, jedno z imion największego rozgłosu w szkole francuskiéj, nigdy mi nie był zrozumiałym ani wdzięcznym, anim umiał znaléźć w nim coś więcéj, nad szczęśliwy i szlachetny rysunek. Powaga zimna, styl, układ, zmuszają oddać słuszność jego nauce i talentowi artysty, ale do duszy, do serca, nawet do oczów nie mówi przezeń nic. Patrzy się zimno i odchodzi bez wrażenia. Żadna nawet górująca zaleta nie odznacza go, w doskonałéj harmonii jest w nim wszystko, oryginalności jakiéjkolwiek braknie.

Po obrazie Géricault'a wabią Prudhon'a Amor i Psyche i inne jego kompozycye wykończone, wdzięczne, manierowane, niezmiernie francuskie, ale piękne i odcechowujące się; poszanowanie obudza Lesueur, mimo niewdzięcznego kolorytu, pełen uczucia i rzewności, naostatek rozpłakany, miękki, sentymentalny, ale wielkiego talentu, i zawsze sam sobą będący Greuze. Greuz'a jest wiele obrazków po innych muzeach prowincyonalnych Francyi, zawsze to te główki dziecięce, niewieście, rozpłakane, roztkliwione, uśmiechnięte smutnie, a niezmiernego wdzięku. Greuze należy do ulubieńców wieku i obrazy jego wysokich cen dosięgają. Zwraca téż uwagę Mignarda Matka Boska, obrazy starego Vernet'a, a choćby ów osławiony Boucher, któremu późna sprawiedliwość dziś znowu przyznaje niepospolite zalety malarskie. Boucher jest po swojemu poetą, ma świat idealny sklecony z przypomnień rzeczywistości, skąpanych w barwach wyobraźni; jego figurki są raczéj z desek teatru, niż z natury brane, znać na nich wczorajszy róż i bielidło, ale konwencyonalny obrazek Boucher'a bywa czasem zachwycający artystyczném uczuciem i wykonaniem, Boucher jako technik, jako pędzlista, jeśli się godzi wyrazu takiego użyć, znakomitym

jest, dobiera barwy, aby oczom były słodkie, harmonizuje je, splata z umiejętnością wielką, a rysuje łatwo i wdzięcznie. Każda gałąź u niego wysznurowana zalotnie, ale jak jéj z tém do twarzy! Boucher'a w tym rodzaju wyżéj można postawić od Watteau, który dziś jest poszukiwany niezmiernie. Niektóre stare zabytki, pierwociny szkoły, znajdujące się w Luwrze, smutne o niéj dają pojęcie. Dwa obrazy, wystawujące bale dworskie za Henryka III, z pewnego względu dla nas téż historycznie są ciekawe. Wjazd do Wenecyi, o którym wspominaliśmy, jest tu także.

Tak zwany *Salon Carré*, jak Trybuna florencka, zawiera arcydzieła znakomitsze, wybrane i wystawione ze szczególném staraniem. Rzeczywiście jest tu wybór obrazów, z których niemal każdy zasługuje na zaszczyt, jaki go spotyka, policzenia do pereł Luwru. Idziemy naprzód do Rafaela, którego przecudny św. Michał, pokonywający smoka, Rodzina Święta, św. Małgorzata, portret Joanny Aragońskiéj, podżyłego mężczyzny i młodzieńca, składają same nieocenionéj rozmaitości i wdzięku kolekcyę. Święty Michał, pokonywający szatana, archanioł w całym blasku piękna niebiańskiego, w chwili zwycięstwa, promieniejący, malowanym był tysiąckroć, nikt nigdy z tego tematu zwycięstwa nad ciemnością, siły bożéj nad zbuntowaną potęgą piekła, nie stworzył nic tak mejestatycznie prostego, wielkiego. Rafael malował św. Michała w r. 1518 w całéj sile gieniuszu swego dla króla Franciszka I. Współczesną jest Święta Rodzina, temat ów ulubiony Rafaelowi, który on za każdą razy innym, nowym uczynić umié. Tu Madonna ma charakter słodyczy pełen, a różny od innych Rafaelowskich; niezaprzeczenie jak jest najautentyczniejszą, tak téż do najcelniejszych należy. Druga, *la belle jardinière*, znana z wielu sztychów, nie ustępuje jéj wyrazem niewinności i słodyczy, ale ta bardziéj Peruginowską szkołę przypomina. Dwa maleńkie obrazki Rafaela, św. Michał i św. Jerzy, są obok pierwszych już tylko drogocennemi zabytkami i ciekawemi pomnikami.

Wielu bardzo, i nie bez przyczyny, cudny ów portret Leonarda da Vinci, Mouna Lisa del Giocondo (pospoliciéj *Joconde*), stawi na równi z Rafaelowskiemi. Leonard przez lat cztery pieścił się malowaniem tego wizerunku, któremu nadał charakter słodyczy niezrównanéj; jest on wykończony, jak prawie wszystkie inne Leonarda, z niesłychaną cierpliwością, z doskonałością nie do uwierzenia, ale ściemniał téż na fioletowo, jak inne tego mistrza Da Vinci miał swój właściwy sposób malowania, o którym mówi w jednym z traktatów, swoje farby, technikę, nie mówiąc już o stylu i ujęciu ideału. Mouna Lisa nieocenioną jest, to pewna, wszakże to, co o niéj zapalczywi krytycy francuscy piszą, szczególniéj Gautier,

wynosząc ją nawet nad Rafaela, zdaje się przesadzoném. Obraz ten, to poemat cały, to wiekuiste piękno niewieście, z całym swym wdziękiem pełnym zagadek i tajemnic. Do arcydzieł zaliczono tu i Correggia, którego my z uszanowaniem mijamy. Pawła Weroneńczyka są tu sławne Gody w Kanie, jeden z jego najwspanialszych obrazów, cudnie malowane wspomnienie Wenecyi, bo te Gody odbywały się niezawodnie gdzieś przy Canal grande za szczęśliwych czasów rzeczypospolitéj. Olbrzymia kompozycya, pełna ruchu, życia, a twórczością i bogactwem postaci przypominająca nam Matejkę. Dopełnia Weroneza tutaj drugi w tymże rodzaju obraz, Chrystus u Szymona faryzeusza. Wiadomo, iż cztery także uczty wspaniałe zrobił był artysta na cztery ściany refektarza u San-Sebastiano w Wenecyi. Wszystkie one w roku VII i VIII rzeczypospolitéj znalazły się w Paryżu. Jest tu jeszcze Jowisz piorunujący, tegoż Pawła ze stropu sali Rady dziesięciu, przepyszny Weronez w nim przedstawia się z innéj, nowéj strony, uszlachetniony jeszcze, bo, jak wieść niesie, malował Jowisza po powrocie z Rzymu, po studyach nad antykami i dziełami Michała Anioła. Kochanka Tycyana, któréj mężczyzna z ciemną brodą podaje dwa zwierciadła, piękny typ Tycyanowski wistocie, złocisto i ognisto malowany z maestryą, właściwą Vecellemu, ma być wszakże nie tajemniczym ideałem malarza, ale kochanką, a późniéj żoną Alfonsa I Księcia Ferrary, Laurą de Dianti. Tycyan ma tu jeszcze Złożenie Chrystusa w grobie, jedno ze swych arcydzieł, Giorgione *Koncert wiejski*, del Sarto piękną Świętą Rodzinę, wdzięczny i słodki Luini, Herodyadę. Oprócz Włochów, reprezentowane są w salonie kwadratowym inne szkoły; Rembrandt'a Święta Rodzina po holendersku pojęta, Gerard'a Dow sławna, chora niewiasta, arcydzieło wykończenia bez oschłości, Van Dyck'a, N. Panna, Murilla—Wniebowzięcie i Niepokalane Poczęcie, Ribery Pasterze u żłobku, Holbejna portret Erazma i t. d. Przywodzimy tylko celniejsze wśród wybranych obrazy, dobór godzien był zwycięskiéj Francyi szczęśliwszych czasów. Dziś, to dziś smutne, co chwila się pióru narzuca... dziś mówią o sprzedawaniu dzieł do Anglii.

Prawdę rzekłszy, o téj galeryi Luwru książkę można i należałoby napisać—ocenić pobieżném wspomnieniem ani podobna. Z salonu kwadratowego przechodzi się do galeryi długiéj, oświeconéj z góry, zawieszonéj obrazami różnéj zapewne wartości, lecz wśród których niéma ani jednego, coby się tu mieścić nie był godzien. Systemu w układzie żadnego, jednego malarza nawet dzieł trzeba szukać po różnych miejscach. Bogactwo niezmierne.

Nie nauczylibyśmy pono czytelników naszych nic, kilką słowa-

mi przypominając te płótna; wolimy, mówiąc tu o sztuce wogóle, dać mu pojęcie bogactw artystycznych Paryża wogólności.

Przed długą galeryą, idącą po nad Sekwaną, owalna sala zwana Siedmiu mistrzów — mieściła znowu wybór obrazów Leonarda, Mantegny, Rafaela (Joanna Aragońska), Tycyana, Del Sarto i t. d. Następuje właściwa sala galeryjna bardzo długa, o któréj zamilczym zupełnie; cały tu świat obrazów, szkół, artystów, manier, kolorytów, rzekłbyś ciżba, mówiąca mnóstwem różnych języków, od Fra Angelico do Rembrandt'a, od Giotta do Weroneńczyka. Idą za tą galeryą zbiory szkoły francuskiéj obfite. Wychodząc z sali zwanéj Siedmiu kominów, przechodzi się kilka innych, zapełnionych zbiorami naczyń greckich, ceramiką starożytną i starożytnościami egipskiemi, których muzeum jest tu prawie tak obfite, jak londyńskie. Sale te razem stanowią tak zwane Muzeum Karola X. U drzwi wychodząc, spotyka się na straży dwie bazaltowe czarne trumny...

Stąd schodzi się do niższéj sali rzeźby egipskiéj; do zbiorów asyryjskich, do szczątków rzeźby fenicyjskiéj, naostatek do muzeum rzeźby greckiéj, w którém króluje Wenus z Milo. To arcydzieło greckiéj rzeźby, z najpiękniejszéj epoki, znalezione na maleńkiéj wysepce, stanowi dziś jeden ze skarbów najdroższych Francyi. Poszanowano do tego stopnia Wenus tę zwycięską, iż jéj nie śmiano restaurować... Brak rąk wszakże prawie się czuć nie daje, tak idealnie pięknym jest tors i cała budowa bogini, występującéj w majestacie piękności, jaką tylko Grek dla Olimpu swojego mógł wymarzyć.

Po muzeach włoskich rzeźba w Luwrze starożytna wydaje się zresztą ubogo. W zbiorze z czasów odrodzenia, Goujona Dyana de Poitiers godna widzenia. Nowsze dzieła zasługują téż na obejrzenie. Oprócz obrazów, rzeźb, naczyń, zabytków, w Luwrze jeszcze znajdują się muzea pastelów i rysunków, bardzo bogate, marynarki, chalkograficzne i t. d.

Po Luwrze, należy widziéć zbiór nowszych dzieł szkoły francuskiéj w Luksemburskim pałacu (o którym wspomnimy jeszcze); potém Muzea w Thermach i opactwie Cluny, muzeum artyleryi, marynarki, gabinet sztychów przy bibliotece i—komuby na to czasu stało, znakomite zbiory prywatne, których w Paryżu liczba jest bardzo wielka. Przywiedziemy z nich tylko znaczniejsze: lorda Hertford, Barona James Rotschild, pani Nathaniel Rotschildowéj, Barona Seillieres, księcia Galiera, hr. Duchatel, p. Lacaze, margr. de Laborde, pana Delessert, Schneidera, zbiór Hotelu Lambert, bar. Clary, bar. Basilewskiego i t. d. i t. d. Oprócz tych gabinetów obrazów, mniéj-więcéj bogatych, z których każdy przynajmniéj

kilka szacownych płócien zawiera, są zbiory starożytności prywatnych, niezliczone. Do Paryża, gdzie handel wszystkiém, co tylko fantazyi ludzkiéj dogodzić może, na wielką się skalę rozwija, zbiegają się skupowane z całego świata pamiątki, obrazy, *bric-à-brac* wszelkiego rodzaju, zbiegają się téż tu kupujący zewsząd, i licytacye obrazów, rzeźb, przedaż starożytności stanowią dla miłośników gorączkowe zajęcie. Ceny niektórych przedmiotów, szczególniéj będących w modzie, dochodzą do cyfr bajecznych.

Niemożna powiedziéć, ażeby wartość dzieł sztuki nadawała je. Są najznakomitsze obrazy nie w modzie, które po cenach bardzo przystępnych nabywać można, są dosyć wątpliwéj wartości inne, których dokupić się niepodobna. Na tych sprzedażach miłość własna licytujących i umiejętność agentów grają także pewną rolę. Wiele płócien, sprzedanych przed kilką laty za parę tysięcy franków, w chwili szczęśliwéj szły po kilkadziesiąt, dobijały się do stu... a Murillo ów galeryi Luwru kosztował z pewnością więcéj, niżeli zań zapłacić się godziło.

Są lata na Greuze'a, są inne na Rembrandt'a, przyszedł czas na Hobbemę naprzykład, którego po długiém zapomnieniu nagle nad Ruysdaela podniesiono do cen niesłychanych. Znakomitego tego pejzażysty autentycznych dzieł dziś odszukać trudno, rzadkość przyczynia się do szacunku. Galerya Luwru ma ledwie parę Hobbemów, a większa ich część pono za dawniejszych czasów, pofabrykowana została na Ruysdaelów. Teraz z Ruysdaelów napowrót robią Hobbemy. Gdy Lord Hertford lub Baron Rotschild staną do licytacyi, któż się dokupi tego, czego ich wszechmocna zapragnęła fantazya? Sam Lord Hertford ma galeryę w Londynie (Manchester House, Manchester Square), ma zbiór w Paryżu i kilka domów na wsi, pełnych najcenniejszych obrazów. Paryski zbiór lorda odznacza się przepysznemi obrazami nowéj szkoły francuskiéj.

Muzeum w pałacu Luksemburskim poświęcone jest nowéj szkole francuskiéj i dobór ma najcenniejszych jéj płócien. Tu można widziéć dzieła główne (apoteoza Homera) głośnego Ingres... Chrystusa oddającego klucze Piotrowi, Rogera i Angelikę. Ingres, jako rysownik, stoi na czele nowych malarzy Francyi; śmiano się z niego długo, z suchości roboty, z wykończenia, z wyszukania, lecz, jak prawie zawsze we Francyi, gdzie pierwsze wrażenia szyderstwo wywołują — przyszło potém zupełne uznanie mistrza. Ingres różnił się tém od swych współczesnych, lekko, żywo i dowcipnie a zręcznie opiewających sztukę, że ją brał poważnie, sumiennie i z namaszczeniem. Pracował nad jednym obrazem często bardzo długo, ważył i rozważał każdy szczegół, a gdy cała

współczesna szkoła chorowała na wybujały gieniusz twórczy, on wierzył w gieniusz pracy i namysłu. Rysunek jego jest wyszukany, czysty, sztywny, malowanie suche i nieprzyciągające, ale obudza do rozmyślania i szanować się każe.

Apoteoza Homera, zdjęta ze stropu muzeum, bardzo słusznie, Chrystus oddający klucze Piotrowi, stają tu obok Angeliki, któréj postać ma wiele wdzięku, lecz obrazek melodramatyczny i niesmaczny. Portret Cherubiniego w ubraniu powszedniém, ze wstążeczką legii honorowéj i — Euterpą grecką wygląda aż śmiesznie, ciaż jako portret malowany bardzo pięknie.

Nic sprzeczniejszego nad obrazy gwałtowne, rysunku często do zbytku niepoprawnego, kompozycyi nieco zaniedbanéj, ale przepełnione życiem i uczuciem, Eugieniusza Delacroix, obok Ingres'a. Jest tu jednak głośny obraz *Dantejskiéj łodzi*, który się ukazał na wystawie 1822 roku i wywołał taką burzę, jak niegdyś tratwa Meduzy Géricault'a; jest wiele innych kompozycyj, szczególniéj odznaczających się energią i dramatycznością. Malarz to i obrazy czysto francuskie, w których przesady wiele obok zalet niezaprzeczonych. Szczególniéj godne uwagi studya jego wschodnie. Parę obrazów Ary Scheffer'a, które nie dają pojęcia o jego znakomitym talencie, Delaroche'a Dzieci Edwarda, Horacego Verneta Judyt i Rafael w Watykanie, mogą się uważać zaledwie za próbki i pamiątki po nich. Scheffera, Delaroche'a i Vernet'a gdzieindziéj uczyć się trzeba, pierwszego może w rysunkach, drugiego w hemicyklu Szkoły sztuk pięknych, ostatniego przy Smali i kolosalnych bitwach. Wielu z malarzy współczesnych, którzy się imienia nie dorobili, zajmują ściany sal luksemburskich; innych, sławnych, są tu tylko jakby karty, świadczące o obecności, niekoniecznie z dzieł ich najlepsze ani najcharakterystyczniejsze. Roqueplan, Rob. Fleury, Gleyre, Chassériau, Couture ma tu obraz ogromnych rozmiarów i wcale znakomity; jemu jednemu i Müllerowi udało się być reprezentowanym tém prawie, co najlepszego zrobił w życiu. Jest to *Orgia rzymska*. Dziwna rzecz, że artysta, który był w stanie osnuć i wykonać tak znakomite dzieło, po niém już nic równie wspaniałego nie wydał na świat. Jest to uczta z czasów ostatnich cezarów. W ogromnéj sali biesiadują, używając życia, potomkowie dzielnych Rzymian, zniewieścieli i rozpustni... Jest to chwila ku końcowi bankietu... mężczyźni, niewiasty, pełne czasze, wonie, wino i kwiaty, upojenia w twarzach, szał w oczach. Jeden z biesiadników stoczył się już pod stół; drugi pijany, czarę podnosi do posągu Brutusa... niewolnicy wynoszą trupa czy opoja, niewiadomo... W kącie portyku dwóch ludzi surowéj twarzy patrzą na ten Rzymu upadek i boleją. Jest coś Weronezyuszowskiego w tym obrazie,

czyniącym wielkie i głębokie wrażenie. Couture wypowiedział nim może, niezrozumiany, przestrogę téj Francyi, która w podobnych bankietach dnia sądnego dożywała. Obok Orgii, Müllera „Więźniowie w Conciergerie, za Rewolucyi, których powołują na śmierć“—mimo krytyk, jakim obraz ten uległ niesłusznie, są téż niepospolitym obrazem. Zarzucano mu płoche a lekkie pojęcie najtragiczniejszéj sceny w świecie, przecież ten realizm zwiększa jeszcze wrażenie.

Opisywać zresztą muzeum Luksemburskiego niepodobna, zmienia się ono co rok, bo obrazy żyjących po ich śmierci odchodzą do Luwru, Luksemburski zaś zbiór głównie stan obecny szkoły przedstawiać powinien. Do najciekawszych muzeów Paryża należą Thermy i tak zwany zbiór Cluny. Thermy są jedynym rzymskich murów widocznym zabytkiem w Paryżu; Cluny ślicznym wzorkiem architektury XV wieku. Łaźnie rzymskie pochodzić mają z epoki Konstancyusza Chlora, gmachu, w którym Julian obwołany został cezarem. Aż do końca X wieku budowa ta była całą i zamieszkiwaną przez królów (Franków), za Kapetów opuszczono ją. Napady Normanów zniszczyły thermy, których ogrody zostały podzielone, mury upadły, a w połowie XIV wieku dostały się benedyktynom. Aż do rewolucyi byli w ich posiadaniu... Późniéj dostały się one w prywatne ręce; powróciły na własność miasta i w roku 1843 oddane przez nie były rządowi. Pałac Chlora i Juliana ocalał tylko z tą częścią, w któréj były thermy; a sklepiona sala, oczyszczona i zachowana, służąca za zbiór rzymskich szczątków, jak się domyślają, *frigidarium*. Mur składa się z pasów, naprzemiany kamiennych i ceglanych, i jest tak po rzymsku silnym a wiekami zlanym w jednę masę, iż wytrzymał nawet przysypany ziemią, bo jakiś czas rósł na nim ogród. Z innych części thermów małe szczęty zostały.

Obok téj pięknie dziś i malowniczo zachowanéj ruiny, znajdują się sale muzeum Cluny, w gmachu dokończonym za Karola VIII. Pięknéj jego architektury, pełnéj fantazyi, lepsze da wyobrażenie rysunek najgorszy, niż najstaranniejsze opisanie. Nie miałby może Paryż tego zabytku, który inny posiadacz obaliłby dla pobudowania intratnéj kamienicy, gdyby nie nabycie przez Aleks. Dusommerard'a, starożytnika, w roku 1833, który tu piękne swe zbiory archeologiczne pomieścił. Zbiór Dusommerard'a zrodził się tak samo, jak wiele innych współczesnych mu, z rozmiłowania w tém wszystkiém, co świadczyło o przeszłości, i w przekonaniu, że najdrobniejszy wyrób pracy i sztuki do dziejów człowieka należy. Muzea podobne są pomysłem XIX wieku. W XVI i XVII po skarbcach, po bibliotekach, po kościołach zbierano wprawdzie osobliwości różne, zawieszano wypchane zwierzęta, olbrzymie kości i t. p., ale przywiązywano się szczególniéj do rzeczy potwornych, osobliwych lub przypominających

historyczne imiona. Idea zbiorów, które historyę smaku i pracy, sztuki i rzemiosł przedstawiają, chronologicznie należy do naszych czasów. *South-Kensington Museum* w Londynie, zbiór Dusommerard'a w Paryżu, powstały najpierwéj, późniéj niemieckie muzeum w Norymberdze, narodowe w Monachium, sztuk i rzemiosł w Berlinie, i p. Christ. Hommera w Sztokholmie. Do zbiorów tak pojętych należy wszystko, cokolwiek wykonał człowiek, lub naród, co mu posługiwało, co było objawem gustu epoki i stanu cywilizacyi.

Po śmierci Dusommerard'a, w dziewięć lat potém, na wniosek p. Arago, rząd zakupił gmach i muzeum za 590,000 franków, sumę stosunkowo wcale nie przesadzoną. Późniéj wzrosło ono i pomnożyło się nabytkami i darami tak, że w ostatnich latach liczyło 3,770 numerów. Między temi przepyszne rzeźby na drzewie, z kości słoniowéj, klejnoty, odlewy złote i trybowane rzeźby z początku XI wieku (Ołtarz Bazylejski), wyroby z bronzu, z żelaza, zbiór zbroi i oręża, ceramika włoska i francuska, są bardzo pięknemi i ciekawemi okazami reprezentowane. Emalie, okna malowane, mozajki, obrazy, sprzęty, narzędzia muzyczne, znajdują się także w znacznéj liczbie. Ażeby rozpatrzyć to wszystko z uwagą, nader długiego potrzeba czasu, a to tém więcéj, że zbiory nie są ani ściśle systematycznie, ani chronologicznie ustawione. Urządzenie wszakże w szafach i witrynach z wielkim smakiem i umiejętném zużytkowaniem miejscowości. O muzeach artyleryi, marynarki i bogatych zbiorach sztychów dość wspomniéć. Wogóle przystęp jest wszędzie łatwy, rysowanie nie wzbronione, ani potrzebuje osobnego pozwolenia, dozorcy grzeczni i uczynni i w bibliotece tylko i zbiorach sztychów poskarżyćby się można na mniéj uprzejme przyjęcie i dosyć niechętne zbywanie gości. Może téż tu ich nadto wiele ze czczą ciekawością przybywa, a na pierwszy rzut oka trudno odróżnić tych, co się chcą bawić, od tych, co przybywają pracować. Dla kogoś, coby w interesie nauki i sztuki podróżował, jeśli to po wojnie będzie już możliwém, dodać należy, iż muzea *prowincyonalne* we Francyi zawierają obrazów i starożytności ilość, można powiedziéć, niewyczerpaną, a często znajdą się tam rzeczy którychby Paryż im mógł pozazdrościć.

XLII

Paryż.—Closerie des Lilas.—Zabawy uczącej się młodzieży.—Studenci i Studentki.—Uwagi.—Taniec i szały.—Inwalidy.—Hotel i Kościół.—Stare wiarusy, *Cour d'assises*.—Sala *des pas perdus*.—Dawny jéj stan.—Notre-Dame.—Ś. Eustachy.—S. Sulpice.—Ś. Klotylda.—S. Germain des Prés.—Grobowiec Jana Kazimierza.—Freski Flandrina.—Hemicykl Delaroch'a.—Słów kilka o nim.—Wieczór w teatrze.

Pisano o Paryżu całe tomy, dzieła o nim składają bibliotekę z dwudziestu kilku lat ostatnich obrazów stolicy, opisów, historyj, wizerunków, szkiców jest tak wiele, tak wiele, iż my, co przychodzimy późno, czujemy się uprawnieni do bardzo krótkiego opowie, dzenia pobytu naszego i wrażeń.

W niedzielę wieczorem, Stefan, mimo oporu mego, kazał mi z sobą pójść, gdzie idzie każdy przybyły cudzoziemiec, chcący poznać tajnie żywota paryskiego, do *Closerie des Lilas*. Przyznam się, żem tego epizodu studenckiego żywota nie był bardzo ciekawy, ale Stefan nalegał, by ten charakterystyczny obrazek mnie nie minął. Do Closerie schodzą się szczególniéj na szalone tany studenci, gryzetki, studentki (étudiantes), to jest, przyjaciółki młodzieży uczącéj się, i komisanci sklepowi, kalikoty.

Student niemiecki od francuskiego różni się najzupełniéj, oba tylko na jedno pracują, na wyszafowanie zbytku a nadmiaru namiętności, życia, ognia i siły, lecz w sposób wcale odmienny. Niemiecki bursz topi je w kuflach niezliczonych piwa i kiereszuje się w pojedynkach, francuski tańcuje, śpiewa, przyjaźni się z gryzetkami, gra w bilard i próżnuje. Obie te metody pozbywania się wielu złudzeń i ścierania z siebie pozłoty młodości, doskonale pono cel osiągają. Najczęściéj niemiecki bursz i francuski student powracają do domu wyżyci, wyczerpani, szyderscy, starzy na sercu i szczęście jeszcze wielkie, jeśli tym kosztem kupią naukę a razem z uczuciami młodzieńczemi miłości cnoty i poczucia

godności ludzkiéj nie stracą. Bezpieczniéj z tém może społeczeństwu, gdy po latach nauki odbierze ludzi wystygłych, rozczarowanych i skłonnych do najpraktyczniejszego pojmowania zadań życia, lecz obok korzyści, społeczność téż ponosi straty, bo rodziny budują się z napół przegniłego najczęściéj materyału. Mówimy ogólnie, bo są i szczęśliwe wyjątki i temperamenta i zbroje wychowania surowszego, które ocalają młodzież od zepsucia, większość jednak podobno nie wraca bez skazy z tego ogniska zepsucia, jakiém jest każda taka stolica. Dlatego rozważniejsi Anglicy, zapobiegając szkodliwemu wpływowi miast podobnych na młodzież w sile samego namiętności rozwoju, mieszczą swe uniwersytety w takich Oxfordach i Cambridgach, które na mniejsze nierównie narażają niebezpieczeństwa.

Po wieczornéj przechadzce po ogrodzie luksemburskim, poszliśmy pieszo do Closerie. U drzwi niewystawnego wcale lokalu (ogródka), zapłaciliśmy po franku. Musiały tam kiedyś po bokach bzy kwitnąć, teraz stoją opylone krzaczki niby altanki. W pośrodku pod daszkiem jakimś, niby we wschodnim smaku wystawionym, gra muzyka, dokoła na asfalcie tańcuje zapalczywie młodzież, w zielonych altankach znużone pary siedzą, spoczywają, jedzą i piją. Obcy, który tu wchodzi, od pierwszego wejrzenia przekonać się może, iż wśliznął się w świat nie swój, wśród towarzystwa odrębnego, które przyjętych gdzieindziéj praw i obyczajów nie słucha. Panie i panowie byliby tu jak u siebie w domu, gdyby nie komisarz policyi, który poufałości i wyskoków nazbyt daleko posuwać nie dozwala. To chwila utrapionego szału młodości, muzyka gra od ucha, rumienią się lica, drżą niecierpliwie nogi, a i miłość własna téż gra pewną rolę, nie dozwalając zostać skromnym i wstydliwym, gdy inni o tych przymiotach zapominają. Więc téż zapał i wesołość i śmiech i poskoki i wykrzyki prawdziwie szalone, niekiedy szatańskie. Z uśmiechem patrzy się jeszcze na rozpalanie młodzieży płci obojga, chociaż kobieta dokazująca tak smutne czyni wrażenie; bachantka taka młoda pojmuje się przynajmniéj, jeśli nie uniewinnia, ale ze wstrętem i oburzeniem spotyka się tu kobiety stare, w ubraniu więcéj niż zaniedbaném, z głowami na pół łysemi, z twarzami zwiędłemi, wywijające również a przesadzające więcéj jeszcze szały i skoki, aby młodzież przyciągnąć. Taniec rozpoczynał się z pewném pomiarkowaniem zrazu, ale wnet mieszała się doń namiętność, upojenie, rozognienie, rodzaj wścieklizny ohydnéj. Wśród skoków latały dowcipy i śmiechy, trudno było pojąć, aby taki wysiłek, miotanie się, mógł nawet sprawić przyjemność. Najwięcéj zbierała oklasków jakaś już nie pierwszéj młodości, ani ładna, ani wdzięczna, ale śmiała, do-

wcipna, żywa, Medemoiselle Joséphine. Musiała to być jedna z tych paryskich sławnych gryzet, których wiele dobiło się ekscentrycznością wcale nie zasłużonéj sławy. Policyant, stojący w milczeniu, miał ją wszakże pod szczególnym nadzorem, za co mu ona różne, niezbyt wdzięczne miny pokazywała. Większość towarzystwa składała się ze studentek, młodych po większéj części dziewcząt, w ubraniach bardzo ubogich i skromnych, w sukniach płócienkowych, z włosami krótko poucinanemi, z rękami zapracowanemi. Obok nich wiele było zwiędłych, jakby schorowanych i zbiedzonych, jakby siłą porwanych w ten wir zabawy. Kilka czy kilkanaście kobiet wytworniéj przystrojonych, widocznie pragnących na siebie zwrócić oczy, trzymały się na uboczy, przechadzały po uliczkach i robiły łatwe znajomości. Te pióra i kaszmiry wydzielały się same ze świata poczciwszego płócienek i rąk zapracowanych. Jakże zresztą osobliwszy ten obraz odmalować? Taniec do niczego nie był podobny, składał się bowiem z najgwałtowniejszych ruchów, bez wdzięku, z pantomin dziwacznych, którym szło o to najwięcéj, aby oklask wywołały. Klaskano i śmiano się, a niekiedy śpiewom i muzyce towarzyszył chór potężny, który i muzykę samę zagłuszał. Znajomi i nieznajomi brali udział w powszechnéj, głośnéj, siarczystéj rozmowie, z któréj strzelały dowcipy, jak race fajerwerkowe. Kobietom wcale na odpowiedziach i dosadnych wyrażeniach nie zbywało. Noc, oświetlenie gazowe, ogródek na pół w mrokach, pół w blaskach, wrzenie tego tłumu stanowiły obrazek dla spokojnych oczu, nienawykłych do takich orgij, wcale osobliwy, a smutny. Licząc twarze, okazało się, iż połowa męska była o wiele młodsza, prawie wyłącznie z chłopców bezwąsych składająca się, gdy w niewieściéj przeważały niemłode i zwiędłe fizyognomie. Nazywało się, że tańcowano walca, redowę, polkę, lansiera, ale tego wszystkiego niktby nie poznał, gdyby nie muzyka, bo się sadzono na swobodną interpretacyę. W kole ciekawych między nami było wielu cudzoziemców, zwabionych widokiem tym, niektórzy dali się szatanowi skusić i poszli w tany, między innemi Murzyn, który przyszedł jako spektator, ale go pochwycono i wywijał z namiętnością afrykańską. O jedenastéj wszystko się to skończyło, a większa część, jak mówił Stefan, poszła pracować na trzewiki niedzielne.

Wspomnieliśmy już o starych niewiastach, wmieszanych w to pandemonium, smutniejsze pewnie wrażenie wywierały dziewczęta podlotki czternastoletnie, chłodne, zakłopotane, wstydliwe, a pragnące udać, że się doskonale bawią. Na to patrząc, ściskało się serce. Więc tu niéma rodziny, matki i stróża nad sierotą?

To życie studencko-cygańskie w pismach Murgera najdosadniéj, najprawdziwiéj jest odmalowane, tam téż obrazu jego pełniejszego szukać potrzeba. Śmieje się ono z piosnek Béranger'a: *Dans une mansarde qu'on est bien à vingt ans!*—w Murgerze jest prawie smutne: *Ah! l'heureux temps, où nous étions si malheureux!* Czegoż nie ozłoci młodość? Nawet tak prozaiczne rozpasanie.

Nazajutrz pod przewodnictwem poczciwego Stefana, trzeba było prawdziwą odbywać pańszczyznę, aby choć to widzieć, co musi każdy szanujący się zobaczyć turysta. Jechaliśmy naprzód do domu Inwalidów, najstarszego może z zakładów tego rodzaju w Europie, o którym zacny Montesquieu powiada: „Hotel Inwalidów jest najczcigodniejszém miejscem na ziemi. Gdybym był panującym, wolałbym być założycielem jego, niż zwycięscą we trzech bitwach.“ We Francyi jeszcze Karol W. pomyślał o pomieszczeniu tych ofiar wojny, jako *oblatów* po klasztorach; za Filipa Augusta wyznaczono im pensye stałe. Święty Ludwik założył po powrocie z Palestyny szpital *Quinze-Vingt,* dla wiernych towarzyszów, którym rozpalone piaski azyjskie oczy powyjadały. Późniejsi panujący, niektórzy przynajmniéj, starali się coś uczynić dla żołnierzy okaleczałych; a wielkiéj pamięci Henryk IV, w 1605 r. założenie domu dla inwalidów postanowił, chociaż go nie dokonał. Myśl tę podniesiono za Ludwika XIII. Richelieu począł budować komandoryą św. Ludwika, którą Ludwik XIII edyktem zmienił na dom Inwalidów.

W 1674 r. Inwalidzi przeniesieni zostali do tego zakładu, który się późniéj rozszerzał, zwiększał i coraz stawał świetniejszym, tak, że w początkach XVIII w. należał do osobliwości Paryża, zaszczyt mu przynoszących. Zwiedzali go wszyscy znakomici cudzoziemcy. W r. 1716 cesarz rosyjski, Piotr W. będąc w Paryżu, nie minął Inwalidów, rozpatrywał wszystko aż do kuchni i refektarza i wina żołnierskiego kosztował.

Weszliśmy naprzód do kościoła, który jest wewnątrz nie ozdobny i surowego stylu. W przedniéj części jego, przysposobiony widać było w krypcie grób dla Napoleona, którego ciało spoczywało tymczasowo w kaplicy na lewo. W pośrodku wgłębienia sarkofag z porfiru finlandzkiego, oczekiwał na zwłoki. Kościół zdobią jeszcze resztki zdobytych niegdyś chorągwi, obyczajem dawnym, gdyż wszędzie te trofea zawieszano na sklepieniach świątyń. Wiemy, że Jagiełło po bitwie pod Grunwaldem posłał chorągwie do kościoła katedralnego w Krakowie. Przed rokiem 1814 było ich tu daleko więcéj. W tym czasie, gdy Paryż był zagrożony przeważającą siłą sprzymierzonych, inwalidzi ofiarowali się wszyscy marszałkowi Moncey, iść bronić powierzonych im trofeów.

Uznano jednak ofiarę tę bezskuteczną i Moncey obawiając się, by mu po zajęciu Paryża nie odebrano chorągwi, zgromadził je wszystkie w podwórzu Inwalidów i spalił. Resztki niedogorzałe wrzucono do Sekwany, z której później wydobyte zostały. Hotel Inwalidów jest wprawdzie wspaniały i we wzorowym utrzymywany porządku. Gmach ogromny, sale niektóre piękne, obrazy van der Meulena; ogródki utrzymywane przez żołnierzy, widok starych wąsatych kaleków zajęły nas przez chwilę. Nie bylibyśmy jednak gościli tu zbyt długo, gdyby nie tyrania przewodnika, który raz opanowawszy nas, nie dopuścił, abyśmy cokolwiek pominęli, nawet kuchni i sławnego kotła owego. Oficerowie mają stół osobny i pokoje bardzo wygodne. Musieliśmy i jednego z nich odwiedzić. Monnier, dowcipny rysownik i pisarz w obrazkach Paryża, mówiąc o Inwalidach, dowodzi, że starzy żołnierze niewiele mogą o starych dziejach, których byli świadkami, nauczyć. Nie probowaliśmy ich też wypytywać, aby nie otrzymać odpowiedzi w rodzaju tych, które przytacza.

„Za pozwoleniem, widzę z medalu św. Heleny, że pan należałeś do sławnych zastępów, które zwycięsko przewędrowały świat cały?

— Z 9 pułku kirasyerów, 4 szwadronu.

— Byłeś pan pod Eylau?

— Siarczyste zimno tam było! o tak! nóg nie czułem, ani rąk też. Czterdzieści siedem godzin stało się wciąż na cmentarzu. Cesarz miał czapkę z futrem tak! tak! Zabito naszego kapitana Chauveau, pan go może znał?

— Nie, nigdy.

— Kapitana Chauveau; a syna jego, który został przy wojsku, kula armatnia na pół przecięła; pułkownikiem pod Waterloo, pan go może znał?

— Nie miałem zaszczytu.

— Miał imię Edmund.

— Nie przeczę.

— Matka z nim mieszkała, bywałem u niego. Pod Eylau zimno było, że dyabeł-by się porwał do broni. Otóż tak było pod Eylau, proszę pana.“

Więcéj nad podobne szczegóły od żadnego się dowiedzieć nie mógł.

Wstąpiwszy jeszcze raz po drodze dla lepszego obejrzenia St. Chapelle, którą właśnie restaurowano, zaszliśmy na posiedzenie *Cour d'assises*, ledwie się docisnąwszy do małéj salki, w któréj przed kratkami płacząca kobieta broniła się, obwinioną będąc o jakieś przywłaszczenie materaca. Materac, jako *corpus delicti*, leżał

u stóp trybunału. Adwokat w urzędowéj todze, birecie i rabacie, bronił obwinionéj. Kupa ciekawych należąca, jak się zdawało, do téj ubogiéj klasy, z któréj wyszła obżałowana, przysłuchiwała się z rozmaitemi wrażeniami tokowi procesu. Mimo małéj wagi sprawy, kobieta pozwana płakała i wyrzekała, tak wykrzykując, że ją sędzia ciągle hamować musiał.

Wszystko to razem wzięte, wcale nie było zajmującém i wyszliśmy skoro, widzieć wielką salę *des pas perdus*, ażeby sobie wynagrodzić *nos pas perdus*, na posiedzeniu.

Sala tak zwana, o któréj już wyżéj mówiliśmy, jest ową olbrzymią na uroczystości dawnego dworu królów, w któréj się zgromadzała rodzina, dostojnicy, rycerze i odbywały wszystkie pamiętne akta dziejowe za dwóch pierwszych dynastyj. W tym zamku naówczas jeszcze, Eudus dwa lata oblężony bronił się Normanom, za Hugona Capeta, twierdza stała się mieszkaniem obronném, Ludwik święty zrobił z niéj pałac, który dwunasty tegoż imienia król odnowił. Ludwik dziewiąty tu ogłosił swe ustawy i sankcyą pragmatyczną, pierwsze upomnienie się o prawa gallikańskiego kościoła. Miejsce to pełne wspomnień, a sala jedna pozostała jeszcze taką, jaką ją po pożarze w r. 1617 Desbrosses wyrestaurował. Ogień 1775 r. nie tknął jéj. Sala wistocie olbrzymia, podzielona wzdłuż na nawy słupami ogromnemi, sklepiona. W łukach sklepień okienka wpuszczają światło z góry, które dają także okna po dwu jéj końcach umieszczone, a zakończone pół-różami (demirosaces). W prawo od wnijścia, prawie naprzeciwko słupa, który się zowie *pilier des consultations*, gdyż tu dawniéj rzecznicy darmo rad udzielali ubogim klientom, przy ścianie ciężki pomnik poświęcony pamięci Malesherbes'a. Na płaskorzeźbie wyobrażony i De Sèze odwiedzający Ludwika XVI w więzieniu. Napis wielce wytworną łaciną, utworzył sam podobno Ludwik XVIII, jest mu przynajmniéj przyznawany. Stołu marmurowego tylko już miejsce, które zajmował, pokazują. Z sali wnijścia i wschody prowadzą do kilku różnych instancyj trybunałów. Najożywieńszy widok przedstawia około południa, gdy cały sądowy świat, adwokaci, palestranci, snują się z papierami pod pachą, w najróżnorodniejszych strojach i z najrozmaitszemi minami. Późniéj nieco wszystko to rozpływa się po sądach i różnych izbach gmachu. Wiktor Hugo, który jest równie znakomitym archeologiem, jak poetą, tak dawny stan téj sali opisuje:

„Po nad głowami naszemi podwójne strzałkowate sklepienie, wykładane rzeźbami drewnianemi, pomalowane lazurem, w rzucane lilie złote, pod nogami posadzka z płyt marmurowych w szachownicę czarną z białém. O kilka kroków od nas olbrzymi słup,

dalej drugi, trzeci, wzdłuż sali siedem ich stoi. Około pierwszych czterech, sklepy przekupniów, całe błyszczące od szkła i świecideł, przy trzech dalszych, ławy z dębowego drzewa, wytarte a lśniące spodniami pieniaczów i sukniami rzeczników. Dokoła sali, wzdłuż wysokich murów, pomiędzy drzewami, między oknami, między słupami, nieprzeliczony szereg posągów wszystkich królów Francyi od Faramonda; królowie próżniacy, z rękami opuszczonemi, ze spuszczonemi oczyma; królowie dzielni i wojowniczy, z głową i ramiony śmiało wzniesionemi ku niebu."

Pokłoniwszy się tej historycznej pamiątce, trzeba było iść a raczej lecieć dalej, bo z czasem musieliśmy się bardzo rachować. Jeszcze raz opatrywałem Nôtre Dame, zewnątrz przedziwnie piękną, wewnątrz po tylu nieszczęśliwych restauracyach, odrażającą szczegółami nowemi. Szczególnie piękne i zastanawiające są rzeźby u wnijść, psychostazye, Wniebowzięcie N. Panny, pojedyncze postacie aniołów i świętych, gzymsy z główek cherubinów i t. p. Wewnątrz znać, że tędy przeszła rewolucya i cześć bogini rozumu i religia teofilantropów... po której w r. 1802 kościół otwarto nanowo... Od tej pory ciągle go odświeżano... Restauracya, zaczęta w r. 1845, trwała aż do Napoleona III... Przy najlepszych chęciach... restauracya jest zawsze tylko surrogatem czegoś, co się przywrócić nie daje. Ażeby unieść wspomnienie miłe, trzeba się ograniczyć oglądaniem głównej ściany u wnijścia, rzeźb i odrzwi...

Stąd, postanowiwszy obejrzeć główne kościoły, udaliśmy się do św. Eustachego. Budowa to z ostatnich chwil dogorywającego gotycyzmu, do jakiego domieszał się renesans francuski, efektowna wewnątrz, ale smaczna. Malowania nowe sprzeczają się ze starszą budową, ale pomiędzy niemi w stylu archaicznym Signol'a, ucznia Ingres'a, Jezus błogosławiący dzieci i Jezus między doktorami, same przez się wzięte, są nie bez wartości. Pomnik Colbert'a przez Coisevoix'a, wystawujący go dawnym obyczajem klęczącego na trumnie, pięknie wykonany.

Kościół św. Sulpicyusza, niby gotycki we środku, a wistocie w stylu jakimś mieszanym, bardzo wytwornie odnowiony, godzien tylko widzenia dla nowych fresków Pageol'a, Vinchor i Droslinga... szczególniej ostatnich.... Znajduję zanotowane Oślepienie św. Pawła, Św. Paweł każący w Atenach.

Kościół św Klotyldy jest nowem prześladowaniem gotyku. Godzą się na to, że próba ta nieudatna wielce i nieumiejętna, mimo starania, z jakiem ją dokonano. Wzorów szukano na nią nad Renem, mając pod bokiem we Francyi własne. Biada temu wiekowi, który naśladować tylko i pożyczać musi, stworzyć nic nie mogąc swojego. Rzeźby lepsze nieco od fresków, ale kościół—szczególna

rzecz, czyni wrażenie gotyckiego salonu, nie czuć w nim Boga. Ducha nie było przy budowie, nie ściągnął téż on z niebos Pana...

Kościół św. Germana des Prés należał do klasztoru tego imienia, położonego niegdyś wśród łąk obszernych. Opactwo sięga VI w.; ale kościół pierwotny zniszczony został przez Normanów. Około 1014 r. dźwignięto go na nowo, i utrzymują, że z tego czasu pozostały niektóre części budowy, zamaskowane wszakże tylą po sobie następującemi poprawkami, iż ich rozpoznać niepodobna. Klasztor był obszerny i wspaniały; ponowił późniéj w XVII w. to, co u nas nazywano całą juryzdykcyą, kwartał ł miasta, którego mieszkańcy przynależeli we wszystkiém do władzy opackiéj.

U św. Germana przed wybudowaniem bazyliki w St. Denis grzebano królów Francyi; złożone tu były ciała dynastyi Merowingów, których groby przy restaurowaniu natrafiono, a dobyte z nich pamiątki, złożono w muzeum Cluny. Wiele tu grobowców zajmujących, ale dla nas przedewszystkiém, znany dotąd tylko z rysunku, pomnik Jana Kazimierza, który jak wiadomo był w końcu opatem u Germana, to jest, pobierał dochody z tego i kilku innych opactw... W pomniku Jana Kazimierza, który ma charakter epoki i w swoim rodzaju dość poważnym jest, głównie zwraca uwagę bronzowa płyta, wykonana misternie lepiéj niż antepedium chełmskie, bo na niéj stroje i uzbrojenia współczesne są dosyć wiernie oznaczone, a nawet typy i charakter polski. Szyki bojowe, figu ry, są zapewne z rycin studyowane. Znane sztychy grobowca dają ciekawą płaskorzeźbę w małych rozmiarach, godziłoby się kiedyś wydać ją w znaczniejszych. Część kościoła odnawiano, była więc oddzieloną, w odkrytéj wszakże widne były piękne freski Flandrin'a, szczególniéj Chrystusa wjazd do Jerozolimy, Chrystus upadający pod krzyżem. Po śmierci Flandrin'a, który nie dokończył obrazów tych, położono mu tablicę pamiątkową.

Do Szkoły sztuk pięknych, pomimo, że tu-by się téż wiele rzeczy do widzenia znalazło, szedłem tylko dla zobaczenia arcydzieła Delaroche'a—tak zwanego hemicyklu, olbrzymiéj kasty, zawierającéj w fresku przepysznie pojętym ugrupowaną, wcieloną historyą malarstwa. Znałem kompozycyę tylko ze sztychu i z ogólnego jéj ugrupowania, chciałem ją widzićć całą, żywą, tak jak znakomity artysta rzucił ją na tę ścianę monumentalną. Wyznać muszę, iż przeszła oczekiwanie moje; późniéj w lat kilka, miałem zręczność oglądać studya oryginalne Delaroche'a, do tego i do innych kompozycyj, poznałem go bliżéj i lepiéj; lecz nie zmieniłem o nim przekonania, bo od pierwszego wejrzenia przed tym, który stworzył, obmyślił, wykonał tak wspaniałe dzieło—z uszanowaniem pokłonić się kazała sprawiedliwość. Rzecz szczególna! Delaroche od r. 1822,

w którym z piérwszym obrazem wystąpił na wystawie (Joas i Josebeth—Zdjęcie z krzyża) aż do r. 1831, miał tylko wielbicieli i najpowszechniejsze uznanie, od téj daty poczyna się przeciwko niemu równie gorąca opozycya, jak wielkie wprzódy było uwielbienie. Nagle znajdują wszyscy, że Delaroche jest tylko zręczny, że jest nadto zręczny, że mu brak energii, że zbyt się stara podobać ogółowi i tysiączne inne zarzuty podobne. Dumas Aleksander zarzuty ówczesne bardzo *zręcznie* téż zbiera w jeden.

„Delaroche, powiada on, maluje człowieka idącego na ścięcie, ale nie obiera téj chwili dreszczu, gdy stróże otwierają drzwi więzienne, ani chwili, gdy skazany ujrzał rusztowanie, nie—jego ofiara zrezygnowana, schodząc ze wschodów, mijać będzie okno biskupa Londynu, i klęknie z oczyma spuszczonemi, przyjmując błogosławieństwo dwóch rąk białych, arystokratycznych, drżących, wysuniętych przez kraty.

„Malując zabójstwo księcia Gwizyusza, nie wybierze chwili walki, ani téj ostatecznéj sekundy, mgnienia, gdy się twarze kurczą gniewem i konwulsyami skonania, gdy ręce szarpią ciało i wyrywają włosy i gdy serca piją zemstę a sztylety krew... Nie, on wybierze chwilę, gdy wszystko skończone, gdy Gwizyusz leży zabity u łoża, gdy sztylety i szpady otarto płaszczami, poszarpane okryto kaftany, gdy mordercy otwierają drzwi zabójcy, a Henryk III blady, drżący, wchodzi, cofa się w progu i mruczy: Ten człowiek miał dziesięć stóp wzrostu! wyższym mi się wydaje leżący, niż gdy stał, zabity, niż był żywy.

„Naostatek, pisze daléj Dumas, jeśli będzie malował dzieci Edwarda, wybierze nie tę chwilę, gdy katowie Ryszarda III rzucają się na niewinnych i krzyki ich tłumią poduszkami, dusząc je razem z życiem. Nie, on obierze chwilę, gdy dzieci siedząc na łożu, które się ma stać ich grobem, niepokoją się, drżą, przeczuwają nadchodzącą śmierć.“

Dumas przywodzi to jako zarzuty, a my podnosimy je dlatego, że w tym procesie Delaroche'a maluje się jedna strona charakteru Francyi i szkoły francuskiéj; aby pozyskać oklask trwały, trzeba było przesady, energii, teatralności, blagi jedném słowem, któréj Delaroche nie miał, był artystą rozważnym, myślącym, umiarkowanym, i dlatego Francya go zrozumiéć i ocenić trwale nie umiała. Nie krzyczał i nie miotał się dosyć silnie dla niéj.

Zarzuty Dumasa są najlepszą pochwałą i oceną Delaroche'a. Prawdziwy artysta, chcąc wrażenie wywołać, nie brał brutalnego faktu, tak, jak malarz rozumny nie sili się na malowanie słońca, malował to, co straszniejszém było od saméj grozy śmierci. Przyznam się, że te dwie białe ręce, błogosławiące Straffordowi z za

kraty, znajduję gienialnym pomysłem, że wchodzący zabójca, przed którym leży trup i stoją mordercy, że dzieci struchlałe i przelękłe, stokroć na mnie cięższe robią wrażenie, niż rusztowanie i kat, niż morderstwo i szamotanie się ofiary, niż ohydne męczeństwo niewiniątek. Właśnie w pojęciu tych kompozycyj, Delaroche daje miarę umysłu swojego i smaku. Lecz we Francyi potrzeba nie tego rozumnego malowania jego, w którém niéma nic nadto, nie tych obrazów, do których głębi serce i myśl zaglądać muszą—trzeba jaskrawéj barwy, świateł, ruchu, jaskrawéj idei—trzeba teatru i blagi.

Dumas mógł innego rodzaju zarzut uczynić Delarochowi—wyboru przedmiotów—lecz można-ż naturę pogwałcić, gdy duch ciągnie ku pewnemu rodzajowi włącznie, gdy ich talent wymaga?

Delaroche, którego zrazu uwielbiano, po krytyce, mocno dotknięty, obrazów więcéj na wystawę nie dawał. W tym czasie powierzono mu malowanie hemicyklu w Szkole sztuk pięknych. Posłużym się tu jeszcze opowiadaniem Dumas'a, chociaż Dumas, Francuz do szpiku kości, Delaroche'a ocenić słusznie nie mógł. Ciekawa rzecz przecie, jak on to opowiada.

„Delaroche przez pięć lat pisał tę piękną kartę—ale gdy dla napisania jéj pięć lat siedział zamknięty w pałacu Szkoły sztuk pięknych—Delaroche został zapomniany. We Francyi łatwo się zapomina—a lepiéj pono umrzéć, niż być zapomnianym. Po upływie lat pięciu słychać opowiadających.

— Wiesz, Delaroche?

— Delaroche! Delaroche! a! tak! tak! więc cóż?

— A no, dokończył swego wielkiego dzieła.

— Jakiego wielkiego dzieła?

— A no—hemicyklu!

— A więc jakiś hemicykl... malował?

— Tak.

— Gdzie?

— W pałacu Szkoły sztuk pięknych.

— Wistocie?

— Trzeba to pójść zobaczyć.

— Zapewne, zapewne, bylem znalazł chwilę czasu.

„Pięć lat wprzódy, dodaje Dumas, gdy Delaroche płótno wystawił, biegł je cały Paryż oglądać."

Co do hemicyklu tego, śmiało powiedziéć można, iż Francya z dzieł współczesnych nie ma równego. Lecz to dzieło poważne, rozważone, rozumne, nie czyni wrażenia na temperamentach wymagających czegoś ekscentrycznego, aby uznały wielkość. Hemicykl szeroko w półkole, jak jego nazwa powiada, rozlega się na ścianie sali. Kompozycya jest bardzo prosta i wdzięczna, ugrupowa-

nie tego mnóstwa postaci umiejętne i szczęśliwe, rysunek wyborny, koloryt żywy a nie krzyczący. Nie jest to fresk właściwie, ale obraz olejno malowany, na murze stosownie przygotowanym. W głębi siedzą trzéj sędziowie piękna, Fidyasz, Iktynus, Apelles. Nieco niżéj cztery postacie niewieście wybornie charakteryzujące cztery wielkie epoki sztuki, grecką, rzymską, średniowieczną, odrodzenie. Wysunięta na najpierwszy plan, sława rzuca wieńce zwycięscom. Szeregiem, grupami stoją świadkowie walki, przepyszne figury artystów, z których każda nietylko obliczona, ale całą osobą charakter swój wyraża.

Po hemicyklu, nie chciałem już psuć sobie miłego wrażenia, jakie on uczynił na mnie, i powróciłem do domu. Wieczorem tylko Stefan namówił do teatru „*français*“, gdzie artyści grali małe rzeczy, ale wybornie i z wykończeniem, które im wartość nadawało. Pani Brohan, Fleury, Gault usprawiedliwiali zupełnie sławę, jaką sobie pozyskali. W foyer teatru posąg Racheli przez Clesingera, piękny. Wszystko w tym teatrze wytworne, smakowne i dobrane... *Les doigts de fée*, mimo zaledwie zręcznego układu, na scenie podniesione grą artystów, wydawały się niemal arcydziełem....

XLIII.

Okolice Paryża.—Przejażdżka do Fontainebleau.—W wagonie.—Miasteczko, zamek i ogrody.—Wspomnienia.—Las Fontainebleau.—Dom i rodzina poety. — Powrót do Paryża.—Wieczór w Bois de Boulogne.—Lasek.—Sztuka ogrodnicza.—Pré Catelan.—Zabawy.—Teatrzyki.—Wersal.—Pałac i park.—Obrazy historyczne Vernet. Delacroix.—Ranek w Père Lachaise.—Okolica cmentarza.—Wieńce i szynki. — Biuro nieboszczyków.—Pogrzeby.—Widok. — Nagrobki.—Chopin.—Napisy.—Musset.—Heloiza i Abelard.—Préault'a płaskorzeźba.

Słyną z piękności okolice Paryża, nie żeby sama natura wysiliła się na motywa krajobrazu, gdyż ani skał, ani gór, ani włoskiéj rozmaitości planów, ani kolorytu tamtego nieba i ziemi znaléźć tu nie można, lecz trzebaż więcéj na utworzenie widoku miłego i wdzięcznego nad brzeg rzeki i stare drzewa? Gdy z pośrodka nich jeszcze tu i owdzie wyjrzy ładny domek, kwiecisty ogródek, biały na podstawie posążek, mostek na strumieniu, chatka odrapana, a wszystko to okolą zielone zarośla, gęstwiny splecionych gałęzi, głębokie cienie, w których drży promyk słoneczny, dość zaprawdę, aby się miejsce pięknem nazwać mogło. Cóż dopiéro, gdy jak w okolicy Paryża, wieki pracują na uczynienie jednego niemal parku z ogromnéj przestrzeni; gdy królowie budują pałace i zakładają ogrody, bankierowie stawią milionowe wille, literaci zameczki (kieszonkowe), episyerowie wreszcie szwajcarskie domki i chatki, a mieszczanin paryski, doszedłszy do pewnego dostatku, marzy tylko o wiejskim dworku i choć kilkosążniowym sadziku, gdzieby mógł sadzić róże, chować kaczki i zapoznać się z tą naturą, któréj od urodzenia nie widział inaczéj, jak przydeptaną brukiem i osmoloną węglową atmosferą stolicy. Naówczas każda piędź ziemi, otaczająca miasto, przeistacza się w obrazek mniéj więcéj udatny; a że co brzydsze osłania zieloność, na tle jéj, w jéj objęciach wszystko reszta ślicznem wydać się musi. W chwili gdy to piszemy, niestety, padły pod siekierami żołnierzy najpiękniejsze drzewa, działowe kule porozbijały domki rozkoszne,

wille i pałace stoją w gruzach, świecąc szkieletami odartemi, ale w roku 1858 najbujniejsza wyobraźnia nawet téj ruiny przewidywać nie mogła. Śmiało się wszystko, i kto gdzieindziéj nie czuł się bezpiecznym, tu się chronił.

Szczególne losów zrządzenie! Dopóki świat zmuszonym będzie wojować i wewnątrz bać się nieprzyjaciela w bracie, dopóty nie znajdzie miejsca na ziemi, gdzieby swe skarby i pamiątki mógł schronić. Smutne te myśli są nie z dziennika podróży wyjęte, przyszły one przyniesione przez gazety, które codzień jakieś nowe zniszczenie zwiastują. Parę dni temu padła kolumna Vendôme, wczoraj, czy pozawczoraj rozwalono dom p. Thiersa, pałace są podminowane, wszystko pójść może w perzynę!

Ale onego czasu tak było w Paryżu swobodnie, wesoło, tak wzorowy panował porządek, a Napoleon III wydawał się tak gienialnym, jakgdyby stał już na drugiéj kolumnie w apoteozie!

Zrana wyruszyliśmy koleją do Fontainebleau; przez Alfort, Villeneuve, S. Georges, Montgiron, Comte la Ville, Melun, Avois-le Roi. Wszystko to z okien wagonu wydawało się wdzięczném, zieloném, pełném drzew a w gąszczach domków schludnych, letnich mieszkań, pałacyków i ogrodów. Gdzieniegdzie mignie nam łożysko Sekwany wyschłéj, jak nie była już (mówią) od lat pięćdziesięciu; gaje, rzędy długie topoli, łąki bujną okryte trawą, a bliżéj Fontainebleau lasy otaczające to ciche miasteczko. Wszystkie osady po drodze spotykane strojne, czyściuchne, dużo domów, z dachami śpiczastemi, wieżyczkami, przybudówkami i szerokiemi kominami. W ogrodach pstrzą się kwiatki.

Miasteczko leży nieco opodal od stacyi kolei, przy któréj czekają omnibusy za sześć sous rozwożące po hotelach. W wagonie z sobą mieliśmy doskonały typ francuskiego wieśniaka, *vigneron'a*, opasłą, czerwoną baryłę, jakby wyjętą z Balzaca *Les paysans*, niestety, aż nadto prawdziwych. Jechał wygodnie porozpinany, a że nie mógł znać wytrzymać ani głodu, ani pragnienia, miał kieszenie ponatykane bułkami i mięsem, butelek parę z sobą, trybuszon, czarkę srebrną i różne przybory ku wygodzie żołądka. Rozmowa mogła nas tylko tego nauczyć, że był wolterzystą, a razem zupełnie niewykształconym gburem, zarozumiałym wielce i niedbającym o nic więcéj, oprócz naładowania kieszeni i żołądka. Pocieszałem się tém, iż go brałem za wyjątek.

Miasteczko, jakgdyby nie wiem już jak daleko leżało od Paryża, ciche, spokojne, otoczone wzgórzami i lasami, jest dla artystów ulubionym celem wycieczek i studyów krajobrazowych, skał, starych drzew i t. p. Zaraz na wstępie pełno się spotyka porozlepianych ogłoszeń o powozach do przejażdżek po parku sąsiednim

i t. p. Do miasteczka prowadzi piękna, cienista ulica platanami wysadzona. W mieście niéma tak dalece nic do widzenia, podobne ono jest do innych prowincyonalnych, i jak inne, ożywia się załogą jakiegoś pułku jazdy.

Zamek jest jedną z najstarszych królewskich w okolicach Paryża rezydencyj, poprzedził on i stworzył miasteczko. Już za Ludwika zwanego młodym, w pełnym zwierzyny lesie zwanym Bière istniał myśliwski z wieżami i wałami zamek. Święty Ludwik go powiększył; dodali coś doń Franciszek I i Karol IV. Opuszczono go jednak następnie. Co do budowy w smaku odrodzenia najwięcéj śladów Franciszka I go. Sprowadzeni przez niego artyści włoscy, Primatice, Rosso, Dell'abate, Vignole i t. p. stworzyli to, co się onego czasu zwało szkołą Fontainebleau, tak ją mianuje Vasari. Pracowali tu téż budowniczowie, rzeźbiarze i malarze francuscy. Pełno różnych dworskich wspomnień z onych czasów, pełno powieści i historyjek. Tu Karola V przejeżdżającego przez Francyę przyjmowali panowie i panie u skraju lasu poprzebierani za bogów i boginie leśne, tańcami i muzyką. Dawano dlań w czasie pobytu nieustanne zabawy, widowiska, łowy i t. p. Karol V jednakże niebardzo się czując bezpiecznym, uszedł, jak mógł najprędzéj. Każda niemal część, pawilon, wschody, sala, jest pamiątką po jakimś królu, po jakiéjś księżnie d'Etampes lub Dyanie. Trudno jest te wszystkie wspaniałości opisywać; dziś najżywsze, najbardziéj przejmujące wspomnienie, jest napoleońskie. W podwórzu u wnijścia pokazują zaraz miejsce, gdzie po abdykacyi żegnał gwardye i chorągwie, wszedłszy zwracają uwagę na jego łóżko z pokryciem, zostawione, jak było niegdyś, i stoliczek krągły o jednéj nóżce, na którym podpisał zrzeczenie się swoje. W salach, po galeryach wiele rzeczy ciekawych, ale są i niesmaczne, jak ów gabinet wyłożony talerzami z sewrskiéj porcelany, jak Ludwika Filipa marmury fałszywe i złocenia tanie. Król mieszczanin lubił téż bawić się w budowy i restauracye, ale jak najtańszym kosztem. Gabinet z talerzy obok gobelinów z rysunków Giulio Romano! Wszystko było poodnawiane, gdyśmy pałac oglądali; w kaplicy gotyckiéj św. Ludwika w oknach szyby są pamiątką po ks. orleańskiéj, która do nich rysunki dawała. W budowie stylów i epok rozmaitość, ale się to jakoś godzi ciągiem podań dziejowych, jednę prawie opowiadających historyę. Najpiękniejsze może w Fontainebleau są otaczające zamek ogrody, zwane parterem, ogrodem królewskim i angielskim. Drzewa, ogromne kanały (pamiątka po Henryku IV), aleja wiązów dwóchsetletnich przecinająca park wzdłuż, czynią to miejsce bardzo miłym spoczynkiem i pojąć łatwo, że mogło przywiązać do siebie znużonych gwarem stolicy. Jeszcze

zresztą piękniejszy jest sławny las ze swemi wąwozami, skałami, grotami; których widoki przypominają się w szkole nowéj pejzażystów francuskich.

Z tego wszystkiego, prawdę rzekłszy, małośmy co widziéć mogli, wabił nas tu urok małego, skromnego domku, w którym naówczas mieszkał z rodziną, żoną i dziatek sześciorgiem, słowik ukrainny, poeta Przenajświętszéj Rodziny, Bohdan. Widząc nawet po raz pierwszy w życiu tego sympatycznego, prostoty pełnego a powagi człowieka, czuło się dlań nietylko cześć, jaką budzi dar boży, iskra jasna na czole, ale drugi a cenniejszy, gorąca iskra w sercu. Cały-bo to sercem człowiek, a szczery i przezacny, a jako dziecię naiwny, mimo wielkiego rozumu. Z jego pieśni wieje cała dusza, ani się go innym spodziewać można, niż znajduje. Pieśń i człowiek są w zgodzie zupełnéj; duch chrześcijański czysty, święty, przyobleka, przesiąka, rzekłbym całego. A że jaki gospodarz, taki dom, wszystko wkoło serdeczne a wiejskie, a proste. Sama pani macierz i gosposia krząta się około wszystkiego, boć tu owych naszych sług mnóstwa domowych zapomniéć potrzeba a nauczyć się służyć samym sobie. Od kuchni i pokoju dzieci, wieczorem wróci do fortepianu, a przy nim jest tak znakomitą artystką, jak przed chwilą była pracowitą gosposią. Bohdan zdał się nam żyć więcéj przeszłością i w przeszłości niż w chwili obecnéj, o niéj mówiąc ożywiał się, młodniał, a przychodziła mu ona z takiemi szczegółami na pamięć, jakgdyby wczoraj jeszcze Adama wstrzymywał na drodze, która go z religijnego uczucia chwilowo w religijne miała poprowadzić obłędy.

Pożegnaliśmy miłą rodzinę jakby dawno, dawno znajomi, bośmy poetę nie od dziś ukochali a nie potrzebowaliśmy widziéć twarzy, by znać serce. Powrót tą rwącą koleją o mroku do Paryża wyiskrzonego gazem, rozszalałego, wrzącego, pełnego muzyki, śmiechów, gwaru, krzątaniny, mimo całego uroku stolicy, przykre czynił jakieś wrażenie. Czułem, że w cichém miasteczku była prawda, a w têm pandemonium cywilizacyi coś przerażającego urągającym się ziemi weselem bez jutra. Nie wiem, ile potém razy, może dziesięćkroć zwiedzałem Paryż, nie mogłem się przemódz nigdy, zawsze on na mnie robił wrażenie absyntu, upojenie z niesmakiem i odrazą. Lecz porwanemu wirem przymusowego oglądania wszystkiego, trudno się obronić nastręczającym ciekawościom. Wróciliśmy z Fontainebleau jeszcze dosyć na czas, by zrobić wycieczkę do Bulońskiego lasku.

Minąwszy piękny a wystrojony Plac Zgody, jedzie się przepyszną aleją Pól Elizejskich do łuku de l'Etoile. W wieczornéj godzinie wszystko to było bardzo ożywione, a o mroku pawilony,

kioski, domy, ogródki już w części pooświecane, jeszcze się czarowniéj wydawały. Każdy tu z tych klombów i ogrodów jest najwyszukańszém dziełem kunsztu ogrodniczego. Krzaki te składają się z azalei i rododendronów, drzewa te to araukarye i himalajskie cyprysy, to sofora ze zwieszonemi ku ziemi gałęźmi. Wszystko, czego mogła dostarczyć Holandya, Belgia i botaniczne ogrody południa, tu się znajduje. Liść biały obok czarnych, szary z czerwonym artystycznie poplątane, poustawiane rozkosznie, bawią oko. Lasek buloński ma téż dzieje swoje; spojrzawszy nań, przejechawszy parę ulic, spostrzegasz, że tu dzieło sztuki zajęło miejsce dzieła bożego, i że z lasu zostało tylko nazwisko. Woda, drzewo, rośliny, skały przywiezione, sprowadzone, sadzone, misternie poustawiane, aby stworzyć rodzaj salonu zielonego dla wykwintnych Paryżan. Z dębów i buków, które zarastały te przestrzenie za Karola Wielkiego, ani śladu. Lasek buloński municypalność paryska po 1814 roku zasiała i zasadziła na nowo, drzewa téż nie są stare. Pokopano sadzawki i jeziora, posypano wzgórza, a panu Alphand, inżynierowi miasta, należy sława stworzenia tego parku, który ma tylko może tę wadę, że w nim nadto czuć i widać sztukę. Natura jest ujarzmioną, posłuszną, chociaż jéj z tą całą elegancyą nie zawsze do twarzy. Rozległość lasu jest bardzo wielka, z każdego miejsca odkrywa się widok nowy, woda, łąka, kaskada. Na jeziorkach gondole do przejażdżki, przy alejach kawiarnie i restauracye. Osobno oddzielony, ogród w ogrodzie, do którego się wchodzi wieczorem za opłatą trzech franków, miejsce ulubione wykwintnemu światu, zowie się *Pré Catelan*. Wówczas gdyśmy byli w Paryżu, było ono w największéj modzie, chlubiono się stworzeniem téj śliczności. Jest to pełen kwiatów parter, oświecony wspaniale, przepełniony wonią klombów, pełen przeróżnych rozrywek i zabawek. Teatr maryonetek, teatr kwiatów, namiot dla muzyki, kawiarnie, cukiernia ze Szwajcarkami postrojonemi w malownicze ubiory Oberlandu; wróżki, które się ofiarują za niewielką cenę odkryć przyszłość.

Znajdziesz tu wszystko, ale najpiękniejsze są kwiaty i gazowe oświetlenie klombów, które wistocie uroczo a rozmarzająco wygląda, nadewszystko (jak dla Paryża i paryżan potrzeba) teatralnie. Weszliśmy na chwilę do teatru maryonetek, lecz zawiódł oczekiwania nasze, dość wyglądał smutno i dzieci nawet się nudziły. Żona antreprenera grała za sceną na fortepianie dla tańcujących lalek; wyglądało to na Paryż i Pré Catelan zaubogo.

Każdego, który do Paryża przybył po zwiedzeniu stolic innych, uderzało to, że najwyrazistszą cechą zewnętrzną miasta była zabawa. Zdawało się to niekoniecznie wypływać z charakteru mie-

szkańców, ani z natury stolicy, czuć w tém było (lub zdawało się) jakby staranie umyślne, jakby narzucenie z góry rozrywek dlatego, aby one o czém inném zapomnieć kazały. W Londynie, na ogromną ludność jego, jest również mnóstwo miejsc rozrywce poświęconych, ale tu one toną w ruchu niezmiernym interesów i olbrzymiéj pracy; w Paryżu interesa nawet przybierają jakiś pożyczany pozór zabawek, a praca zdaje się siebie wstydzić i ukrywać. Bawi się, śmieje lub czeka godziny wypoczynku wszystko, co żyje. Czy takim był Paryż zawsze, powiedziéć nie umiem, że się nim wydawał za Napoleona III, to pewna. Usiłowano z umysłu odciągnąć ludność od poważniejszego zajęcia zadaniami społecznemi, ułatwiając jéj rozrywki, mnożąc zbytek i przepych dokoła, poświęcając wszystko wystawności, świetności, pozorom bogactwa i niezmiernego rozwoju życia. Szczególniéj wieczorem Paryż przybierał tę fizyognomię świąteczną, którą inne miasta mają tylko w pewne dni roku. Po zamknięciu fabryk, sklepików, interesów, burs, trybunałów, biur — otwierały się pooświetlane najwykwintniéj teatra, restauracye, *cafés chantans*, sale widowisk, cyrki. Masy ludności płynęły do nich, a w wielu częściach miasta poznać było łatwo, iż nie cudzoziemcy je napełniali — słowem Paryż miał codzień tę fizyognomię rozbawioną, roztargnioną, wyzywającą do życia bezmyślnego, która gdzieindziéj jest tylko chwilową. Nie przeczym bynajmniéj, że w tém mikrokosmie pełnym kontrastów, jak obok przepychu nędza, tak przy rozpasaniu twarda i surowa mieściła się praca, że w głębinach stolicy znajdować się mogli anachoreci i benedyktyni, ludzie święci i koła a gromadki szlachetnemi natchnione ideami, lecz tło wydawało się jakby upojone smutnym szałem i nic nie pragnące prócz chwilowego nasycenia. Paryż wyglądał cały na wielki dom zajezdny i gospodę narodów.

Drugiego dnia pojechaliśmy do Wersalu, aby jeszcze tę przynajmniéj rezydencyę Ludwika XIV, owdowiałą po nim, obejrzéć. Koleją jadąc, ponad okolicami, w których wstrzymać się i oglądać należało, minęliśmy z żalem wejrzeniem tylko powitawszy Suresnes, Courbevoix, S. Cloud. Miasteczko piękne, szeroko zabudowane, ze ślicznemi drzew alejami, wydało się nam po Paryżu dziwnie ciche i puste. Ogrody! co za ogrody, co za zbytek zieleni, co za rozpusta drzew i krzewów, co za morza liści i cieniów, wśród których w dnie powszednie stoją, jak zaklęte niezliczone posągi!... Cała ta wspaniałość opustoszała, z milczącemi wodotryskami, z tą ludnością marmurową, te nieskończone perspektywy nieożywione, chyba przechodzącym przypadkiem ogrodnikiem, wydają się istotnie, jakby ów zamek w bajce, do którego przybywa królewicz i znajduje wszystkich kamiennym snem ujętych. Trzeba im przy-

znać, że te ogrody regularne, architektoniczne, *à la française*, które u nas wycinano i niszczono, gdy moda ich przeszła, jakkolwiek czasem dziwaczny gwałt zadawały naturze, zmuszając drzewa do przybierania niewolniczych jakichś kształtów, nie były bez pewnego idealnego wdzięku. W teraźniejszych jest poszanowanie mamy natury, w tamtych było zuchwalstwo panowania człowieczego nad nią, nie umiejące poszanować nic. Król Ludwik XIV i jego wiek miał w sobie coś z tych cezarów rzymskich, co się czuli prawie bogami i postępowali sobie jak na nieśmiertelnych przystało, bez ceremonii z bożym światem. Opisywać tego parku ze wszystkiemi jego wspaniałościami niepodobna. Przedstawcie sobie, a raczéj przypomnijcie sztych stary ogrodu z wodotryskami, z posągami, z galeryami, z grotami sztucznemi, ze szpalerami pociętemi w różne linie i kształty, przytém ogromne zielone trawniki, stare przepyszne drzewa, całe lasy, a będziecie mieli jakieś pojęcie parków wersalskich.

Pałac i ogrody nieco opodal, odosobnione, jak na wielkich panów przystało, przedstawiają się poważnie z tym charakterem przepychu i *grandioso*, jakie mają wszystkie dzieła epoki króla—słońca. Pałac wewnątrz jest prawdziwie królewski, ale nie naszego wieku, dziś i panujący nie tak przepysznie a wygodniéj mieszkać lubią. Wszystko tu jest, czego pobyt pana i dworu mógł wymagać, kaplica, teatr; pokój Ludwika XIV nietknięty (był nim, teraz nie ręczę) a sal i galeryj bez końca, a zwierciadeł i obrazów bez liku, a złoceń bez miary.

Obrazy właściwie same jedne tu teraz mieszkają. Wersal jest galeryą poświęconą wszystkim zaszczytom Francyi, wszystkim sławom. Niestety! gdy się przypomni rok 1870 i 1871!... Rozmiar tych gmachów zdumiewa, zmieściłaby się w nich ludność małego naszego miasteczka. W salach dolnych mieszczą się obrazy z epoki krucyat, portrety hetmanów, admirałów i marszałków Francyi, od najdawniejszych do ostatnich czasów; na pierwszém piętrze bitwy, sceny, najznakomitsze wypadki historyczne i nieskończona ilość portretów. Wśród tego lasu malowideł różnych pędzlów, talentów, manier, wartości, które czasem dziwnie się z sobą sprzeczają, są i bardzo piękne i malowane na zakaz, urzędowe płótna, których obstalunkiem obdarzono tych, którym chciano zrobić przysługę. Między portretami téż są tylko pamiątkowe i cenne. Wielkie obrazy Verneta: Smala, Ysly, Wzięcie Rzymu, z mistrzowską łatwością rzucone na płótno. W ostatniém znać może starość artysty i pewien upadek. Mniejsza o to, że obraz jest siwy, że wygląda dziwacznie, już w nim życia, ruchu, artyzmu tego niéma co w innych. Wielkie morskie widoki Gudin'a, niektóre przepyszne,

wody płyną, ruszają się, żyją na nich. Jest tu i Ary Scheffer i Delacroix (Przejście Alp — Wzięcie Konstantynopola), i Couder i Van der Meulen, starzy, nowi, mistrze i mierności. W tak wielkim zbiorze trudno téż, by inaczéj było.

Wynosi się z Wersalu mało co więcéj nad znużenie. Zdala pałac i ogrody przypominają epokę Ludwika XIV, we środku zużytkowano miejsce, stworzono galeryę ogromną za niewielką cenę, a myśl piękna, która miała się w niéj wyrażać, słabo jakoś odbija przy złoconych ramach, w jakie ją oprawiono.

Żałuję bardzo, żem oprócz tych wycieczek po-za obręb miasta nie mógł już dobiedz ani do Louveciennes, ani do Marly, ani St. Germain, ani do Enghien i Montmorency. Wiele rzeczy ciekawych należało odłożyć do szczęśliwszych czasów, które nadejść nie miały. Późniéj może dziesięć razy oglądając Paryż, zawsze się miało tyle do czynienia, że na spełnienie obowiązków turysty czasu nie stało. Jeden jeszcze ranek swobodny poświęciliśmy ze Stefanem przejażdżce na cmentarz Père la Chaise, nekropolis nową Paryża, ze starych cmentarzów, w samém mieście położonych, szczątki zsypano do katakumb, to jest do podziemiów, na których miasto jest zbudowane.

Tych prozaicznych pieczar nie miałem ochoty oglądać po rzymskich i neapolitańskich. Cmentarz Père la Chaise (zwany także *le cimetière de l'Est*, a dawniéj *Mont-Louis*) jest najwspanialszym ze wszystkich paryskich.

Założyciel jego O. la Chaise, był jakimś niezłym człowiekiem, zgadzają się na to współcześni. „Był łagodnym, mówi o nim Wolter, i niekoniecznie żył w przyjaźni z jezuitami; ale z nim jakoś zawsze do porozumienia droga była otwartą“. Saint-Simon w pamiętnikach charakteryzuje go po swojemu: „Umysłu miernego, ale charakter poczciwy, sprawiedliwy, prawy, rozsądny, łagodny, umiarkowany“. Naostatek d'Aguesseau świadczy: „Był to dobry szlachcic (?), który lubił żyć sobie spokojnie i drugim téż nie mącił spokoju“. Znaleźliśmy te trzy świadectwa i dajemy je tutaj, bo są i z tego względu ciekawe, jakim ze trzech stron widziany, jeden człowiek wyglądać może.

Pokój więc zacnemu O. la Chaise, cmentarz jego na wzgórzu zaprawdę bardzo ładny. Z wierzchołka tego widok przepyszny odkrywa się na miasto żyjących. Z żadnego może w okolicy miejsca tak dobrze, a tak się dziwnie nie wydaje Paryż ze swą wrzawą, ruchem, dymem, kipiątkiem życia jak z ciszy panującéj nad nim, do któréj wszyscy idą na wieczny—po chwilce kąpieli w tym gwarze — spoczynek.

Nim się dojedzie do cmentarza, zwiastuje się on całą ulicą

sklepów, bez których nieboszczyk się obejść nie może i ci, co mu ostatnią oddają posługę. Mnóstwo tu przemysłowców żyjących ze śmierci; składy gotowych monumentów, kamiennych, żelaznych, gipsowych figurek, które ubożsi stawią na grobach, wieńców z nieśmiertelniczek, z papieru, z różnych materyałów drogich i tanich, malowanych na szkle medalionów, paciorkowych ozdób i t. p. Mnóstwo ludzi wyrabia to i trudni się sprzedażą. Wieńce grubo plecione mają wypisane różne westchnienia i wspomnienia, są w różnych barwach i smaku. Na jednych stoi *à mon père*, na drugich *à ma fille* i t. p. A że bez tego pocieszyciela, który się po prostu nazywa *la goutte*, obejść się trudno, zwłaszcza w takiém smutném miejscu, są téż i szynczki po kątkach. Tuż za murem cmentarza i *l'Estaminet du père la Chaise* i drugi nie wiedziéć dla czego *au diable d'argent*, ze srebrnym niby dyabłem, który jak na dyabła dosyć przyzwoicie wygląda, zawsze jednak w sąsiedztwie cmentarza dziwi, jakby czyhał na te nieszczęśliwe dusze. Ten handel pod cmentarzem osobliwe robi wrażenie; człowiek póki żyw, nie może zapomniéć o sobie, korzystać musi i z nieboszczyków. Wejście na pole umarłych dosyć wspaniałe, naprzeciw niego stoi dosyć nagi, niby starożytnéj architektury kościołek. Na prawo jest biuro cmentarza (!), przy którém administracya, księgi, regiestra, policya, stróże, żebracy. Co chwila prawie przesuwa się po brukowanéj ulicy karawan, kilka osób za nim odprowadza zmarłego na miejsce odpoczynku zakupione na wieczność lub tylko pożyczone, dopóki się kości nie rozsypią, a żale nie ukoją. Kości prawie zawsze dłużéj trwają od żalu; kto nie jest sobie w stanie kupić grobu, dostać *une concession à perpetuité*, lub na liczbę lat oznaczoną, idzie do dołu wspólnego ubogich, nad którym czeka *l'aumonier*, dla odmówienia ostatniego pacierza. W tym dole ubogich, chciał być i został pochowanym Lamennais, czysta i piękna, miłująca prawdę, choćby dla niéj zbłąkana dusza. Tego poranka ruch był dość wielki, dzień pogodny, groby kwitły różami, heliotropami, pelargoniami i roślinnością dosyć starannie utrzymywaną. Wogóle widać krzątanie się pilne, niektóre groby myto, przy innych polewano kwiaty ze studni czy z cystern cmentarnych. Cmentarz, podzielony na kwadraty, ulice ma cieniste, piękne drzewa i mnóstwo ściśniętych pomników różnéj wielkości i wartości artystycznéj. Pięknych jest mało. Na lewo w kątku znaleźliśmy grób Balzaca z popiersiem Davida, bardzo skromny. Tego znałem za życia i francuska jego fizyognomia, czarne oczy, rozumne czoło, uśmiechnięte usta żywo mi się przypominały, a razem losy, dzieje, dziwactwa i koniec téj *komedyi żywota!* Czytałem jak znajomych imiona Souvestr'a i poczciwego Nodier, tego uczonego, który du-

cha w pyle ksiąg nie zagrzebał. Bardziéj uderzające są pomniki gienerała Foy, Manuel'a, Strogonowéj ogromny z marmurową świątynią, Molière'a kamienny a prosty, niedaleko pięknego pomnika pani Hoffmanowéj (Tańskiéj), na którym czytające dziewczęta wcale są wdzięcznie pomyślane.

W prawo od kaplicy, w zaciszu, obok i nieopodal od Cherubiniego stoi pomnik Chopin'a, ze strapioną muzą Clesinger'a, która mu się mniéj udała niż muza tragiczna w *Théâtre français*. Na grobie rósł krzak róż białych, z których jednę zerwałem, jeszcze mi ona pachnie tak wdzięcznie jak biednego Fryderyka pieśni (pisane wieczorem tegoż dnia). Znalazłem tu jeszcze imiona dwóch Tyszkiewiczów, Wołowskich, Małachowskiego i kilku innych. Cmentarz tak rozległy a tak przepełniony, iż bez przewodnika błądzićby trzeba zbyt długo. Większa część grobów familijnych w kształcie kapliczek, obwieszonych wieńcami, kwiatami i pamiątkami. Na jednym grobie znalazł się ten śliczny wiersz Chénier'a:

Et Rose elle vécut ce que vivent les roses,
L'espace d'un matin.

Gdyśmy czytali po francuskich obrazkach Paryża wyśmiewane napisy zawierające razem anonse handlowe, zdało się nam to przesadzoném; znaleźliśmy wszakże bardzo podobne do...

Martin Fourier fabricant des chaussures... Sa veuve inconsolable continue le commerce. Rue N.

Cicho na cmentarzu, niewiele osób błądzi szukając kamieni, kilku cudzoziemców, jak my, są ciekawi. Karawan przesuwa się w milczeniu, wóz ciągnie z kamieniami do grobowca, ludzie idą z rydlami, mularz rozrabia wapno na zasklepienie lochu. Groby ubogich, odosobnione, z czarnemi krzyżami, bogatsi kupują najlepsze miejsca. W kaplicy palą się świeczki cieniutkie powtykane i poprzylepiane. W ołtarzu N. Panna łaskawa.

Któż spamięta imiona tych nieznanych znajomych, wyczytane na kamieniu i marmurze? Na mogile Alfreda Musset wierzba, gałęzie jéj spływają prawie na grób Dantona.

Mes chers amis, quand je mourrai,
Plantez un saule au cimetière;
J'aime son feuillage éploré,
Sa pâleur en est douce et chère
Et son ombre sera legère
A l'endroit où je dormirai.

Literatów, poetów, uczonych całe zastępy; Soulié, Delavigne, a grób Heloizy i Abelarda? a grób ojca V. Hugo? Benjamin Constant, Garnier-Pagès...

Cała poezya Paryża jest tu. W mieście znajdziecie wszystko, co chcecie, oprócz] niéj, tu jéj pełno. Kwiaty, umarli, cisza, grobowce.

Na jednym z nich, Izraelity, Préault, gienialny rzeźbiarz, dziwną głowę w medalionie wydłutował. Cała osłoniona jakby śmiertelnym całunem, posępna, zadumana, trzyma palec na zamkniętych wiekuiście ustach. Jest to nieprzerwane grobów milczenie. Rzeźba ta oryginalna uderza, przestrasza, porusza. Tak, z tego świata nie przychodzi do nas głos żaden, nawet od tych, których serce nasze ukochało najmocniéj i którzy nas kochali. Między nim a nami przepaść.

Straszna, dziwna, niezapomniana twarz ta wychyla się z otoku czarnego, jakby z téj przepaści, dwa palce suche, kościste na wargach pieczęcią zgonu zamkniętych na wieki. Rzekłbyś, że ci chciała słać pocałunek i trupie palce do ust zimnych przyrosły.

XLIV.

Jeremiasz Falck —Zalety jego rylca. — Portrety. — Pracownia Jul Kossaka.— Jego obrazy. — L. Kapliński. — F. Tepa. — Szkice ze wschodu. — Rodakowski — Jego kompozycye.—Cypryan N. poeta, artysta.—Szkice i obrazy.—Rysunki z podróży do Ameryki. — Krzyż. — Oleszczyński. — Jeszcze galerya Luwru.—Teatr Gymnase.—Porte St. Martin.—Jean Bart.—Pożegnanie Paryża.

Znaczną część czasu byłem zmuszony poświęcić studyom po muzeach, w bibliotece i zbiorze sztychów. Zajmowało mnie naówczas dzieło Jeremiasza Falck'a, najznakomitszego sztycharza naszego. Począwszy od Albertiny w Wiedniu, wszystkie zbiory europejskie i magazyny artystyczne przeglądałem, notując, cokolwiek się z dzieł jego znaléźć dało. Nauczyłem się mego mistrza, ale notaty po dziś dzień leżą gdzieś w pyle i w nim, z wielą innemi, na wieki wieków zostaną. W Paryżu najpiękniejszy może w hotelu Lambert zbiór hrabiny Działyńskiéj przeszedł wszelkie oczekiwania. Znalazły się tu amazonki nigdzie niewidziane, kwiaty nieznane prawie, sztychy Falck'a, robione dla przekupniów w czasie jego we Francyi pobytu.

We wszystkiém, czego dotknął ten rylec tak pewny, tak śmiały, tak uczucia pełny, zostawił ślady niezwyczajnego talentu, ale szczególniéj portrety, to prawdziwe arcydzieła. Czy je ze współczesnych, po większéj części malarzy gdańskich, lub z własnych rysunków sztychował, umiał odtworzyć, zgadnąć cudnie charakter oryginału. Jego Radziejowski, Radziwiłł, Opaliński, Tyszkiewicz, Pstrokoński są nieoszacowanym komentarzem historycznym do epoki Władysława i Kazimierza. Że sam on musiał być rysownikiem niepoślednim, to mówi portret każdy, twarz, ogólne pojęcie postaci. W Paryżu znalazło się do stu Falcków, a między niemi najpiękniejsze. Nigdzie wszakże oprócz Drezna niéma w pełni łuków tryumfalnych gdańskich i ich posągów. Najpospolitsze są szwedzkie portrety, cudnie piękne, w sile znać wieku i talentu wykonane Ktokolwiek poznał się bliżéj z rylcem Falck'a, mającym cechy szko.

ły Rubensowskich sztycharzy, w któréj się znać kształcił, ale przytém coś indywidualnego i odrębnego, dlatego na wielu wydaniach Förstera gdańskich małe, śliczne frontispisy, choć niepodpisane, jawnie Falckowemi się wydadzą.

Podawano ten domysł w wątpliwość, tymczasem znalazł się i podpis na jednym, który pewność, z jaką utrzymywałem, potwierdził. Któżby mógł innemu przypisać dwoistą rycinę przy mowach Ossolińskiego? Nie mieliśmy naówczas w Gdańsku, ani w kraju jednego sztycharza, któryby coś podobnego mógł wykonać. Förster zresztą, jak wiadomo, był wydawcą portretów polskich i szwedzkich Falck'a, co nowym jest dowodem moralnym; gdyby najmniejsza pozostawała wątpliwość dla znawcy, wpatrzywszy się w charakterystyczne cieniowanie liniami temi, które grubieją i schodzą na niedostrzeżone rysy, ze zręcznością jemu tylko właściwą. W małych rycinkach dowcip, nieporównana zręczność, zwinność rylca mistrzowska. Broda portretu Tyszkiewicza należy do tych w sztycharstwie *tours de force*, które się nikomu nigdy tak nie udawały, jak jemu. Ażeby rylec mógł włosy jasne tak wyrobić, nie czyniąc ich twardemi, druciastemi, nieznośnemi, potrzeba było cudu lub ręki mistrza. Dla drzeworytnika byłoby to igraszką, dla rylca zadaniem, jakiego się nikt nie podejmuje. Sztychy Falck'a dla nas cenne jako pamiątki, cenią się też dosyć wysoko za granicą. Reprodukcye obrazów z gabinetu Reynst'a są może ze wszystkich najpospolitsze. Dla miłośników Falck'a, wskażę tu pobieżnie zbiory europejskie, w których oglądać go mogą. Najbogatszy hrabiny Działyńskiéj, po nim dwa drezdeńskie, gabinetu publicznego i królowéj wdowy, może od pierwszego piękniejszy, daléj w Albertinie w Wiedniu, w zbiorze po bar. Rastawieckim (dziś hr. Sewer: Mielżyńskiego), w bibliotece w Paryżu i Londynie. Piszący miał dosyć znaczny zbiór, szczególniéj tych Försterowskich małych, których dotąd do dzieł mistrza nie liczono. Dopełniający zbioru Falcków najłatwiéj mogą je nabywać na licytacyach lipskich, w Paryżu i w Wiedniu; chociaż rzadsze z jego dzieł coraz się mniéj ukazują przy sprzedażach. Jako ilustracye do XVII wieku, epoki Pasków i Poczobutów, wizerunki sztychowane przez niego są niezrównanego życia i prawdy, odgaduje się z nich charaktery, czyta ludzi. Hondiusowi odmówić nie można znakomitego talentu, lecz w portretach daleko on od Falck'a; zaciera się pod rylcem cecha indywidualności, zostaje typ i ogólnik, z którego mozolniéj dobywać trzeba, domyślać się postaci.

Korzystając z ostatnich chwil pobytu w Paryżu, chciałem jeszcze zwiedzić pracownie niektórych naszych artystów, a naprzód tego malarza starego szlacheckiego życia i niezrównanych koni, któ-

ry naówczas pracował jeszcze w Paryżu, choć się tu z pewnością nauczyć już nic nie mógł, bo od wielu artystów miejscowych daleko więcéj umiał. Mówię o Juliuszu Kossaku.

Któż z nas nie zna niewyczerpanego Kossaka, stad jego koni, jego szlachty wąsatéj, jego wieśniaczych typów, jego scen historycznych i bitw pełnych gwaru, wrzawy, ognia i ruchu? Niewyczerpany, gdy już się zdaje, iż się zmógł i zamęczył niezmierną pracą, którą dokonywa z łatwością, jaką tylko olbrzymi talent dać może, nagle podnosi się, i rośnie znowu, gdy mu tylko myśl nowa da temat, który może sercem pochwycić. W pracowni Kossaka, oprócz mnóstwa różnych studyów, znaleźliśmy kilka akwareli skończonych, bardzo pięknych i szczęśliwie pomyślanych. Między innemi znaną późniéj i powszechnie do najcelniejszych dzieł jego liczoną: Mohort ukazujący swe stado ks. Józefowi. Kossak ze szczególném upodobaniem ilustruje poemata Pola, są to dwa pokrewne duchy, które się z sobą najlepiéj rozumieją. Gdyby Kossak śpiewał, to pewnie ów świat, który śpiewa Pol; gdyby p. Wincenty malował, to nie co innego, tylko co Kossak odtwarza. Ani téż kto inny mógłby się porwać na Mohorta stado, aby to ołówkiem powtórzyć, co Pol słowy, scharakteryzować każdego z tych ulubieńców starego żołnierza, dać im życie i ruchy swobodne. Ten popis stada natchnął już nie jednego rysownika, ale tylko jeden Kossak stanął na równi z poetą. Zna on konie i umié każdemu z nich nadać typ indywidualny, fiizyognomię, wyraz odrębny i charakter. Była tam najlepiéj dowodząca tego, druga akwarela, wystawująca trzy u słupa wiązane konie, wedle starego obyczaju, pańskiego bachmata, szlacheckiego stępaka i chłopską szkapę. Każde z tych stworzeń nietylko pięknością i wzrostem, ale naturą, można powiedzieć, różniło się na obrazku. Była jeszcze ze starych dziejów bitwa pod Malborgiem, był piękny portret konny pana P...

Od tego czasu ileż-to nowych mistrzowskich akwareli przybyło do dziśdnia! Kossak urodził się znać na akwarelistę, maluje on ładnie bardzo olejno, lecz nigdy tak swobodnym nie jest, tak sobą, jak w tym najtrudniejszym sposobie malowania, który się akwarelą zowie. Sprawia to natura artysty, który ma rzut pewny, śmiały, niepotrzebujący tych łatwych poprawek, które olejne malowanie dopuszcza. Zresztą przyczynia się może i nawyknienie do tego sposobu tłómaczenia swych myśli. Akwarele olbrzymich rozmiarów tworzy z łatwością nadzwyczajną, pędzel to szeroki, rysunek śmiały, pociąg pewny, ręka mistrzowska. W ostatnich obrazach nawet znaleźliśmy to, co rzadko dawne miewały, krajobrazy prześliczne i pełne charakteru.

Po pracowni Kossaka oglądaliśmy portrety p. L. Kaplińskiego, z których przypominam sobie tylko piękny jeden Bohdana. Później spotkałem się z innemi, księcia W., gienerała Z., znakomicie pojętemi i malowanemi. Niektóre z nich bardzo pochlebnie na wystawach paryskich ocenione były, a kompozycyę jednę kilka razy sztychowano. Talent portrecisty ma p. Kapliński niepospolity i pojmuje to zadanie, nie jak pospolici malarze, ale jak historyk i moralista. W człowieku każdym jest, można powiedzieć, kilku ludzi; dobyć prawdziwego, odsłonić go, schwycić w chwili, gdy najbardziéj jest sobą, to zadanie portrecisty. Przytém portret być musi jeszcze dziełem sztuki, kompozycyą, więc nie jest to wcale tak łatwa i podrzędna sprawa, jakby się komu zdawać mogło. Portret Rembrandt'a, Van Dyck'a, Rubens'a daje miarę tego, czém one być powinny.

Pracownia Tepy, który świeżo powrócił z podróży wschodniéj (R. Blanche 60), obfitowała w bardzo ciekawe rysunki i szkice z Egiptu, z pustyni, katarakt Nilu, Arabów i t. p. Mieliśmy tu długo co oglądać, a że czuć było niezmierną prawdą te widoki Teb, Aten i Akropolis, odpoczynku karawany w pustyni, palm u oazy i t. p., przeglądając teki i album, dla hr. Adama Potockiego zebrany, spędziliśmy tu miłą godzinę. Coś nakształt wycieczki na Wschód. Tepa wszakże wsławił się głównie akwarelami swych typów włościan galicyjskich, z wielką prawdą schwyconych. Miał on i obraz olejny, znacznych rozmiarów, apoteozę Mickiewicza, którego otaczają postacie z jego poezyj wzięte, ale ten jakoś mniéj robił wrażenia. Jako akwarelista, w portretach Tepa czasem miał taką siłę kolorytu, iż łudziły, nie dając się rozpoznać od robót olejnych; toby było jedną z najmniejszych zalet, gdyby im wiele innych nie towarzyszyło.

Dawną pracownię Delaroche'a zajmował naówczas Rodakowski, Galicyanin, który na jednéj z wystaw paryskich portretem gienerała D. dał się poznać i wsławił. Wistocie portret ten, ze sztychów znany, przepyszny. Malował późniéj inny, zdaje mi się do galeryi wersalskiéj, portret gienerała Pelissier, który już nie miał tego ognia i siły. Otworzono nam pod niebytność artysty atelier, w którém stał; w nader smakownie urządzonéj sali, wśród rzeźbionych mebli, gobelinów, zbroi i t. p. wielki rozpoczęty obraz, bitwy pod Chocimem. Nie można było wcale sądzić o nim, jako o rzeczy nieskończonéj, i nic téż nie powiemy, bośmy go późniéj nie widzieli, natomiast bardzo wdzięczny obrazek z życia ludu galicyjskiego: Podwórze cerkiewne w czasie nabożeństwa, z wieśniakami w świątecznych strojach, z wielką prawdą pochwyconych, podobało się wszystkim. Staranne wykończenie, pracowite studya, których wy-

magał, wyborny charakter twarzy, cennym go czyniły. P. Rodakowskiego obrazy mało są u nas wogóle znane, nie zdaje się téż, by malarz wiele i pośpiesznie tworzył. Obmyśla on i wykończa starannie i powolnie. Kilka pięknych portretów znajdowało się późniéj na wystawach w Paryżu i Brukseli.

Naostatek ominąć się nie godziło pracowni skromnéj a jednéj z najoryginalniejszych pana Cypryana, chociaż nie wiem, czy Cypryan jest bardziéj poetą, czy artystą? Niepodobna w nim nie uznać rysownika, nie można mu odmówić tytułu poety. Niestety, jest to płód wieku, chwili, wpływów jakichś czy najdziwniejszéj w świecie natury, chorobliwa, nieszczęśliwa istota, złożona z jasnych promieni i pasów atramentowéj czarności. Trzeba umiéć poszanować w nim cierpienie, fantazyę, dziwactwo, talent, przyjąć go jak jest, ale niepodobna nie użalać się nad tym gieniuszem zwichniętym. Egzaltacya, jaką wypadki wyrobiły; Mickiewicz, Krasiński, Słowacki naturalne owoce epoki téj, stworzyły téż takich nieszczęśliwych Cypryanów w gorączce nieustającéj, dobijających się ekscentrycznością oryginalności, ciemnością i zagadkowością—gieniuszu. Cypryan sądził się i sądzi równym pierwszym poetom epoki, dlatego, że niekiedy prześciga ich mistycyzmem, tajemniczością, które u niego przeszły w systemat. Żaden jego poemat dłuższy wszakże nie tworzy całości, a najkrótszy i najpiękniejszy wierszyk nie jest wolen od jakiegoś wybryku, co go kazi. Pod tym względem szkice jego są daleko piękniejsze od poezyi, lecz jak skoro wda się w kompozycyę historyczną, religijną, mistyczną, zdradza zupełną nieudolność artystyczną. Pomysł będzie znakomity, wykonanie niedołężne. W maleńkiéj, ubogiéj izdebeczce znalazłem biednego Cypryana, otoczonego przeróżnemi pamiątkami, studyami, rysunkami, obrazkami. Wszystko tu odbijało charakter człowieka. Nad łóżkiem wisiał biały krzyż z drzewa, bez Chrystusowego wizerunku, ale z bardzo starannie odmalowanemi, z pewném obrachowaniem prawdy, znakami krwi, kędy były przybite ręce, nogi i zraniona leżała głowa. Nigdy podobnego nie widziałem krucyfiksu, a ten zrobił na mnie może większe wrażenie, niż najpiękniejsza figura. Pomysł takiego krzyża należy Cypryanowi. Oprócz tego, ze swego Albumu rysunków artysta wkłada w ramy, wiszące naprzeciw łóżka, obrazek, wspomnienie jakieś, którém się chce karmić, i zostawia go kilka tygodni, czasami dłużéj, dopóki fantazya nie przyjdzie odmienić. W innych ramkach zeschłe liście, szczątki jakieś życia...

W czasie wycieczki swéj do Ameryki, w któréj wycierpiał wiele, Cypryan na pokładzie okrętu rysował, co widział, utrzymywał rodzaj dziennika, przeplatanego słowy i szkicami. Ta księga pamiątek jest niezmiernie zajmująca. Szkic piórem Norwida czasem bywa

wyborny, pojęcie przedmiotów, schwycenie ich wyrazu nader szczęśliwe. Oprócz rysunków z podróży morskiéj, katakumb i innych wiele pokazywał nam, objaśniał i tłómaczył. Była i rozpoczęta większa kompozycya, pomysł nader szczęśliwy i niezwyczajny, lecz w wykonaniu zupełnie chybiony: Chrystus i Barabasz w więzieniu. Do stworzenia takiego obrazu Cypryanowi brakło studyów, rysunku, a nawet poczucia ideału w liniach, w budowie całości, i stylu. Siląc się na niezwyczajny wyraz i oryginalność, rozbijał się o nieudolność, powiem techniczną niemal. Kompozycye Norwida, z których niewiele sztychował aqua forti, i litografował piórem, mało są u nas znane. Toż samo tu, co w poezyach, wysiłek ogromny a fałszywy kierunek czy pojęcie, więcéj dziwactwa niż wdzięku, ubieganie się za efektem i kontrastami. Może z całéj spuścizny po téj nieszczęśliwéj ofierze czasu, temperamentu, szkoły, nie wiem, najcenniejszy będzie ów album rysunków ze statku, który go wiózł do Ameryki. Tu on zapomniał, że musiał być wieszczem gienialnym, i był prostodusznym tłómaczem swych wrażeń.

Sztycharz Oleszczyński, znany z niezliczonych prac swoich i bardzo biegłego rylca, pokazywał nam także mniéj znane blachy, których dzieło jego secinami liczy. Jako sztycharza niepodobna go nie cenić, mniéj daleko jako rysownika. Wprawny we władaniu rylcem, jako kompozytor nie jest szczęśliwym. Rysunek nie zawsze poprawny, często zbyt patetyczny, nadto teatralny, powtarzający się w jednych typach i postaciach, wielu jego pracom wartości odejmuje. Za to wykonanie samo nic nie zostawuje do życzenia. Oprócz Oleszczyńskiego, kilku jeszcze artystów sztycharzy i litografów naszych roboty oglądaliśmy naówczas, ale nie zapisawszy ich w notatkach podróżnych, dziś-byśmy sobie przypomnieć dobrze nie mogli. Zapiszemy tu tylko ładniuchne akwarelki Kwiatkowskiego, z wielkim smakiem wykonane.

Pozostałych dni kilka całe prawie spędzaliśmy w galeryach Luwru, oglądając rozmaite jego części, rzeźby średniowieczne, pomniki asyryjskie, zbiór rysunków i t. p. Wieczorami parę jeszcze razy odwiedzałem teatra. W Gymnase dramatique grano Leona Gozlan'a z talentem napisaną: *Il faut que jeunesse se passe.* Cel jéj moralny, starający się obydzić zepsucie, obrazy dosadne, postacie z żywych wzięte wzorów; dyalogowanie nader dowcipne. Było to jedno z pierwszych przedstawień i mogliśmy z dolnéj loży przypatrzyć się zażartéj walce na parterze, przyjaciół autora z przeciwnikami jego, którzy po kilkakroć zrywali się do świstania. Dramat ten odbywał się tak blizko nas, iż mogliśmy słyszéć argumenta za i przeciw, dowcipy i szyderstwa, rzucane przez rozgorączkowanych widzów. Wszędzie, gdziekolwiek autor wystawił zepsucie w zbyt jaskrawych

barwach, publiczność przeciwko prawdzie obrazów oponowała świstaniem, obrońcy zaczynali klaskać, powstawała wrzawa, kłótnie, i mieliśmy podwójne widowisko. Sztuka była odegraną starannie, szczególnie tam, gdzie trzeba było być dowcipnym, każdy z artystów łatwo nim być potrafił i naturalnie; za to gdzie przychodziło uczucie, namiętność, tam gra była widocznie wyuczona wedle wzorów jakichś, nie uczuta. Brodaty jegomość z parteru najgoręcéj ścierał się, broniąc autora. Ilekroć do czystéj idealnéj istoty zbliżała się skalana, sykania i świsty zwiastowały oburzenie, a adwokat aż pięści podnosił. Z tego wszystkiego jedno tylko było widocznêm, iż większość nie chciała wierzyć w ostateczne zepsucie i dopuścić, aby je na karb współczesnych obyczajów kładziono.

W innym rodzaju ciekawêm było przedstawienie w teatrze de la Porte Saint-Martin, dramatu: *Jean Bart*. Było to coś w rodzaju... w rodzaju chyba jarmarcznych widowisk, dla publiczności, którą straszne rzeczy, wielkie słowa, hałas i krzyki najlepiéj bawią. Rzecz niby historyczna. Jean Bart, który woził ks. Conti do Gdańska... Sejm w Gdańsku! Wojewoda wołyński, który był naprzód posłem na dworze Ludwika XIV, a potém komendantem Gdańska. Elekcya Sasa odbywa się na sejmie! w Gdańsku! Conti ucieka. W ostatnim akcie na scenie ukazuje się okręt i to stanowi *great attraction*, okręt ogromny jak w Afrykance, bitwa morska, strzelanie straszne! tumult, gwałt, kortyna spada wśród huku dział, po nad dymem, osłaniającym trzy ścierające się okręty. Niéma tu co mówić o kolorycie historycznym, ani o prawdzie jakiéjkolwiek. Ów palatyn wołyński i to co go otacza, nader mizerne, aby ich kosztem Jean Bart wyrosnął. Od takiéj bulwarowéj sztuki *à grand spectacle*, wiele wymagać nie można; jednakże w najcywilizowańszym Paryżu, więcéj sensu i smaku spodziewać się godzi. Zdumienie wielkie. Gdyby coś podobnego grano na jarmarku w Łęcznéj, w Kutnie, ale w Paryżu!... Dodajmy, iż *mise en scène* nadzwyczaj wspaniała i kosztowna, a dramat pisany po studencku, coś nakształt obrzydliwego obrazu w niezmiernie drogich i pysznych ramach.

Pożegnaliśmy Paryż, nie śmiejąc się sami przed sobą spowiadać z wrażeń, jakieśmy stąd wynosili. Z wielu względów dziwił on wykwintną, wysoką, rozbujałą cywilizacyą, ale czuć było, iż ta więcéj dotykała powłoki, niż wnętrza. Trafia się bardzo często w Niemczech, pod kaftanem ubogim znaléźć wykształcenie gruntowne, wiadomości niespodziewane, naukę zadziwiającą; tu pod najświetniejszym strojem, przy powierzchowności błyskotliwéj, często się spotyka nieprawdopodobne zaniedbanie i nieuctwo. Cywilizacya niemiecka nie ma form cywilizowanych, tu cała prawie w nich się

mieści. Wychowanie początkowe, szkoły obowiązkowe, sama metoda ich może, dają Niemcom poważniejsze podstawy życia; we Francyi otwarty umysł, łatwe pojęcie dozwalają nabywać błyskotliwych wiadomostek i na nich się ograniczać. Z całym swym przepychem, Paryż smutne budził przeczucia przyszłości, czuć w nim było namiętność złota i używania, wygasanie szlachetniejszych popędów, zobojętnienie i sarkazm, ścigający to, co dawniéj rozpłomieniało. Żartowano z rzeczy najświętszych. W żarcie, jeśli niéma połowy prawdy, jest często jéj przepowiednia. Odzywało się jeszcze czasem coś poczciwego w piersi ludu, lecz ci właśnie najpoczciwsi, uwriery, robotnicy, rzemieślnicy, gdy z niemi pomówić przyszło, jak dziwnie ukazywali się nieświadomi wszystkiego, a razem zarozumiali! Zdawało się wielkiemu narodowi, że dosyć się było narodzić Francuzem, ażeby miéć wyższość nad innemi. Po tylu burzach politycznych, z których każda siłę jakąś odebrała, ruin zostało wiele. Jednakże owo świetne cesarstwo, nietylko w r. 1858, ale nawet czasu ostatniéj wystawy międzynarodowéj tak zdawało się stać trwale i mocno! Można się było spodziewać reformy wychowania, podźwignięcia moralnego, powrotu do sił, nikt naówczas pod purpurą zawieszonym gmachem nie mógł dojrzéć rysów, szpar, rozpadlin i grożącéj ruiny.

XLV.

Na dworcu kolei północnéj.—Koleje.—Drogi i widoki.—St.-Denis.—Enghien.—Pontoise.—Clermont.—Amiens.—Arras.—Valencienne.—Quievrain.—Belgia. — Zmiana dekoracyi.—Pejzaż.—Walloni i Flamandczycy.—Bogactwo i praca.—Sztuka i szkoła flamandzka i holenderska.—Bruksella stara i nowa.—Św. Gudula.—Pomniki i obrazy.—Kazalnica.—Wygnańcy.—Rynek i ratusz.—Otaczające domy.—Muzeum.—Judasz u krzyża.—Obrazy religijne nowe.—Muzeum A. Wiertz'a i jego kompozycye.—Wiertz o sztuce.—Kilka słów o artyście.—Mannekinpis.—Julek w mundurze.—Pomniki.—Droga do Liège.—Fizyognomia kraju.—Obrączki.—Malines.—Louvain.—Nauka i szkoły.—Fabryki.—Liège.—Krajobraz.—Noc.

Na dworcu kolei północnéj znaleźliśmy się w porę, aby pooddawać nasze tłomoki i wśród natłoku gości ubezpieczyć się o wagon, w którymby sąsiedztwo nie było zbyt liczne i niemiłe. Nic praktyczniéj nie może człowieka uczyć świętéj cierpliwości, nad podróżowanie koleją. Los ci wyznacza towarzyszów, musisz ich znosić, bronić się, unikając wojny, nie dopuścić, aby nadużyto twéj dobroduszności, być grzecznym a zgnieść się nie dawać, słowem, to nauka życia. Można z pewnością o wiele jeździć wygodniéj, niż się podróżuje w tych wagonach napchanych najróżnorodniejszym tłumem, niepodobna korzystniéj dla ukształcenia charakteru. Z rezygnacyą na losy siada się do wagonu, losy bywają bardzo różne! Tym razem sąsiedzi byli cisi i pokornego serca i nie było ich nadto. Zaledwie z dworca wpadamy w tunel, który przechodzi pod bulwarem, a późniéj przerzynamy przedmieście St.-Denis. Okolice naprzód fabryczne, kominy zakrywają widok, ogromne warstaty kolei, magazyny wagonów, przyległości dworca. Potém kraj płaski, dosyć nagi, nie wielkiemi z obu stron wzgórzami zamknięty. Gdzieniegdzie sterczy jeszcze osamotniony komin i bieleją murowane domki; kościołek wiejski z wieżyczką śpiczastą, czarnym łupkiem pokrytą, pałacyk, wiejska willa z kwitnącym ogródkiem. Wszystko to przelatuje i miga. Pola widać staran-

nie uprawne, ulice i miedze drzewami młodemi wysadzane. Za stacyą St.-Denis, dolina Montmorency, pełna wspomnień Rousseau. Koło Enghien ładne jeziorko, otoczone zielonością, z któréj wyglądają pałacyki, mile się uśmiecha. Około Pontoise widać łomy kamieni, ale to wszystko ślizga się i przelatuje tak szybko, że zaledwie ogólne rysy obrazu pochwycić można. Około Creil, znowu fabryki. Niektóre wioski ubogo wyglądają, dachy ich słomą kryte, jak u nas, smętne czynią wrażenie, maleńkie sterty zboża przypominają téż nasze. Mijamy Klermont, kraj staje się coraz mniéj pięknym, dosyć nagim, aż do Ailly sur Noye. Mijamy Amiens, nie widząc go wcale, na boku zostawiwszy, niepodobna spisać sobie wszystkich wieżyczek i gotyckich kościołów po drodze, których tu dosyć, zastanawia więcéj wyższa i pokaźniejsza wieżyca w Arras, w miejscu rodzinném Robespierra. Ta strażnica gotycka i dom, w którym się urodził ów szaleniec doktryner, są jedynemi prawie ciekawościami miasta, które się pomija, nie przejeżdżając przez nie. Kolej dotyka tylko do niego. W Douai oprócz twierdzy byłoby co widziéć, gdyby się zatrzymać można, bo jak wiele miast prowincyonalnych Francyi, ma ono muzeum, galeryą, bibliotekę i ratusz z XV wieku. Idzie potém Valencienne, znowu miejsce obronne, krajobraz się ożywia, znać kraj bogatszy i pracowity, aż do Quievrain granicy belgijskiéj i komory dosyć kłopotliwéj dla podróżnych, ale któraż z nich przyjemna?

Za Quievrain kraj płaski, równy, lecz urządzony starannie, zamożny, zielony, uśmiechnięty, piękniejszy od niektórych części przebytéj Francyi, jéj torfowych dołów, rowów i bagnisk. Kanały, rzędy drzew, piękne drogi, łąki zielone, mnóstwo fabryk oznajmują kraj czynnie przemysłem zajęty. Gdzieniegdzie wieża kościołka z za bujnych, starych drzew wygląda. Pejzaż ma w sobie coś hollenderskiego, flamandzkiego i krajobraz różni się wielce od przebytego w pierwszéj połowie drogi. Niéma prawie kawałka pustéj i nieuprawnéj ziemi, gospodarstwo prawie na ogrodową uprawę zarywa. Niziny wprawdzie jednostajne, ale całe zazielenione, wegietacyą okryte, i znać, iż ziemia i klimat sprzyjają jéj wielce. Drzewa wysokie, wybujałe, cieniste, woda ujęta wszędzie w kanały, po których idą statki końmi ciągnione...

Ten sposób holowania, u nas prawie nigdzie nie używany, bo nie mamy kanałów i rzek, którychby brzegi dozwalały go zastować, powolny jest wprawdzie, lecz nie kosztowny. Para koni ciągnie ogromną barkę ładowną. Stary to zwyczaj krajowy, bo go na dawnych pejzażach flamandzkich widzimy.

Jesteśmy w Belgii. Z języka wnosząc, możnaby się jeszcze sądzić we Francyi, gdyż francuski jest tu urzędowym i najbar-

dziéj rozpowszechnionym. Dwie—jeśli to można tak nazwać—narodowości: flamandzka i wallońska, składają ludność kraju nazwanego Belgią, jednego z tych, które zwykle na granicy dwu różnych plemion zlewek i jakby przejście między jedném a drugiém stanowią. Wszędzie, gdzie się stykają dwie silniéj a odrębniéj rozwinięte narodowości, półcień tęczowy mieści w sobie zmieszane barwy obojga. Od niejakiego czasu, chociaż język francuski pozostał urzędowym i wyłącznym klas wykształceńszych, ruch narodowy flamandzki (de vlamsche berveging) wzmógł się silnie.

Literatura flamandzka krzewi się, teatr rozbudza do życia, dziennikarstwo doszło do tego, że jest reprezentowaném przez osiemdziesiąt pism różnych. Jak zwykle, tam, gdzie idzie o odżywienie nieco zaniedbanego narodowego ducha, przeszłość posługuje ku nadaniu mu cech właściwych, przedrukowują się zapomniane pomniki, poezye ludowe i t. p. Jakikolwiek jest charakter belgijskiéj ludności tych żywiołów, obu im przyznać potrzeba jeden przymiot wielki, niezmierną pracowitość i przemyślność. Maleńki ten kraik, któremu za warsztat służy szczęśliwa natura jego ziemi, wytwarza i wywozi stosunkowo bardzo znaczną ilość owoców swéj pracy; tworzy nawet może więcéj, jak utrzymują, jeżeli wyprowadzić może. Największém bogactwem Belgii jest jéj węgiel kamienny i rudy żelazne i galman. Żelazo obfite znajduje się w prowincyach Haimont, Namur, Liège, Brabantu i Luksemburga...

Żelazne téż wyroby zajmują fabryki pod Chaleroi i Liège. Liège szczególniéj produkuje wielką ilość broni, która się po całym świecie rozchodzi. W tym roku, w którym zwiedzaliśmy Belgią, d. 1 stycznia (1858), liczono w niéj machin parowych 4,010, o sile 127,332 koni. Oprócz przemysłu żelaznego, wyroby szkła, sukien, lnu i płócien, bawełnianych tkanin, koronek, mnóstwo rąk zatrudniają. Sławne te koronki, których sposób wyrabiania miał być przeniesiony w czasach wojen krzyżowych do Włoch, Hiszpanii i Belgii, robią się na klockach i igłach, na małych ruchomych krosienkach. Najpiękniejsze koronki wyrabiają kobiety we Francyi i Belgii. Tu liczą ich 100,000 pracujących nad niemi. Znawcy rozróżniają ich kilka rodzajów. Koronki są niekiedy bardzo drogie, to pewna, iż robotnice na nich zarobek mają niewielki—lecz zużytkowują się w ten sposób ręce gdzieindziéj nieprzydatne, starych wyrostków i bezsilnych niewiast.

Nie potrzebujemy przypominać, że jesteśmy w kraju, który ma swą osobną szkołę malarstwa w sztuce, jak on sam pośredniczącą chatakterem pomiędzy włosko-francuską a niemiecką. Bracia van Eyck'i są ojcami téj szkoły. Zaczyna się ona od robót miniaturowych i jak miniatura rodzi wykończoną, szczegółową, drobno-

stkową, realistyczną, a mimo to, nieobraną z wdzięku. W realizmie tym jest poczucie ideału. Flamandzka szkoła pojmuje wszystko po flamandzku, Jerozolimę buduje na wzór Gandawy, a familią świętą stroi jak chodzili burmistrze antwerpscy. Wpływ bizantyjski, późniéj włoski, zwolna oddziaływa na sztukę krajową, kiełkującą zrazu o własnéj mocy. P. Alfred Michiels, historyk téj szkoły, dzieli ją na trzy epoki. Pierwszą nazwać można religijną, stolicą jéj jest Bruges; świetnemi przedstawicielami Van Eycki, Memling, Van der Goes, Van der Weyden, Quintin Massys, Łukasz z Leydy, Mabuse, Schoveel i inni. Przy wielkim realiźmie, natchnienie, wdzięk, uczucie, odznaczają ten okres. W drugim panuje rozbujały, energiczny, barwisty Rubens i jego szkoła, Van Dyck, Jordaens, Crayer, Janscens i inni... Druga ta chwila zdaje się nie mićć żadnego innego pokrewieństwa z pierwszą, oprócz równie świeżego kolorytu... Jako trzecie stadyum szkoły niderlandzkiéj, stawia p. Michiels rodzajowe obrazki jéj domowego życia, równie pozejęte miłością rodziny, ducha, ogniska kraju, wreszcie, jak pierwsze, były religijném natchnieniem. Nie możemy obszerniéj rozwodzić się tu nad historyą sztuki flamandzkiéj; — rozpowszechnione wielce po Europie jéj dzieła dały ją poznać może lepiéj, niż wiele innych. Wszystkie galerye mają ich wzory i próby, z epok różnych chociaż pierwsze, Van Eyckowskie są pospolite... Można powiedzićć, że nowsza szkoła belgijska, z wielu względów godną jest być dalszym ciągiem flamandzkiéj. Celują w niéj imiona Leys'a, Madon, Hamman, Willems, de Braekelcer i t. p. W życiu społeczném Belgii, w polityczném raczéj, nurtującą je, jest walka stronnictw liberalnego i katolickiego, zażarta wielce, która więcéj sił wyczerpuje, niż owoców przynieść może. Stronnictwa te naprzemiany się u steru znajdują, spychają wzajemnie i wiodą zażarty bój w dziennikach, przy wszystkich politycznych czynnościach i t. p. Kraj jest niemi nieprzejednanie rozdarty, gdyż z jednéj strony fanatyzm religijny, z drugiéj silne przekonanie, trzymają wszystkich na raz obranych stanowiskach.

Ci, którzy znali i pamiętali Bruksellę przed rokiem 1831, przyznają, że nigdy może miasto żadne, nawet pod wpływem, jaki wywiera przeniesienie doń stolicy rządu, tak szybko, tak nadzwyczajnie i świetnie nie wyrosło. Gmachy, ulice, powstały całe nowe, zrodziły się z dnia na dzień, ludność napłynęła, przemysł i handel ożywił. Starożytne zabytki architektury zrestaurowano starannie, nowych powstało wiele; założono piękne bulwary, urządzono wzorowo drogi, oświecenie. Piękne pomniki przyozdobiły place publiczne i Bruksella stała się małym Paryżem. Niedarmo ją tak nazwano, jest bowiem wielkie pokrewieństwo fizyognomii między

dwoma stolicami, z których druga chętnie się na pierwszą zapatruje i naśladuje ją może mimowolnie. Jestto sprawą charakteru raczéj, niż woli. W roku 1819 Bruksella miała ludności 98,279 dusz, teraz (około 1860) dochodzi ona do 175,000, nie licząc stutysięcznych przedmieści. Widzimy więc, że jest jeszcze ledwie dziesiątą cząstką Paryża, miniaturą wielkiéj stolicy, ale chwilami zdawać się istotnie może, słuchając języka, patrząc na stroje, podglądając obyczaje, że się jest jeszcze na bruku nad Sekwaną, nie nad Seną. Nie w całém jednak mieście—bo tu o wiele mniéj ruchu, a ruch flamandzki flegmatyczniejszy. W twarzach, w postawach, więcéj chłodu i powagi.

Zrana pojechaliśmy naprzód do kościoła św. Michała i Guduli, więcéj znanego pod inwokacyą swéj patronki, który w części już był zrestaurowany, a zewnątrz jeszcze się wykończał. Jestto najznakomitszy w Bruksélli pomnik architektury gotyckiéj, który począwszy pono od XII wieku, budował się tak długo, iż wszystkie zmiany stylu architektury mógł odbić na sobie. Ślady tego pozostały do dziś dnia. Około chóru styl bizantyjski XII wieku. Sam chór i nawa krzyżowa gotyk XIII wieku, wieże i wnijście są z XIV i XV wieku. Wieże ucięte są i niedokończone, jak u P. Maryi w Paryżu. Główny front odnowiony przedstawia się harmonijnie i pięknie. Wewnątrz, mimo wyświeżenia i wybielenia, odnowa nie razi, bo dokonaną jest z wielkim smakiem. Na pierwszy rzut oka, uderzają wspaniałe okna malowane stare i dorobione do nich nowe... Na jedném z nich, jest wizerunek Karola V i Izabeli portugalskiéj, B. van Orkey, na drugim Ludwika króla węgierskiego i Maryi żony jego, siostry Karola V. Z nowych pośrodku Baranek apokaliptyczny, któremu cześć oddają aniołowie i Trójca święta. Piękny jest pomnik hr. Mérode, który zabity został w roku 1830... z posągiem przez Geef'a. Obrazy, jeśli nie wszystkie są arcydziełami, nie rażą przynajmniéj miernością ostateczną.

Rzeźby ołtarzy, konfesyonałów, ław z drzewa bardzo smakowne, ale najpiękniejsza kazalnica dębowa Henryka Verbrunggen, prawdziwe arcydzieło rysunku i wykonania. Okrągła trybuna opiera się na grupie z czterech figur. Adama i Ewę śmierć goni, a anioł pędzi z raju .. u góry N. Panna na księżycu z dziecięciem Jezus. Całość wielkiego smaku. Anioły, ozdoby, wszystko, czém artysta dopełnił kompozycyi—pomyślane bardzo szczęśliwie. Jestto dzieło z końca XVII wieku, mało co zrestaurowane... Rzeźby wogóle piękne... i artystyczna szata kościoła przynosi zaszczyt belgijskim budowniczym, malarzom i snycerzom. Dalsza przechadzka poprowadziła nas naprzód na Rue des Eperonniers 54, do małéj

izdebki starego historyka, którego minąć się nie godziło... Znaleźliśmy go wśród ksiąg, odzianego niebieską bluzą uwriera, z lupą w ręku, pracującego nad jakąś mapą. Belgia, chociaż nie zawsze bardzo gościnnie, przyjmowała jednak różnych, ze wszech stron świata wygnańców. Mieszkał tu jakiś czas W. Hugo, przebywał Gioberti, pracował Quinet... Z Francyi, wszystko co uchodziło procesu, sądu, więzienia, nawet zbankrutowani agenci wekslowi, zwykli się byli chronić do Belgii, lub tu przynajmniéj odpoczywać na drodze do Londynu. Przymusowa ta gościnność, dawana najróżniejszym żywiołom, niewygodną była dla Belgii—to téż starano się ją późniéj jak najściśléj ograniczyć. Dawano wprawdzie przytułek, ale zarazem wyznaczano miejsca, które były dogodniejsze rządowi, starając się zbyt ruchliwych osadzić na pustyni w prowincyi, po małych miasteczkach.

Rynek wygląda dosyć oryginalnie ze staremi kamienicami, na sposób biszpański, rzeźbami złoconemi przyozdobionemi. Króluje mu przepyszny ratusz, z wysoką wieżą gotycką. Wszystkie otaczające domostwa prawie są historyczne, wszystkie niemal należą do cechów i bogato są przyozdobione. Na gospodzie piwowarów (des Brasseurs), jednéj z najpiękniejszych, a przynajmniéj najoryginalniejszych, stoi posąg Karola II. Lotaryngii, ma ona właśnie wspomnione złocone ozdoby... W domu zwanym Broodhuys (dom chlebowy) albo królewskim, uwięzieni byli hrabiowie Egmont i Hoorn.

Od północy jest gospoda drukarzy i księgarzy, dosyć ozdobna, daléj idą kamienice stolarzy, kobierników, wszystkie jakby się wyścigały postrojone, pomalowane, wyzłocone. Ratusz zaczęty z początkiem XV w. jest wspaniały. Legenda powiada, że budowniczy postrzegł zapóźno omyłkę, iż wieża nie przypada na środek budowy, lecz widoczna jest, iż miejsce jéj nie przypadkowo tam oznaczono...

Ze spokojnego tego głównego rynku, udaliśmy się do zaszklonego pasażu na wzór paryskich, otoczonego pięknemi sklepami, i służącego za miejsce schadzki dla nieszczęśliwych, co nic do czynienia nie mają...

Przeszliśmy go tylko, udając się do Muzeum, chociaż po tylu już znaczniejszych zwiedzanych, wiedzieliśmy, iż nam się wyda ubogiém. Spodziewaliśmy się wszakże znaléźć w niém dzieło sztuki krajowéj, lub, jak prawie wszędzie, pomnik jakiś ocalony szczęśliwie, jakąś perłę na śmiecisku znalezioną.

Wistocie, galerya posiada kilka ciekawych pomników z epoki pierwotnéj, szczególniéj van Mabus'a, van Dyck'a, Grimmerów, Cooninxloo i van der Weydena; kilku pięknych Rubensów i Cra-

yerów. Jest jeden cudny portret Rembrandta, krajobrazy Ruysdael'a, i kompozycye Filipa de Champagne z żywota ś. Brunona, godne widzenia. Z nowszéj szkoły, wielka ilość wybornie malowanych zwierząt—zresztą nic tak bardzo nie uderzyło, prócz pomysłu kompozycyi oryginalnéj, która mimowolnie zastanowić musiała. Żaden malarz nie trafił na myśl podobną. Na nieszczęście nazwiska artysty nie zanotowawszy, już go dziś przypomnieć nie mogę. Obraz przedstawia przy ogniu z trzasek uśpionych robotników, którzy krzyż Chrystusów w przededniu męczeństwa wyciosali. Narzędzie śmierci leży na ziemi... Judasz tułający się i miotany zgryzotami, nadchodzi przypadkiem na to miejsce i cofa się przerażony... Nie wiemy o żadnéj podobnéj legendzie, ale pomysł nowy w tych dziejach Zbawiciela jest tak rzadki, iż każdy wita się jako dowód twórczości i samoistności w artyście. Niewiele się ich w życiu spotyka. Po Delaroch'u został niewielki szkic, obrazek wystawiający także scenę nietkniętą dotąd: Matkę Boską spartą na ramieniu św. Jana, po męczeństwie syna, powracającą do pustego domu... Mała lampka oświeca ten powrót żałośliwy i przejmujący... niewielki ten obrazek Delaroche'a, który tak dobrze jego charakterowi kompozytorskiemu przystaje, na większą skalę wykonanym nie był, został on własnością syna.

Na jednéj z wystaw paryskich, pamiętam także nieosobliwie wykonaną, ale szczęśliwie pojętą familią świętą, w ucieczce do Egiptu... Znużeni drogą, śpią wszyscy... jedna Dziecina Boża nie potrzebuje spoczynku, usiadła, czuwa i z oczów jéj promienieje coś nadludzko spokojnego! Możnaby do tych niezwykłych religijnych obrazów dołączyć i Norwida: Chrystusa i Barabasza w więzieniu...

Belgijski malarz w swym Judaszu dobrze pamiętał o efekcie światła od palących się trzasek...

Obejrzawszy Muzeum, nie godziło się już pominąć i pracowni głośnego, oryginalnego, olbrzymich kompozycyj autora... udaliśmy się do tak zwanego muzeum Wiertza. W reszcie Europy i obrazy i imię artysty jest mało znaném, chociaż po zgonie jego, który w lat kilka późniéj nastąpił, Belgia w spuściźnie wzięła muzeum, i pogrzeb jego był owacyą, a przyjaciel zmarłego, Ludwik Labarre wydał ciekawe studyum biograficzne i zbiór listów.. Wszystkie, jak mi się zdaje, obrazy Wiertza zostały przy nim i w tym zbiorze, do którego widzenia przypuszczano cudzoziemców i ciekawych.

Wiertz długo walczył i dobijał się uznania, a raz je otrzymawszy, poświęcił sztuce z rodzajem fanatyzmu. Nie był to artysta pospolity, był umysł pracowity, szukający dróg nowych, pory-

wający się na olbrzymie, dzikie idee, na rozmiarów niebywałych płótna, na kompozycye zastanawiające czémś dziwaczném, niepowszednióm, ekscentryczném.

Do pracowni Wiertza, dosyć, dosyć daleko za miastem, ku staréj kolei żelaznéj od strony Luksemburga położonéj, przejeżdżać było potrzeba około pięknego parku królewskiego, ze staremi drzewy i wysoko bijącą fontanną, wyminąć bulwary otaczające miasto i mnóstwo nowych kamienic, których powierzchowność odznaczała się szczególném staraniem o czystość i porządek...

Zaraz za miastem, zielonych drzew, zielonych ogrodów i czerwonych dachów kontrast przypomniał jakby stary ze swym surowym nieco kolorytem obrazek flamandzki.

Wiertz mieszka i pracuje także wśród ładnego ogrodu, w domu wyglądającym jak stara ruina, z cegły nietynkowanéj, okrytym bluszczami... w lewo ogromna sala... pełną jest jego kompozycyj kolosalnych... U drzwi, mały chłopczyk odbiera zapłaty od wnijścia po 50 centów od osoby. W sali leży książka, w któréj podróżnym wolno zapisywać swe zdania i myśli... Wchodząc, uderza mnóstwo napisów po ścianach, żartów, dowcipów, naigrawań z krytyki i aforyzmów artystycznych. Lecz mówmy naprzód o obrazach... których dość będzie często podać treść, aby się domyślić ekscentryczności tego, co je malował. Głównym może, wielkim, całą ścianę zajmującym obrazem, jest Chrystus konający na krzyżu... aniołowie głoszą tryumf i pędzą ze świata szatanów, na których czele leci gieniusz pogaństwa... Kompozycya to śmiała, bujna, energiczna, kolorytu nader świeżego i pięknego, z rzeczywistym stworzona talentem. Rysunek mógłby być klasyczniejszym, więcéj powagi i spokoju, mogłoby uroczystszą ją uczynić, lecz bądź co-bądź nie jestto dzieło, na które się lada kto mógł porwać.

W tymże rodzaju tłumnym, zapchanym, obfitym w postacie, czasem przypominającym Rubensa—jest—*le dernier coup de Canon,—la lutte Homérique, le phare de Golgotha,* obrazy lub kartony olbrzymie do przyszłych obrazów. Wszystkie one odznaczają się śmiałością, zuchwalstwem, możnaby powiedzieć ugrupowaniem wymuszoném, efektowém, wysiloném, namiętnością, energią—pogonią za niezwykłém a osobliwém. Od tego artysta obronić się nie mógł. W mniejszych swoich obrazkach, gdy chce być prostym śmiertelnikiem, jest prawie trywialnym. Do nich należą ładne ale pospolite *en trompe-l'oeil* w większéj części malowane,—sceny z *Notre-Dame,* Esmeralda i Quasimodo. Co się dzieje w mózgu człowieka, gdy go ścinają, i po ścięciu, i czém będą nasze wielkie sprawy dla przyszłości, i t. p. Przez otwory w parawanach dla powiększenia złudzenia, każą się przypatrywać obrazowi przedstawia-

jącemu człowieka, który żywcem pochowany, budzi się w grobie;—kobiecie, która dziecię swe zabiwszy, gotuje;—przez dziurkę od klucza patrzy się na dziewczynę nagą leżącą na łóżku, zaczytaną w romansie. Naostatek, jest jeszcze przyjemna dla gości urządzona niespodzianka, która przedstawia ciekawym ich własny konterfekt w błazeńskiéj czapce. Na jeszcze jednym obrazku, stara czarownica uczy młodą jeździć na łopacie. Otaczają je różne fantastyczne widziadła.

To wszystko razem wzięte... nie osłupia gienialnością, rodzi uczucie szczególne, prawie graniczące z politowaniem. Myśli się, czemu ten człowiek koniecznie tak uparcie chciał być dziwakiem, a nie starał się być istotnie wielkim. Jako artysta, Wiertz był niepospolicie udarowanym, lecz i z listów jego, i z życia i z obrazów, czuć niespokój duszny, chorobliwego coś, niezrozumienie życia warunków i namiętne rzucanie się napróżno.. Szukam w korespondencyi i obłamkach pozostałości po Wiertzu, wydanych przez Labarr'a, boby go mogło najlepiéj dać poznać: znaléźć dosyć trudno. Wolę go wszakże ukazać z lepszéj strony, przytoczę więc ustęp, pod tytułem „Napomnienie" (do artystów).

„Pogardzajcie darami fortuny, niech gieniusz wasz pozostanie swobodnym, niezależnym—zachowajcie wysokie pojęcie o sztuce waszéj, jak ten hardy Włoch, który nie chciał odkryć głowy przed papieżem, przypatrującym mu się, gdy malował. Nie starajcie się o łaski możnych; co oni znaczą przy was, jeśli zostaniecie wielkiemi artystami! Sława wielkiego malarza wszelkie sławy przechodzi. Mówią dziś ze czcią o Rafaelu, Rubensie, Van Dyck'u, a imiona wielkich panów dumnych i zarozumiałych ministrów owych czasów zaledwie do nas doszły. Niech zawód tak piękny wzmaga w was zapał, dodaje męstwa. Nie naśladujcie współczesnych, którzy powodzenie swe winni najczęściéj kaprysom mody przelotnéj, strzeżcie się zarazy, jaką szerzy w sztukach duch płochy i lekkomyślny sąsiadów waszych; dzieła wielkich mistrzów, które wieki uznały, niech wam za jedyne służą wzory. Czytajcie Plutarcha: mówił to słusznie jeden malarz sławny, że czytając żywoty wielkich ludzi, wyobraźnia się ogrzewa i rośnie. Jakiekolwiek były cele ich usiłowań, przykład ich wzmaga w nas energią potężną, pałającą żądzą wyniesienia się jak oni. Gdy będziecie w przedmiocie zawodu waszego pracować, pamiętajcie, z jak heroiczną wściekłością oni na swą sławę pracowali. Nim przystąpicie do roboty, przypominajcie sobie wszystkie rysy cnoty, heroizmu, arcydzieła sztuki, które wieków uwielbienie budzą. Jeśli na wspomnienie ich zapał was unosi, jeśli czujecie go poruszającego piersią, jeśli budzi pragnienie sławy—to dowód, że i wy artystami

jesteście. Naówczas chwytajcie za pędzle, i jak bohaterowie Homera szukali w ciżbie godnego siebie zapaśnika, wy zwróćcie oczy na nieśmiertelne dzieła Rafaela, Michała Anioła, Rubensa. Naówczas pracować będziecie z gorącą żądzą zrównania tym mistrzom, a gdy dobieżycie do mety, pełni szlachetnéj dumy, zawołacie jak Salvator Rosa: „Niech teraz Michał Anioł przybywa, zobaczymy, kto z nas lepiéj potrafi.“ To co wykonacie, może być jeszcze rzeczą niedoskonałą, lecz będzie wypadkiem wszelkich sił, na jakie władze się wasze zdobyć mogły,—a bądźcie pewni, że chęć zarobkowania nigdyby was do tego nie doprowadziła.“

Bardzo znaczącą jest ta recepta Wiertza, na wydobycie gieniuszu z człowieka, ale jakże maluje umysł nierozwinięty—który nie doszedł do pojęcia gienezysz tuki w artyście i nie podniósł się do zrozumienia w inny sposób przyczyny i celu produkcyi artystycznéj. To pragnienie sławy widoczne jest we wszystkich pracach Wiertza.

Malarz rodem był z Dinant, i synem ubogiego wyrobnika. Przyszedł na świat 22 lutego 1805 roku, zmarł w Brukselli dnia 18 czerwca 1865 roku... Siedem więc lat jeszcze, gdyśmy te obrazy oglądali, pozostawało mu na pracę, ale—o ile wiemy—nic już nad te pierwsze pomysły większego nie wykonał.

Oprócz ogólnéj fizyognomii miasta, któréj przypatrzeniu się dosyć było dni parę poświęcić, nic nas tu już nie wstrzymywało. Z pewną ciekawością należało pójść się pokłonić chłopczykowi, który wpośród dwu ulic i mnóstwa przechodniów, co najmniéj od połowy XV wieku—tak się nieprzyzwoicie znajduje, i—nic mu za to. Owszem, jest w wielkiém poszanowaniu u Brukselczyków. Mówię o sławnym *Manneken Pis*. Jestto wodotrysk oryginalny, chłopczyk bronzowy, stojący i—pozwalający sobie robić publicznie, co po miastach powszechnie nawet w kątkach jest zakazane... Na jaką pamiątkę ten osobliwszy wodotrysk wystawili i utrzymywali Belgijczycy, dojść trudno; to pewna, że ten chłopczyk czy Julianek (Julianekens Borre) naprzód kamienny stał tu już w 1462 roku, a w 1619 na jego miejscu gmina odlać kazała bronzowego. Na wielkie uroczystości ubierano go czasem w mundur paradny... Fantazya osobliwsza, któréjby dzisiejsze pojęcie przyzwoitości nie ścierpiało... W każdym razie, powiedział mi Francuz, oglądający Mannekena razem ze mną, mniéj to obrzydliwe, jak zwykłe cztery lwy, sfinksy lub delfiny, wyrzucające wodę jakby po silnéj dozie emetyku. Nie mogę długo patrzéć na nie, bo mi się samemu zbiera na coś podobnego.

Brukselczycy muszą koniecznie każdego cudzoziemca zaprowadzić do Julka, jestto dla nich zabytek starożytności wielce szaco-

wny. Sztuka nowa wzniosła za to na wspaniałym placu królewskim, pomnik wcale piękny Gotfreda z Bouillon, odkryty w r. 1848, do którego wzór był dziełem p. Eug. Simonis. Gotfred dosiadłszy rumaka wyjeżdża, podnosząc chorągiew świętą, na wyprawę krzyżową. Koń, uzbrojenie rycerskie, wszystkie szczegóły z talentem wyrobione, posąg ma powagę i zdobi plac wielce. Oprócz wymienionych, ma jeszcze Bruksella posągi generała Beillard, księcia Karola Lotaryńskiego i Andrzeja Vesale.

Na północnym dworcu bardzo wspaniałym, obszernym, lecz tego dnia nie zbyt zaludnionym, siedliśmy do wagonów, żegnając Belgii stolicę i życząc jéj, aby sobie właściwe jakieś piętno i charakter wyrobić mogła, których dotąd nie ma. Lecz i krajowi go pewno braknie, i wistocie choć obojgu się go życzy, wątpić należy, aby kraj i stolica zebrały się na samoistność, która rzadko bywa małych państewek udziałem. Jedyną wybitną stroną życia Belgii jest utylitarna. Przemysł kwitnie i stosunkowo dobrobyt się rozszerza, chociaż kwestya robotnicza, tu, jak w innych fabrycznych krajach, nieustanną jest groźbą. Belgia nie ma własnéj literatury, którąby na to imię zasłużyć mogła, flamandzka jest ze względu języka narodową, a mało oryginalną, lecz odczuwa wszystko, co się we Francyi dzieje i przejawia, z drugiéj strony oddziaływa na nią literatura niemiecka i życie umysłowe podsycane jeszcze walką dwóch obozów liberalnego i katolickiego, dosyć jest żywe.

Aż do Liège kraj, któryśmy przejeżdżali, nie jest bez wdzięku, wielce żyzny, uśmiechnięty, pracą i zamożnością się odznacza. Równina zielona, poprzecinana drzewami na równe kompartymenta, kanałami i rowami na kwadraty, miedzami na małe pół oddziały. Gdzieniegdzie z pośrodka bukietu drzew wyskakuje zameczek w stylu gotyckim, malutki jak caceczko, ale z wieżyczkami po rogach i śpiczastemi daszkami, około niego park oszczędny, ale utrzymany starannie! Lasów w téj części kraju, takich starych swobodnie rozrastających się, do jakich my przywykliśmy, wcale niéma: drzew sadzonych rzędami i szeregami wiele, łąki bujne, gdzieniegdzie młyn holenderski, jak z obrazka van Goyen'a i strumień ucywilizowany, przyprowadzony do porządku, ściśnięty brzegami wysokiemi, aby nie swywolił, prowadzony na pasku i posłusznie podlewający ogrodowiznę, obracający młynek, spławiający drzewo, bo tu i jemu próżnować nie wolno.

Pól niewiele nad drogą, ale te, co są, pięknie uprawne. Na znaczniejszéj ich części, zieleniały wspaniale rozrosłe buraki cukrowe. Wyjechawszy z Bruksełli, minęliśmy tylko po obu stronach drogi kilka zameczków i parków, kilka wsi z nizkiemi dom-

kami murowanemi, łupkiem, jaskrawo czerwieniejącą dachówką lub nawet słomą krytemi, kilka kościołków o ostrych wieżycach, a nadewszystko wiele a wiele nieprzeliczonych kominów fabrycznych, po nad któremi obłokami dymy czarne się unosiły. Te nie przyczyniają ozdoby krajobrazowi. Aż do Liège wszystka Belgia tak wygląda. Naprzód ukazało się nam Malines, któreśmy z drogi mało widzieli. Byłem w niém innym razem dni parę, miasteczko stare, spokojne, ciche i malowniczo wyglądające ze średniowiecznemi budowami swemi. Dojechaliśmy potém do Louvain, starego też miasta uniwersyteckiego, dziś sławnego instytutem, któremu OO. jezuici przewodniczą. Uniwersytet, założony w roku 1426, miał czasy wielkiéj świetności i sławy, a za Justa Lipsiusza do sześciu tysięcy uczniów *Studium generale* liczyło. W roku 1797 zamknięty został. W roku 1817 otwarto trzy uniwersytety w Louvain, Liège i Gand; lecz w 1835 rządowy zakład znowu zamknięto, a katolicy i duchowieństwo, korzystając ze swobody, jaką dawało prawo, założyli uniwersytet katolicki. Rząd utrzymywał w roku 1858 dwa uniwersytety w Liège i Gand; dwa oprócz tego były prywatne, brukselski zwany wolnym i w Louvain katolicki. Belgia wogólności co do zakładów naukowych, poszczycić się mogła i wielkim ich dostatkiem i bardzo troskliwém urządzeniem, a szkoły ludowe miała po wszystkich gminach, dla ubogich bezpłatnie otwarte. W lewo ukazało się nam Firlemont z wieżą kościoła, całe pstre od czarnych i czerwonych dachów biało szamerowanych, potém Waremme i Saint Front, nareszcie Liège, które od drogi wydaje się bardzo rozległe i pięknie zabudowane. Głównie jednak świecą fabryki; jestto stolica wyrobów broni, których dobrocią i taniością Belgia słynie.

Za Liège niespodzianie, jakby różczką czarodziejską dotknięty, kraj z dosyć płaskiego dotąd, zmienił się w górzysty i malowniczy. Nie ma on powagi, majestatycznych linij i charakteru pejzażu włoskiego, nie są to łańcuchy gór, ale skromne wzgórza niezmiernie wdzięczne, urozmaiconych kształtów, po równinach Brabantu mile bawiące oko. Wesoła dekoracya do operetki. Góry, to odziane lasami, to skaliste, to zielone, pozaokrąglane zręcznie lub poszarpywane fantastycznie, a pomiędzy niemi doliny zasadzone drzewy, poprzecinane strumykami płynącemi po kamykach. Na zielonych łąkach domki i fabryki czerwone, zameczki mikroskopowe, na wyniosłościach gotyckie różne budowelki, altanki, chatki, szalety. Zachodzące słońce około Chaudefontaine ozłacało śliczną tę okolicę. W podobném położeniu jest też Spa, niezbyt odległe od Pepinter, gdzie podróżni, jadący do tych wód, przesiadają się.

Daléj już dla mroku straciliśmy krajobraz z oczów i raz tylko jeszcze mieliśmy przepyszny widok nocny, wielkich fabryk żelaza około Eschweiler. Piece te, buchające płomieniami sinemi, czerwone czeluście, krwawe dymy, szopy oświecone pomarańczowo z ludźmi uwijającemi się po nich jak mrówki, bardzo dramatyczne piekiełko przedstawiały. Można się było sądzić w pierwszéj części poematu Dantejskiego. Lejący się kruszec, gorejące sztaby karmazynowe, żywy ruch robotników około tych law, stanowiły obraz, któremu jakby dla kontrastu przyświecał z góry srebrzysty księżyc milczący, dalsze plany obrazu oblewając światłem swém chłodném...

XLVI.

Granica Niemiec.—Kolonia.—Katedra kolońska.—Prace około niéj.—Wrażenie jakie czyni budowa. — Restauracya.—Grobowce.— Pamiątki.- Obraz mistrza Stefana.—Realizm niemieckiéj szkoły.—Grób trzech królów.—Charakter budowy. — Obraz Overbecka. — Szkoła archaiczna.—Miasto.—Muzeum Wallrafa.— Zabytki i obrazy.—Bendeman.—Ratusz.—Ś. Urszula.—Ś. Piotr.—Rubens i jego malowania.— ŚŚ. Apostołowie.—Budowy.—Fizyognomia kraju.—Niemcy.—Podróż Renem. — Widoki i krajobrazy. — Zamki i ruiny.—Obrazy.—Moguncya.— Nocleg.—Frankfurt.—Wycieczka na miasto.—Pomniki.—Muzeum Stadel'a. Lessinga Hus.—Podróż do Lipska.

Około Eschweiler przebyliśmy granicę pruską i minąwszy Akwizgran, który na boku się nam tylko ukazał, zdążaliśmy do Kolonii, gdzieśmy już dosyć późno wieczór stanęli. Zawieziono nas z kolei do zaleconego nam hotelu Disch, który miéć mógł ten powab dla podróżnego, że, przerobiony ze starego pałacu, pełen jest jeszcze dawnych pamiątek. Wistocie przedstawiał się nam bardzo wspaniale ze swemi wielkiemi salami i portretami dziadów bezdzietnych, skazanych na przebywanie w zajezdnéj gospodzie, lecz jadło i życie zostawiały wiele do życzenia, a za oglądanie zabytków płaciło się dosyć drogo. Nazajutrz rano pierwszy krok był ku słynnéj katedrze, dla któréj widzenia zatrzymaliśmy się tutaj. Arcydzieło to architektury gotyckiéj, jak wiele innych budowane powoli, w r. 1509 podobno, porzucono nieskończoném, gdy wygasał duch wiary, który je wznosił. Na jedynéj jego wieżycy do trzeciéj części wywiedzionéj, stał długo liwar oznaczający, że kiedyś robotę znowu ciągnąć daléj miano. Mówią, że już myślano rozbierać niedopełnioną budowę i zmienić je w piękną drzewami osadzoną ruinę, gdy upadający jednéj nocy liwar stary rozbudził myśl dokończenia olbrzymiéj katedry, któréj plan pierwotny szczęśliwie się gdzieś dał odszukać. Niezjednoczone naówczas Niemcy we współce dla ukończenia zabytku narodowego kunsztu szukały środka do moralnego połączenia jedną myślą. Katolicy i protestanci podjęli to zadanie z zapałem. W r. 1858 pracowano

powoli nad wykończeniem gmachu. Choć w takim stanie, mury katedry, rzeźbione portyki, koronkowe ozdoby, masy murów pnące się swobodnie i lekko mimo ogromu na pierwszy rzut oka większe czyniły wrażenie od niejednéj wykończonéj świątyni. Plan mogła myśl uzupełnić, tak się w liniach istniejących jasno przedstawiał oku. Dzisiejsze nowe dodatki nie raziły, jako sumienne wypełnienie, które się z pierwiastkową budową zgadzało. Znać było sumienną troskliwość i poszanowanie myśli mistrza, który zarysował tego olbrzyma a wcielić pomysłu nie stało jemu życia i pokoleniom zapału. Stokroć większe jeszcze wrażenie czyni wnętrze katedry, wyniosłość sklepień, lekkość słupów w pęki pozbieranych, jakby się zbiegły trzymać świątynię, przecudne proporcye całości. Choć główna nawa tymczasowo ucięta była przepierzeniem, kościół częściowo widziany nie stracił, odczuwało się całość z widomego jéj odłamu. Z lewéj strony, stanąwszy w bocznéj nawie, postrzedz było można ogrom budowy i harmonijne jéj ukształcenie. Tymczasowy dach pokrywał wielką część kościoła, który zewsząd domurowywano i kończono. Będzie to bezwątpienia jedna z najwspanialszych katedr gotyckich, jakie istnieją; chociaż W. Hugo nie przyznaje jéj tego i przemawia za kilką współzawodnicami francuskiemi. W Niemczech nie znamy nic, coby się z nią porównać dało. Sama myśl ta przywiązuje do niéj, że to zmartwychwstała idea średniowieczna, którą wiek XIX na zbutwiałym papierze wyczytał i z poszanowaniem po cegiełce wypisał żywą, natchniony nietyle pobożnością, co miłością sztuki i narodowéj pamiątki. Kościoła takiego wiek nasz sam stworzyćby nie potrafił, ale umiał go pod dyktowaniem zagrobowéj myśli odbudować. Architektom z powołania zostawuję ocenienie stylu, rozmiarów, proporcyj gmachu, wiem tylko, że żaden kościół gotycki takim rzutem ekstatycznym nie wznosi się w górę do niebios, nie strzela rozpromienioną, jak ten modlitwą. Choć nabożeństwo ciche przerywa młot kamienny, choć śpiewowi towarzyszy skrzyp dźwigni podnoszących bryły w górę, czuć tu bożą świątynię, panuje w niéj pokój, jakiego świat dać nie może, i myśl leci po strzałach sklepień na niedoścignione wyżyny. Dziwnie jest wielka a lekka, niezrównanie majestatyczna. Zakrzyczanoby mnie, gdybym powiedział, że św. Piotr rzymski wydaje się obok niéj chłodnym niedowiarkiem, ale kolońska katedra się modli, św. Piotr panuje. Zaraz po wnijściu ściągają oczy przepyszne okna malowane stare, naprzeciw których osadzono ofiarowane nowe, prawie im pięknością dorównywające. U drzwi wchodząc potrzeba się opłacić, na budowę kościoła, bo po większéj części rośnie on ze składek. Daléj oprowadzają dokoła po kaplicach bocznych, w których pełno grobowców średniowiecznych,

poobwarowywanych kratami, może od zbyt chciwych pamiątek turystów.

Średniowieczna rzeźba z całym zasobem fantazyi swéj występuje w grobowcach i dosięga w nich niekiedy prawie ideału chrześcijańskiéj sztuki; na tumbach tych czytają się wieki, są to historyczne karty. Ci rycerze, matrony, biskupi, rysują się w nich z całym majestatem i naiwnością epoki, któréj byli dziećmi. Postacie grobowe katedry krakowskiéj, kościołów neapolitańskich i wielu niemieckich mają tyle wyrazu, tyle wdzięku często, są tak artystycznie, a tak poprostu pomyślane i wykonane, że im odrodzone rzeźbiarstwo, na wzorach klasycznych wykształcone, nie dorównywa. Pomimo jednostajności pozornéj motywów, tumby te z leżącemi posągami, tysiącem odcieni się różnią, zdobią mnóstwem pomysłów szczególnych. W jednéj z kaplic jest ołtarz rzeźbiony na sposób i w stylu Wita Stwosza, w drugiéj bardzo zajmujący krucyfiks stary, wielki, pełen surowego charakteru (dwie nogi Chrystusa przybite każda z osobna, co jest jakby datą rzeźby, bo w XI wieku już nogi obie są razem gwoździmi ujęte). W innéj kaplicy pokazują za szkłem stary plan katedry; nareszcie przychodzimy do słynnego obrazu szkoły kolońskiéj, arcydzieła w swym rodzaju, mistrza Stefana z Kolonii, malowanego między r. 1410 a 1420. Jest to ołtarz szafiasty, na którego okiennicach Stefan odmalował Zwiastowanie. Dla tego jednego obrazu warto jest jechać do Kolonii. Stoi on na równi niemal z dziełami Fra Angelico i najprzedziwniejszemi utworami włoskiéj szkoły przedrafaelowskiéj. Tryptyk ten przeznaczony był naprzód do kaplicy ratuszowéj w Kolonii, zbudowanéj w r. 1426; teraz stoi od lat już kilku w kaplicy św. Agnieszki. Środek, wnętrze tryptyku przedstawia: Hołd trzech króli, których relikwie znajdują się w katedrze; na okiennicach wewnątrz mieszczą się S. Gereon i jego rycerze z jednéj, św. Urszula z towarzyszkami z drugiéj strony. Na zewnętrznych a najpiękniejszych dwu deskach, N. Panna klęcząca i zwiastujący archanioł Gabryel. Artysta pojął oblicze Matki Boskiéj tak, jak je pobożni średniowieczni tylko artyści malować umieli, pełném słodyczy i niezrównanego wdzięku niewinności dziewiczéj. Na nieszczęście Waagen potwierdza to, czego wpatrując domyślić się można, iż restauracya świętokradzka charakter pierwotny ślicznego obrazu nieco nadwerężyła. Cały ołtarz jest znakomitym, najpiękniejsze z niego przecież Zwiastowanie. W kompozycyi głównéj same nawet linie jéj i układ znamionują mistrza, ale z wyjątkiem pięknego oblicza Matki Boskiéj, inne figury, mimo powagi, już zbyt realizmem rażą i umyślny może kontrast świętości i ziemskiego żywota jest nadto dobitny. Między towarzy-

szami Trzech Królów i św. Gereona typy niektóre wprost wzięte z żywych indywiduów, którym malarz pozostawił całą ich trywialność. Rysunek zadziwia często szlachetnością a koloryt i wykonanie są przepyszne. W tym rodzaju Niemcy nad obraz mistrza Stefana nic podobno piękniejszego nie mają, chyba Holbeinowską madonnę galeryi drezdeńskiéj. Jest w naturze szkoły niemieckiéj to, co późniéj objawia się w religijnéj idei ich, w poezyi, w całych dziejach narodu. Na jednéj karcie znajdzie się ideał z sarkazmem, uniesienie z niewiarą, zapał i szyderstwo. To co w poezyi Heinego stanowi jego oryginalność, tkwi już w obrazkach XIV i XV wieku. Zaczyna się to hymnem a kończy satyrą.

Aby się o tém przekonać, dosyć jest przypatrzyć się podstawie blizkiego szafiastego ołtarza z dwunastu apostołami.

W pośrodku kościoła jest marmurowa izba, w któréj złożono relikwie Trzech Króli: św. Kaspra, Melchiora i Baltazara. Ozdoby jéj są już z XVII wieku. Dwie ręce bronzowe podnoszą naczynia, w których się składa ofiary. Oprócz tego naznaczona opłata od pokazania wnętrza grobu, skarbca i t. p. Z powodu tych nieustannych podatków na ciekawość nakładanych, W. Hugo w swéj podróży po Renie, cały rozdział napisał. W marmurowéj izbie zamknięty jest relikwiarz (Chasse) przepyszny cały złoty, wysadzany kamieniami, emaliami, pełen topazów, ametystów, rubinów i brylantów, rzeźbionych kamei, niezliczonych ofiar, które różnemi czasy na przyozdobienie grobu się składały. Restaurowano to starożytne dzieło sztuki w początku XIX wieku. Nosi ono ślady pracy różnych epok. Przez odejmujące się płyty w górze, widać trzy czaszki ukoronowane.

Skarbiec bogaty zawiera sprzęt kościelny, szaty, monstrancye, kielichy, relikwiarze, kilka biskupich pastorałów, emaliowanych puszek, pacyfikałów i t. p. Nic tu tak bardzo odznaczającego się nie dostrzegliśmy, a oglądanie téż nie dogodne, bo straż, aby się prędzéj pozbyć podróżnych, śpiesznie bardzo podaje i usuwa przedmioty, tak, że niéma czasu lepiéj się im przypatrzyć.

Środek kościoła stoi już skończony, sklepienia wspaniałe i dziwnie lekkie. Skromne malowania i złocenia słupów i figur, nie rażą tak jak restauracye francuskie. W téj części już znaleźliśmy wszystko gotowém, piękne stalle rzeźbione, pulpit bronzowy w chórze i t. d. Ołtarz pozostał z XVII wieku. W Niemczech jest to wielce do pochwalenia, iż gdzie trzeba dotknąć przeszłości, aby jéj zabytek od zagłady zachować, lub szczerbę wypełnić, czyni się to z nadzwyczajną troskliwością, ażeby charakter utworu nadwerężony nie został, by skazówka pozostałości nie naprowadziła na mylne a zuchwałe tłómaczenie.

Z prawéj strony w bocznym ołtarzu spotkaliśmy się tu, nie po raz pierwszy, z olejnym obrazem Overbeck'a. Tu on w sąsiedztwie mistrza Stefana był więcéj zajmującym, niż gdyby sam jeden się przedstawiał. Wyobraża on Matkę Boską w chwale niebieskiéj, w nimbie owalnym otoczonym aniołami, u dołu śś. Patryarchowie, Adam i Ewa. Mimo znakomitych zalet rysunku i wyrazu, jakież to suche, zimne i chłodne! Dawid i Abraham bardzo piękni, wdzięczni są aniołowie z trybularzami, a całość wyszukana, wymęczona, nienaturalna, jak archaiczne naśladowanie, które nie płynęło z duszy, tylko chłodnym rozmysłem z talentem wykonane zostało. Co w takim mistrzu Stefanie jest naiwnością, tu się staje niemal dziecinne, co tam było prostotą, jest tu umyślną niezgrabnością, a w XIX wieku reprodukcya XV-go ciekawi, nie porusza, gdy stary obraz jak stara modlitwa, do duszy przemawia. Legenda o katedrze kolońskiéj powiada, że szatan na nią plan rysował. Kończą ją téż ci, co do tego kościoła chyba jak do muzeum dla ciekawości uczęszczać będą.

Wyszliśmy znużeni a przejęci, krocząc daléj po starém mieście, wśród średniowiecznych kamieni. Ruch był wszędzie wielki, nad zielonym Renem pracowano około mostu nowego, przy katedrze zajętych było trzechset do czterechset robotników; w mieście handel i przemysł zaludniał ulice, wozy ciągnęły towary do portu, na rzece sterczał las masztów.

Przeszliśmy potém, szukając jeszcze muzeum Wallrafa, darowanego miastu a umieszczonego w dosyć opuszczonym kącie. Składało się ono, jak wiele innych, teraz zbieranych, nie z samych dzieł sztuki, ale zarazem z pamiątek, wykopalisk, sprzętów, zbroi, naczyń, haftów, rękopismów, złomków marmuru i t. d. Zajmujący dział stanowi tu szkoła malarska staroniemiecka, oprócz bezimiennych mistrzów, posiadająca Dürerów i Holbejnów. Portrety ich pełne prawdy, ale gdziekolwiek ideału potrzeba, tam się on po-za wyborową rzeczywistość podnieść nie może. Typy, jakie dziś jeszcze w Niemczech się spotyka, nic a nic dotknięciem ręki artysty nie wyszlachetnione. Malowanie suche, wykończone, dokładne, w barwach surowe. Realizm przykry, a może przecież temu pojednaniu się z rzeczywistością winni są Niemcy całą swoję dzisiejszą potęgę. Znaleźliśmy oprócz staroniemieckich obrazów, szczątki mozajki rzymskiéj wykopanéj w Kolonii Agrypiny, stare rzeźby, sarkofagi, pochodzące z czasów Rzymian. Nie są to pomniki najpiękniejszéj epoki sztuki starożytnéj. Piękna głowa Meduzy pochodzi z Włoch. Inne złomki są kopiami i zbieraniną, jaka się pod rękę nawinęła. Z nowszych obrazów, dwa się odznaczają: Lessinga cmentarz zimą, znany ze sztychów i jeszcze może

popularniejsze *Super flumina Babylonis* Bendemanna. Postać w lewo kobiety siedzącéj, zamyślonéj, smutnéj, stęsknionéj, cudna tym wyrazem tęsknoty i bólu, który pociechy nie pragnie. Całość ze wszech względów piękna, spokojna, głęboko pojęta i energicznie dosyć wykończona. Nie wiem czy prawda, że Bendemann malował to, nie mając lat dwudziestu. Krajobraz w głębi mógłby być piękniejszym, jest suchy, czarny i służy tylko za tło, ale to rzecz w obrazie takim podrzędna.

Z Muzeum poszliśmy do Ratusza, który, jako motyw malowniczy, godzien jest widzenia także. Ciasne podwórko zamyka w sobie portyk w stylu odrodzenia z r. 1570, rodzaj logii, złożonéj jakby ze trzech łuków tryumfalnych, wielkiéj piękności i harmonii linij. Drobne to jest, ale wdzięku pełne. Wieża obok gotycka niedokończona. Podwórze ze szczątkami budownictwa różnych epok samo przez się jest ślicznym obrazkiem. Kościół św. Urszuli dla oryginalności jego oglądać należy, nigdzie tyle relikwij, tyle kości ludzkich razem zebranych, chyba w podziemiu u kapucynów w Rzymie. Styl budowy gotycki pierwotny, słupy grube i nizkie, nad bocznemi nawami galerye. Wszędzie głów i kości świętych towarzyszek męczennicy mnóstwo. W osobnéj kaplicy, całéj złoconéj i pełnéj popiersi srebrnych zamykających w sobie relikwie, sklepienie kośćmi pokryte, ściany kośćmi wysłane; a bogata złocista głowa zamyka czaszkę św. Urszuli. Oprócz tego inne są pamiątki po niéj, pierścień zaręczyn i t. p. Kaplica ta jest zupełnie oryginalną i odznacza się swą średniowieczną fantazyą. Na jednym ze słupów piękna rzeźba średniowieczna kamienna, wyobrażająca *Via Crucis*.

Do kościoła św. Piotra idzie się dla widzenia obrazu Rubensa, jednego z najpiękniejszych tego mistrza kolorytu. Podwórzec prowadzący do niego zielony, umajony drzewy, wśród których stoją posągi aniołów z godłami świętego, ciszą swą i spokojem dobrze usposabia przybywającego. Z pośrodka gałęzi widać piękne wnijście gotyckie kościoła, który ma sklepienia, okna z lat 1530 i 1520, i wiele dawnych pamiątek zajmujących. W kaplicy Kannengiesserów św. Jan i św. Paweł, postacie pełne powagi i wyborowego rysunku. Inne też okna wspaniałe i szczęśliwie zachowane, ale nadewszystko zachwyca obraz Rubensa, w którym on szczęśliwie uniknął wszystkich wad właściwych swéj manierze, a do najwyższego stopnia posunął przymioty. Rysunek, koloryt, efekt, styl, wykonanie techniczne obrazu, nawet tych, co Rubensa nigdy pokochać nie mogli, wprawiają w zachwycenie. Pojmujemy to, że są temperamenta i organizacye, dla których Rubens wielkim jest mistrzem. Czarowny, bogaty, nęcący koloryt, rozbujałe życie, ma-

jestat kompozycyj, ich przepych, umiejętne zestawienie barw, mistrzowstwo pędzla, są sapewne przymiotami wielkiemi, lecz one jeszcze nie stanowią malarza. Są to improwizacye kolosalne, niezawsze smaczne, niezbyt obmyślane, rzadko odznaczające się wyrazem, którym nadewszystko braknie spokoju i majestatu, jaki on daje, a dramatyczność ich przechodzi w przesadę i teatralność wymuszoną. Rubens porywa, nęci, ale nie zaspokaja, godzien wieku, w którym malował, jak ta epoka cała, goni raczéj za blaskiem i przepychem, niż za uczuciem i wyrazem. Tu jednak widać w nim artystę, który w innym czasie i warunkach byłby stanął na szczycie. Poseł i dworak, malując dla panujących, obracając się w świecie zbytku i przepychu, nie mógł nigdy ani się skupić duchem, ani założyć sobie innego celu, nad oczarowanie wzroku, szukającego efektów i blasku, do którego nawykł w życiu. Z zajęciem oglądaliśmy kościół i jego pamiątki, rzeźbiony l malowany ołtarz w kaplicy Kannengiesserów, chrzcielnicę bronzową z r. 1569 i wiele innych zabytków.

Ze względu architektury wart téż obejrzenia kościół śś. Apostołów z rotundami, galeryami, w stylu gotycko-romańskim, przypominający nieco padewski. Podobny także jest do S. Gereona. Połączenie strzałek i półkolistych przysklepień szczególnie pięknie i oryginalnie przedstawia się z tyłu kościoła śś. Apostołów. Ulice miasta ciasne, ciemne, ciche, pozostały jeszcze, jak urosły w średnich wiekach, gdy każdy gród musiał być obronnym i dlatego był ciasnym, bo się skupiał w niewielkim murów otoku. Życie było mniéj wygodne, lecz dla oka piękniejsze to, niż pod sznur wyciągnięte szeregi domów stojących jak pudełka na pudełkach.

Na wieży, zwanéj rzymską, chyba fundamenta są starożytne, to co się widzi, nosi cechę średniowieczną. Dziś jest to dom mieszkalny. Przechodząc ulicami, trafiliśmy jeszcze na gotycki posąg Matki Boskiéj, przez któregoś z arcybiskupów wzniesiony. U dołu siedzą czteréj prorocy. N. Panna z wyrazem prawdziwie dziewiczym, bardzo piękna. Dodawszy do tego, cośmy tu pobieżnie wspomnieli, cekhaus dawny z herbami rzeźbionemi nad bramą — będziemy mieli wszystko, co było do widzenia w Kolonii, w krótkim czasie. Przybywających z Włoch i Francyi, a mało jeszcze oswojonych z życiem i charakterem Niemiec, nie tyle może zastanawiały pomniki, co ludzie i sceny powszednie, zupełnie dla nas nowe. Pierwszy pies zaprzężony do wózka na współkę z właścicielką wydał się nam czémś poczwarném. Dziś, gdy się z tém oswoiły oczy i myśl, nie dziwi nas ani razi, że ten przyjaciel człowieka z nim razem na chleb pracować musi. Koń przecie nie próżnuje także, a pies roboczy utrzymywany jest troskliwie i go-

spodarz go nie nadużywa. Patrząc, jak idzie wprzężony w chomont razem ze starą kobietą lub młodym chłopakiem, już go nie żałujemy. W pierwszéj jednak chwili wszyscyśmy się oburzali na chciwość i barbarzyństwo, które takiego przyjaciela śmiały uczynić wyrobnikiem. Dla nawykłych widywać psy na kolanach, na kanapach, lub polowaniach tylko, swobodne i niepodległe — pierwszy parobek tego rodzaju był wielkiém obwinieniem tych na wszystko spekulujących Niemców — dziś to tylko wielka dla nas nauka. Kraj to zapowiada, w którym nikt nie próżnuje, oprócz tych, co mają ręce okute. Po Francyi téż, w któréj na każdym kroku spotykaliśmy się z rozmaicie poubieranemi stróżami porządku publicznego, z wciskającą się wszędzie i stróżującą nieustannie policyą, Niemcy wydały się nam jakoś dziwnie swobodne, bośmy jéj tu prawie nie widzieli. Stan obu krajów doskonale to tłómaczy. W Niemczech naród i rząd są w zupełném porozumieniu i zgodzie, tu każdy obywatel pilnuje ładu i porządku, którego potrzebuje jako głównego do życia warunku, we Francyi władza a kraj są dwoma żywiołami w wiecznym z sobą zatargu. Gdyby dziś usunęła się policya, jutro wybuchłaby rewolucya w imię jakiegoś interesu lub jakiéjś idei. Dlatego w Niemczech bezpieczeństwo publiczne nie cierpi na tém wcale, iż mniéj jest żandarmów i nadzoru. Już w tym roku 1858, kiedy nikt jeszcze przyszłości nie wié i roli, jaką Prusy odegrać mają, przewidywać nie mógł — spotykało się tu, jakby przeczucie zjednoczenia, i mrówczaną pracę około dokonania go, na drodze nie politycznego związku lub zlania, ale w pracy ducha i kojarzeniu się stowarzyszeń, bractw, stanów, bodaj orfeonów i cechów. Długo wprzód nim pod jedną poszli chorągwią wojenną, szli pod sztandarami bractw i współek wszelkiego rodzaju—chwytano każdą sposobność dla podania sobie rąk i porozumienia. Stronnictwa polityczne o wiele były naówczas czynniejsze i jaskrawsze niż dzisiaj, wszystkie przecież zdążały różnemi drogami do jednéj idei; i dlatego ona wyszła zwycięsko z zapasów, które trwały prawie pół wieku.

Pozostałą dnia resztę spędziliśmy na przechadzkach po mieście, około tumu i nad Renem. Obowiązek turysty nakazywał nam stąd drogę obrócić rzeką i płynąć aż do Moguncyi sławnym krajobrazem, którego panoramę co roku podziwia tysiące wędrowców. Chcąc się przypatrzyć nadreńskim okolicom, postanowiliśmy wyjechać nazajutrz rano.

Jesienny dzień zwiastował się dosyć smutnie, chmury niebo oblokły i deszcz kropił— a choć z wiejskich postrzeżeń ranna słota zapowiadała pogodę, nie wieleśmy na nią liczyli siadając na statek — *La princesse de Prusse.* Na pokładzie towarzystwo dość

było liczne. Znalazły się tam wszystkie narodowości, najmniéj wszakże reprezentowaną była niemiecka. Anglicy, Amerykanie, Włosi, Rosyanie, Polacy, układali się z właściwą charakterom swym grzecznością, egoizmem, pamięcią o sobie i o drugich. Wszyscy używali tu języków, jakie im Pan Bóg dał, z wyjątkiem ziomków naszych, którzy posługiwali się obcemi, z obawy, aby się do nich jaki rodak nie przyplątał. Nie wiem, czy kto się tak obawia spotkania z ziomkami, jak my — ale przyczynę odgadnąć łatwo.

Pomimo deszczu, całe towarzystwo zostało na pokładzie, aby widoku pięknego nie stracić. Statek odbił—wypłynęliśmy na zielono-płowe wody szeroko rozlanego Renu, który oprócz majestatycznéj wielkości swéj tu jeszcze wcale nie jest zachwycający. Aż do Bonn płynęliśmy równiną, na brzegach spotykały nas to amputowane nielitościwie wierzby, to domki z deskami czerwonemi lub łupkiem szarym krytemi. Z pomiędzy nich gdzieniegdzie wyjrzał kościołek ze śpiczastą wieżyczką. Budowli większych i okazalszych prawieśmy tu jeszcze nie spostrzegli. Niebo dosyć łaskawe, zastraszywszy nas niepogodą, wyjaśniać się zaczęło i choć cały potém dzień mieliśmy naprzemiany słońce i chmury, deszczyk i ciepło— nie mogliśmy się na to uskarżać, bo ten stan atmosfery urozmaicał oświecenie krajobrazu, ubierając go w światła i cienie, jakby umyślnie na wzór dla malarza.

Od Bonn właściwie zaczyna się owa piękna panorama Renu, rzeki wistocie majestatycznéj, i przedziwnie ozdobionéj otaczającemi ją wzgórzami, ruinami, zaroślami i drzewy. Z obu stron naprzemiany podnoszą się strome wzgórza, okryte winnicami, ogrodami, ukoronowane potrzaskanemi wieżycami zamku i odnowionemi burgami. U stóp ich siedzą miasteczka niegdyś obronne, ze staremi domostwy o dachach śpiczastych, z murami, bramami, resztkami dawnych fortyfikacyj, klasztorów, szczątkami niezrozumiałych wieżyc, ścianami rozpadłych gmachów. Dla urozmaicenia widoków wśród rzeki zjawiają się kępy zielone, jak klomby porozrzucane, z bujnemi zaroślami i nieprzebytemi gąszczami. Rzeka to się rozlewa na płaszczyzny bez końca, to wśród ściskających ją wzgórzów zwęża i przyśpiesza biegu, jakby z nich wyrwać się chciała, a uwolniona znowu zajmuje szerokie przestrzenie. Niéma prawie pagórka i urwiska, na którymby nie królowała ruina jakaś, wieżyca, niedogryzek muru, na pół obalone sklepienie, przejedzona deszczami ściana szara lub brama, która wiedzie na gruzowiska. Są to puste gniazda owych rycerzy, którzy królowali krajowi, nakładając nań podatki i czyhając na karawany podróżnych. Do każdéj z tych ruin przylgnęła jakaś legenda, pieśń, powieść, jakiś szczątek przeszłości, która z bardzo prozaicznéj wiekami na poe-

mat się przeistoczyła. Każdy tu kątek ma swą poetyczną gienealogię, często z historyą sprzeczną, lecz od samych dziejów prawdziwszą. Od Bonn począwszy, coraz nowe a co chwila piękniejsze widoki, których opisu wyrzec się musimy, aby go po tylu znanych nie powtarzać. Dosyć jest znanych imion, aby przypomnieć krajobrazy Andernach, Bacharach, Weissthurm, Ehrenbreitstein, Stolzenfels, Rheinfels, Falkenburg i t. d. Niektóre obrazki znane z dosyć wiernych wizerunków poznawaliśmy nie pytając. Dwie Angielki z panoramą i przewodnikiem, porównywając naturę, zdaje mi się, że więcéj w książkę, niż na brzegi Renu patrzały. Żal nam było tych męczennic obowiązku turystek, z takiém poświęceniem spełnianego.

Obiad podano na statku, a wino reńskie droższe tu, niż gdzieindziéj, musiało mu towarzyszyć jako ilustracya pejzażu. W Epernay piją szampana ci, co go nie lubią nawet, tu reńskie wino choć skosztować potrzeba. Ruch na rzece był dosyć żywy, spotykaliśmy mnóstwo łodzi, bark, czółen, statków przewożących ludzi i towary, lub ciągnących ładowne barki. Naliczyliśmy parowców kilka. Mannheim, Hohenzollern, König von Preussen, z któremi i my się mijali. W Bieberich zmierzchać zaczęło, ale mieliśmy księżyc w zapasie i nowe oświecenie. Niespodziankę zaś sprawiła nam pierwszy raz tu widziana kometa, która bardzo jasno i wyraźnie wyszła na wypogodzoném niebie. Ren znowu się rozszerzył, wysp na nim coraz więcéj. Na wybrzeżach zajaśniały w osadach i miasteczkach światełka. Charakter pejzażu nadreńskiego wybornie oddają rozliczne artystyczne reprodukcye niezmiernie rozpowszechnione, może dlatego, że w nim linie większego są znaczenia od barwy, przytłumionéj wilgotnemi rzeki oparami. Witaliśmy to, jakby znajome i widziane już we śnie. Wiele się jednak znalazło nowego, bo sztuka nigdy nie wyczerpie tematów nieskończenie różnych natury; krajobraz ten zmienny jest i rozmaity. Płynąc od Kolonii, góry są po lewéj ręce okryte w większéj części słynnemi reńskiemi winnicami, a w téj porze na statku podróżni winogronami i winem tylko żyli. Nawet Schloss-Johannisbergu kosztowali ci, których na to stało. Wzgórza są naprzemiany to łagodnie zaokrąglone, to urwiste i skałami najeżone, skał tych wszakże niewiele i charakteru niemają. Na skalnym wierzchołku stoi zawsze prawie groźna i imponująca ruina na straży, zdając się dotąd panować okolicy. Gdzieniegdzie sterczy jeszcze wieża, okno szerokie z kawałem muru zębatego, okrągła baszta, któréj widać wnętrzności, bastyonik zwieszony nad przepaścią. Kształty są piękne, ale mur nie nabiera tu złocistych tonów, jak we Włoszech południowych, robi się on szary, czarny,

brudny, i zielone bluszcze, ktore liśćmi swemi i kobiercami tak szczelnie osłaniają ruiny włoskie, tu nie bujają tak bardzo. Nagie, ostre, śpiczaste złomy, rysują się wyrazisto na niebiosach. I ruiny tutejsze, u których stóp życie, ruch, wrzawa, wesele, wcale inne mają znaczenie niż opuszczone miasteczko w górach włoskich, niż zameczek w Kampanii rzymskiéj. Tu ludzie skazali na śmierć te opuszczone mury, we Włoszech zdaje się, że Bóg im napisał wyrok ostatni, otaczając krajem pustynię. Ruiny te zdaleka téż piękniejsze są, niż zblizka. Nie powiem, żeby nic na świecie piękniejszego nie było, choć i to ma właściwy sobie urok i wdzięki; a dla Niemiec rozumiem, że nad Ren niéma bardziéj malowniczego kąta. Znać, że tu dzieje wielkie na rubieżach się spełniały, i że się dopełniły, a nowe rozpoczęło życie.

Góry są prawie nagie, co im ponury nadaje charakter, zato wyspy i kępy wśród Renu okryte roślinnością bujną, która aż nad wody się zwiesza. Już noc była, gdyśmy stanęli w Moguncyi, któréj wieże i mury fantastycznie olbrzymie się nam wydały. Stało miasto we mrokach mimo księżyca, gdzieniegdzie promykiem jego bladym tajemniczo rozświecone, a pusto było i cicho, tak, żeśmy prawie żywéj duszy, szukając gospody, nie spotkali. Spokojni a pracowici Niemcy o swéj godzinie spać poszli, spuszczając się na swych poetów i malarzy, że oni im opiszą noc księżycową i wymalują bardzo ładnie. Nie mieliśmy tu czasu nic oglądać, bo przybywszy późno, ledwieśmy nieco odpoczęli, gdy nas zbudzono. Pociąg z przeciwnego brzegu z Cassel odchodził rano do Frankfurtu, a nie mieliśmy czasu do stracenia. Zatrzymało nas nieco rozsunięcie mostu łyżwowego dla przechodzących statków, aleśmy na czas stanęli w małéj stancyi Cassel i małém miasteczku, które na tym brzegu urosło. Do Frankfurtu godzina drogi tylko i krajobraz mało znaczący, ale Moguncya stąd przedstawia się wspaniale ze swym tumem o wieży wyniosłéj, z rotundą nad przybytkiem i rozpoczętemi przy nim wieżyczkami, z twierdzą i murami. Daléj mijaliśmy winnice, domki, wioski, a koléj sunęła się niczém nieopasana po równinie.

We Frankfurcie nie mieliśmy się zatrzymywać śpiesząc daléj, lecz pociągu nie było aż o godzinie piątéj, stanęliśmy więc w hotelu Westendhall przy dworcu; korzystając z wolnych godzin, należało poznać miasto. Część jego nowa podobną jest do wszystkich innych miast XIX wieku, w Europie i nowym świecie, składa się z mniéj więcéj ozdobnych pudełek; starsza zato malownicza, i kamieniczki, których piętra naprzód wyskakują ze śpiczastemi dachami i szczytami, z gałeryjkami i wystawami, wynagradzają niesmak nowych budowli. Trzeba było pójść i na Juden-

Gasse, bo stąd wyszli Rotschildowie, dynastya dziś panująca Europie, przewodnik nas zmusił do tego pokłonu. Kazano nam téż widziéć nowy pomnik Goethego, stojący na pięknym, cichym placyku osadzonym drzewami. Słusznie czy nie, wydało się nam, że artysta uczcił nim nie poetę, ale tajnego radcę. Posąg olbrzymi, zimny, kłodowaty, okrągły i bez natchnienia wykuty; godniejszy wysokiego urzędnika niż twórcy Fausta i Wilhelma Meister. Wprawdzie trudno było wyidealizować Goethego i raz tylko widzieliśmy olbrzymie popiersie jego z owym wyrazem Jupitera, o którym mówią współcześni. Może dlatego głowa ta najlepiéj odpowiadała idei Goethego, że on sam był—tylko wielką głową. W ostatnich czasach rysowano go w karykaturze przypominającéj starego pastora. Niedaleko od pomnika Goethego stoi na dokończeniu fontanna monumentalna, przyozdobiona trzema postaciami wynalasców sztuki drukarskiéj. Znać Moguncya, w któréj Guttenberg z Faustem pracowali, i Frankfurt gdzie pierwsze ich wychodziły druki, muszą rywalizować z sobą o wspomnienie wielkiego człowieka. W Moguncyi stoi także posąg Guttenberga, musi więc być i w Frankfurcie. Rysunek pomnika udatny i piękny, ale tu trzech ich stoi razem, nie sam Guttenberg a w zespoleniu tém widna idea nowa, uczczenie siły stowarzyszeń ku wspólnéj pracy. Na niższych stopniach cztery postacie allegoryczne, nauka, sztuka, poezya, rękodzielnictwo. Nauka zadumana nad księgą—najpiękniejsza.

Poszliśmy tylko dla zabicia czasu, nie spodziewając się nic ciekawego znaléść w Muzeum Stadelia, ale ten dosyć szczupły zbiór oprócz odlewów gipsowych i marmurów Elgina, zawiera także obrazy wybrane z rzadkiém szczęściem czy znajomością rzeczy i wart jest widzenia. Stara szkoła niemiecka ma tu pięknych Van Eycków, Dürera portret ojca, Holbeinów, mistrza Stefana z Kolonii dwa szafiaste obrazy ciekawe i wiele innych zabytków.

Tuśmy się znowu spotkali z Overbeck'em—wielkim jego obrazem olejnym: Tryumf wiary w sztuce. Piękne to dzieło nie razi taką suchością i sztywnością jak obraz koloński, pełne światła, ciepła i życia. Linie kompozycyi przypominają natrętnie Dysputę o Przenajświętszym Sakramencie Rafaela. Znaleźliśmy tu karton fresku Overbeck'a z domu Mendelssohn'a, w którym mieszkaliśmy w Rzymie, *Józef zaprzedany przez braci* i Veitha, *Lata dostatku.* Karton niemal się nam wydał piękniejszym nad samo malowanie. Wogóle patrząc na wszystkie menumentalne utwory sztuki niemieckiéj Overbeck'a, Cornelius'a, Veith'a, Lessinga, Schnorr'a, Bendemann'a znajduje się w nich wszystkich cechę jednę wybitną—wielki spokój i powagę. Najdramatyczniejszym, najnamiętniejszym jest Kaulbach i ten się od szkoły oddziela, jakby był nowego jéj

rozwoju widzem. Jedno z najpiękniejszych dzieł Lessinga — Hus przed soborem w Konstancyi tu się znajduje. Ciekawém byłoby porównanie kompozycyi, rysunku, techniki nawet w Husie tym z późniejszym Lessinga Husem wiedzionym na stos. Charakterystyka ojców soboru wyborna, są głowy i typy z wielką prawdą pojęte, ascetów i sceptyków, fanatyków i miłośników świętego spokoju. Lessing Husowi dał charakter głowy Chrystusowy. Oprócz tego obrazu godzien wspomnienia — Ezzelino w więzieniu, Veitha wielki fresk — Chrześcijaństwo wprowadzające sztukę do Niemiec, Lessinga dwa piękne krajobrazy, jakby dwie poezye smętne, kilka kompozycyj Steinle i t. d. Ale co najdziwniejsza, piękny obrazek Fra Angelico, lub coś w jego rodzaju, przepyszny portret Giorgione, dwa szkice Veronesa, ma muzeum Stadelia. Słowem kilka godzin w nim spędzonych przyjemnie, wcale dla nas nie były stracone. Niéma prawie w Niemczech miasteczka bez muzeum, a żadne z nich do pogardzenia nie jest. Ta cześć dla sztuki, obok takiéj praktyczności i troskliwości o podstawy materyalne żywota, obudza dla narodu poszanowanie. Sztuka musi nieść z sobą wyższe i szlachetniejsze idee, nawet gdy one nie są dla wszystkich zrozumiałe i dostępne, kształci więc i wpływ wywiera zbawienny, nie dziś, to jutro. Artyści niosą chorągiew wieku, bezwiednie czy z wiedzą czynu. Biada narodom, które ich nie mają, lub spadły na rzemieślników.

Stary kościół gotycki Panny Maryi, zrestaurowany w XVII wieku, nie wiele nas zajął. Na nim skończyliśmy nasze wycieczki, zaniedbawszy pamiątki cesarstwa, co nam jakoś na sumieniu nie ciężyło. Ciągłe to podróżowanie, oglądanie bez spoczynku od kilku trwające miesięcy, stan jakiś gorączkowy wyrodzony z pośpiechu, nawał obrazów i myśli, cielesne w końcu zmęczenie, odejmowało ochotę i siły do studyowania troskliwego Niemiec. Serce ciągnęło do domu, bo naówczas był dom jeszcze. Radzi więc byliśmy, gdy wieczorem pochwyciliśmy pociąg odchodzący do Lipska, który miał na szóstą godzinę ranną zawieść do stolicy handlu saskiego drukarń, księgarstwa i ruchu umysłowego téj części Niemiec. Cała przestrzeń kraju przebyta, gdybyśmy jéj późniéj kilkakrotnie nie przejeżdżali w różnych dnia porach i roku, byłaby dla nas tajemnicą. Zmęczenie nie dozwalało ani pomyśléć o przypatrywaniu się okolicom, zwłaszcza po nocy, choć księżyc w pełni świecił rzęsisto. W mroku i przy oświeceniu tém najdziwaczniéj wydawało się wszystko, drzewa rosły na olbrzymie posągi, miasta wydawały się ogrodami, a lasy ścianami gmachów. Księżyc zbliżał jedne, oddalał drugie przedmioty, nie dawał rozeznać nic, a przesuwanie się tych mar i widziadeł pomieszanych nużyło i nie-

cierpliwiło. Kiedy niekiedy jakieś nazwisko dziko brzmiące wywoływał konduktor, potém następowała cisza... i pół sen, pół jawa. Na chwilę przerwali nam spokój gwałtownêm wtargnieniem samowolnêm, Rumuni... Było ich aż pięciu powracających z Paryża, upojonych światem, krzyczących tak, jak tylko młode narody hałasować umieją. Wpadli oni do wagonu, choć do téj klasy prawa nie mieli i gospodarowali, jakby byli w Jassach lub Bukareszcie. Musieliśmy to znieść cierpliwie, zasłabi się czując i za leniwi do wypowiedzenia im wojny. Inna téż okoliczność odwróciła uwagę naszę, pociąg, który się nazywał pośpiesznym czy kuryerskim, tak był niespodzianie długi i napakowany (może z powodu jarmarku lipskiego), iż mimo dwóch przyprzężonych machin, ledwie się poruszał. Zwalniał biegu, zatrzymywał się, lazł — stawał... wysiadaliśmy w polu... Niemcy się niecierpliwili, myśmy się śmieli—dzień się zrobił, i zamiast na godzinę szóstą, stanęliśmy naostatek w Lipsku, ale o dziewiątéj.

XLVII.

Saksonia.—Niemcy i Słowianie.—Lipsk w czasie jarmarku.—Niemcy dawne i nowe.—Uwagi.—Lipsk i Drezno.—Historya miasta.—Osada pierwsza.—Klasztory i kościoly.—Handel.—Uniwersytet.—Reforma.—Wojny.—Prusacy w Lipsku.—Wzrost miasta.—Rok 1813.—Bitwa pod Lipskiem.—Książę Józef Poniatowski.—Kilka słów o bitwie.—Odwrót Napoleona.—Klęski wojny i wzrost po nich.—Księgarstwo i druki.—Handel książkowy. — Drukarnie.—Handel i jarmarki.—Uniwersytet.—Towarzystwo naukowe.—Sztuka.—Muzeum, celniejsze obrazy.—Miasto.—Pomniki.—Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego.—Charakterystyka i rysy obyczajowe.

Stanęliśmy więc na ziemi saskiéj—niegdyś słowiańskiéj—dziś przeistoczonéj na ognisko pracy i myśli giermańskiéj, która—bądź co bądź—dotąd innego środka oddziaływania na ludzkość nie znalazła, nad wytępianie tego, czego pochłonąć nie może. Nie mówimy tego ani z gniewem, ani z namiętnością—zapisujemy fakt, który na kartach dziejów Słowian, niezmazaném ofiar następstwem wieki dowodzą. Nigdzie żywioł niemiecki w zgodzie z innemi plemionami i współce życia nie wytrwał—oprócz Szwajcaryi, gdzie jest najsłabszym; wszędzie indziéj potrzebował pozbyć się współzawodnictwa i być sam. Z celem tym bynajmniéj się nie taił, owszem, jasno go stawił przed sobą. Pracowano kilka wieków na to, by w Rugii mogiły tylko słowiańskie pozostały... ze Słowian niegdyś zamieszkujących nad-łabieńskie okolice, parękroćstotysięcy ledwie ocalało. Są to nieszczęśliwe niedobitki wielkiego plemienia, już na pół cywilizacyą niemiecką przesiąkłe... choć jeszcze narodowości swéj w pewnych formach wierne. Lecz nie pora mówić o tém. Saksonia zajmuje nas i z innych względów, bo i myśmy z nią związani niegdyś byli dynastycznemi węzłami. Szczególna rzecz, po tym związku pozostało nam gorzkie wspomnie krzywd wyrządzonych, a Sasi przypisują mu swe straty—prawie upadek i ruinę... Z sympatyj, jeśli kiedy istniały—gorycz tylko na dnie kielicha... Z wielu względów chcemy obszerniéj

nieco pomówić o Lipsku i Droznie. Pierwsze z tych miast, wielą stosunkami dziś jeszcze dla nas nieobojętne, bardzo mało jest znaném—drugie znane jest więcéj daleko, ale w fałszywém może widzimy je świetle. Dłuższy pobyt tutaj pozwala nam głębiéj nieco sięgnąć, odmalować z natury—to cośmy spisali z opowieści i słuchów.

W roku 1858, gdyśmy po raz pierwszy Lipsk widzieli w czasie jarmarku ś-to-Michalskiego, uderzyły nas tylko niektóre jego cechy ujemne. Stan téż Niemiec był wcale inny. Saksonia grała rolę odmienną, sprawy giermańskie niejasno nawet dla krajowców samych zarysowywały się na tle europejskiéj polityki.. W ciągu tych kilkunastu lat, spełniły się fakta niezmiernéj wagi i doniosłości, które i przeszłość nam rozjaśniają. Pierwsza idea Niemiec zjednoczonych urosła może odbiciem napoleońskiéj idei wszechwładztwa europejskiego. To pewna, że potrzeba obrony przeciwko niemu obudziła patryotyzm, skupiła panujących i dała pierwszy raz uczuć potrzebę związku ku wspólnemu ocaleniu. Niemcy dążyć do samoistności zaczynają od wojen cesarstwa i wyzwalają się stopniowo od wpływów obcych. Długo wszakże podzielony na udzielne państwa, kraj jednéj narodowości marzyć nawet nie śmie o inném połączeniu, nad sojusze i traktaty. Dopiero w najbliższych nas latach, idea połączenia przedzierzga się w zupełne zjednoczenie, dziś dokonane, lub na drodze dokonania będące. Siły wszakże, z pomocą których spełniło się to pragnienie powszechne, wyrobił przeszły stan Niemiec, któremu zasług jego odejmować nie należy. Wykształcenie swe, oświatę, dobrobyt—wszystko, czém są, winny Niemcy rozdzieleniu poprzedniemu, *decentralizacyi* życia, jakie ona rozbudzała w pojedyńczych krajach i równoważeniu się różnych objawów jego, występujących przeważniéj w rozmaitych częściach wielkiéj całości. Forma bytu Niemiec dawnych *politycznie* je osłabiała, *duchowo* krzepiła. Jéj winny mnogość szkół, uniwersytetów, stolic będących źródłami cywilizacyi—wielostronność swego rozwinięcia, potęgę, w jaką urosły.

Być może, iż ta przeszłość, spełniwszy swe posłannictwo, dziś już zamkniętą być musiała—lecz jéj zasług zaprzeczyć niepodobna. Czy przeistaczając się na państwo, którego wszelkie siły będą się skupiać w jednym środku wspólnym—zdolne będą Niemcy iść daléj drogą postępu... lub ulegną ogólnemu prawu zastania—wypoczynku i powolnego odwrotu—dziś jeszcze wyrokować niepodobna. Częstokroć to, co się wydaje celem, bywa wistocie zaporą do dalszego pochodu. Takby i tu być mogło, gdyby długie urabianie się życia prowincyonalnego nie zapewniało mu téż trwania dłuższego, niż nawet formy nowe, na jakie przeistaczać się musi.

Jednóm z tych ognisk życia Niemiec było Drezno i Lipsk. Dwa te miasta nawzajem się dopełniają i niemal jednę stanowią całość—z dwojga dziś, nad istotną stolicę urzędową, Drezno, faktycznie stolicą życia Saksonii bardziéj Lipsk ze swym przemysłem, handlem, uniwersytetem, artystycznemi instytucyami i ludnością dorobkowiczów. Drezno jest królewską rezydencyą przedewszystkiém i tém, co w Niemczech zwano miastem rezydencyi. Tu mieszka przeszłość, skarbce, tradycye, pamiątki, chorzy cudzoziemcy, tuląca się pod opiekę dworu ocalała szlachta;—tam przyszłość, kupcy, profesorowie, przemysł, sztuka... Drezno jest czysto saskie, Lipsk jest już niemiecki, Drezno rojalistowskie, Lipsk niemal republikański. W chwilach stanowczych w r. 1866 ciążył on ku Prusom, gdy Drezno pałało ku nim najżywszą niechęcią.

Samo nazwanie Lipska dowodzi, że stoi na ziemi słowiańskiéj, która dosyć późno, bo w początkach X wieku dopiéro zdobytą została na Serbach łużyckich... i u zbiegu dwóch rzeczułek pierwszy wzniósł się zamek króla Henryka I. Od r. 928 osiadać zaczynają Niemcy, trzebiąc sobie w téj słowiańszczyźnie mieczem grunt na sadyby. Z Niemcami wchodzi téż chrześcijaństwo, buduje się pierwszy kościołek św. Jakóba, osiedlają się zakonnicy... Nawracanie Słowian idzie opornie; chrześcijaństwo bowiem, wprzód nim się dają czuć jego błogosławieństwa, przynosi z sobą niewolę obcą i zmianę zupełną stosunków. Merseburscy biskupi dokonywają przecież tego apostolstwa krwawego; podbity kraj, Marchia nowa, podzielona na okręgi, osiedla się gęsto Niemcami. Przeważnie niemieckie są miasta, do których żywiołowi słowiańskiemu nawet przystęp jest wzbronionym. Szczęśliwy instynkt panujących nadaje Lipskowi przywileje targowicy i sklepu kupców z obcych krajów; handel krzewi się tu wprzódy niż rzemiosła. Obronna osada, obwarowana dość mocno jak na owe czasy, pociąga kupców większém niż w innych grodach bezpieczeństwem własności. W XIII wieku znajdujemy tu już kilka klasztorów i kościołów, pewne swobody municypalne, prawo bicia monety. W XIV wieku, jak mówią miejscowi chroniści, Lipsk już jest głównym składem polskich szczególniéj towarów; miasto uzyskuje przywiléj nabywania lennych dóbr. Widać ciągłą troskliwość o podniesienie go i nadanie mu swobód, któreby osadników nęciły. W początkach XV wieku zajścia z powodu nauki Husa w praskim uniwersytecie posługują Lipskowi, do którego chronią się ortodoksi z ostatnim rektorem Boldenhagenem i kilku profesorami. W ten sposób powstaje tu szkoła wyższa. W drugiéj połowie XV wieku, roku 1480 zjawia się pierwszy druk lipski. Cechą jednak tego miasta, które miało się stać ogniskiem protestantyzmu, jest w téj

epoce jeszcze najzaciętszy fanatyzm w szkole i życiu. Sławny w historyi Reformy Jan Tetzel, dominikan lipski, spowodował sprzedażą odpustów pierwsze wystąpienie Marcina Lutra. Dysputa między Eckiem a Lutrem, Melanchtonem i Karlstadtem, odbyła się w sali książęcéj na Pleissenburgu. Powaga uniwersytetu lipskiego miała rozstrzygać, ale Luter się jéj poddać nie chciał Odpadających od kościoła zrazu srodze prześladowano i pierwszych męczenników nowego wyznania Lipsk dostarczył, ale niedługo trwała gorliwość ta księcia Jerzego, po którym następujący Henryk protestantyzm wprowadził i klasztory poznosił. W połowie XVI wieku owładnął on już uniwersytetem i nadał nowy charakter, nowe życie miastu. Swoboda religijna była jedną z przyczyn najdzielniéj podźwignięciu się sprzyjających. Miasto rosło i porządkowało się, jarmarki jego sprowadzały coraz liczniejszych kupców z oddalonych krajów. W XVII wieku pod względem wydawnictwa i księgarstwa, Lipsk, rywalizujący dotąd z Frankfurtem, stanowczo bierze górę. Hamują ten postęp i rozwijanie się klęski wojenne, w których miasto handlowe cierpi, nietylko zmuszone opłacać się i obraniać, ale pozbawione swobodnego z innemi krajami stosunku. Skutków tych wojen szczegółowo wymieniać nie potrzebujemy. Zajęty przez Szwedów w r. 1706, Lipsk wielkiemi okupuje się ofiarami. Pomimo nich, miasto się upięknia i podnosi, liczne budowle, gmachy publiczne i pomniki nawet je zdobią. Stosunki z Polską sprowadziły klęski wprawdzie, ale się sowicie wynagradzają handlem z tym krajem. Sasi Augusta III-go (u nich zwanego drugim), jakby dla kontrastu z ojcem nazwanym Augustem Mocnym, zowią Augustem Słabym. Za niego w r. 1745, Lipsk poddaje się Prusakom i opłaca zajęcie przez nich, oprócz innych szkód, kontrybucyą wynoszącą półtrzecia miliona talarów. Większe jeszcze nierównie ciężary spadają nań w czasie wojny siedmioletniéj, która go niszczy opłatami, kwaterunkami, lazaretami i niezliczonemi ciężary. Wojna ta wszakże przekonywa dowodnie, iż Lipsk jako twierdza uważanym być nie może. Zrzeczeniu się temu winien Lipsk rozszerzenie się swobodniejsze, założenie przechadzek, zarysowanie ulic nowych, po za obrębem dawniéj ścieśnionego grodu. Koniec XVIII wieku, początek XIX, aż do r. 1806 upływa spokojnie i miasto mimo przeszkód tamujących handel, oddziaływających nań, wznosi się znowu. Burmistrz Müller upięknia je, zakłada szkoły, dźwiga kościół św. Mikołaja, powołuje nauczycieli i t. p. Ludność wzrasta téż znacznie. W roku 1806 na sam jarmark św. Michalski, wśród okrutnego popłochu, nadchodzą Francuzi i wciąga zwycięska armia Davousta... na miasto nałożona kontrybucya, a co gorzéj, skonfiskowano angielskie

towary, których wykupienie siedm milionów franków kosztowało. W następnych latach, mimo ścisłego związku Saksonii z Francyą, stan Europy i nieustanne wojny odbijały się na Lipsku. Pod stopami przebiegających ją wojsk drżała cała Europa. Tak było do r. 1812, gdy d. 9 grudnia Napoleon, wracający z Moskwy, w Lipsku się zjawił. W r. 1813 (kwiecień) weszli tu Rosyanie i obchodzili święta wielkanocne. Mnóstwo z téj epoki rysunków pozostało jako pamiątka ówczesnych strojów wojskowych, zwłaszcza różnych pułków kozackich. Rok 1813 nowe sprowadził walki, Lauriston zajął Lipsk, którego lazarety porzucone tu, liczyły 20,000 chorych i rannych. Dnia 7 października, Napoleon przybył z Drezna do Lipska, przepełnionego wojskiem i choremi. Dokoła wioski zajmowali związkowi, odcinając mu dowóz żywności. Dnia 14 października w rocznicę bitwy pod Jeną, wyjechał cesarz z Lipska drogą ku Grimma—aby sam dowodzić w nieuchronném starciu. Cały dzień trwała krwawa bitwa. Napoleon, przyjąwszy przybywających króla i królowę Saską, sam nocował przy wojskach w Reudnitz. Noc ta stała się w tradycyach tutejszych pamiętną, zerwała się okropna burza z wichrem, deszcz lał jak z wiadra, żołnierze zmarzli nakładali ogień po domach i szopach, które od nieostrożności płonęły... Powycinano ogrody owocowe, porozbierano pozostałe budynki, aby mieć czém ogień podsycić. Lud, z okolicy wygnany przez żołnierzy i pożar, chronił się tłumami do miasta. Tysiące niewolników zapartych bez jadła i dachu na cmentarzu... zazdrościło tym, na których grobach leżeli. Następujący ranek nową bitwę gotował, do któréj sprzymierzeni téż siły całe ściągnęli. O godzinie 9 rano d. 16 października, rozpoczęła się walka rozpaczliwa. Tysiąc dział grzmiało przez pięć godzin nad krwawém pobojowiskiem. Sprzymierzeni naciskali, łamiąc linię wojsk Napoleona, który dostrzegł już w chwili najgroźniejszéj słabsze punkta w ich szeregach. Pomiędzy Markkleeberg a Wachau, rzucił się na jeden z nich książę Józef Poniatowski, dla odcięcia pruskiego korpusu gienerała Kleista od centrum, prąc go ku moczarom na Göselbach. Tymczasem Murat, Augereau, Mortier, Drouet, naciskali centrum sprzymierzonych w Wachau; Lauriston, Macdonald i Sebastiani prawe skrzydło sprzymierzonych mieli od Holzhausen na Seiffershain. Książę Schwarzenberg, który z wieży kościołka w Gautich oglądał pole bitwy całe, dostrzegł tego niebezpiecznego manewru Napoleona, siadł na koń i pośpieszył do Magdeborn, aby rezerwowe siły poruszyć. Kleist mocno już był party.—Czterykroć książę Józef Poniatowski odepchnął go na Markkleeberg, ale za piątym razem Kleist uczuł się w niebezpieczeństwie. Rezerwa na dwunastu mostach przeszła Pleissę, śpiesząc na pomoc a nie mogąc

mężnego oddziału księcia Józefa pokonać; dopiéro silna baterya, ustawiona przez gienerała austryjackiego Bianchi, zmusiła do ustąpienia. Wieczorem sprzymierzeni wzięli wieś Dölitz, i na lewém swém skrzydle otrzymali przewagę. Tymczasem król neapolitański, między Liebertwolkwitz a Wachan przełamał szeregi, na czele 10,000 jazdy wpadł na Gossa, kawaleryą rozbił przeciwstojącą i zamierzał już zdobywać wzgórze, na którém z ks. Szwarcenbergiem stali sprzymierzeni monarchowie. O trzeciéj z południa natarł téż Macdonald na prawe skrzydło sprzymierzonych, zdobył tak zwane szańce szwedzkie i odepchnął nieprzyjaciela. Napoleon był już tak pewien zwycięstwa, iż o niém kazał oznajmić królowi saskiemu—gdy tymczasem szczęśliwe obroty wojsk niemieckich ku wieczorowi postać rzeczy zmieniły. Bitwa ta z wielu opisów jest znaną, szczegółów powtarzać nie potrzebujemy. Francuzi mimo wysiłków nadzwyczajnych, nie potrafili się utrzymać nigdzie, oprócz wschodniéj strony Lipska, gdzie był sam cesarz. Następnego dnia musiały oba wojska, doznawszy strat ciężkich, spoczywać.—Niemcy oczekiwali jeszcze stu tysięcy mających im nadciągnąć posiłków. W Lipsku liczba rannych tak wzrosła, iż niepodobna ich było pomieścić, leżeli na ulicach pod gankami i ścianami i większa ich część nocy nie przeżyła. Dnia 17 października, na głównych punktach walka ustała. O jedenastéj rano, pierwszy korpus austryacki od Borna posunął się na linię między Markkleeberg a Dölitz. Późnym wieczorem wojska rosyjskie pod Benningsenem zbliżyły się i położyły obozem między Seiffershain, Fuchshain i Naunhof, Blücher tylko nie wiedząc, jaki był plan dalszy, napadł na Francuzów, a Wasilczykow jazdę ich wyparł na Gerberthor. Nadeszły rozkazy powstrzymania walki. Napoleon dowiedział się z przykrością o wzmocnieniu nieprzyjaciela, ze swéj strony żadnych już nie mogąc się posiłków spodziewać. Nie skorzystał jednak z dnia tego do odwrotu. Dnia 18 października, nocą około drugiéj, poruszyły się wojska francuskie—oświecały odwrót zamierzony płomienie dwóchset palących się wozów pod Probstheida, niszczono, czego uprowadzić nie było podobna. Cesarz sam objeżdżał szeregi, rozkazując cofnąć się w kierunku Weissenfels.

Ludzi zdolnych do boju miał Napoleon jeszcze półtorakroć sto tysięcy, których d. 18 rano skoncentrował. Książę Józef Poniatowski osadził wsie Connewitz, Losnig i Dölitz, a na froncie swym Dössen, w którém stanęły przednie straże; Augereau zajmował około Losnig, wyciągnąwszy ich linie ku owczarniom Mensdorfu, Victor był w Probstheida, Lauriston pod Stötteritz. Rezerwa, z dwóch dywizyj gwardyi składająca się, zajmowała pola między

Thonberg a Connewitz. Z nią łączyły się stara gwardya i liczna jazda daléj jeszcze rozciągnięte. Macdonald stał w centrum, Ney dowodził lewém skrzydłem, mając pod sobą Marmonta, Souham i Reynier. Od Pfaffendorf rozstawioną była jazda pod gienerałami Arrighi i Dąbrowskim, w Lindenau stał z dwoma dywizyami Oudinot. Sprzymierzeni mieli ludzi i dział dwa razy więcéj. Zamierzali oni cały francuski prostokąt wojsk odeprzéć na Lipsk i w sześciu oddziałach szli do ataku, poprzedzeni ogniem 1500 dział z obu stron przez czas jakiś grzmiących. Austryacy, pod dowództwem księcia Hessen-Homburg, który wkrótce był raniony i zdał komendę baronowi Bianchi, napadli na pozycyą księcia Józefa Poniatowskiego, zdobyli Dösen i parli tak gwałtownie, że Napoleon sam przysłał mu dywizyą gwardyi na pomoc. Odepchnięci przez nią Austryacy aż do Dösen, otrzymali téż posiłki, dwie dywizye nowe i części gwardyi rosyjskiéj. Tego dnia jednak nie odniesiono większych korzyści nad utrzymanie się przy Dösen. Poniatowski straciwszy niemal połowę swoich żołnierzy, trzymał się jeszcze wieczorem na stanowisku w Dölitz, Lösnig i Connewitz. Oddział księcia Józefa i on sam okrył się tego dnia sławą, któréj mu nieprzyjaciele nawet uznania odmówić nie mogli. Przeciwko centrum atakiem dowodził sam książę Schwarzenberg, monarchowie na pagórku, który odtąd otrzymał nazwanie „*Monarchen-hügel*” przypatrywali się bitwie. Kluczem pozycyi była na prędce ufortyfikowana wieś Probstheida, w któréj broniły się gwardye konne i piesze. Na ten punkt nacierali Prusacy pod Kleistem i Rosyanie. Przyszło do szturmu około godziny drugiéj. Opór rozpaczliwy był i straszny, a sprzymierzeni po zdobyciu krwawém wioski przez króla neapolitańskiego, kartaczownym ogniem wyparci zostali.

Francuzi posunąć się za niemi nie mogli, powstrzymani przez ks. Wirtemberskiego, który raz jeszcze natarł na Probstheida. Monarchowie, ze wzgórza przypatrujący się ruchowi sił swych, nakazali im się stąd cofnąć. Benningsen atakował Macdonald'a, a Ziethen wziął Zuckelhausen; na tém musiano poprzestać, widząc, że atak na centrum się nie powiódł. Austryacy pod gienerałem Klenau szli na Holzhausen, gdzie przeważną siłę i bateryе francuskie spotkawszy, mocno ucierpieli. Z pomocą dwóch dywizyj rosyjskich, po ciężkim boju, wzięto wzgórza i Sebastianiego odparto na Probstheida. Noc przerwała bitwę. Tymczasem jazda sprzymierzonych zdobyła Baalsdorf i Zweinaundorf, zwracając się na Stüntz i Mölkau. Jenerał Bubna poszedł ku Lipskowi. Ney, zagrożony, bronił się rozpaczliwie, nie dając Prusakom Paunsdorfu. Oddział jazdy wystąpił przeciw niemu. Na wezwanie o pomoc,

sesarz pośpieszył do Volkmarsdorf i rozkazał atakować wieś gienerałowi Mansouti. Przejście brygady kawaleryi wirtemberskiéj, pod gienerałem Normannem, i ośmiu batalionów wojsk saskich, którzy działa swoje natychmiast przeciw Francuzom obrócili, sparaliżowało rozporządzenia Napoleona. Innemi siły musiał posiłkować Neya, który wypadłszy z Mölkau, rzucił się na tył oddziału pruskiego pod Bülowem. Ale tu spotkali go Austryacy, gdyż gienerał Bubna szybki uczynił obrót; pruskie rezerwy wystąpiły także, poparte bateryą angielską rakietników, która popłoch rzuciła. Jazda wykonała atak, Bülow opanował Sellerhausen i Stünz na tyłach Neyowi, Paskiewicz zajął Zweinaundorf i Ney cofnąć się musiał. Równie szczęśliwie powiodło się na północnéj stronie Blücherowi, przeciw Marmontowi, Sackenowi i hr. Gyulai, przeciw cofającéj się armii francuskiéj. Noc, i z obu stron wyczerpanie zakończyły bitwę, w któréj wojska francuskie i wódz ich dowiedli męstwa i talentu, ale przeciw znacznie liczniejszym i świeżym zastępom utrzymać się było niepodobieństwem. Napoleon stał długo osłupiały wypadkiem nieszczęśliwéj bitwy, nieprzytomny prawie, o ósméj wieczorem siadł na konia i wrócił do Lipska, na noc do... hotelu pruskiego.

Dla Lipska noc ta znowu była pełną grozy. Od północy bitwa już się była posunęła pod samo miasto, kule padały na Gerberthor, kilka domów od nich spłonęło. Ze trzech stron wchodzący Francuzi parli się do miasta, starając się dostać na jedyną jeszcze wolną drogę ku Lindenau. Ranni padali i konali na drodze tratowani; ażeby ścisk w bramie Ranstadzkiéj zmniejszyć, rzucono mosty przez Elsterę w ogrodzie Richtera, ale pontony te nie mogły dźwignąć zbyt wielkiego ciężaru, łamały się, tonęły i mnóstwo ludzi w przeprawie zginęło.

Dnia 19 października, o szarym brzasku dnia, już działa odezwały się znowu; bitwa na tyłach wojsk cofających się, mająca odwrót zabezpieczyć, już się rozpoczynała i posuwała od przedmieścia Grimma ku miastu. Gdy kule już padały w ulice, cesarz siadł na koń o godzinie 9-éj, pojechał do mieszkania króla saskiego, pożegnał znękanego; stojące na rynku wojska saskie uwolnił od ich zobowiązań względem Francyi i ujechał, unikając ulic, na których ścisk był największy. W porę, gdyż sprzymierzeni naciskali zewsząd, Francuz inżynier, któremu polecono było zapalić miny pod mostem na Elsterze przygotowane u bramy Ranstadzkiéj, uląkł się gęsto padających kul i głowę stracił. Zbyt pośpiesznie, o godzinie dziesiątéj wysadził most w powietrze i oddał Lipsk w ręce sprzymierzonych. Korpusy Lauristona, Macdonald'a i księcia Józefa Poniatowskiego, razem 25,000 ludzi, zostały odcięte:

Rosyanie i Prusacy wściekle nacierali na nie. Zbite w kupy, nie mogąc się bronić, zmuszone były rzucić się w Elsterę i ginąć. Straszliwa rzeź skończyła się poddaniem marszałków Lauristona, Reynier i innych gienerałów trzynastu, ze dwudziestu tysiącami ludzi. Macdonald i Poniatowski już ranny, skoczyli w Elsterę, pierwszy z nich się uratował tylko, książę Józef raniony raz jeszcze, tracąc krew, utonął w tém miejscu, gdzie późniéj stał wzniesiony mu pomnik, dziś na inném miejscu ustawiony. Francuzów uszło około 90,000. Zabitych i rannych zostało na placu 50,000, w niewolę wziętych 26,000, trzysta dział, 900 wozów z amunicyą. Zabici gienerałowie Dumoustier, Vial, Rochambeau, Delmas, ranni Ney i Marmont. Sprzymierzeni stracili z górą 45,000, dwudziestu kilku gienerałów, blizko dwóch tysięcy oficerów i drogo okupione odnieśli zwycięstwo. Na Lipsk padło około tysiąca kul, chorzy i ranni zalegali całe miasto, głód i niedostatek dokuczał, a okolica spustoszona nic dostarczyć nie mogła, naostatek tyfus wybuchnął wśród tych tłumów wycieńczonych i bez opatrzenia zostawionych. Długi, które pozaciągać musiał, przez lat piętnaście przynajmniéj ciążyć na nim miały. Pokój zawarty odebrał Saksonii trzy piąte jéj krajów, połowę ludności, z trudnością przyszło się nawet przy posiadaniu Lipska utrzymać. Handel jego, granice i cła ścieśniły i sparaliżowały. Pomimo to wszystko, miasto w następnych latach, aż do czasów naszych nieprzestannie rosło i upiękniało się, a dziś jest jedném z najzamożniejszych i najwspanialéj urządzonych w téj części Niemiec. Handel i rozwinięcie się przemysłu księgarskiego zrodziły te szczęśliwe następstwa.

O nich więc jeszcze słowo powiedziéć musimy. Lipsk jest niezaprzeczenie najważniejszém ogniskiem drukarstwa i wydawnictwa w Niemczech całych. Nabrało ono wagi od czasów reformy. W początkach XVI wieku, Richard Crocus wydawca otrzymał pierwszy przywiléj od miasta broniący go od przedruków samowolnych. W 1514 Walenty Schuman wprowadził pierwsze w Niemczech charaktery greckie. W 1553 Antoni Margarita, Izraelita, począł drukować po hebrajsku. Tamowały jednak rozwijanie się swobodniejsze wydawnictwa i handlu ostre przepisy cenzuralne, które w r. 1592 jeszcze dzieł Kalwina nie dopuszczały. We Frankfurcie nad Menem, gdzie dotąd jednoczył się handel książkowy, cenzura była jeszcze ostrzejszą. Korzystając z tego, lipscy drukarze wydali pierwszy katalog jarmarku w roku 1600 i znaczniejsi wydawcy tu się przenosić zaczęli. W r. 1667 księgarze uciekli się pod opiekę uniwersytetu i pod jego władzą pozostali do r. 1721. Handel książkowy wzmógł się znacznie, sprzedaż bibliotek

i antykwaryat zawczasu obrały sobie Lipsk za stolicę. W roku 1670, pierwsza biblioteka publicznie była licytowaną. Od roku 1582 wychodziły pisma literacko naukowe, a w czasie trzydziestoletniéj wojny ukazały się polityczne. Dziennikarski ruch wyprzedził inne miasta. W końcu XVIII wieku, czytelnia ze 70,000 ksiąg złożona powstała. Drukarstwo szło w tropy handlu, co chwila nowe rodziły się się oficyny. W r. 1825 księgarze połączyli się w tak zwany Börsenverein, do którego dziś wszystkie firmy Niemiec i znaczniejsze zagraniczne należą. W r. 1831 było jeszcze w Lipsku 79 księgarni tylko, dziś liczą ich do trzechset, między któremi Brockhaus, Teubner, Wigandowie, Engelmann, Payne, Tauchnitz, Weber, zajmują najpierwsze miejsca. Drukarni jest około pięćdziesięciu, a przemysł związany z niemi, stosunkowo téż wzrasta. Samych introligatorów zajmuje wydawnictwo stu; antykwarskich handlów jest kilkanaście. Powszechnie znaną jest rzeczą, w jaki sposób handel książkowy ułatwia się przez komisantów i corocznie na jarmarku wielkanocnym obrachowuje i rozpłaca.

Z pomiędzy wydawnictw lipskich, niektóre odznaczają się znakomitém wykonaniem techniczném; sztuka drukarska jest tu posuniętą wysoko i na środkach do pięknych druków nie zbywa. Jednakże sprawiedliwość wyznać każe, iż pod względem smaku, druki lipskie stoją daleko po za angielskiemi i paryskiemi. Artystyczna ich wartość niezaprzeczenie jest niższą, a po większéj, części, bogactwo ozdób, przeładowanie niemi, pstrocizna, zastępują niedostatek poczucia piękna. Niektóre firmy starają się o elegancyą i pracują nad typograficznemi formami swych wydań, niewielu z nich udaje się dosiądz celu, gdyż wszystkie prawie zasadzają go na kwiecistości, kolorach, ornamentach, a nie szukają w szlachetnéj prostocie, będącéj największą druków ozdobą. Brak artystycznego wykształcenia w tych, którzy drukarniami kierują, niewolnicze przywiązanie do pewnych przyjętych formułek, stoją prawdziwemu postępowi na przeszkodzie. Wielkie tylko firmy mogą téż, nie oglądając się na koszta, przedsiębrać wydania prawdziwie staranne i łożyć na nowe pisma, nie będące w ciągłém użyciu; dla ogółu schludna powierzchowność starczy, a wydanie jaknajtańsze jest główną kwestyą, któréj inne względy ulegać muszą.

Handel Lipska bynajmniéj jego położeniem pierwotnie ułatwionym nie był. Osada powstała wśród lasów i nizin, nie mając żadnéj znaczniejszéj rzeki spławnéj i żadnych gościńców do niéj wiodących w czasie, gdy inne niemieckie targowice już kwitły. Szczególne okoliczności sprzyjały przeniesieniu się tu handlu i skupieniu, uformowaniu składów znacznych towarów, mianowicie wy-

robów jedwabnych, futer i t. p. Rękodzieła dziś najwięcéj robotników zajmujące są: wyrobów tytuniu, cerat, narzędzi muzycznych, farb, chemicznych wytworów, olejów, świec, mydeł, papierów, dywanów, obić, pism drukarskich i t. d. Jarmarki tutejsze są jeszcze dziś, gdy wogóle tego rodzaju zjazdy w nowych stosunkach ekonomicznych na ważności straciły, bardzo ożywione i ludne. Dwa razy do roku, jarmark na *Jubilate*, to jest wielkanocny, i św. Michalski zgromadza tu tłumy. Place i ulice są całe wówczas kramami i straganami zastawione, zarzucone towarami, rojące się mnogiemi przybyszami. Z wozami rozminąć się nie można, najmniejsze mieszkania przepłacać się muszą ogromnie. Drobny handel zaopatruje się tu zwykle w hurtownych składach.

Uniwersytet, który po skasowaniu dominikanów otrzymał ich gmachy, *Paulinum*, w r. 1542, znaczne oprócz tego poduchowne zyskał fundusze. Kurfirstowie nadali mu obszerne budowy, posiadłości ziemskie i dochody. Jestto najbogatszy z uniwersytetów niemieckich, posiadający przeszło trzy miliony talarów majątku. Miasto rocznie dopłaca mu jeszcze 45,000 talarów, gdyż dochód nie wystarcza na wszystko. Organizacya uniwersytetu, w r. 1830 zreformowana, w latach 1847 i 1851 ulepszona, nadaje mu autonomią, profesorowie zwyczajni i nadzwyczajni wybierają corocznie rektora i deputowanych na sejm krajowy; komplet profesorów zwyczajnych rozdaje beneficya i stanowi urzędników; senat składający się z rektora, eksrektora, czterech dziekanów, czterech członków wybranych przez wydziały i sześciu przez rząd mianowanych, załatwia wszelkie inne sprawy uniwersytetu. Oprócz tego wybierany jest zarząd, sąd i kwestura, która pobiera honorarya. Do uniwersytetu należą: seminaryum teologiczne, filologiczne, biblioteka w Paulinum z przeszło dwuchkroć stu tysięcy ksiąg składająca się, gabinet monet i medalów (50,000), botaniczny ogród, anatomiczny instytut, archeologiczne muzeum, laboratorya, kliniki, obserwatoryum i t. d. Łączy się z nim instytut głuchoniemych i konwikt dla 252 uczniów, mniéj zamożnych, jakiego inne uniwersytety nie mają. W r. 1846 założono król. towarzystwo umiejętności, na dwa działy rozpadające się, filologiczno historyczny i matematyczno fizyczny. Oprócz niego istnieje od r. 1768 Towarzystwo Jabłonowskich imienia, utworzone przez księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, zmarłego tu w r. 1777. Ogłasza ono corocznie konkursa w przedmiotach nauk matematycznych, przyrodniczych, historycznych, kameralnych. W dwu ostatnich obowiązane jest uwzględniać szczególniéj historyą i przedmioty z Polską w związku będące. Premiowane rozprawy (w rocznicę urodzin założyciela) drukują się kosztem towarzystwa. Dziwną zaprawdę jest rzeczą, dlaczego książę

Jabłonowski wolał przywiązać zakład ten do uniwersytetu lipskiego i pozostawić w Saksonii, niż go połączyć z uniwersytetem krakowskim, albo ustanowić w Warszawie. Ze zbioru rozpraw towarzystwa odnoszących się do rzeczy polskich, ledwie się co da wyszukać mającego ważność podrzędną. Towarzystw oprócz tego, jak się domyślić łatwo, ilość znaczna wiąże się z uniwersytetem: przyrodnicze, niemieckie (Die deutsche Gesellschaft), niemiecko-wschodnie, astronomiczne, mikroskopijne, medyczne, lekarskie, farmaceutów i t. d. Wyliczyć wszystkich niepodobna.

Chociaż ludność Lipska składa się przeważnie z kupców i przemysłowców, a zajęta jest głównie robotą około pieniędzy, nie można powiedzieć, ażeby dla sztuki i piękna, literatury, teatru, muzyki, malarstwa, była obojętną. Owszem, sztuka wogóle ma tu gorących zwolenników. Słynne są na całe Niemcy koncerta w Gewandhauzie, mało tak pięknych i starannie a kosztownie jak tutaj urządzonych teatrów, wreszcie muzeum miejskie godne jest téż wspomnienia. Głównie winno ono powstanie swe i zbogacenie ofierze testamentowéj Henr. Schlettera. Mieści się w pięknym, umyślnie na to zbudowanym gmachu. Perłą zbioru jest Delaroch'a Napoleon przed podpisaniem abdykacyi w Fontainebleau. Malarz wystawił go w chwili pogrążenia, osłupienia, przybicia i niewysłowionéj boleści wewnętrznéj, która się wyraża w całéj téj postaci zdającéj się abdykować wistocie nie koronę i władzę, ale życie. Twarz pełna najszczęśliwiéj pochwyconego bólu i tragiczności. Możnaby zarzucić artyście drobnostkę, na którą tłum największą zwracał uwagę, a która w takim obrazie trąci trywialnością. Są to zabłocone buty cesarza, okryte przyschłym kałem... Realizm tych butów odrywa uwagę, zmniejsza prawie wrażenie, jakie czyni głowa. Oprócz tego, są tu obrazy Vernet'a, Verbockhovena, Gudin'a i Calame'a. Ostatnie należą do najpiękniejszych utworów niezrównanego pejzażysty. Muzeum to pomnaża się nowemi ofiarami corocznie zwłaszcza współczesnemi, bardzo szczęśliwie wybieranemi dziełami. Dla nas zajmujący jest jeden portret przez Liszewskiego (se ipsum fecit) i dwa rzadkie olejne obrazki Chodowieckiego, w rodzaju Watteau. Pomiędzy rzeźbami znajdują się Canowy, Thordwalsen'a i nowszych rzeźbiarzy niemieckich. Muzeum archeologiczne uniwersytetu, założone w r. 1834, poświęcone jest szczególniéj sztuce starożytnéj, składa się z odlewów gipsowych, daktylioteki (w odlewach) licznéj, i kopij malowań pompejańskich. Dyrektorem jest autor dzieła znanego o Pompei, dr. Overbeck. Dodać należy, iż istnieje także w Lipsku osobna Akademia Sztuk (na Pleissenburgu), podzielona na trzy oddziały: malarstwa, rysunku i budownictwa.

Miasto składa się właściwie z dwóch oddzielnych części, które się w jednę całość zrastają, ze starego miasta w pośrodku, obwiedzionego pięknemi cienistemi przechadzkami dokoła, a po za niemi zabudowującego się wspaniałemi gmachami nowego Lipska. Środkowy punkt stanowi ratusz, starożytna budowa i charakterystyczna. Na placu tym u wnijścia w ulicę Grimm'a, znajduje się tak zwany *Auerbachs hof*, zbudowany w r. 1530—1538. Jeszcze przed tą restauracyą były tu piwnice, do których wiąże się podanie o Fauście, jak wiadomo, niezapomniane przez Goethego. Uwieczniły je dwa stare obrazy Auerbacha *Keller*, dziś każdy przybywający tu podróżny, przez cześć dla Goethego, odwiedzić musi. Troskliwy gospodarz winiarni ubrał ją w illustracye Faustowskie, a w szafeczce nawet umieszczone są stare wydania legendy. W Rynku także znajduje się tak zwany Dom królewski, w którym czasowo przebywali Fryderyk Wielki w r. 1760, król westfalski, cesarz Napoleon, książę Repnin, Schwarzenberg i t. d. Dla Niemców wiele tu jeszcze budowli wspomnieniami różnemi wsławionych, lecz ze względu sztuki i budowy mało mających cechy starożytnéj i wartości artystycznéj. Z pomników zdobiących miasto, najwięcéj dla nas zajmującym jest księcia Józefa Poniatowskiego, wzniesiony przez dawnych towarzyszów broni. Z powodu zmian w urządzeniu miasta, pomnik ten został przed kilku laty rozebrany, przeniesiony i ustawiony na nowo, utrzymuje się starannie. Oprócz tego, ma Lipsk pomnik Thaer'a, Hahnemann'a, Gellerta i Hiller'a, Bach'a i Müllera. Bardzo ładne przechadzki opasujące miasto, dają cień miły i są z wielkim utrzymywane staraniem. Należy także do miasta przepyszny park rozległy, ze staremi dębami, nad który mało w Europie wspanialszych. Ozdobą jego największą są drzewa wieki pamiętające, którychby się tu spodziewać nie można. W każdéj porze roku ogród ten pełny i ożywiony, zowie się Rosenthal, Różaną doliną, a zwaćby się powinien Dębiną, bo olbrzymie dęby równają pięknością bukom wielkiego ogrodu w Dreznie.

Skreśliliśmy tu krótką historyą i obrazek Lipska w najogólniejszych rysach; trudniejszą do pochwycenia jest fizyognomia miasta, którego ludność składają dorobkowicze, zbogaceni spekulanci, ludzie pracy i rachuby. Jestto jedną z cech ludności tego rodzaju, iż wiele dba o zewnętrzny okaz, o popisanie się z dostatkiem. Należy do dobrego kupieckiego tonu, choćby przyszło oszczędzać bardzo w domu, w ulicy i na świecie występować paradnie. To nadaje pewien dobry ton człowiekowi i klasyfikuje go. Większe firmy muszą mieć ekwipaże, konie, wille, a reprezentujący je obowiązani są do pewnego zbytku, wchodzącego w konieczne wy-

datki. Początkujący kupiec, swoje biuro i sklep chociażby na kredyt, musi postawić na eleganckiéj stopie, żelazna szafa kasowa staje na widoku, choćby w niéj grosza nie było. Pewna w interesach łatwość, traktowanie ich szerokie na pozór, lekceważenie drobnostek, mogą złudzić niedoświadczonego, ludzie wytrawniejsi wiedzą, że co się wydało dla popisu, wciśnie się pewnie w rachunek z procentami.

Najuboższy komisant nie żałuje sobie na ubranie, na cygaro (nie dla smaku, ale dla tonu), a czasem na wydatki w miejscach publicznych, aby pokazać, że nie jest znowu bajbardzo. Miłość własna dorobkowiczów a jéj drażliwość, pycha tych, co się dobili fortuny, przewyższa wszystko, coby przypuszczać można. Nigdy może arystokracya rodu nie traktuje plebejuszów z taką wzgardą, jak ci ludzie pracy, proletaryat od nich zależący. Są zapewne chlubne i szlachetne wyjątki, lecz wogóle dziwić się nie potrzeba, iż lud w stowarzyszeniach swych tak często niechętne dla klas zamożnych przybiera stanowisko, w tych, co wczoraj wyszli z jego łona, jutro ma nieprzyjaciół miasto braci. Braterstwa pożądanego pomiędzy robotnikiem a kapitalistą i właścicielem zakładu znaléść trudno. Może się to wydać dziwném, ale jest prawdziwém. Zwyczajne to ludziom, co się o swéj sile, pracą i szczęściem dobili znacznych majątków, iż pychą i zarozumiałością grzeszą. W arystokracyi rodu, duma przybiera formy znośniejsze, ludzie bez wychowania, choć w salonie nauczą obchodzić się z towarzystwem, gburami są w interesach, i z temi, co od nich zawiśli. Ale ten szorstki świat kupiecki, bankierski, dla patrzącego z daleka wygląda jak kwiecista grzęda cywilizacyi, najwykwintniejsi ci panowie mają gusta wytworne i nagradzają sobie zbytkiem przebyte dni próby o chlebie i wodzie. Ich wille, ogrody, salony, biblioteki, konie, liberye, stoły, jeśli nie zawsze smakiem się odznaczają, bo tego za pieniądze nabyć niepodobna, rażą oczy przepychem i widoczną, jak najwidoczniejszą ceną, za którą zostały nabyte. Z dostatkiem rodzą się gusta pańskie, amatorstwo sztuk, literatury, natury i t. p. Ma to swą dobrą stronę, mimo śmieszności, bo posiłkuje mimowoli sztukę, literaturę, rzemiosła, choć pobudką jest próżna pycha. Ale dzieci, wychowane wśród tych drogich cacek, rzeczywistego do nich nabierają upodobania i często synowie dorobkowiczów wychodzą na artystów i literatów. W rodzinach kupieckich nie trudno o znakomite talenta muzykalne, o Heinych, Mendelsonów i Meyerbeerów.

W ulicach i na promenadach Lipska, co chwila się spotyka wspaniałe zaprzęgi, piękne konie wierzchowe, wykwintne toalety, wszystko to owoce pracy i spekulacyi. Na progu sklepiku stojący

wyfryzowany komisant, poczynający swój zawód, pogląda z pewną dumą na te okazy szczęścia i pociesza biedę swoję nadzieją, że i on kiedyś dojdzie do znakomitéj firmy, znakomitéj fortuny, znakomitych koni, wystrojonéj żony i hawańskiego cygara, bo *hoc erat in votis!*

W dzisiejszych czasach w salonach arystokratycznych, rozmowę najczęściéj się spotyka o kursach na giełdzie, zato u bankierów mówią z ochotą o malarstwie, muzyce i teatrze. Arystokracya chce odzyskać stracone siły, ci, co je mają, radziby świat przekonać, że sam grosz nie był dla nich celem, i że natura nie wydziedziczyła ich ze szlachetniejszych popędów i uczuć.

XLVIII.

Saksonia.—Drezno.—Słowiańskie kraje i ludy.—Przyczyny ich upadku.— Porównania.—Społeczność.—Podział majątków.—Podział na stany. — Szlachta i nieszlachta.—Ogłada.—Stosunki towarzyskie.—Kobiety.– Młodzież.—Małżeństwo. — Uczucie religijne. — Rodzina.—Charakter Saksończyków.—Kwestye społeczne.—Dobroczynność.—Obyczaje i t. d.

Mamy przed sobą notatki z podróży 1858 r., wzięliśmy do ręki kartki późniejsze o Dreźnie z 1865 roku; dziś, gdy o niém pisać mamy po ośmioletnim pobycie w Saksonii, ani pierwszych powtórzyć, ani drugich przepisywać nam niepodobna. Niewiele zmieniło się miasto, ale nasz pogląd na nie odmienił się bardzo. To co nas niegdyś raziło i uderzało, co się wydawało dziwném i niezrozumiałém, dziś znajdujemy naturalném, dawniéj widzieliśmy fenomena, nie mogąc przyczyn dobadać, teraz zajrzawszy w głąb', wykwitom téj cywilizacyi już się nie tak dziwimy. Nie przybyło nam sympatyi dla nich, ale się znalazła rezygnacya.

Człowiek jest wszędzie człowiekiem, wszakże cywilizacya, tradycye, ustrój społeczny nadają mu coraz nowe fizyognomie; różnic narodowości, rozmaitych usposobień plemiennych, obyczajów, odmian wielorakich zaprzeczyć niepodobna Pod tą zabarwioną różnie skorupką, Adamowe dziecię mniéj więcéj jedno, chociaż rodzeni czasem bracia wcale są do siebie niepodobni. Tak cała dziś połączona Germania wybitnie się różni charakterem swym od słowiańszczyzny, acz znaczną jéj część pochłonęła, i krew tę znać jeszcze w niektórych krajach zniemczałych. W najstarszéj o Słowianach bizantyjskiéj powieści, wiekuista mieści się prawda. Pierwotnie były to ludy, których życie śpiew stanowił, które nie znały wojen i w nich się nie kochały. Żyły pieśnią i marzeniem. Gdy Germanie szli na zdobycze i wprawiali się do handlu, Słowianin z gęślą sobie chodzi i ubogim płodem swéj roli, lasu i rzeki się zaspokajał.

Najwybitniejszym dowodem różnicy plemiennéj charakteru dwojga narodowości jest ten fakt stwierdzony i potwierdzający się codziennie od wieków, iż słowiańskie plemiona wyciśnięte, wydziedziczone, pochłonięte zostały w znacznéj części Europy, straciły sadyby swe i nigdzie przeciwko Germanom obronić się nie mogły. Fakt ten wskazują z zimną krwią historycy dzisiejsi, jako dowód wyższości siły, potęgi, energii. Zaprzeczyć mu niepodobna, należałoby wszakże szukać przyczyn téj słabości i niedoli.

Niemieckie narody walczyły i pracowały, myśmy marzyli, śpiewali, wierzyli i kochali. Jak w sztuce niemieckiéj realizm góruje nawet w upostaciowaniu ideału, tak w dziejach Niemiec jest wszędzie przeważne poczucie rzeczywistości, gdy u nas rzeczywistość się nawet przedzierzga w postać ułudną. Patrzyliśmy i patrzym na *fata morgana*, które się nam światem zdają. Święcąc się dla najszlachetniejszych idei, unosząc niemi, tracim grunt pod stopami i dajem się brać jak tokujące cietrzewie. Porównanie może być trywialném, ale jest tu właściwém. Historya nasza jest dziejami zacietrzewienia najszlachetniejszego a zgubnego. Germanie przyjmują wiarę chrześcijańską i krzewią ją nawet w Słowiańszczyźnie, ale z nauki Chrystusowéj biorą tylko to, co im wygodne i potrzebne, my z niéj ssiemy co najszlachetniejsze. Dla nas ewangielia jest prawem, tam narzędziem. Wierni kościołowi, nawet gdy ten chwilowo zbacza z drogi, zrzekamy się reformy, aby nie złamać wiary. Niemcy ją dopełniają śmiało i trudno temu zaprzeczyć, reformy nadwerężają może uczucie religijne, ale ratują społeczność chwilowo. W Polsce reforma ta, w pierwszéj chwili rozpłomieniona, leci aż do aryanizmu, ale przerażona wnet wraca w objęcia kościoła. Marzycielstwo słowiańskie ma i to do siebie, że żyje w ostatecznościach, że środka znaléść nie umié, że gdzie mu zabłyśnie prawda, tam choćby przepaściami iść gotowe. Realizm niewielki nawet z prawdą w ścisły wchodzi obrachunek. Nie idzie mu o dosięgnięcie żadnego kresu, ale o znalezienie praktycznéj miary. Téj nigdy u nas nie było. Uczucie panowało nad nami, w Niemczech rządził chłodny rozsądek. Serce miéć było wolno poetom, pospolitemu człowiekowi na wszystko służyć musiała rachuba. W różnicach tych usposobień leżą przyczyny losów dwojga narodów, niepowodzeń naszych, potęgi Niemiec.

Skłonni jesteśmy teraz, bardziéj niż kiedykolwiek, mówiąc o Niemczech, całe je brać za jednolite i jednobarwne. Łączą wistocie południowych i północnych pewne cechy, ale długo rozdzielone i odmiennie rządzone, różnym wpływom podległe kraje giermańskie, z różnemi też odcieniami się dziś przedstawiają. Saksonia między innemi, niemiecka charakterem ogólnym, zblizka

widziana, wygląda z właściwą sobie naturą, nawet teraz jeszcze od pruskiéj różną, do bawarskiéj niepodobną, od austryackiéj odmienną.

Sasi słyną w Niemczech nawet z uczuciowości, z dobroci, z pewnéj łagodności. Rodzi je może miłość ładu i spokoju, i pewna flegmatyczność, któraby rada wszelkiego niepotrzebnego starcia, zamącić mającego życie, uniknąć. Długie rządy patryarchalne, absolutne, nauczyły kraj wybornie posłuszeństwa, poszanowania praw i publicznego ładu. Na dnie téj społeczności ułożonéj w warstwy mało się stykające z sobą, są może, jak wszędzie, żywioły opozycyjne, rewolucyjne, demokratyczne, lecz sama społeczność obronnie przeciwko nim występuje i nieufnie na nie spogląda. Nie sięgają one po-za proletaryat wyrobniczy, a że ten stosunkowo nie jest zbyt liczny, nie zdają się groźnemi. Fortuna publiczna inaczéj tu się rozkłada niż w krajach, w których śmielszemi ruchy, żywszą krwią, zdobywają się kolosalne fortuny i rodzą nędze mnogie. Tu ani zbyt wielkich majętności, ani ostatecznéj nędzy, prawie niéma.

Mówimy wogóle, boć kilku bogatych i trochę niewidocznéj nędzy, którą gmina wspierać musi, nie łamią ogólnego prawa; posiadłości są niewielkie, majątki mierne po większéj części. Do zdobycia kawałka chleba pracą każdy ma otwartą drogę. Społeczeństwo dorabia się całe, używa mało. Życie wogóle, począwszy od dworu królewskiego, który przykład daje, bardzo skromne, ale ta na oko tak spokojna i obracająca się swobodnie społeczność przedstawia fenomen dość szczególny, rozkładu na warstwy, wcale z sobą nie połączone. Nie walczące wprawdzie, lecz nie jednoczące się też łatwo. W królewskiéj sali, na uroczyste przeznaczonéj przyjęcia, jest piękny fresk Bendemanna, wystawujący cztery stany państwa, które sobie ręce podają. Fresk ten zakreśla cel, ale dowodzi zarazem uznanego istnienia stanów oddzielnych. Wistocie też spotykamy je w życiu, odznaczone dobitnie. Stara zubożała szlachta otacza tron, służy wojskowo, zajmuje wyższe urzędy, stanowi świat osobny i tak dalece oddzielny, iż najwyższy dygnitarz mieszczański nie ma wstępu do najskromniejszego szlacheckiego salonu. Mieszczanie bardzo starannie oddzielają się od chłopów. Wieśniak, który się dorobił znacznego majątku, z chęcią-by może wydał córkę za mieszczanina, bo czuje się niby upośledzony chłopstwem swojém, lecz mieszczanin nie łatwo się z nią żeni. Ponieważ wychowanie najtroskliwsze przy majątku jest dla każdego dostępne, a cenę jego znają wszyscy, często syn chłopa wykształca się, uczy, staje człowiekiem oświeconym, ale zmuszony do pracy wiejskiéj, pozostaje bez właściwego towarzystwa, osamotniony,

z książką tylko i myślą własną. Takich paryów spotykać jeszcze można często, jeśli albo na profesorów, lub na urzędników wyjść nie mogli. Rozdział społeczeństwa ten sprawia, że warstwom niższym, choć często nie zbywa na nauce i oświacie, brak im ogłady i formy. Trafia się spotykać codzień ludzi, z któremi można rozprawiać o najzawilszych kwestyach estetycznych, o zagadnieniach polityki, o naukowych zadaniach, a którzy do pokoju wejść nie umieją i obracają się w salonie, jakby jeszcze byli w knajpie. Tego czego Francuzi nabyli pomieszaniem z woli czy musu wszystkich żywiołów społecznych, Niemcy nie mają. Znać w nich jeszcze potrosze zawsze *des paysans du Danube*. Smaku w sztuce i rękodziełach, ogłady w towarzystwie próżno szukać. Zastępuje ją pewna forma tutejsza, miejscowa, wyrobiona ku użytkowi powszechnemu, z którą wyśmienicie, oswoiwszy się, żyć można.

Wszystkie klasy społeczne schodzą się wprawdzie w tak zwanych miejscach publicznych, ale nie stykają. Właściwością życia jest rola, jaką tu odgrywa gospoda, piwiarnia, kawiarnia, ogródek, nazwijcie ją jak chcecie. W niedzielę, w chwile wolne od pracy, cała rodzina, kobiety z pończoszkami, z haftem, z siatką, wybierają się do jakiegoś lokalu, w którym najczęściéj grywa muzyka. Tu zajmuje się stolik i przy kuflu piwa (kobiety nim nie gardzą) lub przy kawie, do któréj ciastko w papierze się przynosi (aby było tańsze), przepędza się długie godziny. Czasem przysiądzie się znajomy lub znajoma, ze swoją kawą i piwem, przyjemna gawędka ciągnie się do wieczora. Dzieci grają na trawniku w piłki, niańki zdala stoją z wózkami. W ogródku takim ludzie wprawdzie patrzą na siebie zdala, zbliżają na chwilę, ale nie można powiedzieć, aby to było towarzystwo. Wszyscy razem będąc, są odosobnieni. W domu rzadko się przyjmuje i zaprasza, chyba w nadzwyczajnych wypadkach, wesela, chrzcin, zaręczyn, i t. p. Rzeczywiście więc społeczność mało się łączy, kobiety żyją bardzo odosobnione, ratując się książkami z czytelni, robotą i gospodarstwem. W sprawach ogólnych, w kwestyach naukowych zwołują się Tagi, zjazdy raz do roku, lub częściéj, występują na nich z mowami, czasem zawiązują się rozprawy i wielce parlamentarna dyskusya będąca dotknięciem raczéj niż rozbiorem rzeczy, do niczego nie prowadzi. Są więc pozory jakiegoś życia towarzyskiego, ale wistocie takiego jak u nas, jak w krajach słowiańskich, niéma tutaj. Dlatego może ludzie mniéj są ogładzeni, szorstcy i nawykli tylko do posłusznéj sobie *rodziny* lub do *publiczności*.

Stanowisko kobiety w Niemczech, wogóle, z bardzo małemi wyjątkami, jest podrzędne, nie odgrywa ona roli przeważnéj nawet w rodzinie. Bezimienny autor broszury wielce zjadliwéj prze-

ciwko obywatelstwu ks. Poznańskiego, dowodzi z tego powodu, że tylko narody zepsute, rozpustne, podlegają kobietom i dają im panować nad sobą. Wyrzuca on Słowianom, że u nich niewiasty rej wodzą, a chlubi się tém, że Niemka jest gospodynią tylko i kucharką. Zapomniał o tém, że stanowisko kobiety może być nie koniecznie wyżéj mężczyzny, ani niżéj od niego, ale z nim na równi, i że my właśnie instynktem rozwiązując dziś tak gorąco debatowaną kwestyę emancypacyi, daliśmy kobiecie miejsce siostry, nie sługi. W Niemczech kobieta jest jeszcze ową Rebeką, co chodzi do studni po wodę, gdy małżonek jéj wygodnie odpoczywa. Małżeństwa są powszechnie dosyć przykładne, ale w nich zbytniéj czułości nie szukać, są to spółki zawarte dla wspólnéj dogodności z oględnością na interes pieniężny, bez wielkiego szafunku serca. Młody mężczyzna żeni się zwykle po odbyciu kursów uniwersyteckich, skosztowawszy tyle świata i uciech jego, iż do domu wraca wielce praktyczną istotą, która uczuciom powodować się nie daje. Mówiliśmy to nieraz, iż zdaje się być rachubą wychowania tutejszego, aby młodzież kończąc nauki już się i od życia powszedniego nic do uczenia nie miała. Uniwersytet tworzy doktorów filozofii i dba o to, aby do domu wrócili dojrzali. Życie burszów jest hulaszcze, swobodne, pod względem obyczajowym trywialnie rozwiązłe na zimno. Piosnka studencka, życie po miasteczkach, ścierają z młodzieńca wszelką uczuciowość wyśmianą, niepraktyczną, niedorzeczną. W chwili gdy gdzieindziéj przychodzi pierwsza miłość, tu odbywa się burszowska inicyacya, wyśmiewająca niepotrzebną skromność wyniesioną z domu. Przez lat kilka studyów bursz ma czas zbadać życia tajemnice aż do niesmaku i mętów. Wraca do domu w tym stanie ducha, że najśliczniejsza sentymentalna kuzynka już na nim nie czyni większego wrażenia, nad ostatnią córkę gospodyni, którą pożegnał całusem w czoło. Mąż dojrzały, po tylu Lischen, Gretchen, Annach i Minach, wybiera sobie narzeczoną z rozwagą wielką, z jak najautentyczniejszym posagiem, i jeśli można, z ojcem, któryby mógł zaprotegować skutecznie. Zresztą wdzięki żony i jéj przymioty osobiste są dlań rzeczą podrzędną.

Żona szanuje głowę domu, lecz mimo to, w sprawach tyczących się posagu, przyszłość ma na względzie—niedostatek uczucia w życiu zastępuje Schiller, Goethe i—bodaj ironiczny Heine. Stadła w ten sposób sprzężone nie są wcale gorsze od naszych, które kojarzy uczucie. Życiem nawyka się do siebie, serce późniéj się rozbudza; gdy już nabrało nałogu, chłodno, powoli stąpając drogą losów wspólnych, idzie się do mogiły bez... bez wielkiego skandalu, a gdy jedno z dwojga umrze, pogrzeb się sprawia przy-

zwoity i w dnie uroczyste chodzi się z wieńcem lub doniczką kwiatów na mogiłę. Pamięć o zmarłych, poszanowanie jéj jest w obyczaju powszechnym. Na dzień św. Jana, w którym obchodzą się tu zaduszki, cmentarze odwiedzających pomieścić nie mogą, groby usłane są kwiatami. Wśród roku téż jeździ się często na mogiłki, wioząc gałąź wspomnienia zieloną.

Jak uczucie wiążące rodzinę, tak religijne téż wogóle wcale się na zewnątrz nie manifestuje i zdaje się nie dochodzić wysokiego stopnia gorąca. Religia w życiu nie jest prawie widoczną, w wychowaniu na programie się znajdzie, ale na dzieciach mało się dostrzega jéj wpływu. Przykład rodzicielski nie szczepi jéj. Po domach, oprócz biblij na półce i księgi pieśni, która się bierze czasem do kościoła, żadnéj zewnętrznéj oznaki, żadnéj koniecznéj praktyki nie znajdzie. O modlitwie nie słychać w domu, do kirchy chodzi się rzadko. Przygotowanie do konfirmacyi, to jest bierzmowania, rozbudza chwilowo dzieci, ale wrażenie jego ustaje prędko, potém już niéma musu ani iść się modlić, ani słuchać słowa bożego, ani z Bogiem duchem obcować. Jak przesada gorliwości rodzi fanatyzm i człowieka do życia czyni niezdolnym, tak tu zupełna obojętność w rzeczach wiary wystudza, oziębia, zezwierzęca człowieka. Niéma nigdy zręczności, pobudki, podnieść się myślą, sercem do nieba. Pietyści protestanci, powszechnie uważani za hipokrytów (Mukery), dobréj nie używają sławy. Moralność chrześcijańska nie jest zapartą, nie ma ona jednak pobudek wyższych, jest prawie utylitarną i zaleca się dla ogólnego interesu jednostki, rodziny i społeczeństwa. Brak uczucia religijnego suchém czyni i zimném życie. Polot myśli tępieje, obraca się ona około prozy dni powszednich; po za niemi, za teraźniejszością mroki i wątpliwość sama. Smutno na tym świecie, który ma jaśniejsze chwilki uniesień, niedługo trwałe. Pociechą dla kobiety ogołoconéj ze wszystkiego, coby jéj serce pożywić mogło, pozostaje kolebka dziecięcia tylko, miłość dzieciny. W niéj skupia się cała siła oszczędzona, niezużytkowana gdzieindziéj. Dziecię dopóki tu niém jest, otacza się największą troskliwością i pieszczotami. Starym może czegoś zabraknąć, dzieciom nigdy niepowinno. Gdyby od ust odjąć trzeba sobie, na wigilię Bożego Narodzenia dziecina mieć będzie swe drzewko ze świeczkami i zabawki. Ale rzadko która matka zadość sobie uczynić może, dzieckiem się zajmując, bo ma całe gospodarstwo na głowie i rękach. Na całe więc dnie dziecię wyjeżdża dla świeżego powietrza w towarzystwie niańki i po cienistych ogrodach Drezna widać całe obozy wózków, nianiek, różnego wieku dziatek bawiących się w piasku pod okiem nie zawsze najtroskliwszém panienek, które z sobą lub przyjaciołmi mundurowemi żywe prowadzą rozmowy.

W ogólności Saksonia jest krajem rozmiłowanym w spokoju i porządku. Wszelki głośniejszy objaw uczucia, namiętności, uniesienia ściąga tłumy i zowie się *skandalem.* W ulicach nikt nie krzyczy i nie śpiewa, oprócz rzadko zjawiających się pijaków, lub w chwilach uroczystych podnieconego patryotyzmem tłumu. Do tego jednak przychodzi tylko wyjątkowo i są to chwile historyczne. Uniesienia takie towarzyszyły sławnemu zjazdowi niemieckich śpiewaków w r. 1865, narodzinom następcy tronu, powrotowi króla z nieszczęśliwéj wojny 1866 r., pochodowi zwycięskiemu 1871 r. Ci co byli świadkami krwawych scen 1848 r., powiadają, iż spokojny ten lud umié rozgorzéć i nie zna miary, gdy namiętności puści cugle, faktem jest wszakże, iż dla rozpasania ich potrzeba było zawsze obcych poduszczeń i żywiołów. Byliśmy przed rokiem świadkami małego rozruchu ulicznego posługaczów publicznych, którzy się chcieli pozbyć złego zarządu, pochłaniającego znaczniejszą część ich zarobku. Trwał on kilka wieczorów i noc jednę, lud powytłukał okna i warczał znakomicie, ale do żadnych innych ekscesów nie przyszło. Policya z początku patrzyła z daleka, nareszcie wystąpiła energicznie razem i łagodnie, zaaresztowano głównych sprawców i wszystko ucichło. Jednakże przyczynę złego usunięto i organizacya stowarzyszenia posługaczów zmienioną została. Poszanowanie dla prawa, dla władzy, dla jéj reprezentantów jest wogóle przykładném, pilnuje każdy, aby się nie działo co niedozwolone, aby nikt nie naruszał porządku. W innych krajach we krwi będąca ochota do opozycyi, nawyknienie do niéj, chlubienie się nią, tu wcale nie istnieje. Przypisać to po części temu należy, iż administracya istotnie jest dobrą, że ludzie to czują i cenią, zmiany nie pragną i radziby, aby jak najdłużéj wszystko zostało po staremu. Nieszczęśliwe losy Saksonii od stu lat prawie coraz nowe wywołujące straty i upokorzenia, zwiększyły przywiązanie do kraju i do zacnéj dynastyi panującéj. W r. 1866 wnijście Prusaków do Saksonii oburzało niezmiernie, zniesiono je wszakże cierpliwie, a od tego czasu idea jedności Niemiec wielce antagonizm złagodziła. Już w chwili wybuchu wojny znaczne stronnictwo szczególniéj w Lipsku mające stolicę, gotowe było zrzec się niezależności dla idei Giermanii i hegiemonii Prus. Z razu opór przeciw wcieleniu był jeszcze silniejszy, zgasł jednak i zatarł się powoli, tak, że dziś za przejednaną zupełnie z Prusami Saksonię uważać można. Przykład dobry dał dwór sam i rodzina królewska, która podała szczerze dłoń do przejednania i starała się o nie. Szemrano może wśród ludu na ofiary dla Niemiec, których korzyści bezpośrednich nie czuła Saksonia, lecz patryotyzm saski stopił się wreszcie w niemieckim. Dziś dawne rany zabliźniły się zupełnie i śladu po nich niewiele. Mówią, iż w Saksonii demokraci socyaliści dosyć znaczne

liczbą składają stronnictwo, nie znać wszakże i nie czuć wcale, aby się zbytnio krzątali. Od czasu do czasu zwołują oni ludowe zgromadzenia, dogodzą sobie deklamacyą dosadną o potrzebie reform i nazajutrz wszyscy spokojnie powracają do swych warsztatów. Znając charakter kraju sądzićby można, iż tu ruch ten socyalno-demokratyczny mniéj niż gdzieindziéj jest niebezpiecznym. Są jednak, co twierdzą, iż pod tą powierzchnią spokojną, odbywa się pewien proces skryty, mogący miéć dla przyszłości znaczenie.

Z innych względów charakter ludu łagodny jest, apatyczny, a w gruncie ma wiele dobrego. Były tu przykłady nadzwyczajnéj ofiarności, o jakich gdzieindziéj nie słyszeliśmy. Składki na rodziny nieszczęśliwych górników, których ziemia oberwana w kopalniach zasypała, doszły do kolosalnych rozmiarów. Na każdy dobry uczynek, powołanie do pomocy, z małemi datkami śpieszą wszyscy niemal, daje każdy, co może. A że się tu nikt nie wstydzi nawet bardzo drobnéj ofiary, rosną z nich sumy ogromne. Ubogim daje się bodaj po szelągu, ale rzadko kto odmówi. Najuboższy wyrobnik swój fenig na ofiarę przynosi. Jest wielkie poczucie solidarności społecznéj. Ubogich tu niewielu, utrzymuje ich gmina, rodzina, lub dobrowolne ofiary. Zresztą pracuje każdy i ubóstwo przychodzi dopiéro przy zupełnéj niemożności podjęcia jakiéjkolwiek pracy, przy kalectwie, ślepocie, starości i sieroctwie. Instytucye dobroczynne są obfite i bardzo starannie utrzymywane. Panująca rodzina troskliwie opiekuje się niemi, a w dnie uroczyste, w święta, ubogim także coś się dostaje, dla osłodzenia niedoli. Sierotom sprawia miasto gwiazdkę, zapala drzewko na wigilię Bożego Narodzenia i znosi podarki.

Przypatrując się temu obrachowanie, powolnie płynącemu życiu i obyczajom, dostrzedz łatwo olbrzymiéj różnicy pomiędzy niém a życiem i obyczajami innych narodów. Zaprawdę mniéj tu namiętności, niepokoju, porywów gwałtownych, mniéj ruchu ekscentrycznego, wszystko idzie trybem wymierzonym, zwyczajnym i niełatwo z karbów wychodzi. Szały młodości nawet przybierają pewien zwyczajowy obrót i płyną wyznaczoném sobie korytem. Wiele osób przypatrując się stosunkom młodzieży płci obojéj a nie starając się ich poznać bliżéj, skłonne są posądzać Sasów o zbytnią rozwiązłość. Byłoby to niesprawiedliwością, stosunki te inne są, różne, ale nie gorsze niż gdzieindziéj. Tajemnicy w nich niéma, świadkami wszyscy. Miłość objawia się naiwnie, spokojnie, nie wstydząc siebie, trwa często długo i kończy małżeństwem. Prawda jednak wyznać każe, iż małżeństwo zwykle poprzedza pożycie oparte tylko na wzajemném zaufaniu. Miłość nie przybiera żadnego wymuszonego pozoru namiętności, wygląda na dobrą przyjaźń,

na nałóg serca i urządza się gospodarnie a wygodnie. Para zakochana zwykle spędza z sobą swobodną od pracy niedzielę, lub wieczór dnia powszedniego, dzieli zabawy, przechadzki, taniec i rozstaje się, nie doznając przeszkód w zbliżeniu do siebie. Ponieważ nikogo to nie razi, nikt się temu nie sprzeciwia, a kobieta zostawioną jest własnéj opiece i rozsądkowi, miłość ta jawna, nie obowiązana walczyć z niczém, jest poważną, chłodną i spokojną. W razie rozerwania stosunków, wiadomość o nich nie razi nikogo i nie uwłacza. Rozeszła para szuka nowych przyjaciół, lecz rozchodzi się wogóle rzadko i kilkoletnie stosunki najczęściéj się kończą u ołtarza.

Nietylko w najniższych klasach panuje ten obyczaj, znajdujemy go w średniéj, chociaż tu więcéj dbają o *decorum* i wymagania są surowsze. Trafia się wszakże różnie. Pożycie małżeńskie wogóle przykładne jest, ale przedstawia raczéj obraz spółki, niż związku serca i duszy. Zajęcia rozdzielają małżonków, interesa ich majątkowe zwykle są zupełnie oddzielne, łączą je dzieci i miłość dla nich tylko, wreszcie wzajemne nawyknienie. Serdeczniejsze przywiązanie, gdzie ono jest, objawia się raczéj czynem niż słowem, nie popisuje z sobą, ciche bywa i skromne.

Słowem płynie życie, jak rzeka ujęta w brzegi, wylewając rzadko i krótko, i przechodzi niepostrzeżone, jak każdy żywot złożony z chwil do siebie podobnych.

XLIX.

Rezydencya.—Charakter zachowawczy Drezna. — Drążnicy i lektyki. — Obraz miasta. — Drezno stare.— Położenie.—Ulice i ruch.—Swoboda i prostota.—Cudzoziemcy.—Nowe Miasto.—Budowy.—Resztki murów.—Architektura.— Wille. Zamek.—Wnętrze jego.—Grüne Gewölbe.—Zbiory w niém zawarte.— Kościół katolicki.—Nabożeństwo.— Ulica zamkowa. —Stary Rynek. — Kwartał angielski.—Brühlowski Taras.—Charakterystyka.—Kuchnia.—Restauracye.—Ozdoby tarasu.—Gotycyzm i rococo.

Przyjeżdżającemu od Lipska, i z jakiéjbądźkolwiek strony, Drezno przedstawia się odrazu z całym swym charakterem spokojnéj, poważnéj rezydencyi. Widzi się odrazu, że to nie miasto żyjące handlem i przemysłem, ani nawet zakładami naukowemi dla młodzieży, bo téj stosunkowo jest mało; ruch kupiecki nie bije w oczy, statków nie wiele, portu nie widać, sklepy nie dorównywają świetnością innym stolicom. Jest to rezydencya. Wyraz ten gdzieindziéj, jak w Niemczech, nie może być zrozumianym tak, jak jest tutaj. Długie wieki Niemcy, można powiedziéć, żyły rezydencyami takiemi. W nich około dworu panującego skupiało się życie umysłowe, społeczne, artystyczne. Takiemi rezydencyami były: Drezno, Weimar, Stutgard, Karlsruhe i t. p. Dawne życie miast podobnych doskonale odmalował Gustaw Freytag w swym *Rękopiśmie zatraconym.* Życiem têm zaczerpniętém w przeszłości utrzymuje się dotąd Drezno, w którém poszanowanie przeszłości godzi się doskonale z postępem i stopniowym rozwojem. To pielęgnowanie tradycyj dawnych, aż do drobnostkowości posunięte, szczególniéj idzie od dworu i zamku. Wszystko, co otacza rodzinę królewską, zachowuje troskliwie obyczaj i fizyognomię dawną. Pozostały z wieków przeszłych liberye, powozy, ceremoniał, dworskie przyjęcia, aż do lektyk, których już pono w całéj Europie nigdzie na użytek publiczny utrzymywanych się nie znajdzie, oprócz Drezna. Drążnicy dworscy w paradne dni ubierają się jeszcze, jak za Augusta II. Uprzęże, karety, mundury zachowały się bodaj jeszcze

z téj epoki. Dwie czy trzy stacye lektyk, z których jedna pod zamkiem, z drążnikami w kanarkowych zabrukanych frakach, czekają wezwania publiczności. Ludzie na tych stanowiskach ziewają i strużą kołki do klatek, całemi miesiącami czekając daremnie na to, by ich kto zapotrzebował, ale trwają jakoś i skasować téj instytucyi nikt nie ma odwagi. Tak samo wiele rzeczy zachowało się w obyczajach dworu i na wielkanoc, zupełnie na dawny sposób, zastawują w zamku święcone, jedyne pewnie w Niemczech całych. W innych sprawach zastosowano się wprawdzie do wymagań czasu i okoliczności, ale strzegąc i zachowując, co tylko ocalić się dało ze świetniejszéj przeszłości. Drezno téż całe, nie mając zbyt dawnych pamiątek, bo się tu z gotyckiéj epoki nic prawie nie pozostało, niewiele z czasów odrodzenia, a najwięcéj z XVII i XVIII wieku, ma jednak oblicze stare. Z wyjątkiem tych kwartałów miasta, które się od lat kilkudziesięciu zabudowały na sposób nowy i wspanialszy, mało domów starszych ustępuje w środku Drezna budowlom młodym; przerabiają się, odświeżają, ale trwają, póki tylko mogą. Pod Dreznem dzisiejszém czuć i widać Drezno dwóch Augustów, którzy tę rezydencyę najwięcéj upięknili i podnieśli. Zamek został, jak był prawie za Mocnego, w środku się tylko odświeżywszy; inne pałace, w stylu rokoko, nie wyrzekły się swojego charakteru. Nietknięte prawie stoją: Brühlowski, Japoński, letni w wielkim ogrodzie, myśliwski w Moritzburgu i t. p. Ulice, mimo wymagań życia naszego, w starém mieście pozostały ciasne, aby były jak za dobrych czasów. Nie można naganić téj czci dla przeszłości, gdy ona teraźniejszości nie zawadza.

Malowniczo położone u brzegu Elby w dolinie, uderza miasto zdala kilką wyniosłemi kościołami, z których pięknych proporcyj kopuła Frauenkirche, Kreuzkirche i wieża katolickiego górują nad innemi. Wpośród miasta o ile możności starano się zachować ogrodów, zieleni drzew, cienia i przechadzek. Każdy podróżny pierwszy raz przybywający, spostrzegłszy te ogródki pełne wózków, nianiek i dzieci w najpoufalszy sposób gospodarujących tu sobie, uśmiechnąć się musi prostocie obyczajów, jakiéj po większych stolicach nie spotka. Na Bürgerwiese, w Zwingrze, w wielkim ogrodzie, gdzie tylko trochę jest cienia i piasku, tłumy dzieci w pogodę używają przez cały boży dzień świeżego powietrza. Jest to jeden z rysów, do charakterystyki Drezna należących. Nie spotyka się téż tu prawie świetnych ekwipażów, liberyi, ani nawet ubiorów zbyt wykwintnych po ulicach, kobieta czy mężczyzna strojny niepotrzebnie i niezwyczajnie, zwraca oczy, zatrzymuje ludzi, którzy stają się przypatrywać temu dziwowisku. Wszyscy się ubierają po domowemu, po wiejsku, jak kto chce, byle nie rażąco.

Cudzoziemiec, chcący występować, staje się śmiesznym. Tu król jegomość chodzi na przechadzkę w starym surducie wytartym i niemodnym kapeluszu, ministrowie najczęściéj do biur swych udają się piechotą, a ich żony nie zaręczam za to, żeby raz w tydzień przynajmniéj na targ nie zaglądały. Spokój i dawniejsza taniość życia, słynna galerya, teatr, piękne okolice Drezna, ściągały i ściągają bardzo licznych cudzoziemców. Całe kolonie Rosyan, Polaków, Amerykanów, Anglików mieszczą się w tak zwanym kwartale angielskim i miasto winno im w większéj części swą zamożność, swój byt, trochę ruchu, jaki się tu zachowuje. Wiele rodzin zamieszkuje dla wychowania dzieci, dla studyów artystycznych, dla wypoczynku i oszczędności, dlatego, że tu sobie żyć mogą, jak się im podoba, niekrępowane żadnemi wymaganiami towarzyskiemi. Drezno, śmiało powiedziéć można, gdyby mu tych gości nie stało, odboléćby musiało wiele i stać w części pustkami. Pomimo to, ze strony mieszkańców i władz nie czyni się tak dalece nic dla przyciągnięcia, dla zachęcenia do pobytu. Owszem możnaby prawie powiedziéć, zwłaszcza od niejakiego czasu, iż obejście się z cudzoziemcami jest odstręczające. Wyzyskiwani nielitościwie, nie znajdują skutecznéj opieki nigdzie, gdyż za zasadę mają tu sobie wszyscy obronę swych interesów przedewszystkiém, i krzycząca chyba krzywda może spowodować wygranie sprawy obcego z miejscowym, a nawet w takim razie najczęściéj łudzącym jest wyrok, bo cudzoziemiec wykonania jego doczekać się nie może i znużony wreszcie zaniedbać musi. Drezdeńczycy tak są pewni, iż Szwajcarya saska, Madonna Sykstyńska, cisza i miły pokój rezydencyi sprowadzą zawsze kontyngens gości potrzebny, iż się wiele oń nie troszczą. Na szczególną sympatyę żadna tu narodowość liczyć nie może, wszyscy są *de bonne prise,* ale obcy, obcy zawsze, nawet gdy się okupią i osiedzą. Większa część domów budowana jest dla gości, meblowana dla nich, a wogóle domy, wille, kamienice, dworki, z małemi wyjątkami, na przedaż są i do nabycia. Sasi doskonale wiedzą, że fantazye obcych zatrzymują ich tutaj czas jakiś, ale z pokolenia na pokolenie nie przechodzą. Dzieci pozbywają się tanio własności, którą rodzice drogo nabyli, a miejscowi na tém zyskują. Znane tu są wille, co kosztowały summy ogromne a poszły za pół ceny, by potém znów komuś drogo sprzedane, wróciły do spekulanta za bezcen.

Zaprzeczyć temu nie można, iż z miast europejskich, tak teraz do siebie podobnych, jednostajnych i bez charakteru, Drezno jest jedném z najwybitniéj właściwą fizyognomią. Wszystko, co tu widzimy, znajdzie się może gdzieindziéj, ale tak ułożone, zrosłe z sobą, zamalgamowane w ten sposób—nigdzie. Niepodobne ono

do niczego. Dawniejsza Florencya za ks. toskańskich przypominała je potrosze, zwano téż saską stolicę Florencyą północną. Od lat kilku znacznie rozrosłe, Drezno w pośrodku pozostało tém, czém było. Ci co w niém przez lat trzydzieści nie bywali, zdumiewają się nowym z ziemi wyrosłym częściom, ale na starych ulicach około zamku znajdą się, jakby wczoraj je opuścili. Tu trochę pobiały, poprawiony bruk, połatany dach może, ale nie tknięto żadnéj z ozdobnych facyat i staroświeckich bram.

Od Lipska jadąc, spotyka się naprzód tak zwane Nowe-Miasto, część najspokojniejszą i tak już spokojnego Drezna. Życie tu w dni powszednie nader małe, cudzoziemców znacznie mniéj, lecz tędy prowadzą drogi na przechadzki i jak wszędzie są piękne drzewa i aleje. W téj części miasta, więcéj fabrycznéj i przez uboższych lub oszczędniejszych zamieszkałéj, są jednak piękne wille, jak naprzykład wille Renza, sławnego kunstreiter'a, są malownicze domki; tu znajduje się pałac japoński ze swemi szacownemi zbiorami, niedokończony po dziś dzień posąg konny Augusta drugiego, piękny w stylu romano-bizantyjskim kościół katolicki, koszary dla wojska i t. p.

Jak widać z pamiętników dawnych, nazwy starego i nowego Drezna w pierwszych czasach cale przeciwnie stosowały się do dwóch tych głównych części miasta. Dzisiejszy Neustadt zwał się starém, a teraźniejsze stare, nowém. Dopiéro w r. 1724 zmieniły się te przymiotniki. Dawne mury, otaczające stare miasto, zastąpiono pięknemi dokoła przechadzkami cienistemi. Pozostały z nich tylko gdzieniegdzie ułamki użyte zręcznie ku ozdobie, jako w Brühlowskiéj tarasie, w tak zwanym monumencie Maurycego, w alejach i około Zwingru. Rozpoczęto owo obmurowywanie Drezna w XIII wieku, skończone przez kurfirsta Maurycego około 1553, zaczęto niszczyć w r. 1790, a zniesiono zupełnie w r. 1820. Stare miasto jest właściwie owém Dreznem sławioném, do którego tysiącami ciągną cudzoziemcy, tu się znajduje wszystko, cokolwiek ich pociągać ku sobie może; zbiory, muzea, pałace, ogrody, teatr.

Stare miasto, które w ostatnich latach olbrzymio, nader szybko i pięknie się zabudowało; rośnie z każdym dniem, upięknia się i stroi. W tak zwanym kwartale cudzoziemców, przy nowych ulicach około Bürgerwiese i ku wielkiemu ogrodowi, nietylko domy na spekulacyę budowane, owéj architektury przyzwoitéj, na całym świecie jednakowéj, a bez charakteru wznoszą się masami, ale budują śliczne, wytworne wille dorobkowiczów, którzy albo gdzieindziéj lub tu dorwawszy się grosza, chętnieby w pałacach radzi mieszkać. Zwykle znudzony Anglik, bogaty Amerykanin, zbogacony nagle bankier petersburski ucieka tu z kapitałami, stara się

o prawo miejskie i dogadza swéj fantazyi, wznosząc przepyszną willę, którą nierzadko dziedzice za pół ceny sprzedają. Dla miasta jest to wielce dogodném, bo je upięknia, przynosi pieniądz, zajmuje robotników i ostatecznie na korzyść mu wychodzi przez to, że ktoś miejscowy spadek tanio nabywa. Czasem z wielkim smakiem, niekiedy z wielką tylko do niego pretensyą urządzone są te domy i pałacyki, których pełno w samém mieście, okolicy, nad brzegami Elby, w wioseczkach sąsiednich. Spekulatorowie budują je dla tych inwalidów, którym się na starość zachciewa spokoju. Wiele rodzin sprowadzała tu dawniéj słynna taniość Drezna, dziś już znacznie zmieniona, łatwość wychowania dzieci, artystyczne skarby i ta cisza, jakiéj inne miasta nie mają.

Poczynając od zamku, wiele tu budowli, choćby dla ich charakterystyki, wspomniéć potrzeba. Sam zamek, budowa składana, restaurowana, różnolica, ale nie stara, w częściach najlepiéj zachowanych nosi ślady smaku XVI i XVIII wieku. Zbudowany przez kurfirsta Jerzego (George), od niego nazwany, rozszerzony został, upiękniony za króla Augusta II. Nieregularna ta budowa z wysoką na półczwarta sta stóp wieżą, ma dwa dość oryginalnie wyglądające podwórce. Oba są taflami wykładane, wyposadzkowane, a większy z nich służył na uroczystości dworskie, na które za czasów Augusta II tak się sadzono i tyle szafowano pomysłów. Po czterech rogach tego podwórza stoją krągłe wieżyczki mieszczące w sobie wschodki. Trzecie podwórze podobne znajduje się w drugiéj części zamku, dziś oddzielonéj od niego ulicą, a połączonéj bramą (Georgen-Thor) około stajen. Na niém odbywały się turnieje i hece ze zwierzętami dzikiemi. Stoją tu jeszcze słupy, na których zawieszone były pierścienie, które w czasie karuzelów kopiami zdejmowano. Podwórze to z otaczającemi murami, obwieszonemi winem dzikiém, malowniczo dziś wygląda. W dolnych piętrach zamku mieszczą się oficyaliści, kuchnie, składy i szacowny zbiór zwany *Grüne Gewölbe*, zielonym sklepem. Na pierwszém piętrze mieszkał niegdy król Fryderyk August I i II i miał tu przepyszny zbiór prywatny obrazów, sztychów i t. p., który dostał się królowéj wdowie i mieści się w jéj pałacu. Na pierwszém też mieści się pięknemi malowaniami ozdobna kaplica królewska, ministeryalne biura i t. p. Na drugiém dopiéro są apartamenta, w których król przyjmuje, pełne pamiątek po jego poprzednikach, malowań, porcelany, kobierców, co do prywatnych mieszkań—bardzo skromne. Sala stołowa okryta jest malowaniami Bendemanna, ale wspanialsza od niéj i istotnie majestatyczna jest tronowa, ze swemi freskami, wystawującemi znakomitych prawodawców i panujących. Naprzeciw tronu, oprócz czterech postaci przedstawują-

cych cztery stany podające sobie ręce, aby wspólnie dla dobra kraju pracować, są cztery historyczne kompozycye odnoszące się do wypadków, w których każda z nich szczególnie się odznaczyła. Obok téj wspaniałéj sali, gdy się wnijdzie we wnętrze mieszkań królewskich, uderza każdego wielka prostota ich i dobrowolne wyrzeczenie się wszelkiego próżnego przepychu.

Oprócz królewskich apartamentów podróżni oglądają zwykle na dole w zamku zbiory zwane *Grüne Gewölbe*, do których tylko po sześć osób za opłatą wchodzić może. Jest to muzeum osobliwości i kosztowności wszelkiego rodzaju, pomieszczonych w ośmiu gabinetach. W pierwszym z nich są bronzy w większéj części nowożytne, redukcye i naśladowania dzieł dawnych, różnéj bardzo wartości. Zbierał je pono August II, gdyż modą było i wspaniałości wielkiéj dowodem posiadać owe dzieła sztuki. Następują po nich rzeźby na kości słoniowéj, istotnie bardzo sztuczne i bardzo piękne, puhary, czasze, ozdoby różne. Niektóre z nich toczył dla zabawki kurfirst August (1753 — 1756), inne różni artyści, po których w spadku wzięli tę sztukę rzezania na kości teraźniejsi tutejsi kunsztmistrze, jakich tu nie mało i wcale zręcznych. Przemysł ten obrócony nawet został na fałszowanie wyrobów niby starożytnych, którym herby, napisy, medaliony różne dodawano, niezawsze bardzo zręcznie. Takich polskich rogów, buław, lasek rozeszło się dosyć po świecie. Niektóre z nich nawet znawców zwieść potrafiły, małe wszakże omyłki historyczne pilniejszą na nie kazały zwrócić uwagę, a pierwsze podejrzenie przestraszyło handlarzy, którzy się od dalszych obstalunków fałszywych starożytności powstrzymali.

W trzecim gabinecie połączono przerozmaite osobliwości, zbiór jaj strusich, koralów, muszli, naczyń stołowych, konwi i roztruchanów, mozaik i t. p. Niektóre szafeczki wysadzane, szkatuły są zabytkami kunsztu bardzo ciekawemi. Czwarty gabinet zajmują starożytne kredensowe naczynia, (XVII i XVIII w.), których kollekcya do półtorasta numerów dochodzi. W piątym są kosztowniejsze naczynia z drogich kamieni, kryształów, nasadzone kameami, z lapislazuli, z jaspisów, z agatów, a oprócz tego ciekawa daktylioteka. Szósty zawiera klejnoty i perły różnych kształtów, pięknie wyrabiane dzieła złotnicze. W siódmym znajdują się insygnia polskich królów, których August III użył w Krakowie, korona, berło i jabłko. W ósmym naostatek są arcydzieła złotnicze Dinglingerowskie, o których trudno dać wyobrażenie. Są to ze złota i kamieni rzeźbione bajki z tysiąca nocy, można powiedzieć. Tron i dwór Aureng Zeyb'a (1659—1707), nad którym Dinglinger pracował z całą rodziną i czternastu czeladnikami przez lat osiem

i za który razem z szacunkiem materyału użytego, otrzymał naówczas 58,495 talarów, jest niezawodnie rzeczą bardzo osobliwą. Ma to i pewną artystyczną wartość, lecz trudno powiedzieć, żeby te cacka szlachetnie były pięknemi i nieposzlakowanego smaku. To są główne przedmioty w zielonym sklepie, który każdy podróżny szanujący się pod karą wielkiego wstydu zwiedzić musi.

Tuż obok zamku, połączony z nim krytą drewnianą galeryą, znajduje się kościół katolicki, z wysoką wieżą na głównym froncie i mnóstwem posągów ubierających jego szczyty. Budowa ta na pierwszy rzut oka świadczy o czasie, w którym powstała. Jest ona dziełem już tych królów polskich i elektorów saskich, którzy do zmiany wiary elekcyą Augusta II zmuszeni zostali. Z początku w r. 1708 urządzono dla przybywających tu Polaków i dworu króla kaplicę przerobioną ze staréj sali balowéj, potém w r. 1739 zaczęto budowę gmachu, na który plan dał Włoch Chiaveri i dokończono go w. r. 1759.

Kościół w prostokąt owalnie zakończony, ze trzema nawami w stylu odrodzenia, a raczéj rococo, ozdobnym a niesmacznym, w ogólnym swym rysunku i liniach ma jednak wiele wspaniałości. Oswoiwszy się z tym rodzajem architektury, może się nawet wydać pięknym, zapomniawszy o innych, w których prostota linij, stosunek ich, rysunek szlachetny zastępują wyszukaną ornamentacyą, i owe floresy XVIII w. W wielkim ołtarzu jest sławiony obraz Rafaela Mengs'a: Wniebowzięcie, uchodzący za arcydzieło tego artysty. Są i w nim zalety, ale smak wieku nic nie wybitny, jak w kościele samym. Z tychże czasów pochodzą freski w kaplicach, ołtarzowe obrazy i posągi (Bernini). W podziemiach kościoła znajdują się groby królów.

Po obu stronach wielkiego ołtarza loże dla króla i jego rodziny się mieszczą. W czasie większych uroczystości występują wszyscy członkowie familii w procesyach wielkiego tygodnia, Bożego Ciała i t. p. Dwór jest bardzo pobożny, a piękna muzyka w niedziele i święta sprowadza zwykle tłumy, więcéj dla niéj niż dla nabożeństwa uczęszczające do kościoła.

Doskonała kapela, śpiewy, dobór dzieł klasycznych wykonywanych w dnie świąteczne, nawet nie katolików cudzoziemców gromadzą w kościele katolickim. Dla utrzymania porządku dwaj szwajcarowie nieustannie krążą po głównéj nawie i opiekują się pobożnemi, którzy dzielą się dawnym obyczajem na stronę żeńską i męską. Oprócz kazań niemieckich, w niektóre niedziele dla Serbów łużyckich, których tu już dziś niewielu, bywają kazania w ich języku. Oprócz tego kościoła a raczéj kaplicy zamkowéj, mała kaplica w samém wnętrzu zamku, kościół na Nowém mieście i ka-

plica przy zakładzie imienia Józefy, przeznaczone są dla tutejszéj ludności katolickiéj.

Wszedłszy przez bramę zwaną Georgenthor, w któréj znaczne są ślady dawnéj budowy, rzeźb, ozdób, herbów, nie sięgające nad wiek XVI, mija się zamek z wiodącą do niego bramą i wchodzi w wązką ulicę zamkową, ostawioną kamienicami, których większa część zachowała fizyognomię dawną. Wiele z nich jednak świeżo poprzerabiano. Właściwie na téj głównéj arteryi życia miejskiego najwięcéj jest ruchu, najpiękniejsze sklepy. Tu jest wystawa, z Brühlowskiego pałacu przeniesiona, porcelany z fabryki w Meissen, sklep sztychów Arnolda i wiele innych dosyć wytwornych, choć szczupłych i niemogących się porównać z przepychem innych stolic. Zamkowa ulica wychodzi na stary Rynek z ratuszem, wyglądający jeszcze, jak był przed laty. Dość powiedzieć, że się tu odbywają targi ciągłe, a stragany służące przekupkom często parę razy na tydzień znoszą i nanowo stawiają. Daléj w tym samym kierunku idzie tak zwana See-strasse i ulica praska nowa, szeroka, wspaniała, która przerzyna części miasta, zupełnie inaczéj już wyglądające, charakteru nowożytnego. W prawo i lewo téj głównéj ulicy rozbiegają się inne, w większéj części świeżo zarysowane i jeszcze się dopełniające domami. W lewo jest kwartał angielski, ciche miasto cudzoziemców, pełne mieszkań wynajmowanych z meblami, z niewielką ilością handlów rzeczy pierwszéj potrzeby. Kilka placów ozdabia je i odświeża. Zresztą są to budowy procentujące, na jeden sposób wznoszone, w których starano się tylko jaknajwięcéj módz lokatorów pomieścić.

W samym końcu ulicy wspaniały dworzec kolei czeskiéj i place na których rosną domy jak grzyby. Anglicy wystawili tu sobie w swoim stylu kościołek z wysoką śpiczastą wieżyczką.

Około zamku, gromadzą się celniejsze budowy, nowe galerye i muzea, dawniéj teatr stał tu także, i znowu ma się wznieść z ruin inny, większy i wspanialszy od niego. Blizko mostu téż szerokie majestatyczne wschody, nanowo zrestaurowane i ozdobione dwoma już grupami (których dwie jeszcze ma dopełnić), wiodą na najulubieńszy i Drezdeńczykom i cudzoziemcom Brühlowski taras. Mówiąc o nim, najwłaściwiéj jest razem wspomnieć o przytykającym do niego pałacu ministra Brühla założonym w r. 1737, który główném wnijściem obrócony jest na Augustowską ulicę. Wszechwładny minister, który chciał dorównywać przepychem i wspaniałością panu swemu, z pałacem swoim przysunął się pod sam bok zamkowy i rywalizował istotnie z Augustem urządzeniem apartamentów, galeryą, skarbcem, zbiorami. Gmach ten, kupiony później przez królewską rodzinę, mieścił w sobie urzędy, kancela-

rye i ministerya. W czasie wojny siedmioletniéj zajmował go często Fryderyk Wielki, w r. 1778 książę Henryk pruski, w r. 1813 cesarz Aleksander w nim mieszkał, w r. 1814—1815 mieściły się urzędowe rosyjskie władze; w r. 1851 odbywały się tu konferencye drezdeńskie. Wnijście do pałacu zdobią manierowane i niesmaczne posągi Mattiellego, Czujność i nauka. Pałac łączy się z tarasem dobudowaném przejściem przez księcia Repnina. Ogród Brühlowski na tarasie jest szczupły, część miejsca na dawnych wałach zajmuje gmach Akademii sztuk pięknych; daléj *Café reale*, nakoniec Belweder; sala koncertowa i restauracya. Trochę drzew pośrodku, nieco cienia, zieloności, poobcinane lipy biedne, nie przyciągałyby tu wcale, gdyby widok na Elbę i okolicę nie był bardzo piękny i gdyby wszechwładna pani, moda, nie nakazywała się tu gromadzić, siedzieć lub choć w przyzwoitéj pokazać godzinie. Cały świat drezdeński a szczególnie świeżo przybywający cudzoziemcy, muszą się tu zameldować koniecznie. Przed *Café reale* siada towarzystwo, które ma pewne prawa lub rości je sobie do dobrego tonu. W Belwederze mniéj cudzoziemców a więcéj bywa samych zamożniejszych mieszczan drezdeńskich. Ale taras zasługuje na staranniéj skreśloną monografię.

Opiera się to wzniesione wysoko wybrzeże na starych murach okólnych Drezna, nad samą prawie Elbą, oddzielonych od niéj u dołu wązką drożyną. Mury te obiegają narożnik, na którym stoi Belweder, i wzdłuż nich idzie ulica, po któréj odbywają się przechadzki. Trochę w głębi stoją ławki pod drzewami, na których świat piękny nigdy nie spoczywa; są to siedzenia dla ubogich zajmowane przez weteranów, przez wyrobników i niańki z dziećmi. Wyżéj nawet część ogródka za Belwederem wyłącznie dla dzieci zdaje się być przeznaczoną. Niewiele starszych drzew, jedna oddawna wyschła fontanna, w któréj kamiennéj sadzawce bawią się dzieciaki, stanowią całą ozdobę. Niéma tu téż nadzwyczajnego przepychu. Owa kawiarnia *Café reale* jest bardzo skromna i mała, a restauracya i sale w Belwederze bez najmniejszego smaku obrzydliwie wymalowane i wyzłocone. Nic bardziéj trywialnego wymyślić niepodobna, ani specyficzniéj niemieckiego. Przytém owe muzyki w sali koncertowéj pana Meissner'a, przybrane w narodowe barwy saskie, grają wcale nieosobliwie i najmniéj wymagających uszu zaspokoić nie potrafią. Ale... tu się pokazać można i zobaczyć kogoś, tu się z pończoszką spędza godzina.., i nawykli do ciszy domowéj rozerwać nieco mogą. Cudzoziemcy, przybywający z Londynu i Paryża, doznają pewnie zawodu, ale od tego poczciwego, spokojnego Drezna, godziż się żądać zbyt wiele? Bystrzejsze oko na tarasie całąby charakterystykę miasta,

kraju, obyczaju wyczytać zda się potrafiło. Dajcie gdzieindziéj taką ulubioną i sławioną historyczną już, tradycyjną miejscowość, do któréj ludność i obcy nawykli, cóżby to z niéj zrobiła spekulacya, jakby się przyozdobić, uponętnić się starała, jak wspaniałe stanęłyby sale, galerye i jak wykwintne zakłady gastronomiczne.

Drezno ma i swe nałogi i trochę opieszałości i najlepszą może rachubę, iż bez tych kapitałów daremnie wyrzuconych, goście i tak przyjść muszą, a będą zadowoleni kawą i lodami Torniamentego i piwem a befsztykiem Meissner'a. Belweder wprawdzie, ulegając nieco wymaganiom czasu, przystraja służbę, wypstrzył sale, umundurował muzykę, lecz kuchnia, pożal się Boże, napoje wcale niewykwintne i artyści nie pierwszéj wody. Smak téż w całym przyborze nie przechodzi tego, co naprzykład na przedmieściach Paryża dawniéj się spotykało. Widok piękny, każdemu wolno tu przyjść ubranemu, jak mu się podoba, ceny niewysokie, koncert dostajesz za złotówkę, nie masz prawa więcéj wymagać. Godzina tarasowa zaczyna się dosyć wcześnie, bo koło dwunastéj jedzą tu już lody i piją kawę czarną ludzie niezepsuci o naiwnych żołądkach, przeciąga się zaś do późna, a w lecie najprzyzwoiciéj jest znajdować się tu około siódméj. Cudzoziemcy zwłaszcza są wielkiemi wielbicielami Brühlowskiego tarasu i oceniają piękne z niego widoki. Autochtonowie tylko wyższego towarzystwa, mianowicie starszyzna wojskowa, dymisyonowani urzędnicy, arystokracya incognito zasiadają tu także, aby się wyróżnić od pospolitego tłumu, który szczególniéj w niedzielę przepełnia lokale restauracyi w Belwederze. Tu także obiadują czasowo przebywający, znajdując kuchnię znośną. Wogóle kuchnia jest słabą stroną Drezna i w całych Niemczech nie odznacza się ona smakiem wykwintnym. Trzeba pewnego nawyknienia, aby ją znieść, oswoić się i módz nią wyżyć, nie chorując. O połechtaniu podniebienia owemi wymysłami, któremi słynie Paryż, mowy tu niéma. Jeśli potrawę jaką znajdzie się z imienia, przybywającą na stół trudno rozpoznać, a wziąwszy do ust jeszcze kłopotliwiéj samozwańca tego przełknąć.

Za najlepszą uchodzi kuchnia Saskiego hotelu i dwóch może główniejszych, reszta karmi i poi cudzoziemców z tém przekonaniem, że muszą zjeść, co gospodarzowi dać się podoba. Tak zwane lokale śniadaniowe chwalące się delikatesami, mogą tylko niewymyślnych Niemców zaspokoić. Na ich zaletę przyznać należy, iż mniéj smakoszów i gastronomów jak tu, nigdzie się nie znajdzie. Średnia klasa żyje niezmiernie skromnie, na wszelkie uroczystości idzie do traktyeru, gdzie widma potraw ją zaspokajają. Ubożsi jedzą (Fleisch mit Gemüse) mięso z jarzyną, w którém utajona jest zupa, sztuka mięsa i jarzyna. Dopełnia obiadu nie-

uchronna kawa i pożywne piwo. Nawet w najzamożniejszych domach jedzenie jest proste i niewykwintne. Wszystko co się tyczy gęby, żołądka i języka, zakłady cukiernicze, handle wiktuałów, rachują głównie na cudzoziemców, i dla tych sadzą się raczéj na imię, niż na rzeczy. Jest to może znamieniem prostoty i poczciwości, że się ludzie nie rozpieszczają, że nie ucztują i nie zbytkują wogóle. Naród, który nie przejada swéj pracy, coś z niéj zawsze oszczędzić może. Czy kuchnia niemiecka higienicznie odpowiada wymaganiom ciała, jego zdrowia i siły, czy świnina w różnych formach, kawa, piwo i kartofle, składające podstawę jéj, dostateczne są dla wychowania pokoleń krzepkich i rozwinięcia organizmów pełnych, niech osądzą kompetentni. To pewna, że przybywający z naszych krajów długo się krzywią, męczą, chorują, nim z tym spartańskim bytem w końcu się obędą.

Lecz powróćmy do tarasu. Belweder otwarty ciągle, dający codziennie koncerta zimą i latem, ma swą publikę, szczególniéj niedzielną. *Café reale* zimą pustuje. Dopiéro wiosna je ożywia. Z wiosną ciągną tędy owe żórawie z północy, które po wszystkich wodach i kąpielach więcéj zdrowia tracą, niż zyskują. Zjawia się Anglik, Amerykanin, Rosyanie i Polacy, najwędrowniejsi z nomadów. Każdego z nich poznajesz tu na tle niemieckiém, jak kolorową łatkę. Gdzieindziéj nie uderzałby niczém charakterystyczném, tu odróżnia go najobojętniejsze oko. Przejezdni, którzy po drodze zwiedzają Drezno, okolice i Szwajcaryę saską, suną się aż do sierpnia, a w sierpniu zaczynają tędy znowu wracać ci, co jechali w maju, i peregrynacya trwa aż do późnéj jesieni. Zwykle Drezno bywa miejscem wytchnienia, spoczynku. Tu się kupuje na podarek piękna filiżanka saska, lub co z kości słoniowéj. Każdy naturalnie z wędrowców nie mija onéj sławnéj a przesławnéj *Brühl'sche Terasse.* Miasto nawet czuło się w obowiązku to ulubione miejsce przyozdobić i wielkie wschody wiodące doń nanowo odbudowano, stawiąc na nich dwie grupy bardzo piękne przez Schillinga, które dwie jeszcze u góry dopełniać mają. Śliczne te kompozycye, które artyście zjednaćby powinny zasłużony poklask, przedstawiają *Noc* i *Wieczór*, a mają je wypełnić *Dzień* i *Ranek.* Na nieszczęście przez oszczędność wykuto je z kamienia, który w atmosferze węgla i słoty, poczerniał szpetnie, nierówno i każe ubolewać, że się na marmur nie zebrano, którego grupy te były warte. Około tarasu u dołu i na górze zużytkowano miejsce na klomby, drzewa, kwiaty, które stanowią niby apendix do botanicznego ogrodu, znajdującego się niedaleko. Drzewom szczególniéj i krzewom przypatrzyć się warto, są rzadkie i piękne. Ani miasta, ani jego budowli opisywać nie będziemy; mało kto z nas nie bywał w Dreźnie;

zresztą tak nadzwyczajnych osobliwości tu niéma, a głównym wdziękiem rezydencyi jest jéj prawie wiejska i niewykwintna fizyognomia. Z kościołów w swoim rodzaju pięknemi proporcyami i budową odznacza się Frauenkirche, którego kopuła zdala bardzo przyozdabia Drezno; obok niego iść może Kreuzkirche, a nareszcie nowo przerobiony w stylu gotyckim niesmacznym, z przezroczystemi wieżami, kościół królewski (Hofkirche) Ś. Zofii. Wogóle gotyckie próby Drezna się nie udają. Świeżo wzniesiony gmach kosztowny dla szkoły (Kreuzschule) razi swym nowożytnym gotykiem; toż Ś. Zofia. Panujący w starym Dreźnie smak odrodzenia i architektura nie godzi się z niemi.

Prześliczne rococo Zwingru więcéj ma życia i wdzięku niż ów zimny gotycyzm naśladowany, pożyczony. Z pomników żaden téż artyzmem wielkim nie uderza, są to przyzwoite bardzo posągi i monumenta, ale się niemi zachwycać trudno.

L.

Galerya obrazów.—Jéj historya. — Pomieszczenie dawne i nowe.—Pierwsze dzieła o niéj.—Gmach nowy.—Ogólny rzut oka.—*Arazzi*.—Madonna di San Sisto.—Madonna Holbeina.—Obce piękności i różnice.—Ulubione obrazy.—Pierwotne malarstwa zabytki.—Kopie z Rafaela.—Corregio.—Noc.—Tycyan.—Chrystus z Faryzeuszem.—Paweł Weroneńczyk.—Caracci.—Dominichino.—Guido Reni.—Carlo Dolce.—Batton i Magdalena.—Caravaggio.—Ribera.—Sal. Rosa.—Canale.—Van Eyck.—Memmling.—Rubens.—Van Dyck.—Rembrandt.—Wouwerman.—Gerard Dow. V. der Werff.—Agar.—Krajobrazy.—Ruysdael.—Cmentarz i inne obrazy.—Szkoła niemiecka.—Holbein.—Szkoła hiszpańska —Francuzi: Claude Lorrain.—Pastele.—Liotarda, nieszczęsna czekoladniczka.—Kilka słów o niéj.—Gabinet rysunków i sztychów.—Pałac japoński.—Biblioteka.—Antyki.—Starożytności słowiańskie.—Zbiór porcelany i . d.

Ze wszystkich zbiorów, w które Drezno obfituje, najcelniejszą jest galerya, długo liczona do pierwszych w Europie, chronologicznie jedna z najdawniéj zgromadzonych, obfitująca w dzieła wyborne jeśli nie wszystkich mistrzów, to przynajmniéj najznakomitszych. Z wielu względów zasługuje, ażebyśmy nieco dłużéj pomówili o niéj. Nawet historya jéj jest nauczającą. Kurfirstowie sascy wcześnie jakoś mieli upodobanie w sztuce, gdy ono jeszcze, jak dziś, rozpowszechnioném nie było. W szesnastym wieku, w pierwszéj nawet jego połowie, zbierali malowania Kranachów i innych artystów niemieckich; gromadzili w tak zwanéj *Kunstkammer* osobliwości różne i utwory sztuki. W r. 1560 zbiór ten zajmował już siedem pokojów pałacu. W początkach XVII wieku zbierano czynnie obrazy, starożytności, wyroby kunsztu, które dziś widzimy w galeryach, muzeach i pojedyńczych kollekcyach.

Annalista drezdeński Weck opisuje owe siedem pokojów z obrazami, w ktorych wymienia mnogie portrety książąt panujących; obrary Kranach'a, Dürer'a, Tycyana, Tintoretta, Rubensa, Łukasza z Leydy, Parmezana, wizerunki cezarów i „kunsztowne krajobrazy niderlandzkie i „polskie". W r. 1701, gdy zamek się palił, ledwie zdołano je uratować i tymczasowo przeniesiono na Judenhof

gdzie późniéj stanął tak zwany pałac Berlepsch'a, i było mieszkanie gubernatora. W r. 1723, gdy liczba obrazów przez zakupna poczynione za Augrsta II znacznie się pomnożyła, rozwieszono je w dziesięciu salach w pałacu japońskim na drugiém piętrze, a w r. 1733, w sali balowéj w Zwingrze. Część znaczna zajmowała téż ściany tak zwanéj sali olbrzymów na zamku, późniéj po pożarze obróconéj na balową.

Za Augusta II i III, niesłychanie wzrosły galerye drezdeńskie; należało to do przepychu, ażeby gromadzić najcelniejsze dzieła sztuki i otaczać się niemi. Zwożono je z Włoch, z Hollandyi, wysyłano artystów i agentów, wykupywano z kościołów. Temu upodobaniu w cennych oryginałach mistrzów, winno głównie Drezno zbiory swoje, które za Augusta III już uprzedziły inne w Europie. Przeniesiono znowu za Augusta II obrazy na drugie piętro zamkowe. Najszacowniejszym nabytkiem z tych czasów było zakupno za 130,000 cekinów galeryi księcia Modeny przez Augusta III. Przybyła ona do Drezna w r. 1746, a z nią sześć najpiękniejszych Correggiów. W r. 1754 naostatek perła galeryi, jéj ozdoba, przywieziona została Madonna *di San Sisto*, którą agent Augusta III kupił za 11,000 cekinów (inni piszą 18,000 dukatów), od miasta Placencyi, wzamian dając kościołowi, z którego ją zabrano, kopią obrazu na pamiątkę. Opowiadają, że gdy paka z obrazem przybyła, i do sali audyencyonalnéj na zamku wniesioną została, a obraz uroczyście wyjmować z niéj miano w obecności króla, August III z niecierpliwości oglądania go we właściwém świetle, stojący przy ścianie, u któréj miano go umieścić, tron pochwycił i odniósł na bok. Obraz, odczyszczony późniéj i odrestaurowany, zajął najcelniejsze miejsce w zbiorze, który już pomieścić się nie mógł w pokojach na zamku. Urządzono dlań umyślnie gmach przy stajniach, przebudowany przez Augusta II, dodając wnijścia od rynku. Tu już obrazy prawdziwą galeryą, w pewnym porządku ułożoną, tworzyły, a sława jéj w Europie rozpowszechnioną i zwiększoną została rozpoczętém wydaniem sztychów celniejszych dzieł (1753), pod dyrekcyą Heinecke. Ukazało się ich półtorasta w trzech tomach wielkiego arkusza, a płacono z razu za każdy tom po 82 talary. W r. 1763 wydano pierwszy katalog po francusku, a niedługo potém dziełko Hagedorn'a o malarzach, których utwory się tu znajdowały. Odtąd oceniając wartość zbiorów, starano się pilnie, o ile dozwalały okoliczności, powiększać je, porządkować i coraz właściwiéj rozmieszczać. W latach 1832—34, ułożono ją wedle szkół i malarzów, na ramach umieszczono ich nazwiska. W tymże czasie rozpoczęto litografować obrazy, których wyszło przeszło sto, ale przedsiębiorstwo to zaniechaném zostało; katalog

przerobiono i powiększono. W r. 1862 obejmował on 1857 obrazów olejnych, 177 pastelów i dodatkowych, przybyłych w czasie spisywania; razem zatém przeszło dwa tysiące numerów. Wszystko to mieściło się jeszcze w salach przy stajniach, dosyć ciasno, niewygodnie i w nienajlepszém świetle, gdzie zagrożone nawet były obrazy zniszczeniem. W r. 1845 wniesiono do izb o kredyt na zbudowanie nowego gmachu, odpowiedniego potrzebie gwałtownéj, na co przeznaczyły one 350,000 talarów. Wybrano niezapełniony jeden bok Zwingru na pobudowanie galeryi, któréj plan narysował znakomity F. Semper, starając się go zharmonizować z innemi częściami budowy, co mu się bardzo szczęśliwie udało. W ostatnich czasach cały zbiór ten, który przetrwał nietknięty wszystkie wojny i katastrofy, jakim ulegała Saksonia, oceniano na osiem milionów talarów.

Nie można powiedziéć, ażeby drezdeńska galerya, zbierana od fantazyi, nie systematycznie, choć bardzo szczęśliwie, a dziś nie mogąca łożyć wiele na uzupełnienie szkół i mistrzów, była pełnym historycznym zbiorem jakiéjkolwiek szkoły, niektóre są słabo i ułamkowo reprezentowane, we wszystkich wszakże niemal posiada ona perły, arcydzieła, i to ją od innych odróżnia. Z wyjątkiem galeryi florenckiéj i jéj trybuny, żadna inna tak znakomitemi utworami mistrzów pochlubić się nie może.

Gmach, dzisiaj ją mieszczący, wspaniały jest, dogodny, w większéj części doskonale oświecony, słowem, nie pozostawia nic do życzenia. O ile nawet starczą fundusze, zbiór się zwolna jeszcze powiększa i podrasta. Urządzenie wewnętrzne, rozwieszenie obrazów winna ona sędziwemu, pełnemu talentu Juliuszowi Schnorrowi von Karolsfeld, który jest jedną ze znakomitości nowszéj szkoły niemieckiéj. Początkowo w pośrodku gmachu umieszczona rotunda, przeznaczoną była na rodzaj trybuny i wybór arcydzieł, światło jednak oczekiwaniom nie odpowiedziało i rozwieszono w niéj *arazzi*, kobierce z rysunków Rafaela, około 1625 wytkane, które dawniéj zdobiły zamek królewski w Krakowie i Warszawie, a dziwnemi losów i nieopatrzności zrządzeniami, tu się w końcu aż dostały. Kartony tych przepysznych tkanin znajdują się w Hamptoncourt. Niepodobieństwem jest nawet część skarbów galeryi opisać, a przewodnik po niéj na nicby się nie przydał, gdyż układ często się zmienia; wymieniamy więc tylko najcelniejsze obrazy, poczynając od najsłynniejszego, najwięcéj pod względem sztuki zajmującego, od Madonny di San Sisto-Rafael prawdopodobnie malował ją do głównego ołtarza kościoła św. Sykstusa w Placencyi, około r. 1518. Znakomity krytyk, v. Rumohr, z układu obrazu wnosi, iż może pierwiastkowo przeznaczonym był na wielką

chorągiew do procesyi, *(drapellone)* i wistocie najlepiéj się on pojmuje, wystawiając go sobie niesionym po nad głowami tłumów. Któż nie zna Sykstyny, choćby z najniedołężniejszego sztychu lub litografii? Nieskończoną liczbę razy wyrządzono jéj tę krzywdę, iż ją niepoświęcone ręce, nieudolni ludzie na wszelki sposób skarykaturować usiłowali. Te obrazki spotykane wszędzie wprzódy, nim się sam oryginał zobaczy, psują wrażenie, dają rysy jego niedokładne, zeszpecone, obałamucają patrzącego, utrudniają pojęcie kompozycyi, spowszedniają ją. Wogóle, dzieła Rafaela nie są przystępne wszystkim, trzeba pracować, aby ich piękność należycie ocenić, przygotować się do smakowania w nich. Madonna Sykstyńska z wielu téż względów należy, mimo wielkiéj piękności swéj, którą w końcu każdy uczuć musi, do najtrudniéj ocenić się dających. Kugler powiada o niéj: „jestto zarazem boża niewiasta, która wydała na świat Zbawiciela, i dziewica niewinna, najczystsza z istot na ziemi. W jéj wejrzeniu jest coś niepojętego, rzekłbym przestrach i podziw nad cudem własnego wyniesienia, a zarazem poczucie swéj wielkości i ubóstwienia.“

Posługujemy się tém zdaniem Kuglera. bo ono cechuje wrażenie, jakie czyni oblicze Madonny. Ze wszystkich Rafaelowskich, najwięcéj może zbliża się ona do rzymskiéj *di Foligno* zwanéj i do florenckiéj *della Sedia.* Wyraz twarzy majestatyczny, nadziemski, uroczysty, niezbadany. Dziecię także uderza majestatem i boskością. Obok tego zjawiska w obłokach, piękne bardzo postacie św. Sykstusa i Barbary, podrzędną tylko mają wagę. Oko zwraca się mimowoli ku téj królowéj niebios, która w gloryi aniołów ukazuje się i blaskiem swym zaćmiewa, co ją otacza. Dwa miluchne aniołki rzucone na brzegu, zwrócone ku patrzącym z anielską i dziecinną naiwnością, w pozach pełnych naturalności, prawie nam zawadzają. Św. Barbara jakże jest ziemską męczennicą przy téj pani a królowéj! Od pierwszego na obraz wejrzenia, oczów od głównéj postaci oderwać niepodobna. Nigdy malarstwo nie stanęło wyżéj w pochwyceniu niedoścignionego, w stworzeniu oblicza, po za którém czuje się pełne tajemnic światy. Rafael chciał postawić nieodgadnioną wielkość w osłonach tych, których oko rozedrzéć niemoże, które trwożą i przerażają. Jaka różnica téj Madonny od późniejszych XVI w. to miękko i pieszczono wdzięcznych, to żałościwie zbolałych, a zawsze więcéj człowieczeństwa, niż bóstwa mających w sobie, gdy matka Boga tu, jako uczestnicząca w naturze jego, wedle pojęć katolickich, się przedstawia. Gdybyśmy pokrewnego typu Madonny szukać chcieli w historyi malarstwa, możebyśmy cofnąć się musieli aż do surowych Matek Bożych szkoły bizantyjskiéj. Ale w tamtych nieudolność kunsztu

całéj myśli, nie dozwoliła wyrazić w pełni, tu odtworzył ją arcymistrz. U samego Rafaela oblicze Matki Bożéj mieni się, urozmaica, przetwarza coraz w miarę, jak sam wielki artysta idzie ku doskonałości, zdobywając ją nieustanną pracą. W ciągu dwudziestu lat, uczeń Perugina, nim się stał nauczycielem Giulio Romano, w kilkuset swych kreacyach, dwa razy prawie nie powtórzył jednakowo twarzy ideału ziemskiego ubóstwionéj Dziewicy. Od Sposalizio do Sekstyny, ileż to różnych wyrazów i różnych piękności, coraz innym wybitnym charakterem napiętnowanych. Niewinność dziewicza, czułość macierzyńska, majestat królowéj, boska mądrość, smutek ziemski przesuwają się po rysach tych czystych, idealnych, spokojnych zawsze jakby greckiego posągu.

Nie można się dziwić wcale, iż się natrafia ludzi, którym wielka piękność obrazu jest nieprzystępną, którzy jéj nie widzą i pytają, czém ona arcydziełem być może. Oczy, smak, dusza, potrzebują artystycznego wykształcenia, język sztuki nie wszystkim jest zrozumiały.

Jakby dla zwiększenia wrażenia, które zwiedzający galeryę odbiera, w drugim końcu Muzeum wystawiona jest druga Madonna, Holbeinowska, drugie arcydzieło, lecz innéj szkoły i niemieckiego mistrza. Powtórzym to, cośmy już niegdyś powiedzieli, że pierwsza jest urzeczywistnieniem ideału, druga wyidealizowaniem rzeczywistości. Malarz realista, jak Holbein, wyżéj się podnieść nie mógł. Madonna jego jest prześliczna, ale jeszcze z ziemi nie wystąpiła w obłoki. Rafaelowska zjawia się w gloryi aniołów, ta na tle ziemskiém, stoi wpośród ludzi i zdaje się dzielić ich życie, współboléć nad ich cierpieniem. Zadanie obu malarzów, organizm ich, artystyczne wychowanie tak były różne, iż właściwie dwóch tych obrazów porównywać nawet z sobą się nie godzi. A jednak sztuka niemiecka może z pewną dumą wystawić ideał Holbeina obok ideału Rafaela i nie powstydzić się za niego. Niemiecka Madonna przystępniejsza, pojętniejsza, łatwiéj nawet ocenioną zostanie i najmniéj znający się na rzeczach sztuki znajdą ją cudnie piękną. W twarzy téj jest urok wielki, jest dziewiczość połączona z powagą, jest wszystko, co ziemia dać może, ale boskości Rafaelowskiéj niéma. Oblicze to wypowiada się całe, po za niém niéma tajemnic, żadnéj w niém zagadki, czyta się zeń dzieje Maryi, gdy w Rafaelu jest więcéj, niż w tém, co tradycye i słowa podały.

W chwili właśnie gdy to piszemy, obraz Holbeina jest w Niemczech przedmiotem żywych rozpraw i sporów. Obok niego wystawiony jest drugi, podobny, przywieziony z Darmstadu, i znawcy roznamiętniają się, usiłując zbadać, któremu z nich należy pier-

wszeństwo. Nie możemy się tu rozpisywać obszerniéj, nad dwoma temi, może jednéj ręki dziełami; lecz drezdeńskiéj Madonnie, zdaniem naszém, bezwzględnie palma należy. Darmstadzka piękna, gdyby samą była, traci na porównaniu. W dwóch prawie jednakich obliczach i typach, wyraz wcale różny, a drezdeńska wyżéj się ku ideałowi podnosi.

Nic bardziéj nauczającego nad przejście od Sykstyny do Holbeina; jestto jakbyśmy z Rzymu nagle zostali przeniesieni do Norymbergii lub Bazylei. Trzeba jednak pamiętać, iż Rafael miał za nauczyciela Perugina, za wzory antyki, za współzawodnika Michała Anioła, a Holbein czerpał prawie sam z siebie i siłą własną dźwigać się musiał do tych wyżyn, na których stanął. Gdybyśmy jego postawili w warunkach równie korzystnych, któż wie, jak daleko, nie tracąc indywidualności swéj, mógłby się podnieść?

Nie wiem, czy w któréjkolwiek z europejskich galeryj tyle kopiowano, czy z któréj tyle zrobiono wszelkiego rodzaju reprodukcyj, począwszy od serwety i porcelany, aż do pastelów i oleju, sztychu i litografii. Wybór dzieł, które się nieustannie powtarzają i dostąpiły szczególnego uznania, słusznie czy nie, będzie dla nas najlepszą wskazówką, do zatrzymania się przed niemi.

Po berlińskiém muzeum, dosyć obfitém w obrazy szkół włoskich, przedrafaelowskie drezdeńskie wyda się ubogiém. Przyczyną tego jest, że ocenienie pierwiastkowych dzieł sztuki i ich ważności dla dziejów malarstwa, przyszło dosyć późno. Gdy Augustowie zbierali obrazy, cenniejszy był stokroć Carracci, niż Fra Angelico, Correggio niż Bellini, nie upędzano się za posiadaniem tych płócien surowego często na pierwsze wejrzenie, a niezbyt miłego oblicza. Berlińskie muzeum zbierano właśnie w chwili, gdy Overbeck, Veit, Schnorr, Cornelius, zaczęli się kształcić i nową szkołę, na staréj chrześcijańskiéj budować. Do Drezna więc dostały się z tych epok pierwotnych, tylko przypadkowo niektóre obrazy i to nie najcelniejsze starych mistrzów. To, co tu stoi pod nazwiskiem Fra Angelico da Fiesole, może nawet i do jego szkoły zaliczyć się nie daje, bo Fra Angelico właściwie szkoły po sobie nie zostawił, a jeśli miał uczniów, ci jego prostoty i wdzięku, charakteru jego nie przyjęli wcale. Przedrafaelowski cały oddział, godzien zapewne studyowania, nie nastręcza nam nic wybitnego. Autentycznego nawet Leonarda da Vinci niéma tu, a obraz z jego szkoły zatytułowany jest w ten sposób dosyć arbitralnie (Herodyada z głową św. Jana).

Rafaela oprócz Madonny di San Sisto, są tylko dobre i liczne kopie stare, zasługujące na uwagę. Dawniejsze z oryginałów powtórzenia, sumienniejsze, technicznie lepsze, mają wielką wyższość

nad nowemi, w których kopiści zawiele sobie pozwalają, a zamało trzymają się pierwowzorów. Kopia św. Cecylii, Madonny della Sedia, pięknéj ogrodniczki, godne są miejsc, które w muzeum zajmują.

Do gwiazd i pereł muzeum liczą się obrazy Correggia, po większéj części nabyte ze zbiorem ks. Modeny, a między niemi niegdyś wynoszona bardzo wysoko owa noc (Narodzenie Pańskie) i pokutująca Magdalena, któréj kopia wisiała niegdyś nad łóżkiem Stanisława Augusta, jako najulubieńsze mu dzieło artystyczne. Przyznajmy się naprzód do téj ułomności, że nie jesteśmy zwolennikami Correggia, zatém i o tych utworach sądzić nie chcemy. Należą one do obrazów z wielką umiejętnością i kunsztem a bez natchnienia malowanych, w których rozmiłować się nie umiemy. Unoszą się dotąd ludzie nad cudowném światłem nocy Correggia, nad wymuskaną Magdaleną, w któréj pokutnicy dopatrzyć trudno. Dla nas najpiękniejszym i prawdziwie pięknym jest tylko portret (*Il Medico*), w którym znakomitego czuć artystę. Wreszcie wolimy już dwie Madonny jego, niż *Noc* i *Magdalenę*. Sztuczka ze światłem od dziecięcia promieniejącém, sam ten pomysł może szczęśliwy, obraz Narodzenia uczynił sławnym, a uznany za arcydzieło utrzymał się już tradycyjnie na uzyskaném raz stanowisku.

Daleko słuszniéj wielbiony jest Tycyana *Cristo della Moneta*, wistocie jedna z najcelniejszych ozdób muzeum. Obraz niewielki, z dwóch figur złożony, pomysłem i wykonaniem niezrównany, myśl i sztuka, z jaką ona przedstawioną została, wyraz powagi pełen i spokoju ślicznéj twarzy Chrystusa, czarowny koloryt, najdrobniejsze szczegóły zachwycają patrzącego. Obraz ten malował Tycyan dla księcia Ferrary. Kontrast twarzy boskiéj i fizyognomii faryzeusza, kuszącego zapytaniem, czy należy cesarzowi opłacać podatek, zestawienie tego człowieka spodlonego z ideałem, nigdy szczęśliwiéj, dobitniéj nie było wykonaném. Można przykryć *twarze* a patrzéć tylko na dwie zbliżone do siebie *ręce* Chrystusa i Faryzeusza, by w nich cały ten dramat wyczytać. Charakterystyka rąk tak jest przedziwną, jak twarzy. Utrzymują, że obraz, który należy do restaurowanych, w pierwszych czasach po zakupie przez Palmerole'go, stracił przez odczyszczenie wiele z siły i potęgi pierwotnego kolorytu. W tym samym gabinecie wisi stara jego kopia, piękna, ale najlepiej przekonywająca, jak wogóle kopie są dalekiemi od oryginałów. Z Tycyana dzieł oprócz Chrystusa tego, kilka innych jest bardzo pięknych; Wenery w rodzaju naówczas ulubionych, a nadewszystko portrety młodéj panienki z kwiatami, dziewczynki w białéj sukni, i Lawinii córki malarza. Koloryt jego harmonijny, ciepły, żywy, ściąga mnóstwo kopistów, którzyby ra-

dzi tajemnicę jego pochwycić. Tintoretta jest tu kilka prób, ale tego malarza potrzeba widzieć i studyować w Wenecyi, aby niesłychaną płodność jego i rozmaitość ocenić. Szczęśliwiéj reprezentowany tu Paweł Weroneńczyk (Veronese) obrazem godów w Kanie, Chrystusa w Emaus, znalezieniem Mojżesza i t. d. Weroneńczyka kompozycye wszystkie się odznaczają tém bogactwém figur, draperyj, przepychem szat, sprzętów, architektury, które i wiek i ducha epoki i kraj, dla którego malował, cechuje. Natchnienia religijnego, prawdy w nich szukać byłoby daremném, ale historya współczesna doskonale choć mimowoli wypowiedziana. Kilka pięknych obrazów Caraccich, kilka prawdopodobnie przyznanych Dominichinowi, należy widzieć i dłużéj zatrzymać się przed niemi.

Guido Reniego głowa Chrystusa, cierniem uwieńczona, należy do najczęściéj kopiowanych i uwielbianych najwięcéj, chociaż wieleby o tém mówić można. Od ideału do ogólnika bywa bardzo blizko. Ta głowa Chrystusa pozująca, wypiękniona, bez silniéj oznaczonego wyrazu, zachwyca tych, którzy się komunałami wytwornemi zaspokoić mogą. Prawdziwego znawcę i miłośnika sztuki poznać najłatwiéj przy obchodzie galeryi, po wrażeniach, jakie ona na nim czyni. Ów Guido Reni przeznaczony jest dla tych, którzy się téż zachwycają przy Carlo Dolce i Nocy Correggia. Carlo Dolce ma tu znaną ze sztychów sławną św. Cecylię, Herodyadę i Chrystusa błogosławiącego chleb i wino. Ten ulubiony i stokroć reprodukowany Chrystus ma wszystkie zalety i wady mistrza, wypieszczony wdzięk rozmiękły jakiś i spazmatyczny, wielkie wykończenie i brak dobitniejszego charakteru; lecz jest bardzo popularny i pospolici ludzie smakują w nim wielce. Swojego czasu, wielkiéj téż sławy zażywała pokutująca Magdalena, Pompejusza Battoniego. Porównywano ją do Magdaleny Correggia. Wistocie godne są siebie.

Do uznanych za celniejsze obrazów włoskich, liczą się kopiowani téż wielekroć Caravaggia „Gracze“ i kordegarda, i kilka przepysznych dzieł Ribery, malowanych z tą energią i namiętnością, które artysta zachował w życiu, zarówno i utworach swych wszystkich. Może najcelniejszą z nich, jest prześliczna Marya Egipcyanka, postać wielkiego wdzięku wyrazu, śmiało rzucona na płótno, z zuchwalstwem podziwienia godném. Należy ona do pereł, przed któremi rzadko kiedy braknie kopistów, najczęściéj jednak ograniczają się oni samą głową i torsem świętéj.

Salvatora Rosy jest tylko jeden portret satyryczny i krajobraz z burzą, za mało by go z nich poznać można było. Innych włoskich malarzy cenne dzieła, przewyższające może wartością rzeczywistą te, które powszechną uzyskały sławę, musimy z żalem po-

minąć, bo długą jeszcze drogę mamy przed sobą, chcąc tylko celniejsze wspomniéć rzeczy. Zapiszemy tu tylko mnogie obrazy Antoniego Canale i Bernarda Canaletto, których nigdzie może tyle razem jak tu widziéć nie można. Z malarzy widoków i krajobrazów, między współczesnemi odznaczają się oni wielką prawdą i poczuciem natury. Ze szkoły flamandzko-holenderskiéj pierwotnéj, na szczególną uwagę zasługuje van Eyck'a maleńki ołtarzyk, który był niegdyś w posiadaniu Karola V i służył mu w jego podróżach, prześlicznie wykończone, wysokiéj wartości dzieło; Memmlingowi przypisywany jest maleńki portrecik, mający przedstawiać Antoniego ks. Burgundyi, sławnego eks-kowala, który z miłości malarzem został, Quintina Messys są wekslarze czy lichwiarze wyborni, jakich on często powtarzał. Mijamy wielu mniéj sławnych i znanych; Rubensa ma muzeum dzieła mnogie i dobrze przedstawiające ten impetyczny talent improwizatorski, jaskrawy, bogaty, więcéj dbający o efekt niż o prawdę, o barwę niż o rysunek, polowania, nimfy, bóstwa nagie, boginie dobrze utuczone, Herkulesów i t. d., ale zarazem przepyszne i niezrównane portrety, dzieci artysty, żony jego, kobiet i mężczyzn kilku, których imiona nas nie doszły. W tych Rubens istotnie jest wielkim malarzem, kolorystą i poetą. Dla ciekawych zalecamy téż krajobraz dramatycznie i po Rubensowsku pojęty z okolic Eskuryalu. Obok portretów Rubensa, stanąć tylko mogą do walki Van Dyck'a, które w milczeniu i zachwycie podziwiać trzeba.

Wielce nauczającém byłoby tu studyum portretów i portrecistów, których galerya posiada próby znakomite, począwszy od Holbeina do Van Dyck'a, Rubensa i Rembrandt'a. Rodzaj ten, który zszedł nieraz do najnieznośniejszéj karykatury, tu podnosi się do wartości historycznéj. Cała epcka mówi z tych ludzi i płócien, czytamy ją jak z kroniki, uczymy się jéj obyczaju, jéj fizyognomii, pojmujemy lepiéj, wpatrzywszy się w te postacie, które przychodzą z grobu świadczyć o czasach swoich. Pod względem sztuki, techniki, śmiałości pędzla, są to arcydzieła niezrównane. Każdy z portretów wzięty z osobna, jest jakby biografią człowieka, stanąć tylko trzeba i czytać. Mówi w nich wszystko, aż do rozdartéj i pomiętéj rękawiczki. Nauczyć się z tego można, iż w malarstwie zaprawdę niéma niższych i wyższych rodzajów, są tylko wielcy i mierni artyści, którzy, czy malują kwiaty i motyle, czy ludzi, czy naturę, potrafią z nich zrobić coś martwego i chybionego. Kura Hondekoetera więcéj warta, niż historyczny obraz bazgracza.

Portretami van Dyck'a galerya drezdeńska sławić się może, należą one do najpiękniejszych dzieł mistrza. Bogaty także jest zbiór Rembrandtów... Dziś już nikt w świecie podobnegoby największym

kosztem nie złożył. Wielkich rozmiarów kompozycye historyczne, przedziwne portrety (malarz z żoną z kielichem wina w ręku) i oryginalny krajobraz, dają nam ze wszech stron poznać wielkiego mistrza świateł i cieniów. Krajobraz ten, godzien jest być porównanym ze znajdującym się w galeryi florenckiéj. Kopiści najczęściéj się tu znajdują przed portretem Rembrandta z żoną, jego córki i głowę starca, na którą porywają się z heroiczną prawdziwie odwagą. Mnogie są także i piękne Teniers'y, których nikt nie kopiuje, równie jak Adryana van Ostade.

Filipa Wouverman'a, w swoim rodzaju znakomitego prawdziwie artysty, galerya ma prześliczne i w liczbie wielkiéj kompozycye, na te jednak mało się waży kopistów, bo wymagają wykończenia i delikatności tonów, na jakie nie każdy zdobyć się może. Gerhard Dow'a kopiują tylko na porcelanie, co może jest najwłaściwszém dla tych miniaturowych, niezmiernego wylizania obrazków. Galerya ma arcydzieła jego, starego skrybenta przycinającego pióro, dentystę, prządkę i ulubionego a oklepanego wielce pustelnika. Pustelnik szczególniéj wabi tych, których zachwycał Carlo Dolce. Żaden jednak z obrazków nie jest powszechnie wielbionym, jak białe plecy Agary, którą nielitościwy starzec wypędza z synkiem na pustynię. Mówimy o van der Werffie. Znajdujemy tę Agarę zalotną, powtarzającą się do nieskończoności w całém Dreźnie, a ci, co ją admirują, są najpewniejsi, że mają z arcydziełem do czynienia. Złudzenia tego nie chcielibyśmy odejmować szczęśliwym prostotą ducha wędrowcom. Wistocie, malowanie jest cudownéj delikatności i wypracowania, ale na tém koniec. Jako wzór do porcelany, nic właściwszego.

W krajobrazy nawet dawniejszych malarzy zbiór drezdeński, dość jest bogatym... Breughl'e, Roland, Savery, Bril, Berchem, van de Velde, Potter i wielu innych, są dobrze reprezentowane, ale najbogatszy, najciekawszy i najcenniejszy, jest Ruysdael. Stanąwszy przed jego obrazami, zapomnieć można o innych, a nawet resztę pominąć. Ruysdael, jako pejzażysta, zostawia po za sobą wszystkich współczesnych, poprzedników i wielką liczbę swych następców. Gdyby nie było Hobbemy możnaby powiedzieć, że zmarł bezpotomny. Hobbemy, galerya drezdeńska nie posiada żadnego. Zato Ruysdal'e niezrównane.

Na czele ich stoi to zagadkowe płótno, które się poematem nazwać może: *Cmentarz żydowski.* Mistrz nie stworzył nic równego temu dziełu natchnienia i uczucia, z któregoby prawie wnieść można, iż sam do rodu prześladowanych wygnańców należał. Cmentarz Ruysdael'a jest może jedynym obrazem popularnym bardzo, a mimo to na swą sławę zasługującym. Wieje z niego tajemniczy

smutek jakiś; jakaś idea fatalnaści i przeznaczenia, którą każdy kamień wypowiada. Ruiny gmachu, drzewa, groby, woda, niebo—wszystko tu przesiąkło tęsknotą i bólem. A na czarnéj chmurze w głębi, jakby widmo tęczy jaśnieje, pytanie rzucone obietnicom biblijnym. Cóż miał oznaczać ten łuk przebaczenia, jeśli na ziemi przekleństwa jest tyle? Przed tym krajobrazem godziny długie przesiedzieć można. Na tych smętnych krzewach mogilnych, co znaczą kwiaty? Wszak na niebie jest jesień burzliwa, dlaczego w nich rozkwita wiosna? Jednym z głównych warunków w malarstwie, jak w każdéj sztuki gałęzi, jestto niedopowiedzenie myśli, jest tajemniczość jakaś, którą patrzący odgadywać musi. Cmentarz ten drażni, zmusza do myślenia, wiąże i pozostaje wyryty w pamięci na zawsze. Przyczynia się zapewne do wywarcia tego wrażenia i przedziwne wykonanie obrazu. Przypatrując mu się troskliwie, porównywając go z innemi Ruysdaela, znajdujemy wyższym od prawie wszystkich, pilniéj studyowanym, ale toby nie starczyło, gdyby go myśl zawarta w nim nie opromieniała. Starannością w malowaniu dorównywa niemal cmentarzowi zamek Bentheim, lecz nie czyni już tego wrażenia, zdumiewamy się artyście, ale nas nie porusza do głębi. Inne krajobrazy, klasztor, polowanie, droga przez las i t. p., mają także znakomite zalety pędzla, i wogóle można tu z korzyścią studyować pejzażystę, którego dzieła do kosztownych i rzadkich należą. Cmentarza widzieliśmy kopie różne, nie wierzymy, ażeby go można skopiować. Drobne krajobrazy Everdingena widzieć warto; potém już tylko kury Hondekoeter'a i kwiaty van Huysen'a.

Przychodzimy wreszcie do szkoły niemieckiéj, któréj pierwotnych malarzów i obrazów jest dosyć, aby się przekonać, jak naiwnie realistyczną była już w kolebce. Obrazy te nie nęcą zwiedzających muzeum, pozór ich surowy, koloryt ostry, rysunek ułomny, smak dziwaczny, a mimo to wszystko, dla myślącego badacza dostarczają obfity materyał, mnóstwo w nich rysów, zabytków tradycyi, średniowiecznych legend i pojęć, sama nawet technika ciekawa i ideał owych wieków, który już choć nieudolnie w twarzach opromienionych się objawia. Albrechta Dürera ma muzeum prace mniejszych rozmiarów, nie dorównywające monachijskim, Kranachów dobór większy, Holbeina madonnę, o któréj mówiliśmy i rysunek Moretta, jego arcydzieło, niezliczonych innych mistrzów XVI i XVII wieku, obfitość. Z tego jednak mnóstwa, oprócz Holbeinowskiéj Madonny, żadne dzieło popularności nie zyskało.

Mało znanym jest utalentowany Dietrich, zmarły 1774 r., którego naśladowania różnych mistrzów i kopie, równie jak oryginal-

ne kompozycye, zasługują na uwagę. Warte są także obejrzenia obrary Rafała Mengs'a, Angieliki Kaufmann (portret kobiety w bieli, ulubiony i często kopiowany) i wielu innych.

Szkoła hiszpańska rzadko w któréj galeryi europejskiéj tak świetnie występuje, jak tutaj. Morales, Herrera, Zurbaran, Taldes, Cano, Murillo, Leal, przedstawiają się z celniejszemi dziełami swemi. Madonna Murilla liczy się do najgłośniejszych i najpowszechniéj powtarzanych obrazów. Jest ona wistocie piękną wyrazem tęsknoty i wdziękiem, a jako studyum dla artysty, bardzo ponętną. Nie mniéj piękny, piękniejszy może jest święty Rodryg Murilla, któremu anioł przynosi palmę męczeńską. W téj całéj szkole hiszpańskiéj wielka powaga, majestat i szlachetność, i różni się ona charakterem od wszystkich innych; uczucie religijne jest w niéj głębsze i szczersze.

Ze szkoły francuskiéj, wzmiankujemy mało komu wpadających w oczy Poussinów, a głównie Claude Lorrain'a. Dwa krajobrazy tutejsze, niezmiernie wykończone, dają zupełne wyobrażenie jego maniery i stylu. Znane są one ze sztychów wielu, lecz powietrza, światła, głębi ich, kolorytu, nie potrafi żadna reprodukcya powtórzyć. Natura jest komponowaną, teatralną, ułożoną dla widza, więcéj w niéj kunsztu niż prawdy, lecz kunszt ten tyle ma wdzięku, taką loikę całości, iż się zapomina o rzeczywistości, uznając w tém kłamstwie pięknem niby objaw nowego, innego świata.

Wyliczone tu celniejsze obrazy galeryi radzilibyśmy zwiedzającym obejrzeć naprzód i poświęcić im trochę czasu, a potém przebiedz jeszcze tych dwa tysiące płócien, szukając co największe uczyni wrażenie. Przybywający do Drezna zwykle zatrzymują się krótko, przesuwają się raz wśród tego mnóstwa najrozmaitszych płócien, ledwie mają czas rzucić okiem, coś pochwycić i mówią, że zwiedzili galeryą drezdeńską. Właściwie kilku miesięcy potrzebaby, na dobre jéj poznanie. Lepiéj więc nie mając dosyć swobody dla widzenia całości, widzieć niewiele a dobrze. Sztuka ma to do siebie, iż potrzebuje, aby w nią wniknąć, aby myśl nad nią pracowała. Można z mało na pozór znaczącego utworu, dobyć nią wiele, a najsilniejsze arcydzieło nie roztworzy się przed patrzącym, jeśli on mu czasu i rozwagi poświęcić nie zechce.

Przeglądanie pobieżne męczy nie ucząc wcale, zaspakaja próżność, karmi chwilowo ciekawość, nic nie wnosi do duszy. Są obrazy, nad któremi artysta pracował lata, a latami może rozmyślaćby nad niemi należało. Bardzo często dzieło sztuki znane powszechnie długo, dopiéro w jakiéjś chwili szczęśliwéj objawia się nam z tajemniczym swym wdziękiem, z duszą swoją.

W gmachach, zawierających galeryą, niemniéj zajmujący znajduje się zbiór pastelów, wśród którego króluje owa wiedeńska kelnerka, znana pod nazwiskiem pięknéj czekoladniczki, Liotarda, co dostąpiła tego honoru, iż ją w Dreźnie co krok się spotyka, a! nawet żywą w ulicy. Kielnerki drezdeńskie potrafiły sobie dla przypodobania się zapewne miłośnikom owéj idealnéj czekoladniczki, wyrobić fizyognomią i postać pokrewną. Prześladuje cię tu mdła ta i wykrygowana panienka ze swą niby skromniuchną minką, co chwila. Wszystkie cukiernie wzięły ją za patronkę, niéma funcika karmelków, ani kawałka czekolady, na którychby się nie znalazła, masz ją z mydła, z cukru, z drzewa, sztychowaną malowaną, wylepioną z porcelany, idzie za tobą jak widmo, dławi cię w końcu nieznośną figurką swą, z którą się rozminąć niepodobna. Kto pierwszy w taką niesłychaną modę wprowadził tę czekoladniczkę, dojść trudno. Zdaje się, że w téj epoce, gdy Stanisław August obrał sobie za patronkę Magdalenę Correggia, musiał ktoś z wysoko położonych znawców zakochać się w téj sztywnéj kielnerce. I z tego nieszczęście całe. Drezno jest z natury swéj wielce zachowawczego ducha, sława raz zdobyta, konserwuje się tu i rośnie, nie będąc, jak u nas, narażoną na fantazye mody. Nauczono się czcić pastel Liotard'a i przyszłe pokolenia ojców, tradycyj wiernemi pozostaną. Średnio licząc, w roku wychodzi w świat rozmaitych kopij owéj czekoladniczki, co najmniéj kilkadziesiąt tysięcy. Niéma w Droznie popularniejszéj postaci nad nią, żadna z Madonn nie może iść w porównanie. Smutne to, ale prawdziwe.

Po zwiedzeniu galeryi, miłośnikom sztuki należy zajrzéć przynajmniéj do bogatego zbioru sztychów i rysunków, znajdującego się w tym samym gmachu. Nie zabraknie zresztą chcącym uczyć się i oglądać muzeów wszelkiego rodzaju, historyi naturalnéj, zbroi, pamiątek, zabytków i t. p. Sumienny turysta, który to wszystko chce koniecznie pożrzéć w przeciągu dni kilku, dostanie pewno niestrawności. Oprócz samego zamku, Zwingru, zbrojowni przy królewskich stajniach, gabinetów zoologicznych, pozostaje cały pałac Japońskim zwany, z antykami swemi, biblioteką i jednym z najwspanialszych w Europie zbiorem wzorów wszelkiego rodzaju porcelany. Pałac, Japońskim zwany, otoczony pięknym, nad brzegiem Elby położonym ogrodem, znajduje się na Nowém Mieście. Dawniéj zwano go pałacem holenderskim. Zbudowany był w roku 1715 przez feldmarszałka, hrabiego Flemminga, o jedném tylko piętrze; w roku 1717 kupił go August II, rozszerzył i przeznaczył na letnie mieszkanie. W roku 1729 połączono przybudowane skrzydła w jednę całość i dodano front, jak

jest dzisiaj. Przyozdobiony w posągi, przybrany, przeznaczony został na galeryę obrazów i dzieł sztuki; a powiększono w nim potém bibliotekę, zbiory antyków, medalów i porcelany. Biblioteka jeszcze w XVI wieku zbierać poczęta, do Drezna przywieziona w roku 1580, mieściła się na zamku. Wcielono do niéj zakupione prywatne zbiory kilku uczonych, książąt z domu saskiego i pojedyńcze rozrzucone kolekcye, tak, że dziś dochodzi do 300,000 tomów i kilku tysięcy rękopismów. Nie potrzebujemy mówić o tém, iż do historyi naszéj i krajów słowiańskich, materyały są tu obfite. Piękny téż jest zbiór inkunabułów i pierwszych wydań ksylograficznych. Wszystko we wzorowym porządku i utrzymane ze staraniem wielkiém. Katalogi, do użytku bibliotekarzy służące, wynoszą przeszło sto tomów in folio. Przystęp do niéj jest bardzo łatwy, uczynność wielka.

Do osobliwości wystawionych w dwunastéj sali w szafach za szkłem, należą rękopismy biblii, hebrajski, grecki z XI wieku, Albrechta Dürera rękopism, dzieła o proporcyach ciała ludzkiego z rysunkami, mnogie autografy, rękopism meksykański malowany na liściach agawy (aloesu), miniaturowe i illustrowane na pergaminie rękopismy i t. d. i t. d. Wszystkich sal przez bibliotekę zajętych jest około trzydziestu. Oprócz tego, Drezno ma mnogie biblioteki do familii królewskiéj i rozmaitych stowarzyszeń należące. Biblioteka prywatna królewska z przeszło 50,000 tomów złożona na zamku, nie jest téż nieprzystępną, ale na to potrzeba pozwolenia osobistego króla jmci.

Zbiór antyków, po rzymskich i paryskich, nie wiele może obudzić zajęcia. Składa się on z różnéj wartości nabytków w XVII i XVIII wieku poczynionych, między innemi z zakupionych brandeburskich u króla Fryderyka Wilhelma I w roku 1723 — 28, przez Fryderyka Augusta II, antyków, do których król pruski nie przywiązywał wartości. Weszły tu prywatne zbiorki kanonika Bellori z Rzymu, księcia Chigi, kardynała Albani, część po Eugieniuszu, księciu sabaudzkim, po Wackerbarth'ie i t. p. Wszystko to stało w pawilonie w wielkim ogrodzie, a nawet pod gołém niebem, dopóki w roku 1785 nie przeszło do Japońskiego pałacu.

Ze szczególném zajęciem ogląda się tu zbiór, przeważnie słowiańskich, serbskich starożytności, urn, bronzów i t. p. po Preufkerze nabytych, do siedmiuset sztuk wynoszący, w którym jedna urna nieznanemi charakterami dokoła otoczona.

Jedyny może w Europie zbiór porcelany, ułożony systematycznie przez Klemma, mieści się w dziewiętnastu salach w sutere-

nach. Są to stare japońskie, stare chińskie wazony dziwnych form, naczynia, zwierzęta fantastyczne, talerze, ogromne, nakształt wanien donice, najrozmaitszemi barwami malowane. Osiemnaście olbrzymich naczyń pokazują tu za osobliwość, które August drugi pomieniał z Fryderykiem Wilhelmem I, królem pruskim, na ogromnego wzrostu żołnierzy! Historya porcelany saskiéj, jéj początków, wydoskonalenia i ulepszeń, żywo się tu przedstawia. Wyliczyć tych ceramicznych wyrobów wszelkiego rodzaju ani się pokusić można, sam rysunek naczyń, charakterystyka jego, styl, techniczne wykończenie, są niezmiernie ciekawe, gdy się z różnych wieków i krajów zebrane próby porównywać może.

LI.

Ogrody i przechadzki.— Wielki ogród (Grosser Garten), gospodarstwo w nim, ozdoby jego, pałac.—Ogród zoologiczny.—Stare drzewa. — Buki. — Zabawy w ogrodzie.—Okolice. — Wille. — Winne góry. — Ogródki, piwo i piwiarnie.— Kawa. — Szwajcarya saska. — Wycieczka Elbą.—Bastei.—Widoki.—Pilnitz. — Weesenstein.—Moritzburg.—Saksonia dawna.—Położenie obecne i t. d.

W pośrodku miasta jest dosyć małych ogródków i alei, niepodobna się uskarżać na brak drzew i zieloności, ani na niedostatek miejsc, w którychby się spokojnie przechadzać można, nie szukając ich daleko. Brühlowski taras, ogród za Zwingrem, kilka znaczniejszych w samém mieście, ogródki przy restauracyach i piwnicach rozweselają oko znudzone białemi jednostajnemi murami. Prawdziwi jednak Drezdeńczycy, którzy mają wszczepione sobie od dzieciństwa pragnienie świeżego powietrza i swobodnéj natury (freie Natur), skoro dzień piękniejszy błyśnie w niedzielę i czas wolniejszy, tłumami się z miasta wynoszą, szukając drzew, cienia i choćby pozoru wioski. Ulubionemi miejscami, do których się czynią wycieczki, najczęściéj pieszo a ubożsi rodzice wioząc jeszcze małe dzieci na wózkach i całą zwykle zabierając rodzinę, są: wielki ogród publiczny, Błażewicze (Blasewitz), Waldschlösschen i mnogie restauracye z ogrodami, otaczające miasto dokoła. Najprzyjemniejszą z tych przechadzek a może najulubieńszą dla prawdziwych Drezdeńczyków jest tak zwany wielki ogród (der Grosse Garten).

Leży on w niewielkiém oddaleniu od dawnéj rogatki gościńca do Pirny wiodącego, a łączy się przez Bürgerwiese z samém miastem, tak, że dziś już jest do niego prawie wcielony. Znaczna przestrzeń, kilkaset morgów wynosząca, zarosła jest przepysznemi staremi drzewami, dębami kilkusetletniemi, lipami i bukami olbrzy-

miemi, jakich nigdzie indziéj spotkać w wyrąbanéj staréj Europie nie można. W r. 1678 była tu bażantarnia założona przez Jana Jerzego II, około r. 1720 rozszerzono ją i przyozdobiono, starając się coraz bardziéj upiększać. Wspaniałe wnijście, a raczéj wjazd przyozdabiają dwie wielkie marmurowe wazy rzeźbione przez Corradiniego, z allegorycznemi obrazami czterech pór roku i czterech części świata. Szeroka ulica cienista wiedzie środkiem do pałacu w r. 1679 założonego i rozpoczętego, skończonego późniéj i przyozdobionego w smaku XVIII wieku. W wielkiéj jego sali na górze znajdują się wizerunki nieszczególne, tylko ośmiu główniejszych ulubienic Augusta II. Na dole mieści się zbiór starożytności kościelnych w Saksonii zebranych, należący do stowarzyszenia saskich starożytników. Sprzęty kościelne, ołtarze, obrazy z czasów katolickich, rozmaitego rodzaju zabytki rzeźby, kunsztu, wyrobów, tkanin, rękopismy, pieczęci, sprzęty, starożytności nawet z czasów przedchrześcijańskich, zasługują na obejrzenie; kościelne starożytności najważniejszą część stanowią. W ogrodzie, którego część nosi jeszcze ślady dawnych szpalerów, amfiteatru i alei sadzonych, a część znaczna jest angielskim parkiem, znajdują się liczne gospodarstwa (Wirtschaften), to jest restauracye i kawiarnie, począwszy od *Grosse Wirtschaft*, gdzie grywa kilka razy na tydzień muzyka, aż do skromniuchnéj Pikarty, na samym kraju, gdzie świeżego mleka i dobréj kawy dostać można. Przed wielkiém gospodarstwem, gdzie się zwykło zbierać dobrańsze towarzystwo, marmurowa grupa jedna, druga przed pałacem, dwie u wjazdu, nie licząc waz ozdobnych z figurami, z całą swobodą XVIII wieku przedstawiają różne nader moralne allegorye, które wyglądają niekoniecznie przyzwoicie na pierwszy rzut oka. Czas, który piękność unosi, ma minę rozpustnika. Corradiniego Centaury także bawią się jakoś na sposób Augusta II.

Oprócz licznych ogródków w ogrodzie, wystawiono tu teatr letni, a część zajęto na piękny ogród zoologiczny, w którym nietylko dzieci uczą się historyi naturalnéj na żywych wzorach, ale starzy zabawiają, przypatrując dziwnym obyczajom swych... przodków. Tak przynajmniéj z Darwinem dziś utrzymują uczeni. Prostaczkom wątpię, żeby to pokrewieństwo smakowało, chociaż małpy wistocie przypominają czasem ludzi, a wiele stworzeń rozumem nas zawstydza. Ogród zoologiczny piękny jest i urządzony wzorowo. Największą jednak z ozdób ogrodu są niezawodnie jego buki prastare, dęby i lipy. Kto tych strzelistych słupów, podnoszących się hardo ku niebu potężnemi konary, wyrosłych tak bujnie, jakby w pierwszych wiekach po potopie, nie widział; ten nie zna najpiękniejszych okazów drzew w Europie. Buki

w lasach na wyspie Rugii i gdziekolwiek się nam je widzieć zdarzyło, nie dorastają tutejszych, nie dorównywają im majestatem i potęgą. Przypomniały nam one wzrostem (tylko) niebotyczne drzewa puszczy Białowieskiéj. Wogóle wegietacya w wielkim ogrodzie wspaniała i bujna. W r. 1866 wymagania wojenne o mało tego drogiego miastu ogrodu nie zniszczyły, pruscy inżynierowie już go zaczynali wycinać, gdy wstawienie się królowéj wdowy Maryi ocaliło go. Padły ofiarą tylko drzewa nad brzegiem. Burza późniéj obaliła w zoologicznym ogrodzie kilka buków starych, stoi przecie jeszcze kilkanaście prześlicznych. W wielkim ogrodzie od wczesnéj wiosny począwszy, ludzi zawsze mnóstwo, ulice pełne, przy stoliczkach matki z pończochami, dzieci latają po trawnikach, nianiek z wózkami pełno. Uboższe rodziny niosą z sobą w koszyczkach taniéj kupione w mieście wiktuały, a biorą tylko kawę, aby mieć prawo zająć krzesełko, tam gdzie się za wejście nie płaci. Jeśli w Wielkiém Gospodarstwie gra muzyka wojskowa, w sąsiedztwie, *beim Hofgärtner*, doskonale ją słychać i bezpłatnie. Dalsze wycieczki w tę stronę prowadzą do Błażewic, wioseczki z mnogiemi willami letniemi nad Elbą, naprzeciw Łosznicy (Loschwitz) na urwistym drugim brzegu rzeki, wśród winnic rozłożonéj. W obu tych wioskach na lato gromadzą się cudzoziemcy i pobyt w nich jest przyjemny. W Blasewitz i Loschwitz zachowały się pamiątki Schillera, który Gretę z Blasewitz wspomniał w Wallensteinie. W ogródku stoi pomniczek poety, daléj domek, w którym, goszcząc u Körnera, jednę ze swych tragiedyj pisał.

Cały prawy brzeg Elby wspaniałemi i pięknemi willami jest zabudowany. Odznacza się między niemi książęca księcia Albrechta pruskiego, na dawnéj winnicy Findlaterowskiéj i wiele innych. W okolicy Drezna winnic tych okrywających wzgórza jest dosyć, chociaż, prawdę powiedziawszy, więcéj z nich przyjemności, niż pożytku. Wino raz w siedem lat dobrze obrodzi i dojrzeje, w innych jagody są kwaśne lub pomarzną, a urodzaj nie płaci pracy. Robi się wprawdzie Landwein jakiś i sprzedaje, ale ta limonadka na imię wina nie zasługuje. Takiemi być musiały owe winnice w naszych krajach, o których historya wspomina i nazwania miejsc świadczą. Winogrona saskie mięsiste, słodkie nawet, nie dorównywają najmniéj dobrym tyrolskim i węgierskim; brak im soku.

Przez Nowe Miasto piękną dosyć drogą, mijając dawniéj dosyć uczęszczany ogród w tak zwaném *Link'sche Bad*; idzie się lub jedzie do Waldschlösschen, skąd widok piękny bardzo na Drezno i okolice z wysokiego tarasu. Stoi tu ogromny browar piwny akcyonaryuszów, po pożarze 1857 roku na nowo wspaniale

odbudowany. Sławne jego piwa chwalą się tém, że wędrują do Ameryki; zdaniem jednak wielu znawców nie dorównywają one czeskim i wiedeńskim. Piwo w odżywianiu się całego narodu niemieckiego gra tak ważną rolę, że grzechemby było o niém coś nie powiedzieć. Jest to napój od kolebki do grobu towarzyszący Niemcowi, do którego nawyka dziecko przy piersi, bez którego nikt obejść się nie może. Warzą się go ilości nieprawdopodobne w niezliczonych browarach, ledwie potrzebom codziennym wydołać mogących. W saméj Saksonii i okolicy Drezna jest ich na wielką skalę kilkadziesiąt. Wszystkie robią świetne interesa i żadna kompania piwna, o ile wiemy, nie zbankrutowała. Oprócz tego z Austryi i Bawaryi przywozi się jeszcze wiele. Są nałogowi konsumenci piwa, którzy do dwunastu kuflów dziennie spotrzebowują. Zastępuje ono pokarm niedostateczny. Sam byłem świadkiem, gdy przyjaciel odwiedzając chorego przyjaciela i towarzysza, widząc go cierpiącym, na inny objaw współczucia zdobyć się nie umiał, tylko naiwnie nad łożem wykrzyknął (nie żartem):

— *Und kein Bier!* I piwa pić nie wolno!

Cierpienie było fraszką, ale zakaz używania tego napoju — co za boleść! Kobiety piją zapewne mniéj, lecz i one się bez niego obejść nie mogą. Ubodzy dają je dzieciom jako dodatek do obiadu. Po piwie drugim napojem niezbędnym jest kawa, która kończy każdy obiad, rozpoczyna dzień każdy, towarzyszy każdemu przyjęciu, zastępuje wieczerzę i t. p. Kawa ta pije się lekką i z niewielką ilością śmietanki. Dla przybywających cudzoziemców podają mocniejszą i „*verkehrt*", to jest z podwójną ilością śmietanki.

Ale powróćmy do Waldschlösschen, po-za którém ciągną się parki, do willi nad Elbą położonych należące, i droga wiedzie do najdalszego celu przechadzek do Białego Jelenia (*der Weisse Hirsch*). Z drugiéj strony wycieczki się odbywają do *Feldschlösschen*, w pięknéj okolicy położonego do *Reisewitzkiego* parku, do *Plauen* i t. d.

Dla obcych sławione piękności Szwajcaryi saskiéj są wielką ponętą. Nie wchodząc w to, jak niewłaściwie nazwano ją Szwajcaryą, i jak zupełnie różny jest charakter krajobrazu tego, musimy przyznać, iż wistocie część ta Saksonii wiele ma wdzięku; jest tylko nieco jednostajna, gdy się ją chce zwiedzić całą.

Dosyć jest, zdaniem naszém, ażeby mieć wyobrażenie Szwajcaryi Saskiéj, przepłynąć naprzód Elbę od Drezna jak najdaléj, chociażby do Bodenbach, gdzie się czeskie góry zaczynają, a po-

tém zwiedzić jednę Bastei, najpiękniejszy wzór krajobrazu tutejszego. Góra ta występująca ponad Elbą, z któréj prześliczny widok roztacza się na rozległą okolicę, wznosi się o 700 stóp nad poziom rzeki, a 941 nad powierzchnię morza. Wstąpiwszy na sam kraj skały, Elba wijąca się u stóp wydaje się tak blizką, iż każdemu się widzi, że kamieniem do niéj łatwo dorzucić może. Anglicy próbowali nawet ciskać talarami, nie wiedząc zapewne, iż istotne oddalenie tego cypla od rzeki wynosi 400 stóp. Po skałach okolicznych w stronie ku Rathen widać jeszcze ślady dawnych zamków z czasów serbskich, jak utrzymują. Na saméj Bastei stał pono taki gród kiedyś, a po drodze między skałami wiodącéj stąd do Rathen, znać w ścianach powiercone dziury i miejsca zasieków, może ku obronie przeznaczonych. Restauracya i gospodarstwo na Bastei wzniesione zostało dopiéro w roku 1827, sama piękność jéj odkryta późno i zużytkowana została a przyozdobiona wspaniałym mostem wymurowanym w roku 1850—51, z którego na przepaści w dole, góry i lasy widok prześliczny. Tysiące podróżnych zwiedza w roku Bastei i okrywa ściany dokoła rzeźbionemi i malowanemi napisami. Z tych niektóre, na ogromnych wyżynach z wielkim trudem i niebezpieczeństwem skręcenia karku kładzione, mimowolnie podziwienie obudzają, że autorowie ich inaczéj się wsławić nie umieli.

Z wyżyny téj cała Szwajcarya saska roztacza się panoramą przed oczyma, widać skałę Lilienstein, twierdzę Königstein i najrozmaitsze *steiny* aż w Czechach.

Kto ma bardzo wiele czasu, ten może dni kilka w pięknéj porze poświęcić oglądaniu innych części tego kątka wdzięcznego, po którym go chętnie oprowadzać będą przewodnicy od restauracyi do restauracyi; tych miejsc wypoczynku jest dosyć, a przemysł lasów potworzył tu różne ciekawości, punkta, których widoki mają być najpiękniejsze, ponazywał umiejętnie skały, poobiecywał wiele i zwabiał długo licznych wędrowców. Dziś, gdy prawdziwa Szwajcarya tak się do nas zbliżyła, mniéj zwiedza tę fałszowaną, ograniczając się tylko Bastei, z któréj widok na pielgrzymkę zasługuje.

W okolicy godném jest widzenia Pillnitz, letnia rezydencya królewska, o dwie godziny od miasta położona na prawym brzegu Elby. Pałac wzniesiony był w XVIII wieku, w stylu niby japońskim, czy chińskim, który naówczas był w modzie. Od roku 1763 zwyczajem jest, że się tu na lato dwór przenosi. Otaczają pałac piękne ogrody i mnogie zabudowania. Zwiedzającym

ukazują tu piękne sale przyozdobione freskami, stare ciekawe portrety, kaplicę i t. p. Przewodnicy zalecają bardzo podróżnym wycieczkę stąd do fałszywéj ruiny Rozbójniczego zamku (Raubschloss), z któréj widok jest piękny na Elby dolinę, ale piękniejsza jeszcze jest kasztanowa i lipowa aleja, która z Pillnitz ku Bastei prowadzi.

Rzadko kto ma sposobność widzieć bardzo malowniczo położony zameczek na skałach w Weesenstein, w którym król część jesieni przepędza; jest on przecież godzien widzenia, a od Pirny niezbyt oddalony, łatwo zwiedzonym być może. Łatwiéj jeszcze dojechać do Moritzburga, myśliwskiego pałacyku o trzy godziny od Drezna położonego, który pozostał takim, jakim był za Augusta III i jego poprzednika. Otaczają go stawy, zwierzyńce i ogród ze szpalerami i drzewy obcinanemi po staroświecku, szpetnie lecz oryginalnie. W pałacu są pamiątki wielkich łowów, rogi ogromnych jeleni i obrazy allegoryczne, w których miłośne przygody króla Herkulesa są przedstawione. Pałac ze wspaniałością wielką przyozdobiony, czasem jeszcze służy na przyjęcie gości dostojnych, przy zaproszeniach na polowania. Utrzymany jest dotąd, jak wszystko w Saksonii, z wielkiém poszanowaniem dla przeszłości. Przeszłość ta świetniejszą była niegdyś i dom saski miał nadzieję większą rolę polityczną odegrać, niż mu losy dozwoliły. Aż do roku 1866 Saksonia trwała w dawnym swym antagoniźmie z Prusami, wierna tradycyom, które je z dynastyą austryacką i polityką Austryi wiązały. Rok ten zmienił boleśnie, a stanowczo położenie Saksonii, która bodaj czy nie wstawieniu się i naleganiu Francyi winna była, że przy cieniu odrębności i niezawisłości pozostała. Poniosła wszakże ofiary ogromne materyalne i moralne, upokorzona, zmuszona przyjąć podyktowane jéj warunki, weszła odtąd do związku północnych Niemiec pod hegiemonią Prus, a dziś już do składu wielkiego cesarstwa niemieckiego. W ten tylko sposób ocalić się mogła, a wojna 1870 ściśléj w r. 1866 zawiązany sojusz spoiła. Ludność i wojsko, długo burzące się przeciwko przewadze Prus, zwolna w patryotyźmie niemieckim stopiło saski, chociaż wspomnienia, ślady, blizny jeszcze się może całkowicie nie zatarły. Czas z każdą godziną je zmniejsza, nowe pokolenia wyrosną z pojęciami nowemi, przejednane ze swém położeniem i rade z wielkiéj ojczyzny. W spadku po Saksonii wzięła Austrya ministra, który tak niefortunnie polityką jéj, mimo wielkiéj sławy, kierował. Nie okazał on się w Wiedniu szczęśliwszym dotąd, niż był w Dreźnie, lecz któż przyszłość odgadnie?

Rzadko który kraj tak bywa zadowolony swą administracyą, prawami, jakie nim rządzą, bytem swym, jak Saksonia; rzadko w którym tak mało się czuć daje walka życia i pochód społeczności mozolny, drogą postępu i rosnących idei. Tu jakoś idee z rzeczywistością kroczą w parze, spokojnie, cicho, zgodnie i „wóz państwa“ (le char de l'état) nie skrzypi, a popychają go odmalowane w sali tronowéj wszystkie stany, siłami wspólnemi. Gdyby co stałego było na ziemi, cieszyćby się zaprawdę można widokiem tego kątka, prawie szczęśliwego, bo niepragnącego rzeczy niemożliwych, i zadowolonego tém, co posiada.

LII

Berlin.—Stara osada Wendów.—Historya.—Zabicie ks. Cyryaksa.—Berlin rezydencyą kurfirstów. — Raubritterowie. — Kolhase.—Turnieje.—Zabawy.— Udana wojna.—Odzież.—Lippold.—Zamek.—Wzrost miasta i państwa.—Nowe zakłady w Berlinie.—Środki zachęcenia ludności.—Losy miasta.—Ludność jego. Słowiano-Giermanie.—Żołnierskie rysy w twarzy stolicy.—Rzut oka na miasto.—Kwartały i ulice.—*Pod lipami.*—*Militaria.*—Posągi na moście.—Sztuka i zamiłowanie w niéj.—Akademia sztuk.—Muzeum.—Stare i nowe.—Zbiory różne.—Prywatne kollekcye.—Zbiór hr. Raczyńskiego.—*Quis scit* co za górą? *Zakończenie.*

Jak Drezno i Lipsk, tak Berlin stoi téż na zdobytéj ziemi słowiańskiéj, nazwa jego nawet, co historykom zataić było trudno, jest (mówią półgębkiem) wendyjska. Dzisiejszy Berlin, od niedawna ze stolicy Prus metropolia niemieckiego cesarstwa, sposobi się do rozrostu i stołecznéj wielkości, jeszcze przecież nie jest grodem, jakim się być obiecuje. Jak Drezno przypomina Florencyą za ks.ks. toskańskich, tak Berlin podobny jest do Turynu w czasie, gdy on był stolicą Włoch wzrastających. Tu i tam wszystko niemal nowe, pod sznur, ten sam młodości i niesmacznéj teraźniejszości charakter. Jak Prusy, tak dawna ich stolica, najpóźniéj przyszła do wielkości swéj dzisiejszéj.

Osada Kolno i Berlin sięgają czasów podboju ziemi tych na Wendach. Zdaje się nawet, iż przedzielone Spreą dwa miasteczka, przez jakiś czas były w rękach Wendów jedno, w niemieckich drugie. Na prawym brzegu siedział już przyszły zdobywca, gdy na lewym trzymali się jeszcze starzy autochtonowie. W trzynastym wieku obie osady już były znacznie podrosły, a jednym z najstarszych aktów, tyczących się tego miejsca, jest list pasterski, nadający odpust pobożnym pielgrzymom, przybywającym do kościołów panny Maryi i św Mikołaja. W XIV w. dwa miasta łączą się, zrastają. W r. 1320 Berlin hołduje ks.ks. saskim. Jakże się czasy zmieniły! Jednym z najwybitniejszych faktów téj epoki

jest morderstwo przez Berlińczyków popełnione na księdzu Mikołaju Cyryaksie, nadwornym kaznodziei księcia saskiego, powszechnie nienawidzonego. Cyryaks w r. 1323 przybywszy tu, w kościele panny Maryi odezwał się do ludu z żądaniami, które gmina odrzuciła. Rozgniewany, a ufający książęcéj opiece duchowny nie wahał się klątwę rzucić na opornych, którzy porwawszy się nań, uchodzącego przed kościołem, zabili. Interdykt rzucony za to na berlińczyków, dopiéro w r. 1345 został zniesiony.

Aż do końca prawie XV w. kurfirstowie nie mieszkali w Berlinie, który był małego znaczenia; dopiéro Jan Cicero zwany, przeniósł rezydencyą z Tangermünde do Kolna, na lewy brzeg Sprei. Były to czasy raubritterów, w których choć oni podlegali jakiéjś wyższéj władzy, panami istotnie byli rycerze gościńcowi, rozbijający kupców i czatujący na podróżnych. Kurfirstowie musieli w ostatku wytępić tych swawolników, i kraj z nich oczyścić. Ale niełatwo to przyszło. Nie mogąc się doczekać sprawiedliwości, domierzano ją sobie o własnych siłach, jakie mieszczanin berliński Hans Kolhase, który za parę koni zabranych mu przez saskiego szlachcica wojnę wypowiedział i sam się na rozboje puścił, aż póki go nie pochwycono nareszcie i nie rozbito kołem. Ów Kolhase, którego dr. Luter próżno starał się uspokoić, bardzo mężnie bronił się przed sądem, a gdy mu, miasto męczeńskiéj śmierci tłuczenia kołem, ofiarowano lżejszą od miecza, odrzucił ułaskawienie, bo go nie chciano dać jego towarzyszom. „Braćmi-śmy byli za życia, rzekł, będziemy i ginąć razem.“

Miasto zwolna podnosiło się przez częste w niém wydawane turnieje. Na te zapasy rycerskie zjeżdżano się z całych Niemiec, a choć one zwykle niedługo trwały, miejscu, w którém się odbywały, przynosiły z sobą życie i rozgłośne imię. W historyi turniejów wprawdzie nie rychło występuje Berlin, ale się one kilkakroć tu powtarzają. W najstarszych z nich, wedle kronik turniejowych, brali udział i książęta z Polski i Szląska. W X wieku, znajdujemy w jednym z najdawniejszych turniejów Mieszka naszego, a późniéj jawią się od czasu do czasu Piastowie, w ten sposób kumając się z rycerstwem niemieckiém. Zabawy rycerskie czasem nie były dla wszystkich zabawne. Dla rozrywki księcia Joachima II w r. 1567, mieszczanie berlińscy ze Spandawczykami musieli wojnę udawać. Udawanie to o mało się smutną rzeczywistością nie skończyło. Z obu stron walka rozgorzała i z komedyi stała się zajadle prawdziwą. Kobiety spandawskie sądząc, że istotnie miasto oblężono, wybiegły prosić kurfirsta, aby ich ratował. Gorączka opanowała walczących, zaczęto, wprowadziwszy w zasadzkę berlińczyków, tłuc ich zapamiętale. Kurfirst chcący

rozbroić i walkę przerwać, wpadłszy z koniem między tłumy, mało sam życia nie postradał. Za kurfirsta Joachima ożywiło się nieco miasto dworem, ale życie to było trochę dziwne. Z owych czasów historyjki najlepiéj je odmalują. Kurfirst, który kazał dla książęcéj swéj satysfakcyi bić się berlińczykom ze spandawczykami, pilno przestrzegał, ażeby modnych pluder szerokich, kosztownych, hiszpańską formą nie noszono. Zoczywszy zakazaną odzież na ulicy, sadzał za nią mieszczan do ciupy (Narrenhäuschen), a szlachcicom kazał przerzynać pasy, które spodnią odzież podtrzymywały. Miewał też wcale osobliwsze kaprysy, bo mieszczan sobie obrzydziwszy, sprowadził napowrót wygnanych żydów i jednemu z nich, Lippoldowi, dał przy sobie podkomorstwo i mennicę. Zazdrośni mieszczanie, którzy ich nienawidzili, oskarżyli po śmierci Joachima żyda Lippolda o otrucie księcia, dali go na męki, wymogli zeznanie i po okrutnéj kaźni, rozszarpane ćwierci na palach poprzybijali.

W r. 1539, ewangielickie wyznanie uroczyście wprowadzono do Berlina. Za Joachima II zjawia się też tu sztuka; Medyolańczyk Baptista maluje dla kurfirsta, Theiss buduje zamek nowy, Cranach go przyozdabia. Była to na owe czasy budowa wspaniała, o trzech piętrach, z wielką salą na górze i galeryami, na których stały posągi książąt niemieckich. Miedzią kryte dachy i wieże wzmiankują kronikarze. Za Jana Jerzego, zamek ten powiększono jeszcze budowami nowemi. Za czasów tegoż powstało tu pierwsze gimnazyum w szarym klasztorze (po-franciszkańskim). Za Jana Zygmunta, pierwsi komedyanci sprowadzeni byli z Anglii i Niederlandów, skoczki na linie i muzycy. W czasie trzydziestoletniéj wojny ucierpiało miasto wiele, i śmiało też się poczęło o swe upominać straty. Zniechęcenie było powszechne, nawet ku książętom, gdy w r. 1640, tak zwany wielki kurfirst Fryderyk Wilhelm objął rządy. Z nim razem rozpoczyna się wzrost nagły i prawie nieprzerwany Prus, dotąd nie zapowiadających się wcale, jako przyszła Niemiec potęga. Miasto nie liczyło jeszcze nad kilkanaście tysięcy mieszkańców, ale rosło.

Proces wzrostu tego państwa i stolicy, musimy wyznać, cały polega na silnéj woli panujących; ona za sobą pociąga kraj, którego życia warunki wcaleby go nie usposabiały do tak szybkiego, cieplarnianego rozbujania. Prusy rosną przymusem, organizowane, pchane, kierowane wolą niezłomną kilku po sobie następujących królów, którzy je na sposób wojskowy karnie i ostro wiodą do przeczutych losów. Berlin też budują kurfirstowie i królowie, nie dobra wola mieszczan. Za Wielkiego kurfirsta Berlin obwarowuje się, rozszerza, nowe powstają ulice; i ludność od 14,000 dochodzi

do 20,000. Pierwsze lipy ulicy Unter den Linden, zasadza księżna Dorota. Dzieło, poczęte przez ojca, jeszcze żywiéj prowadzi król Fryderyk I; przywiązaniu do miejsca tego zawdzięcza Berlin, iż za stolicę nie obrał Królewca, który daleko większe miał ku temu prawa. W myśl Leibniza (Lubienieckiego), założoną zostaje w 1700 r. Akademia umiejętności. Za Wielkiego kurfirsta i jego następcy, Berlin nabrał był obyczajów francuskich, w modzie był strój, i życie wiodło się na wzór paryski. Za Fryderyka Wilhelma I, musiało to wszystko ustąpić; liczba gospód, których było poprzednio czternaście, spadła, kawiarnie i cukiernie znikły. Fryderyk Wilhelm I miał doskonały sposób pobudzania mieszkańców do budowania się, nakazywano urzędnikom pod grozą kary wznosić domy, a ubogich, którzy nie mieli za co, przymuszano do zapożyczania się i budowania. Tym sposobem *jussu regis*, miasto musiało się zwiększać. Tak samo prawie szło za Fryderyka W., który też do celu zmierzał stanowczo, nie troszcząc się, co po drodze obalić wypadnie. Budowano gwałtem, a choć Berlin czasu siedmioletniéj wojny ucierpiał, nie powstrzymała ona działalności króla. Dziejopisarze stolicy mówią, iż za Fryderyka Wilhelma II ożywiała się ona bardzo, ale zarazem obyczaje nieco zwolniały i po surowszych rządach poprzednich, pragnienie zabaw, które zresztą było powszechném w Europie, rozszerzyło nawet do klas mniéj zamożnych. Za tego panowania stanęły Brandeburskie wrota, ale cały Berlin mógł naówczas niemi wyjechać. Za Fryderyka Wilhelma III, smutne dni nastąpiły dla Prus i Berlina, zdawało się, że ta podrosła już potęga, która umiała korzystać ze wszystkiego, by się rozszerzyć, zagarnąć i skupiać coraz nowe kraje, złamaną zostanie na zawsze. W dniu 27 października 1806 roku, Napoleon wjechał zwycięsko do stolicy, a prezes policyi berlińskiéj, Büsching, mówił późniéj, że dzikszego i mniéj obyczajnego człowieka nadeń, w życiu swojém nie spotkał. Musiała jednak przetrwać tę złowrogą epokę ukryta siła jakaś, która do podźwignięcia się późniéj służyła. Myśl poprzedników świeciła przygnębionym następcom. Po wojnie, Berlin zaczął z podwójną szybkością dźwigać się i zabudowywać. Cały jeden kwartał jego powstał naówczas i nosi nazwisko króla Fryderyka Wilhelma.

Reszty historyi miasta byliśmy prawie świadkami, nie potrzebujemy jéj przypominać. Od drugiéj połowy XVII w., w któréj Berlin liczył 14 do 20,000 mieszkańców, do dzisiejszych czasów, gdy ich ma przeszło pół miliona, a liczba ta codzień wzmaga się i powiększa, tak, że już jéj za pewną podać nie możemy, od Wielkiego kurfirsta do pierwszego cesarza Niemiec, na brandeburskich piaskach powstał świat nowy. Powiemy tu może prawdę, czy

mrzonkę, za którą się na nas Niemcy pogniewać mogą: pochłoniętemu pierwiastkowi słowiańskiemu, przymieszce téj krwi winny północne Niemcy, Prusy szczególniéj, tę siłę może, z którą w historyi występują. Żywioł słowiański, wzięty sam przez się, nie miał siły organizacyjnéj, brakło mu pewnych przymiotów, których zbytkiem odznaczała się Germania, zlewek dwóch żywiołów dał ten amalgamat giermańsko-słowiański, który wystąpił w Prusach. Jak w chemii są pewne pierwiastki, które skombinowane być muszą, ażeby praktycznie zużytkowanemi być mogły, tak w dziejach dwa plemiona tworzą czasem trzecie złożone z nich, od obu pojedyńczych dzielniejsze. Faktem jest, że Niemcy, którzy tu assymilować sobie nawet siłą umieli Słowian podbitych, zmieszali się z niemi i nową stworzyli rasę. Ślady tego zlania się istnieją nietylko we wspomnieniach historycznych, nietylko w widocznych tradycyach przyswojonych, ale w imionach, rysach, krwi i fizyognomii. Nie zechcą się pewnie przyznać do tego Prusy, iż część ich siły jest zapożyczona, i że ją nie sobie są winni. Dla Słowian téż smutném to, iż się pochłonąć dali i okazali słabemi, lecz fakta są nielitościwe, a uwaga nasza na nich się opiera. Opatrzność miała zapewne cel swój, dopuszczając takie zlanie się i wytworzenie nowego zupełnie żywiołu. Dlaczego w państwie austryackiém nic się podobnego nie stało, chociaż i tam pierwiastek słowiański istniał obok giermańskiego, tłómaczyć się może tém tylko, iż Słowiańszczyzna południowa w sobie była silniejszą, miała żywsze przeszłéj wielkości tradycye i do takiego połączenia nie była skłonną, żywszy stawiąc opór przeciw niemu. Może to być hipotezą, można to nazwać urojeniem, przecież ktokolwiek się oburzy, niechaj wejrzy głębiéj w historyą Prus i rozpatrzy się w gienealogiach, począwszy od księcia Bismarka, który do téj etymologii swego nazwiska przyznaje się podobno, aż do gienerałów i ministrów, wsławionych w ostatniéj wojnie.

Berlin nie jest piękny. Ze starożytnych budowli znaczniejsze sięgają ledwie XVIII w.; co nie jest nowe, jest niesmaczne, a co nowe, nie wszystko smakowite. Miasto wyraża doskonale charakter monarchii militarnéj, ulice pod sznur, domy w rząd kwadratami jak bataliony stojące, pomniki nawet w mundurach, żywioł wojskowy przemaga, a cywilny nawet znać, że albo był, lub będzie żołnierzem. Słusznie ktoś powiedział, iż wojsko jest téż rodzajem szkoły, uczy ono niezawodnie i wdraża do ładu, pracy, do regularności i karności. Naród, który cały przeszedł przez egzercerunek militarny, musi mieć potrosze i wady i przymioty żołnierskie. Znajdujemy je w Prusakach, musztrowanych od kilku pokoleń w wysokim stopniu. Nie ogranicza się to fizyognomią, sięga

charakteru. Kto się chce o tém przekonać, niech zestawi z sobą Sasów i Prusaków razem, niech obcuje z jednemi i drugiemi, a rozpozna wychowańców Augustów i uczniów Fryderyka. Prusak jest szorstki, mniéj przystępny, surowszy dla siebie i dla drugich, mniéj ma serca i uczucia; Sas łagodniejszy a chytrzejszy może, rozwiąźlejszy, pracuje nawet inaczéj, powolniéj, mniéj chętnie, z musu więcéj, niż z zamiłowania trudu. Zabawy, zajęcia, rozmowy—wszystko się różni. Inteligencya inaczéj jest rozwinięta. Nic téż na świecie mniéj do siebie podobnego nad dwie stolice, dawną saską i nową pruską, tak dalece nową, iż się zaledwie nieco przybrukać czas miała.

Opisać Berlin? zadanie to nad siły turysty, który w téj wysznurowanéj fizyognomii wybitnych rysów pochwycić nie może. Nakreślim tylko główniejsze. Ulicą najożywieńszą była, któż wié co jutro będzie? gdy Königstrasse stanie się Kaiserstrasse? ale była nią wczoraj jeszcze ulica Królewska. W Berlinie inna by się nie poważyła iść z nią w zawody. Wśród niéj stoi niby to stary Ratusz z przyległościami. Giełdowi królowie zbierają się w cukierni Courtin'a. Na starém Kolnie wendyjskiém stoi zamek kurfirstów, którego części jeszcze się zachowały tak, jak za nich były, ale do nich późniéj dolepiono wiele. Od północy otaczają go zieloność i drzewa, w dali ukazuje się gmach Muzeów pretensyonalny i popisowy, z po za którego kolumn przeglądają jaskrawe freski. Widać już stąd na straży skarbów sztuki, walczącą z tygrysem amazonkę Kissa. Jak na skwerach Drezna, tu także świeżego powietrza używają rosnące pokolenia przyszłe, strzeżone przez dziewczęta, przy których dla większego bezpieczeństwa, szyldwachy wojskowe wartę odprawują. Od południa do zamku przypiera plac, na którym za kurfirstów odbywały się turnieje rycerskie. Jestto stara część miasta, chociaż po innych wyda się bardzo młodą. Z nowém Kolnem łączy Berlin most, zwany Waisenbrücke; przezeń i tę część pośrednią przechodzi się na Fridrichstadt. Most Stralawski łączy Berlin z kwartałem Stralawskim, pełnym fabryk i kominów i odznaczającym się tylko kościołem i jednym dworcem kolei. Pozór nader nagi i smutny. Z téjże strony Sprei leży część zwana Luisenstadt, zupełnie nowa i obfitująca w najwspanialsze ulice i gmachy. Fabryki, szpitale, składy, koszary nieuniknione ciągną się wzdłuż brzegów Sprei. Lecz niech nam czytelnik pozwoli przerwać tu metodyczny opis, z któregoby się pono nie nauczył wiele. *Königstadt*, Spandawski kwartał, miasto Fryderyka Wilhelma, nadto są sobie pokrewne. Wśród długich, kamienicami podobnemi do siebie wysadzanych ulic, gdzieniegdzie kościół

złego smaku, koszary bez pretensyi do niego, lub budowa rzeczywiście piękna, utopiona wśród najpospolitszych. Na Fryderyk-Wilhelmstadzie, mrowią się oficerowie i studenci. Do tak zwanego Rosentalskiego przedmieścia, przed bramą tego nazwiska zbudowaną, łączy się podanie o powstaniu jego pierwotném i zasiedleniu przez sprowadzonych tu z Voigtlandu Sasów w r. 1752. W charakterze mieszkańców przedmieścia chcą niektórzy upatrywać ślady pochodzenia pierwotnych jego osadników. Było to dawniéj gniazdo proletaryatu, pracowitego zresztą i spokojnego. Z Fryderyk-Wilhelmstadem graniczy wewnątrz najcelniejsza część miasta Dorotejska czyli nowa, łącząca się Brandeburską bramą ze Zwierzyńcem (Thiergarten). Jestto możnaby powiedzieć, serce Berlina, gdyby wyrażenie to do stolicy tak przeważnie rozumnéj, a tak mało serdecznéj, zastosować się dało. Tu się mieści uniwersytet, pałac królewski, Biblioteka, kościół św. Jadwigi, opera, odwach królewski, place główniejsze (paryski i opery), tu są Lipy. Lipy stanowią arteryę, którą życie przepływa, od wrót zwycięskich, przez zamkowy most aż do Lustgarten. Któż choćby ze słyszenia nie zna tych *Unter den Linden*, które są tém, czém *Corso* w Rzymie, *Rivoli* w Paryżu, *Prado* w Madrycie, *Toledo* w Neapolu?

Najwspanialsze gmachy Berlina otaczają szeroką lipami wysadzaną i wistocie wspaniałą tę promenadę, po któréj obu stronach, najpiękniejsze cisną się sklepy. Jestto popisowy plac wszystkiego, co Berlin ma najświetniejszego, strojów, koni, ekwipażów, posągów, wojska, wystaw zbytkownych po sklepach, ludzi i pomników. Słusznie to ktoś zauważył, że nawet na monumentach wszyscy są umundurowani, cywilnego bohatera tu niéma. Na pięknym pomniku Fryderyka Wielkiego, Leibniza i uczonych, którzy jego panowanie wsławili, postawiono, bodaj przypadkiem, ale znaczącym, pod końskim ogonem. Wśród téj spiżowéj rzeczywistości jak jedyny błysk ideału, świecą białe posągi mitologiczne na moście zamkowym, będącym dziełem znakomitego budowniczego Schinkla. Z jego pomysłu téż wykonane są osiem grup tych marmurowych, które się na tle Berlina, gośćmi z pod innego nieba, i z innego przybyłemi świata wydają! A! jak im tu chłodno i obco! Przecież myśl Schinkla, stosując się do wymagań miejscowych, wystawiła w nich sceny z tego życia rycerskiego, żołnierskiego, którym Prusy byt zawdzięczają, ale rycerze owi greccy przypominają inną epokę i inne życie, z czasów, gdy walczył każdy natchniony uczuciem dla sprawy, któréj odgłos w piersi własnéj znajdował.

Pierwsza z tych grup, narożna, wystawia Nike (zwycięstwo), opowiadaniem dziejów przeszłości wlewającą ducha w piersi dzie-

cięcia przeznaczonego na kraju obronę (Emil Wolff). Dziecię czyta na tablicy imiona bohaterów, gdzieby stać powinny obowiązki. Stary to jeszcze sposób podbudzania *praemiando*, obietnicami sławy i nieśmiertelności. Na grupie następującéj, rycerska Pallas uczy pocisk rzucać powołanego pod sztandar kandydata nieśmiertelności (Schievelbein). Dalej taż sama Pallas (A.Möller) zbroi idącego na walkę młodzieńca, obiecując mu palmę zwycięstwa. Następna grupa (Drake) wystawia Nike, uwieńczającą już powracającego z walki i chowającego miecz do pochew zwycięscę. Z drugiéj strony Wiktorya (Wichman) podtrzymuje rannego w boju; Pallas (Alb. Wolff), towarzysząca i posiłkująca w bitwie, osłania go tarczą (Bläser), w ostatku Iris, posłanniczka bogów, na łono swe przyjmuje umierającego i ducha jego do Olimpu wiedzie. Grupy te niemal wszystkie szlachetnego rysunku, wykonane ze smakiem i zupełnie starożytną swobodą, która na moście około zamku, wśród naszéj ciasnéj i smutnéj odzieży, stanowi dziwny kontrast, są rzeczywiście Berlina ozdobą, chociaż z nim nie harmonizują.

Pomimo smutnego oblicza Berlina nowego, nie można mu odmówić zmysłu artystycznego, poszanowania i miłości sztuki, smaku piękna i starania o dzieła, poświadczające, iż żywot w rzeczywistości nie zabił zupełnie czci ideału. Wiele z nowszych budowli noszą na sobie cechę dobrego smaku, a wille w okolicy Thiergartenu wykwintności i elegancyi; gmach, galerye i muzea zawierający, jest wspaniały, wreszcie, oprócz grup na moście i monumentu Fryderyka W., świeżo wznoszone nie grzeszą złym gustem ani przesadą. Zbiorami artystycznemi dziś już Berlin, choć może nie doścignął Monachium, Drezna i Wiednia, rywalizuje wszakże z niemi i na równi stanąć się stara. Sztuka i artyści znajdują tu, jeśli nie szczególne względy, to przynajmniéj poparcie i uznanie.

Jeszcze w roku 1699 założoną tu została Akademia malarstwa i rzeźby. Upadła wprawdzie potém prawie i rozwiązała się, aż dopiéro w roku 1786 nanowo ją wskrzeszono, a w 1790 uorganizowano. Późniéj powstała Akademia budownictwa, która dziś zawiera szacowną po Schinklu spuściznę i odlewiarnię bronzów, z któréj wyszły wszystkie tu i na prowincyach wystawione posągi. Zbiory obrazów, które miały przyszłe stanowić muzeum, zakupywać zaczęto dosyć późno, po r. 1815 za Fryderyka Wilhelma III. Weszła w nie galerya Giustiniani nabyta w Paryżu, wiele zakupów uczynionych we Włoszech, egipskie starożytności Pafalaceiaqua, Pompejańskie i Herkulańskie. Schinkel dał plan na budowę. Nie można jéj odmówić powagi i pięknych proporcyj, a przyczy-

nia się do uwydatnienia gmachu to, co jeden może Schinkel najlepiéj pojmował i od starożytnych przejąć umiał, na co w każdym swym projekcie szczególną zwracał baczność: szerokość i linie wielkie posady, podmurowania, piękna podstawa, bez któréj wspanialsza budowa ginie i maleje. Freski, według pomysłu Schinkl'a także, wykonane przez Corneliusa, zdobią jaskrawo przedsienie. Jestto historya świata i ludzkości, ujęta nie w kilku wielkich kartach, ale w mnóstwie pojedyńczych rozdziałów, w których szczegółach oko i myśl gubią się i giną.

Przeładowany temi historyami portyk grzeszy bogactwem, a nie robi takiego wrażenia, jakieby monumentalnych kilka obrazów uczynić mogło. Równie to smutnie wygląda, jak monachijskie próby tegoż rodzaju. Wewnątrz wnijście do gmachu godném jest. Schinkla i majestatyczném, jak być powinna sztuki świątynia Opisywać go nie myślimy, zbyt bowiem jeszcze wiele zawiera szczegółów, by w opisie nie stracił. Muzeum obrazów ułożone wedle szkół jest dosyć ciemne, i pomimo starannego rozwieszenia, rzadko kiedy obejrzéć się daje. Szkoły włoskie, epoka przedrafaelowska, pierwotna szczególniéj, bardzo obficie i pięknie są reprezentowane, wyznajmy prawdę — obficiéj i piękniéj niż w Dreznie. Galerya drezdeńska zbieraną była głównie w owéj epoce, gdy do malarzy pierwotnych mniéj daleko przywiązywano wagi, późniéj nie było już ani łatwém, ani możliwém dla saskich królów pomnażać muzeum tak kosztownemi nabytkami. Traf téż może szczęśliwy i znawstwo, zamiłowanie w przedrafaelowskiém malarstwie artystów pracujących we Włoszech, przyczyniły się do zbogacenia muzeum w te zabytki cenne dla dziejów malarstwa. Nie ma Berlińskie muzeum pereł takich, jak madonna Sykstyńska, Holbejnowska, Ruysdaele, Ribeiry, Rembrandty i Tycyany drezdeńskie, lecz posiada misttzów, jakich tu nie znajdujemy ani śladu, między innemi bardzo pięknego Fra-Angelica. Zbiór ten, którego spisu nie podajemy wcale, dziś pominiętym w liczbie ważniejszych europejskich być nie może. Oprócz obrazów na dole, mieści się piękny zbiór waz, złożony z zakupionych kolekcyj Hennin i feldmarszałka v. Koller. Wcielona tu została daktylioteka sławna barona Stosch'a, zbiór monet Rudolphiego i wiele innych prywatnych. U wniścia stoją bronzowe grupy konne, rycerza walczącego ze lwem przez Wolffa i piękna Amazonka Kiss'a. Stare Muzeum połączone jest z tak zwaném nowém galeryą, górne piętra wiążącą po nad ulicą.

Nowe, wzniesione całe na palach, z ogromnych brył kamienia i marmurów szląskich, jest monumentalną budową, smakownie we-

wnątrz przyozdobioną, trzypiętrową, w któréj umieszczono egipskie zabytki na dole, na drugiém piętrze odlewy gipsowe, na trzeciém zbiór sztychów i różnych pamiątek. Muzeum tak zwanych starożytności północnych, w większéj części słowiańskich, równie jak zbiór drezdeński urn i popielnic, przez badaczów naszych pominiętém być nie może.

Środek nowego muzeum zajmują przepyszne wschody, wśród których umieszczono odlewy olbrzymie, gdzieindziéj nie dające się postawić dla swych rozmiarów. Na ścianach tego przedsienia znajdują się arcydzieła Kaulbacha, znane powszechnie freski jego z dziejów ludzkości, upadek Babilonu, świetny wiek Grecyi, zburzenie Jeruzalem, bitwa Hunnów, zdobycie grobu Zbawiciela przez krzyżowców, reformacya kościoła. Obrazy te, wykonane pod okiem mistrza przez uczniów jego Muhr'a i Echter'a, daleko są piękniejsze na kartonach niż w krasie barw, która im więcéj odjęła, niż dodała wyrazu. Dość jest porównać karton przepyszny bitwy Hunnów w zbiorze Raczyńskiego, z freskiem muzeum, aby się o tém przekonać. Prawie wszystkie kompozycye Kaulbacha, który jest mistrzem w rysunku i układzie, całą swą piękność i wyraz zachowują w prostych nawet obrysach i sztychach.

Bogactw, zawartych w innych częściach muzeum, wyliczyć niepodobna, pomnażają się one szybciéj i skuteczniéj, niż w którejkolwiek stolicy europejskiéj; *succès oblige.* Prusy, przychodząc do potęgi pierwszorzędnego państwa, czują się w obowiązku stać się niém i w dziedzinie sztuki, a że rządność jest jednym z przymiotów je cechujących, mają więc zawsze fundusze na kupna nowe, agentów bacznych, poszukujących ich po Europie i to wytrwanie, którém pomnikowe zbiory się tworzą. Gdy w uboższéj Saksonii utrzymanie tego, co jest, stanowi całą troskę, tu znaczne summy corocznie obracają się nu cele artystyczne, i muzea rosną z dniem każdym.

Oprócz tych zbiorów publicznych, Berlin posiada kilka godnych widzenia i dostępnych prywatnych gabinetów, po większéj części nowe zawierających obrazy, Wagenera, Raven'a, hr. Raczyńskiego sławi się wyżéj wspomnianym kartonem Kaulbacha: bitwą Hunnów, posągiem Ganimedesa przez Thorwaldsena, Hildebrandt'a synami Edwarda i kilku pięknemi obrazami hiszpańskiéj szkoły. Dla nas szczególniéj zajmującym jest historyczny, znacznych rozmiarów obraz Canalettego, wystawujący ostatnią elekcyę Stanisława Augusta. Na pierwszym jego planie stroje, powozy, zaprzęgi, figury żywo przedstawiają epokę, a nawet główne postacie zdają się być i są zapewne portretami. Zbiór hr. Raczyńskiego zostaprzez niego przekazanym miastu. Znaczna dosyć kolonia artył

stów, która się jeszcze pomnoży zapewne ze wzrostem stolicy, powołanéj do przodowania Niemcom zjednoczonym, zamieszkuje Berlin. Smak w sztuce rozwija się i rośnie, rosną bogactwa, a Strousbergowie nowi, choćby zmysłu kunsztu nie posiadali, okazać się go zwykle starają, jako dowód wyższego wykształcenia. Próżność ta ma swą dobrą stronę, przyczynia się do podtrzymywania artystów i sztuki.

Cóż zresztą więcéj powiedzieć można o Berlinie, który jest zawiązkiem może nowego Paryża, a przynajmniéj wróży dziś sobie panowanie ducha i umysłu nad Europą? Będzie on miał siły do spełnienia przeczuwanego posłannictwa, lub jest li ono tylko pragnieniem, nie mającém nigdy się urzeczywistnić, zależy to od zbiegu tylu okoliczności, od tylu praw dziejowych, powiązanych z sobą w sieć tak splątaną i ściśniętą, iż najbystrzejszemu oku wyśledzić niepodobna rysów téj tkaniny, na któréj dłoń przyszłości dzierzgać będzie złotem lub żałobą. Właśnie w chwili, gdy nam przyszło porządkować notaty nasze, dopełniały się olbrzymie wypadki, które zmieniły więcéj jeszcze moralną postać Europy, niż polityczną jéj budowę.

Olbrzymią doniosłość ich jeszcze współczesnym ocenić trudno, pomiędzy przesadzonemi nadziejami zrodzonemi ze zwycięstw bezprzykładnych, a urojonemi marzeniami rychłego powrotu do *status quo ante bellum*, umysł najbystrzejszy wahać się musi i uznać bezsilnym. Są zwycięstwa, które osłabiają, i są klęski, które podnoszą, to prawda, jednak stan Francyi obudza obawy, że one jeszcze nie otworzyły jéj oczów, a czujność niemiecka trwożąca się samemi zwycięstwy dowodzi, iż Niemcy nie upoiły się swemi tryumfy tak, jakby się powierzchownie sądzącym zdawać mogło. Najmniéj téż sympatyzując z narodowością, która jak Rzym i Grecya, wszystkie inne pogardliwie barbarzyństwem zowie, trudno nie uznać wielkich przymiotów jéj i wyrobionéj z nich siły. Wszystko to winno wchodzić w rachubę przyszłości, jeśli rachuba taka jest możliwą.

Na tém kończą się notatki z kartek podróży, odbytéj przed laty kilkunastu, wśród wielce różnego świata i odmiennych jego stosunków. Przepisując je dzisiaj, nie mogliśmy się tak dalece cofnąć w przeszłość niezbyt odległą, a tak różną od dni naszych, by się w nich wypadki nowe nie odbiły. Szczęściem to, co nas najbardziéj zajmowało w wędrówce téj, najmniéj lub wcale zmianom nie ulega. Świat sztuki jest nieśmiertelny. Rozwijają się pojęcia o nim, rozszerza widnokrąg dokoła, czyta się hieroglif idei w chwilach jasnych z większą łatwością i szczęśliwszém natchnieniem, lecz dzieła te pozostają sobą i mówią o tém, wobec czego

życie nasze, krzątanie się, drobne zachody z wielką wrzawą, maleją i na znaczeniu tracą.

Cóż pozostało z heroicznych walk Hellady? Kilka złomów marmuru, kilka pieśni bohaterskich, garstka złotych słów, skorupy malowanych naczyń, rozwalonych świątyń kolumny... Co przeżyło Rzym i krwawy pot średnich wieków? Pomniki sztuki słowa, kształtu i barwy... Na pogorzeliskach tylko to, co jest kruszcem, co jest myślą nieśmiertelną, co jest duchem i z ducha, pozostaje i przeżywa. Komu teraźniejszość ciężka i rzeczywistość bolesna, niech ucieknie w świat idei i sztuki, a w nim znajdzie spoczynek.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

1858
13
1871